BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Biblioteka Śląska

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1874.

Tom drugi.

CZYTELNIA LUDOWA W CIESZYNIE.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Główna w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

1874.

Дозволено Цензурою.
Варшава 20 Марта 1874 года

O LISTACH CYCERONA.

PRZEZ

Kazimierza Kaszewskiego.

CZYTELNIA LUDOWA w CIESZYNIE.

(Listów Marka Tulliusza Cycerona ksiąg ośmioro, przełożył E. Rykaczewski. Tomów 2. Nakładem Biblioteki Kórnickiéj, 1873 r.)

Mało ludzi na świecie, którzyby nie stojąc na czele zbrojnych hufców, wywołali tyle naokoło siebie ruchu co Cycero. Nie był to w zwyczajném tego słowa znaczeniu bohatér: Plutarch zarzuca mu brak wojennego ducha, lubo w młodości praktykę wojskową odbywał i późniéj także od niéj nie odbiegał; ale był to wielki obywatel, który trzydzieści przeszło lat stojąc na widowni politycznéj w czasach niebezpieczeństwa i okropności pełnych, wplótł się jak jasna nić w ciemne dzieje ówczesne ojczyzny swéj, a ciałem swém grób jéj wolności zawalił, padłszy ofiarą ambicyi trzech okrutników. Był to człowiek ułomny, dwiema głównie wadami szwankujący: próżnością i brakiem determinacyi; pierwsza z nich szkodziła jemu tylko samemu; szkodliwość drugiéj odbiła się i na ojczyźnie. Bo gdyby Cycero raz był sobie nakreślił jednę stałą linię postępowania, tak jak był to uczynił konsulem będąc, podczas knowań Katyliny, i nigdy z niéj nie schodził, to przy nadzwyczajnym wpływie jaki posiadał u ludu i senatu, przy zacném uczuciu obywatelskiém jakie serce jego rozgrzewało, byłby mógł nie dopuścić do zupełnego rozstroju Rzeczypospolitéj, albo go przynajmniéj opóźnić; a wiadomo, że lekarz częstokroć na chwilowém opóźnieniu śmierci wygrywa w chorobie długie życie pacyenta. Tymczasem, popierając kolejno, to opuszczając, Pompejusza, Cezara, następnie znów popierając Oktawiana; zamiast sam sobie utworzyć stronnictwo silne, coraz do innego stronnictwa przechodząc, zmarnował tylko wielkie zasoby duchowe i wielki wpływ na umysły. Jeszcze jednę wadę zarzuca mu Plutarch: to uszczypliwość w charakterze. Drobnostka to jednak w stosunku do skali tego człowieka: znając go z téj strony, widzimy w nim raczéj krotochwilnego dowcipnisia, niż złośliwego mizantropa. Nie mniéj jednak, zkądinąd, był to

Redakcya Biblioteki Warszawskiej

człowiek uczciwy bez samolubstwa, prawy do ideału jak na owe mianowicie czasy, czego dowodem jego zarządy to w Sycylii, to w Cylicyi, wielkiej odwagi cywilnéj, czystości obyczajów, wielkiéj dla kraju miłości. Napotykamy wprawdzie częstokroć sprzeczność w jego zdaniach o ludziach i rzeczach, przemowy jego z trybuny nie zawsze mają za cel obronę ludzi istnie nieskazitelnych; myliłby się jednak ktoś utrzymując, że w tém była jego stronność lub zwłaszcza interesowność: jest to poprostu chwiejność, głos podyktowany chwilowém zapatrywaniem się na rzeczy, błąd za który nie można czynić nieodpowiedzialnym tak wysoko ukształconego człowieka, ale którego téż nie godzi się fałszywym przypisywać pobudkom. Cycero, jako charakter nie wytrzyma téj surowéj krytyki, z którą tak zwycięzko jedyny może tylko mierzy się ze współczesnych mu, Kato: byli to jednakże dwaj jedyni z głośniejszych ludzie, godni wzajem podać sobie ręce. Okoliczności rozdzieliły ich w ostatniéj chwili, śmierć umiała ich w jednéj sprawie połączyć.

Nie wiem czy jest piękniejsze i bardziéj zajmujące studyum, jak życie Cycerona wszechstronnie rozpoznawane; zajmujące, rozumie się dla człowieka którego obchodzi ludzkość, gdziekolwiek ją napotyka, nie zaś dla wyznawców tych budujących doktryn, którzy przeszłość mianują *próchnem* i *zgnilizną*, sami sobie tym sposobem dając dyplom próchna i zgnilizny na przyszłość. Dewiza tych doktrynerów tak się mniéj więcéj określa, że to z czego duch wyszedł (nie wiem wreszcie *duch* czy *dech*) staje się prochem, a że przeszłość jest w tym wypadku, więc niéma co już do niéj wracać. I bądźże tu historykiem na takiéj podstawie! Co tu mają do roboty Niebuhry, Lewesy, Groty?... Ale w tém właśnie kwestya, czy ten duch wyszedł? Ilekroć myśl zapuszczamy w karty dziejowe, zawsze nam zdaje się przeciwnie, że ten duch tam tkwi, że jeśli nie w formie, to w treści, fakta powtarzają się wciąż; widzimy mnóstwo analogij, porównań i przystosowań, a mianowicie widzimy jak na dłoni rozłożony w życiowych obrazach ten wielki pewnik moralny i społeczny, że też same przyczyny wyradzają też same skutki; że naprzykład, jeżeli spostrzeżemy w jakiémś społeczeństwie upadek a następnie ruinę skutkiem zaniedbania się jednostek i ich znikczemnienia, to możemy być pewni, że ten fenomen powtórzył się albo powtórzy w społeczeństwach stu; na odwrót i tak daléj. Czyli, że do czego doprowadza obserwacya w świecie przyrody na drodze metody doświadczalnéj, do tego samego doprowadza obserwacya w świecie ludzkim na drodze metody historycznéj. Otóż to jest ten *duch*, którego daremnie nowi doktrynerzy szukają w przeszłości; to *magisterium* historyczne życia.

Ileżto społeczeństw późniejszych a nawet dzisiejszych widzimy jako pewne odbicie przedśmiertnych chwil Rzeczypospolitéj rzymskiéj; ilużto ludzi późniejszych i dzisiejszych widzimy w jednym z przedstawicieli tych chwil, Cyceronie!... I dlatego téż śmiele utrzy-

mujemy, że studyum zdjęte z tego człowieka, to ciekawa dla ludzkości rzecz. I studyów tych nie brak w literaturach obcych.

Ilekroć jednak zdarzyło się nam zawadzić o takowe studyum, wszędzie obok innych źródeł widzieliśmy najczęściéj i najgęściéj cytowane *Listy* Cycerona. I bardzo to rzecz łatwa do wytłumaczenia. Jeżeli człowiekowi jednemu poświęcamy całą księgę, toć chcielibyśmy go mieć w téj księdze, o ile to być może, całym. Mężowie polityczni, których działania szeroko rozchodziły się na zewnątrz, zazwyczaj nasamprzód chwytani bywają ze strony tych zewnętrznych faktów; rysy ich pomieszczają się w specyalnych dziełach historycznych, i do pewnego stopnia naturę tych mężów objaśniają. Ale nie dosyć na tém: potrzeba jeszcze same téż fakta objaśnić, pobudki ich wskazać, a te ukryte są częstokroć głęboko gdzieś w duszy człowieka: sprawa to, jak mówią, zakulisowa. Otóż tu, jedna notatka, jedno zwierzenie, jeden przejęty liścik, ważną częstkroć odegrywają rolę: odkrywają wnętrze człowieka.

Cycero pod kilkorakim względem uważany być może: jako mąż polityczny, jako filozof, jako krasomówca; nawet, ktoby chciał, jako poeta; ale to wszystko jeszcze może nie uzupełnić obrazu jego, jako człowieka. Gdyby tamto było dostatecznem, Seneka mógłby uchodzić za świętego, a Machiavelli za urwisa. Ale list, list prywatny i poufny, to świadek najprawdomówniejszy, często obrońca, często *enfant terrible*. Najlepiéj téż Cycero sam siebie w listach swych maluje. Tu spoczywają jego dobre dla ojczyzny chęci i zamiary, tu różne programy jego polityki, jego moralność, uczucia obywatelskie i rodzinne, jego pobudki i cele; tu także złożone są świadectwa słabostek jego charakteru. Bo jakkolwiekbądź, człowiek, nawet w liście do przyjaciela, chciałby się najkorzystniéj wydać, jeżeli wszelako interes nalega przeważnie, to prawie niepodobna nie zdradzić się z tém, coby człowiek chciał najstaranniéj ukryć przed okiem nawet najprzyjaźniejszém.

Staranność z jaką pisane są listy starożytnych, pod względem myśli, układu i stylu, naprowadziła na mniemanie, że autorowie tych listów z góry przeznaczali je do publikacyi, list uważając sobie wprost za pewną formę literacką tak dobrą jak druga, albo i lepszą. Rzeczywiście, listy Pliniusza młodszego, a mianowicie téż Seneki, usprawiedliwiają w znacznéj mierze to przypuszczenie: jest w nich bowiem, pojedynczo w każdym, jakaś jedność przedmiotu, myśli, obrobienia, żadnych epizodów od materyi odskakujących; słowem listy te, nie wszystkie ale dosyć liczne, wyglądają jak nasze artykuły literackie. O większéj części listów Cycerona tego powiedzieć nie można. Są one kreślone widocznie pod naciskiem uczucia lub interesu, bez rozpraw i popisu literackiego, częstokroć stylem dorywczym, ołówkowym, zapełnione szczegółami różnéj treści do siebie niepodobnemi; niektóre pisane jakby na kolanie, co jednak nie pozbawia ich obrazowości, życia i stylowego uroku. Nie bez tego że-

by nie było i innych, o których z układu i jedności treściowéj, możnaby śmiało przypuszczać że są pisane z zamiarem publikacyi; lecz przypuszczenie to do całości bynajmniéj stosować się nie może: zanadto autor w nich szczerym jest względem siebie, na złe i na dobre, tak jakoby się spowiadał.

Nie zaszkodzi mu to zapewne, jeżeli z obozu pod Pindenissum, podczas zarządu swego w Cylicyi, napisze do Attyka:

„Przypominasz mi, a co dla mnie większa nad wszystko, obawiasz się, abym nie dał komu powodu do nagany; owóż, niech umrę, jeżeli można piękniéj się sprawować... Nie chlubię ja się z méj wstrzemięźliwości, z cnoty która zda się walczyć przeciw rozkoszy; bo w całém życiu rozkoszy nie doznałem większéj, jak z téj mojéj na tym urzędzie prawości, a co mi ją sprawia, to nie sława, która jest bardzo wielką, ale rzecz sama. Co ci mam powiedzieć? Warto było uczynić takie doświadczenie: sam siebie nie znałem, nie wiedziałem co w tym rodzaju dokazać mogę; teraz, mam dobre o sobie mniemanie, i nie bez przyczyny. Nic świetniejszego. Jest jeszcze nadto coś niemniéj świetnego: że Ariobarzanes żyje i panuje, moje to dzieło. Uratowałem mimochodem tego króla i królestwo jego (Kappadocyę), radą moją i powagą, jakotéż tém, żem tajemnym jego nieprzyjaciołom ani przekupić się nie dał, ale anim ich nawet do siebie nie przypuścił. Mimo to jednak, z Kappadocyi nic nie wziąłem, i spodziewam się, że moja prowincya przez cały rok mego urzędowania ani szeląga na mnie nie wyda“ [1]).

W dalszéj swéj spowiedzi do tegoż przyjaciela swego Attyka, powiada z Laodycei:

„Cieszyszsię jak widzę z mego umiarkowania i bezinteresowności; więcéjbyś się ucieszył, gdybyś tu był. Cudów dokazałem w Laodycei, gdzie od 15 lutego do 1 maja ułatwiłem interesa mojéj prowincyi, wyjąwszy Cylicyę. Wiele miast uwolniło się od długów, wiele niemałéj doznało ulgi; wszystkie sądziły się swemi prawami i w swoich sądach: otrzymawszy autonomią odżyły. Dałem miastom dwa sposoby uwolnienia się od długów lub ulżenia ich ciężaru: pierwszy nie pobierając nic z prowincyi na swe utrzymanie; a kiedy mówię *nic*, bynajmniéj nie przesadzam, bo ani grosza nie wziąłem. Nie uwierzysz jak miasta przez to tylko odetchnęły. Drugi sposób był taki: sami urzędnicy greccy popełniali w miastach niepodobne do wiary kradzieże [2]). Zapytywałem tych, którzy w ostatnich dziesięciu latach urząd sprawowali, przyznali mi się do wszystkiego; a iżby unik-

---

[1]) *Ad Atticum*, V, 20. Przekład Rykaczewskiego, którego tu we wszystkich cytatach używamy.

[2]) Smutna to dla Greków ówczesnych rekomendacya, którzy pod panowaniem Rzymian, własnych obdzierali ziomków. Ta część Azyi którą zawiadywał Cycero, przez Greków głównie zaludnioną była.

nąć hańby i sądowego potępienia, wszystko odnieśli co wzięli. Tym sposobem, miasta co winne były dzierżawcom dochodów skarbowych za pięć lat upłynionych, a nawet za pięć lat poprzednich, bez żadnéj trudności im zapłaciły. Dzierżawcy za to prawie na rękach mnie noszą. Nie są to, powiesz, ludzie niewdzięczni; że nie są, przekonałem się o tém“ [1]).

Na jakie zwycięztwo nad sobą samym zdobyć się musiał Cycero, ile potrafił wiernym być mistrzów swych, Sokratesa i Platona, zasadom dotyczącym sprawiedliwości, dowód dał w następującym ustępie tegoż samego listu. Attyk był zarówno przyjacielem Cycerona, jak Brutusa. Widać przytém z listów, że Cycero otrzymywał od tegoż Attyka natchnienia co do wysokich zadań kierownika ludzkości; zdawał mu sprawę ze swych czynności, radził go się w wątpliwych razach, i niezmiernie wiele ważył sobie jego opinie, bo też Tytus Pomponiusz Attyk, o ile znamy żywot jego z Korneliusza Neposa, był jednym z najzacniejszych mężów, a z Cyceronem oprócz ścisłéj przyjaźni, łączyło go również wychowanie na wzorach greckich otrzymane. Otóż ten Attyk wstawia się do Cycerona za Brutusem i niejakim Skapcyuszem, zapewne dzierżawcą skarbowym, protegowanym przez Brutusa, kto wié czy nie wspólnika jego w interesie pieniężnym, ażeby mając władzę w Azyi, wpływem swym dopomógł im do odebrania należnych ztamtąd pieniędzy. Brutusowi należały się pieniądze od Ariobarzanesa, króla Kappadocyi, prawdopodobnie jako porękawiczne za pomoc udzieloną w senacie rzymskim. Cycero sprawę tę załatwił. Ale na protekcyę Brutusową co do Skapcyusza, któremu coś dłużną była biédna wyspa Salamina, posłuchajmy co mu odpisuje Cycero:

„Salaminów, których mogłem przymusić, przywiodłem do tego że chcieli cały dług Skapcyuszowi zapłacić z procentem jeden od sta na miesiąc od daty wydanego obligu, dodanym w końcu każdego roku do kapitału. Wyliczyli pieniądze, ale Skapcyusz nie chciał ich przyjąć. Cóż ty na to, który powiedziałeś, że Brutus gotów jest coś stracić [2])? W obligu stoi *cztery* na miesiąc; ale dłużnicy nie mogli zapłacić tak wielkiego procentu, a choćby mogli, *nie pozwoliłbym na to.* Teraz słyszę, żałuje Skapcyusz, że nie przyjął pieniędzy, bo uchwała senatu na któréj on się opiéra, i która uznaje oblig ten za prawomocny, dlatego tylko była wydana, że Salaminowie zaciągnęli tę pożyczkę wbrew prawu Gabiniuszowemu, które zakazuje brać taki procent i podobne obligi za nieważne uznaje. Czyli, postanowił

---

[1]) *Ad Atticum*, VI, 2, Rykaczewski.

[2]) Rozumie się: Mówiłeś że Brutus gotówby ustąpić coś z summy należnéj mu przez Ariobarzanesa; jakim sposobem, kiedy taki oto Skapcyusz nie chciał ustąpić nic z procentu od procentu?

senat, że oblig ten w sądzie będzie równie ważny jak inne, ale co do procentu, nie wyłączył go od powszechnego prawa. Postąpiłem jak mi prawo kazało, i spodziewam się że mi to Brutus przyzna. Nie wiem czy ty mi to przyznasz, ale pewien jestem, że mnie Kato pochwali. Z tobą tedy teraz pomówię. Jakto kochany Attyku? Ty co chwalisz moje sumienne i bezinteresowne sprawowanie tego urzędu, prosisz mnie żebym dał jazdę Skapcyuszowi dla odebrania gwałtem swéj należytości? Mogłoż to wyjść z twoich ust? jak mówi Enniusz. Piszesz mi iż żałujesz że nie jesteś ze mną: a choćbyś ze mną był, czy pozwoliłbyś mi coś podobnego uczynić? Skapcyusz, mówisz, chce tylko pięćdziesięciu żołnierzy... Spartakkus nie miał ich i tylu kiedy wziął się do oręża [1]). Ileżby to złego nie nabroili ci żołnierze na téj wyspie, któréj mieszkańcy nie są bardzo waleczni [2]), czyli raczéj, ile już nie nabroili za mego poprzednika? Trzymali senat salamiński przez tyle dni w oblężeniu, że kilku senatorów z głodu umarło. Był bowiem Skapcyusz pułkownikiem Appiusza, i miał od niego kilka oddziałów jazdy. A ty, którego oblicze staje mi przed oczyma, kiedy się zabieram do jakiego sprawiedliwego i chwalebnego czynu, ty mnie prosisz żebym Skapcyusza pułkownikiem mianował? Wszakżeśmy się ułożyli, żebym żadnemu handlarzowi tego stopnia nie dawał, i Brutus to pochwalił. Jazdy mu trzeba? Czemuby nie miał na piechocie przestać [3])? Odkądże to Skapcyusz stał się tak rozrzutnym [4])? „Życzą sobie tego, mówisz, przedniejsi obywatele salamińscy"? Tak jest, bo aż do Efezu do mnie przyjechali, ze łzami opowiadając krzywdy i gwałty od téj jazdy doznane. Dałem tedy zaraz rozkaz na piśmie, żeby ta jazda na ten a na ten dzień najdaléj z wyspy wyszła, za co Salaminowie publicznie mi dziękując, pod niebo mnie pochwałami wynosili. Na co wreszcie tam potrzebna jazda? Salaminowie chcą zapłacić: chybabyśmy ich orężem przymusić chcieli do zapłacenia cztery od sta na miesiąc. Śmiałżebym po takim uczynku czytać te księgi które tak bardzo chwalisz, ba nawet ich dotknąć? Zbyt byłeś troskliwym, najukochańszy Attyku, w téj sprawie o Brutusa, zamało podobno o mnie. Napisałem do niego jak gorąco wstawiałeś się za nim. Ale przejdźmy do czego innego" [5]).

Tu już nietylko relacya, ale sam fakt przemawia nietylko za wysoką prawością obywatelskich przekonań i uczuć Cycerona, ale za

---

[1]) Dzielny ten przywódzca gladyatorów w Hiszpanii powstał z 70 ludźmi, a zebrał ich przeszło sto tysięcy, i mężnie się trzymał przez lat dwa przeciw Rzymianom.

[2]) Cóż to za straszne przypomnienie czasów Temistoklesa!

[3]) Ironia.

[4]) Skapcyusz, a raczéj Brutus, przyrzekał jazdę tę utrzymywać własnym kosztem.

[5]) *Ad Atticum*, VI 2, Rykaczewski.

jego odwagą duchową. Jest to odmowa stanowcza, w jakiż delikatny sposób uczyniona, ale niemniéj niedopuszczająca repliki i nadziei. Odmówić przyjacielowi, i to takiemu, jakim był Attyk, to największy gwałt jaki można zadać uczuciu własnemu. Jednakże nie waha się Cycero zadać sobie ten gwał, obrazić bodajby dwóch przyjaciół, dla uratowania zasady sprawiedliwości. Gdyby to inny pretor był wówczas na miejscu Cycerona, to poparty takiemi imionami jak Brutus i Attyk, aniby się wahał wygodzić infamisowi, z dodatkiem że byłby się z nim złupionemi pieniędzmi podzielił. Tém większa chwała Cyceronowi, że żyjąc w takich czasach, nietylko żadnéj tego rodzaju zakale nie dał do siebie przystępu, ale z prawości swéj uczuwał jakby jakąś rozkosz sumienia, tę najwyższą samonagrodę cnoty. Wiedział też dobrze Cycero, że czyn ten jego, jakkolwiek sprawiedliwy w sobie, bezpiecznym nie był. Bo kogoż to on obraża swą stanowczą w tym razie odmową, oto dwóch ludzi wpływowych, którzy w danym razie mogli i jemu stołka przystawić, o co nie było trudno, bo mściwe chaktery Rzymian, często bardzo przedstawiają widoki takich przeskoków od przyjaźni do nienawiści i pomsty: Cezar, Pompejusz, Antoniusz, Oktawian i sam nawet Cycero, dali tego znakomite przykłady. Słusznie też Plutarch unosi się nad postępowaniem jego jako mandataryusza senatu w prowincyach podbitych, i tém miléj wyrazić mu to, jako Grekowi, że ziomkowie jego właśnie, z téj dobroci pretora korzystali.

Cieszy się też ten pretor ze swych spraw jak dziecko, jak student ze stopnia otrzymanego w szkole za dobrze wyuczoną lekcyę i chwali się przed Attykiem, jakby chłopiec przed rodzicami ze swoich tryumfów.

„Idąc za własną skłonnością — powiada — tudzież zachęcony twoją poważną radą, w bezinteresowności, sprawiedliwości, ludzkości i łagodności, przewyższyłem wszystkich. Nie możesz sobie wystawić jak się temu ludzie dziwują, że za moich wielkorządów żaden z moich urzędników szeląga nie wziął, bądź w swojém, bądź w Rzeczypospolitéj imieniu... Z Tarsu wyjechałem do Azyi 5 stycznia, z jakiém podziwieniem mieszkańców Cylicyi a mianowicie Tarsu, na Herkulesa! opowiedzieć niepodobna. Z niemniejszém upragnieniem wyglądano mnie, skoro Taurus przebyłem, w moich azyatyckich prowincyach: bo przez sześć miesięcy mego urzędowania nie naprzykrzyłem się im żadnym moim rozkazem, ani żaden z moich podwładnych nie był im jako gość ciężarem. W tym właśnie czasie poprzednicy moi co roku najwięcéj zyskiwali. Bogate miasta, żeby się uwolnić od kwaterunku żołnierzy w zimie, dawały im ogromne summy, Cypr naprzykład nie mniéj jak 200 talentów attyckich (około 250,000 rubli); kiedy teraz ta wyspa, dopóki nią rządzić będę, ani grosza (nie przesadnie ale prawdziwie mówię) na mnie nie wyda. Za te dobrodziejstwa nad któremi oni zdumiewają się, nie pozwalam żadnych innych honorów dla siebie uchwalać prócz słownych po-

dziękowań: posągów, świątyń, łuków tryumfalnych zakazuję; w niczém zgoła uprzykrzony miastom nie jestem, chyba tobie jednemu, że to o sobie opowiadam. Zcierpieć to jednak musisz, bo sam chciałeś żebym tak postępował. W mojéj przez Azyę podróży, głód nawet, największe ze wszystkich nieszczęście, który zagrażał tym azyatyckim powiatom pod rządem moim będącym, gdzie urodzaje tego roku zupełnie chybiły, był dla mnie pomyślném zdarzeniem. Kędymkolwiek przejeżdżał, dokazałem bez gwałtu, bez przymusu, ale swoją tylko powagą i zachęceniem, że równie Grecy jak Rzymscy obywatele, którzy mieli zgromadzone wielkie zapasy zboża, dostateczną jego ilość dostawić miastom przyobiecali" [1]).

Znając samochwalczy charakter Cycerona moglibyśmy w sferze wątpliwości pozostawić wszystko co on dobrego tu mówi o sobie, gdyby nie to, że inne niezależne od niego źródła zgadzają się w zupełności co do ogólnych rysów jego postępowania w Azyi, a więc i co do pojmowania najwyższego celu życia, to jest spełnienia obowiązków, tam zwłaszcza gdzie obowiązkom tym towarzyszy ogromna władza, prawie nieograniczoną. Nie mógłby wreszcie i sam Cycero, choćby chciał, zmyślać tak bezczelnie, wiedząc do kogo pisze. Attyk, lubo oddzielony odeń górami i lasami, wiedział dobrze przez stosunki z senatem co się dzieje w Azyi, a gdyby się tam działo coś złego, nieprzyjaciele Cycerona, których miał tylu i to potężnych, nie omieszkaliby win jego na cztery wiatry roztrąbić, a nawet natychmiast przed sąd go pociągnąć. Jak zaś łatwo było byle śmiałemu szubrawcowi zaleźć za skórę najpoważniejszym mężom, dowodem zajścia jakie już raz miał Cycero z trybunem ludu Klodyuszem. Demagog ten, w chwili najwyższego tryumfu Cycerona, to jest zaraz po zniweczeniu spisku Katyliny, tak umiał przeciw niemu podburzyć stronnictwo uliczne, że zbawca ojczyzny niedawno na rękach przez tłum obnoszony, teraz opuszczony przez wszystkich, tych nawet co mu najwalniejsze zawdzięczali przysługi, jak Pompejusz,—ażeby uniknąć gorszego losu, sam musiał się skazać na czasowe wygnanie.

Prawdą więc wszystko jest co pisał o sobie w tych listach, a prawdy téj jeden dowód więcéj w długim liście, na ośm lat przed objęciem władzy pretorskiéj, pisanym do brata Kwintusa (w r. 59 przed Chr.). List ten wygląda już nieco na rozprawę, ale rozprawa to prześliczna, wielostronna, rozumna, zacnemi uczuciami na wskróś przejęta, a stanowiąca program postępowania dla zawiadowcy milionów ludzi, unieszczęśliwionych zwłaszcza utratą swobód. Kwintus właśnie wtedy wyznaczony przez senat, trzeci już i ostatni raz na pretora, chcąc nie chcąc musiał wybrać się na rok jeszcze do Azyi, do tych miejsc właśnie, w których go po ośmiu latach Marek miał zastąpić.

---

[1]) *Ad Atticum*, V, 21.

Wtedy to nasz Cycero pisze mu instrukcyą jak ma sobie poczynać, ażeby spełnił uczciwie to wysokie zadanie. Instrukcya ta nie jest bynajmniéj ogólnikową teoryą filozoficzną o obowiązkach, chociaż tło filozofii akademickiéj przebija się wskróś, ale dotyka właśnie specyalnych szczegółów urzędu, ze względu na prawo, miejscowość i różne czasowe okoliczności z władzą i życiem obywatela rzymskiego rządzić mającego ludnością różnolitą splecione.

„Jeżeli ludzkość — powiada on — jest sposobem zjednania miłości w Rzymie, gdzie takie panuje zuchwalstwo, tak wyuzdana swawola; w Rzymie, gdzie jest tylu urzędników mających władzę i sposób niesienia pomocy, gdzie jest senat przyodziany taką powagą; jakże musi być drogą dobroć pretora w Azyi, gdzie takie mnóstwo obywateli (rzymskich) i sprzymierzeńców, tyle miast, tyle dawnych wolnych rzeczpospolitych, na skinienie jednego człowieka oczy zwrócone mają, przeciw któremu żadnéj nie masz pomocy, żadnéj apelacyi, żadnego senatu, żadnego zgromadzenia ludu, do któregoby się odwołać można?... Przykładaj się tedy z całą usilnością i gorliwością, jak dotąd czyniłeś, do tego żebyś ludzi, których senat i lud rzymski poruczył władzy twéj i opiece, kochał, wszelkiemi siłami bronił i jak najwięcéj uszczęśliwił. Gdyby cię kto nad Afrykanami, Hiszpanami lub Gallami przełożył, dzikiémi i barbarzyńskiémi narodami, niemniéj atoli byłoby powinnością twojéj ludzkości ich dobro i pożytek obmyślać i nad ich zachowaniem pracować. Ale gdy przełożeni jesteśmy nad narodem nietylko oświeconym, ale od którego, jak wiemy, oświata do innych przeszła, tém więc bardziéj jest naszą powinnością dać jéj dowody na tych, od których ją odebraliśmy. Co do mnie, nie wstydzę się wyznać, że wszystko czém jestem, tym naukom i kunsztom zawdzięczam, które mi dzieła i szkoły dawnéj Grecyi do wiadomości podały. Ponieważ jesteś przyodziany najwyższą władzą w tych miastach, w których cnoty twoje uświęcone i w rzędzie bogów umieszczone widzisz; potrzeba ci miéć baczność we wszystkich swoich postanowieniach, wyrokach, czynnościach, na to co tak wysokiemu o tobie mniemaniu i takiéj czci winieneś. Zadosyć uczynisz téj powinności, jeżeli wszystkich na pieczy miéć, cierpieniom ludzi zaradzać, dobro ich obmyślać będziesz; przezco okażesz że nietylko chcesz być nazwany ojcem Azyi, ale zasłużyć na to chlubne nazwisko“ [1]).

Cały ten list zasługiwałby na pomieszczenie *in extenso* w wytwornym przekładzie, nietylko tu, ale gdzieś osobno, jako klejnot literacki, jako antyk drogocenny, większą nierównie wartość mający od wielu tych co dzisiaj zdobią szpalty pism peryodycznych, albo buduary elegantów. W tych kilkunastu wierszach, które tu przytoczyliśmy, jest coś tak wzniośle uczciwego, że każdego musi schwycić

[1]) *Ad Quintum* I, 1. Rykaczewski.

za serce. W istocie, co zależało na tém Cyceronowi, ażeby z takiém usiłowaniem jakie w całym liście przebija, obstawał za ulżeniem losu nieszczęśliwych ludzi, dalekich, niczém z nim nie związanych i to w tym czasie, kiedy dewizą było niemal każdego: drzyj łyka, póki się dadzą? W Rzymie, u ogniska władzy, nietylko że mu to wcale kredytu nie mnożyło, nietylko że mu nikt za to ani „Bóg zapłać“ nie powiedział, ale przeciwnie, wszystkie humanitarne jego rozporządzenia, kiedy był u władzy, jednały mu nieprzyjaciół między interesownémi oligarchami, tak że każde postanowienie ludzkością tchnące, musiał ciężką walką opłacać i rozlicznemi osobistemi ustępstwami gęby łakome zatykać, jak się na to niejednokrotnie uskarża. W takich razach odpowiadał on już nietylko za siebie, ale i za rodzinę.

Przytoczymy maleńki przykład. Edylowie w Rzymie stanowili władzę na podobieństwo naszéj dzisiejszéj policyi, pod względem porządków miejskich, i do nich téż należało zawiadywanie wszelkiemi zabawami ludowemi, jak teatr, igrzyska, cyrki i t. p. Zabawy te pociągały za sobą koszta, pokrywane, rozumié się z publicznych składek. Kiedy więc obyczaj zepsuł się tak, że każdy stojący u żłobu ten publiczny dochód uważał za swą własność prywatną, Edylowie korzystali z prawa zwyczajowego pozwalającego wyciągać składki każdemu kto w Rzymie igrzyska sprawiał, a okazyi do tego nie zbrakło. Ponieważ z tych summ właściwie nie składano rachunku, bo senatorowie w takich razach byli bardzo wyrozumiałemi, więc igrzyska mnożyły się coraz częstsze i wspanialsze, a do składek podciągnięto i najodleglejsze prowincye, pod tytułem *podatku edylickiego*. Otóż Kwintus Cycero, będąc pretorem w Azyi, na wezwanie z Rzymu do takowych składek, zabronił mieszkańcom wnoszenia tego podatku, nie nakazanego prawem wyraźném, i tym sposobem wstrzymał okrutne zdzierstwo. Wtedy zaraz przyszedł w Rzymie do Marka jeden z Edylów (Cycero nazywa go *nobilis*) i dalejże mu publicznie wyrzucać, że brat swojém tém postanowieniem wydarł mu na raz nie więcéj tylko dwakroć sto tysięcy sestercyów (10,000 rubli). A toż bezczelność, żeby się tak naiwnie do kradzieży przyznawać. Ileż to wydzierano co rok całéj nieszczęsnéj Azyi, jeżeli jeden zdzierca taką summę naraz zyskiwał?

Cóż tedy, powtarzamy, mogło skłaniać Cycerona do zajęcia się losem uciśnionych, ze szkodą, rzec można, interesów własnych? Nic innego, tylko to co i dzisiaj skłania podobnie myślących ludzi, gotowych przyjmować stronę słabego przeciwko silnym; wrodzona miłość pięknego ideału, cnoty, poparta wychowaniem stosownem, a Cycero w dobréj snać pod tym względem wychowywał się szkole, bo w szkole Platona, jak sam się tém chlubi tylokrotnie, tego reprezentanta idealizmu, tak potępionego dzisiaj przez wielkich i maluczkich pozytywistów, jakoby przez wieki odciągał ludzkość od prac pozytywnych, postęp ludzkości mających na celu. Wszak to tym idealistom, do

których i my, wyznajemy to otwarcie i publicznie, mamy zaszczyt należéć, dostają się dziś takie nazwy, jak zgniłych, pijanych, cierpiących na rozmiękczenie mózgu, oraz inne jeszcze epitety, których *staréj* prassie nie szczędzi *młoda* zarozumiałość. My jednakże, notując te epitety jako jeden z objawów dobrego wychowania pewnéj młodzieży bawiącéj się w apostolstwo pozytywizmu, nie zejdziemy z toru idealnego, nie wyrzekając się przez to bynajmniéj bardzo pozytywnéj pracy, jakkolwiek w rozmiękczeniu mózgowém, ale nie przy stwardniałém zarozumiałością sercu odbywanéj.

Zarozumiałość tém się różni od dumy że poprzedza zasługę. Jak Achilles *od dzisiejszego chłopa*, tak Cycero od niektórych dzisiejszych postępowców tém się różni, a raczéj tém jest niższym, że przed wszelkim objawem samowywyższenia pozwolił sobie czekać na zasługę własną, uznaniem ogółu popartą. W tém jednak zachodzi nie małe podobieństwo, że już wprawdzie wsparty na zasłudze, sam sobie, choć w mniej szumnych manifestach, lubi sprawiedliwość oddawać; różny w tém znowu wielce od swoich attyckich mistrzów. Któż w przywiedzionych przez nas ustępach nie poczuje jakiéjś woni przechwałki, którą wszelako modyfikuje pewna naiwność cechująca duszę pod żadnym innym względem nie zepsutą, a w wielu względach nad wiek swój wyższą. Dlatego téż przed przytoczeniem tych ustępów pozwoliliśmy sobie powiedzieć, że tego rodzaju listy, o ile zwłaszcza na publikacyę nie obrachowywane, ale poufnie do najbliższych sercu pisane, zaszkodzić mu nie mogą.

Lecz jest tam jeden list, który tę stronę duszy Cycerona nieco inaczéj przedstawia. Czytałem go mając lat piętnaście, z tém mniemaniem o Cyceronie, jakiém może nabić głowę młodzieńca znajomość tego męża z jego mów, dyalogów filozoficznych, zasług podniesionych przez Sallustyusza, Korneliusza i Plutarcha. Uderzył mnie ten list niezgodnością swą ze wszystkiém com wiedział dotąd o Cyceronie, i w uczuciu zapału dlań żałowałem, że gdzie razem z innemi nie zaginął. Dobrą przysługę wydawcy wyświadczyli prawdzie, bardzo złą Cyceronowi, przekazując ten list potomności.

Był w Rzymie zdolny historyk Lukcejusz, którego dzieła do nas nie doszły. Cycero, żyjąc z nim w przyjaźni, wiedział że pisze monografie wojen domowych Italskich, a przypuszczał że przyjdzie kolej i na spisek Katyliny. Otóż radzi on mu [1]), ażeby sprawę tę w któréj on miał tak przeważny udział, a wyjątkową zasługę, od reszty tych dziejów oddzielił i zamknął w osobnym traktacie. Dotąd dobrze, nawet ze względów czysto literackich. Jużciż wielka zachodzi różnica i całkiem inny punkt sądu historycznego, pomiędzy zwadą takich naprzykład krwiożerczych ambicyuszów jak Sylla

[1]) *Ad familiares* V, 12. Rykaczewski.

i Maryusz, z których obaj byli jednakiemi narzędziami zguby ojczyzny, a sprawą między Katyliną i Cyceronem, z których zamiar jednego ma za sobą wszystkie zbrodnie znamionujące najbezecniejszych kommunistów, a drugi wszystko poświęca, aż do życia własnego, żeby społeczeństwo ocalić. Ale do jakiego stopnia w tym liście mięsza się interes literacki z interesem próżności, świadczy zaraz następująca przymówka: „Widzęć ja, że zachodzi tu mała różnica, jeżeli tylko idzie o zaspokojenie méj żądzy, sławy; ale bacząc na moją skwapliwość, wiele mi na tém zależy, żebyś nie czekał aż cię koléj czasu do tego miejsca doprowadzi, lecz żebyś zaraz dzieje konsulatu mego zaczął. Jeżeli cała myśl twoja obracać się będzie około jednego przedmiotu i jednéj osoby, naprzód już widzę jak opisanie tego wszystkiego będzie zupełniejsze i ozdobniejsze".

Tu niéma już naiwności, to nie sprawa między dwoma przyjaciołmi, to poszept trawiącéj próżności wydzierający się wbrew wszelkiemu uczuciu wstydu. I nie tai się z tém Cycero, ale wpada w coraz większą bezczelność:

„Często już chciałem—zaczyna—ustnie z tobą pomówić, o czém ci teraz piszę; ale wstyd jakiś prawie wieśniacki odwiódł mnie zawsze od mego zamiaru. Teraz, nie widząc cię, śmieléj to wynurzam, bo list nie rumieni się. Pałam niewymowną, i jak mi się zdaje, *nienaganną* żądzą nabycia sławy i uwielbienia z pism twoich... Wiem, dodaje, jak to jest bezwstydnie z mojéj strony, naprzód że cię obarczam takim ciężarem, którego dla swych zatrudnień możesz nie podjąć się, a potém że pochwały od ciebie żądam. Cóż dopiéro, jeżeli ci się zdaje że dzieła moje nie są tak dalece chwalebne? Ale kto raz przekroczył granice wstydu, trzeba mu być niezmiernie bezwstydnym [1]). Proszę cię tedy jak najusilniéj, żebyś moje dzieła *więcéj* pochwalił, niżeli może o nich trzymasz, na prawa historyi względu *nie miał*... i jeżeli przychylność silnie do ciebie za mną przemawia, żebyś jéj nie odrzucał, a przez miłość ku mnie hojniéj mi pochwał udzielił, *niżeli prawda pozwala*. Powtórzę com już na początku nadmienił: będąc żywego temperamentu, pałam żądzą przyspieszenia tego dzieła, żeby i drudzy za życia mego z pism twoich mnie poznali i żebym ja za życia odrobiną sławy mojéj mógł się cieszyć."

List ten nic potrzebuje komentarza. Jestto jasny, wyraźny, bez omówień i domyślników, napisany na siebie wyrok śmierci moralnéj. Zdawałoby się że wyrok taki, że list taki, było w interesie piszącego trzymać w jaknajwiększéj tajemnicy, prosić o zniszczenie. Gdzie tam! Otóż co wkrótce potém pisze autor tego listu do Attyka [2]):

---

[1]) Jeszcze to inaczéj wygląda po łacinie: „Sed tamen, qui semel verecundiae fines transierit, eum bene et naviter opportet esse impudentem."

[2]) *Ad Atticum* IV, 6.

„Posłałem niedawno list do Lukcejusza, w którym go proszę o napisanie dziejów mego konsulatu. Zażądaj od niego odpisu tego listu, który jest bardzo piękny.“ O żadnym z innych Cycero tego nie mówi.

I jak tu zrozumieć taki rys charakteru w człowieku zkądinąd posiadającym uczucia wzniosłe, gotowość do poświęceń i dumę prawdziwie ludzką, rwącą się do wielkich czynów? Jest jedna rzecz, która ten fakt do pewnego stopnia objaśnia, to jedno słowo w tém liście użyte przez Cycerona: żywy temperament (*quod alacres animo sumus*); ale objaśnienie to słabe, tłumaczące tylko niecierpliwość, z jaką Cycero wygląda swego unieśmiertelnienia. Na taką niecierpliwość można być wyrozumiałym w szczególności dla Rzymian, u których żądza sławy była niejako uczuciem narodowém, otwartém, nieobłudném; moglibyśmy przytoczyć wielu z nich, co bez najmniejszego skrupułu ubiegają się o publiczne poświadczenie swych czynów lub zasług i sami o sobie powiadają z Horacym: *exegi monumentum;* wreszcie oni, doprawdy, nie szukali tych monumentów za piecem. Można być wyrozumiałym dla nich témbardziéj, że i my uderzywszy się w piersi, istotnie pod tym względem nie jesteśmy lepszymi i przygotowujemy sobie reklamy nieśmiertelności, tylko zręczniéj i nie tak otwarcie: ale nie masz podobno tak wielkiego człowieka, o któregoby próżności nie wiedział jego kamerdyner.

W téj wreszcie niecierpliwości Cycerona, oprócz żywego temperamentu, było także pewne wyrachowanie.

Nie dążył on nigdy do ogarnięcia najwyższéj władzy, jak niektórzy jego koledzy, za przykładem Sylli; ale chciał być przy władzy i używać wpływu ażeby niedopuścić stanowczego rozdarcia między ludem i władzą, ocalić republikańską konstytucyę rzymską. I miał już on raz taką władzę i taki wpływ, którego użył, jak wiemy, w sprawie z Katyliną. Ale wtedy było mu to łatwiéj. Pompejusz siedział podówczas z wojskiem daleko w Azyi, a Cezar był jeszcze młodzieńcem i jako trybun ludu dopiéro nabierał znaczenia. Bardzo wówczas źle wyszedł Cycero na swym braku energii i determinacyi. Cezar stawał w obronie Katyliniarzy, a konsul miał silne podejrzenia i nawet pozytywne wskazówki, że Cezar jeśli nie działa otwarcie z Katyliną, to dąży równie jak tamten do rewolucyi; a jednak nie odważył się go pociągnąć do odpowiedzialności z obawy wpływu, jaki już młody trybun posiadał. Bo oto teraz Pompejusz ku sobie, Cezar ku sobie pociągali umysły i interesa; a on od czasu nieszczęsnego zajścia z Klodyuszem, który nawet pozywał go przed sąd o samowolę postąpienia ze spiskowemi, został całkiem na ustroniu. Dzielnie więc napisana broszura o jego zasługach, podniesienie postaci jego przez dobrego historyka, mogło go podnieść w opinii ogółu, przypomnieć ziomkom i znowu podać potężny wpływ w rękę. Wszystko to jest do wytłumaczenia, ale iżby pomimo to wszystko, człowiek porządny i poważny, drugiego podobnego człowieka namawiał do przekształ-

cania na swą korzyść *prawdy* i z tém chwalił się przed trzecim, to już gorzéj jak próżność i tego właśnie w Cyceronie zrozumieć nie możemy.

Oprócz tego jednego faktu rażącego brzydotą jest mu jeszcze do zarzucenia fakt rozwodu z żoną (podobno sekutnicą i obojętną) i zaślubienia młodéj, bogatéj dziedziczki, dla spłacenia długów, które w znacznych summach, wprawdzie nie g'woli używania, bo był człowiekiem bardzo skromnych obyczajów, ale na sprawy publiczne pozaciągał. Są to jednak fakta oderwane, pojedyncze i jakby do jednego i tego samego człowieka nie należące. Gdybyśmy na nie oczy zamknęli, nie znajdziemy, oprócz chełpliwości w Cyceronie nic, coby wskazywało rozstęp pomiędzy zasadami a życiem. Mniéj wierzylibyśmy wszystkiemu co powiada w swych mowach, filozoficznych traktatach lub dyalogach; ale wierzyć musimy *Listom*, w których, jak widzimy, szczerość posuwał do najostatniejszych granic: one téż ze wszystkich jego dzieł, ze względu na epokę i osobę, są może dla dzisiejszych najciekawsze. W krótkich wyciągach, które czytelnik zapewne zauważył, przedstawiliśmy osobę Cycerona z najlepszéj i najgorszéj strony. Całość zbioru i tę nawet złą stronę łagodzi nadzwyczajnie. Wychodzi tam na jaw co chwila wzorowy patryota, ojciec najczuléj przywiązany do dzieci, rozpaczający po śmierci córki, przyjaciel poświęcony i wyprobowany, sprawiedliwy i łagodny zwierzchnik: tak, że nie można inaczéj powiedzieć, tylko że Cycero, grzeszący tu i owdzie słabością charakteru, w gruncie był wielkim obywatelem, tak jak był wielkim pisarzem.

Zbiór ten jednak nie obejmuje wszystkich listów, ale te tylko które pisał, mając już lat czterdzieści, i to nie wszystkie. Jeszcze raz powtarzamy, daremnieby ktoś chciał upatrywać w nich z góry powzięty zamiar publikacyi, zawiele tam naiwności uczuć i swobody stylowéj. Dotykając w nich rzeczy niezmiernie ważnych jakie odbywały się w Rzeczypospolitéj, wpada on nieraz na tor krasomówczy; wymowa ta jednak w listach nie jest obrachowana ani metodyczna, jak na trybunie, ale bystra, lekka, zaniedbana, jednym pociągiem kreśląca sytuacyę, rzucająca bez namysłu głębokie zdania; z drugiéj strony pozostawiająca myśli nierozwinięte: jestto całkiem odmienny sposób pisania od tego, który w Cyceronie znamy zkądinąd. Trzeba, jak słusznie zauważył Villemain [1]), pewnego wysilenia umysłu, ażeby schwycić wszystkie jego alluzye, zrozumieć przepowiednie, przeniknąć myśl, a czasem ją samemu dokończyć. Kto téż nie zna dobrze epoki, temu bez dobrego komentarza nie na wiele przyda się czytać całkowity ten zbiór, jeżeli i my, podając kilka zaledwie okruszyn, ażeby ułatwić właściwe ich zrozumienie wszystkim czytelnikom, musieliśmy

---

[1]) Notice sur Cicéron.

udać się do komentowania. Ale kto zna historycznie tę epokę pod względem ścierania się rozmaitych charakterów, zmiany obyczajów, nagłości przewrotów politycznych, nadziei i gróźb na przyszłość, z dziejów rzymskich najciekawszą, temu opisowy talent Cycerona połączony z dobrą świadomością i gruntownym rzeczy spółczesnych sądem, w najprzyjemniejszy sposób epokę tę w pamięci odświeży, uzupełni i niejako w barwie artystycznéj przedstawi.

Gdybyśmy tylko wszystkie te *Listy* za materyał wzięli, jużbyśmy mogli według nich odtworzyć całego człowieka w jego radościach, smutkach i obawach, w cnocie i słabości; we wszystkich uczuciach jego, które zawsze niemal były krańcowe, tak jak to i w tym liście do Lukcejusza pokazuje się, gdy powiada, że kiedy leciéć w bezwstyd, to już na dno: krańcowość taka jest niemal nieodłączną od wszystkich wyższych talentów, ale téż to dla nich źródło obfite błędów i nieszczęść: w takim przypadku był i Cycero. Gdybyśmy mieli talent Thierrych lub Szajnochy, z listów tych ze względu już nietylko na osobę, ale na ciekawe szczegóły życia wewnętrznego Rzymian, obyczajów i zwyczajów obywateli, form administracyjnych, napisalibyśmy interesującą monografię końca Rzeczypospolitéj. Ale całość tego wszystkiego co dotyczy Cycerona, od jego urodzenia, aż do tak tragicznéj śmierci, jakiż to potężny przedmiot dla dramaturga! Śmiele rzec możemy, iż Szekspir w swych tragedyach rzymskich nie wyczerpał ani setnéj części tego materyału.

Listy te, jakkolwiek to tylko szczątek, zajmują jednak dwa potężne tomy; trzeba więc oddać szacunek człowiekowi, który podjął się pracy przetłumaczenia ich, choćby ze względu na samą jéj rozległość. Teraz zobaczmy jakiego to jest rodzaju praca. Przetłumaczyć jakiś większy lub mniejszy urywek łaciński, to jeszcze niewielka sztuka: trzeba tylko umiéć połacinie, a każdy z nas, literatów, jest mniéj więcéj podszyty filologiem, bez czego literat wart tyle co aktor małomiasteczkowy. Nie wątpię tedy że każdy z literatów przetłumaczyłby bez wielkiego trudu Cycerona, ale żeby to tłumaczenie odniosło pożytek, to znowu inny zachód. Każdy z pisarzy starożytnych, czy to historyk, czy filozof, czy nawet poeta, potrzebuje *uzupełnień* ze strony tłumacza, ażeby zeń czytający mógł odnieść korzyść *zupełną*. Tak rozumiał tę rzecz i Rykaczewski, bo dzieło swe opatrzył nasamprzód obszerną przedmową wyczerpującą niemal wszystko co się tyczy zewnętrznéj strony tych listów; następnie osadził je na tle epoki, dawszy kilka rozpraw historycznych malujących dzieje i ludzi, którzy są tych listów bohatérami; wreszcie co tylko uważał mniéj dostępnego w tekście pod względem drobniejszych szczegółów, a których zrozumienie jest niezbędném do zrozumienia rzeczy całéj, objaśnił pojedynczemi przypiskami, świadczącemi o niepospolitéj erudycyi tłumacza.

Z drugiéj strony, a to już wzorem halskiéj edycyi Schütza, Rykaczewski wydanie swe ułożył chronologicznym porządkiem listów.

Zwykłe wydania ich idą tak jak od najdawniejszych czasów, koleją osób do których były pisane, jako to: do Attyka, do brata Kwintusa, do Brutusa, do Oktawiana, do innych przyjaciół (ad familiares). Ma to swoją racyę, ale Rykaczewski zmieniwszy porządek ten na chronologiczny, z oznaczeniem nawet nad każdym listem roku a często i miesiąca, wyświadczył wielką przysługę czytelnikowi, bo mu rozwinął niejako przebieg historyczny jak samych faktów w listach dotykanych, tak i przebieg uczuć jakie ożywiały serce piszącego wobec tych faktów i osób co je wywoływały. Metoda taka sprawiła, że czasami spotykamy się po liście zaraz z odpowiedzią w jednym i tym samym interesie, na czém zajęcie niezmiernie korzysta, a przynajmniéj interes ten w ciągu kilku lub kilkunastu listów wyczerpuje się do ostatka; kiedy w metodzie przeciwnéj interes ten rozproszony jest na tyle listów, do ilu osób pisał w nim Cycero, albo od ilu odbierał odpowiedzi. Tamta metoda nic wszelako na tym porządku nie traci, bo Rykaczewski nad każdym listem oznacza stosowną notą, gdzie w edycyach przeciwnych szukać tego listu należy. Tyle co do formy erudycyjnéj.

Co do formy artystycznéj, znać że tłumacz nie chciał być prostym szkolarzem, to jest dać tylko w przekładzie swym *zrozumiéć* Cycerona, ale że chciał go dać *uczuć* tym tonem, do którego polski język zdolnym jest ze względu na swe zasoby i formy. Jeżeli gdzie, to tu tłumacz mógł napotkać trudności, w innych prozaikach łacińskich nieznane; bo, jak powiedzieliśmy, styl to jest posuwisty, zaniedbany, popularny, pogawędkowy, jak przy stole lub na towarzyskiéj przechadzce; styl z którym nie obyli się znawcy dzieł akademickich. To coś zupełnie nowego; tém bardziéj że w téj lekkości mieści się nieraz spora głębokość i dowcip. Otóż wszystko to snać uwzględnia tłumacz i stara się dotrzymać kroku oryginałowi, nie wszędzie mu to się jednak udaje. Nie zaprzeczamy trafności zwrotów, szczęśliwie dobranych nieraz wyrazów dla oddania ducha wyrazu tekstowego; nie stracił tłumacz ani jednéj głębokiéj myśli autora; jednakże po przeczytaniu całości polskiéj niekoniecznie powiedzielibyśmy że Cycero jest takim stylistą za jakiego nam go podają. Obawiam się ażebym nie zawiele powiedział na niekorzyść przekładu, który dokonany jest polszczyzną wzorową, gładko, a nadewszystko z poszanowaniem najdrobniejszych odcieni tekstu; lecz styl Cycerona w oryginale jest jakiś zwięźlejszy, barwniejszy: autor igra ze słowem, tłumacz pracuje zanadto.

Co do wierności z oryginałem, raczéj co do należytego zrozumienia tekstu, czyż możnaby miéć wątpliwość względem takiego znawcy klassycyzmu jak Rykaczewski? Bynajmniéj. Jeżeli gdzie, to tu także potrzebną była pewna bystrość umysłowa, bo nietylko że sam rodzaj stylu stawia trudności, ale i rzadko gdzie znaleźć można tyle tekstów zaciemnionych i widocznie zepsutych. Żeby jednak uczynić zadość swym sprawozdawczym skrupułom, czuję się obowiązanym zwrócić uwagę choć na dwa miejsca, które zdają mi się być

niezgodnemi z tekstem łacińskim, przynajmniéj w edycyi jaką posiadam (Lipsiae, 1868 an. Reinholdus Klotz). W jednym z cytowanych już przez nas listów (Tom I, str. 92), tak się wyraża tłumacz: „Tego jednak w czém była moja godność, było prawo, była wola dających, przyjąć mi się nie zdawało, już to dla innych przyczyn, już dlatego, żeby łatwiéj *odżałowali swą stratę* ludzie, którym *od prowincyi* nic się nie należało, ani im przyjąć było wolno." Ustęp ten w tekscie łacińskim brzmi tak (*Ad Quintum Fratrem*, I, l. 9, 26): „...accipiendum non putavi quum aliis de causis tum etiam ut animo aequiore ferrentii, quibus nec deberetur nec liceret." W zestawieniu tém, wielka, zdaniem naszém, zachodzi różnica co do przedmiotu. Mówi tu przedtém Cycero że mu za pewne dobroczynne postanowienie, a przynajmniéj za wniosek uczyniony w senacie (consilium), chciał lud wystawić świątynię i pomnik; a więc w dalszym ciągu tekst łaciński zdaje się to tylko wyrażać, iż tego Cycero przyjąć nie chciał, ażeby to jego postanowienie, dobroczynne dla ludu ale wytrącające pewne korzyści przedniejszym, łatwiéj znieśli ci, którzy nie mogli rościć pretensyi do świątyń lub pomników, a dla których urzeczywistnienie téj jeszcze demonstracyi ludowéj na rzecz Cycerona, byłoby bardzo udręczającém, jako spotęgowanie przykrości doznanéj w utracie pieniężnych korzyści. Tak my byśmy uzupełnili objekt niewypowiedziany wyraźnie przy słowach *ferrent aequiori animo*, tudzież przy *deberetur et liceret*. Czyli przetłumaczylibyśmy ustęp ten tak: „...wolałem nie przyjąć, ażeby lżéj znieśli skutki mego postanowienia ci, którym taki zaszczyt ani należał, ani mógł być dopuszczony." Tymczasem tekst Rykaczewskiego wszystko to odnosi do straty nieprawych zysków *z prowincyi* jakie ci ludzie pobierali. Możemy się mylić, ale to pewna, że i tekst Rykaczewskiego ulega wątpliwości.

Co do drugiego ustępu (tamże, 28): „...in ea vita atque in iis rebus gestis, in quibus non potest residere inertiae aut levitatis ulla suspicio," wyraz *inertia* w tekscie polskim, nie jest zgodnie ze swém prawdziwém znaczeniem oddany przez wyraz *sprzeczność*. Pierwotnikiem tego wyrazu jest *ars*, sztuka, talent, zdolność, czy zręczność; więc *inertia* będzie tego przeciwieństwem: słowem Cycero powiada, że jego życia i czynów nie można posądzać o lekkomyślność lub niezdarność, i że to zawdzięcza wychowaniu szkół greckich. Coby tu zatém miała robić *sprzeczność*, tego z sensu nawet nie widać.

Nie przyznajemy się do tego, ażebyśmy każde zdanie porównywali z tekstem łacińskim, owszem, prób takich wykonaliśmy niewiele, może na czwartéj części dzieła, które jest olbrzymie, i oto te dwa punkta zaledwie mogliśmy zanotować. Choćby ich było i dziesięć razy tyle, cóż to znaczy w stosunku do całości dzieła.

W każdym razie praca Rykaczewskiego pozostanie u nas pomnikową. W tym punkcie przynajmniéj nie mamy już się czego wstydzić przed innemi; taki przekład jak *Mów* i *Listów* Cycerona, wykonany przez Rykaczewskiego, równa się najlepszym niemieckim;

zaszczyt on przynosi i człowiekowi i literaturze, a chlubę Bibliotece Kórnickiéj, która w obywatelskiém poczuciu swém, środków na wywołanie takich poważnych a mało opłacających się prac udziela. Pomyśléć, ileby to zyskała nasza literatura, ileby to zbogacił się nasz umysł, gdybyśmy na takie rzeczy zużyli choć dziesiątą część bibuły poświęconéj potopowi jednéj belletrystyki francuzkiéj, która dziś tyle rąk zajmuje, a z któréj jutro strzępy tylko pozostaną. Ale na to trzeba innego mecenasa, niż wszystkie pojedyncze osoby i zakłady—tym mecenasem mogłaby tylko być publiczność. Jeżeli gdzieindziéj znajduje się taki mecenas, za sprawą którego cała literatura klassyczna, grecka i rzymska, przyswaja się językowi miejscowemu, i to nie w jedném, ale częściowo i w kilku tłumaczeniach, które utrzymują się same przez się, nie drogą ofiary; to nie dziwmy się, że tamci patrzą na nas przez ramię i pozwalają nam chłonąć łapczywie to co im ze stołu nawet na śmiecisko spadnie.

STANISŁAW MONIUSZKO

I

SZTUKA MUZYCZNA NARODOWA.

STUDYUM ESTETYCZNE.

PRZEZ

Bolesława Wilczyńskiego.

(Dalszy ciąg.)

Znając z główniejszego rysu operę Moniuszki, przypatrzmy się teraz z blizka jego cełniejszym utworom scenicznym. Na czele spisu stoi arcytwór—Halka. On zespolony ze sławą mistrza, bo z Halką przywykł go cenić cały świat muzyczny. I nie dziw. Tam złożone największe bogactwa natchnień, najpiękniejsze i najżywsze młodzieńczego geniuszu tętna. Wieje ztąd taka młodość, taka siła uczucia, że długo jeszcze w późniejszych latach mistrz rozpoznawał swoje dzieło, a z miłością mu się przysłuchiwał, jak gdyby było nie jego,

że je w istocie stworzył ów duch tajemniczy, co raz tylko jeden młodzieńcem jest. Więc z tych oględzin dojrzałego mistrza, utwór wychodził coraz więcéj w zewnętrzną krasę bogaty, coraz świetniejszą dostawał suknię, aż urosł w brylanty. Tak to mistrz przez całe życie kochał się w arcydziele geniuszu, który już nie był niém samém, a którego natchnieniom chciał przecież coś przydać ze zdobyczy na polu sztuki. Znać tę troskliwość. Ona właśnie stanowi niezmiernie obfitą, a na wielu miejscach dojrzałą piękność kompozycyi. Wszakże jest oraz słabą jéj stroną, bo słabością jest każde przykładanie ręki do tego, co jednolitym było ducha porodem. Faktura Halki grzeszy nieustosunkowaną proporcyą między głosami scenicznemi a głosami orkiestry. Zkądkolwiek ów brak równowagi pochodzi, to pewna, że Halka, mniéj obciążona instrumentacyą, lepiejby świadczyła o swoim najgłówniejszym przymiocie: o młodzieńczości i nieporównanéj sile poetycznego natchnienia. A jednak, pomimo tę estetyczną wadę, jest najcenniejszą produkcyą czysto słowiańskiéj sztuki. Nią chlubić się i w niéj poznać się może ród cały, że przemawia kolorytem i tonami, które zarówno do serca polskiego, do Rusina, Czecha, i południowego Słowianina trafią. Tę wagę daje jéj przymiot głęboko liryczny. To rzecz góralska, odbywająca się na kończynach słowiańskich, więc u ludu, który w swem życiu uległ wpływom sprzecznych pierwiastków. Biédny na majątku, odarty z przywilejów towarzyskich, odepchnięty od słodkich pieszczot macierzy, góral zakipiał w duszy całą siłą żalów i tęsknot. On nie wrósł ciałem w żadną ziemicę, lecz sercem wyssał ze wszystkich słowiańskich ludów mlecz duchowy. To jego ogromne bogactwo. Patrz na tę bohatérską duszę, jaka czystość niepokalana i prawość— rzekłbyś wybór cnót słowiańskich. A jednak tuż obok znajdziesz piętna sprzeczne: dzikość i nie ugiętą surowość natury, jako odwieczna protestacya przeciwko ruchowi cywilizacyi, jako żyjące świadectwo historycznego parcia ludów na siebie. Z podobnego parcia i zlewania się pierwiastków indywidualnych, rósł na wielu punktach Słowiańszczyzny ów duch głębokiéj poezyi, co niby jest skupioną na kresowych warowniach potęgą geniuszu plemiennego. Wszak taką poezyę tworzył step kozaczy, taka téż na Czarnogórzu przygrywa. Ztąd najwięcéj słowiańskim ze wszystkich, był ukraiński poeta Bohdan Zaleski. Co o autorze „Ducha od stepu“ i „Przenajświętszéj Rodziny“, to samo powiedzieć można o mistrzu muzycznym z tytułu Halki. Tu mnóstwo rytmów, mnóstwo kolorytów i odcieni duszy słowiańskiéj, od najdelikatniejszych upojów serca, aż do najdramatyczniejszych głosów z piersi, zebrane są w jeden poemat. Uważ ten przemagający w kompozycyi ton głębokiego minoru; on cię przejmuje jakiémś wielkiém uczuć spotęgowaniem i długo po skończeniu dzieła brzmi w duszy, jako panujący ton liryki plemiennéj, jako mistyczny symbol całego rodu. Na szerokiém tle obyczaju, rozkwita pieśń sielska i romans południowo-słowiański i rzewny hymn kościelny i obrazowa

charakterystyka taneczna. Już sama uwertura do wyobraźni ukraińskich bajarzy i serbskich rapsodystów przemówi. Oni w niéj znajdą ten sam ruch, ten sam wykład opowiadania, pełen malowidła w formie, pełen lirycznych natchnień w poetyckiém natężeniu uczuć.

Akt pierwszy rozwija samą obyczaju polskiego piękność. Fantazya szlachecka, prześlicznie z kolorytów ułowiona, skrzy się wspaniałym ruchem orkiestry, to znów nadzwyczaj swobodną, pełną indywidualności dykcyą chóralną. W przerwach téj dzielnéj fantazyi odbywa się scena serdeczna. Tylko polska dusza może zaśpiewać taki spokojny, szczery a religijny trójśpiew, jak ów Janusza, Zofii i udzielającego im ojcowskie błogosławieństwo Stolnika. To trio, zakończone wzniosłém błogosławieństwem starca, wchodzi do ucha lubą, szczeropolskiéj cnoty, harmonią. Ono ze strony artystycznéj stanowi pięknie odtworzoną całość rodzinnéj sceny. Owoż na tém tle polskiém poczyna się miłosna historya Halki. Jéj pierwsza śpiewka, płynąc zrazu kołysaném marzeniem, zamienia się w wybuch wielkich radości serca. To duet z Januszem, w którym mistrz nieporównaną okazał delikatność psychicznego pędzla. Moniuszko geniuszem odgadł co jest treści w uszczęśliwionéj a kochającéj duszy słowiańskiéj i dla tego umiał rozwinąć wielką grę motywów, rzucić bijące strugi światła i dobyć z piersi głębokie tony kochania. Uważyć należy, że te motywa nie są lekkiemi brylancikami śpiewu, jak to łatwo sztuka dla wyrażenia radości tworzy, ale są całokształtami duchowego stanu, emanacyami natchnionego serca, co umié zagrać nie samym zewnętrznym śmiechem i pustym szczebiotem, lecz pełnym dźwiękiem struny wewnętrznéj. Nic piękniejszego nad to wykwitanie prawdy psychologicznéj, nad tę grę słowa lirycznego.

W akcie drugim uczucia się wzmagają, bo to chwile naprężeń sercowych, które się kończą złamaniem na duszy, obłąkaniem biédnego dziewczęcia. Tu mistrz roztoczył wszystkie fazy najbardziéj słowiańskiego rozlewu serca: poetyczną psychologię żalu. Możnaby ów akt nazwać muzyczną żalu apoteozą, tak jak trzeci akt Fausta jest apoteozą sentymentalnego romansu. Wszak z tego uczucia liryzm słowiański najsilniejsze barwy, najdramatyczniejsze otrzymuje tony. Żalem słowianin walczy przeciwko naciskom fatalizmu, żalem w obec wszelkiego gwałtu wybucha. On mu zastępuje broń palną, niszczącą, tę, co jest bronią negacyjnego stanu ducha, stawającego jak upiór na wołanie egoizmu, w czarnym płaszczu złości, z krwawym wyrokiem zemsty. Więc chociaż bierne, lecz nie jest to uczucie negacyą, nie wyklucza miłości, nie znikczemnia człowieka. Muzyka znajduje tu piękną treść, bo to dzielnica obfitych ruchów wewnętrznych, gdzie nie znaleźć dyssonansowych gromów i dreszczów harmonii, tylko płynne motywowanie uczuć, których, cała siła na rytmicznéj wymowie i głębokiéj melodyi polega. Znakomicie téż i porywająco wyśpiewał Moniuszko ową słowiańskiego żalu poezyę. Motywa Hal-

ki trzymane są w światło-cieniu, napół w tęsknocie i trwodze, napół w szczęśliwości i nadziei, niby barwy niebieskie i ziemskie, duetem w duszy grające. „Gdyby ranném słonkiem, wzlecieć mi skowronkiem,“ nuci Halka, pełna cichéj a rzewnéj żałoby. Ona zawiesza tę pierwszą strofę na niedokończonéj kadencyi, jak gdyby ciężki smutek echem w dal puścić chciała. Potém szeroką i pełną nutą w jasny widnokrąg wstępuje. Dwa razy jeszcze powróci do żalu, a zawsze ją z odrętwienia zbudzi ruch coraz inszy, niby ów amor, co wszystkich strun w sercu ciekawie dotyka, strun śmiechu i płaczu, głębokiéj boleści i ukoju. To jedno z najpoetyczniejszych natchnień Moniuszki. Inne odcienia żalu grają w duszy Jontka. On cały wzburzony, zraniony wyrządzoną Halce krzywdą. Pełno męzkiéj wibracyi w jego głosie, pełno dramatycznéj odwagi w jego pieśni. Szlachetny jest wizerunek téj hardéj duszy, co ułudnym słowom panicza kłam zadaje, a wyrzuca ze siebie potęgę żalów aż do ironii. Wśród owych urażonego serca wulkanów, nagle rozbrzmiewa szeroka nuta romansu. To zwrót do wspomnień, do tajonych górala miłości dla Halki. I znów osobiste żale kochanka mienią się pod wpływem uczuć dramatycznie gwałtownych. W duecie z Januszem one przybierają najsilniejsze barwy ironii. Ze strony panicza groza lub udana łaskawość; ze strony górala, niby pokora i błaganie o litość; a jednak cały w rytmicznych rzutach, w kontrafrazach ironicznych, w modulującém się ścieraniu uczuć męzkich.

Akt trzeci wprowadza do wnętrza gór, maluje sioło. Nic w tym malunku wymowniejszego nad owo tęskne chłopię, stroniące gromady, u szczytu gór uwisłe, któremu piękność natury pieśń wieczorną dyktuje. Niedziela—zachód słońca—słychać dzwonek nieszporny. Lud wychodzi z kościołka, już nań wionął duch górski, już przejmuje chórem pieśń chłopięcia, rozwodzi ją, by dać odprawę troskom i dzień spoczynku uczcić. Ów ludek, jeszcze pod wrażeniem nabożnéj pieśni nieszporu, spokojnie i kolejnie w chóralną jedność zachodzi. On zrazu pojedynczemi głosy wypowie swoje troski, pomówi coś o paniczu i weselnych we dworze godach, coś o powszednich znojach, aż się pocieszy, aż się zleje z duchem górskim i wtenczas całą piersią harmoniję natury z siebie wytoczy. Znów mu tęskne chłopię poda motyw z gór i znów podsyci ów szeroki, wspaniały na cześć swobody hymn. To chłopię, lubo na ostatnim stoi planie, ma niezmiernie poetyczną rolę. W niém się uosobia geniusz górskiéj przyrody, przez jego natchnienie przemawia głosem cała plastyka obrazu. A teraz hulanka i tańce. Oryginalny, niepodobny do innych towarzyskich wytworów ruchu, tan górala okazuje nieco zdziczałą, lecz nader obrazową fantazyę. Widać zaciętość w téj samowolnéj ochocie, w tém niesfornėm rozrzucaniu ciała na pojedyńcze, niepaarzyste figury. Ironia zdaje się urągać szczęśliwym upojom słowiańskiéj pary. Na podobieństwo kozaka, góral z trudnością w parę się wiąże. On nawykł do rozdwoju, więc i w tańcu nie rad łagodzić

ruchu g'woli wdziękom tancerki, nie rad warunkom towarzyskiéj ulegać formy. Pięknie Moniuszko wyraził tę zatoczystość i nieregularność galopady. Każdą jéj część odznacza charakterystyczny dyssonans w prowadzeniu melodyi i basu. A jak mile wdzięczą się góralki! Ich lekkie *grazioso*, niby z włoska zakrojona zalotność, uroczo się wyróżnia wśród stanowczego akcentu i niesfornéj kadencyi. Artystycznie wykończone, stanowią tańce góralskie nader charakterystyczny ludu obrazek. Kończy je świetny finał, bo czas wrócić do Halki. Ona zbiedzona, wsparta na ramieniu Jontka, powraca do wioski rodzinnéj. Lud ją wita serdecznym żalem, którego tony poczynają zarysowywać ów chór smętny, co jednym zawodem płaczu ma późniéj wybuchnąć. Moniuszko posiada niezrównany talent poetycznego chórów rozwijania. Formy chóralne, tak rozumne u Beethovena, tak olbrzymie wyobraźnią u Wagnera, wychodzą z pod ręki naszego mistrza nieco odmiennym kunsztem, że choć logicznie wiązane i potęgowania wrażeń mocne, toć je odznacza przedewszystkiém skromność indywidualna twórcy, hołd prawdzie poetycznéj oddany. Patrz jak ów chór długo się frazuje w orkiestrze i w głosach, zanim do skończonéj i pełnéj przychodzi formy. Tu niema szalonego *crescendo*, co wali na wrażenia ogromny ciężar muzyki. Sama rozwinięta harmonia chóru, tak rzewna i podniosła, mogłaby melomanów pobudzić do krytyki, że Moniuszko za mało daje się porywać zewnętrznym stronom sztuki, że za małą nakreśla skalę najpiękniejszym pomysłom muzycznym. A jednak to stanowi właśnie cenny przymiot jego geniuszu, jako przymiot poetyczny słowiański. Kilkoma takty, dwiema pokrewnemi tonacyami i jednym skrajnym akordem, wypowiedział całą głębokość uczucia; wszakże dać mu był obowiązany charakter rzewny a nie rozpasany, dojmujący, lecz nie spazmatyczny. Motyw chóralny jest tu głównym wyrazem odgrywanego na scenie dramatu. Obok niego snują się inne motywa: rozdzierająca pieśń Halki, Jontka opowieść o paniczu. Te mają znaczenie drugiego planu, budzą pojedyńcze westchnienia i żale, które w formie konkretnéj po dwakroć powszechnym chórem objawić się mają. Jako zakończenie aktu, wywiązuje się z powyższego chóru nadzwyczaj żywy gowor, utyskiwania i wnioski, zgoła chłopska, o zdarzonych wypadkach, gawęda. Ona idzie w tym samym minorowym tonie, a tak malowniczo przedstawiona, że widzisz przed sobą gromadę wiejską, któréj rozmowa, to mądrém słowem, to westchnieniem do ucha dolatuje. Taką gromadę widziałeś nieraz, zebraną w kółko a związaną przez wspólność otrzymanych wrażeń. I zastanowił cię ten widok wspólności, ta jedność ludowych strun, na których, niby na wielkim instrumencie, duch życia przygrywa. Nieraz przy tym widoku poczciłeś lud, jego prawe serce i wielki spokój duszy. Wytłumacz ten obraz przez muzykę, a wyniknie chór wzniosły, harmonijny, którego zewnętrzną manifestacyą żywość rytmiczna i zwięzłość dykcyi.

W akcie czwartym niezmiernie cenne klejnoty natchnienia. Pewnieś w panteonie muzycznym nie zasłyszał takiéj pieśni, jak owa Jontka: „Szumią jodły na gór szczycie“; bo tylko piękna młodością, a nieskażenie czysta dusza, śpiewać może romans serca, gdzie żadnego mętu, ani farby ciężkiéj, ani rysu niemasz grubego. Środkowa część téj pieśni: „Już w dziecinne lata nasze“, uderza tak jasnym a delikatnym promieniem uczuć, że każdy słuchacz wewnętrznie odmłodnieć musi, mając przed sobą zwierciadło tych kilku ruchów serca, które mu w darze cherubowe chwile życia kiedyś przyniosły. Jedyny znamy podobny temu śpiew—to motyw pierwszego koncertu Szopena. Psychologiczne podobieństwo o tyle uderzające, że to również śpiew czystéj miłości, którą młody improwizator polski jeszcze na swojéj ziemi odczuwał. Otóż tę jasną melodyę, co jest dziecinnych uroków wspomnieniem, poprzedza smętna rzewność, jako najpierwsza liry słowiańskiéj struna, ta, bez któréj pieśń nie idzie, nie rozwija się poetycznym torem. Ten sam smutek znów się powtórzy i zakończy romans głębokiemi tonami żalu. Ztąd też całość ma zupełny, doskonały charakter poematu, śpiewanego na temat lirycznéj spowiedzi. Przepyszny jest układ pieśni. Jeśli podziwisz poetę w delikatności rzeźby melodyjnéj, to w formie, w wymowie i instrumentalném grupowaniu poznasz znakomicie uposażonego sztukmistrza. Na tremolowém tle instrumentacyi, wśród kontrapunktycznego frazowania, cudownie w finale płynie smutek Jontka, jak gdyby niewidzialne syreny, wśród lekkich szmerów strumieni i lasów, płakać mu pomagały. Po chóralnych powitaniach państwa młodych, następuje arcydzieło muzyki zbiorowéj—sekstet. Na scenie odbywa się gra monologów: Halki obłąkane marzenie, Janusza wyrzuty sumienia, Jontka ironia i reszty osób objawy zdziwienia. Owoż tę grę rozliczną, niby uroczyste stawienie się osób, faktów i uczuć tajonych, wiąże szeroko pomyślana harmonija, w stylu wielkich polifonicznych momentów. Mistrzowskie i pełne poezyi jest to wiązanie. Zdaje się jakby nad duszami osób grały powietrzne chóry, to spokojnie i jasno, to świetną powagą—istnie majestat duchowéj prawdy, zstępującéj na padół ludzki z górnych sfer harmonii. Ta scena, samemi wyrażona słowami, przeszłaby poziomo, trybem codziennych wydarzeń przez uwagę słuchacza. Muzyka ją związała w sentezę idealną, przeniknęła tą wyższą ideą, jaka ze splotów serc ludzkich urasta i na horyzoncie wieczności pięknieje. Sekstet z czwartego aktu Halki staje w rzędzie najszczytniejszych kreacyj, takich jak sekstet w Łucyi, trio w Don-Żuanie, trio w Wilhelmie Tellu. Mistrz w nim przestaje być Słowianinem, przybiera wielkiéj muzyki styl, lubo orginalnym co do formy jest zawsze. W istocie ów sekstet tém się różni od innych tego rodzaju kreacyj, że w nim nie zatracona indywidualność osób, że układ chóru jest więcéj poetyczny niż artystyczny, że nie idzie kompozytorowi o otrzymanie jedności kosztem dramatycznego prawa. Chociaż osoby we wspólném łączą się ognisku harmoniczném,

toć każda z nich posiada swój głos niezależny, ma dobrze odznaczoną rolę. Dlatego Moniuszki kreacya nie sprawi effektu doraźnego, jakim się zalecają kompozycye mistrzów, zwłaszcza szkoły włoskiéj; nie da skończonéj całości muzycznéj, ale przedstawi całość poetyczno-muzyczną, to jest taką, która wynika z pełniejszéj wartości, z głębszego sztuki znaczenia.

Ostatnie sceny poświęcone tragicznym momentom dramatu. Tu ślub Janusza i Zofii, Halki rozpaczne rzuty, zamiary mściwe i samobójstwo. Nie znalazł w tych momentach Moniuszko najpiękniejszego uczucia, jakie dusza słowiańska chowa, uczucia macierzyńskiego. I nie dziw. Halka przez cały ciąg dramatu goni za kochankiem; ona nie jest matką, bo ledwie przy końcu, w chwilach gdy zemsta ma w niéj zagościć, wspomnieniem dzieciątka nagle się budzi. Nie ma téż w jéj piersi głosów natchnionych, rozlegających się wibracyą po wszystkich czeluściach duszy, po wszystkich nerwach słowiańskiéj matki. W obec tak ważnéj psychologicznéj luki przedmiotu, nie mógł mistrz rozpalić w sobie ognia świętego, lecz całkiem w zewnętrzną, w artystyczną zwrócił się stronę. Pieśń „O mój maleńki" jest prześliczną *kawatyną* w stylu *nokturna;* maluje romantyczny urok duszy, może kołysankę wrażeń, może poetyczny rozbolałych strun ukój. One tyle już jęków wydały, że teraz pieszczą się, układają do spokoju pod wpływem księżycowéj nocy. Mistrz nie miał dla téj pieśni motywu, tylko jéj dał melodyjny ułamek, który artystycznie ułożył, mieniając głos Halki frazeologicznie z głosem wiolonczeli. Wielce romantyczny to układ. Druga zmiana téj pieśni wchodzi w majorową tonacyą, gdzie frazes coraz bardziéj niknie, rozchodząc się w nieokreślone, przycichające fale harmonii, niby aniołowie snu, zstępujący lekkiemi skrzydeł powiewy na opuszczoną trumienkę. Ich niebiańskiéj opiece oddaje matka swe dziecię na wieczność, ale je oddaje bez miłości, bez żalu i płaczu, bo jéj duszę całkiem kochanek zabrał. Pełną jest wzniosłéj prawdy scena modlitwy w kościele. Ów chór, spokojny a rzewny, jak wszystkie słowiańskiego ludu religijne pienia, opanowywa rozpacz Halki, więc miarkuje szał i paraliżuje rękę, co już gotowa podpalić panicza. Mistyczne przeobrażenie objawia się pieśnią błogą a czystą, niby ów wymowny, a tyle słowiański uśmiéch duszy do rezygnacyi i spełnionéj wewnątrz siebie ofiary. Halka pięknieje moralnie w chwili, gdy paniczowi przebacza i śle mu z serca kwiecisty wieniec życzeń.

Taki jest muzyczny Moniuszkowego arcydzieła wyraz. Skrzywioną jest moralnie treść tego dramatu i wcale krytycznemu sądowi nie zaleca się myśl jego. Szkaradny fakt uwodzenia wiejskiéj dziewczyny, jest brudem swawoli, niewłaściwym uczuciom szlachectwa w Polsce. Taki fakt, choćby w wyjątkowém bezprawiu na prawdę był spełniony, nie może w żadnym razie służyć za przedmiot dla

sztuki, a tém mniéj, skoro fałszywie kodeks moralności rodowéj przedstawia. Ztąd téż wynikły szczegóły tak nieprawdziwe, jak Halki pretensye i uporne nadzieje, lub tak obrażające skromność publiczną, jak jéj macierzyństwo upadłe. Jak mógł znany z podniosłości umysłu mistrz, nie zwrócić uwagi na ujemność przedmiotu? Odpowiédź niech dadzą wszyscy oper kompozytorowie. To estetyczny błąd sztuki, która nie umiała jeszcze z romantycznych uleczyć się słabostek. Widział Moniuszko w treści jeno przedmiot dla muzyki; on samém mierzył go uczuciem, topiąc swą duszę w przepaście ideału, bez względu na jego powiérzchnią. Nie obchodziła go rzeczywistość i filozofia, dość że natrafił na piękne grupy obrazów, że znalazł głęboki liryzm, że mógł odmalować obyczaj i ojczyste uczucia wyśpiewać. Trzeba téż i uczestnikowi wzrok zakryć i trzeźwy sąd oddalić, a udać się z mistrzem na tę bogów ucztę, gdzie nie masz ideałów dotykać, jeno je z najpiękniejszéj strony serca sercem odczuwać. Wtenczas obaczysz, że jeśli poecie nie dotrzymało poczucie moralne, jeśli słowo nie stworzyło tego, co było powinno dla sumienia stworzyć, to za to muzyka rzuciła skarby natchnienia i taką rzeczy ludzkich wymowną idealność, jakiéj już żadne wypowiedzieć nie zdoła słowo. Z téj strony Halka jest nieocenioném arcydziełem. Kto umié czytać z serca, kto zna się na odwiecznych i rozumem nieprzeniknionych symbolach, ten w Halce dosłyszy najczystszéj mowy ducha, obaczy jasność oblicza jego. Tu od początku do końca jeden ciąg natchnienia; nie ma jednéj pieśni za słabéj, za lekkiéj; lecz każda nuta waży, mieszcząc w sobie słowa muzycznego ciężar. Patrz, jak każdy moment wyraża ideę, jaka pełnia motywów wzbogaca utwór. Niezrównaną jest piękność recytacyi, któréj każdy frazes ma w sobie coś głębokiego, coś z wieszczego natchnienia, z przenikającéj siły. Niepodobna oderwać uczucia od téj dykcyi czarownéj, która sama już jest wieloznacznikiem, a z któréj wywięzuje się melodya, jakoby szeroki strumień ze źródła swego. Halka, jako dzieło sztuki, nie wiele ma sobie równych. Tu odcienia i barwy tak delikatne, ruchy tak wymowne, układ i fantazya tak poetyczne, że podziwić trzeba geniusz, który umiał tyle przymiotów w jednéj zawrzéć kreacyi. Wszakże nie możemy jéj w porównawczym stawić sądzie, że to utwór przedewszystkiém oryginalny, rodowy. On jest poematem, którego treścią miłość słowiańska. Wyśpiewać głębokie tony i tajemnicze téj miłości ruchy, uchwycić w pieśni psychiczny całego rodu ideał, wytworzyć poemat, którego formy doskonale tłumaczą twórczy w plemieniu kierunek, to są zaiste wielkie tytuły zasług, jakiemi Moniuszko imię swoje wśród braci słowiańskiéj ozdobił. Żadne z jego późniejszych dzieł nie dorównywa Halce uczuciem, bo taki utwór jest emanacyą wielkiego natchnienia, na które geniusz raz się tylko zdobyć może.

Jeśli Halka głęboko lirycznym utworem, to Hrabina celuje malowniczą charakterystyką rzeczy. To ów rodzaj stylu lżejszego,

z włoska *semi serio* nazwany, który najwięcéj arcydzieł w sztuce muzycznéj, ze względu na estetykę liczy. W nim bowiem sztuka, bez uszczerbku dla poezyi, roztoczyć może swoje powaby, więc do woli fantazyą igra i tworzy pewną samodzielność co do piękności formy. Wszystko tu w treści lekkie i powierzchowne: myśl nie ciąży, nie narzuca kompozytorowi swych prawd głębokich, dając mu niby inwestyturę na zapładnianie uczuć, na wynajdywanie stron pięknych, a przedewszystkiém, iżby okazał, czém jest w samych formach muzycznych. Taką inwestyturę wyjednywał sobie u poezyi twórca Don-Żuana, a jeszcze większą miał wolność ostatni twórca *buffy*, król włoskiego humoru Rossini.

„Hrabina" już tylko w polskim napisana duchu, że bierze treść swą z historycznego obrazu, którego ruchy, kształtując się głównie w Warszawie, stubarwnemi gzygzakami po nieboskłonie kraju obiegały. Dziwny to był na niebie polskiém widok. Pośród byskawic i głuchych na około grzmotów, widziałeś w środku leciuchne obłoczki, niby w falach lazuru, kąpiące się hurysy. One nie zważały na ciemną grozę chmur i nie lękały się piorunnych na horyzoncie dreszczy. Kto ten obraz nieba rozumiał, odczytał w nim pewnie wyrok Sędziego, ów streszczający jedném słowem: *pereat!* całe wieki grzéchu, całą przyszłość cierpień. Jakoż w istocie na samym rozdole téj sceny, odbywał się ruch wielce tragicznych sprzeczności. Stanęły do boju, z jednéj strony poczwara rozpusty moralnéj, zaś z drugiéj jasne, natchnione duchem Piastów i Jagiellonów szlachectwo. Krom mistrza pędzla, który tę stronę dziejów pochwycił, nikt jéj dotąd poruszyć nie śmiał. Wypadek z sejmowej Ponińskiego konfederacyi, jako najtragiczniejszy moment epoki, uderza w Matejkowym obrazie olbrzymią siłą rzeczy. Bo sztuka krajowa, dotykając jedynie téj drugiéj, lżejszéj strony dramatu, natrafia na mnóstwo rysów i farb, zupełnie wystarczających talentowi, który nie znajduje jeszcze dość siły w sobie, dość utorowanych gościńców, aby się w głąb' zadania puszczał. Moniuszko również z téj lżejszéj strony patrzył i również znalazł pokuszające artystę obrazki: bo patrz, jaka tu ruchliwość, jaki kalejdoskop wzorzysty. Na czele stoi arcymistrz towarzyskiéj formy, rycerz lekkiego ducha, ów pani Geoffrin wychowanek, co z rolą króla, chciał w najmniéj przyjaznéj chwili rolę nowożytnego Apollina łączyć. Za Stanisławem Augustem, strojnie przybrany, w gracye ułożony, szczęśliwie uśmiechnięty, cały zastęp wybranych a dostojnych leci w powietrze, tworząc właśnie owe malownicze a rozkoszne obłoczki, co od macierzy oderwane, igrają i pieszczą się w atmosferze. One piękne dla oka, lecz gdy dotkniesz, rozpłyną się i pustką zaświecą. W istocie, okropną zieją pustką te wykrygowane salony, gdzie szczebiot francuzki mowę ojczystą ruguje, gdzie moda zastąpiła obyczaj, gdzie elegancka próżność i bezmyślny zbytek, pierwsze miejsce w umyśle i sercu zajęły. Tu żadnéj idei, żadnéj treści dla poety i artysty nie masz,

bo to sfera balowa, któréj całą poezyą wielkie bałamuctwo duszy. Lecz spojrzyj: naprzeciw tych figur z pianki, stanęły postacie kute. W nich uosobiony duch, więc obrona tradycyi i obyczaju, pod których zwiérzchnią skorupą leży serce narodu. Tedy ów kontrast, owa walka dosadna a jaskrawa, stanowią myśl i przedmiotową wartość obrazu. A wartość to tém wymowniejsza, że w onéj powierzchniéj, obyczajowéj sprzeczce, nie co innego odbija, jeno te same kriterya wielkie, tragiczne, które na spodzie posadami gmachu wstrząsały, a rozbijały ludzi i o głębokie prawdy uderzały. Boć nie o sam kontusz szło i o czuprynę, ale o obronę żywotnych objawów społecznych, o niedopuszczenie niwelacyi, która lekkkomyślnym wywrotem chciała, zburzyć wiekowe narodowego ducha, przytułki. Z tak obejmowanéj przedmiotowości historycznéj, wynikło arcydzieło literatury pięknéj: Listopad, Rzewuskiego.

Otóż cała piękność opery Moniuszki na téj sprzeczce historycznéj, na niezmiernie żywym kontraście obrazu polega. Z jednéj strony romansowa i płocha postać Hrabiny, jéj rozbawiony orszak, cały wygięty pochlebstwem, zaprzątniony strojem, sprawami koteryi i salonowych intryg. Wszystkie te figurki jednakowe, rzekłbyś pstre, ufarbowane lalki. Naprzeciw nich trzy osoby przedstawiają treściwą indywidualność: stary Chorąży, Bronia i Kazimiérz. To są postacie czyste i jasne, a pełno w nich cnoty polskiéj. Tęskno i smutno Broni na dworze Hrabiny, wśród czczéj zabawy. Ona kocha Kazimierza, a jakaż różnica jéj miłości serdecznéj od romansowéj kokieteryi, którą Hrabina chce usidlić chłopca! Tak samo się różnią wszystkie ruchy dwóch przeciwnych sobie obozów. Pomiędzy niemi dziwaczy postać Podczaszyca, napół do jednéj, napół do drugiéj nagięta strony, przedstawiając oryginalny i niezmiernie typ prawdziwy. Wielka w nim lekkomyślność, ale grunt niezepsuty, zacny.

Z takiéj tedy osnowy, już sama przez się płynie muzyka nader charakterystyczna i ożywiona. Umiał nadto Moniuszko uczynić ją drogą sercu polskiemu, że bardzo pięknie i z wielkiém natchnieniem przedstawił kontrast, więc tuż obok francuzkiéj lekkości, serdeczne uczucia i rzewność polską. Ztąd wiele myśli w utworze zawarł. Posłuchaj jak ten pierwszy chór w salonach Hrabiny elegancko motywowany, jaka w nim gracya ruchu i wytworny w tonowaniu koloryt. Wszyscy się śmieją i dziecinnie cieszą z mającéj nastąpić wielkiéj zabawy, na którą cała *krema*, goście „z pod Blachy“ i same bóstwo Warszawy, pani de Vauban, przybyć mają. W tym ruchu eleganckich motywów, w tém mieniącém się *scherzando*, widzisz całą zewnętrzną stronę salonów francuzkich, gdzie ruch i ton stanowiły wiele, zkąd też ich twórczyniom słusznie przezwisko *les précieuses* urosło. Polonezowy duet Chorążego z Podczaszycem uderza dziwnie trafną charakterystyką. Tu główny zarys poważny, toczy się dzielną fantazyą, oraz akcentem szczerym i wspaniałym.

Ale w danych miejscach, słyszysz jakieś dziwaczne melodyjne figurki, niby słówka *mirmidona* wśród poważnéj mowy. To są właśnie śmieszne Podczaszyca dla Broni zapały. Doskonale od tych pieszczotek odbija buta i męzka siła rytmu. On je pobija, wracając za każdą razą z tém większą powagą i kończąc duet przepychem polonezowym. Pierwsza pieśń Broni, to perła szczero-polskiego natchnienia, niby ów obrazek spokojny, prosty a rzewny, którego piękna określić nie umiesz, choć cię za serce porywa. Pieśń ma nastrój liryczny, nieco dramatyzowana, bo to spowiédź z żalów i tęsknot do dziadunia, do dworka białego, a potém wybuch duszy, którą pustka zabaw zmęczyła. Zapewne żaden z polskich słuchaczy obojętnie nie przyjął staro-polskiéj nuty Chorążego, w któréj na Kazimierza miłosne westchnienia zdrową radę podaje. „Ruszaj w pole," śpiewa powtarzaną strofą stary myśliwy. Jego nuta z mazowiecka wesoła, a orkiestra mu pomaga, pobrząkując mazura rytmicznemi akordami, co daje niezmiernie sarmacką, dziarską charakterystykę osoby. W Kazimierza pieśni zwrócić powinna każdego artysty uwagę zadziwiająco piękna recytacya. Sama pieśń, która jest romansem, motywuje się szeroko, nieco mgławo, właśnie jak poetyczna mgła uczuć, w którą niewinny młodzian zapada, skoro nań urok rzuci nieznana moc kokieteryi. Jakoż w téj mgławéj zadumie zastaje go Hrabina. Jéj śpiéw miękki, rozkoszny, a pełno pieszczonego romansu w jéj dyalogu z Kazimierzem. Akt się kończy fraszkami dykcyi, którą wszczyna trzpiotowaty, zajęty Hrabiną Zdzisław, a która to dykcya przechodzi w chór, z dwóch składający się części. Każda z nich doskonale maluje lekką wesołość, pierzchliwość myśli, bawiącéj się zgrabnie, przyjemnie, lecz dziecinnie jakimś błahym przedmiotem. Właśnie wnoszą suknie kostiumowe. Taki efekt motyléj wesołości, sprawiają frazesy chóru, zwłaszcza w drugiém *Allegro*, gdzie na kołyszącym się ruchu akordów oparte, wypowiadają marzenia z powodu spodziewanéj zabawy. Taki jest zarys pierwszego aktu, w którym już odrazu mistrz zakreślił muzycznie kontrast między osobami, a nawet bardzo wymownie zaprodukował typy i charaktery.

Akt drugi i trzeci dopełniają lub rozwijają te same przymioty, a wszędzie doskonale utrzymana właściwość barw scenicznych, oraz psychologiczne różnice osób, wchodzących do obyczajowego poematu. Obejmijmy je w całości. Hrabina, to istna wytwornisia (précieuse) z owych czasów zepsucia, które po literacko-artystycznéj wytworności salonów Scudéry i Lespinasse, samą ich zewnętrzną stronę odziedziczyły. Jéj ruch arystokratyczny, ton wyniosły; lecz się w nich przebija sztuczność, kunsztowność, zgoła przewaga zewnętrznéj ozdoby nad treścią. Ztąd też jéj arye, a zwłaszcza ta w drugim akcie, świecą delikatnościami rzeźby melodyjnéj, są arcy kunsztowne, usidlające nutkami, które w francuzkiéj szkole muzycznéj *les agréments* zowią. W czasie popisowéj próby zabaw, Hrabina nie umié innéj ze swego

repertuaru wybrać aryi, jak włoską, w onym stylu, co to niegdy stanowił tryumfy śpiewackie w sztuce XVIII wieku. Pełno tu artystycznego kusztu *à la Farinelli*, więc brylancików wokalizacyi, tchnącéj zepsutym smakiem epoki. Miękkość i wyszukana wonność są Hrabiny psychologiczną atmosferą. Ztąd téż cała muzyczna partya téj głównéj osoby, owszem, nawet dźwięki jéj salonu, płyną dziwnie balsamiczną harmonią. Wszakże z téj atmosfery raz jeden wychodzi, przybierając dramatyczną postawę wzgardy, gniéwu i dumy. Tę wyszłą z karbów grę uczuć, wyraża z wielką siłą ostatnia arya w domu chorążego, w któréj to kompozycyi mistrz znakomite świadectwa swéj twórczéj mocy złożył.

Naprzeciw téj romansowéj a wyniosłéj damy, roztacza Bronia wonność prostoty, niby ów fijołek, co przez polską poezyę najpiękniejsze pozyskał w królestwie kwiatów przymioty. Bronia, na popis z kolei po Hrabinie, wybrała śpiewkę prostą, sielską—rzekłbyś polna wiązanka wobec bukietu z cieplarni. Znasz tę piosnkę, słyszałeś podobną w jakiéjś zagrodzie, może litewskiéj, gdzie dworek szlachecki najdłużéj i najczyściéj obyczajowość narodową przechował. Ona zdaje się być z życia przez mistrza wziętą, znać dla postawienia silniejszego kontrastu, co téż w istocie stanowi budującą myśl sceny. Patrz że to dziéwka prawdziwie polska, żołnierska, z duszą czułą ale odważną. Wybrała sobie, jak z natchnienia, piosenkę o dziewczynie, której luby na wojaczce; dziewczyna nań wiernie czeka, a choć tęskni, to przecież z radością o jego bohatérstwie myśli i echa z jéj piersi wtórzą oddalonym dźwiękom wojskowéj trąbki. Przy końcu pieśni chór się do niéj łączy, jak gdyby salonowych słuchaczy bezwiednie, nagle, porwał duch narodowy za serce. Prześliczne to i nader poetyczne zakończenie. Pieśń téż najbardziéj w Kazimierzowe serce godzi, bo odkąd Broni duszę obaczył, otrząsa się młodzieniec z chorobliwych marzeń, pragnie czynu i zasługi. Kazimierz wstępuje do wojska, by wawrzynem ozdobione czoło mógł przed polską stawić dziewicą.

Inny znów kontrast pomiędzy Zdzisławem i Kazimierzem postrzegamy. Dzidzi—to typ próżniaka, przesiąkłego komiczną ważnością sigizbeizmu i galanteryi. On wszędzie jednaki, w każdém słówku, w każdym ruchu wiernie oddaje tę nutę lekką i uśmiechniętą, jaka wówczas w zfrancuziałém sercu warszawskiéj młodzieży drgała. Jaką to mieniącą kaskadę tonów wyrzuca z siebie w śpiewce z trzeciego aktu, istny dandys salonu, bez serca i głowy, lecz klassycznie przyjemny. Po Kazimierzu, którego dusza tak czysto zarysowana w miłości, spodziewać się należy w następstwie treściwych zmian gry i motywów. Wojaczka go odrodziła, więc wraca do dom pełen pogody i męztwa. Mistrz téj sytuacyi od poprzednich nie odróżnił, a utrzymując ten sam charakter romansowy, napiętnował ślamazarném niedołęztwem postać, która powinna była w trzecim akcie na polskiego urość bohatéra. Ztąd pieśń ułana, zamiast charakterystyczne-

go rapsodu, który tu sam przez się wynika z myśli, posiada cechy ckliwego romansu; zgoła jest rozwlekłą i nieudaną, że nad męzki ruch uczuć, mistrz niewieścią bierność utęsknień w żołnierzu przełożył.

Zwracając się do saméj muzyki, niezależnie od osób, uważamy charakterystyczną całostki opery, zawsze w tych samych dwóch przeciwnych zarysach. Z jednéj strony rozbrzmiewają urocze dźwięki salonu i zabaw, więc ów chór balowy, co taki świetny, pełen jasnych barw i upajającego ruchu; potém leciuchna, z samych koronek melodyi utkana gonitwa Flory i Zefira i owe igraszki a gracye gości i wreszcie finał drugiego aktu, doskonale malujący gwar i zamieszanie towarzyskie. Pełno w tym finale ruchu, więc zwady i westchnienia i wesołych słówek miganie, a wszakże w nim tkwi myśl poetyczna, że się kończy żołnierską zwrotką, którą Bronia w piosence śpiewała. Bo téż w tém zamieszaniu Kazimierz zupełnie z Hrabiną zerwał, a o swoim losie poważnie postanowił. Mistrzowski jest kwartet w trzecim akcie. Tu czworo osób splątanych ze sobą intrygą miłości, występuje, każde w odmiennym a właściwym sobie charakterze; ztąd téż od czarów Hrabiny i pustoty Zdzisława, szlachetnie odbija prosty a serdeczny ton Broni i Kazimierza. Owoż nadziwić się nie można, zkąd przyszły Moniuszce te tak prawdziwe motety i owa salonowości francuzkiéj charakterystyka. Mistrz odgadł to wrodzoną sobie intuicyą, a odtworzył tak, jak odtworzyła tę sferę sama epoka Stanisławowska. Bo co było oryginalnego w Paryżu, znaczyło się jakimś dziwnym amalgamatem piękna i brzydoty; więc tuż obok wytworu salonowego bezwstyd rozpusty i zapał do rzeczy szczytnych. Wszystko to w jednéj i téj saméj mrówiło się kotlinie, w jedném gnieździło się sercu Paryża. W Warszawie przeciwnie, nie znaleźć było szczytności w przeobrażoném towarzystwie. Wszakże dlatego miał obraz życia więcéj odgraniczone cechy. Żeby być szczytnym bohatérem, nie można było od tradycyi odstąpić narodowéj i na bakier duchowi całą przyodziewkę włożyć.

Jako przeciwstawienie, masz tu w trzecim akcie dom szlachcica na wsi, a zatém zupełnie odmienne kreacye muzyczne, malujące szczerą poezyę życia narodowego. Już w międzyakcie wprowadza cię do téj chorążego świątnicy polonez, owa mistrzowska, przez basetle grana kompozycya, która pod względem saméj artystycznéj piękności rozsławić imię Moniuszki powinna. Cicho i uroczyście płynie ta o staropolskim domu powieść, a jakaż tam prostota melodyi, jaka rzewność liryczna, jaka delikatność formy! Nie może być w piękniejszym symbolu zidealizowana duchowa treść polskiego gniazda. Ludno i gwarno, gościnnie a serdecznie w tém poczciwém gnieździe, że pod ciepłą jego strzechą nawet Podczaszyc zrzucił ze siebie maski i śmieszne krępulce, a wylał duszę na szczery humor i nie kłamaną zacność. Właśnie bracia szlachta na łowach, więc i Podczaszyc, podpiły zieleniaczkiem, ubawiony *śupryzą*, jaką Cho-

rążemu gotuje, wdziewa na się kurtę myśliwską i śpiewa nieporównanéj wesołości piosenkę: „Pojedziemy na łów, towarzyszu mój.“ Ta prześliczna piosenka, oraz odbijanie każdéj jéj strofy chórem myśliwskim za kulisami, nie mają zaiste równych sobie pod względem humorystycznego sceną i muzyką zarządzenia. To niby żart sceniczny, a ileż w nim prawdy, ile charakterystyki, malującej niewyczerpaną w wesołości fantazyę polską. Trzeba widzieć jak umiał z téj strony pojąć rolę Żołkowski, jak gra na sercach słuchaczy raz nieporównaną swobodą, raz doskonałém typu wykształtowaniem. Śmiejesz się, lecz do dna wzruszony, bo się śmiejesz tą pełnią radości, która całego ducha ogarnia. Bo patrz jaka tu narodowa żywość gry i motywów. Zaraz po owéj myśliwskiéj scenie wchodzi Bronia do izby, a nie postrzegając Podczaszyca, śpiewa sobie o Kazimierzu tak rzewną, tak tęskną pieśń, że się aż stary rozbeczał i w uniesieniu serca zrobił ze swych miłostek ofiarę. Nader charakterystyczném jest to przejście od dziarskiego wybuchu fantazyi, do lirycznego motywu. I nie dziw że szlachcic tnie lampkę i znów do żartów ochoczy, bo on sobie ze łzami przyrzekł, że niech jeno Kazimierz wróci, to mu tyle w uszy nakładzie, że musi Bronię pieszczotkę poślubić. Teraz po kilku scenach, w których osoby z dwóch przeciwnych obozów biorą udział, następuje powrót z łowów, a więc chór myśliwski, pełen ognia i męzkiéj dzielności, w rytmice podobny do energicznéj pobudki bojowéj. A zważ że nigdy Moniuszko nie prowadzi swych chórów ciężko, massywnie. Znać w tém zapewne wysokie studya w sztuce, ale téż i poetyczny samego mistrza umysł. Ów chór podzielony na dwie połowy, jest niby dyalogiem, gdzie grupy strzelców peryodycznemi domówieniami opiewają tryumfy i zapał łowiecki. Tak idzie od początku przez dwie części: majorową i minorową, aż wracając do piérwszéj, łączy obiedwie grupy śpiewaków wspólnym i świetnie instrumentowanym finałem. Operę kończy żwawa ochota, uściski i wiwaty na cześć państwa młodych, zkąd wreszcie po odjeździe rozdąsanéj Hrabiny, rozbrzmiewa staropolska nuta „kochajmy się,“ przez całą bracią z kielichem w ręku śpiewana.

Ogromna przestrzeń od Halki oddziela Hrabinę. To opera pięknie, artystycznie wykończona. Znać duch Mozarta przeleciał nad głową mistrza, w chwili gdy dzieło poczynał i coś mu szepnął o dramatycznych muzyki pięknościach. Ztąd téż z wysokiéj skończoności, z nadzwyczajnéj o estetyczne szczegóły dbałości polecił je artystycznemu światu. Tu wszystkie składowe kreacye muzyczne są całostkami, niby poemacikami, ujętymi każdy w inną, odpowiednią scenicznemu zadaniu, lecz każdy we formę pięknie i delikatnie wyrobioną. A tém wydatniejsza ta ich zaleta, że są od siebie mówioném słowem oddzielone, chociaż je znów łączy organiczna całość i doskonała jednia utworu. Hrabina, to wytwórne dzieło sztuki. Orkiestra, głosy, chóry, akcya i całe scenaryum spolą się tu w nienaruszony, w prześliczny dostrój, a ztąd cały dramat czarownie się splata słu-

chaczowi, któremu muzyka tajemnie w sercu przygrywa o chwytanych wyobraźnią rzeczach. Wszakże większą jeszcze wartość dla nas ma ztąd, że przedstawia piękność liryzmu polskiego wobec cudzoziemskiéj liryczności. Rozważ wrażenia otrzymane z tych poemacików, co są Broni i Kazimierza pieśniami. Choć wykończone, przecież tego nie postrzegasz wyraźnie. Bo przez wszystkie w sztuce kreacye słowiańskie wygląda główka jasnowłosa, z modremi oczami i z złotą aureolką u czoła. Aureolka roztacza czystości blask, a oczy tak wiele o uczuciach mówią, że mimowolnie wsłuchujesz się w ich duchową mowę, a nie wiedząc jak wygląda postać i kształty, ledwie pamiętasz że masz przed sobą muzykę, czy malarstwo, czyli téż słowo. To główka poezyi, owéj ducha naszego macierzy, która wszędzie wystąpi na wierzch, gdziekolwiek rękę polski geniusz do estetycznéj twórczości przyłoży. Patrz jakie są ważkie, bo pełne uczucia, wszystkie momenta narodowe w dramacie. Tamte obce odbijają od nich, jak odbijają brylanty i jedwabne suknie i pomalowane twarze, od drzew zielonych w dąbrowie. Bo téż w istocie tak wyglądały wśród naszéj poetycznéj natury poprzebierane w jedwabie lalki. Partyę Hrabiny odśpiewa każda wykształcona artystka, lecz partyę Broni, choć drugorzędną i partyę Kazimierza, tylko polscy śpiewacy, uposażeni poczuciem ducha narodowego, pięknie odtworzyć potrafią. Nie dość jest muzykę polską poprawnie wygrywać, lub umiejętnie wyśpiewywać; trzeba ją produkującemu talentowi, jak to już wyraźnie dzieła Szopena wskazały, z głębin ducha odtwarzać.

Teraz chciałbym baczną czytelnika zwrócić uwagę na utwór najwięcéj ze wszystkich narodowy, w którym mistrz nie już słowiańskiéj, lecz wyłącznie polskiéj sztuki, polskiego w muzyce piękna, świetnie rozwinął zadanie; chciałbym wiele powiedzieć o „Strasznym Dworze.“ Ale utwór ten, ledwie parę razy na scenie przedstawiony, nie dał się nam wcale oglądać, a więc nie wcisnął do serca i wyobraźni tego, co jest żywém, wrażennem, co w martwéj partycyi jest zgoła nieczytelném. Jakkolwiek tedy brak odwagi do krytycznego w szczegóły wchodzenia, wszakże wolno, znając zwłaszcza ducha kompozycyi Moniuszki, streszczony dać drogocennego dzieła zarys. Otóż jawi się tu przedewszystkiém echo przeszłości, więc jakaś pełność melodyjna, jakaś jasność harmonii, niby odbicie narodowego piękna, niby pieśń o tém poetycznego żywota bogactwie, na które nas nie stać w dzisiejszéj żebraczce. A tak żywo ta pieśń wyśpiewana, że wyraźnie słychać głos, który jakoby tajny organ uwięzionego żywota, z pod zwalisk i gruzów do bratniéj jaźni przemawia. Rzecz osnuta na podaniu; lecz wziął poeta podanie jedynie za pretekst do wytworzenia całkiem obyczajowego obrazu. Dwaj pancerni towarzysze Stefan i Zbigniew, wróciwszy do osieroconego domu, zaraz na wstępie wiążą się przysięgą, że żyć będą w bezżennym stanie. Wszak z tego ich postanowienia nie rada stryjenka, bo już ma na nich zamiary, bo w sąsiedztwie przyrzekła ich na pewno wyswatać. Więc gdy stolni-

kowicze w dalekie wybierają się odwiedziny, do Miecznika, ojcowskiego przyjaciela, a to w celu odebrania długu i uregulowania spuścizny, Cześnikowa, widząc że jéj zamiarom niebezpieczeństwo grozi, opowiada straszne rzeczy o dworze Miecznika i lękiem chce synowców do zaniechania odwiedzin skłonić. Bo też w istocie pomimo że ów dwór Miecznika słynie z duchów przeklętych, toć jeszcze z téj strony on dla niéj straszny, że są tam dwie lube dziewki, gotowe wszystkim intrygom zręcznie łeb uciąć. Wszakże rycerze nie z ciasta; jadą do Kalinowa, a przyjęci serdecznie, ledwie czas mieli w zacnym rozgościć się domu, gdy już w sercu dreszczową robotę nieznanych gości poczuli. To Hanny i Jadwigi istne czary polskie, owe, które już samym wzrokiem odrazu duszę podbijają. Po krótkiéj walce sami nie wiedzą jak się to stało, że oba uklękli przed dziewczętami, spowiadają miłość i o rękę proszą. Więc główna treść lekka i potoczna, ale cała ubogacona polskiego obyczaju wizerunkami, cała uważniona urokiem téj prostoty i moralnéj zacności, jaka w domowych czynach praojców naszych przodowała.

Moniuszko „w Strasznym Dworze“ dosięgł szczytu obrazowego poetyzowania. Znać, że spotężniał w stworzonéj przez siebie scenicznéj formie. Prolog śpiewa dzielność i drużność rycerską. Przed gospodą zebrani towarzysze hussarscy, żegnają się przed rozejściem do domów, a rozstanie to polskie, więc razem serdeczne i rycerskie, pełne uniesienia dla wspomnień wojskowych, pełne czci dla orężnéj chwały. Niezmiernie piękne a elektryzujące są te pieśni i chóry, gdzie prostota rolnicza z narodowym Marsem, ślub duchowy biorą.

Akt pierwszy wprowadza do wiejskiego domku stolnikowiczów. Tu obraz wieśniaczéj czeladki, gwar uczuć sielskich, ruch prostaczego uszczęśliwienia, powitania i zadatki. Znakomicie wśród tych darów i przymówek wystaje legenda o strasznym dworze. Ona cała dramatyzowana fantastycznie i cudownie, właśnie jak lud ją tworzy, lecz podniesiona do piękna sztuki swą formą konkretną, do znaczenia poezyi swym tonem poważnym, choć trwożnym. Bo w tego rodzaju utworach, trwożność jest wyrazem duszy ludowéj, która legendę snuje, zaś powaga—głosem poety i sztukmistrza, którzy tłumaczą psychologiczne zjawisko, tojest widzenie ludowe. Tak pojmował legendę Schubert, jeszcze wyżéj Weber, a całkiem ją filozoficznie opanował Wagner i do poezyi dramatycznéj, jako prawd idealnych objawienie przeniósł. Nieporównanie piękne i wspaniałe jest Moniuszkowe dramatyzowanie opowieści.

Akty drugi, trzeci i czwarty, odbywają się w Kalinowie, w onym niby strasznym zamku Miecznika. W obszernéj komnacie pełno domowników i przyjaciół; niewiasty przy krośnach, dziewczęta przy kołowrotkach. Z tego dziwnie ożywionego obrazu płynie struga melodyi swobodnéj a wesołéj, która czarem ogarnia słuchacza, że to nuta lubego szczęścia, wiosenna, młoda, pełna majowych rojeń. Hanna i Jadwiga jaśnieją wśród chóru całym wdzię-

kiem polskich w domu szlacheckim dziewcząt. A jaki to miły szczebiot, jaki żwawy kalejdoskop myśli i uczuć wśród téj wiośnianéj muzyki! Tu Jadwiga na chwilę tęsknotą uwiedziona, śpiewa dumkę rzewną, niby ideał dziewczęcéj troski; tu znów wnoszą przyrządy do lania wosku, do wróżby, bo to wigilia Nowego Roku, więc nowe śpiéwy i orkiestralne przygrywki, w samych igraszkach, w lotnych, uśmiechających się motywach; a tu Miecznik przedstawia swą postać i poważny daje głos o tém, jakich to ludzi na mężów szukać, i jakich to zięciów sobie życzyć należy. Nie straci z uwagi słuchacz téj charakterystycznéj, polonezowej oracyi. Następuje powrót myśliwych z kniei, więc sprzeczki i przechwałki, aż się jawią nowi goście, synowie przyjaciela, od dzieciństwa niewidziani stolnikowicze, co wszystko razem przyczynia się do spotęgowania ruchu i życia. Wszystko się miesza w zgiełk, ale nad onym gwarem sprzeczek i powitań, westchnień i wykrzykników, panuje jasny i piękny ton uczuciowych motywów, niby polskiéj duszy oblicze. Cały ten obraz, jako akt drugi, godzien pieśni z Tadeusza; on jest muzyczną symfonią, opiewającą wnętrze domu polskiego.

Akt trzeci wypełniony figlami i zmowami panien. Stolnikowicze, o tchórzowstwo przez stryjenkę pomówieni, mają dać dowód odwagi w obec rzekomych strachów zamkowych. Otóż w tym akcie świeci najcenniejsze natchnienie, jedno z tych, któreto z piersi mistrza nieraz się rwały ku wielkiemu duchowi poezyi, a chwałę lirycznego wieszcza stanowią. Noc piękna, księżycowa—cisza dokoła. W dużéj sali, przed oknem, stoi Stefan zadumany. Zrazu odbija się w duszy jego uroczysta harmonia natury, wzywając do współudziału, do również spokojnego a malowniczego zachwytu w muzycznéj recytacyi. Wszakże powoli, pod urokiem tych harmonij, myśl płynie w dal, zagląda do serca i budzi złożone w niém wibracye. Więc najpierwéj te, co najświeższe, co jeszcze z wieczora, razem z widokiem Hanny przyszły. Jakaś trwoga wszczyna się w recytacyi; znać w niéj ścieranie się uczuć, walkę postanowień i ułożonego spokoju z jakimś nieznanym napastnikiem. Lecz oto zégar zaczyna bić północ. Orkiestra powtarza każde uderzenie dyssonującym akordem, bo to zégar stary, popsuty, teraz niby przez duchy poruszony. Po dwunastu uderzeniach zaczyna się kurant, prześliczna melodya minorowa w ruchu polonezowym, któréj urok niewypowiedzianie przejmujący, że to urywek z czasów, kiedy smutne polonezy w Polsce pisano, kiedy dusza nie mogła w tanecznym poemacie nic innego, krom głębokiego żalu wyrazić. Melodya ta przeniosła téż duszę Stefana w świat inny, w dziecinnych lat poezyą. Ojciec ją śpiewał, trzymając syna przy sobie i matka kochana jéj słuchiwała, a razem z jéj skonem, skonał w piersi ojca i ten śpiéw serdeczny. Cały wizerunek najdroższych wspomnień, szczęścia, miłości i żalów stanął teraz żywo przed Stefanem. Więc mistrz uderza w lirę i wybucha pieśnią, któréj każdy ton przenika do głębi, rzekłbyś

muzyczne słowo najliryczniejszych poetów naszych, rzekłbyś uzbierany długich cierpień rozgłos. Szeroko poczętéj pieśni część pierwsza przycicha niedokończona, a przerywa ją taż sama smętna melodya kuranta, niby echo ojcowskiego śpiewania. I znów pierś wyrzuca ton jeszcze głębszy, jeszcze mocniejszy, bo to serdeczny wykrzyknik do matczynéj miłości, do spełnionego przez matkę ofiarnego żywota. Tyle wyśpiewał poeta. Artysta jeszcze raz całą pieśń powtórzy z odmiennym kolorytem instrumentalnym, trzymanym w tremolowych wibracyach sopranowéj skali, niby lekkie chóry aniołów, unoszących pieśń syna ku duchom rodziców. To obrazek uczuciowéj idealności polskiéj, niepodobny do żadnéj obcéj liryki dramatycznéj. Nie dotyka go realizm, choć on cały z prawdy odtworzony. Wszak każdy z obcych, nowoczesnych poetów, nie odczuwując wagi téj sytuacyi, nie szukając piękna w idealném podniesieniu uczuć, byłby ją pominął, byłby poświęcił dla czynnych wypadków dramatu. Moniuszko przeciwnie uczynił ją najwydatniejszym swego utworu momentem.

Ostatni akt pięknie rozwiązuje intrygi i znów opiewa serce domu polskiego. Iskrzy się ruch: tu oświadczenie i błogosławieństwa, a tu stubarwny i żwawy kulig staro-polskim zwyczajem najeżdża. Więc ochota i wiwaty, co wszystko zakończa wspaniały chór i mazur, istny poemat karnawałowego wesela w Polsce.

Flis i Verbum nobile, jednoaktowe opery, są cennemi poemacikami również polskiego ducha. Kto nie zna podniosłéj modlitwy z Flisa, gdzie duch kantyczki ludowéj w sztuce jaśnieje? Kto nie zna wiejskiéj serenady, gdzie dobry lud tak rzewne a prostoduszne życzenia swéj panience składa? Kto raz, usłyszawszy, zapomni oracyą pana Marcina i z tego ideału mowy nie domaluje sobie całkowitego typu? A owe dziewczęta Moniuszki, to zadumane, to figlarne, lecz zawsze czyste, pełne anielskiéj słodyczy? Wszystko tu ciepłe, swojacze, pełne ruchu i życia, że dając posłuch tym mistrza natchnieniom, zdaje się, jakoby ci pomagał zastrzelać rozbiegłe, roztargnione twego własnego ducha bogate tradycye.

Flis i Verbum nobile, przeważnie charakterystycznemi są utworami. Nie wiele liryzmu, lecz za to stubarwnemi ruchy sypią się malownicze obrazki. Orkiestra, obejmując główną rolę, roztacza nieporównane piękności formy, wyraża charakterystyczne odcienia gry i osób, którym znów w udziale prześliczna deklamacya przypada. Uważ, jakie to żywe ruchy malują flisaka, a z jaką elegancyą gra fryzyerczyk na scenie. Jego przybraną gracyą kierują francuzkie motywy, że wygląda, jak leciuchny motylek, mizdrzący się komicznie do róży, a jednak pełen barwnego powabu. Takie są wesołe, a przecież w wytwornym smaku te umizgi mieszczucha, tak narodowo od nich odbija rzewne Zosi i jéj kochanka śpiewanie, że nie można dość się nasycić utworem, któremu na imię nie *buffa*, nie *opera komiczna*, ale polski, oryginalnie żywy, a szlachetnie wesoły obrazek. W wyższym nierównie stylu, jest traktowane Verbum nobile, gdzie

do gry występują dwa charakteru polskiego rysy: prawość i w obronie honoru stawająca porywczość. Co za ton majestatyczny w opowiadaniu o daném sobie przez dwóch ojców słowie! Co za ognisty zapał w sprzeczce o dotrzymanie téj właśnie ugody! Cała opera jest arcydziełem, tak pod względem skończoności, jak z tytułu zupełnie narodowéj, tradycyjnéj treści. Odznacza ją doskonałe scen grupowanie, wyborna dykcya i niezwykle piękna muzyczna faktura.

Taka jest treść celniejszych kreacyj dramatycznych, które stanowią okres czysto-słowiańskiéj, lub wyłącznie polskiéj twórczości Moniuszki. Do rzędu jednoaktowych należy opera „Beata," jeden z ostatnich, lecz słaby, bez cechy i bez większéj estetycznéj wartości utwór. Nie wspomniałem wcale o wielu operach pisanych za młodu, że to są zapewne próbki, na których zwykle kształci się kierunek i polot sztukmistrza każdego. Jeśli z ukrycia, w którem je sam twórca chował, na widok wyjdą publiczny, to jedyną ich będzie ceną, że są początkami sztuki rodziméj, że na nich wypracował się geniusz, który z Wileńskiego ustronia, miał wyjść na szeroki muz gościniec i głosem mistrza przemówić do całéj społeczności o nas.

VI.

Wielki ton w sztuce polskiéj. Wartość i kierunki artystycznéj pracy Moniuszki. Paria. Widma. Sonety krymskie.

Z przeglądu wybranych dzieł okazuje się, że Moniuszko nie wydał żadnego wielkiego tonu, że nie poruszył tego innego świata, w którym pierś narodu chowa nadzwyczajne siły. I niedziw. Bo jakimże głosem, w jakiéj formie mógłby ów ton wydać? Jego formy liryczne i owe z ruchów żywota powszedniego wyjęte, nie starczyłyby na pomieszczenie w sobie najmniejszego dreszczu historycznego. Każdą tego rodzaju pokusę opłaciłby mistrz polski porodem heterogenicznym, wydałby krzyk przeraźliwy i niesforny, a niemylnie na ton germański nastrojony. Wszak o wielkich w naszéj piersi tonach my tyle dotychczas wiemy że są, że w danych epokach silnie na horyzoncie grają, zagrzmią chórem, wspaniale zaświecą i znów cisza dokoła. Więc ledwie historyozoficznie coś wiedzieć o nich poczynamy. Za pośrednictwem filozofów i poetów, rozpoznajemy ideę, która w nas tkwi; lecz ani filozofowie, ani poeci, ani Cieszkowski i Królikowski, ani Mickiewicz i Krasiński, nie zdołali téj idei dać żywot, nie byli w stanie ją z dźwięków, z ciała i krwi odtworzyć. Ta idea objawiła się im w tak wielkich rozmiarach, takim nieograniczonym idealizmem przepełniła serce, tak bezmiernem widzeniem zapaliła umysł, że w ich dziełach tkwi jako świętość, jako bożostan, do którego sztuka, a zwłaszcza sceniczna, długo jeszcze przystąpić nie będzie miała odwagi. Słusznie sam Mickiewicz wyznaje, że żaden

teatr dzisiejszy, nie wystarczyłby nawet dla nieboskiéj komedyi. A przecież nie dlatego, iżby podobne dramata mogły być na Olimpiadzie narodowéj grane, lecz że im brak głosów i żywotnych działaczy, że zanadto od ludzkiéj atmosfery odbieżone, samą grę bogów, samo świtanie idei przedstawiają.

Jakież mogą być wielkiego tonu znamiona w narodowéj sztuce? Spojrzyjmy na jedno z dzieł plastyki, na utwór mistrza, który gorącą miłością wiedziony, odważył się zajrzéć w nieprzebrany skarb historycznego żywota. Niesłyszany w dziejach świata akt przedstawia Matejki malowidło. To akt zaprzysięgania sobie przez dwa narody bratniéj jedności. Patrz jaka tam gra charakterów olbrzymia, a jaka moc i świetność panującéj idei! W ozdobionéj herbami sali zgromadzony zastęp najpierwszych dostojników, a każdy z nich jest najprzód sam w sobie całością, charakterem—rzekłbyś tyle zwartych w sobie samodzielnych światów, ile jest osób, tyle indywidualnych potencyj czynu, ile wyosobnionych jest potentatów ducha. Wszakże pomimo tę różność, jest coś, co onym postaciom piętno jedności daje. Wszystkie dźwigają na sobie jeden ukochanéj ojczyzny ciężar, wszystkich spoli ze sobą gorąca miłość i silna wiara. Wielkie, u jednego źródła czerpane natchnienie wiąże ze sobą te dusze, wydając piękny i wspaniały akord, w którym się osobnicze splatają tony, więc duma i męztwo, patryotyzm i religijność, mądrość i dobroć.

W samym środku obrazu, krzyż w ręku trzymając, stoi król Zygmunt August, którego szlachetną i poetyczną duszę rozpromienia wielkie uszczęśliwienie. Wszak tyloletnią Jagiellonów pracę jemu teraz przyszło faktem spełnionym uwieńczyć. Po lewéj od króla, w około stołu, grupuje się poczet najważniejszych, akt czyniących osób. Bo najprzód rzekomym przewodnikiem tego aktu, że czyta rotę przysięgi, jest biskup krakowski Filip Padniewski, dyplomatycznie poważny i nieco zimny choć młody. Tuż obok piastun ewangelicznéj w kraju godności, schylony nad księgą świętą, sędziwy prymas Jakób Uchański, pełen namaszczenia i chrześciańskiéj pokory. On jest niejako duchowym bratem owéj klęczącéj, siwowłosej postaci, co jedną rękę do słowa ewangelii przykłada, zaś w drugiéj dokument unii trzyma. To Marcin Zborowski, kasztelan krakowski. Cześć ci starcze! Tyś patryarchą narodu, duszą czystą a prostą, któréj moralną piękność zdradza dziewiczy rumieniec na twarzy. Twa postać do łez wzrusza, tyle niesiesz pokory przed ołtarz ojczyzny, tyle jest prawdy i dobra w twém sercu. Nic wymowniejszego w obrazie nad ów dwóch dostojników związek; on jest tłumaczem téj historycznéj idei, która faktami wielekroć okazała, że naród mógł być tylko solidarną cnotą, ofiarą i prawdą rządzony. Nieco w tyle klęczą dwaj hetmani: Mikołaj Mielecki koronny i Mikołaj Radziwiłł litewski. Nader ważną jest postać tego olbrzymiego Litwina. W nim skupiona dziedziczna duma książąt i polityczna magnackiego rodu opozycya. Więc wielkie ciężary nosi na sobie, wielką czyni teraz ofiarę

z miłości własnych na rzecz wspólnego dwóch ludów dobra. Dziwisz się co mogło tę niesłychaną dumę ugiąć, co skruszyło tę wolę żelazną, że teraz klęczy przykładnie i obnażonym mieczem swą przysięgę wzmacnia. W związku z temi dwoma bohatérami są dwaj inni, niby ich poplecznicy, opodal klęczący litewski marszałek Jan Chodkiewicz i w stojącéj postawie gdański kasztelan Jan Kostka. Ten piérwszy w ciężkiéj pogrążony turbacyi, obezwładnioną głowę pochylił na ręce, bo duszą gwałt miota, bo nie jest w stanie miłości własnéj opanować i na ustępstwa jedynie z musu przyzwala. Inaczéj się zachowuje drugi. On cały promienny, wzruszony, podnosi rękę do przysięgi, a czyni to z gorącego serca i z przekonania. Nie pominiesz uwagą dwóch jeszcze w téj saméj grupie, acz na drugim planie przytomnych osób, księcia Romana Sanguszkę i księcia Michała Wiśniowieckiego. To rycerze polscy, zwycięzcy z nad Uły, wierni sztandarowi, który trzymają; piękność ich ideałem waleczności, a rola ich wyrazem narodowego zapału. Istne duchy wojennéj Grecyi, polskim odrodzone przymiotem.

Z prawéj od króla strony znów się najpiérwéj przedstawia osoba duchowna. Jest nią złamany wiekiem biskup wileński Waleryan Protaszewicz, przez Jana Łaskiego w swém usiłowaniu nabożnéj prostracyi wspomagany. A teraz kardynalska purpura, niezwyczajne oblicze i górująca akcya. „Po co w téj wielkiéj kompozycyi, mówi krytyka niemiecka, ów dyssonans rażący? Po co ten człowiek, co sprowadzeniem klęski jezuickiéj obwiniony, pychą hierarchiczną nadęty, udaje teraz protektora sprawy?“ Tak się maniaczy ta polska historya i jéj główne rysy w epoce, w któréj nie głos prawdy, lecz głos zawziętych stronnictw opinię dziejową wydawał. Więc nie dziw, że w kronikach z tego czasu tylko fałszywe, sprzeczne, lub co najmniéj tajemnicze o wypadkach i osobach można znaleźć wieści. Taka wieść tajemnicza zasłania osobę i czyny Hozyusza. Wszakże dobadać należy, czy zarzucany mu kosmopolityzm nie miał założonego sobie innego celu, jak fanatyczne i bezwzględne idei papiezkiéj sprzyjanie. Wszak to był największy pogromca sekciarstwa, więc onego szaleństwa, które tak się było wzmogło, że już zaczęło państwu nie żartem grozić. Już były miasta pruskie zniemczone i od stolicy się odrywały, gdy Hozyusz nadludzką siłą na nieprzyjaciela uderza i zbłąkaną własność ojczyźnie powraca. On wiedział, że najpoważniejszą spójnią narodową była nienaruszona tradycya religijna. Téj spójni chciał bronić od różnowierstwa, po za którém zawsze stało w Polsce najstraszniejsze widmo politycznego rozstroju. Lecz jakaż rękojmia na przyszłość? Kto go po śmierci zastąpi? Otóż, lubo błędnie względem téj przyszłości postąpił, lecz nie mógł naonczas skuteczniejszego dla ojczyzny legatu zostawić, jak okiełznanie odszczepieństw przez zakon. Nie jego wina, że Jezuici sfałszowali chrześciańskie posłannictwo, wstępując w Polsce na drogę polityczno-socyalnych intryg. Przytoczona w lekcyach Mickiewicza mowa

Hozyusza na szlacheckim zjeździe, najlepiéj go maluje: „O narodzie dobrodusznych ludzi! Jeżeli już wam koniecznie zachciało się szaléć, szalejcież; ale przynajmniéj nie przestawajcie być Polakami. Czy trzeba wam nowéj wiary, nowego Boga? Toż macie tego urwisza Grzegorza z Mazowsza; zróbcie go sobie bogiem, a będziecie mieli swój osobny, mazowiecki kościołek. Będzie to głupstwo, ale przynajmniéj swoje własne. Szukacie religii wygodniejszéj, przestronniejszéj, słowem, radzibyście dobrać obuwie, któreby nie cisnęło nogi. Wleźcież w chodaki swojego mazura Grzesia. Poco sprowadzać pantofle z Genewy i z Würtemberga?" Takim był Hozyusz. Takim go właśnie przedstawił Matejko, gdy w spracowaném, w zmęczoném bezsennością i troską obliczu, wyraził moc ducha niepospolitą. On wyciąga ręce, błogosławiąc przysięgom, bo z tytułu swych zasług powinien grać rolę duchownego orędownika. Jego zabiegi, wspomożone mądrością i wielkim taktem króla, spowodowały reakcyą w kraju. Nie byłby akt unii przyszedł do skutku, gdyby nie nastąpiła zgoda duchowieństwa i szlachty, gdyby trydenckiego soboru uchwały nie ukróciły rozkładowych dążności indywidualizmu. Z poza kardynalskiego krzesła wygląda sarmacka postać wojewody poznańskiego Łukasza Górki. Co za ogień w téj duszy, która cała na zewnątrz, w ruchu i spojrzeniu wylana! To człowiek energicznego czynu, nie dyplomata, ani obmyślający kampanią polityk, lecz dzielna podpora szlachetnych aktów, gotów ze swym ogniem do chwili stanowczéj. Gdyby przysięga miała się zachwiać, on, podobnie nowogrodzkiemu posłowi, zagrzmiałby słowem, rozdarłby pierś swoją i podpalił kurczące się sumienie publiczne. Tuż obok przedstawia się widok moralnego piękna, ów, gdzie rycerski książe Ostrogski, wtajemnicza młodocianego syna w wielkie dzieje narodu.

Teraz zważ, że nie dość było mistrzowi przedstawić główną scenę. W tym wspaniałym a uroczystym akcie są tony, niby obce, z których wszakże widzowi cały szereg dziejów, cały dramat przyszłości czytać się daje. Owe dramatyczne widziadło nieznacznie się tu wciska, jak głuchy szmer wiatru, jak daleki obłoczek w obec słonecznéj pogody. Bo cóż to za postać, spytasz, owa w prawym rogu sali, tak ironicznie uśmiechnięta, tak złośliwy a szyderczy wzrok na scenę rzucająca? To wielki dyssonans, co ma brzmieniem swojém na narodowéj harmonii zaciążyć, uosobiony teraz w naczelnym dyssydencie Janie Firleju. A ów chłopek polski, z przeciwnego boku do sali wprowadzony przez Frycza Modrzewskiego, przez tego samego, co przed uchwałami trydenckiemi myśl narodowego soboru był podał? Twarz kmiecia młodości pełna, wzrok zdziwiony, ruch z wrażenia drżący; pewnie całą duszą chwyta cudowne zjawisko, pewnie pamiętać będzie nadzwyczajne zdarzenie. To także ton daleki, nieznany, lecz jego głos dziwnie srebrzysty i dźwięczny. On się teraz nie miesza do głównego akordu, a dla-

czegóż tak wzrusza i przeciągłém drganiem w duszy wydzwania? Dlaczego sumienie dotyka i twój wzrok gdzieś w dal kieruje?

Uzupełnienia obrazu na oddalonych planach są niezmiernie ważne. Płeć piękna gromadzi na trybunie zastęp dostojnych przedstawicielek; więc świetniejąca wdziękiem Anna Jagiellonka i przydworne niewiasty. Wszakże nietylko są wdziękiem obrazu, lecz, jako piastunki moralności domowéj, one uosobiają idealną piękność, poetyczne uczucie narodu. Im z prawa historyczna należy się rola, że nie dały tknąć skarbu drogiego i po przez wszystkie zalewy, pożary i zniszczenia chowały go wiernie. Potém widzisz tu jeszcze co było znakomitszego umysłem i czynem: Marcina Kromera, Andrzeja Tenczyńskiego, Stanisława Tarnowskiego, a wreszcie poważny, niezmiernie charakterystyczny poczet uczonych i literatów, jako uczestnicząca w wielkiéj akcyi mądrość narodowa.

Możnaby obraz ten nazwać wielką symfonią historyczną, taka tu pełnia gry, właśnie téj symfonicznéj, niemowéj, choć wiele mówiącéj, a taka niebotyczność harmonii. Wszystkie przymioty ducha narodowego, cała piękność jego indywidualności—wolność, miłość ojczyzny, uczucia rodzinne i waleczność, żywemi jawią się tu obliczami. Z nich się téż wywięzuje najwyższa, promieniejąca chwała dokonywanego czynu, jako spełnienie Chrystusowéj nauki na ziemi. Spłyniesz serdecznemi łzami na widok tyle narodowéj treści, lecz dreszczem zadrżysz przed majestatem idei, przed widokiem szczytnych ofiar narodu. To jest wielki ton polskiéj sztuki. On się tyle wyróżnia od współbratnich w powszechnéj twórczości, ile różną jest tradycya, z któréj wynika. Wielkie malarstwo germańskie również tradycyi wierne. Śmiertelny bój z Rzymem był od historycznych początków górującym téj tradycyi tonem; więc po śmierci olbrzyma przechodzi na spadkobierców i znów duch na ducha naciera i będzie, aż dopóki jeden z nich nie legnie i ślad po nim na ziemi całkiem nie zniknie. Patrz na obrazy Kaulbacha, Hübnera, Pilotego i całéj szkoły, ile tu wyrzuconych pocisków, jaka tragiczna siła walki [1]). Polska tradycya nie na wyłączaniu się oparta; owszem, jéj podstawą bratnia miłość ludom, cześć i uznanie wszem indywidualnościom

---

[1]) Oglądając celniejsze dzieła, niepodobna odmówić im tradycyjnego znaczenia. Straszna ironia przebija z kartonu Kaulbacha, gdzie Piotr Arbuez, inkwizytor, skazuje na śmierć rodzinę odszczepieńców. To odpowiedź Niemców na wieść o kanonizacyi tego fanatyka. W „Tryumfie Germanika“ uderza również cała potęga ironii. Przecież tam nie wódz rzymski, lecz raczéj uwięziona dumna Thusnelda, więc duch germański nad materyalizmem rzymskim tryumfuje. Obraz „Dysputy Lutra i doktora Ecka“ tak przez Hübnera odmalowany, że pełna gra światła opromienia grupę ewangelicką, pozostawiając katolickich obrońców w cieniu.

rodowym. Ztąd też ze wszystkich obrazów Matejki, ten, o którym mowa, jest najwięcéj polski.

W przytoczonym utworze historycznym nie ma jeszcze nic dramatycznego. Tu nie grają pierwiastki, nie ścierają się z żarzewia psychologiczne, owszem jest wielkiego spokoju uroczystę panowanie, choć w szczegółach przebija nadzwyczajna siła uczuć, choć wszędzie tryska potęga wewnętrznéj treści. Boć to nie jest jeszcze wizerunek rozwiniętego w historycznem życiu dramatu. To dopiero ton, jako wyobrażenie idei, jako wielkie *speculum*, z dziejowéj prawdy wyjęte, do którego zbiegać się i z którego wynikać mają wszystkie dramatyczne czynniki. Sztuka malarska rozpoczyna przygotowanie materyału do wielkiego dramatu narodowego. Wszakże nie może być mowy o nim, dopóki wszystkie sztuki piękne swego zadania nie wykończą, dopóki nie ukażą na widok tego, co w naszéj poezyi i w tradycyach spoczywa. Zanim się nie ułoży plastyczny obraz ruchu i żywe oblicza nie staną na świadków ducha, zanim wymowa i muzyka nie dadzą temu ruchowi właściwego słowa, rytmu i dźwięku, a nie zabrzmią przez usta osób chórem czynnych głosow, zgoła, zanim się nie wytworzą wszystkie organa sztuki, odpowiadające wszystkim pojedyńczym organom życia, niepodobna myśleć o sztuce teatralnéj istotnie spełnionéj, a mającéj wartość narodową. Zważyć też należy, że muzyka stoi na ostatniéj granicy królestw ideału. O ile rzeźba i malarstwo, lubo zamykają się w ciaśniejszych granicach jednéj tylko chwili, są za to więcéj przedmiotowe, bo bliższe realnéj prawdy, o tyle wymowa i muzyka, lubo większemi są dramatycznego ruchu potęgami, lecz, jako najidealniejsze, wyrzekają swe słowo dopiero na ostatku. Nie byłby się objawił na Zachodzie wielki ruch dramatyczny, który jest dziełem bieżącéj epoki, gdyby się nie wypracował zakres plastyki, zwłaszcza chrześciańskiego malarstwa i nie objawił, co może być pierwiastku dramatycznego w postawie i obliczu, co siły ducha w zewnętrznych objawach materyi, co jest koniecznéj między psychologią a fizyologią łączności. Nie byłby niemiecki geniusz stworzył rzeczy nadzwyczajnéj w swoim rodzaju, nieledwie nowéj sztuki, tojest symfonii instrumentalnéj, gdyby nie stał przed nim już wykończony wzór dramatów Szekspira, Szyllera i innych.

Aż nadto dobrze rozumiał Moniuszko wielkość dramatycznego w sztuce narodowéj zadania, aż nadto sprawiedliwie swoje ważył siły, iżby go zdjęła pokusa zajrzéć w dziedzinę tonów wielkich. Ale duszę artysty nawiedzają czasem słabości, które go ciągną ku błędnym światełkom. Przychodzą nań chwile, w których cierpi za wszystkich, za społeczność, a pojedyńcze jęki odbijają się w nim chórem ogromnym. Oby mu wtenczas dopomogły siły twórcze, oby tylko znalazł słowo i organ! Ale niezmiernie rzadko to się wydarza. Mistrz, który li w spokoju umié tworzyć, zamilczéć musi w chwilach gwałtownych wstrząśnień, iżby nie porodził niezgodnéj

z sobą piękności. Patrz jak wiele fałszywych brzmień wśród humanitarnych akordów naszego wieku. Co jest bajronizm? co Faust i Werther? co Trystan?.... Takich brzmień naliczysz chmarę, jeno porusz tę epokę, gdzie długo tłumiony głos prawdy, głos uciśnionych ludów, zagrzmiał nieumiarkowanym rykiem z piersi poetów filozofów i romantyków. Nie może krytyka dać sobie rady z temi sfinksami, wpada w kołowaciznę, lub się zamienia w lecznicze, w psychiatryczne mistrzów badanie. Więc nie czemu innemu, jeno gwałtowniejszemu naciskowi cierpienia, przypisać należy wybór przez mistrza naszego takiego przedmiotu jak „Paria.“ Nie szło mu zapewne o te same cele, o jakie się ubiegał autor tragedyi, znany z obrony klassycyzmu Delavigne, ale o zestawienie uczuć i widzeń z przedmiotem, tragicznie do nich upodobnionym. Nadto, dotykał ów przedmiot jeszcze z innéj strony duszy Moniuszki. Była w téj duszy niezmiernie delikatna, najczulsza ze wszystkich struna, która tylekroć jękliwie zadrżała, ile jéj dotknęły kollizye rodzicielskich i synowskich stosunków. Rozrzewnić się widokiem moralnego piękna, przyłożyć lirę do strun rodzinnego życia, zrozumiéć, co jest tęten w przejściach od rozpaczy do nadziei, od smutku do radości, to było zawsze sprawą najmilszą naszemu słowiańskiemu pieśniarzowi. Biegł więc, gdzie jeno zasłyszał podobne wołania, nie zważając na względy i osoby. Dość że Paria, starzec w niedoli i z rozdartą duszą, błąka się po świecie szukając zatraconego syna, dość że Neala czyni z siebie ofiarę dla rodzicielskich uczuć, iżby Moniuszko do tych cierpień a ofiar przyłożył liry, nie bacząc, że zbyt daleko się puszcza—w dzikie zarośla ducha. To już artystyczna słabość. Więc stało się, jak się zwykle dzieje, że uczestnik wziął rzecz za to czém jest, że przedmiot stanął przed nim w całéj swéj nagości i ani myśli poetycznéj, ani cierpień mistrza, ani społecznéj jego filozofii wcale nie usprawiedliwił.

Nie mogło być inaczéj. Nikt w takiém zwierciadle siebie poznawać nie zechce. Poeta wprowadza w świat zapadły i senny, gdzie wstrętne snują się widziadła, gdzie zmajaczony potęgami wszech swiata człowiek, cierpi pod brzemieniem własnéj niemocy, własnego fatalizmu. Nie masz tu prawdziwego związku między istotą ludzką a moralnością i dlatego trupio a niedołężnie wygląda anachroniczne bohatérstwo dwojga indyjskich kochanków. Idamor, waleczny naczelnik wojowniczéj kasty, umiłował córkę arcykapłana Nealę. Wszakże on ukrywa pariasowskie pochodzenie i lubo wielkie dla ojczyzny położył zasługi, ginie nikczemnie pod ciosem fatalnego potępienia. Kochanka, wierna przysiędze, wzgardza rzekomą czcią ludzką, by w dzikich ostępach podzielać boleść ojca Idamorowego. To są zapewne szlachetne rysy, ale dlaczego umieszczone w obliczu szkaradném, dlaczego przyczepione do strupiałego życia? Nie dziw tedy że wyglądają jak zwiędłe kwiaty i że mistrza naszego kwiaty w téj atmosferze przywiędły. A najprzód okazał zupełną niemoc

tragicznego władania tonem. Więc mimowolnie spadł na znajomy sobie grunt liryczności, i owszem, w jego muzyce widnieją zdaleka polskie błonia i rozlega echo znajomej nam pieśni. To samo motywowanie, ten sam ruch natchnień, jeno obcięte mają skrzydełka, na których rodzime uczucia niosły; tylko brak im szczerości, świeżych barw i żywéj fizyognomii, któremi umiały poezyę życia malować. Słuchaj chóru braminek,co niby naszę żniwiarki śpiewają, ale gdzieś tak daleko, że nie możesz ich pieśni schwycić, że nikną nuty najserdeczniejsze. Tak samo zaśpiewa Idamor, niby kochanek polski, któremu jakoś nieśmiało płynie miłosna spowiedź. Na rolę starego parii spłynęła cała głębokość liryzmu. Moniuszko dał wielkę folgę żałosnym uczuciom dla nieszczęśliwego ojca, który płacze syna. Obłąkanie i boleść, a potém radość i nadzieje, tak wielką grają liryczną siłą, że już traci słuchacz zewnętrzną przytomność obrazu, dając się idealnie porwać uczuciom. Zresztą znikły w Parii owe urocze obrazki, które umiał Moniuszko z życia wyjąć, a tak dzielnie przedstawiał w ruchu, w charakterystyce i w wewnętrznéj przymiotowości. Jakaś tu głusza panuje. Całą kompozycyę, tak w harmonii, jak w recytacyach, otacza jakiś ton cięższy, więcéj przygniatający niż rzewny, o którym nie można powiedzieć że jest czystym, szczerym tonem słowiańskiéj liryki. Pod względem formy i artystycznego skończenia, potęg instrumentacyi i równowagi mass, Paria ma odciśnięte na sobie piętno wielkiego mistrza. Uwerturą Parii mógłby się chlubić Mendelssohn, tyle jest piękną i wytworną w formie. Taką też wytwornością cała opera się zaleca. Zgoła to utwór doskonały lubo nie sympatyczny, wiele mówiący lubo zaciemniony, i w tych to sprzecznościach leży zagadkowość jego. On z tego względu podobny do „Trojanów“ Berlioza, którego to utworu nikt od upadku obronić nie mógł, pomimo że krytyka, zwłaszcza niemiecka, niezmiernie cenne przyznała mu przymioty zewnętrzne [1]).

Jakież spełnił Moniuszko zadanie w odradzającéj się sztuce narodowéj? Oto dał na użytek sceny artystyczną wiązankę z życia słowiańskiego, przyodziewając pięknem form niezliczone objawy powszedniéj liryki i ruchu powszedniego. Do spełnienia dramatu narodowego wchodzi wszelka codzienna treść żywota, od najdrobniejszych pulsów. O ile tedy ze strony plastyki wejdzie tam wszystko co swoje: architektura, widoki natury, rodzinne barwy i światła, typy postaciowe i fizyognomiczne, wizerunki obyczaju i zwyczaju, ruchy życia domowego i publicznego—o tyle ze strony poezyi i muzyki, tłoczy się sam z siebie nawał rozrzuconéj po Słowiańszczyznie produkcyi, od baśni, piosnki i tańca aż do hymnu i ballady, od mo-

[1]) Recenzyę o Parii, wkrótce po jéj pierwszém wystawieniu, zamieściłem w Bibliotece Warszawskiéj. Patrz m. Luty, rok 1870.

dlitwy i kolendy aż do rapsodu i kantaty. To są formy a modły, które sobie duch życia wyrabia, bądź żłobiąc je narzędziem prostaka, bądź rzeźbiąc delikatném dłutem artysty. Bez téj ostatniéj roboty nie obejdzie się sztuka nad sztuki, która z nieprzeliczonych typów szczegółowych ma wielki typ ogólny odtworzyć. Otóż jeśli poezya polska swoje artystyczne zadanie spełniła, to muzyka miała przed sobą szerokie pole do przejścia. Pełno uzbieranego surowcu, którego nikt miłością nie dotknął, jeśli zważymy że dwaj lirnicy, Komorowski i Szopen, zbyt lękliwie i tylko po wierzchu mu się przypatrywali. Moniuszko pierwszy, uposażony wszechstronném znawstwem, uzbrojony tradycyą, zstępuje przy świetle narodowéj pochodni do skarbca i rozpoczyna rzetelną wyczerpującą pracę. Stworzyć paręset pieśni, z których każda jest osobnym typem liryki lub charakterystyki, a nie jedna do muzycznego ideału znakomity utwór poezyi przenosi, wykształtować z własnych dźwięków modlitwę i symbolikę religijną, wymodelować formy ruchu towarzyskiego i obyczajowego, schwycić i w kształtach harmonii stężyć nie uchwycone pulsa fantazyi, uczuć, zgoła codzienne wibracye życia, to wielkie, rzecby można Homerowskie zadanie. Spełnił je Moniuszko z namaszczeniem, z ofiarą własnego życia, całą potęgą ducha swego. On, na równi z bracią sztukmistrzami w poezyi, rozwiązał jeden z ciaśniejszych węzłów umnictwa polskiego, więc dowiódł, że może być twórczość, jak prawdziwa perła, z wody a kształtu szczerze orginalną i nie fałszowaną. A rzecz to nader trudna w sztuce, gdzie formy są niezmiernie obowiązujące, gdzie przyjęte przez daną epokę estetyczne wytwory, z surową narzucają się apodyktycznością. Nie jeden sztukmistrz tworzy wedle nabytéj w szkole estetycznéj modły, choć nie zna jéj ducha, choć nie wié w jakich przepaściach i z jakich ukształtowała się żywiołów. Patrz na falangę młodych kompozytorów niemieckich, z których nie jeden jest niewolnikiem jedynie saméj formy Beethowenowskiéj. Krytyka im przyklaskuje, choć nie jednę brednię utworzą. Ona się cieszy tą bezmierną fantazyą, tém olbrzymiem formy rozmaganiem, temi sfinksami techniki harmonicznéj, które już same przez się są ducha germańskiego wyrobną skorupą. Odtworzyć formy wraz z duchem, więc cało, organicznie, samodzielnie, nie każdemu mistrzowi jest danem. Teraz, który ze słowiańskich sztukmistrzów chciałby dla narodowéj sztuki pracować, a miałby siłę iść daléj naprzód, nie może pominąć Moniuszki. Ze skazownikiem w ręku, stoi nieśmiertelny mistrz na progu wielkiéj świątyni, a dając świecznik do wspaniałych ołtarzów, poucza każdego jak się ma zachować. W jego księdze są nieprzebrane wzory, mające zbyt doniosłą wartość żywotną, iżby spadkobierstwo w sztuce obejść się bez nich mogło. Owszem, przez długi szereg lat Moniuszki muza dostarczy piękna i prawdy, kwiatu i owocu wybranym przewodnikom na pożywienie. Wszak on dał nietylko materyał całostkowy, organiczny, niby treściwy światek, w którym obaczysz obrazy i rysy

z natury, pełne uczuć, fizyognomii i ruchów, nietylko stworzył obfity żywostan liryki, który pieśnią, modlitwą, hymnem ma wielką słowiańską wypełnić kreacyę; lecz sam pouczył, jak ów żywostan w widoku narodowych harmonij wiązać, sam wskazał, jaka jest na scenie dramatycznéj doniosła piękność słowiańskiéj muzyki.

Moniuszko niezmiernie jest wszechstronnym i czynnym geniuszem. W jego artystycznéj produkcyi rozróżnić się dają dwa kierunki, jako dwa odmienne źródła twórczości. Obaczmy czém jest z nich każdy. Co do pierwszego, Moniuszko z naturą i z ludem się wiąże. Jak Brodziński, wzrosły wśród sztucznéj atmosfery klassyki, otoczony próżnią umysłową i od sfer wyższych mętem zamiast napoju darzony, wzniósł się ponad zielone pola i dzwonił skowronkiem—tak pieśniarzowi naszemu przyszło podlecieć w górę, spojrzeć pięknym porankiem na polską ziemię, na jéj miłość z ludem i zaśpiewać wiosnę dla ociemniałéj rzeszy. On z tego wziesienia się oglądał wdzięki natury, umizgi ludu, boży trud i kochanie; widział kościołek i chatę wiejską, a dosłyszał jakie to ztąd wychodzą dźwięki, jak harmonijnie splatają się z sobą w górze. Więc z tych wycieczek przynosił dla sztuki proste a urocze, pełne wiośnianéj świeżości melodye, a jeszcze świeższe harmonije. Drobne piosenki i nabożne pieśni, są, rzec można, najwdzięczniejszym tych natchnień plonem. Już nawet mistrzem będąc, pieśniarz nigdy nie zaniedbał wzlotów skowronka, tyle mu miłe było owo serdeczne a tęskne dzwonienie. A patrz jaka w niém niewypowiedziana prostota. Zdaje się że pieśniarz gdzieś pod obłokiem samą przez się ułożoną przyniósł piosenkę, a przecież ona jest w wysokim stopniu piękną i choć z natury, lecz idealnie odtworzoną [1]). Ztąd zapewne żadnemu z mistrzów nie był udzielony dar tak obfitego i tak dziwnie prostego śpiewania przyrody.

Wszakże wiośnianą swoją pielgrzymkę i sojusz z ludem, Moniuszko na coraz większą skalę rozszerza. Słyszeliśmy nieraz tę samą nutę w jego operze, jak spotężniona w formie, ciężarna myślą poetyczną, wprowadza moralne prawa ludu do sceny życia. Najjaśniejsze chwile natchnienia i najświeższe siły artyzmu, poświęcał mistrz tych praw apoteozowaniu. Bo na widok złożonych w duszy ludowéj prawd moralnych, jego pierś się rozszerza, muza płomienieje, więc co posiada ze skarbów sztuki, to daje na bogaty posag, na artystyczny tym prawdom pałac. Popęd do uznania praw ludu jest sprawą bieżącego wieku. O ile jednak uznanie to przeważyło gdzieindziéj na stronę praktycznego, materyalnego uczłowiecznienia, o tyle nas zaprzątnęła przedewszystkiém strona psychologiczna. Poeci nasi znaleźli tu skarby, więc ten i ów jął szperać w zaklętych pieczarach i przemówił w imię moralnéj ludu zacności. Mickiewicz całą filozofię słowiań-

[1]) Że wskażę przykład, jedną z mnóstwa tego rodzaju jest „Polna różyczka“.

ską z tego niepokalanego wyprowadza źródła. Czyste jak łza, ono zastanawia myśl wieszcza, że nie doktryną ani systemem, lecz że jest samorodną a pełną intuicyą. Powieściarze i myśliciele nasi również od serca a ciepłą dłonią lud słowiański witali, widząc w nim siłę moralną, krynicę odrodzin. Więc nie dziw, że i sztukmistrze z tą samą czcią do ludowéj zbliżają się sybilli, ile że ona ma dla nich gotowe kreacye, całe, organiczne, jakoby te same widzenia, które razem z żywą wiarą w szarudze wieków przepadły. A rzecz to nie małéj wagi odtworzyć widzenie słowiańskie, gdzie się zachowało pojęcie ducha żywego, ucieleśnionego. Potrzeba na to nietylko formy biblijnéj, wyrażającéj stosunek rzeszy ludzkiéj do Boga, ale należy téj formie nadać typ wyjątkowy, pełen żywych wibracyj i plemiennéj fizyognomii. Ani oratorium, ani kantata, w swych urobionych kształtach, nie odpowiadają dostatecznie takowym warunkom. Bo niedość jest użyć wszystkich sił muzycznych: wielkiéj orkiestry, chórów i głosów pojedyńczych; nie dość jest wziąć modłę stylu religijnego lub romantycznego; lecz idzie o to że w osobie muzyka zespoleni być winni razem: poeta, malarz i mędrzec, że utwór wymaga głębokiéj charakterystyki psychicznéj. Przeczuwał to Moniuszko i ztąd praca jego w tym kierunku, ma pozór usilnéj dążności sztukmistrza, który chce odpowiedni dla swego ideału wynaleźć organ. Wielkie kantaty: „Nioła i Milda," zdają się być drogą do „Dziadów."

Pewnego wieczora siedział mistrz głęboko zamyślony w swoim pokoju. Od dość już dawna był to zwyczajny stan jego domowych wczasów. Wtém coś go tknęło; budzi się i prosi o zarządzenie spokoju w mieszkaniu. To była chwila, w któréj się skończyła mozolna praca ducha, w któréj na bolesną jego robotę spadło nagle światło. Ocknął się, bo ujrzał przed sobą wizerunek marzonéj kreacyi; więc chwycił pióro, skreślił plan, a w parę tygodni „Widma" z Dziadów już miały swą lirykę i dokończoną sceniczność. Tak długo a zacnie mistrz się gotował do poematu, w którym duch ludu w całéj swéj poetycznéj ukazał się działalności. A któż przed nim nie zadrży w Widmach Mickiewicza? Kto bez trwogi odczyta te słowa prorocze a pełne żywotnéj wibracyi? Kto się nie ukorzy na widok obrazu, co niby odtłoczyny życia ziemskiego, gdzieś w niedalekiéj atmosferze, z przedwiecznych rozkazów nad światem uwisł?! Trzeba go było na własne oczy obaczyć, zrozumiéć grę sceny, dobić się do piersi, zkąd niezwyczajne grzmiały głosy. Jak dotknąć lirą tak poważnéj treści? Jak odmalować obraz i wypowiedzieć mądrości słowa? Te były pytania, które mistrz sobie zadawał. Więc je rozstrzygnął genialnie, modłą wewnętrznéj pracy ducha i dla tego wydał kreacyę nadzwyczajną, która go stawia w rzędzie największych mistrzów sztuki. Tylko Beethoven posiadał w sztuce muzycznéj tajemnicę wypowiadania głębin duszy ludzkiéj. Moniuszko w „Widmach" zdobył bez zaprzeczenia tę samą tajemnicę, lubo przez nią zmierzył jedynie słowiańsko-ludową przepaść.

Czém jest cmentarna scena w Dziadach Mickiewicza? Przed niezbyt dawnemi laty, prawił wieszcz na katedrze payzkiéj wzniosłe o Słowiańszczyznie rzeczy. Z porządku wykładu, który miał filozoficznomissyjny kierunek, mówił wiele o pojęciach duchowych ludu słowiańskiego. Jak błyskawice, padały na słuchaczy zdumiewające prawdą spostrzeżenia. Lecz czy tak zawsze było, a zwłaszcza co do wniosków i rozumowania, niech na to odpowie jeden ze szczegółów. Mówiąc o widzeniach ludu naszego, prefessor porównywał je z temi, które w czasach minionych kierowały natchnieniem wielkich chrześciańskich mistrzów. Więc dowodził, jakoby na ludy słowiańskie spadła ta sama łaska widzenia duchów czystych i odtwarzania ich niepokalanéj obłoczy. Do takich wywodów doprowadzała mówcę wiara w nieprzerwany stan natchnienia u ludu. Wszak w imię téj wiary Mickiewicz zbudował przyszłe społeczeństwo słowiańskie gdzieś tak daleko poza granicami rozsądku, tak je odepchnął od kolei ludzkich rozwojów, że go chyba szukać wypadnie w najidealniejszych krainach patryarchalizmu, gdzie rozum, wola i wszystkie zbiorowe władze człowieka jeszcze nie dojrzały, gdzie sama dotąd rządzi władza intuicyi. Otóż zważyć należy, że widzenie czyste, widzenie jestestw, mających przymioty idealne, może być udziałem małéj liczby wybranych, obdarzonych. Jak szczupłéj garstce wybranych objawiły się ideały Chrystusowéj nauki, tak równie w szczupłym zastępie obdarzonych powtórzyły się widzenia, które przez sztukę miały na ziemię zstąpić. I wybrani i obdarzeni, to byli ludzie wolni, bo tylko wielkie wyzwolenie ducha, może człowiekowi dać moc oderwania się od ziemi i oglądania oblicza prawdy bezwzględnéj i czystéj. Patrz na dzieła Michała-Anioła, Tycyana, Rafaela i spytaj gdzie upatrzyli piękności nadziemskie i cuda przymiotów, których nigdy dość uczcić nie można. Oto w artystyczném obdarzeniu, w potęgach geniuszu twórczego, który sam jeden może miéć widzenia boskiéj natury. Słowo, obraz, forma, to są środki, za pomocą których najwyższe prawdy udzielają się ludziom; a któż ich potrafi użyć, skoro nie obdarzony, nie wolny duchem i od skorupy ziemskiéj nie oderwany wieszcz, poeta a sztukmistrz?! Możnaby powiedziéć, że ile jest wyzwolenia i mocy twórczéj w człowieku, tyle mu udzieloném będzie widzenia. Jakoż i lud je ma, bo posiada wiarę i nie daje się zgłuszyć ograniczonemu sceptycyzmowi. Atoli lud nie jest dostatecznie wolny. On skrępowany tysiącem biéd i kłopotów, przykuty do ziemi ciężkim łańcuchem stagnacyi. Więc jego widzenia noszą na sobie tę samą cechę, są obciążone drobnemi biédami i kłopotami, a rozścielają się tuż ponad nami, jeszcze w atmosferze ziemskiéj, nie mając siły wznieść się do góry. Święci ludowi, są jestestwami opiekuńczemi, czynnemi; lecz ich czynność obwarowana, ciasna, że się odnosi li do pewnego miejsca, do pewnego zajęcia, do pewnych stosunków. Ztąd téż pochodzi wiara w duchy pośrednie, czyli nasiedlenie świata widzeniami, które mieszając się do życia, łączą dotykalnie doczesność z wiecznością.

Nazywamy widzenia te przesądami, że są poronionym płodem wyobraźni, że ich nie możemy rozumieć zdrowo i trzeźwo, że nie są ani z rzeczywistości ani z ideałów, jeno z jakiéjś pośredniéj warstwy żyjącymi płazami ducha. Potępiamy je, że odrywają lud od ścieżek cywilizacyi. Lecz co jest w tych widzeniach powagą, to najprzód ich nieustanność. Od początków świata istnieją i istnieć będą w téj lub innéj formie, dopóki lud swego wyzwolenia nie dostąpi na ziemi. A potém jest w nich zadziwiająca przytomność żywota, nieubłagany związek następstw, który widokiem swym prostacze skrusza sumienia. Wyobraźnia snuje tu widok życia zaziemskiego bezpośrednio, dotykalnie i tworzy mądrość przedwieczną wedle praw natury, więc fizycznie ścisłą, widzialnie przyczynową.

Tę właśnie powagę umiał z prawdy, z ducha obrządków ludowych schwycić Mickiewicz poeta. Patrz na widma, co dla ulżenia wyroków zstępują na ucztę dziadowską, ile im różnéj cięży biédy. Źle aniołkom w niebie, że pomarli dziećmi i nigdy goryczy nie zaznali w życiu. I dziewczyna, choć czysta, lecz pusta i pierzchliwa, nie dozna szczęścia, bo kto nie dotknął ziemi ni razu, ten nigdy nie może być w niebie. A ów-że pan, co nigdy człowiekiem nie był?... Szarpią go pomordowane za życia istoty, patrzy na widok swych niecnót, bezkońca z głodu umiera, a dusza do ciała na wieki przylgnęła. Owóż ile w tych scenach jest ciepłego, ludzkiego uczucia, tyle wyrokującéj głosem przedwiecznym mądrości. Poeta przedstawił rzecz, nietylko w całéj plastyczności obrazu, nietylko w scenicznéj prawdzie obrządku, lecz w poetycznéj potędze religijnych wyznań, w nienaruszoném świetle filozofii ludowéj.

Obaczmyż teraz, jak sobie postąpił sztukmistrz, nadając głos, ruch i muzyczną formę poematowi. A głównie co do formy, nie można dość napodziwiać pełności, genialnego rozkładu i doskonałéj spójni najróżniejszych cząstek kompozycyi. Taka tu panuje harmonija, taki dostrój i wielki takt estetyczny, że słuchacz ogarnia nadzwyczajną potęgę rzeczy, przemawiającą razem do uczuć piękna i do uczuć sumienia. Najdzielniejsze moce słowa i muzyki wspierają się tu wzajemnie, w kolejnych pierwszeństwach wymowy, liryzmu, dramatycznych głosów, lub instrumentalnego obrazowania. Milknie ton muzyki w obec ważnych wyznań każdego widma. Malownicze praktyki i sceny ruchu, są prześlicznie uwydatnione kolorytami instrumentacyi. Nieraz oczarowany jesteś wspaniałością sceny, gdzie muzyka, stojąc na drugim planie, niby niewidzialny geniusz, lekkim tchem na pancerną postać słowa powiewa. Za to, co jest liryzmu i dramatu, co hymnu i nabożności, wyłania się z poematu olbrzymią siłą muzycznéj ekspressyi. Pięknie i rozumnie spolą się estetyczne dźwignie, to z siebie wychodząc, to pojedyńczo lub razem grając. Głównem tłem kompozycyi jest sama wymowa i styl religijny. Chór modlitwy rozlega przy końcu każdego wezwania, potém pociesza dusze i odprawę im daje. Dopiero na tém tle rozwijają się inne dźwi-

gnie muzyczne. W wielu miejscach znajdziesz nadzwyczaj oryginalny styl, jak naprzykład ów w trzeciém wezwaniu, gdzie frazes zrazu fugowany, rozchodzi się potém w tak szeroką, tak bogatą falę nieokreślonéj dźwięczności (sonorité), że zdaje się jakobyś pod samém sklepieniem niebios śpiewany słyszał chór. Niema tam motywu, lecz potężne rozbrzmiewanie echa i cudownych odcieni chóralnych. Owóż tyle jest w téj nadzwyczajnéj kompozycyi mowy, dramatu, liryki i obrazowości, a tak wspaniałym jest dostrój poezyi i sztuki, że nie można „Widm“ Moniuszki inaczéj nazwać, jeno arcydziełem niezrównaném, pomnikowém.

Poemat się rozpoczyna orkiestralnym wstępem. Cicho a uroczyście przeciągła harmonia rozlega. To wielkie akordy sekstowe, w fermatach trzymane, których wyraz sprawia wrażenie tajemnicze, że im odjęta jasność tonikalna. Więc cicho i głucho i ciemno i straszno, bo téż i dzwonek kapliczny przypomina, że się jest na cmentarzu. Nadzwyczajnym majestatem przejmuje to *largo*, co niby do świata umarłych wiedzie duszę słuchacza. Po nim następuje streszczona charakterystyka trzech widm, a każdy z obrazków kończy się tém samém tajemniczém przypominaniem cmentarza, wzywaniem do głębokiéj ciszy i duchowego skupienia. Jakoż sam wstęp już jest streszczoną—całością, jako orkiestralna symfonia poematu.

A teraz akcya. Całą osnowę poematu podzielić można na trzy wypełnione sceny z zakończeniem.

1) Po ogólném, głęboko religijnem wezwaniu duchów i szczególném przywołaniu dusz lekkich, wyjaśnia się horyzont muzyczny. Więc najprzód dwa aniołki do mamy lecą i „jak listek z listkiem w powiewie, kręcą się pod cerkwi wierzchołkiem; jak gołąbek z gołąbkiem na drzewie, tak aniołek igra z aniołkiem“. Muzyka wygrała całą pieśń o rzewnych skargach dzieciątek polskich. Luby ich szczebiot jeszcze myśli złożyć nie umie, a tylko jednostajnym motywem żali się i łkaniem o maluczkich biédach opowiada. Wszakże tyle jest w opowiadaniu anielskiéj wibracyi, tyle brylantowych łezek spada ci muzyką na serce, tyle jest dziecinnego karminu w migających tonach, iż mógłbyś w tym świetlanym obrazku łatwo do najcudowniejszych rozmarzyć się uroków. To osobliwa, cała w sobie muzyczna kreacya. Scenę zakończa głos wyroku, wypowiedziany słowem i powtórzony wzniosłą, religijną harmoniją chóru. „Bo słuchajmy i zważmy u siebie, że według Bożego rozkazu, kto nie doznał goryczy ni razu, ten nie dozna słodyczy w niebie“. Trzy razy po trzech widmach chór ów wystąpi, a zawsze cię przejmie do głębi, choć tak prosty w swym składzie. W kilkunastu taktach harmonija nadzwzcyajne przechodzi fazy. Zrazu cicha i jak modlitwa pogodna, potém się łamie i mąci, niby ludzkiéj trwogi wyraz, aż w ostatnim peryodzie rozleje niewysłowioną jasność, rzekłbyś światło niebiańskiéj pociechy. W całéj kompozycyi górując wielkością i prostotą stylu, zapewne chór ten najgłębsze wrażenie na słuchaczu sprawi.

Jeszcze chórem zaśpiewa wymowna w imię krzyża Pańskiego odprawa „a kysz“ i widmo znika.

2) Druga scena już z samego początku strasznemu dramatowi otwiera szranki. Ponure wezwanie zapowiada niezwykłe zjawisko. Wszak to potworny upiór, co „jak kość na polu wybladły; w gębie dym i błyskawice, oczy na głowę wysiadły, świecą, jak węgle w popiele; włos rozczochrany na czole, a jak suchy snop cierniowy płonąc, miotłę ognia ciska, tak od potępieńca głowy z trzaskiem sypią się iskrzyska.“ Na odmalowanie takowéj poczwary, rozwiązują się dramatyczne muzyki nawałnice. Chór grzmotami tonów wyrzuca z piersi straszne słowa wieszcza; poczém następuje arya, w której upiór swoją nędzę i cierpienia spowiada. Prowadzony w dramatycznych wykrzyknikach i w tragicznym kolorycie harmonii, śpiéw ten zdaje się unikać motywu, lub jakiéjkolwiek melodyjnéj pełni; bo tu idzie o muzyczny dla potęgi słowa wyraz, a nadewszystko, że z rozdartéj duszy potępieńca, nie może się dobyć inny głos muzyczny, jeno również rozdarty, zgrzytliwy, pełen jęku a bolesnego wołania. Po tych przeraźliwych jękach, wszczyna się bój okropny, bo kruki, sowy i orlice wpadają na upiora, wydzierają jadło, a szarpią ciało. Żarłoczne ptaki przedstawiają dusze ludzkie, co były pomordowaném, przez złego pana, biedactwem we wsi. Jak wyrazić muzyką ów dramat senny, gorączkowy, a jednak z prawdy w poetycznych widzeniach wylęgły? Mistrz rozstrzygnął trudność przyrodzonym sobie darem rytmowania muzyki. Chór nocnych ptaków, rozszalały w ruchu, uderza taką siłą akcentowania, że wyraźnie widzisz, jak duchy za bary się biorą i we wściekłym miotają się boju; słyszysz ich śmiéch szyderczy i wyrzucane pociski groźby. Odetchną chwilę i znów łomot a wrzawa, że aż ziemia stęka. W istocie, tak te akordy wstrząsają się z posad, takie ich brzmienie potężne a ruch gwałtowny, że słuchacz niemieje z przerażenia i nie odpocznie, aż ostatnia wybije mistrzowskiego utworu kadencya. Wtenczas się obejrzy i w zachwyt przejdzie, bo się przesunął przed nim nietylko poetyczny wizerunek widziadła, ale wspaniała, wypełniona sztuki kreacya. I znów ten sam chór Bożego wyroku, ale nieco odmienny w tonacyi, żałobny, minorowy, bo „kto ni razu nie był człowiekiem, temu człowiek nic nie pomoże.“

3) W trzeciéj scenie guślarz pali garść kądzieli. To ma wyobrażać niewinne a ulotne dusze, co „żyły z ludźmi pospołu, lecz od ludzkiéj wolne skazy, żyły nie nam, nie światu. Jako te cząbry i ślazy, ni z nich owocu, ni kwiatu; ani się ukarmi zwierzę, ani się człowiek ubierze; lecz w wonne skręcone wianki, na ścianie wiszą wysoko, tak wysoko, o ziemianki, była wasza pierś i oko!“ Przyzywa je ów znakomity chór z echami i odcieniami, o którym mowa była. Więc, jak tęcza po obłokach, zbiegła anielska postać, by „z uśmiechem na licach, lecz ze łzą w oku,“ zaśpiewać ludziom tak lekko a jednak rzewnie, że nie wiesz, czyli to pieśń anioła, czyli

tęsknéj dziewicy. W pierwszym dwuśpiéwie przemaga zrazu kołysana rzewność; potém uśmiéch szczęścia i znów tak silny, tak żałosny wybuch płaczu, że niepodobna ci będzie, słuchaczu, od wewnętrznego łkania się wstrzymać. Bo to właśnie tego szczęścia, którego pragnie, a które się jéj zawsze wymyka, dziewczyna tak serdecznie płacze. Woła na baranka, a baranek z daleka i motylek wciąż przed nią, lecz zawsze ucieka. Wszak cały chór żali się nad nią i rozdzierającym płaczem zawodzi. Lecz przebrzmią ciężkie westchnienia, a po nich nastąpi Zosi piosenka figlarna, co jest niby powtórzeniem téj saméj sceny, kiedy to chłopców kochania na ziemi wyśmiewała, a zawsze wesoła, tylko pustém „la-la-la“ ich ofiary zbywała. Niepodobna w płochości piosennéj więcéj znaleźć uroku, niepodobna wystawić sobie, o ile muzyką można wypowiedzieć ów luby ton dziewczęcia polskiego, co nie zalotnością, a jednak jest wdziękiem, co lekki, a przecież dziwnie w serce trafia. Nasycona pieśnią i grą uczuć w obłoczkach, teraz Zosia ukaże się na jawie. Ona szczerze a wymownie o swoich ślicznych opowié grzéchach i o nudach w niebie. „Przykro mi, że bezustanku wiatr mną, jak piórkiem pomiata; nie wiem, czy jestem z tego, czy z tamtego świata.“ Ów jéj stan, maluje się w leciuchnym szmerze orkiestry, aż i samo słowo z deklamacyi przejdzie w chóralną z muzyką jednię, pełną malowniczego charakteru, niby tchnień ludzkich powietrzne wzbijanie się i opadanie. I znów to lube widmo, co nas napieściło, a tyle do serca przypadło, żegna chóralny wyrok, w téj saméj, co dla aniołków religijnéj jasności.

4) Surowa krytyka estetyczna miałaby może niejakie prawo zganić mistrzowi, że nie poprzestał na trzech scenach, że zaczepił o czwarte widmo, owe zagadkowe, bez charakteru, które w Mickiewiczowskim poemacie, jako osoba intrygi umieszczone, ma dopiero późniéj w Dziadach się odsłonić. Na tém cierpi nieco całość kompozycyi. Ależ to właśnie szkopuł nie lada. Więc jak zakończyć? Bo trzebaż przecie cmentarnego obrządku miéć zakończenie. Więc dorabiać i psować tekst wieszcza?! A jakżeby dopiero krytyka na to krzyknęła! Przełożył tedy Moniuszko trochę mniéj w swoim utworze skończoności, nad lekkomyślne nieuszanowanie dla poety. Zresztą wzięła całą sprawę na siebie sztuka muzyczna, dając doskonałą pełnią kształtowanéj przez się formie. Bo w zakończeniu masz znowu wezwanie, potém świetny chór, dramatyzujący przerażenie ludu na widok widma, co nic nie mówi i z miejsca się nie rusza. Jakoż, lubo przeklęte widmo na placu zostało, czepiając się jakiéjś na cmentarzu pasterki, to muzyka zakończyła sceny obrządkowe głębokim finałem religijnym.

Oto słaby zarys dzieła, które w historyi sztuki polskiéj będzie po wieki niespożytą, nieocenioną świetnié wartością. Wyrzec to należy śmiało, bez obawy przeceniania swoich geniuszów, bo kto umiał nas, uprzedzonych a roztargnionych, przyciągnąć do ogniska naro-

dowéj poezyi, kto budzi miłość i jest w stanie zziębnięte rozgrzać srrca, kto tworzy taką piękność, że ona wszystkich, wielkich i maluczkich unosi, ten wart zapewne wysokiéj czci od wszystkich następujących po sobie pokoleń.

Tyle co do kierunku, w którym Moniuszkę widać zajętego ludem i naturą. Widma są tego kierunku najszczytniejszym płodem.

Lecz nie wszystka treść piękna da się zaczerpać z ludu. Tam zwarte okopy; więc wszystko, co w nie wpada, nieruchomieje, zamienia się w stałe jezioro. Są ducha przymiotniki, których w onym stoku wcale nie znajdziesz, bo one się wyrabiają i istnieć mogą tylko przez ruch, bo są wynikiem pewnéj roli, przez czynne warstwy społeczne odgrywanéj. Razem z tą rolą znikają ze sceny i tylko długoletnie, czynne i postępowe usiłowania, odrodzić je są w stanie. Zapał, szlachetność, wspaniałomyślność, cnoty rycerskie i obywatelskie, oraz wiele innych, tak cywilnych, jak bohatérskich przymiotów, wynikały z czynu, z roli, jaką społeczność w danym czasie na siebie przyjęła. Co się stało z pięknemi cnotami szwaleryi średniowiecznéj? Znikły z nią razem i dziś są nam zupełnie obcemi. Szydzimy z honoru, z romantycznéj idealności, zgoła z tego, co było przymiotem krzyżowników chrześciańskiéj idei. Podobnież spytamy, gdzie się podziały zaszczytne przymioty szlachty francuzkiéj: patryotyzm, waleczność, humanitarne natchnienia? Zapadły wśród demokratycznego wulkanu, że szlachta francuzka nie chciała wybuchu przewidzieć, że uporem zgrzeszyła i nowym ludziom nic ze swéj roli nie ustąpiła. Szkaradnie też wygląda owa szlachecka skorupa, zkąd duch uleciał i tylko śmieszne pozostały pretensye. Jakby na szyderstwo, to, co w niém dodatniém było, teraz w ujemne się zamieniło. To samo powiedzieć należy o bardzo wielu cnotach polskich, które kiedyś zaszczytną rolę grały i pięknym ogniem, jak klejnot błyszczały. A dziś przygasły, rozczyniane bezustanku w chemicznéj retorcie czasu. Co wygotuje retorta, nie wiemy, lecz to pewna, że w nią wpadł brylant, który przez długie smaży się lata. Owóż z czynnych przymiotów, o których mowa, składa się byt społeczny. Piękność budowy towarzyskiéj, widok spraw publicznych, tysiączne obrazy i kształty życia, mające wyższe znaczenie i wartość,—rodzą się, czynią i przemieniają, jedynie na gruncie uprawnym, ciągle poruszanym. Źle jest, gdy nic nie zejdzie, lub gdy wybuja; wtenczas głód nastąpić musi, bo lud ci nic nie da na zapomogę, bo on sam w téj dziedzinie ducha ubogi, a sieje tyle, co mu na szczupły zasób potrzebne. Wtenczas zajrzéć należy w przeszłość, spytać ojców jak rolę uprawiali, jaki posiadali talizman, że pod ich znojem obficie rodziło złoto i srébro i pożytek i piękność, a to w czystym, samorodnym stanie.

Powyższa uwaga dostatecznie tłumaczy, dlaczego publicyści, literaci i moralni koryfeusze, zaglądają w ubiegłe dzieje, przywołując

na uwagę dawno minione cnoty i przymioty. Ich posłannictwem jest właśnie wyższa uprawa społecznéj roli, wypełnianie luk tém wszystkiém, co zacne, co kiedyś było, a czego dziś zbrakło, wprowadzanie na stopnie szlacheckie coraz większych zastępów ludzkiego rodu. Francuzka szlacheckość wiele ze swych przymiotów była szkole rzymskiéj winna. Polska również od starożytnych wzorów wiele przyjmowała. Jeśli tedy literatura i moralne przewodnictwo, usiłują przez żywą tradycyą wiązać ze sobą przymioty, to tém bardziéj sztuka znajdzie tu niewyczerpane skarby dla siebie. Sztuka przedstawi piękno w całéj pełni życia, jak ono w postaciach i osobach czyniło, a nadewszystko potrafi dać wizerunek przymiotów oczyszczony, wolny od przysporzonych mu w dziejach opinij i względów. Sztuka, mocna jest olbrzymi promień na pewien przymiot rzucić i dlatego wciśnie nam do serca jakąś cześć nieznaną, podniesie jakieś uczucie spłowiałe. Jest w germańskiém muzeum w Norymberdze freska Kaulbacha. Otto III wchodzi do grobu Karola Wielkiego, chcąc się przypatrzéć postaci mocarza, który, wedle podania, miał kazać się pogrześć w siedzącéj postawie. Więc siedzi na tronie ukoronowany i z berłem w ręku. On trupem, a jednak patrz, jaka w nim moc zaklęta, rzekłbyś skamieniały potężnego żywota posąg. Wszystko, czém był, stwardło na wieczność w rysach i w postawie. Niedziw, że widok tego olbrzyma przeraził Ottona, że światło wypadło z ręki przewodnika, że towarzyszący królowi duchowny, błaga o cześć dla umarłego. To téż w jednym obrazie, w jednéj postaci oglądasz historyą stalowych przymiotów, któremi Karolowa słynęła monarchia, a którą niemiecki artysta z uczuciem dumy, chciał, jako minioną zacność, dzisiejszemu przedstawić pokoleniu. Otto III nie był zwolennikiem niemieckiéj cywilizacyi; owszem, przychylał się raczéj do południowéj i chciał romanizm w swojém państwie zaszczepić. Otóż artysta pokazał mu, czém był geniusz germański, ów samoistny twórca kultury, a samym widokiem przeraził duszę nieoględnego reformatora. Więc niby symbolicznie i do dzisiejszego przemówił czasu i dzisiejszą przestrzegł Germanią.

Moniuszko z wielkiém upodobaniem w szlachecką zaglądał przeszłość i miał do odtwarzania pięknych przymiotów dar osobliwy. Świadczą o tém całe opery: Hrabina, Straszny Dwór, Verbum nobile, gdzie tak pełno postaci szlachetnych, a takie dostojne, lube i ogniste staro-polskiéj cnoty dźwięki. Mówiłem, że sztuka najchętniej swój przedmiot z oddalonych widoków czerpie, bo znajduje spełnioną całość rzeczy, bo tam artysta ogląda i ducha dojrzałość i formy wykształtowanie. Sztukmistrz, zapalony myślą swego czasu, tą, która jeszcze błędnemi, niesformowanemi po horyzoncie przelatuje ognikami, może ją odgadnąć, może ją odtworzyć szczytną i poętyczną, lecz nie zawsze uda mu się doskonałość utworu. Znać to po utworach mistrza naszego. Halka, jako całość, jest więcéj poetyczną, wieszczą, pełną ognistych zapałów ducha; zaś Hrabinę, Straszny

Dwór i Verbum nobile odznacza przeważnie śliczna forma i pełność rzeczy. Czuł to sam Moniuszko, gdy wiele razy napastowała go chętka artystycznego wykończania Halki. Do tamtych nie potrzebował przykładać ręki, że mu się odrazu ułożyły. W Halce mistrz się zapalił do ludu, a młodzieńczém uczuciem uwielbił ideę wyzwolenia, więc ideę, która jeszcze nie dojrzała w czynie i która powolnym a rozsądnym torem ku swemu spełnieniu iść musi. Egzaltacyą odznaczy się poeta, upatrujący apoteozę tam, gdzie dopiero jest praca. To też w Halce bezwątpienia egzaltacya przemaga. Ona stanowi wartość utworu poetyczną, wzniosłą, znamionującą wielkie siły młodocianego natchnienia w mistrzu. Ale utwór podobny, jeśli zachwyca i zapałem unosi, to nie przylega do serca moralnie, nie potrąca o uczucia dobra, o te, które jedynie widokom rzetelnie przedstawionego piękna wtorują. Otóż niech jeno mistrz nasz swą lirę na ton staro-szlachecki nastroi, niech wpadnie na tradycyonalny wizerunek domowéj cnoty polskiéj, wtenczas się w nim uśmiecha dusza artystyczna, jak gdyby na widok pałaców, którym nic nie brakuje, a w których i mięszkańcem jest pan, co się zowie. Patrz na te postacie, wykute przez Moniuszkę w tylolicznych formach ruchu lub liryki. Tam taka pełnia sceniczna, a tak pięknie wygląda rzeźba ducha, że i ty artystyczną uśmiechniesz się radością, przejmując prawdziwe, sztuką ożywione cnoty, o których z głuchéj tylko wiedziałeś tradycyi. Boć tu oglądasz doskonałość typów i mistrzowskie, co do najdrobniejszych odcieni, wzorowanie przymiotów narodowych. Z dziwnym artyzmem umié Moniuszko swoje postawić historyczne osoby, dać im akcyą, a nadewszystko wypowiedzieć ich przymiot bogactwem mowy, głosem i instrumentacyą.

Jakoż do tego drugiego kierunku odnieść wypada najwytworniejsze ze wszystkich dzieło—Sonety Krymskie. Bo lubo tu nie ma jawnego wspólnictwa ze szlachectwem moralném, lecz jest szlachetny przymiot wyobraźni, dostojny i wykształcony władz psychicznych polot. Umieją te władze prowadzić człowieka w świat wybranych widzeń, dając mu postrzegać myśl w każdéj kropelce istnienia, rozumieć piękność w stosunku Stwórcy do stworzenia. Czego gminna wyobraźnia nie jest w stanie ułowić, to w całym blasku jawi się przed wykształconą myślą. Co duszę prostaczka kurczy i przeraża, a we wrażeniach zapisuje mu się niekształtnie i mytycznie, że li z płaskiego poziomu na świat poziera—to orli duch poety-artysty, oglądając z góry, bez lęku i spokojnie, odtwarza w ogniach swoich na sztukę. Nieogarnione światy odbijają się w nim, jakoby w czarownem zwierciedle, a on, istny syn Niebieskiego Mistrza, olbrzymie makrokosmy cudownie w mikrokosmiczną piękność zamienia. Taką pięknością są Mickiewicza Sonety. Więc są istotnie mikrokosmicznemi wizerunkami tych tworzydeł natury i tych, przez gromady lat ułożonych pamiątek, które wieszcz na południowym Wschodzie Europy oglądał. On był wówczas nietylko poetą, lecz kipiała w nim

młodość artystyczna, ta, która wszystkie kształty, dźwięki i ruchy miłośnie ogarnia, przedzierając się przez nie w świat ducha i kojarząc niebo z ziemią prześlicznym ślubem. Patrz co jest obrazu i szlachetnéj myśli w kilku wierszach każdego sonetu. Wznoszą się majestaty natury i cała kapela gra, tu pieśń hymenów, tam chorał niebieski; a wśród nich stoi wieszcz ze swą lutnią i pędzlem, istny orzeł, co w locie słowo przyrodzenia chwyta. Stoi pełen światła i uwielbienia, a myśl jego zestawi ze sobą rozpierzchłe powaby i nieraz w tę odludną stronę przyniesie jakiś wdzięk nieznany, to wonny kwiatek uczucia, to westchnienie, to myśl strzelistą, to głęboką zadumę pielgrzyma. Patrz jak cisza morska zamienia się w jego wyobraźni na marzącą o szczęściu narzeczoną, co się budzi by westchnąć i wnet znowu usypia. A choć tak uroczo morze spoczywa, to wszak na dnie jego jest polip, co się chowa wśród burzy, a na ciszę długiemi wywija ramiony. I myśl człowieka spokojnie oddycha, lecz na dnie ukrywa hydrę pamiątek, co śpi, jak polip, wśród namiętności, a żyje gdy serce ukołysane. Nic wspanialszego nad obraz Czatyrdahu; nic szlachetniejszego jak owa łza cudzoziemca, uroniona na mogiłach haremu.

Tyle jest wzniosłych myśli, uczucia i pędzla w Sonetach Krymskich, iż nie dziw że zapragnął Moniuszko swą fantazyę muzyczną na te same przenieść widoki. A chciał kompozytor nie tylko muzyką wyrazić mikrokosmiczne wieszcza obrazy, lecz posiąść cały skarb wrażeń, objąć własnym duchem artystyczną poety pielgrzymkę. Zdaje się tedy, że nietylko się wczytał w myśl Mickiewicza, ale sam na brzegi Krymu poleciał, widział noc wschodnią i króla gór i burzę, a nawet cień samego poety, jak płynie po Akermańskim stepie i słucha czy nań głos z Litwy nie woła. W żadnym utworze nie widzieliśmy Moniuszkę tyle swobodnym, tak potężnie i samodzielnie władającym fantazyą. Bo jeśli dotąd, wierny prawom pieśniarstwa i sztuki scenicznéj—lubo zawsze estetyczny i niezależny—sprzęgał swą nutę z tekstem, to w Sonetach zupełnie nad symbolami słowa zapanował, a rozparł się w ramach wspaniale, po mistrzowsku. Obaczymy, o ile w istocie te poemata muzyczne są zupełne i doskonałe, o ile samoistnie piękne. Wszak już w samym planie kompozycyi chciał mistrz pewną artystyczną całość zawrzéć. Więc z seryi Sonetów wybrał najprzód te, które są najwięcéj obrazowe i liryczne, a potém te, które najlepiéj ze sobą wiąże jeden ciąg gry i ruchu, jedna spójnia myśli. Ośm scen składa się na ten poemat uroczy, a wszystkie przedstawiają niby jedną poetyczną przygodę pielgrzyma. Najprzód rozmowa z morzem; potém okręt i rozkoszne po przestworzu żeglowanie. Wnet burza zaskoczy podróżnika i postawi go bohatérem spokoju wśród zrozpaczonéj załogi. Teraz oględziny co piękniejszych widoków, z których urasta historyczna duma o Bakczesaraju, opis cieniów wśród wschodniéj nocy i hymn do Czatyrdahu. Z kolei pielgrzym, upojony, rozmarzony, zatęskni do Li-

twy i do kochanki i nakoniec uczyni spowiedź w epilogu, gdzie prześliczne porównanie odkryje czém jego serce, czém namiętności i pieśń przy bardonie. Pójdźmy i my za tém artystycznem wiązaniem obrazów w poemacie Moniuszki.

1. Intrada. Orkiestralny wstęp niekoniecznie jest eklektycznym wyborem motywów kompozycyi, ani też oderwaném przygotowaniem słuchacza. Owszem, należałoby go uważać jako poetycznie pomyślany prolog. Bo po kilku taktach, przypominających sonet o „Ruinie," mistrz rozwija tę samą melodyę, co ma później, w przedostatnim sonecie, wyśpiewać tęsknoty pielgrzyma do stron rodzinnych. A taka ta melodya melancholicznie romansowa, taka litewska, że słuchacz we wstępie łatwo pieśń pożegnalną wystawi sobie. Pełna czarów i wspomnień dusza poety, pierwéj się obejrzy na ziemię rodzinną, pierwéj ucałuje ją pieśnią, nim spojrzy w świat obcy, daleki. Wymowne jest niknienie śpiewu i rozczynianie w coraz delikatniejsze brzmienia. To niby głos oddalającego się podróżnika, od którego wiatr przynosi jeszcze jedno westchnicnie, jeszcze pocałunek. Arfa i instrumenta harmoniczne gubią w zefirowych tchnieniach śpiew, co pod smyczkiem się motywował i pod smyczkiem też coraz bardziéj zamiera.

Część pierwsza.

2. Cisza morska. Wspaniale i uroczyście duch morza przemawia. Szeroko rozłożone akordy dźwięczą długiemi pedałowemi brzmieniami, to się zmieniają powolnie w pozycyi, to o różne trącają odległości basowe. Ich gra bez rytmu, poważna, nieokreślona; dźwięczność prawie tonikalna, rzekłbyś wielki hymn, na organowym falujący burdonie. Bo też w istocie, to hymn oceanu, ów tyle przenikający pomruk olbrzyma, który dziwy o swojéj potędze, o wewnętrznych tajnikach powiada. Patrz, wszak tylko bałwany spokojnie się kołyszą, a przecież w owym ruchu fizycznym słyszysz głos wewnętrzny, którego nazwać nie umiesz, przed którym malejesz i drżysz, że go nie możesz zrozumieć i w twéj piersi pomieścić. Otóż na téj tajnéj harmonii ścielą się głosy ludzkie. One również uroczyste, spokojne, zdają się być chórem oceanid, wielbiących majestat morza. Na chwilę symfonia nieco przycichnie, bo wieszcz co słuchał, ma do niéj słowem przemówić. Więc w solowéj recytacyi uniesie się ludzkiém uczuciem i wypowié ową piękną myśl o polipie w morzu i o pamiątkach w człowieku. Dziwnie cię przejmie to rzewne, gorące słowo poety, wśród śniącéj i ostygłéj harmonii przyrodzenia. I znów po recytacyi zamruczy burdon, znów morze i chóry szeroką odetchną piersią, aż cała ta nieruchoma muzyka zupełném zakończy się zdrętwieniem i zupełną tonów ciszą.

3. Żegluga. Wszczyna się ruch, jakiś raźny, porywczy, akcentowany. Szum coraz większy sprawiają dyssonansowe dreszcze tonów. Wnet się rozwiną dźwignie orkiestry i poczną rozliczne wytwarzać figury. Więc mienią się, to łamią we wzory, to wymawiają

symbole, to rzucają perlisty deszcz nutek, a wszędzie żwawy ruch i energiczna rytmika. Poznajesz w tém żeglowanie statku, co wchodzi na morze dumnie, przewala się, depce fale i kark wznosi do góry. A tu wiatr szumi i morskie snują się straszydła i majtek na załogę woła. Więc nie dziw że i podróżnych grono chórem ruchowi zawtórzy, że mnóstwo serc zabije i gwar wykrzykników wyda. Lecz słuchaj, wśród téj figuryczności i rzucanych okrzyków, wywięzuje się prześliczny frazes, śpiewny a jasny, co jest niby weselem, niby wyrazem uczuć szczęśliwości i nadzwyczajnego ządowolenia. Taką pieśń nie jeden z nas śpiewał sobie w duszy, pełen wewnętrznéj dumy, że jest panem na jakiémś wielkiém przestworzu, że upieszczony pogodném natury obliczem. Ów frazes, z czterech tylko taktów złożony, świetnieje ponad kompozycyą i daje obrazowi niezmiernie idealną piękność. Po mistrzowsku prowadzony, on ciągle obecny, raz w orkiestrze, raz w chórze, to się wiąże kontrapunktycznie, to wpada na modulacye, by w coraz świetniejszych wystąpił kolorach. Obraz się kończy nader świetnym finałem.

Ale patrzmy że jakiś brak w tym sonecie estetyczną uwagę razi. Zdaje się jakoby mu coś odjęto i przymusowo finał narzucono. Jakoż w istocie, brak mu pełnéj myśli wieszcza, który nie samo opisowe dał nam malowanie żeglugi, lecz siebie w obrazie postawił. Jak okręt wśród odmętu, tak również duch poety buja, odczuwa lekkość i lubość, ptakiem się nazywa. Dlaczegoż mistrz pominął ten młodzieńczy wzlot myśli? Dlaczego do połowy obciął natchnienie Mickiewicza? W rękopiśmie orkiestrowéj partytury jest „Pieśń młodzieńca," numer zupełnie osobny, jako dopełnienie „Żeglugi." Wszakże ów numer, ręką mistrza skasowany, nie zdaje się być przeznaczonym do publicznéj reprodukcyi. Zresztą, jak rzekłem, on jest całością w sobie i żadna nić zewnętrzna nie łączy go z ową tak stanowczo zakończoną pierwszą częścią poematu. Ztąd też wynika, że sonet o Żegludze najmniéj ze wszystkich jest pełny i skończony.

4. Burza. Mamy przed sobą scenę tak dramatycznie bogatą, że jéj nie zdoła żadne opisać słowo, gdy myśl się kruszy i maleje pod wrażeniem dźwięków jakie tam grają. Muzyce tylko przystoi w tę przepaść zajrzéć; geniuszowi sztuki odkryć się jedynie może tajemnica tego, co wydał w całéj potędze geniusz przyrody. Sztukmistrz przetrawi duchem gwałt, zrozumié tragiczność, przeboleje wszystkie momenta, jak gdyby sam był na porwanym przez burzę statku i ze śmiercią, twarz w twarz się spotkał. A wiész ty czém jest wówczas człowiek? czém ta wypieszczona przez ziemię i wygrzana na słońcu kruszyna, gdy się nagle znajdzie między otchłanią a niebem, wśród rozwartych paszcz i ryków natury? Widziałeś-li kiedy oblicze takiego człowieka? Słyszałeś-li jego słowo, przekleństwo czy modlitwę, spokój czy rozdarcie? Znać mistrz nasz przebolał i przetrawił, znać całém jestestwem stawił się w tragicznéj chwili, skoro tak wymowny umiał stworzyć ideał dramatu. Poemat rozpoczynają orkiestrowe

preludye, pełne żałosnego wyrazu, jak gdyby wypowiadały smętny nastrój duszy i złowrogie przeczucia załogi. One w pewnych chwilach wybuchną powszechną trwogą, a coraz silniéj uderzą, coraz potężniejsze sprowadzą muzyki orkany. Wtenczas chór do nich się łączy i pełnią dramatu roztacza. Słyszysz ryk wód i głosy przerażonéj gromady; one coraz trwożniejsze, bo już ster prysnął i ostatnie liny wyrwały się z ręki. Nie dziw że popłoch w ruchu instrumentacyi, że tak się często zmieniają barwy toniczne, bo tu co chwila inny obraz natury, inne kolory i kształty, inna modulacya psychicznego stanu w człowieku. Więc się przewleką te stany w kompozycyi, bo je wszystkie należy wyczerpać, jak niezbłaganie wyczerpuje sama prawda dramatu. Tu czarna rozpacz, wnet błysk nadziei, a ileż jeszcze pośrednich barw i cieniów, ile sprzecznych potęg światła i ciemności, skoro człowiek duchem stanąć jest mocen i wzgardzi bałwanią mocą żywiołu. Słuchaj strasznego pochodu chromatycznych akordów, jak wstępują w górę i w przerażającym ruchu na dół się walą. To mokre góry, co z morskiego wznoszą się odmętu; na nich geniusz śmierci stanął i jak żołnierz do szturmu, tak on mierzonym krokiem na statek idzie. Zdaje się, że go widzisz w pochodzie i słyszysz okropny krzyk chóru, a potém przeciągłe jęki i tragiczne łamanie głosów i rozpaczliwe rzuty, aż wreszcie cały ów pathos powoli się rozjaśni i zcichnie. Zostanie głęboki ton pedałowy, na którego przeciągłém brzmieniu motywuje się preludya, niby wzniosły głos modlitwy przed śmiercią. I oto, wśród téj uroczystéj chwili wystąpi pielgrzym, którego spokojny, nieco ironiczny monolog, dziwną sprzecznością cię uderzy. On wzrokiem mędrca patrzał na dramat, a nie dając się trwogom opanować, te tylko wyrzekł stoiczne słowa: „Szczęśliwy kto siły postradał, albo modlić się umié, lub ma z kim się żegnać!“ Znów się zrywają orkany i te same powtórzą się sceny tragiczne, więc gwałty, rozpacz i jęki, w wymownych barwach, lecz zawsze w granicach muzycznego piękna. One ku końcowi coraz tracą na mocy, aż się zamienią zwolna w przeciągłe brzmienia harmoniczne, niby głuche westchnienia, a potém już cicho i pusto, jak gdyby w istocie geniusz śmierci rozgościł się wśród ludzi. Tylko rzewna, jednotonna preludya minorowa, daje słuchaczowi smutne wrażenie końca dramatu. To niewypowiedzianie piękne. Ta głęboka pustka po burzy, ta żałosna cisza po gwałtach, piszą w duszy słuchacza tajemnicze słowo końca wszech-cierpień, w jego najpoetyczniejszém znaczeniu, w znaczeniu śmierci.

Część druga.

5. Ruiny (Bakczesaraj). Smutnie wygląda niegdyś możnych Girajów stolica. Pełno świadków potęgi i dumy, pełno resztek przepychu, jeno duch życia uleciał, a na jego miejscu osiadł duch zniszczenia, z czarną zgrają żołnierzy. Kroczy to wojsko i szczerbi co pięknem, wykreśla co wzniosłém było. Tu gospodarstwo gadziny i szarańczy, a wszystka dzicz ślepa z tryumfem na dzieło ludzkie

włazi. W środku sali naczynie haremu. Ono dotąd całe, jeszcze miłosnych śladów pełne; więc sączy łzy żalu i woła: „Gdzież jesteś o miłości, potęgo i chwało! Wy macie trwać na wieki, źródło szybko płynie: O hańbo! wyście przeszły, a źródło zostało.....“ Jak mara cała treść znikła i tylko smutne echa, grając żałobną nutą, wciskają się do duszy przechodnia. On z historyą w ręku, z pamiątką w sercu, znać bywał nieraz na zgliszczach żywota. Więc umié czytać tajemnicze słowo, które czas zapisuje na niezmiernéj przestrzeni pomiędzy przeszłością a chwilą obecną. Podobnież nie jeden z nas, gdy to słowo czytał, pewnie krwawo zapłakał na zwaliskach rodzinnych, pewnie głębokiém uczuciem zapłakał wśród zwalisk obcego, niegdyś możnego rodu. I mistrz nasz tém uczuciem zapałał. A zważ, że nadto okazał nadzwyczajną żywość wyobraźni co do ujęcia przedmiotu. Massę muzyczną prowadzi tryumfalny rytm, rzekłbyś powolne, nieubłagane kroczenie czasu. Zdaje ci się że widzisz tego Maga, co liczy lata, dnie i godziny, a równém je wybija *tempem* na murach ziemi i na sercu ludzkiém. Tak kroczy czas. Na widok jego ruchu, wykrzyknie z przerażenia żyjący człowiek, a echo ruiny żałośnie odpowié. Niepodobna opisać wrażenia, jakie sprawia ów orkiestralny krzyk i następujący po nim cichy odgłos pustkowia. Ale potężniéj jeszcze wstrząśnie słuchacza rozdzierający, dyssonansowy wybuch chóru, który z głębi duszy swojéj wymawia wieloznaczące słowo: „Ruina!“ Ów chór, jak gdyby uczuciem streszczał znaczenie wyrazu, znów powtórzy smętnie a cicho: „ruina!“ Taki sam wybuch tłumaczy słowa poety o minionéj miłości. „O hańbo! woła chór rozżalony, miłość przeszła, a źródło zostało.“ To najpiękniejszy ze wszystkich sonetów, że w nim uczucie z wyobraźnią, sztuka z poezyą, w doskonałéj są spójni. Trudno o wymowniejszą muzykę nad tę, co daje opis przedmiotu i jego liryczny ton w pięknym, idealnym i żywym do siebie stosunku.

6. Noc (Bakczesaraj w nocy). Miękko, stłumionym dźwiękiem gra rzesza wybranych instrumentów. Słychać leciuchne kadencye solowego czterośpiewu, niby peryodyczne szepty rozmowy wśród preludyi natury. Arfa przewodniczy kołysanym ruchem i basowa nuta przeciągłym szmerem w powietrzu rozlega. Więc przykładasz palce do ust, oddech w piersi tamujesz; bo to jakieś czary, z których ani jednéj nutki uronić nie wolno. Wszak to wschodniéj nocy muzyka. Patrz w górę: srebrny król niebios dąży do kochanki, a na szafirowym stropie tysiące ócz, niby gorące spojrzenia hurysek, coś między sobą mówią. Niebo miłością i szczęściem rozgwarzone,—ziemia szepce swój pacierz. Tam muzyka błyskawic i zalotów, tu muzyka snów i cieniów. Oboje schodzą się ze sobą i tworzą cichy, niby niemowy, lecz pełen czaru chór harmoniczny. Niech tę grę nocy sztukmistrz zrozumié, a stworzy tak piękny poemat, jak ów naszego mistrza. Uważ tę śliczną kołysankę śpiewu w fugowanym stylu, co się snuje czarodziejsko, niby myśl senna bez początku i końca. Jéj

toniczna barwa uroczysta, ruch pełen tajonego wdzięku. W drugiéj połowie utworu rozwija się arabeska instrumentalna, wśród któréj chór te same marzenia i miłosne uroki nocy wyśpiewa. Mistrzem takich kreacyi, gdzie myśl w najdelikatniejsze przezrocza marzeń przechodzi, był bezwątpienia Schuman, ów Rychterowski poeta w tegoczesnéj muzyce niemieckiéj. Sonet Moniuszki nie zaleca się tą samą romantyką co do fantazyi, lecz za to ma większą pełnię, skończoność i więcéj jako ideał do serca przemawia.

7. Hymn (Czatyrdah). Swoje uwielbienie dla Czatyrdahu przeniósł Mickiewicz na tatarskiego mirzę, który w przepysznéj figuryczności sławi górę—olbrzyma. Zowie go masztem krymskiego statku, minaretem świata i gór padyszachem. „Ty nad skały poziomu uciekłszy w obłoki, siedzisz sobie pod bramą niebios, jak wysoki Gabryel pilnujący edeńskiego gmachu; ciemny las twoim płaszczem, a janczary strachu, twój turban z chmur haftują błyskawic potoki.“ Otóż w tém apologicznem uniesieniu chcąc widzieć głos powszechny, wyraził Moniuszko chóralnym hymnem jakoby uczucia zamieszkałego u stóp Czatyrdahu ludu. To styl wielkich hymnów, jakie spotykać się dają w oratoryach, lub zgoła w muzyce religijnéj. Tym zwłaszcza poważnym stylem śpiewane są piérwsze dwa czterowiersze, gdzie myśl, podniosłém uczuciem wezbrana, zdaje się wielbić Stwórcę w dziełach stworzenia. Potém słyszysz bolesną, przejmującą skargę. Jest coś psalmodycznego w narzekaniu, jak gdyby gorzki wyrzut uciśnionego ludu. „Nam czy słońce dopieka, czyli mgła ocienia, czy szarańcza plon zetnie, czy giaur pali domy—Czatyrdahu! Czatyrdahu! ty zawsze głuchy, nieruchomy!“ I znów po wynurzeniu ziemskiéj skargi, chór, wpatrzony w wierzchołki, kędy stworzenie z niebem się styka, wpada w religijny zachwyt. Więc uroczystą a niemową harmonią, ledwie dosłyszaném tchnieniem, wyśpiewa najszczytniejszą Czatyrdahu chwałę, zowiąc go drogmanem pomiędzy światem i niebem, słuchającym co mówi Bóg do przyrodzenia. Wspaniały to hymn, a już sama myśl nadania poezyi znamienia religijnego, stanowi niezmiernie wzniosłą, moralnie piękną stronę utworu. Pełen czci słuchasz, jak gdybyś się znajdował w onéj świątyni, gdzie stropem gmach nieba, ołtarzem rzeźbiony ręką Stwórcy potężny posąg.

Część trzecia.

8. Pielgrzym. Romansową pieśnią wypowiedział mistrz tęsknoty wieszcza do stron rodzinnych. „Litwo! piały mi wdzięczniéj twe szumiące lasy, niż słowiki Bajdaru, Salhiry dziewice; i weselszy deptałem twoje trzęsawice, niż rubinowe morwy, złote ananasy.“ Potém westchnienie do téj, którą poeta kochał w dni swoich poranku: „oną w lubéj dziedzinie, gdzie jéj wszystko o wiernym powiada kochanku, depcąc świeże me ślady, czyż o mnie pamięta?“ Taki nastrój uczuć, nie zdawał się być czém inném mistrzowi, jeno romansem. Solowy śpiéw Moniuszki tłumaczy go zbyt rozwlekle i jednostajnie, tak, iż żaden ton po za strychulec nużącego spokoju

nie wychodzi, a wszystkie się przykrywają gazową mgłą muzycznéj bierności. Owóż taka jest psychologiczna natura romansowego usposobienia, że w niém uczucie człowieka, niby spowite, traci na ruchu i energii, owszem, traci nawet prawo do wszelkiéj określnéj nazwy, bo to stan nieświadomy, niejasny, nieuprzedmiotowany. Zbyt romansowe kochanie, nie jest prawdziwą miłością; to téż zwykło ono trapić dusze niewieście, owe ku skrajnemu idealizmowi zwrócone, które nie umieją dać przedmiotom swoich upałów ni ciała, ni barwy. Sztuka nie może przyjąć takowych warunków bez ograniczenia. Ona jest formą, ruchem, kolorem i to jedynie moc jéj stanowi. Czém się stanie w sztuce ideał bierności, którémuby ani stroną zmysłowa, ani moralna, nic ze swych uroków nie udzieliły? Zupełném zdrętwieniem życia, niezrozumiałym, rozrzedzonym symbolem zagadkowego stanu w człowieku. Trzeba tedy umiéć go rozjaśnić i ożywić, więc raczéj syntetycznem pięknem, niż analityczną prawdą wystawić. Zauważyliśmy już, że Moniuszko nie miał daru romantycznego odtwarzania zbyt niejasnych, nieuprzedmiotowanych stanów. Co nie jest samo z siebie organicznie piękném, co nie gra wyraźną liryką serca i nie stawi się przed oczy harmonią, obrazem lub charakterem, tego już nie może rozumiéć dusza prosta, wyobraźnia treściwa. Każdy romans naszego pieśniarza natury, naszego liryka i epicznego poety, snuje się naomack, przewleka bez miary, traci formę i tę wymowną siłę treści, jaka we wszystkich utworach jego pięknie, czarodziejsko na jaw wychodzić zwykła. Tak się téż przewleka romans Pielgrzyma. Ten sam motyw tęskny i sympatyczny co do śpiewnego natchnienia, nierównie wymowniéj jawi się we wstępie, gdzie go kompozytor artystycznie wykończył.

9. Epilog (Ajudah). Oparty na skale, wpatrzony w bałwaniste morze, pełen zadumy pielgrzym, snuje myśl głęboką. Wnet odbierane wrażenia wciągną go w szybki wir uczuć i wyobraźnia pobieży za grą bałwanów, co wspaniale się toczą, trącają o mieliznę i jak wojsko wielorybów, zalegając brzegi, miecą za sobą muszle, perły i korale. Pełne jest wezbranych uczuć to *agitato* pieśni: zda się, że w wyobraźni wieszcza bałwany rosną, że rozdymają pierś jego, mienią się w żyjące istoty i jakiś liryczny dramat z sercem zawiązują. Dlaczego myśl o bałwanach i perłach taka gorąca, trwożna a rzewna? Bo bałwany—to namiętności; perły—to natchnienia poety. Choć te uszczęśliwią na chwilę, za to tamte gwałtownie wzburzają. Więc skarży się przed sobą i z trwogą w przyszłość pogląda. Tyle wyśpiewa poeta o sobie. Lecz oto minorowa tonacya, na podstawie téj saméj toniki, w prześliczną majorową jasność przechodzi. Teraz na trwogi poety, chór, co go podsłuchał, poważnie odpowié. Więc uczci jego płomienność i złoży wzniosłe proroctwo: „Podobnie na twe serce, o poeto młody! namiętność często groźne wzburza niepogody; lecz, gdy podniesiesz bardon, ona bez twéj szkody, ucieka w zapomnienia pogrążyć się toni

i nieśmiertelne pieśni za sobą uroni, z których wieki uplotą ozdobę twych skroni." Natchniony motyw tego chóru ma w sobie istotnie coś z proroczego tonu. Harmonia szlachetna i niezwykle piękna, układ poetyczny. Frazes o „pieśniach nieśmiertelnych", przechodzi kolejnie przez wszystkie głosy, począwszy od basowego, a potém egzaltacya w zmianach harmonicznych. Zda się że słyszysz duchy ojców poezyi, co z wysoka na wieszcza spojrzeli, a śpiewając hymn chwały, niosą mu w świetnym orszaku wieniec wawrzynowy. Tak tedy hymnem na cześć poety-pielgrzyma, zakończył mistrz swój poemat muzyczny.

Sonety Krymskie wiele od innych dzieł Moniuszki, stylem się różnią. One wychodzą poza granice liryki plemiennéj i charakterystycznego piękna; więc ze źródeł narodowych mało co czerpią. Słuchacz spostrzega, że jest na gruncie muzyki wielkiéj, powszechnéj, gdzie motywy, ruchy i harmoniczne dźwignie, wchodzą w wyższe, ogólniejsze sfery ideału. Tu prawie nie ma nuty serdecznéj, téj, co z domowego ogniska iskrę zapalną wprost do sztuki niesie, bo to kraina wolnéj, niezależnéj fantazyi, kędy orły latać zwykły. Poza rodzinném siedliskiem ich wzrok się rozszerza i serce poważniejszém tętnem bije. Więc chociaż słyszą pieśń z gniazda, choć ją w piersi chowają, lecz już jéj dźwięki w chórze powszechnym zmieszane, a orłów duch płomienieje i z ciepłego wylęgu uczuć na otwartą przestrzeń fantazyi wybiega. Sonety Krymskie odznaczają się szczytnością poetycznéj myśli i szlachetnym lotem wyobraźni. Stanął tu Moniuszko na podniosłym szczeblu artystycznego odznaczenia, gdzie stawać zwykła arystokracya sztuki. Wszakże uważyć należy, że co tylko mistrz tworzył, wychodzić koniecznie musiało z gorącéj uczuć kąpieli. Powyższy przymiot, nader rzadki i cenny, jest bardzo nie wielu panów w artyzmie posagiem. To królewska atrybucya najgenialniejszych. Tworzone przez wyobraźnią rzeczy otrzymują namaszczenie, tajemnicę życia. Więc skoro go stać na chrzest, jako na sakramentalną łaskę, uczucie niezwyczajnym ogniem rozżarza fantazyą i pędzi jéj loty ku najszczytniejszym światom ideału. Taką fantazyą umiał na przestworzach władać wielki poeta Mickiewicz. Farys, Oda do młodości, żarzą się tak olbrzymią wyobraźni siłą, że każda myśl, każde niemal słowo, stawią tu przed oczy obraz nieskończoności i bozkiéj potęgi. A patrz jak szlachetnie poeta używa swéj wolności. On się nie dopuści swawoli, nie ciśnie wyuzdanym gwałtem, nie dotknie słów bluźnierczych i nie bryzgnie bodaj złorzeczną, byle silną myślą. To cecha najbardziéj słowiańskich wieszczy, pomiędzy którymi fantazya Mickiewicza królewską władzę piastuje. Lubo tłumaczył Bajrona, lecz wysforowana wolność tego arystokraty, nie przylgnęła do muzy jego. Taką téż szlachetnością odznacza się poemat Moniuszki. On znajdzie miejsce we wszystkich przybytkach, gdzie godność

sztuki wysoce jest stawioną, a produkowanym być powinien przez wszystkie akademie, oraz na wielkich estradach i artystycznych uczta-ch.

Z powyższéj oceny dwóch poematów widać, że lubo Moniuszko nie znalazł wielkiego w dramatyzmie tonu, to jednak stworzył pomnikowe rzeczy w dziedzinie wielkiéj poezyi lirycznéj i opisowéj. „Widma," jako głęboki liryzm, „Sonety Krymskie," jako opisowość poetyczna, są nieocenionéj wartości arcydziełami. Odznacza je oryginalność słowiańska, tak pod względem formy, jak pod względem fantazyi i poetyckiéj wzniosłości.

(Dokończenie nastąpi).

LISTY Z AMERYKI

DO PRZYJACIÓŁ W EUROPIE.

PRZEZ

J. Horaina.

VI.

Na nowém mieszkaniu, to jest w lazarecie okrętowym było mi znacznie wygodniéj i nawet zdrowiéj. W pokoju mającym ośm kroków wzdłuż i pięć wszerz spało nas tylko siedem osób, licząc moich malców każdego za jedną osobę.

Powietrze nocne, choć nie odznaczało się świeżością i czystością, było prawie znośném. Zresztą znalazłem na to sposób: w nocy kiedy wszyscy koledzy i koleżanki łazaretowe już zasnęły, wstawałem pocichu i otwierałem okienko wychodzące na zewnątrz; mogła wprawdzie wcisnąć się do naszego apartamentu jaka niedyskretna fala Atlantyku... ale to było tylko przypuszczenie, w rzeczywistości zaś wciskało się bezprzestanku świeże, chłodne i zdrowe morskie powietrze. Wszakże ponieważ niema na świecie nic tak dobrego, w którémby się odrobinka zła nie mieściła; mogło mnie, a nawet i towarzyszom, to *zdrowe powietrze* napędzić kataru, reumatyzmu, paraliżu etc, ale gdy pod względem ostatniéj choroby byłem zabezpieczony, bo już nią od dziesięciu lat się cieszyłem, przeto byłem spokojny. Co zaś do innych współlokatorów?... powiem wam pod sekretem przyjaciele, że nigdy człowiek nie jest takim

egoistą, jak w biédzie i rozkoszy. Stan pośredni zdaje się najlepiéj odpowiadać naturze ludzkiéj... Według mnie, chociem nie teolog, zastęp wybranych Pańskich powinien się rekrutować w klassie średniéj.

Pewnego poranku, skorom otworzył oczy, ździwiło mnie nie pomału, gdym spostrzegł dzieci nasze, prócz Pawełka, zebrane przy mojém łożu i wystrojone jakby w niedzielę do kościoła.

— A wy tu bębny po co?—wykrzyknąłem zdziwiony.

— Przyszliśmy winszować papie.

— Czego? chciałbym wiedzieć?

— Toż dziś rocznica. Czternaście lat jak mama *ożeniła się* z papą.

— Doprawdy? Jakiż to dzień dziś mamy?

— Pochmurny, ale ciepły—odpowiedział Ludek.

— Nie o tym, Dawidzie, rzecz idzie; ale jaka data?

— Dwunastego października. — krzyknęły jednogłośnie — Niech ojciec zobaczy na obrączce?

Trochem się zarumienił, bo obrączkę miałem nie na palcu, a w portmonetce. Przyznam się wam czytelnicy, że zdarzają się wyjątkowe pozycye, w których niewygodnie jest mieć na widoku ten znak *liberyi małżeńskiéj*, w takich razach chowam go zwykle do kieszeni. Tak się też stało kiedym ujrzał piękną Mery w Southampton. Dostałem więc portmonetkę, wydobyłem obrączkę, włożyłem okulary i sprawdziłem datę. Tak było istotnie. Nie pozostawało więc nic innego, jak włożyć na odpowiedni palec, to symboliczne ogniwo łańcucha „bractwa, braci żałujących" i obrócić się na drugą stronę, kiedy dzieci położywszy mi na łóżku grzebień, szczotki, a nawet perfumy i pomadę, oświadczyły:

— Proszę prędko się ubrać, umyć, uczesać, i przyjść do sali kajutowéj, bo tam mama czeka i wnet podadzą śniadanie.

Ten ostatni argument mię zdecydował. W kwadrans niespełna, wyświeżony wy-e-le-gan-to-wa-ny, zasiadłem przy stole, obok żony, przed gorącą szynką i herbatą. Nie było czasu na komplementa, bo szynka i herbata mogły ostygnąć; więc dopiéro po śniadaniu, kiedyśmy przeszli do gabinetu w którym stał fortepian, spojrzawszy w lustro, natchniony cudnie pięknym widokiem, puściłem wodze elokwencyi i zacząłem winszować żonie. W gabinecie było parę obcych osób.

Miałem zwyczaj, podzielany przez niektórych moich znajomych, że w towarzystwach, a często i w domu, rozmawiałem z żoną po francuzku; nie myślcie jednak aby to było bez ważnych powodów: toż przecie nadaje pewny ton, w naszém, ale tylko w naszém społeczeństwie; wyróżnia ludzi *dobrze* wychowanych, od wychowanych *mniéj dobrze*: nie wszyscy rozumieją co my z sobą mówimy: w żadnym języku nie można dowcipniéj prawić niedorzeczności, jak we francuzkim. Są dla nas inne, mniéj ważne powody: ot naprzykład, że moja ślubna pani chociaż Polka, a nawet Litwinka po ojcu, będąc jednak urodzona i wychowana we Francyi, lepiéj włada rodowitym francuzkim językiem; pospolitéj zaś polskiej mowy wyuczyła się dopiero po zamążpójściu, i to od sług

i dzieci. Kiedyśmy przez lat kilka po pobraniu się przemieszkiwali w Wilnie, kucharka nasza i jéj koleżanka, służąca u rodziców mojéj żony—notabene obie młode i przystojne—tak się wyegzercytowały w modnéj mowie, że spotkawszy się na ulicy, na rynku lub we właściwych im towarzystwach, nie rozmawiały z sobą inaczéj jak po francuzku. To tym damom na złe wyjść nie mogło; raz że *koszykowe* musiało być większe, powtóre nadawało im pewną dystynkcyę. A teraz, kto wié?... może są guwernantkami w jakim obywatelskim domu? W tych ciężkich czasach, zapewne trudno się zdobyć na rodowite francuzki z paryzkim akcentem.

Więc i teraz, w przekonaniu że znajdujące się w gabinecie osoby nas nie zrozumieją, wystąpiłem z powinszowaniem francuzkiém.

Zyskałaby na tém moja oracya, gdybym śmiał ją przytoczyć w oryginale... ale.. ale, boję się rozterek z grammatyką i ortografią, na korrektorze nie polegam... więc wolę ją (oracyą) podać w nieudolném tłumaczeniu.

„Winszuję ci moja duszko, żeś doczekała tak uroczystéj *dla ciebie* czternastoletniéj rocznicy naszego ślubu. Trzynaściekroć winszowałem ci téj chwili tak błogiéj w rozmaitych pozycyach i miejscach na lądzie, teraz czternastokrotny raz winszuję ci na morzu.. ba! nawet na Oceanie. Na lot...

— Co bredzisz—przerwała—toż uroczysta rocznica tak dla ciebie jako i dla mnie?

Podrapałem się w głowę i prowadziłem oracyą.

— ...Na loteryi małżeńskiéj wyciągnęłaś wielki los, aczkolwiek w małéj postaci... Opatrzność dała ci mnie za męża...

— A tobie, mnie—była protestacya magnifiki; że téż u tych kobiét zawsze nie golono a strzyżono!

— ...Życzę ci abyś w jak najdłuższe lata cieszyła się tym darem Opatrzności, to jest mną; i abyś nigdy nie miała powodu opłakiwać jego utraty, bo siłby ci na to nie starczyło...

— O co to, to prawda: żyjmy długo mój drogi, a jak ożeniemy Pawełka (miał wówczas 16 tygodni) to razem poumieramy...

— Dlaczego razem?—Tu już ja przerwałem—Chcesz więc, tak odrazu osierocić nasze dziatki? Wiesz przecie, że jeszcze za moich kawalerskich czasów (westchnąłem), wiarogodna cyganka przepowiedziała mi cztery żony. Nie sądziłem żeś taka egoistka i chcesz pozbawić tak wielkiego szczęścia trzy inne, zapewne młode i piękne?

Byłem w natchnieniu, możebym i dłużéj perorował na ten temat, gdyby dama i mężczyzna będący w gabinecie nie zaczęli się śmiać serdecznie i wyszli.

Kiedyśmy zostali sami, rozpoczęliśmy inną, mniéj żartobliwą gawędkę: dzieci nas odszukały i zaczęliśmy im opowiadać nasze poznanie, nawet nasz romans, rozumie się z pewnemi restrykcyami, nasz ślub, wesele... i na tém koniec; bo otwarły się drzwi od gabinetu i wszedł tłum osób: najprzód rodzina Corner'ów, daléj kapitan, doktor i inny doktor-

okulista, o którym wypadnie mi jeszcze parę razy wspomnieć; owa para, która nas podsłuchała i inni, i to tylu ile się mogło pomieścić w malutkim pokoiku. A cała ta zgraja przystępuje do mnie i zaczyna mi winszować rozmaitemi nie zrozumiałemi językami. Domyśliwszy się o co rzecz idzie, wskazuję im moją żonę, tłumaczę po francuzku, po polsku, po rossyjsku, a nawet po łacinie: *debet salutare uxorem meam*, czyli że to mojéj żonie trzeba winszować;—ale oni jakby tego nie rozumieli, wciąż mnie i mnie winszują. In traktu tego, przeciska się dwóch służących: jeden z cukrami na tacy, drugi ze szklankami i szampanem. Postrzegłszy że to nie żarty, a głównie aby się drogi płyn nie rozlał i nie zmarnował, zaproponowałem, abyśmy przeszli do daleko obszerniejszy sali kajutowéj. Usłuchano mię i po chwili znaleźliśmy się wszyscy w sali. Wystrzelił szampan, zakipiało w szklankach, i ja z galanteryą, na jaką zdobyć się może małżonek po czternastu latach nudnego, bo szczęśliwego pożycia, pocałowawszy łapkę magnifiki, wychyliłem jéj zdrowie. Zaczęły się okrzyki... hura! Ho, ho! i tym podobne. Rajczak okrętowy wytrąbywał wiwaty, a wszyscy pili, śmieli się, winszowali, krzyczeli,... ot jakby jakie podochocone Mazury! Podpojono mi nawet dzieci.

Zatrzymano nas prawie gwałtem na drugie śniadanie kajutowe, na którém była także pijatyka—umiarkowana.

Po śniadaniu kapitan zaproponował tańce na pokładzie; ale sprzeciwiły się temu fale Atlantyku silnie chuśtające okrętem, i drobny deszczyk prószący z nieba. Przeszliśmy więc już w mniéj licznem gronie do gabinetu z fortepianem. Klawicymbał był otwarty, ale nikt z obecnych nie kwapił się do grania; zaproponowałem żonie aby co zagrała: rozległ się więc *lancier*, przyjęty oklaskami. To tak rozzuchwaliło moją panią; że ni z tego, ni z owego zaczęła śpiewać starą, odwieczną piosenkę, któréj każda zwrotka kończyła się słowami: „*Mon petit mari, Tu seras chéri etc*“... Być *chéri* przez własną żonę po kilkunastoletniém pożyciu *ça donne des nausées aux... maris*, pomyślałem, skrzywiwszy się okropnie.

Tak było do obiadu. Na obiad zaproszono znowu mnie i moich malców do sali; ale już pijatyki nie było. Obiad na *Baltimorze*, a niekiedy i w Ameryce, jest to tylko herbata z rozmaitemi przekąskami.

Po obiedzie zaczęło się znowu trąbienie, brzęczenie na fortepianie, śpiewy; ale moją żonę wyręczała jakaś niemka utrzymująca szkołę w Baltimorze, o któréj (niemce) będzie jeszcze wzmianka skoro wylądujemy w tém mieście.

Tak wesoło, a nawet hucznie przeszła nasza rocznica. Niestety! był to ostatni, aż do dnia wczorajszego [1]), wesoły dzień, po opuszczeniu Europy.

---

[1]) Wczoraj dnia 24 stycznia 1874 r. byliśmy w teatrze polskim, a potém na balu. Grano: „Wesele na Prądniku“ i „Wykształcony służący“. Ostatnią sztukę przerobił z niemieckiego Dr. Żołnowski. (Przyp. autora).

Nazajutrz, wszystko wróciło do właściwego porządku, a przez parę dni zrobiło się nam wszystkim nudno. Tymczasem parostatek bez przestanku płynie i płynie w nakazanym mu kierunku, a tak przywykliśmy do tego nieustannego, choć prawie niedostrzegalnego ruchu, że kiedy raz, w nocy, zatrzymał się z powodu jakiegoś mało ważnego popsucia maszyny parowéj, wszyscyśmy się rozbudzili ze snu, a lękliwi zaczęli z pośpiechem wdziewać ubrania.

Każdego dnia z rana chodziliśmy patrzéć na drzwi kajuty kapitana, na których co dzień wywieszano ilość mil, któreśmy przebyli, a ztąd wnioskowaliśmy ile nam jeszcze przebyć pozostaje, zanim ujrzymy brzegi obiecanego kraju — Ameryki. Punkt o południu, jeśli słońce świeciło, występował na pokład kapitan z dwoma oficerami i patrzał przez lunetę na słońce, i bez lunety na chronometr, coś mruczał, liczył i zapisywał. Starsze chłopcy i córka, zapytywały mię nie jednokrotnie: „Co on to robi?—Wiecie zapewne czcigodni przyjaciele, jak to markotno okazać się nieukiem przed sąsiadami, a tém bardziéj przed własnemi dziećmi;.. zbywałem więc odpowiedzią: że patrzy na słońce, ażali tam nie zobaczy brzegów Ameryki.

— A dlaczego patrzy na zegarek?—pytały dzieci.

— Niecierpliwi się, i chce wiedzieć za wiele minut nastąpi *hora canonica*.

Dziatki kręciły główkami, ale jakoś to bezczelne kłamstwo udało mi się naówczas. Przed kilką jednak dniami, już w roku 1874, a więc w parę lat i kilka miesięcy musiałem się srodze zawstydzić; bo dzieci, powróciwszy z rannych lekcyj, zagadnęły mię prawie w te słowa:

— Ojciec z nas żartował kiedy mówił, że kapitan patrzał przez perspektywę na słońce, aby zobaczyć Amerykę? Dziś nam mówiono na lekcyi, że to się robi dla oznaczenia pod jakim stopniem szerokości i długości jeograficznéj okręt się znajduje, po... obiedzie mają nam wytłumaczyć i objaśnić jak to poznać. Ma to być sposób bardzo prosty. Ojciec taki uczony (?) a tego nie wiedział?

I zaczęły dzieciaki prędko uwijać się z obiadem, aby się nie spóźnić na tak ciekawą lekcyę. Żona nawet jakoś z dziwnym uśmiechem na mnie popatrzała; a ja biédak musiałem połknąć tę gorzką pigułkę od własnych dzieci, za moje nieuctwo. Ale co tam! Niechby mię zapytały o życiorys Aspazyi, Maryi Stuart, Dubarry, albo o treść nowéj powieści Dumasa (syna) *La femme Claude*;... mógłbym im wiele ciekawych rzeczy, w tym przedmiocie opowiedzieć. Cóż mam robić kiedy się o to nie pytają? Mam-że sam im nastręczać się z moją wiedzą? A gdyby i tak, zarazby mi żona wyprawiła scenę małżeńską.

Jednego dnia, z nudy—bo już przeczytałem po raz trzeci „Historyą Stanów Zjednoczonych" Labouley'a i „Deux ans au collége" którą mi dzieci dostarczyły, zostawszy sam jeden w fajczarni, zacząłem układać jakiegoś

zawikłanego passyansa, i łamać głowę nad tém, aby go doprowadzić do szczęśliwego rezultatu. Tak byłem zajęty, żem się ani spostrzegł, jak Corner, inny Amerykanin i oficer pruski, który djabli wiedzą po co płynął do Ameryki, weszli i stanęli przy stole i ciekawie się przypatrywali; kiedym ich spostrzegł, zmieszałem się, zebrałem karty;... i na zapytanie: co też ja robię? nie umiałem odpowiedzieć i wytłumaczyć. Ale oficer który przypatrywał się z ironicznym uśmiechem mojéj łamigłówce, zaczął im objaśniać po angielsku, moją *poważną* zabawę. Nie omieszkał jednak kanalia dodać, że passyans i blizkiéj tego krewnéj *kabały*, wyuczył się stojąc załogą w Poznańskiém, a mnie zapytał najszkaradniejszą polszczyzną ażali nie umiém *Kapali gatająséj*?

Kabała gadająca! W to mi graj niemcze! Po pacierzach francuzkich, pierwsza rzecz którą mię wyuczyła moja ciotka (właściwie ciotka mojego ojca, ale mi nie pozwalała nazywać siebie babunią) Joanna Kanoniczka—była owa kabała. Na moje więc potwierdzenie, prosi abym takową dla niego pociągnął. Zgodziłem się. Przez niewytłumaczoną niechęć do Prusaka, bo nic właściwie on mi złego nie zrobił, chyba to że jego przodkowie Krzyżacy wymordowali Prussów, pobratymców Litwinów, zamiast *króla*, jakby wypadało przez grzeczność, położyłem dłań dzwonkowego *waleta*. Zacząłem układać karty w *essy* i *floressy*, według nauki cioci Joanny. Plotłem ni w pięć ni w dziewięć, istnie Piekarski na męki; ale udało mi się z tego *co było*, *co jest* i *co będzie*, wypaplać parę zdarzeń; oficer, wyciągnięty na słowo honoru, przyznał za prawdziwe. Nie trudno mi to przyszło, bo oficer pruski, który stał załogą w Poznańskiem, choćby był najczystszéj krwi krzyżackiéj, musiał choć raz się kochać w Polce; a że sam rudowaty blondyn—więc w brunetce. To odgadnienie podwyższyło mię w opinii obecnych. Rozmowa odbywała się po francuzku, a oficer tłumaczył na angielski. Potém przyszła kolej na Cornera: tu już miałem jakie takie *dane* przez Tadzia, który jak to już wam czytelnicy wiadomo był z jego synem Ryszardem w jednéj klassie w Dreźnie. Chciałem na tém poprzestać; ale w godzinę niespełna, przyszedł do mnie kapitan, i zaczął usilnie prosić, abym poszedł do sali i pociągnął damom moją, już rozsławioną w kajutach, kabałę. Doświadczywszy tyle względności i dobroci od kapitana, nie wypadało mi odmówić. Oświadczywszy więc publicznie, że nic we względzie kabały nie wiem ani nie umiem, że plotę co mi tylko ślina do gęby przyniesie—poszedłem.

Otoczyły mię damy i prosiły jedna przed drugą, abym im z karty powróżył. Oświadczyłem że więcéj jak trzem na raz służyć nie mogę; a że amatorek było z dziesiątek— poszło na węzełki. Trzy więc szczęśliwe, miały swoją kabałę; ale trzecia Amerykanka z Wirginii, mówiąca trochę po francuzku, właśnie ta sama, która podsłuchała moje powinszowanie żonie, kiedym jéj przepowiedział najświetniejszą przeszłość, teraźniejszość, a najpomyślniejszą przyszłość, dobyła portmonetkę, dostała z niéj duży złoty pieniądz, i wręczyła mi takowy z uśmiechem, jako nagrodę za moje wróżbiarstwo.

Mało mię apopleksya nie tknęła, tak mi krew uderzyła do głowy na ten afront. Upuściłem pieniądz na podłogę, zawróciłem się, poszedłem prosto do mojego lazaretu, rozebrałem się i położyłem do łóżka spać niby. Powiem wam, że była to jedna z przykrzejszych chwil mojego życia. Smutnemu, schorzałemu, zdenerwowanemu, na płacz mi prawie się zbierało: jak to, myślałem, doszedłem już do tego, że mi ośmielają się płacić za moje niedorzeczne żarty, za moją głupią kabałę, i jeszcze głupsze wróżby? Byłożby dla mnie sądzono, abym w Ameryce żył z kuglarstwa lub wróżbiarstwa? Taki sposób życia nie dla mnie, ani dla mojéj rodziny. Wolałbym śmierć z nędzy, niż takie życie...

Cóż powiecie moi drodzy? Tak myślałem wówczas i tak myślę teraz. Ot! prawdziwy upór litewski.

Przepędziłem w łóżku resztę dnia i noc następną. Nazajutrz nie poszedłem na śniadanie, jak zwykle przedtém do sali kajutowéj, a z mojemi synami i kolegami podpokładowemi, wypiłem szkaradną kawę. Cały zaś dzień, nie zajrzawszy nawet do fajczarni, przebyłem na pokładzie, po stronie demokratycznéj lub w lazarecie. Kroba nasza nie była jeszcze w zupełności wypróżnioną; więc ztamtąd trochę się pożywiłem. Pod wieczór przyszła mię odwiedzić moja poczciwa Marynia. Nie wspomniała nic o wczorajszém zajściu, tylko zapewniła się o mojém zdrowiu. W tym też czasie, przyszedł także doktor okrętowy; zaproponował mi herbatę: zgodziłem się tylko na ziółka. Przyniesiono mi więc parę szklanek mięty—jedyne ziółka, które mogę pić zamiast herbaty. Rozgrzany trochę i uspokojony, sam zapytałem, co zaszło po mojém oddaleniu się z sali? Oto co mi żona opowiedziała.

Kiedym rzucił na ziemię pieniądz i prędko się oddalił, Amerykanie spojrzeli na siebie zdziwieni, nie domyślając się powodu mojego gniéwu; aż dopiero oficer pruski i inni Europejczycy, objaśnili, że wynagrodzenie pieniężne w tak błahych okolicznościach, mogłem wziąć za obrazę w znaczeniu europejskiém. Poczciwa amerykanka ze łzami w oczach, prawie na klęczkach, zaczęła przepraszać moją żonę, zaręczając słowem honoru, że nie miała najmniejszéj intencyi mię obrazić. Wzywała na świadectwo swoich współziomków, że to taki zwyczaj w Ameryce, że ludzie bogaci, nawet bogatszym od siebie, robią prezenta pieniężne, bo zamiast kupić co na pamiątkę niepotrzebnego lub zbytecznego, lepiéj, aby sam obdarzony, kupił sobie, co mu jest miłém lub potrzebném. Że sama nieraz otrzymywała pieniądze, jako prezent, czy podarek od swoich przyjaciół, a nawet mało znajomych. Chciała mię zaraz odszukać i przeprosić, ale moja pani, która lepiéj odemnie zna moją kapryśną i uporczywą naturę, prosiła ją i wszystkich obecnych, aby mię zostawili w spokoju, bo inaczéj, jeszcze mię bardziéj rozdrażnią. Tak też się i stało.

Następnego dnia poszedłem do sali na ranne śniadanie, a kiedyśmy potém z żoną przeszli do gabinetu klawicymbałowego, przyszła amerykanka, podała mi swoją kształtną rączkę i ze słowami: *soyons*

amis, serdecznie uścisnęła moją. Ja zaś, z całą galanteryą litewską, pocałowałem jéj łapkę, co ją trochę zdziwiło.

Trzeba także dodać, że wszyscy byli tak delikatni, że mi nikt więcéj ani o kabale, ani o moich kaprysach nie wspominał.

Ja zaś, przyjaciele, od owéj chwili ani kabały, ani passyansów nie układałem; nie mam na to czasu: muszę ciągle w rozmaite sposoby pracować na utrzymanie mojéj wielmożności, a w ostatku i wielmożnéj mojéj rodziny. Wszelakoż się nie zarzekam, skoro tylko odrobię i przyrobię fortunę, wraz powrócę do moich ulubionych niegdyś zajęć: *próżnowania i passyansów*.

A okręt ciągle płynie i płynie naprzód. Ocean wzburzony, kołysze i prawie miota okrętem, ale o prawdziwéj, co się nazywa, burzy, ani słychu! A to wielka szkoda, bo przyzwoita burza dałaby pewny urok naszéj peregrynacyi, powiększyłaby o kilkanaście kart moje „Listy z Ameryki etc." i o kilkadziesiąt talarów moje honorarya (z Bibl. Warsz). Przyznam się wam szczerze czytelnicy, że gdyby nie natłok przedmiotów, bardzo być może, spotkałby nas i was, jaki orkan, tyfon, lub przynajmniéj straszna trąba powietrzna. Miotałyby poczciwym okrętem *Baltimore*, a możeby go i rozbiły! Byłożby strachu, było!

Nadszedł nareszcie piętnasty dzień podróży. Według zaręczenia bremeńskiego Claus Kühla, tego dnia powinniśmy byli wylądować w Ameryce. Idę więc do kapitana, błagam, aby mi, choć przez perspektywę, pokazał ląd Nowego Świata; on się śmieje, zaleca cierpliwość i powiada, że przy *pomyślnym wiatrze*, potrzeba na to cztery, a może i pięć dni czasu.

Przypuszczam, że który z tych szczęśliwych czytelników, co to nie wytknął nosa „za rodzinnéj wioski granice", powie sobie w duchu: „Otom go złapał na kłamstwie." „Nacóż mu *pomyślny wiatr*, kiedy płynie parowcem?" Tymczasem tak nie jest. Pomyślny wiatr tak jest potrzebny każdemu okrętowi, jak autorowi czytelnik. Parowce przeznaczone do odległych podróży, tak są urządzone, że przy pomyślnym wietrze, rozpinają się żagle i okręt pędzi z podwójną siłą, to jest siłą wiatru i pary, a częstokroć dla oszczędzenia paliwa, gaszą ogień pod maszyną, poruczając się tylko wiatrowi. Wszakże to się nie zdarza na parostatkach pocztowych.

Kilka dni ostatnich wydały się nam wszystkim bardzo nudne i długie. Więc tymczasem z nudy powiem wam, dlaczego, udając się do Stanów Zjednoczonych, wybrałem za punkt wylądowania miasto Baltimore, nie zaś Nowy York, dokąd udaje się $^9/_{10}$ europejskiéj emigracyi. Okazało się późniéj, żem źle wyrachował.

Wyczytałem nie pamiętam już w jakiém dziele, że w Nowym Yorku, jak i w ogólności w Stanach Północnych, komory celne są bardzo srogie; że jakoby na jednę rodzinę emigrancką, wolno było przywieźć bez cła na pięćset dolarów ruchomości, od przewyżki zaś żądają opłaty 25 proc. To mię przestraszyło. Na sam mój księgozbiór, czyli jak tu szumnie nazywam bibliotekę, wydałem w ciągu życia z parę

tysięcy czerw. złotych; rozumié się, że dwie trzecie moich książek, rozeszło się po rękach przyjaciół i nie powróciło; ale to, co się zostało, parę tysięcy tomów, było warte najmniéj parę tysięcy rubli: inna ruchomość mojéj rodziny, kosztowała na pewno dwa razy tyle. Zapłacić więc samego cła od książek, chociażby nawet bardzo rozumnych i od ruchomości używanéj (mieliśmy jednak wiele odzieży i bielizny zupełnie nowéj; gdyż, wyjeżdżając, zabezpieczyliśmy się tak, aby przez lat pięć nic nie dokupować), zapłacić powiadam około tysiąca dolarów, wydało się mnie monstruałnem. Tymczasem wiedziałem, że w Stanach bardziéj ku południowi posuniętych, grzeczniéj obchodzą się z emigracyą.

Istotnie takie prawo istnieje, tylko nie zastosowywa się do rodzin przybywających osiedlić się w Ameryce, a do samych Amerykanów, którzy mają zwyczaj, powracając z Europy, nawozić mnóstwo rzeczy niepotrzebnych i zbytkowych. Gdyby nie cło, przemysł krajowy i dochody państwa bardzoby szkodowały. Ale za to nie było przykładu, aby kto z emigrantów płacił cło od ruchomości używanych, lub służących tylko do osobistego użycia.

Powiedziano mi także w Bremie, że charlaków podpokładowych, wyrzucą w Nowym Yorku do domu emigrantów (Castle-Garden), tymczasem, gdy moje kajutowe damy popłyną o parę mil ang. daléj do przystani w Hoboken (New Jersey), gdzie się zatrzymują okręty północno-niemieckiego Lloydu.

Nie powiem, aby mię tak bradzo przestraszała myśl chwilowego rozłączenia się *avec ma légitime*; wakacye są nawet potrzebne i w małżeństwie; ale niestety, wszystkie *nasze* pieniądze, były u mojéj pani. Resztę zostawiam domyślności płci męzkiéj.

Inny powód, który mię skłonił do udania się wprost do Baltimory był ten: rozpatrując przez lat kilka rozmaitéj wielkości mappy Stanów Zjednoczonych, zauważyłem, że Baltimore (Maryland), posunięta jest bardziéj ku równikowi, niż Nowy York, ot naprzykład o całą długość wiérsza Biblioteki Warszawskiéj, którą trzymacie w ręku. Rozumié się, że to na mappach wielkoskalnych (?). Ktoś nawet bardzo mądry w mojéj parafii, powiadał mi niegdyś, że im dalej od bieguna północnego, a bliżéj do południowego, tém cieplej i rozkoszniéj. Popierał to twierdzenie niezbitym dowodem, że przy biegunie południowym znajduje się ziemia tak gorąca, że aż ją musieli nazwać *Ziemią Ognistą* (Terra Delfuego). Że zaś moje zdrowie wymaga cieplejszego klimatu, wolałem więc wybrać miasto bardziéj ku biegunowi aktarktycznemu położone.

Nareszcie zaraz po przybyciu do Ameryki, zamierzałem udać się do Waszyngtonu (District Columbia), dla poznania się, pogadania, poinformowania, co mamy z sobą począć? u zacnego ziomka naszego obywatela Henryka Kałussowskiego, który tu uważa się i słusznie, za mentora emigracyi polskiéj w Ameryce. Byłem wprawdzie od roku w korrespondencyi z panem Henrykiem, zamieniliśmy kilka listów, z których jeden był ogłoszony w Tygodniku Illustrowanym; ale cóż znaczą

Listy, choćby nawet *z Ameryki do Przyjaciół w Europie*, w porównaniu z godzinną, ustną rozmową? A znów na tych niegodziwych mappach, z Baltimory Md. do Waszyngtonu D. C. tak blizko, że wyobraziłem sobie w prostocie ducha, że tam będę chodził z dziećmi, piechotą na spacer.

A żaden mię z tych niedołęgów podróżopisarzy nie objaśnił, że z Nowego Yorku do Waszyngtonu, jedzie się koleją żelazną 9 godzin, za $7^1/_2$ dol.; z Baltimory zaś do Waszyngtonu, podróż trwa $1^1/_2$ godziny i kosztuje dolar, 20 centów; wiem zaś z pewnością, że tyleż napowrót. Gdybym wiedział o tych wszystkich szczegółach, licho chyba niosłoby mię do Baltimoru, wylądowałbym w Nowym Yorku. To też radzę i każdemu udającemu się do Stanów Zjednoczonych. Ale nie uprzedzajmy wypadków, może wypadnie mi jeszcze z wami o tém pogadać.

O północy z 21 na 22 października, zatém w 17-cie dni po opuszczeniu Bremy, kiedym w najlepsze grał w fajczarni w karty z jakimś Niemcem, ktoś otworzył drzwi i zawołał głośno „Pilot"! Zerwaliśmy się wszyscy na równe nogi i wybiegli na pokład.

Pilot! Toż Ameryka! Toż ziemia obiecana!

Na pokładzie ujrzałem nowego człowieka, słusznego, zdrowego, barczystego. Rozmawiał on poufale z kapitanem, położywszy dłoń na jego ramieniu; od okrętu oddalał się malutki statek parowy. Był to pilot i statek, który go przywiózł. Kapitan rozmawiał z nim (tylko nie ze statkiem) głośno; wszyscy z natężeniem uwagi słuchali i ja słuchałem, chociaż nic nie rozumiałem: rozmawiali po angielsku! Wszakże zauważałem często powtarzany wyraz: Czykago!

Amerykanie, wielu ich było, każdy trzymał gazetę, czytał takową przy świetle latarni okrętowych. Fizyognomie czytających były przerażone. Nareszcie jeden z poważniejszych zdjął kapelusz, dostał z kieszeni kilka sztuk złotych monet, rzucił w kapelusz i zaczął kollektować u innych.

Nadarzył się oficer pruski; zapytałem, co to znaczy?

— Bagatela: kiedyśmy byli na morzu, 10 października, spaliło się do szczętu miasto Chicago (Illinois) i Amerykanin zbiera składkę na pogorzelców.

Ach! więc pierwsza wiadomość z Ameryki, była złowroga!

Każdy, do kogo się zbliżał Amerykanin, rzucał mu do kapelusza brzęczącą lub papierową monetę; zbliżył się i do nas: Prusak z miłym uśmiechem rzucił do kapelusza błyszczącego talara, ja zaś wytrząsłem portmonetkę, w której nie wiele więcéj być musiało. Tak więc, wjeżdżałem do Ameryki bez grosza przy duszy, a co jeszcze gorzéj bez grosza w kieszeni.

Kiedym wróciwszy do fajczarni powiadał na-pół żartem, że przybywam do Ameryki goły jak święty turecki; jeden z pasażerów, Amerykanin mówiący trochę po francuzku, pocieszał mię dowodząc, że to dobry prognostyk: kto przyjeżdża do Ameryki z pieniędzmi, zaczyna zwy-

kle od tego, że takowe traci; kto bez nich—zarabia. Kapitan, który nadszedł w czasie téj rozmowy, dodał, że kto z Europy przybywa w kajucie, powraca zwykle pod pokładem, kto zaś dręczy się pod pokładem, powraca w kajucie 1-éj klassy.

Uszczęśliwiony taką przepowiednią, czekałem tylko dnia, aby zakomunikować żonie, że jeśli będziem kiedy powracać do Europy, to zamienim role: ona et comp. pod pokład, a ja et comp. do kajut. Kiedym jéj to nazajutrz opowiedział, nie przestraszyła się bynajmniéj, przeciwnie powiedziała z rezygnacyą:

— Dobrze mój drogi, byleby tylko kiedykolwiek powrócić.

Pia desideria, dobrodziko, pomyślałem; alem jéj tego nie powiedział.

Chciało mi się téj jeszcze nocy zobaczyć światło amerykańskie, ot tak przez próżność, aby choć trochę naśladować mojego poprzednika w odkryciu Ameryki—Kolumba. Zagadnąłem o to kapitana. Poczciwy, dobry, szlachetny kapitan Fischer, co „chociaż Niemiec, glos *ludzki* rozumiał"; sam mię zaprowadził na podwyższoną galeryą, po któréj dzień i noc przechadzał się oficer służbowy i polecił mu, aby mię zadowolnił. Jakoż oficer ów naprowadził perspektywę i kazał mi patrzéć. Może to było złudzenie: ale istotnie zdało mi się spostrzegać jakiś punkt jasny, migający w oddali. Oficer dowodził, że doskonale widzi nieuzbrojoném okiem latarnię morską, na Cup Henri.

Zadowolony poszedłem do mojego lazaretu i nierozbierając się, rzuciłem moje cielsko na łoże. Zasnąłem snem gołych i sprawiedliwych, ale to tak twardo, żem przespał piérwsze śniadanie.

Kiedym się nazajutrz obudził, ujrzałem moich malców stojących przy łóżku. Byli wystrojeni.

— Wstawaj ojcze prędko.... Ameryka!

Zerwałem się, wybiegłem na pokład. Istotnie okręt płynął szeroką odnogą Chescapeake Bay (czyta się Czize pik Bey), a z obu stron widać było ląd amerykański. Powróciłem prędko przemyć oczy i wystroić się świątecznie, jak to już uczynili wszyscy współtowarzysze podróży. Dzień był pogodny, ciepły, słoneczny, a chociaż wszyscy wylegli na pokład, panowała jednak uroczysta cisza na obu stronach pokładu. Każdy wypatrywał oczy, rozglądając się po lądzie Nowego Świata. Płynęliśmy bliżéj lewego brzegu, który było widać doskonale, bo zaledwie odległość kilometru nas oddzielała. Brzeg ten wydał się mi dość płaskim, mało wzniesionym nad poziom morza. Domów, zabudowań nie widać, ale za to pokrytym był nieprzerwanym, gęstym lasem. Wszakże widok tego lasu był trochę odmienny od lasów północno-europejskich: ponieważ to było w połowie jesieni, więc każde drzewo, to jest liścia każdego drzewa, wydawały się odmiennego koloru. Wszystkie prawie kolory dostrzegać się dawały: przemagał kolor pomarańczowy, a najmniéj widoczny był zielony. Przypomniały mi się trochę góry pod Kownem, kiedy w jesieni ubarwi je dojrzewający berberys.

Około południa ukazało się z pośród lasu kilka wieżyczek, kopuł, a nawet domów; myślałem że to cel naszéj podróży, ale mię objaśniono że to jest miasto Annapolis, malutka stolica Stanu Maryland.

W parę godzin, z prawéj strony postrzegliśmy warownię broniącą odnogi, a z lewéj, na niezmierzonéj okiem płaszczyznie rozpostarte miasto Baltimore, co do ludności (350,000 mieszkańców) czwarte w Stanach Zjednoczonych.

O ile sądzić mogłem na oko, powinno ono zajmować przestrzeń dwa razy taką jak Warszawa. Widok jednak miasta wcale nie imponujący i nie wytrzyma porównania, nawet z trzeciorzędnemi miastami europejskiemi. Domy nie wielkie, choć wszystkie dwu lub więcéj piętrowe, koloru ceglastego, nie bielone, ani malowane, odznaczały się między niemi kolorem małe domki drewniane. Na takiéj przestrzeni zaledwo wybiegało w górę kilka kopuł i wieżyc, i to nie wysokich; ale za to między domami i na placach widniało się mnóstwo drzew i to trochę ożywiało obraz.

Wszyscy zebrani w kupkę przypatrywaliśmy się téj ziemi, na którą wkrótce wypadnie nam wysiąść. My starsi byliśmy smutni, a i dzieci spoważniały. Nas starszych, a zapewne i młodszych, zajmowała myśl, co téż nas czeka w tym kraju, tak nowym, tak odmiennym co do zwyczajów i obyczajów, od tego któryśmy opuścili! Tak wielkie miasto, a nie znajdziemy żadnego przyjaciela, żadnego znajomego, a może i rodaka.

Wszyscyśmy słabi: dzieci małe, ja sam chory i do fizycznéj pracy niezdolny, a niestety do wszelakiéj innéj leniwy.... Gotówki w złocie, srebrze i amerykańskich biletach bankowych mało, co więcéj nad parę tysięcy dolarów. Na długoż nam tego wystarczy?

U mojéj biédnéj żony łzy były na oczach, a i mnie łzawo się zrobiło na sercu. Tam było..... no Bogu wiadomo jak tam było! tu może być gorzéj; wszakże tylko fizycznie.... I nie omyliliśmy się: istotnie tu nam pod pewnym względem gorzéj, nie mamy sług na nasze skinienie, nie mamy połowy nawet wygód, do których byliśmy przyzwyczajeni przez ciąg całego życia; zabawy, rozrywki, rzadko się zdarzają. Pracować musimy wszyscy i ciągle, ale jak się to opłaca! Jaka pewność siebie! jakie wynagrodzenie moralne! Aby to pojąć, trzeba chyba doświadczyć téj rozkoszy.

Ale nie do was przyjaciele o tém pisać!.....

Oto do naszego okrętu przybliża się maluchny parostatek, na nim kilku urzędników. Kto oni są? doktor i kilku celników. Spuszczono im drabinę: wdrapują się. A więc zakończam ten list, aby wkrótce rozpocząć, jeśli tego życzyć będziecie:

Piérwszy rok pobytu w Ameryce.

WYSTAWA POWSZECHNA

W WIEDNIU [1]).

Rossya stoi na pograniczu między Europą i dalekim Wschodem, bo sięgając z jednéj strony do morza Baltyckiego, z drugiéj kończy się razem z krańcowym wschodnim brzegiem lądu azyatyckiego, a granicząc na całéj północy i od zachodu z Chinami, i sięgając ku Indyom, sama jest w znacznéj części państwem wschodniém. To téż ogromne, około pół miliona mil kwadratowych zajmujące Cesarstwo Rossyjskie, w swoich wyrobach przedstawia z jednéj strony typy i gust europejski, z drugiéj typy wschodnie, a często nieuniknioną w takiém położeniu mieszaninę obu.

Ze wszystkich najliczniéj się przedstawiają wyroby metalowe, w które Rossya i Sybir tak obfitują. Rodzaj wyrobu jak najrozmaitszy: bo zacząwszy od największego rozmiaru przedmiotów należących do przemysłu i techniki, a kończąc na bardzo licznie przedstawionych wyrobach galanteryjnych.

Na wystawie figurował nie Sybir bogaty w złoto, ale Ural, posiadający w swojém łonie ogromne zasoby najlepszéj rudy żelaznéj, miedzi, platyny i złota. Pierwsze, to jest żelazo, stanowi najgłówniejsze jego bogactwo, i eksploatacya tego metalu odbywa się w rozmiarach, które tylko Anglia przewyższa, gatunek zaś rudy żelaznéj nierównie jest lepszy od angielskiéj.

Właściciele wielkich kopalni rudy żelaznéj, zajęli znaczną część wystawy rossyjskiéj, okazując tak rudę (nieraz w massach wielkich), jak téż wszelkie z niéj wyroby, doprowadzone często do wysokiego stopnia dobroci: żelazo sztabowe, blachy, gwoździe, kosy, piły etc., dobrocią materyału i wyrobu zwracały na siebie uwagę. Do tego wybornie się nadaje doskonała ruda magnesowa, ogromnemi massami leżąca na Uralu.

---

[1]) Artykuł niniejszy, jakkolwiek spóźniony z powodu nieprzewidzianych przeszkód, redakcya zamieszcza, jako zawierający wiele ciekawych, a umiejętnie wyłożonych szczegółów. *P. R. Bibl. Warsz.*

W Rossyi często całe miasta, całe wsie trudnią się jakimś jednym rodzajem wyrobu: np. Tuła wyrobami metalowemi, przedewszystkiém samowarów i broni. Na wystawie pierwsze tylko licznie się prezentowały i między temi wykończeniem i rozmaitością wyróżniały się Bataszewa i Baszewa. Pierwszy z tych dał jeszcze odlewy z bronzu nie ładne a drogie; drugi zaś troskliwie oszlifowane bronzowe okucia do drzwi. Oprócz tych dwóch, wielu jeszcze innych z Tuły dało na wystawę podobne wyroby.

Odlewy zwierząt z bronzu Durnowa i Trutniewa z Petersburga niezłe; inne bardzo niezgrabne. Drobne bronzowe odlewy Chopina z Petersburga niezłe, większe często wcale nieartystycznie odrobione. Broń (szable) Schaffa z Petersburga, były najpiękniejsze na wystawie. Korwina Krukowskiego i kompanii meble żelazne z wyborowego materyału, kassy zaś ogniotrwałe, chociaż niezbyt ozdobnéj powierzchowności, mają się jednak odznaczać szczególném urządzeniem zamków.

Wyroby ze stali szlifowanéj i z drzewa technicznéj szkoły w Moskwie dobre, Instytutu technologicznego petersburgskiego lepsze i w liczniejszych okazach. Galanteryjne wyroby ze złota i srebra w wielkiéj obfitości były wystawione, a najwięcéj z Moskwy. Cziczelew przedstawił swoje wyroby w wielkiéj obfitości; Owczinnikowa także z Moskwy wcale ładne; Adlera niezłe, Chlebnikowa w stylu narodowym złote nie szczególne, srebrne bardzo dobre. Krumbagela bardzo ładne. Postnikowa złote w stylu narodowym, zwłaszcza krajobraz na wielkiej srebrnéj płycie (wypukło-rzeźba), do albumu, bardzo piękny.

Najczęściéj powtarza się na tych wyrobach najbardziéj typowy obrazek, w którym na pierwszém miejscu figuruje *trojka udałaja*, krępa, silna i żwawa, o grubych nogach, zaprzężona do szerokich z przodu podniesionych sań, ubrana w szerokie i wysokie rzeźbione hołoble z dzwonkami i brzękawkami; leci w cwał prując głębokie zawały śniegowe i obrzucając śniegiem siedzących w saniach jezdzców okutanych w ogromne futra.

Drugim, często powtarzanym, upodobanym u ruskich złotników przedmiotem, (co uważałem jeszcze dawniéj w Moskwie i Petersburgu), jest naśladowanie ze srebra płóciennych serwetek. I tu na wystawie aż kilku złotników wystąpiło z niemi, a najudatniejsza ze wszystkich robota Postnikowa: na złotéj tacy rzucona nieco zmięta serwetka matowo srebrna, na któréj deseń i frędzle mają tak dalece przytłumiony blask matowy, że do zupełnego złudzenia naśladują płótno.

Między moskiewskiemi wyrobami złotniczemi, jeszcze dwie rzeczy zwracały na siebie szczególną uwagę publiczności i miały przed sobą zawsze pełno widzów: kitka w rodzaju strusiego piórka, z samych tylko drobnych brylantów obsadzonych na cienkich jak włos drucikach, i z tego powodu nieustannie drgających i rozrzucających naokoło tysiące różnobarwnych promieni. Drugą zaś ciekawością, brosza złota z wklęsłością w środku i kreskowaniem spiralném od środka ku brzegom, imitującém falowanie płynu. U spodu téj broszy przyrząd sprężynowy na-

kręcający się jak zegarek, zapomocą którego brosza się ciągle obraca, a przy tym ruchu kréskowanie spiralne doskonale imituje nieustanny ruch płynu od środka ku brzegom. W obu tych rzeczach efekt może zanadto przesadzony. A wszakże, jeżeli zbyteczna skromność i gust do prostoty nie stoi na zawadzie, to ubrawszy się w takie piórko, i przypiąwszy sobie broszę niby nieustannie wyrzucającą z piersi strumień żywego złota, czyżby się nie zwróciło na siebie uwagę całego świata?

Materye jedwabne bardzo licznie były przedstawione, a ogniskiem tego rodzaju wyrobów jest Moskwa. Prawie wszystkie jedwabie ztamtąd tylko były nadesłane. Do piękniejszych należały Jeżewa, Smirnowa, Timaszewa, Michajłowa, Borodina i Popowa. Zaś braci Szelajew były kompletnie ładne i Zubkowa gustowne, pięknych kolorów. Atłasy firmy „La ville de Lyon“ z Petersburga nie najlepsze, inne jedwabne materye niezłe.

Materyału do wyrobu materyj jedwabnych dostarczał głównie Kaukaz, a ostatniemi czasy bogatém źródłem surowego jedwabiu jest Turkiestan. Wkrótce po zajęciu tego kraju, założono tam przędzalnie jedwabiu na wielką skalę, które funkcyonują nieustannie i rozwijają się coraz bardziéj.

U nas jak widzieliśmy nikt z takiemi wyrobami nie wystąpił, a chociaż wiele się nieraz rozprawiało o jedwabnictwie i tyle razy się organizowały spółki jedwabnicze, to przecież owoców z tego nie ma prawie żadnych i wszelkie w téj mierze czynności pojedynczych osób nie przechodzą granic prostéj amatorskiéj zabawy.

Sukna nie były ani tak liczne, ani takiéj dobroci jak od nas z Królestwa, jednak Jokischa z Moskwy dość dobre, Babkina (także ztamtąd), chociaż grubszego gatunku ale nie złe, Lapina z Moskwy zupełnie grube niedychtowne; z cieńszych zaś wiele dobrych. Lepsze sukna z Estlandyi, dychtowniejsze i dobrych kolorów, i z Rygi Holma dość gęste, mocne i gustowne.

Fabryk płócienek i perkali w Rossyi jest sporo, nawet na wielką skalę rozwiniętych (we wschodnich guberniach), ale na wystawie nie liczne były okazy. Najpiękniejsze, najgustowniejsze i w największym wyborze były płócienka i takież chustki kolorowe Hubnera z Moskwy. Płótna Alafuzowa zdawały się dość mocnemi. Bareże, Rybakowa z Moskwy ładne.

Można było się spodziewać że Rossya wystąpi z pięknemi i licznemi okazami futer, jako od natury najbardziéj w to uposażona w Europie; tymczasem wystawa futer była bardzo szczupła: Grünwelda z Rygi, wcale nie była zachwycającą, chociaż niby największa, i podziwiano tylko wypchanych... niedźwiedzia i kota morskiego. Wyprawa baranich skór Baranowskiego z Petersburga wyborna. Wełna na nich różnie kolorowana, skóra nadzwyczajnéj miękkości. Safiany tegoż i skóra groszkowa niezła, satiné prześliczna. Sawina z Tweru skóry piękne, safiany nieco suche, Alafuzowa i braci Malkiel też dobre. Rękawiczki

Sorokina z Moskwy wcale niezłe, skóra dobra, miękka, robota staranna; nie taka wcale jak w jednym okazie rękawiczek Kiepmana z Warszawy.

Prześliczne były wyroby z puchu łabędziego Winogradowa z Niżnego-Nowogrodu: okrycia damskie, kołnierze, mufy etc. Znane już i w Warszawie wyroby téj firmy.

Chustki z białéj wełny bardzo piękne i delikatne, niby koronka, dające się przeciągać przez pierścionek, chociażby były największe; znane u nas pod nazwą oremburskich. Najdelikatniejsze i najstaranniéj wyrobione były Bielonosowa z Oremburga.

Obok wyrobów introligatorskich A. Kantora z Warszawy celującego nad innymi, umieszczone były dość piękne Schwartza z Petersburga. Tura z Rygi i Kumanina z Moskwy gorsze od poprzedniego.

Malowanie na porcelanie Barasza, Wiszniakowa z Moskwy, a także metalowemi kolorami Łukatina na rozmaitych drobnych rzeczach galanteryjnych często bardzo ładne. Lakierowanie i malowanie na tacach blaszanych Bielajewa z Moskwy także ładne. Kriegsman z Rygi właściciel wielkiéj fabryki korków urządził z nich w oddziale rossyjskim wielką grotę i ubrał krajobrazami robionemi z korka.

Ażeby mógł zapewnić czytelników że przedstawiłem całość rossyjskiéj wystawy, wspomnieć muszę o marmurach i piaskowcach szlifowanych bardzo zresztą pięknych, o kaflach Krupińskiego ze Stawropola, o niezłych okazach photogenu, ligroiny, o trzewikach Łucenko czasami ładnych, o proszku perskim braci Wartpatrikowych, o dwóch bardzo ładnych płytach do stołu z łuski metalowéj Gorczakowa, o bardzo pięknych i licznych wyrobach z malachitu, o okazach Strembickiego i Owsiannikowa jak z ikry rozmnażać ryby, o dwułokciowych piernikach Petersa, o fabryce czcionek Lemana w Petersburgu, o fabryce lakierów Marksa w Petersburgu.

Fotografie petersburskie i moskiewskie nie wystąpiły tak świetnie jak warszawskie, jednak kolorowane Deniera z Petersburga piękne, Piekarskiego z Moskwy niezłe, barona Manteuffla z Rygi także.

Professor Kitary technolog i chemik przedstawił wiele preparatów własnego wynalazku do zastosowania w przemyśle, medycynie i życiu codziennym, jak np. konserwy z kaszy kartoflowéj, za którą już dawniéj otrzymał dwa wielkie medale złote (od Tow. Ekonom. Pet. i na wyst. politech. w Moskwie), proszek dezinfekcyjny, za który także otrzymał złoty i srebrny medal; lakier karzinowy etc.

Z działu pedagogii nic nie przedstawiono oprócz metody pisania Barancewicza, jak się zdaje, znanéj już nieco u nas.

Kijowski Uniwersytet już oddawna ma w liczbie swoich professorów anatomii, szczególnych lubowników i znawców anatomii głowy. Dawniéj celował w tym przedmiocie docent Kupernicki, dziś prof. Betz dał na wystawę wielce bogatą kolekcyę preparatów mózgu. Doktor zaś Hubert Krasiński bardzo bogatą i staranną kolekcyę histologicznych preparatów, już nagrodzonych medalem na wystawie politechniczněj moskiewskiéj w roku 1872.

Metoda ortopedyczna Korzeniewskiego, któréj wynalazca sam był ciągle prawie obecny na wystawie i pokazywał wielkie album fotograficzne swoich pacyentów uleczonych od wszelkich ułomności fizycznych, zdaje się, że nie może być na seryo traktowaną, chociaż widocznie udawało się panu K. osiągać niezwykłe rezultata, a nawet za wyleczenie córki Szamila został nagrodzony krzyżem na szyję.

Finlandya, ten kraj tak daleko na północ posunięty, pełen błot, jezior i skał nagich, ma jednak w niektórych miejscach rolnictwo wysoko posunięte (gub. Knopioska) i przemysł znacznie rozwinięty; kilka papierni przedstawiło swoje wcale dobre wyroby: Walkeakoski papiery grubsze, Terwakowski w wielu odmianach, Frenkel także dobre. Obicia papierowe Georga Ricksa z Helsingforsu w wielkiéj kolekcyi i niektóre wcale ładne. Płótna z Tammerfors bardzo ładne, takież wyroby i serwety płócienne Finlaysona dobre. Zwracały na siebie uwagę wyroby ze słomy i z kory drzewnéj, zwłaszcza dywany z tych materyałów.

Akc. Tow. Bolega dało ładne swoje wyroby rypsów i serwet.

W oddziale rossyjskim najsystematyczniéj i najkompletniéj był urządzony oddział kaukazki. Dwie ogromne mapy Kaukazu, starannie kolorowane, mogły dokładnie objaśnić widza z fizyczną naturą miejscowości, z położeniem i rodzajem lasów, gór, naturą gruntów; osobna zaś mapa termiczna dawała dokładne wyobrażenie o klimacie tego ślicznego kraju. Nadto kolekcya pięknych drzew bardzo cennych dla tokarskich i stolarskich wyrobów i obszerny starannie ułożony zielnik obznajmiał dostatecznie z bogatą roślinnością Kaukazu, gdzie cytryny, magnolie, kamelie rosną pod odkrytém niebem. Bogata kolekcya rud i kamieni pokazywała kopalne bogactwo kraju. Wiemy przecie że czerkieska stal słynie oddawna za jedną z najlepszych na świecie. Między kamieniami, suszyński kamień litograficzny wyróżniał się szczególną dobrocią.

Produkcya Kaukazu bardzo rozmaita i bogata, przy rozwinięciu się na większą skalę może przynieść kiedyś ogromne korzyści. Plantacye najwyborniejszych winogron czekają tylko przedsiębiorców, którzyby umiejętnie stosując dzisiejsze udoskonalone sposoby wyrobu wina, uczyniły go jedném z najwięcéj poszukiwanych. Tytuń także rośnie w licznych wybornych gatunkach i może być jak na największą skalę z korzyścią hodowanym. Już i obecnie produkcya ta dość poważnie się przedstawiła, bo miała aż dziesięciu eksponentów tytuniu następujących gatunków: samson, trapesund, kesbek, bochera, sułtański.

Wyroby bawełniczne z miejscowego materyału i fabrykacya waty, mogą także z czasem rozwinąć się do znacznych rozmiarów i podnieść bogactwo kraju.

Jedwabnictwo téż coraz więcéj zaczyna się rozwijać i założono już przędzalnie jedwabiu na większą skalę, np. fabryka Mierzojewa.

Ale najbardziéj zadziwiającém i najciekawszém jest to, że jak się pokazało, kraj ten może produkować własną herbatę. Mingrelli książe Dadiani zrobił próbę, która uwieńczoną została pomyślnym rezultatem i na wystawie wiedeńskiéj jużeśmy oglądali herbatę kaukazką.

Wyrób skór przybierą też coraz większe rozmiary, jako bardzo korzystny i Tadastanów z Achalcychu np. wysyła znaczną ilość swojego wyrobu aż do Anatolii i Andżaryi. Dla podniesienia bogactwa krajowego przy księciu Baryatyńskim powstał zarząd wyłącznie do spraw rolnictwa i przemysłu, a przy nim komitet uczony, którego zadaniem było robić poszukiwania i obmyślać środki do przyspieszenia wzrostu przemysłu i rolnictwa.

Przy księciu Baryatyńskim były ustanowione także coroczne wystawy rolnicze i przemysłowe, na których rozdawano nagrody pieniężne i medale, które włościanom pozwolono nosić na szyi i w pętlicy. To pozwolenie noszenia medalu zrobione ze znajomością natury człowieka, zwłaszcza mniéj wykształconego, ażeby dogadzając miłości własnéj nagrodzonego, wyzyskiwać więcéj dla pożytku krajowego.

Rozmaitych wyrobów z metalu i gliny (naczyń, ozdób etc.) było wiele. Wszystkie z rysunkiem typowym wschodnim, z wykrętasami przypominającemi arabeski albo niby pismo wschodnich alfabetów. Na paskach, na kindżałach (pochwach od sztyletów) i innych wyrobach czerkieskich, wszyscyśmy chyba ten rysunek widzieli i to nam ułatwi wyobrażenie o rysunku na wszelkich wyrobach Wschodu, do którego opisania właśnie przystępuję. Ciągle się on powtarza z pewnemi odmianami i dodatkami, które w dalszym ciągu postaram się opisać. Na drodze ku Wschodowi, Kaukaz jest właśnie tym piérwszym, czysto wschodnim typowym krajem, od którego opisanie Wschodu zaczynam.

Kaukazkie kaftany, baszłyki bogato wyszywane złotem były szczególnie piękne i mogą też służyć jako wzór najpiękniejszych tego rodzaju strojów wschodnich.

Turkiestańska wystawa była też starannie urządzona, pokazywała bowiem i stopień rozwoju przemysłowego i obznajmiała z ludem miejscowym, sposobem ich życia i miejscowemi zwyczajami. I tu widoczne bogactwo klimatu i gleby daje możność do rozwinięcia w tym kraju bardzo zyskownego przemysłu. Klimat pozwala właśnie rozwinąć na największą skalę wyrób bawełny i waty. Do wyrobu téj ostatniéj początkowie więcéj się brano niż obecnie, bo ceny na nią były wyższe (6 rs. 30 kop. za pud), na wystawie wszakże było aż siedm okazów waty, widocznie więc przemysł ten może tylko wolniéj postępuje ale nie upada wcale.

Jedwabnictwo od czasu zajęcia tego kraju przez Rossyę znacznie się rozwinęło: kupcy rossyjscy mają tam przędzalnie na wielką skalę (Chłudow) i niewątpliwie jedwabnictwo tam wzrośnie z czasem do niezwykłych rozmiarów.

Jedwabie turkiestańskie mocne, ale zawsze mdłych a często zupełnie brudnych kolorów. Takich tu kolorów wszelkie wyroby z bawełny i płócienka niezbyt równéj nitki, ale cienkie, delikatne, jak zwykle na Wschodzie.

Marzanny farbierskiéj (rubia tinctorum) także okazów było wiele. Widocznie więc jéj uprawa w nie małych granicach się odbywa. Roślina ta wszakże może być hodowaną i w zimniejszych okolicach, nie

cechuje zatém bogactwa klimatu téj miejscowości. Jest hodowaną i u nas, a w południowych Niemczech (Krapp) i w południowéj Rossyi dziko rośnie.

Tkane dywany przypominające nieco gust perski niezłe, najwięcéj zaś ręcznie wyszywanych na suknie różnokolorowemi tasiemkami pięknych dywanów i serwet, w których głównie trzeba podziwiać cierpliwość robotnika. Robotą tą trudnią się nie kobiéty, ale mężczyzni, co dowodzi właściwego wielu wschodnim ludom flegmatycznego usposobienia. Do podobnych rzeczy nie zda się np. nasz skoczny ze śmiejącemi się oczami Krakus albo wesoły Francuz: robota to żółwi i ślimaków. Turkiestan to królestwo szlafroków: narodowym strojem Sarta jest szlafrok, na paradę dwa szlafroki jeden na drugi. Tak właśnie była ubrana figura naturalnéj wielkości Sarta na wystawie wiedeńskiéj. Sarcianka miała swój namiot, obity wewnątrz dywanami, siedziała ubrana w strój workowatego kroju z atłasów i jedwabiu.

Chociaż wzory na wystawie nie sympatycznie się przedstawiały, jednak widocznie to lud ładny: oliwkowéj cery, ale rysów regularnych i wielkich oczu.

Sprzętów nie wiele u ludów wschodnich, najczęściéj siedzących i jadających na ziemi. Wazy jednak są dość zgrabne, a wazony z kamienia nawet piękne. Miedziane naczynia ze zwykłym wschodnim rysunkiem też dość gustowne. Widzimy tu wypchanego tygrysa na znak że to ich dziedzina i Sarta na wielbłądzie, bo to i wielbłądów kraina; i drugiego Sarta (wszystko naturalnéj wielkości), jadącego na wole w kożuchu i futrzanéj czapie z fizyognomią o ogromnym śpiczastym nosie. Czy to ma znaczyć że na takie nosy to kraj urodziwy? Daléj widzimy Sarta: w sklepie obwieszony różnemi wyrobami płóciennemi i ze skóry, obuwiem ze śpiczastemi nosami i innemi przedmiotami do codziennego użytku. Daléj sklepik z żywnością, z którego widzimy że się ta ludność żywi pszenicą, fasolą, prosem, owsem, jęczmieniem, grochem, bobem, ryżem, kukurydzą, orzechami. Daléj widzimy Sarta robiącego mąkę tylko za pomocą wałka; daléj gromadę jedzących jakieś niby pirogi, niby pierniki, palących kaliana i pijących wino.

Następnie oglądaliśmy konia, którego pięknością Turkiestan się sławi, ubranego w pasy, pierścienie i wysokie siodło, a wszystko bogato wyszywane i obsadzone błyskotkami. Broń turkiestańska to głównie strzelba o bardzo długiéj lufie, a muzykalne instrumenta składają się głównie z wielkiéj (sążniowéj długości) trąby, klarnetu i bębenka. Przy zabawach ten ostatni jedynie w użyciu. Ale że to lud ociężały, ponury, obwinięty w szlafroki i milczący, nie zdolny do skocznych zabaw, więc sami nie tańczą, a mają do widowisk ludowych umyślnie uczonych chłopaków, zwykle bardzo przystojnych i zgrabnych (baczá), którzy tańcują solo ubrani w krótkie spódniczki (kobiéty publicznie nigdy się nie pokazują), w licznem gronie siedzących na ziemi widzów, których całym udziałem w zabawie jest napawanie się widokiem tańca, którego upodobanie wyrażają nieustannemi wykrzykami zachwytu i ado-

racyi, obsypywaniem tancerza najczulszemi, najpieszczotliwszemi wyrazami i prezentami, których przyjęcie dający uważa za łaskę dla siebie.

Drugą ludnością stepową są Kirgizi, prowadzący ze swemi stadami koni życie wiecznie koczownicze. Jednego Kirgiza wystawiono w stroju podróżnym (rysów twarzy już więcéj mongolskich), w szerokich zamszowych szarawarach, wyszytych różnokolorowemi tasiemkami, w białém okryciu, chociaż wełnianém ale tkaném jak płótno i śpiczastéj lisiéj czapce, zupełnie podobnéj do tych, jakie u nas dawniéj nosili żydzi.

Dwa te ludy nie sympatyzują z sobą i Kirgiz pan całego stepu, bujający po niezmiernych przestworach świeżego powietrza, lituje się nad Sartem mieszkańcem miasta i wsi, że prowadzi życie tak zaskorupiałe, a Sart z kolei lituje się nad Kirgizem a zarazem okrywa go pewną pogardą za to, że jest włóczęgą nie mającym stałego przytuliska.

Wystawione okazy drzew miejscowych (czynaru, brzozy, orzecha, fistacyi, modrzewia, moreli, jabłoni), dopełniają wyobrażenia o miejscowości i dają dokładne wyobrażenie o tym pośrednim, między zimnym a gorącym, klimacie.

Wracając do Europy raz jeszcze w celu opisania wystawy Wschodniéj Europejskiéj trzeba byłoby zaczepić o wiele z tych krajów, które chociaż słusznie nie liczą się do krajów wschodnich, jednak w gustach swojch przechowali jeszcze ślady wschodniego pochodzenia: takiemi są Węgry i inne na południo-wschód od Węgier położone drobniejsze kraje. Że jednak taki opis byłby zbyt obszerny, przejdziemy więc wprost do *Grecyi* i Turcyi.

Pierwsza wystąpiła dość pokaźnie z tém w co ją obdarzyła przyroda: przedstawiła mianowicie bardzo piękną i bogatą kollekcyę marmurów (których obecności w swojém łonie Starożytna Grecya zawdzięcza to świetne stanowisko w sztukach pięknych). Bardzo piękna także kollekcya roślin drzewnych, nasion w wielu okazach (pszenicę, kukurydzę, jęczmień, trawy, rośliny, objaśnia dziesięć gatunków niezwykle pięknego tytoniu). Przemysł zaś w nowoczesnéj Grecyi ubogo się przedstawia.

Oprócz wielu pięknie wyszywanych ubiorów greckich nie szczególnych jedwabnych materyi, koronek, delikatnych materyj na kształt batystów i tiulów w jedwabne paski, dość gustownych ale miernéj dobroci; oprócz dywanów nakoniec dobrocią nie bardzo się wyróżniających, niczém prawie więcej przemysł się krajowy nie zaprezentował, nie widać żadnego na téj drodze postępu. Z dziełami sztuki w pałacu przemysłowym pięknie się przedstawił Dzossis z Aten, dając Penolopę, Aleksandra Wielkiego i Sapho. Wszystkie te trzy jego dzieła zwracały na siebie szczególną uwagę.

Turcya ponad całą swoją wystawą rozpięła górą dywany (tak jak i Grecya), a dołem obstawiła ją massą figur (manekinów) naturalnéj wielkości, dość odrażającego pozoru, które miały niby przedstawiać typy charakterystyczne narodowe, ale w rzeczywistości miały etnograficzną wartość tylko z powodu że je ubrano w prawdziwe stroje narodowe.

Oglądaliśmy cacka dziecinne najszkaradniejsze, najniezgrabniejsze w świecie, ale i to bez zaprzeczenia miało swoją wartość naukową, bo dawało też pewne wyobrażenie o nizkim stanie estetycznego wykształcenia narodu.

Tureckie ubiory wyszywane złotem i takież greckie, były najpiękniejsze na całéj wystawie wschodniéj. Płócienka, jak u wszystkich prawie ludów wschodnich są w paski brudnych kolorów. Sukna tureckie najczęściéj brzydkie i brudne, płótna rzadkie i cienkie—jak i w innych krajach dalekiego Wschodu, których lud zamieszkując strefy gorące potrzebuje lekkiego ubrania. Wyroby ze słomy i drzewa dosyć misterne, wyroby jedwabne czasami tylko udatne. Ładne były także okazy bawełny w stanie naturalnym, a także czesanéj przędzonéj i farbowanéj; ogromna massa okazów tytoniu i wielka kolekcya cybuchów; herbata zielona, piękny jedwab surowy; kolekcya produktów w które obfituje roślinność Turcyi: figi, rozynki, orzechy, boby, grochy, fasole... Z ogromnéj kollekyi tych ostatnich były dwa gatunki fasoli bardzo orginalne, bo zielone jak trawa, a formy i wielkości krupek perłowych. Fasola ta byłaby dobrym nabytkiem dla naszego kraju. Daléj wyroby koronkowe, filigranowe, wyroby ze srebra, broń turecka, hełmy, tarcze etc.

Stal turecka usprawiedliwiła swoją sławę o sobie i na wystawie wiedeńskiéj: broń i inne z niéj wyroby, widocznie musiały być szczególnéj dobroci.

Zamiłowanie do koni ludów wschodnich wykazuje się przez błyskotliwe, często bogate i ozdobne ich przystrajanie; to też wszystkie kraje Wschodu hodując je, nie przepomniały o rzędach na konie. Tureckie są efektowne właściwéj Wschodowi przesadnéj jaskrawości.

Okazy wełny tureckiéj grube, nie mogą współzawodniczyć pod tym względem ze środkową Europą. Palestyna dała same tylko rzeczy święte: z kości słoniowéj krzyżyki, medaljony z wizerunkami miejsc świętych, zasuszone kwiaty zbierane na Ziemi świętéj, paciorki, prawdziwe bo z liści różanych różańce etc.

Plan Konstantynopola i Bosforu starannie z gipsu (?) wyrobiony (relief); kolorowany, zadziwiał swoim ogromem. Dla jego obejrzenia urządzone były na podniesieniu z obu stron, galerye, bo tylko z pewnéj wysokości można było obejrzéć ten plan w całości. Obok obraz olejny przedstawiał widok Konstantynopola, i obfita kollekcya wykopalisk z dewońskiéj formacyi Bosforu, nad którą geolog mógłby korzystnie przepędzić dni kilka. Takiż jak Konstantynopol, tylko nierównie w mniejszych rozmiarach plan Jerozolimy, model haremu Muhameda w Jeruzalem, i innych znaczniejszych gmachów jerozolimskich, kollekcya naczyń glinianych i z bronzu: oto całość wystawy tureckiéj.

Posuwając się północnym brzegiem Afryki od zachodu ku wschodowi mamy najprzód *Algier* (t. j. na wystawie), który oprócz różnych rzeczy wyszywanych niesłychanie pracowicie różnemi kolorami, dał tylko produkta głównie roślinne, jakie ziemia i klimat tego kraju wydają, więc bawełnę, jedwab, drzewa korkowe, len ryzki (gruby i wielki), wiele

bardzo nasion lnu, wiele gatunków mocnego tytoniu ciemnych kolorów, krzew rycini, oliwa, kukurydza, pszenica, (z niéj makarony w wielu odmianach), grochy, fasole, piękna i liczna kollekcya drzew najzdolniejszych do politury, owies, jęczmień, mak, a z produktów natury zwierzęcéj muszle perłowe, często stopę średnicy mające. Obok Algieru była zarazem wystawa wszystkich kolonij francuzkich, z Kochinchiny jedwabie, meble wykładane kością słoniową, len, mnóstwo rzeczy korzennych, kawa, kakao, czekolada, instrumenta narodowe muzykalne na kształt gitary o jednéj i czterech strunach. Z Senegalu kukurydza, kawa, bawełna, Asclepias gigantus (Tojeść). Agawy, Akacye, Adansonie; z Guadeloupy pełno téż rzeczy korzennych, drzew krajowych, bawełny, kawy, ananasów; z Indyj francuzkich znowuż korzenie, szafrany, kokosy (Cocos) akacye etc; z Gujany mnóstwo ślicznego ptastwa i bardzo piękne kwiaty z różnokolorowych piórek złożone, fortografie przedstawiające typy tamecznych mieszkańców, nie potrzebujących krawca.

W wystawie *Tunisu*, bawiła oko piękna i liczna garderoba z najrozmaitszych delikatnych materyj, ozdobnie wyszywanych i przetykanych złotem, w wielkich oszklonych szafach z napisem *appartenent á son excellence le General Houssein*. Daléj mieszkanie tunetańskiego magnata (Marpurgo de Nilme), o którém ze zdziwieniem czytać mi się zdarzało że jest urządzone z całym przepychem Wschodu, tym czasem ubrane w meble drewniane, niezgrabnie malowane, zupełnie jak znane nam drewniane misy rosyjskie; gołe deski krzesełek były téż w zupełnéj sprzeczności z wyobrażeniem o miękkości Wschodu, jako téż zwykła sofa pokryta skromną materyą nie mogła dać żadnego wyobrażenia o wschodnim przepychu. Dwie figury kobiety i mężczyzny wyobrażały typy i stroje narodowe nie wielce zbytkowne, a na stole zastawione były jadła których używają, przyprawione z migdałów, orzechów, daktyli.... W tym kraju daktyle stanowią jeden z najgłówniejszych produktów pożywienia i o dobréj gospodyni powiadają tam, że umie na każdy dzień miesiąca dać z daktyli coraz inną potrawę. Daléj wystawa produktów krajowych, więc prócz migdałów, orzechów, daktyli, jeszcze jęczmień, przenica, groch.... z produktów zwierzęcych bardzo nieszczególna gruba wełna i jedwab. Następnie ubranie na konie, potém instrumenta narodowe: niby gitara o dwóch strunach i bębenek.

Do rzeczy piękniejszych w téj wystawie należała jeszcze wspomnianego Husseina broń: strzelby o bardzo długich lufach wykładanych srebrem, szable mocno wygięte i kindżały, i cudnie piękne tegoż czaparaki aksamitne szyte złotem.

Najznaczniejsze państwo na północném wybrzeżu Afryki—*Egipt* i na wystawie wiedeńskiéj najokazaléj wystąpił, czego każdy z góry mógł się spodziewać. Jednakże śladów cywilizacyi pożyczonéj w Europie nie wiele: chyba w tych mundurach gwardyi na sposób europejski przykrojonych, wyszywanych złotemi galonami, w wyrobach ze stali szlifowanéj i okazach instrumentów mierniczych, których częstsze używanie datuje się zapewne od czasów kopania kanału Suezkiego.

Cukier lichy, migdały w cukrze osmarzane, płócienka brudnych kolorów, wyroby stalowe dobrze szlifowane, liche gatunki tytoniu, gruba wełna: oto przemysł Egiptu.

Za to wystawa roślinności egipskiéj świadczyła najwymowniéj o niezwykłém bogactwie klimatu i gleby: najprzód jako ciekawość Baobab (Adansonia digitata), Cykadee (Cycas veroluta, uprawiana), Bambus indica gigantea (aklimatyzowane). Ficus bengalensis, chleb św. jański, z którego owoc różkami nazywany, pistacya, daktyle i inne palmo tykwy, sorgho, boby, fasole, grochy, soczewka, marzanna (Rubia tinctorum) i t. d. a oprócz tego wielka kollekcya pni drzewnych i okazy w nasionach i roślinach zasuszonych. Równie obfity był wykaz roślin dających włókno: oprócz bawełny i lnu, najpiękniejsze połyskujące się włókna wykazano z następujących roślin: Z Ricinus sanguineus, Musa euseto, Asclepias procera, Phoenix dactylifera, Agave ridipare, Cyperus Dires, Musa paradisiaca, Gossypium Vitifolium, Agare americana, Hibiscus canabinus, Musa sinensis, Hibiscus mutabilis, Urtica tenacissima, Phoenix dactylifera, Phormium tenax, Typha latifolia, Musa euseta.

Nie potrzeba zresztą tak bogatego klimatu, ażeby produkować znaczną massę pięknego włókna. I u nas, oprócz lnu i konopi, możnaby uprawiać niektóre z rodzaju wyżéj pomienionych, jak z krzewu rycinowego, pokrzywy (Urtica diuica), tojeści (Asclepias Syriaca), z któréj moglibyśmy mieć watę krajową i materye w rodzaju bawełnianych. Ta ostatnia przytém (Tojeść syryjska), bardzo łatwo się rozmnaża, bo raz zasiana, krzewi się następnie sama, jak chwast. Zachęcone tą łatwością uprawy, utworzyło się przed kilkonastoma laty towarzystwo, które założyło fabrykę wyrobów z tojeści w gubernii Kijowskiéj, wyrabiało bardzo dobrą watę i zamierzało rozszerzyć wyrób na wielką skalę, ale teraz jakoś o niéj zupełnie nie słychać: fabryka zapewnie upadła.

My zresztą coraz mniéj dbamy o uprawę roślin włóknistych tak dalece, że lnu kraj nie może dostarczyć do jedynéj fabryki w Żyrardowie i tą sprowadza go z za granicy. Wprawdzie wyniszczająca to ziemię roślina, ale są przecież warunki, w których może być z korzyścią uprawiana. Nakoniec, z roślin wykazano jeszcze krzewy kotkowe i liche gąbki, dla których najlepszém siedliskiem południowe wybrzeża Grecyi.

Świat zwierzęcy nie był tak bogato przedstawiony i o faunie Egiptu, nie dawał wyobrażenia. Najciekawszym tego oddziału okazem, był ów bajecznie straszny krokodyl. Ten jednak z wystawy nie był wielce przerażających rozmiarów. Dziś nie wiele ich w Nilu, i jako starannie niszczone, rzadko dochodzą do naturalnéj wielkości. Pelikan, którego czasami burze aż do nas na Białoruś przypędzają, trochę innego ptastwa, piękne konchy: otó wszystko.

Perskie dywany, szale i materye, zapełniały głównie wystawę perską. Materye jedwabne zwykle dzikich kolorów, najczęściéj w jakieś niby tygrysie pręgi, albo cieniowanie nakształt mory. Cza-

sem zdarzały się między niemi jednokolorowe wcale ładne. Lekkie, delikatne materye, mory i płócienka także.

Głównym instrumentem muzykalnym, jest bębenek do beczułki podobny.

Hełmy śpiczaste, szable podobne do czerkieskich, naczynia drobno rzeźbione w desenie, jakie widzimy na wszystkich wyrobach czerkieskich. Łabędzie, futerka z piór ptasich, księgi perskie, a nadto prawie nic więcéj.

Chiny stoją daleko wyżéj w wyrobach materyj jedwabnych: z tych bardzo wiele jest prześlicznych, gustownych, mocnych, najlepszego gatunku. Grube atłasy i materye, często przepyszne. Oglądając niektóre z nich, przypomina się żywo najwytworniejsze tego rodzaju wyroby francuzkie, włoskie, i myślę, że w téj sztuce Chińczycy, nie wieleby się od Europejczyków nauczyć mogli. Wyrób zaś papierów tak wyborny w odmianach i gatunkach tak licznych, że podobnych, możeby żadna fabryka europejska wykonać nie potrafiła. Wprawdzie papiéry chińskie nie odpowiadałyby naszym potrzebom, ale u Chińczyków, papiér właśnie dlatego jest taki misterny, że się używa i w tych potrzebach, w których my używamy płótna, np. na serwetki do stołu, na chustki do nosa etc., musi więc być bardzo miękki, a przytém mocny i niełatwo przepuszczalny. Niektóre papiéry chińskie mają zupełnie pozór atłasu, piki lub dymy. Płócienka chińskie nadzwyczajnéj delikatności.

Wystawiono massę chińskiego obuwia w wielu odmianach, najwięcéj na drewnianych podeszwach dwu-calowéj grubości.

Chiny to przyrodzona ojczyzna róży i pośród wystawy kwiatów chińskich, ona najpyszniéj się przedstawiała.

Kollekcya drzew, najwyborniéj nadających się do politury, była bardzo liczna. Rzeźbione sprzęty chińskie, nadzwyczaj misternéj i delikatnéj roboty. Tylko lud bardzo spokojnego temperamentu i niezwykłéj cierpliwości, może być zdolnym do takich robót. W pagodzie chińskiéj, meble składane dość zręczne. Kapelusze słomiane i inne rzeczy ze słomy dobrze wyrobione, często bardzo oryginalne, jak np. okrycia z sieczki słomianéj na siatkę nawlekanéj.

Chińskich naczyń bronzowych najrozmaitszego kształtu, (w połowie baniasto wydętych, w połowie rurkowato wydłużonéj formy), było mnóstwo.

Kraj ten, jako główne źródło, z którego cały świat czerpie herbatę, chociażby dla tego jednego powodu, zajmuje nas wszystkich. Owóż wybornych okazów herbaty, było aż kilkadziesiąt: produkcya jéj przybiera coraz większe rozmiary i nie mamy potrzeby się obawiać, ażeby nam jéj zabrakło. Tytuniów też było odmian wiele.

Kollekcya typów narodowych dawała dokładne wyobrażenie o powierzchowności chińskiego ludu.

Broń chińska podobna do powiększonych rozmiarów przyrządów kuchennych, bo głównie złożona z różnéj wielkości noży i widelców o trzech zębach obsadzonych na trzonkach odpowiedniéj wielkości,

Głównym produktem pożywienia u Chińczyków jest ryż, jak wiadomo, a oprócz tego inne zboża w Europie uprawiane, między któremi hodują w wielkiéj massie rośliny groszkowe, boby, fasole, grochy. Z tego ostatniego nawet robią sery, których sposób przyrządzania, opisany w „Listach o Chemii" Liebiga.

O malarstwie chińskiém mieliśmy wyobrażenie, że to najszkaradniejsza bazgranina bez żadnego cieniowania i tak było dotąd w istocie, czego dowody widzieć się dało i na wystawie, na rozmaitych przedmiotach chińskiego wyrobu. Ale teraz dano na wystawę sześć krajobrazów, w których cieniowanie i perspektywa tak dalece były obserwowane, że zdawało się że przez omyłkę trafiły do oddziału chińskiego. Z rzeczy kopalnych, Chiny wykazały dobry gatunek węgla kamiennego i żelaza.

Japonia, oryginalnie ubrała swoją wystawę: na niéj najpierw wpadała w oko potworna ryba z zakręconym do góry ogonem i rozwartą paszczą, wielkich rozmiarów z bronzu. Ryba ta jest to ozdoba architektoniczna gmachów japońskich. Daléj dwie ogromne kule (latarnia w czasie uroczystości), może trzy łokcie albo więcéj średnicy mające, zrobione zapewne z papieru, (wewnątrz oświetlane) z niewyraźnym rysunkiem, naśladującym niby plątaninę z obłoków węży i jaszczurek. Dwie te rzeczy sprawiały na widzu nieco odrażające wrażenie. Porcelana z niebieskim rusunkiem, imitującym niby księżyc i obłoki, albo jakieś inne niewyraźne figury, nie jest tak piękną, jak o tém głoszą szczególni amatorzy porcelany japońskiéj.

Naczynia i inne wyroby z metalu dosyć ładne. Rzeźby na drzewie niezłe, chociaż nie z taką cierpliwością wykonane, jak chińskie. Za to bronzowa szafa i komoda z płaskorzeźbą dziwnie starannéj roboty.

I w japońskiéj wystawie materyj jedwabnych wiele było ładnych i gustownych. Złotem przetykane materye: bardzo piękne. W Japonii, wachlarz uważa się za przedmiot nieodzownie potrzebny, więc, jako tak wielką grający rolę, był gromadnie przedstawiony. Chociaż najczęściéj niegustowne, jednak sprzedawane w namiocie po za obrębem wystawy, były wielce pokupne i noszone w Wiedniu.

Cacka dziecinne, bardzo niezgrabne. Kollekcya narodowych typów i kollekcya zwierząt, dopełniały wyobrażenia o Japonii.

Papiér, przedstawiony w ogromnéj massie odmian, w niczém nie ustępuje, a może jeszcze przewyższa wyrób papierów chińskich.

Okazy książek dawały wyobrażenie o japońskiéj literaturze krajowéj. Minerały pokazywały wewnętrzne kopalne bogactwo kraju. Wagi, instrumenta miernicze, narzędzia fizyczne (termometry), bardzo pięknie wyrobione. Śliczne w wielkiéj liczbie okazy bambusów. Świątynia japońska, daléj chata japońska, ryżową słomą pokryta, z oknami bez szkła.

Świadectwem znajomości mechaniki, mogło służyć koło wodne, górne, godne naśladowania.

Karetki japońskie o dwóch i trzech kołach, wprawdzie w złocone kwiaty, ale to złocenie zaledwie takie, jak na europejskich zabawkach dziecinnych.

Warsztaty tkackie, chociaż niepodobne do udoskonalonych, mechanicznych warsztatów europejskich, jednak dowcipnie urządzone.

Ciekawy był zbiór metalicznych i innych farb, dowodzący, że w téj fabrykacyi, Japończycy posunięci daleko. Wielu chińskich farb w Europie, długo naśladować nie mogli; tak też wielu farb japońskich w Europie, może nie potrafionoby udoskonalić.

Pagoda dachówką kryta, wyłożona słomianemi matami, dobra w ciepłym klimacie, bo tania.

Niezłe były drobne wyroby z kamienia i gałka oszlifowana z górnego kryształu, sześć cali średnicy mająca.

Roślinność stref ciepłych i umiarkowanych, razem się tu mieści; ciepłych w dolinach, umiarkowanych na górach, to też obok bambusów, herbaty, ryżu, można się znaleźć pośród krajobrazu środkowéj Europy.

Pomiędzy nasionami, mnóstwo gatunków fasoli, a w liczbie tych, jedna równie zielona i drobna, jak turecka, tylko podłużna, jak ziarnka pszenicy; bobów także wiele, trzy gatunki tatarki, koniczyna, proso etc.

Skóry często dobrze wyrobione. Broń japońska ładnie wykończona, stalowe wyroby szlifowane doskonale. Maski żelazne, hełmy, siodła, czapraki. Te ostatnie, z jakiemiś wiszącemi na łokieć lub więcéj długiemi, niby frędzlami i dlatego niegustowne. Monety japońskie, wielce oryginalne: miedziane z czworograunemi w środku dziurami; złote w formie eliptycznych plastrów, z których największy ma sześć cali w średnicy; srebrne w strąkach podobnych do bobu i fasoli.

Żywe japonki za to nie bardzo oryginalne, bo tylko brudnocytrynowa cera o płaskiéj, kościstéj twarzy, małych błyszczących czarnych oczkach, a także grube, drewniane podeszwy trzewików, odróżniały je wydatnie od naszych dam, a zresztą te, co widziałem, zupełnie czarno ubrane, w trzewikach z bardzo wysokiemi korkami, z wielką torniurą z tyłu, jaką niedawno u nas noszono i wysoko do góry zadartą fryzurą, nie przedstawiały nic nowego dla naszego oka.

Indye w wyrobach filigranowych srebrnych mogą współzawodniczyć z innemi krajami wschodniemi. Szable i kindżały pięknego wyrobu. Tkaniny nadzwyczaj delikatne, niektóre suto przetykane złotem. Wyroby z drzewa i kości ładne i delikatne, galanterye często piękne; kaljany ozdobione perłami i drogiemi kamieniami. Górny kryształ w wielu okazach i kwarc bardzo czysty, rozmaite nasiona etc.

Rysunki liche, cacka jeszcze lichsze. Nabab drewniany w figurze naturalnéj wielkości siedział tam sobie w swoim namiocie, i indyanki ubrane w delikatne nakształt pajęczych tkanek materye, chociaż z cerą nieco oliwkową i kolczykiem w nosie, jednak dość przystojne.

Między nasionami nieodłączny ryż żywiący znacznie większą połowę ludzkiego rodu, potém wszędzie, prawie na całéj kuli ziemskiéj hodowane rośliny strączkowe, groch fasola... a nareszcie kukurydza, pszenica, nawet jęczmień, owies, etc. Kawy aż 19 gatunków.

Tytonie po większéj części liche, ale z Jamajki cygara muszą być dobre: wiele okazów bardzo pięknego drzewa.

Wełna często gruba ale też często i bardzo ładna z Rambouilletów, z Nowéj Zelandyi i Merynosow i Leicesterów. W téj produkcyi przybył Europie współzawodnik bardzo niebezpieczny. Bawełny grube kokony ładne, mąka cukrowa z trzciny, skóry, niektóre na cal grube dobrze wyrobione.

Metali nie brak w téj części świata: ołowiu sporo, z Wiktoryki węgiel, cynk, złoto, z Queensland miedź, złoto, malachit pięknéj barwy, w ogromnych kawałach, (którego jakiś czas jedyném źródłem był Ural), węgiel kamienny.

Z południowéj Australii bardzo piękne ogromne konchy i szylkrety w wielkich kawałach. Zresztą *Australia* straciła już czystość typu. Znaczna jéj część stawszy się koloniami Europejczyków którzy przywieźli tam wiele swego, (swoje rassy bydła, swoje nasiona, swoje wynalazki przemysłowo-techniczne), zmieszała to co dało przyrodzenie, z tém co dała kultura europejska. Więc obok tych wszystkich wyżéj pomienionych rzeczy, wystawiono i korty angielskie, i angielskie pługi, i produkta zwierzęce i roślinne z tego co zostało przez Europejczyków wprowadzone.

* * *

Tak więc przebrnęliśmy nakoniec przez cały główny pałac wystawy, przedstawiając tylko jak najpobieżniéj wszystko co w nim było nagromadzone. Ale oprócz niego na placu wystawy cała massa pomniejszych budynków różnemi rzeczami zapełnionych, jakem powiedział we wstępie, może jeszcze więcéj zajmujących i bardziéj znaczących, jak np. wystawa sztuk pięknych, wystawa maszyn, wystawa rolnicza, dział edukacyjny i t. d. Ażeby to wszystko tylko widzieć, trzeba było poświęcić na to najmniéj dwa tygodnie. Ale żeby z prawdziwym pożytkiem dla nauki wszystko to zbadać, na to za mało półrocznego terminu na wystawę przeznaczonego, a opisanie wszystkiego w jedném dziele potrzebowałoby długiéj pracy sił zbiorowych. Nie pozostaje mi zatém nic więcéj, jak tylko odesłać czytelnika do dzieł specyalnych, ze swego stanowiska wyłączny przedmiot traktujących i sprawozdanie o sztukach pięknych mamy rozpoczęte w tém samém piśmie przez zaszczytnie znanego na tém polu znawcę-artystę. Przegląd działu edukacyjnego w pracy, o któréj ogłoszono w styczniowym zeszycie Bibl. Warsz.; przegląd rolnictwa w Gazecie Rolniczéj, Tygod. Rol., Przeglądzie Wystawy Jaroszewskiego.

O maszynach wspomnę tylko, że żadnego zupełnie nowego i ważnego wynalazku nie było w tym oddziale; tylko udoskonalono nieco maszyny parowe w celu zabezpieczenia kotłów, w lokomotywach chodzących po zwykłych drogach przyrządy do kierowania udoskonalono o tyle, że maszyna prawie w miejscu zwraca się niemal pod kątem prostym; porobiono też znaczne udoskonalenia w aparatach gorzelnianych. W narzędziach i maszynach rolniczych bardzo małe odmiany. W przędzalniach funkcyonowanie maszyny prawie że do pewnéj doskonałości doprowadzone: oto wszystko.

Jeszcze kilka słów o wystawie poza obrębem pałacu przemysłowego:

Do najpiękniejszych gmachów na wystawie (oprócz pałacu głównego), należały najprzód w tém swém stylu pałac sztuki, Jury, i pałac cesarza austryackiego. Do najbardziéj uderzających oryginalnością wielki pałac wice-króla Egiptu ze strzelającemi wysoko, jak gdyby misternie ze słomy utkanemi wieżycami minaretu. Potém bazar, kawiarnia turecka, domki typowe różnych narodowości: tyrolski, szwajcarski, węgierski, chatka galicyjska, chata chłopa rossyjskiego i inne; restauracye różnych narodowości: amerykańska, angielska, szwedzka, rossyjska i t. d. Poza pawilonem maszyn aż do 10 osobnych budynków, w których pomieszczone kotły parowe stałe z komunikacyą do wprawiania w ruch wszystkiego co było umieszczone w pałacu maszyn. Gdzieindziéj oranżerye, browary, wystawy drzewa w osobnych pawilonach (Arcyksięcia Albrechta, węgierska) i cały plac zawalony drzewem węgierskiém (dębami 3 łok. w średnicy mającemi i 12 sążni długiemi; belkami obrobionemi okoko $1^1/_4$ łok. grubemi i 11 prętów długiemi). Wystawa drzewa i wyrobów drzewnych z Galicyi, w których starodrzewia już prawie niéma. Tu dzwonnice, tam wiatrak, pompy, latarnia i trąba morska, którą co wieczór wypraszano publiczność z wystawy; gdzieindziéj na ustroniu pośród drzew kościołek z cynku, albo altany z gipsu, sztucznego cementu, sztucznego marmuru etc. Wszystko to otoczone trawnikami, klombami kwiatów, fontannami, pomnikami, popiersiami znakomitych ludzi, allegorycznemi figurami z cementu, marmuru i t. d.

Gmachów mniejszych i większych, które różne firmy i zakłady swoim kosztem stawiały, było także bardzo wiele. Z tych najpiękniejszy był postawiony nakładem redakcyi „Neue Freie Presse“, z zewnątrz tak piękny, że wyglądał na jakiś prawdziwy pałacyk książęcy. Wewnątrz, w środku, stała maszyna drukarska Siegla, a z boku na jednéj stronie były pomniejsze maszyny drukarskie ze wszystkiemi przyrządami do tego potrzebnemi, na drugiéj ekspedycya gazety i nic więcéj.

W ogóle widząc przepych z jakim wystawa w Wiedniu była urządzona, nieraz musi przyjść na myśl, że często pożytek jaki się z niéj osiąga nie dorównywa kosztom urządzenia. Tembardziéj, że nieumiejętne chaotyczne urządzenie, niesystematyczne ugrupowanie, dla wielu nawet specyalistów jadących tylko w celu naukowym było tak zniechęcającém, że zaniechali rozpoczętych badań.

Austrya straciła wiele, bo nakład na wystawę poniesiony nie wrócił się w całości, ale i zyskała wiele, bo przemysł austryacki we wszystkich gałęziach i w kulturze rolniczéj i w produkcyi zwierzęcéj bardzo świetnie się przedstawił. Na téj drodze ostatniemi laty Austrya zrobiła postęp ogromny.

Przyszłe wystawy powszechne, jeśli będą, muszą chyba być zmodyfikowane, praktyczniéj urządzone z mniejszym kosztem.

Pomimo przyjemności jaką sprawia na widzu przepych w urządzeniu wystawy, życzyćby należało ażeby pod względem bogactwa dekoracyi zewnętrznéj, wystawa powszechna wiedeńska była ostatnią.

B. S.

Przegląd prassy peryodycznéj

W KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

Rok 1873.

KRONIKA RODZINNA.

Kronika Rodzinna należy do najstaranniéj redagowanych, treścią swą najbardziéj zajmujących, utalentowaném współpracownictwem najprzedniejszych pism naszych; niéma téż może sobie równego (rozumiemy tu literaturę świecką tylko) pod względem zgodności i konsekwentności poglądów i sądów. Ostatnią tę zaletę, któréj za bezwzględną nie uważamy, jako bardzo często rozleglejszemu rzeczy objęciu na zawadzie stojącą, zawdzięcza ten dziennik wydatności swoich zasad. Uznaje on religią objawioną, a mianowicie rzymsko-katolicką, nietylko za jedyne prawo moralne dla jednostek, lecz za wyłącznie prawdziwą podstawę bytu społecznego, tudzież normę umysłowości ludzkiéj. Umiarkowana zresztą (z rzadkiemi wyjątkami) i poważna w swym tonie *Kronika Rodzinna* nie raziła dotąd namiętnością i uprzedzeniami, jakiemi się pewne głośne pisma téj barwy gdzieindziéj niezaszczytnie odznaczają; więc ją téż za nader pożyteczny organ opinii uważamy i coraz większy wpływ rokować jéj możemy, o ile z dotychczasowéj drogi umiarkowania i szlachetności nie zejdzie. Broni ona wymownie i dzielnie zaprzeczanéj dziś duchowości w ludzkiéj naturze, i zwycięzko zbija jednostronność i poziomość materyalistowskich zapatrywań. Takie w niéj prace, jak: *Antropologia w stosunku do dziejów*, jak *Idealizm* i *Realizm*, jak zwłaszcza najobszerniejsza z nich p. t. *Kierunki*, książkę nieszczupłą stanowić mogąca, nie przyniosłyby ujmy żadnemu z pierwszorzędnych w Europie organów prassy. Umié téż poważnie i gruntownie wytykać nieuctwo i zarozumiałość literackiéj odwagi, która miasto nad książką siedzieć, skwapliwie do nauczania drugich się zrywa; szarlatańtwo wydawnictw, na małoznaczącą publikę obliczonych, i podobnie do miasteczkowéj tandety, sobotnim sztychem na niedzielny targ dostarczanych.

Kronika utrzymując stale, że rozumne naukowe dociekania i rzetelny postęp wiedzy ludzkiéj w sprzeczności z nauką Kościoła nie są, dosyć zawsze poświęca miejsca sprawozdaniom i wiadomościom z dziedziny umiejętności ścisłych i obserwacyjnych; sprawozdania te równie jako i artykuły dotyczące spraw edukacyi, tudzież ekonomicznych stosunków (lubo tych ostatnich mniéj) pisane są dobrze i zupełnie przystępnie. Za to z działu nauk historycznych nie napotykamy w tém piśmie nic prawie. Rozprawa p. t. *Słówko o wiekach Średnich*, jest bardzo słaba i bardzo paradoksalna. Że wieki Średnie były przygotowaniem swojego rodzaju do dziejów późniejszych, to rzecz bardzo naturalna; ale żeby tylko taki a nie inny przebieg historyi Europy miał być koniecznym do wydania owoców nauki i moralności chrześciańskiéj, tego nikt nie dowiedzie i dowieść nie może. Prędzéjby zdaniem naszém probować było można dowodzenia, że przy dłuższém trwaniu całości Państwa Rzymskiego i nie tak burzliwém jego rozpadnięciu się, jeżeli to ostatnie miało być nieuniknione: chrystyanizm łatwiéj i prędzej dziełaby swego dokonał. Bronić wieków Średnich przeciw napaściom Woltera jest dzisiaj pracą najzupełniéj błędną, a nie rozumiemy zgoła co miałyby do zyskania w solidarności z temi wiekami interesa Kościoła katolickiego. Z jakich racyi Kościół ten z bezwzględnością swoich idei i swoich zadań, miałby się wystawiać wobec naszego czasu, jako związany z pojęciami, instytucyami i stosunkami niepowrotnie minionemi? Czyż nie widzimy Kościoła na wstępie wieków Średnich już urządzonego i statecznego? Czyż nie w ciągu piérwszych pięciu stuleci wydał on największą liczbę swych świeczników i największe uczynił postępy? Zastosował się on wprawdzie do stanu rzeczy po upadku Cesarstwa Zachodniego i korzystał zeń ile możności, lecz zastosowałby się również i do innego rzeczy obrotu.

Z drobnych tu i owdzie wynurzeń *Kroniki* wnioskujemy, że redakcya tego pisma podziela perspektywiczne, że tak powiemy, złudzenia autora *Słówka* w zapatrywaniu się na owe Średnie wieki. Co wdzięcznych dostarcza przedmiotów dla poezyi, malarstwa i opery, to niekoniecznie wyższym się stanem uspołecznienia zaleca. Przyjemnie jest przypatrywać się zdaleka niebotycznym Alpom, lub oglądać odtworzone pędzlem śnieżne ich gromady; lecz nie byłoby mądrze zalecać te jałowe wyżyny jako przydatne dla ludzkich osiedleń. Nie więcéj jest trafności w sądzie tych, co ubolewając nad niedostatecznością epoki współczesnéj wyobrażają sobie, mało będąc z dziejami dawnemi obeznani, że ongi musiało być daleko lepiéj. Mimowiednie upośledzają oni przeto znaczenie i wpływ religii chrześciańskiéj w kilku ostatnich wiekach, a w Średnich przypisują téjże religii taką potęgę, jakiéj rzeczywiście nigdy nie miała. Gdyby ją miała, toć z pewnością pozbyłby się przynajmniéj świat chrześciański, wcześniéj nierównie niż w wieku dopiéro XIX, niewolnictwa i poddaństwa milionów pracującéj ludności, któréj wielbiciele wieków Średnich, olśnieni widokami zamków i ka-

tedr, processyi i turniejów, dojrzéć nie mogą; pozbyłby się téż wcześniéj wielu innych okrucieństw i nieludzkości do niedawna praktykowanych (naprzykład w prawach i postępowaniu kryminalném). Te ostatnie wywierały się przecież głównie na słabych i na maluczkich, których Kościół według mniemania *Kroniki* miał niegdyś skuteczniéj bronić. Było to bezwątpienia w jego zasadach, a może i w intencyach, lecz rzadko w czynach się spełniało. Po cóż mu więc w złudzeniu perspektywiczném przypisywać to, co możność jego przechodziło, a nie uznać tego, co jest powolnych i pośrednich jego wpływów skutkiem.

Obok filozoficzno-moralnego najcenniejszém działem *Kroniki* jest belletrystyczny. Na piérwszém tu miejscu jaśnieją prześliczne listy p. Odyńca z podróży po Niemczech i Włoszech w towarzystwie wielkiego poety naszego odbytéj. Rubryką takiéj wartości i rozciągłości żadne z tylu pism naszych pochlubić się nie może. Zebrane razem listy te utworzą jednę z najpiękniejszych książek w literaturze naszéj, i to jak dotąd jedyną w swoim rodzaju, którą nie jedno jeszcze po nas pokolenie z żywém czytać będzie zajęciem; książkę w prawdziwém i szlachetném znaczeniu popularną, interesującą w równym niemal stopniu dla młodzieńca i poważnego męża, dla panienki i matrony. Ile jest w tych listach wdzięku, jaka snadność, jaka żywość serdeczna, ile tam wydatnych i głośnych przesuwa się postaci, tego w zwięzłym przeglądzie wypowiedzieć nie zdołamy, tego zapewne i najobszerniejsze rozbiory i krytyki nie wypowiedzą. Obejdzie się zresztą to dzieło bez ich pochwał; zalet jego śledzić i wykrywać niéma potrzeby; uderzają one każdego od razu; pochwyci je umysł powierzchowny równie prędko jak i głębszy. Dodamy tu jeszcze, że zanim doczeka się Mickiewicz należytéj biografii, listy jego przyjaciela bardzo mile choć i niedostatecznie jéj miejsce zastępować będą.

Drugą obszerniejszą pracą, nie tak biegłego wprawdzie pióra, nie tyle z treści swéj powabną i ożywioną, ale pociągającą zwolna i serdecznie czytelnika myślącego i czującego, w założeniu zaś swém wcale oryginalną, jest *Dziennik podróży po Niemnie* p. Glogera. Nowy to przykład po wielu innych, jak talent samoistny choć skromny potrafi własną sobie wynaleźć drogę. Autor *Dziennika* siada z towarzyszem i jednym doświadczonym wioślarzem w małe czółno, i płynie na nim po Niemnie w celu archeologicznych poszukiwań. Rzecz zdawałaby się nie dla wielu ciekawą; lecz p. G. za wiele ma serca, za wiele wié i pamięta, ażeby się mógł na wykopaliskach ograniczyć. Płynąc Niemnem, widzi jego piękności i wdzięczne kreśli krajobrazy; wysiada często na brzeg, zagląda do chat, karczem i dworów, odpoczywa gdzie mu wypadnie, styka się ustawicznie z miejscową ludnością, rzuca okiem po okolicy, i na widok niejednéj miejscowości sięgnie wspomnieniem w dawne czasy; wśród tego w oberwanych rzeki brzegach coś ciekawego czy godnego uwagi dla badań swoich znajduje. A wszystko to—krajobrazy, wrażenia, obserwacye, rozmowy, powszednie wypadki

i anegdoty téj oryginalnéj wędrówki, jako téż archeologiczne dociekania—przedstawia się czytelnikowi najprościéj w świecie, bez żadnego wysterczania autorskiéj osobistości, bez literackich zalecanek i próżnych apostrof. Złoży się z tego także zajmująca, nauczająca i dobrze napisana książka, któréj szczerze wziętości życzymy.

W ogłaszaniu niewydanych dotąd poufnych listów Z. Krasińskiego, nie okazała *Kronika* dobrego redakcyjnego rozeznania. Nie godzimy się na to, iżby wszystko co do litery przez mężów wyższych napisane, warte było druku. Te przyjacielskie wynurzenia wieszcza mogły były bezpiecznie w tece rodzinnych pamiątek pozostać; coś z nich zaledwie przydałoby się w bardzo szczegółowéj biografii. Ale niesmaki znudzonéj egzystencyi, górne szybowania myśli bez kierunku, egzaltowane subtelności i mgliste widzenia, dla nie wielu chyba bliższych zmarłego znajomych zrozumiałe, są dla ogółu bez żadnego interesu, a w każdym razie niezdrowa to dla umysłów strawa. Pismo peryodyczne i to jeszcze popularne, jakiém jest *Kronika*, powinno dawać czytelnikom rzeczy gotowe: t. j. łatwe do pojęcia, a nie rozwlekłe zagadki, dużo miejsca zabierające. Na drukowanie takich surowych materyałów *Kronika* za szczupłe ma wymiary.

Wiersz tegoż poety p. t. „Po śmierci" byłby powinien także w tece rodzinnéj pozostać, i to na samem jéj dnie. Ogłaszanie takich gorączkowych zapomnień wyobraźni zdaje się nam po prostu niedyskrecyą; a przez jakie znowu zapomnienie się mogły podobne wiersze znaleźć miejsce w dzienniku, katolickie wyznającym zasady, tego zgoła nie pojmujemy. Ateusz nie potrafiłby grubiéj nabluźnić.

Prawdziwie zajmującém i w sam raz dla *Kroniki Rodzinnéj* ułożoném opowiadaniem jest *Młodość starosty Zagojskiego*, wpół pamiętnik a wpół powieść. Radzimy więcéj w tym rodzaju dawać: przyczyni się to do poczytności pisma.

Biografie traktowane są w *Kronice* z dobrym wyborem i gustem (nie wiemy wprawdzie czy są oryginalne czy tłumaczone). Trudno coś lepszego dla spopularyzowania znakomitych imion napisać, jak przystępne i sympatyi pełne życiorysy Linneusza i Manzoni'ego, że obszerniejsze tylko wymienimy.

Rubryka rozmaitości nosząca tytuł *Silva rerum*, szczególne daje staranności i baczenia redakcyi świadectwo; jest to bowiem dział właściwie redakcyjny. W każdym numerze można tam coś interesującego i rozsądnie powiedzianego napotkać. Mieszczą się tam fakta i krótsze sprawozdania literackie, naukowe, ekonomiczne i t. d. (między innemi wyborne uwagi o zakładaniu i nabywaniu cukrowni na akcyach). Tam téż pospolicie występuje redakcya z ostrą i zawsze niemal gruntowną polemiką z innemi pismami. Wszakże krytyka jednego odczytu p. Ochorowicza, zaraz na drugi dzień po tymże już w *Kronice* ogłoszona, gruntowną chyba być nie musiała.

Korrespondencyi z zagranicy miewa *Kronika* nie wiele, i na swą objętość więcéjby ich mieć nie mogła. Są one wcale dobre. Powieści

w *Kronice* drukowane pominiemy tutaj; język pisma tego w ogólności poprawny i korrekta zadowalająca.

A. K.

BLUSZCZ.

1873 rok.

Bluszcz pismo tygodniowe z rycinami mód dla kobiét; ten dodatek wskazuje cel i przeznaczenie pisma, określa zarazem charakter jego wyłączny. W piśmie niepoświęconém specyalnie nauce, lecz życiu społecznemu, badającém owo życie, głównie o charakterze jego, o podniosłości moralnéj i poziomie wiedzy, świadczą artykuły, w których redakcya bezpośrednio przemawia do czytelników.

Otóż zwracamy się ku takim artykułom w Bluszczu. Jest ich sporo; każdy numer nam taki przynosi; lecz wśród nich, głównie nas zajmą, traktujące kwestyą kobiecą w sprawie kobiet, najczęściéj przez kobiety pisane: wszystkie dadzą się zgrupować w jednę całość. Znajdujemy tu postawienie kwestyi w teoryi (dwa artykuły p. Maryi Ilnickiéj p. t. o Prawach kobiety i J. S. Mill); daléj wskazówki, co *u nas* powinny robić *teraz* kobiety (p. t. Co teraz? P. A. Dzieduszyckiéj); jeszcze daléj dwa artykuły (p. t. Edgar Quinet o *Kobiecie* i z *Pracy kobiet*), z których w pierwszym, rozbiera autor pytania, tyczące się stanowiska kobiét i roli im przynależnéj w odradzającéj się Francyi; drugi zaś, to bolesny jęk kobiecy, śmiałe przyznanie się do winy, szczere ze skruchą powtarzane *mea culpa*, za klęski i upadek tegoż kraju, spowodowany własnym upadkiem, moralnym, umysłowém zmaleniem; następnie kilka myśli o wychowaniu kobiety, przez Jadwigę O.; kronika naukowego, artystycznego i przemysłowego ruchu kobiet; nakoniec, o wyższych zakładach naukowych dla kobiet.

Rozpoczynamy od teoryi, od zasad. Z powodu wydania dzieła E. Prądzyńskiego p. t. *O prawach kobiety*, znajdujemy w Bluszczu sprawozdawczy artykuł Pani Maryi Ilnickiéj (NN 7, 9, 10, 11).

Głos kobiety odzywa się, bo w imię idei postępu, żąda i ona wymiaru sprawiedliwości, żąda równego mężczyźnie prawa do pracy, do światła i działalności życiowéj, która jest skutkiem i wynikiem dwóch pierwszych. Że kobieta ma prawo uczyć się tyle, co nauczyć się jest zdolna, że ma prawo tak pracować, jak pracować może i chce, przez wzgląd na prawidłowy, i o ile można najszczęśliwszy rozwój swojéj istoty, dzisiaj o tém już nikt wątpić nie może. Lecz otworzyć jéj wiedzy podwoje dla tego praktycznego celu, że na oświeceniu, a więc umoralnieniu kobiety, zyska społeczeństwo i rodzina, jest uchybiać jéj wyższéj ludzkiéj istocie. Społeczeństwo i rodzina, dwa niewątpliwie święte słowa, ale kobieta ma do tych praw

wszystkich najwyższe, najpierwsze prawo ducha ludzkiego; dla jego to więc potrzeb i przeznaczeń, powinna się ona kształcić, najwyższości moralnéj pragnąć i dochodzić, bo to jest jéj najprzedniejszym celem. To pogwałcenie wyższego prawa duchowego, jako każde zaprzeczenie prawdzie naturalnéj wiedzie za sobą karę; stanowi stracona równowaga moralna, zamącony pokój, zakłócona harmonia wewnętrzna.

Ona w rodzinie, musi być godną męża; mąż i żona, muszą być godni siebie, wzajem się pojmujący, wzajem w pracach rodzinnych wspomagający się tą jednością działania, bez któréj nie ma istotnéj rodziny, rodzinnego ogniska, domu branego w szerszém znaczeniu moralném. Kobieta w rodzinie, nietylko chowa dziecię i pełni ekonomiczną funkcyą gospodarstwa rodzinnego, lecz jest zarazem taką towarzyszką mężczyzny, która powinna być zarazem przyjaciółką jego ducha i tym łagodnym promieniem światła, któryby nie przestał być poezyą męzkiego życia wtedy nawet, gdy już przeminie urok zachwytów młodzieńczych. Tak być musi, aby mężczyzna dom swój kochał i domu tego nie opuszczał, aby go nie zabrakło dziecku, co tam rośnie, myśli rodzinnéj, która się tam wypełnia. Dla tychto celów właśnie potrzeba, aby kobieta szła z postępową ideą wieku, aby wieku tego miłości i nadzieje w piersi swéj hodować umiała, bo inaczéj pomiędzy żoną i mężem, matką i synem, wytworzy się przepaść niezapełniona żadném uczuciem przywiązania i miłości codzień bledszéj i mniéj wpływowéj. Dawne przytém pojęcie patryarchalnéj władzy ojca i męża znika; trzeba więc, aby na miejsce jednego prawa, które się znosi, stanęło drugie, które obowiązywać będzie; trzeba ślepe posłuszeństwo małoletniéj, zastąpić uczuciem moralnéj odpowiedzialności istoty dorosłéj. Aby tak być mogło, trzeba postawić kobietę na wyższym, niż dotąd stała stopniu wykształcenia i działalności życiowéj, trzeba szerszych horyzontów dla jéj myśli, szlachetniejszego nastroju dla jéj uczucia, podnioślejszych uskrzydleń dla jéj ducha; potrzeba, aby i w dziedzinie myśli pomiędzy nią a mężczyzną, wytworzył się jakiś łącznik.

Zewnątrz rodziny, kobieta ma prawo pracy swobodnéj, jak je może i powinna posiadać każda dorosła i nieubezwłasnowolniona istota ludzka. Lecz ponieważ *równość* nie jest *jednakowością*, więc zadanie, a więc *pole*, prac społecznych kobiety i mężczyzny, musi być różne. Co się tyczy pełni praw obywatelskich, autorka tak się wyraża (N-r 10, str. 75): „Jedynym poważnym zarzutem, jaki przy dzisiejszych jeszcze okolicznościach stawićby można głosowaniu kobiety, jest to, że w osobie mężatki może rozdwoić rodzinę. Autor nie zdaje się zwracać na niego uwagi, zarzut przecież ma wysokie znaczenie swoje i ja z mojéj strony, godzę się z Millem, że go obejść nie można. Mężatka powinna być usuniętą od głosowania publicznego nie przez przywiléj dla męża, nie przez prawo prewencyjne, ale przez naturalną rzeczy konsekwencyą.” Odsuwa się kobieta, aby przypadkiem nie stanęła w przeciwnym obozie politycznym. Następne-

mi słowy kończy się praca: (N-r 11, str. 84) „Książka o *Prawach kobiety* tylko dobremi w tym przedmiocie wskazówkami wspomódz ją może i każda téż matka, każda naczelniczka domowego ogniska, niech ją uważnie przeczyta na korzyść dla życiowych swych poglądów i prac rodzinnych."

Artykuł p. t.: *John Stuart Mill* (téjże autorki) jest wspomnieniem pośmiertném autora: *The Subjection of Women*, który, (Bluszcz, N-r 23, str. 177) przenosząc w czyn teoretyczne myśli równouprawnienia kobiety, pierwszy postawił śmiało w parlamencie angielskim wniosek głosowania i wybieralności kobiet, a choć miał za sobą wtedy (r. 1866) tylko 70 głosow przychylnych i wycofał się ze szranek parlamentarnéj walki, myśl jego jednakże została tam i działała powoli. Kilka tygodni temu Bright, poseł z Manchester, pozyskał dla niéj 150 głosów, przeciwko 220." Radykalizm Milla, według słów autorki (tamże) nie miał w sobie zgoła téj rozkładającéj, niszczącéj siły, któraby mogła zagrozić rodzinie i podkopać świętość domowego ogniska. Żądał dla kobiety przedewszystkiém światła i prawa pracy swobodnéj, prawa działalności szerszéj, niżeli ją ma teraz, ale dla zamężnéj, dla matki i naczelniczki domu, widział dostateczne pole téj pracy i działalności w kole jéj rodzinném. Chciał ją tam miéć tylko wyższą duchem; szlachetniéj, rozumniéj stanowisko swoje pojmującą, szlachetniéj, rozumniéj pełniącą obowiązki swoje i zarazem uszanowaną godniéj, kochaną podnioślej, dostojniejszą w ogóle." „Mill (N-r 24, 186) twierdzi autorka, uznaje, że żadna metoda wychowania, żaden stopień wykształcenia, a nawet wykształcenia tego kierunek, nie zatrą różnić pewnych w charakterze kobiety i mężczyzny; ale nie o to tu chodzi. Te różnice, to właśnie harmonijne dopełnianie jednej istoty przez drugą, to podstawa ich miłości, która dla tego istnieje, aby łączyła i sprowadzała oddziaływanie wzajemne" (tamże). W niższości kobiety, jako żony, Mill widzi największe niebezpieczeństwo dla mężczyzny. Wszelkie towarzystwo, które nie podnosi, poniża; żona więc poziomych chęci i poglądów, takiém nieszczęściem grozi mężczyźnie; człowiek wyższy przepada, naród traci podniosłą osobistość obywatela, a w hierarchii duchów, następuje jeden upadek bolesny, jedno w dół strącenie. Nieszczęsny albowiem „skuty na życie całe z miernością, z ubóstwem duchowém, z istotą nizką i nierówną mu w dostojeństwie człowieczém." „On myśliciel ścisły i surowy, (kończy autorka), ekonomista i filozof pozytywny, pozostał niemniéj poetą pełnym tkliwości i uczuć najdelikatniejszych, bo obok jego serca czuwała wysoka poezya szlachetnie kochającéj kobiety."

To, cośmy przytoczyli z powyższych prac, wybitnie nam maluje stanowisko *Bluszczu* w kwestyi kobiecéj. Idźmy daléj! *Co teraz?* pyta autorka „*Gawęd Matki;*" co teraz każda z kobiet może i powinna czynić? Z teoryi więc od słów, przechodzimy do praktyki, czynu. Jasno wyłożywszy, że prawo tylko wynikiem ogólnego usposobienia i przygotowania w pewnéj kwestyi być może, stworzyć zaś ją i rozwi-

nąć nigdy nie potrafi, woła (N-r 28, str. 218): „Pragniemy zmiany w wychowaniu i losie kobiet, a cóż robimy na to, aby pragnienie nasze się urzeczywistniło? Czy poświęcamy dostatki nasze na zakładanie potrzebnych instytucyi, czy w ich braku czas i zdolności na to zużywamy? Gdzie są stowarzyszenia dobréj woli, mające na celu zajęcie się wychowaniem i losem kobiety? Nie występując czynnie, jakże przyjmujemy usiłowania ludzi pracujących w tym kierunku szlachetnym, oświecenia i podniesienia kobiety? W zakładzie Dr. Baranieckiego w Krakowie, dwa dla ogółu najpożyteczniejsze działy: handlowy i gospodarczy, nie mogą wejść w życie dla braku słuchaczek. Narzekamy na brak dobrych nauczycielek, a po dawnemu, szukając przewodniczki dla córki, o języki i muzykę jedynie pytamy.“ „Jeśli tak daléj postępować będziemy, słusznie ostrzega autorka, kwestya kobiet u nas nietylko nie postąpi, ale się cofnie, bo stać będzie na miejscu, podczas, gdy wszystko wkoło niéj pędzi gorączkową drogą postępu.“ Zarzucając, że wśród wiru i gwaru powszedniego życia nawykamy patrzéć na to życie obojętném, lekkomyślném okiem, niezdolni będąc widziéć głąb' jego, dostrzegać wyżyn; widzi przyczyny tego smutnego zjawiska w tak nazwaném wykwintném wychowaniu; z rozrzewnieniem pyta, „gdzież są matrony niegdyś tak szanowane? Gdzie owe niewiasty żyjące tylko dla ludzkości? Gdzie owe salony kobiet rozumnych, w których się młode kształciły pokolenia? Nie masz ich! z boleścią odpowiada. Powagą wyroczni tchną następne słowa autorki: „Matka będzie matką wtedy dopiero, gdy miłość swą bez granic oświeci wiedzą; kobieta, jako matka, największy wpływ wywiera na losy społeczeństw i ludzkości; jako matka, jest ona nauczycielką i przewodniczką młodych pokoleń. Zauważywszy, że brak uzdolnionych nauczycielek, często dobre chęci rodziców uniemożebnia; winę przypisuje jednakże rodzicom, wzywa do zaradzenia złemu temi słowy: „Zażądajmy od nauczycieli i nauczycielek zasad i myśli, gruntowności i nauk i żądajmy stanowczo, stójmy przy naszém żądaniu wytrwale, a ci bezwątpienia, którzy się do nauczycielskiego zawodu kształcą, będą musieli dla własnego interesu, poddać się wymaganiom naszym.“ Lecz, aby dojść do jakichkolwiekbądź rezultatów, potrzeba jasno zdać sobie sprawę, ku czemu dążymy; nakreślić programmat czynności; otóż następny podaje autorka: „Na *teraz* nam potrzeba: 1) pojąć, czém jest wychowanie i kształcić się, jako matki; 2) nauczyć się zastosowywania wychowania i wykształcenia do położenia społecznego, bytu i uzdolnień jednostki; 3) pojąć dla każdéj jednostki potrzebę poważnéj, samodzielnéj pracy. Ufna w owoce szlachetnéj pracy i usiłowań, pewna uznania, zachęty i pomocy, woła: do czynu, do czynu; wszak wszystko od nas zależy! wszak płcie (dodaje), nie mogą przecież stawać w zawistnym do siebie stosunku, lecz działać powinny zgodnie i połączonemi siłami dla wspólnego szczęścia!“

Teraz przystępujemy do dwóch artykułów p. t. *Z pracy kobiecéj* (Examen de conscience des honnêtes femmes de France) i Edgar Quinet: o kobiecie. (N-r 14, 15, 16 i 4, 5).

Byliśmy niedawnemi czasy świadkami strasznéj katastrofy społecznéj. Naród, na który oczy całéj ludzkości zawsze były zwrócone, z zapałem a dumą wiodący zastępy innych narodów drogą postępu i światła pada. I nie poddanie się dwukroć stu tysięcznych armii, nie zburzenie niezdobytych fortec, naród ten zwaliły; lecz upadek moralny własnych swych synów i *córek*, jak o tém objaśnia autorka bezimiennego dzieła, z treścią którego zapoznaje nas wyżéj wzmiankowany artykuł *Bluszczu*. „My pragnieniem niby dobrego w piersi, woła autorka (N. 14), my ktorym się zdaje, że możemy nosić dumnie miano *kobiét poczciwych*, my nie mniéj złożyłyśmy się na to złe, które jest upadkiem Francyi ojczyzny naszéj". W jaki to sposób jednakże? Oto pod jéj strażą wygasło domowe ognisko; nieumiejętność wyrodziła niedbalstwo; sił moralnych niestarczyło do piastowania wysokiego przeznaczenia, dobrych chęci i rozwoju myśli by usłuchać głosu powołania: jak pod tchnieniem wyziewu wszystko więdło, wszystko nikczemniało, wszytko gasło obok niéj. Czém była kobiéta? W najlepszym razie tylko nicością, któréj życie lekkomyślne z dnia na dzień uchodzi, a cała moralna jego strona skupia się w czczych zewnętrznych formach religijnych, w których niema zgoła religijnego ducha. Więc téż ognisko rodzinne któremu przewodniczy, nie roztacza ciepła, któreby pociągnęło: prawo moralne, któremu niby ulega, nie wyrabia sobie szacunku, zasada religijna którą wyznaje, nie jaśnieje żadną świętością, i oto istota bez najmniejszéj wartości dodatniéj czémże jest w życiu? Ekonomicznie używa, nic nie produkując, moralnie nic nie działa, na nic dobrego wpływu nie wywiera, nie podnosi w niczém przekonań. których się niby trzyma. Najlepsza nawet, lecz będąca na téj drodze, dla kraju swego przez bierne swe dobro jest nie użyteczną, a przez przymierze swoje ze złem, przez spokojne jego przyjęcie jako zbytku, lenistwa, niedbałości o jutro, braku silnych zasad, jest szkodliwą. „Zniżyłyśmy poziom społeczny, który był nam powierzony"... powtarza autorka.

Również wart następny ustęp przytoczenia. Autorka zarzuca kobiécie brak oryginalności, powstały z braku prawdy. Wychowanie wszczepia w kobiétę sztuczność niemal od kolebki. „Razem z pacierzem dziewczynka uczy się kłamstwa pod pozorem układności światowéj; rzucają młodą duszę w formę pewną, i oto wychodzi lalka, podobna jak dwie krople do drugiéj lalki, w ten sam sposób ukształtowanéj. Zabita samoistność zaciera wszelkie cechy indywidualności, zastępuje ją naśladownictwo, i oto tajemnica, dla czego kobiéty dzisiejsze sfer pewnych, nie pociągają, jak niegdyś, są nudne, bo są w tysiącznych egzemplarzach powtórzoną bladą kopją nędznego bardzo pierwowzoru. A przecież oryginalność, a raczéj mówiąc wyraźniéj, prawda osobistości naszéj, to wielki, największy może urok, zdolny jedynie pociągać nie konwencyonalną siłę" (N. 16).

Upadek więc kobiéty był w ścisłym związku z upadkiem moralnym Francyi w ogóle „a była to kara dla narodu, który zostawił kobiétę w ciemności i poniżeniu umysłowém, za którém idzie poniżenie całéj istoty naszéj ciemnéj i nizkiéj; który oddał ją obojętnie na pastwę usiłowaniom reakcyi, skoro wszystko idzie naprzód i jest w cywilizacyi ludzkiéj postępem. Zmateryalizowany duch publiczny we Francyi odtrącił w kobiecie wyższéj działanie wyższego piękna i poezyi życia, wyższego nastroju uczuć podniosłych, i oto przyszedł dla jednych upadek gruby, dla drugich wśród nie naturalnych działalności zostaje ciemnota i taka nicość duchowa, taka powierzchowność, płochość, lekkomyślność moralna, że kobiéta nie mogła stać się żadnym dodatnim wśród społeczeństwa swego działaczem". (N. 15.—114.)

Mając przed sobą najczęściéj *takie* kobiéty, mężczyzna się żenił, lecz nie zawsze nim kierowała czystość uczuć. Z wyrachowania, dla korzyści bądź materyalnych, bądź towarzyskich, zapominał w czyje ręce składał dostojność swoją. Gdyby kobiéta inną się stała, podstawy na których zawierają się małżeństwa również przeistoczyłyby się. „Domby się przetworzył; nie chcąc, nie mogąc przyjąć za miłość i szacunek winny, nizkich pociech wytwornego gałganka, niebezpiecznie ślizkiego gruntu rozrywek salonowych, kobieta wydobyłaby z głębi swojéj nowe siły piękna, uroku szlachetnie działającego". (N. 14. 106.) Francuzka swych współrodaczek w oswobadzającéj się Francyi jeszcze do missyi politycznéj przyzywa godzenia zwaśnionych stronnictw politycznych. O téj roli i posłannictwie kobiety zamilczymy!

Z dzieła E. Quinet „*O odrodzeniu Francyi*" autor artykułu p. t. E. Quinet o kobiecie (N. 4 i 5) przytacza kilka ustępów poświęconych zadaniom kobiéty w tamtém społeczeństwie. Na zapytanie czy tylko mężczyzni tworzą postęp, Quinet odpowiada: „okrutny żart, największy błąd w obec moralności, historyi, ekonomii politycznej i historyi naturalnéj. Poniżyć kobiétę, to poniżyć zarazem mężczyznę. Obie płcie są solidarne ze sobą *w zwycięztwie rodzaju.* (Quinet jest autorem la creation".) Jeżeli człowiek rodzi się po to, aby wiedział i myślał, jest śmiesznością dowodzić, że niewiasta nie ma brać udziału w pracy umysłowéj i wiedzy. Jakby orzeł był przeznaczony do latania, a orlica do pełzania. W nowéj Francyi kobiéty zyskać mogą to, iż nowe instytucye będą brały kobiéty na seryo; ale jakież obowiązki ciężą nad *niemi* w przeobrażającém się społeczeństwie Francyi? Jeśli ukochają piękno, odepchną brzydotę w obyczajach, w życiu, zdziałają w jednéj chwili więcéj, niż mężczyzni z ich prawami w ćwierć wieku. Poszukując owego zakresu piękna, odnajdą sprawiedliwość, prawdę, zbliżą dusze, pojednają zwaśnionych braci, połączą ręce obecnie rozdzielone. W chorobie saméj szukać należy lekarstwa. Te które złe sprowadziły, mogą je uleczyć. Przez lat dwadzieścia (epokę drugiego cesarstwa) tworzyły sybarytów, czyż niemogą obrać teraz innego ideału? Jeżeli im trudno, córki ich powinny działać inaczéj.

Przewodnia idea „kilku myśli o wychowaniu kobiety", przez *Jadwigę O.* (N. 32.) uwydatni się przed nami z następnych słów autor-

ki: „Słusznie utrzymują, iż na nic nie przydadzą się wszystkie najświetniejsze pozory wykształcenia, dopóki kobiéty nie nauczą się myśléć, dopóki *rozum* uważany będzie w kobiécie za *zabicie serca*, a to *serce* będzie rządziło jedynie wszystkiemi myślami i czynnościami kobiét, albo raczej, dopóki wychowanie nie pobudzi kobiécéj głowy do myślenia, a ukształcenie nie nąda właściwego kierunku téj rozbudzonéj władzy". A więc „wychowujmy kobiéty rozumne we właściwém znaczeniu tego wyrazu, to jest starajmy się aby każda nauka wydała właściwe owoce; uczmy je ażeby z każdéj nauki zdać sprawę mogły; każdą podzielić się z drugiemi". Idzie więc tu widocznie o ukształcenie kobiét, lecz rozumne, oparte na ścisłéj racyonalnéj metodzie, ukształcenie głębokie.

„Wyższe naukowe zakłady dla kobiét: 1. Kolegium Vassar, 2. Wiktoria-Liceum," pióra p. M. Ilnickiej (N. 41, 42, 48, 50) opisuje stan nauk i sposoby wykładów w tych zakładach. Ilość szkół dla kobiét nastręcza następną uwagę autorce, którą jako przedstawiającą pogląd na zakłady dla obu płci, dosłownie przytaczamy: „I w Ameryce system mieszanych szkół dla młodzieży płci obu, nie jest bynajmniéj uważany za konieczny wyraz postępu i początkowo był to może środek konieczny, aby pierwszy zastęp kobiét uczonych naukę swoją mógł gdzieś znaleźć. Nawet w szkołach niższych i średnich system szkół mieszanych nie jest ogólnie przyjętym, jak to wiele osób sądzi i czasem w jedném mieście bywają przez gminę tych miast wznoszone szkoły dwojakie, jako wyraz dwóch opinij". Sprawozdanie swoje kończy autorka słowy: „Światła, więcéj światła, wołał Göthe zawierając powieki, bo czuł w sobie nieśmiertelnego ducha, który nigdy nie ginie i w ciemnościach téż mieszkać nie może. Światła! o, więcéj światła! wołać potrzeba wszystkim społeczeństwom, które podobny instynkt w piersi noszą, więcéj światła abyśmy żyli"!

Streszczenie tych kilku artykułów daje nam możność określić stanowisko Bluszczu w kwestyi, w któréj takowe chcieliśmy zbadać. Jest to stanowisko zbliżone do poglądu *Milla*, jego zasady w piśmie były głoszone, szereg zaś innych prac dążył bądź do zastosowania tych zasad do życia, bądź wskazywał stan rzeczy obecny. Na podstawie tych zasad żąda Bluszcz: 1) stanowczéj reformy w wykształceniu kobiét; lecz to wykształcenie nie ma być tylko specyalném kształceniem się na fachowe nauczycielki, rękodzielniczki, światlejsze matki; lecz ma odpowiadać wyższéj, ogólnie ludzkiéj naturze ducha kobiéty, a więc żadnéj umiejętności i nauki dla kobiéty niedostępnéj; 2) swobodnéj pracy ekonomicznéj, a więc kobiéta ma się przygotowywać do występowania na pole téj pracy, do współubiegania się na niéj z uzdolnionym od dawna na tém polu współzawodnikiem. 3) Kobiécie ma być otwartą droga działalności polityczno-socyalnéj, więc by się do niéj przygotować, badać ona powinna nauki społeczne, przed nią żadna prawda społeczna nie ma być zakrytą.

Pismo wypowiedziawszy te zasady, w ogólnych tylko zarysach, stanąwszy na tém stanowisku teoretycznem, czy też może bez wahania się przystąpić do wcielania ich w praktykę życia. W dozach dziecinnych, z troskliwością matki przeżuwającéj pokarm zanim przybliży do ust dziecięcia, pismo to powinno poruszać wiele kwestyj naukowych i socyalnych tych, które wystąpiły do walki, pojąwszy ogłoszone zasady, przejąwszy się ich słusznością i rozpoczęły pracę w duchu odrodzenia, pismo to promieniami wiedzy uszlachetniać, podtrzymać może, kierować drogi, ułatwiać zdobycie: zastępy zaś nowych pracowniczek przygotowywać, budząc ich myśl śpiącą, powołując do pracy, siejąc ziarna wyższych pragnień i poczuć.

Tam zaś, gdzie nie ma publicznego wychowania, zakładów kobiecych, odpowiednich; tam, gdzie, aby przyszłe kobiety, jako matki i obywatelki, jak najprędzéj zapomniały tego co się gdzieś za domem nauczyły i w miarę tego zapominania, stawać się będą mogły godnemi szacunku: tam powtarzam jeszcze trudniejszém, lecz wznioślejszém, bardziéj wpływowém, staje się zadanie takiego pisma. Chcąca się kształcić sama młoda kobieta, licząc tylko na własne chęci i prywatną, więc przypadkową pomoc, w takiém piśmie i plan ukształcenia się i kierunek, dobrą radę a przestrogę, wskazanie podręczników i dzieł wyborowych, znaleźć powinna.

Określiwszy stanowisko Bluszczu i wypowiedziawszy kilka uwag, tyczących się tego stanowiska, przystępujemy do innych prac, oceniając dostarczany pokarm dla myśli, zasoby dla życia.

Dział powyżéj wzmiankowany, nie wyczerpały jeszcze prace streszczone; należą do niego liczne artykuły treści już ogólnéj. Dzieło znane Smiles'a, *Charaktery*, dostarczyło redakcyi artykułu p. n. *Panowanie nad sobą* (N-r 6, 7, 9, 10). Daléj dzieło Helps'a p. t. *Friends in council* artykułów: *Sztuka pożycia z ludźmi* (N-r 25). *Niepomierne roszczenia w zakresie uczuć i stosunków społecznych;* (N-r 27); *Brak samodzielności w życiu*, (N-r 31); nakoniec, *Prawda*, (N-r 36); pytanie, o ile tło powszedniego życia, dostarczać może typów do utworów sztuk pięknych, a szczególniéj powieści, jak te typy zbliżać się mogą do ideałów w fantazyi artystów rozkwitłych; jaką korzyść przynoszą utwory, przedstawiające wymarzone typy, jest rozbieraną w artykule p. M. Ilnickiéj p. t.: *Piękność w życiu powszedniém* (N-r 18 i 20). *O ukształceniu duszy ludzkiéj do szczęścia* (téjże autorki. N-r 35) porusza ważną kwestyą z zagadnień etycznych. „Doskonalenie natury człowieka (mówi autorka), oto cel wychowania. Nauka rozszerza wiedzę i rozwidnia horyzonty myśli naszéj; moralny grunt zasad wszczepianych, wyrabia w nas przekonania, podług których człowiek kieruje się potém wśród życia. Powinien stać się dobrym, lecz pragnienie szczęścia nie jest grzéchem, gdyż Bóg złożył je w każdéj piersi ludzkiéj i to tylko wznosi albo poniża ducha, czy ideał szczęścia stawia się nizko, czy podniośle. Wychowanie zatém może i powinno brać w rachunek przyszłe szczęście istoty, którą

kształci; chodzi więc jedynie o to, aby pojęcie tego szczęścia, było czyste i niesfałszowane, aby przedstawiało prawdę szczęścia."

Słówko o posagu (*A propos d'une dot* par E. Legouvé) téjże autorki, podnosi ważne pytanie, czy starość spracowana rodziców, powinna używać w spokoju owoców téj pracy, czy téż ma być z nich ogołoconą na rzecz samolubnego, próżniaczego, a więc grzesznego szczęścia dzieci, które poniża jednostki, demoralizuje społeczność. Tylko posag, twierdzi autorka, powinien być zapomogą, któraby ułatwiła młodości pracę pożyteczną i uczciwą, dawała jéj jedynie, jak gdyby ulepszone téj pracy, narzędzie.

W NN. 32 i 33, pomieszczone są: *Ostatnie myśli Wiszniewskiego* z trafném ocenieniem naukowego jego sceptycyzmu i szlachetném usprawiedliwieniem w imię silnéj wiary jego w konieczność, w nieodzowną potrzebę ideału moralnego. Artykuł p. t. *Nauka i Poezya* w obec przyrody, *piękność kwiatów* przez J. K. (N-r 34), zawiera kilka uwag, tyczących się piękności przyrody przy ocenieniu jéj z estetycznego, ludzkiego stanowiska.

Z zakresu pedagogii znajdujemy dwa artykuły: *Kiedy zaczynać z dziećmi naukę* (s—a, N-r 33). *O Wpływie rodziny na rozwój uczucia dziecka*, Wernica (N-r 36).

Popularne odczyty o Hygienie prof. Kleczyńskiego, miane w Wiedniu, przełożył D-r Dobrski (N-r 2—23). Z wiedzy przyrodniczéj, *Tajemnice Świata Niewidzialnego* (N-r 3 — 16), *Róże i Lilie* (34—37); *Szkice z państwa Fauny, Pomysły Zwierząt*, (N-r 39—41) przez P. Niewiadomskiego, stanowią dział naukowy; do tego działu również należy okolicznościowy art. *Mikołaj Kopernik* (N-r 8—9).

Obszerne obyczajowo-historyczne studyum K. Wł. Wójcickiego p. t. *Trzy wieki niewiasty polskiéj* (N-r 1—49), stanowią przejście do drugiego działu Bluszczu, mieszczącego w sobie powieści, kronikę (*Pogadanki i Nowiny Paryzkie*), korrespondencye (z Pragi, Lwowa, Krakowa, Irkucka, Podróże, *Przeglądy Teatralne* (pióra p. Edwarda Lubowskiego) i *Piśmiennictwa* (Kazim. Kaszewskiego): *Ruch muzyczny* (p. Kleczyńskiego), *Listy z Zagranicy* Kraszewskiego: Wystawa Wiedeńska.

Kończąc sprawozdanie o Bluszczu, dochodzimy do następnych kilku uwag. Bluszcz śmiało, szlachetnie i po obywatelsku, postawił kwestyą kobiecą u nas; w szeregu artykułów, opierając się na powagach, wygłosił ogólne zasady, na których ona się opiera, ogólne cele, do których dąży; lecz czy rozwinął je ze stanowiska ogólnych dążeń i określeń, stanowczo na pole rzeczywistości sprowadził, czy wreszcie, przy wypływającym ze stanowiska takim programacie, stanął na wysokości wygłoszonych zasad i podjętego sztandaru przy wypełnieniu jego? Czy z wielkim pożytkiem dla czytelnika w duchu ogólnego kształcenia, nie dałyby się inne sfery nauki dotknąć? Czy

dopiero od dziś rozpocząć ma istnienie swoje zastęp kobiet-ludzi? Wszak kobieta przy kształceniu się, powinna zapatrywać się na typy niepowstałe w fantazyi, lecz rzeczywiste, chcąc być rzeczywistością; a jakaż nauka, oprócz historyi, nam te typy odtwarza? Spójrzmy w przeszłość; nie ma sfery myśli i czynu, gdzieby ślad kobiet nie pozostał. Znajdujemy i w szkołach poważnych greckich filozofów; jedna z nich *Arete*, wtajemniczona w ojca swego Aristippa systemat, naukę na syna przelewa; wykształcony przez matkę Aristip młodszy, nosi nazwę ucznia swéj matki. Hypatia, nauką wytchniona, wzniosłemi zasadami neoplatonizmu wykarmiona staje się męczenniczką nauki, będąc od rozwścieklonego tłumu zamordowaną. A w lasach Galii rozlega się uroczysty głos Druidek przy religijnych obrządkach; dla nich nieobca i spekulacya teologiczna, dla nich i przyszłość widoma; więc uczą, wróżą, leczą. A kto jest najgorliwszym z wyznawców powstających religii? Do kogo te słowa są zwrócone: „*Nie maszci go tu, albowiem powstał, jako powiedział; wstał z martwych, nie masz go tu.*" I kto tysiącami bojaźń śmierci zwyciężając, spieszył połączyć się z *Nim*, *Tam*. Myty greckie stworzyły *Ifigenię*, *Medeę*. Wśród srogich, poważnych, w cnoty obywatelskie zakutych Rzymian, powstał typ kobiety, obywatelki, matrony, a nazwa ta nadal miała należéć do tych wyłącznie, którym przejęcie się szczytnemi obowiązkami swemi, dopomagało szczytnie je wypełniać. Wszak i kobiety gruppują obok siebie uczonych w epoce, kiedy wskrzeszane nauki zawrzały życiem; a przemawiały one zwykle do tych mężów, językami umarłych owych ludów, których odrodzić żyjące miały. Wszak i one na tronach zasiadały i w radach ministrów; nie lękały się, płonącego ognia stosu, a wielkie tylko matki, wielkich wychować mogły synów. Wszak każda epoka, każdy naród inny przedstawia typ, inny ideał kobiety. Czy odtworzone te typy, te kobiety z przeszłości do dzisiejszych żywym językiem, bo przykładu nie przemówiłyby, nie zachęciły wznosić się wyżéj, sięgać dostępnych doskonałości?

Kobieta matką, pierwszą nauczycielką, od przyrody mianowanym pedagogiem, własnéj swéj dziatwy. Żeby potrafiła zachować w czerstwości fizyczność, rozwinąć umysł, pojąć instynkta, rodzący się charakter, podbudzać śpiącą, hamować wrzącą wolę, kierować wciąż na piękne i dobre uczucia i popędy, na to potrzeba dokładnie zbadać, stanowczo pojąć, z czego się składa to, co nazywamy duszą; od czego zaczyna się jéj rozwój, i jakie przechodzi stopnie, aż dziecię rozwinie się w męża lub niewiastę. Lecz, aby kierować ku dobru, zbierać potrzeba przykłady z rozwoju dziejowego takowego w społeczeństwie. Odpowiednio traktowane artykuły z zakresu tych nauk, niewątpliwie z zajęciem czytane byłyby przez matki, poświęcone wychowaniu swych dzieci i kobiety, w ogóle pojmujące ważność nauki. A wieleżto i innych nauk przy zasadzie ogólnie ludzkiego kształcenia się kobiet z korzyścią dałyby się wprowadzić z zakresu społecznych?

Będąc zapytany, zkąd miejsca na zakres pisma w ten sposób rozszerzony, odpowiedziałbym bez wahania: powieści ostatecznie usunąć do „dodatku," podróże do specyalnego pisma lub do działu powieści. Wreszcie dla określonego i z założenia wypływającego celu, możeby dało się z korzyścią dla tego celu pominąć wiele chwytanych objawów codziennego życia, badaniu którego oddzielne poświęcone są pisma. Uszczuplenie działu powieści, jako pokarmu lekkiego, mogłoby być przez część czytelnika za złe uważane, lecz, czy schlebianie usposobieniu niezupełnie dającemu się usprawiedliwić, może wejść w rachuby pisma tyle ważnych kwestyj podnoszącego i przy nich na straży stojącego? Szanujemy zasady i tendencyą pisma. W pewnéj sferze działalności naukowo-społecznéj, powinno ono zająć wybitne stanowisko, przodujący głos zabierać i iść wytrwale w duchu przyjętych zasad i wygłoszonego hasła: „Światła, więcéj światła, abyśmy żyły!"

J. Radliński.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Pismo dla kobiét. Rok 1873.

Już sam tytuł pisma ma nęcić płeć piękną. Mody i powieści!... Ileż powabnych rzeczy nie przyrzekają te słowa kobiécie, lubiącéj strój i umysłowe wrażenia, a zatém to, co estetycznym popędom jéj, chociaż powierzchownie schlebia. Tak jest, kobiéty hołdują przedewszystkiém formie, bo jeśli naturalny instynkt wiedzie je do pielęgnowania wdzięku, jako pięknéj strony w stosunkach życia, to dusza chętnie się zwraca żywym przykładem, ku gotowym klejnotom moralnym. Więc przyrodzoném jest upodobanie płci pięknéj do powieściowéj literatury. U nas tém jest większem, że wynika z kierunków edukacyi, nie rozbudzającéj zamiłowania do nauk poważnych, do gruntowniejszych badań w sprawach społecznych. Kobiéty nasze chcąc umysł zająć, lub się czego nauczyć, chętniéj przeczytają najpoważniejszą powieść, niż przystępny nawet, lecz nie posiadający organicznéj formy traktacik moralny, filozoficzny lub naukowy. To ważna wskazówka dla peryodycznego pisma, które ma smakiem kierować i umysłowy pokarm kobiétom dawać. Powieści nam jeszcze trzeba, ale tak zacnie wybranych, iżby zajmując myśl i serce, wpływały na umoralnienie, rozpowszechniały rzetelnie postępowe idee, przeprowadzały kwestye społeczne, a nawet z naukowemi obznajmiały. Chowaj Boże od rozmarzającego romansu, od podawania fałszu pod zdradliwą sukienką formy. Nie zbyt jest wiele dobrych powieści i bystrem okiem wybierać je należy z massy wychodzących u nas, a bardziéj jeszcze w obcych językach. Bo jeśli nasze grzeszą po większéj części brakiem pisarskiego talentu, jeśli mało istotnéj przynoszą korzyści, jako nie oparte na wyrobionych

ideach, to zato nie są szkodliwemi. Przeciwnie, zagraniczna literatura pełnemi je rozrzuca garściami, a wieleż to ukrywa jadu pod umiejętną i błyszczącą zaprawą. Wyłączając angielskie, prawie wszystkie obce powieści powinnyby u nas przez surową kwarantannę przechodzić. Nie obliczylibyśmy smutnych następstw, jakie z przyswojenia fałszywych zagranicznych ideałów wynikły w naszéj społeczności, wcale naukowemi zasadami i hartem jednolitéj krytyki nie opancerzonéj. Pismo zatém podające publiczności prawie za główny pokarm ten rodzaj literatury, wielką odpowidzialność na siebie bierze, wielce téż oględnie postępować sobie powinno.

W Tygodniku Mód i Powieści za 1873 znajdujemy parę rzeczy oryginalnych, a znacznie więcéj tłumaczeń. Co do wyboru widocznie przewodniczyła tu myśl zacna, dbała przedewszystkiém o moralność, a odpychająca wszystko, co na zwichnięcie tejże wpłynąć może. Każda téż z kilkunastu powieści z zajęciem i nie bez korzyści przeczytaną być może. Wskażemy niektóre, dotykając chociaż ogólnikowo ich wartości.

„Marta", powieść oryginalnie przez Elizę Orzeszkową napisana, przedstawia obraz kobiéty pokutującéj za tak ogólne u nas braki w wychowaniu i edukacyi. Zacna córka, żona i matka, lecz posiadająca tylko zwykłe wykształcenie, trochę powierzchownie uprawionych talentów, nie przyuczona do pracy, nic nie umiejąca dokładnie: jest wszakże zupełnie na swojém miejscu i zupełnie szczęśliwą, dopóki zostaje pod opieką dostatnich i kochających ją rodziców, a następnie pod opieką zacnego męża. Lecz gdy w krótkim przeciągu czasu wszystkich tych traci opiekunów, zostając z małoletniém dzieckiem bez żadnego sposobu do życia, ujrzała nagle przed sobą, z jednéj strony otchłań cierpień i nędzy, z drugiéj przerażającą nieudolność swoją. Uporczywa biéda przywodzi ją do rozpaczy, choć jeszcze tyle ma siły, że oddala wiodące do upadku pokusy. Ale dziecię umiéra: trzeba mu lekarstwo kupić. Więc popełnia kradzież w sklepie, a będąc ściganą, nie przenosi hańby i kołami kolejowego omnibusu rozpaczną śmierć znajduje. Powieść ma dobre założenie, bo wykazuje potrzebę takiego wychowania kobiéty, któreby ją zabezpieczało od nędzy i hańby, a uczyło polegania na własnych siłach wobec wypadków życia. W przeprowadzeniu jednak jest dość słabą: tchnie realizmem, że w gruntownem wykształceniu kobiéty widzi nie humanitarne, lecz same praktyczne cele. W rozwiązaniu zdradza nieznajomość psychologicznych praw natury ludzkiéj. Bo dusza zacna w żadnéj kolei losu nie poniży się aż do nędznéj kradzieży, a skoro upaść mogła, to już wcale nie znajdzie odwagi do bohatérskiego zadania sobie śmierci.

Z tłumaczonych piękną jest powieść p. t. „Poświęcenie Pawła Winter" przez Miss Duffus-Hardy i Emila Jonveaux, przekład K. P. Idealnie piękne i wykończone są typy téj powieści. Jedno z najważniejszych zadań nauki o moralności, miłość synowską, umiał przedstawić autor we wzniosłym i prawdziwym obrazie. Widocznie two-

rzył go z pulsów własnego serca, a rozwijał humanitarném uczuciem. Staranny przekład ułatwić musiał gościnne w szpaltach Tygodnika przyjęcie powieści.

Daléj spotykamy utwór w formie listów p. t. „Miłość czy ojczyzna“, przekładu Joanny Belejowskiéj. Jest to ustęp z dziejów Alzacyi, więc rzecz témbardziéj zajmująca, że na tle świeżych wypadków osnuta. Autor rozwija tajemnice serca kobiecego, roztacza walkę uczuć, które się znalazły w sprzecznéj kolizyi.

Z pomiędzy innych odznacza się jeszcze tak treścią, jako téż starannie wykończoną formą, powieść p. t. „Sierota“ przez Maryą de Haupt, przekładu P. K., a jako oryginalność pomysłu, wymienić wypada „Romans mumii“ przez Teofila Gautier.

Jakkolwiek tytuł Tygodnika obiecuje nam tylko mody i powieści, przecież w szpaltach pisma tego spotykamy się z rozmaitemi artykułami, często bardzo poważnéj, a zawsze użytecznéj treści.

Artykuły literackie są jedne z najważniejszych. W tym dziale odznacza się szereg rozprawek Aloizego Storczyka pod ogólnie przyjętym tytułem: „Kilka kwestyj bieżących w obec zdrowego rozsądku.“ W walce z konserwatyzmem zawsze zwycięzko wychodzi ów zdrowy rozsądek, czy kiedy idzie o spostrzeżenia nad materyalistycznemi dążnościami obecnéj chwili, czy kiedy daje wyborne rady co do wychowania dziecka i t. p. „Daremnie, mówi, moraliści karcą złe istniejące; daremnie wołają o poprawę. Złe tępić należy w źródle samém, w wychowaniu, zmieniając jego zgubny kierunek i przedstawiając na miejscu materyalnego użycia, wyższy, prawdziwszy ideał ludzkości.“ Matki z podobnych rozprawek wiele korzystać mogą, należałoby je częściéj i w bardziéj rozwinięty sposób podawać. W innym artykule wskązuje p. S. drogę wyższego dla ludzkości poświęcania się lekarzy. Nakłania ich, iżby nie koniecznie gromadzili się w wielkich miastach i nie szukali wziętości a zysków, gdy ich pomocy wiejski lud potrzebuje. Obudzać ufność do nauki, wpływać na oświatę, niszczyć przesądy: czy to nie piękne pole zasług, przy skromnych, lecz spokojnych warunkach własnego bytu? Autor podaje proste a nader praktyczne środki do osiągnienia dawno upragnionego przez społeczność celu. Znów w innej rozprawce krytycznie rozważa p. S. używane obecnie przez większość kobiét sposoby upiększania się. Rozsądne dając w téj mierze rady, wskazuje co rzeczywiście zewnętrzną piękność kobiéty stanowi, więc przedewszystkiém naturalność, wolna od szpetnych przystrojów. Forma tych artykułów łatwa i oryginalna, a co je najbardziéj zaleca, to zawsze niechybny tryumf rozsądku nad upieszczonym przez nas nałogiem do nieusprawiedliwionych zwyczajów.

Z artykułów literackich bardzo na dobie są tu jeszcze takie, jak „O potrzebie stowarzyszenia kobiét wzajemnéj pomocy i rady“ przez Maryą O.; „Zabawy dziecinne“ przez Elizę Orzeszkową i „Kilka myśli oderwanych o rodzinie, kobiécie i małżeństwie“ przez Konstantego Pomiana.

Poezya to przecież także oblubienica naszych kobiét, a już w przywileju jest w wieku młodego, u dziewic. Każda z nich poezyą kochać powinna, bo ona serce rozgrzewa i wyobraźnię kształci, bo to tradycyonalna rodu naszego orędowniczka. W imię takowéj jéj powagi, Tygodnik w każdym numerze daje miejsce udatnym wierszom, a są pomiędzy niemi i takie brylanciki jak „Sierotki i modlitwa“ Lenartowicza, „Poetka do dzieci swoich“ przez Duchińską i inne.

Korrespondencye zagraniczne z Wiednia, Lwowa, Krakowa, Paryża, Petersburga, Berlina, Kazania i Londynu, obznajmiają czytelniczki z ważniejszemi faktami głównych miast Europy, z ich życiem bieżącem, oraz z literaturą, politycznemi sprawami i t. p.

Przegląd piśmienniczy, redagowany głównie przez I. P. i L. S. W., rozbiera krytycznie ważniejsze dzieła, wychodzące w kraju, a przedewszystkiem pedagogiczne i edukacyjne. Napotykamy tam wyborne ocenienia dzieła p. Prądzyńskiego „O prawach kobiety“ przez I. P., oraz surową lecz sprawiedliwą krytykę wydawnictwa „Przeglądu Tygodniowego.“

Każda nowa sztuka ukazująca się w ciągu roku na deskach teatralnych, znajduje w Tygodniku godne siebie ocenienie. Że trafności tych sądów zaufać i z wielką korzyścią je czytać można, dość powiedzieć że są imieniem Kazimierza Kaszewskiego podpisane.

Podróże. Pan Michał Gruszecki, w obszernym i bardzo dobrze napisanym artykule, p. t. „Z podróży po wschodniéj Syberyi“, daje nam malownicze rysy z tego kraju pod względem przyrody i płodów. Dużo też ciekawych rzeczy pisze o Tunguzach, ich życiu, obyczajach i religii. Opis wycieczek na wierzchołki najwyższych gór lodowych w Szwajcaryi, p. Sygurda Wiśniowskiego, p. t. „Wśród wiecznych lodów“, z zajęciem się czyta i budzi poszanowanie dla ludzi, narażających swe życie na tysiące niebezpieczeństw, w celu zbadania tajników przyrody.

Artykuły naukowe, lubo w nie wielkiéj liczbie, zasilone są nauczającą treścią przeważnie z dziedziny przyrodoznawstwa,

Wiadomości z nauk przyrodzonych stanowią nader praktyczny dział, bo traktują o rzeczach gospodarstwa domowego, o warzywach, napojach, owocach, a to w sposób zajmujący i pożyteczny.

W *Różnościach* odznacza się gładkie i pełne ciekawych rzeczy pióro Ludwika Niemojewskiego. Jego „Trzy miesiące życia“, „Obrazek z życia więziennego“, „Forteca ze śniegu“ i inne, przedstawiają epizody i szkice, skreślone na wygnaniu w Syberyi.

Kronikę zagraniczną redaguje S. Duchińska, co już dostateczną rękojmię wartości artykułów daje.

Mody obejmują ważny dział w Tygodniku. Tu znajdujemy opisy stosownych do każdéj pory ubrań, jakie się dają widzieć w najwięcéj zalecanych przez pisma magazynach mód w Warszawie. Dołączone paryzkie ryciny kolorowane, uzupełniają te opisy. Tablice z deseniami do haftu białego i kolorowego, oraz wzory rozmaitych robótek

ręcznych z kreśleniem jak mają być wykonane, są nadzwyczaj użyteczne, jako podające sposoby, szczególniéj paniom na wsi mieszkającym przyjemnego i pożytecznego zajęcia chwil wolnych. Radzibyśmy jednak byli, iżby ten dział więcéj i nieco w odmiennym kierunku mógł być rozwiniętym. Opisywać wykonane w magazynach suknie i obznajmiać czytelniczki z tém tylko, co najmodniejsze w Paryżu, to nie nazywa się jeszcze wywiązaniem z zadania. Pismo, mające przewodniczyć smakowi krajowemu, może i powinno wpływać na wyrobienie smaku, że tak powiem samodzielnego, narodowego. Dlaczego ma koniecznie modelować wzory tych ekscentrycznych, niesmacznych, a zawsze dla nas niestosownych mód paryzkich? Gdyby nąsze kobiety, zachęcone rozsądną radą, chciały trochę wyzwolić się z pod cisnącego je jarzma konwencyalności, umiałyby zapewne ubrać się gustownie, nie oglądając się niewolniczo na dary obcéj fantazyi. Co ta kapryśnica paryzka wytworzy, nie koniecznie jest stosowne do naszego klimatu, obyczaju, a tém mniéj do odmiennych usposobień ducha naszego. Dlatego téż, traktujące o modzie pismo, zwrócić powinno uwagę płci pięknéj na wzrastający zbytek w ubraniu, na ów szał gustów, który nie rzetelnego piękna, ale przepychu w układzie, kosztowności w materyale poszukuje. Przerażającą i wcale niesmaczną jest owa nieskończona ilość ozdób, do najzwyczajniejszéj sukni używanych. Jakich to summ dziś potrzeba, aby kobiéta ubrać się mogła; a cóż dopiero, gdy ojciec rodziny o kilku myśleć musi. To ruiną grozi, do ruiny doprowadza, a często niesnasek i nieszczęść domowych staje się przyczyną. To w niczem nie podnosi piękności, nie dodaje wdzięku, a odbiera swobodę towarzyską i obyczajową. Smak z wystawnością nie zawsze idą w parze, a wykształcony gust ze skromnością tylko się godzi. Pożądaną byłoby tedy rzeczą, iżby rozumne kobiéty nasze zawiązały stowarzyszenie, mające na celu wykorzenienie zbytku w ubraniu. Gdyby celu dopięły, wieleby kraj cały mógł im zawdzięczać.

Streszczając pogląd na pismo, uważamy, że pełno w niém ruchu, pełno dobréj pracy, podjętéj w celu uogólnionego dobra. Żadna w niém gałąź piśmiennicza nie zaniedbana i dlatego nie można mu zarzucić jednostronności ani lekkomyślności, zgoła przywar, cechujących zwykle tego rodzaju pisma. Owszem, pochwały mu tylko oddać i śmiało czytelniczkom, zwłaszcza na wsi zamieszkałym, polecić należy. Znajdą tu rozrywkę i naukę, a nic takiego, coby moralną szkodą groziło.

W.. .....a.

WARSZAWA

I JÉJ SPOŁECZNOŚĆ,

W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA.

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

X.

Zamek warszawski.— Stan jego od roku 1815 do 1830.— Sala tronowa.— Sala balowa.—Sala Rycerska.—Sala marmurowa.—Wizerunki królów polskich. Marceli Bacciarelli.—Posąg Zygmunta III: jego wróżby, projekta ozdoby Warszawy.—Zjazd nowy do Wisły.—Sprowadzenie wody bieżącéj do miasta.—Droga pod Wisłą.—Katedra czyli kościół śgo Jana.—Grobowe pomniki: Ostatnich książąt mazowieckich: braci Wolskich—Zygmunta Kazanowskiego.—Bartłomiej Nowodworski.— Pieśń Boga-Rodzica.—Pomnik Stanisława Małachowskiego. Skarbiec katedralny.—Galerya łącząca Katedrę z Zamkiem.— Brama Zamkowa.—Hołd Elektora Brandeburskiego.—Taras Zamkowy.—Wylew Wisły.— Straszna klęska.—Ratunek dawany.

W tém miejscu, gdzie dziś jest zamek królewski, stał kiedyś drewniany dworzec książąt mazowieckich, którego ściany zdobiły drogocenne gobeliny i dywany tureckie. Królowa Bona, wyjeżdżając na zawsze z Polski, opuszczając ten dworzec, obdarła wszystkie z tych kosztownych obić i zabrała do Włoch z sobą.

Zygmunt III przeniosłszy stolicę z Krakowa do Warszawy, zamek cały w ten kształt jak go dziś widzimy wymurował, i wyniosłą nad nim postawił wieżę, która jak napis na tarczy zegarowéj świadczyła, w roku 1622 ukończoną została.

Trzy miał podziały wtedy zamek: w pierwszym *Kastellu* gród czyli sądy warszawskich starostów i archiwa ziemskie: w drugim środkowym we właściwym gmachu, pokoje królewskie, izby *Senator-*

ska i *Foselska*, tudzież *archiwa* krajowych *metryk*: w trzecim mieszkał niegdyś podskarbi królewski, a późniéj były kuchnie i pokoje dworzan.

Syn i następca Zygmunta III, Władysław IV niemało przyozdobił to pomieszkanie monarsze, do czego użył znakomitego malarza i architekta nadwornego *Piotra Dankörsa* [1]). Niewiele mu przydał ozdoby Jan Kazimierz, ani Michał Korybut, a nawet i Jan Sobieski, którego uwagę zwracał głównie wzniesiony przezeń pałac Willanowski z ogrodem. August *Mocny*, bywał w Warszawie jedynie gościem, trawiąc życie wystawne w ulubionym Dreźnie. Syn jego August III, lubo częściéj przemieszkiwał w Warszawie, nic się nie przyczynił do przyozdobienia zamku, dopiero Stanisław August Poniatowski, uczynił zeń prawdziwą siedzibę królewską.

Gmach ten, równie jak całe miasto, doznawał klęsk w przeszłych wiekach. W roku 1655 Karol Gustaw, bez obrony zostawioną Warszawę zająwszy, zamek splondrował. W powtórnéj wojnie szwedzkiéj z Karolem XII, generał Horn 1704 roku, zostawiony w mieście naszém z 1500 Szwedami załogi, widząc że całego grodu obronić nie może, zamknął się w zamku warszawskim: lecz po krótkim oporze musiał się poddać Augustowi *Mocnemu*. W roku 1767, spaliła się część tego gmachu od Krakowskiego-Przedmieścia, którą wkrótce Stanisław August ozdobniéj odbudować rozkazał.

Opiszemy stan jego, w jakim go oglądaliśmy od 1815 do 1830 roku.

Przez środkowe od dziedzińca podwoje wchodząc, pierwsza sala zatrzymywała ciekawe oko, ozdobiona widokami Warszawy i jéj okolic przez Canalletego. Przy wnijściu do obok będącéj kaplicy, stały dwa stoły mozajkowe, cenione na 12,000 czerwonych złotych. Sala *audyencyonalna* z malowidłem Bacciarellego, daléj *sala tronowa*; tło téj ściany, nad stojącym przepysznym tronem, ozdobione herbem królestwa, orłami srebrnemi. W około rozciągały się na piętrze galerye, które zajmowały damy i znakomitsze osoby, przy otwarciu sejmu lub jego zamknięciu, gdy król osobiście przemawiał.

Izba poselska, równie obszerna po drugiéj stronie zamku położona, miała także galerye piętrowe dla zgromadzonéj publiczności. Obok sali tronowéj gabinet *konferencyonalny* z portretami Stanisławowi Augustowi współczesnych monarchów: Katarzyny II, Fryderyka II, Gustawa III, Józefa II, Ludwika XVI, Grzegorza III i Pijusa VI,

---

[1]) Piotr Dankörsig znakomity malarz i architekt Władysława IV, wiele śladów pozostawił swego talentu w Wilnie, przy wzniesieniu kilku kościołów. Zamek Warszawski pięknemi budowlami przyozdobił i wewnętrzne sale przystroił. Wybornie portrety malował. W powrocie z Wilna do Warszawy, napadnięty przez dwóch żydów i raniony kilkakrotnie, konającą ręką tak swych zabójców odrysował wizerunki, że z nich poznano zbójców i schwytano. (Obszerną wiadomość o tym artyście podaje Tygodnik Wileński z r. 1817. Tom III).

upiększony arabeskami na dnie złotem i pysznemi zwierciadłami. Przypominam sobie pokój cały ze zwierciadlanemi ścianami i drzwiami, dziwne wywołujący wrażenie na tym, kto go pierwszy raz odwiedzał. Pamiętam, jak szlachcic z pod Grodna, który z nami zwiedzał szczegółowo zamek, gdy wszedł tu tak odurzał, że czołem tak silnie we drzwi zwierciadlane uderzył, iż mało ich nie rozbił, a sam się nabawił potężnego guza.

Sala *balowa* strojna w około w marmurowe kolumny ze złoconemi bronzami, a sklepienie jéj śliczném malowidłem Bacciarellego, wyobrażało Jowisza, wyprowadzającego świat z *chaosu;* z niego można było sądzić o talencie tego artysty. Współczesny organ krytyczny: *Gazeta Literacka* (z r 1822 N-r 36) tak je ocenia.

„Jakkolwiek wielka jest kompozycya, nie przeciąża jéj atoli mnogość osób, a te, które występują, są wszystkie działającemi. Harmonijny podział światła, wypływającego z jednego punktu, którym jest Jowisz, rzucający promienie po sklepieniu niebios, doskonałość rysunku w skróceniu figur z dołu widzianych, połączona z zaletą kolorytu, wykazuje wysoki styl Bacciarellego i jego znajomość starożytności."

Z téj sali wchodziło się do kaplicy zamkowéj. Za Stanisława Augusta odbywał się tu obrzęd w *Wielki Czwartek* umywania nóg dwunastu starcom, a w obok będącéj komnacie wieczerzę odprawiano.

Jedna z sal najpiękniejszych, była tak zwana *rycerska.* ozdobna sześcią wielkiemi obrazami z dziejów polskich pędzla Bacciarellego, tudzież portretami sławnych Polaków. Salę tę za Zygmunta trzeciego zdobiły wielkie obrazy historyczne, pędzla nadwornego malarza Dolabelli, z których najgodniejsze wspomnienia: wzięcie Smoleńska 1611 roku i *tryumf* hetmana Stanisława Żołkiewskiego, tegoż roku odprawiony w Warszawie z wiernemi podobieństwami twarzy wszystkich przytomnych i uczestników tego okresu. Zachowały się te obrazy w zamku Warszawskim aż do początku panowania Augusta II Mocnego i wówczas zniknęły.

Z utworów Bacciarellego pierwszym był: Kazimierz Wielki, nadający ludowi wiejskiemu swobody; daléj: *Ustanowienie Akademii krakowskiéj, Hołd* Alberta księcia pruskiego, złożony Zygmuntowi pierwszemu; *Sejm Unii* w Lublinie 1569 roku za Zygmunta Augusta; *Traktat z Turcyą* pod Chocimem 1621 roku; Jan III wybawiciel Wiednia i Chrześciaństwa.

Gdy zwycięzka armia Napoleona I-go wkroczyła do Warszawy 1806 roku, podług wyboru Donona dyrektora Muzeum Paryzkiego, zabrano z tego zamku *hołd* Alberta, kilka widoków Canalettego, które późniéj zwrócone zostały.

Sala druga od wnijścia głównemi schodami od Krakowskiego-Przedmieścia, była jakby sypialnym pokojem Stanisława Augusta. Kilka jéj okien wychodzi na taras zamkowy bliżéj strony pałacu *pod Blachą.* W rogu jéj, w pobliżu komina stał za parawanem szklannym miękki szezląg, na którym król używać lubił drzemki

po śniadaniu lub obiedzie, a wiadomo, jakim był smakoszem. Tu zaszła scena, którą słowami lekarza przybocznego tego króla, a ojca mojego, przywiodę, gdy, oprowadzając mnie po tych wspaniałych komnatach, stanął w téj sali i wskazując na owo miejsce mówił:

„Było to dnia 4 listopada 1794 roku, obok sali, gdzie król Jegomość drzémał, zostawałem na służbie. Nagle huk dział zabrzmiał od strony Wisły, a kula jedna armatnia, utkwiła w murze przy oknie zamkowém w téjże komnacie. Wstrząsła się ściana; po chwili słyszę krzyk przeraźliwy króla Jegomości: wpadam przerażony i znajduję króla siedzącego na szezlągu, na którym drzemał wybladłego, drżącego, z wzrokiem osłupiałym, wskazującego prawą ręką w okno, zkąd widok na Pragę. Zacząłem go trzeźwić z apteczki podręcznéj, po kilku minutach odetchnął przecież i pierwsze słowa co wyrzekł, były:

— Czy widziałeś ją?

— Co takiego Najjaśniejszy panie?

— Ona stała w oknie i groziła mi strasznie. Nie odchodź na krok odemnie!

Podłożyłem mu pod głowę poduszki; po chwili spoczynku dopiero król mi opowiadał, że, zdrzemnąwszy się, nagle usłyszał huk straszny; ściany zamku zadrżały, a kiedy się zerwał na nogi i spojrzał w okno, w którém jeszcze szyby brzęczały, ujrzał wysoką postać niewieścią w długiéj, białéj szacie, jak większe pół okna zasłoniła. Zwrócona była twarzą bladą i wielce smutną do niego, gdy zaś spojrzał w jéj oblicze, zadrżał na całém ciele, bo smutek zmienił się w wyraz groźby.

— Nie mów o tém nikomu, mój Jasiu, mówił—król, ocierając pot z czoła, nie wpuszczaj nikogo, a poślij dowiedzieć się, co się dzieje za Wisłą.

Spełnił to życzenie króla i do zgonu jego w tajemnicy zachował to zdarzenie.

Podanie dawne w rodzinie Poniatowskich niosło, że raz owa *biała niewiasta*, miała się ukazać ojcu króla, w przeddzień bitwy pod Pułtawą, gdzie skruszoną została potęgą Karola XII; wypadek uwieczniony historycznem, polskiém przysłowiem: *Zginął jak Szwed pod Pułtawą*. Starzy wojownicy z pod chorągwi Napoleona I-go, opowiadali mi, że ostatni raz owa *biała niewiasta* pokazała się we śnie Księciu Józefowi Poniatowskiemu pod Lipskiem 1813 roku, w wigilią dnia jego zgonu, i że książe przed poufałym opowiadał swój sen i wróżył ztąd rychłą śmierć dla siebie. Nazajutrz, gdy się ukazał na koniu, był bardzo blady, zmieniony na obliczu i smutny.

Kulę armatnią, co utkwiła w owéj dobie w ścianie okna z lewéj strony, widziałem sam, bo mi ją ś. p. ojciec mój pokazywał, gdyśmy szczegółowo oglądali Zamek Warszawski w 1826 roku.

Stanisław August zdarzenie to miał widać na myśli uwiecznić, gdy polecił malarzowi nadwornemu Bacciarellemu, przedstawić je

w dużym obrazie. Artysta szkic olejny podał królowi; w nim *biała niewiasta* w postaci anioła dziewicy do bioder obnażona, z rozwiniętemi białemi skrzydłami stoi, lewą ręką, jakby go naciskała do ugięcia kolana; jakoż Stanisław August przyklęka, pod nizką kolumną, na któréj widać portret męzki. U stóp téj kolumny, na poduszce leży berło i korona. Szkic się ten olejny przechował i mam go w swoim zbiorze; obraz zaś z niego malowanym nie był. Czy się pomysł Bacciarellego nie podobał królowi, czy pragnął zdarzenie, które taił w sobie inaczéj wyrazić, a rzeczywistych szczegółów artyście nie podał, to dziś już dla nas nieodgadniętą jest rzeczą.

Najwięcéj ściągała uwagę sala portretów królów polskich, w dawnym guście, któréj ściany całkowicie wyłożone były czarnym i czerwonym, krajowym marmurem, i ztąd nazwana *salą marmurową*. Stanisław August, pragnąc zgromadzić wizerunki wszystkich swoich poprzedników, wezwał Bacciarellego do odmalowania takowych według dawnych zabytków. Z gorliwością wyrównywającą talentowi swemu, wykonał artysta to zadanie trudne i zaopatrzył tę salę w portrety królów polskich, począwszy od Bolesława Chrobrego, aż do Augusta III. Ażeby zaś te wizerunki, o ile możności zatrzymały najwięcéj zbliżone podobieństwo, sprowadzono do Warszawy, za staraniem Stanisława Augusta, obrazy królów polskich, które się zachowały po starych zamkach i miejskich ratuszach. Duchowni dzielnie popierali ten zamiar monarchy, nietylko bowiem królów, ale i wielu innych wsławionych mężów w dziejach krajowych, obrazy po katedrach i kościołach znalezione, nadsyłali do pracowni Bacciarellego. Mając tym sposobem kilka portretów jednego króla, obierał artysta za wzory, według połączonych zdań Stanisława Augusta, historyka Albertrandego i innych znawców, i własnego, te wizerunki, które najwięcéj razy były powtórzone. Tak, utrafiwszy podobieństwo mającego być odmalowaném królewskiego oblicza, usiłował Bacciarelli i na to nie szczędził starań i zabiegów, wynaleźć osobę najwięcéj zbliżającą się podobieństwem do tego króla, którego miał malować. Po takich przysposobieniach, dopiero jął się artysta do malowania portretu, a zachowując rysy obranego starego obrazu, i zgasłego życia śledząc w żywéj osobie, tak zręcznie godził zabytki spleśniałego wizerunku, z żyjącą naturą, iż całą galeryą portretów, któremi przyozdobił ściany *sali marmurowéj* zamkowéj, można było uważać za jedyne z całą ścisłością archeologiczną dokonane.

Jak się wyradzała w zewnętrznéj postaci i obliczu nasza społeczność, dowodzą trudności, jakie miał w wynalezieniu żywych typów do tych portretów, ale je wynajdywał przecież, jeżeli nie w Warszawie, to po dworach wiejskich i oddalonych w zaciszy okolicach. Dziś byłyby daremne starania. Do téj także liczby należy wizerunek Stanisława Augusta, wyobrażający go w naturalnéj wielkości, w ubiorze hiszpańskim i w takiéj postawie, w jakiéj wystąpił w czasie swéj koronacyi 1764 roku w Katedrze Ś-go Jana i w Zamku Warszawskim.

Podług tych portretów król kazał odlać z żelaza seryą całą, jaka była olejno wymalowana w *sali marmurowéj* w medalach małych, starannie i artystycznie, a wiernie wykonanych. Zbiór ten szacowny zdobi prywatne pamiątki i wiele egzemplarzy oglądaliśmy pozłacanych.

W czasie bytności panującego monarchy, powiewała z wieży chorągiew, obwieszczająca mieszkańcom Warszawy pobyt w jéj murach króla.

Ogród przy zamku, zwany *tarasem*, był maleńki, dla rozszerzenia przeto takowego, następnie po roku 1815, rozszerzono go wystawieniem dużych arkad, dwieście sążni długich, pod któremi publiczna droga, śmiałością pomysłu zadziwiała. Na nich nasypisko grube ziemi, dało możność zasadzić krzewy, kwiaty i drzewka i powiększyć dawny, szczupły *taras*.

Wśród obszernego placu przed zamkiem, stoi posąg Zygmunta III, który mu syn Władysław IV postawił, przed samą *bramą Krakowską*. Posąg sam Zygmunta, jest blizko na jedenaście stóp wysoki. Przedstawiony w zbroi i płaszczu królewskim, w prawéj ręce trzyma pałasz zakrzywiony, a w lewéj krzyż nieco wyższy od całéj osoby. Stoi na wysokiéj kolumnie z marmuru chęcińskiego. Podstawa jéj była otoczona słupami powiązanemi łańcuchami, a na niéj ze czterech stron, czytać się dają napisy uwielbiające zwycięztwa i wielkie tryumfy Zygmunta III.

Lud warszawski utrzymywał, że śpiżowa ta postać, ożywia się w chwilach stanowczych dla miasta i kraju, albowiem kiedy ma być wojna, krzywy swój pałasz w górę unosi. Straszna to była wróżba dla mieszkańców tego grodu! Jak podanie niosło sześć razy pałasz ten wznosił. Pierwszy raz poruszenie to ujrzano w roku 1655, kiedy Szwedzi Polskę napadli pod Karolem Gustawem, i kilkakrotnie wchodzili do Warszawy bijąc się w murach i burząc warownie. Następnie w roku 1792, a w 1794 sędziwy majster szewcki, kiedy ulicą Podwalem szedł raniutko na Mszę świętą do Bernardynów, ujrzał z przestrachem, jak posąg Zygmunta III, wzniósł w górę rękę z pałaszem, i na cztery strony świata zamachnął. Struchlał starzec na ten widok, jak z kościoła wrócił opowiadał swe widzenie w domu: wieść o tém po mieście gruchnęła: gromady ludu zbiegły się pod Krakowską bramę, ale król śpiżowy stał nieporuszony w dawnéj postawie; uważano tylko, że wyżéj niż zwykle pałasz swój trzyma. Toż zjawisko spostrzegano jeszcze w 1807, 1809 i ostatni raz w 1813 roku.

Posąg sam odlany z bronzu w Krakowie, Wisłą do Warszawy spławionym został. Dwa w zapas słupy Władysław IV kazał wyciosać pod Chęcinami z pięknego czerwonego marmuru, z których gdy dłuższy w dźwiganiu nieostrożném z miejsca, wpół się przełamał, drugi krótszy pod posąg użyto.

Do dziś dnia mieszkańcy Chęcin i okoliczni ukazują leżącą w pobliżu tego miasteczka górę zwaną *Zygmuntowską*, z tego powodu że właśnie z niéj wydobyto i wyciosano obiedwie te kolumny. Stał ten posąg nie wzruszony aż do panowania Augusta III, kiedy zapotrzebo-

wał naprawy: król go przeto polecił odnowić i pamiątkę tego na saméj kolumnie umieścił w tych słowach:

„*Opus amoris et honoris a Vladislao IV, patre suo Sigismundo III, Anno Domini MDCLIII erectum: prospere regnante Augusto III, Anno Domini MDCCXLIII renovatum.*"

W roku 1808 spostrzeżono że sam posąg na wierzchu ku jednéj się stronie przechylił, bo kolumna cała prosto i niewzruszenie stała. Nakazał przeto rząd Księztwa Warszawskiego potrzebną naprawę: w tym celu Jan Łuszczewski minister spraw wewnętrznych, stosowną na to summę przeznaczył. Restauracya zupełna skończoną została w roku 1811, na którą skarb publiczny 12,826 złotych polskich ówczesnych poniósł.

Kiedy zaczęto myśléć o upiększeniu Warszawy, podniesiono kilka równocześnie projektów ku temu celowi. Zaczęto najprzod od Zamku królewskiego.

Zrzucono Bramę krakowską i rzęd kamienic zapełniających plac dzisiejszy. W prostéj linii od posągu Zygmunta III, wyznaczono kierunek ku tarasowi zamkowemu, otwarcie zjazdu do Wisły i zbudowanie mostu stałego na Wiśle, niewątpiąc o możności wykonania, patrząc na ślady i szczątki tego, który zaczął Zygmunt August a Anna Jagiellonka ukończyła przy ulicy Mostowéj.

Plany po temu opracował z polecenia wyższego inżynier Jan Lelewel, brat rodzony historyka Joachima [1]). Mury pomiędzy frontem zamkowym, a kamienicą dotykającą je, miały być rozebrane i nasyp taki dany, ażeby spadek o ile być może był najłagodniejszy.

Dla otwarcia widoku na katedrę św. Jana przedstawiono zniesienie całéj ulicy Święto-Jańskiéj aż do rynku Starego Miasta, szeroki plac wysadzić lipami, kilka narożnych kamienic, dla otwarcia wjazdu na tenże rynek, rozebrać. Ponieważ jednocześnie zatwierdzony już był bulwark kamienny tak od strony Warszawy jak przedmieścia Pragi, dla ujęcia koryta Wisły i zapewnienia spławu; na place, jakie się utworzą po nad rzeką, przekupnie kramy ze Starego Miasta na nie przenieść miano, jako téż sprzedaż wszelkiego ryb gatunku.

Rynek cały zamienić w ogród, a w środku tryskać miała ciągła fontanna dla odświeżania powietrza, w tym prostokącie zacieśnionych kamienic i pozbawionych odpowiednich podwórzy. Przy rozroście coraz większym miasta zbadano, czyby go zaopatrzyć nie można bieżącą wodą, albowiem sprowadzanie jéj z Wisły tak nizko położonéj byłoby zbyt kosztownem.

Wysłani inżynierowie wkrótce złożyli pomyślne sprawozdanie. Od strony Jeziorny i Lipkowa można było przy pomocy małych grobel i nasypów, dostateczny zapas wody bieżącéj sprowadzić do Warszawy. Projektowano kanał szeroki, który przeprowadzony do Ogrodu Sa-

---

[1]) Plany te przechowują się dotąd u rodzonego brata Jana, Prota Lelewela żyjącego.

skiego, w nimby napełniał stawy i ztąd części najdawniejszéj miasta, czystéj udzielał wody, a następnie podług dowolnego kierunku spływał do Wisły.

Zbiorowisko główne od téj strony zgromadzonych wód z tych mniejszych rzeczek i strumieni wypełniać miało kilka obszernych stawów pod okopami Warszawy, pomiędzy rogatkami Jerozolimskiemi a Marymontskiemi, które można było zarybić.

W roku 1828 Adam Idźkowski magister budownictwa i miernictwa, członek rady ogólnéj budowniczéj w wydziale przemysłu i kunsztów przy komissyi spraw wewnętrznych Królestwa Polskiego, po powrocie z Włoch jako członek akdemii sztuk pięknych we Florencyi, wydał ciekawy: „*Projekt drogi pod rzeką Wisłą dla połączenia Warszawy z Pragą, z dołączonem opisaniem i porównaniem systematu drogi pod rzeką Tamizą w Londynie, obejmujący razem prawidła i sposoby upowszechnienia dróg podziemnych w naszym kraju z wykazaniem ich korzyści*" (Warszawa, 1828 r. w 4-ce). Myśl ta Idźkowskiego żywe obudziła z początku zajęcie, ale były w niéj widać jakieś grube błędy, które gdy specyaliści wykazali, autor wypuszczone w handel księgarski egzemplarze wycofał i zniszczył. Ztąd rozprawka ta stała się rzadkością bibliograficzną.

To były najgłówniejsze projekta przyozdobienia miasta, a głównie strony jego od zamku królewskiego.

Ściśle z tym zamkiem połączony jest kościół katedralny Ś. Jana, galerya nawet wiedzie z siedziby królewskiéj do ściany przy wielkim ołtarzu, w któréj jest loża wygodna z oknami. W niéj królowie od Zygmuta III począwszy zwykli słuchać nabożeństwa.

Świątynia ta do najstarożytniejszych w naszym grodzie należy: sięga bowiem początkiem swoim drugiéj połowy XIII stulecia. Pierwotnie drewniana, dopiéro przez Janusza księcia mazowieckiego, co się wiele przyłożył do ozdoby Warszawy wymurowana r. 1390 i do niéj kolegium kanoników z Czerska w roku 1402 przeniesione zostało. W późniejszych wiekach niejednokrotnie przebudowywana.

W Wielkim ołtarzu godny jest widzenia obraz umyślnie dla tego kościoła malowany, przez znanego weneckiego artystę *Jacopo Palma Giovano*. Przedstawia Najświętszą Pannę otoczoną aniołami, u spodu św. Jan jako patron kościoła i św. Stanisław jako patron całego kraju.

Król Zygmunt III najwięcéj się do ozdoby tego kościoła przyłożył, zajmując się malarstwem i złotnictwem ofiarował do skarbcu tutejszego patynę z czystego złota i krucyfiksy własnéj roboty, które przechowywano, a kościół sam wielkiemi organami ozdobił.

Świątynia ta posiada najwięcéj historycznych pomników. Na piérwszy rzut oka zastanawiała wielka chorągiew *Mahometa*, zawieszona w pośrodku sklepienia tego kościoła, a zdobyta w roku 1683 przez Jana Sobieskiego w czasie pamiętnego zwycięztwa nad Turkami i oswobodzenia Wiednia.

Nagrobek po lewéj ręce przy wielkim ołtarzu zawiera w sobie zwłoki Stanisława i Janusza II, synów Konrada i Anny z Radziwiłłów, a ostatnich książąt Mazowieckich. Zakończyli oni długi szereg książąt-Piastów, co więcéj niż cztery wieki panowali w Mazowszu.

Dzieje tych dwóch braci są nadzwyczaj dramatyczne. Obaj w kwiecie wieku wprędce po sobie zakończyli życie i Mazowsze po ich zgonie ostatecznie do Korony wcielone zostało.

Książe Stanisław, na czele hufców dzielnych Mazurów, pomagając królowi Zygmuntowi I gromił przeważnie chorągwie krzyżackie. Potomek dzikiego Konrada I choć walecznego, który na przyszłą niedolę przytulił na Mazowszu włóczęgów krzyżackich, szukających kawałka ziemi, widząc rozrastający się zakon jak polip najemném żołdactwem Francyi, Burgundyi, Szkocyi, Anglii jak i całych Niemiec, okutém w żelazne zbroice, a przykrywających się płaszczem z krzyżem, z pod którego nieśli mórd i pożogę, teraz zobaczył błąd swego przodka i na ich karkach tępić musiał swój oręż. Rozbił tysiąc jazdy krzyżackiéj jak tyleż piechoty bitnéj a wprawnéj do boju, zdobył trzy ich nawet warowne grody nad granicą Mazowsza położone.

Objął rządy swego księztwa 1518 r. odznaczając się świetnemi przymiotami. Skromność łączył ze zdolnością umysłową, a do biegłości w zawodzie rycerskim łączył nieustraszone męztwo i odwagę. Dbały o pomyślność swego małego państwa, w roku 1523 na miejscu wiejskiéj osady, założył miasteczko, które od swego imienia *Stanisławowem* nazwał.

Brata jego i następcy Janusza krótko trwało panowanie, bo tylko ośmnaście miesięcy. Chociaż podobny był do Stanisława, w sile ciała daleko go przewyższał. Współcześni widząc z jaką łatwością wyrzucał w górę ogromne kamienie, zrywał grube sznury i łamał podkowy, jak bez natężenia naciągał cięciwy w łuku, wierzyli że miał podwójną kość pacierzową. Barczysty, szerokich piersi, twarzy przyjemnéj, którą nieco nos zakrzywiony i spłaszczony szpecił. Szlachta mazowiecka wielkim żalem przyjęta po tak rychłéj śmierci dwóch młodych książąt, nie bacząc na ich niewstrzemięźliwe życie, czém sobie zgon przedwcześnie przyspieszyli, łatwo uwierzyli podejrzeniu, że obaj czarami zgładzeni zostali. W żalu swym nie znała miary, na kogo padło tylko podejrzenie zginąć musiał. Posądzone dwie kobiéty o udział w mniemanéj zbrodni, nanieciwszy stos wielki na placu przed *Bramą krakowską* żywcem wśród strasznych męczarni upiekli, jak to ze zgrozą obecny świadek kronikarz Bernard Wapowski opisuje. Co jeszcze większéj dodawało żałoby, to, że Księztwo Mazowieckie traciło swą dawną udzielność i włączone zostało do Korony, że ginęła droga Mazurom rodzina Piastowska, a ród nowy Jagielloński zajmował ich dzierżawy odwieczne [1]). Niestety! i ten ród nie długo istniał, bo zgasł

[1]) Obaj młodzi książęta skończyli na suchoty. Obszernie ten dramat cały opisałem w dziele: *Szkice historyczne i z domowego życia niedawno ubiegłéj przeszłości.* Kraków 1869 r.

wraz z Zygmuntem Augustem w pół wieku później. Pomnik ostatnich książąt Mazowieckich wyrobiony jest z czerwonego marmuru: obie postacie naturalnéj wielkości pokryte zbroją, z łańcuchami rycerskiemi na szyi, z chorągwią w ręku, spoczywają obok siebie.

Grobowiec ten ozdobiony kolumnami z czarnego marmuru, pomiędzy któremi wyobrażenie Zbawiciela na krzyżu srebrne, na aksamicie czerwonym z ramami srebrnemi. Pod posągami obszerny napis w języku łacińskim opowiada imiona i cnoty ostatnich ze szczepu książąt Mazowieckich, którym przywiązana siostra księżniczka *Anna* Mazowiecka, w gorzkiéj boleści i smutku, ten grobowiec wystawiła.

Z piękniejszych pomników jakie wówczas zdobiły tę starożytną katedrę, wydatniał grobowiec dwóch braci *Wolskich:* Mikołaja biskupa włocławskiego i Stanisława kasztelana sandomierskiego, zmarłych za Zygmunta Augusta. Są oddani w naturalnej postaci z kamienia piaskowca, jeden w szatach uroczystych biskupich, drugi w pełnéj zbroi. Na pamięć zaś ich miłości braterskiéj, tuż obok siebie, we wspólnych objęciach spoczywają.

Wchodząc wielkiemi drzwiami po lewéj stronie znajdował się nagrobek w mniejszych rozmiarach *Zygmunta Kazanowskiego* starosty kokenhauskiego. Przedstawiony na nim zmarły w postaci klęczącéj przed obrazem Matki Boskiéj: czapka z piórem i buzdygan przy nogach leżą. Zygmunt III wybrał go jako doświadczonego wojownika do ćwiczenia w sztuce wojennéj syna swego królewicza Władysława. Był to dzielny rycerz, do którego skroni, jak wyraża o starych naszych ojcach Woronicz, hełm przyrósł, bo od lat młodych do sjwizny wciąż go dźwigał.

Równie dzielny bojownik spoczął w téj katedrze *Bartłomiéj Nowodworski*, życie jego stanowić może oddzielną księgę i w dziejach Zygmunta III zajmuje nie jednę kartę. Nietylko że sam niósł życie w ofierze, ale bezżenny, jako kawaler maltański, bogąte swe mienie łożył chętnie na naukę młodzieży, wspieranie jéj, na druki książek różnych. Był to typ wspaniały starego rycerstwa; zwolennik dawnych zwyczajów, nie małe usiłowania położył, ażeby pomiędzy wojownikami obudzić pamięć śpiewu hymnu *Boga-Rodzicy*, który śpiewywano przed każdém rozpoczęciem bitwy [1]). Kazanie Fabiana Birkowskiego wydał swoim kosztem, a do tego przyłączył i ten hymn, polecając go towarzyszom broni. Tutejszéj katedrze za-

[1]) J. U. Niemcewicz, który miał nieraz genialne pomysły, napisał tragedyą *Zbigniew*, z chórami, którą widziałem przedstawioną na teatrze narodowym. Układ cały dramatu doskonale odpowiadał swéj treści. Zbigniewa grał słynny w owe czasy *Werowski*, który tak całą postacią, jak obliczem i głosem, artystycznie odtwarzał tę historyczną *figurę*.

pisał sumę na te czasy znaczną, bo 2,000 złp. owoczesnych pod warunkiem, aby za duszę jego dwa razy na rok odprawiano nabożeństwo i na grobie jego wtedy odśpiewywano Boga-Rodzica. Pragnął bowiem aby duch jego po śmierci mógł się radować odgłosem téj pieśni. Przez wiele lat tak jak pragnął, cieszył się cień wielkiego wojownika melodyą hymnu Boga-Rodzica nad własnemi popiołami; nie wiadomo za czyją sprawą obowiązek ten święty dla pamięci zmarłego poszedł w zaniedbanie; śladów nawet grobowca Nowodworskiego nie znalazłem. Umarł on w Warszawie 1625 roku, na pogrzebie jego w téj katedrze miał mowę Jakób Sobieski, ojciec króla Jana III, a towarzysz broni i przyjaciel zgasłego męża.

Spoczywają tu znany historyk biskup *Albertrandy*, pierwszy prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk; *Marceli Bacciarelli*, co tyle pięknym pędzlem przyozdobił zamek warszawski i pałac królewski w Łazienkach. Zwracały uwagę portret z mozajki Michała Poniatowskiego prymasa, tudzież biskupów Raczyńskiego i Antoniego Okęckiego kanclerza wielkiego koronnego.

Po prawéj stronie od wielkiego ołtarza przy bocznéj ścianie świątyni, w ostatnim roku okresu, który bierzemy pod pióro, w 1830, stanął jeden z najwspanialszych pomników znanego chlubnie w dziejach z ostatnich lat panowania Stanisława Augusta, marszałka sejmu Stanisława Małachowskiego (zmarłego 1809 r.) podług rysunku Wojciecha Thorwaldsena, a wykonany przez znakomitego rzeźbiarza w Rzymie Franciszka Maksymiliana *Laboureur* Rzymianina. Znanym on jest pod imieniem *Cavalere Massiliano* i był prezydentem akademii w Staréj Romie.

Wielki ten pomnik z białego karraryjskiego marmuru wyciosany, przedstawia u góry postać zmarłego męża w todze rzymskiéj: w jedném ręku trzyma zwój papieru, w drugiéj długą złoconą laskę jako godło godności, którą za życia tak zaszczytnie i szlachetnie piastował. Niżéj, na podstawie, z krajowego mąrmuru chęcińskiego stoją dwie figury wyobrażające: jedna rycerza w rzymskim stroju, który trzyma w ręku sztąndar, jakiego używało wojsko polskie za czasów Księztwa Warszawskiego, a druga zasmuconą niewiastę z *koroną murową* na głowie, która się wspiera na tarczy z herbami dawnéj Polski. Na sarkofagu złoconemi głoskami mieści się napis łaciński, podający nazwiko, tytuły i cnoty zmarłego. Pomnik ten odwiedzały tłumy warszawian: jednych przyciągała żywa jeszcze pamięć męża, drudzy zbiegali się z ciekawości oglądać znakomity utwór sztuki rzeźbiarskiéj, który jak wieści niosły wtedy, kosztował rodzinę Małachowskich dziesięć tysięcy dukatów.

Jako w starożytnéj katedrze liczne są tu kaplice; najwięcéj zaś odwiedzaną była po lewéj ręce od wielkiego ołtarza, gdzie słynący cudami Zbawiciel na krzyżu rozpięty. Wiara powszechna była u ludu warszawskiego, że włosy na głowie Chrystusa ciągle odrastały, które kapłani obcinali corocznie przy odpowiedniéj modlitwie i pobożnym

jako drogie *relikwie* rozdawali. Trwało to do czasu, dopóki grzeszna ich ręka nie dotknęła, od téj chwili już więcéj włosy nie odrastały.

W skarbcu katedry przechowywano patynę i krucyfiksy własnéj roboty Zygmunta III, z których już przed rokiem 1830 tylko jedna patyna pozostała. Najpiękniejszym zabytkiem sztuki była tablica mosiężna, grubo w ogniu złocona, mająca odlew od ręki cyzelowany, a wyobrażający w półfigurze w stroju rycerza, kawalera maltańskiego. Był to jedyny zabytek z grobowca Bartłomieja Nowodworskiego. Dlaczego zaś oderwany z miejscą właściwego został i przezto ślad ostatniego spoczynku bohatérskiego męża zatracony, w saméj katedrze nie masz żadnéj wiadomości.

Utkwiły w pamięci mojéj świetne i okazałe nabożeństwa w czasie *rezurekcyi* w Wielką Sobotę, jako téż odpustowe na *Przemienienie Pańskie:* największe jednak wrażenie we wspomnieniach lat pacholęcych robiły trzy msze poranne w dzień pierwszego święta *Bożego-Narodzenia.* Zbudzony o ciemnym zmroku, jeszcze zaspany, zrywałem się z posłania, ażeby z ojcem, matką i siostrami zdążyć na nabożeństwo. Każde z nas już miało swój stoczek woskowy i książkę do nabożeństwa.

Jakaś szczególnie majestatyczna powaga otaczała wnętrze téj świątyni, którą ciemność zalegała. Zwolna ta pomroka się rozjaśniała wraz z napływającym ludem a każdy zapalał stoczek czy świecę. I wkrótce tysiące świateł migotliwych błyszczało jasnym płomieniem, oświecając liczne ołtarze, kaplice i pomniki grobowe, które jakby nowe i nieznane ukazywały się oczom naszym. Po nabożeństwie żwawo wracaliśmy do domu, dopiéro na śniadanie: jakże ono nam smakowało, z jakąż je radością serdeczną spożywaliśmy, oddawszy Bogu co się należało.

Wracając z nabożeństwa od Fary, nieraz mi ojciec wskazywał na bramę wjazdową zamku wprost Piwnéj ulicy, przy któréj na tronie Władysław IV odbierał hołdy lennych książąt. Żywa jeszcze tradycya zachowywała wiele szczegółów uroczystego obrzędu, gdy młody Fryderyk Wilhelm elektor brandeburski przybył do Warszawy dla złożenia hołdu i pozyskania zatwierdzenia na swoją dostojność. W kronice Warszawy zapisał się dzień 7 października 1641 roku, w którym ruch niezwykły rozbudził życie całego miasta. Elektor zamieszkiwał w pałacu Ujazdowskim, który był w rozporządzeniu królewskiém; ztąd konno otoczony licznym orszakiem dworu swego i rycerstwa polskiego, zbliżał się do Warszawy przez Krakowskie Przedmieście.

Władysław IV w dniu tym po południu zasiadł na tronie przed pomienioną zamkową bramą wspaniale przystrojoną, w ubiorze koronacyjnym, otoczony gronem ministrów i dworskich urzędników, w pośród dwudziestu senatorów, na swoich krzesłach według porządku prawem przepisanego zasiadających.

Czterej komisarze elektorscy przystąpili z uszanowaniem do tronu i przyklęknąwszy upraszali króla, aby pan ich do przysięgi na lenność Księztwa Pruskiego przypuszczony został: na co kanclerz zezwolenie od króla oświadczył.

W tę chwilę nadjechał młody Elektor. Dwóch marszałków wielkich, spotkało go przy schodach zamkowych, gdy zsiadł z konia i przyprowadziło przed króla. Wtedy zbliżywszy się do tronu, oddawszy głęboki pokłon, w długiéj mowie po łacinie prośbę swoją o przyjęcie hołdu powtórzył; na co kanclerz koronny od tronu krótko odpowiedział. Wtedy przyklęknąwszy, przysięgę na ewangelią za rotą czytaną od kanclerza przed królem wykonał, po któréj dyplom pargaminowy na lenność Prus król mu oddał. Zaco, gdy z pochyloną głową Władysławowi dziękował, król go podniósł z kolan i na krześle obok siebie posadził. Przy tym obrządku, posłowie od dwóch książąt z domu Brandeburskiego, według prawa do dotknięcia się chorągwi lenniczéj przypuszczeni byli i kilku z orszaku Elektora na rycerzy od króla, mieczem podług zwyczaju, pasowanych było.

Wieczorem *bankiet* u dworu dzień ten zakończył.

Zamek stoi na wyniosłém wzgórzu od Wisły; przedtém zańim wymurowano długie arkady i na nich założono ogród, tak zwany *taras*, był szczupły i wązki.

Dla ułatwienia komunikacyi z wybrzeżem Wisły, wiodły od zamku kryte schody aż na sam dół na parę pięter niżéj. Schodziłem niemi z wielką zawsze obawą, bo okna je mało oświecały i wieczna w tém przejściu pomroka panowała, lubo codziennie setki mieszkańców nadwiślańskich niemi przechodziło.

Z tego *tarasu* wyniosłem żywe wspomnienie strasznego wylewu Wisły w 1813 roku. Młoda, świeża pamięć zachowała obraz ten straszny we wszystkich najdrobniejszych szczegółach, na który. z trwogą i przerażeniem spoglądałem.

Ścisk był wielki na tarasie zamkowym, rzeka wezbrała do niesłychanéj wysokości. Cała Praga zalana, dachy i kominy tylko z domów widać było, na których mieszkańcy wołali rozpaczliwym głosem o ratunek. Cała okolica zawiślańska, jak okiem zajrzéć, zniknęła, tylko woda z białą pianą po niéj szumiała. Na dwie przeszło mile w około, wylew się ten srożył, do wsi *Kobyłki* łodziami dopływano.

W Warszawie całe wybrzeże nad Wisłą, było pod wodą; wszystkie ulice, jak Furmańska, Bednarska, Rybaki, Solec i inne zalane: mieszkańcy ratowali się jak mogli. Od czasu do czasu, w pośród krzyku rozpaczy i rzewnego płaczu, rozlegał się huk, jakby strzału armatniego, albo grzmotu blizkiego. To w szychtach drzewa pękały wiązadła, a kloce sosnowe, dębowe, brzozowe i olszowe, spadały w otchłań wodną i porwane bystrym prądem rzeki, z jéj biegiem płynęły do Gdańska. Za każdym takim hukiem, po chwili

ukazywały się kłody drzewa, które odważniejsi flisy, oryle i rybacy, łowili, jako dobrą dla siebie zdobycz.

Biała woda na Wiśle, zkąd ją dawniéj słusznie *Białą wodą* zwano, zanim teraźniejszą przybrała nazwę, pokrywała się coraz więcéj jeszcze bielszą pianą, co wróżyło jeszcze nowy, większy przybór. Na tym rozlewie nieprzejrzanym okiem, od czasu do czasu ukazywały się różne przedmioty, zwracające uwagę tłumu patrzącego z zamkowego tarasu.

Widziałem płynące zabudowania, drewniane domy, obory, stajnie, chlévy, a obok nich konie przywiązane do żłoba, od którego oderwać się nie mogły, bydło i owce i mnóstwo sprzętów rozmaitych. Nagle krzyk na tarasie zagrzmiał: „Dziecko! dziecko! ratujcie dziecko.“ Był to głos zebranych kobiet, a serce obecnych matek, wydało ten krzyk przeraźliwy. Jakoż rzeczywiście płynęła kołyska z dziecięciem, ale jakby Bóg je miał na oku, spłynęła z najbystrzejszego prądu rzeki i zwróciła się na zakręt spokojnéj wody, gdzie już pieniste fale nie biły.

Na ten okrzyk, jakiś młody, dorodny człowiek, przedziera się przez tłumy i zbiega na dół, gdzie łodzie stały; siada w jednę wraz z przewoźnikiem, dopływa do kołyski, wydobywa z niéj niemowlę w poduszce, w górę po nad głową podnosi, ukazując piękną zdobycz. Cały *taras* zamkowy zadrżał od okrzyku radosnego i grzmotu oklasków. Kobiety ze łzami wykrzykiwały vivaty! Mężczyzni klaskali. Wkrótce nadbiegł z dzieciną młody wybawca. Matki otoczyły go gęstym wieńcem, całowano, ściskano, przytulano do piersi drobne niemowlątko; wreszcie, gdy się nie mogły pogodzić, komu je na wychowanie oddać, na wniosek jednéj, ciągniono *supełki* i w pośród największéj ciszy, oczekiwano stanowczego losu. Najmłodsza p. majstrowa, szewcowa z Dunaju wyciągnęła *supełek;* z jakąż radością porwała tę dziecinę i uniosła z tarasu wśród tłumu, który się jéj z uszanowaniem ustąpił i otworzył drogę.

Nagle liczne głosy: „patrzcie! patrzcie! co za nieszczęście!“ zwróciły moją uwagę. Po wzburzonych falach rzeki płynął wiatrak, co chwila przechylając się na wszystkie strony. Na małym ganeczku, stała młoda młynarka z dziecięciem u piersi, z okrzykiem przestrachu wołająca ratunku i miłosierdzia ludzkiego. Wszystkich oczy przyrosły do téj postaci i wiatraku; nieszczęśliwa matka, stała tylko w koszuli, jak ze snu się zerwała: włos jéj bujny, spadał na ramiona.

Po chwili ukazały się dwie łodzie, dążące na ratunek; w większéj stała jakaś niewiasta wyniosłego wzrostu, smagła, obwinięta szalem. Sześciu rybaków posłusznych jéj skinieniu, kierowało tą łodzią. Na drugiéj mniejszéj, siedział z dwoma rybakami wybawca niemowlęcia w kołysce. Obiedwie zdawały się prześcigać. Tymczasem wiatrak, zatrzymany nieznaną zaporą, nagle się pochylił; łódka mniejsza, pierwsza przy nim stanęła, ale tak ją fale rzeki podrzucały, że dopiero

przy pomocy większéj, stanęła silniéj, dotarłszy do wiatraka. Młynarka, zmęczona przestrachem i wysileniem trzymania się na ganeczku ciągle chwiejnym, blizką była omdlenia, kiedy pomoc tak pożądana i potrzebna nadpłynęła. Teraz obiedwie łodzie już stanowiły pokład bezpieczny i młody wybawca niemowlęcia, pomógł młynarce do zejścia. Pani stojąca na większéj łodzi, pochwyciła podaną dziecinę, przytuliła do piersi i okryła tureckim szalem; młynarka, gdy się na pokład dostała, omdlała i w takim ją stanie przywieziono pod taras zamkowy, gdzie otrzeźwiona, wsiadła z ową odważną panią, co niosła swe życie na jéj uratowanie, do stojącego na podwórzu zamkowym pojazdu i znikła z przed oczu. Jedni ją nazywali księżną, drudzy hrabiną, ale kto była właściwie, nikt rzeczywiście nie wiedział. Przewoźnicy tylko z uszanowaniem oddali jéj pokłon, bo każdy z nich otrzymał w darze po pięć dukatów w złocie.

Niedługo nowy widok zwrócił uwagę wszystkich stojących na tarasie. Płynęła gruba i długa kłoda drzewa, na któréj siedziało dwóch ludzi. Fale z biegiem wody, szybko ją gnały na przód, a nadto obracały na wszystkie strony. Jeden zręczniejszy, potrafił równowagę utrzymać, ale drugi, czy więcéj zestraszony, czy mniéj zwinny, gdy się kłoda obróciła, zsunął się w nurty rzeki, a szukając ratunku, uchwycił się jéj obiema rękami. Wtedy siedzący na niéj, czując, że ten ciężar coraz więcéj kłodę wykręca, ze zwinnością kota, posuwa się na niéj i pięścią uderza w ręce splecione nieszczęśliwego towarzysza swego.

Ten podły, samolubny postępek, wyciska okrzyk zgrozy w całym tłumie na tarasie, biédak pod uderzeniem silnéj pięści rozszczepił ręce i zanurzył się w toniach, a jego zabójca popłynął daléj. Wkrótce jednakże Bóg, jakby w oczach wszystkich, chciał doraźnie zbrodnię ukarać, ocalił z głębi wód topielca, bo warszawscy rybacy, gdy bałwany go wyrzuciły, zdołali pochwycić i uratować, gdy na kłodzie płynący, dopędzony nową szychtą drzewa, zwalony do rzeki, już nie miał ocalenia i w pobliżu tarasu, zniknął na zawsze w spienionych falach.

Wylew ten straszny, zaczął się dnia 29 sierpnia 1813 roku i mnóstwo rodzin zubożył. Wszyscy zamożni handlujący drzewem, ponieśli wielkie straty, bo ułożone w pobliżu wybrzeża Wisły tak kloce drzewa *w szychty*, jak *w sążnie* porwała woda i uniosła daleko. Gdy most zerwanym został i spłynął także z wodą, komunikacya zerwana z Pragą, gdzie sprowadzone na rzeź woły i konie, które miały być przeprowadzone na targ na Muranow, potonęły. Cóż mówić o secinach rodzin tak w Warszawie w po nad Wiślu, jak na Pradze zamieszkałych, którzy, ratując tylko życie, całe swoje mienie utracili.

Wśród téj klęski, mieszkańcy Warszawy rąk nie opuścili. Natychmiast z jednéj strony Towarzystwo Dobroczynności, z drugiéj

utworzone na ten raz *Towarzystwo Ratunkowe*, pod przewodnictwem gorliwych obywateli i obywatelek, zabrały się energicznie do zbierania funduszów na ratunek *topielców*. Oprócz hojnych składek, do których chętnie wszyscy należeli i najubożsi swój grosz wdowi dokładali, widowisko w Teatrze Narodowym, oraz koncert w kościele księży Pijarów, dały niemały zasób do zapomogi.

Artysta dramatyczny L. A. Dmuszewski, upamiętnił datę téj bolesnéj klęski napisaniem komedyi-opery: *Wezbranie Wisły*, wiérszem w jednym akcie, która przedstawioną była na teatrze tegoż roku. Gdy ją wydrukował, taki na czele położył przypis:

„Towarzystwu Dobroczynności w mieście Warszawie, obywatelom i obywatelkom majątkiem, staraniem, talentami, nieszczęśliwym wsparcie niosącym, pracę niniejszą autor z uszanowaniem poświęca."

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Przyjęcie pana Saint René-Taillandier do Akademii francuzkiéj.—Mowa pana Nisard.—„Rok dziewięćdziesiąty trzeci" Wiktora Hugo.—Zmarły historyk Michelet; wspomnienie jego prac.—Nowi akademicy: pp. Mezières, Caro i Aleksander Dumas. — Gregorio Papadopulos.— Wiersz Wiktora Hugo: „Dom bez dzieci."

We dwa tygodnie po przyjęciu p. Lomenie, Akademia francuzka otworzyła znów progi swoje drugiemu z profesorów Kolegium. Pan Saint-René Taillandier zajmował miejsce ojca Gratry: wprowadzał go p. Nisard.

Mowa nowego członka daleka od rutyny akademickiéj, uderza oryginalnością i życiem. Bez zwykłych przegrywek, bez ckliwych komplementów tylekroć powtarzanych, mówca chwyta odrazu za przedmiot, rzuca obraz i uderza nim uwagę słuchaczów. Przytaczamy ów początek, malujący żywo piękną postać kapłana filozofa:

„Wielki poeta spółczesny (August Briseux), mówi p. Taillandier, skreślił w kilku rzutach pióra wierne oblicze XIX-ego wieku, i obowiązki, jakie ma ten wiek do spełnienia. W podróży po Włoszech przebywa Apeniny od strony Neapolu; tam na stoku stromej góry spos-

trzega jednę z tych cichych ostoi, w których przechowują się średniowieczne tradycye kontemplacyjnych nauk. Pogrążony w głębokiém rozmyślaniu zakonnik modli się w małéj celi. Nagle słychać niezwykły jakiś łoskot, jak gdyby gwałtowna rozpasała się burza. Cóżby to było? Wybuchże to Wezuwiuszu? Pustelnik przerywa mistyczne rozpamiętywanie. Przystępuje do okna. Patrzy... pogoda... żadna chmurka nie przebiega po przeczystym błękicie, żaden złowrogi znak nie zapowiada wulkanicznych wybuchów. Wezuwiusz spokojny. Cóż znaczy ten łoskot podobien do szalonego uraganu? Oto pierwszy pociąg pędzi strzałą po żelaznych szynach przecinających cichą dolinę. Lokomotywa z parskiem i pogwizdem wyrzuca z szerokiéj paszczy kłęby pary i dymu. Sprzeczność uderza wyobraźnię poety. Na wyżynach widzi rozmodlonego kamedułę; w dolinie widzi gorączkowy pośpiech, czynność, tryumf wysileń ludzkich. To podwójne zjawisko przedstawia mu stan społeczeństwa naszego; spostrzega w dramatycznym obrazie dwa światy, dwa prądy woli, zupełnie sobie obce, a które przecież nie dojdą nigdy do urzeczywistnienia wielkich celów, jakie spełnić powinny, dopóki nie połączą się wzajem. Ażaliż, pyta, owi spokojni asceci zatopieni w badaniu rzeczy wiekuistych, zawsze pozostaną obojętni na losy ziemi i na zdobycze geniuszu człowieka? Ażaliż te pyszne dzieci wieku nie zechcą nigdy wznieść oczu ku niebiosom? Sprzeczność ta uderza poetę-myśliciela; wyrzuca w pieśni smętną skargę.

O! mnichu, w idealnych sferach zatopiony,
Patrz... czas zwalczon i przestrzeń zbliża się daleka!
Śmiertelni! gdy was pędzi prąd wieku szalony,
Obcyż wam cel ostatni — cel bytu człowieka?

Ojciec Gratry, jak słusznie przypomniał p. Taillandier, umiał połączyć te dwa przeciwne prądy. Nikt pilniéj od niego nie badał rzeczy bożych, ale zarazem nikt goręcéj nie kochał wieku swego, nikt lepiéj nie rozumiał jego wielkości, nie przeczuwał strasznych niebezpieczeństw, nikt nie pojął lepiéj jego tryumfów i klęsk, jego boleści i nadziei.

Rozbierając psychicznie tajemnice duszy Gratrego, dochodzi mówca do źródła téj niesłychanéj prostoty, zadziwiającéj w mężu tak wysoko uczonym. Kiedy Gratry urodził się w roku 1805, matka jego miała ledwie lat siedmnaście. Wpływ téj młodziuchnéj matki, oddziałał widocznie na syna i dał mu tę młodzieńczość, objawiającą się w każdém słowie, w każdym uśmiechu, a która nie opuściła go nigdy, nawet wśród najdotkliwszych cierpień tak fizycznych, jak i moralnych.

Pan Taillandier przebiega życie ojca Gratry: pokazuje nam go, jak dzieckiem zdobywa szkolne wieńce, jak młodzieńcem na szkolnych jeszcze ławach stacza sam z sobą najzaciętsze walki; jak duch negacyi ogarnia jego umysł, jak wiara dziecięcia opuszcza go spłoszona chłodném rozumowaniem! Ale tąż samą bronią, nieprzepartą bronią rozumu, młodzian zdobywa nową potężniejszą wiarę. Czuje to, lecz chciałby tę wia-

rę przepalić w ogniu nowéj próby, jak gdyby lękał się złudzenia. W tym to celu wstępuje do ogniska naukowego racyonalizmu, do szkoły politechnicznéj; przechodzi zaszczytnie wszystkie wydziały nauk, wraca do domu ze stopniem oficera artyleryi. Uszczęśliwiony ojciec wróży synowi najświetniejszą przyszłość. Ale jakież zdziwienie jego, gdy ten syn oświadcza stanowco, że pragnie się poświęcić służbie Bożéj, jako kapłan. Nowa tu walka, walka dobrego syna, przeciwko powadze ojcowskiéj. Wyszedł z niéj zwycięzko młody Gratry, rozpoczął naukę teologii. Pozbawiony wszelkich zasiłków, pracował o chlebie i wodzie.

Po skończonym kursie w akademii Strasburgskiéj, Gratry zamyka się w klasztorze Oratoryanów w Bischenbergu. W roku 1830, kiedy zwinięto zakon, powraca do Strasburga. Przez lat dziesięć uczy młodzież gramatyki, literatury, filozofii, nauk ścisłych; przez drugie lat dziesięć, dyryguje jedném z paryzkich kolegiów. Tymczasem rozczytuje ewangelie, gromadzi artykuły do prac filozoficznych, sposobi się do wykładu teologii w uniwersytecie Sorbońskim, jak niemniéj do owych religijno-filozoficznych konferencyj, któremi tak głęboko umiał poruszać umysły i serca."

Zobaczmy, jak pan Taillandier rozwiązuje tajemnicę tego niesłychanego wpływu na współczesnych, jaki wywierał ojciec Gratry: „W jednym z listów ś. Pawła, jest doktryna określająca słowo. Apostoł wzywa powołanych do nauczania braci, aby się strzegli mówić językyiem nieznanym. I jakiż to ów język? To język innych czasów, innych społeczeństw, wyrażający idee obce dzisiejszym pokoleniom. „Wolałbym — pisze ś. Paweł — wyrzec tylko pięć słów językiem zrozumiałym, niż dziesięć tysięcy mową nieznaną." Ojciec Gratry trzymał się wiernie téj przestrogi. Lubił on wyrazy, które wiek XIX-sty wypisał na sztandarze Francyi. W książce poświęconéj pamięci ukochanego ucznia ks. Perreyve chwali go szczególnie za to, że nie potępiał nigdy szlachetnych uniesień wieku; zwracając potém mowę do duchownych i świeckich, którym dano wygłaszać Boże prawdy, woła z najwyższym zapałem: „Honor, rozum, ojczyzna, odwaga, miłość, wiedza, wolność, postęp; czemu naganiacie te słowa tak wspaniałe? O poeci! o prorocy! o apostołowie! zostawcie im wielkie znaczenie, jakie mają! Nic piękniejszego, nic dźwięczniejszego, nic sprawiedliwszego nad te słowa!"

Baczném okiem śledził ojciec Gratry nowe prądy, wstrząsające dzisiejszém społeczeństwem. Co znaczy—pytał on—ten straszny przewrót? Jestże to życie, jestże to śmierć? Zrodziż się ztąd dla świata nowa era, czy świat utonie w barbarzyńskiéj powodzi? Na te pytania odpowiada wręcz: ten przewrót, jak wszystkie wielkie ruchy w łonie ludzkości, pochodzi z woli Boga! W miarę postępu świata, Bóg żąda rozrostu wolności ludzkiéj, w granicach sprawiedliwości i prawdy. Przewrotność złych krzywi i przeistacza ten prąd Boży: walczmy z przewrotnością, lecz nie wstrzymujmy ruchu.

„Przemyślając nad straszną zagadką czasów dzisiejszych—ciągnie mówca—ojciec Gratry znalazł rozwiązanie jéj w Ewangelii. Chrystus

rzekł: Jeśli będziecie wierni memu słowu, poznacie prawdę, a prawda da wam wolność! Te proste słowa rozjaśniły mu trzy wielkie fazy ludzkości po Chrystusie. W piérwszéj kościół się tworzy, świat starożytny przeistacza: to peryod czynu; nikt tu nie myśli jeszcze o filozofii chrześciaństwa, ani o wolności ludów, koniecznym jéj wypływie. W drugiéj fazie piętnastowiekowéj, nauka przebiega olbrzymie koło od św. Augustyna, do św. Tomasza z Akwinu, do Kopernika, do Kartezyusza, Leibnitza, Newtona, Cuviera, Herschla i następnych: to peryód światła, urzeczywistniający przyrzeczenie mistrza boskiego: *Cognoscetis veritatem.* Świat dzisiaj wchodzi w trzecią fazę. Rodzaj ludzki opatrzony w zasoby wiedzy, świadomy własnych sił, zapragnął wolności. Chrystus rzekł: *Veritas liberabit vos.* Ruch zatém, co popycha świat naprzód, zgodny jest z duchem Ewangelii, ale świat o tém nie wié. W gorączkowéj pogoni za usamowolnieniem zżyma się, szaleje, niecierpliwi się, rzuca w odmęt; pragnie życia, a chwyta doktryny, prowadzące do śmierci. Ztąd ów powtarzający się upadek, jaki widzieli ojcowie nasi i jaki my widzimy; ztąd owo plemię nowe, od wieku niemal zwodzone, podżegane przez sofistów i ateuszów, plemię wyrodzone, dziwne, niewstrzymane żadnym skrupułem, jak zwierz gotowe na wszystko wobec łupu. Ludzie! ludzie godni tego imienia! Wolność, któréj szukacie, istnieje tylko w sprawiedliwości; Ewangelia wskaże wam jéj warunki! Tak ojciec Gratry wykładał prawa historyi w Sorbonie" (*La morale et la loi de l'histoire.* Tome II, p. 182).

Pan Taillandier ukazuje nam wreszcie na kazalnicy tego natchnionego głosiciela praw Bożych. Jakiż to żar przepala jego serce. Głosu niekiedy brak mu w piersi, ale w duszy nie brak nigdy zapału. Uderza wciąż słowem, jakby mieczem. Gdziekolwiek widzi potérane prawa, znieważoną prawdę, spieszy, stawa na straży. Widok cierpień ludzkich porusza go do gruntu; boleje jako filozof, jako chrześcianin! Te ludy, co cierpią, to żywe członki Chrystusa. I przebiega wszystkie obszary ziemi, ukazuje na Wschodzie powtarzające się wciąż mordy rodzin chrześciańskich; w Afryce krwawe hekatomby na grobach dzikich królów, w Ameryce przemoc pastwiącą się nad pięciomilionową ludnością czarnych braci! Przypomina to wszystko, ukazuje inne jeszcze bezprawia i woła z głębi rozdartéj duszy: Czytamy mękę Zbawiciela, a nie rozumiemy jéj; nie widzimy, że On dziś jeszcze krzyżowany. „Gdybym ja był tam z mymi Frankami!—wołał król barbarzyńców. A przecież tu dziś jesteś i ty i Franki twoje!" (Komentarz nad Ewangelią św. Mateusza. Tom I).

Ten, kto tak żywo cierpiał z cierpiącymi w odległych krajach, ileż musiał przeboléć patrząc na niesłychane klęski Francyi! W rok po skończonéj wojnie złożony śmiertelną chorobą, zdaleka od krewnych i przyjaciół, dogorywał w miasteczku szwajcarskiém Montreux. Wśród nocy bezsennych trawiony gorączką, myślał tylko o rozszarpanéj ojczyznie, o grodach w mocy nieprzyjaciela: myślał jakby je oswobodzić. Na krótko przed skonem zawołał nagle: Dziś potrzeba to rozciąć! Co każesz

rozciąć ojcze?—zapytał pobożny uczeń siedzący u wezgłowia, w przekonaniu że chory ma na myśli chirurgiczną operacyą. Rozciąć rzecz, sypnąć złotem, oswobodzić ziemię od Niemców!—odrzecze przerywanym głosem. Uczeń zalał się łzami.

„Tak żył, tak umarł—kończy mówca—ten poeta, ten uczony, ten filozof, ten kapłan, ten ojciec, który zrodził tyle dusz do życia wyższego, ten rolnik, co przywołał tylu robotników do żniwa! Ukazałem w początku białego kamedułę na pochyłości góry, zatopionego w modlitwie, zdziwionego hałaśliwym gwarem dzieci świata. Wobec tego obrazu, pokazałem wam inny, kapłana myśliciela, gorącego zapaśnika w sprawach codziennych. To najpiękniejszy typ, jaki wydał wiek XIX-ty.“

Piękna mowa p. Taillandier wysoko nastroiła umysły obecnych. Odpowiedź pana Nisard zaprawiona solą atycką, przywołała za to nie jeden uśmiech na usta słuchaczów. Już z saméj natury rzeczy wypływa, że nowy akademik mówiąc o uczonym poprzedniku, po którym zajmuje krzesło, chociażby był najdowcipniejszym w świecie, musi trzymać się koniecznie w granicach ścisłéj przyzwoitości: żart z umarłego byłby skandalem i ubliżałby powadze nieśmiertelnych. Przypominamy sobie kiedy przed kilku laty Henri Martin starał się o krzesło po prezydencie Dupin, pytaliśmy go, jak się też wywiąże głosząc pochwałę poprzednika, gdy cała przepaść rozdzielała ich opinię? Uśmiechnął się na to: Wezmę—rzekł—najjaśniejszą stronę i będę snuł mój wątek, resztę zostawię w cieniu. Téj metody trzymają się wszyscy akademicy. Szczęśliwy, kto jak p. Taillandier ma do podniesienia taką osobistość, jak ojciec Gratry! Tu nie potrzeba było pozostawiać nic w cieniu.

Mowa nowego członka zawsze więc nacechowana wysoką powagą. Swobodniéj za to zwykł przemawiać akademik wprowadzający do grona kolegę. Ten ma przed sobą szerokie pole do sypania dowcipnych słówek i korzysta z owego przywileju tém chętniéj, jeśli namotał sobie na wąs jakieś słuszne lub niesłuszne zarzuty przeciwko nowemu przybyszowi. Otóż p. Nisard był właśnie w tym wypadku. Dziecko, jak mówi, łacińskiego pokolenia, dziecko niepoprawne, zachował on ten przesąd, jaki Latyni żywili niegdyś w sercu przeciwko barbarzyńcom. Nie mógł przebaczyć p. Taillandier specyalnego zajmowania się literaturą niemiecką i uroku, jaki w niéj dopatrywał. Ostatnie klęski Francyi zaostrzyły jeszcze te uprzedzenia. Spokojny zwykle starzec wpadł też w niezwykłą sobie werwę i w owe wieńce, które sypał hojną ręką uczonemu germanofilowi, zaplótł więcéj pokrzyw niźli kwiatów. Pan Nisard mścił się na p. Taillandier za krzywdy Sedanu i Strasburga!

Gdzie przemawia namiętność, choćby i z najszlachetniejszych wypływała pobudek, nie szukać tam prawdy. To też i w słowach p. Nisard jest niewątpliwie przesada; trudno jednak zaprzeczyć mu słuszności w pewnym względzie. Wiadomo jak filozofia niemiecka, zwłaszcza w ostatnich czasach poplątała umysły Francuzów. Powódź idei Hegla, Feuerbacha, Straussa poprzedziła we Francyi inną powódź, kierowaną

strategicznym talentem Moltkego i politycznym geniuszem Bismarka: pierwsi przygotowali drugim szeroki i ubity gościniec.

„Co Francya zyskać może—pyta Nisard—na ścisłych związkach intelektualnych z Niemcami? Ucywilizowane ludy zamieniają z pożytkiem wzajemnym towary, płody przemysłu, zdobycze nauki i erudycyi, oręż wojenny, ale nie zamieniają rzeczy ducha bez szkody dla stron obu. Wątpię, aby wprowadzona literatura do jakiegobądź kraju przyczyniła mu twórczych zdolności. W czasach, kiedy Francya brała za wzór Włochów i Hiszpanów (zapewne Merimégo i Gongorę) widzimy wpływy tego naśladownictwa w wadach poetów naszych: zalety czerpali z siebie i z Francyi. Najpiękniejsza epoka literatury francuzkiéj jest ta, kiedy Francya nie naśladowała nikogo."

Nikogo? Oprócz Greków i Rzymian. Sławna plejada Ronsarda nie byłaż dzieckiem odrodzenia? Świetna epoka Ludwika XIV nie byłaż naśladownictwem starożytnych? Zdaje nam się, że p. Nisard sądzi rzeczy ze zbyt wyłącznego stanowiska. Trudno zapewne określić miary, dokąd naśladownictwo jest godziwém, odkąd zaś staje się grzechem przeciw duchowi narodowemu. Sądząc jednak drzewo po owocach widzimy w naszéj np. literaturze, iż Mickiewicz, który zbierał jak pszczoła miód ze wszystkich kwietników, niemniéj jest wielkim mistrzem, samodzielnym twórcą odrodzonéj szkoły poetycznéj, lubo w niejedném ze swych arcydzieł, pokazuje sam, żywcem przyswojone ustępy z Getego, Byrona, Szyllera, Danta i Petrarki! Prawdziwy geniusz korzysta ze wszystkiego, przetapia wszystko we własnym ogniu, przeistacza na własną modłę. Nie zmniejsza to w oczach naszych zasługi Kornela i Rasyna, że pierwszy z nich szedł drogą wytkniętą przez Hiszpanów, że drugi naśladował Sofoklesa; czynimy tylko uwagę, że ci genialni przedstawiciele świetnéj epoki, nie byli tak wolni od obcych wpływów, jak to utrzymuje uczony akademik.

W czém za to zgadzamy się bezwarunkowo z p. Nisard, oto kiedy mówi: „Nie widzę wypadku w dziejach Francyi, aby obca wprowadzona do niéj polityka przyniosła jéj pożytek. Jeżeli bowiem naród jaki musi niekiedy przyjąć od innego instytucye rządowe, nie przyjmie nigdy obcych tradycyi i obyczajów, gdyż te kwitnąć tylko mogą na własnym gruncie. Będzie to gmach sztuczny, bez węgłów i gmach taki rozwali się w gruzy, że śladu po nim nie zostanie".

Pomimo całéj niechęci do Niemców, p. Nisard podnosi dwie ich wielkie zalety. Pochwała jego przetykana kolcami, dotkliwa zarówno dla tych, co są jéj celem, jak i dla tych, którym ukazuje zbawienny przykład.

„O! gdyby można zyskać coś na ślepém naśladownictwie—rzekł mówca z ironią — radziłbym narodowi memu naśladować Niemców w dwóch rzeczach: w uwielbianiu przeszłości i w poszanowaniu znakomitych swych ludzi. Prawda, że obie te cnoty posuwają Niemcy czasami za daleko. Aby powiększyć majestat przeszłości własnéj, odnoszą ją aż do początków świata i na wzór szlachetnych rodzin starożytnych wy-

prowadzają od bogów wielką rodzinę niemiecką. Cześć dla znakomitych ludzi jest u nich bałwochwalstwem. Nie dość że czczą tych, których głos powszechny nazwał wielkimi, ale zbyt często z karłów robią olbrzymów. My postępujemy wprost przeciwnie. Nasza przeszłość zawiniła stając nam kamieniem na drodze postępu. Co zaś do naszych wielkich ludzi, za każdą zmianą polityczną wymazujemy kilku z księgi złotéj; tych zaś olbrzymów, których chwała jest puścizną i zaszczytem ludzkości, sprowadzamy do najmniejszéj miary. Lubię przesadę niemiecką!..... to nadużycie wielkiéj cnoty. A cóż nami kieruje? Miłość prawdy, powiecie może! Mówmy więc prawdę w oczy naszym wielkim, ale mówmy ją z poszanowaniem synów ku ojcom. Miarą wielkości narodu są jego wielcy ludzie; biada więc narodowi, którego literaci gotowi ścinać historyczne głowy wystające nad poziom. Taki naród dąży do zguby, snadno mu bowiem wraz ze świadomością własnych sił, stracić zaszczytne miejsce w świecie."

Od tych ogólnych uwag, którym trudno zaprzeczyć słuszności, p. Nisard zwraca się *ad hominem* do nowego kolegi i szydzi z jego ślepego zaufania. „Od trzech lat—rzecze—wypadki zadały fałsz tym pięknym stronnicom dzieł pańskich, gdzie wysławiasz myśl rozmarzoną, duszę chciwą ideału, prostotę i naiwność naszych sąsiadów zareńskich. Przedłużyłbym zbytecznie mowę moją, gdybym chciał wyliczyć imiona wszystkich autorów, wyprowadzone na widownię w uczonych twoich analizach. Wiele z tych imion nie znalazło jeszcze tego rozgłosu, jakiego Wirgili pragnął dla swojéj Eneidy: nie *złatują same na ludzkie usta;* lękam się ośmieszyć ich złem wymawianiem: wolę przemilczéć. Słyszałem od poważnych sędziów, że pochwały twoje przechodzą słuszną miarę. Taka hojność daje chlubne świadectwo twemu sercu. Kto zresztą nauczył się z mozołem jakiegoś języka i przeczytał w nim książkę, może łatwo zgrzeszyć zbytniém pobłażaniem dla autora. Nie piérwszy to raz i nie ostatni. Uczony kolega nasz Ampère, który nauczył się także języków północnych, odkrył oto jakichś Molierów aż na półwyspie skandynawskim, jak gdyby na wydanie jednego w świecie Moliera, nie potrzeba było tylu połączonych warunków: narodu głośnego od tysiąca lat, wielkiego wieku, powszechnego języka i nieporównanego geniuszu."

Coby rzekł p. Nisard, gdyby mu powiedziano, że oprócz Danii chlubiącéj się Holbergiem, jest inny kraj niemniéj dumny ze swego Moliera; że jak społeczeństwo francuzkie dziś jeszcze zachwyca się Mizantropem i Tartufem, tak inne społeczeństwo zachwycać się będzie za lat dwieście „Ślubami", „Zemstą za mur graniczny," a zwłaszcza „Odludkami i Poetą!"

Wspomniawszy arcydzieła Fredry, musimy tu wypowiedzieć słuszną skargę. Godziż się aby dotąd żaden z naszych ziomków władających francuzkim językiem (a takich przecież znaleźćby wielu), nie napisał obszernego studyum o naszym genialnym poecie? Mamyż prawo żalić się na niewiadomość obcych, kiedy sami ukrywamy nasze światło pod korcem i nie błyskamy niém w oczy cudzoziemcom? Potrzebaż nam

czekać, aż za paręset lat, jakiś francuzki filolog wydobędzie z mroku wieków naszego Moliera, jak Ampère wydobył Holberga z zapomnianéj literatury duńskiéj?

Ale powróćmy do Nisarda. Niechęć ku Niemcom rozciąga on nawet do ich sąsiadów, nie związanych przecież z Niemcami węzłem solidarnym. „Powołałeś pan—rzecze—na widownię historyczną, osobistość zagrzebaną w grubych ciemnościach, przysłaniających krwawe czasy wojen husyckich. Tą osobistością Jerzy Podiebrad król Czechów z XV wieku.“

Trudno zaprawdę przebaczyć uczonemu akademikowi, że tak lekceważy genialnego Podiebrada przypuszczeniem, iż świat zapomniał o nim. Wielkie to imię, nieznane być może filologom, ale historycy francuzcy dobrze je pamiętają. Henri Martin wspomina Podiebrada jako pierwszego inicyatora wielkiéj idei federacyi ludów europejskich, idei podniesionéj w następnym wieku przez Henryka, Sullego i Elżbietę angielską.

Względniéj daleko sądzi Nisard dzieło Taillandiera o Maurycym Saskim, nie ze względu na wyższą wartość historyczną, ale jedynie dlatego, że marszałek saski służył pod chorągwią Francyi, że przyczynił jéj chwały w bitwie pod Fontenoy. Chwali niemniéj rozprawę o Sismondim dlatego, że ten szlachetny Szwajcar porównywając narody europejskie, przyznaje górę Francyi nad innemi i to w czasach wielkiego jéj upokorzenia.

Nastajemy wprawdzie na przesadę w sądach p. Nisard, ale godziż się ją potępić? „Lubię przesadę niemiecką, to nadużycie wielkiéj cnoty!“—wyrzekł on mówiąc o wyłączności Niemców w ocenieniu własnego gniazda. Też same słowa można śmiało zastosować do niego. Rzecz zresztą widoczna, że uczony starzec nie ma nic przeciw osobistości pana Taillandier, że nie obwinia go na seryo o systematyczne propagowanie germanizmu pomiędzy Francuzami. Zarzut ten nie może się tyczyć professora, który wziął sobie jedynie za cel badać literacki ruch w Niemczech i obznajmiać z nim ziomków, nie myśląc bynajmniéj, jak to czynili drudzy, o wszczepianie w pień galski rószczek z drzewa filozofii, wyrosłego na gruncie niemieckim.

Mamy nakoniec wielką nowość literacką oczekiwaną oddawna, zapowiadaną przez wszystkie dzienniki i przeglądy: mówimy o dziele Wiktora Hugo: *Rok dziewięćdziesiąt trzeci.* Kiedy to piszemy, dzieło wielkiego poety francuzkiego rozbiega się w tysiącach wydań po najdalszych krańcach świata, tłumaczone z upoważnienia autora: w Londynie, Medyolanie, Madrycie, Warszawie, Petersburgu, Stockholmie, Pradze, Peszcie, Rotterdamie i Nowym-Yorku. Nie widzimy tylko zapowiedzianego nigdzie przekładu na język niemiecki. Zkąd to zaniedbanie? Czy Niemcy nie ciekawi dzieła Wiktora Hugo? Czy Wiktor Hugo nie po-

zwolił na niemiecki przekład? Dziś to jeszcze dla nas tajemnicą. Nim kronika nasza wyjdzie z druku, zagadka się rozwiąże.

Rok dziewięćdziesiąty trzeci w trzech tomach, jest początkiem obszernéj publikacyi; czytamy na okładkach: *Pierwsza opowieść*, *Wojna domowa*. Po pierwszéj przyjdą zapewne dalsze, nie braknie do nich wątku w dziejach téj olbrzymiéj epoki, nie braknie téż iskry twórczéj w téj olbrzymiéj inteligencyi, na którą brzemię siedmiu dziesiątków lat bynajmniéj dotąd nie oddziałało. Obraz starca na korwecie Claymore naszkicowany piórem poety, zda się być własnym jego wizerunkiem: „Starzec to był wysoki, prosty, barczysty, z obliczem surowém; wieku jego określić niepodobna, młody a zarazem stary. Jeden to z tych ludzi pełnych lat i sił krzepkich, z tych ludzi, co mają włos biały ponad czołem a błyskawicę w oku; czterdzieści lat z postawy, ośmdziesiąt lat z powagi i doświadczenia.“

Do jakiego działu w literaturze zaliczyć Rok dziewięćdziesiąty trzeci? Zadanie dosyć trudne. Poemat-że to, czy historya? Na poemat zbyt wiele znajdujemy tu erudycyi, zbyt wiele drobiazgowych szczegółów; na prostą opowieść historyczną wyobraźnia zbyt wielką odgrywa tu rolę. W każdym razie poezya znakomicie przeważa w całym utworze; zdaje nam się więc, że nazwa epopei prozą przystałaby mu najwłaściwiéj. Są ustępy w których poeta podniósł się do wysokości niemal homerycznéj, ale są niestety inne, którym stronnicze uprzedzenia nadają rzecby można cechę politycznego pamfletu.

To pewna, że tłumacze tego utworu na różne języki, wielkie mają zapory do zwalczenia. Jeżeli poezye wierszem Wiktora Hugo niełatwo dają się przekładać, proza jego łamana, siekana, szarpana, napiętnowana twórczą samodzielnością, stokroć większe nasuwa trudności. Jakże tu pozwalać sobie licencyi, kiedy się ma do czynienia z takim mistrzem? Jak tu znowu być wiernym, kiedy dosłowna wierność uczyniłaby rzecz śmieszną, nieraz może potworną. Francuzkie przysłowie mówi, że szczytność od śmieszności przedziela krok jeden. Jak tu utrzymać się w mierze, jak nie przekroczyć téj subtelnéj granicy i nie zmienić przekładu w parodyą? Jeżeli w czém, to w tłumaczeniu Wiktora Hugo *traduttore* i *tradittore* stoją tuż obok siebie. Język nasz dziwnie giętki i elastyczny sprawia, że tłumacze nasi, zwłaszcza ci z pomiędzy nich, którzy tak doskonale władają ojczystą mową, jak pan Felicyan, tłumacz *Śmiejącego się człowieka*, potrafią sprostać trudnemu zadaniu; zresztą czytelnicy nasi spowinowaceni w duchu z geniuszem francuzkim, snadno odczują go w przekładzie; inaczéj się rzecz ma, gdzie to powinowactwo nie istnieje. Wyobraźmy sobie naprzykład zimnego Holendra, który zechce z właściwym mu racyonalizmem zdać sobie sprawę z każdego słowa poety!.. Kto wié czy obawa zdrady ze strony Niemców nie była jedną z przyczyn, że Wiktor Hugo nie dał im pozwolenia na przekład?

Wątek opowieści bardzo prosty: jestto walka dwóch idei, walka rewolucyi z tradycyą; poeta przedstawia ją w sposób nadzwyczaj obrazowy i dramatyczny. On sam, jak łatwo zgadnąć, trzyma się stronnictwa rewolucyjnego, ale zbyt wielkim jest artystą, aby nie miał szukać

ideału i w przeciwnym sobie obozie. Znalazł go też i zarysował z całą potęgą wyobraźni w osobie starego wodza wandejskiego. O ile jednak Wiktor Hugo podnosi człowieka wiernego tradycyjnéj idei, o tyle poniża samą ideę, która natchnęła tyle szczytnych wysileń, zowiąc ją szaleństwem, przesądem, strupiałością. „Bretania stara to—jak mówi—buntownica: ilekroć powstawała od dwóch tysięcy lat, miała słuszność: ostatnie jéj powstanie było błędem!"

Ktokolwiek patrzy na rzeczy z wyłącznego stanowiska, musi dojść do absurdum. Doszedł doń Wiktor Hugo, czyniąc płaszczyzny i lasy bretońskie odpowiedzialnemi za czyny mieszkańców. Zobaczmy rozumowanie poety: „Wandea upadła, Szwajcarzy wyszli niegdyś zwycięzko. Ta różnica zachodzi między powstańcem z gór, jak Szwajcar, a powstańcem z lasów, jak Wandejczyk, że prawie zawsze w skutek miejscowości pierwszy walczy za ideał, drugi za przesąd. Jeden szybuje na wyżynach, drugi pełza. Jeden pragnie wolności, drugi odosobnienia. Jeden broni wspólnych praw, drugi swéj parafii. Jeden ma przed sobą przepaście, drugi topieliska. Jeden jest dzieckiem potoków i kipiącéj piany, drugi synem zatęchłych bagien rozsiewających zarazę. Jeden ma nad głową czysty błękit, drugi gęste zarośla; jeden stoi na wyżynie, drugi ukryty w cieniu..."

„Góra jest cytadelą, las zasadzką; góra daje odwagę, las uczy podstępu. Starożytność mieściła bogów na wierzchołkach, satyrów w głuszy leśnéj. Dziki satyr, to pół-czlowiek, pół-zwierze. Wolne kraje mają Apeniny, Alpy, Pireneje i Olimp. Parnas jest także górą. Montblanc wspierała Wilhelma Tella. Ponad olbrzymiemi walkami duchów przeciw nocy w poematach indyjskich widzimy Himalaję. Grecya, Hiszpania, Włochy, Helwecya przedstawiają się w postaci gór; Cymmerya, Germania, Bretonia w postaci borów. Las z natury swojéj jest barbarzyński."

Cała ta apoteoza góry z poniżeniem lasu, natchniona z jednéj strony niechęcią do królewskości, z drugiéj nienawiścią do Niemców, nie wytrzyma krytyki. Dawno przestały szumieć lasy hercyńskie, słońce miało czas wysuszyć zatęchłe trzęsawiska, a jeśli barbarzyńskie instynkta przetrwały u plemion germańskich, czyż lasy temu winne? Alboż to zresztą Niemcy nie przyparci plecyma do Alp, równie jak Francuzi i Włosi? A dawnoż to Olymp i Parnas wyzwolony od Turków? Byłyżby wolne bez współudziału sprzymierzonéj Europy? Alboż to sabaudzka Montblanc wspierała Tella w bohaterskich wysiłkach, nie zaś lasy Schwytz, Uri i Unterwaldu? Holandya nie jestże płaszczyzną niższą nad wszelkie płaszczyzny Europy, niższą nawet od powierzchni morza, przeciw któremu walczy tak uporczywie? A jednak nie miałaż swego Tella w Wilhelmie z Danii? Gdzież to nakoniec widzimy najwspanialszego bohatéra poezyi sanskryckiéj, sławnego Ramę, ów prototyp bajecznych pogromców od Herkulesa, co zwalczył hydrę lernejską, do Krakusa, co pokonał smoka na Wawelu, gdzież go widzimy? Nie u podnóża Himalai, raczéj w zapadłym lesie, gdzie przeżył całą młodość.

Podobnych zastrzeżeń moglibyśmy uczynić wiele; poeta tak krańcowy w teoryach, tak namiętnie broniący swoich zasad, jak Wiktor Hugo, musi koniecznie wpadać w ostateczność. Zostawiamy na boku inne zarzuty, a przystępujemy do treści wspaniałego dzieła, w którém siedemdziesięcioletni olbrzym umiał utrzymać się na dawnéj wysokości, a niekiedy prześcignął sam siebie.

Rzecz rozpoczyna się w Wandei, na polance, w głębi ciemnego lasu Saudraie. Oddział *błękitnych* (republikanów) przygotował zasadzkę przeciwko *białym* (królewczykom). Coś zaszumiało w gęstwinie. Sierżant rozkazuje dać ognia. Wiwandierka zatrzymuje go...

— To kobiéta z drobnemi dziećmi! Czyś oszalała matko przychodzić do lasu w taką chwilę?

Kobiéta siedzi jak skamieniała; przyciska do piersi niemowlę, dwoje starszych tuli się do jéj boku. Krew zacierpła jéj w żyłach na widok tych szabli, tych karabinów, tych twarzy marsowatych.

— Nie trwoż się matko!—rzecze sierżant.

Ona zadrżała od stóp do głów. Gęste brwi żołnierza, zjeżony wąs, oczy świecące jak węgle, przeniknęły ją strachem.

— Kto jesteś, matko?

Kobiéta milczy jak głaz. Twarz jéj blada, członki wychudłe. Na głowie ma kaptur bretoński; na ramionach płachtę wełnianą przytwierdzoną szpagatem. Bose jéj nogi ociekają krwią.

— Jak się zowiesz?—zapyta sierżant.

— Michalina Flechard.

— Jakież twoje opinie polityczne?

— Nie wiem.

— Jaka ojczyzna twoja?

— Nie wiem.

— Jakto? nie znasz twojego kraju?

— Mój kraj, to wioska Siscoignard z parafii Aze.

— Jak imię temu maleństwu?—spyta wiwandierka ukazując niemowlę.

— Żorżetka.

— A temu starszemu łotrzykowi?

— Janek.

— A temu pyzatemu?

— Gruby Alan—odrzecze matka.

Wiwandierka poczęła pieścić dziatwę; sierżant Radoub ciągnął daléj indagacyę.

— Powiedz mi kobiéto, masz zapewne dom własny?

— Miałam go...

— I czemuż w nim nie siedzisz?

— Bo mi go spalono.

— Któż taki?

— Albo ja wiem? pogorzał podczas bitwy.

— Do jakiéj należysz partyi, do błękitnéj, czy białéj?

CZYTELNIA LUDOWA W CIESZYNIE.

— Ja należę do dzieci moich.
— A twój mąż... co on robi?
— Nic... bo go zabito.
— Gdzie go zabito?
— W opłotkach.
— Kiedy?
— Przed trzema dniami.
— Gdzież ty idziesz?
— Tam gdzie mnie oczy poniosą.
— Gdzie nocujesz?
— Na goléj ziemi, lub w spróchniałym pniaku.
— Czém się karmisz?
— Niczém.

Sierzant pokręcił wąsa; oko mu zwilgotniało. Wydobył z tornistra kawał suchego chleba, podał matce, ona rozłamała go między dzieci.

Żołnierze w milczeniu otoczyli kołem tę nędzę; myśl ich dziwnie się plątała: wdowa... troje sierot... wojna, głód... jedynym dachem niebo!

Sierzant przystąpił do kobiéty, pochylił głowę nad niemowlęciem; maleńka wypuściła pierś z drobnych ustek, wlepiła błękitne oczy w włochatą, najeżoną i dziką twarz żołnierza; uśmiechnęła się słodko.

— Towarzysze!—zawoła poczciwy Radoub ocierając łzę z powiek, z tego wszystkiego wypada, że batalion będzie ojcem. Czy zgoda? Przyjmujemy te dzieciaki za swoje.

— Niech żyje republika!—zawołali grenadyery.

— Rzekło się... dodał sierzant, i wyciągnął obie ręce po nad głowę matki i sierot.—Oto—rzecze—dzieci batalionu *czapki czerwonéj*.

Wiwandierka podskoczyła z radością i uścisnęła wdowę z płaczem.

— Niech żyje republika!—powtórzyli żołnierze.

Sierzant przystąpił od matki.

— W drogę z nami obywatelko.

W chwili gdy się to dzieje w głębi lasu, mała korweta angielska Claymore odbija od brzegów wyspy Jersey. Dowodzi nią hr. Bois-Berhelot najsłynniejszy oficer dawnéj królewskiéj marynarki. Służba cała francuzka. Baterya armat i półbatalion piechoty stanowi uzbrojenie.

Wsiadł na statek poważny starzec, prosty i krzepki jak dąb; surowych rysów twarzy; z pod roztwartego płaszcza wygląda bretoński kożuch ze skóry koziéj, szamerowany taśmą. Na głowie ma gruby chłopski kapelusz z opuszczonym brzegiem, bez galonu, ani kokardy. Postać to jakaś tajemnicza. Lord gubernator wyspy Jersey odprowadził go do przystani z księciem de la Tour d'Auvergne. Ajent hrabiego d'Artois Gelambre sam przygotował mu kajutę. Gdy statek ruszył: „Szczęść Boże generale"! zawołał lord: „Do widzenia, bracie"! wykrzyknął la Tour d'Auvergne.

Galambre został na wyspie. W godzinę wyprawił do hrabiego d'Artois gońca z pismem: „Odpłynął. Skutek niechybny. Za tydzień wybrzeża całe w ogniu od Grandville do Saint-Malo". Na cztery dni

wprzód tenże sam Gelambre wysłał do komisarza konwencyi w Cherbourgu ostrzeżenie w tych słowach: „Obywatelu! w dniu pierwszym czerwca korweta Claymore złoży na brzegu francuzkim człowieka; posyłam rysopis. Wzrost wysoki, włos siwy, ubiór chłopski, ręce arystokratyczne. Korweta musi być pochwyconą, głowa człowieka musi spaść pod gilotyną.“

Korweta wypłynęła na pełnią. Mrok zapadł, wiatr zerwał się, coraz silniéj wstrząsa okrętem. Starzec nie wychodzi z kajuty. Oficerowie rozmawiają żywo na pomoście. Kto ten starzec? pytają jedni drugich.

Nagle powstaje przeraźliwy okrzyk; kanoniery biegają, jak szaleni. Kapitan załamuje ręce z rozpaczą. Łańcuch pękł; działo wyprzęgło się z bateryi. Poeta maluje straszliwą potęgę ślepéj siły rozprzężonéj z karbów, w które ujęła je wola człowieka.

„Machina staje się potworem; czarna massa toczy się na kołach; z każdém pochyleniem okrętu zmienia kierunek, odskakuje tu i tam, jak kula bilardowa. To, jak strzała, z końca do końca przebiega długi pomost, to znów potrąci o zaporę, wspina się, uderza, ściera na proch, niweczy; to, jak taran, wali a wali w ścianę: taran żelazny, ściana z kruchego drzewa! Materya odzyskała wolność; rzekłbyś, że wiekowy niewolnik mściwie podnosi głowę. Nic straszniejszego nad gniéw bezmyślnéj bryły! To lekka i rącza, jak pantera, to znowu ciężka, jak słoń.

To zahuczy piorunem, to znów milczy, jak słup grobowy. Co tu czynić? jak trafić z nią do końca? Burza ustanie; trąba wietrzna przeleci: naprawisz snadno maszt strzaskany; zatkasz dziurę w okręcie; zgasisz pożar... lecz jak poradzić z tém bydlęciem spiżowém? Ułagodzisz buldoga, zaskoczysz drogę rozhukanemu buhajowi, zakłniesz węża potęgą wzroku, przestraszysz tygrysa, rozczulisz lwa, lecz nie wprowadzisz w ład rozprzężonéj armaty! Nie zabijesz jéj, bo martwa, a jednak żyje! Żyje życiem złowrogiém, wziętém z nieskończoności! Ma pod sobą deskę, co nią miota. Porusza nią okręt, sam poruszany morzem, którém porusza wicher. Morderczy spiż ślepém tylko narzędziem! Statek, fala, pęd wiatru, te nim wyłącznie rządzą, z nich on straszliwe czerpie życie! Jak wstrzymać te zabójcze pociski? Jak uchronić okręt od rozbicia? Jak zaskoczyć drogę potworowi? Okropna armata bieży na przód i znów cofa się wstecz; przechyla, to w prawo, to w lewo, druzgocze co napotka, zgniata ludzi, jak muchy?

Trupy pięciu kanonierów tarzają się we krwi. Żywi uskoczyli w bok, stoją przerażeni, jakby stopy wrosły im w ziemię. Armata panuje sama na statku, toczy się istny wóz Apokalipsy! Deski okrętu pękają z trzaskiem, woda wnika przez szpary.

Wtém, z pomiędzy tłumu, wystąpił człowiek: starzec w bretońskim kożuchu. Stoi u stóp drabiny, niby posąg z kamienia. Spojrzy w okół ponurym wzrokiem. Statek nie wytrwa dłużéj, jeszcze chwila... rozbicie niechybne. Nagle przez ciżbę, inny człowiek przedziera się

na pomost. W ręku trzyma sztabę żelazną. To kanonier, którego niedbalstwo spowodowało katastrofę; on sprawcą złego, on pragnie je naprawić.

I powstaje tytaniczna walka, walka działa z kanonierem, materyi z inteligencyą, człowieka z martwą bryłą.

Człowiek stoi murem ani drgnie, wytężył muszkuły. Nogi jego, to dwa słupy żelazne... ściska oburącz ciężki drąg i linę okrętową. Blady, niemy, straszliwy, jakby zrosły z pomostem; stoi, czeka, czeka rychło armata potoczy się ku niemu.

Kanonier zna swoją armatę i ona znaćby go powinna. Zżył się z nią od lat kilku. Ileżto razy włożył jéj rękę w gardziel. To zwierz ugłaskany... jął przemawiać do niéj, jak do psa:

— Chodź tu!—rzecze. On ją kochał, pragnął, aby przyszła. Niechby przyszła... już po nim! Zgniotłaby go na miazgę. Jak uniknąć niechybnéj śmierci?

Wszyscy patrzą ze zgrozą. Tchu brakło w piersiach... we wszystkich, oprócz jednéj! Prócz piersi starca, odzianego w bretoński kożuch. On postąpił naprzód, wlepił wzrok w zapaśników.

— Chodź tu!—powtórzył kanonier.

Armata stanęła chwilę i poskoczyła naprzód.

Rozpoczyna się walka straszna, niesłychana, człowieka z poczwarą spiżową. Z jednéj strony siła, z drugiéj duch.

Rzekłbyś, że i armata ma duszę, duszę pełną wściekłéj nienawiści. To jak olbrzymia szarańcza poderwie się w górę, to spadnie na cztery koła, jak tygrys na pazury i pędzi za człowiekiem. On zwinnny, lekki, wyśliźnie się, jak żmija, uniknie pocisku. Lecz pocisk za pociskiem wali w okręt, rozbija go na kęsy.

Człowiek walczy, działa nawet zaczepnie. Z drągiem i liną w garści, pomyka chyłkiem za armatą. Potwór przystanął, jakby sam rzekł do siebie: „Potrzeba raz już skończyć.“ I cofnie się, i potoczy tylcem na człowieka. Okrzyk wybiegł ze wszystkich piersi.

Starzec dotąd nieruchomy, zrywa się z miejsca. Chwyta wielki zwój fałszywych asygnatów, rzuca między koła armaty. Rzut był trafny... armata drży... kanonier zanurza drąg między sprychy tylnego koła. Z ostatniém wysileniem, podważa koło sztabą. Zwalczony potwór runął na ziemie, jęknął, jak dzwon rozbity.

Walka skończona. Człowiek zwyciężył. Mrówka pokonała mastadonta! Majtkowie i żołnierze grzmotem oklasków powitali zwycięzcę.

Kanonier schylił głowę przed starcem.—Panie!—rzecze—tyś mi życie ocalił, dzięki!—Starzec nie odrzekł słowa.

Człowiek zapanował nad spiżem, za późno niestety! Korweta silnie uszkodzona, woda wpływa przez szczerby; lada burza, już po niéj.

Majtkowie krzątają się żwawo. Starzec stoi przyparty plecyma do masztu. Kapitan przystępuje doń... za kapitanem idzie kanonier.

Włos ma rozczochrany, kaftan podarty w szmaty. Pot kroplisty ścieka mu po czole.

— Generale!—rzecze kapitan z wojskowym pokłonem. Oto zwycięzca!

Kanonier stoi... oczy spuścił... milczy i czeka.

— Zbliż się—wyrzecze starzec. Kanonier postąpił parę kroków.

Starzec odpiął z piersi kapitana krzyż Św. Ludwika i przypiął do piersi zwycięzcy.

— Hura!—wykrzyknęli majtkowie; żołnierze zaszczęknęli w broń.

— A teraz—dodał starzec, wskazując palcem—rozstrzelać mi tego człowieka!

Wszyscy osłupieli; starzec zawołał na głos:

— Niedbalstwo jego naraziło nasz okręt, kto wie, zgubiło może. Wróg otacza nas wkoło. Nagroda za odwagę, za niedbalstwo śmierć!

Pluton żołnierzy uprowadza delikwenta. Ksiądz z krzyżem idzie obok niego. Dwóch majtków niesie całun. Oddział staje w dwa rzędy koło rudla. Cisza na statku; uragan tylko huczy z daleka przeraźliwie.

Kilka chwil potém, coś błysło. Grzmot strzałów rozległ się w przestrzeni. Fala zapluskostała.

Starzec przyparty plecyma do masztu, stał nieruchomy, jak głaz.

Kapitan szepnie z cicha do towarzyszy:

— Wandea znalazła człowieka!"

Przytoczyliśmy ten ustęp, aby dać słabe wyobrażenie potęgi dramatycznéj, z jaką poeta ognistym gradem słów i obrazów uderza w natężoną myśl czytelnika. Cała epopea traktowana w ten sposób.

Korweta Claymore musi zginąć. Ludzka moc ocalić jéj nie zdoła. Z jednéj strony bije w nią szalony uragan, z drugiéj ściska ją w palące kleszcze siedm fregat najeżonych trzystu działami. Korweta Claymore zginąć musi. Bohatérska załoga musi poledz, człowiek tylko jeden musi być ocalony. Wandea musi miéć wodza!

W chwili ostatniéj, kapitan zwołuje majtków i żołnierzy:

— Człowiek ten—rzecze, ukazując starca—potrzebny dla Francyi. Mieliśmy złożyć go bezpiecznie na brzegu. Wytrwać nam dłużéj niepodobna! zginmy, lecz on niech ocaleje!

— Tak!—przywtórzy chórem załoga.

— Niech doświadczony majtek odczepi łódkę, niech pochwyci za wiosła. Nie traćmy chwili. Kto z was odpowié na wezwanie?

— Jam gotów!—odrzecze głos i majtek jeden wystąpił z pośród tłumu.

Łódka pomyka żartko po fali. Wśród cieniu rysują się w niéj dwie postacie. Morze ucichło, uragan zwinął chwilowo skrzydła. Nagle rozległ się okrzyk. Głos kapitana grzmi przez tubę spiżową.

— Marynarze królewscy! zatknąć białą flagę na wielkim maszcie, wnet ujrzym ostatni wschód słońca!

Huk działa wybiegł z korwety. „Niech żyje król!"—woła załoga.

Opodal z głębi widnokręgu, rozległ się inny okrzyk groźny, głuchy, przeciągły: „Niech żyje rzeczpospolita!"

I odpowiedział mu straszny grzmot, jakby trzysta piorunów zaryczało w bezdennéj otchłani oceanu.

Błyski ognia, tumany dymu, pokryły całą przestrzeń. Widnokrąg płonie łuną krwawą; rzekłbyś wulkan wybuchnął z głębi morza. Wicher miota olbrzymią purpurą; na jéj tle przesuwają się statki i nikną, niby widma. Po przedzie stoi czarny szkielet korwety; z wielkiego masztu wieje biała chorągiew.

Łódka tymczasem pomyka coraz daléj. Działa umilkły; łuna zgasła: ranny brzask rozpostarł się po niebie.

Nagle majtek odwraca głowę. Człowiek to trzydziestoletni, mocno ogorzały, z wzrokiem przenikliwym, wlepił oczy w twarz starca.

— Czego chcesz?—zapyta nieznajomy.

— Chcę cię zabić!

— Kto ty jesteś człowieku?

— Nazywam się Halmalo. Jam brat kanoniera, co poległ na twój rozkaz.—To mówiąc, wydobył z za pasa pistolet.

— Zabij mnie—rzecze zimno starzec, podnosząc głowę. Młody jesteś, jam stary, obronić się nie zdołam. W mocy twéj zamordować mnie, a ze mną zamordować przyszłość Francyi. W téj strasznéj walce wiernych, przeciwko piekłu, twój brat pierwszym był sługą szatana; ty kończysz jego dzieło. Tyś poplecznikiem królobójców, podporą bezbożników przeciwko Bogu! Kiedy braknie ramienia mego, Brytania zaryknie krwawym płaczem; włości wasze pójdą w perzynę; Chrystus strącon z ołtarzy nową przetrwa mękę krzyżową. Zabij mnie, jeśli możesz!

Starzec wymawiał te słowa głosem silniejszym nad poryk fali. Promień słońca upadł mu na oblicze. Majtek zbladł; usta mu oniemiały; drżący jak liść, całował różaniec. Nagle, jakby na poszept wewnętrznego głosu, odrzuca pistolet, upada na kolana.

— Przebacz mi panie—zawoła—brat mój był winien; ja zgładzę jego zbrodnię. Rozkaż, co mam czynić, przysięgam posłuszeństwo!

— Przebaczam ci—rzecze spokojnie starzec.

Łódź przybiła do lądu. Dwaj podróżni rozeszli się w dwie strony. Halmalo bieży w lasy zwołać kraj do powstania. Starzec idzie pomału, spostrzega krzyż, czyta przybity na nim napis:

„W imię rzeczypospolitéj francuzkiéj, jednéj i nierozdzielnéj. Dawny margrabia Lantenac, mieniący się księciem Bretanii, który wylądował na brzegu Grandville, wyjętym jest z pod prawa. Ktokolwiek dostawi głowę jego, otrzyma 60,000 liwrów złotem. Batalion wojska wysłany przeciw niemu; gminy mają dać wojsku pomoc. Podpisano: Prieur de la Marne, komisarz Konwencyi. Poniżéj naczelnik oddziału, Gauvain."

— Gauvain!—zawołał starzec, jakby rażony gromem.—Gauvain! —powtórzył ciszéj i odszedł głęboko zamyślony.

Wieść błyskawicą rozbiegła się po Wandei. Zaczém starzec stawił stopę na lądzie, Bretony, posłyszawszy, że mają wodza, rzucili się do lasów uzbrojeni w karabiny, kosy, drągi i kłonice. Z Cherbourga nadciągnął spiesznie oddział republikanów: do niego to należał ów sierżant Radoub, który przyjął troje sierotek za dzieci batalionu.

Lantenac, był nim podróżny starzec, spotyka wieczorem żebraka. Stary Tellmarch poznaje go, prowadzi do szałasu, dzieli z nim łoże i garść kasztanów. Ostrzega, jakich dróg ma unikać, która wioska sprzyja republikanom. Nie wiele było takich: do małéj ich liczby, należy wieś Herbe en paille. Tam rozkwaterowali się błękitni.

Nazajutrz o świcie, starzec powstaje z barłogu. Puszcza się prosto ku wsi, kędy powiewa trójkolorowy sztandar. Poranek cichy; słońce odbija cudnie w kroplach rosy na gałązkach drzew i na łące. Starzec staje na wzgórzu, wlepia oczy w chaty rozrzucone po dolinie. Nagle spostrzega czarny słup dymu i wstęgi płomieni, wybiegające w górę. Słyszy huk strzałów, podźwięk trąb i zmięszany gwar bitwy. Krew zakipiała mu w żyłach, serce mało mu z piersi nie wyskoczy.

Strzały umilkły. Tłum przebiega tu i tam, istne pszczół rojowisko. Nawałem pędzi w zarośla. Trąby i bębny grzmią na pogoń. Kto zwycięży? Kto ucieka? nie dopatrzysz za kłębem kurzawy.

Tłumy zaległy cały parów. Garną się do stóp wzgórza, coraz bliżéj i bliżéj. Szable i bagnety połyskują na słońcu. Starzec stoi, jak skamieniały; trójkolorowy sztandar błysnął mu opodal z poza drzew.

„Lantenac! Lantenac!“ woła tysiące głosów. „Lantenac!“ powtarza echo w lesie.

Starzec stoi na wzgórzu: widzi tysiące ócz skierowanych ku sobie. Odkrywa głowę. Z krzaku tarniny odczepia suchy kolec. Dobywa z zanadrza białą kokardę, przytwierdza ją do kapelusza.

— Jam ten, którego szukacie! — zawoła silnym głosem.—Jam Lantenac, książe bretoński, naczelny wódz armii królewskiéj. Uderzcie tu!

I oburącz rozrywa kożuch, ukazuje pierś nagą.

Tłum upadł na kolana.

— Niech żyje Lantenac! niech żyje wódz nasz!—woła tysiące głosów. Szable furkoczą, chmara brunatnych czapek leci w powietrze, każda zdobna białą kokardą.

Młody Breton przedziera się przez tłumy. Ubiór jego wieśniaczy, ale ręce białe, bielizna cienka, szabla z złocistą głownią, zawieszona na szarfie białéj.

— Panie—zawoła, zginając kolano—szukamy cię i znajdujemy wreszcie! Jam dowodził tym ludem... oto szpada... czekamy na rozkazy.

Dał znak; oddział wystąpił z gęstwiny, przybliża się do starca, u stóp jego składa trójkolorowy sztandar.

— Przed chwilą—rzecze młodzian—wydarliśmy go błękitnym.

Starzec przepasał szarfę, wydobył szpadę z pochwy, ostrze połysnęło na słońcu.

— Wstańcie—zawoła—niech żyje król!

— Niech żyje król! niech żyje Lantenac!—rozległ się grzmiący okrzyk.

Przyprowadzono białego konia: dosiadł go rzeźko starzec.

— Ile was jest?—zapytał.

— Siedm tysięcy, generale: jutro będzie nas drugie tyle.

— Pobiliście błękitnych w Herbe en paille?

— Zeszliśmy ich z nienacka przed świtem; przyjęci gościnnie przez wieśniaków spali twardo, nie spodziewając się tak rychłego napadu.

— Czy wieś spalona?

— Parę chat pogorzało.

— Spalić całą, niech śladu z niéj nie będzie! Jakiż to oddział tych błękitnych?

— Grenadyery z Santerre.

Lantenac zbladł. Z Santerre!—powtórzył głucho. Oni to bili w bęben, kiedy spadała głowa króla.

— Co uczynić z rannemi?—spyta młodzian.

— Podobijać!—odpowie starzec.

— A z jeńcami? Jest ich ośmdziesięciu.

— Rozstrzelać wszystkich!

— Są tam i dwie kobiety.

— Rozstrzelać także, nie wyłączać nikogo!

— Jest też i troje dzieci.

— Zabrać je! zobaczymy potém.—Stary wódz spiął konia ostrogą i zniknął w ciemnym lesie.

Bretony spełnili rozkaz wodza; spalili wieś, wymordowali jeńców i rannych; uprowadzili dziatwę. W liczbie ofiar były dwie kobiety: wiwandierka i biedna wdowa.

Stary żebrak przyglądał się z daleka krwawéj scenie. Kiedy mrok zapadł, przystąpił z cicha do stosu trupów; na twarzy matki dostrzegł słabą iskierkę życia, położył rękę na jéj sercu i uczuł lekkie drganie. Wywlókł omdlałą, zaniósł ją do szałasu ukrytego w zaroślach.

Poeta wprowadza nas do stolicy; w kilku rzutach pióra, kreśli obraz ulic paryzkich; maluje wielką salę królewskiego niegdyś pałacu, przemienioną w krwawy trybunał rewolucyjny. Tu panują trzy przerażające widma: Minosa, Eoka, Rhadamanta, uosobione w Dantonie, Maracie, Robespierze. Żadnego z tych trzech jednak, nie czyni Hugo żywém wcieleniem rewolucyi. Typ jéj uwydatnił w straszniejszéj nad wszystkie postacie Cimourdaina.

Cimourdain, to fikcya, stworzona wyobraźnią poety. Postać tytaniczna, nieprzebłagana, jak przeznaczenie, tchnąca nienawiścią, jak piekło. Cimourdain, to skupiona w jednostce ludzkiéj summa pojęć

filozoficznych XVIII-go wieku, summa namiętności, wstrząsających ówczesném społeczeństwem. To kapłan, który się wyrzekł Boga, to filozof, który umiłował ludzkość w abstrakcyi, a pogardził człowiekiem. To uosobiony antagonizm idei chrześciańskiej.

W témto artystyczném wyrzeźbieniu postaci Cimourdaina, tojest geniuszu wielkiéj rewolucyi, Hugo pokazał się największym z dzisiejszych poetów. A to dlaczego? Bo jego geniusz wyswobodził się, wyrwał z więzów politycznych i socyalnych teoryi, a odzyskał wolność zupełną.

Cimourdain—mówi Hugo—wyglądał, jak najpospolitszy człowiek; nosił odzież zaniedbaną, ubogą. Włos siwy, krótki, gdzieniegdzie pokrywał mu łysinę. Czoło miał szerokie, porysowane w bruzdy; mówił prędko, gwałtownie, tonem stanowczym. Do ust jego przyrosła gorycz; oko głęboko zapadłe, połyskało żarem; w rysach twarzy malowało się pogardliwe jakieś oburzenie.

W skamieniałém sercu téj mumii, drgała przecież ostatnia iskierka ludzkich uczuć. Za młodu był Cimourdain nauczycielem w domu wielkiego magnata. Pokochał wychowanka swego. Pokochać dziecię, to tak łatwo, mówi poeta; przebaczysz mu, choć się urodził panem, księciem albo królem. Niewinność dziecięca gładzi wszystko, zaciera winy rodu. On taki maleńki, cóż on winien, że się urodził wielkim? Stary murzyn przepada za białym malcem. Tak i Cimourdain pokochał gorąco wychowanka. Niewinne dziecko stało się jedyną pastwą dla tego serca skazanego na wiekuistą samotność. Kochał go miłością wszechstronną, jak ojciec, jak brat, jak przyjaciel, jak mistrz. Chłopiec był jego synem nie z krwi i kości, ale z ducha. Mistrz podziwiał w nim własne arcydzieło. Tego panicza on uczynił człowiekiem, kto wie, może wielkim człowiekiem! W żyły jego wszczepił swoje pojęcia, długą zdobyte pracą; swoje przekonania, swój ideał; w mózg arystokraty, zaszczepił duszę ludu. Jak mamka mlekiem, on wykarmił go myślą własną. Takie to duchowe ojcowstwo łączyło Cimourdaina z wychowankiem.

Chłopiec był siérotą, bez ojca i bez matki; miał tylko starą, niewidomą babkę i stryjecznego dziada. Babka umarła, dziad wielki pan, generał wojsk królewskich, przebywał przy armii lub w Wersalu. Cimourdain sam czuwał nad dzieckiem w murach starego zamku bretońskiego; uczył go, niańczył, pielęgnował w chorobie. Kochamy tych, którzy nam wiele winni: Cimourdain kochał wychowanka!

Dziecko wyrosło, nauczyciel nie był potrzebny. Zapłacono mu złotem, ale wydalono go z domu. Wszelkie stosunki zerwały się między niemi. Młody panicz pośpieszył do obozu, mistrz stracił go z oczu na długo.

Przyszła rewolucya. Sprawy publiczne pochłonęły Cimourdaina, nie tyle jednak, aby miał przepomnieć o wychowanku.

Dnia jednego, na wezwanie najwyższéj władzy, Cimour dain staje przed Konwencyą.

— Obywatelu—rzecze Robespierre—mianujemy cię komisarzem przy oddziale młodego szefa batalionu. Należy on do armii nadreńskiéj, posłaliśmy go do Wandei. Od dwóch tygodni, młodzian trzyma w szachu starego Lantenaca. Chytry to lis, potrzeba koniecznie przepędzić go za morze.

— Powierzamy twéj straży—dodał Marat—młode, szlacheckie pisklę. Dzielne to w boju, ale miękkie z saméj natury swojéj; gotowe zawsze do pobłażania, do litości.

— Jeśli powierzony mi dowódzca, postawi krok fałszywy, śmierć mu!—rzecze Cimourdain.

— Obywatelu—przerwie Robespierre—dowódzca, nad którym dajem ci moc wszechwładną, nazywa się Gauvain!

Cimourdain zbladł.—Gauvain—szepnął stłumionym głosem.

— Czy przyjmujesz missyą obywatelu?—spytał Danton.

— Przyjmuję — odrzecze Cimourdain. Drżał jak liść; trupia bladość pokryła mu oblicze.

Robespierre pochwycił pióro, nakreślił słów kilka na karcie. Podpisał ją Marat i Danton!

— Obywatelu, oto pełnomocnictwo—rzecze Robespierre. Masz prawo mianować Gauvaina generałem, masz prawo ściąć mu głowę. Pospieszaj do Wandei.

Cimourdain wziął pismo; nazajutrz ruszył w drogę.

Imię Lantenaca przeraziło konwencyą; ledwie że wylądował, a już imię to przebiegało piorunem po Wandei. Otucha wstąpiła w serca Bretanów. Kto żyw chwytał za oręż. Rozpierzchłe oddziały kupiły się wkoło doświadczonego wodza.

Błękitni pierzchali w popłochu przed białą chorągwią starego royalisty ze szkoły Fryderyka II. Jeden tylko dotrzymywał mu dzielnie. Był nim Gauvain, stryjeczny jego wnuk, wychowanek, spadkobierca imienia i majątku.

— Oszalał... jemuż to być jakobinem?—powtarzał gniewnie starzec. Ha, niech mi tylko wpadnie w garść, zabiję jak psa, bez pardonu!

W pierwszéj połowie dramatu Lantenac sam panuje na scenie; w drugiéj połowie występuje obok niego inny, sympatyczniejszy jeszcze bohatér... Gauvain....

„Rewolucya—mówi Hugo—obok młodych, tytanicznych postaci, jak Danton, Saint Juste, Robespierre miała postacie idealne jak Hoche i Marceau. Gauvain należał do ich liczby.“

„Gavauin miał lat trzydzieści, barki Herkulesa, wzrok natchniony proroka, uśmiech niewinnéj dzieciny. Nie palił tytuniu, nie pił wina, nie klął. Staranny o siebie troskliwie pielęgnował długie pukle ciemnych połyskujących włosów. Na każdym spoczynku otrząsał z kurzawy swój płaszcz poprzestrzelany wkoło. Zwykle łagodny głos jego przybierał w potrzebie ton rozkazodawczy. Sypiał na gołéj ziemi obwinięty w płaszcz, z głową wspartą o kamień; niczém mu słota, niczém śnieg i wicher północny. Dusza to była niewinna i bohatérska razem.

W Dole nastąpiło krwawe starcie. Gauvain z garstką wyćwiczonego żołnierza wyparł z miasta sześćkroć liczniejszy zastęp Wandejczyków. Lantenac zagwoździł opuszczone działa; schodząc z pola ostatni, powtarzał sam do siebie: „Trudno wytrwać dłużéj z tém chłopstwem, potrzebni nam Anglicy!“

Gauvain zajął zwycięzko miasto. Mrok padł, zapalono łuczywo i kagańce.

Jeden tylko Wandejczyk stoi zbrojny jakby na czatach.

— Poddaj się!—zawoła Gauvain.

Breton ciężko był ranny; zbiera ostatek sił. „Niech żyje król!“— wykrzyknie i rzuca się na wroga. Chwila jeszcze, a Gauvain padłby trupem. Ale konny jakiś człowiek dopada lotem strzały. Kula wymierzona w pierś Gauvaina utkwiła w koniu; ostrze szpady rozpłatało twarz jeźdźca. Runął koń ubity na miejscu; padł jeździec zalany krwią, omdlały.

— Kto to jest?—pyta Gauvain. Patrzy, lecz poznać go nie może. Z szerokiéj rany krew toczy się strumieniem; włos siwy, rzadki gdzieniegdzie pokrywa łysinę.

Ranny ma na sobie wielki płaszcz, trójkolorową szarfę, szpadę i parę pistoletów. Wzięto go na nosze, rozebrano. Gauvain przegląda papiery.

— Cimourdain!—zawoła z uniesieniem.—Tyż to ocaliłeś mi życie?

Cimourdain otworzył oczy. Błyskawica radości przemknęła po krwawém obliczu.

— Mistrz mój!—rzecze Gauvain padając na kolana.

— Twój ojciec!—odszepnie Cimourdain.

Mistrz i wychowanek walczą obaj w imię jednychże zasad, ale przepaść rozdziela ich w duchu. W rozmowie ich poeta uwydatnił różnicę tych dwóch typów, z których jeden skrystalizował się w wielkiéj rewolucyi, drugi pozostał mytem, słowem nie wcieloném w czyn, ideałem czekającym urzeczywistnienia.

— Jeżeli ujmiesz Lantenaca, czy puścisz go w pokoju?—spytał Cimourdain.

— Nigdy!

— A to czemu? Wszak przebaczyłeś trzystu chłopom.

— To bezmyślna gawiedź; Lantenac wié co czyni.

— Ależ Lantenac twój krewny?

— Francya bliższą mi jeszcze krewną.

— Lantenac starzec!

— Lantenac niéma wieku; Lantenac obcy; Lantenac przywołuje Anglików, sprowadza najazd! Lantenac wrogiem ojczyzny! Walka między nami skończy się tylko jego śmiercią lub moją.

— Gauvain, zapamiętaj te słowa!

— Nigdy ich nie przepomnę.

Nastąpiła chwila milczenia, obaj spojrzeli sobie w oczy. Gauvain piérwszy przemówił:

— Straszna to będzie data, ów rok dziewięćdziesiąty trzeci, w którym dzisiaj żyjemy!

— Straszną—odrzecze Cimourdain—mamy dziś powinność do spełnienia. Co ten rok winien? nie oskarżaj go! Potrzebaż obwiniać lekarza o chorobę? Okrutny ten rok nie zna litości, to główną jego cechą. Czemu? bo to rok wielkiego przewrotu. Rewolucya ma zaciętego wroga, świat stary, kraje go też bez litości, jak chirurg bez litości kraje gangrenę, by ocalić organizm. Z téj operacyi wyjdzie świat odrodzony. Cierpi, to prawda, lecz to nie potrwa długo... chwilę amputacyi: nic więcéj. Rewolucya amputuje świat, ztąd straszny krwotok dziewięćdziesiąt trzeciego roku.

— Chirurg spokojnym jest—rzecze Gauvain—a ludzie, których widzę tak gwałtowni!

— Rewolucya—odpowié Cimourdain—potrzebuje dzikich robotników; odpycha rękę drżącą, wierzy tylko nieprzebłaganym. Danton to wcielona groza, Robespierre to uosobiona nieugiętość, Marat okrucieństwo. Strzeż się Gauvainie. Imiona to konieczne, one więcéj znaczą niż armie: one zdruzgocą Europę.

— A może i przyszłość—przerwie Gauvain. Zresztą—dodał po chwili—ja tu nikogo nie oskarżam; nikt nie winien i wszyscy winni. Ludwik XVI to jagnię rzucone między lwy. Chciałby uciec, radby się bronił, gdyby mógł. Ale być lwem nie dano każdemu. Jagnię pokazało zęby w gniéwie: zdrajca!—wołają lwy i zszarpały jagnię i szamoczą się między sobą.

— Jagnię, to biédne zwierzę!

— A lwy, czyż nie zwierzęta?

Cimourdain zamyślił się, po chwili podniósł głowę.

— Te lwy—rzecze—to sumienie, to idee. Te lwy to zasady!

— One sprawcami teroryzmu!

— Rewolucya usprawiedliwi kiedyś teroryzm.

— Raczéj teroryzm zohydzi rewolucyą.

— Wolność, równość, braterstwo—dodał po chwili Gauvain—to dogmata pokoju i harmonii. Czemu nadawać im postać groźną? Czegoż pragniemy? Oto sprządz ludy węzłem powszechnéj rzeczypospolitéj. Nie straszmy ich napróżno! Słodkim ideom, źle służą ludzie nielitościwi! Przebaczenie, to dla mnie najcudniejsze słowo w ludzkiéj mowie. Jeśli nie mam prawa przebaczyć, wartoż mi być zwycięzcą? Bądźmy w bitwie wrogami naszych wrogów, po tryumfie bądźmy ich braćmi.

— Strzeż się!—powtórzył Cimourdain po raz trzeci. Gauvainie, jesteś mi więcéj niż synem, strzeż się! w takich czasach płaszczem litości kryje się czasem zdrada.

Słuchając tych dwóch ludzi, rzekłbyś że szpada rozprawia z toporem.

Rana Cimourdaina zagoiła się wkrótce, została tylko po niéj wielka szrama. Zagoiła się niemniéj przestrzelona pierś Michaliny Fléchard, ale serce osieroconéj matki zagoić się nie mogło. W miarę jak siły

wracają, dusza jéj tém bardziéj udręczona, pragnie puścić się w drogę, w pogoń za dziatwą choćby na koniec świata.

— Tak nie może być dłużéj!—rzecze do starego żebraka. Po coś mnie uzdrowił ojcze? Lepiéj było mi umrzéć. Patrzałabym na dzieteczki, wiedziałabym gdzie są; byłabym przy nich niewidzialna. Umarła, może się opiekować.

— Ufajże Bogu matko!

— Gdybym ja wiedzieć mogła, gdzie Bóg pomieścił te dzieciny! Czemuż ich tu niéma? bez nich, co po mnie na świecie? Nic tego wszystkiego nie rozumiem. Zabili mi męża, rozstrzelali mnie: doprawdy nie rozumiem.

Myśl skierowana w jeden przedmiot doprowadza czasem do szału, czasem do bohatérstwa. Stary Tellmarch w milczeniu patrzy na nią. Przyniósł jéj nici, igły; ona szyje, naprawia szmaty i rozmyśla pochylona nad płótnem. Oko jéj szkliste, bez połysku. Niekiedy szyjąc zanuci piosenkę. Szepce coś, pewnie imiona dzieci. To znów słucha szczebiotu ptasząt, jakby czekała wieści od nich. Patrzy na niebo, czy pogodne? Uszyła worek, napchała kasztanami: jednego poranku Tellmarch spostrzegł ją wychodzącą.

— Gdzie idziesz, matko?

— Do nich.... może gdzie znajdę niebożęta.

Skinął głową, nie chciał jéj zatrzymywać.

Biédna matka idzie naprzód, zawsze naprzód; brak jéj sił: podpiera się kijem. Czém żyje? nie wiadomo! Idzie we dnie i w nocy, to użebrze kęs chleba, to uszczknie jakiś listek trawy. Sypia w krzakach pod gołém niebem, czasem na deszczu i wietrze. Przebiega wsie i zagrody, pyta przechodniów: „nie widział kto z was trojga dziatek?“ Nie jeden poruszy ramionami i przejdzie obojętnie: to waryatka pomyśli w duchu. Suknia jéj rozleciała się w szmaty, obuwie spadło, bose nogi pociekają krwią. Tu i tam zatrzyma się w progu, zakołacze we drzwi nie śmiało. Niekiedy otworzą jéj, nakarmią, czasem wyszczują psami. Biédna zapłacze i pośpiesza wciąż naprzód. Wybiera ścieżki zdeptane ludzką stopą. Niekiedy spotka zbrojny oddział, często kula świśnie jéj po nad uchem. Ona nie zważa na to, jedna myśl pochłania ją całą.

Dnia jednego spotkała chłopka w lesie.

— Ojcze—zapyta—nie widzieliście trojga dzieci?

— Trojga dzieci?—mówicie matko.

— Tak dwoje chłopiąt i dzieweczka, ledwie co odsadzona od piersi.

— Słyszałem ja, że pan jakiś zabrał po bitwie i uprowadził dziatwę.

— Kto ten pan? Gdzie one są?—zawoła matka.

— Idźcie do Tourgue.

— Gdzie to? dalekoż to ztąd, ojcze?

— Jużci że nie blizko, to nie... ale prościuchno, jakby strzelił, tam gdzie słonko zapada.

I wyciągnął rękę ku zachodowi. Ostrożnie matko—dodał—tam się biją.

Jeszcze chłopek nie spuścił ręki, już kobiéta poszła nie rzekłszy słowa.

W Tourgue (Tour Gauvain) odbywa się ostatni akt dramatu. Feodalny ten zamek z wieżą, otoczony rowem, to rodzinne gniazdo, to kołyska wszystkich Gauvainów, to skarbnica ich domowych tradycyi. Tu urodził się i wychował Lantenac, ztąd pośpieszył do obozu służyć królowi i Francyi. Tu urodził się i wychował młody Gauvain, ztąd pośpieszył do obozu służyć rzeczypospolitéj francuzkiéj. Po długich latach niewidzenia spotkali się tu oba przy wspólném gnieździe, spotkali jako śmiertelne wrogi. Stary wódz Bretonów naciśnięty przez chmary błękitnych, zamknął się w odwiecznéj warowni, zatknął na jéj wieży białą flagę. Młody dowódzca wojsk republikańskich opasał dokoła feodalne zamczysko: nad obozem jego powiewa trójkolorowy sztandar.

Obie strony krzątają się na gwałt. Oblegający przyprowadzają działa, wkopują się w ziemię jak krety, urządzają podziemne przejścia: oblężeni gotują odpór. Lantenac krzepki jak młodzian, dźwiga belki, znosi kamienie, on sam duszą wszystkiego. Prawém ramieniem starca Imanus, najzaciętszy z zapaśników wandejskich.

Załoga cała składa się z dziewiętnastu ludzi i trojga małych dziatek. Co myślą oblężeni? posłuchajmy...

Zabrzmiała trąba w górze, inna trąba odpowiada jéj z dołu. I oto na szczycie baszty ukazał się rosły, jak dąb Imanus.

„Czego chcecie od nas?—zapyta grzmiącym głosem. Mieszkamy spokojnie w własnym kraju, żyjemy tu pod okiem bożém, jak trawa pod słońcem i rosą. Wasza rzeczpospolita mąci nam spokój, pali domostwa nasze, tratuje kłosy w polu. Żony i dzieci nasze głodne, bose, pół nagie, tułają się po lasach.

„Wyście już gotowi do ataku, słuchajcie, co wam powiem. Mamy w ręku troje zakładników, troje dziatek. Batalion wasz przyjął za swoje te dzieciny, one do was należą. My gotowi je oddać, pod jedynym wszakże warunkiem: pozwólcie nam wyjść spokojnie z warowni. Zamek ten ma trzy piętra. Na piérwszém, ja Imanus, pomieściłem sześć beczek smoły i wielką moc faszyny. Na trzeciém piętrze pełno siana; na drugiém jest sklepiona izba zawalona księgami, drzwi jéj żelazne: klucz od nich w ręku wodza. Ztąd do pobocznéj sali przeciągnąłem lont napuszczony siarką: jeden koniec zanurzyłem w beczce smoły, drugi pozostawiam pod ręką. Jeżeli nie dacie nam wyjść, pomieszczam dziatwę w izbie sklepionéj, zapalam lont, zginiemy wszyscy ale zginą i dzieci wasze.” Umilkł....

— Odrzucamy!—zawołał z dołu głos twardy, nieugięty: był to głos Cimourdaina.

— Dajemy wam dwadzieścia cztery godzin do namysłu!—dodał łagodniéj Gauvain.

Ruch powstał w zamku. Imanus przebiega wszystkie kąty: trzech ludzi wnosi do izby sklepionéj drugiego piętra, trzy koszyki uplecione z wikliny; w każdym spi rumiane dziecię; najstarsze ma lat cztery, naj-

młodsze jeszcze w pieluchach. Przy każdym koszyku postawiono miseczkę z jadłem.

Poeta z prawdziwą miłością kreśli obraz téj dziatwy. Uwydatnia każdy ruch, każdy uśmiech tych niewinnych istotek. Któż nie odgadnie że gdy to pisał Hugo, cofnął się myślą do własnego ogniska, i widział przy niém trzy kolébki, a w tych kolébkach dwoje chłopiąt i maleńką dzieweczkę. Tym cudnym obrazkiem poeta zbudował wieczny pomnik swoim zgasłym nadziejom, swoim snom nie wyśnionym! Weźmy, choć kilka zarysów.

Dzieci zbudziły się... naprzód otworzyła oczki maleńka. Ocknienie dzieciny, to niby rozkwit pączka. Woń ulata z tych świeżych duszyczek.

Żorżetka, najmłodsza z trojga, co ssała jeszcze, parę miesięcy temu, uniosła główkę od pościeli... patrzy na nóżki swoje i bełkocze jakieś niezrozumiałe słowa. Promyk zorzy padł na kolébkę, promyk różowy jak nożęta dzieciny.

Dwaj chłopaczki spią jeszcze. Janek ma cerę śniadą, krucze kędziorki. Gruby Alan bielszy od brata. Żorżetka włoski ma złociste, twarzyczkę bieluchną jak mleko. Janek podobien do małego Herkulesa, śpi na brzuszku, przyłożył do oczu dwie zaciśnięte pięstki. Gruby Alan spuścił nogi z łóżeczka.

Wszystko troje w łachmanach. Sukienki które dał im batalion, rozleciały się w szmatki. Kto się opiekował tę dziatwą? niewiadomo. Chłopi wandejscy którzy włóczyli je z sobą od lasu do lasu, dawali im co dzień trochę własnéj polewki.., i koniec na tém.

Żorżetka szczebiocze jak ptaszyna w gniazdeczku. Najcudniejsza pieśń jaką można słyszeć na ziemi, to pierwsze bełkotanie duszy ludzkiéj na usteczkach dziecięcia. Pogwar ten nie jest jeszcze słowem, raczéj pieśnią; miał on początek w niebie, nie skończy się na ziemi! poczęty za światem, pójdzie przez grób w zaświaty. W dźwiękach jego brzmi to, co dzieci gwarzyło w niebie z aniołami, i co powie na ziemi jako człowiek. Kolebka ma swoje wczora, jak grób ma swoje jutro; to wczora i to jutro zarówno tajemnicze zlewa się w bełkotaniu dzieciny! Nic lepiéj nie świadczy o Bogu, o wieczności, o przeznaczeniu ludzkiém, jak owa tajemniczość w téj duszyczce różowéj!

Żorżetka pogwarza wesoło. Usteczka jéj uśmiechają się, oczęta uśmiechają, dołki jéj buzi uśmiechają. Rozweselił ją ranek. Dusza ufać zwykła jasnemu promykowi. Niebo takie błękitne, powietrze ciepłe. Niewinna dziecinka czuje się bezpieczną na łonie téj pięknéj przyrody, w obec tych rozłożystych drzew, przy czystéj zieleni owych pól ukłoszonych, przy szumie potoków, brzęku muszek, szczebiotaniu ptastwa na gniazdkach, pod jasnemi słońca promieniami.

Po Żorżetce zbudził się Janek, najstarszy z rodziny. Wstał, wybiegł z koszyka, spostrzegł miseczkę, siadł na ziemi, i żwawo jął zajadać. Bełkotanie siostrzyczki nie zbudziło grubego Alana, lecz poszczęk

łyżki wytrzeźwił go odrazu. Usiadł na pościeli, wziął miskę na kolana, i nie zatrzymał się aż zjadł polewkę, do ostatniéj kropli.

Żorżetka widząc że bracia jedzą, czyni téż tak jak i oni, częściéj jednak poniesie łyżkę do ucha, niżeli do różowych ustek; odrzuca ją wreszcie jako sprzęt niepotrzebny, i poczyna jeść garstką.

Długo poeta w rozmaitych obrazkach, maluje te dzieciny tak swobodne a tak bezmyślne.—Trąby grzmią, biją bębny, na zewnątrz zamku wszystko mówi o śmierci, w sklepionéj izbie wszystko tchnie życiem i radością. Chłopięta skaczą wśród stosu książek, istne jelonki w lesie. Żorżetka bałykuje na czworaku, wesolutka, zwinna jak koteczka. Trąby i bębny, nie nowością dla dziatek, obozowy gwar wcale ich nie ustrasza; więcéj stokroć zajmuje uwagę ich świerszczyk co wybiegł z pod podłogi, jaskółka latająca poza oknem, albo brzęcząca pszczółka zabłąkana do sali.

Podczas kiedy dziatwa bawi się tak ochoczo, rzućmy okiem na biedną matkę. Gdzież Michalina Flechard? Przywlokła się rankiem do wsi, w blizkości zamku. Ledwie że zaświtało; mrok nocy pokrywał jeszcze wioskę. Gdzieniegdzie jednak, drzwi chat wpół uchylone, głowy ciekawie wyglądają przez okna. Lud porusza się niby rój pszczolny w barci, głuchi turkot przenika wszystkich dreszczem. Powodem tego popłochu, wielki wóz pięciokonny. Na wozie pod czarną osłoną, rysują się dwie belki, w środku leży coś potwornego. Dziesięciu konnych żołnierzy otwiera pochód, dziesięciu postępuje za wozem. Każdy z nich trzyma w ręku szablę gołą, podniesioną do góry. Wszyscy milczą ponuro.

Biedna matka stanęła w tłumie, w chwili gdy wóz wtoczył się na plac, koło kościoła.

— Co to jest—szepczą jedni.

— To gilotyna!

— Zkąd ona idzie?

— Z Fougerez.

— Gdzież ją prowadzą?

— Nie wiem: podobno do poblizkiego zamku.

— Niech sobie idzie gdzie chce, byle tu nie została.

Wóz otoczony strażą minął wieś, widać go już na wzgórzu ku zachodowi. Wieśniacy gonią za nim oczyma dopóki im nie zniknął. Słońce tymczasem wzeszło.

Matka Flechard poszła za wozem. Biedaczka w prostocie ducha nie wie co to jest gilotyna, przeczucie jednak szepcze jéj że to cóś straszliwego. Nim mrok wieczorny zapadł, kobieta przywlokła sią pod zamek.

Strzał armatni wzywa do boju: zawieszenie broni upłynęło. Błękitni uderzają wściekle: królewszczyki bronią się jak lwy, w swém feudalném legowisku. Poeta jaskrawemi barwy maluje tę walkę dwóch sił, dwóch idei; walkę przeszłości z przyszłością, walkę feudalnych gwałtów, z gwałtami rewolucyi: wyrazem pierwszych ciemna omszała baszta, wy-

razem drugich gilotyna. Zapaśnikiem pierwszych nieprzebłagany Lantenac, drugich okrutny Cimourdain.

Niepodobna nam powtarzać za poetą, owych tytanicznych obrazów któremi rzuca tak szczodrze, z tak nie wyczerpaném bogactwem wyobraźni. Walka pod murami Tourgue, tego Illjonu Wandejczyków, zapełnia trzecią niemal część epopei.

Błękitni wdarli się przez wyłom: już opanowali dół i pierwsze piętro zamku. Dwa wyższe piętra zostają w ręku oblężonych. Na dole nadzieja, szał; w górze rozpacz: rozpacz spokojna, zimna, złowroga.

Królewszczyki zebrani w sali drugiego piętra, drzwi od wschodów zawalają wielką skrzynią. Obliczają się.... z dziewiętnastu, siedmiu ich ledwie pozostało. Wszyscy ranni, oprócz starego wodza i oprócz Imanusa. Brakło prochu... ładunki wystrzelane... niema więcéj nad cztery!

Lantenac przystąpił do garstki niedobitków.

— Przyjaciele moi—rzecze—wszystko przepadło!

Nastąpiła grobowa cisza.

— Dzielny Franecoeur!—doda zwracając się ku jednemu z towarzyszów,—zostańże znowu księdzem Trumeau!

Bretony klękają. Każdy z nich trzyma w ręku różaniec. Błękitni tymczasem wdzierają się przez wschody, walą we drzwi ze straszliwym łoskotem.

Franecoeur z głową poranioną, cały krwią zbluzgany, podniósł krucyfiks w górę.

— Niechaj każdy wyspowiada winy swoje. Panie, ty zacznij! — rzecze, zwracając się do wodza.

— Zabijałem!—odpowie Lantenac.

— Zabijałem!—powtarzało sześć głosów po kolei.

— W Imię Boże rozwiązuję was z winy: pokoj wam dusze wierne!

— *Amen!*—powtórzą wszyscy.

Lantenac powstał:—umrzyjmy teraz—rzecze.

— I zabijajmy!—doda Imanus.

— Myślcie o Bogu—zawoła kapłan—ziemia nie do was już należy.

Bretony pochylili czoło; biją się w piersi ze skruchą.

Młoty i topory walą we drzwi coraz gwałtowniéj. Drzwi już wyrąbane, całą obroną zasłaniającą je wielka skrzynia.

Wtém rozległ się po sali głos donośny.

— A co? czy nie mówiłem, panie?

Wszyscy krzyknęli z podziwieniem: spostrzegają odwróconą płytę kamienną w murze. Lantenac spojrzy w otwór, poznaje twarz majtka Halmalo.

Otwór prowadzi do podziemnego przejścia. Tradycya o tém przejściu żyła pomiędzy ludem: panowie nie dawali jéj wiary.

— Wielki Bóg!—rzecze kapłan.

Wychodzą wszyscy po kolei, ostatni który wyszedł odwrócić chce płytę kamienną; niestety, wzruszyć jéj niepodobna!

— Bracie—spyta Imanus majtka—długoż ztąd potrzeba iść do lasu?

— Niktże ciężko nie ranny?

— Nikt.

— Za kwandrans będziemy w zaroślach.

— Ależ oni będą tu za pięć minut!—zawoła Lantenac—w mgnieniu oka rozwalą skrzynię.

— Uchodź panie! uchodźcie wszyscy: ja zatrzymam ich—rzecze Imanus.

Oblężeni uchodzą: Imanus staje na czatach koło skrzyni. Patrzy... przez szczerbę zabłysła para oczu! wymierza pistolet: strzał rozległ się po sali, złączony z głuchym jękiem.

Dwakroć powtarza się toż samo, ubiegło dziesięć minut, zostało jeszcze dwa naboje.

I znów przez otwór w skrzyni Imanus widzi dwoje świecących oczu. W chwili gdy daje ognia, wdziera się przez drugi otwór pięść uzbrojona pałaszem.

Wandejczyk ryknął: ostrze rozcięło mu brzuch.

Nie upadł... zacisnął zęby z bólu... chwiejącym krokiem przystępuje do ściany; lewą ręką trzyma wysnuwające się wnętrzności, prawą pochwyca stojące łuczywo... zapala lont...

Wybuchnął płomień... Imanus wysilony runął na ziemię:

— Popamiętają mię szepcze szyderczo. Na ich dzieciach pomściłem krzywdy królewskiéj dziatwy!

Skrzynia rozwarła się z trzaskiem: wpada Radoub, za nim tłoczą się inni. Widzą martwego trupa i odsuniętą płytę, wiodącą do lochów podziemnych. Próżna pogoń! oblężeni daleko! Sierżant przebiega salę, szuka dziatek. Żelazne drzwi biblioteki zamknięte na klucz. Lantenac zabrał klucz do kieszeni. One tam! Radoub wczoraj jeszcze widział wszystko troje przez okno. Żołnierze walą toporem we drzwi; daremny trud: żelazo nie ustąpi.

Poeta wyprowadza nas z zamku. O kilkanaście kroków poza parowem, ukazuje nam kobiétę, raczéj widmo snujące się w ciemności.

„Stoi długo, niema, półobłąkana. Gdzie ona jest? co się koło niéj dzieje? co znaczą te strzały? jest-że w Tourgue? Poco tu przyszła? patrzy... słucha... myśli jéj bezładne, splątane.

Tuman dymu uderzył ją w twarz, przymyka oczy... otwiera je: słup zrazu czarny, czerwienieje... rośnie... ogarnia wielką przestrzeń, wiatr zadął: pękła zasłona dymu; z poza niéj ukazuje się zamek w płomieniach. Pożar ogarnął pierwsze piętro.

Przez otwarte okna drugiego piętra, kobiéta spostrzega półki zawalone książkami. Bliżéj okien, na ziemi coś porusza się lekko, niby rój piskląt w gniazdku. Kobiéta wlepiła oczy w tę grupę niewyraźną. Wtém po gałęziach suchego bluszczu płomień pomyka w górę, zapala składy siana. Wnętrze biblioteki oświecone z góry i z dołu widoczne całe jak na dłoni; kobiéta spostrzega troje uśpionych dziatek, leżą na ziemi, rączki ich i nóżki splątane malowniczo; twarzyczki ich rumiane: uśmiech ożywia ich usteczka.

Matka poznała własne dzieci, zawyła przeraźliwie jak wilczyca. Lantenac posłyszał ten ryk; ukryty w zaroślach patrzał na palący się zamek. Spojrzy na kobiétę... O! to nie kobiéta, to raczéj wściekła Eumenida! Z oczu jéj sypią się iskry, z ust przekleństwa zbiegają z głośném łkaniem.

Słucha Lantenac; klątwy matki spadają mu na serce.

— Dzieci moje! woła—nieszczęśliwa—ratunku... pomocy... Boże mój! Ha, przeklęci zbrodniarze! Mnie rozstrzelali, nie dosyć na tém, chcą spalić biédne dzieci. Żorżetko! Alanie! Janku! Co to znaczy?... one spią... jam szalona! ratunku! pomocy!... Świat nie zna takiéj zbrodni!

W około zamku wzmaga się postrach.

— Drabiny!—wołają setki głosów.

— Nie ma drabiny!

— Wody!

— Zabrakło wody!

— Wysadzić drzwi!

— Niepodobna! żelazo nie ustąpi...

— Prędzéj! prędzéj! — woła z daleka matka—zabijcie mnie! rzućcie w płomień, a ocalcie mi biédne dzieci!

Gauvain wpada na drugie piętro. Sapery na jego rozkaz walą toporami w drzwi żelazne. Rozbić ich niepodobna. Na ziemi leży trup Imanusa przerażający, szyderczy.

— Co czynić?—woła Gauvain, zaciska ręce z rozpaczą. Obiega salę, zbliża się do otworu.

— Tędyż—pyta—uciekł Lautenac?

— I tędy powraca—głos mu odpowié z głębi.

W téj chwili głowa biała ukazuje się przez otwór. Gauvain drży, jak liść, poznaje krewnego. Lantenac trzyma w ręku wielki klucz, idzie naprzód z czołem podniesioném, otwiera drzwi. Płomień wybucha, izba sklepiona cała w ogniu. Starzec stąpa śmiało w pośród płomieni. Krzepką ręką chwyta drabinę, wyrzuca ją oknem. Radoub rozstawia na szczeblach żołniérzy, on sam podejmuje dzieci z rąk starca.

— Ocalone! ocalone!—woła tysiące głosów.

Matka półobłąkana tuli do piersi dziatwę! Zbytnia radość odbiera jéj zmysły: upada na ziemię omdlała.

Starzec wolnym krokiem zstępuje po szczeblach drabiny. Oblicze jego blade, oczy pokryte mgłą. W miarę, jak schodzi na dół, postać jego dziwnie olbrzymieje.

Gdy postawił stopę na ziemi, jakaś ręka chwyta go za kołniérz.

— Trzymam cię!—zawoła Cimourdain.

— Dobrze czynisz!—odrzecze Lantenac.

W chwilę potém, żołniérze uprowadzili starca do głębokiego lochu. Zegar na wieży kościelnéj uderzył jedenastą. Gdy odeszli, Cimourdain przystąpił do Gauvaina.

— Na jutro—rzecze—powołam sąd wojenny. Ta sprawa do ciebie nie należy. Tyś Gauvain i on Gauvain. Będzie nas trzech: kapitan, sierżant Radoub i ja. Wydamy wyrok w myśl konwencyi. Jutro sąd, pojutrze gilotyna. Wandea już skonała.

Gauvain nie odrzekł nic; wszedł do namiotu, wdział płaszcz z kapturem, oznaczający wodza. Zatopiony w myślach, wolnym krokiem chodzi po łące. Przez okna baszty wybucha jeszcze płomień; niekiedy belka runie z trzaskiem i posypnie tysiącem iskier! Żołnierze grzebią ciała poległych. Wkoło zgiełk, wrzawa, lecz Gauvain nic nie widzi, nic nie słyszy. W sumieniu jego toczy się najstraszniejsza walka. Lantenac przedstawił się przed nim w nowém świetle. Dusza starca jakże cudownie przemieniona: uczucie ludzkości zapanowało w niéj, przeistoczyło ją do gruntu. Jakaż moc wykrzesała iskrę ofiary z téj duszy skamieniałéj? Obraz niewinnych dziatek.

Lantenac poświęcił życie dla ocalenia drugich. Zabić tego człowieka, zabić go w chwili, gdy spełnił bohaterski czyn? Nie byłożby ohydną zbrodnią, zakałą dla rzeczypospolitéj? Możesz on, Gauvain pozwolić na tę zbrodnią? On tu naczelnym wodzem, bądź co bądź musi ocalić starca.

A co będzie z Francyą? pyta młodzian. Z Francyą otwartą ze wszystkich stron, szamocącą się z obcemi najazdy. Niemiec brnie przez Ren, Włoch wdziera się przez Alpy, Hiszpan przez gardziele Pyrenejów. Pozostał jéj tylko ocean. Przyparta grzbietem do fal morskich, Francya mogła wyzwać w zapasy Europę; ale na tym oceanie jest wyspa, złowroga wyspa, sprzysiężona ze światem na zgubę Francyi. Do wyspy téj człowiek jeden wyciąga ramiona, on buduje most wrogom; tym człowiekiem Lantenac! Rzeczpospolita ujęła go nareszcie. Godziż się powracać mu wolność? Bez niego upadła Wandea, z nim odrodzi się głowa piekielnéj hydrze.

Zamordować go, jakaż boleść! Oswobodzić... jak straszna odpowiedzialność! Gauvain widzi przed sobą dwie przepaście; w którą się rzucić? on sam nie wie. Rozum nakazuje iść za nieprzebłaganym głosem Cimourdaina; uczucie roztacza nad siwym włosem Lantenaca promienną aureolę ofiary!

Zegar uderzył dwunastą, potém pierwszą; Gauvain nie postanowił nic jeszcze. Pchnięty nakoniec wyższą siłą, zbliża się do lochu. Straż poznaje wodza po kapturze, przepuszcza go z pokłonem.

Skrzypnęły rygle, kaganiec słabo oświeca czarne ściany; w kącie porzucona garść barłogu, na ziemi dzban wody i kęs chleba. Gdy się drzwi otworzyły, starzec chodził po celi, istny lew po żelaznéj klatce.

Gauvain odrzucił z głowy kaptur; obaj stoją naprzeciw siebie oko w oko. Lantenac parsknął śmiechem.

Starzec chłoszcze bratanka jadowitemi słowy, rzuca mu w oczy tysiące szyderczych pocisków.

— Wszystko złe—zawoła z goryczą—sprowadzili ci bazgracze i wiérszoklety! Encyklopedya, Diderot, d'Alembert: ha niegodziwcy!

darłbym ich wszystkich w pasy; starłbym ich na miazgę. Póki będą Woltery, nie zabraknie Maratów! póki będą pismaki, co gryzmolą, będą rozbójnicy gotowi do morderstwa; póki będzie atrament, będzie czarno; póki ręka człowieka nie przestanie skrobać po papierze gęsiém piórem, dopóty z lekkich głupstw lądz się będą głupstwa potworne. Książka daje pochop do zbrodni.

Gauvain milczy; Lantenac wystawia zasługi wspólnego rodu, wylicza długi szereg antenatów. Zatrzymuje się nagle...

— Po co tu mówić próżne słowa? Panicz ma zaszczyt być idyotą, pragnie zostać równym memu mastalerzowi. Pamiętaj: jam był stary, gdy ty byłeś dzieciuchem, ucierałem ci nos smarkaczu i utrę go jeszcze! Rosnąc malałeś coraz bardziéj. Rozeszliśmy się na dwie strony: jam poszedł drogą uczciwości, ty przeciwną obrałeś drogę. Nie wiem jak się to skończy; ale przyjaciele twoi, wszystko to wierutne łotry, nikczemniki! Stary ład w kraju zburzyliście ze szczętem, zburzyliście głupcy prowincye, bo nie wiecie co one znaczą! Geniusz Francyi odbija w sobie promienie wszystkich geniuszów Europy. Każda prowincya wyrażała w sobie jednę cnotę: szczerość niemiecka żyła w Pikardyi; wspaniałomyślność szwedzka w Szampanii; przemysłowość holenderska w Burgundyi; żywotność polska w Langwedoku; powaga hiszpańska w Gaskonii; mądrość włoska w Prowancyi; subtelność grecka w Normandyi; wiara Szwajcarów w Delfinacie. Nikt z was nie wiedział o tém. Wszystkoście zgruchotali, potratowali jak bydlęta!

— Ha! nie chcecie szlachty?—woła starzec zapalając się coraz bardziéj. Nie będziecie jéj mieli; włóżmy po niéj żałobę. Minęły czasy paladynów i bohatérów! Dziś każdy drży o własną skórę... Minęły czasy tych rycerzy z pod Fontenoy, co z grzecznym pokłonem przystępowali do boju; tych śmiałych zapaśników, co w jedwabnych pończochach zdobywali Lerydę. Minęły dni tych parad wojskowych, kiedy pióropusze migotały w powietrzu jak meteory. Wyście ludem skończonym, czekają was gwałty i najazdy! Jeśli Alaryk drugi najdzie granice wasze, nie znajdzie już Klowisa! jeśli Abderaman powróci, nie zetknie się twarz w twarz z Martelem! jeśli Saksony wkroczą, nie zabieży im nowy Pepin! Minęły dla was tryumfy Rockroy i Laufeldu; nie dla was chwała Marignan z Franciszkiem, Bouvines z Filipem Augustem. Dla was powtórzy się Arincourt!... Ha, nowi ludzie, syny olbrzymów przeróbcie się na karły!

Umilkł, po chwili dodał:

— Ale nam zostawcie wielkość naszą! Mordujcie królów, szlachtę i księży, stare zamki puszczajcie z pożogą, stare zasady skruszcie w proch pod obcasami butów waszych; zdruzgoczcie tron i ołtarz, na zgliszczach świątyń wyprawiajcie wszeteczne pląsy! To wasza rzecz, wyście zdrajcy i podli, niezdolni poświęcenia i ofiary. Rzekłem... a teraz każ mi ściąć głowę panie hrabio!

— Rzekłem prawdę—dodał po chwili—cóż mi to zaszkodzi? jam umarły.

— Tyś wolny!—zawołał Gauvain.

Bieży do starca, własny płaszcz rzuca mu na barki, kaptur nasuwa na twarz. Oba jednego byli wzrostu.

— Co czynisz?—woła starzec.

— Straże, puśćcie mnie!—krzyknie wódz.

Rozwarto drzwi: Gauvain pchnął zdumionego starca. Żołnierze puścili go z pokłonem. Rygle skrzypnęły znowu.

W kilka godzin potém w samo południe rada wojenna zebrała się w dolnéj sali. Cimourdain wyprawia gońca z listem do Konwencyi: „Lantenac wzięty. Jutro głowa jego spadnię pod gilotyną.“

— Otworzyć więzienie!—zawoła rozkazującym głosem.

Żołnierze odciągnęli rygle, zeszli do lochu. Cimurdain założył ręce nakrzyż, stoi z podniesioną dumnie głową.

— Przyprowadzić tu więźnia!

Wyszedł z ciemnicy człowiek pomiędzy dwoma żołnierzami: był to Gauvain...

Cimourdain zachwiał się, jakby rażony gromem. Pot kroplisty wystąpił mu na czoło. Pokonał się jednak mocą woli. Złożono sąd wojenny. Sierżant Radoub gorąco broni obwinionego. Dwa głosy wyrokują śmierć... jednym z nich głos Cimourdaina.

Więzień czeka w lochu na wyrok; w obozie popłoch wielki.

Wybiła północ. Ktoś z latarką w ręku zstępuje do pieczary, rozsunięto rygle. Cimourdain, gdyż to był on, rozkazuje oddalić się żołnierzom. Cichym krokiem przystępuje do garści słomy, na któréj Gauvain śpi spokojnie. Wlepia oczy w sennego, z głębokiém uczuciem, z jakiém matka wpatruje się w śpiącą dziecinę swoją. Patrzy długo... klęka; podejmuje białą rękę Gauvaina, przyciska ją do ust w milczeniu.

Gauvain otworzył oczy... poznaje Cimourdaina.

— To ty mistrzu mój drogi!... Dziwny miałem sen: czułem jak śmierć całuje mi rękę.

Cimourdain zadrżał od stóp do głów.

Siadają na słomie... Dzielą się kęsem chleba i dzbanem wody; dzielą się myślą, dzielą słowem. Ostatnia to rozmowa mistrza i wychowanka.

— Wszystko co się spełnia w téj chwili—rzecze Gauvain—ma cechę tajemniczą. Poza dziełem widzialném jest dzieło niewidzialne. Pierwsze dzikie, straszne; drugie pełne wielkości. Prawda jasno staje mi przed oczyma... Dziwnyż ten rok dziewięćdziesiąty trzeci! Pod rusztowaniem barbarzyństwa wyrasta w górę świątynia cywilizacyi!

— Tak!—odrzecze Cimourdain—ze stanu tymczasowego wyjdzie ostateczny postęp, to jest: ogólna niwelacya, zrozumienie obowiązku, a po nad wszystkiém nieprzebłagane prawo, rzeczpospolita w absolucie.

— Co do mnie, wolę rzeczpospolitę w ideale—rzecze Govain.

— O! mistrzu mój—doda po chwili—a gdzież pomieścisz poświęcenie, ofiarę, zaparcie siebie, miłość? Zrównoważyć wszystko, to pięk-

nie; zharmonizować, to jeszcze piękniéj! Po nad wagą niech będzie lira. Twoja rzeczpospolita wprzęga człowieka w ład, moja unosi go w lazury.

— Ty gubisz się w obłokach!

— A ty w zimnéj rachubie.

— W harmonii muszą być marzenia.

— Czyż nie ma ich w algebrze?

— Ja chciałbym człowieka, według typu Euklidesa.

— A ja według typu Homera.

Cimourdain spojrzy na Gauvaina z surowym uśmiéchem, jakby chciał powstrzymać go w zapędzie:

— Strzeż się poetów!—rzecze zimno.

— O tak, znam ja to słowo! Strzeż się żywego tchnienia, strzeż się promieni, strzeż się woni kwiatów, strzeż się gwiazd!

— To wszystko nie da chleba.

— Co ty wiesz mistrzu... idea także karmi! Myśleć, to pożywać.

— Daj pokój abstrakcyom, rzeczpospolita, to dwa a dwa cztery. Kiedy dałem każdemu, co mu należy...

— Musisz dać to, co mu nie należy!

— Co przez to rozumiesz?

— Te ustępstwa wzajemne, które stanowią cały urok życia społecznego.

Długo rozmowa toczy się na tę nutę. Prawo, sprawiedliwość: oto kres pojęć i dążeń Cimourdaina. Miłość, nieskończoność, Bóg: oto ideał, o jakim marzy Gauvain.

Podczas gdy rozmawiają, słychać opodal huk młotów, głuchy łoskot spadających na ziemię desek. Cimourdain zbladł. Gauvain nie słyszy nic; myśl jego snuje promienisty wątek, źrenica zapala się blaskiem przedświtu.

— O czém myślisz?

— O przyszłości...—odrzecze młodzian.

I utonął w zadumie. Cimourdain powstał, wyszedł z lochu, drzwi zamknęły się za nim.

Zorza zabłysła. Przy rannym świcie, przy cudnéj woni kwiatów, przy świegotaniu ptasząt leśnych, poeta stawia nam przed oczy najstraszniejszy obraz. Na szerokiéj łące, pod lasem, wyrosł w ciągu nocy potwór, jakiego ptacy niebiescy nie widzieli jeszcze w tych stronach. Z daleka na błękitném tle widnokręgu, odrysował się tajemniczy znak, niby hieroglif egipski, jakiś odłam zagadkowego alfabetu starożytnych: była to gilotyna.

O kilka kroków za parowem, omszałą głowę podnosi inny potwór: stara wieżyca... Turga. Dwa potwory, kamienny i drewniany, spotkały się oko w oko.

Turga dźwiga na sobie tysiąc pięćset lat, średnie wieki, poddaństwo, feodalizm. Gilotyna liczy rok jeden, dziewięćdziesiąty trzeci: dwanaście miesięcy tego roku, przeciwważą tamte piętnaście wieków!

Turga, to monarchia; gilotyna, to rewolucya.

Długo Turga panowała sama w téj pustyni. Stoi tu ze swemi blankami, z których spływała niegdyś wrząca smoła, ściekał gorący oléj i roztopiony ołów; z czarnemi podziemiami swemi, w których bieleją jeszcze ludzkie kości; z krwawym dramatem przyrosłym do jéj murów! Goruje ona złowrogo nad tym lasem, pod jego cieniem przeżyła XV-cie wieków dzikiéj spokojności, była w tych stronach jedyną potęgą, jedynym postrachem; ona tu panowała bez podziału, barbarzyństwem i grozą, a oto spostrzega przed sobą coś równie ohydnego jak ona... gilotynę.

I pogląda na nią strasznym wzrokiem. Zdaje się pytać: kto ty jesteś? Wyrosłażeś ty z ziemi?

Tak, gilotyna wyrosła z ziemi! Z nieszczęsnéj ziemi wyszło złowrogie drzewo. Z téj ziemi pełnéj grobowisk, zlanéj krwią, zasianéj kośćmi ofiar. Z onéj ziemi, co zagrzebała tyle przestępstw; z głębokich jéj wnętrzności wyrosła w danym dniu ta mścicielka, ta morderczyni i rok dziewięćdziesiąty trzeci rzekł wbrew staremu światu:

— Oto jestem!

A gilotyna rzekła do staréj baszty:—Ja jestem córką twoją!

I w tejże chwili uczuła baszta że opuszcza ją życie.

Tu wobec słońca przyświecającego ziemi pełnym blaskiem, wobec odwiecznéj wieżycy buchającéj kłębami dymu, zakończa poeta swą wielką epopeę. Oto ostatni obraz.

Batalion w bojowym szyku z trzech stron otacza gilotynę. Kanonierzy stoją przy działach z zapalonemi lontami w ręku. Z czwartéj strony na platformie wieży zamkowéj wzniesiono stół, za stołem w wielkiém krześle pod cieniem trójkolorowych sztandarów siedzi człowiek z założonemi nakrzyż rękoma, z obliczem zimném i ponurem. To Cimourdain. Milczy i wszyscy milczą. Kat przechadza się w milczeniu po estradzie gilotyny.

Zatętniły głucho bębny pokryte krepą czarną. Otwierają pochód dobosze, daléj idą grenadyery z bronią spuszczoną w ziemię: nakoniec idzie skazany otoczon zbrojną strażą.

Gauvain wstąpił na rusztowanie. Nigdy jeszcze nie był tak pięknym. Wiatr igra z długim, ciemnym jego włosem; biała szyja ma blask szyi dziewiczéj. Oko natchnione, archanielski ma urok. Stoi na rusztowaniu zadumany, spokojny. Słońce oblewa go strumieniem światła.

Kat przystąpił, trzyma sznur w ręku.

Na ten widok batalion głośnym zaryknie płaczem. „Łaski! łaski!“ —woła tysiące głosów. Tłumy padają na kolana, wyciągają ręce ku wieżycy, kędy siedzi Cimourdain. „Łaski! łaski!“ rozgrzmiał szalony okrzyk. Wszystko drży, wszystko płacze... straszne są łzy żołnierzy.

Kat zatrzymał się... sam nie wié co ma czynić.

Wówczas to głos krótki, cichy, a przecież wyrazisty ozwie się na wieżycy:

— Wypełnić prawo!

Tłum zadrżał na wskróś przejęty grozą. Był to głos Cimourdaina.

Kat nie waha się dłużéj, przystępuje ze sznurem.

— Zaczekaj!—rzecze Gauvain.

I podnosi oczy ku mistrzowi swemu; prawą ręką wolną jeszcze zasyła mu ostatnie pożegnanie, a potém zawoła donośnym głosem:

— Niech żyje rzeczpospolita!

Zgrzytnęło żelazo, spadł z łoskotem ohydny trójkąt i w téjże chwili rozległ się wystrzał na wieżycy zamkowéj. Kiedy głowa wychowanka spadała drgająca w krwawy kosz, trup mistrza samobójcy potoczył się na płytę granitową.

I dwie dusze, tak odmienne, ubiegły razem w tajemnicze sfery nieskończoności.

Na tém kończy się wielka epopea.

Ktokolwiek przeczytał wspaniały trzy tomowy utwor siedmdziesięcioletniego poety, musi przyznać całą trafność słów Gauthiera. Zmarły krytyk, na krótko przed śmiercią w obrazie starzejącego się lwa, skreślił wiernie postać Wiktora Hugo:

„Z czoła jego w głębokie zoranego bruzdy wyrasta coraz dłuższa, coraz bujniejsza, coraz straszniéj zjeżona grzywa. Pazury jego twarde się stały, jak spiż. Oczy płowe błyszczą niby dwa słońca z głębi dwóch ciemnych jaskiń: a gdy zaryknie, wszystkie zwierzęta milczéć muszą!“

W połowie lutego umarł historyk Michelet, sławny niegdyś professor w kolegium francuzkiém. Ten to sam Michelet, którego profil widzimy na medalu obok profilu Quineta i Mickiewicza; ten sam, który zalecał licznym wielbicielom i uczniom swoim, aby patrzyli „na jego kolegę z Północy, jako na wielkiego piastuna tradycyj narodowych francuzkich, w tém co mają w sobie prawdziwie ludzkościowego!“ W roku 1847 wspominając z katedry imię Mickiewicza, wołał on w najwyższém uniesieniu: „Oto człowiek! oto geniusz! Nie jestem godzien rozwiązać rzemyka u obuwia jego!“ Formuła ta podniosła silną protestacyą w ówczesnych dziennikach religijnych.

Z tém wszystkiém lubo chwyta nas za serce zapał Micheleta dla naszego wielkiego poety, lubo cenimy wysoko genialny polot, jaki okazał w pierwszéj epoce swego zawodu, nie możemy w żaden sposób przyklasnąć kierunkowi jego późniejszych prac tak historycznych jak i psychologicznych.

Urodzony w roku 1798 po najświetniéj odbytych naukach w kolegium Charlemagne, syn typografa, Michelet rzucił się z młodzieńczym zapałem w szranki przygotowanéj do odrodzenia literatury. Wystąpił w nich jako zagorzały szermierz romantyzmu. Nauka historyi pociągała go od najmłodszych lat; pragnął poświęcić się wyłącznie jéj uprawie; pragnął zmienić do gruntu suchy i nudny wykład dziejów, przedstawiając je w sposób żywotny, obrazowy i dramatyczny. Wielkiéj potrzeba było odwagi, aby wystąpić przeciw zakorzenionéj od wieków rutynie. Czuł Michelet że podoła walce, że wyjdzie z niéj zwycięzko. W chwili, kiedy

przyszły a nieznany jeszcze przyjaciel w dalekich sferach Północy zawołał w poetycznym zachwycie:

Młodości! dzielna twych lotów potęga,
A jako piorun twe ramię!

młody Michelet realizował natchnione słowa wieszcza i ramię jego stało się piorunem i druzgotało zapory, jakie wiekowy przesąd stawiał mu na drodze w początkach chlubnego zawodu.

Od roku 1821 spostrzegamy Micheleta na widowni. Wystąpił z konkursową rozprawą, chcąc otrzymać katedrę historyi w kolegium Rollin. Młodzian okazał w niéj głęboką erudycyą, a co więcéj niepospolitą wymowę, pełną życia, blasku i kolorytu. Zyskał powszechny poklask. Ci, którzy znali podówczas Micheleta, zachowali w duszy niezatartą jego pamięć. Z sercem pełném żaru, wyobraźnią bujną, szukał usilnie prawdy i gorąco występował w jéj obronie. Piérwsze dzieła jego noszą cechę bezstronnego sądu. *Obrazy synchronistyczne Historyi Nowożytnéj* wydane w roku 1825 i 1826 ważnym były nabytkiem dla szkolnego wykładu dziejów. Zarys historyi nowożytnéj ogłoszony w r. 1827, doczekał się w kilku latach dziesięciu edycyj. Wskutek tych prac ministeryum wychowania publicznego zwróciło szczególną uwagę na młodego erudytę: mianowany został mistrzem konferencyi w szkole normalnéj. Był to czas najbujniejszego rozkwitu w naukowych pracach Micheleta.

Ożeniony w roku 1824, żył w towarzystwie pisarzy i poetów, którzy jak on rzucili się w nowe drogi i otworzyli nieznany widnokrąg literaturze. Chciwy nowości pragnął sięgnąć do samego źródła dziejów. Badał pracowicie stare archiwa i wydobył z nich prawdziwe skarby. On to piérwszy podał Wiktorowi Hugo myśl do sławnego romansu *Notre-Dame de Paris.*

Zdobycze Micheleta znane były w świecie uczonym. Dzięki im po rewolucyi lipcowéj rząd powierzył mu dyrekcyą historycznego wydziału w archiwach. Marzenia jego urzeczywistnione zostały; zamieszkał w pałacu archiwów, czuł się tam jakby w raju. Wkrótce potém Guizot powołany do ministeryum, a przez to samo zmuszony opuścić katedrę w Sorbonie, wybrał Micheleta na zastępcę swego. Równocześnie Ludwik Filip wezwał go na professora historyi dla córek.

W roku 1833 ukazał się piérwszy tom historyi Francyi; drugi wyszedł z końcem następnego roku. Te dwa tomy są najpiękniejszą koroną prac historycznych Micheleta. Uderza tu szczególniéj obraz licznych plemion, które wpłynęły w skład państwa francuzkiego, jak niemniéj obraz różnych okolic kraju, w których miały się rozwinąć te różnolite plemiona. Nikt nie malował dokładniéj i żywotniéj kolébki wielkiego narodu. Wychowanek idei rewolucyjnych uczuł przecież poetyczny urok tych średnich wieków, okrytych szyderstwem i śmiesznością przez innych uczniów téjże szkoły. Michelet mówi tu z zapałem o sztuce

chrześciańskiéj, o milicyach zakonnych, o pobożnych pielgrzymkach; podnosi znaczenie papieztwa, kreśli z ogniem życiorysy świętych, wysławia krucyaty.

W tych pierwszych tomach historyi Francyi, Michelet okazuje się równie wielkim artystą, jak głębokim badaczem. Twórcze skrzydła porywają myśl jego w nieskończoność, nie traci przecież z oczu ścisłego wątku dziejów. Nigdy on nie strąca wielkich ludzi z piedestału na jakim postawiły ich wieki, ale czyni tych bohaterów żywém uosobieniem ducha narodowego w danéj chwili: plemię, lud: oto główni działacze w systemacie historyozoficznym Micheleta. On sam porównywając prace własne z pracami innych współczesnych historyków, przyznaje, że jeśli jest jakaś cecha, nadająca mu odrębny charakter, tę cechę stanowi jego „wielka miłość ku wszystkiemu co cierpi".

Ukochał on gorąco słabych i nieszczęśliwych, gotów był nawet z pobłażaniem sądzić ich winy. Opowiadając na przykład krwawe mordy *Żakieryi* (Koliszczyzny francuzkiéj z XIV wieku) przerywa nagle wątek: „Ci chłopi, woła, to przecież Francuzi, nie rumieńmy się za nich; to lud francuzki, to krew krwi twojéj o Francyo! Czy historya przedstawia ich pięknymi, czy szpetnymi; w kapturze Marcela, czy w żakiecie Żaków, nie macie prawa ich odtrącać. My, we wszystkich walkach szlachty, w tych pięknych harcach rycerskich, któremi tak się bawi lekkomyślny Froissard, my przedewszystkiem szukamy tego biednego ludu! Radzibyśmy w téj straszliwéj ciżbie, wyrwać go z pod ostróg rycerstwa, wywlec go z pod tułowów końskich. Pragniemy ten lud zbrukany, zbezczeszczony, postawić przed sprawiedliwym sądem dziejów i wypowiedzieć mu w oczy słowo pojednania": „Ty jesteś ojcem moim i matką moją. Tyś zrodził mnie we łzach. Potem czoła twego i krwią ściekłą z żył twoich, tyś utworzył dla mnie Francyą! Błogosławię cię w grobie twoim! Strzeż Boże, abym miał kiedykolwiek wyrzec się ciebie"!

Takim to wybuchem uczucia przerywa nieraz Michelet opowieść historyczną. W paśmie średnich wieków, kiedy kreśli obraz Fryderyka Rudobrodego, który według tradycyi ludowéj spi z rycerstwem swojém w sklepieniach zaklętego zamczyska, historyk-poeta orlim wzrokiem przenika daleką przyszłość: „Niechaj śpi Barborossa—woła w natchnieniu wieszczém—niechaj śpi wielki mocarz, na którego zbudzenie czekają Niemcy tak gorączkowo! Niechaj śpi... nie on to, ani jemu podobni, ani święte cesarstwo średnich wieków, ani święte przymierze czasów naszych, nie im to urzeczywistnić ten ideał ludzkości: pokój zabezpieczony prawem i ostateczne pojednanie narodów". (Hist. Francyi t. II).

Nic piękniejszego nad obraz Francyi, rozwijającéj się z chaosu, skreślony piórem tego wielkiego mistrza. Staje on myślą na najwyższym szczycie Wogezów i zatacza w około wieszczym wzrokiem; opisuje ziemię, góry i rzeki Francyi; na tém tle uwydatnia typy ludzkie, tak uderzające rozmaitością charakteru i geniuszu swego!

Wszystkie te rysy charakteru, wszystkie te promienie narodowego geniuszu, skupił historyk w jedno ognisko, w postać Joanny d'Arc. Ustęp dziejów poświęconych bohaterce z Domremy, jest niewątpliwie najwyższém arcydziełem Micheleta. Tę cudnie piękną monografią mamy w przekładzie polskim, dzięki filozofowi naszemu Liebeltowi.

Około roku 1836 Michelet rozpoczyna walkę z kościołem. Wydaje naprzód tłumaczone pamiętniki Lutra, w kilka lat późniéj zbiór dokumentów do historyi Francyi, a między temi akta dotyczące sprawy Templaryuszów. Prace te przyjęte przez jednych z poklaskiem wywołały surowe sądy drugich; ogół jednomyślny dotąd w ocenieniu zasług i talentu historyka, rozdzielił się na dwa obozy krańcowo sprzeczne z sobą.

W chwili takiego poruszenia umysłów Michelet zajął katedrę w kolegium Francuzkiém; inną katedrę otrzymał wtedy Quinet. Obaj wystąpili z gwałtowną polemiką przeciwko jezuitom. Rozpoczęła się walka. Z jednéj strony obok dwóch professorów stanęli zwolennicy encyklopedyi i Woltera; z drugiéj Lacordaire podniósł głos w katedrze Notre-Dame, Ozanam i Lenormand w Sorbonie, Berrier i Montalembert w izbie deputowanych. Umysły zapalały się coraz namiętniéj. Obie strony przebrały jak mówią miarę w zapale polemicznym. Michelet dotknięty do żywego uniósł się gwałtownie i stanął na czele demokratycznéj opozycyi. Gdyby przciwnicy okazali cokolwiek więcéj umiarkowania, rzeczy nie byłyby zaszły tak daleko, i najdzielniejszy zapaśnik na polu historyi nie byłby opuścił toru, po którym szedł przez lat dwadzieścia z tak wielkim pożytkiem dla nauki.

Nie wyliczamy tu pamfletów, któremi od roku 1843 Michelet zajmował część publiczności zamiłowaną w skandalach. Na krótko przed lutowemi wypadkami wydał w roku 1847 pierwszy tom: *Historyi Rewolucyi Francuzkiej*. Dzieło to gorączkową pisane ręką, potrącające o pytania społeczne, żywo zajęło rozgorączkowane wówczas umysły. Poklaski sypane professorowi w Collége de France, odbiły się o sklepienia izby prawodawczéj: kurs Micheleta zamknięty został w roku 1851. W rok potém odebrano mu dyrekcyą archiwów w skutek niezłożonéj przysięgi.

Wówczasto wszedłszy w powtórne związki małżeńskie, Michelet począł przeplatać poważne historyczne prace badaniami na polu przyrody i filozofii. W ciągu lat kilku wydał całą seryą dzieł w rozmaitych przedmiotach: *Ptak*, *Owad*, *Miłość*, *Kobieta*, *Morze*, *Czarownica*, *Góra*, *Biblia Ludzkości* itd. Tu obok połysków prawdziwie poetycznych, znajdujemy dziwactwa chorobliwéj wyobraźni, a co gorsza fałszywe zasady, głoszone stylem szarpanym, częstokroć niesmacznym i ciemnym. W ostatnich czasach wydał dwa tomy, stanowiące dalszy ciąg *Historyi Rewolucyi* pod tytułem: *Les origines des Bonaparte*, pełne ciekawych szczegółów napisanych z niesłychaném życiem, ale nacechowane duchem

stronniczym, niegodnym prawdziwego historyka. Wkrótce zdamy szczegółową sprawę z téj ostatniéj publikacyi.

Trzy wakujące krzesła w Akademii Francuzkiéj otrzymali dwaj professorowie Sorbony, panowie Meziéres i Caro i autor dramatyczny Aleksander Dumas. Ostatni z nowych akademików dziedziczy krzesło po Lebrunie poecie z czasów pierwszego cesarstwa: na témże krześle zasiadał niegdyś sławny Monteskiusz. Wybór Dumasa przypisać trzeba w wielkiéj części ważnym zasługom, jakie ojciec jego położył w literaturze. Zaszczyt ten należał niewątpliwie staremu Dumasowi; lecz akademia przed kilką jeszcze laty, zanadto rządziła się polityczną koteryjnością. Guizot kierował sam wyborami; aby osiągnąć palmę, trzeba było koniecznie trzymać się sztandaru Orleanów, a przynaimniéj być jawnym przeciwnikiem cesarstwa.

Wiktor Hugo który przez lat dwadzieścia trzy nie przekroczył progów akademii, przybył umyślnie aby głosować za Dumasem. Kiedy wchodził, odźwierny biorąc go za jakiegoś nieproszonego intruza, zastąpił mu drogę i domagał się karty. Ktoś z obecnych usunął trudność wymawiając imie, którém chlubi się Francya.

Professor Mezières zajął miejsce zmarłego Saint-Marc Girardin'a, professor Caro miejsce estetyka Vitet'a.

Wybory te żywo zajęły publiczność paryzką, tém żywiéj że do trzech wakujących krzeseł przedstawiło się szesnastu kandydatów. Przyjaciele trzynastu upadłych lub odroczonych, dowcipnemi słówkami jęli kłuć po dziennikach i pismach tych, którym dostała się palma. Dumas najwięcéj napołykał gorzkich prawd, jak się łatwo domyślić. Jeden z krytyków pyta: Czego dotąd brakowało Dumasowi? Oto porządnego towarzystwa, gdzie przyzwoitość nie pozwala mówić o wszystkiém, co ślina do ust przyniesie. Miejmy nadzieję, że arcypoważne towarzystwo czterdziestu nieśmiertelnych, powstrzyma go w zapędzie i wyrobi na poważnego pisarza.

Inni znów utrzymują, że ostatnie wybory miały charakter zadosyćuczynny (de consolation). Akademia według nich wybrała Dumasa, aby przebłagać cienie ojca, któremu odmówiła tego zaszczytu; że dała krzesło Mezierowi urodzonemu w Metz, aby pocieszyć Lotaryngię po stracie warownego miasta; że przygarnęła wreszcie professora Caro znanego z uczuć religinych, dla przebłagania Boga, za krzesło ofiarowane w roku zeszłym Littremu! Dość jak mówią zapalić diabłu jednę świeczkę, dwie byłoby za wiele. Gdyby Taine zasiadł obok starego materyalisty, los jaki spotkał Gomorę, mógłby spotkać pałac Mazariniego.

Odradzająca się literatura nowogrecka poniosła ciężką stratę przez śmierć gorliwego pracownika na polu naukowém Gregorio Papadopulos. Urodzony w Tessalonice w roku 1816, młodość spędził w Bukareszcie na dworze wielkiego Hospodara Wołoszczyzny Michała Ghiki, jako nauczyciel młodych książąt. Pod jego to kierunkiem wykształciła się sławna pisarka, Helena Ghika, znana pod pseudonimem Dory d'Istryi, jedna z najuczeńszych kobiét dzisiejszych. Uczony macedończyk poświęcając się pedagogii pracował niemniéj nad archeologią. Osiadłszy w Atenach wpłynął przeważnie na założenie wyższéj szkoły heleńskiéj w témże mieście. Wykładał niemniéj archeologią artystyczną w szkole królewskiéj sztuk pięknych. Późniéj powierzono mu dyrekcyą szkoły normalnéj i katedrę w uniwersytecie, oraz wysokie stanowisko w ministeryum oświecenia publicznego. Słowem Papadopulos był duszą naukowego ruchu tak silnie rozbudzonego w Grecyi. Pomimo różnostronnych prac w Atenach, nie spuszczał on z oka rodzinnéj Macedonii, czuwał pilnie nad uprawą ojczystego języka i nad krzewieniem helenizmu w téj prowincyi pozostającéj pod panowaniem Turków. Wśród twardéj zimy przedsięwziął uciążliwą podróż przez góry albańskie, aby rozbudzić w gnieździe własném miłość prac naukowych. Skutkiem przeziębienia umarł w owéj Tessalonice, gdzie przed pięćdziesięciu kilku laty rozpoczął żywot tak pracowity i dobrze zasłużony dla kraju.

Zpowodu śmierci Franciszka Hugo, pisma francuzkie przypominają wiersz ojca, nakreślony przed laty trzydziestu. Wiktor Hugo szczęśliwy podówczas ojciec trojga dorastających dzieci, skreślił smętny obraz samotnego ogniska domowego, jak gdyby przeczuwał, że śmierć wydrze mu kiedyś wszystko, co ukochał na ziemi. Z nieśmiałością dajemy w przekładzie piękny utwór wielkiego poety.

Dom bez dzieci.

Gdy przybędzie do domu z dzieciątkiem kołyska,
Rodzina się weseli: ten promyk, co błyska
W oczach dziecięcia tak słodki,
Zgania z lic mrok żałoby, nawet plamę sromu!
Rozjaśniają się czoła, drgają ściany domu
Życiem niewinnéj istotki.

Czy maj zieleni trawy, czy listopad strąca
Liście z drzew mego sadu, wśród uciech tysiąca
Życie jak wianek się plecie;
Jasny płomień ogniska weseli nam progi,
Śmiejemy się... drży matka z radości i z trwogi,
Gdy stąpać zaczyna dziecię.

Czasami ktoś z nas głownią gasnącą poruszy,
I mówimy o Bogu, o pieśni, o duszy,
Jak w niebo z modlitwą wzlata!
Weszło dziecię i wątek słów w lot się rozrywa,
Uśmiéch spoczął na ustach, dziecię to pieśń żywa,
Modlitwa duszy skrzydlata!

Nocą, gdy myśl wybiega, choć sen zwarł powieki,
Gdy potrąca nam ucho jęk fali dalekiéj,
Co w trzcinach drżąca pluskocze;
Niech zorza wschód zrumieni barwami szkarłatu,
Ptaki i spiże dzwonów zbudzonemu światu
Dzwonią pobudki urocze.

Dziecię! tyś moją zorzą! przez ciebie zbudzona
Woń kwiatów czarodziejskich bucha z mego łona,
Kiedy cię czuję przy boku!
Dusza moja—las ciemny z gęstemi drzew sploty
Szumi słodko dla ciebie, gdy twój promyk złoty
Błyśnie w tym nocnym pomroku.

Bo z tych ocząt tryskają słodkie miodu zdroje,
Bo te błogosławione jeszcze rączki twoje
W żadne nie wpiły się łono;
Bo twe stopki ziemskiego nie dotknęły błota,
Twe czoło krętych włosków aureola złota,
Wieńczy aniołów koroną.

Tyś dla nas ową z arki gołąbką bieluchną,
Twe nożęta po ziemi stąpają leciuchno,
Myśl twa skąpana w lazurze!
Pogodnie ścigasz okiem ten świat tajemniczy,
Bo ciałko twe dziewicze i duch twój dziewiczy,
Ziemskie nie tknęły ich burze!

Cudneż dziecię, gdy lica radość mu zapali,
Gdy wybiegnie przez one usteczka z korali
Uśmiéch i pogwar pustoty;
Jego wiara tak pełna i ufność tak szczera,
Gdy młodziuchną duszyczkę do życia otwiera,
Usta do słodkiéj pieszczoty!

O Panie! Twe wyroki niech ustrzegą Boże,
Mych braci, krewnych, druhów tych, co ostrzą noże,
By méj krwi stoczyć ostatek;

Niech nie widzą ci nawet, co łask twych niewarci
Pustéj klatki bez ptaka, bez pszczół pustej barci,
Pustego domu bez dziatek!

Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Autor *Kroniki zagranicznéj* w zeszycie na listopad roku zeszłego, w Bibliotece Warszawskiéj, dając ocenę dzieła pana L. Leger p. n.: *Le Monde Slave*, stanął szlachetnie w obronie Aleksandra Chodźki, o którego zasługach ten uczony francuzki dwójznacznie się wyraził. Na ten zarzut sam p. Leger w liście do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj nadesłał sprostowanie, które w zeszycie grudniowym 1873 r. tegoż pisma wydrukowaném zostało.

W zeszycie na luty r. b. w *Kronice zagranicznéj*, poświęcony jest ostatni ustęp okazaniu, jak mylném było powyżéj wzmiankowane sprostowanie i niesłuszny zarzut nieznajomości języka francuzkiego autorowi téj kroniki. Obecnie otrzymawszy list od pana F. G. Eichhoffa, znanego filologa i członka instytutu, jako ostatecznie ten przedmiot najdokładniéj wyjaśniający, podaję w oryginale wraz z przekładem.

Paris 16 Mars 1874.

Monsieur *)!

Je viens de lire avec étonnement dans une lettre dattée de Paris, publiée dans la *Revista Europea* de Florence, que l'auteur de la *Chronique Etrangère* que publie la *Biblioteka Warszawska*, s'était trompé en ne voyant dans l'expression française: une *modeste érudition*, qu'une *erudition médiocre*. Mais tel est le vrai sens de l'expression française; l'auteur de la lettre le sait trés bien; et son assertion est d'autant plus injuste qu'elle se rapporte à M-r A. Chodźko, du Collége de France, Orientaliste et Slaviste distingué, dont la science est généralement reconnue et attestée par d'excellents travaux.

---

*) Wyczytałem z podziwieniem w liście z Paryża, ogłoszonym w *Revista Europea* florenckiéj, że autor *kroniki zagranicznéj*, którą drukuje *Biblioteka Warszawska*, pomylił się, widząc w wyrażeniu francuzkiém: *une modeste érudition*, nie co innego, jak *erudition mediocre* (erudycyą mierną). Przecież takie

La science seule ne guide pas les jugements de l'auteur de la lettre, ainsi que le prouve un second alinéa. En effet, l'auteur de la *Chronique étrangère*, ayant dit qu'il y a au Louvre les preuves de l'existence de l'Ecole de la peinture allemande, au XIVme siècle, l'auteur français s'écrie: *C'est trop d'impudence!* sans daigner entrer dans aucune discussion. Ceci à mon avis, n'est ni modeste ni français! La colère en toute langue, est mauvaise conseillère.

Plein d'estime pour votre interressante publication, et plein de confiance dans l'auteur de la *chronique étrangère*, j'ai cru devoir vous soumettre ces observations, en vous priant de recevoir Monsieur le Redacteur l'assurence de mes sentiments les plus distingués.

F. G. Eichhoff.

Ct. de l'Institut.

---

jest a nie inne, prawdziwe znaczenie owego francuzkiego wyrażenia: autor listu wié o tém bardzo dobrze; zdanie zaś jego tém niesprawiedliwsze, że dotyczy pana Aleksandra Chodźki, z kollegium francuzkiego, znakomitego oryentalisty i slawisty, którego nauka powszechnie jest uznana, a udowodniona wybornemi pracami.

Nie sama tylko nauka kieruje sądem autora listu: świadczy o tém drugi jego ustęp. Jakoż gdy autor *kroniki zagranicznéj* powiedział, że są w Luwrze dowody istnienia szkoły malarstwa niemieckiego z XIV wieku; autor francuzki woła: *Cóż to za bezwstyd!* nie wchodząc nawet w bliższe wyjaśnienie. To mojém zdaniom nie jest ani skromnie, ani nawet po francuzku! W każdym języku gniew złym bywa doradzcą.

Pełen szacunku dla waszéj zajmującéj publikacyi, i pełen zaufania w autorze *kroniki zagranicznéj*, czułem się w obowiązku przedstawić niniejsze uwagi, prosząc was szanowny redaktorze, abyście przyjąć raczyli wyznanie mego wysokiego poważania.

F. G. Eichhoff.

Członek korrespondent Instytutu.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Lud, jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce. Przedstawił Oskar Kolberg, członek kor. Akademii umiejętności w Krakowie, oraz Towarzystw naukowych w Paryżu, Petersburgu i muzycznego we Lwowie. Serya VI. Krakowskie. Część druga. Kraków, w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego. 1873 rok. (w 8ce, str. V, 540).

Od wielu lat niezmordowany nasz etnograf, wytrwale postępując po raz obranéj drodze, od czasu do czasu obdarza nas nowemi zdobyczami na tém polu, które z jednéj strony rozszerzając sferę naszéj wiedzy, z drugiéj ratuje od zatraty drogocenne zabytki ludowego ducha, uczucia i wyobraźni.

Biblioteka Warszawska o pojawieniu się każdego dzieła Oskara Kolberga, nie zaniedbywała składać swoim czytelnikom szczegółowego sprawozdania; ocenia bowiem całą doniosłość i wartość prac tego badacza, które nietylko dla nas są zajmującemi, ale nabiorą w niedalekiéj przyszłości tém większéj ceny, gdy przy zmianach stosunków rolniczych, lud nasz, o tych skarbach umysłowych swoich praojców zapomni, i żadnéj nawet tradycyi o nich nie zachowa.

Smutne tego przykłady mamy w okolicach tak Warszawy jak i innych miast większych, gdzie, gdy pieśń zamilkła, ustały stare obrzędy, zniknęły praojców zwyczaje. Zatrata ta bolesna narodowéj cechy, tém jest szybszą tam, gdzie kobiety wiejskie w niedbałość ją puściły: ztąd widzimy jak silny wpływ ich, w życiu rodzinném i społeczném w tym małym światku wioskowym.

Część druga którą mamy przed oczyma, obejmuje Krakowskie i stanowi całość zebranych wiadomości o téj części kraju, która przed laty stała najwyżéj pod względem oświaty i intelligencyi ludowéj.

W pierwszéj seryi ukazał nam O. Kolberg cechy odznaczające lud krakowski tak w publiczném jako i prywatném życiu, tak w zwy-

czajach jak uroczystościach, po większéj części pochwycone z życia jego zewnętrznego; w téj zaś seryi przechodzi do skreślenia tego, co stanowiąc duszy tego ludu oddźwięk, wyrywa mu się w śpiewie, z przepełnionéj piersi uczuciem radości i smutku, czy to dyktowane zachwytem chwili bieżącéj, czy przekazane mu w spuściznie z poetycznéj praojców skarbnicy.

Obrzędy przeto domowe, pieśni i tańce stanowią téj części osnowę. „Muzyka (pisze autor we wstępie) łączy się tu z poezyą: bez niéj nie ma pieśni, nie ma tańca ni obrzędu. Lotna a rozgłośna ta córa niebios, tak przeważnie do wszystkich niemal mieszająca się spraw domowego i publicznego żywota każdego, a więc i krakowskiego ludu, wspiera je i podnosi tak dzielnie, że przedstawienie ich bez jéj współudziału, bez jéj rytmów i dźwięków, słaby zaledwie oddałoby spraw tych zarys, blade i zimne tylko, w miejsce tryskających krwią i życiem postaci, ukazując widma.“

Prace O. Kolberga w téj gałęzi podejmowane, z tego téż powodu górują po nad wszystkiemi jakie go poprzedziły, że sam muzyk, z równą troskliwością zbierać umié melodye ludowe, jak słowa pieśni i badać obrzędy, zwyczaje i obyczaje wiejskiego świata.

Poraz pierwszy spotykamy tu zbiór dosyć obszerny pieśni nie tylko polskich ale i łacińskich, które w osobnym się mieszczą rozdziale pod napisem: *Dwory i miasta, szkoły.* Żadnéj one łączności nie mają z utworami ludu sielskiego; z innych one powstały żywiołów, nie przeszły do cichéj zagrody wiejskiéj, ale przyrosły do miejskich murów.

Autor, tłumacząc się z tego ustępu swego dzieła, pisze: „W zbiorze niniejszym spotka czytelnik obok wytworniejszych pieśni i takie, które nader małą, a niekiedy i żadnéj poetycznéj nie mają wartości. Pominąć jednakże ich nie uważaliśmy za stosowne, jużto dla wyższego niekiedy ich melodyi polotu, już ze względu na historyczne i psychologiczne ich znaczenie, gdyż wiernie odbijają one czasy, odsłaniają stosunki zobopólne, stopień cywilizacyi, pojęcia (osobliwie drobnéj szlachty) i wszelkie okoliczności, pod wpływem których zrodziły się i wykołysały. Chwast atoli nie wszędzie i tu jeszcze zdołał zdrowe zagłuszyć ziarna, więc złe i słabe wielorako miesza się tu z dobrém.“

Kiedy przed czterdziestu jeden laty Wacław Zaleski pierwszy zbiór ogłosił: „Pieśni polskich i ruskich ludu galicyjskiego,“ z muzyką instrumentowaną Karola Lipińskiego (Lwów 1833 r.) pomieszał w nim pieśni ludowe z miejskiemi i jak mówią *światowemi.* Krytyka wówczas słuszny zarzut zbieraczowi temu uczyniła, że mniéj obeznani z utworami czysto wiejskiego pochodzenia, nie łatwo potrafią rozróżnić prawdziwy z natchnienia ludowego, od sztucznego wyrobu, który z ksiąg drukowanych, albo z desek teatrów spopularyzował się po miastach i dworkach *szlachty zagonowéj.*

Oskar Kolberg uniknął tego zarzutu, albowiem zbiór cały tego rodzaju piosnek w osobnym rozdziale pomieścił, oznaczywszy pomiędzy niemi a pieśniami ludowemi wyraźny przedział.

Przyznać musimy że i tego rodzaju utwory poetyczne, niewchodząc w ich wartość wewnętrzną, mają swoje znaczenie i zasługują na uwagę badacza, w nich bowiem znajdujemy wiele pieśni naszych poetów jak Jana Kochanowskiego, Karpińskiego, Kniaźnina, Jasińskiego i w. i., które treścią swoją jak prostotą pełną myśli i uczucia, przemówiły do zagrody szlacheckiéj albo bruku miejskiego i do nich przyrosły. Były one i są osłodą w troskach, lub odzewem radosnego uderzenia serc nie jednego już pokolenia. Zbiór ich zgromadzony od XVI stulecia, stanowiłby dużą księgę tych pieśni popularnych a oddzielnych od ludowych: zasobów potemu niebraknie, gdyż posiadamy wiele drukiem ogłoszonych w XVI i XVII stuleciu. Oprócz tego znajdujemy tu dział nowy także a osobny p. n.: „Pieśni dziadowskie.“ Któżby mógł pomyśléć, że gdy w pieśniach ludowych, historyczne wspomnienia żadnego echa nawet nie obudziły, w „Dziadowskich,“ znalazły poczesne miejsce. Kto badał dawne życie narodu wewnętrzne, ten wié, jak przeważną rolę grały „Dziady“ w naszéj społeczności. Mając swoją organizacyę i stałe okolice do żebrania, roznosili nietylko najświeższe ze świata nowiny, ale w pieśniach swoich przechowywali dziejowe wspomnienia. W zbiorku Kolberga w téj seryi, mamy pieśni poświęcone pamięci *Piotra Kmity* słynnego możnowładzcy za Zygmunta Augusta, *króla Jana III* i odsieczy Wiednia, wreszcie zdobycie przez Turków Kamieńca Podolskiego i rzewne nad tym żale. Ród starych *dziadów*, tych przechowywaczów dawnych wspomnień historycznych i pieśni już wygasł u nas: szczątki ich przechowały się jedynie w Galicyi; troskliwy zbieracz z ust ich wiele jeszcze pamiątek w tym rodzaju zdobyć może. Zwrócona uwaga na *Pieśni dziadowskie*, przez naszego badacza, może zachęcić do pilniejszego studyowania tych niknących, a w niedalekiéj przeszłości tak wydatnych postaci, które były ogniwem łączącém lud wiejski z zagonową szlachtą i mieszczanami.

Wydanie dzieła staranne, ozdobione rycinami kolorowanemi, gdzie kostiumy ludowe są przedstawiane, a wiadomo jak barwa ubrania i kształty kroju sukni stanowią wydatne a charakterystyczne różnice, mieszkańców wiejskich rozmaitych okolic. Drzeworyty wśród tekstu, objaśniają takowy.

Część ta pracy Kolberga, wydaną została jak i poprzednia z pomocą funduszu księcia Jerzego Romana Lubomirskiego, pod zarządem Akademii umiejętności w Krakowie będącego.

Za to poparcie zacnych usiłowań naszego etnografa, wdzięczność się należy, bo sam za swe trudy i usługi nieocenione, jakie oddał literaturze krajowéj, innéj nagrody nie szukał i nie ma, jak tylko

że zebrane materyały przez długie lata, a tak drogocenne, drukiem ogłaszać może, chroniąc je od zagłady.

K. Wł. W.

Zbiór piosnek z towarzyszeniem fortepianu. Muzyka i słowa Artura Barthels'a. Warszawa, skład główny u Gebethnera i Wolffa. (W kroju arkuszowym. Tekst pod nutami i oddzielnie litografowany).

Do wspomnień już tylko należy, chociaż czas nie tak dawny, gdy pieśń była miłą przykrasą naszych zebrań towarzyskich.

Wdzięczna melodya przy pełnéj prostocie i uczucia słowie, orzeźwiała młode serca, myśl uszlachetniała, a dla starszego wiekiem grona była słodkiém przypomnieniem lat młodych. W zdrowéj a czerstwéj duchowo społeczności naszéj, taki objaw już nieraz widzieliśmy, i dla psychologa może stanowić dowód, że gdy pieśń umilka w kółkach rodzinnych i przyjacielskich zgromadzeniach, tam choroba moralna zaczyna je trapić. Od XVI stulecia gdy druk zaczął rozpowszechniać utwory narodowego ducha, widzimy, jak ważnym pieśni były żywiołem w życiu domowém, jaką rolę odegrywały na każdém czy to większém zebraniu we dworze szlacheckim.

Zwyczaj ten, gdy miasta się nasze rozrosły, kiedy znaczna część rodzin ziemiańskich stale w nich osiadła, w kółkach obywatelskich oprócz gawędy i pieśń zawsze brzmiała. Nie brakło poetów pieśniarzy, których imiona zaginęły, ale ich utwory serca i swobodnéj myśli zostały. W licznych zabytkach tego rodzaju, już odleglejszéj już bliższéj nam przeszłości, znajdujemy że każdy z lirycznych poetów złożył w téj skarbnicy dań swoją. Nie brakło nam i takich, którzy wyłącznie poświęcali się pieśniarstwu. W pierwszéj połowie naszego stulecia takim był Stanisław Doliwa Starzyński, w bieżącym okresie Artur Barthels.

Utalentowony rysownik, pisarz dramatyczny, poeta, we wszystkich utworach ołówka czy pióra, pokazuje humor i wyższy dowcip, obok szlachetnych dążności.

O jego albumie rysunkowym, Biblioteka Warszawska w swoim czasie złożyła obszerniejsze sprawozdanie: o utworach dramatycznych głuche milczenie, może dla tego że autor wydawszy w Wilnie 1859 r. p. n. *Dramata i komedye*, oznaczył je jako *Seryę pierwszą*, i oczekiwano na dalsze, które się już nie ukazały. Część ta obejmuje dramat w 3 aktach i komedyę w jednym akcie, wierszem. Oddawna imię Barthels'a znaném jest na Litwie, jak i jego pieśni, które brzmiały po dworach ziemiańskich. Niektóre drukowały nasze ilustracye, teraz sam autor wydał ich zbiór, złożony z piętnastu

utworów z melodyami. Podzielić je można na humorystyczne, które przeważają, i na czysto liryczne, w których rzewna myśl i uczucie przebija. Z obu rodzajów podamy tu przykłady.

I.

Departament Niższéj Sekwany.

Z głuchéj prowincyi wracam, panowie!
Gdyby nie zwykłe życia kłopoty,
Gdyby nie nasze w ścisłéj osnowie,
Gościńce, groble, mosty i płoty;
Gdyby nie biéda w znaczeniu całem,
Co krok żyd brudny lub chłop pijany:
Mógłbym powiedzieć że przyjechałem
Z departamentu Niższéj Sekwany.
Bo gdzie nie potknąć, słyszeć się daje
Język francuzki, ściśle paryzki.
Pani sędzina swą Andzię łaje:
— „Anne ne regarde pas le jeune Pipiski.“
Pani Amsicka, komu się śniło,
Krzyczy na męża:—„Jasiu kochany!
Que fait Bartłomiej, ou est Hauryłło?“
Wciąż departament Niższéj Sekwany;
Poważna pani Prutumkiewiczowa
Powiada do mnie w jednę niedzielę:
— „Gdzie się pan ciągle tak od nas chowa,
Venez, ach venez donc à Kurzele.“
Ja się tłumaczę mową i gestem,
Cytuję ważne jakieś zajęcie:
— „Cessez, ach cessez“ i znowu jestem
W Niższéj Sekwany departamencie.
Panny toż samo, zdaje się żadna,
Po polsku nawet mówić nie umié;
Chyba pochwalić, że która ładna,
To i po persku każda zrozumié:
W długie rozmowy rzadko się wdają,
Lecz za to słychać w każdym momencie:
Oui, *non* i *vraiment*, tak jak gadają
W Niższéj Sekwany departamencie.
Panna Pelagia, panna Agnieszka,
Jeżeli tylko o modach mowa,
Nigdy uprzedzić cię nieomieszka:
„Quon trouve tout ceci chez Markusowa.“

Albo że Jankiel ma w swoim kramie:
„Un choïx d'étoffes ślicznie dobrany"
I musisz wierzyć téj modnéj damie,
Z departamentu Niższéj Sekwany.
Prócz z ekonomem albo lokajem
Pan Piotr po polsku nie mówi z nikiem,
Z żoną i dziećmi modnym zwyczajem,
Zawsze Francuzem jest lub Anglikiem.
Prawiąc o wszystkiém dość niedorzecznie,
Wciąż francuzczyznę trzepie zawzięcie,
I w jego domu czujesz się wiecznie,
W Niższéj Sekwany departamencie.
Rozumiem dobrze, że w dużém mieście,
Gdzie cudzoziemców liczą kopami,
Język francuzki kwitnie, choć wreszcie,
I to porządnie nudzi czasami;
Lecz cóż o takich dziurach powiecie,
Gdzie w sto lat francuz bywa widziany,
I które pragną uchodzić w świecie
Za departament Niższéj Sekwany!

II.

Różne szczęście.

Pierwszém szczęściem kij drewniany
Konikiem się zwący,
I bicz w błocie uwalany,
Ale trzaskający.
Przytém długi bardzo sznurek,
Od babci kochanéj,
I spodeczek konfiturek
Po lekcyi wydanéj.
Czemuż równie nie troskliwém nie jest życie całe,
A tak wszystko razem zmienne, a razem nie trwałe!

Drugiém szczęściem, z nudnéj szkoły
Powrót piękném latem,
Z otrzymanym za mozoły
Chlubnym atestatem:
Ojciec pieści, u mateczki
Serce rośnie prawie,
A dwie ładne kuzyneczki
Patrzają ciekawie.
Czemuż z tak niewinnych uciech nie jest życie całe,
A tak wszystko razem zmienne, a razem nie trwałe!

Trzeciém szczęściem, to spotkanie
Z *nią*, o szarym zmroku
I radosne powitanie
Uczucia w jéj oku.
Ile zmiany w serca biciu
I błogiéj gorączki,
Za ściśnieniem piérwszém w życiu,
Malutkiéj téj rączki.
Czemuż pod takiém wrażeniem nie jest życie całe,
A tak wszystko razem zmienne, a razem nie trwałe!

Dalszém szczęściem z dobrą żoną
I dzieciaków gronem,
Widzieć pracę nagrodzoną
I cieszyć się plonem.
Z czystą myślą i sumieniem,
Chleb swój codzień spożyć,
I czekanych z upragnieniem
Pociech z dziatek dożyć.
Czemuż z równie czystych uczuć nie jest życie całe,
A tak wszystko razem zmienne, a razem nie trwałe.

Wreszcie, szczęściem ostatecznem,
On czas wypoczynku,
W cichém domostwie, bezpiecznem,
Ogień na kominku;
Rosół z kury, sypka kasza,
Mięsa kawał miękki,
I sąsiada do maryasza,
I miłéj gawędki.
Czemuż, Boże, i to nawet, w życiu naszém całém,
Stało szczęściem się wybranych, a i tak nietrwałém!

Gdybyśmy mieli całkowity zbiór pieśni Artura Barthels'a, ciekawe byłoby zestawienie takowych z utworami Stanisława Starzyńskiego. Obaj utalentowani lirycy są rzadkiém zjawiskiem w literaturze naszéj, gdyż wyłącznie poświęciwszy swe pióro pieśniom, dorazu pozyskali sobie powszechne uznanie, i te utwory swobodnéj chwili, rzewnego czy smutnego nastroju, znalazły wszędzie nietylko gościnne ale serdeczne przyjęcie. Rozdzieleni z sobą przedziałem lat czterdziestu z górą, są braćmi co do zacności uczuć i podniosłéj myśli. Pierwszy, w cieplejszéj atmosferze kąpiąc swego ducha, na wyższy ton nastrajał nieraz swe pieśni i nie jedna z nich z barwą historyczną, pozostała jako drogowskaz właściwego sobie okresu, po którym szła społeczność; drugi, nie mający téj sposobności, patrzy w powszednie życie, uczuwa jego troski chwytając strony ujemne, które dowcipnie wy-

śmiewa. Obaj stoją na jednym gruncie podnosząc co piękne i szlachetne, karcąc co złe i brzydkie.

Melodye do tych pieśni łatwe, harmonijne, łatwo wpadające w ucho i żłobiące się w pamięci, posłużyły do ich rozpowszechnienia. Muzyka i pieśń, na każdym z naszéj społeczności co zachował właściwe cechy swego rodu, silne zawsze obudza wrażenia. Przypomnijmy, że Mickiewicz wpadał w poetyczne zachwycenie, gdy usłyszał nutę do znanéj piosnki Karpińskiego *Filon* i *Laura*, albo menuet z Don Juana. Były to najulubieńsze jego melodye: można je było wygrywać po całych godzinach, zawsze mu nie dość było jeszcze. Melodye te podtrzymywały natchnienie jego w improwizacyi. *R.*

Pomoc dla potrzeb dzisiejszéj chwili, jest przedewszywskiém pożądaną i każda praca w tym celu, pozyskać musi szczególne uznanie i szacunek. Do takich prac liczymy książkę w tym czasie wyszłą pod tytułem: *Nasze błędy wgospodarstwie folwarcznėm*, przez Ludwika Górskiego. Autor wskazuje błędy, doradza poprawę, a rady swe opiera na długoletniéj praktyce swojéj i na nauce. Do zakresu jego nie wchodzą gospodarstwa, wyróżniające się postępem nie zwykłym, jako też zupełnie zaniedbane i niemające środków podźwignienia; lecz zajmuje się jedynie gospodarstwami folwarcznemi w średnim stanie będącemi, a których mamy najwięcéj. Wykazuje, że chociaż niektóre błędy dają się usprawiedliwić miejscowemi okolicznościami, inne natomiast są wypływem niewiadomości lub rutyny odległéj epoki sięgającéj, a obecnie albo zmienionym warunkom ekonomicznym nieodpowiednie, albo niezgodne z niewątpliwemi i doświadczeniem sprawdzonemi nabytkami nauki, a takie kierunki gospodarstw tém są szkodliwsze, kiedy kraj znajduje się w stadyum ekonomicznych przekształceń, wywierających przeważny wpływ na ogólny ustrój własności ziemskiéj. Gospodarstwa bowiem u nas, znajdują się w najważniejszéj epoce reformy rolnictwa. Zniesienie roboty pańszczyznianéj, czynszów, propinacyi, znakomite podwyższenie podatków gruntowych i gminnych, wysokość ceny najmu, a często nawet zupełny brak rąk do pracy spowodowany nagłém wytworzeniem drobnéj własności szerokiemi służebnościami uposażoućj, obciążenie temiż służebnościami większéj własności ziemskiéj: wszystkie te okoliczności, postawiły gospodarstwa folwarczne w zupełnie nowych warunkach. I jeszcze radykalna taka zmiana nastąpiła wówczas, kiedy grunta folwarczne przez długoletnią wyczerpującą uprawę wyjałowione zostały, kiedy hypoteki długami przeciążone nie dawały rękojmi dla kredytu, a znakomita większość właścicieli, pozbawiona jest wszelkich pieniężnych zasobów. W takiém położeniu, jeszcze jeden błąd a ostateczna zagłada. Dziesięć lat dobiegą od zaprowadzenia przekształceń ekonomicznych. Czas dostateczny, aby już gospodarstwom naszym nadać kierunek odpowiedni. Możemy już przekonywać się,

cośmy zrobili, i czy na dobréj jesteśmy drodze a mianowicie: czy upowszechnione sposoby uprawy i hodowli inwentarza, są odpowiednie wymaganiom i okolicznościom obecnym? Czy rozmiary własności ziemskiéj, są do możności i wysokości rozporządzalnego kapitału ustosunkowane, oraz, czy sposób użycia kapitału, jest właściwy? Nakoniec, czy posiadamy naukowe wykształcenie i moralne przymioty do zarządu całością gospodarstwa i kierowania podwładnemi ludźmi potrzebne? Słowem możemy już i powinniśmy zrobić rodzaj rozbioru sumienia gospodarskiego z tego przeciągu czasu. Zadaniem więc autora jest, téj czynności, chociaż w części dopomódz, a do rozbioru swego błędne kierunki gospodarstw naszych, dzieli na trzy grupy: a mianowicie na błędy rolnicze, ekonomiczne i zarządu dóbr dotyczące.

Oto własnemi słowami autora, dajemy wiadomość o pracy jego. Czytelnik poznaje ztąd ważność przedmiotu i rany grożące niebezpieczeństwem, które spiesznego i rozumnego wymagają ratunku. Lecz do pytań autora dorzucamy jeszcze jedno: czy bez uregulowania stanowczego i usunięcia na zawsze służebności, oraz, czy bez utworzenia stosownych władz gminnych i bez zaprowadzenia szkółek w gminie, mamy już fundament do budowy, jako zachętę do pracy, i czy bez takiego fundamentu, praca nasza nie będzie tylko beczką Danaid, która się nigdy nie napełni. Prawda, że i w takim nawet razie, nie wolno rąk opuszczać i poddawać się apatyi, bo to środek destrukcyjny i czyn haniebny. *A. J. S.*

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Marzec 1874 r.—Wyszły na widok publiczny pieśni wschodnie BogumiłaAspisa pod tytułem: *Sulamita*. Jest to obrazek dramatyczny, przypisany żonie autora: „W nagrodę anielskiéj cierpliwości, z jaką słuchała po stokroć czytane jéj rymy męża.” Poemat ten znany z prelekcyi. Autor dawniéj wydał poemat pod tytułem: Salvator, poemat napisany przez Jakóba Szatana. Część pierwsza, oraz Sen odrodzenia, dedykowany pani Kazimierze z Pietrąszewskich Mosch.

— Znanym od lat wielu z talentu jest pisarz dramatyczny Wład. hr. Koziebrodzki. Kilka komedyi jego drukowały nasze ilustracye, wyszły i w oddzielnych książkach. Każda odznacza się nie tylko dobrym układem scenicznym ale szlachetną i piękną myślą przy dobrym języku. Reżyserya teatrów która tyle śmieci z obcych

języków i miernostek oryginalnych bez myśli i sensu, a grzeszących nieobyczajnością wprowadza z upodobaniem na ich scenę; z godnym podziwu uporem odpycha utwory tego autora, które niemcy tłumaczą. Żałować potrzeba że doborem sztuk mających być przedstawianemi, dotychczas nie zajmuje się poważne grono znawców.

— We Lwowie p. Kunasiewicz wydaje zeszytami: Przechadzki Archeologiczne po Lwowie. Wyszło dwa zeszyty: pierwszy zawiera historyę tego grodu od czasu jego założenia do XV wieku; drugi XVI obejmuje stulecie.

— R. v. *Jhering*, autor słynnego w literaturze prawniczéj dzieła; „Geist des römischen Rechts“ wydał rozprawę, czytaną na posiedzeniu wiedeńskiego Towarzystwa prawniczego p. t. *Walka o Prawo* (Der Kampf ums Recht. Wien. Manz 1873). Iest to wymowna protestacya przeciwko wprowadzanéj do stosunków społecznych zasadzie „walki o byt“, chociaż imię Darwina nie jest wymienione wyraźnie. W ciągu krótkiego czasu rozprawa ta doczekała trzeciego wydania.

— *Joh. Gustaw Droysen*, professor historyi powszechnéj na uniwersytecie Berlińskim doszedł w ogłoszonéj świeżo 5-téj części ogromnego dzieła swego (Geschichte der preussischen Politik) do Fryderyka Wielkiego. Postać tego króla jest tu kreślona z uwielbieniem. Oprócz genialności autor uwydatnia w swym bohatérze niezwykłe poczucie obowiązku (Pflichtgefühl) i poświęcenie dla państwa swojego.

— *Komitet Towarzystwa oświaty ludowéj* w Niemczech ogłosił sprawozdanie za r. 1873, p. n.: *Jahresbericht der Gesellschaft für Volksbildung*, z którego przekonać się można jak gorliwie krzątą się rzeczone Towarzystwo około swego zadania. W roku 1872 liczba stowarzyszeń (Vereine) prowicyonalnych dochodziła do cyfry 158, w roku zeszłym wzrosła do cyfry 276. Czynności tych Vereinów zależały głównie na zakładaniu szkół, urządzaniu odczytów „wędrownych“ dla prowincyj i wyszukiwaniu prelegentów oraz na urządzaniu bibliotek ludowych. Wydawano też czasopismo p. t. Der Bildungsverein pod redakcyą sekretarza komitetu D-ra Fr. Leibinga.

— *Fr. Lenormant* jeden z uczonych, gorliwie pracujących nad przebudowaniem historyi starożytnego Wschodu, wydał szereg rozpraw w 2-ch tomach p. t. *Les premières civilisations* (Paris, Maisonneuve). Tom I obejmuje archeologią przedhistoryczną i Egipt, w tomie II zawiera się Chaldea, Assyrya i Fenicya. Znajduje się tu, pomiędzy innemi, studyum poematu lirycznego starożytnych Egipcyan Pentaur i romansu egipskiego: „Dwaj Bracia“: przedruk rozprawy ogłoszonéj odzielnie w roku zeszłym: „Potop i epopea Babilońska“, krytyka „legendy o Semiramidzie“, biografia króla biblijnego Merodach-Baladana p. t. „Patryota Babiloński VIII wieku przed naszą erą“, nareszcie „Legenda o Kadmusie i osady fenickie w Grecyi“. Publikacya ta obfituje w nowe pomysły i fakta czerpane z odkryć najświeższych.

— Wyszło już z druku oczekiwane z niecierpliwością sprawozdanie z poszukiwań na gruzach starożytnéj Troi p. t. Starożytności Trojańskie (*Trojanische Alterthümer*, Bericht über die Ausgrabungen in Troja. Brockhaus. Leipzig l. t. in 8-vo, cena 2 talary), przez *Henryka Schliemann'a*. Prócz tekstu wyszedł też *Atlas* z 218 fotograficznemi wizerunkami mnóstwa (przeszło 4, 000) odkopanych zabytków sztuki, sprzętów, broni etc. oraz planami topograficznemi. Atlas sprzedaje się oddzielnie po 18 talarów.

— We Włoszech objawia się znaczny ruch w literaturze filozoficznéj. Godném jest uwagi, że licznych zwolenników zyskał tam Hegel. System berlińskiego mędrca, popularyzowali A. Vera, B. Spaventa, R. Mariano, Ragnisco (autor obszernego dzieła p. t.: Storia critica delle categorie daj primordi della filosofia greca sino ad Hegel 1871 r.). Wszakże nie brak dzieł i w innych kierunkach. Obecnie S. F. De Dominicis ogłosił szkic krytyczny p. t. Galilei e Kant (Bologna, Zanichelli), w którym usiłuje pogodzić abstrakcyjnego filozofa ze znakomitym astronomem i fizykiem; dzieło jest przypisane przedstawicielowi szkoły pozytywnej we Włoszech, professorowi Villari. R. de Carolis, professor uniwersytetu w Turynie, wydał „Teoryą poznania" (Teorica della conscenza. Roma. Paravia), któréj zasady płyną „z religii, odziedziczonéj przez ojców naszych" etc.

— Po Edwardzie Bulwerze pozostał romans czyli raczéj szereg studyów i wiernych obrazków z życia paryzkiego od czasów plebiscytu aż do końca oblężenia 1871 roku pod tytułem „The Parisians" (Tauchnitz edition, Leipzig 1873 tomów 4). Występują tu nietylko typy francuzów i anglików, ale i osób rzeczywistych, które brały udział w wypadkach spółczesnych. Charakterystyka zwykle jest bardzo trafna i żywa.

— Konsul austryacki Dr. Karol von Scherzer ogłosił raport wypracowany na rozkaz swego rządu przed wystawą wiedeńską, o stosunkach ekonomicznych i intellektualnych w Azyi Mniejszéj p. t. *Smyrna* (Wien, Alfred Hölder 1873). Jest tu ciekawy obraz wychowania publicznego u ludności tureckiéj i greckiéj. W Smyrnie na 45000 muzułmanów, uczęszcza do szkół elementarnych zaledwo 400 chłopców. Przeciwnie gmina grecka, nie cofa się przed żadnemi ofiarami, żeby jak najwięcéj szkół zakładać i najskuteczniéj oświatę szerzyć: 75000 ludność grecka posiada gimnazya i szkoły żeńskie, w których wykładają wychowańcy lub wychowanki uniwersytetu i instytutu pedagogicznego ateńskiego; jest tu dziesięć czynnych drukarń, 3 gazety polityczne, 2 illustracye i Towarzystwo literackie imienia Homera, które wydaje czasopismo miesięczne. Obok apatyi i upadku rassy tureckiéj, uderzają uważniejszych badaczy znamiona odrodzenia w ludności greckiéj.

— Dr. Adolf Bastian, professor uniwersytetu, prezes Towarzystwa geograficzn. w Berlinie, w swoich „obrazach geograficznych i etnologicznych" (*Geographische und ethnologische Bilder*, Jena, Kostenoble

1873; str. 599 in 8-vo), podał świetne nawet pod względem stylowym, (co jest rzeczą niezwykłą w dziełach tego uczonego) szkice z rozmaitych części świata i wspomnienia z licznych swoich podróży do Ameryki, Australii, Azyi.

† Dnia 21 marca r. b. umarł w Warszawie ś. p. ***Jakób Budziłowicz,*** przeżywszy lat 70. W dziejach prassy peryodycznéj warszawskiéj położył nie małe zasługi, albowiem wśród głuchéj ciszy literackiéj stanął jako redaktor pisma: *Przegląd warszawski literatury, historyi, statystyki i rozmaitości,* którego wydawnictwo rozpocząwszy w roku 1840, pomimo wielu przeciwności i małéj liczby prenumeratorów, przez lat trzy, do 1842 prowadził. Tu Teofil Lenartowicz z pierwszemi utworami po raz pierwszy wystąpił. Organ ten prócz tego wielu młodych pisarzy wspierało.

OD REDAKCYI.

Autor rozprawy: „Warszawa i jéj społeczność w początkach naszego stulecia," otrzymał od p. Zdżarskiego ze Sławęcina następne sprostowanie, co do zdarzenia przytoczonego w takowéj.

W Bibliotece Warszawskiéj w zeszycie za miesiąc styczeń 1874 na str. 7 znajduje się odsyłacz w treści:

„Słyszałem od biskupa Prażmowskiego, że kiedy podejmował w Pułtusku cesarza Napoleona I-ego z jego marszałkami i świtą, i kazał srébra zastawić, po uczcie goście obecni zagrabili takowe. Gdy się biskup uskarżał na to Napoleonowi I, ten zbył go krótką odpowiedzią: „cóż robić, to czasy wojenne."

„Zwracam uwagę autora, że przyjęcie cesarza Napoleona w Pułtusku, miało miejsce w r. 1806 przed bitwą pod tém miastem stoczoną. Biskupem płockim w te czasy był ks. Szembek, a Adam Prażmowski został nim dopiero w kilkanaście lat później. Wprawdzie zdarzenie w odsyłaczu zamieszczone było rzeczywiste. Powiadał mi o nim ks. Jan Pniewski dziekan kollegiaty pułtuskiéj i kanonik katedralny płocki, opiekun szpitala Siostr Miłosierdzia w Pułtusku, który prowadząc proces graniczny w imieniu szpitala z Janem Dembińskim pisarzem kancelaryi ziemiańskiéj gubernii Płockiéj, dziedzicem dóbr Niestempowa, bywał często w domu moim, jako u ówczesnego patrona przy trybunale płockim. Zdarzenia tego był naocznym świadkiem, jako kapelan domowy ks. biskupa Szembeka; dodawał przytém, że ksiądz biskup byłby się o te srébra nie

upominał wcale, tylko, że nie mając tyle swoich własnych, zapożyczył z różnych domów obywatelskich znaczną ich ilość i był w obawie, aby o ich przywłaszczenie nie był podejrzany. Zdaje się, że ks. biskup Prażmowski, udzielając panu o zabranych srébrach wiadomość, miał ją z podania od ś. p. ks. Pniewskiego kanonika; nie mógł zaś tego mówić o sobie, bo w r. 1806, zapewne jeszcze o biskupstwie płockiém nie myślał."

Sławęcin, d. 4 lutego 1874 r. *Zdżarski.*

Pan Piotr Aleksander Wereszczyński, w liście z Petersburga pod datą 9 lutego r. b. zapytuje, zkąd autor „Opisu Warszawy i jéj społeczności," poczerpnął wiadomość o poślubieniu Elżbiety z Szydłowskich Grabowskiéj, tajemnie przez Stanisława Augusta.

W odpowiedzi na ten list, autor ma zaszczyt odpowiedzieć, że kopią wierzytelną tego ślubu, widział i czytał u ś. p. Joachima Lelewela; późniéj historyk ten w tomie VI-ym dzieła swego: „Polska i jéj rzeczy," zamieszczając genealogią Poniatowskich pisze. „Wszedł w śluby małżeńskie, prywatne 1784 roku z Grabowską z domu Szydłowską, biskup Albertrandi małżeństwo błogosławił." A. Kitowicz w Pamiętniku swoim tom III, szeroko się nad tém rozwodzi i przytacza osoby, które towarzyszyły temu obrządkowi. Co do porwania króla Stanisława Augusta, jest wyjaśnienie przy opisie ulicy Miodowéj. (*Biblioteka Warszawska*, zeszyt marcowy r. b.). Dodać winienem, że król wprost z Zamku Warszawskiego wyjechał do pałacu Radziwiłłów (zwanego dziś pałacem Paca) i po wizycie u księcia Czartoryskiego porwanym został.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca *Józef Berger.*

Muzeum przemysłowo-techniczne

W KRAKOWIE.

PRZEZ

Konstancyę Wiszniewską.

Słusznie jedno z pism naszych obrało sobie za dewizę: „Wiedza to potęga." Mając téj prawdy liczne przykłady, wiedzy pragniemy niemal wszyscy, czując żywą potrzebę przyswojenia jéj sobie w najrozleglejszym zakresie.

W narodach, w których nauka jest, że tak powiemy cechą obywatelstwa, równouprawiającą wszystkie warstwy społeczeństwa i jedynie szlachetną emancypacyą kobiet, świątynia wiedzy stoi otworem dla każdego, w rozlicznych zakładach naukowych, które, począwszy od elementarnéj szkółki, do jéj najwyższych stopniowo prowadzą szczytów drogą już utorowaną, pewną a przystępną. Bowiem w narodach takich, *oświata* to najgłówniejsza, najżywotniejsza potrzeba ich społecznéj organizacyi; uprzystępnić ją, dać ją że tak powiemy darmo gotową, jest zadaniem narodowego obowiązku, nad którego spełnieniem *pracują mężowie stanu*, kwestyą oświaty i bezpłatnego wychowania, na pierwszym stawiący planie; *pracują możni*, którzy niezdolni zamknąć się egoistycznie w skarbach własnéj fortuny, szukają rozkoszy godnych ich wyższego, społecznego stanowiska, używając jéj na rozliczne zakłady naukowe, specyalne, zbiory, biblioteki, gabinety, muzea, podejmując koszta dzieł, potrzebujących wielkiego nakładu, lub też sami, należąc czynnie do wszelkich stowarzyszeń naukowych; *pracują uczeni*, jużto śledząc coraz nowych praw w cudownéj księdze wszechświata, już nie oszczędzając mozolnych trudów publicznego nauczania za pomocą dzieł popularnych, wykładów, odczytów, doświadczeń, dzieląc się w ten sposób z ogółem, owocem swéj dojrzałéj, często długoletniéj pracy. *Pracuje* wkońcu gorliwie z przejęciem się godnością swego obowiązku

REDAKCYA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ

każdy nauczyciel początkującéj szkółki, przygotowując niejako rolę dobrze uprawną pod przyszły zasiew. Lecz w narodach takich istnieje obok tego konieczna, moralna równowaga podziału pracy. Gdy jedna połowa *pracuje, aby nauczać*, druga, spłacając dług wdzięczności, oraz dopełniając własnego i narodowego obowiązku, *pracuje, aby się nauczyć*, naukę tę wprowadzić w życie i zastosować do wszelkich potrzeb społecznych.

Ztąd dopiero wypływają rozległe, a istotne i nieocenione korzyści moralne, umysłowe i materyalne, które stanowią *potęgę wiedzy*.

Dojść jednak do tego, aby wiedza nie była wyłącznie ucztą klass uprzywilejowanych, nie jest dziełem ani jednéj chwili, ani pojedyńczych, choćby najszlachetniejszych usiłowań. Samo poczucie jéj potrzeby objawia się dopiero w miarę społecznego i umysłowego rozwoju narodów. Jak człowiek, tak i naród, każdy z osobna przechodzi, stopniowo od dziecinnéj nieświadomości, do dojrzałości umysłowéj. Historya daje nam wierny obraz, jakiemi drogami ludzkość dąży do niéj, i jak na podstawach politycznego bytu, wedle charakteru i usposobień narodowych, oraz wewnętrznego, społecznego ustroju, rozwija się dopiero cywilizacya; jak człowiek bowiem tak i narody ulegają oddziaływaniu zewnętrznych i wewnętrznych warunków: dlatego też spostrzegamy znaczne różnice w stopniu ich ukształcenia i oświaty!

Ośmielilibyśmy się wypowiedzieć w tym względzie nasze przekonanie, iż najszczersze usiłowania nie są w stanie dać istotnych rezultatów, przez brak dobrze zorganizowanych szkółek elementarnych, dających gruntowne, początkowe wiadomości, oraz zakładów średnich, specyalnych, poświęconych klassom mniéj zamożnym, rzemieślniczym, niemogącym długiego czasu, ani wielkich kosztów poświęcać na naukę konieczną przecież każdemu w dzisiejszém pojęciu czasu! Nauka jest jeszcze ucztą, nie dla wszystkich przystępną, i choćby w pewném stopniowaniu, nie zdołała objąć wszystkich warstw społeczeństwa.

Jeśli zaś widzimy ciągłą pracę i krzątanie się tak w Krakowie jak i we Lwowie około szerzenia światła, jeśli nie brak poważnéj liczby ludzi szlachetnego poświęcenia, starających się radzić, o ile da się naglącym potrzebom, to zawsze środki są dorywcze i niezupełnie dostateczne. Odczyty, prelekcye, bezwątpienia pożądane bardzo, zajmą, zaciekawią publiczność, zbogacą nawet do pewnego stopnia umysł; lecz przyznajmy, bez nabytych uprzednio wstępnych wiadomości, będą to zawsze tylko cząstki oderwane, niedające pojęcia całości.

Szkoła początkowa, to fundament, bez którego nie masz trwałego gmachu wiedzy. Onato, stosując naukę wedle potrzeb i pojęć dziecka, wieśniaka lub rzemieślnika, uczyni to koniecznie w sposób systematycznéj i wystarczającéj całości. Mały, krótki katechizm, jako treść religii, zarówno oświeca kmiotka i uczonego, a mimo znacznéj różnicy umysłowéj, zbliża ich pojęcia. Takiż sam stosunek winien być i w innych gałęziach wiedzy ludzkiéj.

Jak słupy telegrafu niby nie znaczyły, nie będąc drutem połączone, tak i wiedza potrzebuje mieć nić umysłową, po której myśli strumienie światła z łatwością rozbiegać się mogły do najdalszych zakątków.

Po tém, cośmy powiedzieli, łatwo zrozumieć, że największém dobrodziejstwem dla narodu, są wszelkie zakłady naukowe. Tém one głębszego nabierają znaczenia, im gruntowniéj odpowiadają jego potrzebom. Korzyści w takim razie są nieobliczone, oświata bowiem dopiero w całém znaczeniu, znosi *niewolnictwo przesądu* i daje szlachetną godność wolności i równości praw osobistych. Praca w tym kierunku, podjęta dla społeczeństwa, dla przyszłości, godna wielkiego zadania człowieka, jest uosobieniem nieśmiertelności jego ducha!

Szczęśliwy, kto poczuje w sobie siłę do takiéj pracy. Ile zaś może silna wola takiego człowieka, dowodem jest założone w r. 1868 własnym kosztem i staraniami doktora Adryana Baranieckiego, Muzeum Przemysłowo-Techniczne Krakowskie, składające się początkowo z 5,000 okazów, a dziś liczące ich przeszło 20,000. Już sama nazwa objaśnia dostatecznie cel, w jakim Muzeum to założoném zostało. Niezaprzeczenie wielką jest zasługą założyciela, że pierwszy użyteczność jego i naglącą potrzebę uznawszy, poświęcił całe swe mienie, pracę i życie jednemu zadaniu, jednéj myśli gorąco przez siebie ukochanéj szérzenia wiedzy w tych warstwach społeczeństwa, które zupełnie zaniedbane, najbardziéj jéj potrzebowały i największe korzyści dla kraju z niéj przynieść mogły.

Galicya jest krajem wyłącznie rolniczym, nic dziwnego, że przy teraźniejszéj zmianie stosunków, musiała wiele ucierpieć materyalnie. Dotychczasowa jednostronność produkcyjnéj pracy, okazała się bardzo dotkliwą, wykazując jak jest koniecznym u nas rozwój rzemiosła, przemysłu i handlu. Rozwój ten może jedynie zapewnić dobrobyt narodu, gdzie zaś jest dobrobyt, tam i oświata kwitnąć musi. Czuł to i rozumiał dobrze D-r Baraniecki, a umysł jego czynny, energiczny, wszechstronny, pragnął zaradzić złemu u jego właściwego źródła! [1]).

Zadanie to, aby urzeczywistnić, potrzeba było rzemiosło, przemysł i handel, zostawiony u nas dotąd szkole li własnego doświadzenia, ująć w umiejętność, w system naukowy. Wiemy to dobrze, że żadna gałąź

---

[1]) D-r Baraniecki pierwszy zbliżył się do rzemieślników, udzielając im wzorów przywiezionych z wystawy paryzkiéj, objaśniając i nadto, na czém ich ulepszenia i wynalazki założą. W świeżo założoném Muzeum przyjmował niektóre obstalunki, sam za nie poręczał, pilnując i wymagając sumiennego wedle wzoru wykonania. Dawanym zarobkiem chciał zachęcić do uznania koniecznéj potrzeby doskonalenia się w rzemiośle, nie jak dotąd było sposobem mechanicznym, bezmyślnym prawie, lecz wyrabianiem w sobie zmysłu badawczego, wiodącego do własnych kombinacyi.

nauki, bez pomocy innych obejść się nie może. Im specyalniejszego zechcemy w niéj wykształcenia i gruntowniéj zabierzemy się do rzeczy, tém widoczniejszym będzie nieprzerwany łańcuch o wspaniałych ogniwach, łączących się ściśle z sobą nauk. Przemysł potrzebuje tak dobrze nauk ścisłych, będących jego podstawą, jak i kształcenia w sobie pojęcia piękna, a więc pokrewieństwa ze sztuką! Handel zaś obok rachunku, musi się oprzéć na znajomości stosunków narodowych, więc na historyi, ekonomii politycznéj, umiejętności języków. W celu więc istotnego zaradzenia podjętéj przez siebie kwestyi, D-r Baraniecki otwiera przy Muzeum swojém specyalne zakłady naukowe wyższe, oddzielne instytucye pomocnicze; poza obrębem kursów, daje nieprzerwany szereg *bezpłatnych* wykładów, z wytrwałością godną uwielbienia, gromadzi potrzebne materyały, wzory, modele, rysunki, ułatwiające uczącym się przez porównania, nabieranie dokładnego, szerszego o rzeczy pojęcia, urządza laboratoryum chemiczne, demonstracye na przykładach dla studentów Inst. Tech. Krak., nadto lekcye rzemiosł niektórych. Jedném słowem zawiązuje trwały, nieprzerwany stosunek pomiędzy młodzieżą i publicznością, a tym gmachem, którego całą wspaniałość stanowią *skarby wiedzy!*

Człowiek z taką miłością, którego umysł wyższy odczuł wszystkie braki społeczne, mógłże pominąć kwestyą kobiet, ich wszechstronnego, zasadniczego wykształcenia? Nie, bezwątpienia! powiemy nawet, że była to dla niego kwestya najżywotniejsza ze wszystkich.

Uznając całą ważność i oddając hołd wszystkim instytucyom, istniejącym przy Muzeum Krakowskiém, tym razem pozwolimy sobie poprzestać tylko na ich wyliczeniu, a zająć się wyłączniéj wyższym zakładem naukowym dla kobiet.

Przy Muzeum Przemysłowo-Technicznem Krakowskiém istnieją następujące zakłady naukowe i instytucye:

I. *Niedzielne, popularne wykłady bezpłatne* dla szerszéj publiczności. Wykładów tych treści przemysłowéj i popularnéj z nauk przyrodniczych, od początku Zakładu, odbyło się przeszło 300. Uczęszcza na nie tak mężczyzn, jak i kobiet, rzemieślników, czeladzi kupieckiéj i t. p. 100, 150 do 200 osób.

II. *Wyższy zakład nauk handlowych dla mężczyzn* podzielony na trzy kursa: teoretyczny, praktyczny i przygotowawczy.

Wykłady na kursie przygotowawczym są następujące:

Arytmetyka w połączeniu z nauką o monetach, wagach i miarach. *Fizyka, chemia* doświadczalna, *zoologia i mineralogia*, język polski i stylistyka, geografia z uwzględnieniem ważniejszych punktów handlowych i dróg komunikacyjnych, historya z uwzględnieniem historyi wynalazków i historyi handlu.

Wykłady na pierwszym kursie:

Rachunkowość kupiecka; prowadzenie ksiąg kupieckich pojedyńcze i podwójne; korrespondencya handl.; ekonomia społeczna; geografia

handlowa; prawo handlowe, wekslowe, ustawa przemysłowa; towaroznastwo; praktyczne próby towarów pod mikroskopem i odczynnikami chemii; historya handlu w ogóle, a polskiego w szczególe.

Na drugim kursie:

Słuchacze są praktycznie obznajomieni z korrespondencyą handlową i czynnościami handlowemi i bankowemi w urządzoném na ten cel biurze wzorowém.

Nauka języków nast.: niemieckiego, francuzkiego, angielskiego i rossyjskiego.

III. Laboratoryum dla rozbiorów chemicznych; IV. Modelarnia i sala rysunkowa dla rzemieślników; V. Rozwijalnia jedwabiu przez trzy miesiące; VI. Kurs kilkotygodniowy coroczny pszczolnictwa; VII. Biblioteka dla kobiét złożona z około półtora tysiąca dzieł poważniejszych, a niektórych bardzo nawet szacownych, jest darem własności samego dyrektora. Obecnie jest ona jeszcze razem z biblioteką muzealną do tysiąca dzieł liczącą, a zebraną z darów prywatnych osób. Czytelnia dotąd nie urządzona jeszcze: pozwala tylko na czytanie w godzinach przedpołudniowych na miejscu.

VIII. Wyższy zakład naukowy dla kobiét. W roku zeszłym wyłożonym był kurs dla telegrafistek pod opieką miejscowego zarządu. Odbywają się też niektóre lekcye praktyczne szkoły rzemieślniczéj i różne wykłady pojedyńcze na cele dobroczynne w ciągu roku, których do kilkuset godzin w ciągu istnienia muzeum się odbyło.

O wyższym zakładzie naukowym dla kobiét (który radzibyśmy nazwać akademią dla kobiét), jedynym jaki Galicya posiada, chcemy dać szczegółowe sprawozdanie.

Jak wielkie przywiązuje do niego znaczenie Dr. Baraniecki mieliśmy sposobność przekonania się o tém z własnych słów jego, zwiedzając w r. z. jego Muzeum i sławną kolekcyę druków. Szczęściem była to wolniejsza chwilka zawsze zajętego dyrektora, który oprowadzając nas sam po salach, w gorących słowach kreślił całą ważność stanowiska kobiét w ustroju społecznym: „To przyszłe żony, matki, obywatelki nasze, mistrzynie przyszłych pokoleń: pracować dla nich najgorliwiéj powinniśmy, dzielić się każdą myślą wyższą, każdą zdobyczą wiedzy; one bowiem nawzajem nas uszlachetnią, naszego ducha podniosą. *W ukształceniu istotném kobiét naszych ukochałem całą przyszłość mego kraju!*" Słowom tym towarzyszyło głębokie wzruszenie; ono to zapewne wywołało łzę przez nas dostrzeżoną w oku zacnego dyrektora, w nas zaś każdy łatwo odgadnie uczucie czci najwyższéj.

I oto właśnie korzystamy z jego uprzejmości. Przed kilku tygodniami raczył on nam pozwolić na zebranie szczegółowych wiadomości o téj tak ważnéj instytucyi. Szczegóły te dadzą nam ocenić należycie

wielką działalność D-ra Baranieckiego i same przez się będą najwymowniejszym wyrazem jego niepospolitych zasług.

Wyższy zakład naukowy dla kobiét podzielony jest na pięć wydziałów: I. Wydział nauk przyrodniczych; II. Wydział sztuk pięknych; III. Wydział historyczno-literacki; IV. Wydział handlowy; V. Wydział gospodarczy.

Na wydziale nauk przyrodniczych wykładane są (w ciągu 6—7 miesięcy):

Zoologia	w 48	wykł.	przez	D-ra Żegotę Króla, prof.
Botanika	„ 48	„	„	„ Rehmana doc. U. J.
Mineralogia . . .	„ 24	„	„	„ Wierzejskiego prof.
Fizyka z meteorologią	„ 72	„	„	p. Maja prof.
Geologia	„ 24	„	„	D-ra Wierzejskiego prof.
Chemia	„ 48	„	„	p. Rozwadowskiego pr.
Jeografia fizyczna .	„ 24	„	„	?
Astronomia popul.	„ 24	„	„	D-ra Karlińskiego prof.

Higiena popularna z dyetetyką i nauką pielęgnowania dzieci i chorych, oraz ratowania osób naglą śmiercią zagrożonych w 12-tu wykł., przez D-ra Janikowskiego prof.

Na wydziale więc przyrodniczym wykłada 7-miu professorów w liczbie 156 wykładów. Opłata zaś za słuchanie wszystkich wykładów na tym wydziale, wynosi tylko 12 złotych (guldenów austr.). Wydział ten liczy prawie najwięcéj słuchaczek. Wszystkie przyrządy oraz okazy potrzebne do doświadczenia i objaśnień naukowych dostarcza muzeum, professorowie lub gabineta uniwersyteckie, z których professorowie biorą je na wykłady. Nic więc nie zaniedbano, cokolwiek może dać korzystne zastosowanie w ułatwieniu nauki uczennicom.

Wydział sztuk pięknych podzielony jest na dwa kursa (kursa trwają przez 10 miesięcy): starszy i młodszy. Na starszym kursie oprócz rysunków z wzorów, gipsów i natury, oraz malowania olejnego, czwarty rok idą w systematycznym porządku kolejno wykłady, stanowiące całość nauk potrzebnych dla wykształcenia estetycznego kobiét. Wykłady te obejmują: anatomią artystyczną, teoryę perspektywy artystycznéj, ćwiczenia w rysunku perspektywicznym i cieniach, zasady światłocieni, odbić, zasady harmonii i barw. O rodzajach malowania olejnego i akwarelą. O ozdobach w architekturze i rękodziełach w głównych epokach sztuki. Estetykę sztuk pięknych i nakoniec historyą sztuk pięknych od najdawniejszych czasów aż do dziś, w streszczeniu, a następnie szczegółowo: O szkole holenderskiéj i włoskiéj. W obecnym roku rozpoczęły się wykłady: *O sztuce u Greków* i *Rzymian*, przez p. M. Sokołowskiego.

Należą tu jeszcze modelowania w gipsie i wosku, oraz drzeworytnictwo. Piérwsze z powodu małéj liczby uczennic nie weszły jeszcze w życie, w drzeworytnictwie zaś robią się szybkie postępy.

Na młodszym kursie są tylko same rysunki w 190 lekcyach.
Lekcyi dla starszego kursu rocznie rysunków „ 200 godzinach.
Wydładów dlategoż kursu „ „ „ 90 „
Lekcyi „ „ drzeworytnictwa „ 160 „

Wykłada stale pięciu professorów. Prof. Łuszczkiewicz nau. rys. i malarz historyczny, wykłada ornamentykę, historyą sztuk pięknych i o ozdobach w architekturze i rękodziełach w głównych epokach sztuki. P. Pikard malarz: rysunki i malowanie, oraz drzeworytnictwo. Prof. Kossowski: modelowanie w glinie i wosku. P. M. Sokołowski: o sztuce plastycznéj w starożytnéj Grecyi. P. Pokutyński budowniczy będzie wykładał jeszcze „o stylach w budownictwie.“

Wydział sztuk pięknych na zeszłorocznéj wystawie wiedeńskiéj odebrał za rysunki swoich uczennic medal, co świadczy tak o dobréj szkole nauczycieli jak i postępach uczennic. Opłata za wszystkie przedmioty na tym wydziale 12 guldenów. Zapisujący się na same odczyty na kwartał płacą 6 guldenów, uczennice zaś i uczniowie za każdą naukę płacą połowę, t. j. 3 guldeny i 1 wpisowego.

Wydział historyczno literacki.

Przedmioty stałe wykłada pięciu professorów:

Literaturę powszechną wraz z Literaturą polską prof Dr. A. Bełcikowski.
Historyą polską wykłada p. A. Szczepański.
Psychologią „ prof. Dr. Straszewski.
Pedagogikę „ p. K. Pietraszkiewicz.

O Słowianach pod względem archeologicznym i etnograficznym, oraz Pierwotne dzieje Litwy wykłada p. A. Kirkor.

Oprócz tego przedmioty niestałe obejmują jedną gałąź nauki systematycznie obrobioną, jako jedną całość, jedną epokę, fakt, przedmiot; takie przedmioty nie powtarzają, lecz corok innemi zastępują. Celem ich jest podanie kobiétom dbającym o wykształcenie coraz świeższego materyału do ciągłego kształcenia się. Wykłady te są w tylu godzinach, ile się tego okazuje potrzeba.

Pragniemy tu koniecznie dać wspaniały i bogaty wybór treści tych odczytów, oraz szereg prelegentów zasłużonych i cenionych wysoko ze swéj głębokiéj nauki, znakomitych autorów, professorów i docentów uniwersytetu, którzy w odczytach tych udział przyjmowali, a które jużto w pismach peryodycznych, już w oddzielnych broszurach drukiem ogłoszone zostały, w ciągu pięcioletniego istnienia Zakładu.

Dr. Alth prof. miner. i geol. Uniw. Jagiel.: „O Krakowie i jego okolicach pod względem geologicznym“ w jednéj godzinie (czyli jednym odczycie). P. Asnyk (Ely): „O minstrelach i trubadurach“ w dwóch odczytach. Dr. Adam Bełcikowski były docent Uniw. Jagiel: 1) „O celniejszych pisarzach w złotym okresie literatury polskiéj“ w dwunastu odczytach; 2) „O poezyi polskiéj w XIX wieku i o jéj wpływie na umysłowe i polityczne życie narodu“ w siedmiu odczytach; 3) „O charakterach kobiécych w poezyi polskiéj“ w dwóch odczytach; 4) „O literaturze

w epoce Stanisława Augusta“ w dziewięciu odczytach; 5) „O główniejszych znamionach epok w historyi polskiéj“ w dwudziestu czterech odczytach.

Dr. Bochenek, docent Uniw. Jagiel. przy katedrze ekonomiczno-politycznéj: 1) „O pracy kobiét“ w jednym odczycie; 2) „O znaczeniu złota w gospodarstwie społecznem“ w jednym wykładzie.

Dr. Brzeziński dyrektor krak. tech. Instytutu: „Wykład historyczny o ważniejszych wynalazkach i o wpływie takowych na oświatę i przemysł“ w dwudziestu czterech odczytach.

P. Buszczyński (Stefan): 1) „O literaturze polskiéj XIX wieku ze szczególnym poglądem na pracę żyjących pisarzy“ w trzydziestu sześciu odczytach; 2) „Dzieje cywilizacyi europejskiéj“ w czterdziestu ośmiu odczytach; 3) „Historya muzyki i jéj stosunek do dziejów ludzkości“ w dwunastu odczytach; 4) „O tak zwanéj muzyce klassycznéj, od Palestryny do Bethowena“ w jednym odczycie.

Dr. Estreicher Karol bibliotekarz Uniw. Jagiel.: „O mowie, piśmie i drukach“ w siedmiu odczytach.

P. Gralewski Meteusz: „O Kaukazie i jego mieszkańcach“ w dwóch odczytach.

P. Kirkor Adam: „Pogląd na dzieje literatury sąsiednich plemion słowiańskich: I. Ruś litewska, II. Rossya, III. Czechy i Morawia, IV. Łużyczanie, V. Serbowie“ w ośmnastu odczytach.

P. Kraszewski Józef Ignacy: „O stanowisku kobiéty w obec sprawy narodowéj“ w jednym odczycie.

P. Łuszczkiewicz Władysław prof. malarstwa w szkole sztuk pięknych: 1) „Przegląd zabytków budownictwa świeckiego dawnych epok w Polsce“: „O budowlach drewnianych, charakter zamków XIV wieku: „Opis zamku tenczyńskiego“ w jednym odczycie; 2) „Historya tworzenia się galeryi drezdeńskiéj“ w dwóch odczytach; 3) „O sztuce u Chińczyków i Japończyków“ w pięciu odczytach; 4) „Wędrówka artystyczna po Krakowie“ w trzech odczytach.

Dr. Machalski Maksymilian: „O rozmaitych epokach cywilizacyi europejskiéj i o stanowisku i prawach kobiety w społeczeństwie od najdawniejszych czasów“ w dwunastu odczytach.

Dr. Matejko Franciszek, kustosz biblioteki Uniw. Jagiel.: „Historya mowy ludzkiéj, oraz o początkach języków i pisma“ w dwunastu odczytach.

Dr. Nowicki Maksymilian, prof. Uniw. Jagiel.: „O ustroju niższych zwierząt i ich znaczeniu w przyrodzie,“ objaśnione na żywych i martwych okazach, w jednym odczycie.

Dr. Pol Wincenty, prof. Uniw. Jagiel.: 1) „Jeografia opisowa ziem polskich“ w dwudziestu czterech odczytach; 2) „O najnowszéj poezyi polskiéj“ w dwóch odczytach.

P. Przezdziecki Aleksander: „O kongresie antropologicznym i archeologii przedhistorycznéj, odbytym w 1872 r. w Bolonii“ w jednym odczycie.

Dr. Rehman, docent Uniw. Jagiel.: 1) „O roślinach kopalnych w obecnym stanie roślinności na kuli ziemskiéj i stosunku człowieka do świata roślinnego“ w dwunastu odczytach; 2) „O początku świata roślinnego i jego przemianach“ w jednym odczycie.

Dr. Roszkowski, były docent Uniw. Jagiel.: „O przywilejach i ceremoniach w świecie dyplomatycznym“ w jednym odczycie.

Dr. Skiba, prof. Uniw. Jagiel.: „O związku między elektrycznością a magnetyzmem, ciepłem i światłem“ (z odpowiedniemi doświadczeniami) w jednym odczycie.

P. Szczepański Alfred: 1) „O czasach Kościuszkowskich“ w dwóch odczytach; 2) „O szkołach w Polsce“ w czterech odczytach; 3) „Rok 1794 w Polsce“ w jednym odczycie; 4) „O wojnie niderlandzkiéj z Hiszpanią o wolność i niepodległość“ w jednym odczycie.

Dr. Straszewski, docent Uniw. Jagiel.: „O działaniu zmysłów i wrażeniach zmysłowych“ w trzech odczytach.

Dr. Suchecki, prof. Uniw. Jagiel.: „O dyalektach polskiéj mowy ludowéj“ w ośmiu wykładach. „O błędach w dzisiejszéj polszczyznie potocznéj“ w czterech odczytach.

Dr. Szujski Józef, prof. Uniw. Jagiel.: 1) „Wędrówka historyczna po Krakowie“ w trzech odczytach; 2) „Marya Ludwika Gonzaga i polityczne jéj stanowisko“ w jednym odczycie.

P. Winkler, prof. w gimnazyum realném w Krakowie: 1) „O literaturze dramatycznéj polskiéj w XIX wieku“ w czterech odczytach; 2) „O poetach szkoły ukraińskiéj“: Bohdanie Zaleskim, Goszczyńskim i Malczeskim, w dwóch odczytach; 3) „O Ludwiku Kondratowiczu i jego pismach“ w jednym odczycie; 4) „Ogólny pogląd na literaturę dramatyczną w epoce Mickiewicza“ w czterech odczytach; 5) „Literatura historyczna w epoce Jagiel. i złotego wieku“ w dwóch odczytach; 6) „Pogląd krytyczny na epokę Jagiellońską“ w sześciu odczytach.

P. Zacharyasiewicz Jan: „O idealizmie i realizmie w literaturze nadobnéj“ w dwóch odczytach.

Dr. Weigel Ferdynand: „Zasady ekonomii społecznéj“ w dwunastu odczytach.

P. Teofil Żebrawski, inżynier: „Wiadomości z jeometryi popularnéj“ w dwunastu odczytach.

Dr. Lutostański Bolesław: „O wychowaniu dzieci i piérwsze zasady pedagogiki“: „O fizycznem wychowaniu dzieci.“

Do tego spisu odczytów dodać należy cztery odczyty publiczne, urządzone w 1869 r. na korzyść Muzeum Przem. Tech., a mianowicie na wyrestaurowanie sali, w któréj są wykłady dla kobiet. Odczyt prof. D-ra Józefa Majera prezesa ówczesnego Towarzystwa Nauk. Krak. „Statystyka literatek i artystek polskich“; prof. D-ra Libelta prezesa Tow. Nauk. Pozn. „O walce pracy z kapitałem“; prof. D-ra Dunajewskiego ówczesnego rektora Uniw. Jagiel. „Wpływ gospodarstwa domowego na rozwój społeczeństwa“; prof. D-ra Wincentego Pola „Kilka

słów o literaturze polskiéj, Żywot Seweryna Goszczyńskiego i jego najnowsza praca" „Posłanie do Polski."

Do wydziału Histor. Literackiego należą jeszcze wykłady języków: polskiego, francuzkiego, niemieckiego, angielskiego i włoskiego.

Wykładają D-r Suchecki język polski, p. Erard francuzki, pan Stahlberger niemiecki, p. Williams angielski, pani Purcart włoski.

Wszakże lekcye języków nie mogły dojść do skutku z powodu małéj liczby uczennic. Przy tak zaś wielkich nakładach na inne przedmioty, Muzeum nie jest w stanie dźwigać ciężaru tych lekcyj, wymagających oddzielnéj sali i urządzenia oddzielnego audytoryum.

Wydział handlowy. Wydział ten początkowo obejmował wszystkie kursa *nauk handlowych* dla mężczyzn. Zgłaszające się jednak kandydatki, nie okazały zupełnie przygotowawczego uzdolnienia, z tego więc powodu urządzoną dla kobiet została przy Muzeum oddzielna instytucya tego rodzaju, i ta obejmuje obecnie następujące wykłady:

Rachunkowość kupiecką wraz z nauką o *miarach, wagach i monetach* wykłada D-r Wierzbicki; *buchalteryą pojedyńczą i podwójną* wraz z nauką o *wexlach i papiérach wartościowych* prof. Gwiazdomorski. *Korespondencyą handlową* p. Mokrzycki naczelnik biura handlowego w banku galicyjskim. W roku szkolnym 187½, zgłosiło się ledwie trzy kandydatki, w zeszłym zaś dziewięć, lecz i to nie pokrywając kosztów, nie dozwoliło rozpocząć wykładów.

Wydział gospodarczy. Wydział ten w zakresie, w jakim być rozwiniętym powinien, obejmuje: *gospodarstwo domowe* dla kobiet, szczegółowo wyłożone, *gospodarstwo wiejskie* w ogólnych zarysach, *sadownictwo, ogrodnictwo warzywne, kwiatowe.* Wymaga to wielkich nakładów, a mianowicie urządzenia, choćby na najmniejszą skalę wzorowéj fermy. Druga część przedmiotów, jako do wykonania łatwiejsza, kilka razy w ciągu 5-ciu lat powtarzaną była, a mianowicie: *jedwabnictwo i pszczolnictwo* wykładał dla kobiet D-r Kozubowski były prof. uniw. Jagiellońskiego i Prezes Towarzystwa Pszczolniczo-Jedwabniczego i Sadowniczego Krakowskiego, w dziewięciu wykładach. *Rachunkowość i prowadzenie ksiąg gospodarczych* prof. Gwiazdomorski. *O owadach szkodliwych* w gospodarstwie *domowém i rolniczém* prof. Jabłoński w 12-stu wykładach, *technologią domową* prof. Rozwadowski. Dodać do tego należy kilka prelekcyj *z technologii mechanicznéj*, które tenże prof. wyłożył popularnie słuchaczkom w ciągu kursu nauki, mianowicie: „O czterech głównych rodzajach tkanin i o stołach tkackich" w jednym wykładzie, „o bawełnie i jéj przeróbce na przędzę" w jednym wykładzie, „o wyrobie papiéru ze szmat, słomy, drzewa i innych materyałów" w dwóch wykładach, „o szkle, jego składzie i wyrobach szklannych" w jednym wykładzie.

Oto treściwy przegląd 5-cio letni wykładów w zakładzie nauk. dla kobiet, istniejącym przy Muzeum Przem. Tech. Krak. Liczba ich przedstawia dziś poważną liczbę 4,300 przeszło godzin. Wykłady te miane były przez 52 prof., w których liczbie widzimy 20 prof. i do-

centów uniwersytetu, uczennic płatnych w dwóch ostatnich latach było 52, bezpłatnych biletów *udzielono 60*: razem więc uczennic *112*. Doskonałe urządzenie sali wykładowéj, staranność dyrektora o wszelkie wygody, warunki hygieniczne, nad któremi sam czuwać nie przestaje, przekonywa nas o jego charakterze. Przebywając całe dnie w Muzeum, prawie zawsze jest obecny wykładom, ą z uczennicami łączy go nietylko naukowy, lecz szczery, serdeczny, że tak powiemy rodzinny stosunek. Skory do dawania bezpłatnych biletów, za cały warunek stawia pilne uczęszczanie do Zakładu.

Na każdy wydział wpis kwartalny, wynosi 12 guldenów, gdy jednak z jednéj rodziny uczęszcza do zakładu trzy osoby, trzecia płaci tylko połowę. Osoby zaś należące do rodziny profesorów i niezamożne panny, mają bilety bezpłatne, lecz winny być przez kogoś polecone. Od lat dwóch wprowadzone zostały egzamina przez komissyą z grona professorów wybraną dla tych pań, które chciałyby posiadać świadectwo uzdolnienia.

Dodać winniśmy, że zbiory muzealne zostały znacznie powiększone niestrudzonemi staraniami dyrektora na wystawie zeszłorocznéj. Zyskały też na tém znakomicie środki pomocnicze, wykładowe. Na ich zebranie i zakupienie, D-r Baraniecki poświęcał dnie całe najmozolniejszéj pracy i pokonywać musiał znaczne trudności, z braku odpowiednich funduszów, będących ogromną przeszkodą do zupełnego w całéj pełni rozwoju jego zakładów.

Rzetelna zasługa jest zawsze cichą i skromną, ona daje od siebie wszystko, co może, innym zostawia *dobrą wolą!* Dobra wola zaś, gdy idzie o obowiązek społeczny, nie czeka reklam i zachęty, ochocza w uznaniu potrzeby, jest drugą matką wynalazków, poda ona niewątpliwie każdemu możliwe do współudziału środki.

STANISŁAW MONIUSZKO

I

SZTUKA MUZYCZNA NARODOWA.

STUDYUM ESTETYCZNE.

PRZEZ

Bolesława Wilczyńskiego.

(Dokończenie).

VII.

Uwagi nad muzyką nowoczesnéj epoki. Moniuszko w obec mistrzów téj epoki. Oryginalność formy, harmonia i instrumentacya Moniuszki. Słówko o wykonaniu utworów jego.

W stosunkach ludzi geniuszu do narodu, nader ważną jest sprawa, czy ów ogół narodowy rozumie swych namaszczeńców, czy umié cenić ich pracę i jak dalece są zaciśnione intellektualne między obojgiem wiązadła. Są chwile w dziejach, że pewien odłamek społeczny, przeważnym dotknięty wypadkiem, nie był w stanie władz swoich w karbach należytego skupienia trzymać, że się rozproszył umysłowo i uległ chorobliwemu rozszczepieniu. Wówczas nastąpić musi fakt, zapewne przejściowy, że ten odłamek społeczny znajdzie się w rozejmie ze sobą samym, że niezrozumié posłańców, którzy z daleka pokój ofiarować przyszli. W takim rozejmie między ogółem a garstką posłańców, rodziła się literatura XIX wieku na polskiéj ziemi. Ona się rodziła, wzrastała i już olbrzymem stanęła, a my-

śmy długo jeszcze oczu przetrzeć i jéj oblicza oglądać nie mogli. Był to wypadek konieczny, ze względu na rozstrój, jakiemu Polska uległa zaraz od XVII wieku, więc od chwili, kiedy na Zachodzie objawił się potężny ruch cywilizacyi, ów tyle ponętny, wabny, silnie pociągający ku sobie. Niepodobna było sprostać mu, że to ruch wbrew geniuszowi narodowemu przeciwny; niepodobna też było stawić oporu, tak dalece powszechnym i przygniatającym był ów nieubłagany rydwan materyalnego rozumu. Więc długo trwać i silnie nas trapić musiało roztargnienie. Dziś ono przemija i ledwie ślady téj obłędnéj choroby gdzieś wysterczają; a przecież, czy może cały ogół powiedzieć, że swych geniuszów poznał, że zrozumiał treść, zawartą w ostatnich dźwiękach pieśni, że miłość swą rozgrzał u rodzinnego ogniska twórczości literackiéj? Choć nas do uczty tacy przewodnicy wiedli jak Mochnacki i Grabowski, czyśmy wszyscy do niéj zasiedli i czyśmy nie lekkomyślnie, z należną czcią, bez uprzedzeń i zarozumienia podany pokarm spożywali? Jakkolwiek jest, to pewna, że cały okres ostatniéj pracy narodowéj mógłby być przed nami po raz wtóry przedstawionym, że nie jeden, wzrokiem czystym poglądając, obaczyłby tam nowe dla siebie rzeczy, a dziwowałby się pięknościom i tętnom ducha, których zrazu nie spostrzegł.

Przemijanie obłędu a odzyskiwanie w zdrowiu równowagi od wielu wpływów zewnętrznych zawisło. Wszakże najdzielniejszym w téj mierze czynnikiem jest własna nad sobą praca organizmu. O ile zamknięta w sobie, zanadto zidealizowana twórczość, wychyla się na świat i poczyna nabierać pełni, o ile idee, roztoczone w napół dostępném świetle poezyi, zasnute w górnych siedzibach ducha, zwierają się, by począć genetyczną pracę; więc o ile przechodzą w żywot, w coraz szerszą działalność—o tyle społeczność, silnie tą wewnętrzną robotą poruszona, odzyskuje przytomność i rząd nad sobą. Zaznaczyłem jak wielce ważnemi okazują się tu być wszystkie objawy sztuki. One uderzają na najpierwsze wysłańce ducha, na zmysł i wyobraźnię, a temsamém zawiązują komunią między ideałem a jaźnią, między tradycyą a życiem. Musi narodowe sumienie ocknąć się ze snu, skoro sztuka, jawiąc się ciągle przed oczy, zwraca je ku sobie i roztargnionéj duszy wszystkiemi organami głosi o wartości rodzinnych ideałów. Dlatego usiłowałem wskazać na tę ścisłą genezę, jaka łączy poetyczną literaturę naszą ze świetnemi narodzinami sztuki narodowéj. Wszakże wyznać przytém należy, że uzdrowienie zupełne wtenczas jeno nastąpić może, gdy ów duch, z górnych siedzib poezyi, nie tylko do sztuki zstąpi, lecz swém tchnieniem wszystkie obciąży gałęzie drzewa rodzinnego; gdy nim się przejmą szczepy umiejętności i nauki, a w każdym zakątku domu da światła dostatek. Od piśmiennictwa codziennego aż do warowni wiedzy, od abecadła aż do filozoficznego wykładu, wszędzie powinien straż trzymać ten sam geniusz poetyczny, pełen najpiękniejszéj tradycyi, świadom

prawd chrześciańskich, czysty, niepokalany a przenikliwy w mądrości.

Otóż, ze względu na ten stan roztargnienia, w którym duszę naszą wydzierały sobie różne przybłędne czary, a kształciły najsprzeczniejsze, zawsze obce opieki, ze względu na różnolicość czczonych przez nas ideałów, nie dziw, że nieraz trudno nam przyjdzie zawiązać sojusz z rodzinną sztuką i zrozumieć formy a treść, do której rozpoznania żadnéj innéj nie mamy wprawy, krom téj nabytéj w obczyznie. Iżby téj nieudolności zaradzić, trzeba nam nieledwie iść tą samą drogą, jaką idą mistrze nasi: wczytać się w poezyę, zgłębić dziejową ideę, a nadewszystko odnaleźć tajemnice uronionych tradycyj. Wtenczas staniemy na drodze, kędy duch ku swym obłoczynom odbywa pielgrzymkę, gdzie wieczne są śluby, wieczne uściski dobra z pięknem, prawdy z ideałem. W tenczas uczujemy szlachetną dumę w rodowém sercu naszém. Więc nie zmarnujemy natchnień ludowych, nie pogardzimy jego pieśniarstwem, a w wyszydzonéj kantyczce wiejskiego nabożeństwa ujrzymy ten sam brzask jutrzenki, piękny i uroczysty, który nam w piérwszym dniu historycznym zajaśniał. Więc nie sfrymarczymy podań i poetycznéj mądrości za nędzny szmat doktryny, za opłakaną chudziznę odpadków obcego rozumu. Więc wstyd nam będzie dawać bezwzględny zapał wszystkiemu co cudze, uprawiać co nie z krwi i kości, unosić się i wielbić na ślepo, bo zagości w nas kierownik, który na bezład nie dozwoli, próżność ukróci i zapał wykształci.

Takie to myśli przewodniczyły niniejszéj pracy. W imię ich należało unikać spowszedniałych formułek sądu, a oraz pośrednictwa zbyt rozrzuconéj, zbyt wyjałowionéj krytyki powszechnéj. Należało przedewszystkiém przedstawić rodowód poczynającéj się sztuki, a oprzéć się na jéj wspólnictwie z duchem narodowym. Stawając na tym gruncie, znaleźliśmy tyle samodzielne do sądu wątki, ile samodzielnym jest mistrz nasz, ile samodzielną być może i powinna twórczość nasza. Oglądaliśmy tę twórczość ze strony poetycznéj, więc bardziéj z treści niż z formy. Teraz wypada zwrócić się do sztuki saméj, do artyzmu wyłącznie i przekonać się jakie to miejsce wśród powszechnego umnictwa muzycznego zajął Moniuszko.

Ledwie kilka dziesiątków lat minęło od czasu, jak cały świat, ów wytworny nowożytnego epikureizmu wychowanek, hołdował namiętnie sensualizmowi w sztukach. Prawiono o muzyce, że jest samą pięknością zewnętrzną, zdolną jedynie na rozkosz dla zmysłów starczyć. I słusznie prawiono. Bo téż sztuka muzyczna, oddzielając się od tradycyj chrześciańskich, podążała na scenie życia tą wysłaną puchem ścieżką, którą sobie poganizm XVIII wieku zgotował, a przystroił gracyami, mającemi jego mość rozumową przyjemnie bawić. I byłaby może owa spanoszona mość utonęła w zmysłowych uciechach, gdyby na jéj rozpalone ciało nie wionął nagle orzeźwiający zefir z Północy. On ostudził upały, a przyniósł ze sobą jakieś ziar-

na, co miały na gruncie tworzenia ludzkiego pięknością ducha wystrzelić i cudowną mocą wewnętrznéj poetyczności zakwitnąć. Świetny był widok tego zasiewu i tego powstania sztuki z omdlenia. Świetny, że jak przy każdém odrodzeniu młody Apollo zagrzmiał całą siłą piersi, zajaśniał nieznaną równowagą wszystkich władz ducha. Żadna z nich nie grała osobno, lecz wszystkie razem przez wspólną akcyę zdawały się wspierać. To były właśnie czarowne, lecz krótkotrwałe dwóch różnic twórczych zaślubiny, które wydały w muzycznéj sztuce mistrzowstwo Mozarta i jego szkoły. Patrzmy jak sobie poczyna ta szkoła. W jéj dziełach przemawiają symbole duszy, znać tajemniczą mowę serca i uczuć odcienia. Lecz wszystka treść ta zawarta w doskonałych pięknościach formy, których zewnętrznego uroku nie śmié mistrz naruszyć. Ztąd też tyle w jego utworze treści, ile forma zawrzéć zdoła. Mozart z rzetelną intuicyą poety odnajdzie głos duszy, ale go weźmie li z czystéj sfery idealnéj, biernie uczuciowéj. Więc wyraz tego głosu zewnętrznie przyozdobi i delikatnie wyrzeźbi, podobnie do snycerza, który wprzód zmysły chce oczarować, zanim treścią do duszy sięgnie. Nie znaleźć w nim wielkiéj gry uczuć, ani głębokiéj potęgi ruchów; lecz pewną tylko sferę liryzmu, którego przymioty dają się z przymiotami formy godzić. Ztąd też geniusz jego mógł zarówno rządzić wszystkiemi tworzenia dźwigniami i w jednakiéj mierze okazać tak poetyczne natchnienia, jak fantazyę i umiejętność. Uważ, jak tu fantazya wspomaga melodyjne motywa, jak delikatnie a stosowną barwą przystraja główną ideę, a jaka wszędzie staranność, by nie obrazić ucha, nie dotknąć przykrą harmonią nerwów, a témbardziéj, by nie naruszyć ideału estetycznéj całości, którego prawa w uczuciu każdego człowieka złożone.

W tym samym estetycznym celu, lubo w odmiennym kierunku, postępowała inna muzyczna szkoła, ta, która na Zachodzie wśród literackiego klassycyzmu wzrosła. Szkoła Glücka również od zmysłowości sztukę ratuje. Wszakże między pierwszą a drugą ta jest różnica, że Mozart zwracał się więcéj ku idealnym pięknościom muzyki saméj w sobie: on nie wynaturzał praw harmonicznych dla powziętéj a priori idei; nie rozciągał tych praw na skalę, któréj szerokość musiałaby zachodzić w innych sztuk dziedzinę. Jako treści, szukał w muzyce samego *piękna* i samego *dobra*, więc prostoty uczuć, niewinnych tchnień duszy, co jest w rzeczy saméj Mozartowskiéj liryki jedyną poetyczną krynicą. Ztąd też przebija w niéj bardziéj duch chrześciański i naturalna idealność, niż kryterya psychologiczne i ruchy wewnętrzne. Co do Glücka, ten usiłował wyrazić muzyką to wszystko, co w dramatycznéj swego czasu, co w Rasynowskiéj znajdował poezyi: gonił za rzekomą prawdą, szukał jednoznaczników namiętności, wyrabiał melodyjną symbolikę na deklamacyę, zdolną wypowiedzieć tak gwałtowne burze, jak najsubtelniejsze duszy ludzkiéj stany. Więc godził więcéj na poetyczną prawdę niż na dobro poetyczne. Taka jest między dwojgiem szkół różnica. Atoli obie schodzą

się ze sobą w tém, że je zawsze cechuje pewna psychologiczna nieruchomość, pewna odrębność i wytwór treści, co stawia sztukę w wielce arystokratyczném świetle. Bo jak szkoła Mozarta w bezwzględnym zamyka się idealizmie, tak szkoła Glücka krąży w wyjątkowéj, w ciasnéj tragicznego bohatérstwa sferze. Obie wychodzą z arystokratycznych pojęć o ideałach, obie nie mają odwagi dotknąć pulsów i poruszyć wielkiego dzwonu życia. Takowe pojęcia są przyczyną, że sztuka muzyczna nie wychodzi poza właściwe sobie granice technicznéj prawidłowości, że jest zaślubioną dobremu smakowi idealnością: tu jako czysta melodya i uczuć harmonia, tam jako poetyczna deklamacya.

Przerzućmy się teraz o kilkadziesiąt lat późniéj i obaczmy robotę świeżéj, bieżącéj szkoły. Jak dzień do nocy, tak ona do tamtéj nie podobna. Patrz co tu ruchu, jaka moc i wielowładztwo treści niesłychane! Sztukmistrz pragnie całą psychikę wewnętrzną tonem i charakter osoby rytmem wyrazić; on maluje dramata natury, opisuje walki i szczegóły czynów, a rozwija każdą fałdę i każdą plamkę ducha w nieprzebrany szereg następstw. Więc chce mówić i malować, wstrząsać potęgą grozy muzycznéj i upajać jéj czarem. A jakież, zapytasz, do tak nieograniczonego mistrzowania posiada środki? Oto niezmierną wolność indywidualną, którą mu dał romantyzm naszego wieku. Był czas, że na filozoficznéj katedrze, między sprawami estetyki poruszano i muzykę. Określna definicya Hegla, sprowadzająca sztukę ni mniéj ni więcéj tylko do znaczenia formuły, do zewnętrznéj piękności, wywołała gorzki uśmiech na twarzach muzycznych słuchaczy. Wszak to już grały Beethovenowskie ognie, owe olbrzymim wybuchające płomieniem po nad sklepienia budynku. Jakże mógł professor tak nieoględnie dotknąć i przykro urazić plemiennego ducha, który wcale inaczéj w idealności objawić się zamierzał? Niéma w tém prawdy!—woła duch ów—muzyka jest potęgą wewnętrzną, nieograniczona w symbolizowaniu, nieporównana w dzielności, bo w harmonicznych formułach posiada już wyrobione i nieskończenie wyrabiać się dające wyrazy wszelkiéj treści i ruchu wszelkiego. Cóż znaczą w obec tego bierne, nieruchome formy? Co znaczy cała scholastyka modułów, reguł i przepisów, zamykająca twórczość w ciasnéj, w nieokreślonéj atmosferze kunsztu? Nie jesteście w stanie, panowie estetycy, wyprzedzić moich polotów i żadnym hamulcem nie wstrzymacie wolności mojéj. Coście w kodeksie waszym dziś ustanowili, ja jutro roztrącę, bo ja geniusz poezyi i nie znam zarówno praw fizyologii akustycznéj, jak wynikających ztąd praw umnictwa. Przestraszę was szeregiem fałszywych akordów, wynaturzę samo znaczenie harmonii, zdepczę miarowość i bezmyślne muzycznéj kwadratury piękno, bo mi właśnie o to idzie, iżby osiągnąć nieograniczonych wrażeń władzę; chcę wszelką treść natury i ducha w muzycznéj wyrazić idealności. Więc nie będziecie mogli pracy mojéj z miarą w ręku i probierzem zmysłowego smaku dotykać.

Trzeba wam inną zbudować estetykę, a jéj kryterya wcale na odmiennym osadzić gruncie.

Tak prawi duch nowéj szkoły. Jakoż w istocie zadaniem jego jest rozwijanie w sztuce potęg wewnętrznych, duchowych. On nie tyle chwyta bezwzględny objaw psychologicznego ruchu, ile usiłuje zbadać jego przyczyny, wyprowadzić kolizye, ogarnąć tajemnice uczuć i wytłumaczyć logicznie wszystkie ich czynniki. Więc rozwijanie jest tu właściwém polem mistrzowstwa. To piękne zadanie. Ono bezwątpienia stoi u szczytu artystycznych dążności, bo jeśli wiele czyni kto umié ideał odtworzyć, to nierównie więcéj ten, który go nadto roztoczyć, niby z tajemnic rozwiązać potrafi.

Lecz właśnie nastręcza się pytanie, czy tu nie zajdzie pewna władz eliminacya, a mianowicie: czy mistrz wysilający się na stronę rozwojową sztuki, nie straci tém samém mocy tworzenia, to jest, czy geniusz jego nie chybi w rzeczach oryginalnych, zwartych w sobie i pełnych, by miał ideę do rozwijania? Geniusz nowoczesnéj szkoły niepostrzeżenie do téj eliminacyi przyszedł. Wychudłe bóstwo myślenia, któremu swą fantazyę powierzył, nie mogło mu dać innéj piersi, jak tylko tę, napełnioną karmem realnym, ziemskim. Na mózgu geniuszu bóstwo położyło węgiel żarzący, więc przez płomienie wyobraźni do ideału wskazało drogę. Brak mu tedy pokarmu, co jest mlékiem żywota, brak uczuć i rzetelnego natchnienia w fantazyi, a skoro tak jest, nie dziw że mu odjęte zostały tajemnice piękna w sztuce, że artystyczność jego złamana. Tajemnicą jest sprawa tworzenia, bo ona wynika z tajemnicy władz duchowych. Duch tworzy formę, niby świat zewnętrzny, by w nim zawrzéć mógł treść swoją. On, w formie całkiem się wyrazi, a tysiącem barw i kształtów na jaw wytryśnie. Więc kształty i kolory, nie tylko na podziw piękna wyda, lecz przez nie treść nieprzebraną do myśli i uczuć zaniesie. Wszakże stanie się to wtenczas jedynie, gdy spółka władz jego nierozerwana. Prawdziwa kreacya, jako oryginał ducha, jedynie z téj spółki wynika. Rozlicznym władz stosunek i względem siebie domiar być może; ztąd rozliczne cechy mistrzowstwa, gdzie naprzemian przemaga to myśl, to uczucie, to wyobraźnia. Ale zważ, że najpotężniejszy myśli i wyobraźni polot nie obejdzie się bez pomocy uczucia, bo tylko przy niém chowa się i rozkwita ów delikatny władzy pierwiastek, który domierzać, barwić i artystycznie kształtować umié. Tak piękność dziewicy, skoro ją szkarłat i pełnia wdzięków na zewnątrz okrasi, wnet cię urzeknie, że zadrżysz i ogień życia w sobie poczujesz. Lecz gdzie źródło cudownéj siły? gdzie szlaki, po których spływa i żywot zapala? Oto przedewszystkiém w dziewiczych uczuciach, które naraz ze spowicia wyszły, a krasą zewnętrzną o swych tajnikach znać dały.

Otóż nie wszyscy mistrze nowoczesnéj szkoły ulegli téj eliminacyi; nie wszyscy swą fantazyę oddali pod rządy myślenia, a na ułudę zimnych i bezmiernych dymów, z zagorzenia wyobraźni powsta-

łych. Są pomiędzy nimi, których ów przewrót w sztuce przeraził, a prawdziwy geniusz od egzeltowanych ustrzegł teoryj. Więc stanęli po środku. Co z nowych rzeczy wniósł czas, co sztuka przyjąć rozsądnie i bez szwanku mogła—to dla niéj zdobyli, lecz z poszanowaniem tradycyj i niezmiennych jéj przymiotów. Znajdziesz w ich dziełach moc ruchu, obaczysz jak się idea rozwija i przez tysiące przechodzi dzielnic poezyi; ale wszystka ta robota w granicach zawarta doskonałych, wszystka w pryzmacie piękna, w artystyczném uczuciu swój wyraz znajduje. Tu, jeśli symbol psychologiczném waży znaczeniem, jeśli formuły pod rydwan zaciągnione prawd poetycznych, jeśli każdy ton i każda tonów kompozycya, dotykają zblizka treści duchowych a objawów żywotnych;—to niemniéj zachowane jest prawo, na mocy którego uczestnik do rozpoznania w muzyce poetycznéj symboliki przychodzi. Takich mistrzów bardzo nie wiele. Odznacza ich pewne piętno arystokratyczne, że nie puszczają wodzy indywidualnym swawolom fantazyi, że się trzymają rodu. W ich produkcyach odnajdziesz ogniwa sztuki, a na ich pracy ściele się jéj rozwój i rzetelna historya. Patrz, ów wielki a mało ceniony mistrz Mendelssohn-Bartholdy, stoi na rozdrożu prawie sam jeden, a jakiś dziwny otacza go urok. Kłaniają mu się przechodnie, choć idą daléj w puszczę. Może téż nie jeden z błędnéj zawróci pielgrzymki i spyta go o drogę, witając najsumienniejszego ze wszystkich nowoczesnéj muzyki przedstawicieli. Jego dzieła nie koniecznie z poetyczności plemiennéj treść czerpią; przegrywa w nich głęboki liryzm, może wyjęty ze wspomnień biblijnych, może z najgorętszych piersi wszech ludów, do których to tonów łatwo młodego poetę nadzwyczajna delikatność uczuć wiodła. Wszakże, pomimo to, on jest reprezentantem najdoskonalszéj formy, jaką duch sztuki niemieckiéj dotąd wyrobić usiłował, począwszy od Hąydna, którego Mendelssohn ostatnim zwać się może potomkiem. Innemu poecie przypadło wydać liryzm czysto germański, a wyśpiewać najcenniejsze poezyi plemiennéj tajniki. Webera geniusz dotyka mytów i legend, więc w natchnieniach melodyi, w wielkich kompozycyach scenicznych zaklina potężnego ducha germańskiéj romantyki. To najoryginalniejszy, niepodzielny, prawowity teuton. Wszakże do ogólnéj ojczyzny sztuki on ztąd należy, że na jego dziełach historya znaczy epokę znakomitego postawienia muzyki w obec innych dźwigni dramatu. Weber od Glücka pochodzi. Dramat jego panuje na scenie ideą, któréj potęgi, nie tylko forma muzyczna nie chłonie, lecz ją rozwija, podpiéra, kształtując się z téj saméj fantazyi romantycznéj, z tych samych pulsów i ruchów, jakie przedmiot poezyi nastręcza. Wielka tu jedność czynników; a jednak zważ, że pomimo to, sztuka muzyczna wcale swych atrybucyj nie traci, że nawet wśród najgwałtowniejszych orkanów ruchu, wśród najwalniejszéj prawdy scenicznéj, jeszcze pamiętną jest idealnego *piękna*, od którego głównie pochodzi. Mendelssohn i Weber, dopełniając się wzajemnie, stanowią sojusz, w któ-

rym nowoczesna sztuka niemiecka swój doskonały wyraz znajduje. Bo jeśli pierwszy z nich jest mistrzem formy, więc przedewszystkiem zachowawcą rodu w sztuce, to w drugim cenią Niemcy śpiewaka ludowego, wieszcza plemiennego, który niezrównanym jest mistrzem słowa w liryce.

Do takiéjto odznaczającéj się plejady mistrzów należy bezwątpienia Moniuszko. W jego muzyce poznasz nie jedno znamię bliskiego z Mozartem, Mendelssohnem i Weberem pokrewieństwa. Na nim również spoczął bożek historyi, zaznaczając prawdziwy postęp sztuki, ów, który nie w szalonych porywach, nie w poniewierce tradycyj, lecz w rozsądném a miarkowaném kroczeniu swą drogę znajduje. Obaczmy naturę jego artyzmu.

Mówiłem o pretensyach do rozwijania, które dzisiejszą szkołę bez miary opanowały. Niepodobna w takowym kierunku nie widzieć wielkich reform i wielkiéj dla sztuki przyszłości. Symbol muzyczny, stężały w tysiącznych formach, które w pamięci utkwiły, a przez wrażenia na wieloznaczące w pojęciu naszém zamieniły się monady, przechodzi w dziedzinę poezyi i tę samą odbywa estetyczną drogę, jaką odbywała poezya słowa, to jest od miary i zewnętrznéj piękności, do obszarów myśli. Baczmy wszelako, że dzisiejsze w tym kierunku objawy, są jeno przejściowéj epoki usiłowaniem. Więc je oględnie cenić należy, uważając raczéj, jako zaciągnione do wyrabiania się teorye, nie jako ustaloną estetycznie szkołę. Jeden jest mistrz, który olbrzymim uposażony geniuszem, stanął na czele przejścia. Wielki mocarz dla jednych, szaleniec dla drugich, Ryszard Wagner sam jeden dotąd podjął śmiało i bez lęku nowy sztandar w sztuce. A i on przecie nie minął szkopułów, bo przedewszystkiém musiał zepchnąć muzykę ze stopnia jéj udzielności, dając w operze pierwszeństwo lub równouprawnienie, już nie tylko idei, lecz deklamacyi, plastyce i wszelkim objawom dramatycznéj prawdy. Ztąd w rozwijaniu rzeczy, jeśli osiągnął nadzwyczajne potęgi jedności, jeśli przedziwne znalazł dla dramatycznéj sztuki organa, to nieraz zaplątał się w nierozwikłany, w przerażający form i tonów labirynt.

Moniuszko nie zachodzi w psychologiczny rozwoj natury osób i czynów; nie śledzi przyczyny ruchów; nie bada i nie rozbiera uderzeń serca; nie rozciąga spekulacyjnéj kontroli nad istotą poetycznych ducha objawów. Więc je bierze bezwzględnie, jakiemi są, jak mu je podaie prosta, naturalna uczuć lub zjawisk emanacya. I nie dziw; on staje w obec natury ducha polskiego, więc go pojmować powinien w sztuce tak, jak się on w prawdzie przejawia. Wszak ducha polskiego przymiotem jest natchnienie, ciągły wybuch wewnętrznéj treści, która nieustannemi znakami na zewnątrz się wylewa. Nie trzeba téj treści tłumaczyć, bo ona sama jasno, szczerze i całą tłumaczy się pełnią. Weź jeno jaki prawdziwy z życia dramacik i uważ formy jego. Naraz pełno ruchu a wyrazu i cały charakter osoby w szczerym obaczysz wizerunku. Tu każde uczucie wnet po zapłodnieniu, to śmiechem i płaczem, to rozlicznemi słowa, głosu i plastyki

odcieniami, jak na dłoni się jawi. Bo skoro mają podstawę i na stałym oparte gruncie, skoro bardziéj z górującéj w społeczeństwie idei, niż ze skrytych wychodzą namiętności, uczucia i czyny rozwijają się jawnie, na widoku i idzie o to, iżby ich wzajemne kollizye schwycić, ich charakter i stosunki zrozumieć. Mistrz tedy rozwija szereg motywów, ale samego motywu zbyt szczegółowym rozbiorem nie dotyka. On je logicznie ze sobą połączy, wysnuje z prawdy, lecz nie ujarzmi pętami własnéj myśli, nie oplącze metafizyką psychologiczną. Ztąd posiada zupełną wolność artystyczną i moc kształtowania prawdy przez piękno. W Moniuszki utworach niezmiernie uderzającym jest przymiot ów. Z artystycznéj ceniąc strony, niepodobna dość podziwić téj obfitéj intuicyi, która mnóstwo barw i kształtów wydaje, a coraz inne, coraz piękniejsze i choć w jednę całość logicznie złożone, przecież dziwnie zwarte w sobie i pełne.

W kompozycyi Moniuszki panuje idea. Ona przejmuje fantazyę mistrza, który téż umie przyswoić sobie wszystkie jéj rozczłonia i natchnąć się wszystkiemi jéj momentami. Z tego względu najbliżéj stoi Webera. Ta sama w utworach łączność i powaga faktury, ta sama umiejętność wynajdywania najstosowniejszych dla każdéj sytuacyi symbolów, to samo głębokie słowa muzycznego traktowanie, które nie dopuszcza zboczeń do czczych figurek i poetycznéj uwagi słuchacza żadną marnotą nie odrywa. Słuchacz ma ciągle przytomną sobie ideę, wciąga się w jéj poetyczny tok, więc otrzymuje wieść o prawdziwych ruchach i tonach idealnie przedstawionéj rzeczy. Taka tu prawdy z pięknem jednia, że zdaje mu się, jakoby niepodobna inaczéj tych samych przedstawić zjawisk: ów krzyk z wnętrza duszy dobyty, ów romans lub modlitwa, ów popłoch dramatyczny lub charakteru malunek, nie mogą być żywotniéj z prawdy odtworzone. Nie miałyby téj mocy, gdyby je oderwany smak na swoją przeciągał powabów szalę. Idea i poetyczna jéj wartość, są tu przedewszystkiem ważone; ztąd téż uczucie i wyobraźnia uczestnika zawsze niespożytą karmią się treścią przedmiotu. Niezapomniane wrażenie sprawia w illustrowanym przez Moniuszkę dramacie „Hans Mathis“ grany poza sceną motyw. On jest niby zamordowanego żyda głosem, wołającym żałośnie w niespokojnéj duszy zbrodniarza. Nie łatwo znaleźć tak prawdziwy motyw, a zwłaszcza co do formy, która na jawie ma wyobrażać tajną wyrzutów sumienia robotę. Motyw za każdym razem, jak gdyby płacz z grobu powstaje, nagle się urywa i niby w przepaść zapada. Ta właśnie jego mistyczna forma dziwnie wspomaga sytuacyę i duszę wspułczuciem a trwogą rozdziera. Ta jest różnica między artyzmem niemieckiego a polskiego mistrza, że muzyka pierwszego jest więcéj romantyczną w zarysach swoich. Weber, sprowadzając do życia świat mytów i legend, rozlubowany w fantastycznych sferach sagi, tworzy również fantastycznie. Lubo melodya jego wprost z serca, z północnéj melancholii uczuć wypłynie, ale jéj tkankę umysł kompozytora sformułuje nieco kapryśnie, niezwyczaj-

nie, wedle rysunków téj wyobraźni, która nie samą prawdę, lecz allegoryę prawdy odtwarza. Ztąd, jeśli w lirycznych natchnieniach jego przemaga nadzwyczajna prostota, to w formie, w kompozycyi, znajdziesz niejednokrotnie romantyczną allegoryi fantazyę. Weber przedstawia rzadki fakt łączenia się w dziełach sztuki prostoty z fantastycznością. Widać to najwyraźniéj nawet w jego sonatach. Lecz weźmy dla przykładu chociażby walczyk z „Wolnego strzelca". Kompozytor w melodyi i w akcencie ruch ludowy zakreślił; wszakże tak lekko i fantastycznie, że widzisz ledwie cieniów przemykanie, ledwie szkic osób, które czarodziejsko we mgle się gubią. Moniuszko przeciwnie, odmaluje w tańcu cały poemat ruchów, że w wymownych formach ujrzysz cały obraz żywych, malowniczo a poetycznie ruszających się postaci. Moniuszko zbiera wyobraźnią same rzeczywistego życia rysunki. Ztąd taka jędrność i żywość, ztąd niewyczerpana w ruchach trzeźwość i nie ledwie plastyczna w formie wyrazistość. To stanowi jego zupełną oryginalność. Patrzmy, ledwie kilka taktów, lub nie wiele rzuci peryodów, a że je odrazu w dostroju formy wyda, że znajdzie istotny głos i kolor i ekspressyę i ramę, wnet ci się jawi postać i jéj stan psychiczny w najzupełniejszym objawie. Słuchając téj muzyki, zdaje się jakoby w niéj wcale kunsztu, to jest form piękna nie było, jakoby utwór roztaczał samą prawdę rzeczy, samą przyrodzoną natury i ducha przymiotowość. A jednakże winien to złudzenie słuchacz artystycznemu talentowi, mocą którego kładzie kompozytor pod spodem poezyi grunt doskonały. On nie znuży uwagi, nie nadużyje wrażeń, nie obrazi danych umysłowi ludzkiemu instynktów piękna; lecz oczyniając nieznacznie, niepostrzeżenie, zadowolni pierwsze skłonności, dla osiągnienia tém większéj nad duszą władzy.

Polecić tedy uwadze należy, jako ważny mistrza naszego przymiot, że stawia ideę na czele kompozycyi, że umie wnikać w jéj szczegóły i wiązać nici, że misternie wytwarza poetyczną prawdę, która aż do złudzenia z symbolów muzycznych wyrasta. Ztąd pochodzą oryginalne sposoby kształtowania form muzycznych, bo je poczyna oryginalność narodowéj idei. W operze mistrz nie tworzy pojedyńczych numerów muzyki, lecz cały oddany idei dramatu, rozwija muzycznie osnowę jego. Ztąd formy idą tu w ślad za formami sceny i za nic kompozytor faktury swojéj od dramatycznéj nie oderwie spójni. Przywykliśmy oddawna widzieć w operze zgwałcenie poezyi na korzyść muzyki. Niedorzeczność libretta tém pożądańszą dla kompozytora, im mniéj myśli a treści, im więcéj nieokreślonych luk do zapełnienia muzyce przedstawia. Otóż tę rażącą między muzyką a poezyą sprzeczność, nowoczesna szkoła naprawić usiłowała. Widzieliśmy jak Wagner, do greckiego zwracając się dramatu, dał potężne hasło postępu i wzniecił ruch między mistrzami. Niepodobna im teraz lekkomyślnie traktować sztukę, któréj znakomitą wartość reformator ukazał. Więc nie dziw, że jeden z nich, śmiało po téj drodze idąc, a nadto pełen wiary i młodzieńczych darów, umiał stwo-

rzyć rzeczy znaczące, wyższe od przyjętéj krytyki. W Moniuszki dziełach powaga poezyi staje obok muzyki, owszem, potęguje się przez nią, nabiéra mocy cudownéj. Chcąc całość jego opery oglądać, musisz przedewszystkiem wysłuchać dzieło. Zaś jako organiczne całostki, znajdziesz w niém akty, potém sceny, gdzie mnóstwo ściśle ze sobą powiązanych, a poetycznie ważnych szczegółów się mieści. Dla téj jednolitości w kompozycyi, oraz dla wielkiéj swobody, z jaką się tu rozwijają, tak poezya i muzyka, jako téż plastyka, Moniuszko historyczne zająć powinien miejsce wśród zacofanych z jednéj, a zbyt gorączkowo postępujących nowatorów z drugiéj strony.

Zastanawiając się nad oryginalnością form Moniuszki, raz jeszcze przytoczyć przychodzi uczynioną uwagę, że główną jego muzyki cechą, jest nadzwyczajne ruchu bogactwo. Baczmy, że dwa składające muzykę pierwiastki, ton i rytm, są jakby przeciwnemi sobie ostojami, na których sztuka się opiera. Ze strony tonów czysta, nieokreślona i rozpłynna idealność; zaś przez rytm muzyka zstępuje do natury, do dramatycznych życia objawów. Tylko idealnym pierwiastkom muzyki przystoi zdradzać takie sekreta uczuć i myśli, których żadna inna nie wyrazi forma, których człowiek sam nawet nie zna, bo są jego niewinnością lub przechodnią bożostanu chwilą. Tylko przez idealny piérwiastek muzyki, sztukmistrz wypowié niepochwytność marzenia, promienność egzaltacyi, wiośniane serca melodye. Boć tam pulsa tak lekkie i delikatne, wibracye tyle toniczne i rozpłynne, że zdają się być podsycane samym magnetyzmem, lecz nie krwionośną tętnicą. Do takiéj arcyidealnéj sfery podniesiona muzyka zrzuca z siebie zewnętrzne znaki, powierzając swą symbolikę saméj dźwięczności, samym czystym atrakcyom tonów. Rytmy i akcenta nikną, nawet linie i podziały zdają się gubić w magnetycznych płynach harmonii lub harmonicznej melodyi. To najwyższa podniosłość sztuki, gdzie muzyka staje się niezależną od ruchów natury, toniczną wymową. Śpiéw gregoryański, fuga, polifonia Palestryny i muzyka Bacha, zrodziły się w egzaltacyi uczuć, w téj saméj, która wymiary a linie architektury w marzenie zamieniła, a przypada téż najbardziéj do ducha niemieckiéj umysłowości.

Jakkolwiek podniosła jest wszakże sztuka na téj stopie samą jednostronnością. Jéj ideały bierne są i mgławe: jéj piękność, bez rumieńców życia, nie przemówi do duszy, jak tylko w imię saméj egzaltacyi. To téż dzisiejszy sztukmistrz wyrazi przez nią pewne stany, użyje jako wyrobionego typu, lecz treści natchnień już w tak ciasnym typie pomieścić nie zdoła. W jego duszy tętnią pobudki życia, a serce silnie uderza i opędzić się nie może tysiącznym od świata zewnętrznego napływającym wrażeniom. Więc nie dziw, że muzyka jego przemówi znakami a ruchem; rytmy i akcenta jawią się w utworze, który już do rozległych obszarów żywota należy. Ukryją się

wprawdzie te znaki pod wyższą muzyki pięknością, popłyną tonami i przenicują swą fizyczną surowość; ale też dadzą ze siebie treść, zarysują kształty, wymówią słowo muzyczne. Tu się poczyna ogromna skala stosunków, jakie wypadną ze zbliżania do siebie dwóch muzyki piérwiastków, tojest idealnych przymiotów tonu i realnych rytmu. Że rytm w istocie musi do ruchów zbliżać się natury, aby muzyka organiczną wartość miała, dowodzi tego sam rozwój sztuki, która aż do poematycznego przyszła znaczenia. Beethoven tworzy poemata, a któż w jego figurach i znakach nie dosłyszał symfonii mowy ludzkiéj? Dlatego muzyka jego tak potężną ma siłę, że nie odbiega od prawdy, że wielki mistrz tworzył tak organicznie, jak się tworzyła przez wieki, w psychologicznym związku z naturą, najszlachetniejsza symbolika towarzyska. To samo znaleźć w prawdziwie natchnionych momentach dramatycznéj sztuki. Nie zastanawiają się nad tém sztukmistrze; niemniéj przeto intuicya prowadzi ich fantazyą do odtwarzania ruchów wedle praw organicznych. Nigdy Berlioz nie mógł zrozumiéć, dlaczego poetyczne natchnienia jego nie były cenione. Oto fantazya jego opierała się na sztucznéj deklamacyi, lecz nie na prawdziwym dramacie. On na tragedyi Rasyna, na klassycyzmie francuzkim swą intuicyą kształcił i dlatego wykoszlawiał prawdę, dziwacznie ruchy uczuć przedstawiał. Począwszy od mowy i dramatycznych przez głos manifestacyj, muzyka ze swemi tonami schodzi do coraz plastyczniejszych objawów, do ruchów i tęten o tyle szlachetnych, o ile je psychologiczna znamionuje wartość. Ruchy i akcenta towarzyskie, plastyka gracyi, niezliczone mnóstwo tęten natury, które zapisuje wrażenność, a odtwarza wyobraźnia, dają sztuce pole do chwytania żywcem roboty człowieka, kształtującego co chwila dramat z siebie lub też ze zjawisk. A wszędzie sztuka zachowa sekret, bo nie godzi się jéj zdradzać fantazyą mistrza i z najidealniejszych tytułów obnażać imię własne. Ów sekret stanowi o jéj mocy, bo przecież ona niby do nieistniejących ideałów jaźń naszą prowadzi, a jednak, pomimo naszéj wiedzy, podnosi uzbierane z życia wrażenia.

Owoż po ruchu muzycznym poznasz oryginalność form u kompozytorów naszych. Jest w ich rytmice pewna wyniosłość, nieraz majestatyczna powaga, a zawsze szlachetność toku. Wszak w kompozycyach Dobrzyńskiego, lubo forma obca i motywa nie swoje, przecież nieraz dusza polska przemawia. Owszem, jest w utworach jego nastrój wspaniały, potoczysty, co mu przeszkadza do prowadzenia symfonicznéj muzyki wedle ścisłych przepisów szkoły. Szczerość uczucia i jasność duszy nie dały się tu pochłonąć przez spekulacyą formy, lecz się wyraziły pełniejszym motywem, śpiewniejszém wiązaniem. U Szopena wyniosły tok rytmiki o tyle jest górującym, że już nie w samym polonezie, lecz w każdéj prawie kompozycyi, on znajdzie sposobność okazania wspaniałéj, królewskiéj godności ruchów. Toż samo co do innych manifestacyj. Lubo idealistą i marzy-

cielem jest przeważnie Szopen, wszakże nie w jednym utworze jego, żywe uczucie przełamuje się ruchem po przez bierną egzaltacyą. Nokturn pod N-rem 2 dz. 27, roztacza zrazu szeroką, tonopłynną melodyą. Już w samym tym głównym motywie tkwi mowa, rzekłbyś wzruszony monolog kochanka wśród jasnéj nocy, może wyznanie miłości, może samotnéj duszy zachwyt. Lecz oto wpada mistrz na ton minorowy, poczyna się żalić i łzy rzewne ronić; już słyszysz dwa głosy, a wśród dyalogu zawody i łkania płaczu serdeczne. Takie to żywe, takie z ruchu uczuć prawdziwe, że niepodobna w onym liryzmie tych samych nie dosłyszéć wibracyj, ciepłych a drgających, które cię nieraz w dramacie życia dotknęły. Szopen pokrywał swoje ruchy niewieścim przystrojem fałd i koronek, to je powlekał romantyczną gazą melodyi i harmonicznéj ekspresyi, jak gdyby się wstydził rzeźkich kształtów i czerstwéj cery uczucia. A jednak pomimowolnie to uczucie wybuchało i w wielu chwilach fantazyą mistrza rządziło. Wszak te chwile wydały najoryginalniejszą formę kompozycyi—Szopenowski mazurek. Niezmiernie to trudna do wykonania forma. Nieumiejętna mazurków Szopenowskich reprodukcya niweczy charakter i cechę, a już zupełnie je rozkłada niewłaściwe do śpiéwu stosowanie. Przyczyną trudności jest owa w uczuciach Szopena przewaga liryzmu egzaltowanego, co właśnie wykonawcę unosi, odrywając go od schwyconych na prawdzie ruchów i akcentów. Melodyjny idealizm łatwo się bierze za samo natchnienie, zaś forma kompozycyi zostaje na boku, bo to sprawa psychologicznych studyów, sprawa narodowych tajemnic, z któremi, jak to sam mistrz czynił, przez miłość zapoznać się trzeba. W saméj rzeczy, sprobujmy nieco odsłonić formę Szopenowskich mazurków, sprobujmy zdjąć z nich subtelną gazę liryzmu, a obaczymy, jakto z nich tryśnie poezya uczuć narodowych, jak wynijdą postacie, ich mowa, oraz żywy wizerunek ruchów. Tu chłopak z dziewką zatoczy się tanem, tam ciche oświadczyny, rzewne tęsknoty i radość, a basetla pobrząkuje i karczemny gowor wtórzy. Naraz w téj saméj formie zarysuje poeta cały dramat miłości, to wypowié charakterystyczną sprzeczkę ludową, to odmaluje jeden z tysiąca sielskich obrazków. Nie wszystkie mazurki z tego pochodzą źródła; domierzał Szopen tę formę do swoich osobistych spowiedzi i nie do poznania idealizował; niemniéj przeto sztuka polska chlubić się może oryginalnym, nadzwyczaj pięknym typem, w którym duch narodowy zawarty. To są całe w sobie, artystycznie wytworzone polskie poemaciki.

O ile tedy w natchnieniach kompozytora przewaga idealizmu rozczynia formę przez egzaltacyą, prawdziwy ruch uczuć przez czystą melodyę tonów, o tyle znów z drugiéj strony, nic snadniejszego, jak wpaść sztukmistrzowi w charybdę zbyt obnażonéj plastyki. Często dziś zdarza się słyszéć w utworach dramatycznéj muzyki; jak dalece sztuka niweczy melodyą dla ruchu, harmonią dla zgiełku, oddając drogocenne przymioty swoje na posługę naturze. Przy

takich warunkach, sztuka zamienia się w *genre*, to jest zasklepia się w ramach charakterystyki rodzajowéj i nie jest w stanie wyższych ducha narodowego chwytać polotów. Więc grzęznie w mule płaskiego obyczaju, a tak maluczką się staje, jak owo uwikłane w sceny rodzajowe holenderskie malarstwo, co z karczmy już wyjść nie ma siły, lub jak owa karykatura Offenbachowska, co ze świetnéj niegdyś opery francuzkiéj wynikła. Jakoż jedynym regulatorem w téj mierze, jest artystyczna intuicya kompozytora, zarówno uczuciem, jak wyobraźnią uposażonego. On nie da się prześcignąć jednéj władzy przez drugą, owszem, nagromadzone z życia wrażenia, on indywidualném przerobi natchnieniem, aby je w ideale, lecz nie w realności na jaw mógł wydać.

Taką równowagą władz uposażonym jest geniusz Moniuszki. Ruchy i akcenta jego muzyki są niezmiernie żywe, wibrujące, nieraz zapalnym ogniem skrzą się; wszakże, jeśli je z natury mistrz bierze, jeśli psychologicznie ich prawa i artystycznie formy przejmuje, to wprzód przez żary natchnienia, przez tajemny chrzest intuicyi przeprowadzi, zanim w dziele sztuki ukaże. Wszystkie formy liryczne Moniuszki idą niezmiernie żywo, prawie dotykalnie za prawdą psychicznych objawów. Tu nieraz usłyszysz mowę ludzką i głośne wybuchy uczuć, nieraz w rytmicznéj ekspresyi podziwisz najszczególniejsze odmiany, jakiemi się wyraża osoba, aż do zupełnego naprężonéj treści wyłonienia. Mistrz bada we wszystkich odcieniach piękność uzewnętrzniających się manifestacyj, a umie schwycić je ze strony szlachetnéj, poetycznéj. Opowiadanie o „Verbum nobile“ idzie zrazu męzkim, poważnym torem. Lecz głos w głębokie unosi się *portamento*, a przez modulacyą jeszcze głębiéj drugi raz sięga. To chwila uniesienia się Serwacego, który mówi: „Daliśmy sobie *Verbum nobile*, że się połączą te dzieciaki nasze.“ Owa głębokość tonu i nadzwyczajna powaga ruchu, doskonale malują zacność polskiéj duszy, która do danego słowa tyle uroczystéj przywiązuje wagi. Przepyszny jest koniec opowiadania, gdzie uczucie proroczą siłą natchnione, daje religijnie poważny głos o tém, że „Verbum nobile, to święta rzecz!“ Uważ chór wieśniaczy w Halce, gdzie wśród powitalnych akcentów, każde z nadchodzących paniąt innym odznaczone charakterem, lub ową dwóch szlachty sprzeczkę, gdzie tak prawdziwie zarysowana zacna pana Serwacego i gwałtowna pana Marcina osobistość. To są formy niezmiernie żywo, malowniczo i psychologicznie ze studyów zdjęte natury. A jednak, lubo tyle prawdziwe, są przecież te formy dziwnie skończone i cudownie w artystyczną pełnią ujęte. Skoro mistrz stanął dłużéj na jakiéj nucie, to bezwątpienia i idealne brzmienie téj nuty i jéj realne trwanie, ważną rolę grają; oba przymioty są w spółce, jako prawdziwego uczucia wyraz. To samo ma się rozumiéć o wszystkich zmianach rytmu, odnośnie do melodyjnych odległości tonów, oraz do harmonicznych modulacyj. Niełatwo Moniuszkowego liryzmu

formę ułowić wedle linii a podziałów, bo ich tu nie masz, bo mistrz jest pieśniarzem i poetą, a nie oderwanéj muzyki architektem. Ale słuchając dobrze wykonanéj, rozumiesz tę muzykę i nasycasz się nią. W niedługiéj scenie, w niewielkich ramach obrazu, mistrz bardzo wiele ruchów zawrze. Ztąd krótki motyw śpiéwu, niedługa modulacya, lada figurka w orkiestrze, że są natchnione a syntetycznie symbolizujące, uderzą uwagę i zarówno do wyobraźni, jak do serca przemówią. Pod względem zwięzłego prowadzenia sceny Moniuszko nie ma sobie rownych w sztuce, biorąc na uwagę nie samą lekkość stylu, jak naprzykład u Rossiniego, ale jego poważną i głęboką treściwość. Coraz inne motywa, coraz odmienne grupy śpiéwu, a wszystko pełne życia i artystycznie wytworzonego ruchu: oto forma mistrza, stanowiąca całość jednéj sceny lub aktu jednego. Nigdzie przeciążenia w recytacyi, zbytku w zbiorowych momentach, nierówności w rozwijaniu, ani najlżejszego krytyk tu nie dostrzeże braku, bo mu przedewszystkiém podziwić wypadnie wyrazistą jasność myśli i zwięzłą sztuki kształtność.

Nader ważną gra rolę w utworach Moniuszki fantazya. Ona również potężnym jest realizmu regulatorem, że tworzy rzeczy nieistniejące w rzeczywistości. Jak motylowi dała natura różnobarwność, niby bezcelowo, a jednak dlatego, aby wśród różnobarwności kwiatów mógł żyć bezpiecznie, tak człowiekowi fantazya jest daną do harmonii z myślą i uczuciem, aby mógł być artystą, twórcą rzeczy samoistnych. On myślą należy do ducha powszechnego, uczuciem do natury, lecz przez fantazyą do siebie samego należy. W muzyce fantazya wielce ważną czynność roztacza. Ckliwie i sucho, sztywnie i mizernie wyglądają bez jéj udziału formy muzyczne. Fantazya umié wybór robić w rzeczach realnéj przedmiotowości, owszem ledwie ich dotknie, a już wnet przystroi i na piękność zamieni. Więc chociaż myśl i uczucie na utwór pracowały, to jednak z formy, z mnóstwa artystycznych drobiazgów, zaleci się fantazya mistrza, to jest władza samodzielnego, artystycznie pięknego tworzenia. Że Beethovena znakomita odznacza fantazya, ztąd psuje szyki komentatorom, usiłującym na poetyczną treść wytłumaczyć utwory jego. W głowę zachodzą, co mają oznaczać pewne form kaprysy. Bo przecież w poematach mistrza tak wyraźnie stoi człowiek i duchowa treść ludzka, a jednak niepodobna téj treści do dna rozpoznać. Otóż uwagę estętyków zwrócić na siebie powinna olbrzymia artysty fantazya, któréj robota nie jest do wytłumaczenia. Nadmienić atoli wypada, że inaczéj ważoną być winna fantazya mistrza instrumentalnéj muzyki, a wcale inaczéj ta, która pieśniarzowi i scenicznemu kompozytorowi przysługuje. Tam nieograniczona, tu wielce warunkowa jéj czynność; tam jest ona assocyacyą głównie artystyczną, tojest zbiornikiem władz sztukmistrza w kierunku kunsztowności, tu zaś jedynie współpracującą ze strony artystycznéj władzą. Umiał Moniuszko z nadzwyczajnym

taktem trzymać w granicach fantazyę swoją. Nie ulegając jéj pokusom, nigdy nie poświęcił myśli poetycznéj na odróbkę téj bogini kształtów. Fantazya polskiego pieśniarza idzie w ślad za narodową fantazyą. On kunsztowny artyzm li tylko na pomoc przyzwie, by mu skończenie i pięknie natchnienia przystroił, lecz zawsze w miarę i ledwie z daleka na tworzenię wpływając. Artyzm Moniuszki znajdziesz w mnóstwie drobiazgów, gdzie nie psując prawdy, on niewysłowionym urokiem odznacza formę. Rzadko się zdarza mistrzowi powtórzyć jeden i ten sam motyw liryczny; lecz skoro na to sytuacya pozwoli, on już go powtórzy w innym przystroju, a nie zmieniając głównych barw i rysów, przysporzy krasy w akompaniamencie lub w szczegółach. Myliłby się, ktoby brał instrumentacyą Moniuszki za czysty, oderwany artyzm. Wszakże znajdziesz tu nieraz, zwłaszcza w instrumentowaniu lirycznych motywów, niby drobne, nieznaczne, a jednak pełne dobrego smaku upiększenia. Owóż fantazya mistrza naszego, gdy na większą skalę czyni, nosi na sobie nie artystyczną, lecz poetyczną cechę. Słuchaj finału w Verbum nobile. Jeszcze nie przebrzmiały smętne głównych osób akcenta, a już chór wieśniaków weselną nutę w to miesza. Dlaczego mistrz sprzeczne połączył z sobą rzeczy? Mógł przecież skończyć pierwéj jedno, nim w odmienną wejdzie uczuć sferę. Jest w tém gra fantazyi, którą nietylko artystycznie tłumaczyć należy. Wszak to prosty, prawdziwy, a jednak poetycznie schwycony wypadek dramatu, że wiejska gromada, nic o frasunkach państwa nie wiedząc, przynosi swéj panieneczce wesołe życzenia. Toż samo w Hrabinie. Dlaczego do popisowéj piosenki Broni chór męzki się miesza? Fakturę téj piosenki, artystycznie piękną, odznacza przeważnie poetyczny przymiot, że wyraża ogólną sympatyą, jaką Bronia dla siebie wywołała. Poetyczność fantazyi dba o to, iżby myśl jasno wyłożoną była, iżby łączone przez muzykę sprzeczności, usprawiedliwiały się logiczną prawdą, wyższym interesem dramatu. Gdzie fantazya dramatycznego muzyka przechodzi na stronę artyzmu i w kunszt się zamienia, tam nie ma wyższego piękna jeno effekt, tam kontrapunkt gra przeważną rolę i zręczność harmonisty cudu dokazuje. Tak stłoczone w artystyczną formę sprzeciwieństwa, nie mogą uwadze udzielić się słuchacza z innéj, jak z saméj zewnętrznéj strony. Bo poetyczna wrażliwość duszy, potrzebuje pewnego ładu w planach, iżby z przedmiotu wynikające kontrasta, mogły ją poruszyć. Fantazya Moniuszki nigdy nie czyni na przekor psychologicznéj wrażeń naturze. On przed słuchaczem pięknie sprzeczności rozwinie, nie pokuszając się o misterstwo bezwzględne. Owszem, zawsze mądrze i z delikatnym taktem obmyślane jest to misterstwo. Przeciwieństwa uderzą o siebie, jak to w przytoczonym przykładzie ma miejsce; lecz się wyłonią samodzielnie, logicznie. Ztąd, lubo każda w jego utworach scena jest artystycznie co do szczegółów wykończoną, to jednak główne rozczłonia, zmiany i kompozycye

formy, są poetycznego znaczenia. Nietrudno zauważyć, jak dalece nie znosi mistrz jednostajności, jak muzyka jego mieni się szybko w ruchach i barwach, przyzywając na pomoc niespodzianki harmoniczne, instrumentalne lub akcentowe. Więc zdawaćby się mogło, że je artystyczna wytwarza fantazya. Lecz w miarę wnikania duchem, w miarę częstszego a pilniejszego uczestnictwa, obaczysz w nich poetyczną potęgę mistrza, który przedewszystkiém wymowy lirycznéj i formy malowniczéj szuka.

Dla określenia arstystycznéj oryginalności Moniuszki, wypadałoby scharakteryzować technikę harmonii jego. Wszakże, skoro kompozytora bardziéj poetyczne niż artystyczne odznaczają przymioty, nie wolno estetykowi dzielić tę jego osobistość. W analizie odsłonią się rzeczy niezgodne, ulegające surowéj naganie, kiedy przeciwnie, zapatrując się na nie z właściwéj strony, znajdziesz że są zupełnie usprawiedliwionemi. Co krzyków wydała w swoim czasię scholastyka muzyczna na Beethovena harmonię! A jakiż harmonista nie krztusił się nieprzygotowanym dyssonansem, lub septymowym na wszystkich skalach gammy akordem, jakie nowoczesna muzyka produkuje? Straszna klątwa na Wagnerowskiéj ciąży muzyce. Jego ulubiona harmonia septymy zmniejszonéj, jego wężowe zwoje rozstrojonych akordów, przerażają mistrzów, w których duszy brzmią dźwięki chrześciańskiéj, tradycyjnéj muzyki. Bo téż w istocie, przeraźliwie im syczyć musi ta kupa żmij, któréj wielki czarownik wcale nie rozwiązuje, jak gdyby chciał całą massę gadu na nerwy rzucić słuchacza. A jednak, jeśli wiele dałoby się tu zganić ze strony fizyologicznych teoryj muzyki, to również wiele usprawiedliwiłby sąd wyższéj, ogólniejszéj estetyki. Wszak w obec upartego konserwatyzmu sztuki, nicby się nie ostało z Wagnerowskiéj roboty, a ledwie cząstka Beethovena. W takim razie Wagner nie mógłby napisać Nibelungów, i Meyerbeer nie stworzyłby w muzyce charakterystyki historycznéj, i Szopen lękałby się dać formę dyssonansom duszy swojéj, i Moniuszko nie miałby odwagi dotknąć w rozlicznych odcieniach charakteru narodu swego. Pełno dyssonansów w Halce; same tańce góralskie wypadłoby zniszczyć, jako niesforne, nie harmonicznę. Przecież na tych dyssonansach, na rzekomych nieporządkach harmonii, opiera się poezya dramatu, oraz psychologiczne rysy jego. Otóż harmonia Moniuszki, cała jéj oryginalność, znajduje wytłumaczenie swoje w poprzednich rozdziałach niniejszéj rozprawy. Ona jest przedewszystkiém w duchu słowiańskim poczęta, odznacza ją jasność, zwięzłość i prostota. W obec muzycznéj umiejętności, posiada harmonia ta rzadki przymiot organiczny, że jest jędrną, wymowną i niezmiernie syntetycznie wyrobioną. Mistrz stawia dyssonans swój silnie, stanowczo i dla tego daje mu wartość psychologiczną, ile że natężenie jest ruchem uczuć usprawiedliwione, a zawsze artystycznie przygotowane. Taką potęgą odznacza się ów wykrzyknięty przez chór dyssonans w sonecie krymskim na wyraz „ruina"! Toż nic oryginalniejszego w harmonii mistrza naszego, jak

łatwość rozwiązywania akordów, jak ciągła dbałość o harmoniczną pogodę. Znajdziesz tu śliczności pod względem niespodziewanych figur i barw modulacyjnych, lecz nic rażącego, nic nie dostrzeżesz ostrego; owszem, gdy mu potrzeba gwałtu i mocnych orkanów, mistrz raczéj w rytmice, w potęgach ruchu i w instrumentacyi potrzebną dla siebie znajdzie ekspressyę. Wielki takt estetyczny cechuje w téj mierze idywidualność mistrza. On nie daje się uwieść wolnościom szkoły, mającéj za nic sobie fizyologiczną stronę sztuki. Wszak sama natura wrażeń ludzkich przepisuje granicę, poza którą wyszedłszy, już sztuka rozbija się o szkopuły i niepodobieństwa. Słuchając tak wysforowanéj muzyki, lubo do jéj poetycznéj wielmożności naprężysz ducha, to samo naprężenie, skoro jest pracą nad siły, już cię zmęczy, osłabi i niezdolnym do uczestnictwa uczyni. Zbrzydzisz sobie wieszczkę, która twych wrażeń nie szanuje. Tak nie jeden z uczestników obrzydził sobie pędzel, nie szanujący estetycznych duszy przewodników. Te chronią je od niepotrzebnych, rozkładających wrażeń; pilnują zdrowia przed napaścią chorobliwych a wstrętnych widoków. Bo na cóż się komu zdało naprzykład wiedzieć, a to przez jaskrawą wyobraźnię malarza, *jakie ma widzenia ścięta na gilotynie głowa*? Toż i słuchowe stróże mają sobie poleconém odpychać napastników, niosących samą negacyę harmonii, same gorycze i kwasy, gdy muzyka po wsze czasy, przez obietnice poetów i filozofów, ma nam najsłodsze idealne napoje podawać. Na złéj jest drodze sztuka, skoro zupełnie nie uwzględnia odwiecznych, prastarych prawd filozoficznych.

Za najpiękniejszą harmonię uważać bezwątpienia wypada chóry Moniuszki. Wszak to najtrudniejsze muzyki nowoczesnéj zadanie, w którém idzie o nienaruszenie scenicznéj prawdy, o ruch dramatyczny, o zachowanie jednostkom ich indywidualności, co wszystko razem ma nadto ujmować piękna, misterna faktura. Patrz jak odbieżone od scenicznego toku, jak dla effektu jedynie gromadzą się chóralne siły w wielu operach włoskich. Choć nadobne całością, lecz nic nie mówią, nie są dramatycznego ruchu naturalną, prawdziwą emanacyą. Najczęściéj przedstawiają massę zbiorową, obmyślaną przez kompozytora dla samych muzycznych wrażeń, lub dla powierzchownych upodobań. Takim szturmem nieraz zdobywają mało wymagającego słuchacza. Moniuszki chór zaciąga się swobodnie, w miarę rozwijania rzeczy, a mieni się psychologicznie, a kształtuje się wedle ruchu indywidualnych uczuć i myśli. Nic tak nie zadziwia w chórach Moniuszki, jak nadzwyczajna ich indywidualność. Masz przed sobą nie gromadę śpiewaków, lecz z naturalnego wypadku wynikły zbiór osób, z których każda jest wolną, ma swój charakter, a mówi, śpiewa i rusza się niezależnie. Chóry w Halce i w Hrabinie są arcydziełami, tak co do indywidualności osób i dramatycznego ruchu, jak co do misterstwa faktury. A niechże wypadnie wyrazić scenę, w któréj osoby ogólnemu poddane uczuć prądowi, obaczysz jak to z harmonii mistrza siła takowego prądu wytryska. Wypo-

wiedzą ją modulacye i figury, lecz tak w miarę użyte, tak sentetycznie do ducha idei dostrojone, że niknie ich powierzchowna piękność przed idealną powagą rzeczy. Takiemi są przedewszystkiém religijne chóry Moniuszki.

Niezwykła organiczność, cechująca kompozycye naszego mistrza, nader znacząco uwydatnia się w instrumentacyi. Z pomocą téj pięknéj a wymownéj dźwigni, Moniuszko pisze swe słowo muzyczne. W instrumentacyi leży dokończenie formy, oraz główny przybór rytmiki, odcieni i kolorytów, które mają wspierać śpiewaka, lub jego rolę charakteryzować. Nigdy Moniuszko nie przekroczy téj zasady i nie dopuści się unicestwienia śpiewaka w obec orkiestralnych potęg, więc przeważenia dramatu na stronę gry instrumentalnéj. To są błędy nowoczesnéj szkoły, szukającéj prawdy nie w naturalnych objawach ruchu, nie w rozwijaniu się motywów, lecz w spekulacyjném rozwijaniu każdego wątku dramatycznego.

Nikt lepiéj jak Moniuszko nie umiał uwydatnić prostoty w pieśni, że nie zacierał artystyczną pretensyą naturalnych przymiotów uczucia. W jego oderwanych piosenkach znajdziesz roje uczuć takich, jakie co krok spotykasz w samorodnych objawach liryki, w związkach natury z człowiekiem, w przyrodzonych ślubach piękna z rzeczywistością. Zkądże pochodzi ta rozmaitość a naturalność uczuć w pieśni, jeśli nie ztąd, że mistrz, przenosząc samorodne kwiaty do sztuki, nie przerabia je gwałtem na egzotyczne rośliny. Pieśń Moniuszki nie kurczy się i nie krzywi, bo nie przywdziewa zbyt sztucznéj, niedopasowanéj sukni. Owszem, cały strój harmonii i instrumentacyi do niéj się zastosuje, a raczéj uwydatni niż zatrze przyrodzony przymiot prostoty i naturalności, zgoła estetycznie żywotną jéj piękność. W śpiewnikach mistrza mnóstwo takich pieśni, które raczéj z artystycznéj prostoty, a nie z kunsztownéj formy cenić należy. Tam instrumentacya nie zgłuszy śpiewaka, nie sparaliżuje jego uczucia, ale go zmusi wydobyć z siębie istotne natchnienie, przejąć się melodyjném echem głósów natury i ludu.

Już inaczéj jak w tych drobnych, przeznaczonych dla śpiewającego ogółu urywkach, zaprodukuje się umiejętność mistrza w wyższéj kompozycyi lirycznéj. Uczúcia głębokie wymagają od sztuki całéj dzielności środków, ile że wyraz ich w wyższym poemacie, oraz we formach dramatycznych, ma być potęgowanym, silnemi rysami odznaczonym. Mistrz instrumentacyą dopomaga śpiewakowi, niby rozgrzewa serce jego, by mógł w najgłębsze zstąpić uczuć siedliska. Więc kieruje siłami jego: tu domówi na co śpiewaka niestać, tam wzmocni wibracye głosu, ówdzie chorowód uczuć, walki wewnętrzne lub poetyczną przedmiotowość roztoczy. Oczywiście że estetyczna waga tego stosunku o tyle czarującą udziela się słuchaczowi pięknością, o ile mistrz zachować tu umie takt wielki. Liryczna instrumentacya Moniuszki dzielnie wspomaga śpiewaka, lecz nieraz przesadą bogactw grzeszy. Patrz jaki w Halce rozlewający przemiar drama-

tyczego potęgowania i kolorytów. Choć mają znaczenie tła jedynie, choć główny rysunek melodyi z ust śpiewaka wychodzi, to przecież uwagę słuchacza uderza brak równowagi, massa gry niepospolitéj lecz przeciążającéj. To wynik nadzwyczajnéj pełni uczuć, zamieniającéj się w muzyczny rozlew, ilekroć mistrz dotyka strun najliryczniejszych. Zamało mu głosu ludzkiego. Chciałby go postawić w chórze najpiękniejszych życia głosów, dopełnić wibracye i urokiem poetycznéj fantazyi otoczyć przewodnią lirykę. Zważyć należy, że koloryty owe zawsze są dramatycznie dobrane, że się odnoszą do głównego śpiewu, dopełniając go malowniczo, podobnie jak w renesansowym pędzlu, gdzie poetyczny widok natury otacza główne postacie. Ależ, czy Moniuszko, tworząc owe gromy uczucia, to znów echa i zefirowe tchnienia w instrumentacyi, pamiętał dość o tém, że je wykonywać ma surowy materyał instrumentalny? Musi kompozytor rachować się z nieudolnością materyi, choć to mu nieraz natchnienie popsuje i z idealnych wyżyn, gdzie słuchał poetycznéj symfonii, do orkiestralnego pulpitu, do akustycznéj fizyologii sprowadzi.

Czyniąc ów zarzut, pomnieć należy o nowoczesnéj szkole. Wszak nawet Beethoven, właśnie dlatego, że wielkim był poetą, nieraz praw akustycznych zapominał. A cóż powiedzieć o dzisiejszéj orkiestrze dramatycznéj, gdzie trąby i kotły strasznemi dźwięki zapanowały, a natura każdego instrumentu zgwałcona? Do téj ostateczności nigdy nie przyszedł Moniuszko. Jakoż, jeśli zarzut powyższy dotyczy głównie pierwszych jego utworów, to już w późniejszych niepodobna mu go uczynić. „Paria“ jest doskonałym wzorem instrumentacyi.

Najoryginalniejszym atoli i najznakomitszym mistrzem, jest Moniuszko w rzeczach charakterystyki muzycznéj. Baczmy, że w kompozycyach muzyków naszych, najbardziéj znaczącym przymiotem jest dążność do produkowania śpiewności. Wszystko u Szopena śpiewa: główna melodya, harmonia i akompaniament. Skoro wraca do tego samego motywu, lub przechodzi do drugiéj jego części, on już drugi głos przyda, poprowadzi rzecz dwuśpiéwem, jak gdyby mu pilno było dwa uczucia skojarzyć, a w pięknym związku samotną tęsknotę podzielić. Dwuśpiewność melodyi jest najsilniejszym wyrazem uczucia, najżywotniejszą stroną natchnień Szopena. Nic téż bardziéj zadziwiającego w jego utworach, jak akompaniament. On mu zachowa charakter drugorzędny, podstawowy, lecz razem nada romantyczny urok, uszlachetni sztywność tła muzycznego i podniesie aż do zwierciadlanéj piękności melodyi. Naukę kontrapunktu Szopen nie tyle stosował do kontrafrazy i form dyalogu, ile do płynnych, zawsze lirycznych dostrojów melodyjnych. Otóż Moniuszko rozszerza na wielką skalę to usposobienie fantazyi, rozwija oryginalnie i stawia typ piękna w muzyce. Uważ świetne sceny, gdzie mistrz w dziedzinę charakterystyki z całą swobodą wchodzi. Słyszysz najprzód śpiéw chóralny, któremu z melodyjnego

znaczenia, z samodzielnéj piękności, z treściwéj i bogatéj harmonii nic ujętego nie jest. On mógłby być wykonanym bez pomocy instrumentacyi, lub na tle prostego akompaniamentu, tyle w nim samym tkwi poetycznego wyrazu. Lecz słuchaj: pod spodem śpiewa orkiestra, a takie odmienne prowadzi motywa, takie roztacza cuda melodyjnego ruchu, że wytężasz uwagę, aby nic nie stracić z czarów, które moc rzeczy mówią. Otóż one wyśpiewują szczegółowe rysy, plastykę ruchu i zewnętrzne osób manifestacye. To niezmierne nadaje utworowi życie, a pod względem sztuki, jest czémś cudownie pięknem. Zupełnie oddzielnym idąc tokiem, łączą się jednak te instrumentalne motywa z chórem, jak gdyby roztaczały tę samą pełnią życia realnie, jaka przez usta osób li idealnie wyrazić się może. Dlatego też i ta orkiestralna partya, może być oddzielnie słuchana, tyle w niéj jest melodyjnéj myśli, fantazyi i skończenia. W charakterystycznych chórach Moniuszki jawi się na scenie mnóstwo rzeczy—duch polski w mowie, w towarzyskim ruchu, w rozlicznych narodowéj fantazyi objawach. Więc wzniosłe przymioty serca, a tuż zaloty i dary i taniec i iskier życia tysiące. Arcydziełami są też z tego względu pojedyńcze sceny, że wspomnę z pomiędzy wielu aryę Stolnika w Halce, i duet Chorążego z Podczaszycem w Hrabinie. Podobnie pięknych nie znaleźć nigdzie typów, bo choć sam pomysł nie nowy, choć formy tego rodzaju z dawna w charakteryzującéj muzyce istnieją, toć one nie mają tego skończenia, téj saméj pełności twórczéj. Jeśli mistrze po wyraz charakterystycznego ruchu do orkiestry zstępują, to śpiéw ich osób traci na tém, staje się biernym i niemowym, rozścieła się suchą dykcyą deklamacyjną. Zwyczajne *parlanta* w buffach włoskich nic więcéj nad komizm nie rozwijają na tle instrumentacyi. Mozart tylko samo tło upiększył, wzbogacił i niewysłowionym wdziękiem uposażył: dzisiejsi zaś kompozytorowie, zajęci przeważnie głębokiém dramatyzowaniem idei, nie mają dla obrazowo-lirycznych momentów innéj, jeno tę dramatyzującą, kontrapunktyczną instrumentacyę, pełną wewnętrznych, frazeologicznych ruchów. Liryczna obrazowość, którą odznacza śpiewność obojga organów sceny, a którą nadto wypełnia malowniczy, rytmiczny charakter instrumentacyi, jest najzaszczytniejszym w kompozycyach Moniuszki tytułem oryginalności. Jego charakterystyczne obrazy są niezmiernie żywe i ruchliwe, lecz zawsze lirycznie piękne.

Moniuszko trzymał się średniéj, to jest najwymowniejszéj skali głosów. Okoliczność ta, jeśli z jednéj strony tłumaczy się brakiem dramatycznych w jego talencie żywiołów, tych, co na zawołanie swoje muszą miéćs krajne organa muzyki—wielkie odległości, oraz ostateczne granice wokalnéj i instrumentalnéj skali—; to znów z drugiéj zaleca mistrza ze względu na jasność, prostotę i wybraną piękność artystycznych środków.

Tak się przedstawia techniczna strona muzyki Moniuszki. Poczytując estetyczną monografię mistrza naszego za wyczerpaną, kończę uwagą, że oryginalność kompozycyi jego również oryginalnego produkowania wymaga. Mało wskazówek co do wykonawstwa od niego samego wyszło, że nie posiadał daru tłumaczenia swych natchnień, oraz energicznego sceną rządzenia. Może wadziła mu skromność, a może zbyteczna w artystycznych stosunkach delikatność. Wszakże już z samych znaków, któremi licznie każdą fakturę opatrzył, widzieć się daje niezmierna dbałość kompozytora o najdrobniejsze szczegóły, o wyższą estetyczność wykonania. Sumienne ich zachowanie prowadzi do téj żywotnéj rozmaitości i delikatnych gry kolorytów, które zaklętą w muzyce poezyę uwydatniają. Szopen, wiedząc jak dalece oryginalną jest twórczość jego, dawał utworom swoim szczególne określniki estetyczne. Nie dowierzając im, chciał nawet dla utrwalenia tradycyi swéj muzyki, osobną metodę napisać. Moniuszko również niezwyczajnemi znakami posażył swoje kompozycye, ile że wielka treściwość jego melodyj, oraz malowniczość koloratury, wymagają niezwykłych odcieni w głosie, wytworu i delikatności w massach orkiestralnych. Wszakże nie dość na tém. Tu każde *tempo* winno być odczute świadomą piękna narodowego duszą; każdy ton liryki sercem, każda scena poetyczną wyobraźnią odtworzonemi być mają, skoro teatr i estrada dostatecznie rozumieją, jak zaszczytne do spełnienia mają zadanie. Trudną do wykonania jest muzyka Moniuszki i jako taka, nie lada studyów wymaga. Tu nie powierzchowne wdzięki, lecz psychologiczna prawda, oraz przedmiotowość poezyi, swą powagą królują. Pełno ruchu i emanacyi natychmiastowych, dobytych z wnętrza uczuć, a grających barwami życia. W przebiegu jednéj sceny Moniuszko nieraz przeprowadzi tak rozliczne rytmy, taką wyrzuci ofitość gry uczuciowéj, że trzeba dobrze śpiewakowi na wodzy się trzymać, iżby te same zmiany mógł odczuć i artystycznie zaprodukować. Owszem, trzeba mu nietylko grać tonem, lecz również na odpowiednią baczyć grę słowa i akcyi. Moniuszko wiele sobie ważył wspólne czynniki dramatu. Jego muzyka rozlicznie z niemi się splata, lecz im zawsze pozostawia rozwój swobodny pod okiem artystycznego mistrzowstwa. Aktor znajduje tu typy, które koniecznie odtworzyć musi, tak dobrze tonem głosu, jak samym wyrazem słowa, postawą, ruchem, zgoła plastyką dramatyczną. Takie typy, jak ów Dziadunia, Marcina, Miecznika i Skołuby, daléj dziewcząt polskich, a potém wybitne typy ludowe, jawią się ciągle na scenie w pełnéj swobodzie przymiotów i charakterystyki. Mistrz ich nie krępuje, nie zamyka ducha w ciasną formułę muzyki, lecz pozwala grać poetycznie, roztaczać prawdę wszystkiemi jéj objąwami, więc pełną fantazyą aktora. Trzeba mu być ognistym i twórczym artystą. Niechże mu intuicya niedopisze w rozpoznaniu charakterystycznéj nuty, niech nie potrafi dobyć z siebie szlachectwa duszy i wznieść się do

ideału, do typu—już ledwie zrozumiałą kreacyę mistrza uczyni. Nikną przez połowę i ledwie szkicem się jawią utwory Moniuszki przez niestaranną reprodukcyę. Nie poznać wtenczas ani wzniosłych i oryginalnie pięknych chórów, ani tego ruchu, co majestatem idealnéj prawdy przemawia, ani tych pulsów i wibracyj serdecznych, któremi lirę swoją mistrz natchnął. Nieraz Moniuszko o swą Paryę się troszczył i wątpił czy się podoba utwór, co z tajemnic własnego ducha, li z osobistéj jego boleści powstał, choć najwprawniejszą ręką wypracowany. Miał słuszność. Sztuka słowiańska wychodzi wprost z życia i wszystkie jego rumieńce a kształty w siebie przyjmuje. Ona nigdy nam nie da wielkich radości duchowych, skoro powstawać będzie z saméj mgły piękna. Sztuka nasza idzie od ludu i od tradycyj, więc grzmi całą potęgą prawdy, świeci tym ogniem uczuć, który w piersiach słowiańskich wiecznie się żarzy, czyto jako oryginalna treść żywota, czy jako nagromadzone skarby dziejowe. W życiu słowiańskich ludów tak młodo a pełno, że dziwnym zaślepieńcem wydaje się być sztukmistrz, który nic o tém nie wié. Nie godzi się bowiem lekceważyć plemienia, które wciąż żyje, to rozkwitem, to pamiątkami, to odrodzeniem, zna tajemnice wiary i nadziei, a któremu historya kazała być świadkiem ludzkich dramatów, czuć, cierpiéć i wiedziéć wiele.

BRÜHL.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Wir sind alle Schauspieler, es kommt nur darauf an, gut seine Rolle zu spielen.

H. Graf v. Brühl.

TOM I.

CZYTELNIA LUDOWA W CIESZYNIE.

I.

Pięknym wieczorem jesiennym, o słońca zachodzie, ostatnie trąbki zwołujące myśliwych odzywały się w lesie z jodeł i buków starych złożonym. Szerokim gościńcem przerzynającym puszczę odwieczną, ciągnęły wielkiego dworu łowieckie oddziały, po bokach ludzie z oszczepami i sieciami; konni w zielonych sukniach ze złotemi galonami i kapeluszach z piórami czarnemi: środkiem strojne towarzystwo i wozy ze zwierzyną zielonemi gałęziami umajoną. Łowy musiały pójść bardzo szczęśliwie, gdyż myśliwcy byli w wesołém usposobieniu i na wozach sterczały rogi jeleni, zwieszały się łby dzików z kłami zakrwawionemi.

Przodem widać było orszak pański, świetne stroje, piękne konie i kilka amazonek z różowemi twarzyczkami. Wszystko to przybrane było jak na uroczystość i galę, bo łowy najmilszą stanowiły zabawę panującego naówczas, mniéj więcéj, szczęśliwie Saksonii i Polsce Augusta II.

Sam król wiódł łowy, a u boku jego jechał najmilszy syn pierworodny, umiłowany naówczas Saksonii następca, na którym spoczywały nadzieje narodu. Król mimo wieku wyglądał jeszcze wspaniale i rzeźko, na koniu siedział rycersko, a syn równie przystojny, z łagodniejszą nieco twarzą, niemal młodszym bratem się przy nim wydawał. Mnogi i świetny bardzo dwór otaczał dwóch panów. Zdąża na noc do niedalekiego Hubertsburga, gdzie syn ojca miał przyjmować, bo myśliwski zameczek ten do niego należał. W Hubertsburgu czekała na nich królewiczowa Józefa, synowa królewska, cesarskiego Habsburgów domu córa, niedawno młodemu Fryderykowi poślubiona. Dwór królewski tak był liczny, że mu się na zamku trudno było pomieścić. Zawczasu więc rozbito nieopodal namioty w gaju i tam miała noc spędzić znaczniejsza część pańskiego orszaku. Nakryte już były stoły do wieczerzy i w chwili gdy król wjeżdżał na zamek, rozpuszczone myśliwstwo poczęło sobie szukać wyznaczonych stanowisk. Mrok padać zaczynał: pod namiotami gwarno już było i wesoło; odgłosy młodzieńczych śmiechów, które przytomność króla i starszych hamowała, rozlegały się teraz swobodniéj. Po znużeniu całodziennem chwytano za stojące flasze, choć marszałek nie dał jeszcze znać do stołu. Namioty dla dworu ocienione drzewami oświecały się zapalonemi latarniami; tuż obok przy improwizowanych żłobach ustawiano rżące konie, których głosy niekiedy wywoływały groźne klątwy masztalerzy. Nieznane sobie rumaki poczynały znajomość od kąsania i kwiku, klaskanie z batów pokój przywracało. Daléj jeszcze psiarnie króla dawały znać o sobie szczekaniem i warczeniem. Nakładano sfory; i tu téż dozorcy mieli do czynienia aby wrzawę uśmierzać. Ale pod namiotami nie było nikogo, coby młodzieży śmiechy i śpiewy i kłótnie śmiał powagą swą zahamować. Sprzeczano się jeszcze o najpiękniejszą twarz, o najlepszy strzał, o najpochlebniejsze Jego Królewskiéj Mości słowo. Królewicz tego dnia był

bohatérem: położył ze sztućca kulą w sam łeb trafiwszy odyńca, który wprost szedł na niego. Unoszono się nad przytomnością umysłu niezmierną i flegmą, z jaką celował długo i wypalił. Gdy myśliwcy przypadli na strzał chyżo, ażeby rozjuszoną bestyę dobić kordelasami, leżała już brocząc krwią ziemię. Król August pocałował syna, który rękę ojca a pana z uszanowaniem ustami dotknął i pozostał po zwycięztwie tak zimnym i spokojnym jak był przedtém. Jedyną dobrego humoru oznaką było, iż na uboczu potém fajkę sobie podać kazał i dym puszczał daleko większemi kłębami niż zwykle. Wchodziła wówczas w używanie powszechne roślina zwana *tobacco*, którą i Stanisław Leszczyński palić lubił, palił ją zapamiętale August Mocny, a namiętnie syn jego Fryderyk. Szczególniéj przy męzkich ucztach i piwie, nie obeszło się bez fajek. Podawano je na dworze pruskim u króla czy kto chciał czy nie chciał, a jeśli komu dym zawadził koło serca, śmiano się zeń do rozpuku.

Należało do dobrego hulaszczego tonu fajkę ssać od rana do wieczora. Brzydziły się nią niewiasty, lecz ich wstręt nie odstręczał ówczesnych panów od przyjemnego upojenia, jakie owe tobacco przynosiło z sobą.

Bardzo młodym tylko zakazywano wczesnego nawyknienia do tego trunku, który z kartami i winem razem, uchodził za niebezpiecznego uwodziciela.

Pod namiotami téż fajek widać nie było. Znużeni jeźdźcy pozsiadawszy z koni, gdzie który mógł popadali na ziemię, na kobiercach, na kłodach i ławach. W zamku widać było zapalające się światła rzęsiste i dźwięk muzyki dochodził do gaju, w którym rozłożony był dwór, służba i czeladź pańska. Nazajutrz miano polować w innym dziale lasów i wcześnie rozporządzono, by wszyscy byli gotowi. Nieco opodal od pozbieranych w gromadki starszych panów, na drodze wiodącéj do zamku, jakby z chęcią dostania się do niego, przechadzał się piękny dwudziestoletni młodzieniec.

Po sukni łatwo było w nim poznać pazia przywiązanego do osoby króla JMci.

Zręczna bardzo, pięknéj budowy, giętka, wyłamana, nieco niewieściego wdzięku postać, musiała nań najobojętniejszę

zwrócić oko. Suknie na nim leżały jakby się w nich urodził, peruczka jakby w niéj przyszedł na świat ufryzowany, nie potargała się nawet w czasie łowów, a z pod niéj wygladała twarzyczka, niby z mejseńskiéj porcelany, biała, różowa, niemal dziecinnéj i dziewiczéj piękności, z uśmieszkiem w pogotowiu na zawołanie, z oczyma bystremi, ale zostającemi na pana rozkazach. Mogły one w każdéj chwili pogasnąć i zamilknąć, lub rozpłomienić i wypowiedzieć nawet to może, czego w duszy nie było.

Śliczny ów młodzieniec pociągał jak zagadka. Kochali go niemal wszyscy, niewyjmując króla, a mimo to nie było grzeczniejszego, usłużniejszego, potulniejszego stworzenia na dworze. Nie starał się popisywać z niczém, nigdy, nikogo nie chciał nigdy zaćmić, a mimo to wezwany do jakiejkolwiek roboty, wywiązywał się z niéj ze zręcznością, łatwością, prędkością i roztropnością nadzwyczajną.

Była to uboga szlachetka z Turyngii rodem, ostatni i najmłodszy z czterech braci Brühlów z Gangloffs-Sömmern. Ojciec jego na dworze malutkim w Weissenfels był jakimś mniejszym jeszcze radzcą, pozbywszy pono ojczystego odłużonego majątku, nie miał co zrobić z tym synem, zawczasu go więc oddał, aby się dworskiéj trzymał klamki, księżnie wdowie Fryderyce Elżbiecie, mieszkającéj najczęściéj w Lipsku. Na ówczesne jarmarki do tego miasta zjeżdżały się dwory książęce; lubił je nadewszystko August Mocny i mówią, że na jedném z nich, młody paź ze swą miluchną, uśmiechniętą twarzyczką wpadł mu w oko. Księżna go chętnie królowi JMci ustąpiła.

Osobliwsza rzecz, że chłopak co takiego pańskiego, wspaniałego a pełnego etykiety dworu, nigdy w życiu nie widział a może i nie śnił, od pierwszego dnia wrodzonym instynktem wpadł na dobry tor i tak swą służbę zrozumiał, że starszych od siebie królewskich paziów gorliwością i zręcznością prześcignął. Król mu się wdzięcznie uśmiechał, bawiła go pokora chłopaka, który w oczy patrzał, myśli zgadywał, nie skrzywił się nigdy, a przed słonecznym majestatem króla Herkulesa i Apollina, padał na twarz z uwielbieniem.

Zazdrościli mu służący z nim razem, lecz krótko przejednał ich dobrocią, łagodnością, skromnością i chętném do usłu-

gi sercem. Nie obawiano się wcale aby takie niebożątko pokorne, mogło zajść wysoko. Ubogie też to było, a rodzina Brühlów, choć stara szlachecka, tak podupadła naówczas, że o niéj spokrewnieni zapomnieli. Nie miał więc innego protektora nad tę swoją wdzięczną, miłą, uśmiechnioną twarzyczkę.

Ale do malowania był też ładny... kobiéty, starsze zwłaszcza, patrzały nań wdzięczącemi się oczyma, on swoje naówczas spuszczał zmieszany. Nigdy słówko złośliwe, ów dowcip paziowski, który za cechę młodzieży dworskiéj uchodził, nie wyrwało się z ust jego. Brühl był z uwielbieniem dla pana, dla dostojnych dygnitarzów, dla pań, dla sobie równych i dla całéj służby i kamerlokajów królewskich, którym szczególne poszanowanie okazywał, jak gdyby już naówczas znał tę wielką tajemnicę, że przez najmniejszych dokonywały się największe rzeczy, i że lokaje obalali cichuteńko ministrów, a ministrom trudno było ruszyć lokajów; wszystko to szczęśliwie obdarzonemu młodzieńcowi dyktował instynkt, jakim go uposażyła szczodrobliwa matka-natura.

I w téj chwili gdy Henryczek (pieszczotliwie go tak zwykle nazywano) przechadzał się samotny po ścieżce do zamku od namiotów wiodącéj, rzekłbyś że to czynił ażeby nikomu nie zawadzać, a wszystkim na oku będąc, stać do usług w pogotowiu.

Tego rodzaju ludziom szczęście dziwne służy... Gdy tak bez celu się przechadzał, z zamku wybiegł młody, równie piękny chłopak, prawie rówieśnik co do lat, ale suknią i powierzchownością cale różny od skromnego Brühla.

Znać było po nim że siebie pewny, już nie wiele miał do życzenia. Słusznego wzrostu, mężny, zręczny, z oczyma czarnemi, bystro patrzącemi na świat, z postawą pańską, młodzieniec szedł żywo, jednę rękę założywszy za szeroką kamizelę wyszywaną bogato, drugą pod poły sukni myśliwskiéj, galonowanéj przepysznie. Peruka jaką miał na łowach, starczyła mu za kapelusz. Rysy jego twarzy porównane z miluchną Brühla, jakby malowaną przez włoskiego mistrza XVII-go wieku, miały zupełnie różny charakter. Pierwszy więcéj był stworzony na dworaka, drugi na żołnierza.

Kłaniali mu się wszyscy po drodze, i witali go uprzejmie, był to bowiem od lat dziecinnych towarzysz i przyjaciel króle-

wicza, najulubieńszy jego łowów wspólnik, małych tajemnic powiernik, hrabia Aleksander Sułkowski (syn nie majętnego też polskiego szlachcica), który paziem był wzięty niegdyś na dwór Fryderyka, a teraz domem i łowami zarządzał. Już to samo znaczyło wiele, że mu królewicz powierzył co miał najmilszego w świecie, bo polowanie dlań stanowiło nie zabawę i rozrywkę, ale całe zajęcie i najważniejszą pracę. Sułkowskiego szanowano i obawiano się razem, bo choć August II wyglądał przy swém zdrowiu i sile na nieśmiertelnego, prędzéj lub późniéj bóstwo to musiało skończyć jak najprostszy śmiertelnik. Z nowém słońcem wschodzącém i ta gwiazda na horyzont saski wnijść musiała i przyświecać jéj swym blaskiem.

Na widok zbliżającego się Sułkowskiego, skromny paź królewski ustąpił z drogi, przybrał postać baranka, zgiął się nieco, uśmiechnął wdzięcznie i zdawał taką okazywać radość, jakby mu najpiękniejsza z bogiń dworu Augusta się ukazała. Sułkowski przyjął ten uśmiech i nieme, pełne poszanowania powitanie, z powagą ale z łaskawością razem. Z dala ręką wyjętą z za kamizeli potrząsł i nieco głowę uchylił, zwolnił kroku, zbliżył się i odwracając do Brühla, rzekł wesoło:

— Jak się masz Henryku! cóż tak samotnie rozmyślasz? Szczęśliwy, możesz odpoczywać, a ja tu za wszystko odpowiedzialny i nie wiem od czego począć, żeby o niczém nie zapomnieć.

— Gdybyś hrabia kazał mi sobie pomódz?

— A! nie, dziękuję ci; trzeba obowiązki swe spełnić! Dla takiego gościa jak nasz pan miłościwy, wszelki trud miły.

Westchnął zlekka. Cóż? polowanie się udało; ja, jak wiész, nie mogłem być na niém, łowczego wysłałem z ekwipażami, w zamku tyle było przygotowań...

— Tak! polowanie się wybornie udało, N. Pan był w humorze, w jakim go oddawna nie widziano.

Sułkowski do ucha Brühlowi się pochylił:—Któż tam teraz w alkowie panuje? hę?

— Doprawdy, nie wiem: mamy pono bezkrólewie?

— A! a! to nie może być!—zaśmiał się Sułkowski—Dieskau? nie...

— A! nie, to są dawno pogrzebione rzeczy... ja, nie wiem.

— Jakżebyś ty, paź królewski, nie wiedział?

Brühl spojrzał nań z uśmiechem.

— Kiedy wszyscy wiedzą, paziowie wiedzieć niepowinni... Myśmy jak tureccy *muets*, głusi i niemi.

— A! rozumiem—odparł Sułkowski—ale, między nami.

Bröhl zbliżył się do ucha hrabiego i rzucił w nie słówko dyskretne, ciche, jak szelest listka spadającego z drzewa jesienią.

— *Intermezzo!*—rzekł Sułkowski.

Zdaje się że teraz po tylu wielkich dramatach, z których każdy tyle naszego drogiego pana kosztował boleści, pieniędzy i troski, już na *intermezzach* poprzestaniemy.

Sułkowskiemu pod namioty do których zdawał się kierować, widać już nie było pilno, ani na zamek z powrotem. Wziąwszy Brühla pod rękę, co pazia uszczęśliwiło widocznie, zamyślony, począł z nim przechadzkę.

— Mam chwilę wytchnienia—odezwał się—miło mi jéj użyć w waszém towarzystwie, chociaż my oba jesteśmy pomęczeni tak, że i rozmowa być może trudem.

— O! ja nic a nic!—odparł Brühl—a wierz mi hrabio, dla was chodziłbym noc całą i nie czułbym się znużonym. Od pierwszéj chwili gdym miał szczęście zbliżyć się do was, uczułem razem najwyższy szacunek, i jeśli mi się godzi to powiedzieć, najżywszą, najgłębszą przyjaźń. Przyznać się mam? ale prawdziwie żem się po téj drożynie wybrał przechadzać z jakiémś przeczuciem, z nadzieją, że was choć z dala zobaczę i pozdrowię, a tu mię spotyka szczęście takie.

Sułkowski spojrzał na uradowaną, rozjaśnioną twarz i ścisnął podaną rękę.

— Wierzcież mi—odezwał się—iż nie trafiliście na niewdzięcznika: na dworze przyjaźń taka bezinteresowna jest rzadka, a wziąwszy się za ręce we dwóch daleko zajść można.

Oczy ich się spotkały, Brühl skinął głową.

— Wy jesteście przy królu i w łaskach.

— O! o!—odparł Brühl—nie pochlebiam sobie.

— Ja wam zaręczam! słyszałem to z ust własnych Najjaśniejszego Pana, chwalił waszą usłużność i rozum. Wy jesteście w łaskach lub na drodze do nich... to od was zależy.

Brühl nader skromnie złożył ręce.

— Nie pochlebiam sobie.

— Ja wam mówię—powtórzył Sułkowski—ja mam serce Fryderyka, mogę się pochwalić tém, że mnie przyjacielem nazywa. Sądzę że nie obszedłby się bezemnie.

— Wy, to co innego—przerwał Brühl żywo—mieliście to szczęście towarzyszyć od najmłodszych lat królewiczowi, mieliście czas pozyskać jego serce, a któżby się nie przywiązał do was, zbliżywszy!! Co do mnie, obcy tu niemal jestem.

Winienem łasce księżnéj że mnie przy boku J. K. Mości umieściła; staram się wdzięczność moją okazać, ale na ślizkiéj posadzce dworu jakże to utrzymać się trudno. Im więcéj gorliwości dla pana okażę, którego czczę i kocham, tém na większą zazdrość zarabiam. Każdy uśmiech pański opłaca się wejrzeniem jadu pełném. Gdy człowiek mógłby być najszczęśliwszym, musi drżéć.

Sułkowski słuchał roztargniony.

— Tak! to prawda—rzekł cicho—lecz wy macie wiele za sobą i obawiać się nie macie powodu. Uważałem na was, metodę przyjęliście przedziwną: jesteście skromni i macie cierpliwość. Na dworze dosyć jest ustać w miejscu, to się posunie mimowoli, a kto się nazbyt rzuca, ten najłatwiéj pada.

— A! czerpię najdroższe rady z ust waszych!— wykrzyknął Brühl—co za szczęście miéć takiego przewodnika.

Sułkowski zdawał się za dobrą monetę brać ten wykrzyknik przyjaciela i z niedostrzeżoną dumą uśmiechnął się: pochlebiało mu uznanie tego, o czém był w głębi duszy najmocniéj przekonanym.

— Nie lękaj się Brühl—dodał—idź śmiało, a rachuj na mnie.

Wyrazy te zdały się w najżywsze zachwycenie wprawiać młodego Henryka, złożył ręce jak do modlitwy, twarz jego błysła radością, spojrzał na Sułkowskiego i zdawał się tylko wahać, czy mu się do nóg nie ma rzucić.

Wspaniałomyślny hrabia z protekcyonalną dobrocią uścisnął go.

W téj chwili na zamku zabrzmiały trąby: był to jakiś znak zrozumiały znać dla młodego faworyta, który tylko ręką dawszy znak towarzyszowi że pośpieszać musi, rzucił się krokiem żywym ku zamkowi.

Brühl pozostał sam, wahał się trochę co począć z sobą. Król go od służby wieczornéj uwolnił, i pozwolił mu spocząć tego wieczoru, miał więc swobodę zupełną. Pod namiotami rozpoczynała się wieczerza dla dworu. Chciał zrazu pójść i razem z innemi się zabawić, potém z dala popatrzywszy, w bok się skierował i zadumany ścieżyną w głąb lasu idącą, poszedł wolnym krokiem. Chciał być może sam na sam z myślami, choć wiek jego i twarzyczka o głębokie rozmyślania posądzić go nie dozwalały. Prędzéjby na ówczesnym dworze, pełnym miłostek i intryg kobiecych, o jakąś serdeczną chorobę podejrzywać się godziło. Ale na spokojnéj wielce twarzy niewidać było troski sercowéj, która się maluje na niéj, łatwemi do poznania symptomatami. Brühl nie wzdychał, patrzał chłodno, brew miał namarszczoną, usta zacięte, prędzéj rachował coś i kombinował niż z uczuciem walczył.

Zadumany tak głęboko, pominął namioty, konie, psiarnie, rozłożone ogniska ludzi spędzonych dla łowów, którzy się z toreb dobytym chlebem z sobą posilali, gdy obok piekły się dla panów jelenie i warzyły korzenne polewki. Około dwóchset do obławy spędzonych Wendów gwarzyło cicho, w języku niezrozumiałym, nieśmiejąc nawet głośniéj się rozśmiać. Z namiotów dolatywały ich wesołe okrzyki, spoglądali i im tam szumiano głośniéj, tém oni starali się ciszéj sprawować. Łowczych kilku czuwało nad tą gawiedzią, która sobie chléb swój z domów przynieść musiała, bo o niéj jednéj na zamku nie pamiętano. Dla psów gotowano w kotle strawę, o nich nikt się nie kłopotał. Prędko też skończyli wieczerzę o chlebie i wodzie. Większa część już się pod drzewami na trawie kładła, aby do rana snem się pokrzepić. Brühl ledwie na nich okiem rzuciwszy, poszedł daléj. Wieczór był piękny, spokojny, ciepły, jasny i gdyby nie opadające liście żółte starych buków, wiosnęby przypominał. W powietrzu woń lasów zdrowa, zapach uwiędłéj zieleni, wyziewy jedlin, unosiły się lekkim wietrzykiem, który ledwie gałązki poruszał.

Za gajem w którym obozowano, panowała już cisza, samotność, pustynia, gwar tu zaledwie dolatywał, drzewa zasłaniały zamek, można się było sądzić daleko od ludzi.

Brühl podniósł głowę i wolniéj odetchnął, twarz któréj układać nie potrzebował dla ludzi, jakby na wolność puszczona, przybrała wyraz nowy; lekki, sardoniczny uśmiech, przebiegł po niéj i dziecięcy ów dobroduszny, łagodny wdzięk straciła. Jedną ręką podparł się w bok, drugą do ust przyłożył, zadumał. Sądził się tu zupełnie sam, lecz jakież było jego zdumienie i niemal przestrach, gdy o kilka kroków, pod ogromnym bukiem starym, spostrzegł dwie postacie jakieś, nieznane, dziwne, podejrzane. Mimowoli się cofnął krok i począł pilniéj przypatrywać. W istocie o kilkadziesiąt tylko kroków od królewskiego obozu, wyglądało dziwnie, podejrzanie nawet tych dwóch ludzi siedzących pod drzewem. Obok nich widać było leżące kije podróżne i dwie torébki z ramion tylko co zdjęte.

Mrok wieczorny nie dawał dobrze rozeznać twarzy, ani ubiorów; lecz Brühl domyślił się raczéj niż zobaczył, skromnie po podróżnemu przybranych, dwóch młodych jak on sam ichmościów.

Wpatrzywszy się pilniéj dostrzegł twarzy nieco, które zdały mu się szlachetniejszych rysów, niż wędrownéj rzemieślniczéj czeladzi, za którą zrazu ich wziąć miał ochotę. Po cichu toczyła się rozmowa, ale dosłyszéć jéj nie mógł.

Lecz cóż tu, pod bokiem króla, ci podróżni na ustroniu robić mogli? Ciekawość, obawa, nieufność, nie dozwoliły mu odejść. Zamyślił się czyby nie należało dać znać do namiotów.

Więcéj potém instynktem niż rachubą wiedziony, przyspieszył kroku i stanął tak że go siedzący na ziemi zobaczyć mogli. Ukazanie się jego musiało nieco zdziwić spoczywających, gdyż jeden z nich wstał spiesznie i przypatrując się przybyłemu, chciał jakby spytać, co tu robi i czego od nich chcieć może?

Brühl nie czekał tego pytania, podszedł kilka kroków i odezwał się tonem dosyć surowym:

— Co tu waszmość robicie?

— Odpoczywamy—odezwał się siedzący na ziemi. Czy zakazanym jest tu spoczynek podróżnym?

Głos brzmiał łagodnie, a język zapowiadał wykształconego człowieka.

— O kilkadziesiąt kroków dwór N. Pana i sam król.

— Czybyśmy mieli zawadzać?—dodał znowu siedzący, wcale nie zdając się strwożonym.

— Ale waszmość sami sobie najszkodliwsi być możecie—odparł Brühl żywo. Lada kto z łowczych może was tu odkryć i posądzić o jakie złe zamiary.

Śmiechem łagodnym odpowiedział na to spoczywający na ziemi i wstał, a wyszedłszy z cienia drzew, ukazał się Brühl'owi jako pięknéj i szlachetnéj postawy młodzian z długiemi włosami na ramiona spadającemi. Po jego stroju poznać w nim było łatwo studenta jednego z niemieckich uniwersytetów. Nie miał on żadnych oznak na sobie, ale prosta suknia, długie buty, z kieszeni wyglądająca książka, czapeczka jaką nosili *studiosi*, dostatecznie go cechowała.

— Co waszmość tu robicie?—powtorzył Brühl.

— Wyszliśmy na wędrówkę, aby Bogu oddać cześć w naturze, aby odetchnąć powietrzem lasów, ciszą ich ukołysać duszę do modlitwy—począł powoli młodzieniec. Noc zaskoczyła nas tutaj: o królu, o dworze nie wiedzielibyśmy nawet, gdyby nas tu nie doszła wrzawa łowiecka.

I wyrazy i sposób w jaki je wymawiał stojący przed nim, uderzyły Brühla. Człowiek to był z innego jakiegoś świata.

— Pozwolisz pan—dodał spokojnie student—iż jako zapewne władzę tu jakąś mającemu, zamelduję osobistość moją. Jestem Mikołaj Ludwik hrabia i pan na Zinzendorfie i Pottendorfie, a w téj chwili *studiosus*, szukający źródła mądrości i światła, zbłąkany na manowcach świata wędrowiec.

Skłonił się.

Usłyszawszy nazwisko, Brühl popatrzył uważniéj. Światło wieczora i lekki blask księżyca wschodzącego opromieniły piękną twarz mówiącego.

Stali przez chwilę niemi, jak gdyby oba nie wiedzieli jakim do siebie mówić językiem.

— Ja jestem Henryk Brühl, paź do osoby J. K. Mości przywiązany.

Skłonił się lekko.

Zinzendorf zmierzył go oczyma.

— A! bardzo mi was żal!—westchnął.

— Jakto żal? dlaczego?—zapytał zdumiony paź.

— Dlatego że dworactwo to niewola, że paziostwo to służba i chociaż szanuję pana naszego, miléj mi sercem i duszą poświęcać się czci i służbie Pana na niebiosach, Pana nad pany, a miłością zatapiać w Jezusie Chrystusie Zbawicielu. Właśnie pan znalazł tu nas na cichéj modlitwie, gdyśmy myślami usiłowali zjednoczyć się z Panem naszym, który nas krwią swą odkupił.

Brühl tak był zdziwiony, że krok odstąpił jakby się obłąkanego uląkł w młodzieńcu, który z wielką słodyczą, ale bardzo patetycznie wymówił te wyrazy.

— Wiem—dodał Zinzendorf spokojnie—iż się to wydać wam musi, wam co macie w uszach jeszcze szczebiotanie i śmiechy dworskie, dziwném i nieprzyzwoitém może; ale ilekroć myślą pobożną uda się zakołatać do serca chrześcianina uśpionego, jakże tego nie dopełnić?

Brühl stał niemy.

Zinzendorf zbliżył się doń.

— To godzina modlitwy... słuchaj pan, lasy szumią chór wieczorny: chwała Panu na wysokościach! strumień szemrze pacierze, księżyc wszedł przyświecać nabożeństwu natury, a serca nasze nie miałyby się połączyć ze Zbawicielem w téj uroczystéj chwili.

Osłupiały paź słuchał i nie zdawał się rozumiéć.

— Widzisz pan przed sobą dziwaka—dodał Zinzendorf—lecz czyż światowych dziwaków mało spotykasz i przebaczasz im, a niemiałbyś pobłażyć z gorącego ducha płynącemu zachwyceniu?

— Prawdziwie—szepnął Brühl—ja sam jestem pobożny, lecz...

— Lecz zapewne chowacie pobożność waszą na dnie serca, lekając się by ją ręka, słowo profanów nie tknęło? Ja ją wywieszam jako chorągiew, bom gotów bronić jéj życiem i krwią moją.

Bracie w Chrystusie—rzekł zbliżając się doń Zinzendorf—jeśli ci zaciężyło życie w ukropie i wirze tego dworu, bo inaczéj sobie nie tłumaczę wieczornéj waszéj przechadzki samotnéj, siądź tu spocząć z nami, razem się pomódlmy. Ja czuję w sobie pragnienie modlitwy, a we dwóch, we trzech spotęgo-

wana bratersko, może doleciéć do tronu Tego, który dla nas robaków dał krew swoją.

Bracie!

Brühl jakby się zląkł, ażeby go nie zatrzymano, cofnął się nieco.

— Zwykłem się modlić sam—rzekł—a tam powołują mnie obowiązki, więc darujecie mi.

Wskazał ręką w stronę, od któréj gwar ich dochodził.

Zinzendorf stał.

— Żal mi was—zawołał—gdybyśmy tu pod tém drzewem zanucili pieśń wieczorną: Bóg nasza twierdza, Bóg nadzieja nasza...

— Naówczas—dorzucił paź—posłyszałby to w. łowczy, lub który z podkomorzych króla i nie zamknęliby nas do kordegardy, bo tu jéj niéma, aleby odprowadzili do Drezna pod Frauenkirche i osadzili na obwachu.

To mówiąc ruszył ramionami, skłonił się lekko i chciał iść, ale Zinzendorf zastąpił mu drogę.

— Czy istotnie wzbroniono się tu znajdować?—zapytał.

— Może to was podać w podejrzenie i na nieprzyjemności narazić. Życzę się oddalić. Za Hubertzburgiem jest wieś i gospoda, która da wygodniejszy nocleg, niż pień bukowy.

— Którędyż iść mamy, aby nie wnijść w drogę N. Panu?—zapytał Zinzendorf.

Brühl wskazał ręką i już odchodził.

— Wyminąć gościniec będzie dosyć trudno, panie hrabio; lecz jeśli wam służyć mogę wyprowadzając pod moją opieką na drogę: służę.

Zinzendorf i milczący jego towarzysz pobrali prędko węzełki swe i kije i pośpieszyli za Brühlem, który wcale się nie zdawał rad temu spotkaniu. Zinzendorf miał czas nieco ochłonąć z ekstazy, w jakiéj go Brühl niespodziewanie się zjawiając zastał. Widać w nim było człowieka wyższego towarzystwa i przyzwoitego w obejściu. Ostygłszy zupełnie, przeprosił nawet za to że się tak dziwacznie odezwał.

— Nie dziwuj się pan—rzekł zimno—nazywamy się wszyscy chrześcianami i synami Bożemi, a w istocie poganami jesteśmy mimo obietnic na chrzcie uczynionych. Obowiązkiem

więc każdego nawracać i apostołować, ja sobie z tego czynię życia zadanie. Cóż po nauce w słowach, gdy jéj niéma w czynach? Katolicy, protestanci, reformowani, wszyscy, wszyscy żywotem poganami jesteśmy. Bogów nie czcimy, bo ołtarzów ich nié ma, ale im składamy ofiary.

Kilku księży sprzecza się i plwa na się o dogmata, a Zbawiciel na krzyżu krwią opływa, która w ziemię wsiąka nadaremnie, bo nią ludzie zbawionemi być nie chcą.

Westchnął.

W téj chwili gdy kończył uroczyste wyrazy, ukazał się obóz i buchnęła zeń wrzawa od kufli, które spełniano z hałasem. Zinzendorf z przerażeniem spojrzał.

— Nie sąż to bachanalia, tylko co nie słyszę Evoe!—zawołał—idźmy prędzéj, przybity się czuję do ziemi i upokorzony.

Brühl przodem idący nie odpowiedział nic. Tak wyminęli obóz, idąc bokiem wskazał im blizki gościniec, a sam jakby co prędzéj się chciał uwolnić od towarzystwa tego, skoczył żywo ku oświeconemu namiotowi.

Jeszcze w uszach brzmiały mu dziwaczne wyrazy Zinzendorfa, gdy widok osobliwszy oczom się jego w namiocie przedstawił. Wprawdzie w owych czasach i na tym dworze nie był on tak bezprzykładnym, aby miał zdumiewać, wszakże mało kto okazywał się publicznie w takim stanie, w jakim Brühl zastał pana radzcę wojennego Pauli.

Radzca leżał w środku namiotu na ziemi, ogromny gąsior próżny, rozbity obok niego, obie ręce rozkrzyżowane, twarz karmazynowa, suknie porozpinane, podarte, a wielki pies gończy, znać faworyt pański, siedząc nad nim lizał mu oblicze i skowyczał...

Stojący wkoło śmieli się do rozpuku.

Radzca wojenny Pauli, który obowiązany był zawsze znajdować się pod ręką króla dla mnogich korrespondencyj, które po trzeźwemu i po pijanemu nawet z kancelaryjną wprawą bardzo zręcznie redagował: nie poraz piérwszy tak nieszczęśliwie zwyciężonym został od gąsiorka. Trafiało mu się często w miękkiém łożu i pod ławą i przy ścianie spoczywać po libacyach,

ale tak skandalicznie jak dziś na pośmiewisko być wydanym... przechodziło miarę.

Brühl zaledwie to spostrzegł, rzucił się ku nieszczęśliwemu i zajął się dźwignięciem go z ziemi. Drudzy opamiętawszy się dopomogli i z niemałym wysiłkiem udało się pana radzcę usunąć z przed oczów, składając go na posłanie z siana, które było przygotowane w kącie. W chwili gdy go we trzech ruszono z ziemi, obudził się Pauli, powlókł oczyma po bliższych twarzach i wybełkotał:

— Dziękuję ci, Brühl... ja wszystko wiem, rozumiem, pijany nie jestem... tak, mdłości. Ty jesteś wcale dobry chłopiec: dziękuję ci Brühl.

To mówiąc powieki przymknął, westchnął ciężko, mruknął:

— Ot to służba!! i usnął.

II.

Na zamku królewskim paziowie przyboczni Augusta II-go mieli wyznaczone pokoje, w których, oczekując rozkazów, na służbie czuwali. Konie dla nich, na przypadek, gdyby który miał być wysłany, zawsze stały w pogotowiu. Mieniali się u drzwi i w przedpokojach, towarzyszyli N. Panu, a często, gdy się inni starsi pod ręką nie znaleźli, z rozmaitemi pismami i rozkazami wyprawiani bywali. Gorliwie bardzo utrapioną tę służbę pełnił młody Brühl, sprawiał ją z kolei za siebie, a nawet chętnie za drugich, tak, że król często go mając na oczach, przyzwyczajał się do twarzy i usługi.

— A ty tu znowu, Brühl?—zapytywał z uśmiéchem.

— Na rozkazy W. K. Mości.

— Nie przykrzy ci się?

— Najszczęśliwszy jestem, będąc dopuszczonym do oglądania oblicza pańskiego.

I kłaniał się młody chłopak, a K. J. Mość po ramieniu go klepał.

Nigdy odpowiedzi nie był dłużnym, nigdy nic dlań trudném ani niepodobném nie było; w skok biegł i sprawiał co kazano, niezwłocznie. Dnia tego przychodziły kresy i odprawiać mia-

no odpowiedzi; oczekiwano na nie od rana. Często się naówczas poczty opóźniały, bo lub koń padł, albo rzeka wylała, lub pocztylion zachorzał, nie było więc czasu oznaczonego ściśle. Od rana radzca wojenny Pauli, który królowi depesze redagował, czekał na kresy i rozkazy.

Z razu bardzo cierpliwie.

Radzca, którego nieszczęśliwy wypadek w Hubertsburgu widzieliśmy, przespał się potém, obmył i wstał, nie czując nic więcéj, nad doskwierające pragnienie.

Wiedział on, że matka natura podstępem go zażywała, aby do napicia się wody nakłonić, ale wodzie poprzysiągł był oddawna wstręt i pogardę, i mawiać zwykł, że Pan Bóg stworzył ją dla gęsi nie dla ludzi. Nie dał się więc złudzić pragnieniem i zalał robaka winem: zaraz mu się lepiéj i raźniéj zrobiło, a wkrótce potém przeszła choroba owa i zostało po niéj tylko mętne wspomnienie.

Zapamiętał wszakże radzca, że Brühl go ratował w owéj dobie nieszczęśliwéj i złożył na posłaniu, a zawiązała się od tego czasu przyjaźń czuła pomiędzy starym Pauli a młodym paziem.

Brühl, który nie gardził niczyją łaską, przywiązał się do radzcy. Człowiek to był niemłody już, okrutnie służbą ciężką około dzbana zmęczony, przytém niepomiernie otyły, co mu ruchy utrudniało; nogi nie bardzo już służyć chciały, a po obiedzie, gdy tylko mógł, natychmiast, bodaj stojąc, drzemać był gotów. Twarz Paulego była rumiana, wpadająca w fioletową, rysy rozlane, podbródek zawiesisty. Ręce, nogi i on wszystek wydawał się jak nabrzękły.

Wszakże, gdy się wystroił do dworu, pozapinał, wyprostował i przybrał swą urzędową postać, można go było wziąć za poważnego bardzo człowieka. Do króla tak był nawykł, a król do niego, że z jednego słowa, bo z wejrzenia Augusta, wysnuwał cały list, myśl odgadł, formę trafił i nigdy sprostowywać jéj nie potrzebowywał król J. M. Dlatego Paulego lubił bardzo i potrzebował go zawsze, a chciał mieć pod ręką; dlatego radzcy wspaniałomyślnie przebaczał, jeśli się nawet zapił, zalał i w chwili ważnéj nie mógł dźwignąć.

Naówczas trzech pokojowców budzić go musiało, a radzca nie otwierając oczów, przewracany po łóżku, odpowiadał: „zaraz! natychmiast! Oto jestem! w ten moment!“ Ale nie wstał aż mu wyszumiało, co przebrał.

Gdy otrzeźwiał, mył się wodą zimną, podawano mu dla rozjaśnienia myśli kieliszek czego mocnego i szedł do króla.

Podobne rzeczy trafiały się wówczas nie jemu jednemu, upijał się przyjaciel królewski Fleming, ba i innych wielu. Śmiano się z tego, choć słabą miéć głowę za srom wielki uchodziło.

Tego dnia, gdy właśnie na kresy, jakeśmy mówili, czekano, radzca Pauli siedział w marszałkowskiéj sali i ziewał. Dobrał sobie wygodne krzesło szerokie, nogi wyciągnął, ręce na żołądku spiął, głowę nieco spuścił, wygodnie ją na fundamentach rozłożystych podbródków umieściwszy i dumał. O śnie mowy być nie mogło, bo któż może zasnąć na czczo i nieprzygotowany wiatykiem stosownym na podróż z Morfeuszem po krajach marzeń?

Obrazy pozawieszane w salce, dawno mu były znane, nie mógł się więc im przypatrywać. Ziewał niekiedy, a ziewał tak okropnie, że mu w szczękach trzaskało.

Był to widok serca rozdzierający. Radzca taki poważny, zasłużony, zmuszony ziewać na czczo.

Zegar ukazywał z razu dziesiątą, potém jedenastą, a radzca siedział, poziewał i strząsał się, bo po nim dreszcze czczości przebiegały. Był w téj chwili najnieszczęśliwszym z ludzi.

W téj saméj sali kręcili się paziowie, podkomorzowie, szambelanowie, osoby na posłuchanie oczekujące, lub powracające od króla. Nikt nie śmiał spoczynku przerywać panu radzcy.

O jedenastéj wszedł młody Brühl, który na swą godzinę służby czekał. Pięknym był, jak cherubin w swoim stroju paziowskim z wielką elegancyą włożonym. Twarz mu się, jak zwykle śmiała dobroduszności a i grzecznością nadskakującą; nikt nad niego nie miał kształtniejszéj stopy, piękniejszéj nogi, świeższych koronek przy mankietach, lepiéj leżącego fraka i wytworniéj ufryzowanéj peruczki. Oczy mu się śmiały, biegając po twarzach i po ścianach. Czarodziéj prawdzi-

wy ujmował uśmiéchem, słowem i ruchem, całą postawą. Zoczywszy go radzca, nie wstając wyciągnął doń rękę.

Brühl podbiegł chyżo.

— Jakżem szczęśliwy!—zawołał.

I skłonił się z pokorą.

— Chyba ty mnie uratujesz! Brühl! Wystaw sobie jestem na czczo!

Kiedy przyjdą kresy?

Paź spojrzał na zégar i ramionami ruszył.

— *Chi lo sa?*—odparł tym językiem, który obok francuzkiego, był niemal dworu mową, bo się już wówczas powoli włoska kolonia zwiększała w Dreźnie.

— Jedenasta! a ja na czczo! natura dopomina się praw swoich! Przyjdzie z głodu umierać!

To mówiąc radzca ziewnął, wstrząsnął się cały—Brr!—i strzepnął.

Brühl stał niby zamyślony, pochylił się wygięty cały do ucha Paulemu:

— Radzco, *est modus in rebus!* dlaczego zasiedliście, jakby na publicznéj drodze? Obok jest pokój, z którego drzwi wychodzą na kurytarz wiodący do kuchen i kredensów, tamby wyśmienicie, nim co będzie, można coś kazać podać z kuchni, i coś z piwnicy.

Oczy się rozśmiały poczciwemu radzcy, ruszył się zaraz, ale niełatwo mu było powstać. Obu rękami musiał się zeprzéć na poręczach, łokcie podnieść do góry i stękając, całą swą ciężką figurę dźwignął nareszcie.

— Zbawco mój!—zawołał—ratujże mnie nieszczęśliwego!

Brühl skinął i wsunęli się we drzwi poboczne do gabinetu o jedném oknie. Tu! o cudo! jakby się spodziewano Paulego, czarodziejska jakaś siła, stół już wcześnie przygotowała. Stało przed nim krzesło szerokie, wygodne, jakby do tuszy Paulego zrobione; na białym, jak śniég obrusie, zastawione porcelanowe, białe z siném nakrycie, maleńka wazka, maleńki półmisek z pokrywą i spory gąsiorek złocącego się wina.

Radzca zobaczywszy to, ręką zrobił ruch w powietrzu, i jakby się obawiając, aby go kto nie uprzedził, nie pytając, co

rychléj zajął miejsce, serwetę pod brodę założył, ręką sięgnął do wazki i dopiero, przypomniawszy sobie Brühla, odwrócił się.

— A wy?

Paź głową potrząsł.—To dla was, kochany panie radzco!

— Niech ci płacą bogowie!—zawołał w uniesieniu Pauli, —niech ci Wenus da najpiękniejszą z dziewcząt drezdeńskich, niech ci Hygeïa da żołądek, trawiący kamienie; niech ci Bachus da wiekuiste pragnienie i środki zaspakajania go węgrzynem: niech ci...

Ale jedzenie nie dało mu dokończyć, pogrążył się w niém cały. Brühl stał, jedną ręką o stolik oparty, w postawie wdzięcznéj, przypatrując się radzcy z uśmiéchem. Pauli nalał sobie pierwszą wina szklankę. Spodziewał się on lekkiego, powszedniego węgrzynka, jakim dwór raczono; lecz gdy do ust wziął i pociągnął, twarz mu się rozjaśniła, rozpromieniła, oczy zabłysły, a wypiwszy i opadłszy na poręcze, w błogiém uspokojeniu pogładził się po piersiach tylko. Anielski uśmiéch usta mu przeleciał.

— Bozki napój! Cudotwórco mój, zkądżeś go wziął? Ja go znam, to wino królewskie, to tokaj; powąchaj, posmakuj: ambrozya, nektar!

— Niechże radzca zaszczyci go swą łaską i gąsiorkowi nie daje wysychać lub pójść na usta profanów, którzy go nie smakując, przez gardła przeleją.

— A byłoby to istną profanacyą!—zawołał radzca, nalewając drugi kielich, równający się dobréj szklanicy.—Za zdrowie wasze, za powodzenie wasze. Brühl... będę ci wdzięczen do śmierci: ocaliłeś mi życie. Jeszcze pół godziny, a trupaby ztąd wynieśli, na Frydrychstadt. Czułem, jak życie uchodziło ze mnie.

— Bardzo się cieszę —rzekł Brühl—że mogłem tak małym kosztem pamięci trochę, przysłużyć się panu radzcy ale proszęż pić!

Pauli wychylił drugi kielich, językiem o podniebienie plasnął, ręką począł w powietrzu, jakby lot ptaka naśladować i rzekł:

— O! co za wino, co za wino! to jest tego rodzaju napój, że każdy następny kieliszek, coraz lepiéj smakuje. Jest ono, jak

dobry przyjaciel, którego im bliżéj poznajemy, im w ściślejszy z nim wchodzimy związek, tém się więcéj przywiązujemy do niego.

Ale Brühl, kochany Brühl, jeśli nadejdą depesze, jeśli N. Pan zawoła, jeśli będzie trzeba koncypować list do Berlina lub do Warszawy, albo do Wiednia...

Odwrócił głowę z pytaniem, ale trzeci kieliszek nalewał.

— Panie radzco, taki jeden gąsiorek dla pana? Cóż to jest? to tylko *exhilaracya* niewinna, to *stimulans*, to... nic.

— Masz słuszność, Brühl; nie takie się już rzeczy o nasze głowy obijały. Zaśmiał się radzca. Najgorsza rzecz mieszać trunki. Któż może wiedzieć w jakich one są z sobą stosunkach? Trafi się nieprzejednany wróg, naprzykład austryackie wino z francuzkiém: zaczynają iść na udry w żołądku i głowie, a człowiek pokutuje. Ale gdy się pije jedno uczciwe, rozumne, dojrzałe wino, nie ma niebezpieczeństwa: gospodaruje sobie w człowieku spokojnie i nic złego nie uczyni.

To mówiąc radzca jadł mięso przypieczone i oblane sosem zawiesistym, a coraz tokajem popijał i uśmiechał się. Brühl stał, patrzał, a gdy kielich się wypróżniał, wziął na się podczaszowstwo i dolewał pilno.

Naostatek z talerzy było jak zmieciono, chléb znikł, zostało tylko pół gąsiorka wina.

Pauli wzdychał patrząc i mruczał.

— A depesze?

— Lecz czyż pan się możesz lękać?

— Masz słuszność, gdybym się lękał byłbym tchórzem, a nie ma nic nikczemniejszego w świecie nad to stworzenie. Nalewaj: za twe zdrowie! Dojdziesz wysoko!

W głowie mi się jaśniéj robi! Zdaje się że słońce wyszło z za chmur, bo teraz mi dopiéro weselszém się wszystko wydaje. Czuję się w werwie do stylizowania i utnę coś porządnego. E! gdyby mi dziś co solonego król pisać dał!! e! e! tobym dopiéro przyprawił!

Brühl ciągle nalewał.

Radzca patrzał na gąsiorek który u dołu był szerszy i jeszcze na czas jakiś starczyć obiecywał.

— Nie mam się czego lękać—przemówił Pauli jakby dla uspokojenia samego siebie—nie wiem, czy wy to pamiętacie: raz

pomnę dzień był upalny, N. Pan posłał mnie do téj nieszczęślwéj bogini, która się zwała Cosel; tam mnie utraktowano zdradzieckim sektem szumiącym. Smaczny był jak oto ten tokaj, ale pełen zdrady. Wyszedłszy w ulicę, poczułem wirowanie dokoła. O! źle, a trzeba było iść pisać depesze. Dwóch dworzan podało mi ręce, zdało mi się że lecę, że mam skrzydła; posadzili mnie u stołu, musieli mi pióro umoczone dać w rękę, papier położyć przedemną: król powiedział słów kilka i depesza urodziła się, jak mi mówiono, cudowna! Ale nazajutrz i po dziś dzień, zabij, nie wiem com pisał. Dosyć że było dobrze i król śmiejąc się, na pamiątkę tego aktu, dał mi pierścień z szafirem.

Z gąsiorka lało się a lało, do kielicha, z kielicha przelewało do gardła. Radzca gładził się po piersiach i uśmiechał.

— Psia służba—odezwał się cicho—ale wino jakiegoby człowiek nie powąchał gdzieindziéj.

Gąsiorek przy opowiadaniach i westchnieniach doszedł do końca. Ostatni kieliszek był nieco mętny, Brühl chciał go usunąć.

— Tyranie! — krzyknął radzca — co czynisz! Natura wydzieliła te części nie dla tego aby je wylano, lecz by ukryć na dnie prawdę winną: eliksir, sama treść i części pożywne.

Gdy Pauli sięgnął po kielich, Brül z pod stołu dobył drugiego gąsiorka. Na widok jego radzca chciał wstać, lecz radość go przykuła do krzesła.

— Co to jest?—krzyknął. Co ja widzę?

— Nic, nic—rzekł paź pocichu—jest to drugi tom dzieła, zawierający konkluzyą jego i kwintessencyę. Nieszczęściem, —mówił paź wesoło—starając się o dzieło kompletne dla pana radzcy, który lubisz literaturę...

Pauli obie ręce skrzyżował na piersiach i głowę skłonił.

— Któżby takiéj literatury nie lubił!—westchnął.

— Starając się o dzieło kompletne—kończył chłopak—nie mogłem dostać obu tomów jednego wydania. Ten tom drugi —rzekł podnosząc zwolna flaszkę omszoną—jest starszéj pierwotnéj edycyi: *editio princeps.*

— Ach!—podsuwając kielich, zawołał Pauli—tego gotyku szacownego nalej mi jedną stronnicę: nadużywać szanownéj starożytności nie trzeba.

— Ale co po niém gdy zwietrzeje, i duch wieków z niego uleci!

— Prawda! stokroć prawda; ale depesze! depesze!—zawołał Pauli, ruszając ramionami.

— Depesze dziś nie przyjdą, drogi popsute.

— A! gdyby się tam mosty połamały!—westchnął Pauli.

Nalano kieliszek, Pauli pił.

— To wino tylko sam król pije, gdy się czuje nie zdrów —szepnął Brühl.

— *Panaceum universale!* Żadne usta kobiety słodsze być nie mogą.

— O! o!—przerwał młodzieniec.

— Dla waści—mówił radzca—to co innego, dla mnie one straciły już słodycz wszelką; ale wino! wino, to nektar, który do zgonu nie może postradać uroku swego.

Gdyby nie te depesze!

— A cóż? depesze! czyż jeszcze...

— Prawda! kat je bierz!

Radzca dopijał, ale tak jakoś szybko po sobie następujące libacye, widocznie go rozmarzać poczynały. Ociężał, w fotelu siadł, uśmiechał się, oczy mrużył.

— Teraz maleńka drzémka! i...

— Ale butelkę dokończyć potrzeba!—nalegał paź.

— Zapewne, to obowiązek uczciwego człowieka, nie porywać się lub dokonać dzieła; prawda?—rzekł radzca—co rzeczą sumienia jest, winno sumiennie być dopełnione.

Dolawszy kieliszek ostatni, Brühl wysunął z za okna fajkę i worek z tytuniem.

— Radzco, a fajka?

— Aniele mój!—zawołał Pauli otwierając oczy—i o tém pamiętałeś. Ale nuż mnie to ziele upoi gorzéj jeszcze. Co mówisz?

— Otrzeźwi!—przerwał paź podając fajkę.

— Jak się tu oprzéć pokusie! daj! daj! Co się ma stać niech się stanie.

Może pocztylion kark skręci i depesze nie nadejdą. Nie życzę mu złego, lecz gdyby go nadwichnął?

Poczęli się śmiać.

Radzca chciwie dym ciągnął.

— Dyable mocne *tobacco*.

— Królewskie—rzekł paź.

— Ale bo i król mocniejszy odemnie, hę?

Widocznie tytuniem upojony, już mruczał tylko stary; pociągnął jeszcze parę razy: fajka mu z rąk wysunęła się na ziemię, głowę na piersi spuścił i począł w lewo ją pochyliwszy, chrapać okrutnie. Przez półotwarte usta, dobywał się dźwięk dziwny i niemiły.

Brühl popatrzał, uśmiechnął się, cicho na palcach podszedł ku drzwiom i wysunął w korytarz; tu chwilkę postawszy, pobiegł do przedpokoju króla.

Młody, strojny, wielkiego tonu chłopak, w paziowskiém także ubraniu, z pańską minką, zatrzymał go wchodzącego.

Był to Antoni hr. Moszyński. Twarzyczka jego biała, włosy czarne, rysy nie piękne, ale wyraziste, oczy błyszczące ogniem wielkim, a nadewszystko postawa arystokratyczna i wymuszone nieco maniery, odznaczały go między innemi paziami do osoby króla przywiązanymi. Razem z Sułkowskim był długo przy królewiczu, czasowo teraz dostał się do Augusta II, który, jak mówiono, lubił jego zręczność, żywość i bystre pojęcie. Prorokowano mu naówczas świetną przyszłość.

— Brühl?—zapytał—gdzieś ty był?

Paź się nieco zawahał z odpowiedzią.

— W marszałkowskiéj sali.

— Na ciebie służba przypada.

— Wiem, alem się nie opóźnił.

Spojrzał na zegar stojący w kącie.

— Już myślałem—dodał śmiejąc się i z nogi na nogę przechylając Moszyński—że mi ciebie zastępować przyjdzie.

Przez twarz Brühla przeleciał jakby cień, ale natychmiast się wyjaśniła.

— Panie hrabio—rzekł łagodnie—wam faworytom pana wolno chybić godzinę i dać się zastąpić; mnie wysługującemu się i biednemu byłoby to niedarowaném.

Skłonił się bardzo nizko.

— Zastępowałem nieraz drugich, ale mnie nikt.

— Chcesz powiedzieć że cię nikt zastąpić nie jest w stanie: —podchwycił Moszyński.

— O! panie hrabio, godziż się tak ze mnie biédnego prostaczka żartować? ja się tego uczę, w czém panowie jesteście mistrzami!

Skłonił się znowu.

Moszyński podał mu rękę.

— Z wami—rzekł—wojować na słówka niebezpiecznie, wolałbym na szpady.

Brühl skromną przywdział postawę.

— W niczem sobie żadnéj nie przyznaję wyższości—dodał cicho.

— No, szczęśliwéj służby—zawołał Moszyński—ot wasza godzina: do widzenia.

To mowiąc wyszedł z przedpokoju.

Brühl odetchnął. Zwolna skierował się ku oknu. Stanął w niém i zdawał się obojętnie spoglądać w podwórca wyłożone kamiennemi posadzkami i wyglądające jak sale olbrzymie... Tuż pod nim kręcił się mnogi, zajęty i czynny dwór pański. Wojskowi w pysznych zbrojach i mundurach, szambelanowie w sukniach szytych od złota, kamerdynerowie i służba, nie zliczona czeladź pańska zwijała się z pośpiechem; kilka lektyk stało u wschodów, a żółto postrojeni tragarze czekali na swych panów; daléj powozy galowe i konie wierzchowe, niemieckie i polskie zaprzęgi, hajduki w ponsach, kozacy: wszystko to cicho dosyć sprawując się mieszało w jedną pstrą i malowniczą całość.

Szambelan wyszedł od króla.

— Niema kresów?—spytał Brühla.

— Dotąd nie przyszły.

— Jak skoro je przyniosą, przychodź waćpan z niemi. Radzca Pauli?

— Jest w sali marszałkowskiéj.

— Dobrze, niech czeka.

Brühl się zlekka skłonił.

Pusto zaczynało się robić w pokoju i godzina blizka obiadu, rozpędzała ludzi.

Brühl wyglądając oknem z jakąś niecierpliwością, dojrzał nareszcie wpadającego w podwórce na zziajanym koniu pocztylio-

na z trąbką na plecach, w butach ogromnych i torbą skórzaną na piersi.

W téjże chwili ruszył biegiem po wschodach i nim służba zdążyła odebrać opieczętowane pliki, już on je pochwycił. Srebrny blat stał przygotowany w antykamerze, Brühl złożył na nim papiery i wszedł do króla.

August przechadzał się po pokoju z Hoymem. Zobaczywszy pazia, blat i papiéry, wyciągnął rękę, żywo rozerwał pieczęcie. On i Hoym zbliżyli się do stołu i przeglądali przywiezione listy.

Brühl stał czekając.

— A!—zawołał August—żywo niech Pauli przychodzi!

Brühl nie ruszał się.

— Idź po radzcę Pauli—powtórzył król niecierpliwie.

Paź skłonił się i wybiegł, zajrzał do gabinetu. Pauli spał jak kamień. Powrócił co żywo do króla.

— Pauli!—zawołał August widząc go wchodzącego.

— N. Panie!—wyjąknął Brühl—radzca Pauli.. radzca Pauli..

— Jest tu?

— Jest N. Panie.

— Czemuż nie przychodzi?

— Radzca Pauli—spuszczając oczy dodał paź—jest nieco niedysponowany.

— Gdyby był konającym to mi go tu przyprowadź—krzyknął król—niech obowiązek spełnia, potém skona kiedy chce.

Brühl wybiegł, znowu wpadł do gabinetu, popatrzał na śpiącego, uśmiechnął się i wrócił do króla. Augusta oczy pałały rosnącym gniewem, zaczynał blednąć, co było najgorszym znakiem; gdy się stawał biały, wówczas ludzie na widok jego drżeli.

Brühl niemy, wyprostowany u drzwi się zatrzymał.

— Pauli!—zawołał król tupiąc nogą.

— Radzca Pauli jest w tym stanie...

— Pijany?—podchwycił August—A, stary wieprz obrzydły! Gdyby się choć na tych kilka godzin umiał powstrzymać od picia.

Zlejcie go wodą! zaprowadzić go pod fontannę, dać mu octu; niech doktor da mu lekarstwo, niech mi go na godzinę ocuci, a potém niech bydlę zdycha.

Mówiąc król nogą tupał.

Brühl wybiegł posłuszny raz jeszcze. Sprobował budzić radzcę, ale ten stał się nieruchomą kłodą: żaden lekarz oprócz czasu nie mógł go do przytomności przyprowadzić. Wolnym krokiem wracał myśląc do pokoju pańskiego, zdawał się walczyć ze sobą, wahać, obawiać i ważyć coś w duszy. Stanąwszy u drzwi nie potrącił klamki, aż westchnąwszy jakby pobożnie ku niebiosom.

Król w pośrodku gabinetu z papiérami w ręku czekał, usta miał zaciśnięte i brwi namarszczone.

— Pauli!

— Niepodobieństwo go ocucić.

— Bodaj go paraliż naruszył!

Depesze. Kto mi depesze... słyszysz.

— N. Panie—schylając się wpół z rękami złożonemi na piersiach, odezwał się Brühl—N. Panie, wielkie jest zuchwalstwo moje, niemal zbrodnicze. Raczy mi je łaskawość królewska przebaczyć: wiem że porywam się bezrozumnie, ale miłość moja i cześć dla W. K. Mości. Jedno słowo N. Panie skazówka... ja sprobuję ułożyć depeszę.

— Ty młokosie?

Brühl się zczerwienił—N. Panie, ukarzesz mnie.

August popatrzał nań długo.

— Chodź—rzekł idąc ku oknu—oto list: przeczytaj go, daj odpowiedź odmówną; lecz niech za odmową czuć będzie że nie jest stanowczą. Daj nadzieję odgadnąć a nie odsłoń jéj wyraźnie. Rozumiesz?—Brühl skłonił się i chciał z listem wybiédz.

Srebrny stół stał przed kanapką.

— Gdzie? dokąd?—zawołał król—tu—wskazał ręką: tu siadaj i pisz zaraz.

Paź jeszcze raz uchylił głowę i przysiadł na brzeżku jedwabną materyą w kwiaty wybitéj kanapki, ruchem ręki odrzucił mankietki, pochylił się nad papierem i pióro poczęło biedz po nim z szybkością, która króla zastanowiła.

August II jak na ciekawe widowisko spoglądał z uwagą na ładnego chłopca, który przybrał poważną minę kanclerską i tak redagował depeszę jakby bilet do kochanki.

Myliłby się ktoby sądził że spełniając tak ważne i mogące na całą przyszłość jego wpłynąć zadanie, paź zapomniał o swéj postawie.

Siadł niby od niechcenia, jakby nie myśląc, a jednak ułożył zgrabne nóżki, nadał rękom wdzięczne zgięcia, głowę pochylił umiejętnie. Zimna rozwaga towarzyszyła mu w téj sprawie napozór z gorączkowym dokonywanéj pośpiechem. Król go nie spuszczał z oka, zdał się to czuć. Nie zastanawiając się długo pisał jakby pod dyktowaniem gotowéj myśli, nie przekréślił ni razu, nie stanął na chwilę. Pióro zatrzymało się gdy depeszy dokończył. Naówczas przebiegł ją jeszcze oczyma szybko i powstał wyprostowany.

Z widoczną ciekawością, gotów być pobłażliwym król się nieco przysunął.

— Czytaj!—rzekł.

Brühl odkaszlnął, głos mu się trząsł nieco i był cichy. Któż odgadnie czy ten dowód trwogi nie był także rachubą? Król ośmielając go, dodał łagodnie:

— Zwolna, wyraźnie, głośno.

Począł więc czytać depeszę młody paź, a głos zrazu drżący, stał się wkrótce metalicznie brzmiącym i donośnym. Na twarzy Augusta odmalowało się stopniowo zdumienie, radość, wesołość, podziw razem, i jakby niedowierzanie.

Gdy Brühl dokończył, nie śmiał podnieść oczów.

— Jeszcze raz, od początku—odezwał się król.

Tym razem Brühl głośniéj jeszcze, śmieléj czytał i dobitniéj.

Królewska twarz rozjaśniła się: uderzył w dłonie.

— Przewybornie!—zawołał—Pauliby nie potrafił lepiéj ani tak nawet. Pisz na czysto.

Brühl z nizkim ukłonem przedstawił swój arkusz, który był tak napisany, iż odrazu mógł być użytym.

August go po ramieniu uderzył.

— Jesteś od dziśdnia moim sekretarzem do depeszy. Pauli, żeby mi się nie śmiał pokazywać na oczy. Niech go kaci porwią: niech się zapije i zdechnie.

Zadzwonił król: wszedł służbowy szambelan.

— Hrabio—rzekł, zwracając się do niego—niech Paulego zawiozą do domu; oznajmić mu proszę, gdy się wytrzeźwi, moje najwyższe nieukontentowanie. Nigdy mi się nie pokazywać na oczy!! Sekretarzem do depeszy, od dziśdnia Brühl. Uwolnić go od służby paziowskiéj, niech tylko mundur zatrzyma. Zobaczymy.

Szambelan z dala uśmiechnął się stojącemu skromnie na uboczu chłopcu.

— Wybawił mnie z ciężkiego kłopotu—mówił August. Znam Paulego, będzie do jutra leżał, jak kłoda, a depeszę trzeba wyprawić zaraz.

Poszedł król ją podpisać.

— Kopią spisać — dodał.

— Z pamięci ją do słowa napiszę—rzekł Brühl cicho.

— Otóż to mi sekretarz!—zawołał August. Proszę mu trzysta talarów kazać wyliczyć.

Zbliżającemu się dla podziękowania, król podał rękę do pocałowania: był to znak łaski niemały.

W chwilę potém nagotowany już kuryer, zabrawszy opieczętowany list, biegł, trąbiąc przez most, galopem. Brühl pokornie wysunął się do przedpokoju. Tu już przez Szambelana Friesena, rozpowiedziana historya depeszy i niespodzianéj łaski, jaka spotkała chłopaka, po którym niktby się był nie spodziewał tak nadzwyczajnéj zdolności, powszechną budziła zazdrość i ciekawość. Gdy Brühl się ukazał, wszystkich oczy biegły za nim. Nie było znać na tak zaszczyconym łaską królewską, najmniejszéj dumy, okrył nawet radość swą pokorą taką, jakby się wstydził tego, co dokonał.

Moszyński podbiegł ku niemu.

— Co słyszę?—zawołał—Brühl *amanuensem* N. Pana? Kiedyż? co? jak?

— A! dajcie mi ochłonąć ze zdziwienia i przestrachu— cicho odezwał się Brühl—jak się to stało? nie wiem. Opatrzność czuwała nademną, *un pauvre cadet de famille*. Miłość dla króla sprawiła cud... ja nie wiem. Olśniony jestem, nieprzytomny.

Popatrzał nań Moszynski.

— Jeśli tak pójdziesz daléj, wkrótce nas wszystkich wyprzedzisz. Zawczasu łasce się twéj trzeba polecić.

— Hrabio, bądźże litościwszym i nie szydź sobie z biédaka.

To mówiąc Brühl, jakby znużony i opadający na siłach, otarł pot z czoła i siadł, głowę zanurzywszy w dłoniach, na najbliższém krześle.

— Ktośby rzekł, patrząc nań—odezwał się Moszyński, —że go największe nieszczęście spotkało.

Brühl zatopiony w myślach, nie słyszał już tego. Po pokoju szeptali wszyscy, patrząc nań i nowo wchodzącym opowiadali historyą szczęśliwego młodzieńca. Wieczorem obiegła po mieście, a gdy Brühl ukazał się skromnie między paziami na operze, Sułkowski, który towarzyszył królewiczowi, przyszedł go pozdrowić i powinszować.

Brühl zdawał się do najwyższego stopnia rozczulonym, nie umiał znaleźć wyrazów na podziękowanie.

— Widzisz Brühl—szepnął Sułkowski, poglądając nań z góry—ja ci wróżyłem zawsze, że się na tobie poznają; nie omyliłem się: orle oko naszego pana, umiało cię wyróżnić.

Zaczęto bić brawa tenorowi, który śpiewał Solimana; Sułkowski klasnął, ale zwracając się do przyjaciela rzekł: „Ja tobie biję brawo!!"

Z pokorą wielką paź się ukłonił zarumieniony.

Po teatrze pozwolono mu zniknąć; miano mu to nawet za zasługę, że się nie szedł popisywać i chwalić szczęściem swojém. Towarzysze, którzy go w zamku w mieszkaniu jego szukali i tam go nie znaleźli; pokój był zamknięty, służący zapewniał ich, że oddawna wyszedł na miasto.

W istocie po operze, osłonięty płaszczem, przekradł się Brühl na zamkową ulicę, a z niéj na wiodącą ku pałacowi na Taschenbergu, gdzie niegdyś jaśniała Cosel, a teraz panowała młodemu swojemu dworowi córka Cezarów Jozefina.

Ktoby go tu był spotkał po pod murami przesuwającego się ostrożnie, posądziłby pewnie, iż idzie u nóg jakiegoś uróżowanego bóstwa złożyć laury zdobyte. Było do tego wszelkie podobieństwo. Miał lat dwadzieścia kilka, twarz cherubinka, a kobiety popsute przez Augusta II, tak były zalotne. Wi-

docznem było, iż pilno się starał, aby go nie postrzeżono i nie poznano. Płaszczem miał zasłoniętą twarz, a ile razy usłyszał kroki, tulił się do murów i przyspieszał pochód. Już był prawie przed pałacem królewiczowskim, gdy do przytykającéj doń kamienicy wszedł szybko. Spojrzał tylko wprzódy na okna pierwszego piętra, w których się przez gęste zasłony świeciło. Pocichu wbiegł po znajomych znać wschodach i stanąwszy u drzwi zapukał do nich trzy razy.

Nie było na to odpowiedzi. Wyczekawszy jeszcze chwilę, puknął leciuchno w ten sam sposób.

Wewnątrz dały się słyszéć kroki powolne, drzwi uchylono, pokazała się w nich głowa starego człowieka z nizko postrzyżonym włosem. Brühl wsunął się prędko.

Pokój, do którego wszedł, oświecony jedną w rękach sługi stojącego u drzwi świecą, zastawiony był szafami, ponury i smutny. Stary na zapytanie niezrozumiałe, cóś szepnął, ręką wskazując. Brühl zrzucił płaszcz i na palcach idąc, zbliżył się ku drzwiom, do których z lekka zapukał.

Głos dosyć żywy odpowiedział mu prędko—*Favorisca!*

Pokój, do którego wsunął się cicho młody paź, oświecony był dwoma pod umbrelką na stoliku, palącemi się świecami. Obszerny był i dziwnie jakoś przystrojony.

Szafka z książkami napół otwarta, kilka stolików zarzuconych papiérami; między oknami duży krucyfiks z figurą Zbawiciela: na kanapce, wśród sukni, w nieładzie rzucona gitara.

U stołu oparty jedną ręką, jakby tylko co wstał na powitanie gościa, czekał nań niemłody człowiek, nieco przygarbiony, z twarzą żółtą, przeciągniętą, długą, z brodą wystającą, z oczyma czarnemi. Poznać w nim było łatwo Włocha po typie i kroju rysów. W ustach wązkich, bladych, kryło się coś nieodgadnionego, ale twarz w ogóle żartobliwą raczéj wyglądała, niż zagadkową. Było w niéj coś razem dobrodusznego i ironicznego. Duży nos orli spadał mu, kryjąc niemal wierzchnią wargę.

Na krótko obciętych włosach miał czarną, jedwabną czapeczkę; na sobie suknią ciemną i długą, która duchownego

zdawała się oznaczać: na nogach czarne pończochy i trzewiki z wielkiemi klamrami.

Zobaczywszy Brühla, otworzył ręce.

— A! to ty! moje dziecko. Jakże się cieszę: niech cię Bóg błogosławi!

Z wielką pokorą przysunął się młodzieniec do niego i schyliwszy się w rękę go pocałował.

Gospodarz siadł prędko, usuwając książki i suknie nagromadzone na kanapce, a blizkie krzesło wskazał Brühlowi, który, trzymając w ręku kapelusz, raczéj się przysiadł, niż usiadł.

— *Ecco! ecco!* — szepnął siedzący na kanapie — myślisz że mi nowinę przynosisz? Wiem ja już! wszystko wiem i cieszę się. Widzisz, Opatrzność nagradza, Bóg swoim wiernym pomaga.

Westchnął.

— Jemu też ja składam tylko dzięki — odezwał się Brühl cicho.

— I pozostań wiernym wierze, ku któréj serce się twe łaską oświecone skłoniło, a zobaczysz.

Podniósł rękę w górę. — Pójdziesz wysoko! wysoko! Niewidzialne ręce dźwigać cię będą; ja ci to mówię: ja. Jam ubożuchny i maleńki, alem wielkiego Pana sługa.

Oczyma błyszczącemi zmierzył siedzącego skromnie pazia i uśmiechnął się, i jakby już pobożnego dopełniwszy obowiązku, dodał wesoło:

— Byłeś na operze? jak śpiewała Celesta? patrzał na nią król? był królewicz?

Posypały się gradem pytania.

Padre Guarini, tak się zwał ten którego Brühl odwiedzał, spowiednik królewicza, powiernik królowéj, duchowny ojciec młodego dworu, zdawał się co najmniéj tyle zajmować operą, ile nawracaniem grzesznika, którego miał przed sobą.

Pytał o tenora, o kapelę, o gości, a wreszcie czy za kulisy paź nie chodził.

— Ja? — z pewném zdziwieniem zawołał Brühl.

— Nic złego! nic złego nie myślę; dla muzyki, dla sztuki, dla tego żeby zobaczyć jak te anioły wydają się, gdy prostemi

ludźmi być muszą. Celesta śpiewa jak anioł, ale brzydka jak szatan. Nazwali ją chyba dla głosu! Niéma obawy aby się w niéj król zakochał.

I śmiać się począł Padre Guarini.

— A któż nad królem króluje?— zapytał. I nie czekając odpowiedzi, sam rzekł: pono jak w Polsce elekcya dopiéro ma nastąpić

Śmiał się znowu stary.

— Powiedzże mi choć co nowego, oprócz tego żeś sekretarzem został.

— Chyba że żadne szczęście serca mojego i uczuć nie zmieni.

— Tak, tak, to ci radzę bądź dobrym, choć potajemnym katolikiem. Po naszym teraźniejszym królu nie możemy ani wymagać, ani się spodziewać wielkiéj gorliwości. Dobrze iż takim choć jest jakim się stał, ale młody będzie inny; święta nasza pani Józefa nie da mu znijść z drogi prawéj. Pobożny jest, małżonek wierny, katolik gorliwy. Za jego panowania i nasze się począć powinno. Nie rozpaczamy, zjedliby nas protestanci gdyby mogli, ale twardzi jesteśmy i paszcza ich za mała... *chi va piano va sano... qui va sano, va lontano!*

Powtórzywszy kilka razy lontano! lontano! westchnął.

— Na pamiątkę tego dnia— dodał —chcę ci dać z błogosławieństwem coś, co ci szczęście przyniesie. Czekaj.

Padre Guarini wysunął szufladę i rękę w nią zanurzywszy dobył mały różaniec czarny z medalem i krzyżykiem.

— Ojciec Święty sam własną ręką go pobłogosławił, odpust do niego przywiązany wielki, ale go codzień odprawiać potrzeba.

Brühl niewyraźnie coś powiedziawszy na podziękowanie, w rękę pocałował i wstał.

Guarini pochylił mu się do ucha i coś szeptać zaczął, na co paź tylko potwierdzająco schyliwszy głowę kilka razy, znowu rękę chudą ucałował i wysunął się pocichu. We drzwiach czekał nań stary ze świecą. Temu wsunąwszy talara, osłoniony znowu płaszczem spuścił się ze schodów. Doszedłszy do drzwi wyjrzał ostrożnie w ulicę, a nie widząc w niéj nikogo, wybiegł prędko. O kilka kroków dopiéro zatrzymał się zdając namy-

ślać. Podbiegł i stanął i zawrócił się i znowu szedł i wrócił raz jeszcze, jakby niewiedząc co pocznie. Różaniec, który miał obwinięty około ręki schował spiesznie do bocznéj kieszeni, a sam podniósłszy głowę, szukał znanego domu około kościoła św. Zofii.

Obejrzał się raz za siebie...

Drzwi kamienicy do któréj dążył stały otworem. Na poręczy wschodów maleńka lampka przytwierdzona na słupku, zaledwie mrok pod sklepieniami nieco rozjaśniała. W obszernéj sieni o gotyckich łukach cicho było i pusto. Na nizkie piérwsze piętro wszedłszy Brühl zadzwonił.

Służąca wyszła mu otworzyć.

— Jest ksiądz pastor w domu?—zapytał.

— Jest i ma gości, z któremi się rozmową zabawia.

— Goście?—wahając się podchwycił Brühl, jakby go to od wnijścia zniechęciło.—Któż taki?

— Młodzież z Lipska łakoma słowa Bożego i światła.

Brühl jeszcze stał w progu, gdy poważna postać średnich lat człowieka ukazała się ze drzwi poblizkich.

— Nie chcę być natrętnym—rzekł paź kłaniając się.

— Nigdy nim pan nie byłeś i nie jesteś—odparł suchym głosem, zimnym i wyraźnym gospodarz.—Na to ja teraz narażony nie jestem, by mi się do drzwi ludzie cisnęli. Chodź pan, proszę. Wchodzi się w protestanckim kraju do duchownego pokryjomu, jako pierwsi chrześcianie do katakumb wchodzili. Chwała tym co mają odwagę próg nasz przestąpić.

To mówiąc wprowadził Brühla do obszernéj izby skromnie przybranéj, ale z kwiatami na oknach. Szpinecik otwarty stał przy ścianie. Nie było tu nikogo oprócz dwóch młodzieży, z których słuszniejszy wzrostem zdał się Brühlowi znajomym. Przypomnieć sobie tylko nie mógł gdzie i kiedy go widział. Pięknéj postawy młodzian patrzał też z uwagą na gościa, a po chwili przystąpił doń.

— Jeśli się nie mylę—rzekł—drugi to raz spotykamy się w życiu. Winienen panu żem na drogę wyprowadzony nie popadł w ręce królewskich pachołków jak włóczęga.

— Hrabia Zinzendorf...

— Brat w Chrystusie—odparł młodzieniec — a chociażbyście byli katolikiem, aryaninem, wiklefistą czy kimkolwiekbądź, byleście w Zbawiciela wierzyli i ufali Mu, pozdrowię was zawsze tym wyrazem: brat w Chrystusie.

Gospodarz, który miał twarz surową i brwi ściągnięte dziwnie a zrosłe, co mu wyraz nadawało ostry, jęknął:

— Dajcie pokój marzeniom, hrabio, plewy od ziarna odlecieć powinny, choć na jednéj wyrosły łodydze...

Brühl milczał.

— Cóż na dworze słychać?—spytał gospodarz—myślę że nic innego jak z rana litanią a wieczorem operę; ale zmilczę. Siądźcie mój gościu.

Posiadali wszyscy, Brühlowi widocznie przytomność obcych zamykała usta. Zinzendorf długo i z zajęciem mu się przypatrywał, niby w duszy jego czytał pragnąco, lecz te okną któremi zajrzéć mógł do wnętrza, oczy piękne Brühla zamykały się przed nim: zdawał się unikać spojrzeń i lękać się ich przenikliwości.

— Prawdaż to że kościół katolicki budować myślą? — zapytał gospodarz.

— Nie słyszałem o tém, tylko jak o projekcie dalekim — odpowiedział Brühl — a wątpię bardzo ażeby król pan nasz, który tyle pozaczynał gmachów, mógł nam o nowym pomyśléć.

— Zgrozaby była!—wyjąknął pastor.

— Dlaczego? czcigodny panie—przerwał mu Zinzendorf. Zarzucamy im nietolerancyę, a mielibyśmy się nią sami posługiwać. Niech sie mnoży we wszelkich językach i na wszelki sposób chwała Zbawiciela, czyli ją katolicy śpiewać będą, czy my.

Brühl żywo skłonił głowę potakując, ale w chwili gdy to czynił, spotkał surowe wejrzenie pastora i ruch ten jakby nagle powściągniony, dwuznaczny się zmienił uśmiechem: rumieniec wystąpił mu na twarz.

— Hrabio—odezwał się pastor obracając ku niemu—to są myśli młodzieńcze bardzo piękne w ustach waszych, ale w życiu nie możliwe. Na dwu ramionach płaszcza nosić nie można, ani dwóm Bogom służyć, ani dwu wiar kochać, boby się

żadnéj nie miało, jak... jak to się dziś wielu i najwyżéj położonym zdarza.

Westchnął pastor, zrozumieli wszyscy do kogo pił. Brühl udał że nie słyszy, żałował nawet może iż wszedł w towarzystwo tak drażliwemi zajmujące się zagadnieniami. Przeciwnie Zinzendorf zdawał się uszczęśliwiony i z poszanowaniem chwycił rękę pastora.

— Czcigodny panie—zawołał—a jakżebyśmy nawracali i prawdę krzewić mogli, gdybyśmy się nie zbliżyli i nie zbratali z innowiercami? Chrystus nie stronił od Faryzeuszów i niewiernych, a łagodnością i miłością ich nawracał.

— Młody jesteś i marzysz — westchnął pastor — hrabio, a gdy ci przyjdzie walczyć i z poezyi twych przejść do czynu...

— A! za tém gonię, tego pragnę — odezwał się młody entuzyasta, podnosząc ręce do góry — gdybym siebie tylko miłował poszedłbym Zbawiciela szukać na pustyni i w rozmyślaniu; ale kocham braci, kocham wszystkich i zbłąkanych nawet, dla tego rzucam się pośród tych fal, choćby mnie pożrzéć miały.

Pastor, Brühl i młody towarzysz słuchali każdy z inném usposobieniem mówiącego. Pierwszy stał chmurny i rozdrażniony, drugi zafrasowany choć się uśmiechał, trzeci z uwielbieniem chwytał słowa.

— Myślę że ta gorącość wasza, miły panie - odezwał się nieco żartobliwie pastor — ostygnie na dworze.

— Na dworze?—zapytał Brühl cicho — na dworze hrabio, będziemy mieli szczęście posiadać go!

— A! nie, nie, nigdy w świecie—odstępując krok zawołał Zinzendorf! — ja na dworze? Żadna siła w świecie nie potrafi mnie tam zapędzić. Mój dwór to ubogie na duchu i na ciele dziatki Boże, moja przyszłość to zastosowanie nauki Chrystusa do życia, i wlanie miłości Zbawiciela w społeczność naszą strupieszałą.

Chrystus raz umarłych wskrzeszał, dwa razy umierających nikt nie potrafi do życia przywrócić, a takiemi są ci, co na chrzcie życie otrzymali i dobrowolnie je zabili w sobie. Ja pójdę do tych w których żyje duch, aby go rozdmuchać i rozpłomienić; na dworze byłbym wyśmianym: tam spełnię do czego powołanym się czuję.

— Rodzina jednak wasza, panie hrabio—dodał pastor.

— Ojciec mój w niebiesiech—prędko dokończył Zinzendorf—temum winien posłuszeństwo.

Brühl po krótkiéj chwili przekonał się że tu nie miał co czynić dłużéj, Zinzendorf ze swą mową dziwną napełniał go strachem; odwiódł na stronę pastora ku oknu i szybko rozmowę z nim cicho poprowadziwszy, pożegnał go uprzejmie, spiesząc z powrotem. Młodemu apostołowi skłonił się tylko z daleka, z prawdziwie dworską grzecznością, i zniknął. Czy u ojca Jezuity czy u pastora był szczerszym przyjacielem i gościem, o tém wyrokować nie umiemy i to pewna że obu odwiedzał gorliwie i o łaski ich się starał, nadskakując więcéj Guariniemu niż Knöflowi, choć publicznie ani ojciec Jezuita jego, ani on Włocha nie zdał się znać wcale.

W ulicy namyślił się Brühl znowu. Tuż był pałac królewicza. Przed bramą jego dwóch gwardzistów straż trzymało. Po chwili młody paź wsunął się w podwórze i na prawo pobiegł do oficyny. Otwarte jeszcze drzwi i oświecone okna dozwalały sprobować szczęścia na młodym dworze. Tu mieszkała wielka ochmistrzyni dworu królewiczowéj hrabina Kolowrath-Krakowska, osoba wielce poważna, lat średnich, ulubiona królewiczowéj Józefie, a łaskawém spoglądająca okiem na młodego pazia, który jéj wszystkie plotki z zamku przynosił, za co wszelkiego rodzaju łakociami był karmiony.

Miał on tu dozwolone wnijście o wszelkiéj dnia godzinie, a korzystał z niego rozumnie, tak aby ludzie ani go widzieli zbytnio, ani nadto się mogli stosunków domyślać.

W przedpokoju w wielkiéj liberyi dworu, stał w peruce kamerdyner W. ochmistrzyni, który kłaniając się i nie mówiąc nic drzwi mu otworzył: Brühl wszedł na palcach. Salon był prawie ciemny, kilka świec woskowych z długiemi knotami paliły się same sobie na stoliku i w mdłém świetle ich wiszące na ścianach, poczerniałe obrazy, dziwaczną mieszaniną świateł i cieni jak widma jakie majaczały. Cicho było i w dalszych pokojach.

W prawo tylko przez półotwarte podwoje struga żywszego światła przelewała się do sali i ztamtąd dał się słyszéć jakby szmer życia, gdy na posadzce skrzypienie trzewików

Brühla słyszéć się dało, z za drzwi pokazała się nizko główka dziecięca.

Brühl zbliżał się ostrożnie.

— A! to wy, panie Henryku—ozwał się głosik dziecięcy i świeży—a to wy: czekaj pan.

Znikła główka, ale wkrótce potém podwoje się otwarły szeroko i weszła dziewczynka ośmioletnia. Możnaż ją było tak nazwać albo raczéj ośmioletnią hrabiną, czy lalką? W atłasowéj sukience z koronkami, w jedwabnych *à jour* pończoszkach, w trzewiczkach na korkach wysokich, z główką ufryzowaną i wypudrowaną wystąpiła zachwycająca panienka, już nie dziecko, niestety, już dama, i uśmieszkiem witając Brühla dygnęła mu tak jak na dworze było we zwyczaju i jak ją *Maître des ballets*, sam p. Favier wyuczył; tak jak dygała rozpoczynając menueta przed królem Augustem. A minkę miała tak śmiesznie poważną, tak niewysłowienie surową, jak owe figurynki porcelanowe, aniołków we frakach, które w Meisen wyrabiano.

Dygnęła Brühlowi, Brühl oddał jéj ukłon jakby staruszce. Wielkiemi oczyma czarnémi spojrzała nań dziecina jakby szukając należnéj czci i hołdu za swój cudowny ukłonik; ale w téj chwili powaga jéj nie wystarczyła i parsknęła śmiechem. Komedya była skończona.

— A, to wy! panie Henryku?

— A jéj Excelencya?

— Mamina Excelencya na pacierzach u królewiczowéj, Padre Guarini czyta litanią, i rozmyślanie... a ja, ja się nudzę! tylko piesek Filidorek, pani Braun została i ja sierotka.

Słuchaj Brühl, ty mógłbyś się pójść ze mną we dwór zabawić: ja będę grała królowę, a ty wielkiego ochmistrza, a Filidorek kogo?

— Panno Franciszko, bawiłbym się z wami w cobyście kazali, ale ja do króla muszę, nie bawić się, ale służyć.

— Toś nie grzeczny dla dam!—odpowiedziała hrabianka z minką staréj jéjmości, która ją niezrównanie uczyniła śmieszną— ja waćpana kochać nie będę, i jeśli się kiedy we mnie zakochasz...

— A! pewnie! i to bardzo prędko—zawołał Brühl śmiejąc się.

— Zobaczysz wówczas jakie będę robiła miny i jaka będę okrutna—dodała Frania.

To mówiąc zwróciła się do niego prawie plecami, chwyciła z krzesła leżący na nim wachlarzyk. Główkę pochyliła w tył, usta podniosła do góry i spojrzała na Brühla z niewysłowioną pogardą. W oczach ośmioletniéj dziewczynki odbijał się już niestety cały dwór, cały świat, całe zepsucie i lekkomyślność wieku!

Brühl stał zachwycony, a scena ta byłaby może trwała długo, gdyby szelest atłasowéj sukni nie dał się słyszéć i śmiech.

— Francesca! Brühl, córkę mi bałamucisz...

Osoba która to wymówiła, była słusznego wzrostu, majestatycznéj postawy, piękna jeszcze bardzo, a nadewszystko arystokratycznie i pańsko wyglądająca. Była to matka Frani, hrabina Kolowrath-Krakowska W. ochmistrzyni dworu królewiczowéj. Zobaczywszy matkę niezmieszana Frania odnowiła ceremonialne dygnięcie według p. Favier i dopiero przybiegła do jéj ręki. Brühl napół zgięty naprzód, odprostowawszy się, patrzał z zachwytem w czarne oczy hrabinéj.

Pierwsza, może nawet druga jéj młodość już była odbiegła, ale obie zostawiły po sobie rysy nie tknięte, jakby wyrzeźbione z białego alabastru, które pożyczany żywy krasił rumieniec. Białość tę płci podnosił kruczy włos, tego dnia bez pudru, ale ze staraniem związany. Postać zdawała się mimo pełnych form kształtu, zarazem i silną. Zmrużonemi nieco oczyma popatrzała na pazia.

— Franiu!—rzekła—idź do pani Braun, ja mam coś do mówienia z panem Henrykiem.

Figlarnie spojrzało dziewczę na matkę, pokiwało główką i znikło. W. ochmistrzyni poruszając żywo wachlarzem zaczęła chodzić po sali i pochyliwszy się ku Brühlowi rozmawiać z nim poufale.

Brühl z rękami w tył założonemi szedł za nią raczéj niż obok niéj, okazując wielkie uszanowanie, chociaż parę razy przybliżył się aż nadto może blizko. Téj rozmowy tajemnéj, nawet obrazy wiszące na ścianach słyszéć nie mogły. W pół godziny po niéj paź siedział w przedpokoju króla na krześle i drzemać się zdawał.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TY, WY, PAN.

CZYLI

O OZNACZANIU OSOBISTOŚCI W JĘZYKU POLSKIM.

(Uwaga do psycho-lingwistyki).

Od czasu, jak zjawiona niegdyś na ziemi jednostka ludzka rozpadła się i rozrodziła następnie w jednostek miliony, ukazał się też i równolegle rozwijał objaw, który wskazuje, że celem lub raczéj warunkiem téj rozpadłéj fizycznie jedności, jest też łączenie się w nową jedność, jedność duchową. Tym objawem jest wzajemne przemawianie do siebie jednostek, czyli ich *język*. Milionowe są fakta, które ten język stworzył i milionowe są drogi, przez które na stopniowe łączenie się rozpierzchłych i zbyt rozróżnionych jednostek postępnie wpływa; tu mamy uczynić krótką uwagę o jednéj tylko z najpierwotniejszych i najprostszych form tego łączenia się, choć zarazem i ów cel najbezpośredniéj osiągającéj, t. j. o formie językowéj przemawiania jednostki jednéj do drugiéj, czyli oznaczania jéj osobistości.

Naturalną i prostą formą zwrotu naszego do osoby drugiéj, jest używanie zaimka osobistego (ty) i drugiéj osoby pojedyńczéj w czasownikach przez wszystkie czasy (ty masz, ty miałeś). Jest to forma najloiczniejsza i przez cały ciąg wieków starożytnych była wyłącznie przy zwrotach do pojedyńczych osób używaną. Z początkiem epoki nowéj, a nawet już wieków średnich, widzimy jednak, iż forma ta zaczęła się przyoblekać w odcienia różne, a ta jedna, napozór drobna wskazówka za dowód staje, iż społeczeństwo nowe objawiło już w sobie i niejaką psychiczną różność w porównaniu z dawném, iż pragnęło oznaczać pewne odcienia pojęć i uczuć, przy samym zwrocie prostym jednostki do jednostki.

Jest to przedmiot, który nie zwracał prawie dotąd na siebie uwagi lingwistyków i trzebaby chyba czynić studya nad szczegółami literatury każdego ludu, iżby ujrzéć, jaka w nim była historya rozwicia téj formy; dosyć tu będzie wspomnieć, iż jest to faktem, że we wszystkich dziś prawie znanych nam językach, forma zwrotu

w mówieniu do osoby drugiéj, nie jest naturalną i prostą, iż w jednych, w miejscu osoby drugiéj pojedyńczéj, używa się osoba trzecia, jak np. w języku włoskim, w miejsce: „jak się ty masz?" „jak się ma *on*" (come staella?), w innych, osoba trzecia liczby mnogiéj, jak np. w języku niemieckim, w miejsce „co to masz". „co to *oni* mają" (*was haben si?*), lub wreszcie, co jest najpowszechniejszą formą w językach i zachodnich, i wschodnich, w miejsce zaimka pojedyńczego *ty*, używa się tenże zaimek w liczbie mnogiéj *wy* i odpowiedni czasownik, jak np. w języku francuzkim: kto ty jesteś? *qui est ce qui vous êtes?* w angielskim chcesz ty tego posłuchać? *will you it hear?* toż (ile wiemy od oryentalistów) w języku tureckim, arabskim, perskim, gdy np. zamiast, jak się *ty* masz, mówi się, „jak się *wy* macie" (*turec:* „*nasyłsiz* Sułtanym" „zamiast nasylsen; arabski: Kiejf. *kiejfakum* „zamiast kiejf; tak perski: kiejfi *szuma* choszest, zamiast tuchosz est); toż we wszystkich prawie słowiańskich. W języku japońskim nietylko w osobie drugiéj pojedyńczéj, lecz téż przez wszystkie trzy osoby rodzajem dodanego zaimka, stopnie stosunku osoby mówiącéj do osoby 2-éj odznaczone bywają (*Silvestre de Sacy:* w *Grammaire universelle* I IV).

Kiedy mianowicie w różnych językach te różne formy użyte zostały? Nie wiemy i tyle tylko wiemy, iż różnocześnie w języku rossyjskim, np zwyczaj mówienia *wy* za *ty*, począł się dopiero od czasów Piotra Wielkiego; w języku włoskim już w wieku XIII, był starym. W *Bozkiéj komedyi* Danta, poemacie z wieku XIII, a mianowicie w pieśni XVI *nieba*, czytamy, iż Dante spostrzegłszy tam swego prapradziada, przemówił do niego przez *wy* (*voi*), lecz Beatrice ostrzegła z uśmiéchem, iż tak się w niebie nie mówi, a z okoliczności téj komentatorowie włoscy Danta wzmiankują, iż forma mówienia przez *wy* zamiast *ty*, użytą była najprzód do papieży i cesarzów, że potém przeszła i do niższych stanów, lecz, że za czasów Danta zaczęto ją już zmieniać na osobę trzecią.

Jakaż obaczmy teraz jest? i jaka była historycznie? forma zwrotu do osoby drugiéj w języku naszym?

Iż w języku polskim zwyczaj mówienia do osoby pojedyńczéj *wy* zamiast *ty*, był znanym i używanym, tego jawnym dowodem jest najprzód, zwyczaj istniejący i dzisiaj powszechnie w klassie wiejskiéj; powtóre, świadectwo lexicografów, np. Knapskiego, gdy pod wyrazem *wy* mówi „Polacy używają tego zaimka *wy*, gdy mówią do osoby pojedyńczéj *honoris causa* i podobnie mówią dajcie, słuchajcie zamiast daj, słuchaj (dodaje jednak, iż dziś mówimy tak tylko do włościan, „sed hodie, nisi rusticanos sic compellamus (*Thesaurus 1634, str. 103*); potrzecie używanie tego zaimka *przymiotne* przez wszystkie klassy w mówieniu do siebie do ostatnich czasów, jak np. *Wasza* Królewska Mość, *Wasza* Książęca Mość, *Wasza* Mość, waszmość i wreszcie świadectwa przechowane w dawnych listach, pamiętnikach, poezyach i innych piśmiennych źródłach; że jednak obok téj formy zrodziły się

też, przemogły i istną dotąd inne oryginalne, tego nas uczy i obecność, i dawna przeszłość i o tém kilka tu właśnie uwag uczynić chcemy. Jak mówiono i pisano u nas do siebie za Piastów, a nawet i Jagiellonów do wieku XV nie wiemy; w agendach kościelnych z XIII wicku, gdzie znajdujemy formy zapytań przy ślubach w języku polskim; formy te są proste i naturalne. Źródła zaczynają się mnożyć dopiero z wiekiem XVI-ym. Mamy odtąd w języku krajowym: kroniki, pamiętniki, powieści, listy i t. p., a ze źródeł tych najobfitszém do przedmiotu, o którym mowa są właśnie listy, a mianowicie listy królów po polsku pisane, tych bowiem mamy kilka zbiorów. W listach tych znajdujemy wprawdzie formy tylko przemawiania monarchów do swych podwładnych, zawsze jednak były one odbiciem i panujących ogólnie form.

Najdawniejsze ze znanych nam polskich listów, są listy Zygmunta Augusta. Przytoczył ich kilka Niemcewicz w Pamiętnikach o dawnéj Polsce, Baliński w Pamiętnikach o Królowéj Barbarze, a najliczniejszy i chronologiczny zbiór wydał Lachowicz z autentyków znajdujących się w Ces. Publ. Bibliotece, a pochodzących z Biblioteki Radziwiłłowskiéj Nieświeskiéj. Znajdujemy tu listy pisywane do trzech Radziwiłłów i księżnéj Beaty Ostrogskiéj od r. 1549 do 1571. Formy używane w tych listach, chronologicznie są różne, ale spółcześnie sobie do wszystkich równe. W listach wszystkich od roku 1549 do 1551, jest stale forma przez *wy*. Tak np. w liście najpierwszym z dnia 14 maja 1549 r., (pisanym do Mikołaja Radziwiłły Czarnego) czytamy: „Są nam teraz prawie pod jednym czasem dwa listy *wasze* oddane, gdzie w jednym swym liście do nas *jesteście pisali* około województwa Wileńskiego, tedy *wam* tak na to odpisujemy;“ zaś w końcu „a zatém *was* dobrze być zdrowym żądamy.” Od roku 1551 do 1561, okazuje się stale T. M. (Twoja Miłość); zaś od roku 1561 do 1571 W. M. (Wasza Miłość), tylko o liście do Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła (syna Czarnego) w miejsce W. M., znajdujemy W. T. (zapewne wierność twoja). W listach polskich Wazów (Zygmunta, Władysława i Jana Kazimierza), znajdujemy stale *W. U.* i *T. W.* (Wasza Uprzejmość i Twoja Wierność); w bogatym zbiorze *Listów Władysława* IV, wydanym przez Ambrożego Grabowskiego, ta ostatnia forma jest prawie wyłączną; Sobieski pisał już W. U. już W. M. Ć., już wreszcie używał formy p. Wy na wzór Zygmunta Augusta, jak np. w liście z pod Wiednia do wojewody wileńskiego (10 octob. 1683) „przychodzi nam ubolewać na to, *żeście się* uprzejmość Wasza dotąd przebrać do nas *nie mogli* z wojskiem, które uprzejmość Wasza przy sobie *macie*” (*Bibl. Starož.* 11. 289). W listach wreszcie króla Stanisława Augusta, stale znajdujemy tę jedną formę *wacpan*, *wacpani*.

Takie były formy piśmienne, używane przez królów, jakież były ustne? Formy ustne mogły być tylko odbiciem piśmiennych lub raczéj te drugie pierwszych. W jednym z poufałych listów Zygmunta

Augusta do Radziwiłły Czarnego (1552, stycznia 20), wspomniawszy ten król o rozmowie, jaką miał z matką, co do postanowienia siostr, a mianowicie, iż nie życzyła pretendenta do Katarzyny księcia pruskiego, jako niebogatego, a wolała liczyć na świeże owdowienie króla szwedzkiego, dodaje, iż musiał jéj wyrzucić usuwanie pretendentów i robiąc alluzyą do starań elektora bawarskiego rzekł: „Teraz *Wasza Miłość* nalegasz, abyśmy się o to starali, a *Wasza Miłość* naonczas *nie chciała*, gdy czas po temu dobrze pogodniejszy był." Ta forma *Wasza Miłość*, jak widzieliśmy, używaną następnie była przez króla w listach do Radziwiłła; a że w skróceniu swém (*waszmość*) weszła już była w tym czasie w powszechny użytek w zwracaniu się równych do rownych, to widzimy z dyalogów w *Dworzaninie* Górnickiego, z listów ówczesnych, (np. Jana Kochanowskiego) i t. p. J. Modrzewski w ówczesném dziele swojém: *De reformanda republica* mówi, iż dziś wszyscy, mówiąc do osoby jednéj, mówimy jakby do wielu, mówiąc *Waszmość*." Kraj nasz mianował siebie rzeczpospolitą i w istocie w mieszkańcach jego tkwiło zawsze uczucie republikańskie, uczucie ogólne równości, lecz to uczucie równości przez naturalne następstwo pociągało za sobą uczucie inne, t. j. konieczność wysokiego cenienia i przeceniania wartości każdéj jednostki; samo *wy*, gdzieindziéj uważane za dostateczne do oznaki szacunku, tu zamało znaczącém się zdało, każdy pragnął przyznawania sobie nietylko pewnego szacunku, ale téż pewnéj potęgi i pewnéj cnoty; oznaczanie osobistości w zwrotach wzajemnych do siebie stopniowie się więc wzrastało i rozszerzało: gdy bowiem wasza miłość zamieniła się na zdawkowe *waszmość*, dla przypomnienia pierwotnego znaczenia, dodawano powtórnie waszmość, „mój miłościwy pan;" tym sposobem znalazł się w tytule *pan*; gdy i to przez skrócenie zamieniło się w *waszmośćpan*, musiano znowu przypominać wymagane oznaki, ztąd powstały wielmożny pan, wielmożny, waćpan i wreszcie wielmożny waszmośćpan i dobrodziéj (dobroczyńca). Formy te oznaczania osobistości, spotykamy najczęściéj do końca XVIII-go wieku w korrespondencyach (przetrwały one w części i do czasów naszych), i w *dyalogach*; w dyalogach jednak, (jak widzimy to z pamiętników, powieści, dramatów), używały się one krócéj i mówiono najpowszechniéj do siebie *waszmość*, *wacpan dobrodziéj*, *wacpan*, a przez skrócenie *waść*, *aść* i t. p. Co do formy przez *wy*, ta stanowczo nie była używaną do osób godności wyższéj i równéj, a tylko do niższéj, w tym kształcie jednak spotykamy jéj używanie i w wieku XVII; tak w listach ogłaszanych z archiwum Radziwiłłowskiego, widzimy, iż Radziwiłłowie listy do swoich dworzan pisali przez *wy* (*Życie Janusza Radziwiłła* przez G. Kotłubaja w *Dodatkach*), tak pisywać musieli i inni; przez *wy*, jak to dopiero widzieliśmy, pisywał Jan III-ci, w tak pełnych ożywienia dramatycznego Pamiętnikach Paska, z których wyłącznie prawie poznajemy ówczesne formy dyalogowe, jakkolwiek znajdujemy w nich najczęściéj *waść*, *wacpan*, widzimy tu jednak, iż królowie i wojewodowie mawiali

wtedy przez *wy*. Tak np. czytamy tu pod rokiem 1660: „Skorośmy go (Drozdowskiego) wynieśli aż mówi wojewoda:" „*Macie* szczęście panie bracie, bo są tu wielkie ryby i połknęłyby *was*." Pod rokiem 1662: „Powiadam mu tedy (wojewodzie) dobra noc, a on rzecze: *nie jedliście* panie bracie, bo po *wieczerzyście przyszli*," odpowiadam: „Będę jadł u siebie." Pod rokiem 1663: „I nie miałem natenczas szczęścia do *upatrzonego* (wakansu), lubo król mówił mi kilka razy: „*Upatrzcie* sobie." Pod rokiem 1664 po opisie burzy sejmowéj, w któréj przywodził Lubomirski, król expostulował z nim mówiąc: „Panie marszałku, dochodzi nas wieść, *jakobyście* sobie życzyli korony," ten odpowiedział „etc. Pod rokiem 1665." „Król ukontentowawszy ją (panią Sułkowskę) jakimś tam datkiem, mówi do niéj: „Przebaczcie pani, tak to wojna umié," „a otóż ja *wam* dam, moja pani, przywiléj taki" etc.

Przy końcu wieku zeszłego, a początku naszego, kiedy odległości jednostek znacznie się porównały, a życie towarzyskie już nie w nominalnéj, ale w rzeczywistéj równości coraz dobitniéj rozwijać się zaczęło, kiedy nadto z jednéj strony wznoszoną racyonalność, w brzmieniach *waszmość* i *wacpan*, kazała tylko widzieć karykatury ich pierwotnych znaczeń, a z drugiéj strony, chęć cieniowań w mówieniu i oznaczaniu osobistości tworzyła nowe, dziwaczne z tych wyrazów waryanty i mówić zaczęto, np. do siebie asindziéj, waspandziéj, asandziéj, asan, acan, asińdźka, acani, aśćka i t. p., zaczęto żałować zatraconéj formy przez *wy* i myślić o jéj powrocie. Tak Ad. Czartoryski G. Z. P. w liście pisanym do Autora słownika Lindego pod d. 27 marca 1809 r. między innemi wyraził: „Pomyślcieno o tém, mój rektorze kochany, jakby to można u nas wyprowadzić *omni meliori modo* ze zwyczaju ów przesąd i *zawadę okrutną w różnych gatunkach pisania* tego ustawicznego powtarzania owéj formuły *wpan*, *wpana*, *wpanu*, i czy nie możnaby, zmówiwszy się i porywając się na zniesienie przesądu upowszechnić wygodne *wam* i *wy* we wszystkich dyalektach słowiańskich, używanych krom naszego, mówiąc *do* i mówiąc *o*, tak najpierwszego rzędu osobach, jak i o niższych (słow. VI. XXXXIII). Z tegoż zapewne natchnienia przemawiał następnie gorliwie za tą formą Niemcewicz, a przemawiał nietylko teoretycznie, ale praktycznie, używając jéj do dyalogów w swych powieściach, dramatach i t. p. Użycie nowych form w dyalogu, zależało jednak naturalnie nie od lexicografa, którego zadaniem jest zapisywać tylko szczegóły danego języka, nie zaś je tworzyć, zależało to w owym czasie najwięcéj podobno od samego autora listu i jego salonu, być może czynione były w tym celu próby, lecz nie powiodły się. Kraj nasz (wtrąćmy tu uwagę nawiasem), którego losem była we wszystkiém oryginalność, oryginalność w *formacie*, oryginalność w *życiu*, oryginalność w *śmierci*, oryginalność *po śmierci* i w tym gramatycznym czyli lingwistycznym szczególe, o którym mówimy, odrębność wyraził; odrzucił on wprawdzie w ostatnich czasach *waszmość i wacpan*, lecz w miejscu *oni* lub *wy*,

ukazało się nagle we wszystkich ustach krajowych krótkie znaczące *pan* i używane dziś jest powszechnie we wszystkich stronach kraju i przez wszystkie klassy, w zwrocie słowa do wyższych, do równych i nawet do niższych.

Ta jest forma najświeższa, jako świeża nie wiemy czyli ma być trwałą? czy też i na jaką się zmieni? wszakże gdy jest dziś stałą, obaczmy jak się uważać może pod względem psychicznym? czyli i jakie tkwią w niéj strony dodatnie? oraz czyli i jakie ujemne?

Wyraz *pan* krótki i grzeczny, jakkolwiek w codziennem użyciu, używanym jest dziś przez wielu za rodzaj liczmana, właściwie jak wiadomo oznacza zwierzchnika, rządcę (ztąd *panować*), a jak wnosił nasz kronikarz z wieku XIII Baszko, pochodzi od wyrazu greckiego *παν* (wszystko), ztąd oznacza jakby *wszechmożnego* (*Pan* enim juxta graecam et sclavorum interpretationem dicitur *totum habens*), używany więc dziś zarówno do wszystkich nietylko jest jakby wyznawaniem powszechnéj jednostkowéj równości, ale też razem i czczeniem ludzkiéj jednostkowości, jest to jakby przypominanie co chwila metafizycznej prawdy, iż każdy z ludzi jest panem, chociażby tylko swéj duszy i swoich kroków. Forma ta zatém jest nadto i jakby rodzajem ekspiacyi śród społeczności, pośród któréj istniała tak długo, a tak niesłusznie pogarda przez klassy klass (miejskiéj, przemysłowéj i t. p.), a które dziś wszystkie nawzajem tym jednym wyrazem *pan* przemawiać do siebie muszą.

Dodajmy nadto iż jakkolwiek przez tę dziś powszechnie przyjętą formę, oznaczanie osoby drugiéj czynimy przez uosabianie jéj w osobę trzecią, a tę osobowość zowiemy *panem*, [1]), to jednak zwyczaj krajowy unikając monotonności i lubując się zawsze w odcieniach zwrotów, w miejscu pan używa też nader często uosobienia tytułu, urzędu, charakteru i t. p. np. gdy się mówi: czy ma pan sędzia? pan generał, senator i t. p., albo wuj? stryj? kuzyn? kuzynka? i t. p. lub też uosobiając imie albo nazwisko, czy ma pan Stanisław? pan Karol? pan Karpiński? [2]), panna Anna? panna Helena? Staś? Jaś? Salcia? Emcia? i t. p.

---

[1]) Mówimy naturalną formą: „czy masz panie?“ „nadeszlij mi panie“ lub też przez uosobienie w osobę trzecią: „czy ma pan?“ zechce pan nadesłać“ i t. p., kiedy się jednak pisze czy masz pan? nadeszlij pan i t. p. jestto gramatyczny barbaryzm ; a jednak wyznać trzeba iż to jest barbaryzm, który się stał już powszechnym; traktują nim np. wszystkie dzienniki swych abonentów i abonentki w odpowiedziach publicznych.

[2]) Korzeniowski w powieści *Tadeusz Bezimienny* uczynił uwagę, iż zwrot ten (uosabianie nazwiska) wynalezionym jest u nas przez arystokratki chcące przypominać swym interlokutorom, iż nie są świetnego herbu; uwaga zupełnie mylna, używanie to jest tylko jednym z wynalazków dowcipu i potrzeby towarzyskiéj wyszukującéj form dogodniejszych; uosobianie nazwiska jest owszem

Forma ta daje więc nadto szczególną rozmaitość i w zwrocie do osób wyższych np. dzieci do rodziców i starszych, podwładnych do zwierzchników i t. p., tworzy formy, które są dogodniejsze niż w innych językach.

Jeżeli jednak ta forma loiczną jest i dogodną przy zwrocie do osób wyższych, jestże taką przy zwrocie do równych i niższych? Jakkolwiek bezwzględnie sądząc każdy jest panem siebie i mówiąc do każdego „pan," przypominamy tę prawdę; rozmowa jednak jest raczéj załatwieniem potrzeb towarzyskich jak nauką moralną, a jeżeli ostatecznie żądanym i spodziewanym celem jest kiedyś towarzyska równość jednostek, to zarazem prawdą też jest, iż nie jesteśmy jeszcze u celu, ale dopiéro w *drodze* do celu; ztąd płynie że jeżeli w zwrotach naszych do osoby drugiéj musimy z jednéj strony stosować się do warunków téj drogi, tedy z drugiéj te środki pośród téj drogi są psychicznie więcéj zalotne, które są więcéj w harmonii z ostatnim celem. Z obu tych względów zwracanie się do osób równych i towarzysko niższych z wyrazem pan nie może być pochwalaném.

Mianowanie przez daną jednostkę drugiéj tegoż położenia towarzyskiego jednostki wyrazem *pan*, jest pewném jéj przyznawaniem nąd sobą wyższości, a tém samém zamiast stopniowego zbliżania się i równania sprawia oddalanie. Osoby jednego zawodu, jednego wieku, członkowie jednego urzędu, jednych spólnych zajęć, powinowate i t. p., wyrażają się niewłaściwie mówiąc do siebie pan, pani, a mianowanie siebie wzajemne samym zaimkiem (*wy* lub *oni*) musi się uznać w tych razach za formę więcéj dodatnią, jako mającą właśnie na celu raczéj porównanie jak oddalanie.

Zwracanie się zaś do osób towarzysko niższych z tém mianownikiem *pan* jest już wprost bezloiką, kiedy więc dziś słyszymy jak np. urzędnik w biurze do swych podwładnych, nauczyciel do uczniów, majster do czeladników mówi co chwila *pan*, jestto karykaturą loiczną. A jednak używanie podobne wyrazu *pan* we wszystkich klassach i stanach tak się dziś stało powszechne, tak jest nieraz mechaniczne, bezmyślne, iż znaczenie tego wyrazu twierdzące zmienia się na przeczące i frazesa z jego użytkiem dają nam galimatyas wrażenia. Komuż się nie zdarzyło np. w przechadzkach miejskich, na targach lub na ulicy stać się świadkiem wzajemnego lżenia się czy to zaperzonych przekupek, czy też zażartych młodych uliczników, a nawzajem mówiących

---

z jednéj strony formą loiczną, a przy właściwéj każdemu miłości własnéj, t. j. miłości swego rodu, nie mogące być dla nikogo nie miłém. Inny autor powieści uważa za ubliżającą formę: „czy jadł?" „czy pił?" zamiast „czy jadłeś?" „czy piłeś?" (Pamiętniki włóczęgi), jest to forma która się jednak nie uważa wcale za obelżywą we Włoszech. Ci, którzy lubią ścigać formy ogólne, jakież stawią na to miejsce formy ogolne?

jednak do siebie *pan*, *pani* („jesteś pani indyczka“, „a pani małpa“; „jesteś pan łgarz i oszust“, „a pan złodziéj“).

Konieczność mówienia lub pisania do równych i niższych przez *pan* i *pani* sprawia nadto ten skutek, iż dogodność krajowa musi się uciekać do używania języków mających dogodniejsze formy; zauważała to już kiedyś trafnie pani Hofmanowa, że potrzeba ta upowszechniła w wielu familiach lub salonach język francuzki.

W zwrocie słowa do pojedyńczéj osoby nieużyjemy zapewne nigdy na wzór Niemców zaimka *oni* (Sie), ale używanie w zwrocie do równych i towarzysko niższych na wzór np. Francuzów zaimka *wy*, byłoby to tylko rozszerzeniem istnącego dawniéj i istnącego dzisiaj zwyczaju narodowego, a ztąd pożądaném. Prócz wyżéj przytoczonych przykładów dawnych nie mieliśmy i nie mamy prawie znakomitego pisarza, któryby nawet formy téj kiedykolwiek nieużył; używali jéj np. z poetów dawnych: Kochanowski, Rej, Wacł. Potocki (w Figlikach, Fraszkach i t. p.), z nowych Malczeski (w dedykacyi Maryi), Mickiewicz (w Walenrodzie) i t. p.

Jeżeli jednak używanie takiéj lub innéj formy w mówieniu lub pisaniu językiem własnym, w każdym razie jest zależném od dobréj woli pisarza lub interlokutora i w każdym razie jest prawdą, tedy znowu w przekładach z języków, które mają owe ogólne zaimkowe formy, skoro je przekładamy formą odmienną, przekład jest mylnym jawnie; mniéj jeszcze to być może rażącém w przekładach dramatów lub powieści, ale się staje fałszem historycznym, w przekładaniu kart historycznych. Jakże np. jestto dziejowie potwornem, kiedy w kreśleniu dziejów Napoleona I, tego umysłu tak despotycznego i jego stosunku do swych podwładnych czytamy jak mówi lub pisze do ministrów, posłów, prefektów: „donieś pan, przybądź pan“, albo do biskupów, arcybiskupów: „rozważ pan, nakaż pan“ i t. p. A dodajmy nawiasem że z potwornością podobną w przekładzie pism lub rozmów monarchów, parlamentarnych i t. p., spotykamy się dzisiaj ledwo nie codnia w części politycznéj wszystkich pism naszych.

Z uwag tych i tego wywodu całego jakiż jest wniosek?

Oto najprzód, iż forma oznaczania osobistości przy zwrocie do osoby drugiéj w języku naszym jest różną od wszystkich innych, iż w zwrocie do osób wyższych jest rozmaitszą i dogodniejszą niż w innych; lecz że w zwrocie do osób równych i niższych jest przeceniającą osobistość, nie logiczną, a ztąd niedogodną, i że pożądaném być musi iżby zwyczaj krajowy na piśmie i ustnie rozszerzał pogardzoną formę przez wy.

Mamy właśnie przed sobą wydaną w roku zeszłym korrespondencyę dwóch naszych powag naukowych, Lelewela z Karolem Sienkiewiczem. W korrespondencyi téj Sienkiewicz do męża szczególnéj powagi i niegdyś być może swego szkolnego mistrza używa wszędzie tylko krótkiego *pan*, Lelewel do Sienkiewicza, którego poważał także, pisze wszędzie przez *wy*. Te dwie formy równo więc, powtórzmy raz jeszcze, zasługują i na przechowywanie i popieranie.

A. Tyszyński.

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Studya literackie Edmunda Scherera. — Biblioteka Sainte Beuva. — Prelekcya professora Büchnera w Caen: literatury w krajach drugorzędnych. — Goethe: studyum p. Mezieres członka akademii. — Dzieło Emila Oliwiera o Lamartinie. — Chybiona uroczystość akademicka. — Państwo brezylijskie: dzieło cesarza don Pedra, ofiarowane Towarzystwu Jeograficznemu w Paryżu. — Współdziałanie Towarzystwa Jeograficznego z izbą handlową. — Reformy pod względem prawa w Japonii. — Piérwsze cywilizacye: dzieło Franciszka Lenormant. — Nowo utworzona szkoła archeologiczna w Rzymie: mowa dyrektora Alberta Dumont. — Podróż po Hiszpanii barona Davillier z drzeworytami Gustawa Doré. — Sfinks: dramat Oktawa Feuillet.

„Prawdziwa zasługa pisarza przeszkadza jego powodzeniu. Pamiętajmy, że tak wady, jak zalety jednakowo popłacają w świecie: właściwa proporcya jednych do drugich zapewnia autorowi rozgłos. Trzeba niewątpliwie siły, aby pociągnąć i ujarzmić uwagę współczesnych; ale potrzeba domieszać trochę podrzędnego kruszcu: przesady, szarlatanizmu, maniery, i sam nie wiem czego jeszcze, by uczynić złoto płynniejszém.“

Paradoks ten wzięliśmy z nowéj książki Edmunda Scherera p. t. *Studya nad literaturą współczesną*, która znalazła nie mały rozgłos w literackim świecie paryzkim. Autor stosuje te słowa do jednego z delikwentów swoich, my jednak śmiało stosujemy je do niego; od pierwszéj bowiem do ostatniéj stronnicy trzymał się najwierniéj tego programu.

Scherer to prawdziwy typ dziennikarskiego kronikarza nowéj szkoły. Jego literackie artykuły z dziennika *Temps* zebrane razem w książce o któréj mowa, są to krytyczne rakiety zrazu jasne, hałaśliwe, połyskujące, po których przecież pozostanie trochę dymu, nic więcéj. Zawołany to szermierz słowa; chłoszcze niém na lewo i na prawo. W arsenale jego nigdy nie zbraknie broni, a broń to ostra zaprawiona jadem sarkazmu. Biada temu, w czyją pierś ugodzą te pociski; a jestże choćby

jedna w którejby nie utkwiły? Scherer nie oszczędza nikogo, tych nawet, których się mieni prawdziwym przyjacielem. Całą różnicę stanowi rozmaitość oręża. Szczęśliwy, komu się tylko dostała szczypta soli atyckiéj, ale nie często używa jéj kronikarz; hojniéj za to szafuje pieprzem albo blekotem. Ten ostatni narkotyk tak przeniknął na wskróś stronnice jego książki, że odurzony czytelnik nie łatwo zdaje sobie z nich sprawę.

Walka dla walki, oto hasło Scherera. Nie walczy on w obronie własnych zasad, bo wyznaje z całym cynizmem, że ich niema. Kondotier dziennikarski, występuje do zapasów w imieniu dzienika na którego jest żołdzie. Gotów w każdéj chwili zmienić chorągiew. Oczytany w różnych gałęziach wiedzy, obdarzony do tego niepospolitym darem słowa, uderza na wszystkich z niesłychaną śmiałością. Przeciw argumentom teologów, stawia zdania Ojców kościoła, przeciw teoryom filozofów, cytuje Platona, Kartezyusza, Pascala, Spinozę, Lessinga, Hegla a nawet Straussa; przeciw moralistom stawia aksiomat sztuka dla sztuki, przeciw artystom bije w bęben utylitaryzmu. Ta to pobudka najgłośniéj pobrzmiewa w ostatnich rozumowaniach publicysty. Zobaczmy naprzykład jak ocenia pracę Taina: *Filozfią Sztuki Greckiéj.*

„Wróżki otoczyły kolébkę Taina—mówi Scherer—jedna dała mu bystrą intelligencyą, druga uczucie piękności, trzecia malownicze słowo i t. p. Nieszczęściem przyszła ostatnia, a nie wiedząc już co dać więcéj uczyniła go filozofem; zaszczepiła mu smak definicyi, formuł, metod. I cóż ztąd wypłynęło? Oto nastąpił dualizm w jednéj osobistości, filozof kłóci się tu z artystą, artysta zaś wprowadza w zasadzki filozofa. Nie wiemy nigdy, kogo podziwiać w Tainie: myśliciela czy téż poetę".

Tu dowcipnie wprowadza krytyk rozmowę Molierowskiego skąpca ze sługą Jakóbem, który pełni obowiązki kucharza i woźnicy.

Harpagon. Jakóbie, chodź tu!
Jakób! Czy pan potrzebuje woźnicy, czy kucharza?
Harpagon. Obudwóch razem.
Jakób. Ale którego naprzód?

Różnica polega w tém—dodaje krytyk—że Jakób kładzie liberyą, podejmuje bicz w rękę, lub przypasuje fartuch; gdy tymczasem Taine przywdziewa razem oba stroje, a przez to nikogo nie zadowolni: artystów zmęczy erudycyą, uczonych niewczesnym artyzmem.

Zręczne to określenie. Taine w rzeczy saméj zbyt często odbiega od założonego przedmiotu. Ale na co zgodzić się niepodobna, to na stanowcze potępienie zasady, że „aby poznać sztukę, potrzeba koniecznie poznać obyczaje ludu, który ją stworzył i miejscowość, która była jéj kolébką". Przeciw téjto zasadzie protestuje krytyk pozytywista; wyznaje on, że Taine skreślił świetny rys historyczny, ale pyta: „Wartoż na to poświęcać tyle erudycyi, tyle talentu? I cóż nam z tego przyjdzie, gdy się dowiemy, że sztuka grecka ściśle złączona z geniuszem

greckim? że geniusz grecki rozwijał się na prawach geografii, klimatu i plemienia? I cóż nam z tego przyjdzie? jak odpowiedzieć na taki argument, chyba że są jeszcze ludzie, którzy nie samym żyją chlebem.

Jeśli Taine, realista, estetyk ściągnął na siebie zarzut zbytniego idealizmu, łatwo zgadnąć, jak p. Scherer obchodzi się z drugimi. Jakąż to arogancyą widzimy w ocenieniu *Rozmyślań religijnych* Guizota! Przytaczamy konkluzyą; ta dość wymowna sama przez się, nie potrzebuje komentarzy: „Walka pomiędzy ortodoksyą a jéj przeciwnikami, mówi krytyk, nie jest czém innem w gruncie rzeczy, jak walka wiedzy z niewiedzą. Nie dziwimy się, że p. Guizot staje między stronnikami tradycyi. P. Guizot nie tylko, że obcy jest pracom krytyki nowoczesnéj, ale nie wié nawet o ich istnieniu. Napisał dwa tomy o chrześciaństwie, nie domyślając się w jaki sposób stawione dziś są pytania religijne".

Gdzie i przez kogo? zapytamy. Kryteryum p. Scherera maż być miarą sądu dla wszystkich? Dziwna zarozumiałość.

Nic znów pocieszniejszego jak obszerna pochwała św. Pawła przeciwko Renanowi. Pan Scherer staje w obronie apostoła, utrzymuje, że był filozofem i poetą; co więcéj, takie połączenie dwóch przeciwnych kierunków, nie razi go w uczniu Chrystusa, jak go raziło w professorze estetyki. Poeta nie kłóci się tu z filozofem! Jaka tajemnica téj harmonii? nie pytajmy o to krytyka!

Ale zostawmy na boku teologią, a przejdźmy na pole literatury. Zobaczmy najprzód, jak p. Scherer określa dzisiejszy stan umysłów w kraju swoim. „Nikt dziś nie czyta; przeglądy nawet zaniedbane. Ogół karmi się tylko dziennikiem, tj. plotkami dziennikarskiemi, zostawiając na boku stronę poważną. Kiedy się skarżę na jałowość czasów dzisiejszych, nie zapominam, że mamy *trzech* lub *czterech* pisarzy nie ustępujących dawniejszym, ale ci pozostali samotni, oderwani od ogólnego prądu. Są to błędne ogniki unoszące się nad zgniłém topieliskiem".

„Patrzymy dziś na skon literatury i w ogólności sztuki. Nie mamy już ani artysty, ani amatora, ani publiczności, ani pisarza, ani téż czytelnika".

„Dziś każdy trzyma pióro, ale nikt nie pisze. Literatura umarła, bo do niéj potrzeba smaku, instrukcyi, przygotowania właściwego, a społeczeństwo nasze nie rodzi tych słodkich owoców. Idee nikogo nie obchodzą. Bez ruchu intellektualnego, sztuka się nie ostoi. Kto chce pisać, musi mieć coś do powiedzenia, inaczéj wystarcza styl korrespondencyj handlowych. Giełda tworzy dzisiejszy słownik, telegraf uprościł naszą składnię. Ci którzy nie zapomnieli jeszcze pisać, kładą pióro dla braku czytelników.

„Duch czasu inną otworzył sobie drogę. On nakazuje opanować świat materyalny, rozwijać przemysł, skupiać złoto. Życie stało się trudném; walka o byt powołuje wszystkich do zapasu. Każdy szuka miejsca pod słońcem, nikt nie ma wolnéj chwili. Dorobkowicze bez wykształcenia, bez smaku, przewodzą w społeczeństwie. Wychowanie literackie jest już osobliwością, wkrótce literat stanie się białym kru-

kiem, jak jest nim dziś uczony filolog. Demokracya rośnie w górę i niebawem sprowadzi niwelacyą powszechną, bo demokracya to mierność, to panowanie tłumów. Ludzkość zyska coś na tém, lecz duch ludzki musi koniecznie upaść.

„Świat dzisiejszy ma czas na dwie rzeczy: na pracę, gdyż ta daje chleb; na zabawę, gdyż ta rozrywa w pracy. Ależ zabawa musi być łatwa i energiczna; pędzimy na przód po amerykańsku.

„Nie skarżę się wcale, określam tylko stan obecny. Co straci literatura, zyska ludzkość. Ale pytam, i ludzkość sama niczże na tém nie straci? Potrafiż się obejść społeczeństwo bez geniuszu, literatury i sztuk pięknych? Podniesienie mass, ażaliż nam zastąpi brak tych ludzi, którzy dawali popęd wielkim epokom, których imiona żyły w ustach, dzieła w pamięci wszystkich? Których wpływ ożywia społeczeństwo i wydobywa z niego nowe siły"?

Któż zaprzeczy loiczności tych wywodów? Pan Scherer wykazał najloiczniéj, że Francya intellektualna już umarła i pogrzebana. Przez patryotyzm zapewne używa takich palących środków. aby zbudzić iskierkę życia w trupie! Nie o brak loiki posądzimy téż autora. Gdyby Francya stała w rzeczy saméj na takiéj pochyłości, na gruncie tak grubo materyalnym, na jakim okazuje ją krytyk, upadek jéj byłby niechybny. Ale błąd leży w samém założeniu. Dość spojrzeć na olbrzymie prace ducha francuzkiego, na tę siłę twórczą objawiającą się w tylu instytucyach, w tylu prelekcyach i konkursach, w tém mnóstwie dzieł naukowych i literackich, w tém rozgałęzioném dziennikarstwie, któremu nikt nie zaprzeczy żywotności, w téj nakoniec przewadze spiritualizmu, który oddziaływa tak potężnie przeciw realistycznym prądom i w książkach i w dziennikach i z professorskiéj katedry. Pan Scherer nie należyż sam poniekąd do falangi obrońców ideału? alboż nie świadczy o tém gorycz, z jaką głosi swoje pesymistyczne przypuszczenia?

W ustępie poświęconym poezyi, autor zaintonował jéj *requiescat in pace* i to w stanowczy i nieodwołalny sposób. „Poezya—mówi on—jest wypływem życia naiwnego, życia zbratanego z przyrodą, dziecięcego życia ludzkości; warunki jéj znikają z każdym dniem w miarę naukowego i przemysłowego postępu w społeczeństwach. Będą jeszcze poeci, gdyż pojawiają się tu i owdzie jednostki obdarzone twórczą wyobraźnią. Ale owi poeci coraz to bardziej będą osamotnieni. Dawniéj tworzyło całe społeczeństwo, z niego to wyszły owe pieśni ludu i poemata narodowe, zazwyczaj bezimienne. Późniéj tłumy przestały tworzyć, ale przyjmowały poetów, jakby zesłańców niebios, żyły ich myślą, powtarzały ich pieśni. Nakoniec poezya stała się literaturą. Ale ta literatura miała swoich miłośników, miała ich jeszcze przed dwudziestoma laty; dziś zupełnie ich brakło. Najpiękniejsze wiersze w świecie, żadnego już nie poruszą serca! Przeczyta je może jakiś literat, przesiąkły zastarzałemi pojęciami, lecz tłum zostanie obojętny"!

Obok tych pseudoproroczych paradoksów, znajdujemy w książce Scherera nie jedno zdrowe określenie, nie jeden sąd cechujący wytraw-

nego krytyka. Weźmy naprzykład obraz romantyzmu od pierwszéj chwili jego istnienia, aż do obecnych czasów, kiedy się przerodził w potworny materyalizm. Wyborny to ustęp.

„Granica pomiędzy idealizmem a realizmem w sztukach fałszywą jest, gdy chcemy ją stawiać w absolutny sposób. Najzagorzalszy miłośnik ideału musi bądź co bądź potrącić o rzeczywistość. Najuporczywszy znów realista, choćby najbardziéj niewolniczo naśladował przyrodę, przedstawia ją zawsze z efektem. Rzeczywistość i ideał są to dwa krańcowo przeciwne bieguny: sztuka toczy się między niemi przechylając się to w jedną to w drugą stronę, stosownie do panującego prądu. Takie prawo powszechne. W życiu człowieka jak ludzkości za każdym krokiem naprzód idzie w ślad reakcya. Im daléj kula rzucona, tém silniéj w tył odskakuje. Sztuka naprzykład zaczyna się od naśladowania przedmiotów! Wkrótce nie wystarcza jéj wierne powtórzenie prawdy, chce okazać ją w piękném świetle. Tym sposobem zwierz grubo wykuty przez ludzi epoki kamiennéj, zmienił się powoli w konia Partenonu. W końcu następuje przesada, to jest przewaga ideału nad formą—konwencyonalizm. Sztuka zamiast czerpać prosto z przyrody, trzyma się wzorów i tradycyj szkolnych. Ubożeje więc, niknie, potrzebuje koniecznie odrodzenia; wówczas to kąpie się w rzeczywistości.

„Takim był początek romantyzmu. Sztuka uduchowniona nad miarę, pozbawiona sił żywotnych, ujęta w ciasne pęta stylu, wyszlachetniała wprawdzie, ale stała się zarazem anemiczną. Aby odzyskać krzepkość, musiała dotknąć ziemi i zaczerpnąć sił w wiekuistym zdroju przyrody. Musiała wyłamać się ze sztucznych karbów i przemówić językiem ludzkim. Musiała w miejsce konwencyonalnego realizmu spotkać się oko w oko z żywą rzeczywistością, badać jéj wybryki, jéj niespodzianki, jéj niesłychaną rozmaitość. Było to powołanie romantyzmu. Jakiekolwiek mogły być jego zboczenia, wyrobił sobie miejsce w literaturze. Wypowiedział rzeczy nowym językiem, wyraził myśli i namiętności.

„Pierwsi przedstawiciele szkoły romantycznéj, odpowiedzieli wybornie tym warunkom. Wiktor Hugo znał ludzkie namiętności, umiał je wypowiedzieć. Następcy jego przekroczyli właściwy obręb. Pod ich kierunkiem romantyzm opanował ów szeroki świat rzeczywistości, którym poezya niegdyś pogardzała i prawem reakcyi, przeciw ubóstwu barw i form w sztuce klassycznéj, rzucił się w materyalizm. Tam sztuka nadto była duchową, brakło jéj ciała; romantyzm zanadto ją ucieleśnił. Forma u klassyków była lekką i przezroczystą ledwie zasłoną; romantycy zmienili ją w pyszny strój, pod którym nikła niekiedy ludzka postać.

„Wady wzrastały z wiekiem. Naśladowcy czepiają się zwykle ujemnéj strony mistrzów swoich. Nadeszła druga epoka romantyzmu; po artystach nastąpili *ornamentyści*. Uczczono formę dla formy, postawiono ją na pierwszém miejscu, poświęcono wszystko dla jéj urozmaicenia. Przemawiano nie do rozumu, lecz do oczów. Pokonanie

trudności stało się głównym celem, główną chwałą. Rym wzbogacił się kosztem myśli; klasyfikowano poetów według trudnego doboru końcówek.

„Ciężko było zatrzymać się na takiéj pochyłości. Z drugiéj szkoły wyrosła trzecia. Sprawić wrażenie stało się jedynym celem poetów. Bądź co bądź trzeba je było sprawić, jeśli nie pięknem, to brzydotą, jeśli nie formą, to potwornością! „Skoro, mówiono, nie możemy czarować was, jak dawniéj, a więc dreszczem śmiertelnym przenikniem wasze kości. Nie zdołamy was ujarzmić, chcemy was torturować." Groza doprowadziła do obrzydliwości, malują dziś rzeczy niestworzone, tarzają się w bagnisku, zgnilizna rodzi zgniliznę!"

Przeprowadziwszy cały bieg od wspaniałych wyżyn, na których zbierał plony Wiktor Hugo, od kwiecistych smugów, na których Musset zaplatał wieńce, do brudnych topielisk, w jakie się nakoniec potoczył dziś romantyzm, ukazuje krytyk jednego z ostatnich przedstawicieli upadłéj szkoły. Był nim Baudelaire, zmarły przed trzema laty. Baudelaire pod względem formy, był świetnym i wytwornym stylistą; pod względem pomysłów utonął w najgrubszym realizmie. Porównywają go słusznie z Courbetem, naczelnikiem realistycznéj szkoły malarskiéj.

O Ryczywole zamilczéć wolę! Nie myślimy téż zatrzymywać się nad takiemi poematami, jak *Charogue* i t. p. mimo całéj piękności języka, któréj nikt poecie nie przeczy. Wspomnimy tylko, jak Scherer określa te utwory. Baudelaire powiedział w jednym z swych poematów:

Czar grozy w sercach dzielnych niech siły podeprze!

Scherer sparafrazował wiérsz w taki sposób:

Czar cuchnących gnojowisk niech napoi wieprze!

Powyższe ustępy ukazują nam w Schererze zaciętego wroga realizmu. Byłże nim w rzeczy saméj? Kto odgadnie tych gladyatorów dziennikarskich gotowych zawsze do szermierki g'woli zabawie tłumów, wołających *panem et circenses!*. Inni poważni pracownicy, dają tym głodnym chléb podsycony długoletnim potem czoła, gdy tymczasem podobni zapaśnicy areny, jak p. Scherer dźwiękiem słów brzmiących, co dnia rzucanych na pastwę tym złaknionym, tumanią umysły i w sumieniach zacierają zdrowe pojęcia prawdy.

Zobaczmy oto, jak Scherer dopieroco zwolennik ideału w sztuce, ocenia najobrzydliwsze powieści Flauberta. Zrazu czyni zarzut cynicznemu autorowi, nie z tego, że zaraża społeczeństwo trucizną, ale z tego tylko, że okazuje prawdę bez delikatnéj osłony. „Sztuka polega na tém, mówi krytyk, aby więcéj dać się domyśléć, niżeli wypowiedziéć. Pan Flaubert nazbyt wiernie oddaje prawdę: kiedy mówi o błocie, bluzga niém karty książki swojéj."

Na to zgadzamy się zupełnie, ale patrzmy, co będzie daléj.

„Te błędy—mówi Scherer—niepojęte pod piórem tak utalentowanego autora, nie odbierają wartości jego dziełom. Powieść p. t.:

Edukacya sentymentalna, przerasta głową wszystkie razem dzisiejsze powieści. Czuć tu prawdziwego artystę. Oddałbym całego Balzaka i całego Dumasa, za jednę kartę nakreśloną tym wytwornym stylem francuzkim. Słowo tu przezroczyste, jak szkło. Autor nadużywa może opisów, ależ te opisy drgające życiem, a tak pełne barwy! Pan Flaubert zna wybornie swoje rzemiosło, nie pisze na chybił trafił, nie czerpie języka z zabłoconych, dziennikarskich rynsztoków, rozsiewa umiejętnie światło, rozprowadza zręcznie koloryt. To przecież coś znaczy, to znaczy bardzo wiele. Strzeżcie się, niech mnie kto naciśnie, a powiem: na tém polega wszystko!"

Dziwna nieloiczność. Jeżeli forma wszystkiém jest w powieści, dlaczego nie ma być wszystkiém w poezyi? Czemuż p. Scherer tak chłoszcze Baudelaira, mimo że go zowie mistrzem słowa i formy? Podobnych sprzeczności napotkać tysiącami w *Studyach literackich*.

Jeśli tak długo zatrzymaliśmy się nad tém dziełem, to nie dla względnéj jego wartości, nie dla kilkunastu kartek, skreślonych wytwornem piórem, ale dlatego, że widzimy w utworze jeden z typów dzisiejszéj literatury krytycznéj we Francyi. Szczęściem, że obok takich szermierzy, uganiających się wyłącznie za efektem, nie brak tam w dziennikarstwie nawet poważnych myślicieli, którzy rozumieją ważność słowa i krytyczne wywody opierają na sumiennem przekonaniu. Takiemi są Caraguel, Sarcey, Claretie, Francis Charmes i wielu innych. a na ich czele czcigodny starzec, który im wskazał prawdziwą drogę, patryarcha krytyków francuzkich, zasłużony Jules Janin.

To też, rozwijając w studyach długą galeryą osobistości współczesnych, krytyk dziennikarz Scherer, nie znalazł w niéj miejsca dla Janina pracownika na témże samém polu! Za to Sainte Beuve jest w jego oczach *alfą* i *omegą*, ostatnim reprezentantem trzydziestoletniéj literatury. W śmierci jego widzi, jakby zaćmienie słońca na literackim widnokręgu.

Do najciekawszych ustępów w książce zaliczamy opis biblioteki Sainte Beuva, złożonéj z dzieł wielkich klasyków greckich i rzymskich, jak niemniéj z najznakomitszych płodów geniuszu francuzkiego. Szczególną ważność téj bibliotece nadają notaty, kreślone ręką uczonego właściciela, na białych kartkach wprawionych z umysłu w ulubione mu księgi. Przejrzyjmy pobieżnie te zapiski.

Najwięcéj notat widzimy na czterech tomach Homera, zwłaszcza na Iliadzie. Oto z nich jedna: „Poezye Homera to prądy wielkiego oceanu, który jest ojcem wszystkich rzek." Pod Odysseą zapisane słowa: „Skończyłem odczytanie Odyssei po raz trzeci 30 lipca 1856 r."

W ostatnich latach życia Sainte Beuve wziął nauczyciela greckiego języka, uczonego helenistę, z którym odczytywał ulubionych poetów. „Panie Pantassides—mówił do niego, gdy będę zbyt stary, abym mógł pisać, odczytamy znów razem Iliadę." Tymczasem czytali ją dorywkami. Pantassides utrzymuje, że lubo znał dokładniéj grecki język,

niżeli jego uczeń, ten mu dopiero dał poznać główne piękności arcydzieła.

Zamiłowany w starożytnéj poezyi, Sainte Beuve nielitościwie obchodził się z młodymi poetami. Znaleziono w bibliotece dwie związane paczki broszur i książek. Na jednéj skreślone były słowa: „Napisać artykuł o poezyi chińskiéj." Na drugiéj: „Wyprawić pogrzéb współczesnym poetom." Na książce o *Naśladowaniu Chrystusa Tomasza à Kempis*, Sainte-Beuve nakreślił: *ama nesciri!* Scherer czyni zastrzeżenie, że słowa te napisane były przed rokiem 1830, w czasach niedojrzałości umysłowéj!

Na niektórych książkach Sainte-Beuve powtarzał po kilkakroć uwagi. W dwudziestym roku życia taki sąd wydał o Telemaku:

„Mówią, że Fenelon napisał Telemaka dla księcia Burgundyi, że rękopism kreślony odrazu, żadnych nie ma poprawek. Łatwo to zgadnąć z tego zaniedbanego stylu, z tych pospolitych maksym, z tych charakterów przesadzonych bez najmniejszéj prawdy. Nie okupią tych błędów harmonijne i bogate czasami obrazy. Gdyby ta książka była dziś napisana, raziłaby ckliwą i napuszystą deklamacyą (1825)."

W siedmnaście lat potém Sainte-Beuve dodaje niżéj: „Wszystko to pisałem w czasach wściekłości młodzieńczéj *ferox juvenis* (1842)."

Nie dosyć na tém, późniéj dopisał jeszcze:

„Odwołuję dziś te pyszne i zarozumiałe sądy i dodaję: młodość zbyt jest żartką, aby miała smak wyrobiony. Aby mieć prawdziwy smak nie dosyć jest czuć w sobie wrodzoną zdolność do ocenienia pięknych utworów umysłowych. Potrzeba jeszcze spokoju, duszy wolnéj, przywróconéj, jakoby do dawnej niewinności, niepogrążonéj w namiętnościach lub w sprawach dziennych, duszy bezstronnéj, niepożeranéj pisarskim szalem; potrzeba spoczynku, zapomnienia, milczenia, przestrzeni wkoło siebie. Ileż to warunków, aby przy wrodzonym nawet smaku karmić się delikatnemi odcieniami rzeczywistego piękna."

Wielka to przestroga dla młodzieży, tak skoréj do głoszenia wyroków, zaczynającéj zwykle zawód literacki od krytykowania drugich, nim czas ostudzi ową *ferocitas juvenilis*, o któréj mówi Sainte-Beuve. Gdyby przynajmniéj, jak on, przyszła kiedyś do uznania własnéj zarozumiałości!

Z pomiędzy francuzkich fakultetów literatury wewnątrz Paryża, najwięcéj daje objawów życia fakultet w mieście normandzkiém Caen. Katedrę literatur zagranicznych zajmuje tam od lat kilku znakomity filolog Büchner. Ostatnie półrocze otworzył prelekcyą o drugorzędnych literaturach w Europie (*les littératures secondaires de l'Europe*); taki tytuł nadał jéj professor. Tytuł wprawdzie zdaje nam się niewłaściwy. Zresztą czuł to i sam p. Büchner, kiedy rozpoczął rzecz oświadczeniem, że długoletnie studya nad literaturą porównawczą przekonały go, iż

obszar kraju nie zawsze jest w harmonii z jego znaczeniem na polu literatury.

Professor stawia jako przykład Grecyą nowożytną. Wiadomo, że rozbudzony u Helenów ruch narodowy, objawił się nasamprzód w ich literaturze. Już w roku 1638 Leo Allakios przemawia do kardynała Richelieu pełnym zapału poematem, w którym wspomina starożytną wielkość kraju swego i wyraża nadzieję, że oręż francuzki rozstrzygnie losy Grecyi. W sto kilkadziesiąt lat potém Rhigas, jeden z czynnych promotorów walki o niepodległość, wyśpiewał sławny hymn rycerski, zwany *Marsylianką grecką*. Duch poetyczny zapaśników oddziałał silnie na zewnątrz; ztądto zapewne najsłynniejsi poeci i literaci europejscy, wzięli tak gorąco do serca sprawę Hellenów, wprzód jeszcze zanim podjęły ją państwa chrześciańskie, przeczuli bowiem instynktem poetycznym, że ci, co porwali za oręż, nie byli prostymi bandytami!

Przez długie wieki uprawa literatury, jedyną była tarczą Greków przeciwko cisnącym ich Otomanom. Poszukiwania erudytów francuzkich i angielskich, wykazały zdziwionéj Europie, że stary duch helleński, wytrwał mimo klęsk, jakie sypały się na Grecyą od XVI-go, do początku XIX-go wieku. Oprócz wydobytych z ziemi posągów i szczątków architektury, odkryto mnóstwo utworów poetycznych z różnych czasów, a mianowicie pieśni ludu. Te literackie zabytki świadczą, jak silnie Hellenowie trzymali się swych dawnych tradycyj, których nie rozbiły tarany, nie strawiły płomienie pożarne, co pochłonęły Korynt. Słowo trwalszém było od spiżu. Literaci téż nowo-greccy umieją czerpać w tym zdroju nieprzebranym. Jeden z głównych przedstawicieli poezyi helleńskiéj, Spiridion Trikupis, zmarły przed rokiem, przelał własnego ducha w utworzoną przez siebie szkołę.

Professor przechodzi z kolei do ludów słowiańskich. Najprzód, mówi o poetach i erudytach naszych, z dokładną rzeczy świadomością. Jednym rzutem oka ogarnia naród czeski, który ściągnął na siebie powszechną uwagę, niezmordowaną pracą swych uczonych i skarbami literackiemi, jakie przechował w paśmie wieków. Zatrzymuje się potém wśród plemion, rozsiadłych po obu stronach Dunaju. Wszystkie te ludy—mówi—Słoweńcy, Kroaci, Serbowie i Bulgarzy, mało niegdyś cenione z powodu barbarzyństwa, dziś wykryły światu bogate źródła swéj rodzimej literatury.

Od Słowian zwraca się profesor do Madiarów; ukazuje wiekowe ich walki przeciw Turkom i Niemcom. „Lud ten—mówi—z plemienia obcy Europie, wystawiony na najstraszniejsze najazdy, utworzył jednak piękną literaturę. Badając ją, podziwiamy nietylko język krzepki i energiczny, ale co więcej niesłychaną giętkość geniuszu poetycznego, który umiał przyswoić sobie formy literackie ludów południowéj Europy i zastosować je do swych dziejowych podań. Ostatnie zapasy Madiarów, dały nowy polot ich poezyi. W tychto zapasach poległ sławny Aleksander Petöfi, twórca szkoły, która godnie wstępuje w ślady mistrza."

Przechodząc następnie do Szwecyi, p. Büchner słuszną czyni uwagę, że czasy politycznego rozkwitu tego państwa, nie zasłynęły bynajmniéj w literaturze; za panowania jeszcze królowéj Krystyny i jéj następców, literatura szwedzka świeci pożyczanym tylko blaskiem. Język wykształcał się podówczas, smak wyrabiał powoli i dopiero kiedy Szwecya obcięta w granicach, ochłonęła z krwawych klęsk i chwilowego zażyła spokoju, wówczas dopiero wydobyła z własnego łona złoty posiew nowéj poezyi. „Pamiętajmy—dodał professor—że północ skandynawska przechowała w pasmie wieków tradycye starożytnéj mytologii i teogonii pogańskiéj, tradycye dawniejsze od owych wędrówek, które przywiodły Gotów północnych w ich dzisiejsze siedziby. Ta mytologia jest ściśle połączona z mytologią Greków i Hindów, węzłem wspólnego, aryjskiego pochodzenia. Podania kosmogoniczne i wspomnienia dziejowe, ukryte w tych fikcyach, zwróciły uwagę erudytów: zasłynął między niemi uczony Normandczyk p. Edelstan Dumeril. Oweto podania i pieśni dały wzrost nowéj szkole poetycznéj, nie dla saméj już Szwecyi, lecz dla całéj Skandynawii. Twórca jéj i najznakomitszy przedstawiciel Eliasz Tegner, autor bohaterskiego poematu: *Fritiof-Saga*, pozyskał oddawna chwałę europejską.

Po Szwecyi ukazuje professor Danią, kraik ściśniony dziś do maleńkich rozmiarów, lecz wielki przeszłością historyczną i literacką, wielki niemniéj zadziwiającą siłą twórczego ducha. Z Daniito wybiegały na świat drużyny zdobywców normandzkich; Dania dziś jeszcze posiada Islandyą, gniazdo odwiecznych sag i pieśni: Daniato przed dwustu laty, wydała Holberga jedynego współzawodnika, jakiego Moliere znalazł w świecie; w sto lat potém wydała wielkiego rzeźbiarza Thorwaldsena i Öhlenschlegera jednego z pierwszych dramaturgów współczesnych: dziś jeszcze chlubi się Andersonem.

Ztąd professor przechodzi do Niderlandów rozpadłych na Holandyą i Belgią. Przypomina wielką przewagę tych zjednoczonych krajów w średnich wiekach, kiedy wpływ Niemiec i Francyi oddziaływając razem wzbudził w nich iskrę samodzielnego geniuszu. „Dowcip galski połączony z realizmem Flamandów, wydał tu jedyne w swoim rodzaju zjawisko, początek literatury w tym samym kierunku, w jakim rozwinęła się szkoła malarzy flamandzkich.“

Walki religijne XVI wieku pod panowaniem Hiszpanów powstrzymały rozwój literatury. Późniéj, kiedy oręż Ludwika XIV zagroził uorganizowanym ledwie stanom, kiedy mieszczanie amsterdamscy siadłszy na okręta szukali za morzami swobody, jakiéj kraj własny dać im nie mógł, wówczasto smak francuzki zapanował w literaturze holenderskiéj; poeci naśladowali Rasyna i Moliera. Prąd ten powiewał na całą Europę, mógłże nie uledz mu kraj sąsiedni?

Odtąd Holandya w rozwoju literatury ulegała na przemian wpływom Anglików i Niemców, a nakoniec romantyków francuzkich. Wpływy te jednak nie zabiły w Holendrach samodzielnéj twórczości. Geniusz narodowy połyska jasno w ich poetycznych utworach. *Lucyfer*,

mysteryum biblijne holenderskiego poety Wandela dał natchnienie Miltonowi do Raju Zatraconego.

Mówiąc o Belgii, gdzie jak wiadomo przeważa język i literatura francuzka, professor zwraca uwagę na żywioł flamandzki. Język Flamandów belgijskich jest małą tylko odmianą holenderskiego, a przecież onito przyczynili się najsilniéj do rozdziału zjednoczonego królestwa w roku 1830. Jako żarliwi katolicy odłączyli się od protestanckich Holendrów, przechowali jednak język i uprawiają go z wielkiém zamiłowaniem. Od pięćdziesięciu lat język ten stał się literackim: dość tu przytoczyć Henryka Conscience, którego powieści obiegły całą Europę.

Obszerniejszy ustęp poświęca professor Szwajcaryi: zna ją do gruntu, gdyż wykładał literaturę z katedry zurychskiéj wszechnicy. Zobaczmy co mówi o tym kraju tak szczupłym co do geograficznych rozmiarów, a tak wysoko posuniętym w instytucyach politycznych i w umysłowym rozwoju:

„Od początków XIV wieku, cztery kantony środkowe zmogły potęgę austryacką; w końcu XV wieku oręż Karola Zuchwałego skruszył się o zacięty opór niezwalczonych góralów. A przecież Szwajcarya okupiwszy niepodległość kosztem krwi własnéj, nie oderwała się od południowych Niemiec ani językiem, ani literaturą. Przeciwnie, uprawa umysłowa tych dwóch krajów rozwijała się solidarnie, szczególniéj w chwili odrodzenia literackiego w Niemczech w końcu zeszłego wieku. Szkoła, która wydała z siebie wielki prąd romantyczny, zowie się nawet szkołą szwajcarską; klasyczna zaś otrzymała nazwę szkoły lipskiéj. Piérwsza przemogła nad drugą, gdyż wielcy pisarze téj epoki Klopfstock z północy, Wieland z południa, Lessing ze środka Niemiec, zaciągnęli się pod chorągiew literatów zurychskich Bodmera i Breitingera. Niemcy ze swéj strony załączają do literatury własnéj wielkich pisarzy szwajcarskich: historyka Jana Müllera, estetyka Sulzera, sławnego teozofa i fizyognomistę Lavatera, pedagoga Pestalozzi'ego i Gesnera sławnego idylistę. Pod względem literatury Niemcy i Szwajcarya tworzą jedno nierozdzielne państwo; zdlategoto Szyller, poeta ściśle narodowy obrał bohatéra szwajcarskiego Wilhelma Tella za przedmiot do najpiękniejszego z dramatów swoich i tym sposobem spopularyzował w Niemczech najzaciętszego wroga przewagi cesarzów germańskich w Szwajcaryi."

„Stosunki literackie między Szwajcaryą a Niemcami wzmocniły się jeszcze w czasach reakcyi politycznéj po traktatach wiedeńskich. Góry szwajcarskie dały wówczas gościnny przytułek niezliczonym erudytom, literatom i poetom niemieckim, ci zaś wypłacając się za gościnność zajmowali katedry po szkołach i wszechnicach. Wpływ ten zaczął być niebezpiecznym; spostrzegli to w porę Szwajcarzy i poczęli skrzętnie oddziaływać przeciw ideom pangermańskim, rozbudzając iskrę domowych tradycyj. Na czele nowego ruchu stanął w Bernie pastor Bilzius znany pod pseudonymem Jeremiasza Gotte, w Zurychu zaś młody i pełen życia pisarz Gottfried Keller. Obaj w formie powieści wiejskich podnoszą najżywotniejsze pytania, obchodzące dziś społeczeństwo szwajcarskie."

O ruchu literackim w Szwajcaryi francuzkiéj nie wspomina wcale p. Büchner; wątpimy jednak, żeby go pominął w następnych prelekcyach. Gdyby uważał języki za jedyny objaw narodowości, nie byłby odłączył literatury północno-szwajcarskiéj od niemieckiéj.

Po takim ogólnym poglądzie na literatury ludów, zajmujących drugorzędne stanowisko, mówca przychodzi wreszcie do konkluzyi. „Cóżeśmy—pyta—dostrzegli obliczając prace literackie tych małych krajów? Oto, że rozwój ich umysłowy nierównie wyższy nad znaczenie ich polityczne. Nigdzie postęp nie zaszedł tak daleko, jak w owych państwach drugorzędnych. W rozwoju handlu, rolnictwa i przemysłu korzystały one z wielkich współczesnych odkryć; pod względem zaś wychowania publicznego stanęły w piérwszym rzędzie.“

Zakończa p. Büchner protestacyą przeciw pangermanistycznym zachciankom Bismarkowskim.

„Prawo grawitacyi, które zda się pociągać małych ku wielkim, nie przeważa bynajmniéj w świecie rozumu, wyobraźni i smaku. Znaczenie i wzrastający dobrobyt drugorzędnych państw Europy, jest w oczach naszych protestacyą milczącą ale energiczną, przeciwko nowym doktrynom politycznym, które pod pozorem jedności plemienia, języka lub interesu, usiłują pochłonąć ich indywidualizm.“

Z pomiędzy pisarzy niemieckich żaden nie używa we Francyi tak wielkiéj popularności jak Goethe. Na okładkach nowych książek widzimy powtarzające się bez ustanku to imię. Wszyscy professorowie literatury powszechnéj badali do gruntu dzieła genialnego poety, rozbierali je w specyalnych kursach, pisali nad niemi studya i komentarze. Panowie Marmier, Caro, St. René, Taillandier, nakoniec Mézières, zawdzięczają w wielkiéj części tym studyom krzesła swoje w akademii.

Zkądże—pytamy—taki pociąg Francuzów do Goethego? Dlaczego Szyller, któremu Francya winna cudną apoteozę bohatérki narodowéj, nie był tu przedmiotem tylu krytycznych badań? Łatwa na to odpowiedź: Goethe był szczerym i wiernym przyjacielem Francyi od piérwszéj młodości, do najpóźniejszego wieku; nie przestał nim być wówczas nawet, kiedy potoki krwi ściekające do Renu i Dunaju, budziły w sercach Niemców nienawiść i pragnienie zemsty. Te uczucia wielkiego poety, z któremi nigdy się nie taił, budziły przeciwko niemu żal i niechęć w ziomkach; okazywali to Niemcy w owacyach wyprawianych Szyllerowi dla upokorzenia Goethego. Czas uspokoił umysły: zresztą autor Fausta za wielkim był, geniusz poety zanadto pochlebiał miłości własnéj narodu, aby Niemcy nie mieli pokryć się jego blaskiem. Uczcili więc Goethego tak samo, jak Francuzi mimo słusznego żalu, uczcili apologistkę Niemiec autorkę „Korynny.“

Goethe o tyle zadraźnił uczucia Niemców, o ile pani Stael zadraźniła uczucia Francuzów; wchodząc jednak w pobudki tych dwóch genialnych osobistości, musimy bądź co bądź przyznać wyższość Goethe-

mu. Podczas kiedy nienawiści ku Napoleonowi i upokorzona miłość własna, oprowadzały autorkę francuzką po wszystkich dworach nienawistnych Francyi i powiększały w jéj oczach zaletę obcych ludów, z poniżeniem własnego; inne wyższe pobudki działały na umysł niemieckiego poety. Wykarmiony od młodu literaturą francuzką uległ silnie wpływom encyklopedystów XVIII wieku, podzielał humaitarne ich idee. Pragnął on na wzór J. J. Rousseau i Monteskiusza utworzyć pomiędzy ludami, bez względu na ich jeograficzne granice, ścisłą solidarność intellektualną i moralną. „Mógłżebym ja nienawidzieć Francuzów—mówił w późnéj starości do Erkmana—ja, który pojmuję znaczenie barbarzyństwa i cywilizacyi? Miałżebym gardzić jednym z najucywilizowańszych narodów na ziemi, ja, który mu zawdzięczam w wielkiéj części rozwinięcie umysłu mego? W miarę jak się wzbija duch człowieka nad poziom, musi natrafić w końcu na te sfery, kędy milkną niechęci wzajemne, kędy człowiek widzi w człowieku brata. Wysoka ta sfera odpowiada memu usposobieniu."

I cóż dziwnego że przy takich usposobieniach Goethe sympatyzował z dziełem encyklopedystów, rewolucyą francuzką 89 roku, mimo że potępiał jéj zboczenia i gwałty!

Genialny poeta, czciciel prawdziwéj wielkości, gdziekolwiek ją spotykał, nie mógł oprzéć się także wpływom wielkiego bohatéra. Napoleon był w jego oczach nieporównanym geniuszem, istnym podziwem świata, chlubą czasów jakie go wydały. Pociąg to był wzajemny. Napoleon ze swéj strony wysoko cenił niemieckiego poetę. Spotkanie w Erfurcie 1808 roku wzmocniło jeszcze węzły jednoczące ich ducha. Goethe do końca życia zostawał pod urokiem téj chwili. Powtarzał on z wdzięcznością, że cesarz zatrzymał go całą godzinę w gabinecie swoim, w czasach kiedy panujący książęta niemieccy błagali o minutę audyencyi! Najdrobniejsze szczegóły tego spotkania odrysowały się w pamięci Goethego. Napoleon unosił się nad Werterem, mówił że siedm razy czytał ów sławny romans, że go wziął z soba do Egiptu, zapraszał poetę uprzejmie do Tuilleries, przypiął mu na piersi krzyż Legii honorowéj, skłaniał do przedstawienia w teatrze śmierci Juliusza Cezara. Wszystko to ujęło za serce poetę. Widział on w Napoleonie wielkiego założyciela konfederacyi europejskiéj, zapewniającéj światu wieczny pokój. Myśl tę wyraził w wierszu do Maryi Ludwiki, który napisał podczas pobytu cesarzowéj w Karlsbadzie w r. 1812.

Pamiętny odwrót wojsk francuzkich nie zniszczył bynajmniéj téj ułudy. Ufny w gwiazdę Napoleońską, Goethe widząc ją nawet przyćmioną na chwilę, nie przypuszczał nigdy aby mogła zagasnąć. Niechętném też okiem patrzał na przygotowania Prusaków do wojny: nie dzielił zapału młodzi niemieckiéj, mimo nalegań nie napisał ani jednéj strofki, w celu rozbudzenia patryotycznych uczuć. Przepowiadał klęskę niechybną. Spotkawszy w Dreznie dwóch promotorów ruchu niemieckiego: Arndta i Steina, nie ukrywał im swéj obawy. Kiedy młody Körner zaciągnął się do ochotników pruskich, wymawiał ojcu że nie powstrzy-

mał syna: „Napoleon za wielkim dla nas—mówił Goethe—nie skruszycie łańcucha, ale uczynicie go tém dotkliwszym.“ Syna własnego zatrzymał gwałtem w domu. Stein był w jego oczach geniuszem szatańskim, co popycha kraj w odmęt.

Uczucia te głoszone bez ogródki, oburzyły Niemców. Obwiniano Goethego o przeniewierstwo idei narodowéj; wyrzucano mu z goryczą że w chwilach kiedy rozstrzygały się losy narodu, on badał spokojnie literaturę chińską i obyczaje wschodnich ludów. Nie taił poeta w gronie bliższych osób, że pragnąłby opuścić kraj, gdyby okoliczności pozwalały na to. Zazdrościł malarzowi Mejerowi, że odjeżdża do rodzinnéj Szwajcaryi: „Kto może—pisał—niech ucieka, trzeba tu doprawdy oszaleć.“ Takie słowa przebiegając z ust do ust, budziły niesłychany gniéw w całych Niemczech.

Serce Goethego zadrgnęło jednak w obec wielkich wypadków, z których Niemcy wypłynęły zwycięzko. Po skończonéj wojnie napisał poemat p. t. *Zbudzenie Epimenida*. Poeta wyraża w nim osobiste uczucia, jestto jakoby spowiedź własnéj duszy. „Okuty byłem w łańcuchy—mówi on—i nie czułem ich nawet; bezwładność stała się miła dla mnie. Ostatni promyk nadziei zagasł przed okiem mojém. Upodobałem sobie w tém poniżeniu!“

Daléj poeta przeprasza ziomków za odstępstwo. „Wstyd rumieni mi czoło, na myśl o czasach spoczynku mego: cierpieć z wami byłoby dla mnie szczęściem. Wasza boleść podniosła was wyżéj nademnie!“

Postać Napoleona przyświecała jednak Goetemu do końca życia, otoczona niezgasłą aureolą chwały. W rozmowach z Erckmannem, wyrażał on w późnym już wieku, uwielbienie swoje dla bohatéra. Dnia jednego, kiedy Erckmann widział Wellingtona w jednym z hotelów wejmarskich, rozmowa wszczęła się o Napoleonie pomiędzy poetami.

— Żałuj żeś go nie poznał—rzekł Goete—warto było widzieć ten świat streszczony w jednéj osobistości!

— Musiał wspaniale się przedstawiać?—zagadnął Erckmann.

— Był to on!—odparł poeta—patrzano na niego, bo to był on... dość na tém!

— Napoleon—mówił Goete—był to człowiek w całém znaczeniu słowa: zawsze promienisty, zawsze jasny, zawsze pewien siebie, gotów z całą energią spełnić to, co było dobrém i pożytecznem w jego oczach. Istny bóg wojny, stąpał szerokim krokiem od bitwy do bitwy, od tryumfu do nowego tryumfu. Iskra geniuszu jego nie ścmiła się na chwilę: świat nie widział takiego blasku i nigdy go może nie zobaczy... Mówiono słusznie że Napoleon wykuty był z granitu: wielka to prawda! czegoż on nie dokonał. Od spalonych piasków pustyń syryjskich, po śnieżne płaszczyzny Moskwy w ilużto widzimy go obozowiskach? Ileżto znosił trudów, ile niewygód! w chłodzie i głodzie, bez snu i bez posiłku, wiecznie działał i działał! Kiedy położymy na szali te trudy, możnaby sądzić że w czterdziestym roku życia zużyty był do szczętu!...

przeciwnie! w czterdziestym roku szedł naprzód, jak przystało prawdziwemu bohatérowi!“

Tęż samą cześć jaką zachował Goete dla geniuszu Napoleona, zachował ją również dla geniuszu narodu francuzkiego. Oceniał on wysoko prace Francuzów na polu nauk ścisłych: nic go tak żywo nie zajmowało, jak badania członków Instytutu, w wydziale ściśle naukowym; wiadomo zaś, że wielki poeta równie był wielkim badaczem przyrody. Specyalność jego w tym przedmiocie, uczyniła go jednym z najznakomitszych prawodawców nauki. Ampiere opowiada, że kiedy w kilka miesięcy po rewolucyi lipcowéj 1830 roku, odwiedził w Wejmarze starca stojącego nad grobem, ten zapytał go żywo:—Co słychać we Francyi?

Ampiere jął opowiadać polityczne zdarzenia.

— Ależ mnie to nie obchodzi—zawoła Goete—ja pytam o rezultata ostatnich badań przyrodników francuzkich?

Jakże wymowne świadectwo mistrza tak wytrawnego, przeciw zarozumiałym opiniom dzisiejszych professorów niemieckich, za którymi i u nas powtarzają ich wychowańcy, że Francya błyszczy tylko lekką literaturą!

Pan Mezières w obszernem dwutomowém studyum, ocenia jednocześnie Goetego jako człowieka i pisarza, odkrywa jego strony tak dodatnie jak i ujemne; wykazuje owo niesłychane samolubstwo, to najwyższe ubóstwienie siebie, które było dla poety bodźcem do artystycznego postępu, a które mimo całéj potęgi twórczéj, powiewa chłodem z najgenialszych jego utworów.

Goete poświęcał wszystkich dla siebie: w miłości i przyjaźni szukał tylko chwilowych wrażeń, wydobywał niemi jakby krzesiwem skry z własnego ducha. Nie pozwalał nigdy uczuciu zapanować nad sobą, lecz sam panował nad niém: deptał po ludzkich sercach, jak zapaśnik, który po stosach trupów, kroczy do tryumfu i chwały. Nieprzebłagany dla drugich, niemniéj twardym był i dla siebie; gotów zawsze poświęcić własne upodobania i skłonności, by podnieść ducha swego. Dzieckiem jeszcze, żądał od towarzyszów, by rózgami chłostali go po nogach, i bez syknięcia znosił bolesne razy. Późniéj wdzierał się na wierzchołek wieży strassbursbiéj, i przechadzał po gzymsach, aby pokonać w sobie wstręt i spokojném okiem patrzéć w niezmierną próżnię pod stopami. Nocą zwiedzał cmentarz, przesiadywał wśród grobów. Przyglądał się pilnie chirurgicznym operacyom po szpitalach, śledził okiem konwulsyjne drgania konających, słowem co chwila zadawał gwałt własnéj naturze, by opanować ducha.

Przebiega Mezières bogate pasmo genialnych utworów, któremi Goete otworzył nowy widnokrąg poezyi i rozwikłał dramat z klassycznych pęt, ciężących mu zbyt długo. W każdym utworze widzi on jakoby ustęp z autobiografii poety, wykazuje rodowód każdego z tych arcydzieł, wydobywa na jaw pobudki twórczych natchnień. Ztąd w ślad za krytykiem, widzimy jak Fryderyka Bron, urocza córka pąstora z Sesenheim, przybiera cudną postać Maryi w dramacie *Goete z Berlichingen;*

jak Karolina Ruff z Wetzlar, pozytywna, praktyczna, gospodarna, staje się sławną kochanką Wertera; jak piękna Lili Schrenemann, promienieje w postaci Stelli, jak pani Stein przedmiot platonicznych uczuć, które miały przetrwać lat dziesięć, wśród blasków dworu wejmarskiego, przeistacza się w zimno-klassyczną Ifigenią, jak pospołu z piękną Milezyanką, tworzy typ Eleonory d'Este; jak Mina Hertzlieb przybiera powiewny kształt Otylii: *W powinowactwach duchowych;* jak nareszcie na postać uroczéj Gretchen, składają się wszystkie żywe ideały, które poruszały struny lutni wieszczéj w pasmie półwiekowém, zacząwszy od kwiaciarki Margarety, do któréj wzdychał piętnastoletni student, do panny Lewesow co wydobyła ostatnie drgnienie z serca ośmdziesięcioletniego blizko poety.

W długiém pasmie życia Goetego, był jednakże czas, kiedy samotne to serce uderzyło głębokiém uczuciem. Biograf nie przepomniał tego ustępu, który przynosi poecie prawdziwy zaszczyt: mówimy tu o ścisłéj przyjaźni z Szyllerem, jedynym współzawodnikiem jakiego miał podówczas, nie tylko w Niemczech, ale śmiało powiedzieć można w świecie całym.

Goete w pięćdziesięciu leciech życia, otoczony pełnym blaskiem chwały, obsypany dostatkami na dworze wejmarskim, uczuł jednak w duszy niesłychaną posuchę. Geniusz jego zwinął chwilowo skrzydła. Zagrzebany w badaniu przyrody, zerwał prawie zupełnie z poezyą. Aby wydobyć żywy zdrój ze skamieniałéj piersi, potrzeba było cudownéj różczki czarodzieja: tym czarodziejem był dla Goetego Szyller.

Cała przepaść rozdzielała dwóch wielkich poetów; myśli ich krążyły w całkiem odrębnych kołach. Pierwsze dramata Szyllera sprzeciwiały się zupełnie pojęciom zachowawczym Goetego. Autor *Ifigenii* surowo sądził *Rozbójników*, *Fieska*, *Intrygę i miłość*. Widział w tych utworach walkę wypowiedzianą sztuce i cywilizacyi. Za powrotem z Włoch, gorszył się niewymownie, słysząc z jakim zapałem *dzika* młodzież uniwersytetu, podnosi te utwory; z jaką lekkomyślnością wyższe społeczeństwo a nawet światowe panie, przywtarzają chórem tym pochwałom. Autor Wertera wytrzeźwiony z młodzieńczych uniesień, przepomniał, że on sam rzucił niegdyś rękawicę światu, zwalając nań winy jednostek. W nowém usposobieniu ducha, nie mógł z zimną krwią słuchać klątwy, jaką Karol Moor miota na wyższe warstwy społeczne. Wstrętną mu była myśl, że poeta przyznaje najszlachetniejsze uczucia, najwznioślejsze cnoty, ludziom zbuntowanym przeciw istniejącemu porządkowi, a tarza w błocie przedstawicieli prawa.

Patrząc z tego stanowiska, Goete uważał *Intrygę i Miłość*, jako najszkodliwszy utwór, jako hasło wojny domowéj. W téj systematycznéj apoteozie ludu z poniżeniem szlachty, widział rewolucyjną dążność. Wszystko raziło go w pierwszysh utworach Szyllera, tak szorstka forma, jak i zuchwałe pomysły. Koloryt był w oczach jego zbyt jaskrawy, obrazy potworne. Jakże ten styl rozhukany różnił się od potocznego stylu, do jakiego przyszedł ochłonięty z szałów młodzieńczych autor Ifi-

genii i Tassa. Z jakąż boleścią patrzał on na tę powódź paradoksów, grożącą zalewem pięknéj literaturze! W co się obróci posiane przezeń i hodowane tak pilnie ziarno idealnego piękna, w obec popularności szalonych dramatów Szyllerowskich?

Don Carlos, lubo pisany pod wpływem umiarkowańszych idei, nie zadowalniał bynajmniéj Goetego. Teorye miłości i braterstwa ludów, które Szyller wygłasza przez usta szlachetnego Pozy, były w jego oczach niebezpieczne a nawet zgubne. Nie pojmował on poświęcenia w oderwaném znaczeniu; rozumiał że człowiek może poświęcić się dla krewnych i przyjaciół, ale ofiara dla ludzkości, dla przyszłych pokoleń, słowem dla idei, wydawała się w oczach jego mrzonką przeciwną wszelkim prawom rozumu.

Mimo więc nalegania wspólnych przyjaciół, Goete unikał poznania się z Szyllerem. Ten ze swéj strony, jak świadczą listy jego do Körnera, wielbił Goetego; lecz go nie lubił i nie pragnął go poznać. Widział go jedyny raz w roku 1779, kiedy Goete z księciem wejmarskim, obecny był w Sztutgardzie, podczas rozdawania nagród w Akademii wojskowéj. Młody Szyller obsypany wieńcami, zawistném patrzał okiem na szczęśliwego poetę, którego imię brzmiało wtedy we wszystkich ustach. W kilka lat potém, Szyller przybył na krótko do Wejmaru, Goete bawił wówczas we Włoszech. Spotkali się nakoniec w Rudolstadt, za pośrednictwem pani Stein, lecz to spotkanie wcale ich nie zbliżyło.

„Wątpię abyśmy mogli porozumieć się kiedykolwiek—pisał Szyller do Körnera. To co mnie żywo zajmuje, dla niego przeżyło swój czas. Wyprzedził mnie o tyle, że nie potrafię go doścignąć. Życie jego od początku w innych toczy się warunkach niż moje, jego świat nie jest moim światem; odmiennie patrzymy na rzeczy. Z chwilowego spotkania, trudno mi cóś wnosić: czas to najlepiéj pokaże."

Goete ze swéj strony pragnął otoczyć księztwo wejmarskie najwyższym blaskiem: żąda więc od księcia, aby katedrę historyi w Jena powierzył Szyllerowi. Mimo to jednak Szyller trzyma się na baczności. „Stosunki częste z Goetem, pisał do przyjaciela, uczyniłyby mnie prawdziwie nieszczęśliwym. Serce jego zamknięte dla wszystkich; niczém go nie zniewolisz. To największy w świecie samolub! Ma dar pociągać ludzi, jednać ich sobie drobnemi grzecznostkami, lecz sam umié pozostać wolnym. W postępowaniu jego widzę jakiś plan wyrachowany, chęć zadowolenia miłości własnéj. Nie cierpię go téż, lubo całém sercem kocham tę wzniosłą intelligencyą. Obudził we mnie miłość i nienawiść zarazem: uczucie podobne do tego, jakie miał Brutus dla Cezara!"

Wkrótce jednakże pękły lody. Dwaj wielcy poeci spotkali się na posiedzeniu naukowém w Jena. Wyszli razem. Pociągnięci zajmującą rozmową, stanęli u drzwi domu Szyllera. Goete przestąpił progi. „W tym dniu—zapisał on w notatach—stanęło przymierze, które miało przetrwać do końca dni, przymierze równie pomyślne dla nas jak i dla drugich.

Dla mnie przynajmniéj była to nowa jakoby wiosna; wszystko we mnie zakiełkowało, bujném rozkwitło życiem!"

Odtąd zawiązał się stosunek przyjacielski między nimi, i wzajemne oddziaływanie na siebie dwóch potężnych geniuszów wieku. Pomału Goete odciągnął Szyllera od zbyt drobiazgowego zagłębiania się w historyę, a zwłaszcza w metafizykę; zwrócił go na drogę poezyi, zaniedbanéj nieco od lat kilku. Szyller znów oderwał Goetego od nauk ścisłych, i od badań nad przyrodą, pochłaniających go zbytecznie; rozbudził wyobraźnią poety przygasłą w życiu samotném, ożywił jego umysł potężnym czarem swéj młodości. Obaj uczuli zbawienny wpływ, i wyrazili to w pierwszych listach. „Poruszyłeś we mnie tłum nowych myśli, pisze Szyller." I dla mnie także, odpowiada Goete, dni spędzone z tobą, rozpoczynają epokę." Każdy z nich potrzebował nowego bodźca, do rozwinięcia twórczego polotu w dziedzinie sztuki. Wzajemna podnieta, chęć usprawiedliwienia przyjacielskich nadziei, zbudziły w nich szlachetne współzawodnictwo, tak pożyteczne dla literatury niemieckiéj.

Pod tymto wpływem Goete wykończył Wilhelma Majstra, powieść oddawna rozpoczętą. Posłał natychmiast pierwszy tom do Jeny. Szyller odczytał go z uniesieniem, podziwiał ów dar potęgowania rzeczywistości, właściwy geniuszowi Goetego. „Odczytałem, mówi on, a raczéj pochłonąłem księgę pierwszą i uczułem niewymowne szczęście. Uczucie jakiego doświadczam, można porównać tylko do radości jakiéj doznajemy, czując się w zupełnym stanie zdrowia na ciele i na duszy. Jakiż dobroczynny wpływ sprawia ta jasność, ta osłoda, ten spokój rozlany na każdéj karcie twego dzieła". Zachwyciły szczególniéj Szyllera ustępy, w których Goete odżywia wspomnienie lat dziecięcych i młodości, w których maluje dom rodzicielski w Frankfurcie, i surową postać ojca, i łagodne oblicze matki, i niewinne uciechy, i pierwsze jasełka jakie widział. Tu poeta zespolił się z Wilhelmem, przez jego usta wypowiada wszystko co czuł, co uderzało jego młodzieńczą wyobraźnią.

Silniéj jeszcze odbił się wpływ Szyllera, w własnéj epopei z życia ludu, w *Hermanie i Dorocie!* Goete utworzył cały poemat w Jena, przy boku przyjaciela, ogrzany ciepłą atmosferą jego domu. Arcydzieło to, w którém krytyczny sąd wytrawnego artysty łączy się tak szczęśliwie z młodzieńczym polotem myśli twórczéj, w którym poeta podjął najżywotniejsze zagadnienia swego czasu, i uczynił idealną postać Dorotei żywém uosobieniem Niemiec, arcydzieło to potężnie oddziałało na Szyllera. Dzięki doznanemu wrażeniu, wielki dramaturg powziął myśl tragedyi z życia Wallenstejna, bohatera wojny trzydziestoletniéj. Goete tymczasem zasilał zbiorowe pismo *Godziny*, wydawane pod kierunkiem przyjaciela, długim szeregiem Ballad: sławny *król Oleh* należy do ich liczby! Te maleńkie poemaciki cudne prostotą swoją nieporównaną harmonią rytmu, wybiegały z pod pióra poety, jak kwiaty na łące pod wpływem słońca i rosy majowéj

W tych właśnie czasach Goete zajmował się urządzeniem teatru wejmarskiego. Teatr ten miał być wzorem dla całych Niemiec. Widząc

że Szyller pracuje nad Wallenstejnem, że gubi się w zbyt wielkim nawale wypadków historycznych, Goete przychodzi mu w pomoc; skłania go do rozdzielenia utworu, układa z nim plan tryłogii. Nagli przyjaciela do pracy, zachęca go, budzi w nim energią, pragnie koniecznie rozpocząć szereg przedstawień, *Obozem Wallenstejna*. Wydziera gwałtem rękopism autorowi, uspokaja go co do maleńkich niedokładności, radzi wstawić poprawki na potém, gdy poemat pójdzie do druku. Jakoż w końcu 1798 r. *Obóz Walenstejna* odegrano w Wejmarze, niby preludium do wielkiéj trylogii.

Goete pospiesza znów do Jena, z równą natarczywością woła o Piccolominich. Publiczność zaciekawiona prologiem, domaga się ciągu dalszego. Szyller ma już rękopism, ale wydać go nie chce; poprawia go jeszcze, przerabia. Zniecierpliwiony Goete wysyła gońca z listem: „Oddawca téj kartki—pisze on—reprezentuje oddział huzarów, który odebrał rozkaz, ująć dwóch Piccolominich, ojca i syna, choćby rozszarpanych na kęsy, jeżeli się dobrowolnie nie poddadzą".

W styczniu *Dwaj Piccolomini* występują na scenię, ale nie dosyć na tém. Dzieło nie dokończone, koroną jego ma być *Śmierć Wallenstejna*. Goete nalega znowu, nie daje odetchnąć Szyllerowi, aż nakoniec w miesiącu kwietniu, *potwór wallenstejnowski* jak go zwali dwaj przyjaciele, ukazuje się cały na deskach teatru wejmarskiego.

Przedstawienie to stanowi epokę w rozwoju sceny niemieckiéj. Te obrazy żywcem wzięte z historyi narodu, to mistrzowskie wyświetlenie buntów obozowych i tajemnic żołnierskiego życia, wprzód nim wodzowie przystępują do rady; ta poezya tryskająca żywym strumieniem z dziejów, ożywiona fikcyjną postacią Tekli: wszystko to oczarowało wyobraźnią i porwało serca widzów. „Wallenstejn Szyllera wielki jest, mówił Goete do Erkmanna—świat nie prędko ujrzy podobne arcydzieło".

Utwór takiéj doniosłości, odpowiadał widokom Goetego. Chciał on uczynić teatr wejmarski, szkołą dramatyczną dla całych Niemiec. Z pomocą Szyllera umyślił zebrać najlepsze utwory dawnych pisarzy niemieckich, i przerobić je stosownie do potrzeb nowéj sceny. Wyrobienie smaku estetycznego w narodzie, było głównym celem dla nich obu. Z korrespondencyi dwóch poetów, widać jasno, że powzięli myśl utworzenia eklektycznego repertoryum, łączącego w sobie wszystkie rodzaje sztuki, gdzie Szekspir miał się spotykać z Wolterem, Racinem i Kalderonem, gdzie Cyd i Mitrydat, miał znaleść miejsce obok Romea i Julietty. W tym to celu Goete wziął się do przekładu Mahometa i Tankreda z Woltera, Szyller tłumaczył Fedrę.

Teatr wejmarski rozwijał się, i coraz żywszym blaskiem świecił na całe Niemcy. Zwiększyły ten blask oryginalne utwory dwóch wielkich poetów: Goete ułożył dramat: *Córka uboczna* z przygód księżniczki Bourbon-Conti; Szyller utworzył *Narzeczona z Messyny* a następnie *Wilhelma Tella*. W układzie tego ostatniego dramatu, uważanego słusznie za najdroższy klejnot w koronie Szyllera, Goete pomagał czynnie przyjacielowi. Onto nasunął mu przedmiot, kiedy przed kilko-

ma laty podróżował po Szwajcaryi, umyślił z legendy o Wilhelmie Tellu ułożyć epopeę i wsnuć w jéj wątek osobiste wrażenia. Materyały zebrane w tym celu oddał Szyllerowi, a co więcéj, w długich pogadankach kreślił przed nim czary krajobrazów alpejskich. Szyller nie był nigdy w Szwajcaryi, widział ją tylko przez oczy przyjaciela. Widział ją doskonale: świadczy o tém lokalny koloryt dramatu. Zobaczmy jak Goete wyjaśniał przed Erkmannem udział własny w utworzeniu Wilhelma Tella.

„Zwiedziłem po raz drugi w roku 1797 jezioro czterech kantonów. Ta zachwycająca, przepyszna przyroda, sprawiła na mnie tak głębokie wrażenie, że pragnąłem odmalować w poemacie bogactwo tego cudnego krajobrazu. Aby ożywić mój utwór, sądziłem, że na téj pięknéj ziemi wypada ukazać postacie ludzkie odpowiedniéj wielkości. Legenda o Tellu uderzyła myśl moją. Porwany przedmiotem, układałem już w głowie hexametry. Wpatrywałem się w jezioro przy świetle księżyca, kiedy srebrna mgła spowijała gór szczyty, wpatrywałem się porankiem przy złotym blasku wschodzącego słońca. W lasach, na łąkach wszystko żyło, wszystko oddychało szczęściem. Widziałem nieraz podczas burzy, jak wicher napędzał tumany chmur parowem i pchał je na jezioro. Opowiadałem moje plany Szyllerowi, a że miałem na myśli inną pracę, oddałem mu wszystkie materyały. On ułożył z nich najcudniejszy poemat."

Nigdy jeszcze Szyller nie wzbił się tak wysoko: wpływ Goetego nadał nowy kierunek jego twórczemu geniuszowi. Dotąd zwykł on był sprowadzać na ziemię ideał i przybierać go w szatę rzeczywistości, jak to widzimy w Don Karlosie. Tworzył postacie *a priori* i siłą wyobraźni przyoblekał je w ciało: w *Wallensteinie* i w *Wilhelmie Tellu* zidealizował rzeczywistość, biorąc za punkt wyjścia dane historyczne lub legendę.

Najściślejszy węzeł jednoczył uczucia tych dwóch olbrzymów poezyi. Stała ta przyjaźń czyni prawdziwy zaszczyt Goetemu i uwalnia pamięć jego z zarzutu bezwarunkowego samolubstwa. Próżno zawiść ludzka usiłowała stargać ten węzeł; próżno wielbiciele Szyllera głosili jego popularność i składali mu hołdy, uznając w nim jawnie pierwszego poetę wieku swego; Goete patrzał na te objawy spokojném okiem i nigdy najdrobniejsza chmurka nie sięgnęła w te wyżyny, na których spotkały się serca i myśli dwóch przyjaciół. Kiedy w roku 1802, Kotzebue przygotował w Wejmarze uroczystość dramatyczną na cześć Szyllera z widocznym zamiarem upokorzenia Goetego, ten nie okazał najmniejszéj niechęci. Szyller przeciwnie, czuł się zakłopotany ową niewczesną owacyą. Spokojnie też znosił Goethe, kiedy mu zarzucano niechęć dla ludu i obojętność na sprawę powszechną, a wystawiano patryotyzm i demokratyczne idee Szyllera. Autor *Hermana* i *Dorotki*, czuł o ile niesłuszne były te pociski i milczał w przekonaniu, że czas wyświetli prawdę.

Szyller zamieszkał w Wejmarze: zbliżenie to wzmocniło jeszcze przyjaźń wielkich poetów. Myśl ich pod wpływem wzajemnego oddziaływania, dostrajała się do coraz pełniejszéj harmonii. Przybycie pani Stael do Wejmaru w końcu roku 1803, jednako zamąciło ich spokój. Szyller zanadto sprzyjał rewolucyi francuzkiéj; Goete zanadto czcił geniusz Napoleona, aby mogli chętném okiem patrzéć na genialną kobietę nienawistną zarówno ideom rewolucyjnym, jak cesarstwu.

Wspominając przed dwoma laty pracę profesora Caro (Nos Revers), mówiliśmy już, jakiego przyjęcia doznała sławna apologistka Niemiec od pierwszych reprezentantów germańskiego geniuszu. Dziś dodamy tylko zapisane w notatach słowa Goetego, które przytacza pan Mezieres. „Filozofowanie w towarzystwie—mówi on—nie zdoła nigdy rozwiązać zawiłych problematów. Pani de Stael miała szczególne upodobanie w podobnych rozprawach, po szczeblach rozmowy dochodziła ona zwykle do tych najwyższych zagadnień uczucia i rozumu, które powinny zostać tajemnicą pomiędzy człowiekiem a Bogiem. Do tego jeszcze, jako francuzka i kobieta, zajęta własném powodzeniem, puszczała mimo ucha słowa drugich. Ztąd obudziła we mnie złośliwą chęć sprzeciwieństwa: uporczywą moją opozycyą, doprowadzałem ją nieraz do rozpaczy."

Jakże się różnią te zimne i szydercze słowa, od gorących uniesień pani Stael, „Goete—mówi ona—łączy w sobie wszystkie główne rysy geniuszu niemieckiego, wielką głębokość myśli, wdzięk wyobraźni, nacechowany twórczą samodzielnością, nakoniec, tkliwość niekiedy fantastyczną, ale przez to samo tém ponętniejszą dla czytelników zamiłowanych w prawdziwéj poezyi."

Mezieres zarówno, jak Caro i tylu innych, wymawia sławnéj autorce Korynny, zaślepienie, w jakie wtrąciła ją nienawiść ku Napoleonowi. „Pani de Stael—mówi on—tak umiłowała Niemców, że stanęła w ich obronie, przeciw dumnym roszczeniom rządu francuzkiego. Nie dosyć, że nam skreśliła najpochlebniejszy obraz ich charakteru, że podniosła u zarenskich sąsiadów naszych miłość domowego ogniska, cnoty rodzinne, zamiłowanie w życiu poważném i pracowitém, solidarność w uczuciach religijnych; nie dosyć, że nam ukazała obraz idealnych Niemiec, któremu niestety wierzyliśmy zbyt długo: ale co więcéj, posunęła wspaniałomyślność swoją tak daleko, że w roku 1813, życzyła Niemcom tryumfu w walkach z Napoleonem! Z jakążto miłością autorka mówi w przedmowie do wydanego wówczas dzieła: „Obraz literatury i filozofii, dziwnym się wyda w chwili obecnéj, a jednak słodko będzie zapewne tym *biednym* i *szlachetnym Niemcom*, gdy przypomną sobie intellektualne swe bogactwa, wśród najsroższych klęsk wojennych."

„I któryżto niemiec — dodaje Mezieres — przemawiał do nas podobnie w roku 1870. Któryżto z pomiędzy zwycięzców naszych przypomniał nam dawną chwałę, aby pocieszyć nas w niedoli. Kto się poważył wystąpić w imię wiekowéj nietykalności praw naszych, wbrew

zachciankom niesłychanego zaboru. Jest cnota, któréj tryumf wojenny dać nie może, która nie uchroni zapewne od klęsk i nieszczęść, ale bez któréj nie ma prawdziwéj wielkości: jest nią wspaniałomyślność. Geniusz francuzki, dając przykład téj cnoty, więcéj zaszczyca Francyą, niż wygrana bitwa, lub zdobyty kęs kraju!"

W rok po odwiedzinach pani de Stael, Szyller śmiertelną dotknięty chorobą dogorywał w Wejmarze. Goete ciężko chory nie opuszczał pokoju. Pisywali obaj do siebie krótkie, pełne uczucia listy. Z wiosną Szyller powstał na chwilę z łoża, pospieszył do Goetego.

Uścisnęli się w milczeniu: słowa zamarły im na ustach.

W ciągu kwietnia widzieli się jeszcze kilkakrotnie; w pierwszych dniach maja, Szyller ciężéj zaniemógł, w kilka dni potém skonał. Goete, przyciśnięty chorobą, nie mógł przestąpić za próg domu. Uwiadomiony o stanie Szyllera, trawił dni w najsroższéj boleści; nocą słyszano nieraz jego łkanie! Śmierć przyjaciela uderzyła go, jak grom. „Straciłem w nim — mówił — połowę duszy mojéj." Przyjaźń ta przetrwała lat dziesięć, nieprzyćmiona najlżejszą skazą. Goete do końca życia wyrażał się z miłością o zmarłym: „On — mówił — rozbudzał mnie, podnosił ducha, wydobywał z niego nowe siły!"

W trzy miesiące po skonie Szyllera, Goete, ochłonąwszy z pierwszego żalu, oddał poetyczny hołd jego pamięci. Przedstawił w Lachstaedt sławny *Dzwon*. Grupy robotników, dzieci, starców, powtarzały kolejno zwrotki sławnego poematu. Dzwon brzmiał uwieńczony kwiatami, muza nakoniec powtórzyła wiersze utworu Goetego, na cześć zgasłego przyjaciela.

Ośmielamy się przytoczyć ten wiersz w słabym przekładzie.

Słyszę, dzwon głucho zajęknął w przestrzeni,
Coraz to wzbiera w żałośniejszy ton;
Żal! ż to prawda? pytamy strwożeni,
Bratuż naszemu ten uderza dzwon?
Godnego życia chwytaż śmierć w swe szpony?
Ludzie do takich nie nawykli strat!
Naszeto burza pcha w odmęt szalony?
Namże nie płakać skoro płacze świat?

Ach! on był naszym! w towarzyszy kole,
Co dnia przebywał ten dostojny mąż
Z jasném obliczem, z powagą na czole,
Do wspólnych rozmów, rad skłaniał się wciąż;
Bratnią on duszę wnet przeniknął do dna,
Współczuciem odgadł dręczący ją głód,
Z téj krzepkiéj piersi rada z czynem zgodna,
Jak zdrój przeczystych toczyła się wód.

Tak! *on był naszym!* Gdy ból serca rani,
Dumne te słowo niech ukrzepia nas,
On byłby w naszéj bezpiecznéj przystani
Po wściekłéj burzy znalazł trwały wczas;
Lecz duch ten dzielny kroczył naprzód śmiało
W dobra i w piękna, w prawdy jasny szlak!
W mglistym pomroku poza nim leżało
To, co do życia nas przykuwa tak!

On na wyżynach usłał ciche gniazdo,
Wzrok i słuch wlepił w nocy ciemne tło;
Badał, co gwiazda pogwarza tam z gwiązdą,
Z łona ich światło wprost ku niemu szło.
Tam z krynic zdroje tryskały mu świeże,
Tam badał czasy wieszczych natchnień syt;
W nocy pomroku, co siły nam bierze,
On darł się duchem na sam góry szczyt!

Przed jego wzrokiem, jak fala po fali,
Bieży prąd dziejów, to się cofa wstecz;
Chwała tryumfu wzrok zwycięzców pali:
W ręku ich szczęka z krwi nieoschły miecz.
On ściga myślą w otchłaniach bez końca
Jasny i krwawy kroków ludzkich tór,
Wtém zaszedł księżyc i ranny świt słońca
Zbudzonéj ziemi błysnął z poza chmur.

Coraz to jaśniej świeci postać męża,
Czarem młodości tryskającym z lic,
Tą krzepką wolą, która świat zwycięża,
Nie liczy ofiar, ma trudy za nic!
Wiarą, co w górę wzbija polot śmiały,
To rwie się naprzód, to ukrywa w cień;
By jéj posiewy tém pewniéj dojrzały,
I rychléj zacnym wszedł tryumfu dzień!

Pełen nauki, nie gardził on wcale
Tém rusztowaniem z deszczek zbitych współ,
Tu losy ludów rozwijał wspaniale,
Tu wątek dziejów bieglą ręką snuł.
Zabłysła cudnie ona tkanka złota,
Czoło przed mistrzem zgiął pokornie świat;
Ach! na te szczytne obrazy żywota,
Własnego życia on potargał kwiat!

Wiecie, jak stąpał olbrzymiemi kroki,
Jak w czyn przemieniał pasmo chęci swych;
Jak myśl zapuszczał w prąd wieków głęboki,
Jak promień światła wydobywał z nich;
Jak gasł i więdniał w miłém druhów kole,
Gdy w młodej piersi zbrakło tchu i sił:
My z nim przedśmiertne cierpieliśmy bóle,
My z nim konali, bo on *naszym był!*

Kiedy myśl jego na chwilę nam jeszcze
Błysła zwolniona z gorączkowych burz,
My odganiali to widmo złowieszcze,
Co skrzydła nad nim rozpostarło już!
Grono go wiernych otaczało bratnie,
By ciężki grobu zakryć przed nim głaz;
W wieczór nim słońce zgasło mu ostatnie,
Słodkim uśmiéchem jeszcze darzył nas!

W poranku wyrok czytał już tajemny,
Z bólem, ze śmiercią oswojon był on!
Skończone wszystko! grób schłonął go ciemny,
O cośmy drżeli wygłosił nam dzwon!
Dziś z promienistych błękitu przestrzeni
O! niechże spojrzy na ten nędzny świat,
Ujrzy swą postać w odblasku promieni:
Śmierć na niéj starła ziemskich pyłów ślad.

Dziś duch nie jeden, co w walce zaciętéj
Pyszny zapaśnik śmiał urągać mu,
Niech jego siłą cały wskróś przejęty,
Podąży za nim, ile starczy tchu.
On nam przyświeca na chwały zenicie,
Kędy się zdołał siłą twórczą wznieść;
Połowę długu spłaciło mu życie:
Przyszłość mu winna nieśmiertelną cześć!

Działania akademii francuzkiéj zanadto nas żywo zajmują, abyśmy mieli w kronice naszéj przemilczéć o chybionéj uroczystości, z tytułu przyjęcia Emila Olivier'a. Niektórzy z czytelników zapytają może dlaczego ta wiadomość, którą podały już wszystkie pisma codzienne i tygodniowe, nie znalazła miejsca w kwietniowém naszém sprawozdaniu? Przyczyna bardzo prosta. Wyprawiliśmy kronikę do Warszawy, na kilka dni przed zapowiedzianą uroczystością. Aby uprzedzić wszelkie zarzuty jakieby nas spotkać mogły, czujemy się w obowiązku powiedzieć

raz na zawsze, iż kronika pod względem pośpiechu w udzielaniu bieżących wiadomości, niéma najmniejszéj pretensyi współubiegać się z przeglądami tygodniowemi, témbardziéj z codziennemi pismami, które ją koniecznie ubiedz muszą. Oddalenie od wielkiego ogniska nie jest bynajmniéj powodem téj zwłoki, bo komuż nie wiadomo że drogi żelazne opanowały przestrzeń. Zresztą przebywamy obecnie w Paryżu: a przecież nie mogliśmy dotąd mówić o tak ważnym wypadku w dziejach akademii, jak walka nieśmiertelnych z ministrem napoleońskim.

Niéma złego któreby na dobre nie wyszło. Nie straciliśmy nic na tém opóźnieniu, gdyż w téj chwili oto ukazała się książka pana Olivier, p. t. *Lamartine*, wyjaśniająca rzecz z całą dokładnością. Oprócz mowy akademickiéj znajdujemy w przedmowie żywy opis wstępnego posiedzenia, na którém według zwyczaju, nowy członek poddał mowę swoję pod sąd wybranéj komissyi. Znajdujemy niemniéj wiele innych ciekawych szczegółów, o których nie mogły wiedzieć pisma chwytające rzecz na gorąco. Publikacyom takiéj powagi jak Biblioteka, idzie raczéj o dokładność aniżeli o pośpiech. Pod tym względem tylko chcemy i powinniśmy współzawodniczyć z kronikami gazet i pism tygodniowych.

W obszernym wstępie książki swojéj, były minister cesarski opowiada jak akademia w dniu 7 kwietnia 1870 r. ofiarowała mu krzesło wakujące po Lamartinie. Wybór ten był jak wiadomo manifestacyą akademii dla cesarstwa, wchodzącego na drogę reform parlamentarnych. Ścisłe stosunki łączyły Oliviera z wielkim poprzednikiem: on jako członek ciała prawodawczego, wniósł projekt subskrypcyi narodowéj, na rzecz ośmdziesięcioletniego poety; on jako reprezentant narodu, przyjmował zwłoki jego w Macon: on wreszcie okazywał się w każdéj chwili gorącym czcicielem Lamartina, wielbiąc w nim zarówno poetę, historyka i męża stanu.

Klęski wojenne nastąpiły wkrótce po obiorze Oliviera i zatrzymały uroczystość akademicką. Minister napoleoński czując o ile imię jego stało się niepopularném, żądał sam odroczenia dopóki nieprzyjaciel deptać będzie francuzką ziemię. Po ewakuacyi, w końcu roku zeszłego, dopomniał się dopiéro o swoje prawa. Akademia udecydowała że przyjęcie nastąpi w dniu piątego marca; na tydzień wprzód nowy członek miał odczytać mowę w obec komissyi. Prezesem jéj mianowany był najstarszy z akademików Guizot.

Po odczytaniu mowy, prezes zaprotestował przeciwko zbytecznym pochwałom: według niego ani Mirabeu (wspomniony mimochodem), ani Lamartine, nie zasługiwali na tytuł mężów stanu. Silniéj jeszcze oburzył się starzec na zarzut jaki Olivier czyni izbie z r. 1830, zowiąc roszczenia jéj zamachem (coup d'etat) przeciwko władzy królewskiéj; *zamachem*, który wywołał inny *zamach* ze strony Karola X, a tém samém sprowadził rewolucyą i utorował nieprawnie drogę do tronu Orleanom. Tu Guizot uczuł się dotkniętym osobiście, on bowiem duszą był ówczesnych działań izby i promotorem sławnego adresu, który wstrząsał podwalinami państwa, zmieniając rząd monarchiczny w parla-

mentarny. Trzeci zarzut Guizota przeciw mowie, tyczył się słów poświęconych Napoleonowi III. Olivier przytoczył własne wyrazy Lamartina, zapisane w jego pamiętnikach:

„Poznałem w cesarzu Napoleonie—mówi poeta—najdzielniejszego i najpoważniejszego męża stanu, z pomiędzy wszystkich jakich spotykałem w długim moim zawodzie.“ Gdyby żył więcéj zbliżony do niego—dodaje Olivier—gdyby poznał do gruntu to wielkie serce, ten umysł pełen wdzięku i zdrowego sądu o rzeczach, tę słodycz tak majestatycznie poważną, gdyby się stał powiernikiem jego myśli skierowanych wyłącznie ku powszechnemu dobru, ku niesieniu ulgi cierpiącym; gdyby był świadkiem téj wysokiéj prawości, z którą ustanowił i wprowadził w czyn najliberalniejszę instytucye jakie kraj nasz znał kiedykolwiek; gdyby go widział skromnym w pomyślności, wielkim w nieszczęściu: nie poprzestałby na sprawiedliwém tylko ocenieniu, on byłby go ukochał.“

Guizot powstał silnie przeciwko tym pochwałom. Odpowiedział na nie przypomnieniem wielkich nieszczęść, w jakie cesarstwo pogrążyło Francyą. Zapalając się coraz bardziej, stary akademik przekroczył nakoniec wszystkie granice przyzwoitości. Powtórzył z urąganiem wyrzeczone w izbie słowo Oliviera: wspomniał owo nieszczęsne *lekkie serce*, które od czasu klęsk stało się smutnym przydomkiem ministra napoleońskiego.

Któż nie pamięta jak na posiedzeniu izby w dniu 15 lipca r. 1870, kiedy wojna zatwierdzoną została, zagadniony minister czy przyjmuje na siebie odpowiedzialność za wszystko co może nastąpić: „Przyjmuję ją—odrzekł—przyjmuję z *lekkiém sercem*.“

— Jakto—zawołał Esquiros—pan masz *lekkie serce*, a krew ludów potoczy się niebawem!

— Nie zmieniaj pan znaczenia słów moich—odparł minister—nie sądź abym mówił, że przyjmuję z radością tę wielką odpowiedzialność. Przyjmuję ją z sercem wolném od wyrzutu, z sercem ufném, gdyż czyniliśmy wszystko co bez ubliżenia czci narodowéj uczynić było można, by uniknąć téj wojny.

Grzmot oklasków odpowiedział na te słowa, ale kiedy klęski sypnęły się gradem, naród przypomniał je z goryczą i tysiące głosów powtórzyło: *Olivier au coeur léger!*

Krew zakipiała w piersi nowego akademika, kiedy Guizot wspomniał o *lekkiém sercu*, w obec zebranéj komissyi. Co tu czynić z dziewięćdziesięcioletnim blizko starcem? jak odeprzeć zniewagę? Olivier drżący od gniewu podniósł głos, dyrektor akademii Duvergier de Hauranne zmusił go do milczenia.

Kilka dni trwały narady akademickie: rezultat ich wiadomy. Uroczystość przyjęcia odroczoną została na czas nieograniczony. Mowa Oliviera ukazała się w dziennikach, równie jak odpowiedź p. Augier.

Zarzut *lekkiego serca* mocno zaciężył na sercu Olivierowi. Poświęca on długi ustęp w przedmowie na odparcie tego zarzutu. Odwołuje się do słownika Littrego, powtarza za sławnym lingwistą cały szereg

zdań określających wyraz *léger*. Nieszczęściem słownikarz mówi tylko o *lekkiém jarzmie Chrystusa*, lecz o *lekkiém sercu* nie czyni żadnéj wzmianki. Nowy akademik, nie poprzestając na świadectwie Littrego, przytacza listy Fenelona, Maryi Teresy, ustępy z pamiętników Lamartina i t. p., gdzie *lekkie serce* gra rolę i to w dodatniém znaczeniu.

Pan Guizot wié dobrze o tém, dodaje Olivier, wszak on wié tyle rzeczy! dlaczegóż więc rzucił mi w oczy to *lekkie serce*, jakby to uczynił grubiański i ograniczony demagog?

Po długim wstępie, idzie mowa akademicka. Olivier ocenia w niéj Lamartina najprzód jako poetę, następnie jako historyka, mówcę i męża stanu. Przed Lamartinem—mówi on—kilku poetów zbliżyło się do czystego zdroju, lecz żaden nie zaczerpnął w niém żywéj wody. Autor *Medytacyi* piérwszy przyłożył do niéj usta. Rok 1820 stanowi równie ważną epokę w rozwoju naszego ducha narodowego, jak pojawienie się Cyda, Świętoszka albo Fedry. Odtąd wierszowanie przestało być prostym mechanizmem, lub zgrabną łamigłówką, lub też bolesnym jękiem serca, a stało się uprzywilejowaném narzędziem wyobraźni, właściwym wyrazem ideału. Lamartine łączy w sobie świeżość młodości i głębokość dojrzałego natchnienia. Wszystko płacze, wszystko płonie, modli się, wzlata w górę, w jego nieśmiertelnych pieniach, pełnych niewymownéj słodyczy, co wytryskuje z głębi twórczego ducha, jak promień ze słońca zbudzonego porankiem. Wszystko jest wdziękiem i wonią, rozkoszą dla ucha, upojeniem dla serca, w tych strofach melodyjnych, podobnych do dalekiego szumu morskiéj fali. Czarodziéj znajduje właściwy ton na wyrażenie wszelkich uczuć. Miłość i tęsknota, boleść rozłączenia, widmo straconych ułud, wszystko to zléwa się u niego w pełny akord, równie harmonijnie jak tajemniczy urok nocy, jak promienisty blask dnia, jak przeczucie Boga i nieskończoności. Podobnie do pierwotnych mistrzów, poeta nasz ściśle zbratany jest z przyrodą; dla niego zdrój wody, góra, drzewo, łąka, chmura, przemawiają właściwém słowem; rozumié je, słyszy ich jęk, powtarza ich modlitwę i jakby nowy Franciszek z Assyżu, gotów powiedzieć do słońca: *mój bracie*, do jaskółek: *moje siostrzyczki!* Brzydota odpycha go od siebie, omija trzęsawiska, ściga tylko ślady gwiazd promienistych! Jego poezya szuka wrażeń w pięknie widzialném. Nie znajdziemy w nim dowcipu miejskich poetów z rodziny Horacego i Beranżera; to genialny wieśniak jak Wirgilli!

Z pomiędzy wszystkich utworów poety, Olivier najwyżéj podnosi *Jocelina*. *Medytacye* i *Harmonie*, tak piękne same przez się, uważa on jakoby cudny przedsionek do téj nieśmiertelnéj epopei. Zobaczmy jak określa owo arcydzieło.

„Jocelin, to legenda życia złamanego na ziemi, a jakże to mało naliczymy istnień ziemskich, któreby choć częściowo nie zostały złamane, w ledwie rozkwitłym pączku. To też niewysławione współczucia jakie poeta rozléwa na nędze i cierpienia bohatéra poematu, stają się w rzeczy saméj jakoby rosą współczucia, rozlaną na nędze i niedole tych wszystkich, którzy cierpią. Ztąd ów poemat jest najwyższym wyrazem poezyi Lamartina: pocieohą serc zbolałych. Można pocieszać w dwojaki sposób:

albo wprowadzając do serc myśli Boże, albo podnosząc smutne myśli ku niebu. Autor Jocelina ostatnią obrał drogę. Nie rozjątrza on boleści, nie potrąca jéj w gwałtowny sposób, ale pieści ją, kołysze słodko, a potém bierze ją na skrzydła i podnosi w górę i tém samém rozwiewa ją pomału: Ukoił-że kogo *René* Chateaubrianda, lub Bajronowski Child-Harold? Kto zaś odczytał Jocelina, uczuł się lepszym, a jeżeli cierpiał: spokojniejszym.

„Poeta w modlitwie do Boga wyśpiewał taką zwrotkę:

Ci, co chodzą po téj ziemi,
Radzi usty spragnionemi
Czerpnąć wody w świeżym zdroju!
Ach! dla piersi ich zgorzałej,
Spraw, niech tryśnie z głębi skały
Zdrój miłości i pokoju!

„Tyś nam wydobył o poeto!—woła mówca—tę kroplę miłości i pokoju, ukrytą w twardéj opoce! Więcéj nad urok natchnionych wierszy twoich, to dobrodziejstwo zachowa cię żywym w pośród ludzi! Ty żyć będziesz w ich pamięci, dopóki będzie miłość i wiosna, póki łzy płynąć będą!“

Oceniwszy Lamartina jako poetę, Olivier przebiega długi szereg prac jego historycznych, ukazuje go potém jako wielkiego mówcę, jako dostojnika piastującego najwyższą godność w rzeczypospolitéj. Z głębokiém nakoniec uczuciem wspomina ostatnie lata ośmdziesięcioletniego starca, zaprawione goryczą i boleścią. Nieraz—mówi on—Lamartine zwierzał się przed światem ze swych cierpień! Wyrzuca mu to bardzo ostro! Jakaż niebaczność! Byłżeby on poetą lirycznym, gdyby umiał powstrzymać w nieméj piersi nawał wstrząsających nią wrażeń? Wyrzucanoż mu jego cudne pieśni: *Jezioro*, *Krucyfiks*, *Pierwszy żal*, a przecież były to takie skargi! Psałterz Dawida, ten ideał liryzmu, jestże czém innem, jeśli nie osobistém zwierzeniem? A ta sławna pieśń (Dzień on sądu: dzień straszliwy!) nie byłaż ona najszczytniejszym wybuchem osobistéj boleści, zaczém kościół zamienił ją w hymn pogrzebowy?

W końcu poeta oniemiał, rzekłby kto, że rozwiązawszy z pęt własną duszę, czeka niby milczący świadek, rychło rozwinie skrzydła i uleci. Ale tak samo jak wierzchołki wielkich gór odbijają światło choć u ich stóp niziny i wzgórza pogrążone już w grubym pomroku, tak geniusz jego przyświecał jeszcze, choć zgasły blaski jakiemi świat otaczał go był niegdyś! Geniusz przetrwał z nim do ostatnich dni, wreszcie wszystko zagasło i ziemia rodzinna przyjęła zwłoki męża. „Tak Lamartine przemawiał do dzwonu *Saint Point*, rodzinnéj wioski swojéj:

Gdy cię ręka pobożna ku czci méj poruszy,
Twojém spiżowém łkaniem nie smuć bratniéj duszy.

Żebraczéj o łzę prożby nie słać tobie w świat;
Lecz zadzwoń mi na grobie tym dźwiękiem otuchy,
Z jakim na barkach więźnia pękają łańcuchy,
Kiedy wolny wychodzi z za więziennych krat.

CZYTELNIA LUDOWA W CIESZYNIE.

„Dzwon w Saint Point nie usłuchał wieszcza—dodaje Oliwier—załkał spiż i lud wieśniaczy tłumnie zbiegły z pagórków, odpowiedział mu łkaniem, i ksiądz ze łkaniem odmówił modlitwę nad trumną. Te tłumy opłakiwały w nim człowieka, przyjaciela, dobroczyńcę, inni opłakiwali poetę, historyka, i męża stanu".

Przytaczamy dziwnie piękne zakończenie mowy. Autor usunął był to zakończenie, oddając mowę do druku dziennikom, po przykrém zajściu z akademią. Przy świeżo wydaném dziełku pomieścił ją we wstępie. Oto słowa Oliwiera;

„Jakże wielkim jest naród, który wydaje podobne geniusze?

„A kiedy spojrzę w około siebie, i spostrzegam świetnych jego współzawodników, kiedy poza obrębem tych ścian, widzę młode grono podążające śmiało w jego ślady, dziwię się że tylu z pomiędzy nas—dla tego że szczęście opuściło kraj na chwilę—powtarza bezmyślnie żeśmy już narodem upadłym! Rzućmy oto okiem po Europie: ażaliż odkąd nasze słońce zaćmiło się chwilowo, ażaliż pytam—nie ubyło jéj światła i ciepła? Kto służy dziś sprawiedliwości? kto powstrzymuje gwałty? kto stróżem prawa? kto pracuje na pożytek ludzkości?

„I kiedyż to przestaniemy zapoznawać się sami, lekceważyć się wzajem, tyrać naszą cześć, naszą godność? I kiedyż to zaniechamy tych pocisków, na wszystko co góruje i błyszczy, a przez to odbierzemy prawo potępiania nas obcym, którzy radzi skłaniają ucho na wzajemne oszczerstwa nasze? Miejmyż litość nad tą ukochaną i szlachetną ojczyzną! Ona żąda od nas trochę spokoju, trochę jedności! Nie dręczmyż jéj wzajemnemi obelgami! Zamiast wyłączania wstrętnych nam jednostek, czcijmy tych wszystkich, którzy są jéj ozdobą, żywém świadectwem jéj niewyczerpanéj płodności, pociechą jéj niedoli, zakładem na przyszłość! czcijmy tych wszystkich, którzy uświetniając się sami, otaczają blaskiem jéj imię! Nie zniechęcajmy jéj ostrą krytyką, ale podnośmy żarliwém uwielbieniem! Uczcijmy w niéj wszystko: ten jéj wytworny język, najcudniejszą szatą w jaką przyoblekło się kiedykolwiek ludzkie słowo, jéj sztukę, godną współzawodniczkę ateńskiéj i florenckiéj, jéj naukę, nie przebraną skarbnicę w któréj czerpią ludy; jéj wojsko, w śród samychże klęsk pełne bohaterskiéj odwagi; jéj historyę nakoniec utkaną zapewne z wielu błędów i nieszczęść, ale zarazem z mądrych czynów i cudownych poświęceń: onę wiekową epopeję, w któréj upadek bywał po wszystkie czasy, przygrywką do nowego tryumfu."

Zdaje się że p. Oliwier usunął tę konkluzyą jako zbyt polityczną, czyniąc zadosyć życzeniu komissyi. Po wszystkiém co zaszło, słowa te tém większego nabiérają znaczenia: są one gorzkim wyrzutem dla grona akademików. Z pomiędzy dwudziestu głosujących, Oliwier znalazł trzy-

nastu przeciw sobie, z wdzięcznością za to wspomina siedm przychylnych imion pp: Sacy, Nizard, Augier, Feuillet, Sandeau, Doucet i St. Marc Taillandier.

W końcu dziełka autor załącza dowody świadczące o stosunkach swoich z Lamartinem i o wielkiéj czci jaką miał zawsze dla poety. Między niemi widzimy przemówienia w izbie prawodawczéj z r. 1867 o subskrypcyą narodową, dla zgrzybiałego starca, przytaczamy bardzo wymowny ustęp, o znaczeniu poezyi w narodzie. Zdanie to tém ważniejsze, że nie wypłynęło z ust poety, lecz chłodnego statysty i polityka.

„Z natchnienia geniuszu swego, mówi Oliwier, a co więcéj z rządzenia Opatrzności, Lamartine był nasamprzód poetą. W skutek długich a krwawych zaporów rewolucyi i cesarstwa, serce przedewszystkiem ułaknęło pociechy: owóż poeci leczą zbolałe serca! wówczas nie śpiewał jeszcze ani Hugo, ani de Vigny, ani Musset, ani Laprade, ani jeden z tych którzy potém byli nam otuchą i ukojeniem. Poezya sucha, oderwana od życia.

„Deklamatorska, lub pretensyonalna, stała się prostą igraszką wyrazów, łamigłówką. Trudno téż dziś zrozumiéć, jak utrzymują współczesni, powszechnego zdumienia, radości i zapału, uniesienia nawet. Kiedy się ukazały *Medytacye* a po nich inne poemata pełne słodyczy, prostoty i szczytnéj wzniosłości, które pozostaną równie wieczne, jak wiosna i młodość, jak ból i radość, żal i nadzieja, a według słów poważnego Cuviera „jak pieśń słowika w dąbrowie“! Od téj chwili przepomniano traicznych wspomnień, życie nabrało znów uroku!

„Ludzkość odpłaca nieśmiertelnością wszelką chwałę; ale jaka chwała trwalsza nad inne, głębsza, mocniejsza, serdeczniejsza, taką chwałą wypłaca się ludzkość tym, którzy pracowali nad podniesieniem i uzacnieniem ducha w jednostkach! Ile to naliczymy ksiąg, które poruszały ludzi, zajmowały żywo świat, a których pamięć przetrwała tylko w umysłach erudytów. Z drugiéj strony, kiedyż przypomnimy księgi *O naśladowaniu drobnych kwiatków* Ś-go Franciszka, *Pawła i Wirginii*? Bo téż zaprawdę, być uczonym, wymownym, potężnym, kierować losami narodów, staczać bitwy, ustanawiać prawa: wszystko to bywa udziałem małéj liczby uprzywilejowanych; kiedy przeciwnie dano wszystkim, tak wielkim jak i maluczkim, kochać, cierpiéć, płakać i umierać! Ztąd przypatrzywszy się bliżéj, musimy uznać koniecznie, że nie ci z pomiędzy ludzi najdrożsi ludzkości, którzy nią rządzili, prowadzili ją na zapasy, kierowali nią na obradach, ale raczy ci, którzy nauczali ich kochać, cierpiéć, płakać, i umierać, którzy uczynili cośkolwiek *pro remedio animae*, dla ulżenia ich duszy! Lamartine należy do nich niewątpliwie“!

Zakończmy rzecz strofką wielkiego poety, świadczącą zkąd mu płynęły wiecznie żywe i świeże zdroje natchnień:

Nigdy ręka niczyja nie wiodła méj ręki
Po strunach, co wydają srebrnobrzmiące dźwięki;

Nauczyż tego człowiek co z niebios nam płynie?
Nauczyłże się potok bieżyć pędem z góry?
Orzeł mknąć przez powietrze swobodnemi pióry?
Pszczoła miód zbierać w dolinie?

Towarzystwo geograficzne paryzkie otrzymało w darze od cesarza Don Pedra II, ważne dzieło p. t. Państwo Brazylijskie na wystawie wiedeńskiéj roku 1873. Jest to szczegółowy obraz miejscowości ze wszystkiém, co ją charakteryzuje. Obraz ten stawia nam przed oczy topografią, klimat, konstytucą i organizacyą polityczną, zarząd państwa, wojsko, marynarkę, środki komunikacyi licząc w to drogi żelazne, których rozwój znakomity był w ostatnich latach instytucyą publiczną, zakłady naukowe, literackie i przemysłowe, instytucye dobroczynne. Dołączona do dzieła mappa cesarstwa, godném jest jego dopełnieniem. Oprócz głównych zarysów orograficznych oznaczone na niéj bardzo szczegółowo nazwiska miejscowości, a nadto wskazano kopalnie węgla, złota i dyamentów. Ta mappa nierównie dokładniejsza od wszystkich jakie dotychczas były znane.

W przedmowie czytamy wyrażoną myśl, że wierny ten obraz państwa brazylijskiego stanie się może zachętą dla czynnych i przedsiębierczych ludności przepełniających Europę, a dla których żyzna ziemia brazylijska może być polem do rozwinięcia umysłowéj działalności. Książka ta niemniéj ciekawa dla każdego, kto patrzy nie obojętném okiem na drogi, jakiemi społeczeństwa dążą do postępu.

Nazwisko autora wcale nie wymienione: nie podpada jednak wątpliwości, że swiatły cesarz Don Pedro, najważniejszy przyjął udział w wykonaniu téj znakomitéj publikacyi.

Wyliczamy jeszcze trzy wielkiéj wagi dzieła ofiarowane Towarzystwu geograficznemu. Same ich tytuły świadczą o niezmordowanéj pracy erudytów angielskich.

Pierwsze z nich dzieło Markmana: *A Memoir on the Indian surweys*, przedstawia historyę czynności geograficznych przy zdjęciu mappy Indyi angielskich od początku aż do dzisiejszych czasów. Kamień węgielny tego wielkiego przedsiębierstwa położył Makenzie w roku 1783. Olbrzymie to dzieło obejmuje topografią, geodozyą, archeologią i meteorologią. Atlas Indyi składa się z 177 tablic, pozostaje do wykonania 80. Ten pomnik geograficzny jest dziełem stuletniéj pracy kilku pokoleń.

Drugie dzieło Tomasza Fielda: *An Essay towards an Indian bibliographie*, obejmuje spis bibliograficzny ogromnego zbioru dzieł i broszur z bogatéj biblioteki samego autora, tyczących się wyłącznie geografii Indyi zachodnich. Erudyta amerykański opisał tu 2,500 dzieł i 1,200 mniéj ważnych memoryałów, dodając do nich własne notaty i komentarze. W pracach nad geografią nowego świata autorowie francuzcy przeważny wzięli udział.

Trzecie nakoniec dzieło Edwarda Younga: *Rapport sur l'immigration*, wydane w Waszyngtonie 1872 roku, wykazuje wielki rozwój Stanów zachodnich Ameryki *Far-West* w skutek bezustannego napływu pracowników ze wszystkich stron kuli ziemskiéj. Dzięki dokończonéj właśnie linii drogi żelaznéj *Pacific Railroad* przybysze znajdują tu rzeczywiste korzyści. Liczba ich od r. 1869 do 1870 wynosiła 7,553,865 jednostek; z tych połowa Anglików, następnie idą Niemcy. Ludy azyatyckie stanowią tylko czwarty procent w cyfrze ogólnéj; plemie łacińskie słabo nadzwyczaj reprezentowane.

Wyżéj podana cyfra zdaje nam się bajeczną, taką jednakże podaje buletyn Towarzystwa geograficznego paryzkiego z miesiąca grudnia roku 1873 str. 68.

Donosiliśmy w swoim czasie, że Towarzystwo geograficzne paryzkie zamierza wejść w ścisłe stosunki z izbami handlowemi we Francyi w celu rozszerzania nauk geograficznych i zastosowania ich do praktyki. Dziś ostatni buletyn Towarzystwa donosi, że zamiary te uwieńczone zostały. Obok p. Levasseur, Cortamberta i innych uczonych, którzy biorą udział w centralnéj komissyi postanowionéj w tym celu, widzimy imię p. Herz mianowanego jeneralnym sekretarzem téjże komissyi. Pan Herz przebywał w Stambule w latach 1853 i 1854; tam jako współredaktor dziennika *Journal de Constantinople* zajmował się rzeczami słowiańskiemi.

Francya liczy wiele na te połączone usiłowania uczonych teoretyków z ludźmi czynu, którzy realizować będą ich pomysły na polu praktycznem.

Z tego powodu p. Richard Cortambert, na posiedzeniu Towarzystwa wykazał wielkie korzyści, jakie podobna inicyatywa izb handlowych przynieść może w rozwoju różnych gałęzi nauk, Przypomniał jako przykład, zasługi prostego domu handlowego w Hamburgu pod firmą Godefroy. Dom ten rozporządza dwudziestu pięciu okrętami i utrzymuje stałe stosunki z Oceanią; każdy okręt powracający z ładunkiem przywozi zarazem ciekawe przedmioty z wydziału etnografii i nauk przyrodzonych, któremi wzbogaca miejscowe, tak już bogate muzeum. Wielu uczonych przyrodników odbywa podróże kosztem tego domu; nauka zawdzięcza mu niemniej publikacyą dziennika geograficzuo-etnograficznego i wielu ciekawych monografij.

Mówiliśmy niedawno o nadzwyczaj spiesznych reformach, jakie dopełniają się z każdym dniem w Japonii; dodamy dziś wiadomość, że p. Boissonade professor prawa w fakultecie paryzkim puścił się w podróż

powołany przez rząd Mikady do ważnéj pracy nad zmodyfikowaniem kodeksu japońskiego. Pan Boissonade zamierza w ciągu kilkoletniego pobytu w tym kraju, zwiedzić dokładnie wszystkie prowincye i poznać do gruntu obyczaje mieszkańców. Rząd japoński zapewnił mu eskortę wojskową. Nie ma wątpienia, że uczony professor wykryje wiele stron nowych i obznajomi Europę ze stanem społeczeństwa mało dotąd znanego.

Świeża publikacya oryentalisty Franciszka Lenormant zwróciła powszechną uwagę. Mówimy tu o dwutomowém dziele p. t. *Premières Civilisations*. Uczony autor postanowił w nowéj pracy zwulgaryzować wielkie odkrycie nowoczesnych erudytów. W oderwanych studyach rozbiera po kolei archeologią przedhistoryczną, sztukę i literaturę starożytnego Egiptu, epopeę babilońską, tradycye o potopie, poezyą liryczną dawnych Chaldejczyków, osiedlenie się Fenicyan w Grecyi i inne przedmioty równéj doniosłości. Pan Lenormant zyskał oddawna znakomite imię w świecie naukowym, ważném dziełem: *Manuel d'Histoire Ancienne de l'Orient*.

Jeszcze słówko o archeologii. Przebaczą nam pozytywniejsi z pomiędzy czytelników, że ich zajmujemy tak *oderwanym* przedmiotem, ale według nas prawdziwy postęp polega nie na wyłącznem uprawianiu jednéj gałęzi nauk, ale na rozszerzeniu koła myśli o tyle. aby to co się wydaje dziś oderwaném, przestało niém być jutro, i weszło w ogolną harmonią ducha spragnionego wszechstronnéj wiedzy.

Otóż więc przegląd archeologiczny paryzki powtórzył bardzo ciekawą prelekcyą p. Alberta Dumont dyrektora szkoły starożytniczéj w Rzymie. Instytucya ta świeżo założona w Villa Medicis ma przygotowywać młodych erudytów do słynnéj oddawna szkoły francuzkiéj w Atenach.

Szkoła ateńska wydała już piękne owoce: dosyć powiedzieć, że Francya zawdzięcza jéj wielkiego archeologa swego p. Beulé [1]). Pokazało się jednak, że tak jak wszędzie, liczba powołanych a raczéj garnących się, zbyt wielką była w stosunku do wybranych. Młodzi literaci spieszyli tłumnie do Grecyi, poważny program nauk wcale ich nie ustraszał; sądzili że pięknym stylem potrafią zastąpić erudycyą. Akademia napisów z politowaniem patrzała na konkursowe raporta, w których malowali błękitne niebo, różowe oleandry i odłamy białych marmurów: te poetyczne elukubracye przezwano na żart *trójkolorową archeologią*.

---

[1]) Dowiadujemy się w téj chwili o nagłym skonie sławnego archeologa. W przyszłéj kronice poświęcimy mu osobny ustęp.

Edmund About uczeń także szkoły ateńskiéj, w dowcipnéj powiastce p. t. *Król Gór*, nakreślił humorystyczny obraz takiego dyletanta archeologa. Młody Hipolit nie posiada się z radości: znalazł kamienny odłam jakiegoś ołtarza starożytnego z napisem półzatartym. Upojony tryumfem buduje już zamki na lodzie, marzy o hołdach jakie go czekają, widzi się członkiem instytutu; wtém prosty chłopek wyjaśnia mu tajemnicę: ten kamień to słupek przydrożny, przed dziesiątkiem lat zatknięty w ziemię na gościńcu! About odtworzył żywą postać. Oprócz ludzi rzeczywistéj zasługi, wielu podobnych Hipolitów liczyła szkoła archeologii w Atenach.

Aby zatrzymać podobny dilettantyzm, francuzkie ministeryum oświecenia założyło przygotowawczą szkołę w Rzymie. Pan Dumont w lekcyi wstępnéj wykazał słuchaczom wielką ważność nauk starożytniczych i ogłosił plan kursu. Z trzech lekcyi na tydzień jedna poświęcona będzie archeologii powszechnéj i historyi sztuki, druga epigrafii, trzecia przysposabiać ma uczniów do wycieczek; tak przygotowany młody erudyta za pierwszym rzutem oka zrozumié ważność historycznego zabytku, nauczy się patrzéć i widzieć.

Professor nie przepomniał o poglądzie filozoficznym na archeologią. Wykazuje on o ile zbadanie pomników starożytnych wyjaśnia historyą religii, obyczajów, idei i cywilizacyi danego ludu, o ile metodyczna indukcya ułatwia nawet poznanie przedhistorycznych epok; uwydatnia nakoniec żywotną stronę nauki napozór oderwanéj, daje poznać ścisłą jéj łączność z nauką literatury; w kamiennych bowiem pomnikach snadno dopatrzéć, jak smak artystyczny rozwijał się w pasmie wieków, nim przyszedł do prawdziwego rozkwitu.

Świetnie rozpoczęty kurs p. Dumont ma być podobno ogłoszony drukiem. Ktokolwiek zna poprzednie prace młodego professora, oczekuje niecierpliwie téj nowéj publikacyi. Pan Dumont, dodajmy tu, należy do najmłodszéj generacyi erudytów francuzkich; dykcyonarz biograficzny z roku 1869 nie wspomniał nawet jego imienia; dziś jednak imię to przyświeca żywym blaskiem. Samo stanowisko dyrektora szkoły archeologicznéj w Rzymie, świadczy o wysokiéj jego zdolności.

Do najokazalszych książek, jakie pojawiły się w początku tego roku, należy niewątpliwie *Podróż po Hiszpanii* barona Daviller, ozdobiona 309 drzeworytami Gustawa Doré'go, wydana u Hacheta. Autor i artysta przebiegali razem ten piękny kraj, kreślili każdy na swój sposób doznane wrażenia i utworzyli wielkie dzieło. Opisy płyną same z pod pióra z prostotą i wdziękiem bez najmniejszéj przesady: czuć prawdę w każdém słowie. Autor radby, jak mówi, dla ożywienia wątku, opowiedzieć jakieś dramatyczne spotkanie z bandytami: nieszczęściem nigdzie ich nie napotkał. Wielką tu jednak widzimy rozmaitość; charakter mieszkańców skreślony wiernie w zajmujący sposób. Barou

Davillier zna dobrze Hiszpanią, zwiedzał w różnych czasach wszystkie jéj miasta, jéj góry i wąwozy: określając różne miejscowości przedstawia podwójny ich obraz, jakiemi były i jakiemi są dzisiaj. Co zaś do rysunków Doré'go, samo imię artysty daje dostateczną rękojmię ich wartości. Odrębna postać kraju i mieszkańców wydobyła nową iskrę z twórczéj wyobraźni mistrza. Widzimy tu zapasy byków, oddane z nieporównaném życiem; widzimy żebraków w malowniczych łachmanach, z głową dumnie podniesioną do góry, jakich w Hiszpanii spotykać można jeszcze, nietylko na obrazach Murilla, lecz i w rzeczywistości.

Chcielibyśmy zakończyć sprawozdanie nasze wiązką zebraną na polu dramatyczném; niestety, pole to bardzo wyjałowiało. Do najlepszych sztuk jakie przedstawiają dziś teatra paryzkie, należy wznowiona w Odeonie komedya Dumasa syna: *Młodość Ludwika XIV.* Postać Mazaryniego wybornie pojęta przez autora nabiera jeszcze znaczenia przez mistrzowską grę wielkiego artysty Lafontaina. Ale cóż tu nowego powiedzieć o komedyi, którą poprzedniczka nasza rozbierała zapewne z własnym sobie talentem, przed dwudziestoma laty?

Z nowych utworów pojawił się *Sfinks*, dramat Oktawa Feuillet, zawiódł on powszechne oczekiwanie. Ogół czegoś innego wyglądał z pod pióra autora Dalilli!

Tym Sfinksem jest kobiéta. Podczas gdy mąż przebywa w Kochinchinie, czarodziejka ta zabawia się w zamku swoim na prowincyi, odgrywając rolę tajemniczego bożyszcza Hindów. Zadaje zagadki czterem zakochanym w niéj Lowelasom. Długo trzyma ich na uwięzi, aż nakoniec wpada sama w sieci drugich zastawione. Doprowadzona do szału zakończa życie trucizną.

Nie wchodzimy w bliższe szczegóły. Podobne Sfinksy mało mają dla nas uroku. Ostatnie słowo zagadki łatwe zresztą do odgadnienia. Kto igra z ogniem, prędzéj, późniéj zbrudzi skrzydła lub spłonie. Dziwimy się że p. Feuillet zatytułował Sfinksem swój dramat: tytuł *Cma*, byłby według nas daleko odpowiedniejszy.

Artystka grająca rolę czarodziejki, przykre w ogólności sprawia wrażenie okropném konaniem, doprowadzoném do ostatecznego realizmu. Sprawozdawcy pism zachodzą w głowę, jakim sposobem można nadać sobie cerę trupią, zmieniającą twarz w oka mgnieniu. Zgadli wreszcie i tę zagadkę Sfinksa. Dociekli jak mówią, że panna Croixette odkryła jakiś muszkuł, ściągając go wpada w rzeczywiste omdlenie. Godnéż to sztuki w wielkiém znaczeniu słowa?

Przegląd prassy peryodycznéj

W KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

Rok 1873.

PRZEGLĄD KATOLICKI
1873 r.

Przegląd Katolicki jest obrońcą wiary świętéj i kościoła katolickiego. Obowiązki te spadły na Przegląd po Pamiętniku religijno-moralnym, który przez lat kilkanaście wychodził w Warszawie. Prawie dziesięć już wieków upływa, jak wiara katolicka, przyniesiona do téj ziemi, ogarniała coraz silniéj całą ludność, podnosząc jéj moralność i oświatę. Zespoliła się z życiem ogółu i przez ciąg tylu wieków, była prawie jedyną zasadą myśli, uczuć i życia narodu. Z tego źródła snuły się wypadki historyczne i losy różnych warstw naszego społeczeństwa i przyprowadziły do obecnej chwili. Dalszego wątku tego życia duchowego Przegląd Katolicki jest strażnikiem. W ogłoszonym przed kilką miesiącami liście pasterskim, biskup lubelski przypomina duchowieństwu: „Chrystus Pan powiedział: *wy jesteście światłością świata.* Od was przeto, jak od ogniska, rozchodzić się winno światło Bozkiéj nauki. Wyście powinni być tarczą przeciw wszelkiéj anty-religijnéj i anty-moralnéj zarazie."

Ta myśl była i jest ciągle jedynym kierownikiem Przeglądu Katolickiego, na który składają się prace przeważnie duchownych. Przegląd z największą gorliwością i zapałem przychodzi w pomoc moralności swoich czytelników wykładem zadań religijnych i odpieraniem zdań przeciwnych; zarazem gromadzi wiadomości o wszelkich wydarzeniach, dotyczących kościoła na całéj kuli ziemskiéj. Ztąd oddział pierwszy obejmuje rozumowania, rozprawy historyczne, polemikę i sprawozdania dzieł wychodzących; oddział drugi stanowi gazetę kościelną.

W roku zeszłym obadwa oddziały Przeglądu, stosownie i obficie zapełnione były. Wyróżniające się swoją ważnością i przeznaczeniem, następujące uważamy artykuły: Rok przeszły (1872), Posłannictwo

matki, Głos filologa i głos protestanta o nowoczesnéj cywilizacyi. Bogactwo w społeczeństwie chrześciańskiém, Lament pozytywistowski. Z historycznych: Kościół we Francyi na początku XIX wieku, O kaplicy Pana Jezusa w kościele metropolitalnym warszawskim, Pamiętnik Ojca Morris, Papiéż Aleksander VI, oraz mnóstwo artykułów polemicznych: jak Odpowiédź autora przeglądu dziejów przyrody, Hieronim Savanarola, Niefortunne pośredniczenie, O prawach kobiety i inne.

Artykuł pod napisem: Rok przeszły daje obraz klęsk, jakie od roku 1872 spadają na kościół katolicki we wszystkich krajach Europy zachodniéj, w Stanach Zjednoczonych Ameryki, w Meksyku, w Azyi, w Japonii i innych. Religia tam upada, moralność niknie, brak cnoty, brak silnych charakterów, a młodzież, osobliwie w Ameryce, w szkołach bezwyznaniowych wychowana, odznacza się w zastraszający sposób swoją niereligijnością, niemoralnością i dzikością. Kościół jednak nie traci sił, a chociaż na Zachodzie wywołane być mogą straszliwe katastrofy, to zawsze przyjdzie czas, ludzkość otworzy oczy zamknięte na prawdę i zjednoczy wszystkie żywioły życia, jakie w społeczeństwie tkwią jeszcze, jako materyał chrześciańskiego odrodzenia świata. Na poparcie téj myśli, Przegląd przywodzi drugi artykuł: kościół we Francyi na początku XIX-go wieku, wykazujący, jakim nieszczęściom kościół już ulegał, a przecież przetrwał burze i powstał w całéj sile. Przyczynę tych chwilowych klęsk, zadanych religii i kościołowi, Przegląd przypisuje najwięcéj twórcom nowych systematów filozoficznych i przeciwko nim walczy z zaciętością, a obronę swoją tworzy na zasadzie dogmatów. Na téj jedynéj zasadzie, wszystkie rozumowania i rozprawy w Przeglądzie są rozwijane. Co jest prawdą, utrzymać się musi, co jest fałszem, bez powrotu zniknie. Rozumowania na zasadzie dogmatów, są powszechnie znane i żadnemu zarzutowi nie ulegają. Wszelkie spory na téj drodze nie mogą doprowadzić do żadnych rezultatów, skoro w nich z góry liberalizm uważany jest za przeciwny chrześciaństwu, a swoboda słowa ograniczona. Kierunek więc ten w zupełności pominąć należy.

Kilka wyciągów z rozprawy ekonomicznéj: Bogactwo w społeczeństwie chrześciańskiém, a mianowicie: wpływ chrystyanizmu na rozwinięcie stosunków handlowych: Powikłania powstające z wymiany i niebezpieczeństwa, jakie z nich wyniknąć mogą dla społeczeństwa. Kwestya przyrostu ludności i produkcyjnéj siły pracy, przekonywają, że Przegląd nie jest obojętnym na materyalny dobrobyt ludzkości, lecz i tam pragnie być przewodnikiem chrześciańskim. Uważa, że wymiana produktów pracy, ztąd handel, wiąże się ściśle z porządkiem moralnym. Zbliża i jednoczy ludy i odpowiada uczuciu braterstwa i solidarności wypływających z nauki chrześciańskiéj. Utrzymuje, że ludzie zbliżają się ku sobie nietylko wspólnością zasad porządku moralnego, lecz nadto wspólnością obyczajów i rozmaitych stosunków w porządku materyalnym, a to wszystko przygotowywa jedność serc i umysłów. Powstaje silnie przeciwko namiętności szybkiego boga-

cenia się z krzywdą bliźnich. Rózróżniając teorye ekonomiczne, odwołuje się do znakomitych ekonomistów, a pomiędzy innemi przytacza Milla zdanie o mieszkańcach Stanów Zjednoczonych. „Mają oni sześć artykułów, jakich domaga się chartyzm i nie mają nędzy, a jednak w rezultacie tych wszystkich dogodności widzimy to tylko, że życie całéj płci jednej, schodzi na gonitwie za dolarami, a życie drugiéj płci schodzi na wychowaniu łowców dolarowych. Nie jest to pewno doskonałość społeczna, któréj urzeczywistnienie mogłoby się stać celem przyszłych filantropów." Z tych kilku ułamków, ogłoszonych w Przeglądzie, nie można ocenić wartości naukowéj całego systematu ekonomicznego, jaki przedstawiać może bogactwo w społeczeństwie chrześciańskiém.

Polemika jest najwybitniejszym charakterem Przeglądu Katolickiego. Czuwa on nad każdą książką, nad każdém pismem, nad każdém zdaniem przeciwko Kościołowi i walczy gorliwie. Prawie we wszystkich numerach tego dziennika, toczy się walka bezustanna. Często namiętność unosi Przegląd zadaleko. Nieraz właśnie dla téj namiętności, polemika Przeglądu chybia swego celu.

Z pewnym rodzajem lekceważenia napisany rozbiór Savonaroli Kanteckiego, wcale nie robi zamierzonego wrażenia. Recenzent St, Str., wytyka autorowi téj książki błędy historyczne. Pan Kantecki na podstawie świadectw dwóch pisarzy przytacza, że „blizki zgonu Wawrzyniec Medici, zawezwał Savonarolę z prośbą, aby go wysłuchał spowiedzi: że Savonarola oznajmił gotowość oddania księciu téj posługi, pod tym atoli warunkiem, że będzie miał wiarę, i że zwróci wszystko, co nieuczciwie nabył. Wawrzyniec oświadczył, że ma wiarę; przyrzekł wszystkim pokrzywdzonym albo zwrócić własność, albo też spełnienie tego obowiązku zlecić spadkobiercom. Usłyszawszy jednak ostatni warunek, że ma ojczyźnie zwrócić wydartą wolność, odwrócił się do ściany i nic nie odpowiedział, a Savonarola opuścił książęce komnaty." Recenzent dowodzi, że cała ta scena jest zmyśleniem i mnóstwo innych błędów p. Kanteckiemu wytyka. Cokolwiekbądź, choćby wszystkie dowody przez recenzenta przytoczone za niewzruszone przyjąć wypadło, to zkądże recenzent przyszedł do takiego zdania pełnego próżności, że p. Kantecki fałszuje swego bohatéra w taki sposób, jaki zaledwieby uszedł w rozprawie jakiego studenta pisanéj bez uwagi i zastanowienia.

Przegląd Katolicki, odpowiadając redakcyi Wędrowca o Koperniku na indexie, przyznaje, iż kongregacya indexu popełniła błąd, występując przeciwko nowéj Kopernika nauce. Lecz dodaje, że nikt tego błędu nie przeczy, ale nikt, a témbardziéj Wędrowiec, który chce uchodzić za lepszego od Jezuitów katolika, natrząsać się z niego nie powinien. Pomija Przegląd tę omyłkę trybunału rzymskiego, dodając, „bo któryż trybunał ludzki, na ludzkiéj oparty roztropności, jest nieomylny i bezbłędny." Przytém Przegląd dowodzi, że takiego dekretu kongregacyi, papież nie zatwierdził.

O prawach kobiety E. Prądzyńskiego, Przegląd może mówić, co mu się tylko podoba, co się zgadza z jego przekonaniem, co mu z widzenia przypadnie i pod tym względem swobodę słowa przyznać mu w zupełności należy. Ale czyż się zadaleko nie zapędził, kiedy, wspominając o nagrodzie dam, za tę książkę autorowi ofiarowaną woła: „Czyż te poważne wiekiem i stanowiskiem damy przeczytały książkę, za którą tak demonstracyjnie nagrodziły autora? Wątpić należy: w przeciwnym bowiem razie zwątpićby należało i *o rozumie*, i *o cnocie* tych dam poważnych."

Pomijamy resztę uniesień tego gatunku: przyjemności nam nie robią, a ilość ich jest niemała.

Życie w sferze kościelnéj nie może być takie, aby się zupełnie od świata i ludzi oderwać, aby nie stosować się do przyjętéj w towarzystwie przyzwoitości i okazywania wzajemnego szacunku, aby unikać poznania rozmaitych usposobień osób; bo takie poznanie, służy do stosownego i skutecznego przemawiania i działania nawet na korzyść religii i Kościoła. Przegląd Katolicki musi przedewszystkiém czuć miłość bliźniego, tę miłość, ktora nawet nieprzyjaciół kochać nakazuje, miłość, która jest pełną dobroci Chrystusowéj i pokory. W jakimkolwiek nawet wyuzdanym napadzie, jeszcze ta cnota katolicka nie dozwala nigdy wybuchać gwałtownością i obrazą.

Zapominając o usterkach z braku taktu i namiętności pochodzących, niepodobna milczeniem pominąć obrazu pełnego obrzydliwości, który się dostał do ram Przeglądu Katolickiego. Jest nim artykuł pod tytułem: Kopronim (z Ludwika Veuillota). Obraz ten przypomina dzikiego Indyanina, który w błocie tańczy i hula i w tym tańcu szuka dla siebie samego przyjemności i pociechy. Artykuł ten musiał jakimsiś szczególnym wypadkiem przybłąkać się do tak poważnego dziennika, bo niepodobieństwem jest, aby jakiekolwiek pismo polskie taki artykuł wydrukowało.

Pomimo wszelkich zboczeń, które na karb indywidualizmu autorów liczyć wypada, Przegląd Katolicki tyloletnią, znakomitą i nieustanną pracą, jedna sobie prawdziwą zasługę i poważanie. W dziennikarstwie naszém odznacza się wzorowym stylem, a utrzymując czystość katolicyzmu, staje się w obecnym czasie nadzwyczaj ważnym organem. Niech tylko przy obronie dogmatów, tych odwiecznych fundamentów naszego kościoła, odzywa się ciągle głosem miłości ewangielicznéj, a przyciągnie do siebie coraz większą liczbę czytelników i przyczyni się do tak pożądanego jednoczenia serc i umysłów.

A. J. S.

IZRAELITA.

Organ poświęcony sprawom religii i oświaty.

„Gnębiony w Hiszpanii i Niemczech, stanął Izrael na polskiéj ziemicy w charakterze podróżnego, którego burze wieków zmusiły do szukania schronienia pod dachem gościnnego narodu. I nie zawiódł się w swéj nadziei strudzony wędrowiec, nie pożałował swego czynu gościnny gospodarz [1]).“

Słusznie autor Historyi żydów w Polsce oddaje sprawiedliwość téj gościnności, jakiéj doznawali w dawnéj Polsce wypędzani zkądinąd żydzi. Wprawdzie nie zawsze jednakowo zadowolone były z wzajemnego stosunku obie strony: zbyt szerokie to dzieje, żeby je tu po szczególe przechodzić. Cokolwiek jednakbądź, wcześniéj niżeli inne zachodnie kraje dała Polska dowód, że nie tylko gościnną była, ale i ludzką zarazem. Na sejmie 1788 roku wypracowano projekt urządzenia stosunków międzywyznaniowych, z którego kilka ustępów w pamięci obecnego pokolenia odświeżyć nie zawadzi: jakkolwiek nie przyszło do skutku. Prawo uznaje żydów za ludzi wolnych (§ I). W społecznościach, do których należą, mają głos czynny. Urzędnikami obranemi być mogą i obierają stosownie do praw powszechnych (§ II). Religii zachowanie nienaruszone zabezpiecza prawo żydom. Dzielący się w mniemaniach osobne miéć będą szkoły (§ XI). Żaden żyd do chrztu przyjętym nie będzie, chyba mężczyzna w roku 20 a kobiéta w 18 i to po roku doświadczenia [2]).

Zabytki przeszłości, jako to: strój odmienny, mowa zepsuta, i wyłączne oddanie się pieniężnej spekulacyi, różnią widocznie obywateli krajowych Mojżeszowego wyznania, a różne ze stron obu przewinienia i wyrzuty mącą jeszcze harmonię, do któréj powoli wracamy. Przodujący wyznań obudwu współobywatele łączą się w usiłowaniach dojścia do tego celu.

Przed dwunastoma laty organem tych dążności przewodników między obywatelami wyznania Mojżeszowego było pismo: Jutrzenka, redagowane przez Daniela Neufelda.

Tę po Jutrzence spuściznę wziął w pieczę wychodzący od lat ośmiu Izraelita, którego seryą za rok ubiegły 1873 przejrzymy.

* * *

---

[1]) Kraushar, Historya żydów w Polsce, tom I str. 11 nica 18.

[2]) Czacki, Rozprawa o żydach § IX.

„Czego chcemy i do czego dążymy?" pyta Izraelita we wstępnym artykule pod napisem: Rzut oka na rok ubiegły, i powołuje się w odpowiedzi na wynurzone niegdy życzenia. I oto treść tych dążeń i chęci: „Aby religijne życie ludu żydowskiego, oczyszczone z wiekowych narośli, stanęło kiedyś na wyżynie, duchem jego wielkich proroków wskazanéj; aby lud ten stał się pożyteczném ogniwem w społeczeństwie, myślą i czynem, rozumem i działaniem; aby rozwojem swych darów umysłowych przykładał się dzielnie do rozrostu ogólno ludzkiéj kultury".

W istocie hasło to godne organu poświęconego sprawom religii i oświaty, a sprawy te tutaj bardziéj jak gdziekolwiek wzajemnie się wspierają. Niegdy modlące się wybranego ludu państwo nie znało innych nad religijną księgę ustaw. Rozproszeni owéj społeczności potomkowie z całéj przodków spuścizny tę tylko księgę unieść zdołali. A kiedy, jak powiada Czacki, nieszczęścia których doświadczyli po zburzeniu Jerozolimy, nie dały im zaraz światła i środków poznania, jakie umiejętności w społeczeństwie ludzkiém są potrzebnemi, mądrość cała żydów szczególniéj zasadzała sią na nauce religijnéj. Wtedy to powstawały zbiory podań, objaśnienia i dodatków, stosownych ustaw pomnożonych wyrokami najwyższych władz i zdaniami uczonych, tak zwane: Mischna, Talmudy, Gemara i kodeks prawodawstwa Sehulhan Aruck. Glossatorowie i komentatorowie zasieli ziarno religijnych rozterek między współwyznawcami. A że życie religijne przeważało, nieporozumienia na tém polu odbiły się w innych zakresach.

W Polsce w połowie zeszłego stulecia powstała najfanatyczniejsza sekta Chassydów. Fanatyzm wrogiem jest postępu i oświaty a w fanatyzmie Chassydów wystąpiły najciemniejsze ułomności ludzkiéj natury.

Od takichto wiekowych narośli pragnie oczyścić religią swą Izraelita i na tém polu wytrwale walczy z przeciwnikami zarówno bronią poważnych rozumowań jak i pociskami szyderstwa, a także pilném zbieraniem wiadomości o wypadkach cechujących zabobonność i ciemnotę Chassydów.

W roku bieżącym znajdujemy siedm dłuższych artykułów [1]) przeważnie religijnéj treści, gdzie starano się wypełnić część programu, o którym na czele była wzmianka. Najruchliwszą w tym dziale rubryką w Izraelicie są tak zwane pogadanki.

W tychto pogadankach obok wielu innych przedmiotów, na które niżéj uwagę zwrócimy, napotykamy wiadomości ze świata fana-

[1]) N. 3, 5, 25, 26, 27, 38. Między niemi artykuły takie: O naszych katechizmach, Nasz rytuał, O reformie w prawodawstwie rabinicznem.

tycznych zachowawców. Jakiś cadyk (duchowny Chassydów) wyzyskuje ubogą ludność nawiedzonego przez siebie Radomia, biorąc hojne datki jako cenę pośrednictwa między niebem a proszącymi (n. 3); w Kaliszu znowu rabin miejscowy ciska gromy na nieposłusznych jego władzy, przepowiada skon i zubożenie opornym (nr. 13); w Lublinie Chassydzi biją współwyznawców, nie ubóstwiających cadyka (nr. 24). Do Kocka wędrują zastępy pielgrzymów dla oddania ostatniéj posługi zmarłemu rebe, co umiał stanowisko swe z pożytkiem dla siebie, ze szkodą dla ubóstwiających go tłumów wyzyskać (n. 29). W Warszawie wołają o zniesienie zakazu używania mięsa znajdującego się między 12 a 13 żebrem (nr. 34). W Przemyślu sławny rabi drze i lży portret Mosesa Mendelsona (nr. 40). Warszawscy ortodoksi występują z podaniem do zarządu gminy by czuwał nad obostrzaniem zachowywania szabasu (nr. 50). Przy każdym z podobnych faktów Izraelita czyni odpowiednie i zwykle łagodne, niekiedy sarkastyczne uwagi. Tyle mniéj więcéj w sprawach religii.

Przechodzimy do spraw oświaty. Tu przewodniczyć winno owo założenie, „aby wyznawcy Mojżesza stali się pożyteczném ogniwem w społeczeństwie, myślą i czynem, rozumem i działaniem.“ W jednym z pierwszych numerów Izraelity (n. 3) spotykamy się z artykułem p. n.: „Duma rodowa wobec wychowania.” Piszący nie znajduje na świecie ludu łączącego w swym charakterze więcej od żydowskiego sprzeczności. Do najwybitniejszych przeciwieństw należy brak w nim tego, co zowią „poczuciem honoru.“ Żyd mało dba o swoję „godność“, gdy idzie mu o doraźną korzyść, upokarza się dla dopięcia materyalnego celu, a jednak w głębi duszy żywi niezwalczoną dumę czterotysiącoletniego szlachectwa. Upokorzenia, wśród których żył tak długo, wyrobiły na jego charakterze grubą warstwę, nieczułą na ból sprawiany kolcami pogardy.

Przeciw faktowi nic zgoła powiedzieć nie można, zgoda i na przyczynę. Ta ostatnia w dalekiéj leży przeszłości, skutki przecież mamy ciągle przed oczyma i przeciw nimto właśnie zwracają się kolce pogardy. Wobec takiego stanu moralności między żydami, Izraelita, chcąc jako krzewiciel oświaty spełnić w téj mierze swoje zadanie, powinien starać się o rozbudzenie tych uczuć godności i honoru. Artykuł umieszczony w tym duchu przez redakcyą Izraelity, chybia celu i ściąga na autora zarzut, że sam z sobą nie jest w zgodzie. Razi Izraelitę to, że wszyscy żydzi pobierający szkolne wychowanie, nie poprzestając na gimnazyalném wykształceniu, by jąć się praktycznego zawodu, pną się na uniwersyteckie wyżyny, by na patentowanych wyjść uczonych. Że zawody naukowe nie zawsze darzą swych adeptów bytem dostatnim, więc nawołuje Izraelitą do przemysłu, rękodzieł, z zasobem gimnazyalnego tylko wykształcenia. Czyż zamało jeszcze praktyczności między żydami, czy już téj nauki zawiele? Zaledwie otworzono Izraelitom podwoje

tego gmachu, w murach którego młode serca z wiarą i otuchą w wyższe cele ludzkości, biją żądzą nauki, umysły otrząsają się z uprzedzeń, zapominają o różnicach wyznań, zawierają stosunki, gdzie dłoń szukając bratniego uścisku, o ród przyjaciela nie pyta, a uczucia *honoru* i *godności* stanowią najwyższe do ogólnego szacunku tytuły, a już organ postępowy ostrzega, by młodzież praktyczne cele miała na względzie i odwraca ją od dążności wznioślejszych, które wielkich zysków materyalnych nie zapewniają. Nie powinna się redakcya lękać o los kantorów, fabryk, rękodzieł i dla tych znajdzie się zastęp nieprzebrany. Owszem, niech młodzież wyznania Mojżeszowego tłumnie pnie się na uniwersyteckie wyżyny, tam zapomni o czterotysiącoleciu, a pozna nowe dla siebie, lecz najstarożytniejsze w człowieczeństwie uczucia honoru i godności szlachectwa. Artykuł, o którym mowa, napisanym został widocznie pod wpływem jakiegoś chwilowego podmuchu, bez dojrzalszéj nad jego treścią rozwagi. Tym samym prawie duchem, choć bardzo zręcznie spowitym w liczne omówienia, tchnie artykuł: „Do naszéj młodzieży“ przez M. St. (n-ra 16 i 17). Autor po przyznaniu, że młodzież żydowska wyłącznie prawie garnie się do handlu, zaniedbuje inne pola działalności jak rolnictwo, jedwabnictwo, gospodarstwo rybne, hodowlę bydła etc.; że przemysł pozostaje w smutnym stanie wegetacyi, reasumując swe wywody, zarzuca młodzieży, o któréj mówi, że wszyscy chcą zostać professorami, adwokatami, doktorami, na podobieństwo partyzantki, gdzie każdy chce być oficerem, nikt żołnierzem. Wymawia się też zaraz, że nie szerzy obskurantyzmu, że niéma nic przeciwko chęci wyższego kształcenia się, lecz radzi być przedewszystkiém rozsądnemi. Nie wierzy w zamiłowanie i wewnętrzny popęd do nauki, usiłuje nawet dowodzić, że takowe istnieć w młodzieńcu pnącym się do uniwersytetu nie mogą; że młodzież ta, ulegając konieczności (jakiéj?), bierze to, co wziąć musi: że z powodu zbytniego garnienia się na fakultety prawny i medyczny, karyera prawnika i lekarza coraz mniéj przedstawia korzyści. Przyczynę tego anormalnego stanu widzi autor przedewszystkiém i głównie w zgubnéj ambicyi.

Nie możemy podzielić obaw autora o los adwokatów i lekarzy. Prawdopodobnie przy wzmaganiu się konkurencyi, jedni i drudzy nie będą jeździli karetami, może niektórzy przerzucą się do innych zajęć, boć człowiekowi ukształconemu i u nas do tego wiele dróg stoi otworem, a przy ogólném rozpowszechnieniu wykształcenia prędzéj zbraknąć może łaknących, aniżeli chleba. Przykład ościennych Niemców niech nam tu będzie wskazówką. Czuje Izraelita najsmutniejszy stan swych współwyznawców, pragnie oświaty, postępu, rozwoju życia obywatelskiego, a przecież od nauki odstręcza, wskazując praktyczne korzyści innych zajęć.

Wobec obudwu wyżéj przytoczonych artykułów, tém jaskrawiéj odbija wstęp pracy (n. 22) pod napisem: „Co nam niedaleka przyszłość przyniesie.“ Uznając fakt, że massa żydów żyje w warunkach nieprzy-

jaznych postępowi, Izraelita uważa przecież, że zostawić rozwój oświaty czasowi, jestto na długo odraczać chwilę równouprawnienia, że tu dla przyspieszenia dodatnich rezultatów potrzeba koniecznie doraźnych działaczy. Do takich zalicza wychowanie musowe, objawia życzenie, by środek ten był u nas zastosowany, a tymczasem nim to nastąpi, „mamy na myśli prawo o obowiązującéj wszystkich powinności wojskowéj“. Powiada Izraelita: „Cały nieład obecnego wychowania ustąpić musi koniecznie miejsca trzeźwiejszym poglądom, zdro. wszéj dążności udzielenia dzieciom praktycznego wykształcenia, któreby im przydać się mogło w późniejszym, nieuniknionym peryodzie służby wojskowéj“. „Wobec téj pocieszającéj perspektywy witać nam należy prawo o gólnéj powinności wojskowéj, jako nową erę w cywilizacyjnym rozwoju ludu naszego w tutejszym kraju.“

Na szczęście Izraelita nie grzeszy zbytnią ścisłością w przestrzeganiu jednostajności i barwy poglądów swych współpracowników, więc w jego własnych szpaltach znaleźliśmy odparcie zarzutów wymierzonych przeciwko pięciu się na naukowe wyżyny z ujmą dla materyalnych korzyści. W numerze 37 p. Bernard Pełtyn, student wydziału hist. filol., zwolennikom karyery odpowiada: „Kto w nauce szuka materyalnego jedynie pożytku, niech lepiéj zostanie rzemieślnikiem, inaczéj uniwersytet zamieni się na warsztat, gdzie professorowie piastować będą godność majstrów, a my studenci czeladników.“ „Ogół wspiera studentów, jako ludzi zajmujących się nauką, szerzeniem oświaty, ludzi, których działalność stanowić będzie dźwignię postępu i pomyślności w społeczeństwie.“ Niechaj tłumy tak myślących jak autor artykułu: „Jeszcze słówko w kwestyi studentów“; zalegają uniwersytekie ławy, a braknie cieszących się z widoków, jakie artykuł: „Co nam niedaleka przyszłość przyniesie“ wskazuje.

Do dział uwewnętrznych spraw oświaty między wyznawcami Starego zakonu należy rubryka zamianowana: „Z dziedziny obyczajowo-społecznéj.“ W tym roku znajdujemy w niéj artykuły: 1) *Kwestya zaręczyn;* 2) *O wychowaniu naszych panien*; 3) *Słówko do młodzieży uniwersyteckiéj.* Tu autor zachęca do sumiennéj a rozumnéj pracy, gani pańszczyzniany wyrobek dla egzaminów, radzi brać się do przekładów, zachęca nawet do oryginalnych prac literackich. W artykule tym razi użycie wyrazów: „nasi t. j. izraelscy studenci“, między „naszymi“ studentami łączenia się nie dostrzegamy. Jeżeli gdzie, to między studentami niéma „naszych“ t. j. izraelskich. Uniwersytet niweluje różnice, które tak wiele przyniosły nam wszystkim szkody [1]). Bez oświaty dzieło społecznego uobywatelenia żydów dokonaném nigdy nie

[1]) Nr. 30.

będzie, tolerancya wyznaniowa ani na krok nie postąpi. Jeżeli dziś żyd postępowy wstydzi się miana „żyd“ to dla tego, że jego współwyznawcy tak nizko jeszcze stoją, że stanowią jakiś anormalny dyssonans w harmonii społecznéj. Podać rękę zaklętéj sferze zastoju, jest obowiązkiem przedewszystkiém ukształceńszéj ludności żydowskiéj, jakkolwiek żaden szlachetny i poważnie myślący człowiek uchylać się od tego nie powinien. Każdego, kogo to obchodzi, Izraelita wzywa by się w jego redakcyi poinformował, czém służyć może [1]).

Wszystkie artykuły działu tego pisane z wewnętrznem zamiłowaniem przedmiotu i, o ile ramy publikacyi dozwalały gruntowne, początkowo podznaczane literami: M. St., w następstwie podpisem: M. Studencki, są opatrzone.

Znajdujemy też obok tamtych pewną liczbę artykułów religijno-filozoficznéj i religijno-historycznéj treści. Do takich należą: Religia i filozofia. Głosi się tutaj, że jedynie taka tylko filozofia może się zwać prawdziwą, „która ocierając z religii muł naniesiony ślepotą, łączy się z nią (domyślamy się tylko, że nie ze ślepotą, ale prawdopodobnie z religią) w przeczuwaniu najwyższéj prawdy, drogą intuicyi i natchnienia.“ Zaiste ciemne, nie filozoficzne i wcale nie religijne zadanie (nr. 4). Proroctwo i poezya. Dowiadujemy się ztąd, że prorok żyje dla całéj ludzkości, poeta zaś sam tylko dla siebie; prorok jest człowiekiem czynu, poeta słowa. Dlatego z ustaniem proroctw i poezya zamilkła w Izraelu, bowiem Opatrzność przeznaczyła ten naród dla humanizmu i poświęcenia się dla bliźnich. Trudno zgodzić się na takie zapatrywanie. U jednych czyn jest słowem, dla drugich słowo czynem. Prorok bywa poetą, poeta zwykle prorokiem. Przywłaszczanie też sobie posłannictwa tak szczytnego a wyłącznego, jest poprostu deklamacyą a w gruncie rzeczy pomyłką, któréj przeczą całe dzieje. Artykuł ten podług D-ra Adlera opracował Joachim Leinhaendler (n-ra: 5, 6, 7): *Do charakterystyki pozytywizmu i idealizmu.* Bardzo gruntownie jak na szczupłe rozmiary pisma, opracowana krytyka: „Filozofii zasady bezwiednéj“ E. Hartmana (n-ra: 28, 29, 31). Z czasu. Myśli ulotne. Wśród wstrząśnień naukowych i społecznych obecnéj epoki, trzymajmy oburącz pochodnię wiary i obowiązku! Oto treść tych myśli (nr. 42). Żywot myśliciela jakim był. Podług D-ra Coronela opracował Bernard Pełtyn. Starannie i dobrym językiem napisane streszczenie główniejszych spraw życia i rysów charakteru wielkiego myśliciela, którego piszący zwie Izraelitą na holenderskiéj zrodzonym ziemi, gdy właściwie należy mu miano Holendra urodzonego i początkowo wychowanego w zasadach Mojżeszowego wyznania. Rodzice bowiem jego, przeniosłszy się z Portugalii, osiedli

[1]) Nr. 36.

stale w Amsterdamie, gdzie się Baruch Spinoza urodził, gdzie żywot pędził i zkąd go do innych miejsc téj saméj ziemi prześladowania współwyznawców wyparły.

Z artykułów historyczno-religijnéj treści zasługują na wspomnienie: Sabatyanie w Siedmiogrodzie (N-r 42 i 43), Z zarania dziejów, Ustępy z 1-go tomu Historyi Żydów Graetza, spolszczył J. M., Nieskończony (N-r 49 i 50), Żydzi w Anglii. Z dzieła Juliusza Rosenberga: Studienreisen in England.

Najżywiéj, z prawdziwym zapałem i nieuniknionemi z tego powodu błędami, traktowanym jest dział polemiczny sprawom zewnętrznym międzywyznaniowym poświęcony. Składa się on z oddzielnych artykułów i zajmuje wiele ustępów rubryki pod napisami: Pogadanki, Kronika, Rozmaitości. W pierwszym zaraz numerze Joachim Leinhaendler w artykule: „Stosunek judaizmu do innowierców, podług D-ra Adlera" broni prawodawstwo żydowskie od zarzutu antyspołecznych, niehumanitarnych tendencyj. Zbija zakorzenione mniemanie, jakoby żydzi wszystkich inowierców za pogan uważać mieli. Najsłuszniéj uważa, iż same teoretyczne dowodzenia pozostają bez skutku, gdy ich nie wspiera praktyka życia. Wzywa do porzucenia uprzedzeń. W odpowiedzi Przeglądowi Tygodniowemu Izraelita w tonie poważnym i umiarkowanym, zasłania swych współwyznawców przeciw niesłusznemu znieważaniu ich mianem: „Obcych." Kraj nasz i społeczeństwo winny patrzéć na żydów, jak na długo zaniedbywanego, a przez to wyróżniającego się niekorzystnie członka rodziny. „Starajmy się zło naprawić dźwignieniem kulturalnego stanu żydów, a staną się oni z czasem swojskiemi dla cywilizacyi kraju, jak nie są mu dziś obcemi we względzie składowo społecznym." (N-r 2). Na to zgadzamy się wszyscy, tego pragniemy. Tym samym duchem tchną żale postępowego żyda. (N-r 6). Opiekun Domowy uznał żydów nader pochopnemi do wykonywania lekkomyślnie przysięgi. Izraelita odpowiada artykułem: „Krzywoprzysięstwo u żydów," w którym źródło oskarżenia w łamiącéj szyki nienawiści wskazuje, twierdzi, że krzywoprzysięstwo zdarza się „daleko rzadziéj u nich, (t. j. żydów), aniżeli u chrześcian." Tu gniéw zaślepił Izraelitę. Nie wypadało nieprawdą płacić za zelżywość. Raczéj należałoby poważnie zastanowié się nad przyczyną faktu, który może nie w miejscu przez Opiekuna przytoczonym został, o którego przecież istnieniu codzienna praktyka przekonywa i statystyka kryminalna świadczy, jak to sprawdzić łatwo w N-rze 22 Izraelity, gdzie podane są cyfry wypadków krzywoprzysięstwa na 10,000 ludności, a mianowicie u chrześcian 0,45 u żydów 1,9. Złączonemi siłami zło wypleniajmy, w tym celu docierajmy do jego źródeł i tamować je usiłujmy, to nasza obywatelska powinność (N-r 9). Większém jeszcze zaślepieniem grzeszą ustępy artykułu pod napisem: Co mamy czynić? Nieprędko domyślilibyśmy się, co jest istotną, najbliżéj leżącą przyczyną uprzedzeń przeciwko żydom,

oto: „Zawiść, zawiść współzawodnicza, którą postęp żydów w inteligencyi, w znaczeniu, w bogactwie materyalném i umysłowém, wywołał i w miarę swego rozwoju coraz zażarciéj wywołuje." A wiecież wy dlaczego między tym wybranym rodem geniuszów, dostojników, bogaczy, wydarzają się niekiedy zboczenia z drogi obyczajowéj? Ani mniéj, ani więcéj, tylko z powodu „naśladownictwa, wyrosłego na drzewie zjednoczenia!" Poznać siebie trudno, bo miłość własna nas nieustannie uwodzi; tę prostą maxymę polecamy pamięci ściganego nienawiścią wybrańca wybranego rodu! (N-r 14, 15, 17). W umiarkowańszym i przyzwoitszym tonie, choć równie nie bez śmiałéj arrogancyi napisane są trzy artykuły zatytułowane: Kwestya żydowska (N-r 32, 34, 35).

Kilka uwag nad rozprawą: „Żydzi" w Przeglądzie Tygodniowym, zawierają zdrowsze na rzeczy poglądy. Pominąwszy ideę rzutu potężnego naprzód mającego się dokonać działaniem prawa o powszechnéj służbie wojskowéj, zgadzamy się na wiele wywodów i podzielamy z autorem to przekonanie, że „dla człowieka zdrowomyślącego, kwestya żydowska, jako odrębna, nie istnieje u nas zgoła, istnieje ogólna kwestya bytu mieszczańskiéj ludności, która, jako w kraju przeważnie rolniczym i mało przemysłowo rozwiniętym, szczupły ma zakres produkcyjnego działania" (N-r 40 i 41).

Oprócz wymienionych, znajdą się jeszcze dłuższe lub krótsze, mniéj lub więcéj poważne artykuły, które, jako niezawierające wybitniejszych różnic w poglądach na kwestye przez innych rozbierane, dla skrócenia rozmiarów naszego sprawozdania pominęliśmy.

Nadto drukowano w tym roku powieści: „Lekarz i jego córka," tłumaczone, jak powiedziano przynajmniéj, z francuzkiego, bez wymienienia autora; najprawdopodobniéj wziętą z przekładu rossyjskiego w Wiestniku ruskich Jewrejew; „*Rozdroże*" *nowella Leona Herzberga* i t. d.

Reklamy zdarzają się w Izraelicie nietylko na ostatniéj stronnicy w tak zwanych inseratach, często spotkać je można w rubryce pogadanek pod skromną postacią zbijania niesłusznych zarzutów. Do rzędu tego rodzaju reklam należy ustęp 3 „Pogadanek" w N-rze 47. Izraelita przytacza rozmowę między fanatykiem zawistnym wielkości adwokatów Mojżeszowego wyznania, a rozsądnym tolerantem, sypiącym naturalnie szczodre pochwały dla niesłusznie spotwarzanych. Obecni przyklaskują drugiemu wtedy, gdy pierwszy, pomrukując, za drzwi się wysuwa.

Co do języka Izraelity, zauważyć musimy, że w ogóle nie jest wzorowym, w niektórych nawet ustępach grzeszy zaniedbaniem. Pilniejsza baczność redakcyi, winna była nie dopuścić wyrażeń, które zdaje się, iż, oprócz użycia liter wspólnych, nic wreszcie wspólnego z językiem polskim nie mają. Dla przykładu przytoczymy niektóre: „Różnice między człowiekiem mało pomału znikać będą, człowiek stawać się będzie podobniejszym do bliżéj mu

stojących zwierząt" (str. 16). „Gruba ćma zaległa horyzont religijny" (str. 26). „Posiadanie mowy warunkowuje myśl. strony względne wzajem się warunkowujące" (str. 365) (str. 43). Nic nie zbija zarzutów dyktowanych uprzedzeniem." „Dwie motywy nim powodują" (str. 83). „Ameryka jest nietolerantną" (str. 123) „szło o motywę do krzywdzenia" (str. 133). „Podział społeczeństwa na sfery, klassy, słoje i słoiki" (str. 160), „Żydówko oświaty" (str. 164). „Bezkontrolność, „Bezkontrolne śluby" (str. 168). Dochód ogólny dalekim się okazał od nadziejnych założeń," a niepowodzenie takie przypisuje się: „Aurycznym warunkom" (str. 207), „Nie mogąc już powtórne zawrzéc związki" (str. 215), „Jeśli dostaniemy kiedy syna" w znaczeniu, jeśli miéć będziemy (str. 226).

Niepoprawność mowy stanowi jeden z zarzutów, a zarazem najczęściéj przedmiot szykany i temat różnorodnych dowcipów, szerzących się kosztem naszych współobywateli Mojżeszowego wyznania. Izraelita najpilniéj u siebie poprawności téj przestrzegać winien.

Zdając sobie sprawę z całości tegorocznéj seryi Izraelity, przyznać musimy, że o ile zdołał, starał się zbliżyć do wysokości oznajmionego na początku zadania. Przeciw zacofanym współwyznawcom zwracał powagę opartych na przepisach religii dowodzeń, karcił występki przewodników chassydowskich towarzystw, wielekroć odsłaniał nadużycia, gromił wyzyskiwanie. Postępowym nie zaniedbywał wytykać ich lekkomyślności i braku cnót obywatelskich. Wszystkich bronił z zaciętością, uciekając się nieraz do krzyżowéj w cięciach sztuki, a niejednokrotnie téż broń składając, rzucał słowa pokoju, przebaczenia i miłości. Nawoływał wszystkich współwyznawców do pełnienia obywatelskich obowiązków, inowiercom dawał uczuć niesprawiedliwość ich postępowania.

W sprawach religii i oświaty zabierał głos, ilekroć potrzebę swoich miał na widoku. Nie pomijał ważniejszych u siebie i na obczyźnie postępów. Mało zajmował się sprawami ogólniejszemi, o ile te bezpośrednio współwyznawców nie dotyczyły, co wytłumaczyć się daje specyalnością jego zadań i istnieniem wielu organów, z których wiadomości ogólne czytelnicy jego czerpać mogli. Wszakże na uroczystość Kopernika wraz z wszystkiemi uderzył w dzwony chwały.

Wady i usterki są każdéj ludzkiéj pracy udziałem: poznawanie ich i usuwanie drogą do doskonałości.

W ogólnym przecież rezultacie, widzimy dodatnie korzyści Izraelity. Obywatele innych wyznań z ciekawością dowiadywali się o pokrywanych dotąd tajemnicą zasadach dzisiejszych wyznawców Starego zakonu; ci znowu w sprawach religii swojéj i ogólnéj oświaty z dobrego źródła czerpali objaśnienia.

Adolf Pepłowski.

PRZYJACIEL DZIECI.

Pismo tygodniowe, redagowane przez Jana Kantego Gregorowicza.

Nie wiém, czy jakiekolwiek pismo pochlubić się może tak gorącemi sympatyami swoich czytelników, jak „Przyjaciel dzieci". Co sobota od godziny 3-ciéj po południu młode pokolenie zaczyna się niecierpliwić i przy każdéj zręczności uprasza służących, by nie zapomniały wstąpić do kantoru po odbiór nowego numeru. Czekało się przecie cały tydzień na wiadomość, co pocznie daléj „Pożar Stepu", jakie były dalsze przygody króla Ryszarda, czy trafnie odgadnięto znaczenie szarady!

Tak wielką władzę nad umysłami publiczności swojéj zdobywa sobie Przyjaciel rozmaitością treści, trafnym doborem artykułów, a najbardziéj może szczerą miłością dla dziatwy i serdecznym z nią stosunkiem. Uwydatnia się to szczególniéj w korrespondecyi. Mali prenumeratorowie zasięgają często rady co do książek szkolnych, opowiadają zajścia swoje z rówiennikami, siostrzyczkami, braciszkami, nadsyłają często własne utwory prozą lub nawet wierszem, dowiadują się o zdrowie jakiéjś niepospolicie mądréj kotki Zosi (znajdującéj się rzeczywiście w redakcyi), zapytują dlaczego dziewczynki otrzymują w odpowiedziach tytuł „panienki", a chłopcy są nazywani tylko po imieniu i t. p. Przyjaciel rozstrzyga wszelkie takie kwestye z przedziwnym taktem i dobrotliwością, a jeśli mu się zdarzy wyjechać z Warszawy, nie zapomina uprzedzić swych korrespondentów, że nastąpi zwłoka w odpowiedziach.

Zaznaczywszy stanowisko pisma względem czytelników, do których przemawia, przejrzyjmy treść zeszłorocznego kompletu ze stanowiska pedagogicznego.

Przeważną stronę téj treści, stanowi belletrystyka w postaci opowiadań, bajek, powiastek i wierszyków dla małych dzieci, oraz większych powieści i poezyi dla starszéj generacyi (od 10 do 14-u lat). Podział ten na dwa wieki jest przestrzegany ściśle, przy każdym bowiem numerze znajduje się dodatek powieściowy, ale starsi dostają powieści w numerach parzystych, młodsi zaś w nieparzystych. Z większych powieści szczególnie interesującemi i pożytecznemi zdają się nam być: „*Pożar stepu*" p. Idę Haacke, tłomaczona z niemieckiego. Autorka opowiada o porwaniu młodéj dziewczyny przez Irokezów, o szlachetnéj opiece, udzielonéj przez jednego z dzikich i o wyzwoleniu branki przez oddział białych osadników. Charakterystyka dzikich, obrazowa, poetyczna mowa głównego bohatéra, dzielność osadników, czyli „kresowców" (nazwa ta zresztą nie jest zupełnie trafną i zrozu-

miałą), niezwykłe przygody i niebezpieczeństwa nadają powieści téj żywy interes. Z treści przypomina ona sławne romansy Fenimora Kupera. Z niemniejszą ciekawością czytają się dwie powieści utalentowanego pisarza angielskiego Meine Reid'a: *Dary Oceanu* i *Wyprawa na żyrafy*. W pierwszéj znajdujemy nader żywe opisy rozmaitych ryb i ptaków morskich, wplecione zręcznie w opowieść o zapasach rozbitków to z falami oceanu, to z rekinami, to znów z wielką trawą, na któréj płynęli niegodziwi współtowarzysze. W drugiéj zawierają się obrazy Afryki i charakterystyka przyrody zwrotnikowéj.

Należy się uznanie troskliwości redaktora, że uprosił J. I. Kraszewskiego, i panu Kraszewskiemu, że zechciał napisać dla dzieci powieść p. t. *Bracia Mleczni*. Temat jest dla pisma pedagogicznego bardzo właściwy: bogaty panicz przygarnął szlachetnie rówiennika, sierotę, wyjednał u swych rodziców koszta na wychowanie jego, ten zaś w późniejszym czasie wywdzięczył się godnie nieograniczoném poświęceniem i podaniem skutecznéj pomocy dawnemu dobroczyńcy w chwili najdotkliwszéj niedoli. Rozwinięcie tego tematu jest bardzo zajmujące; czytelnik w dojrzałym wieku może ją czytać od deski do deski z wzrastającą wciąż ciekawością. Niewątpliwie powieść ta mogłaby ozdobić karty każdego czasopisma. Poważymy się jednak wypowiedzieć parę zarzutów, a to ze względu na specyalne przeznaczenie utworu dla młodocianych czytelników. Tak naprzykład nie umiemy domyślić się dlaczego w pierwszych rozdziałach, poświęconych opisowi szkolnego życia braci mlecznych, autor zajmuje się przeważnie gronem nauczycieli, nie zaś studentów? Dla czego typy nauczycieli są skreślone w sposób humorystyczny, a jeden budzi nawet odrazę. Dyrektor szkoły, pan radzca, w gruncie dobry człowiek, wygląda przecież śmiesznie, gdy boi się narazić sobie kogokolwiek, gdy schlebia panom, gdy bieży w „białych rękawiczkach, z orderami“ do pani prezesowéj, gdy ją raczy w swoim domu lichą herbatą. Najszlachetniejszy z całego grona professor Narymund ma zacne serce, i wywiera podobno wyborny wpływ na umysły swoich wychowańców (*podobno*, powiadamy, ponieważ działanie jego odbywa się za kulisami i czytelnik dowiaduje się o niém tylko z krótkiego opowiadania); ale te zalety mogłyby się mieścić w charakterze mniéj niezaradnym. Szanowny pedagog zaledwie potrafił się obronić od służącego pijanicy, a po rozstaniu się z prezesowiczem wraca na dawne mieszkanie „by pójść znów pod panowanie Benedykta“, pogrąża się w samotności, prowadzi życie ekscentryczne, „zdziwaczał“. Koledzy musieli złożyć się pocichu na grób i kamień prosty. Inni dwaj nauczyciele „grzeszyli potrosze tém, że każdy z nich ukochaną swą naukę miał za jedyną godną tego nazwiska“. A jakaż to szkoda, że czarny charakter powieści, p. Suchorowski, występuje na widownią jako nauczyciel prezesowicza. Dzieci nie bardzo rozumieją, czy jest co nagannego w pisaniu „historyi tekstów Horacyusza i wydań tego poety“, lub w staczaniu walki „o metody nauczania, o książki szkolne, o wykła-

dy", lecz oburzać się muszą na przewrotne, złośliwe i niemoralne postępowanie Suchorowskiego z pupilem. Szczęściem nie wywarł on żadnego wpływu na charakter młodzieńca. Nieszczęściem zaś, że ten przewrotny człowiek jest widocznie zdolniejszy i zręczniejszy od zacnego Narymunda i od dyrektora. Bo oto po kilku czy kilkunastu latach ten sam pan Suchorowski jest bogatym dziedzicem, marszałkiem szlachty i trzęsie całym powiatem. Nie przestaje być złym człowiekiem, ale w końcu, gdy brat mleczny prezesowicza, dorobiwszy się w krótkim czasie niezwykle świetnego stanowiska, udaremnił jego intrygi, Suchorowski zaczął się sprawować bardzo przyzwoicie. „Majątku dorobił się znacznego, urzędował póki chciał, i dynastyą Suchorowskich postawił na stopniu znakomitym w powiecie". Zestawienie takich typów niewątpliwie może rozbudzić w młodzieży dążenia krytyczne względem nauczycieli, ale nie poda jéj przecie sposobów do przeprowadzenia reformy, do wyplenienia chwastów w gronie pedagogów; nędzny zaś żywot Narymunda i świetne powodzenia Suchorowskiego tworzą zbyt skomplikowaną, jak na dziecinne umysły, zagadkę etyczną.

Dział *poezyi* i *wierszy* jest bardzo obfity. Zasilają go najczęściéj pp. Jerzy Laskarys, Antoni Pilecki, Wabner, Julijan Miłkowski, Józef Chmielewski, L. Niemojowski; ostatni najczęściéj tłumaczy lub naśladuje bajki Kryłowa i najbardziéj popularne wierszyki z książek szkolnych rossyjskich („Jutro" w N-rze 32, „Kucharz dużo gada, kotek pieczeń zjada" w N-rze 43); panie Józefa Kamocka, Janina Piątkowska, T. Prażmowska i kilka anonymów. Zamieszczono też dwie gawędy W. Syrokomli; „Cieśla" i „Garść pszenna". Zwykle treść utworów wierszowych jest zupełnie dla młodego wieku stosowna, morał w nich piękny, częstokroć wzniosły, a zawsze czysty. Nie zgodzilibyśmy się tylko na zbyt materyalną i zbytkowną zachętę do pracy w wierszu „Piernik" (N-r 3, str. 34), gdzie „Ciocia za takie przymioty, drugi raz w miejsce piernika przyniosła zegarek złoty". A zdziwił nas niepomału wiersz „Dwaj aniołowie, przez trzynastoletnią Terenię M." Są tu rzeczywiście poetyczne zalety w pomyśle, w stylu obrazowym i poprawności wiersza, ale jakże tu zrozumieć nastrój ascetyczny w tak młodéj dzieweczce:

„Iluż jest ludzi, których dusza w łonie
Z niecierpliwością czeka wyzwolenia?
Bo iluż zbrzydło więzienie cielesne,
Iluż złamało cierpienie bolesne?
Tym to otwierasz drogę do zbawienia,
Tym to przyśpieszasz nagrodę tam w niebie" (Nr 9, str. 100).

Bierze nas pokusa przypuścić, że redakcya została w błąd wprowadzoną co do wieku autorki. Jeśli jednak panna Terenia rzeczywiście liczy lat 13, toć trzeba rozciągnąć troskliwą opiekę nad jéj znękaném serduszkiem i myśli jéj nadać mniéj rozpaczliwy kierunek.

W dziale naukowym na pierwszém miejscu położymy „Wycieczkę do Ojcowa“ przez p. Teresę Jadwigę. Dziadzio, wioząc swe wnuczęta do Olkusza, Grodziska, Skały Ojcowa, umie w sposób zajmujący opowiedzieć historyczne wspomnienia z temi miejscowościami złączone, o Łokietku, Henryku Brodatym, Konradzie Mazowieckim, Janie Kazimierzu, zwraca uwagę na zjawiska przyrody, wskazuje geologiczne znaczenie grot Ojcowskich, nie zaniedbuje stosownych nauk moralnych. „Pogadanki z Ojcem“ obracają się przeważnie w kole nauk przyrodniczych; pan Łanowski oprowadza dzieci po ogrodzie Botanicznym i gabinecie Zoologicznym, a czasem wtrąca wspomnienia historyczne (np. z powodu żubra o Wilnie i Gedyminie). W ogóle z zoologii i botaniki artykuły są liczne, zwykle rysunkami objaśnione. Pod rubryką „Przemysł i fabrykacya“ znajdujemy artykuły o fabryce stalówek Hinksa i s-ki w Birmingham, o papierze i papierniach, o porcelanie saskiéj, sewrskiéj i o garncarstwie, o fabryce zwierciadeł w S-t Gobain, „Z czego się to płótno robi“ i t. p. Większa część artykułów przyrodniczych i technologicznych nosi podpis H. K. Tenże autor podaje nie mało artykułów treści historycznéj ale historykiem widocznie nie jest. W artykule np. „Karol V w klasztorze“ (Nr 7) na jednéj stronnicy zmieścił i genealogią Karola, i wychowanie jego, i wojny z Franciszkiem I, i wyprawę na Tunis i sprawy protestanckie i abdykacyą. Oczywiście stronnica ta jest chaotycznym rejestrem imion i dat, o pobycie zaś Karola w klasztorze znajdujemy zaledwo 7 wierszy, a i tych treść wzięta z rysunku, do którego właśnie potrzebne było objaśnienie (na rysunku Karol stoi przed zegarami, i w tekście powiedziano, że go gniewała niezgodność zegarów). Lepszy trochę, bo przynajmniéj zrozumiały jest artykuł o Cezarze (N. 41), chociaż i tu moment główny—walka ze stronnictwem Pompejusza, zaszkicowana zbyt pobieżnie (nie ma nawet wzmianki o bitwach pod Thapsus i Mundą).

W ogóle artykuły historyczne najwięcéj pozostawiają do życzenia, tak pod względem układu, jakotéż korrekty. Tak np. w anegdotce o Appiuszu jeden z członków drugiego tryumwiratu nazwany jest „Lepidjus“ (str. 103) zamiast Lepidus; w opisie siedmiu cudów świata wyspa Rodos nazywa się „Rodes“ (zapewne z francuzka), wódz arabski Amru—„Amrusem,“ Ptolemeusz Filadelf—Ptolomeuszem Filadellem“ (str. 428).

W artykule „Pasterz z wioski Montalte“ (zapewne Montalto) p. Teresa Jadwiga śkreśliła biografią papieża Sykstusa V (1585—1590), który, jak wiadomo, był synem bardzo ubogiego wieśniaka, a na stolicy apostolskiéj zasłynął jako energiczny i surowy administrator. Autorka nie żałowała najjaskrawszych wyrażeń dla podniesienia téj postaci i wpadła w przesadę: zowie go „łaskawą opatrznością dla ludu, którego ojcem został,“, przypisuje mu zasługę, że „uratował od upadku zagrożony kościół“. Cóż autorka rozumié pod upadkiem? Oto: „duch pychy i niewiary budził się zewsząd, wszędzie tworzyły się se-

kty religijne, które liczyły coraz więcéj wyznawców“ (s. 209). Możnaby więc mniemać, że Sykstus reformacyą stłumił i sekty uprzątnął. O tém przecież historya nie wié. Sykstus uczynił wiele dla Państwa kościelnego przez wytępienie band rozbójniczych, zapomocą nieubłaganéj surowości, graniczącéj czasem z okrucieństwem, oraz przez zgromadzenie wielkich skarbów w zamku św. Anioła przez podniesienie ceny za sprzedawane urzędy i przez podniesienie podatków. Ozdobił miasto Rzym wieloma gmachami, ale też zabierał się z niemniejszą energią do burzenia pomników starożytnych. Nie rozumiemy jakim sposobem autorka mogła skojarzyć w osobie Sykstusa V „wielką dobroć“ z niezłomną jego energią. Niepotrzebnie też mianuje go „wielkim inkwizytorem Wenecyi“, kiedy w istocie był tylko radzcą (consultor). I na tym przecie urzędzie trudnoby było utrzymać się człowiekowi „wielkiéj dobroci“. W powiastce „Majówka” August II nazwany jest królem Saskim (s. 285), kiedy, jak wiadomo, tytuł królestwa nadany został przez Napoleona I dopiéro w 1806 r.; w artykule „Pochód niewolników saraceńskich“ p. F. J. powiada o Piotrze Pustelniku, który, jak wiadomo, odznaczał się bardzo niepoczesną powierzchownością: „Poważna postać starca wzbudziła powszechne poważanie“ (str. 4).

W tłumaczonym z niemieckiego artykule: „Obrazy Egiptu“ znajdujemy jakieś „wypukłe“ rysunki na ścianach i „wieżach“, a nawet powszechnie już znany posąg Memnona nazywa się tu posągiem Nemnona (s. 341), w inném miejscu dowiadujemy się, że Arabowie zniszczyli piramidy w nadziei, że zagarnąć zdołają ukryte w nich skarby (s. 404).

W ogóle co do artykułów z historyi powszechnéj radzilibyśmy brać wyjątki lub skracać ustępy ze znakomitych pisarzy np. Thierry'ch, Macaulay'a, Prescotta, Guizota (np. Historyi Francyi dla wnuków opowiedzianéj), Rankego i t. p. posługując się istniejącemi już u nas tłumaczeniami, lub tłumacząc z większą niż teraz pilnością. Lepiéj się udają Przyjacielowi opowiadania historyczne np. Gustaw Waza, Krystyna Szwedzka. Do najszczęśliwszych jednak pomysłów należy streszczenie romansów Walter-Skotta w zaczętéj na ten rok powieści historycznéj „Wyprawa króla angielskiego Ryszarda“, o którą młodzi prenumeratorowie upominali się niejednokrotnie u redakcyi, zuając początek téj pracy z 1872 r.

Dział podróży i opisów geograficznych jest dostatecznie urozmaicony i w ogóle zajmujący. Nie wiemy tylko na co się przyda dzieciom opis opactwa w Jumièges (dodany chyba dlatego, żeby zużytkować kliszę francuzką). W opisie Moskwy niezrozumiałym być może dla dzieci styl napuszysty, np. „Jakiś rodzaj niemego podziwienia przenikne wędrowca“ (zbliżającego się ku miastu): „Moskwa groźna jak lwica stanęła na wyłomie (w 1812 r.), wznosząc hardo czoło, ogłosiła dzwonami światu, że bronić się pragnie ogniem, że zdolna do ofiary“ (str. 174, 175). Nie możemy się domyślić z jakich źródeł czerpany

jest artykuł, zapewne nie z rossyjskich, ponieważ trafiają się tam błędy krzyczące, np. że han astrachański obległ to miasto „z milionową tłuszczą", ludność mieczem wyciął i wyludnił w 1571 r., kiedy haństwo astrachańskie już nie istniało, podbił je bowiem Car Iwan Groźny w 1555 r. Niemieckiego zapewne pochodzenia jest artykuł „Krym" (str. 379); wnosimy to z frazesu: „Tu rozrzucone malownicze tatarskie chaty, tam skały, tu zielone wzgórza, tu tatarski *Moschee*" (ma znaczyć zapewne meczet). Niepotrzebnie też góry krymskie (Jajła) nazywane są „Jarla."

Życzyćby należało, żeby ilość błędów mogła być zmniejszoną, nie wytaczamy ztąd wszakże surowego oskarżenia przeciwko redakcyi, ponieważ pismo peryodyczne służy tylko do pobieżnego odczytania, a żadne dziecko nie będzie go używało do nauki. Usterki te zacierają się licznemi zaletami, a szczególnie rozmaitością treści, zacną dążnością i ciepłém uczuciem, wiejącém z każdéj niemal karty na serca młodociane.

Tadeusz Korzon.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Wcielenie Inflant do Litwy i Polski 1558—1561 roku; napisał Stanisław Karwowski D-r filozofii, w Poznaniu 1873, str. 112.

Zależało znać wiele autorowi w rozprawy rozwoju dalszym, na tém kategoryczném określeniu już w samym jéj tytule, iż „wcielenie," o którém ma mówić, wpierw nim Inflanty przez Litwę weszły do jednéj spójni z Rzeczpospolitą, do nabytków wyłącznych Litwy, zaliczać się było powinno, czyli do prowincyi dotychczas z nią unią jedynie osobistą i administracyjną złączonéj; powtóre, iż nie chodziło to na podobieństwo następnie przywrócenia do dawnéj swéj jedności ziem pruskich za Kazimierza Jagiellończyka, o wcielenie dzielnicy pobratymczéj, lecz zasiedziałéj od trzech wieków nad Baltykiem, ongi przez kawalerów mieczowych założonéj „kolonii niemieckiéj," nateraz bez poparcia ojczystéj Germanii, między trzema wrogiemi potęgami o własnéj sile utrzymać się niezdolnéj. W tymto sposobie przedstawia się nam idea przedewszystkiém ze źródeł swéj szkoły niemieckiéj, przezeń poczerpniona. Nie brał wprawdzie za cel pisma, rozwijanie obojga kategoryj w dowodach; ale w przytoczonych dowodach, do ciągu rzeczy potrzebnych, każe im, jak najwyraźniéj przeświecać. Więc téż nie ośmielilibyśmy się pracy jego, za przyczynek do dziejów ojczystych właściwie poczytać: raczéjbyśmy w tém jego usiłowaniu dopatrywali cele ujemne, z zasadami dotychczas nam znanemi sprzeczne: szkoła niemiecka w mnóstwo niespodzianek podobnych obfitująca i idea czysto niemiecka, chętnego znowuż pozyskująca krzewiciela.

Mając pod ręką niniejsze wypracowanie p. Karwowskiego, nie możemy na chwilę spuszczać z uwagi rozprawy J. N. Romanowskiego na kilkanaście lat przedtém pomieszczonéj w Rocznikach Towarzystwa nauk poznańskiego (w tomu 1-szym od str. 329 do 401) pod napisem: *Wojna Zygmunta Augusta z zakonem inflantskim r. 1557:* przedmioty obojga bowiem rozpraw, w bezpośrednim są z sobą związku, a zasady, z których wychodzi praca poprzedzającego pisarza, na takim gruncie się opierają, iż śmiało do téj pracy odwołać się godzi

w każdym razie, ilekroć pisarz poźniejszy podsuwa nam wyobrażenia obce z rzeczywistością, jaka udowodnić się daje, niezgodne.

Nie potrzeba już o tém mówić, iż do wielorakich autentyków krajowych należy dopełnienie całéj przeszłości dziejów nadbałtyckich, które najnowszego badacza, zdają się bynajmniéj nie obchodzić. U niego plemiona tubyłe, od kilku wieków napływowym orężem niemieckim, pod względem krzewienia wiary chrześciańskiéj, wytępione, do rachunku wcale prawie nie wchodzą. Taki mały ustęp o powstaniu chłopów inflantskich, jakby od niechcenia (od str. 66) i nawiąsem kreślony, bardzo niedostateczny wyjątek stanowi. Pierwszy lepszy z innego zasadniejszego źródła wzięty przykład, mówi o rzeczach w rozprawie p. Karwowskiego bez uwzględnienia pomijanych. Przytoczmy tu pobieżnie kilka słów z księgi 16 *Dziejów Rzeczpospolitéj* przez Moraczewskiego: „Biskupi i krzyżacy ochrzcili te kraje, w rządzie i po miastach zniemczyli, lecz u ludu tak w Estonii, jak w całych Inflantach ocalały języki krajowe czuchoński i łotycki, a nawet chrześciaństwo puściło nie do głębi korzenia, gdyż duchowni niemieccy dumni ze swéj narodowości, mało się zajmowali w niewolę zakutym mieszkańcem wiejskim" (t. 4, str. 214). Wzmiankowany dopiero Romanowski, od tego pojęcia zaczyna swą rozprawę, iż „wojna Zygmunta Augusta z zakonem inflantskim, jest w swych następstwach ogniwem, łączącém losy krainy Inflantskiéj z losami Polski." Cóż dokładniéj wyrozumianego natomiast podstawią nam autor rozprawy: *O wcieleniu Inflant do Litwy i Polski?* Trochę téj erudycyi ze źródeł niemieckich na teraz, od niejakiego czasu przynajmniéj, stających się dla nas monetą zdawkową. Bo widzimy to z przytoczeń, iż miał wprawdzie niekiedy pod ręką pomnikowe studyum Hylzena pod napisem *Inflanty*. Małymto dla niego zasobem taki materyał krajowy: woli źródła bliższe na chwilę dla siebie, ich skazówki pewniejszą stają się dlań rękojmią. Więc zbacza i na źródła ojczyste ogląda się już tylko niechętnie.

Od takich głównych pobudek zaczyna właśnie swą przedmowę do dzieła. „Myśli w pracy niniejszéj rozwinięte, rzucił on już był w rozprawce inauguralnéj:" *De Livonia imperio Sigismundi Augusti regis Polonorum subjecta* r. 1870. Pochlebne ocenienie téjże „przez fakultety filozoficzne w Hali i Wrocławiu, zachęciło go do głębszego zbadania ustępu dziejów, który sobie obrał za przedmiot studyów." Czemużby nie mógł był wprost powiedzieć, iż studya swe zwraca ku temu celowi, ażeby, nie ograniczając się do jednego wyjątkowego przedmiotu „wojny Zygmunta z zakonem," stanowiącego zakres badań poprzednika swego (Romanowskiego), uzupełnić obraz stanu Inflant przed wojną i po wojnie? Wszakże potrzebę tę wskazywał sam przedmiot, niezależący jedynie na dołączeniu szczegółu do szczegółu; ale prawdopodobnie mający się okazać wkońcu niedostatecznie wytraktowanym, dopókiby nie zawarł sobie względu tak żywotnego, jak obrazu plemienia, które od wieku do wieku uczuwało nad sobą

ucisk zwierzchności narzuconéj, ucisk, jako bodziec największy do zrzucenia z siebie jarzma, przy pierwszém widoczniejszém zachwianiu się w podstawach zakonu nienawistnego. W tym surowym stanie, jak nam rzecz swą przedstawia p. Karwowski pomimo całéj biegłości pisarskiéj i ozdób stylu niezaprzeczonych, trudno jest nam poprzestać na dwóch kategorycznych wnioskach wyżéj wymienionych, a jakoby według jego założeń, mających się uważać za pewne, przy tém dorywczém nawet na nie wejrzeniu. Jakoż przywiedziemy tu na dowód kilka następnych w téj treści jego orzeczeń (*str. 61*).

„Oddał się mistrz wraz z całym podlegającym mu krajem w klientelę i opiekę króla polskiego, z dodatkiem: *non derogando Sacri Romani Imperii directo Dominio.* W zakład ustępowano królowi całego kraju, który się ciągnie od granic Litwy wzdłuż rzeki Dźwiny aż do Aszeradu, z wyjątkiem tego grodu z przyległościami, położonych po obudwóch brzegach Dźwiny. Zajmował król, oprócz tego zamki pod tym warunkiem, że *Inflantczycy, przechodzący pod rząd (?) W. X. Litewskiego*, pozostaną przy swych prawach i przywilejach."

Str. 62. Był to początek upadku wolności i samodzielności Inflant. (tego już zanadto!) Inflantczycy uczynili ten krok stanowczy z przymusu, bo *ich ojczyzna niemiecka* opuściła ich... *Po drugi raz niemieckie kolonie nie znalazły w Niemczech podpory...* (Czy pod taki tytuł podciągnąłby następnie ziemie pruskie, dzierżone przez krzyżaków za panowania w Polsce Kazimierza Jagiellończyka?)

Str. 63. Zastanawia, dlaczego (Zygmunt August) poprzestał na zajęciu tylko południowych Inflant: już raz przecież żałowano, że wypuszczono z ręki sposobność opanowania całego tego kraju, a żal ten odźwierciadla się w słowach Bielskiego: „Bardzochmy tedy sobie nieprawi, żechmy tego nieuczynili: zaczymechmy one (Iflanty) ku zgubie, a Rzeczypospolitéj ku zatrudnieniu przywiedli."

Jakże pogodzić z owém pojęciem o koloniach niemieckich, tracących przy tém poddaniu swą samodzielność, z mimowolném potrąceniem przez autora o krajowców rzeczywistych, gdzie, mówiąc o powstaniu chłopów (str. 67), wyraża się sprzecznie: „Okropne było położenie tych ludzi w Inflantach: uciskani i wysysani przez szlachtę niemiecką, nie mogli nawet uskarżyć się nikomu *biedni potomkowie Łotyszów i Estonów?*" *str. 68* „Nienawidzili z całego serca swych niemieckich panów, którzy pozbawili ich własności i wolności."

A pod względem idei przechodzenia pod rząd W. Ks. Litewskiego, zanotujmy takie znów mimowolnie dobywające się u niego na jaw sprzeczności. str. 86. „Więc i Litwini zaczęli uznawać, że trzebaby wspólnemi siłami bronić Inflant, ale Polacy, pomni przechwałek litewskich, trzymali się z dala, *udając, jakoby sprawa inflancka ich się nie tyczyła.*"

Konkluzya najwalniejsza w duchu nadmienionéj wyżéj propagandy obcéj idei na dobie (str. 104). „Dziwna rzecz, że po trzystu

latach od owych wypadków, *Niemcy w Inflantach* zwracają wzrok błagalny na ów dom brandeburgski i t. d.

Ostatecznie więc już tylko, co do wyosobnienia samodzielnych rządów Litwy, nie da się pogodzić i takie tłumaczenie myśli Zygmunta Augusta (str. 108): „Potrzecie, szło Zygmuntowi o to, aby Polacy czynny mieli udział w handlu bałtyckim i wywozili na własnych okrętach towary do obcych krajów, *omijając wszelkie pośrednictwo*."

Pokazuje się ztąd, że jakiekolwiek ukryte zamiary władnęłyby piórem naszém; same fakta, dobyte na jaw, rzecz niewłaściwie nadciągniętą, obalają w zasadzie.

A przecież i z dowodów skupionych w tém *dwukrotnie przerabianém i dorabianém pisemku* (dorabianém zaś, można powiedzieć spiesznie, a przez to nieraz i niedokładnie), wiele posłużyć może do wyjaśnienia kwestyi, ponownie jeszcze kiedyś zawiązać się mogącéj. Nie ulegają one zaprzeczeniu tak w obecnéj rozprawie, jak w rozprawach innych znajomych.

Z. K.

Na Pochyłości. Powieść w dwóch tomach, napisał Bolej Krut (Edward Lubowski). Warszawa, 1874 r.

Nasze pokolenie najmłodsze już dziś prawie nie wierzy, by kiedy mógł istnieć świat, któryby nie znał kolei żelaznych, telegramów, fotografii i t. p. Wszelka nowość, wszelka największa nawet niespodzianka w rozwoju rzeczy wydają się z czasem proste, konieczne i naturalne. Ileż podobnie co dnia otacza i spotyka nas szczegółów, które nam wszystkim równie zdają się i proste i naturalne, a które jednak długo i nader długo miejsca nie miały. Nie wyszukując daleko weźmy np. i ten objaw, który w téj chwili mamy przed sobą: *powieść*. Biegły wieki, biegły literatury, a świat nie znał i nie czytywał powieści. A dzisiaj? dziś niéma podobno kraju, a przynajmniéj niéma literatury, w którejby z każdym rokiem, miesiącem, i zaledwie nie dniem nie ukazywała się nowa powieść, powieść oryginalna. Téj nowości, takiego zjawiska, jakiż być może powód? Cokolwiek jest, nie bez powodu jest, tém samém i nie bez celu. Być może, iż celem tym jest stopniowe uzdolnianie pojęcia ludzkiego do rozwikływania harmonii w odmętach i mętach przygód? być może, iż stwarzanie narzędzia do powszechniejszego działania na rodzaj myśli i uczuć? Jakbykolwiek być miało (rozbiór kwestyi téj nie jest wcale tą razą naszém zadaniem), gdy jednak fakt tych granic i takiéj treści tém więcéj być nie może bez swoich celów, tedy i zatrzymanie się nad każdéj téj treści szczegółem nie może być zbytniém.

Mamy właśnie przed sobą jednę z najnowszych powieści naszych, a która nietylko jest nową, ale zarazem z zadania i wykona-

niaiowych obu celów, o których powiedzieliśmy, jest niejako wyrazem, nietylko bowiem jak wszelka inna jest kreśleniem przygód, ale jak wskazuje jéj napis, ma za przedmiot i pewną przestrogę moralną.

Przytoczymy tu w kilku słowach tę treść i objaśnimy bliżéj jéj cel i dodamy zarazem parę praktycznych uwag o jedném i drugiém. Powieść *Na Pochyłości* nie jest to, mówiąc właściwie, powieść psychologiczna, historyczna lub fantastyczna; jest zaś, jak największa część dzisiejszych naszych powieści, towarzysko-praktyczna, t. j. jest kreśleniem i odbijaniem dziejów i scen nam spółczesnych, familijnych, potocznych. Treść jéj jest w głównych rysach następna:

Rzecz się dzieje w okolicach nad Sanem w Galicyi. Główną rolę w obrazie gra dom niejakich państwa *Ślizgalskich*, a mianowicie córka ich *Felicya*. P. Ślizgalski był to szlachcic zamożny, ożeniony z osobą zamożną, a otoczony wkrótce liczną rodziną, prowadził dom otwarty, gościnny, nader gościnny, nie zważał na wydatki, pożyczki (te mu ułatwiał zawsze najchętniéj, Rotszyld okolicy, żyd *Silberberg*) i nie spostrzegł się pierwéj, aż kiedy dobra jego zostały wystawione na sprzedaż i kiedy za dni kilka miał już tylko zostać właścicielem licznéj rodziny. P. Ślizgalski był zrospaczony, jednak nie pani Ślizgalska; od niejakiego bowiem czasu częstym gościem w ich domu i starającym się jawnie o rękę ich córki Felicyi, był bogaty ich sąsiad baron *Wetter*. Ten baron Wetter pochodzący z familii od wieku już osiadłéj w Galicyi, ale z wychowania trochę Anglik, młody, przystojny i który „piérwszy w okolicy zaprowadził był gospodarstwo postępowe“ był przedmiotem zabiegów i admiracyi wszystkich matek i córek; nie miał szczęścia podobać się jednak Felicyi, czemu? podobał się jéj bowiem był raczéj młody dzierżawca sąsiedniéj wioski *Henryk Modlicki* „otwartością rozmowy, spokojem wewnętrznym“ oraz „obejściem skromném, pełném godności.“

W sąsiedztwie państwa Ślizgalskich śród innych domów znajdował się téż dom *Księztwa M.* Książe M. poślubił był już od lat kilku młodą osobę hrabiankę „olbrzymiego posagu, piękną, pięknością arcydzieł greckiéj sztuki“, „u stóp któréj rój najświetniejszéj w kraju młodzieży składał daremnie ofiarę ognistych spojrzeń.“ Nie objaśnia autor szczegółowiéj powodu, lecz faktem było, iż w bogatym i pięknym pałacu księztwa M. sam książe zajmował jedno jego skrzydło, a księżna drugie i że nie widywali się z sobą, chyba w domach obcych, oddając wspólne wizyty. Przyczyną tego faktu nie był jednak bynajmniéj brak czulszych serc w piersiach księztwa, i owszem. Książe w swém pałacowém skrzydle przyjmował co dnia piękność, dla któréj utracał rozum; księżna także codziennie miłego młodzieńca, którego od piérwszéj wizyty upoważniła sama do tego kroku. Kochanką księcia była żona kamerdynera jego *Marysia*, kochankiem księżnéj ów skromny sąsiad państwa Ślizgalskich, Henryk Modlicki. Te umizgi nie były wielką skrytością. Księztwo dobrze wiedzieli o swych wzajemnych miłostkach i radzi im byli, bo nie

mogli sobie nawzajem czynić wyrzutów. Głuche wieści zaczęły tém więcéj krążyć po okolicy, krążyły w lewo i w prawo i doszły z kolei i do domu państwa Ślizgalskich do uszu Felicyi, i to właśnie w dzień kiedy w wigilią straty majątku po formalném oświadczeniu się barona, matka nagliła córkę o odpowiedź przychylną. Felicya nie cierpiała barona, lecz urok zemsty i nadzieja poratowania rodziców sprawiły, iż uczyniła zadość życzeniu matki.

Młodzi baronostwo nie mieszkali jak księztwo w oddzielnych skrzydłach. Felicya usiłowała owszem być dobrą żoną, lecz baron żądał iżby była i z oczu szczęśliwą, iżby się okazywała zakochaną wobec ludzi; Felicya kłamać nie mogła i nie umiała, i jednego pięknego poranku (stosownie do zapowiedzianéj groźby barona) rodzice jéj usunięci z majątku, wykupionego przez zięcia, znaleźli się z całém licznem rodzeństwem, w poblizkim miasteczku, na bruku. Pani Ślizgalska nie przeżyła téj zmiany bytu. Felicya, która w tym czasie powiła córkę, zaledwie przyszła do zdrowia, pożegnała męża karteczką i przeniosła się z dzieckiem do ojca. Baron wrócił był właśnie wzburzony z sąsiedniego jarmarku, gdzie mu sąsiedzi publicznie usunęli rękę, a nie znalazłszy żony, po odczytaniu jéj kartki, padł tknięty apopleksyą i skonał.

I w sąsiedztwie zaszły w tym czasie zmiany. Henryk, który po poznaniu Felicyi zerwał był z księżną i udał się był potajemnie do dalekiego stryja, aby wyjednać pomoc dla Ślizgalskich; wróciwszy znalazł Felicyę mężatką, księżnę w suchotach i przeprowadził ją za granicę do Drezna. Nie poratował on księżnéj, ale w téj wędrówce natrafił na zbiegłą córkę zrozpaczonego Silberberga uroczą *Goldę*, którą był wykradł i uwiózł szuler Walery, i wrócił ją ojcu. Księżna umarła z suchot, książe z szaleństwa; stryj Henryka p. Szczęsny z wieku, a Henryk po utracie kochanek, a po odziedziczeniu niespodzianie wielkich dóbr stryja (który własnego wyrodnego syna usunął był od dziedzictwa), mógł się zająć i zajął urzeczywistnieniem swych mar młodzieńczych; ustanowił stypendya dla uczniów, zakładał towarzystwa ekonomiczne, wznosił postępowe gospodarstwo rolne, a gdy następnie po wyjaśnieniu przeszłości, poślubił dawną kochankę, złączenie fortun dopomogło oczywiście tém więcéj wprowadzaniu w czyn ideałów.

Prócz tych głównych postaci i szczegółów jest téż i wiele innych w powieści, a wspomnimy tu tylko jeszcze o dwóch i o ogólnym wniosku autora. W jednym z rozdziałów znajdujemy charakterystyczny obraz dwóch Niemców, t. j. dwóch spekulantów na dobra w Galicyi, ze środka Austryi przybyłych, a nader pochopnie tu przyjętych; w opisie zaś ostatniéj uczty weselnéj znajdujemy następny szczegół: do biesiadnego stołu zaproszonym był przez Henryka między innemi i żyd Silberberg, który co chwila usiłował dawać Henrykowi dowody wdzięczności za okazane spółczucie dla jego córki żydówki; a gdy Henryk zawiadomił spółbiesiadników o złożonym na jego

ręce dobroczynnym zapisie Silberberga, uczynionym zarówno na rzecz żydów i chrześcian, jeden ze spółbiesiadników rzekł: „więcéj takich Izraelitów dobréj woli i ochotnego czynu dla bliźnich bez różnicy wyznania, a znikną między nami przedziały.“ „Ja zaś dodam, odezwał się drugi, więcéj dobréj woli i z naszéj strony.“ W konkluzyi wyraża autor, iż zdaniem jego, jedynym ratunkiem dla prowincyi, której byt określał (Galicyi) jest: działać przeciwko wywłaszczeniu przez przybyszów, jednoczyć się z miejscową liczną spółspołecznością (światem starozakonnych), a nadewszystko zamiast trzymania się tylko rutyny gospodarskiéj, dodawać do niéj postępną pracę we wszystkich szczegółach ekonomii i że „w ten tylko chyba sposób dźwignąć można społeczność, która jest dzisiaj *Na Pochyłości*, aby nie wpadła w przepaść“.

Taka jest treść téj powieści, treść, jak widzimy, z zadania a zwłaszcza z jawnego objaśnienia autora, dodatnia, a wykonanie jéj wiele ma zalet.

Co do wykonania, aby być zupełnie bezstronnym, powiedzmy jednak, iż początek powieści téj nieodpowiada jéj zakończeniu. Autor, który w teoryi swojéj uczy postępu, jest tu rzec można i wykonawcą swéj reguły, t. j. iż powieść ta zrazu w swéj akcyi słaba, następnie dopiéro staje się żywszą, harmonijniejszą, a w końcu (za koniec ten uważamy całą obszerniejszą część drugą) staje się i żywotną i piękną i bez zarzutu. Zbytnie natłoczenie figur i scen w pierwszych rozdziałach powieści, sprawia: iż stosunkowie i charakterystyka ich i ogólna akcya nie dosyć są rozwinięte, wciskany humor nie wydaje się nam nadto wszędzie humorem; ztąd zaś idą niejasność postaci, niejasność ich sytuacyi, więc brak przejęcia się niemi, brak interesu. Na ten początek przypada jednak właśnie i pierwsza charakterystyka głównego bohatéra powieści i ta więc od ujemności téj nie jest wolną.

Na szczegół ten zwracamy tu uwagę i dlatego, iż ta nie do téj tylko jednéj z ostatnich powieści naszych, odnieść się może.

Uważaliśmy, iż w kilku najnowszych powieściach naszych, zdolniejszych piór, za głównych i szczęśliwych bohatérów powieści i romansów stawione są jednostki górujące nad inne pracą i umysłowém ukształceniem; kreślenia te nietylko są z pomysłu dodatnie, ale też zgodne z prawdą. Rozum jest odróżnieniem człowieka od istot niższych, a smak płci pięknéj obdarzonéj instynktem tkliwszym, tém trafniéj odróżniać umié rzetelność zalet; lecz aby typ śród sztuki był godnym sztuki, winienby (chociaż o tyle, o ile) i cechy mieć artystyczne: być ideałem. Tymczasem w powieściach tych za te duchowe ideały zawracające głowy i serca świetnym pięknościom znajdziemy zwykle młodzieńców, których duchową zaletą całą jest: iż ukończyli gdzieś klas kilka, iż trzymają niekiedy w swym ręku książkę, iż pożyczają książki; gdyby przynajmniéj autorowie tych kreśleń głębiéj też określali duchowe tło tych kochanków, głębiéj i szczegółowiéj

historye wrażeń i uczuć tych kochanek, ale to wszytko zostaje na stopniu przypuszczeń i domysłów samego czytelnika, które znowu śród różnych czytelników mogą być różne.

Zarzutu tego nie możemy, jak to widział czytelnik, stosować literalnie do przedstawienia bohatéra w obecnéj powieści; z jéj zakończenia widzimy, iż instynkta Felicyi co do ocenienia swego kochanka usprawiedliwione zostały; lecz jak to widzieliśmy także, czytelnik nie zna go do pół tomu i prawie do kart ostatnich. Księżna M. przeniosła go „nad rój najświetniejszéj młodzieży“, czemu? „Henryk miał twarz szlachetną i piękną“, objaśnia autor. Lecz osoba, która od piérwszéj wizyty kazała mu być jawnym amantem, a więc uczyniła propozycyą tak nieszlachetną, wątpić trzeba iżby to uczyniła przez namiętność dla szlachetności. Rysunek więc bohatéra w powieści, co najmniéj nie jasnym jest, a jako taki ujmuje obrazowi effektu, krzyżuje cele.

Toż prawie rzec téż wypada i o ogólném zadaniu powieści, jéj dydaktycznéj barwie. Dydaktyczno-ekonomiczne lekcye są zapewne u nas nader na dobie, nader są pożądane, ale treść powieściowa gdyby się istotnie stać miała dydaktyczną, skuteczną, powinnaby się rozwijać od początku do końca w obrazach, charakterach, rozmowach, uwagach, zgodnych z jéj celem. Mamy właśnie w literaturze naszéj niedawną powieść z podobną barwą i która pod tym względem jako dobitny wzór może być postawioną. Powieść ta ma za zadanie wskazać, iż jednym z warunków postępu w naszéj ekonomii społecznéj, jest zmiana z gruntu stosunków panów do oficyalistów i oficyalistów do panów, a z tym celem i założeniem wszystkie właśnie działające w téj powieści figury, rozmowy, wypadki, w zupełności są zgodne (*Oficyalista*, powieść Adama Pługa. Warszawa, 1872. T. III). Otóż tego koloru, tych cech, nie widzimy w powieści *Na Pochyłości*. Powieść ta ma za zadanie skreślenie ujemnego stanu danéj prowincyi i przepisanie na to lekarstw, szczegóły jednak kreślonych w niéj postaci, wypadków, uwag, nie zostają wcale w ścisłéj harmonii z celem jednym i drugim. Z wyjątkiem dwóch owych figur spekulantów na dobra, których rola jest nader krótka i nawiasowa; wszystkie inne obrazy figur, sytuacyi, wypadków, kreślone wady i ułomności, nie łączą się w niczém ze specyalnością danéj powieści, ale są to obrazy, ułomności, wady i t. p. ogólno-ludzkie. Jako lekarstwo na podźwignienie z upadku prowincyi, podaje autor, opieranie się napływowi przybyszów, szczere zbliżenie się klas, rozumowany przemysł, moralną pracę: są to porady istotnie i trafne i nader słuszne; czy jednak praktyczne lekcye autora w obrazach zgodne są z tą teoryą? W powieści jest istotnie rozumniejszy ekonomik p. *Młodek*, ale wziętym jest za przedmiot ironii; pan baron, który jak mówi autor, „piérwszy w okolicy zaprowadził gospodarstwo postępowe“ i książe M. człowiek ekonomicznie rządny, o którym sam żyd Silberberg wyraża się, iż „to bardzo rozumny pan“, skreśleni jako typy

ujemne; wychowana przez tegoż Silberberga postępowie i w celu „zbliżenia klas“ córka jego Gołda skończyła na ucieczce z szulerem. Te wszystkie figury działające właśnie zgodnie z lekcyą autora przeciw „pochyłości,“ dlaczegoż obrane zostały za reprezentantów „pochyłości?“

Takie są według nas strony ujemne obecnéj powieści, ale boimy się, czy śród téj trwogi naszéj o stronność i śród trosk o ideały, dodatności i pochyłości, nie znajdujemy się i sami w sądzie naszym na pochyłości. Autor téj powieści jest nieraz, jak wiadomo, mistrzem w kreśleniu i charakterów i dyalogów, jest nim nieraz, i owszem najczęściéj i w obecnéj powieści.

Skończmy więc raczéj i powiedzmy krótko: powieść obecna *Na Pochyłości* pana Bolej Krut, jest śród najnowszéj naszéj literatury jedną z piękniejszych powieści naszych, tak z celu, jak pióra.

X.

Geld und Credit.—Erste Abtheilung: Das Geld; Darlegung der Grundlehren von dem Gelde mit einer Vorerörterung über das Kapital und die Uebertragung der Nutzungen, von Carl Knies, Professor der Staatswissenschaften zu Heidelberg. Berlin, 1873. Str. 344.

Pieniądz i kredyt. Część pierwsza: Pieniądz; wykład teoryi o pieniądzu ze wstępem o kapitale i przenoszeniu użytkowania przez Karola Knies, professora nauk państwowych w Heidelbergu. Autor zapowiada we wstępie do swéj książki, że w dalszym ciągu ogłosić zamierza rozbiór całéj teoryi kredytu, ztąd to w obecnie wydanéj części znalazły się dwa pierwsze rozdziały o kapitale i o przenoszeniu użytkowania, które do nauki o pieniądzu nie należą.

Kapitał określa Knies jako zbiór znajdujących się w sferze gospodarczéj pewnéj osoby dóbr przeznaczonych bądźto na spożycie, bądź téż do dalszéj produkcyi, które zachowane zostają dla zaspokojenia potrzeb w przyszłości. Pod dobrami rozumie tylko przymioty materyalne, poza naszą osobistością leżące, a więc zupełnie słusznie zbija błąd, jakoby do kapitału zaliczyć się dały nasze przymioty osobiste, daléj rzeczy niematerialne jak państwo i t. p. Kapitałem więc nie będą wiadomości, kwalifikujące kogoś na nauczyciela, rzemieślnika i t. p. Ekonomia polityczna bada tylko stosunki gospodarcze człowieka, poza zakres dóbr zewnętrznych, materyalnych nigdy wychodzić nie powinna, podciąganie więc przedmiotów niematerialnych pod pojęcie kapitału, jest błędném rozszerzaniem zakresu ekonomii politycznéj.

Ale w definicyi Kniesa znajdujemy jeszcze jeden punkt, na który baczną uwagę zwrócić musimy. „Kapitałem są wszystkie dobra zachowane dla zaspokojenia potrzeb w przyszłości.“ Dotychczas ekonomiści w trojaki sposób rozumieli kapitał: albo jako zasób dóbr przeznaczonych do produkcyi, to jest określenie zwykłe, tak jak je dał Adam Smith. Albo jako zasób dóbr, bez względu na to czy one użyte będą do produkcyi lub nie, w ogóle bez względu na ich przeznaczenie: to jest definicya Maccullocha. Albo wreszcie jako środek do produkcyi, bez uwzględnienia momentu zbierania zasobu, zaoszczędzania: tak kapitał rozumie J. Stuart Mill. Knies nie zgadza się na żadną z tych definicyj; sądzi, że na posiadanie główny nacisk położyć trzeba, a z drugiéj strony na użycie tych dóbr nie do zaspokojenia potrzeby obecnéj, ale potrzeby w przyszłości, bez względu więc na to, czy zasób dóbr, obecnie w posiadaniu jednostki gospodarującéj się znajdujący w przyszłości do produkcyi zastosowanym, czy też w przyszłości zużytym, skonsumowanym zostanie. Knies sądzi, że jeżeli ktoś jednego dnia posiada trzodę bydła, drugiego w miejsce bydła domy, daléj znów pieniądze, a wreszcie galeryą obrazów; to nie można powiedzieć, że człowiek ten raz jest kapitalistą, drugi raz nim znów być przestaje, w miarę tego czy ciągnie dochody, lub nie; nie przestaje być posiadaczem, a więc przez cały ten czas jest też kapitalistą.

My z naszéj strony sądzimy, że jest to spór o wyraz. Zapewne, że każdemu wolno powiedzieć, iż pod wyrazem kapitał rozumie to a to; jeżeli pozostanie konsekwentnym i tak tylko wyrazu tego używać będzie, nikt mu z tego zarzutu nie zrobi. Ale wyrazy w nauce o ile możności w tém samém znaczeniu brać należy jak i w życiu codziennem; rozumiemy zazwyczaj pod kapitałem zasób dóbr, które nam dochód przynoszą, a więc i w nauce oba te punkta uwzględnić należy, a wtenczas dojdziemy do definicyi, jaką już Adam Smith podał. Powiadamy, że jest to spór o wyraz. Zupełnie jest co innego, jeżeli np. różnie pojmować będziemy wartość; tu idzie o wyjaśnienie pojęcia istniejącego, o oznaczenie jego natury. Przy polemice Kniesa spór się toczy o to, czy to, czy też inne pojęcie, co do natury którego nie ma wątpliwości, oznaczyć wyrazem kapitał. Sądzilibyśmy, że nie warto temu poświęcać 56 stron pisanych językiem ciężkim, który właściwość Kniesa stanowi. Zarzut, że jeżeli ktoś jednego dnia ma domy, drugiego galeryą obrazów i t. d., to nie można powiedzieć, że raz jest kapitalistą, drugi raz nim być przestaje, jest niesłusznym. Podług samego autora, jeżeli ktoś jednego dnia ma brzęczącą monetę a drugiego papiery kredytowe, to o nim powiemy, że raz ma pieniądze, drugi raz ich nie ma. Tak samo można powiedzieć, że gdy ktoś zasobów dawnych do produkcyi użyje, posiada kapitał, a gdy je na spożycie, choćby w przyszłości przeznaczy, kapitału nie ma, a tylko wartość, stanowiącą część jego majątku.

W rozdziale drugim mówi autor o przenoszeniu użytkowania w razie, jeżeli sam przedmiot przy dawnym właścicielu pozostaje. Przedewszystkiém poddaną tu jest rozbiorowi natura pożyczki. Przy niéj rzeczy zamienne stają się własnością dłużnika, nie wychodząc z majątku wierzyciela. W skutek tego powstaje obok dóbr, które własność naszę stanowią, zbiór dóbr, który się tworzy przez to, że doliczamy do dóbr które są naszą własnością, te które od innych żądać możemy i które też w przyszłości dostaniemy, a że z drugiéj strony odliczamy te, które my iunym oddać musimy. Ten to zbiór dóbr stanowi nasz majątek, a tak majątek i własność stanowczo rozróżniać musimy.

W rozdziale III mowa jest o pieniądzu.

Dobra użytkowe przy całéj ich różności materyalnéj służą do zaspokojenia jednego i tegoż samego zakresu potrzeb ludzkich; w skutek tego odnośnie do stopnia, w jakim tym potrzebom czynią zadość, zyskują wartość, a ta stanowi podstawę wzajemnéj ich wymiany. Tak samo wytwarza się wartość szlachetnego kruszcu, z którego wyrabianym jest pieniądz; kruszec wchodzi w sferę wymiany podobnie jak każdy inny przedmiot: szczególne jego własności, jak łatwa podzielność, niezmienność pod wpływem kwasów i t. d., wpływają na przyjęcie go za miernik wartości. Pamiętać jednak należy dokładnie o tém, że pieniądz tylko dla tego może być miernikiem wartości, iż samą wartość posiada, iż szlachetny kruszec zaspakaja inne jeszcze potrzeby człowieka, prócz téj, że z niego wyrabiają się pieniądze.

Widzimy tu oparcie wartości na własności przedmiotów zaspakajania naszych potrzeb. Czy w ten sposób dą się wyjaśnić pojęcie wartości, o tém wątpimy, ale w dalszy rozbiór wdawać się nie chcemy, gdyż wiadomo, że zgody co do tego, co pod wartością rozumiéć, niema, i że wielu ekonomistów bierze użyteczność za podstawę wartości.

W dalszym ciągu znajdujemy rozbiór kwestyi, czy szlachetne kruszce rzeczywiście potrzebne są do ułatwienia wymiany, czy manipulacye kredytowe nie są w stanie w zupełności zastąpić pieniędzy metalowych. I znajdujemy odpowiedź: tylko dlatego w danym razie nie koniecznie użyć potrzeba złota lub srebra przy wymianie, że równocześnie istnieją pieniądze złote i srebrne, w których wartość dwóch dóbr da się oznaczyć; tylko przez to wszelkiego rodzaju kompensacye, cessye, rachunki bieżące i t. d, są możliwe.

Co do samych papiérow kredytowych, czeków, weksli, banknotów i t. d., to te upoważniają posiadacza do żądania pewnéj summy pieniędzy; kto je przyjmuje i uważa dług dawniéj powstały za umorzony, ten bierze je tylko w miejsce zapłaty, ale one pieniędzmi nie są; miernikiem wartości pewnego dobra jest tylko wyłącznie summa pieniędzy odpowiedniéj wartości; na mocy papieru kredytowego summy téj żądać można, ale on sam pieniądzem nie jest. Cały nacisk

położyć można na stosunek wierzyciela i dłużnika, tak się działo w prawie rzymskiém; odwrotnie znów zwrócić można przedewszystkiém uwagę na przedmiotowy stosunek bez względu na osoby: tak się dzieje w naszych stosunkach handlowych. Ale w każdym razie papiér ten oznacza tylko żądanie pewnéj summy pieniędzy, jako pieniądz uważać go nie można.

Te dwa pojęcia dadzą się przez to także zbliżyć do siebie, że pieniądz metalowy oznaczy się jako dowód przekazowy na pewien zasób dóbr, jako rękojmię, że się otrzyma dobra, których się żąda w miejsce tych, jakie się do wymiany oddało. Przy takiém pojęciu znaczenia pieniądza zatraca się jego charakter jako samoistne dobro z właściwą wartością. Pieniądz jednakże nie da się uważać za dowód przekazowy. Złoto i srebro tak samo się wydobywa z ziemi jak węgle, drogie kamienie i t. d. Złoto i srebro oddaje się w zamian za węgle, tak samo jak węgle się dadzą wymieniać na szlachetny kruszec.

Niema tu osoby dającéj przekaz, osoby, na którą tenżeby był wystawiony, przedmiotu, na jaki przekazby był dany. Podstawą przekazu jest przyjęcie osoby, czasu i miejsca, przy których przekaz się kończy; ten warunek znosi zaś pojęcie ciągłego środka obiegowego, które do pieniędzy przywiązujemy.

Papiéry kredytowe nie są zatém pieniędzmi, pieniądze przekazami na pewną ilość dóbr, jak to twierdził ekonomista angielski Henry Dunning Macleod.

Knies zbił błędne to zdanie, które jednakże coraz więcéj wyznawców znajdowało, w sposób bardzo jasny i tę część jego książki obok téj, w któréj zbija zdanie Wołowskiego, co do waluty podwójnéj, uważamy za najlepszą i najważniejszą.

W dalszym ciągu znajdujemy rozbiór funkcyj, jakie spełnia pieniądz. Wartość mojéj posiadłości ziemskiéj mogę oznaczyć w pieniądzach, a wtenczas pieniądz wystąpi jako miernik wartości. Mogę sprzedać tę posiadłość i kupić dom, pieniądz będzie wtedy środkiem wymiany. Otrzymane pieniądze mogę użyć na spłacenie długu: odegrają one wtedy rolę środka zapłaty. Pieniądze te mogą mi téż służyć do tego, żeby wartość mojéj posiadłości ziemskiéj przechować podczas zawichrzeń lub przesileń: staną się wtenczas przechowaczem wartości. Wreszcie mogą miéć dla mnie znaczenie środka do uruchomienia wartości gruntu.

Klassyfikacya ta nie ma żadnego praktycznego znaczenia, Knies poświęca jéj zaś znów 49 stron. Zresztą sama zasada podziału nie zawsze jest pewną; nie da się, np. oznaczyć żadnéj granicy, gdzieby się kończyła rola pieniędzy, jako środka wymiany, a zaczynało się ich użycie, jako środka zapłaty.

Zapłata następuje także celem umorzenia zobowiązania dawniéj zaciągniętego, a więc jest wymianą pewnych usług na pieniądze. Nie ma żadnéj istotnéj różnicy między tém, czy za otrzymane pie-

niądze kupuję jaki przedmiot, czy spłacam dług dawniéj zaciągnięty, bo przecież, kupując ten przedmiot, także nie uiszczę zapłaty zupełnie równocześnie z objęciem posiadania; jakiś czas między temi dwiema czynnościami upłynąć może: jest zupełnie obojętném, czy to będzie kilka minut, czy téż godzin, miesięcy, a nawet lat.

Następuje daléj rozbiór znaczenia pojedyńczéj i podwójnéj waluty. Kwestya to bardzo ważna i bardzo starannie w książce, którą rozbieramy, traktowana.

Wskazaném jest, jak wybór srébra lub złota, jako podstawy systemu monetarnego, zawisł od stopnia rozwoju gospodarstwa w daném społeczeństwie; jak złoto przyjętém zostanie wtenczas, gdy ruch przemysłowy się zwiększy, gdy ilość znaczniejszych wypłat pomnażać się będzie; zwróconą jest uwaga na to, że wybór ten po części zależéć téż będzie od tego, który ze szlachetnych kruszców w danéj chwili mniejszym zmianom wartości podlega. Najważniejszą jednakże jest polemika z Wołowskim o przyjęcie podwójnéj waluty.

Wiadomo, że gdy powszechnie za pojedyńczą walutą przemawiać zaczęto, Wołowski w 1867 r. wystąpił z obroną podwójnéj waluty; od téj chwili rozpoczęła się znów polemika o tę kwestyą.

Wołowski sądzi, że rząd, oznaczając stosunek wartości między złotem i srébrem, bynajmniéj nie myśli o tém, ażeby rzeczywiście stosunek ten nigdy się nie miał zmienić, ale że większość prawodawstw, a między niemi i kodex Napoleona w razach wątpliwych popiera dłużnika; jeżeli zarówno złoto, jak i srébro jest legalnym środkiem zapłaty, to dłużnik wybierze zawsze pieniądz tańszy z mniejszą wartością, a przez to pewną korzyść odniesie. Wołowski utrzymuje daléj, że te drobne oscylacye wpłyną na to, iż pieniądz w ogóle będzie miał słabszą wartość; przypuśćmy, że złoto drożeje, wszyscy rzucają się do srebra, ażeby niém długi swe umorzyć; popyt srébra się zwiększa, złota się zmniejsza: pierwsze drożeje, drugie tanieje, wartość pieniędzy w ogóle mniejszéj zmianie uległa, aniżeli gdyby istniały tylko złote lub tylko srebrne pieniądze.

Knies słusznie na to odpowiada, że jeżeli prawodawstwa chcą popierać dłużnika w razach wątpliwych, to przecież nigdy nie miały zamiaru popierać go bezwarunkowo, a waluta podwójna do tego prowadzi; że daléj porzucić już raz należy myśl, ażeby banki, wielkie towarzystwa ubezpieczeń i t. d., potrzebowały, jako nieszczęśliwi dłużnicy, opieki rządu przeciw niesumiennym wierzycielom, któremi dziś nieraz są wdowy, siéroty, ludzie, którzy oszczędzali przez całe życie, ażeby zapewnić sobie spokojną starość. Nie podlega wątpliwości, że podwójna waluta, neutralizuje nieco wielkie zmiany wartości szlachetnych metali, ale wywołuje za to bezustanne oscylacye drobne, które dla państwa są nadzwyczaj niekorzystne; państwo wybijać musi raz złote, to znów srebrne pieniądze w miarę tego, jak ich się domagają, droższe wychodzą za granicę lub przetapia-

ją się, koszta dostarczenia dostatecznéj ilości monety zwiększają się w ten sposób znacznie. Zresztą, o ile nastąpi stała zmiana w stosunku wartości złota i srébra, jeden z tych metali wyjdzie z obiegu, neutralizowanie wielkich zmian przez nieznaczne oscylacye się skończy.

Ważnym jest także rozbiór znaczenia pieniędzy papierowych. Za właściwe pieniądze uważać ich nie można, są tylko środkiem uwolnienia się od zapłaty pieniężnéj. Stają się nim zaś przez to, że państwo pozwala za pomocą nich uiszczać podatki. W dobrze urządzoném gospodarstwie państwowém pewna ilość pieniędzy papierowych krążyć może, mianowicie ilość odpowiadająca pewnéj części summy, którą poddani uiszczają państwu w podatkach. Rozszerzenie obowiązku przyjmowania pieniędzy papierowych do prywatnych, pociąga za sobą zgubne następstwa. W każdym razie tylko państwo ma prawo wypuszczania w obieg pieniędzy papierowych; jest niesłusznem, ażeby jeden bogacił się kosztem drugiego, i ażeby państwo nadawało temu swą sankcyą. Knies rozciąga to i do biletów bankowych. Przyznamy prywatnym prawo wypuszczania biletów bankowych, o ile zwrócimy uwagę tylko na prywatny charakter tych biletów, o ile je uważać będziemy za jeden z objawów kredytu. Ale pamiętać trzeba, że dziś dla mass, bilet bankowy stracił to znaczenie prywatne, a natomiast zastępuje pieniądze, jest środkiem zyskania bezpłatnego kredytu, nietylko krąży pomiędzy osobami w stosunkach z bankiem zostającemi, ale przenika wszędzie, gdzie dawniéj tylko moneta złota lub srebrna się dostawała; swoboda bankowa stać się więc może, jak często bezwzględna, gospodarcza wolność środkiem w ręku silniejszego do wyzyskiwania słabszych.

Na zakończenie rozbiera Knies, jak pieniądze złote i srebrne, mimo że rzeczywiście podlegają zmianom pod względem wartości, przez prawodawstwo muszą być uważane, jako zawsze zachowujące jednę i tę samę wartość.

Książka Kniesa, jak wszystkie z pod pióra tego autora wychodzące, zwróciła na siebie uwagę całego świata uczonego niemieckiego, dlatego téż treść jéj chcieliśmy podać i naszym czytelnikom.

D-r K. Strasburger.

Volkelt, Der Pessimismus u. das Unbewusste. 1873. Hartmann, Erläuterungen zur Metaphysik des Unbewussten 1874 r.

— Filozofia nieświadomego czyli zasady bezwiednéj Edwarda Hartmana, znana czytelnikom Biblioteki Warszawskiéj z rozprawy D-ra Goldberga, wywołała w Niemczech liczny zastęp dzieł, występujących to za, to przeciw głównym podstawom téj filozofii. Jednym z najgruntowniejszych krytyków filozofii Hartmanna jest D-r Jan

Volkelt, który w zeszłym roku wydał obszerną książkę p. t.: *Der Pessimismus u. das Unbewusste.* Berlin 1873. W dziele tém, Volkelt przyznaje wraz z Hartmannem że zasadą wszechbytu jest substancya *nieświadoma*, lecz powstaje przeciwko rozerwaniu téj substancyi na dwa w prostprzeciwne atrybuty: *rozumu* i *nierozumu*, *logiczności* i *nielogiczności*, *idei* i *woli*. Volkelt dowodzi, że i tak zwane negatywne, ujemne strony istnienia, mają znaczenie *logiczne*, *rozumne*, i zbliżając się w tym względzie do Hegla, utrzymuje, że prawdziwy pogląd na świat, prawdziwa filozofia, jest *panlogizmem*, przyznającym działanie *rozumu* wszędzie i we wszystkiém.

Wywody Volkelta, niezależnie zupełnie od jego filozoficznego stanowiska, mają bezwątpienia wielkie znaczenie *krytyczne*, gdyż wykazują jasno zasadnicze sprzeczności filozofii Hartmanna, która z jednéj strony podziwia rozumny ustrój wszechświata, a z drugiéj strony tego rozumu dopatruje głównie w stopniowém zniesieniu samego bytu, w powrocie do pierwotnéj nicości.

W obronie swoich zasad przeciwko zarzutom Volkelta, wystąpił obecnie sam Hartmann w broszurze p. t. *Erläuterungen zur Metaphysik des Unbewussten, mit besonderer Rücksicht auf den Panlogismus.* Berlin 1874. Hartmann stara się tutaj wykazać, że różność między *rozumem* i *nierozumem*, jako ostatecznych podstaw bytu, polega na różności *idei* i *rzeczywistości*. Rozum, idea, logiczność, mówi Hartmann, ma w świecie tylko znaczenie *beztreściowego pierwiastku formalnego* (inhaltsloses Formalprincip); nierozum zaś, nielogiczność, wola, jest piérwiastkiem rzeczywistości, bytu realnego. Ztąd cała *logiczność* bytu, jedyny *rozumny* cel istnienia, polegać może na negacyi nierozumu, t. j. samego istnienia. W jaki zaś sposób *beztreściowy* pierwiastek formalny *rozumu*, *idei*, *logiczności* zdolnym jest oddziaływać na nierozumną, nielogiczną *rzeczywistość* i zmusić ją do zaprzeczenia saméj sobie, do powrócenia w szczęśliwy i jedynie rozumny stan niebytu, tego nam Hartmann i w tém nowém piśmie bliżéj nie objaśnia. Przeciwnie pismo to uwydatnia tylko jeszcze jawniéj zasadniczą *nielogiczność* filozofii Hartmanna, w któréj *rozum* z jednéj strony ufa sobie bezwarunkowo, bo ocenia zarówno mądrość, jak i głupotę wszechświata, a z drugiéj strony znieważa sam siebie do najwyższego stopnia, dowodząc, że jedyna mądrość polega na samobójczém zniesieniu bytu, a zatém i samego rozumu. Więc rozum u Hartmanna istnieje obok nierozumu; rozum opanowywa nawet nierozumem w organizacyi wszechświata, lecz na to tylko, aby zaprzeczyć samemu sobie i wszelkiemu istnieniu.

Mamy tedy do wyboru tylko między: *nierozumną rzeczywistością* i *rozumną nicością*; w jednym i drugim zaś razie, objawia się nic innego, jak tylko zupełny *brak rozumu*.

H St

Odczyt professora Łamańskiego w Petersburgu o *Janie Ostrorogu* i *Fryczu Modrzewskim.*

Na posiedzeniu petersburskiego oddziału słowiańskiego komitetu dobroczynności, dnia 8 lutego b. r., członek komisyi redakcyjnéj tego oddziału pan Łamański przeczytał artykuł „Magnat polski XV wieku Jan Ostroróg". Wyraził naprzód, że XV—XVI stulecia stanowią w dziejach Słowiańszczyzny epokę, w któréj więcéj niż kiedykolwiek uwydatniła się wielka różnica w stopniu i duchu cywilizacyi pomiędzy zachodnią a wschodnią Słowiańszczyzną. Potém w krótkich zarysach przedstawił główne cechy świetnego rozwoju piśmiennictw i cywilizacyi zachodnio-słowiańskich, Dalmatów, Chorwatów, Czechów i Polaków w XV, XVI i na początku XVII wieku. Wyliczył przy tém dowody świadczące, iż literaturze dalmackiéj (szczególnie dubrownickiéj), czeskiéj i polskiéj tego okresu przypisywać należy daleko więcéj wszechdziejowego znaczenia, niżeli piśmiennictwu rossyjskiemu od Piotra W. do Puszkina. Daléj skreślił obraz upadku i przyczyn jego w trzech tych krajach zachodnio-słowiańskich, upatrując je, co do Polski, w przewadze Jezuitów i nadmiernym rozroście gmino-władztwa szlacheckiego, opartego na poniżeniu stanu wiejskiego. Ale w połowie XV wieku, ciągnął daléj, nie brakło Polsce umysłów politycznych, przewidujących jasno niebezpieczeństwa, wynikające ze zbytecznego wywyższania się drobnéj szlachty: pierwsze miejsce pomiędzy niemi należy znakomitemu magnatowi wielkopolskiemu Janowi Ostrorogowi. Wyliczywszy szczupłe wskazówki, dochowane o życiu jego, a starannie zebrane przez p. Wegnera, pan Ł. zwrócił szczególną uwagę na przywiązanie Ostroroga do osoby króla i niechęć ku gminowładnym zachciankom szlachty, na szczerą chęć jego podniesienia losu ludu wiejskiego i mieszczaństwa, oraz na ustanowienie zupełnie wolnych i niezależnych stosunków Kraju do kościoła i Rzymu. W tym ostatnim względzie, mówił p. Ł., Ostroróg zajmuje w dziejach cywilizacyi nader wybitne stanowisko, śmiałą polemiką swoją przypominając nieraz Ulryka von Hutten, a pomysłem wolnego kościoła w wolném państwie, nowszych polityków europejskich. Na zakończenie odczytał, w przekładzie rosyjskim ułamki wybornego pamiętnika, złożonego przezeń sejmowi piotrkowskiemu 1459 r. p. t. „Monumentum pro comitiis generalibus Regni sub rege Casimiro pro reipublicae ordinatione congestum."

Na posiedzeniu tegoż oddziału, poświęconém uczczeniu pamięci św. Cyrylla, d. 26 lutego b. r., tenże pan Łamański odczytał wzmiankę o Andrzeju Fryczu Modrzewskim. Genialny ten myśliciel wzniosłego charakteru, mówił prelegent, należy do rzędu największych mężów, nie saméj tylko Polski, ale całéj Słowiańszczyzny. Co do zdolności i zasług, z pomiędzy Słowian, z jednym tylko Amosem

Komeniuszem porównywanym być może. W nauce europejskiéj należy mu się zaszczytne stanowisko pomiędzy pisarzami-politykami Tomaszem Morusem, Machchiavellim i Bodinem. Mowy jego czyli pamflety polityczne (1546), a szczególnie znakomite dzieło „De republica emendanda“ (1551) uprzedziły na lat 20 przeszło utwory Bodina, a nawet, co do czasu, stawią go na trzeciém miejscu po kanclerzu angielskim i sekretarzu rzeczy-pospolitéj florenckiéj. Pismo Oldendorpa (1539) nie może wytrzymać żadnego porównania z dziełami Modrzewskiego. Od znakomitego angielskiego nauczyciela nasz słowianin w wielu rzeczach znacznie się różni. Nie porusza on gruntu rzeczywistości jak Machchiavelli, zostaje w zakresie możebności: u obudwu ojczyzna, jéj dobro i najlepsze urządzenie pierwszą są myślą. Równie jak sławny Florentczyk zna całe zepsucie ludzkie i nie wierzy w możność zupełnéj równości i szczęścia ludzi na ziemi. Ale Modrzewski w tém się różni od Mąchchiavellego, że oprócz brudnych i ciemnych popędów przyznaje człowiekowi wrodzony polot do dobrego i prawdy, wysokie dążności i zdolności, wymagające tylko wychowania i wykształcenia, którym przeto przypisuje wielkie znaczenie w państwie. Mnóstwo niedostatków społecznych, zdaniem jego, wynika z niewiadomości i ciemnoty ludzkiéj. Wiarą tą w człowieka i potęgę dobrego Modrzewski znakomicie się różni od Machchiavellego, a zbliża się do Morusa. Lecz nie tylko jako polityk zajmuje on ważne miejsce w cywilizacyi europejskiéj. Nie śmiem go nazwać teologiem, powiada p. Ł., chociaż odznaczał się ogromną erudycyą teologiczną; teologowie bowiem zwykle niecą spory i kłótnie, podnoszą burze w społeczeństwach. Szczególnie da się to powiedzieć o teologach wszelkich wyznań i odcieni za czasów Modrzewskiego, wśród zamętu reformacyi. On zaś (De ecclesia) szukał przedewszystkiém zgody i pokoju i żądał dla wszystkich przekonań najzupełniejszéj wolności. Wzniosłością dążeń i poglądu na jedność kościoła chrześciańskiego, z pomiędzy myślicieli Zachodu jeden chyba Leibnitz dorównywa Modrzewskiemu. Daléj p. Ł. zauważył, iż zdolności i zasług Modrzewskiego dotąd jeszcze krytyka należycie nie oceniła; że prawdziwego znaczenia znakomitego pisma jego „De Republica emendanda“ zgoła nie oceniono wedle zasług ani na zachodzie Europy, który o nim zapomniał, ani w Polsce, gdzie wprawdzie w ostatnich czasach zaczęto więcéj o nim pisać, ale z rozmaitych względów nie umiano ani uznać ani wyświetlić wszystkich zasług wielkiego rodaka. Podawszy krótką wiadomość o jego żywocie, pan Ł. wyłożył zasadnicze poglądy Modrzewskiego na państwo, jego cel i zadanie, i wykazał przytém znaczną różnicę od Lutra, Melanchtona i Kalwina, którzy do rozpraw swych o polityce mieszali dużo rzeczy obcych zakresowi prawa. W kardynalném swém pojęciu państwa Frycz, powiada pan Ł., trzyma się głównie Arystotelesa i w umiarkowanym monarchizmie widzi najlepszą formę rządu. Dzieło swe napisał w głębokiém poczuciu niezbędności reform dla Polski,

które prelegent wylicza. Daléj streszcza 1-ą księgę „De moribus, podnosząc mnóstwo głębokich i rozumnych uwag i spostrzeżeń Modrzewskiego, ważnych tak ze względu teoretycznego jak i dziejowego. Nikt z Polaków, powiada pan Ł., ani dawniejszych ani późniejszych tak prosto i wzniośle, tak subtelnie i rozumnie nie odkrywał wad szlachty ówczesnéj i nie przepowiadał przyszłych nieszczęść Polski.

Na żądanie zgromadzenia, pan Łamański przyrzekł podać późniéj dalszy ciąg pracy swéj o Modrzewskim. Nie omieszkamy streścić jéj, gdy się ukaże w dzienniku Gołos, z którego obecnie (N-r 44 i 60) wyciąg powyższy podajemy, przypominając czytelnikom, że oprócz ustępów w odpowiednich miejscach licznych naszych dziejów piśmiennictwa polskiego, posiadamy o Modrzewskim kilka monografii: S. Nowickiego: Jędrzéj Frycz Modrzewski, szkic historyczny, Warszawa 1856, prof. A. Małeckiego pod tymże napisem w tomie V. Biblioteki Ossolińskich, r. 1864, oraz artykuły I. M. Ossolińskiego, Leopolda Otto i innych.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

W zeszycie styczniowym Biblioteki Warszawskiéj r. b., w dziale wiadomości literackich na str. 162 znajduję błędy, które sprostować uważam za rzecz konieczną.

P. René Lavollée wydał w r. 1869 rozprawę p. n. „De poetis latino polonis hanc thesim facultati literarum parisiensi proponebat R. Lavollée. Parisiis, apud Didier bibliopolam, 35 Quai des Augustins, 35. MDCCCLXIX“ in 8, pag. 92.

W rozprawie téj inauguralnéj autor nasz poświęca Janowi Kochanowskiemu miejsce od str. 47 do str. 52, a nie studyuje szczególnie dzieł jego, jak się wyraża „Rivista Europea“; o nim zaś po Grzegorzu z Sombora i Andrzeju Trzecieskim, tak pisze:

„Joannes Cochanovius, clariore famâ multoque praestantione ingenio praeditus, inter Polonos poëtas polonice scribentes maximus habetur; quippè qui primus polonicis versibus operam dedit (sic) patriamque summo studio dilectam impigrè carminibus concelebravit. Latinos tamen versus admodum juvenis, quum in Italiam Galliamque perigrinaretur composuit, polonicis non omnino impares, quibus *ad imitationem* antiquorum poëtarum, *Tibulli* videlicet et *Flacci*, *haud infelicitor se contulit.* Lyricis praesertim eminuit, elegias insuper, aemulatus *Petrarcae*, condidit, voluptatum illecebris italico seu epicureo more, concelebrandis unicè deditus“ (pag. 47—48).

O Sarbiewskim zaś na str. 73 tak powiada: „Nempe Sarbievius, *Flaccus* cognomine dictus Polonus.“

Szkoda zaiste, iż dotychczas w żadném z pism peryodycznych polskich nie było sprawozdania z pracy p. R. Lavollée, pracy zasługującéj na sumienny rozbiór i stosowną ocenę. Lecz u nas pono zwykle tak bywa: skoro cudzoziemiec jaki wyda jakąś powiastkę i w niéj wyprowadzi na scenę rodaka naszego, to wnet czytamy to dzieło, krytykujemy i przekładamy; a praca uczona (zwłaszcza jeżeli jest jeszcze w nie popularnym obecnie języku łacińskim pisana, tym pięknym języku, którym tak biegle i poprawnie niegdyś nasi przodkowie władali), od lat pięciu już ogłoszona drukiem, spoczywa dla naszéj społeczności w ukryciu.

Dr. *Stanisław Krzyżanowski.*

Czerpowody, 23 stycz. 1874 r.

Bawiącemu niegdyś nad Bugiem w celu zdjęcia siéci tryangulacyjnéj téj rzeki, wypadło mi udać się do wsi Bińdiugi nad samym jéj brzegiem prawym leżącéj, naprost miasteczka Dubienki. Brzeg prawy Buga ma tu znaczne wzniesienie piaszczyste, na którém spostrzegłem nieznaną mi dotąd, obficie po piasku rosnącą krzewinę, z czerwonym kwiatem i bardzo przyjemną wonią.

Podkrzew ten nizki, bo najwięcéj do wysokości jednéj stopy wzniesiony, gęsto rozgałęziony z listkami wązkiemi, lancetowatemi, z drobnym kwiatem różowéj barwy i miłą wonią, przypominał mi znane *wilcze łyko*, od którego wszakże tém się głównie odróżniał, iż kwiat jego był obfity, prawie baldaszkowato skupiony i mocniejszéj czerwoności, co wyraźnie inną roślinę z rodzaju *Daphne* wskazywało. Lud miejscowy ma dla niéj swą nazwę, lecz ta zaginęła mi w pamięci.

Przejrzawszy nasze Flory nie mogłem trafić na opis zgodny z postacią tego podkrzewu, a oprócz *wilczego łyka* (Daphne mezereum) znalazłem tylko wzmiankę o gatunku *Daphne laureola*, w opisaniu roślin litewskich przez *Jundzilla*, który powołuje się na Dykcyo. rośl. *Kluka*, ten zaś tak pisze: „*Daphne laureola*, wilcze łyko, mniejsze, jest krzewina podobna poprzedzającéj (t. j. mezereum), ale zawsze niższa.... kwiaty żółte, po kilkanaście w kupce między liściami.... kwitnie zaraz po śniegach, jagody dojrzewają w sierpniu.“ Opis ten nie nadaje się do mojéj rośliny, którą w końcu września w całym kwiecie widziałem.

Dopiéro w dziele: „Traité des arbres et arbustes par *Duhamel*.“ Paris, 2-e édit. in folio, pag. 30, znalazłem rysunek w barwach, zupełnie moją roślinę nadbużną przedstawiający z następującym opisem: „*Daphne cneorum*, à fleurs fasciculées, terminales, sessiles, à feuilles lancéolées, nues, mucronnées. Sous arbrisseau très rameux, charmant par le grand nombre de ses fleurs, leur éclat, leur durée, l'odeur suave qu'elles répandent.“

„Tiges nombreuses, étalées, rameuses, grêles. Feuilles éparses, sessiles, linéaires, mucronnées, roides, nues, glabres, persistantes. Fleurs rassamblées en faisceaux à l'extrémité des rameaux, sessiles, pubescentes à l'extérieur, d'un beau rouge; ovaire vélu, baie blanche, petite, globuleuse. Fleurit au milieu du printemps, et jusqu'à l'automne, quad il est cultivé. Habite sur les hautes montagnes de l'Italie, de la Suisse et de la France. En Allemagne on la voit sur les coteaux les moins élevés du Palatinat et même jusque dans les bois et les plaines aux environs de Francfort sur Mayn."

Besser w książce: Enumeratio plantarum hucusque in Volhynia, Podolia.... collectarum. Vilnae 1822, wymienia na str. 16: „*Daphne cneorum* (Dąbrówka) V. (Volhyniae), in sylvis acerosis frequentissima." Prócz tych kilku wyrazów, jako w krótkiém wyliczeniu roślin, nie mógł ani opisu podać, ani wymienić nazwisk miejsc, gdzie tę roślinę znalazł; można więc powątpiewać, czy roślina jest rzeczywiście gatunkiem *Daphne cneorum;* wskazuje jéj bowiem za pobyt lasy klonowe, nasza zaś roślina jest na otwartych piaskach bez cienia. Nazwa *dąbrówki*, którą jéj dodał Besser, służy już innemu rodzajowi *ajuga*, raczejby więc *klonówką* nazwać ją należało, jeżeli jest tą samą rośliną, o któréj tu mówimy. Wszakże, co do nazwy, po sprawdzeniu wprzód tak Bessera jak i naszéj nadbużańskiéj rośliny, najwłaściwszą byłaby ta, jaką jéj lud miejscowy daje.

Pomimo znacznego już upływu czasu od mego nad Bugiem pobytu, gdy okolica wspomnionéj wsi, ustronna, żadnéj zapewne dotąd odmianie nie uległa, bo ani jéj położenie, ani gospodarskie widoki nie zachęciły prawdopodobnie właściciela Bindiugi do uprawy litych piasków, mniemam, że przy sposobności godnémby było zajęcia się uzyskanie téj pięknéj rośliny i dokładniejszy jéj opis. Lubownicy kwiatów w swoich mieszkaniach znaleźliby w niéj wiele przyjemności.

J. Żebrawski. (I)

(I) Umieszczamy ten przyczynek do flory naszéj z wdzięcznością dla szanownego autora, który tyle zasług dla historyi naturalnéj kraju, dla archeologii i t. d. położył, widząc z zapiski jego, że rośliną o któréj mówi, jest rzeczywiście *Daphne cneorum*, t. j. prześlągwa, jak ją Siennik nazwał. Knapp, w niedawném dziele swojém o dotychczas poznanych roślinach Galicyi i Bukowiny, w niemieckim języku wydaném (str. 107) kilka zaznacza stacyi téj rzadkiéj rośliny, jako to: na wzgórzach w Galicyi Zachodniéj, na górze Grabczycha pomiędzy Zaszkowem a Żołkwią, przy Turynce, przy Brodach i na Drańczy; prostuje oraz podanie jakoby znajdowała się na Babiéj Górze, za którą mylnie wzięto inną Baba hora, na Spiżu. Jakożkolwiekbądź nam pozostaje upraszać szanownego podawcę niniejszéj wiadomości, ażeby roślinę *in natura* porównał z zielnikami botaników krakowskich, a nadewszystko ogłosił jéj miejscowe nazwisko, co tak dla geografii botanicznéj jako i dla nomenklatury roślin polskiéj, wielce jest pożądaném. *P. R. B. W.*

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

— *Warszawa, kwiecień 1874. Bluszcz*, pismo tygodniowe dla kobiét, wydawane przez księgarza warszawskiego Michała Glücksberga, ogłosiło na początku marca r. b. konkurs na opracowanie dzieła: „O wychowaniu macierzyńskiém.“ Obszerny program takiéj pracy przyłączony został razem. Rękopisma winny być nadsyłane najpóźniéj do dnia 1 kwietnia 1875 r. na ręce wydawcy Bluszczu. Ocenieniem ich wartości zajmie się komitet oddzielny; autor dzieła za odpowiednie uznanego otrzyma summę rs. 200. Własność rękopismu zostaje przy autorze: redakcya tylko Bluszczu zastrzega sobie prawo pierwszeństwa do nabycia rzeczonego rękopismu.

— Z drukarni S. Orgelbranda synów wyszło dzieło p. n.: „Zbiór praw sądowych przez Ex-kanclerza Andrzeja Ordynata Zamoyskiego ułożony i w roku 1778 drukiem ogłoszony, a teraz przedrukowany z domieszczeniem źródeł i uwag tak prawoznawczych, jak i prawodawczych, sporządzonych przez Walentego Dutkiewicza.“ (w 8-ce str. XI, 964).

— Wyszedł portret litografowany Jana Feliksa Piwarskiego przez Wojciecha Gersona, przypominający dobrze wizerunek zasłużonego artysty. W. Gerson, jako wdzięczny uczeń ukochanego nauczyciela swego, przeznaczył cały dochód ze sprzedaży téj publikacyi, na wystawienie nadgrobka dla zgasłego męża. Nie powątpiewamy, że wkrótce potrzebny na ten cel fundusz zobaczymy zebrany.

— W Londynie wydany został: „Nowy Testament Pana Naszego Jezusa Chrystusa, Cztery Ewangelie i Dzieje Apostolskie nanowo z greckiego przełożone roku 1873, wydane nakładem Towarzystwa Trynitarnego Biblijnego w Londynie 1873.“ (w 12-ce str. 270).

We wstępie czytamy.

„Przekład niniejszy dokonanym został w Warszawie. Przyjęli w nim udział ludzie różni pod względem wyznania, lecz równi z ducha i z dbałości o chwałę Bożą; kilku duchownych, do których należało głównie pilnować wierności przekładu, co do treści i kilku świeckich,

znanych i powagę w kraju mających filologów, którzy mieli za zadanie strzedz czystości, zwrotów mowy i dbać o dokładne oddanie tekstu pod względem formy. Hrabia Węgierski w Londynie, był duszą całego przedsięwzięcia i za jegoto staraniem Towarzystwo Biblijne Trynitarne w Londynie, podjęło się wydania tego przekładu."

— Wydawnictwo spółki księgarzy w Warszawie, z zapowiedzianych dzieł ogłosiło Jana Tyndalla p. n. *Woda, jej kształty i przeobrażenia jako obłoki i rzeki, lód i lodniki.* Z oryginału przełożył Karol Jurkiewicz, professor zwyczajny Ces. Warsz. Uniwersytetu (z 26 drzeworytami. Warszawa, 1874 r. w 12-ce, str. IX i 210).

— Nakładem redakcyi Biblioteki Warszawskiéj wyszła rozprawa Romualda Hubego: „Kilka aktów oryginalnych sądowych z wieku XIV i XV" Warszawa, w drukarni J. Bergera, 1873 r. w 8-ce, str. 23 z podobizną).

— Wyszedł tom VII „Dziejów Anglii" T. B. Macaulaya z pod prassy.

— *Reforma sadownictwa, czyli nowy sposób uszlachetniania i hodowania drzew owocowych* (w 12-ce, Warszawa, 1874 r.). Dziełko to z oryginału niemieckiego przełożył H. Kuczalski i własnym nakładem wydał.

— Pani Seweryna z Zochowskich Duchińska przygotowywa z pomocą prof. Chodźki rozprawę o poezyi bulgarskiéj, którą ogłosimy w jednym z dalszych zeszytów Biblioteki Warszawskiéj.

— Z drukarni S. Lewentala wyszła książka p. n. *Fajgela Magig*, czyli *kobiéta kaznodzieją*. Obrazek z życia prowincyonalnego żydów, przez A. Bernsteina. Tłumaczył z niemieckiego J. R. (Warszawa, 1874 r. w 12-ce, str. X, 151). Oryginał doczekał się ośmiu edycyj. Przekład pod względem języka staranny.

— Badacz naszych starożytności Józef Szaniawski archiwista akt dawnych w Kaliszu, odkrył drogocenny zabytek sztuki złotniczéj z XII wieku w skarbcu kolegiaty kaliskiéj. Jestto patyna, na któréj wyobrażony Mieczysław II (Stary), oddający kielich opatowi Cystersów w Lędzie i złotnik Konrad, który tak kielich jak i tę patynę wykonał. Podobiznę z niéj za staraniem p. Konstantego Przezdzieckiego zrobiono galwano-plastyczną, którą tenże przesłał do gabinetu archeologicznego przy Uniwersytecie Jagiellońskim, którego (głównie co do wspaniałego daru ś. p. Edwarda Rastawieckiego) sam jest kuratorem.

— Według urzędowych wiadomości w puszczy Białowieskiéj liczba żubrów zmniejsza się corocznie, pomimo wszelkich starań zachowania téj rzadkiéj i pięknéj rassy. Poprzednio liczono ich przeszło sztuk tysiąc, ale w 1868 r. było tylko 559, w 1869 sztuk 541, 1870 sztuk 542, a w 1872 r. tylko 528. Bliżsi znawcy powody tego zmniejszania się upatrują nie koniecznością wymierania rassy, bo wysłane do Prus księciu Pless, żubry rozmnażają się pomyślnie: upatrują je raczéj w tém, że wypalania i wyręby w puszczy nie są dokonywane; zarasta ona chwastami, a dobrych łąk nie starczy, dlatego że znaczna ich część przeszła do włościan.

Wiele szkody sprawiają żubrom i wilki: nakoniec łowienie żywych żubrów dla przesyłki do różnych muzeów, przyprawia z przestrachu zawsze o śmierć sztuk kilka.

— Korrespondent Gazety Warszawskiéj z Rzymu pisze: „Dzięki Kraszewskiemu powstaje tu muzeum Kopernikowskie w Uniwersytecie rzymskim, na wzór muzeum Galileusza we Florencyi. Znakomity nasz pisarz pozbierał własnym kosztem i nadesłał do Sapiencyi bardzo liczny zbiór dzieł prześlicznie oprawnych, broszur, olejnych obrazów, rycin, podobizn i medali, tyczących się bez wyjątku polskiego astronoma. Jest to dar książęcy. Ma wkrótce nastąpić inauguracya pomienionego muzeum, gdzie postawione będzie dnia tego marmurowe popiersie Kopernika przez Brodzkiego. To, które tam oglądano na przeszłorocznéj uroczystości, było gipsowe.“

— Lucyan Siemieński wydał 6 i 7 zeszyt przekładu swego: *Odyssei Homera.* Obejmują pieśni od X do XIII w.

— W akademii umiejętności krakowskiéj wniesiono rzecz o *Słowniku języka polskiego.* Zaprawdę, pomimo słowników jakie posiadamy S. B. Lindego i wileński oprócz innych, brak dokładnego w tym rodzaju dzieła już czuć się daje. Podstawą jego, niewątpliwie pozostanie zawsze Linde, dla swych przykładów jakie czerpał sam z dzieł starożytnéj literatury polskiéj i nie małego zbioru przysłów narodowych, tych klejnotów mowy naszéj. Praca to olbrzymia, podołać jéj tylko może akademia, mająca do rozporządzenia siły potężne. Taż instytucya postanowiła ogłosić drukiem: *Prawo prywatne polskie*, które pozostawił Z. A. Helcel w rękopiśmie, jako piérwszy tom pośmiertnych dzieł zmarłego badacza; zarazem wyda: *Dzieje bezkrólewia po śmierci Jana III*, napisane przez A. Walewskiego.

— W Krakowie wyszedł: „Poradnik dla urządzających zbiory przyrodnicze.“ Autor A. J. Śledziński podaje tu sposoby wypychania zwierząt, ptaków, płazów, ryb, zbierania i zachowania owadów, zbierania i zasuszania roślin, przyspasabiania minerałów do zbioru i t. p. Mała ta broszura o 99 stronnicach, illustrowana, jako książka podręczna zaleca się swoją użytecznością.

— Zawiązane *Towarzystwo Tatrzańskie* szczęśliwie się rozwija i wielu już liczy członków. Założyciele płacą po 100 złr. na fundusz Towarzystwa; członkowie płacą wpisowego 3 złr., a rocznie 6 złr. Zadaniem Towarzystwa tego jest badanie Tatrów i rozpowszechnianie wiadomości o nich, zachęcanie do ich zwiedzania i ułatwianie podróży, ochrona zwierząt górskich. W tym celu mają odbywać się zebrania i odczyty publiczne, wydawanie rocznika, utrzymywanie komunikacyi w górach, budowanie schronisk w górach, ustawianie drogowskazów i napisów gór, dolin, polan i hal, dozór nad przewodnikami, zaprowadzenie straży, wreszcie zawiązanie stosunków z węgierskiém Towarzystwem karpackiém w Keszmarku.

— Na jednem z ostatnich posiedzeń wydziału historycznego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu r. b., przewodniczący

pułkownik Zakrzewski czytał rozprawę: „O wspólności rodowéj, oraz tworzeniu się nazwisk i herbów w Polsce." W rozprawie téj, do któréj szczegóły czerpano ze źródeł autentycznych, wykazał autor, iż wspólność rodowa w Polsce, znajdowała swój wyraz we własności ziemskiéj (Opolach); następnie opowiadał, jakim sposobem powstały nazwiska i herby, które mimo twierdzeń kronikarzy, w XIV-ym dopiero wieku, jak dowodzi p. Zakrzewski, zaczęły właściwą przybierać cechę. Rozprawa ta ma być w rocznikach Towarzystwa umieszczona.

— Professor uniwersytetu wrocławskiego Roëppel, znany ze znakomitego dzieła do dziejów polskich z epoki Piastowskiéj, pracuje obecnie nad przygotowaniem materyałów do panowania Stanisława Augusta. Z pamiątek *Soplicy*, przełożył jeden obrazek: „Panie kochanku," który zachwycił czytelników niemieckich.

— W r. b. przypada pięćdziesięcioletni jubileusz kapłaństwa księdza Franciszka Bażyńskiego, proboszcza przy kościele Ś-go Wojciecha w Poznaniu. Kapłan ten znanym jest jako gorliwy pracownik na polu oświaty ludowéj i wydawcy dzieł tanich, popularnych. Ludzie dobréj woli, oceniający te zasługi, postanowili mu złożyć w upominku książkę zbiorową p. n. *Warta* i w tym celu rozpoczęli zbierać do niéj potrzebne materyały.

— W Poznaniu J. Chociszewski wydał książeczkę p. n. *Piśmiennictwo polskie dla ludu i szkół niższych*, odbite w 12000 egzemplarzy; tegoż pisarza *Historya Polska* rozeszła się w podobnéj liczbie i znowu odbija się nowe wydanie.

— *Towarzystwo literacko-słowiańskie w Wrocławiu* liczy obecnie 53 członków. Sprawozdanie z czynności Towarzystwa za półrocze zimowe r. 1873/4 okazuje, że Towarzystwo w ciągu wspomnionego półrocza, odbyło 15 posiedzeń, na których czytano następujące rozprawy: Sikorski Władysław „O Masławie," Grosman Stanisław „O młodości Mickiewicza," odczyt miany w rocznicę śmierci poety, któryto dzień Towarzystwo obchodziło uroczyście. Frydrycbowicz Zenon „O władzy zwierzchniczéj w miastach polskich, rządzących się prawem magdeburgskiém," Bederski Antoni „O wojnie chocimskiéj Potockiego i Krasickiego," Hejmanowski Bolesław „Konarski i jego zasługi," Kutznor Kazimierz „Zasługi Brodzińskiego około literatury polskiéj: „Sydów Józef „Kochanowski, Klonowicz, Grochowski, jako satyrycy polscy," Danysz Antoni „Teorya p. Konstantego Małkowskiego o znikłém narzeczu lechickiém," Chudziński Antoni „Kilka uwag w sprawie miéjsca spoczynku Ś-go Wojciecha." Większa część tych rozpraw była na posiedzeniach krytykowana przez oponentów. Sekcya medyczna liczyła z końcem półrocza 13 członków; na 5-ciu posiedzeniach czytali: Opieliński Ignacy „O embryologii," Szuman Leon „O stanie medycyny w Polsce w złotym wieku," Laurentowski Wojciech „O tworzeniu się i składzie jamy twarzy."

W ciągu półrocza utworzyła się w Towarzystwie sekcya prawnicza. Celem jéj jest tak samo, jak medycznéj obznajmienie się z polską

terminologią fachową. Do sekcyi należało 15 członków. Posiedzeń było 5, na których mieli odczyty: Grosman Stanisław „O służebnościach osobowych u Rzymian," Frydrychowicz Zenon „O kwestyach prepidycyalnych," Kutzner Kazimierz „O niewolnictwie u Rzymian," Sydow Józef „O opiece nad kobietami u Rzymian."

Biblioteka Tow. powiększyła się przez dary życzliwych osób, oraz przez kupno; obecnie liczy 1,408 dzieł. Fundusze Towarzystwa są bardzo szczupłe. Summa ogólna dochodu z ubiegłego półrocza wynosiła tylko 135 tal. 21 sgr. i 3 fen. Prezesem Towarzystwa jest p. Bolesław Sikorski, a kuratorem D-r Nehring.

— *Tables et poesies polonaises publiés par le C-te V. H. de Rochelin, précédées d'une letre de Henri Martin.* (1874). Taki ma tytuł wydana w Paryżu książka, obejmująca w przekładzie wiernym 131 bajek polskich, oraz kilkanaście drobnych poezyj Krasińskiego i Mickiewicza.

— Dla teatru narodowego w Pradze Czeskiéj, p. Pulda przełożył dwie komedye Aleksandra hr. Fredry (syna) ze zbioru wydanego w Warszawie 1872 i te mają się wkrótce ukazać na tamecznej scenie.

— Na Kaszubach polskich, gminy za staraniem właścicieli ziemskich, pozakładały biblioteczki dla ludu. Możniejsi obywatele zakupują także książki za swoje pieniądze, przesyłają je do bibliotek albo rozdają dzieciom. W miejscach, gdzie lud jeszcze nie nawykł do czytania, najwięcéj takich darów dochodzi. Starają się także wszędzie o zakładanie ochronek; słowem klassa zamożniejsza i oświeceńsza, opiekuje się ludem bardzo serdecznie. Biblioteczek takich już jest 30 przeszło.

— Rzecz godna zastanowienia, że ludność słowiańska nad Elbą, stanowiąca jakby archeologiczne wykopalisko z przedhistorycznych wieków dawnych Łużyczan księztwa serbskiego, po ośmiu wiekach zupełnego zgnębienia i zamarcia, miasto zupełnego rozkładu objawia raczéj wzrost i postęp. Cyfry statystyczne dowodzą, że w ostatnich czasach plemiona te słowiańskie nad Elbą, raz Syrbami, to znów Wendami zwane, w ostatnich dziesiątkach lat znacznie wzrosły. Gdy bowiem w r. 1850 liczono ich 137,928, w 1868 r. 162,828, z czego przypada na kraje saskie 54,000, a na pruskie 49,000. Pomnożenie to ludności témbardziéj zastanawia, że nie może być policzone na karb ogólnego wzrostu ludności, skoro język tylko stanowi podstawę rozróżnienia od ludności niemieckiéj. Przed laty kilkudziesięciu język ten syrbski, czyli wendyjski, nader zbliżony do polskiego, był w użyciu jedynie w książkach do nabożeństwa i napisach grobowych, ludność zaś okrom pacierza, używała języka niemieckiego. Zasługa to duchowieństwa katolickiego, które zapewne w chęci oddziaływania naprzeciw okalającemu protestantyzmowi nie-

mieckiemu, pielęgnuje w kościele mowę słowiańską w kazaniach, książkach liturgicznych i książkach do nabożeństwa. Obecnie jest 84 kościołów w tych okolicach, obsługiwanych przez 90 księży słowiańskich, i 160 szkółek, w których naucza 200 nauczycieli w języku Wendów. Pomnożył się też znacznie ruch książkowy i dziennikarski. Stowarzyszenie „Matica“, na którego czele stoi znany w Dreźnie ks. Buk, wydało od 1854 r. 110,000 egzemplarzy różnych pism, broszur i 130,000 kalendarzy. Obecnie wychodzą następujące dzienniki ludowe: *Srbske Noviny*, *Katolski Posol*, *Łużyczan* i *Misionarski Posol*. Stowarzyszenie „Maticy“ zakupiło w Budnszynie za 20,000 tal. plac pod budowę gmachu, w którym ma się mieścić biblioteka, zbiory i drukarnia, i zebrało 14,000 tal. na koszta budowy, które ogółem mają wynosić 35,000 talarów. W ten sposób dźwiga się ten ostatni odłam zachodniéj Słowiańszczyzny, co najpierw uległ pod naciskiem germanizacyi w imię wiary szerzonej, dziś zaś podnosi się pod tym samym znakiem krzyża, który służył wówczas za godło wytępienia. Drezno, dawne Drażdany, Budyszyn, nie zachowały śladu swéj słowiańskiéj przeszłości, kiedy nad Syrbią nadelbiańską panowali Jaksowie, spokrewnieni z naszymi Leszkami i Popielami z nad Odry i Wisły. Ludność tylko wiejska nie zatraciła mowy i obyczaju słowiańskiego.

— Wiele rodzin polskich z W. K. Poznańskiego, z Prus, z Galicyi, wynosi się do Ameryki. Od lat dziesięciu wychodztwo do Stanów Zjednoczonych niezmiernie wzrosło. Kolonie polskie sięgają dziś już do far-wertu, skupiając się głównie około pięciu wielkich jezior amerykańskich w Stanach Illinois, Michigan, Wisconsin. W Chicago mieszka do tysiąca Polaków, którzy grywają dla własnéj zabawy teatra amatorskie i wydają własny swój organ dziennikarski p. t. *Gazeta Chicago*. W Ameryce wychodzą dziś, oprócz wspomnionego dziennika, dwa jeszcze pisma peryodyczne, polskie: *Pielgrzym i Gazeta Nowojorska*.

— W Nowym Yorku utworzyło się Towarzystwo św. Stanisława biskupa, w celu wybudowania tamże polskiego kościoła. Prezesem towarzystwa obrany D-r Żołnowski; vice-prezesami: Jan Rybicki, D-r Lewandowski, Szczepański; sekretarzami: Władysław Jonakowski, Antoni Landeski; opiekunami kassy: Kromoliński, Kiedyng, Wojciech Rybicki, Jan Rybicki i Rajzner; doradzcami: Żyliński i Jeziorowski.

— W południowych stronach Illinoi w Stanach Zjednoczonych niedaleko rzeki Missisipi, założoną została osada Radom. Już w niéj mieszka 17 rodzin polskich, a zakupiono 209 gruntów pod domy. Dokoła zaś téj osady, 148 polskich osadników zakupiło po 40, po 80 do kilkuset akrów ziemi. Ajentem téj osady jest p. Michalski. W osadzie założony jest kościół katolicki; proboszczem parafii jest X. Musielewicz.

— W Peru inżynierowie Polacy, otrzymują korzystne posady przy kolejach żelaznych: inżynier Folkierski pobiera rocznie pensyi 20,000

fr.; Władysław Kluger 14,000 fr. Budową zaś kolei, mającéj iść przez Kordyliery, zajmować się będzie Ernest Malinowski. Wielu prócz tego innych inżynierów Polaków wybornie wykształconych w swoim fachu, zajmuje posady w Peru, przynoszące im znaczny dochód.

— W Monachium na wystawie studyów otrzymali uczniowie Polacy nagrody z klassy antyków (rysunki) medal p. Czachórski, list pochwalny p. Kossak. Za rysowanie z natury list pochwalny p. Rosen. Ze szkoły malowania medale pp. Alchimowicz i Piątkowski, a list pochwalny p. Łosik.

— Za napisanie studyum o Mickiewiczu, p. Teodor Kalksztein w Monachium otrzymał stopień doktora filozofii.

— Julian Mękarski Polak wynalazca nowéj broni palnéj, która bez przerwy w jednym kwadransie może dać piętnaście wystrzałów, w Paryżu aresztowany został za należenie do komuny.

— Niezmordowany p. *Lenormant* wydał znowu spory tom: *O Magii u Chaldeów* (La magie chez les Chaldéens et les origines accadiennes. Paris, Maisonneuve). Są tu podane najdawniejsze piśmienne zabytki magii, oraz zestawienie pojęć religijnych Babilonu z Wedami indyjskiemi, hypotezą o prastarém plemieniu Akkadów i wywód pokrewieństwa pomiędzy plemionami aryjskiém a chaldejsko-tatarskiemi.

— Na polu językoznawstwa notujemy następne publikacye. *Chinese English Dictionary* of the vernacular of spoken language of Amoy by Rev. *Carstairs Douglas* (London Trübner). Słownik ten obejmuje jedno z najważniejszych narzeczy chińskich (Amoy). Autor jest misyonarzem kościoła prezbyteryańskiego i podjął tę pracę dla użytku misyonarzy, mających do czynienia z ludem. Do klassycznéj chińszczyzny, do narzecza Mandarynów słownik ten posługiwać nie może, dla filologów jednak będzie pożądanym nabytkiem. *Whitney* Oriental and *linguistic studies*. New York 1873. Studya te, dotyczące rozmaitych przedmiotów filologii aryjskiéj oraz kilku kwestyj z filozofii językoznawstwa i historyi języków, obudziły żywe zajęcie pomiędzy filologami niemieckiemi. Odznaczają się one śmiałą i ostrą krytyką panujących obecnie teoryi. Szczególnie godnemi uwagi są rozprawy: „Małpia teorya języka przez Bleck'a", „Schleicher i fizyczna teorya języka" „Steinthal i psychologiczna teorya języka". Z wielką znajomością rzeczy i talentem napisane jest studyum o Zend-Awestcie. *Angielscy Cyganie i ich język* (The english Gipsies and their Language) przez Ch. *Leland* (London, Trübner). W dziesięciu rozdziałach autor mówi o pochodzeniu

Cyganów z Hindostanu, o ich języku, piśmie, o ich obyczajach, pieśniach, pojęciach religijnych, o poszanowaniu zmarłych etc.

— Na polu dziejoznawstwa najważniejszą publikacyą jest „*Dictionnaire des antiquités grecques et romaines* d'après les textes et le monuments, pod redakcyą pp. Ch. *Daremberg* et Edm *Saglio*. Paris, zeszyt 1 ze 189 drzeworytami (wszystkich będzie 3000). Liczne grono uczonych podjęło się pracy przedstawienia całego życia publicznego i prywatnego w Grecyi i Rzymie. Artykuły następują w porządku alfabetycznym i odznaczają się pożądaną dokładnością (np. Abacus, Acropolis, Aerarium, Ager publicus). Ze względu na trudność zadania (dla niedostateczności źródeł) zasługuje na uwagę *Historya Partów* przez Schreiderwirth'a (Die Parther oder das Neupersische Reich unter den Arsaciden-Heiligenstadt Dunkelberg). Ze względu zaś na współczesność przedmiotu wymieniamy VII i ostatni tom *Historyi Prus* dra *Eberty* (Geschichte des preussischen Staats. Breslau. Trewendt) w tomie tym zawiera się okres od roku 1815 do 1871.

— Na polu filozofii ukazały się dwa dzieła sprzecznych prawie dążności. Sędziwy I. H. *Fichte*, najstarszy z żyjących obecnie filozofów niemieckich występuje w obronie teistycznego poglądu na wszechświat: *Die theistische Weltanschauung und ihre Berechtigung* (Leipzig 1873 Brockhaus). Znany z dzieła „Dusza człowieka i zwierząt" Wilh. *Wundt* przedstawia publiczności wykład pojawów duchowych na podstawie anatomiczno-fizyologicznéj w dziele: *Grundzüge der phisiologischen Psychologie*. Mit 150 Holzschnitten. (Leipzig 1873. Engelmann).

---

† Dnia 13 kwietnia r. b. w Kielcach, umarł ***Michał Gliszyński*** w szpitalu świętego Aleksandra, z nędzy i głodu. Przez wiele lat był współpracownikiem naszego pisma, następnie po nabyciu przez Aleksandra Przezdzieckiego Gazety Codziennéj, jéj redaktorem. Oprócz wielu drobniejszych rozpraw, oddzielnie wydał: 1) *Znaczenie i wewnętrzne życie Zaporoża* podług Skalkowskiego. Warszawa, 1849. 2) *Filipa Kallimacha: O królu Władysławie, czyli o klęsce warneńskiéj* (z przypisami i biografią Kallimacha) 1854. 3) *Życie, nauczanie i śmierć Sokratesa*, 1858. 4) Rajnolda Hejdensztejna: *Dzieje Polski od śmierci Zygmunta Augusta do roku 1597* z łacińskiego. Petersburg, 1857, dwa tomy. 5) *Hus i husyci, szkice historyczne, podług Palackiego i Sommera*. Warszawa, 1859. 6) *Rozmaitości naukowe i literackie*, tomików X, Warszawa, 1859—1860. Obejmują rozprawy już oryginalne, już tłumaczone, między temi

przekład pierwszéj księgi *Kroniki* Marcina Galla, jako próba tłumaczenia całości.

Opuściwszy Warszawę, przebywał lat kilka na wsi, zajmując się wychowaniem młodzieży, a przed kilką laty osiadł stale w Kielcach, i utrzymywał się ze szczupłéj pensyi rs. 15, jaką mu wypłacał redaktor Gazety Kieleckiéj ś. p. Gautier; ale gdy ten nagle umarł, Gliszczyński pozbawiony choć tak szczupłego dochodu, a niechcąc i nieumiejąc wyciągać ręki po żebraczą jałmużnę, przeniósł śmierć głodową. Umarł w 60 roku życia.

† W Poznaniu w drugiéj połowie kwietnia r. b. zakończył życie ***Emil Kierski***, który wspólnie z Jędrzejem Moraczewskim napisał dwutomowe dzieło: *Starożytności polskie*, które wydał J. K. Żupański w 1842 roku. Był współpracownikiem *Przyjaciela Ludu* wychodzącego w Lesznie i *Tygodnika Illustrowanego*. W roku 1867 sam wydawał pismo *Przegląd*. W poważném gronie Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego, należał do najgorliwszych członków.

† Dnia 20 kwietnia r. b. zmarł ***Floryan Czermiński***, naczelnik sekcyi dyrekcyi Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Królestwie Polskiém. Współpracownik naszego pisma, pozostawił wysokiéj wartości rozprawę: *O Towarzystwie Kredytowém Ziemskiém w Królestwie Polskiém*. Jestto wierny, oparty na urzędowych źródłach obraz historyczny powstania téj ważnéj instytucyi i potrzeb które ją wywołały. Dla badacza dziejów okresu od 1815 do 1830, drogocenny to materyał wyjaśniający ekonomiczne położenie kraju. Tylko część pierwsza tego dzieła wyszła, druga do któréj obfite zebrał zasoby z powodu ciężkiéj choroby autora ukończoną nie została. Zmarły był przez lat kilka współpracownikiem *Czytelni niedzielnéj* i *Encyklopedyi Powszechnéj* (wielkiéj) S. Orgelbranda.

SPROSTOWANIE.

strona	*wiersz*	*zamiast*	*położyć*
110 —	4 i 5 od dołu —	świadczyła	— świadczy
114 —	12 od dołu —	całą galeryą portretów	— wszystkie portrety téj galeryi
116 —	3 od góry —	patre	— patri
119 —	8 od dołu —	kazanie	— kazania

OD REDAKCYI.

P. Wukol Michałowicz Ławrow, w Moskwie. Księgarnia Gebethnera i Wolffa dopiéro 10 marca odebrała prenumeratę i bez zwłoki wszystkie zeszyty Biblioteki wysłała, które dotąd odebrane być muszą.

P. Floren. Jałowieckiemu, w Ucianie. Księgarnia Gebethnera i Wolffa odesłała w właściwym czasie zeszyt za luty, pod adresem wskazanym i według sprostowania następne zeszyty wysyła.

P. J. B. Lwskiemu w Mohylewie, w Śledach. Księgarnia Gebethnera i Wolffa czyni poszukiwania na poczcie i ściągnięty zeszyt prześle.

P. Józefowi Fedkowicz, w Nowym Uszycu-Kalkosik. Księgarnia Gebethnera i Wolffa upomina się w zarządzie pocztowym i zagubiony zeszyt prześle.

P. Karolowi Kosińskiemu w Nowym Uszycu-Wonkowie. Następne zeszyty wysłane zostały pocztą i o nie we właściwéj stacyi upomnieć się należy, a jeśliby w ciągu miesiąca skarga skutku nie otrzymała, zechce pan donieść wprost redakcyi, która w stosownem postępowaniu porządek przywróci i ściągnięte zeszyty prześle.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójcicki.**

Wydawca *Józef Berger.*

W drukarni J. Bergera, w Warszawie przy ulicy Daniłowiczowskiéj Nr. 619.

Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Апреля 1874 г.

WARSZAWA

I JÉJ SPOŁECZNOSĆ,

W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA.

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

XI.

Pałac pod Blachą.— Książe Józef Poniatowski.— Pani hr. de Vauban.— Dwór zfrancuziały. — Mundur przyjaciół księcia Józefa.— Wojtuś z Jabłonny. — Ludwik XVIII król francuzki i dwór jego. — Imieniny pod Blachą.— Dyanna i Psyche. — Dworek na Czerniakowskiéj ulicy. — Anusia z Powiśla.— Stary retman i opiekunka sieroty.— Ucieczka Anusi. — Stanisław ***.— Pani Stanisławowa. Jéj syn.— Rok 1806.— Teatr narodowy.— Dramat Andromeda.— Napoleon I.— Rok 1809. — Bitwa pod Raszynem. — Śmierć Cypryana Godebskiego.— Książe Józef i Murat.— Śmierć księcia Józefa Poniatowskiego. — Pogrzeb uroczysty w Warszawie.— Elster rzeka.

Tuż przy zamku od strony Krakowskiego Przedmieścia i wybrzeży Wisły, wznosi się pałac zwany „pod Blachą," wybudowany przez Jerzego Dominika Lubomirskiego, który w miejsce dachówki pokrył go blachą. Była to osobliwa nowość w całém naszém mieście i ztąd otrzymał swą nazwę. Król Stanisław August w dwunastym roku swego panowania 1776 r. zakupił go i wcielił do zamku.

REDAKCYA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ

Leży on poniżéj w parowie biegnącym do Wisły i dlatego od jéj wybrzeża ma wysokie piętrowe podmurowanie. Po obu stronach ciągną się aż pod bramę zamkową oficyny: w środkowym pałacyku pokoje szczupłe i małe, lubo są i salony.

Widok z okien prześliczny na rzekę, Pragę i zawiślańskie dalekie okolice.

W kronice Warszawy uwiecznił pamięć pałacu pod Blachą książe Józef Poniatowski, który w nim przemieszkiwał w końcu zeszłego stulecia i w pierwszych latach naszego wieku. Zmiany jakim cały kraj ulegał, a w krótkim przeciągu czasu i Warszawa, ubogaciły te wspomnienia nietylko pomiędzy pracowitym ludem, ale w buduarach i salonach magnatek polskich, a wątkiem i osnową tych ostatnich była francuzka, pani de Vauban.

Książe Józef Poniatowski skończywszy swój zawód publiczny raz jako wódz naczelny (1792 r.), a następnie jako generał pod rozkazami Tadeusza Kościuszki (1794 r.), po śmierci stryja swego Stanisława Augusta, opuścił kraj i bawił w Wiedniu z siostrą swoją hrabiną Tyszkiewiczową.

Prusacy zajęli Warszawę, która upadała: gmachy w niéj wielkich panów opustoszały i szły w ruinę; wtedy książe wraca stęskniony do starego grodu i osiada w pałacyku pod Blachą. W jego tropy zjawia się pani hrabina de Vauban emigrantka francuzka, wraz ze swoim mężem. Czy to był mąż rzeczywisty, czy tylko dla przyzwoitości odegrywający tę rolę, nie wiadomo, lubo wielu zbliżonych o prawdziwym ich związku małżeńskim wątpiło. Za pojawieniem się zajmuje mieszkanie w pałacu pod Blachą, szczycąc się dostojną opieką i przyjaźnią księcia Józefa.

Hrabia de Vauban pospolity Francuz, nieokazujący nawet żadnéj ogłady salonowéj tak powszechnéj między niemi, nie odznaczał się niczém więcéj, jak tylko zdolnością oddawania ról w komedyach francuzkich, które dla rozrywki księcia Józefa odegrywano na scenie, czyli na tak zwanym *theatre de Société*.

Francuzka ta wysoka, chuda, już podżyła, wcale nie urodna, od razu skoro przybyła do Warszawy, zaraz rozgospodarowała się w pałacu pod Blachą i zaczęła grać rolę gospodyni domu księcia Józefa. Jaki zaś jego był stosunek do pani de Vauban, nie wiadomo: dziwiono się tylko, że siostra księcia, hrabina Tyszkiewiczowa, tego stanowiska nie zajęła, jako kobieta nietylko urodzeniem, ale przymiotami i wyższém ukształceniem, mająca do tego wszelkie prawa.

Blizcy księcia zwali ją „starą papugą,“ bo rzeczywiście prowadziła życie jak ten ptak rozpieszczony w klatce. Udawała, że ciągle jest cierpiącą, dręczona bezustannie spazmami, świeżego powietrza znieść nie mogła: latem nawet w karecie zamkniętéj jeździła, zimą się prawie nie ruszała z ogrzanych mocno pokoi. Jadała tylko najdelikatniejsze potrawy, które kucharz księcia Józefa w pień wyklinał. Nie znosiła

najmniejszego hałasu, a kto chciał się do niéj zbliżyć, musiał na palcach chodzić, nie mieć skrzypiącego obuwia i cicho mówić.

Dziwna rzecz, że tak rozgrymaszona francuzica potrafiła nietylko rządzić całym dworem księcia, ale co dziwniejsza, że poddały się jéj władzy prawie wszystkie magnatki polskie zamieszkałe w Warszawie, lub przybywające na czasowy pobyt. Do tego przyszło poniżenia, że gdy należało jéj oddać wizytę któréj z pań bywających pod Blachą. zajeżdżała do niéj, lokaja z biletem swoim posyłając z przeprosinami, że dla słabości zdrowia wysiąść z pojazdu nie może, ale może się rozmówić, jeżeli raczy ją odwiedzić, w karecie. I owe panie uszczęśliwione zbiegały do niéj ze wspaniałych swych komnat i w karecie odbywały się konferencye. Taki rodzaj odwiedzin zwano „wizytami hr. de Vauban."

Jak wysuszała kieszeń księcia, to zostało tajemnicą, ale wynalazła sobie oddzielne jeszcze sposoby wyzyskiwania i to grubo przyjaciół księcia, którzy mu towarzyszyli. Pod rozmaitemi pozorami wymyślała składki na biednych emigrantów francuzkich: to urządzała loteryę na liche fanty, to opłaty dla biednych przy dawanych widowiskach teatralnych pod Blachą, a te hojne dary szły wprost do jéj kieszeni.

Książe stęskniony do kraju i do Warszawy, w któréj tyle lat życia przepędził i tylu wspomnieniami pięknemi był przywiązany, osiadł w niéj ochotnie, ale nie mając żadnego zajęcia, wiódł życie hulaszcze i to jedna ciemna karta w jego biografii, którą uniewinnić musimy położeniem kraju i brakiem jakiéjkolwiek podstawy do działania w życiu publicznem. Zarzucano mu, że dał się zawojować takiéj francuzce, że dwór jego, co powinien z godnością się przedstawiać, nie miał żadnéj polskiéj cechy, bo wszystko w pałacu pod Blachą zcudzoziemczało: że było jego obowiązkiem stać wzorem dla innych, a nie oddawać w urągowisko mowy ojczystéj, zwyczaju i obyczaju narodowego i ulegać zachciankom awanturnicy francuzkiéj, która kłamstwem i przebiegłością zdobyła sobie tak wydatne stanowisko w pałacu pod Blachą. A dopomagali jéj najwięcéj przyjaciele księcia, ich żony i krewniaczki dorodne.

Na dworze synowca ostatniego Piasta, od pana do ostatniego służki wszystko na wskroś francuzkie: starzy dworzanie na boku stojąc, smutnie na te zmiany spoglądali. Cudzoziemska atmosfera otoczyła blaskiem swoim cały pałac pod Blachą, tuż pod starym zamkiem, w którym panowało teraz grobowe milczenie, wśród pustych wielkich sal i wspaniałych komnat królewskiéj siedziby.

Jak niegdyś książe Karol Radziwiłł *panie kochanku*, założywszy w Albie pod Nieświeżem Towarzystwo przyjaciół swoich, dał im w odznaczających się barwach mundur Albańczyków; tak książe Józef bawiąc w swéj majętności w Jabłonnie o dwie mile od Warszawy, przyjął dla siebie i swoich druhów mundur przyjacielski, ażeby się całe Towarzystwo lepiéj odznaczało w społeczności polskiéj. Był to frak po-

pielaty z czarnym kołnierzem, złotem skromnie haftowanym: nosić go jedynie mogli ci, którzy należeli do wiernych towarzyszów księcia, za jednomyślném zezwoleniem wszystkich. Strzeżono pilnie, ażeby nikt się go nosić nie poważył, a zuchwalec jeden, który przywdział ten mundur nie mający do tego prawa, w dwukrotnym pojedynku postrzelony w nogi, przez parę lat o kuli tylko mógł chodzić. Przyznać też potrzeba, że jeżeli bywały pustoty przywiązane do tego munduru, żadna go podłość, ani nikczemność nigdy nie splamiły.

To rozróżnianie się przecie wśród złamanéj społeczności i tak w owe czasy pognębionéj Warszawy, to życie huczne i wesołe, przyjaznego miru zjednać nie mogło ani księciu, ani jego towarzyszom. A jednak grunt serca pana pałacu pod Blachą, pomimo usterków, był zawsze zacny i pełen porywów szlachetnych.

W podaniach chłopków z Jabłonny zachowywała się wdzięczna pamięć księcia Józefa. Na końcu téj wsi, po pod lasem, mieszkała uboga wdowa Małgorzata Gil z ośmioletnim jedynakiem Wojtusiem. Chata jéj zapadła w ziemię: gospodarstwo po śmierci męża niszczało, bo rady sobie biedna kobiécina dać nie mogła. Kiedy gospodarz umarł, pachole to dopiéro drugi rok liczyło; na koszta pogrzebu poszła para wołów, przyszedł nieurodzaj i klęska gradu: podwaliny w chałupie spróchniały, a nie było ręki pomocnéj.

Wojtuś chłopczyna wątły ale sprytny, już od piątego roku życia nauczył się zręcznie ptaki łowić to w samotrzaski, to w sidła z końskiego włosienia: sprzedawał je potém dwa razy tygodniowo w Warszawie na „Zapiecku“ i zarobkiem tym pomagał nie mało swojéj matce. Na przednówku o chleb coraz ciężéj było. Wojtuś całą klatkę nałapał szczygłów, czyżyków, a przytém dwa kosy i szpaka. Zdobycz to była nie lada, a pieniądz wzięty za nie, da matce chleba na tydzień.

Bywało dawniéj że pachole przysiadało się na furę którego z gospodarzy wioskowych i wracało z nim razem; ale w tym dniu jakoś żadnego nie było widać: szło więc sobie piasczystym gościńcem, trzymając klatkę w ręku.

Ale zaledwie Wojtuś od matczynéj chaty odbił się o paręset kroków, gdy ujrzał jadących konno wielu panów, a całą uwagę zwracał jego pan najdorodniejszy, jadący na czele. Chłopak się zagapił na ten widok i nie dostrzegł, że klatka się otwarła i ptaszki jeden za drugim wyfrunęły na swobodę. Jak zobaczył klatkę próżną, tak mu omdlały z przerażenia nogi, że usiadł na wzgórku i gorzko płakać zaczął.

Zobaczył to ów pan, co jechał najpierwszy, zwrócił swego konia ku niemu i pyta dlaczego tak rzewnie płacze? Chłopię opowiedziało mu wiernie swoje zmartwienie, niedolę matki i ukazało mu zapadłą chatę, a pan ów na to dobył z kieszeni dukata i dał zdziwionemu pacholęciu.

Wojtuś pierwszy raz w życiu zobaczył złoty pieniądz, zarzucił więc klatkę na plecy i kłusem przybiegł do matki, któréj szczegółowo

opowiedział swoje spotkanie. Gdy to wdowa usłyszała, plasnęła w ręce i zawołała:

— Adyć to nie kto inny tylko nasz książe!

— Książe! odrzekł zdziwiony chłopak, a on podobny do innych ludzi tylko ładniejszy, bo jednako był ubrany ślicznie z drugiemi panami.

W parę godzin, gdy wdowa wraz z synem na kolanach gorąco się modliła przed obrazem Matki Bozkiéj Częstochowskiéj, wszedł jakiś pan do izby.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Pokój temu domowi!

Obejrzy się wdowa i w téj chwili krzyknęła:

— Wojtusiu! to nasz pan! nasz kochany książe, plackiem mu do nóg!

I sama, klęcząc, zwróciła się do księcia Józefa, pochylając pokornie głowę.

Książe, dorodne pacholę pogłaskał po zarumienionéj twarzyczce, matce dał dziesięć dukatów, a w tydzień późniéj, kazał jéj zbudować nową chatę, uprawić grunta, dał parę wołów i krowę dojną; tak odrazu uposażył wdowę, że z nędzy przyszła do zamożności. Małe chłopię pomiędzy gospodarzami Jabłonny, otrzymało nazwę: *Wojtuś księcia.*

W jedenaście lat potém, gdy zwłoki księcia Józefa Poniatowskiego przywieziono do Warszawy, w orszaku pogrzebowym Wojtuś na czele gromady włościan Jabłonny, niósł chorągiew bractwa, ocierając łzy serdeczne rękawem sukmany granatowéj, a przy nim szła jego matka już pochylona wiekiem, płacząc, jak bóbr, rzewnie.

Bawiono się hucznie w pałacu *pod Blachą*. Pani de Vauban była niewyczerpaną w pomysłach coraz nowych rozrywek: to widowiska sceniczne, to bale, to mniejsze tańcujące wieczorki, wreszcie gry towarzyskie z dowcipkami francuzkiemi, które dały początek tak zwanym *Bureux d'esprit*, które ztąd i do innych towarzystw wyższych w Warszawie przechodziły, boć to znana nasza choroba naśladownictwa chętnego Francuzów. Wpływ i znaczenie tak towarzystwa zbierającego się *pod Blachą*, jak i saméj pani de Vauban jeszcze się znakomicie wzmogły, gdy w roku 1801 przybył do Warszawy Ludwik XVIII król francuzki, pod imieniem hrabiego *de d'Isle* wraz z małżonką swoją, z książętami *d'Angouleme*, z licznym dworem do czterdziestu osób i zajął dom Wasilewskiego na Krakowskiém-Przedmieściu, gdzie przed nim mieszkali Ignacy Krasicki i pani Grabowska.

„Król francuzki, (pisze F. Kozłowski w swoim pamiętniku), przyjechał do nas z Rossyi. Widzieć go nieraz można było stojącego na małym, narożnym balkonie, postaci otyłéj i często z nogi na nogę przestępującego, we fraku szaraczkowym, białéj kamizelce, spodnie *z sierge-gris* i kamaszach aksamitnych: cierpiał bowiem na pedogrę.

Włosy nosił w tył podfryzowane i pudrowane. Na przechadzkach często w ogrodzie Saskim wraz z księciem i księżną d'Angouleme bywał; tę ostatnią znano w Warszawie z dobrych uczynków i litościwego serca dla biednych. Życie hrabiego było kosztowne, zwłaszcza stół, który po królewsku utrzymywano. Ogrodnicy ubiegali się z dostarczaniem najświeższych i najrańszych ogrodowizn, które dwór jego sowicie płacił. Kurnicy przyspasabiali się w jak najlepszy drób' i zwierzynę, których cena wtenczas znacznie się podniosła, gdyż Francuzi, nie targując się, płacili, co który zażądał. Przystęp był do niego niełatwy, unikał bowiem wszelkich towarzystw i znajomości, słynął zaś u nas jako dobry tancerz i helenista. Książki rad czytywał i bawił się sławnym swoim zbiorem brylantów. Sama królowa światła i także uczona, była małego wzrostu, szczupła i śniada na twarzy, chętnie odwiedzała nasz teatr, kiedy grywano ulubioną jéj operę: *Przerwana Ofiara* [1]).

Pani de Vauban korzystała umiejętnie z bytności rodziny królewskiéj w Warszawie; łatwo, jako francuzka, znalazłszy przystęp, otworzyła gościnne podwoje pałacu *pod Blachą* na przyjęcie dostojnych emigrantów. Młody książe de Berry, który zakochał się w jednéj młodéj, powabnéj mężatce z towarzystwa pani de Vauban, wraz z książętami de Grammont, de Henry, z hrabią Damas d'Avaray i innemi bywali chętnie na balach i wieczorach w pałacu *pod Blachą*. Znajdowali bowiem tu piękne i urocze zarówno dziewice, jak i mężatki wybornie mówiące po francuzku, a gaszące powabem słynne paryżanki, które dla tych przybyszów miały serca chętne i otwarte, bo nie zapomniały o lekkomyślności dworskiéj z niedawnéj doby Stanisława Augusta.

Tak od XVIII stulecia wpływ francuzczyzny ustalał się coraz więcéj w społeczeństwie warszawskiém, jak i całego kraju. Potrzeba téż umiejętności tego języka, stawała się coraz naglejszą dla młodzieży nawet męzkiéj, która marzyła o legionach, walczących we Włoszech pod sztandarem szczęśliwego wodza, jakim był Napoleon Bonaparte.

---

[1]) Ludwik XVIII przeniósł się następnie do pałacu obok kościoła księży Bernardynów (gdzie dziś resursa obywatelska), latem zaś mieszkał w tak zwanym „białym domku" w Łazienkach i wtedy bywał na mszy w kościołku ujazdowskim, na miejscu którego wznosi się obecnie pałac Belwederski. Król francuzki mieszkał w Warszawie do 25 lipca 1804 r. (T. M. Sobieszczański: „Rys historyczno-statystyczny wzrostu i stanu miasta Warszawy od najdawniejszych czasów, aż do roku 1807." Warszawa, 1848). Do wspomnień kamienicy Wasilewskiego, o któréj już mówiliśmy, a dziś nie istniejącéj należą: że do r. 1772 miał w niéj księgarnię swoją Jan August Poser, a całe piérwsze piętro zajmował słynny bankier Kabryt i płacił za nie niesłychanie drogo, bo 1500 dukatów rocznie. Po jego bankructwie, zajął je 1801 r. król Ludwik XVIII.

Pomimo licznych sarkań na dwór *pod Blachą*, sam książe Józef był najpopularniejszą postacią w Warszawie i zwracał na siebie oczy jéj mieszkańców. Znali go zarówno bogaci kupcy i obywatele, jak rzemieślnicy, uliczniki miasta i ubóstwo, a piękne panie nasze dobijały się z niesłychanym zapałem o względy dorodnego synowca nieboszczyka króla.

Głośnym był téż wypadek, który opowiadano sobie przez długie lata, jaka scena zaszła w ozdobnych komnatach tego pałacyku.

Dwie panie kochały się na zabój w księciu Józefie, a były to przyjaciółki, których mężowie, spadkobiercy historycznych imion i starych herbów, należeli do wyrzutków w zdrowéj społeczności krajowéj.

Jaka to była tych dwóch pań szczera przyjaźń, nie wchodzić nam w to bynajmniéj; współzawodniczki do serca księcia bywały u siebie, ściskały się i całowały, razem rozmyślały, jakie mu najmilsze *siurpryzy* robić, a skrycie jedna pod drugą dołki kopała, ażeby przyjaciółkę usunąć, a saméj pozostąć obok przedmiotu swéj gorącéj miłości.

W marcu, w dzień S-go Józefa, przypadały imieniny księcia. Za życia króla stryja, głośno je i hucznie obchodziła cała Warszawa. Były to hołdy publiczne składane księciu, a płynęły z serca i dobréj woli. Zmieniły się czasy. Solenizant odsunął się od swoich; przebywał jedynie wśród murów pałacu *pod Blachą* albo w *Jabłonnie*, otoczony tylko nieliczną swoją drużyną; obywatele miasta usunęli się téż od niego. Marcin Molski nawet, ów wszystkim winszujący poeta warszawski, rocznicy téj nie uczcił ani jednym wiérszem.

Dzień ten smutne obudził w duszy księcia wspomnienia. Pani de Vauban przygotowała dla niego teatr francuzki i wieczór tańcujący; w pałacu *pod Blachą* był ruch niezwykły od samego rana.

Książe Józef po bezsennéj nocy, zdręczony marami przeszłości, wybrał się do Jabłonny na przejażdżkę i ze zmrokiem miał wrócić. Otóż owe dwie panie postanowiły mu lepszą *siurpryzę* zrobić, aniżeli *stara papuga francuzka*. W tym celu, nakupiwszy ozdobnych wiele cacek i sprzęcików, obić kosztownych i dywanów, przekupiwszy lokaja Francuza a ulubieńca księcia, skrycie je zwiozły i sypialnią jego zupełnie przestroiły. Same, z bijącém sercem, poprzebierane jedna za *Dyannę*, druga za *Psychę*, w tych kostiumach mytologicznych, które odkrywały wszystkie ich wdzięki i kształty, oczekiwały z bijącém sercem na powrót drogiego solenizanta.

Zmrok ciemny zapadł, sypialnia księcia biła łuną jasną, bo panie rozpaliły lampy i świeczniki przywiezione z sobą. Woń kadzideł drogocennych napełniła całą komnatę. Przy jarzącém świetle obiedwie cudnie wyglądały i kamerdyner Francuz spoglądał na nie w niemém zachwyceniu. Nagle turkot powozu dał się słyszéć na podwórzu pałacowém, książe wracał z przejażdżki, ale nie sam, wiódł

z sobą młodą i piękną aktoreczkę, która miała właśnie odegrać tego wieczora jednę scenę na teatrzyku *pod Blachą*.

Zdziwiony niezwykłą jasnością w swéj komnacie, kiedy przestąpił jéj progi ze swym powabnym gościem, nagle przerażonym został dwukrotnym okrzykiem, który wydały razem *Dyanna i Psyche*. Ostatnia, więcéj żywa, porwała za wazon i rozbiła o podłogę; przyjaciółka *Dyanna*, poszła w jej ślady, druzgocąc piękne, alabastrowe figury, czary i drobiazgi z porcelany.

Nagle książe z towarzyszką swoją otoczeni zostali skorupami w około, i gęstą kurzawą, a wśród niéj, jak dwa widma, uwijające się postacie pań rozgniewanych. Kiedy zniszczenie darów przywiezionych, które można było potłuc lub poszarpać, zostało dokonane, obiedwie sprawczynie téj ruiny, opuściły komnatę przed chwilą tak wytwornie przystrojoną.

Książe Józef prędko po téj burzy orzeźwiał, a wtedy porwał go śmiech pusty, i nigdy weselszym nie był, bo pożegnał na zawsze *Dyannę i Psyche*. Bawił się téż tego wieczoru wybornie, zapominając o troskach które go gnębiły od poranku wspomnieniami lat ubiegłych [1]).

Krótkie to były chwile jego zabawy: wśród braku poważnego zajęcia, gdy dawniéj prowadził tak czynne, obozowe życie, orzeźwiające trudy wojenne, teraz uczuł znudzenie i wstręt do tych pań przepachniałych najcudniejszemi woniami paryzkiemi. Łatwe zwycięztwa zwykle mało się cenią: był w tém właśnie i książe Józef położeniu. Duszną mu była atmosfera pałacyku *pod Blachą*, drażniła go i gniewała nieraz opieka, troskliwość i gospodarka *pani de Vauban*, ale nie śmiał z nią zrywać: szukał tylko po za murami smutnéj Warszawy oddechu swobodnego na świeżém powietrzu i piękności natury, nie tylko w krajobrazach, ale ucieleśnionéj w uroczą postać dzięwczęcia. Opowiem tu zdarzenie, które wielki rozgłos miało w swoim czasie nie tylko w Warszawie, ale w kraju, a głównych bohatérów sam blizko znałem.

W wycieczkach częstych zamiejskich, z początkiem wiosny zwiedzał książe wybrzeża nadwiślańskie w towarzystwie kilku przyjaciół swoich. Kiedy wolnym stępem przejeżdżał przez *Czerniakowską* ulicę, zwrócił uwagę jego tłum flisów krakowskich, zgromadzonych przed starym dworkiem drewnianym, na którego ganku, z jednéj stro-

---

[1]) J. I. Kraszewski wypadek tych dam lubo w odmiennym nieco sposobie, opowiedział ze zwykłym sobie talentem w wybornem dziele p. n. „*Wędrówki Literackie, fantastyczne i literackie*“. (Wilno 1838 roku) w ustępie *Imieniny*, tom I. My trzymaliśmy się ściśle miejscowéj tradycyi, która te szczegóły przechowała.

ny wystawiona *wiecha* z gałęzi sosnowéj, z drugiéj zawieszony *krzyż czerwony*, zwiastowały szynk piwa, wódek i sprzedaż krajowego miodu.

Wśród tego tłumu dojrzał dziwnie uroczéj piękności dziewczynę, mającą lat 16 lub 18, która ze szczególnym wdziękiem napełniała szklanki piwem i miodem zebranym flisakom lub też kieliszki wódką. Uroda tego dziewczęcia była tak uderzającą, że olśniony nią książe Józef, zwrócił konia do tego dworku i poprosił o czarki miodu dla siebie i swoich towarzyszy.

Grono flisów weszło do izby na lepszy częstunek, a piękna szynkareczka wkrótce nadbiegła, i podała na tacy trunek żądany. Zarówno książe jak i przyjaciele jego, w niemém zachwyceniu spoglądali na nią; ta, widząc tyle oczów tak pięknych panów zwróconych na siebie, skraśniała jeszcze żywszym rumieńcem i powabniejszą była. Książe dobył garść dukatów z sakiewki i sypnął złotem na tacę, towarzysze jego niemniéj byli hojnemi.

Dziewczę to było sierotą: ojciec stary żołnierz, potém wyrobnik, po śmierci ukochanéj żony sam wprędce poszedł za nią a jedynaczkę przytuliła do siebie właścicielka tego dworku i szynku. Sierotka, gorliwą pracą i usługą odpłacała się wdzięcznie swojéj opiekunce. Gorliwość jéj była nieraz podziwem dla saméj gospodyni: najraniéj wstawała, najpóźniéj się kładła, a w domu utrzymywała ład i czystość niezwykłą. Zwano tę sierotę *Anusią z Powiśla*. Kiedy z tacą pełną złota stanęła przed opiekunką i opowiedziała szczegóły o panach co przyjechali, gospodyni wybiegła na ganek, i ujrzawszy cały orszak jeźdźców, pokręciła głową, i zamyślona wróciła do izby.

— Ktoby to był ten piękny pan, co sypnął całą garścią dukatów, i ci drudzy panowie—nie wiecie matulu? zapytała Anusia.

— A któż ich tam zna, odrzekła zapytana—jacyś z Warszawy panowie, co niemając co robić w mieście, włóczą się po powiślu i szukają tego czego nie zgubili.

— A czegoż oni szukają? pyta z podziwieniem dziewczę.

— E! co ci to potém wiedzieć: ot zwyczajnie próżniaki i zbytniki!

Tłum flisów coraz się zwiększał, bo nowe tratwy z drzewem i workami zboża nadpłynęły, a na ich czele przybył stary *retman*, przyjaciel gospodyni, a ojciec chrzestny Anusi. Wielka radość była gdy go obiedwie ujrzały: obdarzył też je gościńcami: dla gospodyni przywiózł dwa ogromne bochenki chleba *promnickiego*, a dla swojéj chrześniaczki, sznurek korali krakowskich.

Na drugi dzień o téjże porze ukazał się, ale sam tylko ów piękny pan na dzielnym rumaku, co wczoraj sypnął garść dukatów, i zażądał miodu. Gdy mu go Anusia podała na tacy, zsiadłszy z konia, ujął jéj drobną, kształtną choć narobioną rączkę, i zaczął słodkie słówka szeptać. Gospodyni już go miała na oku, był i stary *retman*, prosiła go więc aby zobaczył co to za jeden, co się tak żwawo do Anusi zabiera.

Retman z fajką w zębach, z kapeluszem na bakier wyszedł na ganek: ale zaledwie spojrzał, fajka mu z ust wypadła, kapelusz spadł z głowy, i starzec podniósłszy prawą rękę do czoła jakby salutując stanął wyprostowany jak smukła sosna. Ów pan puścił rękę dziewczęcia, gdy zobaczył postawę sędziwego *retmana*, zbliżył się więc, położył dłoń na jego ramieniu i rzekł dźwięcznym głosem:

— A gdzieżeś służył mój kolego?

— W pułku Mirowskich, Mości Książe.

Anusia na te słowa uciekła: gospodyni jak skamieniała, choć chciała dygnąć nie mogła: książe Józef skłonił głową, wsiadł na swego wierzchowca i odjechał.

Odtąd co dzień do tego dworku przybywał, ale zaledwie zniknął na załamie ulicy, pojawiał się równie dorodny młodszy jeszcze pan, jeden z jego towarzyszów, który gorliwsze jeszcze zaloty, około zachwycającéj sieroty wyprawiał. Te wycieczki księcia nie ukryły się w pałacyku *pod Blachą*: książe posmutniał i zamyślony mało mówił. Piękne panie, towarzyszki zabaw *pani de Vauban*, wkrótce się dowiedziały że cel ich spojrzeń i westchnień, zakochał się i to nie na żarty w młodéj szynkareczce na powiślu. Jedna za drugą na wyścigi zaczęły zajeżdżać do starego dworku aby ją zobaczyć, a ujrzawszy, osowiałe wracały, przyznając że ta szynkareczka i w salonach pańskich mogłaby wdziękami zajaśnieć.

Zacna gospodyni w głowę zachodziła, co ma sobie z temi jak zwała *processyami* począć: bo co dzień to książe pan, to wystrojone damy z Warszawy zjeżdżały patrząc jak na *raroga* na Anusię. Po długiéj naradzie z retmanem, przykazała swojéj wychowance, ażeby jak książe przyjedzie, chowała się do alkowy. Dziewczę ściśle wypełniało rozkaz swéj opiekunki, która z radością zobaczyła, że wielkiego to jéj zmartwienia nie zrobiło: nie wiedziała bowiem że serce biednéj sieroty biło dla innego.

Książe Józef, raz, drugi i dziesiąty, zawiedziony w swoich nadziejach, rzadko się kiedy pokazał, ale w jego miejsce ów młodszy towarzysz zaglądał codziennie, tylko zawsze najpierwéj witał panią gospodynię.

Po dniu pogodnym wiosenna nadciągnęła burza i z nią deszcz ulewny, po nim zadęła wichura: czarne chmury pokryły niebo, a bałwany wiślane biły białą pianą o wybrzeża wśród grzmotów, łyskawic; i piorunów, opustoszały wszystkie ulice. Na zamkowym zegarze uderzyła dziesiąta godzina wieczorna, kiedy karetka wyjeżdżała nagle ze starego dworku na powiślu, a dwa siwosze wyciągniętym kłusem niosły ją do miasta. Obok niéj, wyniosłéj postaci jeździec okryty płaszczem, galopował na dzielnym gniadoszu. W karetce siedziała już w średnim wieku pani, tuląc w swém objęciu płaczącą rzewnie *Anusię z powiśla*. Wprędce karetka stanęła na podwórzu przed mieszkaniem moich rodzicow, i obiedwie podróżne weszły do mojéj matki wraz z towarzyszem swoim.

— Oto jest moja sierotka, mówił do mojéj matki całując ją w rękę, o któréj tyle razy wspominałem; oddaję ją pod opiekę drogiéj pani, a jutro już będzie miała odpowiednie dla siebie schronienie. Siostra moja wraz z panią odwieziecie Anusię do klasztoru. Jakoż nazajutrz pomieszczoną została u *panien Wizytek*, ażeby potrzebne wykształcenie otrzymała.

Tymczasem we dworku na powiślu stał się rozruch wielki, gdy opiekunka daremnie swéj wychowanki wołała. Zniknęła jak kamień w wodę. Płaczu i żalu było wiele, przez noc całą spać biedna kobiecina nie mogła. Nazajutrz, stróż przyniósł jéj list który doręczył mu jakiś posłaniec konny, z poleceniem ażeby zaraz pani dworku oddał. Zaledwie zdarła pieczątkę, gdy z wielkiém podziwieniem odczytała pisanie od owego młodego pana, a w końcu dopisek ręką Anusi, którym uspakajała swą opiekunkę, donosząc zarazem że uniknęła wielkiego niebezpieczeństwa, i nie długo ucałuje ręce swéj dobrodziejki.

I było rzeczywiste dla niéj niebezpieczeństwo, bo przyjaciele księcia Józefa, mieli wykraść piękne dziewczę i zawieźć pod opiekę *pani de Vauban* do *pałacu pod Blachą*. Uprzedził ten zamiar zgubny dla sieroty *Stanisław**** towarzysz księcia, który szczerze ją umiłował, a pozyskawszy jéj serce wykradł wcześniéj i po dwóch latach nauki w klasztorze panien Wizytek, zawiódł na stopnie ołtarza, i osiadł z nią w *Stanisławowskiém* na Mazowszu w swoim majątku. Na ślubie który się odbył u *Trynitarzy* na *Solcu*, była poczciwą opiekunka Anusi i stary retman jéj ojciec chrzestny, z płaczem radosnym błogosławiąc państwa młodych.

Książe Józef pokochał się zapamiętale w pięknéj szynkareczce, i sam się przyznał że pierwszy raz uczuł prawdziwą wtedy miłość; kiedy się jednakże późniéj dowiedział o wszystkiem, nie miał żalu do *Stanisława**** dziękował mu serdecznie, że nie dał się zmarnować tak ślicznemu stworzeniu.

W kilkanaście lat późniéj, poznałem piękną *Anusię z powiśla* już jako *panią Stanisławową* u mojéj matki, do któréj przyszła w odwiedziny. Wtedy to, chociaż dzieciuch jeszcze, zachwycony byłem jéj wdziękami. Patrzałem z podziwieniem na tak piękną panię, a po jéj wyjściu usłyszałem całe to zdarzenie, które mi matka moja ze szczegółami opowiedziała. W późniejszych latach poznałem starszego jéj syna i z nim kolegowałem. Z twarzy przypominał wiele urocze oblicze swéj matki, rysy podłużne, kształtne i regularne. Szczupłéj postaci, zdawał się wątły, a jednak w tak słabym na oko organizmie mieściła się żelazna odwaga, i bohatérska pogarda śmierci!

Jeżeli gdzie żyjesz—przyjm me pozdrowienie braterskie!

Nadszedł rok 1806. Pod jesień Prusacy w Warszawie w niepokoju się kręcili. Zaszła pamiętna bitwa *pod Jeną*, gdzie runęła cała potęga pruska. Król i królestwo pruskie zostało na łasce cesarza Napoleona pierwszego. W końcu listopada tegoż roku, Niemcy uciekli z Warszawy, przed kikunastokonnym *patrolem* dragonów francuzkich.

Z pałacu *pod Blachą* znika z mężem *pani de Vauban*, a pan tego gmachu, jakby zbudzony z długiego letargu, występuje już w godnéj swego imienia i przeszłości postawie.

Pałac *pod Blachą* inną przybiera barwę: sam *książe Józef* jak i towarzysze jego zrzucają przyjacielskie szaraczkowe fraki, a przywdziewają żołnierskie mundury. Znikają z komnat pałacowych wonie perfum paryzkich, umilkły miękkie melodye śpiewów i muzyki salonowéj, a w to miejsce rozlegały się po nich brzęk ostróg, szczęk pałaszy i odgłos trąb i bębnów. Najpierwsi marszałkowie i generałowie Francyi jak *Davoust*, *Nej*, *Massena* i wielu innych, oraz książe *Murat* ów z walecznych najwaleczniejszy, w przepysznym, chociaż nieco teatralnym stroju, nieraz zasiadali u stołu gościnnego w pałacu *pod Blachą*, wznosząc zdrowie Napoleona pierwszego, *zbawcy świata*, jak wówczas wszyscy się wyrażali, i uprzejmego gospodarza księcia Józefa.

Zaledwie się rozgościła zwycięzka armia, dnia 14 stycznia 1807 roku *teatr narodowy* dał widowisko dla uczczenia cesarza Napoleona, który się znajdował na tém przedstawieniu. Ludwik Osiński, w tym celu wybrał odpowiednią treść z mitologii, zastosowaną do okoliczności owoczesnych i napisał dramat liryczny wierszem p. n. *Andromeda*, którego przekład francuzki złożono cesarzowi, ażeby osnowę sztuki lepiéj zrozumiał [1]). Książe Józef towarzyszył Napoleonowi na tém widowisku, a nie długo po niém opuścił swoją siedzibę pod *Blachą*.

W roku 1809 zawitał do niéj na krótki pobyt za najściem niespodziewaném armii austryjackiéj; zaszła pamiętna bitwa dnia 19 kwietnia 1809 roku. Mieszkańcy Warszawy z trwogą nadsłuchiwali jak o jéj mury odbijały się salwy artyleryi, wielu biegło na najwyższą wieżę kościoła ewangielickiego, żeby zobaczyć krwawą walkę, w któréj 8000 pod wodzą księcia Józefa, staczało bój zacięty z 40,000 armią nieprzyjacielską. Wkrótce straszna wieść nadpłynęła o zgonie pułkownika *Cypryana Godebskiego* żołnierza-poety: z przerażeniem widziano jak młoda jego małżonka, a matka dwóch synów, biegłą z rozwianym włosem od ich kołyski, na pobojowisko. I ujrzała tylko martwe ukochanego małżonka zwłoki. Na czele swego pułku VIII piechoty, wstrzymuje Godebski dziesięć kroć liczniejsze zastępy nieprzyjaciół. Pada koń pod nim, spokojnie przesiada na drugiego. Otrzymuje postrzał w lewą nogę, ale tém nie wzruszony, idzie naprzód, gdy odbiera drugi śmiertelny postrzał poniżéj w piersi i z konia spada. Przywiązani żołnierze unoszą go na płaszczu z pola boju, bo błagał

---

[1]) Utwór ten wyszedł z druku p. n. *Andromeda, dramaty liryczne w jednym akcie wierszem, reprezentowane w Warszawie 14 stycznia 1807 roku w obecności Napoleona cesarza Francuzów. W Warszawie 1807 roku.* (Tekst polski i francuzki, w 8-ce stronnic 48). Utwór ten w zbiorze pism L. Osińskiego wydanych przez F. S. Dmochowskiego pomieszczonym nie został.

ażeby uniknął niewoli. Gdy z zemdlonym upływem krwi, odpoczywano na ustronném miejscu, odebrał jeszcze nowy postrzał w lewe udo i rzekł spokojnie: „*Więc i ty mnie jeszcze nie mijasz*"! Były to ostatnie jego słowa. Sierżant grenadyerów dzielny *Żorawski* odwoził go bryczką do miasta na ręku swoich. W drodze spotyka nieszczęśliwą wdowę. „Gdzie mój mąż, gdzie pułkownik" pyta zadyszanym głosem. Mężny grenadyer wskazał co trzyma na swojém łonie. Już była noc późna gdy przybył do Warszawy, ranny nie mógł być opatrzonym, w ciągu godziny ubiegła go krew do ostatniéj kropli.

Nazajutrz pułk ósmy piechoty, któremu dowodził poległy Godebski wszedł w mury Warszawy ze spuszczoną bronią, i ze sztandarem osłonionym krepą: na wszystkich twarzach dzielnych żołnierzy, zczernionych dymem prochowym i kurzawą bojową malował się rzewny smutek. Zaledwie ujrzano w mieście pułk ten przechodzący krokiem zwyczajnym ulice, kierując się ku Pradze, płacz i jęk bolesny rozległ się wszędzie, serca wszystkich zadrżały rozpaczą nad stratą żołnierza-poety. Zwłoki złożono na Cmentarzu Powązkowskim i uczczono ozdobnym z kamienia pomnikiem, który dotrwał naszych czasów. We 12 lat po jego zgonie syn starszy Ksawery Godebski wydał jego wszystkie pisma w 2 tomach p. n. *Dzieła wierszem i prozą Cypryana Godebskiego.* Warszawa 1821 roku, przy których dołączono popiersie poległego pułkownika.

Pałac pod Blachą był wtedy chwilowym szpitalem: książe Józef cofnął się i Warszawa poddać się musiała. Losy wojny wkrótce się zmieniły: szczęśliwy zwycięzca, w dzień Bożego Ciała w nocy, skrycie opuścił jéj mury. Zbudzeni ze snu mieszkańcy, z podziwem ujrzeli miasto swobodne od Austryaka. Z jakąż radością obchodzili ten majestatyczny obchód w uroczystéj procesyi. Lud zaś uwiecznił tę chwilę ulubionym krakowiaczkiem:

„Oj książe Ferdynandzie, cóż ci się to stało?
Uciekłeś z Warszawy w samo Boże Ciało."

który brzmiał w daleko późniejszych latach, na każdéj ochocie serdecznéj.

Ucichła wrzawa wojenna—grzmiała ona daleko od Warszawy. Z pola bitew nadbiegały wieści o *brawurach* Murata i księcia Józefa. Z nich zapamiętam jak opowiadano pod Blachą o wypadkach dnia jednego. Książe Józef oskoczony nagle przez liczną jazdę, daremnie usiłował przebić się przez jéj gęste zastępy, gdy Murat nadbiegł i wyswobodził księcia. Tegoż dnia z dwoma adjutantami Murat odbił się od obozu, i wszedł na wieżę kościoła wiejskiego dla obejrzenia okolicy, gdy niespodziewanie jazda nieprzyjacielska oskoczyła dokoła. Zaledwie zdążono dobrze drzwi zamknąć, kiedy połowa ich zsiadłszy z koni i wziąwszy belkę na ręce, rozchuśtawszy ją, biła w oddrzwia jak taranem, które pod tak silnemi ciosami, pękać zaczęły i chwiać się

w zawiasach. Murat nieustraszony, pierwszy raz zasępił czoło, gdy nagle jak z obłoków spada książe Józef ze swym szwadronem służbowym, i rozbija cały oddział szturmujący.

Pałac pod Blachą, jakkolwiek przez swego pana opuszczony, był skarbnicą wiadomości owoczesnych dla Warszawy, bo tu przychodziły one najprędzéj od księcia Józefa.

W pięć lat późniéj, wieść bolesna obiega, że wiodą zwłoki księcia Józefa, który w krwawéj walce *olbrzymów* pod Lipskiem 1813 roku w rzece Elster, kilkakrotnie ranny, utonął. W Bramie krakowskiéj przy posągu króla Zygmunta III, mieszkał na pierwszém piętrze szanowany powszechnie kupiec ormianin Minasowicz, ojciec tłumacza *Preciozy* i lirycznych utworów Szyllera. Sklep korzenny miał na dole w téjże bramie.

Ósmy rok życia licząc, kolegowałem w szkołach pijarskich z najmłodszym jego synem Tomaszem, i przez to miałem sposobność z okna jego mieszkania, widzieć cały ten smutny i rzewny obchód.

W dziecięcéj pamięci to wspomnienie wyryło się głęboko, i widzę go dokładnie, chociaż już okrągło od owéj doby upłynęło lat tyle! Było to 19 października 1814 roku. Karawan z trumną, ciągniony przez lud toczył się zwolna od Senatorskiéj ulicy na plac przed Bramę krakowską i zamkiem. Dzwon bernardyński największy ze wszystkich dzwonów Warszawy, jękliwym odzewem, zwiastował całemu miastu tę smutną chwilę; wtórowały mu dzwony wszystkich kościołów. Przed karawanem postępowali w szeregach sapery w granatowych mundurach, z bermycami z niedźwiedziéj skóry, przy których wysokie czerwone kity sterczały. Z przodu, spadały im od piersi po kolana, białe skórzane fartuchy, na ramionach lśniły wielkie, ostre topory. Twarze ich ogorzałe, poważne, z długiemi wąsami i brodami, wrażały poszanowanie. Za karawanem wiedziono konia wierzchowego zabitego księcia. Nic więcéj nie pamiętam, jak tylko tłumy wielkie, płacz i jęki ludu, i łzy moje i patrzących ze mną! J. U. Niemcewicz w *Śpiewach historycznych*, kreśląc z serca pełne rzewności na ten obchód *pienie żałobne*, dołączył staloryt, w którym wiernie oddana jest chwila, gdy karawan ze zwłokami dostojnemi zgasłego wodza, zbliżał się do kościoła Ś-go Krzyża.

W siedmnaście lat po tym pogrzebie, stałem kwaterą w pałacu pod Blachą; wtedy szczegółowo go obejrzałem: owe maleńkie komnatki, jak większe pokoje i salony. Stary dworzanin księcia Józefa żył jeszcze, i on mi ukazywał jego sypialnią, mieszkanie pani de Vauban, salony gdzie dawano widowiska teatralne, bale i wieczory tańcujące. Mnóstwo zachowało się jeszcze sprzętów i mebli po księciu Józefie, które nietknięte od wielu lat stały na swojém miejscu. Wpośród nich odznaczały się krzesła, fotele, stoliki, a szczególniéj szafy pełne artystycznéj rzeźby, które głównie z Gdańska sprowadzano. Z obrazów, zwracały uwagę głównie portrety ks. Józefa, akwarella przedstawiająca scenę gdy mu cyganka pod Sabaczem wróży, że Elster będzie powo-

dem jego śmierci, i obraz olejny, kiedy ranny z wysokiego wybrzeża skacze w bystre nurty Elster, gdzie zgon znajduje.

XII.

Kościół Bernardynek pod wezwaniem św. Klary.—Jerzy Mniszech.—Giżanka.—Zygmunt August.— Sędziwa zakonnica: jéj opowieść.— Czarodziéj Twardowski.—Zjawisko.— Poncz u Nowackiego.— Truskulawski gitarzysta.— Antoni Cyprysiński.—Prot.—Gitara hiszpańska.—Staś.—Barnaba.—Poncz w kubełkach.— Deklamacya Cyprysińskiego. — Pieśni Stanisława Doliwy Starzyńskiego.— Tymon Zaborowski.— Maryensztad.— Antykwaryusz Gecel Salzstein.— Pani moru: zaraza morowa.— Stara tradycya.

W pobliżu pałacu pod Blachą stał z wyniosłą wieżą mały kościołek Bernardynek pod wezwaniem ś-téj Klary, ze szczupłym klasztorem dla zakonnic panien. Dziś śladu jego niéma, bo w tém miejscu idzie wspaniały zjazd na murowanych arkadach do nowego żelaznego mostu.

Kościołek ten zasłaniał całkowicie widok na Wisłę, przedmieście Pragę i dalekie okolice, na jakie teraz spoglądamy. Po zniesieniu zakonu urządzono w nim konserwatoryum muzyczne i szkołę dramatyczną, z któréj pomiędzy wielą innemi zdolnemi aktorami, wyszedł nasz piérwszy komik, genialny Alojzy Żołkowski, a syn redaktora „Momusa“.

Nie pamiętam już nabożeństwa w tym kościołku, ale znałem sędziwą zakonnicę z tego zgromadzenia, która mi wiele szczegółów opowiadała o przeszłości tego klasztoru. Rzecz dziwna, stara tradycya w żywém słowie przechowywała pamięć jeszcze tak Zygmunta Augusta, jak i sławnéj jego kochanki, w któréj się rozmiłował król ten, po zgonie ukochanéj żony, Barbarze Radziwiłłównie.

Jerzy Mniszech poufały dworzanin Zygmunta Augusta poznał w tym klasztorze, będącą u Bernardynek na wychowaniu, młodą i piękną Giżankę, córkę mieszczanina warszawskiego, nadzwyczaj z postaci i oblicza podobną do zmarłéj królowéj Barbary. Przebrany za mnicha, potrafił się zakraść w łaski zakonnic i znaleźć dosyć sposobności namówienia młodego a niewinnego dziewczęcia do ucieczki z klasztoru, ażeby przy boku króla poznała świat wielki i cały urok bogactwa.

Podczas nocy ciemnéj i burzliwéj, wypiłowawszy kratę w oknie celi Giżanki, wykradł ją i ukrył przed pościgiem zakonnic i ojca i zaraz wywiózł do Krakowa.

„Wtedy (opowiadała sędziwa Bernardynka) na dworze króla był sławny czarodziéj Twardowski, który obiecał mu ukazać żywo-powstałą z grobu królowę Barbarę. W dniu oznaczonym, w komnacie

zamkowéj na Wawelu, Zygmunt August siedział wielce wzruszony w towarzystwie Mniszcha, gdy opona się uniosła co podwoje zakrywała, i w wielkiéj jasności ukazała się żywa postać królowéj Barbary, świeża i piękna jak była w pierwszym roku pobrania. Król żywo się zerwał z krzesła, ale widmo przeszło prędko, spojrzało nań pełnymi ognia oczyma i znikło. Król omdlał, bo już był chory, a nie było to widmo tylko Giżanka, ubrana w strój zmarłéj królowéj, a była do niéj podobna jak dwie krople wody."

Dotąd opowieść zakonnicy.

Sława czarodzieja Twardowskiego rozbiegła się po całym kraju, a tymczasem Mniszech nie długo po tém ukazał królowi Giżankę, który tém podobieństwem ujęty, szalenie się w niéj rozkochał. Wszechwładnie téż nad nim zapanowała, a przez nią dumny Mniszech, nieprzebierający w środkach wzbogacenia się, aby mógł zasiąść między panami, użył jéj jako swoje posłuszne narzędzie, do okradzenia dogorywającego ostatniego Jagiellończyka. Przy jéj téż pomocy wszystkie skarby królewskie, tak sprawnie uprzątnął, że nie było czém okryć zwłok zmarłego króla.

Nie była tajną ta haniebna kradzież senatowi i panom, ale Mniszech wzbogacony potrafił zręcznie zamknąć im usta bogatemi dary. Za Zygmunta III doszedłszy do godności wojewody sandomierskiego, wydał córkę za Dymitra Samozwańca, ciesząc się że ją ujrzał na tronie. Ale dobre stare przysłowie: „male parta, idą do czarta." Córa dumna, godna swego ojca w awanturniczych zabiegach, po zgonie swego męża życie straciła, a ukradzione skarby Zygmuntowi Augustowi, na szalone wyprawy téj *Maryny* zmarniały.

Po Giżance stara zakonnica przechowywała jako drogie pamiątki: różaniec ze szczerozłotym krzyżykiem i czarę złotą prześliczną robotą w różne floresy i arabeski. Snać wychowanka Bernardynek nie zapomniała o swoich zakonnicach, bo jak mi opowiadała, ostatnia z nich, posiadaczka tych pamiątek, często odwiedzała ten klasztor i hojnemi dary uposażyła.

Pomiędzy klasztorem Bernardynek a pałacem pod Blachą, stała mała kamieniczka bez piętra. Na dole w nizkich pokoikach mieścił się zakład „Nowackiego" pod nazwą kawiarni, ale głównie zbierali się tu wieczorem liczni zwolennicy doskonałego ponczu. A poncz Nowackiego miał tę zaletę, że był czysty, z dobrym arakiem i sokiem cytrynowym, do którego dla milszego aromatu dodawano trochę ananasów.

Akademicy rzadko tu zaglądali, bo to były za wysokie progi na ich nogi, a raczéj na kieszenie: szklaneczka bowiem ponczu zwykłego kosztowała złoty, a z przyprawą ananasową półtora i dwa złote. Zamożniejsi jednak, lub drudzy chwilowo zasobni, zbierali się w małe gronka, dobierając sobie do towarzystwa z kolegów i chudeuszów, których kochali.

Dym fajek w nizkich sklepionych pokoikach jak mgła gęsta panujący ciągle, stanowił atmosferę zwyczajną: były jednakże ustronne

komnatki, gdzie za zamówieniem w swojém tylko kółku bawiono się ochoczo miłą pogawędką do późnéj nocy.

Do tych częściejszych zebrań nie małym był wabikiem Truskulawski, rodzony brat słynnéj tragicznéj aktorki Ledóchowskiéj, jeden wówczas z najznakomitszych gitarzystów, znany nietylko w całym kraju ale i za granicą z wydawanych koncertów. Grał on po mistrzowsku na gitarze hiszpańskiéj, która już z Warszawy od wielu lat wyparła angielską gitarę, tak rozpowszechnioną u nas, że w zaściankach szlachty mazowieckiéj, panny na zagonie, brzdąkając na niéj, wtórowały sobie do ulubionych piosneczek. W saméj Warszawie rzadko gdzie, chyba w zaułkach podejrzanych, zobaczyłeś tę gitarę; hiszpańska zaś nie postała w ręku kobiéty, bo to instrument wyłącznie do mężczyzn przywiązany.

Było to w połowie marca w porę wielkiego postu, gdy kilku nas znajomych poszliśmy do Nowackiego, dowiedziawszy się że Truskulawski tam będzie i obiecał zagrać na gitarze.

Pod mrok już dobry ruszyło nas trzech razem z ośmioma złotemi w kieszeni, co wystarczało dla każdego na szklankę ponczu chociażby nawet z ananasem!

Pominąwszy piérwszy pokój zaciemniony od dymu fajczanego, przeszliśmy do trzeciéj bocznej komnaty.

Siedział już tam Antoni Cyprysiński z jakimś rosłym młodzieńcem, którego nam przedstawił jako dobrego kolegę, a zwał go po imieniu tylko Protem.

Gitara hiszpańska wisiała na ścianie. Kazaliśmy sobie dać po szklance ponczu i zasiedliśmy przy jednym stole. Cyprysiński z towarzyszem swoim przybył tu właśnie z tegoż samego powodu, dla którego śmy przywędrowali do Nowackiego, bo wiedział że Truskulawski stawi się niezawodnie. Zegar na wieży zamkowéj uderzył dziewiątą godzinę: zanim jéj brzmienie umilkło, roztwarły się drzwi naszéj komnaty i wszedł najprzód Truskulawski, a za nim dwóch młodych, którzy dziwne z sobą przedstawiali przeciwieństwo.

Młodszy wiekiem był wyniosłego wzrostu, dobréj tuszy, pełnéj twarzy, oczu wielkich niebieskich. Włosy jasne blond spadały mu w gęstych splotach na ramiona: płeć na obliczu biała, alabastrowa, z żywym rumieńcem. Towarzysz jego może o trzy, cztery lata starszy, nizki, chudy, oczy czarne, krucze włosy; ale oblicze śniade, a raczéj zżółkłe, wstrętem na pierwszy rzut oka przejmowało. Byli to przyjaciele naszego gitarzysty, który z siostrą swoją Ledóchowską żadnego nie miał podobieństwa.

Piękny blondyn zawołał dźwięcznym, a silnym głosem.

— Trzy szklanek ponczu ananasowego, ale w kubełkach.

Tak nazwał on duże kufle szklanne, obejmujące więcéj jak dwie szklanek zwyczajnych.

Chłopak wniósł żądane trzy kubełki, a miła woń ananasowa napełniała naszą komnatkę.

Kiedy Truskulawski z towarzyszami już po połowie swoich kubełków wysączyli, Cyprysiński zawołał:

— No grajku kochany, masz gitarę na ścianie, zagraj nam co do serca, a my ci tu zawtórzymy chórem.

— Nie, nie!—odrzekł wołany—ty Antoni musisz nam co piérwéj zadeklamować. Radbym usłyszéć wraz z memi towarzyszami starego Bogusławskiego.

Cyprysiński wychylił resztę swojéj szklanki, powstał i ukrył się za parawanem stojącym przy drugich drzwiach naszéj siedziby.

— Cicho! i słuchajmy!—przemówił Truskulawski—nikt tak wybornie twórcę teatru naszego nie potrafi naśladować jąk dzielny Cyprys.

W komnacie zalegała grobowa cisza, a z za parawana odezwał się głos rzeczywiście sędziwego Bogusławskiego: przysiągłbyś, że rolę starego Horacyusza z tragedyi Piotra Kornela w przekładzie Osińskiego deklamuje sam artysta. Z dwóch scen wypowiedział piękniejsze ustępy, poczém wyszedł z za parawanu i kładąc rękę na ramieniu Truskulawskiego:

— No!—rzekł—ja spełniłem wasze żądanie, teraz pokaż swoją sztukę.

— Dobrze! dobrze! tylko skończę moją koneweczkę, bo i smaczna i woni doskonale, aż się wąsy śmieją.

I pokręcił sumiastego wąsa.

Po chwili zaś dodał, zwracając się do wysokiego blondyna:

— Ty Stasiu zaśpiewasz swego imiennika piosenki, a ty Barnabo—mówił do młodego bruneta z żółtą cerą—potém nam po swojemu zanucisz. Spojrzałem na obu towarzyszy gitarzysty: blondyn wypiękniał po wypiciu połowy konewki wybornego ponczu, ale co dziwnego, że i mały brunet zmienił się do niepoznania i wyładniał także. Stasia oczy jaśniały niezwykłym blaskiem, policzki mocnym powlokły się szkarłatem; z oblicza Barnaby znikła żółta cera, śmiałość tylko męzka wybiła, a ubarwiły ją żywe rumieńce. Oczy czarne świeciły jak dwa brylanty najczystszéj wody. Teraz dopiéro ujrzałem jego piękne i kształtne różane usta z pod czarnego wąsa i dwa rzędy zębów równych, białych jakby wyrzeźbionych z kości słoniowéj. Kiedy się uśmiechnął na zawezwanie Truskulawskiego, z przyjemnością się weń wpatrywałem, a gdy nie długo w śpiewie zabrzmiał męzkim, silnym basowym głosem, całe nasze kółko zebrane słuchało go z zachwyceniem.

Truskulawski uderzył w struny gitary, a po pełnéj wdzięku przegrywce, Staś miłym zaśpiewał głosem:

Znacież ludzie młodzi
Stacha z Zamiechowa,
Co na mszę nie chodzi
I postu nie chowa;

Lecz którego śpiewki,
W powszednie i święta,
Powtarzają dziewki
I polskie chłopczęta?
Miła mu jak sława
Jest pieśń narodowa:
To piérwszą zabawa
Stachą z Zamiechowa.
Nie szkockie ballady,
Nie walce tyrolskie;
Lecz rad, wśród biesiady,
Nuci śpiewy polskie.
Ma Francuz menuety,
Ma Hiszpan bollery,
Ma Włoch kanconety,
Ma Niemiec sztajery.
Piękne to są trele;
Lecz śpiew Krakowiaka
Wnet budzi wesele,
I cieszy Polaka.
Żyjcież polskie dziewki!
Z wami polska mowa!
Oto jest treść śpiewki
Stacha z Zamiechowa!

— To piosnka Doliwy Starzyńskiego, przemówił Prot dotąd milczący: lubię te jego śpiewki, tylko nie smakuję w tych jałowych konceptach, które już wypłowiały. Co to za wielka rzecz, żeby się chwalić, że się na mszę nie chodzi i postu nie szanuje. Myśl sobie i rób, jak tam zechcesz na stronie, wolna wola, ale zgorszenia nie dawaj poczciwszym ludziom, co wśród pracy ciężkiéj i niewesołéj wędrówki światowéj, idą na mszę, aby myślą podnieść się po nad kał ziemski i poszczą na cześć i chwałę Bożą.

— Niechby on odezwał się z taką piosnką pomiędzy naszemi chłopkami, odrzekł Barnaba, pewnieby go słuchać nie chcieli, a na podzięk̨ę, jak nasze poczciwe Mazury, skóreby mu potężnie zgarbowali. Szkoda żeś téj zwrotki Stasiu nie opuścił, bo reszta i dobra, i piękna.

— Śpiewam jak napisał, zresztą wiesz mój kochany, że tak nie myślę.—Barnaba na te słowa porwał się z siedzenia, przyskoczył do Stasia, objął szyję jego rękoma i zaczął serdecznie całować.

— Co ty wygadujesz! zawołał, a toć mogę naszego śpiewaka przedstawić wam koledzy, jako skromną panienkę, poczciwego brata! On mię nawrócił, był wielkim lekarzem duszy i razem chodzimy do kościoła na gorącą modlitwę. O moi drodzy! (mówił głęboko wzruszony), gdy burze życia złamały mnie, gdym blizki był rozpaczy, on, jak

anioł zbawienia zjawił się, przytulił do piersi braterskiéj, a potém rzekł: „Chodźmy, ja cię powiodę tam, gdzie znajdziesz pociechę i ulgę: wiecie kędy mnie zaprowadził? Do kościoła Kupucynów. Była to, pamiętam dobrze, *Wielka Sobota* i chwila *rezurekcyi*; gdym ujrzał tłum pobożnego ludu i uroczystą procesyą, kiedym zobaczył mego Stasia jak ukląkł, a na jego obliczu młodém i czerstwém, wybił wyraz zachwytu i radości nadziemskiéj: padłem przy nim na kolana i pierwszy raz przy brzmieniu radosnéj pieśni *Alleluja!* ja zakamieniały w niemej boleści, jak bóbr rzewnemi zalałem się łzami i serce moje pierwszy raz po wielu dniach letargu rozbudziło się i uderzyło swobodnie. A łzy mi były potrzebne! Niedaremnie lud nasz mówi, że one są rosą serca i ma prawdę za sobą!

Po tych słowach opuścił głowę na piersi, ale po chwilce podniósł ją, oblicze jego już było pogodne, rzekł więc do nas:

— Darujcie tę przerwę w zabawie, a teraz ja wam kochanego Doliwy zaśpiewam *Jesień Wieszcza*, w któréj się sam dobrze maluje, a ty drogi grajku graj, wszak znasz dobrze tę nutę.

Skroń moją już szrony bielą,
Dni mych jesień przyszła wcześnie;
Troski rychłą zimę ścielą,
Dni szczęścia nikną, jak we śnie!
Przeżyłem już, o nie lata,
Nie dni liczcie mego wieku!
Chwila, co drugim przelata,
Jak błyskawicy mignienie,
Dłużéj w mękach cięży człeku,
Niż nocy bezsennéj cienie.
Czasem chyżym grom *udarem* [1]),
Jak grot, co w powietrzu swiszcze,
Zajmie stary dąb pożarem;
Spłonął gwałtownie, lecz zgliszcze
Żywią długo żar tajony,
W zimném już napozór próchnie,
Lada wiatrem poruszony,
Pień ten znów pożarem buchnie.
Przeżyłem więc ciąg dni krótki,
Jeśli szczęsne chwile liczę,
Zbyt długi, gdy na me smutki,
Gdy wspomnę na me gorycze.
We łzach o śpiéwy żałośne!
Ujrzałyście życia zorze;
Tak cierpi męki nieznośne,
Gdy ją nurek żywcem porze,

[1]) *Udarem*, prowincyonalizm, zamiast uderzeniem.

Muszla dobyta z wód łona.
Perłę w niéj chciwiec znajduje,
A rad zdobyczy nie czuje
Cierpień, w których muszla kona.
A ten wodorzut wspaniały,
Co w obłoki z szumem tryska
I zdrobnionemi kryształy,
Jak deszczem klejnotów błyska;
Ciosowéj więzień sadzawki,
Tylu wdzięcznych zjawisk sprawca,
Rosząc kwiaty, żywiąc trawki
Ten zieloności rozdawca,
Ten strumyk w źródle ujęty,
Czy sądzicie, że ochoczy
Rzucił braci swych nurt kręty,
By tu wasze łudził oczy?
Rodzinny jego szmer zginął;
Ach! radby jak niegdyś w lasku,
Gdy pod kwiatów cieniem płynął,
Zrzec się zmuszonego blasku.
Tak téż i wieszcz szczęsny póty,
Póki wrzące w nim płomienie,
Jak ścieśnionéj wody rzuty,
Nie wytrysną w głośne pienie.
Póki, jak muszla skrwawiona,
Gdy drogim darzy klejnotem,
Skarbu nie wydrą mu z łona
Przeszytego srogim grotem;
Lub póki, jak ten dąb stary,
Na którego piorun strzelił,
Sam płonąc wrzącemi żary,
Puszczy blaskiem nie obdzielił!

Cudnie pięknego śpiéwu słuchaliśmy z głębokiém zajęciem. Brzmiący, pełen siły, wdzięczny i wyrobiony głos Barnaby, przemawiał do każdego duszy; zdawało się, że ta drobna i nikła postać nie może tak potężnym głosem władać. Każda myśl, każdy wyraz, każdy obrazek téj pieśni był odcieniowany z dziwném mistrzowstwem. Cyprysiński i Truskulawski, jakby namówieni, razem zawołali:

— To nasz Beranżer!

— Tak zaprawdę, odrzekł Barnaba, to rzeczywiście nasz Beranżer i dlatego pieśni jego, jak jaskółki na wiosnę, rozbiegły się po siołach naszych jak i miastach, i wszędy znalazły gościnne przyjęcie, a melodya do nich tak śpiewna, tak rzewna nieraz, a zawsze treści piosenki odpowiadająca wybornie.

Teraz wychylił do dna swoją koneweczkę, wziął od Truskulawskiego gitarę, a wtórząc na niéj, zaczął pieśń: „Banialuka."

„*Banialuka!*" mój dziadunio,
Ciągle w ustach miał to słowo,
Czy się bawił z mą babunią,
Czy się nudził z książką nową,
Czy *Gazetę Polską* czytał,
Czy swego łajał hajduka,
Nawet czy się o co pytał:
Wprzód rzec musiał: *banialuka!*
Młódź narowy chwytać rada,
A nałóg naturą zowiem;
To przysłowie mego dziada,
Stało się mojém przysłowiem.
Kto znał starca, kto z nim bawił,
Za jego mnie uzna wnuka:
Dziadku! tyś mi skarb zostawił
W tém przysłowiu: *banialuka!*
Ileż mi głupstw i kłopotów
Ten wyraz za młodu szczędził,
Gdym do grzéchu zawsze gotów,
Za rozkoszą kłusem pędził.
On, w miejsce anioła-stróża,
Strzegąc od szwanku nieuka,
Wykrył, że ma ciernie róża,
I że miłość: *banialuka.*
Patrz na męża, który z tronu
Strącon na ostrow bezludny
I męczennik Albionu,
Klął swych wrogów czyn obłudny [1]);
Ci, co się nim spanoszyli,
Poszli w ślady Mameluka,
A on w ciężkiéj skonu chwili
Rzekł: „I wierność—banialuka!"

Staś rozmarzony tym śpiéwem, jakby się zbudził ze snu, zawołał, podszedłszy do drzwi naszéj komnatki:

— Proszę ośm konewek ponczu ananasowego, ale suto ananasów, cukru, cytryny i *jamajeczki.*

Spojrzeliśmy się wszyscy wdzięcznie na tak hojnego fundatora, a Barnaba ze słodkim uśmiechem wyszedł kłaniając się zgrabnie przed Stasiem, wyciął trzy *entre-chat*, i z dziesięć prześlicznych piru-

[1]) Napoleon I osadzony na wyspie Ś-éj Heleny.

etów. Poczém poprawił sobie gitary, i stojąc przed nami, przygrywając sobie, zaczął najpopularniejszą piosnkę Starzyńskiego, znaną w całym kraju: „Kowal.“

„Rzeźko! żwawo, stuku! puku!
Tak do pracy kowal wzywa,
I przy głośnym młota huku
Stary ojciec pieśń tę śpiewa:
„Kierujcie się jak możecie,
Ale pamiętajcie o tém:
Że człek każdy na tym świecie
Jest kowadłem, albo młotem!
Stuku, puku!
Stuku, puku!
Błyszczy stal w ogniu, oczęta
Lubéj, miléj błyszczą jeszcze:
Lecz biada! kogo ponęta
W złéj niewiasty poda kleszcze!
Dzieci wierzcie kowalowi,
Dyabeł wichrzy takiém stadłem,
Gdzie na przekór rozumowi,
Żona młotem, mąż kowadłem!
Stuku, puku!
Stuku, puku!
Jak bez ognia nasze miechy,
Węgla w kuźni nie rozżarzą,
Tak bez cnót nie ma pociechy,
Bo swobodą cnoty darzą.
Rzeźko, żwawo, stuku, puku,
Dzieci do zmroku wytrwajcie;
I przy głośnym młota huku,
Wraz z starym ojcem śpiewajcie!“

I przy tych ostatnich słowach, dwóch chłopców na tacach wniosło potężne kufle gorącego, a wybornie woniejącego ponczu.

Na tak miły i ujmujący widok, Cyprysiński z Protem podnieśli się razem i obu tacom pokłon nizki oddali, a gdy nas fundator zapraszał do rozebrania tych powabnych koneweczek, pierwszy, ująwszy swój rzekł zwrócony do Stasia:

— Pamiętasz koleżko kochany, sławną pieśń pełną humoru i dowcipu naszego Beranżera: „Dyabeł nieboszczyk“ i zaśpiewał dwuwiersz, którym się każda jéj strofka kończyła:

Sic est, sic est, ita, ita,
Zabił dyabła jezuita!

— No! jezuita zabił dyabła, a ty chcesz nas zabić temi kuflami: któż z nas im podoła?

Barnaba wpadł w śmiech pusty, który rozweselił całe grono.

— I to nam kto odważa się mówić—zawołał—takie admonicye, pan Antoni, który się ani dyabła, ani jezuity, ani nawet tuzina takich koneweczek nie boi.

Cyprysiński się uśmiechnął, przyjrzał się bliżéj każdéj koneweczce, i odrzekł spokojnie i poważnie:

— Przesadzasz nasz drogi śpiewaku; na trzy, może półtuzina głowa by starczyła, ale za nogi nie ręczę; tymczasem wznieśmy zdrowie łaskawego fundatora: wiwat! niech żyje!

— Niech żyje! wszyscyśmy zawołali z niekłamanym zapałem, a Truskulawski uderzył w struny gitary na przygrywkę temu wiwatowi.

Zasiedliśmy więc razem, a potrąciwszy koneweczkami, raczyliśmy się wybornym napojem. Cyprysiński wtedy zwróciwszy się do Truskulawskiego rzecze:

— Ty w swoich artystycznych wycieczkach musiałeś poznać Starzyńskiego, bo to wielki zwolennik jak poezyi tak muzyki!

— O! zbliska go znam—odrzekł—i przyznam się wam, że każdy kto go poznał, musiał i pokochać razem. Zabrał mnie z sobą do swego Zamiechowa i bawiłem u niego prawie cały miesiąc; razem ze mną mieszkał u niego znany wam Franciszek Kowalski, tłumacz Moliera, co był guwernerem Augusta Cieszkowskiego. Zajmował on domek oddzielny w ogrodzie, ja razem z panem Stanisławem spałem. Nieraz gawędziliśmy do północka, nieraz mu musiałem wtórować do jego piosnek, a przychodziły mu one łatwo, bo był zarazem rzadki improwizator. Mieliśmy z Kowalskim dowód tego wyraźny w Boguszówce u państwa Dunajewskich. Jest to wieś o małą milkę od Zamiechowa położona, a nie brakło w tym dworze gościnnym wesołéj zabawy, bo ją ożywiało ciągle kilka ładnych panien. Tańce trwały do późna; nieraz okiennice zamykano ażeby goście nie widzieli wschodzącego słońca. Jedna z tych ślicznych panien przyszła do Starzyńskiego i zapytała czemu nie tańcuje?

— Ze wstydem pani wyznać muszę — odpowiedział — że nie umiem, chociaż się kiedyś przed laty uczyłem.

— Co to za wielka szkoda!—odrzekła powabna dziewica—miałbyś pan we mnie niestrudzoną tanecznicę; ale, ponieważ pan nie tańcuje, to nam powinieneś jaką śliczną zaśpiewać piosenkę.

— Prosimy! prosimy!—zawołało całe grono.

Starzyński, patrząc w urocze jéj oczęta, zaśpiewał natychmiast zaimprowizowanego mazura:

Układ ze mną zrób dzieweczko,
Z oczywistym swoim zyskiem;
Dam ci piosnkę za piosneczką,
Ty mi uścisk za uściskiem.

Przy układzie tym obstawaj,
A gdy małe widzisz zyski,
Ty mi piosnek nie oddawaj,
Ja ci oddam twe uściski.

Grzmoty oklasków rozweselonéj drużyny przygłuszyły muzykę. Było to w roku 1823 i Starzyński liczył już około lat czterdziestu. Wiele rodzin pragnęło, ażeby ściślejszy z nim związek je połączył, radzili mu ażeby się ożenił: młode i piękne panny miłemi nań spoglądały oczkami, bo rzeczywiście był to przystojny mężczyzna. Jeden z bliższych przyjaciół przynaglał go o to najwięcéj, i raił mu panny, które sam śpiewak wysoko cenił zarówno dla wdzięków jak przymiotów; ażeby mu dać odprawę, na ostatni list jego odpisał:

Niech się żeni kto bogaty,
I bogatym zostać łaknie;
Niech się żeni komu chaty,
Lub kawałka chleba braknie:
Ja, któremu los w podziale
Dał byt mierny, który cenię;
Brnąc przez życią mego fale,
Pewno że się nie ożenię.

Nauczyłem się tych wierszy na pamięć, bo sam dzielę Doliwy przekonanie i jak on, pewnie się nie ożenię. Niech żyje celibat!

Na te słowa Truskulawskiego, Barnaba powstał wzruszony widać do głębi, bo piorunującém spojrzeniem rzuciwszy na niego, zawołał z gniewem:

— Do milion kroć sto tysięcy, fur, beczek, batalionów, rejmentów dyabłów, takich głupstw mi nie powtarzaj. Pasożyty! egoiści! nicponie! Cóż z was dla kraju zostanie! jakaż pamiątka waszego pobytu na ziemi, jeżeli nie stanowicie rodziny.

Truskulawski nachylił się do mnie i rzekł zcicha:

— Zagadaj o czemkolwiek, bo widzę że Barnabę wściekłość napada, a wtedy awanturę gotów zrobić, bo i poncz zaczyna go rozgrzewać.

— Czemuż Starzyński nie drukuje swoich piosnek—zapytałem niby niechcący.

— Pisywał zwykle rankami na świstkach które po sypialni rozrzucał niedbale—odrzekł Truskulawski—i nieraz chwytał świeżą napisaną pieśń lub elegią, i nią fajkę zapalał; ale na szczęście, był tam blizki jego krewny, który je przepisywał i ochraniał od zagłady.

Barnaba powoli ochłonął, Staś mu coś szeptał do ucha i obaj się śmieli. Spojrzałem w około: patrzę z moich towarzyszów już nie było żadnego; Cyprysiński tylko z Protem w swoich miejscach siedzieli. Patrzę na koneweczki, po uciekinierach stały puste, wysączone do

ostatniéj kropelki. Truskulawski zaczął grać na gitarze; Barnaba wziął mu ją z rąk i mówił jakby na przeprosiny:

— Zagram wam i zaśpiewam jeszcze piosnkę Doliwy, któréj może nie znacie: nie pamiętam tego *Paciorka* całego, ale według mego zdania, to w niéj co najpiękniejszego:

Gdy mnie fanatyzm oskarza,
Dowiodę szkodnéj obmowie,
Że choć nie znam brewiarza,
Codzień jednak pacierz mówię.
Tak jest, codzień w wieczór, zrana,
Wznosząc strzeliste westchnienie,
Wołam do zastępów Pana:
„Nie wódź nas na pokuszenie!“
Nad wszelakie nasze modły,
Cenię ten pacierz niedługi;
Nieraz patrząc jak łotr podły,
Z obcéj korzysta zasługi.
Jak łatwo dźwięk złota może
Zagłuszyć trwożne sumienie;
Powtarzam wnet: „Panie Boże!
Nie wódź nas na pokuszenie.“
Mickiewicz i Zaborowski,
Parnasu Polski orlęta;
Mogą żywiąc zapał boski,
Śpiewać wino i dziewczęta.
Jak w bajeczce stary czyżyk,
Gdy mnie młodych wabi pienie;
Mówię, czwarty licząc krzyżyk:
„Nie wódź nas na pokuszenie!“
Pan Piotr, mój rówiennik w latach,
Nad wszystko bezżenność cenił;
Jak motyl latał po kwiatach,
Piekłem życia hymen mienił.
Tonący chwyta się brzytwy,
Dziś Piotr chwali ożenienie;
Ja się trzymam méj modlitwy:
„Nie wódź nas na pokuszenie!“

— Dobra to piosnka, a jeszcze, gdy przechodzi przez usta takiego, jak nasz kochany śpiewak—odezwałem się rozgrzany większą połową mojéj koneweczki i czując nieco ananasy w głowie—ale przesadził, stawiając Tymona Zaborowskiego obok Mickiewicza, to orzeł król ptaków, a tamten ptasze z gór Miodoborskich; jakoż w późniejszéj piosence, już inaczéj zaśpiewał. Zdaje mi się, że ma ona tytuł: *Obaczymy*.

Staś podgarnął bujne kędziory swoje i rzekł:

— Poczekajcie, nie pomnę całéj, ale oto jéj pierwsze zwrotki: I zaczął bez wtóru gitary przyśpiewywać:

Co przeszło, już się nie wróci,
Co dziś widzim także minie;
Ten szalony, kto się smuci,
Lub na przekor fali płynie.
Nikt przyszłości nie odgadnie,
Proś go, błagaj, wyrok niemy;
Każdy ślepo stawkę kładnie,
A kto wygra obaczymy!
Ta przyszłość, którą człek goni,
Gdy przybędzie, czém się stanie?
Obecnością i odsłoni
Czcze nasze za nią wzdychanie;
Jest to widowisko stare,
Wszyscy je na pamięć wiémy
I ziewając, jak za karę,
Patrzym, mówiąc: „obaczymy!"
„Odkryj mi swoje serduszko,
Zrób mnie najszczęśliwszym z ludzi."
„Zobaczymy moja duszko."
Tém mnie słowem Zosia łudzi,
Tém słowem kończy polityk,
Kiedy mu wierzyć nie chcemy;
Niém grozi mi wiérszów krytyk
I ja mówię obaczymy!
Obaczymy, kto swe skronie
W niezwiędły odzieje wieniec,
I w rodaków zbudzi łonie
Zapał, którym tchnie młodzieniec.
Któż? ja? ty? Oh! nie, lecz Adam,
Prym mu wszyscy przyznajemy,
Ja w téj śpiewce cześć mu składam,
Przyjmież on ją?—Obaczymy!

— Nie dziwcie się temu porównaniu Zaborowskiego z Mickiewiczem, bo Starzyński autora *Dum Podolskich*, kochał serdeczną miłością, mówił Truskulawski. Nieraz do północy nie mógł się o swoim drogim Tymonie dość naopowiadać, co to była za piękna dusza, jaki wzniosły, poetyczny talent! A kiedy wspomniał ową straszną dla siebie chwilę, gdy wydobyto martwe zwłoki z nurtów Zbrucza, w których młody poeta dobrowolną śmierć znalazł, płakał jak dziecię i długo utulić się nie mógł, i przez parę dni pióra nie wziął do ręki, chodząc osowiały. Przypominał mi nieraz, jak Zaborowski cudnie czytał, bo miał głos szczególniéj melodyjny tak do deklamacyi, jak do

wdzięcznego śpiéwu. Doliwę zachwycały jego utwory, ale późniéj o nikim nie mówił, tylko o jednym Adamie.

— Rzeczywiście—odrzekłem—poezye Zaborowskiego tchnęły jakąś świeżością, niezwykłym wdziękiem i prostotą, zwiastującą już przełom w wyobrażeniach literackich. Pamiętam w szkołach pijarskich, gdy nam ksiądz prof. Szelewski czytywał kilka pieśni z jego wielkiego poematu o Bolesławie Chrobrym, jak *Aniela i Dobromir*, *Jamydyk Błud* czarownik i kilka innych, jak one nas porywały, jak górowały po nad tém wszystkiém, cośmy znali z polskiéj poezyi. Smiały polot jego natchnienia, gniotły jeszcze stare formy klassycyzmu, ale znać było, że się z nich wyłamać usiłuje, jak młode orlę ze słabéj klatki do polotu w chmury!

— Już więcéj tego porównania—mówił Barnaba—nie powtórzył, bo coraz gorętszym stawał się wielbicielem Mickiewicza. Kiedy do Włoch wyjeżdżał, przesłał mu Starzyński wiersz prześliczny. Nie pomnę całego, ale powtórzę, co zapamiętam.

I potarłszy czoło ręką, zaczął melodyjnym swoim głosem cudnie deklamować.

„Mocarzu lutni polskiéj, prawych bardów wzorze,
Szczytności i zapału niepojęty zbiorze,
Mickiewiczu! Twym ogniem, gdy serce zagrzewam
Twój ziomek, twój hołdownik, wielbię cię i śpiewam!
Nawo pogardzająca przepaściami głębi,
Piersi, któréj wulkanu wieczność nie wyziębi,
Głosie, którego echa gromy nie zagłuszą,
Duszo! jedynie polską zrozumiana duszą!
Wajdeloto nasz młody, Wajdeloto dzielny!
W więzach twéj chwały kamień założył węgielny;
Spieszysz do Włoch, gdzie słońca dobroczynne wpływy,
Odpowiednie twym śpiéwom zwykły budzić śpiéwy;
Gdzie należnéj po zgonie im nagrody doznasz,
Żywy, rajskie rozkosze, rajskie niebo poznasz!
Kraina najszczytniejsza z krain starożytnych,
Zwalisko celujące tylu zwalisk szczytnych,
Włochy uczczą tłumacza Danta i Petrarchy.
Pod płaszczem klassyczności zziębłe arystarchy,
Echem ludowém twego nie zmróżą wawrzynu,
Gdzie gmin czuje, miło tam nucić i dla gminu.
O! ty mojemu sercu i myślom przytomy,
Wzniosły w śpiéwach, w pożyciu uprzejmy i skromny;
Bo takim ciebie głoszą w pobratymczém gronie,
Szczęśliwsi, których twoje uścisnęły dłonie.
Dla mnie los w błogich przygód nieszczodry szafunku,
Dotąd cię w martwym tylko dał znać wizerunku;
W nim ją zatapiam oczy, czucia badam z rysów

I walki twoje z losem z twych śledząc opisów,
Porównywam cię wieszczu z twym własnym utworem,
Z tym *Farysem* nadludzkiéj wytrwałości wzorem;
Jak on świetny zwycięzco sępów, uraganów,
I z zatopów piaszczystych wywianych bałwanów,
Do szczęsnéj Arabii dobiłeś się z puszczy.
Tu, rzekniesz, jest mi niebo, tu jest gwiazda złota,
Przewodniczka wieszczowi do chwały żywota;
Tu pełne, nieprzebrane płyną pociech zdroje,
Tu z piersi nieprzebranéj płyńcie wiérsze moje!
Orzeł swym dziobem krwawi z piór odarte skrzydło,
Zakiełznany koń żuje spienione wędzidło;
Lecz swobodny król ptaków, lot wznosi nad Tatry,
A rumak, pan swéj woli, rącze ściga wiatry.

Wtém nagle umilkł, daremnie tarł czoło swoim zwyczajem, spuścił głowę na piersi i zdawał się, jak gdyby zadrzemał. Cyprysiński stał przy stole, jakby oczarowany urokiem deklamacyi Osińskiego, którego wielkim był wielbicielem, a nieprzyjacielem Mickiewicza.

Pamiętam, że na rogu Mostowéj ulicy na pierwszém piętrze była kawiarnia; tam wieczorem pan Antoni z bratem swoim i kilku kolegami z uniwersytetu, popijając z miedzianego imbryka grzane piwo dubeltowe, żartowali sobie z romantyków, a oczywiście głównie z ballad, romansów i *Dziadów* Mickiewicza. Tu obaj bracia Cyprysińscy rej wiedli, a reszta towarzyszów potakiwała im zgodnie. Widząc teraz Cyprysińskiego tak zachwyconego rzekłem.

— No! i cóż panie Antoni, czy nam znowu powtórzysz:

Cicho wszędzie, głupio wszędzie,
Nic nie było i nie będzie?

Na te słowa spojrzał się tylko pochmurno na mnie, ale po chwili uśmiechnął się, kiwnął głową i resztę ponczu z koneweczki wychylił.

Chwila potém było głębokie milczenie, cichość zalegała i boczne pokoje, gdyż goście już je opuścili. Zégar zamkowy uderzył pierwszą z północy; dźwięk ten żałośnie do nas nadpłynął.

— To czas do domu!—zawołał Prot.

— Skończmyż nasze koneweczki—przemówił Staś rozmarzony—a więc za zdrowie, na cześć i pamięć Stanisława Doliwy Starzyńskiego, trąćmy się, spełniając resztę.

Wszyscy chętnie podnieśli ten toast.

— Odpowiedni on ma przydomek Doliwy—ozwał się Cyprysiński—bośmy sobie nieźle *doleli*.

— Na odchodném więc ja zawtóruję, a ty Barnabo zaśpiewaj jeszcze jego pieśń: *Do zobaczyska;* pamiętasz ją dobrze i śpiewasz do serca.

Brzęknęły struny gitary i rozległ się dźwięczny i melodyjny głos naszego towarzysza.

Do zobaczyska! Bóg z wami!
Bóg i ze mną przyjaciele!
Wspólne dotąd między nami
Były troski i wesele.
W odmienne każdego szlaki
Dziś wyroku wola ciska;
Ścieżki różne, cel jednaki,
Więc bracia do zobaczyska [1])!

Podaliśmy sobie ręce, uścisnęli serdecznie i każdy poszedł w swoją stronę. Kiedym wyszedł na plac zamkowy, noc była widna, księżyc jasno przyświecał, niebo pogodne. Mały przymrozek dawał znać, że to pora jeszcze zimowa, a chłód ten mile orzeźwiał nasyconego konewką ananasowego ponczu. Przy posągu Zygmunta III uczułem rękę na ramieniu, obejrzę się i widzę Cyprysińskiego.

---

[1]) Stanisław Doliwa Starzyński, obywatel Podola był synem Erazma majora kawaleryi narodowéj za Stanisława Augusta, który z obszernych włości jakie wziął po przodkach zostawił synowi tylko *Zamiechów i Żabińce.* Zamiechów miasteczko liche, zamieszkane prawie przez samych żydów, słynęło pięknem położeniem nad skalistym jarem. Domki rozrzucone aż na dół ku rzece do któréj wpadają z szumém liczne źródła. Na rynku nasz pieśniarz wystawił piękny kościołek, nad podwojami jego Franciszek Kowalski wierszopis położył napis: *Immortali mortalis.*

Stromy, skalisty i głęboki parów, oddziela miasteczko od dworu i ogrodów dworskich. Dom porządny o piętrze pod blachą, był mieszkaniem poety: Fr. Kowalski w swoich *Wspomnieniach* (Kijów 1859 r. dwa tomy) opisuje szeroko pobyt w domu Stanisława Starzyńskiego. Zamieszkiwał on w oddzielnym domku w obszernym ogrodzie. „Starzyński (pisze) odwiedzał mnie prawie co rano, i zawsze mnie przy stoliku zastawał: czytałem mu com napisał, i on mi czytał swe utwory. Jeżeli sam u mnie nie był, to przysyłał do mnie z zapytaniem człowieka, wielom tego rana wierszy napisał? Raz odpowiedziałem mu że tylko cztery: po chwili, przysłał mi cztery wyborne jabłka. Ja, widząc że te jabłka i inne ogrodowe łakocie są rymów zapłatą, na każde podobne poselstwo, odpowiadałem podwójną lub potrójną liczbą wierszy i tyleż miałem doskonałych jabłek, gruszek, winogron i t. p. Sam nie miałem mu czem zapłacić jego prześlicznych piosnek, w których on był nie zrównany. Z Beranżera też kilka wybornie przełożył".

— Cóż tak Prot był dziś cały wieczór milczący—zapytałem— ledwie parę słów przebąknął.

— Nie dziw mu się, bo był strasznie zirytowany. Wiesz, że żyje z łaski bogatego stryja, owoż onegdaj odebrał od niego 2000 złp., które miał wypłacić tu komuś i te pieniądze leżały u niego. Mieszka na trzeciém pięterku w Starém-Mieście z dwoma kolegami. Zasoby ich wszystkie wyczerpały się i stryj obiecywał, że wkrótce wyznaczoną mu pensyą nadeszle, ale tymczasem straszna biéda. W sklepiku już się krzywili dawać daléj na borg mleko, bułki, salcesoniki i sérki,

---

W kościele Zamiechowskim, który fundował, wystawił dla ojca swego wspaniały pomnik. Bawiąc we Florencyi, zamówił go u rzeźbiarza Fontanny, ucznia Kanowy. Wierzchołek tego pomnika fantastycznemi ozdobiony arabeskami, przenosi wysokość kazalnicy. Trzy sztuki płaskie, marmurowe, składają całość; najwyższa mała, stanowi szczyt; na średniéj, największéj stoi w wypukło-rzeźbie, do połowy ciała wydatny anioł śmierci, nagi, ze smutną cudnéj piękności spuszczoną twarzą. W prawéj ręce trzyma przewróconą ogniskiem na dół, gasnącą pochodnię życia, a lewą wspiera się na owalnym obrazie, przedstawiającym popiersie zmarłego. Twarz anioła była podobną zupełnie do oblicza pięknéj *Delfiny Komarównéj*, którą później zaślubił Mieczysław Potocki z Tulczyna. Blizcy przyjaciele Starzyńskiego mówili, że dokładną jéj miniaturę zawiózł do Florencyi, jako wzór do głowy. „Podobieństwo (mówi Fr. Kowalski) było tak uderzające, że starzy Komarowie przyjeżdżali do Zamiechowa z dziećmi swemi, umyślnie dla porównania oblicza córki Delfiny ze smutnym aniołem śmierci". Nie wiadomo dla czego nagle i bez potrzeby sprzedał Zamiechów i kupił sobie daleko mniejszy majątek nad *Zbruczem*. Nie śmieli go pytać o powód bliżsi przyjaciele, ale zato własny jego chłopek, dał mu dobrą nauczkę. Doniesiono Starzyńskiemu, że jeden z jego nowych poddanych, sprzedał parę wielkich wołów, a kupił sobie dwa małe byczki. Rozgniewany nasz poeta, zaczął go łajać za takie marnotrawstwo: chłopek wysłuchawszy co mówił, rzekł kłaniając się nizko: „Ja tak zrobiłem jak i wielmożny pan, co sprzedał Zamiechów, a kupił sobie kiepską cząstkę nad Zbruczem". Starzyński zamilkł, bo nie miał co odpowiedzieć na tak szczerą prawdę. W roku 1822 przesłał do teatru narodowego wolny przekład dramatu Grillparzera p. n. *Matka rodu Dobratyńskich*, która miała wielkie powodzenie na świecie. Wyjątki z niego jak i z tragedyi Mülnera: *Przewinienie* (*Die Schuld*) I. K. Ordyniec drukował w swoim *Dzienniku warszawskim* 1827 roku (tow VII i VIII); w roku 1836 przedstawiono jego oryginalne krotochwilę na teatrze *Rozmaitości* w Warszawie: Starzyński sam był obecny na jéj pierwszych przedstawieniach i uradował się dobrém jéj przyjęciem. W sędziwych latach przeniósł się do Galicyi, gdzie w późnym wieku zakończył życie. Zbiorek jego pieśni wyszedł w roku 1830 w Warszawie p. n. *Śpiewki i wiersze Podolanina*: reszta prac pozostała dotąd w rękopiśmie, chociaż zasługiwały na wydrukowanie. Portret jego podał *Tygodnik Illustrowany* w tomie V z r. 1862.

które nieraz całodzienny stanowiły posiłek; ale co najgorszego, nie było grosika nawet na *drejkóniszek!* Fajki wystygłe już od dwóch dni, zakurzone stały w kącie nieużyteczne. W tak rozpaczliwéj chwili, przyszedł do nich jeden z kolegów znany hulaka, a wiedząc, że Prot ma w zachowaniu 2,000 złp. nadesłanych, zaczął namawiać, żeby wziął z nich, uczęstował ich, a potém, jak nadejdą pieniądze zapowiedziane od stryja, w miejsce wziętych dołoży. Prot wiesz, jaka zacna dusza, na te poszepty szatańskie porwał się, zwymyślał go, a gdy tamten dowodził uczciwości swojéj myśli, nie wiele myśląc, z pomocą swoich towarzyszy, wyrzucił go za drzwi. Spotkałem go, gdy wyszedł jeszcze strasznie wzruszony, jak mu mógł ten chłystek radzić rzecz tak nikczemną i ledwiem go namówił, że poszedł ze mną na szklaneczkę ponczu. Dlatego nie był w swoim humorze.

Głucha cisza była na ulicach, stróże tylko miejscy grzechotkami ogłaszali każdą godzinę, którą wybijał zégar na wieży zamkowéj.

— Któż to jest ten Staś i ten Barnaba, co tak cudownie deklamuje i śpiewa?—zapytałem mego towarzysza.

— Staś jest syn bardzo bogatych obywateli z Wołynia—odpowiedział mi Cyprysiński—Barnaba podobno z Podola, obaj uczniowie naszego uniwersytetu z wydziału prawa i administracyi. Barnaba skończył kursa przed trzema laty, a Staś w zeszłym roku; kochają się, jak rodzeni bracia. Barnaba zakochał się szalenie w pięknéj pannie Anieli i miał szczerą wzajemność. Oczarował ją śpiéwem, przytém człowiek zamożny i wykształcony, wszystko przemawiało za nim. Tymczasem rodzice panny, nagle i niespodzianie, wydali ją dla tytułu za gołego księcia. Barnaba był w rozpaczy długo i ta gorycz jeszcze mu została, którą często pokazuje. Biedny człowiek a godny lepszego losu. Odżywia się tylko w kółku dobraném, w którém na chwilę może zapomnieć o swéj serdecznéj boleści.

Grzechotka stróża miejskiego, przykro nam nad uchem zachrzęściła, pożegnaliśmy się z panem Antonim na ulicy Podwale, przy zbiegu do niej Kapitulnéj. Nie pomyślałem wtedy, że w kilkadziesiąt lat późniéj, z obowiązku przyjacielskiego, będę przemawiał nad trumną Cyprysińskiego na cmentarzu Powązkowskim!

* * *

Pomiędzy wysokiemi murami kościoła Bernardynek a klasztoru i ogrodu Bernardynów, zbiega ku Wiśle na dół wązka uliczka zwana Maryensztadem. Była to tak zwana *Jurydyka*, należąca do Eustachego Potockiego gen. artyleryi i Maryi z Kątskich; jurydyka ta stanowiła oddzielne miasteczko. Dom pod Nr. 2629 był ratuszem téj mieściny, a w nim zasiadał burmistrz i czterech ławników. Nazwę swoją ta cząstka miasta wzięła od imienia pomienionéj Maryi Potockiéj. Ratusz ten w r. 1791 poszedł w ruinę i Maryensztad wcielonym został do Warszawy. Zaledwie kilkadziesiąt kroków zejdziemy na dół, już się

ta uliczka dzieli na dwie części: z prawéj strony nosi właściwą swą nazwę, z lewéj *Źródłowéj*, od zdroju publicznego jaki dawniéj tu istniał. W środku rzęd domów, na czele których stoi dotąd nizki domek, gdzie mieszkał na pierwszém piętrze słynny na owe czasy antykwaryusz „Gecel Salzstein,“ znany tak wszystkiéj młodzieży szkolnéj, jak i uczniom uniwersytetu warszawskiego [1]). Tu był nagłówniejszy i najżywszy handel księgarski: wszystko co tylko zajmowało się literaturą krajową, to się przewijało w jego trzech małych pokoikach.

Ściany w nich całe zastawione szafami pułkowemi, przepełnione były książkami: procz tego stosy ich leżały na podłodze, a wśród nich wydatniała postać Gecla. By to żyd dobrego wzrostu: brunet, twarzy pięknéj i szlachetnéj, rysów regularnych, oczy żywe czarne i połyskujące; w całém znaczeniu tego wyrazu urodny mężczyzna.

Rzecz dziwna że wziął się do handlu książkami nieumiejąc czytać, ale pomimo to był tak biegły w bibliografii, że byle zobaczył książkę, czy broszurkę i obejrzał ją starannie, już wiedział co warta i nigdy się w swoim sądzie nie omylił.

Młodzież biegła kupować u niego szkolne książki, starsi uczniowie co zaczęli zbierać biblioteki schodzili się dla nabycia rzadszych dzieł; bibliomani odwiedzali Gecla, gdyż często tu spotykali białe kruki bibliograficzne. Chyliczkowski i Konstanty Świdziński łowili u niego te rarogi. Tu, piérwszy, zdobył *Figliki* i *Zwierzyniec* Reja. Pierwotne wydania poezyi Jana Kochanowskiego, pism Łukasza Górnickiego, *Rytmy* Klonowicza, Grochowskiego, Miaskowskiego, Kochowskiego, *Sielanki* Szymonowicza i Zimorowicza, przekłady Cypryana Bazylika, często i nie jednokrotnie u Gecla się przewijały. Zaglądał tu często Stanisław Jachowicz znany bajkopisarz: u niego się téż zapoznał z rzadkościami bibliograficznemi, które oceniać umiał. Spotykałem téż u tego antykwaryusza Kazimierza Brodzińskiego i wielu profesorów uniwersytetu naszego.

Były to czasy właśnie niezwykłego rozbudzenia się miłośnictwa do zbierania zabytków starożytnéj literatury polskiéj. Gecel i stragany przykościelne zastępowały księgarnie, do których prawie żaden z młodego pokolenia nie zaglądał, tak się bał cen wygórowanych.

Wspominam o tym antykwaryuszu, gdyż nietylko że to była jedna z najwydatniejszych postaci naszego miasta, ale że on pomimowolnie stał się rozkrzewicielem wiedzy do zgłębiania i poznania życia umysłowego narodu z ubiegłych wieków.

---

[1]) Dom ten ozdobnie odnowiony dotąd istnieje i ma nr. 18. Od tego miejsca coraz niżéj schodząc zmienia się fizyognomia Warszawy, na liche miasteczko ciągnące się do wybrzeżów Wisły: dom tylko po prawéj ręce Maryensztadem idąc, dwupiętrowy przyozdabia. Była to własność Lessera, znanego z talentu miniaturzysty.

Z bibliotek klasztornych, z dworów wiejskich, z zaścianków szlacheckich, gdy się wiadomość rozpowszechniła o poszukiwaniach gockich druków, każdy kto co miał przynosił lub przywoził do Gecla: on kupował i z nie małym zyskiem rozprzedawał. Nietylko dzień po dniu miewał dużo gości u siebie, ale co niedziela i święta bywał tu tłok jak na odpuście lub jarmarku: oddychał tylko swobodnie w szabas i żydowskie święta.

Młodzież go lubiła, bo umiał sobie ją zjednywać; nieraz studentom borgował, nieraz za pół ceny oddawał, a gdy przyszedł biedniejszy uczeń i zażądał szkolnéj książki, a nie mając czém zapłacić wyznał mu swoją biédę otwarcie, Gecel popatrzył uważnie na małe pacholę, jakby badał prawdę i nie jednemu podarował, z warunkiem ażeby się dobrze uczył.

Dom ten, w którym przez lat wiele nasz antykwaryusz przemieszkiwał, smutne miał wspomnienie w podaniach ludu warszawskiego. W 1712 roku była w nim gospoda cechu kuśnierzy. W lipcu tego roku w dzień św. Jakóba, przybył z Krakowa czeladnik kuśnierski, okazywał i sprzedawał baranki, które były zapowietrzone.

W nocy wybuchł pożar nad Wisłą: zbiegli się ludzie na ratunek, byli pomiędzy niémi i tacy, którzy ten jad zgubny w siebie wciągnęli i udzielili go drugim w natłoku. Nazajutrz kilkadziesiąt osób umarło na *mór* (dżumę). Trwoga padła na całe miasto, którą powiększyła jeszcze ognista miotła jaka się pokazała na niebie i zawisła po nad zamkiem, katedrą i kościołem Bernardynów. Szeroko rozesłane jéj rózgi krwawe, co noc straszyły mieszkańców. Bogatsi uciekli z Warszawy, ubożsi tułali się po blizkich gajach i lasach. Domy zamożniejszych mieszczan i klasztory, zaopatrzywszy się w żywność i wodę, obwarowały się nieprzystępnie, ażeby zarazy nie dopuszczać. Litościwsi, dla biedaków włóczących się po ulicach miasta, wyrzucali oknami posiłek, lub podawali na długiéj żerdzi, któréj już nie wciągali napowrót.

Znaleźli się pobożni kapłani, którzy pełniąc sumiennie święty swój obowiązek, opuszczali warowne mury klasztorów i szli za miasto, aby rozproszonemu ludowi spowiadającemu się jawnie udzielać rozgrzeszenie. Bogate sprzęty, worki z pieniędzmi, które uciekający w powszechnym popłochu zostawiali lub gubili na ulicach, leżały nie naruszone, bo ich nikt nie śmiał się dotknąć w obawie zarazy.

Miasto zaległa grobowa cisza, czasem tylko zamącona rzewniejszym płaczem, albo jękiem konających. Trawa zaczęła porastać na bruku Starego i Nowego Miasta i po wszystkich ulicach i podwórzach pałacowych. Wkrótce to ponure milczenie przerywały straszne wycia psów zgłodniałych i gromad wilków, które po opustoszałem mieście swobodnie przebiegając, chwytały psy, walki z niemi staczały i jako zwycięzcy wylegiwali się na głównych rynkach Warszawy.

Nie wiele pomogli ustanowieni burmistrze powietrzni, bo służba ich trwogą przejęta, w ucieczce za drugiemi szukała ratunku. Wtedy

to na ogromnym wozie dwukolnym ukazywać się zaczęła „Pani moru,“ czyli *morowa zaraza* w postaci niewiasty. Wysoka, blada, okryta czarnym welonem siedziała w tym wozie, który nigdy nie dotykał kołami ziemi, tylko płynął na ciemno niebieskiéj gęstéj chmurze. Tak objeżdżała dom po domu Warszawy, a stanąwszy przed każdym pytała grobowym głosem:

— *Co robicie?* Gdy odpowiedziano: *Śpimy!* Widziadło mówiło: *Śpijcie na wieki!* Powiewała czarnym swoim welonem i wszyscy odrazu w tym domu konali. Kiedy zaś na zapytanie pani moru: *Co robicie?* odpowiedziano: *Nic nie robimy, tylko Boga chwalimy!* Pochyliła głowę i mówiąc: *Chwalcież Go na wieki!* odjeżdżała daléj i wszyscy pozostali zdrowi.

Żaden ptaszek nie zaświegotał w biedném mieście, jaskółki i wróble uciekły daleko, deszczu kropla przez trzy miesiące nie spadła, a niebo zawsze barwy ołowianéj, ciężyło na oddechu każdego. Tylko co noc krwawa, ognista miotła, nie schodziła z nad Warszawy.

Wiatry wreszcie jesienne w czwartym miesiącu z końcem października zawyły od północy, miotła na niebie blednąć zaczęła i wkrótce zniknęła. Z piérwszą zadymką lekkiego śniegu, zaraza ustępować zaczęła. I *panią moru* przewiały gdzieś daleko wichury świszczące. Powoli otwarły się najprzód warowne klasztory, po nich domy zamknięte, a rozpędzeni mieszkańcy powracać zaczęli do miasta. Ci, którzy przechorowali *dymiennicę* jak zwano tę *dżumę*, odziedziczyli domy i majątki po wymarłych właścicielach.

Z wiosną następną 1713 roku miasto odżyło na nowo, domy i pałace się zaludniły, trawa z bruków ulic i rynków znikła, tylko w pamięci mieszczan Warszawy wspomnienie téj strasznéj klęski wyryło się nie startemi zgłoskami i zachowało w żywém podaniu.

Na frontonie kościoła Bernardynów (którego mury ogrodowe głęboko w ulice Maryensztadu wchodzą) od Krakowskiego Przedmieścia, dawna, starych mieszczan warszawskich tradycya wskazywała miejsce, gdzie w czasie szturmu do miasta króla Jana Kazimierza i zaciętéj walki, wódz załogi szwedzkiéj generał Wirtemberg schwytany został. Zrobił on wycieczkę (jak już mówiliśmy) dla odparcia gwałtownego ataku i opanował ten kościół. Rozpoczęła się ręczna bitwa krwawa w samém wnętrzu świątyni, na chórze i w zakrystyi. Rozbici cofać się musieli: Wirtemberg z kilkunastu szedł przebojem, wtedy szlachcic zaściankowy mazur, odbiwszy cięcie szabli schwytał go za pas rzemienny przewieszony przez ramię, przy którym wisiała szabla. Wirtemberg, pas ten, zręcznem pochyleniem się z pochwą zostawił w ręku szlachcica, a sam z niedobitkami cofnął się do warownéj bramy krakowskiéj przy posągu Zygmunta III-go.

(Dalszy ciąg nastąpi).

BRÜHL.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Wir sind alle Schauspieler, es kommt nur darauf an, gut seine Rolle zu spielen.

H. Graf v. Brühl.

TOM I.

CZYTELNIA LUDOWA W CIESZYNIE.

(Ciąg dalszy).

III.

Dziesięć lat upłynęło od tego prologu życia Brühla, od tych scen pierwszych długiego dramatu. Brühl był zawsze jeszcze tym świetnym, miłym, grzecznym, czarującym młodzieńcem, którego urokowi nawet nieprzyjaciele jego oprzéć się nie mogli; ale Brühl już daleko zaszedł od pazia, sekretarza do depeszy J. K. Mości.

Na wspaniałym zawsze dworze tego Ludwika XIV Północy, którego pochlebcy często równali z królem Słońcem, tamte-

mu Apollina cześć, temu Herkulesową oddając; zmieniały się postacie, ludzie, ulubieńcy, faworyty. W kilka lat po owém pogrzebaniu radzcy Pauli, którego miejsce tak szczęśliwie zająć się udało Brühlowi, ulubieniec króla Augusta został jego kamerjunkrem.

Po śmierci starego Fleminga, odziedziczył tajną kancellaryą J. K. Mości. Pokorny i niezrównanie grzeczny, a ustępujący wszystkim Brühl, jakimś cudownym sposobem, szeptano sobie na dworze, potrafił obalić dwóch ministrów nieprzyjaznych sobie: Fleurego i Manteufla, ale gdy mu to przyznawano, rumienił się, zaklinał i wypierał.

Wkrótce potém dostało mu się szambelaństwo i klucz do fraka, bo klucz serca, pokojów i szkatułki J. K. Mości, miał już dawniéj; naostatku rychło jakoś wielkie podkomorstwo go spotkało i stworzony dla niego urząd i dostojeństwo nowe, *Grand Maitre de la garderobe*. Do garderoby téj należały galerye, zbiory sztuki i różne wydziały domowego zarządu Augusta II, który bez tego niezrównanego Brühla obejść się nie mógł. Nie mogło się bezeń téż obejść wiele innych osób... a on, jakby téż wszystkich potrzebował, jakby się obawiał każdego, kłaniał się, uśmiechał, czcił i wielbił zawsze, nawet odźwiernym u bramy zamkowéj.

Król August Mocny od owych czasów gdy tak dzielnie dokazywał z kielichem, koniem i szablą, znacznie się postarzał. Herkulesową, wspaniałą zawsze miał postać, lecz już nie jego siłę: nie bawił się łamaniem podków, ani ścinaniem łbów koni. Strojny, uśmiechnięty, chodził o lasce, a gdy dworując przy damach dłużéj nieco stać musiał, szukał oczyma taburetu i przypominało mu się w nodze to miejsce, od którego ocalając życie Panu, Weiss lejb-chirurg króla, odciął palec Herkulesowi, stawiąc w zakład głowę za palec. Głowa ocalała, palca nie było, a stać długo na téj nodze król nie mógł. Złotych to czasów było wspomnienie, owego turnieju, gdy zdobył serce księżnej Lubomirskiéj. Miłości królewskie wszystkie jedna po drugiéj, złotemi skrzydełkami rozleciały się po świecie. Nawet ostatnia... Orzelska, teraz księżna Holstein-Beck, była już poważną matką rodziny... i właśnie w tym roku (1732) w karnawale dała życie przyszłéj głowie rodziny książęcéj.

Królby się nudził śmiertelnie, gdyby z Włoch sprowadzona, dla odśpiewania głównéj roli w operze *Cleofida o Alessandro nelle Indie*, przepiękna Faustina Bordoni ze słowiczym głosem, nie rozpraszała czarnych jego myśli. Wydano włoszkę za słynnego mistrza Hasse, ale żeby się mógł w sztuce kształcić, a żonie dystrakcyi nie uczynił, wyprawiono go do Włoch, aż do... dalszych rozkazów. Hasse tworzył z tęsknoty arcydzieła.

W tym roku także karnawał obiecywał się być świetnym. Brakło cokolwiek pieniędzy, czego król Jego Mość cierpieć nie mógł; ten Brühl który wszystko tak dzielnie sprawiać umiał, uznanym został jako jedyny człowiek, mogący N. Panu spokojność zapewnić. W karnawale więc i to w tłusty poniedziałek, król zaszczyconemu już mnóstwem urzędów dworskich, skromnemu Brühlowi, oddał uroczyście dyrektorstwo główne akcyzy i podatków.

Napróżno skromny a obarczony ciężkiemi nader obowiązkami młodzieniec, wypraszał się od zaszczytu tego, uznawał go niegodnym; król August II nieznosił przeciwieństwa, nie lubił wymówek i zmusił go do stania na straży u kassy. Brühl odtąd miał pilnować aby Paktol płynął złotem bez przerwy, choćby pot i łzy razem z niém sączyć się miały.

Nie był to już ów paź cichy, lecz mąż, z którym najsilniejsi rachować się musieli. Król nie dawał nań słowa powiedzieć, marszczył się groźno. W nim jednym znajdował to, czego dawniéj w dziesięciu szukać musiał. Brühl znał się na obrazach, lubił muzykę, rozumiał jak się grosz wyciąga ztamtąd gdzie go nie ma, jak się może być głuchym gdy trzeba, ślepym gdy z tém lepiéj, posłusznym zawsze.

Brühl miał już naówczas z łaski pańskiéj kamieniczkę niedaleko od zamku i zrobił z niéj pieścidełko.

Właśnie przed wieczorem ostatniego wtorku który świetnie miał być obchodzony na zamku, nowy dyrektor akcyzy, bo wczoraj dopiéro mianowany we własnym domu(pałacem tego jeszcze nazwać nie było można) spoczywał w krześle zadumany i zdawał się na kogoś oczekiwać.

Pokój w którym przysiadł na chwilę, mógł być gabinetem najwybredniejszéj z kobiét popsutych zbytkiem dworu. W kwie-

cistych ramkach złoconych świeciły zwierciadła, ściany bladoliliowa okrywała materya jedwabna, na kominie, gerydonach, stolikach, porcelany było pełno i bronzów, posadzkę okrywał miękki kobierzec. Brühl z nogami wyciągnionemi, sparty wygodnie na miękkiéj poręczy krzesła, z rękami złożonemi, które z bogatych mankietów pięknemi kształty się dobywały i świeciły kilką pierścieniami, zdawał się zatopiony w myślach i rachubach. Niekiedy tylko gdy wewnątrz domu drzwi jakie skrzypnęły, podnosił się i nasłuchiwał, a gdy nikt się nie zbliżał, wracał do swych dumań i zamyślenia. Wzrok czasem padł na zegar stojący na kominie, bo tylu obarczony obowiązkami pan, musiał obliczać się z czasem, tak jak się liczył z ludźmi i pieniędzmi.

Od paziowskich lat, mimo pracy i wzruszeń, twarz młoda nie straciła świeżości, ani oczy żywego połysku; czuć w nim było zachowanego dla przyszłości człowieka, który miał więcéj nadziei niż wspomnień.

W głębi domu jedne po drugich pocichu zaczęły się drzwi odmykać, Brühl nastawił ucha, kroki się ku drzwiom zbliżały. Chód dawał poznać człowieka, był ostrożny, miękki, służbisty, kogoś takiego co zwykł był przychodzić, ale do którego jeszcze nie przychodzili drudzy.

— To on—szepnął Brühl i podniósł się w krześle—to on...

Puknięcie do drzwi było tak lekkie i poszanowania pełne, jakby bawełnianemi palcami dotknął ktoś tylko aksamitnéj opony. Brühl cicho odezwał się: „*Herein*“, i drzwi uniosły się na zawiasach, tak że skrzypnąć nie mogły, a zamknęły się nie wydając głosu. U drzwi stał człowiek z rodzaju tych, co się po dworach tylko znajdują, bo tylko do dworów się rodzą, i choć kolebka ich stała w stajni, trumna pewnie w pałacu się znajdzie. Postać miał słuszną i zręczną a silną, giętką i wyrobioną do wszelkiego ruchu jak dziecię kuglarza; lecz niczem ona była przy twarzy. Na pierwszy rzut oka na téj masce hieroglifami startemi zapisanéj, nie widać było nic. Nieznaczące rysy, zimne oblicze, pospolita całość, coś ani pięknego ani brzydkiego, a jednak niezwyczajnego. W marszczkach które nikły gdy milczał, chowały się wszystkie sprężyny co twarzą włada-

ły. Spokojny, wypogodzony, z ustami tak ściętemi, że ich prawie widać nie było; pokorny, stał u drzwi przybyły i czekał aby z niego słowa dobyto.

Strój nie zdradzał stanu. Nie był wytworny ani bijący w oczy: suknia ciemna, guziki stalowe, kamizela skromnie szyta, reszta ubioru czarna; u trzewików klamry szmelcowane, prawie niewidoczne, u boku szpadka z rękojeścią stalową, na głowie peruka która starała się być więcéj urzędową i poważną niż zalotną. Pod pachą czarny kapelusik bez galonów, na jednéj ręce rękawiczka ciemna, mankiety nawet karbowane z batystu, zapomniał obszyć koronką.

Brühl zobaczywszy wchodzącego, wstał tak żywo, jakby go sprężyna rzuciła i przeszedł się po pokoju.

— Hans—odezwał się—mamy pół godziny czasu; wezwałem cię dla ważnéj rozmowy. Otwórz proszę drzwi, czy w przedpokoju nie ma nikogo.

Posłuszny Hans, któremu drugie imie było Chrystyan a nazwisko Hennicke, drzwi cicho przemknął, rzucił okiem i dał znak ręką że są sami.

— O tém wiész—rzekł Brühl—że N. Pan wczoraj mnie mianować raczył dyrektorem akcyzy i vice-dyrektorem podatków.

— Chciałem mu właśnie powinszować—rzekł Hennicke z ukłonem.

— Nie masz czego—odwracając się nagle z miną dobrze odegrywającą zafrasowanie – przerwał Brühl—jest to nowy, wielki ciężar na słabe moje ramiona.

— Które mu podołają—dodał z nowym ukłonem stojący u drzwi.

— Hans—zawołał Brühl—w dwóch słowach: chcesz mi być pomocą, ręką prawą, chcesz poprzysiądz mi wierność i posłuszeństwo bez granic, niezłomne; chcesz na złamanie karku bodaj iść ze mną? mów...

— Ale my we dwóch karku nie możemy skręcić—z cichym zimnym uśmiechem szepnął Hennicke i potrząsł głową.

— Potężniejsi od nas je kręcili.

— Tak, ale od nas dwu, excellencyo, zręczniejszych nie

było. Siła i potęga, to jeszcze nic, kto ich użyć nie umié. Ja wam ręczę, potrafimy.

— Ale ważysz się dzielić moje losy i iść ślepo, z zawiązanemi oczyma?

— Bylem rąk nie miał związanych—odparł Hennicke— zgoda.

— Pamiętaj tylko—chłodno rzekł Brühl—to nie płoche słowa, to uroczysta ma być przysięga.

Z jakimś szyderskim wyrazem Hennicke podniósł rękę z dwoma palcami do góry i rzekł:

— Przysięgam... ale na co? mistrzu i panie!

— W obliczu Boga—odezwał się Brühl schylając głowę pobożnie i składając ręce na piersiach—Hennicke, ty wiész żem szczerze pobożny i żadnych żartów...

— Excellencyo, ja z nikogo i z niczego nie żartuję nigdy. Żarty to droga rzecz, niejeden je życiem przypłacił.

— Jeżeli pójdziesz ze mną—dodał Brühl—ja z méj strony ci przyrzekam, że cię wyniosę i zbogacę, dam ci władzę, znaczenie, fortunę...

— Nadewszystko ostatnie—rzekł Hennicke, bo to w sobie zamyka resztę... fortuna...

— Zapomniałeś o losie tego, co z fortuną poszedł do Königsteinu.

— A wiecie dlaczego?—spytał stojący u drzwi.

— Niełaska pana, niełaska Boga.

— E! i lekceważenie pantofla—dodał Hennicke. Rozumny człowiek, na ołtarzu powinien postawić pantofel i do niego się modlić: kobiety wszystko robią.

— Przecież same padają: a Cosel? Cosel w Stolpen.

— A kto Cosel wywrócił?—spytał Hennicke—przypatrzcie się jasny panie przez szkiełko, a zobaczycie tam białe paluszki Denhoffowéj i maleńki pantofelek, pod którym wielki król siedział.

Brühl zmilczał i westchnął.

— Wasza excellencya od wczoraj rozpoczynacie nowe życie, winniście sobie zapisać dla nieustannéj pamięci: kobieta...

— Pamiętam o tém—chmurno odparł Brühl—ale... nieczas o tém mówić, Hennicke. Jesteś więc zemną?

— Na śmierć i życie — odparł Hans. Jestem człowiek mały, ale mam dużo doświadczenia, i uwierzcie mi że moja mądrość czerpana w przedpokojach nie gorszą jest od téj, którą się na srebrnych blatach w salach podaje.

Przed wami się taić nie potrzebuję, a dla was to nie taiemnica; Hennicke, którego widzicie przed sobą, wyszedł z nędznéj skorupki, która gdzieś roztłuczona w Zeitz leży. Długom drugim jako lokaj drzwi otwierał, nim się one przedemną rozwarły. Na akcyzie w Lützen pierwszą moją szermierkę odbyłem.

— Dlatego w sprawie téj akcyzy i podatków, Hennicke, tyś mi potrzebny, nieodzownie, koniecznie. Król potrzebuje pieniędzy, a kraj jest wyczerpany: stękają, jęczą, skarżą się.

— Ktoby ich tam słuchał—odparł zimno Hennicke — oni nigdy nie będą kontenci, oni wiecznie piszczéć muszą; dusić ich trzeba jak cytrynę żeby sok wydali.

— Ale czém i jak...

— E! e! znajdziemy środki...

— Skarżyć się będą.

— Komu?—rozśmiał się Hennicke — alboż to my dróg szlabanami nie możemy pozamykać, a tych co za głośno się odezwą, nie mamy prawa dla spokoju pana, wsadzić do Königsteinu, posłać na Sonnenstein i zamurować w Pleissenburgu?

— Tak, to prawda—rzekł Brühl zamyślony — ale to nie da pieniędzy.

— Owszem to nam je ściągnie: trzeba surowości. Powoli puszczono cugle wszystkiemu. Szlachta się zaczęła odzywać, mieszczanie skowyczéć, aż i chłopi sobie w lamenty.

Brühl słuchał z wielką uwagą.

— Pieniędzy potrzebujemy ogromnie wiele, oto i teraźniejszy karnawał, myślisz że darmo przyjdzie?

— Tak jest, i wszystko co dwór puści spłynie na lud, w ziemię nie wsiąknie, mają więc czém płacić. Pieniędzy— dodał spoglądając na Brühla—potrzebujemy dla pana, a zdałyby się i nam. I waszéj excellencyi i jego pokornemu słudze.

Uśmiechnął się zagadnięty.

— To się rozumie, zacóżbyśmy pracowali w pocie czoła.

— I tyle przekleństw brali na dusze.

— No, gdzie idzie o posłuszeństwo, tam Bóg tych mizernych głosów nie słucha. Król musi mieć co mu trzeba.

— A my, co nam należy—dorzucił Hennicke—co Bogu to Bogu, co panu to panu, a co poborcy to poborcy.

Brühl stanął przed nim zamyślony i po krótkiém milczeniu rzekł cicho:

— Więc oko miéj otwarte, ucho pilne, donoś mi wszystko, pracuj za mnie i dla siebie razem, donoś mi co trzeba; ja mam już tyle na głowie, że bez ciebie nie wydołam.

— Spuśćcie się na mnie—odezwał się Hennicke—rozumiem to dobrze że pracując dla was, dla siebie też pracuję. Nie przyrzekam wam miłości platonicznéj, bo to podobno tak nazywają, gdy kto rękawiczki całuje, ręki się wyrzekając: co interesem jest, to trzeba czysto i jasno postawić. Będę o sobie pamiętał, o was pamiętał, i o królu nie zapominał.

Skłonił się. Brühl po ramieniu go poklepał. — Henicke... wyprowadzę cię wysoko.

— Byle nie zbyt, i nie na nowym rynku—szepnął Hans.

— A! o to bądź spokojny. A teraz tyś rozumny, jaką dajesz mi radę? jak to się utrzymać na dworze? Wyjść na wschody to jeszcze nic, ale z nich na łeb nie zlecieć to sztuka.

— Ja mam tylko jedną radę, excellencyo—począł były lokaj—wszystko się robi przez kobiéty, bez kobiet nic się nie dzieje.

— O, o!—odparł Brühl—są inne drogi.

— Ale ja wiem że wasza excellencya, maćie za sobą Padre Guariniego i ojca.

— Tst! Hnenicke.

— Milczę, a jednak dodam: czas waszéj excellencyi o tém pomyśléć, co kobieca potęga znaczy: mieć zapaśną strunę niezawadzi.

Brühl westchnął.

— Skorzystam z rady, zostaw to mnie.

Milczeli chwilę.

— Jakże wasza excellencya jest z hr. Sułkowskim—po cichu szepnął Hennicke—nie trzeba zapominać że słońce zachodzi, że ludzie są śmiertelni, i że synowie po ojcach następują a Sułkowscy po Brühlach.

— O!—uśmiechnął się Brühl—to mój przyjaciel.

— Wolałbym żeby jego żona była waszą przyjaciółką—wtrącił Hans—na tobym więcéj mógł rachować.

— Sułkowski ma serce szlachetne.

— Któż przeczy, ale najlepsze serce woli tę pierś w któréj bije, od każdéj innéj.

— A hr. Moszyński!—wtrącił Hennicke.

Brühl drgnął i zarumienił się, spojrzał na mówiącego bystro, jakby chciał dojść czy to nazwisko wspomniał z myślą podstępną.

Hennicke miał twarz niewinną i spokojną.

— Hr. Moszyński nic nie znaczy—syknął Brühl—nie znaczy nic i znaczyć nigdy nie będzie.

— N. Pan oddał mu własną córkę—rzekł Hennicke powoli.

Brühl zamilkł.

— Ludzie mają złe języki—począł odpocząwszy nieco Hennicke—na pannę Cosel mówiono że wolałaby była kogo innego nad hr. Moszyńskiego.

Spojrzał mu w oczy: Brühl stał dumnie milczący.

— Tak—wykrzyknął z niecierpliwością—tak; wziął mi ją, wyżebrał, wyintrygował.

— I zrobił w. Exc. największą łaskę w świecie—roześmiał się Hennicke—stara miłość nie rdzewieje, powiada nasze przysłowie. Zamiast jednéj sprężyny, dwie miéć możecie.

Spojrzeli sobie w oczy, ale znać było na twarzy Brühla chmurę, która po niéj przeciągnęła.

— Dosyć o tém—dodał—a więc Hennicke tyś mój, rachuj na mnie. Co dzień o szóstej, tylnemi drzwiami... miéć będziesz biuro tu u mnie: jutro dostaniesz pierwszą nominacyę.

Hennicke się skłonił—I pierwszą pensyę do podniesionéj pracy stosowną.

— Tak, jeśli pomyślisz o tém, aby ją było czém zapłacić.

— To moja rzecz.

— Godzina późna i bądź zdrów.

Hennicke pocałował go w ramię i położył rękę na sercu, a potém powoli, cicho i nieznacznie się wysunął.

Brühl targał dzwonek.

Wpadł kamerdyner przestraszony.

— Na zamku gospodarstwo (Wirthschafft) za pół godziny się rozpoczyna: lektyka?

— Stoi na dole.

— Domino? maska?

— Wszystko gotowe—to mówiąc kamerdyner otworzył drzwi i przez obszerny przedpokój przeprowadził Brühla do garderoby.

Już naówczas pokój który ją zawierał mógł się liczyć do osobliwości stolicy. Dokoła otaczały go wielkie szafy rzeźbione, które w téj chwili wszystkie stały otworem. Pomiędzy dwoma oknami na które spuszczone były zasłony, stał stół okryty, na nogach bronzowych, na nim wielkie zwierciadło w porcelanowych ramach z kwiatów i aniołów. Dokoła téj szyby srebrzystéj kwitły zimą i latem róże, zwieszały się powoje, chyliły konwalie omdlałe, a z zielonych gniazdek wystrzyganych w tysiące form listków wyglądały śmiejące się nieśmiertelném weselem głowy tych istot stworzonych przez ludzką sztukę, które nie wiedzieć jak nazwać: aniołami czy amorkami, ptaszkami czy kwiatkami? U góry w wiązance siedziało ich dwoje, biédnych, nagich, jak ich Pan Bóg stworzył i ściskali się serdecznie aby o swéj nędzy zapomnieć. Choć mieli skrzydełka na ramionach, ale się im już latać nie chciało. Na tym stole u zwierciadła stał cały przybór do stroju jakby dla kobiéty. W szatach widać było w wielkim porządku każdy strój z całym garniturem, począwszy od trzewików i kapelusza, nawet zegarki i szpady. Moda i zwyczaj wymagały aby się wszystko zmieniło i zchodziło z sobą, jakby się urodziło z jednego tchnienia czarnoksiężnika.

Na dzisiejszy wieczór nie tyle strój, ile domino było potrzebném. W osobnéj szafie leżały maskaradowe przybory, wisiały płaszcze, kapelusze, kapiszony i okrycia. Brühl stanął i zamyślił się nad wyborem. Ważnym był krok ten stanowczy. Król lubił aby się poznać nie dawano. Brühl może poznanym rychło być nie chciał.

Kamerdyner chodzący za nim z dwóma świecami w rękach, czekał skinienia.

Odwrócił się szybko pan dyrektor.

— Gdzie jest ten strój weneckiego szlachcica, któregom nie miał czasu użyć w grudniu?

Służący rzucił się do szafy stojącéj w kącie, zasłoniętéj skrzydłem otwartém drugiéj, która przy niéj stała. Brühla oko wnet padło na aksamity czarne.

Rozkaz był wydany, zaczęło się szybko ubieranie. Suknie leżały wybornie i nadawały postać szlachetną i zręczną pięknemu panu. Wszystko było czarne, aż do pióra przy kapeluszu i szpady szmelcowanéj u boku. Na piersi tylko spadał ciężki, przepyszny łańcuch złoty, na którym Brühl zawiesił medal z wizerunkiem Augusta Mocnego. Tak przybrany przejrzał się w zwierciadle i nałożył pół maseczki. Dla niepoznaki zaś, na brodzie ogolonéj świeżo przylepił zręcznie plasterkiem bródkę hiszpańską, która zdawała się prawdziwą, i mogła obałamucić znajomych.

Zmienił na palcach pierścienie, okręcił się kilka razy, i szybko schodzić począł.

Port-Chaise, jak naówczas zwano lektykę stała w sieniach domu. Dwaj tragarze przebrani byli wprzódy po wenecku z czerwonemi wełnianemi czapkami na głowach i płaszczykach aksamitnych, oliwkowych, na ramionach; oba też mieli maski na twarzach. Zaledwie z przodu zamknęła się lektyka, któréj zasłonki zielone pospuszczane były, tragarze unieśli ją w górę i pobiegli z nią ku zamkowi.

W głównych wrotach stały strojne straże gwardyj, nie wpuszczano nikogo oprócz pańskich powozów i lektyki bogatych. Lud cisnął się ciekawy tłumnie, ale odźwierni nastawiali zębate halabardy i odpychali go od wnijścia.

Jedne po drugich wjeżdżały z pochodniami powozy, lektyka po lektyce; w dziedzińcach służby już było pełno. Rzęsistém światłem gorzał zamek cały, bo dwa dwory i dwa gospodarstwa przyjmować miały gości dnia tego: sam król u jednego stołu, u innych królewicz z żoną.

Z sali królewskiéj do królewiczowskiéj wiodły oświecone rzędy pokojów, w których już przez okna widać było kręcące się masek cienie. Lektyka Brühla zatrzymała się u ganku, otwarło wnijście i wenecki szlachcic z powagą syna Doży wybiegł z téj kryjówki. W chwili, gdy miał wstępować na

wschody kamienne, dywanami okryte, niewiedziéć zkąd zjawiła się obok niego postać drugiego Włocha, ale wcale inna. Był to mężczyzna zamaskowany, o głowę od niego wyższy, barczysty, silny, po żołniersku wyprostowany, z piersią wydatną, ubrany jako zbir i niby zdjęty ze starego obrazu Salvatora Rosy. W stroju tym ślicznie mu było, jakby się do niego rodził. Na głowie miał lekki szyszak żelazny bez przyłbicy, na piersi pół zbroiczki, po któréj biegały żyłki złote w misterne desenie, krótki płaszczyk na ramionach, szpadę u boku, puginał u pasa. W ręku trzymał rękawiczki wonne, a na białych palcach błyskało kilka pierścieni. Całą jego twarz okrywała maska dziwna, marsowa, skrzywiona, sroga i straszna, z długiemi wąsami i kosmykiem na brodzie. Brwi jéj w dwa esy pogięte zbiegały się w środku i dwiema prostemi marszczkami przedłużać się zdawały po czole. Brühl spojrzał tylko na tę maskę nie miłą i szedł daléj ku górze, lecz zbir widocznie go chciał dognać i zaczepić.

— *Signore!* — wołał syczącym głosem — *come sta? va bene?*

Brühl głową tylko mu odpowiedział. Ten mu się pod sam bok cisnął, nachylił do ucha i szepnął coś, aż Brühl widocznie gniewny odskoczył. Śmiech się dobył z pod maski: zbir palcem wytknął go i stał.

— *A rivedersi, carissimo... a rivedersi!*

I powoli za nim pociągnął. Słychać już było muzykę z sali królewskiéj. Zbirowi nie było widać pilno, szedł powoluteńku, ręka w bok, nogami długiemi ledwie dźwigając leniwie.

Gdy ostatnie przestępował wschody, Brühl już mu z oczów w tłumie zginął. W salach i pokojach było pełno. Od blasku świateł, od krasy strojów bogatych, od ślnących dyamentami kobiét oczy ślepły. Wszystko to zwijało się, kłębiło, mruczało, piszczało, śmiało się, podskakiwało i uchodziło zaledwie ukazawszy chwilę.

We wspaniałych polskich strojach z szablami sadzonemi w drogie kamienie, przechadzało się kilku łatwych do poznania senatorów, na których twarzach tylko dla zachowania rozkazu króla, wązki pasek czarny niby maski przedstawiał. Mnóstwo Turków, Maurów, Hiszpanów, kilku mnichów zakapturzonych, kilka nietoperzy żeńskich, kilka bóstw mytologicznych nie-

wieścich z odsłonionemi wdziękami a zasłonionemi twarzami, mnóstwo Wenecyan podobnych do Brühla wyróżniało się w tym tłumie, w którym i na pulcinellu i na arlekinie nie zbywało. Nawet wyrostki z kołczanami na plecach i skrzydłami przyprawnemi kręciły się, niby grożąc bezsilnemi strzałami, ale się ich jeszcze nikt nie obawiał.

Królowa Elżbiéta, Marya Stuart, Henryk IV.... kogoż tam nie było? Król o lasce ze złotą gałką powoli przechadzał się zaczepiając kobiéty i usiłując je poznawać. Nie było mu to trudném, znał je wszystkie dobrze, te przynajniéj, które poznania godne były.

Na innych maskaradach byłby mógł się spotkać z nieznaną pięknością miejską, nie mającą przystępu do dworu; tego dnia na zamek nie wpuszczano tylko powozy pańskie, lektyki bogate i maski, których powierzchowność ręczyła, że do plebejuszów się nie liczyły.

W salach piękne panie były gospodyniami, przy stołach i bufetach urządzone były gospodarstwa: chińskie, japońskie, tureckie i t. p. Każda z pań na ten wieczór musiała być szynkarką i gosposią dla dostojnych gości.

Poza salami królewskiemi, takież same stoły trzymały królewiczówna Józefa ze swym dworem.

Świetniała przy jednym z nich hrabianka Franciszka Kolowrath: owa swawolna Frania, która ośmioletnia umiała już tak dobrze grać rolę dojrzałéj panny dworu... Teraz była to świeża, zalotna, wesoła, dumnie z góry patrząca dzieweczka, cała brylantami okryta, któréj pasterski strój nie przeszkadzał chwalić się z macierzystemi klejnoty.

Inne piękności dworu kryły się pod mniéj więcéj przezroczystemi maskami. Zdradzał je chód, rączka, plamka na białéj szyi, albo nawet zbyt kunsztowne przebranie. Królewiczowa Józefa mało w téj zabawie brała udziału, znajdowała się tu tylko dla przypodobania teściowi i mężowi. Dumna jéj postawa, twarz surowa i nie piękna, obejście się zimne nie przyciągały ludzi. Wiedzieli wszyscy że nie lubiła płochych zabaw, że wolała życie rodzinne, modlitwy i... plotki. Surowa dla siebie i dla drugich, poglądała bacznie na tych co się około niéj obracali. W atmosferze, która ją otaczała panował chłód

i sztywność. Nie śmiał tu sobie nikt swobodnego pozwolić żarciku, bo go karcił wzrok pani. Nawet wśród maskarady ostatniego wtorku, Józefa nie zapominała że była córką Cezara.

Uprzejmy, grzeczny, milczący stał tu też królewicz Fryderyk, dość piękny i postawy okazałéj, ale posągowato chłodny i ceremonialny. Bawiło go to że się zabawiali drudzy, sam on nie brał udziału w niczém. Zapraszał tylko po pańsku, a czasem do poufałego otoczenia krótkie słowo rzucił. Znać w nim było, mimo młodości, pewną ociężałość ciała i ducha, ostatniego więcéj jeszcze niż pierwszego.

Strojny i pańsko wyglądający Sułkowski, piérwszy faworyt następcy, stał po za nim gotowy ciągle na rozkazy. Królewicz odwracał się ku niemu często, porozumiewał z nim wzrokiem, pytał i otrzymawszy odpowiedź, z zadowoleniem głową potrząsał.

Widząc ich obu razem z sobą, dawał się odgadnąć stosunek, który ich łączył; pierwszy sługa więcéj był panem niż sam pan, który tylko reprezentował swą godność, ale jéj nie czuł. Sułkowski przeciwnie, przybierał tony wielkie i z arystokratyczną pychą, na wirujące dokoła figury poglądał.

Wdziękiem też twarzy przechodził króla, który mimo młodości, mimo zdrowia i czerstwości do pospolitego niemca był podobny.

Przy stołach Augusta Mocnego, dokoła jego osoby gromadziło się najweselsze towarzystwo. Wygorsowane maseczki zaczepiały J. K. Mość, z góry poglądającą okiem rozczarowaném na wdzięki, które już dlań uroku żadnego nie miały.

Brühl wszedł, jak mu się zdawało nie poznany, unikał odzywania się, szukał kogoś oczyma chciwemi, chciał odgadnąć pod przebraniem. Przesunął się niepostrzeżony po salach za stołami, aby się przekonać czy ci, których szukał nie znajdują się przy gospodarstwach. Nie uważał że zbir szedł za nim zdała.

Piękna budowa téj herkulesowéj postaci i swoboda z jaką się posuwała, wcale tego co spotkała nie zdając być ani ciekawą, ani tém onieśmieloną, ściągała oczy kobiét. Parę maseczek zabiegło drogę zbirowi, który z góry na nie obojętnie popatrzywszy, szedł daléj. Jedna czy dwie chciały go intry-

gować, szepnął im śmiejąc się ich nazwiska na ucho... i pierzchnęły.

Król na przesuwającego się popatrzał i rzekł do Friesena: —Gdyby tu był który z pruskich książąt, odkradliby mi go do grenadyerów. Kto to taki?

Nikt jakoś na pewno odpowiedzieć nie umiał. Zbir znikł za kolumnami.

Tymczasem Brühlowi drogę zastąpiła cyganka. Stara, słusznego wzrostu kobiéta, o kiju, okryta szeroką jedwabną zasłoną i cała obwieszona paciorkami, koralami, świecidłami. Pół-maseczki przedstawiało żółty, okryty marszczkami profil czarownicy. Wyciągnęła rękę i piszcząc zażądała dłoni do wróżenia.

Brühl nie miał najmniejszéj ochoty dowiadywania się przyszłości: chciał się cofnąć, ale cyganka domagała się ręki koniecznie.

— *Non abiate paura!* — szeptała — ja wam dobrą wywróżę...

Brühl z rękawiczką dłoń wyciągnął.

— Ja nie wróżę ze skóry, tylko z ręki — śmiejąc się zawołała cyganka — zdejm...

U kolumny za którą stali palił się w górze sześcioramienny świecznik, cyganka podniosła białą dłoń obejrzawszy rękę i zaczęła głową potrząsać.

— Wielkie losy, świetne losy—rzekła—powodzenie cudowne, a szczęścia mało...

— To zagadka?— przerwał Brühl— jakże powodzenie miéć, a nie miéć szczęścia...

— A! to tak łatwo jak być szczęśliwym mimo niedoli i losu!—zawoła zmienionym głosem stara. A wiesz dlaczego szczęścia ci zabraknie? bo serca nie masz...

Brühl szyderczo się uśmiechnął.

— Ty nie kochasz nikogo.

Zmilczał potrząsając głową.

— Cóż daléj, maseczko; co daléj?

— Jesteś niewdzięczny—szepnęła mu na ucho—jesteś ślepy, gonisz tylko za wielkością.

— Cieszy mnie to—piszcząco rzekł Brühl—iż widocznie bierzecie mnie za kogo innego.

Maska na dłoni napisała mu: Brühl. Wyrwał rękę co prędzéj i sam w bok się rzucił, cyganka go zatrzymać chciała: zniknął. Być może iż miło mu było odetchnąć swobodniéj w tym tłumie, niepoznanym, niezaczepianym. Błądził więc, aż póki nie ukazała się maska, która całą jego zwróciła uwagę.

Fantastyczny jéj strój, niby wschodni, jakąś musiał oznaczać królowę... Semiramis czy Kleopatrę, tego nikt łatwo nie odkrył, bo fantazya naówczas w ubiorach większą grała rolę od prawdy historycznéj. Szło o to, ażeby być pięknie i wspaniale ubraną, nie o to aby umarłe wieki wskrzesić ze ścisłością archeologa. Królowa téż Semiramis chciała tylko być majestatyczną władczynią, czego postawą i strojem dopiąć jéj było łatwo. Ubrana w suknię z długim ogonem, z lamy złotéj, na którą przejrzysta od korony na głowie spadała zasłona, z naszyjnikiem ogromnych ametystów na białéj szyi, z berłem w ręku, z pasem sadzonym na przemiany ametystami i dyamentami; królowa przytém miała figurę, ruch i chód prawdziwéj władczyni serc i ludów.

Na utoczonéj szyi ciemne pukle włosów lekko złotym pudrem posypanych, wiły się wdzięcznie, a niższa część twarzy, młoda, nieposzlakowanego owalu, miała coś w sobie rozkazującego i wspaniałéj dającego się domyślać fizyognomii. U maleńkich różowych uszu wisiały dwie gruszki perłowe na brylantach, a największa z nich pod koroną błyszczała.

Przechodzącéj zwolna ustępowali wszyscy, nikt nie śmiał słowem zagadnąć. Szła obojętnie spoglądając: Brühl stał pod kolumną, wahał się krótko i pozdrowił ją rękę przykładając do kapelusza. Zatrzymała się nieco: Wenecyanin wyciągnął rękę, podała mu małą piękną dłoń od niechcenia... szybko nakreślił na niéj dwie litery.

Spojrzała nań z uwagą, ale jakby ją to nie obchodziło wcale, że ktoś mógł odgadnąć królowę. Postawszy chwilę szła daléj, Brühl jakby nie mogąc się oprzéć pociągnął za nią powoli. Kilka razy zwróciła głowę ku niemu i widząc go uparcie idącego za sobą, stanęła. Wśród zielonych krzewów tuż była nie zajęta ławka, salon ten udawał ogród i wiosnę; królowa usiadła. Wenecyanin stanął. Popatrzała nań długo i skinęła, aby podał jéj dłoń. Posłuszny wyciągnął ją i poczuł jak H. B. paluszkiem na niéj nakreśliła i rozśmiała się.

Zatrzymał się więc przed nią i postąpił krok za pomarańczowe drzewo.

— Że ja was poznałem—szepnął—hrabino, to nic dziwnego, poznałbym was wszędzie i nie za królowę przebraną. W królewskim stroju tak wam naturalnie; lecz że wy mogliście mnie poznać...

— W stroju jednego z Rady Dziesięciu—odezwał się głos z pod maski, a komuż on stosowniejszy jak wam?

— Hrabina jesteś zachwycającą!

Kobieta przyjęła to obojętnie.

— Lecz piękna jak bóstwo starożytne z marmuru, jak marmur jesteś zimną... jak marmur bezduszną.

— Cóż daléj?—zapytała maseczka—mówcie co zabawniejszego: słyszałam to tyle razy.

— A cóż ja wam, hrabino, innego powiedzieć mogę!—zawołał Brühl głosem drżącym—ile razy spójrzę na was, wre we mnie zemsta, kipi gniéw, burzy się zazdrość, a na usta leci przekleństwo.

— Bardzo poetycznie!—szepnęła kobiéta. Cóż daléj?

— Gdybym śmiał, przeklinałbym was i dzień i godzinę, w któréj widziałem was po raz pierwszy—mówił czule Brühl—ale spójrzę i jestem złamany. Macie nademną władzę?

— Ale czy ja mam?—odwracając się i spoglądając ku niemu chłodno odezwała się kobiéta.

— Potrzebujęż przysięgać i na co się zdała moja przysięga wam, gdy innemu przysięgłaś przed ołtarzem.

— Ja nie potrzebuję przysięgi—odparła spokojnie kobiéta—ja chcę przekonania, a tego często i przysięga nie daje.

Patrzyła nań długo.

— Moja miłość...

Kobiéta przerwała mu uśmiechem.

— Brühl—rzekła—wierzę, że kochałeś się we mnie. Cóż dziwnego, miałam młodość, imię i przyszłość dla tego, któremu dostać się miała ręka moja; ale to mogła być taka miłość, jakie widujemy co dnia, rozpłomienione o świcie a gasnące wieczorem. Ja takiéj nie chcę.

— Moja dała wam dowody trwałości—mówił Brühl żywo—zaczęła się w dzieciństwie, a nie skończyła, gdy jéj odebrałaś nadzieję; odpychana wracała, wzgardzona trwa.

— Miłość to, czy ambicya?—spytała kobieta—w tobie Brühl, ambicya wszystkiém włada.

Zamilkł nieco Brühl i potrząsł głową.

— Nie przeczę, że nie mogąc być szczęśliwym, chcę teraz być, choćby strasznym i silnym.

Maska nań popatrzała, sparła się na łokciu i powoli mówić zaczęła.

— Nie wiemy, co przyszłość chowa. Czekaj, bądź mi wiernym. Będę z tobą szczerą: miałam słabość do ciebie, z tobąbym była szczęśliwą; jedne mamy myśli i charakter, ale tak lepiéj... mąż i żona, to pojedynkujący się na śmierć wrogowie: my możemy być sobie przyjaciółmi wiernemi.

— Przyjaciółmi!—podchwycił Wenecyanin—jakże to straszny całun śmiertelny to nazwisko przyjaciela.

Maseczka podniosła głowę, aż w koronie jéj zaigrały światłami brylanty i pokiwała nią ironicznie.

Rączką uderzyła po ręce Brühla, spartéj na poręczy.

— Mąż będzie kochankiem, a ja przyjacielem; więc sługą wzgardzonym.

— Mąż kochankiem?—rozśmiała się maska—gdzieżeś to słyszał? Dwa te wyrazy kłócą się z sobą. Mój mąż! mój mąż! ale ja go nienawidzę, ja się nim brzydzę, ja go niecierpię!

— A poszłaś za niego?

— Król-ojciec wydał mnie, ale się dobrze stało... wierz mi. Jestem swobodną z nim, jestem sobą i cała zachowam się dla przyszłości. Ja wierzę w przyszłość i gwiazdę moją.

— A spotkają się kiedy gwiazdy nasze?

— Jeśli są sobie przeznaczone, powinny.

— Mówisz to hrabino tak zimno, tak obojętnie.

— Bo ja zawsze jestem panią siebie, czy kocham, czy nienawidzę. Uczucie, które się zdradza, idzie na łup ludzi.

— Lecz jakże w nie uwierzyć nie widząc.

— A czémże wiara?—rozśmiała się piękna pani, jak gdyby chciała przypomnieć Brühlowi łacińskie przysłowie: „Kto kocha, ten czuć powinien i przeczuwać, a kto nie odgadnie serca kobiety, ten go niewart.“

Kończąc te słowa, wstała nagle, szybko, i nim Brühl się opamiętał, znikła mu z oczów. Jeszcze stał przybity i szczęśli-

wy razem rozmyślając, gdy Poliszynel do niego przyskoczył, osobliwszy zaprawdę, bo mimo stroju Pulcinella, guzy u sukni, mający z rubinów perłami osadzanych. Zdawał się biedz tu szukać kogoś, a zastawszy tylko Wenecyanina w kątku, zatrzymał się, badając go z wielką ciekawością. Pochylił się aż na ziemię prawie, chcąc mu zajrzéć pod maskę, ale Brühl ją ucisnął ręką. Zwijać się począł koło niego z udaną trzpiotowością.

— Cavaliere nero! cóż ci powiedziała królowa? Znasz ją? hę, słówko.

— *Sono un forestiero... Addio* — syknął mu Brühl nad uchem i uszedł, ale Pulcinello, nie goniąc go, śledził. Zbir także nie spuszczał z oka. Wkrótce oba się zeszli pod kolumnami.

Pulcinello spiął się do ucha zbirowi.

— Kto to był?

— Brühl.

— A! a!—wyrwało się z piersi Poliszynella—odgadłem go po nienawiści, jaką wzbudził we mnie... jestżeś pewnym?

— Ja? co go więcéj od was panie hrabio niecierpię i brzydzę się nim. Jabym go w piekle poznał.

Pulcinello wyrwał się nagle i pobiegł, zobaczywszy królową z daleka, którą zdawał się śledzić namiętnie. Zbir zadumany błądził bez celu. Towarzystwo ożywiało się coraz bardziéj, a ci, co jak Poliszynel szukali i gonili kogoś, już z trudnością przez tłum i zamęt przecisnąć się mogli. Piski i śmiéchy, głuszyły muzykę. Brühl już był znikł, przesunąwszy się do gospodarstwa królewiczowéj. W przejściu spotkał go mnich zakapturzony.

Uczuł się pochwyconym za rękę.

— Jeżeli chciałeś być niepoznanym—odezwał się po włosku—toś się wcale nieosobliwie zamaskował. Któżby cię nie poznał panie dyrektorze akcyzy?

I począł się śmiać.

— Po czém?—zapytał Brühl.

— Po chodzie, po nodze, po ruchu i po smaku.

Brühl nie mógł poznać maski, rzucił się ku niéj: znikła.

Byłby przysiągł, że to Padre Guarini, ale cóżby jezuita robił na maskaradzie??

Trochę zmięszany tém, że go poznano, znalazł się w pokoju słabo lampami w alabastrowych urnach oświeconym. Tu go kobieta słusznego wzrostu zatrzymała uderzeniem wachlarza. Nie wątpił, że i ona poznać go musiała, on odgadł ją na pierwszy rzut oka; lecz chciał być grzecznym i udał, że się nie domyśla.

— Należy się wam powinszowanie... Brühl.

— O! nie ma mi czego winszować.

— Wiem, sięgacie wyżéj myślą i ambicyą, ale po wschodach iść trzeba, inaczéj *non si va sano*. Dosięgłeś już bardzo wysoko, a jeszcześ się nie sparł na ramieniu kobiety, która czasem, jak skrzydło podnosi.

Brühl westchnął.

— O! wiem do kogo westchnienie, i co się w sercu twém dzieje. Lecz niewdzięczną królowę trzeba zapomnieć i szukać innéj—mówiła wyniosłego wzrostu pani.

— Szukać, aby, znalazłszy, być znowu odepchniętym i wzgardzonym?

— Wzgardziłaby chyba taka, coby się na tobie nie znała, a téj i żałować nie powinieneś.

Pochyliła się do jego ucha i szepnąwszy mu coś, znikła w tłumie.

Szedł daléj. Naprzeciw niego był już stół Frani Kolowrath, otoczony młodzieżą. Dzieweczka zalotna, śmiejąc się, pustując, wyszczerzając ząbki, podawała wszystkim, co kto zażądał. Przypatrywał się jéj z daleka. Była nęcącą i wdzięczną, w oczach jéj błyskał dowcip, ale z tą żywością swą zimną, równą dla wszystkich, niewyczerpaną, wydała mu się może straszną. Długo w nią oczy trzymał wlepione, zadumał się i nie mięszając w tłum, co ją otaczał, uszedł na stronę.

Zaledwie rzucił się na krzesło nieco znużony, chcąc spocząć i skupić myśli, gdy zbir znalazł się tuż i przysiadł do niego. Popatrzał nań z góry.

— Nieprawda—spytał—smakowała ci przedtém królowa, teraz myślisz, czyby z szynkarką nie poszło lepiéj? Przyznaj się!

Brühl, nie chcąc wdawać się w rozmowę, potrząsł głową.

— To posażna dziewczyna i w fartuszku komuś dużo brylantów przyniesie... dla ciebieby się zdała... wszak je lubisz?

Ani słowa nie odzywał się Brühl i niecierpliwie, ręce skrzyżowawszy na piersiach, nie chciał zważać, co doń mówiono, bo głowę odwrócił w stronę przeciwną. Zbir wszakże wiedzieć musiał, że żadne jego słowo, nie pójdzie marnie, pół głosem mruczał ciągle:

— Patrz, co to za rączki białe, jakie ramionka utoczone, co za twarzyczka brzoskwini, któréj puszku nawet ptaszek nie tknął skrzydłem. Kąsek ministeryalny, jeśli nie królewski; ale August II już stary, a królewic za pobożny... sięgnij ręką a weźmiesz. Co potém nastąpi nie wiem... patrz, jak się do dwudziestu śmieje, a co oczy jéj mówią, aż strach!! Takiéj żony trzeba takiemu, jak ty, człowiekowi.

Hassego wielkiego muzyka, ożenili z Faustyną; taki artysta, jak ty, musi się z taką aktorką poślubić. Dziś już doskonale śpiewa swą partyą naiwną, cóż to będzie, gdy obejmie *les grandes coquettes??*

Po ruchach tylko mimowolnych Brühla, poznać było można, iż to śpilkowanie bezlitośne dotykało go; nie tracił jednak ani głowy, ani postawy zmienił, udał głuchego i nie patrząc na zbira, wstał i odszedł. Szukał go późniéj niecierpliwie prześladowca, ale Wenecyanina nigdzie na salach nie było.

Muzyka brzmiała i maski skoki poczęły, które trwały do rana.

Jeszcze na salach kręciły się ostatnie pary, gdy w kaplicy na Taschenbergu, Padre Guarini, królewicowéj, następcy i katolickiemu dworowi ich, głowy posypywał popiołem.

IV.

Pomimo karnawału, mimo olbrzymich budowli, któremi król bawić się probował; mimo wspaniałości, jaka go otaczała, August II nudzić się zdawał. Chciano go dla roztargnienia ożenić: ziewnął i rozśmiał się; nie życzył sobie sprawiać wesela: czasy były ciężkie, a królewskie gody, takiego pana godne,

musiały być kosztowne. Noga go trochę bolała: był smutny. Świat już mu nic nie miał do dania; złego i dobrego kosztował tyle, że na dnie czary życia zostały same męty. Najpiękniejsza dziewica była dlań powszednim obrazem: w pamięci jego przesuwał się cały szereg tych istot promieniejących chwilę, a tak rychło uwiędłych. Lubomirska była starą, Cosel zamkniętą, inne się rozleciały po świecie. Nie mogąc być szczęśliwym, chciał być wielkim. Słał więc do Afryki uczonych i budował.

Wznosiły się koszary olbrzymie na Nowém-Mieście, przerobioném świeżo jego rozkazem ze starego, zakładano kościół, budowano pyramidy i pałace.

Król jechał do Königsteinu nowe mury oglądać i ziewał, przejeżdżał do Hubertsburga i nudził się: kazał się wieźć do Moritzburga i znajdował że mu spowszechniał, a Drezno nawet było nieznośne. Gdyby mu kto tę myśl poddał, możeby był spalić kazał miasto w czasie koncertu, aby je nanowo olbrzymio z ciosu odbudować; ale pomysł był już zużyty.

W Polsce zdawało mu się, że Drezno kocha, w Dreznie tęsknił za Warszawą: nigdzie nie było dobrze. Drugiego listopada przypadło święto patrona łowów, Hubert'a, które obchodzono zawsze świetnie; cały dwór królewski i królewiczowski do Hubertsburga się udał; ciągnęły psiarnie i oba obozy myśliwskie saski i polski, a nie było mało téj dworni, począwszy od paziów łowieckich, aż do łowczego od trufli. Wielkim łowczym dworu był von Leibnitz, wielkim sokolniczym Moszyński i były myśliwskie wojska J. K. Mości, które tylko przeciw niedźwiedziom i dzikom służyły.

Ale król znajdował S. Huberta zużytym i myślistwo zbyt jednostajném. Niepokój jakiś go ogarniał. Na nowy rok zwabił go jarmark do Lipska, na który handlarze mieli cudne przyprowadzić konie, a znalazł, że to były szkapy szkaradne. Aktorki z Belgii przywiezione, wszystkie miały zęby tak podrabiane, jak konie.

Na otwarcie karnawału wrócił August do Drezna dnia 6 stycznia i na pierwszym balu spostrzegł, iż wszystkie niewieście twarze były powiędłe, oczy pogasłe, usta pobladłe. Sądził, że się zrywaniem sejmu w Warszawie lepiéj zabawi.

Karnawał został na opiece królewicza i Padre Guarini, a królewskie powozy sposobiono do Polski.

Brühl nieodstępnie był przy nim. Inni padali, nikli, odchodzili, mieniali się; ten z pazia już był ministrem, a król się bez niego obejść nie mógł. Akcyza płynęła do skarbu i podatek zasycał nigdy niedające się napełnić kassy.

Szlachta sykała; na to był jeden sposób i tego użyto. Dwór zaludnił się obcemi. Włosi, Francuzi, Holendrzy, Duńczycy, Prusacy, Bawarowie powyrastali na dworze, a szlachta saska poszła robić pieniądze dla króla na roli.

Brühl znajdował, że N. Pan miał słuszność, i że najlepszemi sługami byli ci, których cały los zawisł od króla.

Dnia 10 stycznia, dziedzińce zamkowe pełne były koni, powozów i ludzi. Dwór saski i polski gromadził się do podróży. Sale pełne były tych, którzy królowi towarzyszyć mieli. August II żegnał się z synem i jego żoną. Na twarzy jego niecierpliwość i znużenie, zastępowały dawną jasność majestatu. Z wielką czułością cisnął się królewicz do ojca; z powagą żegnała go królewiczówna Józefa. Fryderyk przybył po rozkazy, patrzał w oczy i uśmiechał się wdzięcząc. Wtém wszedł Brühl, były jeszcze papiéry do podpisania i pieniądze do zabrania w drogę; czekano na sto tysięcy talarów, które nadpłynąć miały.

Na wchodzącego dyrektora akcyzy, bystro spojrzał król i postąpił ku niemu kroków parę.

— Brühl... pieniądze?

— Są N. Panie!—rzekł kłaniając się zagadnięty—rozkaz W. K. Mości spełniony.

Rozjaśniło się oblicze pańskie.

— Patrz—zawołał do syna—patrz, polecam ci go... to sługa, który mi odjął trosk wiele, a wiele spokoju przyczynił... pamiętaj! Jemum winien ład, karność i porządek w domu.

Fryderyk z posłuszeństwem syna, wpatrzony w twarz ojca, chwytał każde jego słowo i okazywał postawą całą, że mu ślubuje być posłusznym.

— Gdybym w Polsce miał takich kilku, jednego choćby, dawnoby już w łeb wzięła ich bałamutna rzeczpospolita i zaprowadziłbym tam taki ład, jak w Saxonii—dodał król. Ci

wielcy moi przyjaciele i wierni słudzy: Lipski, Hozyusz, cała czereda ich, wszystko się to szlachty boi, a mnie zwodzi.

Lecz cierpliwości, koniec temu położę... kilka, kilkadziesiąt głów padnie i będzie cicho. Nie zniosę tego gminu, co mi śmié mruczéć, gdy rozkazuję... Dość tego.

Syn okazywał ciągle najwyższe uwielbienie dla ojca. Pożegnanie rozpoczęte, przerwane, znowu się powtarzało: Fryderyk całował rękę ojcowską. Kamerdynerzy, paziowie, służba czekała już w przedpokoju. Stali urzędnicy, duchowieństwo i w kątku zaszyty ostrożnie, przygarbiony Padre Guarini. Król wdzięcznie żegnał wszystkich. Łowczemu polecił jeszcze przywiezione z Białowieży dwanaście żubrów i żubrzyc, które się pasły w Krejern pod Moritzburgiem i zszedł do gotowych powozów.

Pocztylionowie siedzieli na koniach, dwór spieszył na wyznaczone miejsca, w dziedzińcu z odkrytemi głowami stali panowie, rada miasta i mieszczanie, na których król spojrzał tylko i kazał im powiedziéć, aby podatki płacili, a w chwilę pusto i cicho było na zamku i w Dreznie.

Wszyscy czas mieli spoczywać, dopókiby znów król nie wrócił i pańszczyzna bawienia nierozbawionego niczém, nie rozpoczęła się nanowo.

W chwili, gdy cały orszak z towarzyszącym mu oddziałem gwardyi z zamku na most wyciągał, powóz, który miał wieźć Brühla i jego fortunę, stał jeszcze sam jeden w dziedzińcu zamkowym. Ulubieniec pański świeżą okryty pochwałą, zszedł na dwór zamyślony słodko, gdy ujrzał przed sobą z chmurną twarzą stojącego Sułkowskiego. Rozjaśniło mu się oblicze, chwycił szybko rękę przyjaciela i obadwa razem weszli do dolnéj sali.

Twarz Brühla wyrażała już najgorętsze współczucie, najżarliwszą miłość, najserdeczniejsze przywiązanie: Sułkowski dosyć był zimny.

— Jakżem szczęśliwy, że was raz jeszcze pożegnać, jeszcze raz się pamięci i sercu waszemu polecić mogę—zawołał odjeżdżający z zapałem: słodycz głosu dorównywała wyrazom.

— Słuchaj Brühl—przerwał Sułkowski—ja także przypominam ci nasze *Pacta Conventa!* W złéj i dobréj doli, jesteśmy i pozostaniemy przyjaciółmi.

— Czyż wy to mnie przypominać potrzebujecie— zawołał Brühl—mnie, który dla was mam miłość, przyjaźń, szacunek i wdzięczność.

— Dajże mi ich dowody.

— Pragnę tylko zręczności, nastręczcie mi ją, do nóg wam padnę!—przerwał Brühl— proszę, błagam; ale hrabio! kochany hrabio! jam wasz! wy nie zapominajcie o mnie.

Wiecie co mam na sercu.

— Kolowrathównę!—rzekł śmiejąc się Sułkowski—*grand bien vous fasse*, będziesz ją miał! Masz matkę za sobą.

— Ale ona.

— O! nie lękaj się, nikt ci jéj tu nie zbałamuci. Trzeba tak wielkiego męztwa jak twoje, aby się ważyć na takie szczęście.

— Jedno i większe od tego mnie minęło—westchął Brühl.

Sułkowski poklepał go śmiejąc się po ramieniu.

— Niegodziwcze—parsknął—albo się co we dworze ukryje. Ty to nazywasz stratą, co jest czystym zyskiem. Moszyński cię nienawidzi nie bez przyczyny.

Brühl zaprotestował gorąco, ręce podjął.

— Ale mój hrabio!

— O! nie mówże mi tego—przerwał mu Sułkowski—znacie się z Moszyńską i w lepszéj jesteście zgodzie, niż gdybyście się byli pobrali.

Brühl nic nie mówiąc ramionami ruszał.

— Serce moje ma Frania Kolowrathówna.

— A ręka na ciebie czeka i nic nic nic! Stara ci ją sama wciśnie. I czas też Frani pod czepek, bo jéj się strasznie oczy świecą.

— Jak gwiazdy!—krzyknął Brühl.

— Cóż powie Moszyńska na to?

Wtém Brühl jakby się ocknął pochwycił znowu Sułkowskiego rękę.

— Hrabio—rzekł—nie zapominajcie o mnie u królewicza. Lękam się czym mu dosyć okazał moją cześć i przywiązanie do niego, moje uwielbienie dla naszéj świętéj i czystéj królewiczowéj: powiedzcie mu...

— Wy o nas nie zapominajcie u króla—dodał Sułkowski,— ja o was nie zapomnę u mojego pana. Zresztą mój Brühlu nie tak to ty jesteś tam bez opieki jak mówisz. O. Guaryni cię nawraca, Kolowrathowa cię na zięcia sposobi; nie zaręczam żebyś tam jeszcze nie miał kogo.

— A wszystko to niczém jeśli was mieć nie będę—dodał Brühl—oddam Guaryniego i Kolowrathową i jeszcze cóś dodatku, za jedną łaskę waszą.

— Tylko nie Moszyńską—zawołał Sułkowski i śmiać się począł.

A teraz, jedź szczęśliwcze, i kłaniaj się w Polsce wszystkim moim kompatriotom niedźwiedziom.

— A kompatriotkom?—zapytał Brühl.

— Jeśliby tam która o Sułkowskiego spytała... ale wątpię... niemki wolę.

— I ja dodał—Brühl.

Byli już u drzwi: Sułkowski go przeprowadzał—*Eh bien à la vie à la mort!*

Ścisnęli się za ręce. Brühl już biegł do powozu. Zdala widać było stojącego w dziedzińcu Padre Guaryniego, po świecku ubranego, w szaraczkowym długim surducie, który zakrywszy prawą rękę lewą, żegnał nią na drogę. I ruszył Brühl za panem swoim do Warszawy.

V.

Było to w pierwszych dniach lutego 1733 roku. Z rana powrócił Fryderyk z łowów w Hubertzburgu, a z nim nie odstępny Sułkowski. Na wieczór przypadało przedstawienie w operze, i nieporównana Faustina śpiewać miała. Królewicz jak ojciec był wielbicielem jéj głosu i wdzięków. Czarodziejka trzęsła dworem, tyranizowała swe współzawodniczki, wypędzała tych co się nie mieli szczęścia jéj podobać, a gdy raczyła podnieść głos, w sali było ciszéj niż w kościele, i ktoby kichnął, mógł być pewien że w niéj śmiertelnego miéć będzie nieprzyjaciela. Grać miano *Cleofidę*, Fryderyk królewicz cieszył się zawczasu.

Godzina była poobiednia: odziany jedwabnym przepysznym szlafrokiem, królewicz w fotelu z fajką siedząc, trawił z uczuciem tém błogiém, jakie daje posłuszny żołądek i wytworna kuchnia.

Naprzeciw niego stał Sułkowski. Kiedy niekiedy królewicz spojrzał na przyjaciela, uśmiechnął się mu i nie mówiąc słowa znowu dym wonny ciągnął.

Przyjaciel a sługa patrzał z pociechą na ubłogosławionego pana, w milczeniu dzieląc się szczęściem jego.

Twarz młodego królewicza była rozpromieniona, ale z obyczaju i usposobienia, gdy był najszczęśliwszym, mówił jak najmniej: dumał. Nikt nigdy nie dowiedział się o czém. Czasami spuszczona głowa podnosiła się. Spoglądał w Sułkowskiego jak w tęczę wlepiając oczy, Sułkowski odpowiadał mu wzrokiem, i odzywał się.

— Hm! Sułkowski?

— Jestem.

Kiwnął głową i na tém się kończyło. Kwandras upływał, królewicz odmienił pytanie i wołał go po imieniu, po włosku pieszcząco. Hrabia odzywał się świadcząc o sobie, i znowu następowało wymowne milczenie.

Mówił bardzo rzadko i to gdy był zmuszonym, nie lubił nic nie spodzianego. Życie powinno dlań było płynąć cichém korytem jednostajnie, nie przerwanie równém.

Poobiednie godziny gdy nikogo nie przyjmował, lub tylko poufałe i najulubieńsze osoby, najmilsze mu były. Z rana musiał przyjmować, słuchać, stać, kłaniać się, podpisywać, czasem się dziwić a niekiedy trochę pogniewać. Po tych wysileniach spoczynek popołudniowy rozkoszném był wytchnieniem. Jeśli nie było teatru, wieczorem szedł do Józefiny, słuchał muzyki marząc błogo, i wieczerzą dzień się kończył.

Nigdy mniéj trudnego do zabawienia pana nie mieli dworacy. Starczyło mu byle dzień jeden do drugiego był jak dwie krople wody podobny.

Właśnie poobiednia rozpoczynała się siesta i królewicz fajkę palił już drugą, gdy Sułkowski przez okno cóś spostrzegłszy, chwilę się zawahał i powoli się skierował ku drzwiom. Oczy królewicza poszły za nim.

— Sułkowski!—odezwał się cicho.

— Natychmiast wracam—odparł biorąc za klamkę hrabia i wysunął się. W przedpokoju dwaj poziowie i służba czekała.

— Nikogo nie wpuszczać bezemnie —odezwał się Sułkowski: wszystkie głowy się skłoniły.

Sułkowski wyszedł, przebiegł prędko wschody i we drzwiach stanął zdziwiony.

— Brühl? ty tu?

Okręcony futrem, w czapce na uszach, śniegiem obsypany, zziębły, zmęczony stanął przed nim w istocie ulubieniec Augusta II, blady nieco i pomięszany. W dziedzińcu widać było powóz, którego konie okrywała buchająca z nich para; pocztylioni zmęczeni pozsiadali z nich i stali jak rozbici ledwie się trzymając na nogach.

Na zapytanie, Brühl nie odpowiedział nic, oczyma wskazywał tylko że co najrychléj chce wnijść i spocząć. Przybycie to tak cóś tajemniczego miało w sobie, tak dziwnego, iż Sułkowski mocno poruszony co prędzéj ku sali dolnéj pospieszył. Służba dworska zobaczywszy Brühla cisnęła się do niego, odprawiał ją skinieniem ręki; on tylko sam i Sułkowski weszli do gabinetu. Brühl szybko począł z siebie zrzucać ubranie. Hrabia stał czekając choć słowa.

— Brühl, na miłość bożą... z czém przybyłeś?

Jakby nie słyszał pytania, wszedł roztargniony Brühl do gabinetu i na pierwsze krzesło się rzucił, rękę sparł na stole, twarz była ułożona aby wyrazić smutek i przerażenie. Przed nim stał ulubieniec królewicza z widocznym niepokojem i trochą niecierpliwości.

Duma nie dozwalała mu nalegać... czekał podparłszy się obok.

Brühl wstał i westchnął, obejrzał się wkoło, jakby z rozpaczą, załamał ręce i zawołał:

— Król a pan mój najmiłosierniejszy nie żyje!

Po twarzy Sułkowskiego jak błyskawica przeleciało wrażenie do określenia trudne, trwoga i radość zarazem; ruszył się jak gdyby chciał już biedz i wstrzymał.

— Nie przybył przedemną żaden kuryer z Warszawy?

— Nikt.

— Nie wiecie więc nic? Królewicz?

— Nie domyśla się ani przeczuwa—rzekł Sułkowski, i powtórnie ruszył się jakby iść chciał, a po namyśle zawrócił.

— Należy natychmiast oznajmić o tém królewiczowi—odezwał się—lecz jakże się to stało! Król był zdrów...

Brühl wzdychał ciężko.

— Szesnastego przybyliśmy do Warszawy—rzekł cicho. Drogę mieliśmy niegodziwą, miejscami śniegi, to znowu roztopy i błoto. Król był znużony, zniecierpliwiony, ale zobaczywszy Warszawę, wyjaśniła mu się twarz nieco. Przodem wysłaliśmy kuryerów, przyjęcie było świetne, mimo szkaradnéj pory, działa gorzmiały, regiment wielkich muszkieterów wystąpił. Wyglądał wspaniale. Kareta zatrzymała się przed gankiem pałacu saskiego. W chwili gdy król wysiadał, uderzył się o stopień w toż samo miejsce, które go zawsze dolegało, gdzie Weiss odjął mu wielki palec. Ujrzeliśmy go zbladłym i opierającym się na lasce, dwóch paziów poskoczyło podać mu ręce, i tak przyprowadziliśmy go do pokojów, w których go oczekiwało duchowieństwo, senatorowie i panie.

Król musiał natychmiast usiąść i żądał od marszałka aby skrócono przyjęcie, gdyż czuje się znużonym.

Zaledwieśmy z nim weszli do sypialni, kazał natychmiast przywołać Weissa i lekarza, skarżąc się że czuje jakby ogień i wilgoć w nodze. Rozcięto but: pełen już był krwi. Weiss pobladł, noga nabrzmiała była i sina.

Pomimo to...

— Skracaj—zawołał Sułkowksi, królewiczowi donieść kto może o twém przybyciu.

Brühl zbliżył się do niego.

— Hrabio—rzekł—zdaje mi się że nim cokolwiek przedsięweźmiemy, rozmówić się powinniśmy. Królewicz czule był przywiązany do ojca, to wrażenie jakiego dozna. Czyż nie należałoby go przygotować?

— Przygotować? jak?

— Jestem tego zdania —wyszeptał Brühl cicho—iż bez porady O. Guaryniego i królewiczowéj, nic przedsiębrać nie należy.

Sułkowski spojrzał nań ze źle pokrytém nieukontentowaniem.

— Ale, zdaje mi się—odparł—że królewicz w tém nie potrzebuje ani pomocy Najjaśniejszéj królewiczowéj, ani duchownéj pociechy spowiednika.

— Jabym sądził...—rzekł zmieszany Brühl i spojrzał na drzwi.

Otwierały się one właśnie i O. Guarini wchodził. Zkąd się dowiedział tak rychło o przybyciu Brühla, trudno się było domyśléć. Szedł ku niemu milczący, z twarzą smutną mimo zwykłego jéj wyrazu, który mu trudno było pokryć: otwarł ręce szeroko, jakby go chciał uścisnąć. Brühl byłby może jedną z tych rąk ucałował, gdyby nie świadek nie potrzebny. Postąpił krok tylko i skłaniając głowę, rzekł:

— Król nie żyje!

— *Eviva il Re!*—odpowiedział cicho Guarini podnosząc oczy do góry—wyroki boskie są nie zbadane.

— Wié już królewicz?

— Nie jeszcze—rzekł sucho Sułkowski, który na księdza rzucił wzrokiem nie zbyt przyjaznym, ani nawet tak pokornym jak Brühl i drudzy. Guarini téż jakby z umysłu nie zwracał się ku niemu.

— Życzeniem mojém jest oszczędzając o ile możność królewicza czułość—dodał Brühl—naradzić się z N. królewiczową.

Guarini skłonił głowę, a Sułkowski nieznacznie ramionami ruszył i na Brühla rzucił przelotne wejrzenie wyrażające niezadowolenie.

— Idźmy więc wszyscy do pani—rzekł sucho—bo chwili niéma do stracenia.

Brühl spojrzał na swój ubior podróżny.

— Nie mogę się tak przedstawić—odparł—idźcie wy, panie hrabio z ojcem Gauriniem; ja suknie każę przynieść do zamku i przebrać się muszę.

Sułkowski w milczeniu przyjął ten wniosek O. Guarini potwierdzając go skinieniem i zwrócił się ku drzwiom. Brühl padł na krzesło jakby się na nogach utrzymać nie mógł.

Dosyć niechętnie wysunął się za Jezuitą Sułkowski, zostawiając za sobą Brühla, który się sparł na ręku i zadumał.

Dumanie to i spoczynek wszakże, nie trwały tylko tyle czasu, ile potrzeba było, ażeby oba wysłańcy znikli w ciemnych przejściach pałacu; Brühl podniósł się żywo, prędko podbiegł ku drzwiom, otworzył je i okiem rzucił po sieni.

Kamerdyner stał jakby na rozkazy czekając.

— Proszę was, pazia Berlepsch'a do mnie, a żywo...

Ruszył się posłuszny sługa, a w pięć minut z pośpiechem wielkim i zadyszany, wbiegł młody chłopak w mundurze paziów królewicza.

Brühl stojący u drzwi, położył mu rękę na ramieniu.

— Berlepsch, ufasz mi, spodziewam się; nie pytaj jak i dlaczego, dostań się do pokoju królewicza i na własną odpowiedzialność, rozumiesz mnie: na własną odpowiedzialność, wypaplaj się że Brühl przyjechał. Ale prędko! Jeśli co przeszkodzi ci, to się już na nic nie zdało.

Roztropny chłopiec spojrzał w oczy mówiącemu, klamki nie puszczając z dłoni, nie odpowiedział słowa i wyszedł. Brühl na wszelki wypadek znać siadł u stołu i w rękach głowę zanurzył.

Cicho było dokoła, lecz najmniejszy szelest wywoływał w nim drgnienie. Na górze poruszyło się żywiéj, po wschodach słychać było żywe kroki: zbliżyły się one do drzwi i mężczyzna młody jeszcze, pięknéj twarzy, na któréj szyderstwo i ironia się wypiętnowały wyraźnie, ukazał się w progu. Zobaczył Brühla i powitawszy go dziwnie jakoś satyryczną excellencyą, odezwał się:

— N. królewicz przypadkiem uwiadomiony o przybyciu waszém, żąda abyście natychmiast przynieśli mu depeszę.

Brühl udawał zmieszanego.

— Nie jestem ubrany.

— Jak stoicie.

— Czy takie są rozkazy?

— Co do słowa.

Spojrzawszy jeszcze na swój strój Brühl ruszył się jakby zmuszony, nie mogąc utaić w twarzy się malującego pewnego zadowolenia.

W milczeniu szli oba na górę.

Otworzono drzwi, Brühl wszedł powoli ze smutkiem tak wyraźnym na licu i postawie, że królewicz, który jeszcze fajkę palił w fotelu, upuścił ją z rąk i powstał.

W téj chwili zamknęły się drzwi i Brühl padł na kolana.

— Przynoszę W. K. M. najsmutniejszą nowinę i pierwszy składam hołd u stóp nowego monarchy. Król, a pan nasz najmiłościwszy nie żyje...

Fryderyk stał przez chwilę jak osłupiały: zakrył sobie oczy.

Chwila milczenia była z obu stron: Brühl klęczał, Fryderyk dał mu rękę do pocałowania i wskazał aby się podniósł.

— Brühl, kiedy się to stało? jak się to stało?

— Dnia 1 lutego skonał król August Wielki na rękach moich, mnie powierzył ostatnią swą wolę, mnie oddał klejnoty koronne i papiery sekretne. Korony i precyoza i droższe nad nie akta, przywożę sam i składam u nóg W. K. Mości.

Fryderyk podał mu rękę do pocałowania, Brühl schylił się, o mało nie pokląkł znowu i udał że płacze: chustką okrywszy oczy, zanosił się. Królewicz sięgnął także po chustkę i na prawdę po ojcu, którego kochał i czcił, rzewne łzy lać zaczął.

— Mów mi Brühl jak się to nieszczęście stało!— zawołał cicho.

Cichym głosem, przemagając wzruszenie począł opowiadać przybyły: przyczynę choroby, przebieg jéj cały, przytomność króla, stoicyzm i spokój z jakim umierał. Naostatek dobył z wielką pieczęcią list ostatni i złożył go na kolanach królewicza, który skwapliwie rozerwał kopertę. Był on pisany obcą ręką, podpis nawet widocznie cierpienie zmieniło, ale królewicz do ust go przyłożył.

Pismo zawierało pożegnanie, błogosławieństwo i polecenie synowi najwierniejszego, najlepszego ze sług, oddawcę ostatniéj woli. Królewicz spojrzał na Brühla i westchnął.

— Stanie się zadosyć żądaniu i radzie, niezapomnianego rodzica! I ręce podniósł do góry.

List jeszcze na kolanach leżał roztwarty, Brühl stał w progu jeszcze, gdy wewnętrzne drzwi do komnat królewiczo-

wéj prowadzące otwarły się i czarno ubrana Józefa, Sułkowski, ojciec Gaurini procesyonalnie weszli.

Jakież było zdziwienie ich widząc królewicza we łzach, u drzwi Brühla w ubraniu podróżném, a na kolanach ów list ostatni rozpieczętowany.

Fryderyk łkając jeszcze rzucił się w objęcia żony, która płakała ale wedle prawideł hiszpańsko-austryackiéj etykiety, która i formę żalu i wyraz boleści przepisywała panującym i ich otoczeniu.

Sułkowski rzutem głowy dał poznać Brühlowi swe nieukontentowanie, zbliżył się doń i szepnął: mieliście czekać na nas.

— Królowi ktoś zdradził tajemnicę mojego przybycia; zawołano mnie: musiałem być posłusznym.

— Kto?

— Watzdorf.

Sułkowski zdawał się sobie notować to imię w pamięci.

Ciekawy obraz stanowiły zgromadzone tu osoby, wśród których prawdziwy żal tylko rysy królewicza wydawały. Nawykły czcić ojca, przywiązany do niego, przejęty jeszcze i stratą i jakąś obawą ciężaru jaki nań spadał, Fryderyk miał twarz zmienioną. Zwykle wypogodzona i spokojna, wykrzywiona była płaczem i bólem, który taić się nie myślał. Żal królewiczowéj Józefiny był przybrany więcéj niż rzeczywisty, a wiele uczuć i myśli z nim się mieszało. Na chwilę nie opuściła ją pamięć na swą godność i etykietę; Sułkowski był zadumany ponuro, jak ten, który przychodzi do władzy i rachuje jak z nią ma poczynać. Wielka pewność siebie nie opuściła go nawet w obec pani, któréj winien był poszanowanie. O. Gaurini załamane trzymał pobożnie ręce pod brodą, głowę spuszczoną, oczy przymknięte, twarz skrzywioną wyrazem, który nadto dobrze odpowiadał chwili, aby nie był nieco wystudyowany. Brühl nie zapominając o tém, iż powinien był być pogrążonym w boleści, nie mógł się wstrzymać od biegania ukradkiem oczyma po twarzach, a najczęściéj spoglądał na Sułkowskiego. Zdawał się mierzyć oczyma współzawodnika.

Gdy królewiczówna kilką słowami pociechę starała się wlać w męża pogrążonego jeszcze w żalu, Sułkowski nie wyczekując dłużéj, ośmielił się zbliżywszy podać radę, aby zwołać

najwyższych dostojników i dać znać uderzeniem we dzwony miastu i krajowi, że straciły Wielkiego Augusta.

Józefa spojrzała na natrętnego doradzcę z pewnym wstrętem, szepnęła mężowi coś, podała rękę i z całym majestatem swym skierowała się ku drzwiom z O. Gauriniem, idącym za nią w téj saméj postawie, w jakiéj go przed chwilą widzieliśmy.

Między pozostałemi panowało milczenie. Brühl na rozkazy czekał, królewicz dawać ich nie śmiał; Sułkowski najśmielszy poruszał się z pewną niecierpliwością. Fryderyk miał jeszcze twarz zakrytą chustką: korzystając z téj bezwładności jego Sułkowski wskazał Brühlowi by wyszedł. Oczy jego padły już były na list Augusta i odgadły go więcéj niż przeczytały.

Zawahał się zrazu przybyły, lecz wprędce chwycił za klamkę, wyjścia jego nie posłyszał Fryderyk. Zostali sam na sam z Sułkowskim: jakby przeczuwszy to odjął chustkę od oczów królewicz i obejrzał się po pokoju.

— Gdzie Brühl?

— Wyszedł.

— Niech nie odchodzi. Każ mu być tu, proszę!

Sułkowski chciał się sprzeciwić, ale nie śmiał; wychylił się za drzwi, szepnął coś i powrócił.

— Trzeba po królewsku i po mężku znieść co Bóg zesłał—odezwał się w tonie poufałym. Królowie nie mają czasu oddawać się smutkom.

Fryderyk ręką rzucił tylko.

— Tajna rada się zbierze natychmiast...

— Więc idź i przewodnicz jéj, ja nie mogę—rzekł królewicz—i niech tu przyjdzie Brühl.

— Ale do czegoż tu Brühl potrzebny?—szepnął z wymówką Sułkowski.

— On? na jego rękach skonał król mój i ojciec, ostatnie tchnienie jego on przyjął. Ojciec mi go polecił, ja chcę go miéć: niech przyjdzie.

— Posłano już po niego—poruszając ramionami—odezwał się Sułkowski, nie tając niecierpliwości.

— Ale nie gniéwajże się Józku — płaczliwie dodał Fryderyk.

W chwili gdy to mówił, dzwony kościołów stolicy saskiéj ozwały się wszystkie jękiem żałobnym. Królewicz padł na kolana i modlić się zaczął, Sułkowski poszedł za jego przykładem. Jedne po drugich odzywały się dzwony i zlewały w ponury chór, któremu szmér i wrzawa miasta rozbudzonego żałobną nowiną towarzyszyła.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY

od 1-go lutego 1873 r., do 1-go kwietnia 1874.

Dramata oryginalne i tłumaczone: Mazepa I. Słowackiego w pięciu aktach. — Hrabia de Saulles dramat w pięciu aktach przez E. Plouvier. — Córka króla Réne z duńskiego, Hertza, w jednym akcie. — Otello, tragedya Szekspira w pięciu aktach. — Hans Mathis Erckmann — Chatrien, w trzech aktach. — Czarne djabły V. Sardou w pięciu aktach. — Akrobata w jednym akcie Feuilleta. — Don Carlos tragedya Szyllera w 5-ciu aktach. *Komedye oryginalne i tłumaczone*: Maroowy Kawaler, w jednym akcie, Blizińskiego. — Przezorna Mama, w trzech aktach, Blizińskiego. — Emancypowane, w trzech aktach, M. Bałuckiego. — Synalek, w jednym akcie, W. hr. Bobrowskiego. — Marcel, kom. w jednym akcie, z francuzkiego. — Kuzynki, w jednym akcie, z francuzkiego. — Miłość ubogiego młodzieńca, w pięciu aktach, Feuilleta. — Poskromienie złośnicy, Szekspira w pięciu aktach. — Wiosna, w jednym akcie z francuzkiego. — Zięć Półkownika, w jednym akcie z francuzkiego. — Biały goździk, w jednym akcie z francuzkiego. — Maryonetki Justyna, w dwóch aktach z francuzkiego. — Babie Lato, w jednym akcie z francuzkiego. — Każdy przy swojém, w jednym akcie z francuzkiego. — Gwiazda, w jednym akcie z francuzkiego. — Nadzieje, w jednym akcie z francuzkiego.

Nikt może bardziéj od nas nie pożąda goręcéj, iżby roczny przegląd teatralny, będący zebraniem w jedno, ostatecznego zdania o postępie naszéj sceny, zaczął się i skończył na jednéj nucie pochwalnéj. Śledząc pilnie od lat tylu ruch i działalność warszawskiego teatru, badamy troskliwie błędy i niedostatki, radzimy ulepszenia i poprawę, przestrzegamy przed rutynizmem, zabijającym wszelką żywotność; cieszymy się z każdéj zmiany, polecającéj się istotną wartością; w ten sposób czuwając bacznie nad tém, *ne quid respublica detrimenti capiat!*.. Ale to czuwanie nasze, będąc obowiązkiem względem naszych

czytelników, nie wiele niestety oddziaływa na istotę samego teatru, rządzącego się więcéj według swoich poglądów, aniżeli według głosów recenzentów, pragnących najszczerzéj dobra sceny. Więc dziwić się trudno, że choćby się nie było z usposobienia mizantropem, stać się nim jednak można, patrząc na to i na owo. Nie domagamy się bynajmniéj doskonałości idealnéj w prowadzeniu teatru; rzecz to zbyt rzadka i niezmiernie zależna od tysiąca okoliczności: ale tylko rzeczywistego ulepszania w granicach danych i możebnych, rzeczywistego postępu, na który wystarczyć mogą siły tutejszego teteatru materyalne i duchowe. Tego ma również prawo domagać się publiczność, która najchętniéj i z najgorętszém zamiłowaniem zapełnia salę, ilekroć nowa lub dobra sztuka pojawi się na scenie. Otóż tego postępu faktycznego, mimo najlepszéj woli, niktby dopatrzéć się nie był w stanie; uznać tylko można i serdecznie za nie podziękować, najlepsze i najgorliwsze chęci kierującego naczelnie teatrem prezesa Muhanowa, który w wyszukiwaniu coraz nowych sił artystycznych, najoczywistsze daje dowody, że mu dobro teatru leży na sercu.

Udoskonalenie sceny, czyli doprowadzenie jéj do stanu wzbudzającego poszanowanie w każdym znawcy sztuki, opierać się musi bezwarunkowo na wyborowym repertoarze, na niepospolitéj grze artystów. Co do pierwszego, pisaliśmy już tyle razy, że teatr warszawski nie wytknął sobie jasno swego zadania, a raczéj nie postawił sobie żadnego. W wyborze bowiem sztuk, brak wszelkiego z góry obmyślonego i dobrze rozważonego systemu; bez systemu zaś, bez pewnéj stałéj normy, niepodobna myśléć o rozwoju i doskonałości. Przekonamy się zaś łatwo, tak jak się już mieliśmy sposobność przekonać w ubiegłych latach, że sztuki dobre lub nawet arcydzieła, odgrywane na scenie warszawskiéj, są rzeczą przypadku, i wydają się jak gdyby podyktowanemi kaprysem lub wyjątkowym wypadkiem. Dlatego tragedya jakaś Szekspirowska wśród nawału sztuczydeł francuzkich lub niemieckich, wydaje się anomalią, zdarzeniem nienaturalném, niewynikłém z konieczności programu, z dobrze pojętego przeznaczenia sceny. Publiczność też mniéj się zachwyca Szekspirem, bo go nie bardzo rozumié, bo nie ma sposobności poznać się z nim *wszechstronnie*. Program zaś repertoaru powinien się przedewszystkiém opierać, jak na słupach granitowych, na sztukach oryginalnych, które zawsze i w najgorszym razie, więcéj jeszcze przedstawiają interesu dla publiczności, aniżeli tacy bohatérowie pana Sardou, okradający swoje kochanki, lub tacy mordercy à la Hans Mathis, niestosowni nawet w jednym z licznych teatrów paryzkich, starających się przecież o efekt drapania po nerwach, najsztuczniejszemi choćby sposoby. My sztuk tych oryginalnych, jakkolwiek widzieliśmy w tym roku więcéj aniżeli wprzódy, przecież jeszcze za mało, tak dalece mało, że nie jesteśmy nawet w stanie stworzyć sobie wyobrażenia o naszych młodszych, oryginalnych pisarzach. Każdego z nich znamy zaledwie z jednéj lub z dwóch

sztuk, notabene sztuk, które, czekając lata całe, nazwać się już mogą płodem spóźnionym, jakiegoby się może nie jeden autor wyparł w szczerości ducha, gdyby mu nie chodziło o przekroczenie jakimbądź sposobem, zaklętych progów sceny. Dość tu przypomnieć, że „Pozytywni" Narzymskiego czekają już trzeci rok wystawienia. A ileż to innych sztuk oryginalnych chowają autorowie w swéj tece, zrozpaczywszy, iżby je kiedykolwiek na scenie tutejszéj widzieć mogli! Samo już staranie się, polegające na przedstawieniu sztuki do czytania, na czekaniu długich miesiący na decyzyą, nareszcie na powolném próbowaniu, obcinaniu, poduczaniu, zależném jeszcze od zdrowia artystów, dosyć słabowitych na scenie warszawskiéj, staje się prawdziwą męką. Męka ta ustaćby musiała, gdyby rozstrzygał komitet odpowiedni, który mając czas, mógłby rozstrzygać szybko, a odmowę swoją daną autorowi wymotywować. Dopóki zaś przyjęcie lub nieprzyjęcie sztuki, zależném jest od jednego, choćby najukształceńszego człowieka, dotąd niepodobna myśléć o terminie skróconym. Tém tłumaczyć trzeba zniechęcenie autorów. Prócz sztuk nowych, których obfitość podniecić byłaby w stanie dbała o rozwój dramatyczny Dyrekcya, godziłoby się także sięgnąć do porzuconego odłogiem repertoaru dzieł Korzeniowskiego, a i Fredry ojca, niewyczerpanych dotąd wcale. Dlaczego nie widzimy tylu a tylu utworów dwóch tych znakomitych autorów, pozostaje ciągle, niezbadaną dla zwykłych śmiertelników tajemnicą.

Co do dzieł zagranicznych, nie chcemy się powtarzać corocznie, podając zawsze jedne i te same rady. Obszar ogromny rzeczywistych arcydzieł, prawie dotąd nietknięty; zasłanianie się zaś jedną lub dwiema tragedyami Szekspira i dwiema Szyllera, w ciągu lat tylu, nie może służyć za usprawiedliwienie. Co do nowości zagranicznych, tak francuzkich, jak niemieckich, jesteśmy zawsze za uwzględnieniem ich o tyle, o ile są nowością; przedewszystkiém zaś, o ile są nowością godną wyboru, godną przeszczepienia jéj do naszych stosunków, często całkowicie odmiennych. Dlatego dziwił nas wybór z dzieł V. Sardou „Czarnych Djabłow," gdy już lepszy byłby, „Starych Kawalerów" tegoż autora. Nie ma wreszcie z czego tak dalece wybierać; niemieccy autorowie zapewne ciągle jeszcze upojeni zwycięztwem wojenném, nie hołdują Muzom, odzywając się z rzadka tylko, z jakąś farsą godną politowania. Prassa też niemiecka wezwała w ostatnich czasach autorów dramatycznych, iżby ratowali scenę ojczystą, témbardziéj, że sztuk francuzkich, dzisiejszych, niepodobna już przedstawiać. Czy odezwa poskutkuje? wątpić można, bo nie chodzi tu tyle o brak ochoty do pisania, ile o brak talentu. Cały szereg niemieckich dramaturgów, wziął się zajadle do naśladownictwa nienawidzonych przez siebie Francuzów i to do naśladownictwa najsmutniejszéj barwy. Za „Damą kameliową," poszła „Dama fiołkowa" i „Syrena." Królem komedyi francuzkiéj, jest i dotąd zdepopularyzowany chwilowo Dumas syn, który, „Żonę Klaudyusza" popra-

wić miał świetnie „nową, odmłodzoną ideą," w „Alfonsie." Znamy ten utwor odmłodzony i dziwimy się pobłażliwości francuzkiéj, a raczéj niemożności autorów, przerzucenia się raz na grunt czyściejszy i szlachetniejszy.

My na szczęście nie zapoznaliśmy się z „Żoną Klaudyusza," poprzestaliśmy na „Księżnéj Jerzowéj i „Pojęciach pani Aubrey," zadawalniając się dosyć chętnie, płynącym z nich duchowym pokarmem. Ale czy ten pokarm nam wystarcza? czy nie godziłoby się uczynić odezwy i do naszych autorów, którzyby najchętniéj odezwie uczynili zadość?—to inne a bardzo ważne pytanie.

Drugiéj podstawie rozwoju sceny, czyli wzmocnieniu sił artystycznych, uczyniono w tym roku zadosyć, co do ilości, *lecz nie, co do jakości.* Z wyjątkiem bowiem pana Leszczyńskiego, utalentowanego i wielce pożytecznego artysty, nie wiemy, coby Dyrekcya przedsięwziąć chciała z pp. Grubińskim, Holcmanem, Łukowiczem, a zwłaszcza z tym ostatnim? Obciążenie takie budżetu wypadnie ze szkodą dla tych rodzajów ról, które pozostały całkiem nieobsadzone, zwłaszcza po śmierci zdolnéj bardzo artystki ś. p. Palińskiéj i po pożegnaniu sceny przez panią Rakiewiczową. Ról drugich bohatérek nie ma kto grać, a przecież niepodobna wystawić z jedną główną bohatérką, większych tragedyj lub dramatów.

Nie możemy tu pominąć strony dekoracyjnéj i umeblowania teatralnego. Pożal się Panie Boże tych brudnych firanek, tych wytartych fotelów, a często tego niestosownego umeblowania, na jakie patrzéć nam przychodziło w Teatrze Rozmaitości. Ubóstwo najwyższe, któregoby się powstydziła każda scena prowincyonalna. Opera włoska występuje przed publicznością daleko pokaźniéj i ozdobniéj, a przecież to dramat i komedya a nie opera, zapełniają głównie kasę!

Wyliczywszy pokrótce błędy i usterki tak ważnéj instytucyi, nie możemy pominąć milczeniem projektu, mającego na celu kształcenie młodszych artystów. Wiadomo powszechnie, że często bardzo, burze losu, czasami niechęć do nauki w szkołach, zagnała tego lub owego młodzieńca na deski teatralne. Gdy przypadkiem młodzieniec taki ma rzeczywisty, większy talent, wnet sam uczuwa konieczność samokształcenia się, i usiłuje mozolną pracą wynagrodzić brak gruntownego przygotowania. Ale tych rzeczywistych talentów bardzo mało, a téj ochoty do czytania, do kształcenia się wszechstronniejszego, jeszcze mniéj. I tak bywa, że młodzieńcy, grając naprzykład dramat historyczny, chodzą po omacku, grają śmiesznie, przeistaczając rzecz i charaktery. Dlaczego? Bo nie wiedzą, o co tu chodzi, bo nie wiedzą gdzieby nawet przeczytać informacyą. Czyżby więc nie należało dobrowolną i wspólną składką, ufundować czytelnię, w któréjby znaleźć można ten pokarm tak niezbędny dla każdego, szanującego się artysty? Dotychczasowa tak zwana Biblioteka Teatralna jest tylko zbiorem zapleśniałych

egzemplarzy dramatów i komedyj, żadną więc być nie może pomocą, a nadto chodzi o to, iżby sam już lokal czytelni znęcał młodszych artystów do przepędzenia godzinki czasu, (którego przecież mają tyle) pożyteczniéj niż bywało dotąd. Przystąpmy teraz do obliczenia cyframi stosunku danych nowych sztuk tak oryginalnych, jak tłumaczonych, począwszy od lutego 1873 r. do kwietnia 1874.

Z ubiegłego sprawozdania wypadło w ciągu czternastu miesięcy aktów 51; z obecnego wypada w ciągu 13 miesięcy aktów 59, a mianowicie dramatów oryginalnych aktów 5, tłumaczonych 25, komedyi oryginalnéj aktów 8, tłumaczonéj aktów 16. Licząc na 13 miesięcy przedstawień 224, (czyli po 4 na tydzień), wypadnie na jedno przedstawienie, jakaś ułamkowa aktu. Zatém i teraz poszczycić się nie możemy świetnością liczebnego rezultatu, na co może wpłynęła zmiana dwukrotna reżyseryi. Obecna reżyserya okazuje się ruchliwszą, tylko jeszcze niezbyt oględną w wyborze sztuk. Lecz i na 59 aktów wypada zaledwo aktów 13 dzieł oryginalnych. Czyż tak zawsze będzie? Miejmy ciągle nadzieję, że nareszcie ci, do których to należy, zrozumieją bezwarunkową konieczność odzwierciadlania na scenie, obyczajów i stosunków kraju, i że w tym kierunku wszelkie swe usiłowania nadal wytężą.

* * *

Chcemy dać czytelnikowi dokładny ile możności obraz tego, co się dzeje na naszéj scenie, rozpiszemy się przeto szerzej nad ważniejszemi utworami, mniejsze dotykając zaledwie. Ale niestety! tych mniejszych wypada zastraszająca liczba. Zaczynamy od dramatu oryginalnego, nieśmiertelnego naszego poety Juliusza Słowackiego: *Mazepy*. Antoni Małecki, znakomity krytyk i estetyk, zarzuca głównie tragedyi téj, niejasność w ostatecznym celu, a nawet w wybraniu charakteru na głównego bohatéra, a skutkiem tego niejednolitość i pominięcie najważniejszéj sprężyny w każdém dziele dramatyczném, t. j. gry namiętności i katastrofy, wypływającéj z tychże. Sąd ten swój jędrny i trafny łagodzi uwagą, że autor pisał dwukrotnie tę sztukę, gdyż w r. 1834 doniósł matce, że sztukę swą spalił, w r. zaś 1839 jedno z pism poznańskich zawiadomiło publiczność, o napisaniu przez Słowackiego tragedyi tegoż nazwiska. Małecki ztąd wnioskuje słusznie, że ów Mazepa dany do druku, był czémś inném jak ów pisany w Genewie z r. 1834; lecz że w dziełó powtórne wszczepiono ustępy dawniejsze, a zatém że je poeta poraz drugi nie *tworzył* ale *przerabiał*. Tém tłumaczy niedostatki i niekonsekwencye, te np., że paź Mazepa w pierwszych aktach przeważa, potém zaś schodzi całkiem z placu, zastąpiony przez wojewodę a nawet Zbigniewa i Amelią. Tém także, niestosowny charakter kasztelanowéj, pochodzenia widocznie z czasów Stanisławowskich, i nie potrzebną scenę opowiadania Chrząstka. Tenże krytyk nie zgadza się głównie na wybranie Amelii jako jednéj z osób najgłówniejszych, gdyż jest ona tu tylko ofiarą najniewinniejszą, nie przyczyniającą się w niczém

do kolizyi, a więc jest najzupełniéj bierną, a bierność nie należy do znamion charakterystycznych i podstawowych utworu dramatycznego. Mybyśmy zaś dodali to jeszcze, że *fatum* greckie działa tu zanadto obosiecznie i bezwzględnie, bo tak Zbigniew jak Amelia opierają się nieszczęsnéj namiętności, a więc są nieodpowiedzialnymi. Jeżeli w życiu, każdy pokutuje za swe grzechy i namiętności, to w tragedyi przedewszystkiem, chodzić nam musi o winę płynącą z tych namiętności, gdy zaś téj niéma, jest tylko prosty przypadek, który nas nie wzrusza i nie przenika do głębi. Z tém wszystkiém, a raczéj mimo tego wszystkiego, tyle tu jest nieporównanych piękności, tyle znamion genialnego pisarza, tyle intuicyjnéj, niezmiernie na efekt działającéj sceniczności, że tylko gorzko żałować przychodzi straty przedwczesnéj genialnego pisarza, który nie oglądał nigdy dzieł swoich na scenie.

Jestto już drugi dramat tego poety na naszéj scenie. „Marya Stuart“ jakkolwiek pod wielu względami słabsza, zasługiwała jednak na pozostanie w repertuarze na zawsze; dlaczego zaś znikła? nie umiemy sobie wytłumaczyć. Nie mogła stanąć temu na przeszkodzie niedoskonałość gry artysów, bo tylko przez ustawiczne obcowanie z dramatem mogą artyści wyrabiać się w tych rolach, od których przez długie lata odwykli. Rzeczywiście, dawna tradycya dramatu zaginęła na naszéj scenie: młodzi artyści zaprawieni w komedyi, z trudnością przywykają do odrębnéj całkiem sfery; istotnie zaś odpowiednich i przydatnych do dramatu, mamy dziś nie wiele, bo tylko pp. Królikowskiego, Rapackiego i Leszczyńskiego, a z kobiét panią Modrzejowską i w pomniejszych dramatach, p. Bakałowicz. Dlatego i przedstawienie „Mazepy“ nie wypadło tak harmonijnie, w takiéj wybitnie dramatycznéj całości, jakiéj dzieło to przetykane niezliczonemi pięknościami myśli i dykcyi, bezwarunkowo wymaga.

Najprzyzwoitszym przeskokiem od Mazepy będzie *Otello*, dany w tym roku w całości.

Szekspir opierając się na opowiadaniu bardzo szczegółowém, ale kryminalistycznem prawie, wysnuł z niego tragedyą, która co do psychologicznéj trafności i głębokości charakterów, jako też co do wykończenia, liczy się do jednéj z najznakomitszych. Są krytycy i artyści wykonawcy, którzy tak dalece przerabiają charakter Otella, że pomijają bezwzględnie kwestyą rassy. Tych odsyłamy do ciekawego dzieła p. O'Connel (New Exegesis of Shakespeare interpretation of his principal charakters und plays onthe principle of races), który lubo zbyt systematuje i generalizuje, przecież tém ważny, że zwraca uwagę na fizyologiczne znamiona, niezaprzeczenie ważne w ocenie charakterów. Otóż według tego autora, Szekspira wielkość zasadza się i na tém, że on pierwszy wznosząc się do poglądu rozleglejszego i głębszego na naturę ludzką, wprowadził w dziełach swych charakterystykę nie już jednostki i rodziny, ale ras głównych, zamieszkujących Europę. „...Z cyklu średniowieczne-

go ludów, wojen, ras i romansów uosobistniających rassy—powiada między innemi — powstał Szekspir... Poeta angielski miał przed sobą Europę całą z historyą XX-u wieków, kiedy Eschyl naprzykład, ograniczyć się musiał do rodziny. Rassy: germańska, włoska, celtycka stały się tematem dla Szekspira. Według tego systematu *Jago* w Otellu, reprezentuje rassę włoską, *Hamlet* rassę germańską, *Makbet* rassę celtycką. P. O'Connel nie chce przezto twierdzić, iż zbrodnicze intryganctwo jest właściwością rassy włoskiéj, że zamordowanie pod dachem gościnnym swego króla, stanowi typ rassy celtyckiéj (Makbet), albo że melancholia duszy wahającéj się, przedstawia typ rassy germańskiéj. Nie, Jago mógłby być poczciwym, Makbet tak świętym jak Dunkan, a Hamlet tak królewskim jak wielki Alfred; ale w jednym i drugim przypadku, tak w dobrém jak w złém, pozostaliby niemniéj przedstawicielami swéj rassy, czyli podlegaliby popędom wewnętrznym, które ich popychają na mocy ich krwi i urodzenia...." Zapewne że autor ten mający przytém uprzedzenie do pewnych ras i do pewnych przeszłości dziejowych, posuwa się za daleko i za krańcowo, ale zgodzić się można na to, gdy twierdzi, że Szekspir w charakterze Jagona, narysował dzielnie i trafnie Włocha XVI wieku, który znając doskonale karygodność swych postępków (bo Jago zna je rzeczywiście) stawia się chłodno i z rozmysłem po nad nie i tworzy sobie moralność odrębną, prywatną, taką, z jakiéj Machiawel wytworzył teoryą polityczną. Daléj, Jago w opowiadaniu włoskiém posiada wszelkie znamiona wewnętrzne i zewnętrzne tego narodu; twórczość Szekspira nie zatarła ich bynjemniéj, nadała im tylko barwę ogólniéj ludzką.

Ważność tego znamienia rassy, tembardziéj odnieść trzeba do samego Otella, że ten choćby nie był z natury zazdrosny i skłonny do wybuchów gwałtownych, stałby się nim musiał przez wyjątkowe swoje położenie. Był bowiem afrykaninem między europejczykami, czarnym między białymi. Ta różnica rassy, która i w dzisiejszém życiu społeczném, tak jeszcze ważną odgrywa rolę, oddziałała i na niego samego. Wié bowiem, że tylko nadzwyczajną zasługą, zdobył sobie tak wysokie stanowisko i zdołał zatrzéć piętno pochodzenia, o którém wszyscy mówią z pogardą złączoną z zawiścią dla jego fortuny. Dopóki jednak pewny jest miłości Desdemony, dotąd nie oburza się na złośliwość i plotki które go dochodzą; dopiéro gdy Jago, ten wyrafinowany kunstmistrz zbrodni, podsuwa mu ironiczne przypomnienie, że jest przecie murzynem, człowiekiem obcéj rassy, obcego obyczaju a nie tego co Desdemona, dopiéro wtedy zanurzył nóż w jego sercu po rękojeść, prowadząc go odtąd na nitce jak dzieciaka. Wściekłość niezrozumiała dla europejczyka, a posunięta do stopnia rozpasanéj dzikości, jest już naturalném następstwem złamania się wiary, człowieka wyjątkowéj organizacyi i wyjątkowego położenia, który sam o sobie przepowiedział, jakby w przeczuciu do Desdemony: „Jeżeli cię kiedykolwiek kochać przestanę, chaos mnie na nowo

ogarnie.“ Tym chaosem będzie właśnie podeptanie praw ludzkich i bozkich, które dotąd przywykł szanować; będzie zemsta niezwyczajna, sroga, niszcząca wszystko co miał najdroższego i niszcząca siebie samego; zemsta piekieł, ta, poza którą rozkład i nicość. Ci, którzy w szlechetnym charakterze Desdemony nie chcą widzieć żadnéj winy, żadnego śladu osobistego pokierowania swym losem, żadnego wdania się w sprawę swego życia, od czego zawsze zależą dalsze następstwa, krzywdzą srodze genialnego twórcę, który miał logikę niezbłaganą i nie pozwoliłby torturować Desdemony całkiem *niewinnéj*. A jéj nagłe zakochanie się w człowieku obcéj rassy, niepozbawione pewnéj dziwacznéj co najmniéj ciekawości, a odrzucenie narzeczonego którego sobie życzył ojciec, i nareszcie ucieczka przekorna, zuchwała i bardzo lekkomyślna z rodzicielskiego domu, niczemże nie są? Rozważając wreszcie jéj charakter ze stanowiska najromantyczniejszego, a zatem usprawiedliwiając to jéj wyłamanie się z pod opieki ojca, dla podzielenia losów z człowiekiem, który dotąd oddziałał tylko na jéj wyobraźnię, człowiekiem, którego dotąd nie znała z charakteru, bo zaledwie z opowiadań o czynach wojennych, jeszcze ją mimowoli posądzić trzeba o zbyt ślepe poddanie się wrażeniu, trochę zmysłom, mniéj zaś sercu pokierowanego radą rozumu. Czczy idealista tylko, radby upatrzéć w téj kobiecie (tak sympatycznéj, a *późniéj* przez poświęcenie, tak na cześć zasługującéj) typ najczystszy, powiewny, złożony z tchnień samych duchowych. Przeciwnie, Desdemona jest kobietą w całém znaczeniu tego słowa, z całą szczerością natury swéj miękkiéj a wrażliwéj, z całą jawnością tych wrażeń i wzruszeń bezpośrednich. A takie właśnie malował zawsze Szekspir, jak trafnie dowodzi H. Taine. Kładziemy nacisk na ten odcień jéj charakteru, bo niejednokrotnie zdarzyło się nam słyszéć i czytać, wprost przeciwne dowodzenia, dowodzenia najczystszéj idealności Desdemony, na które w interesie prawdy, w żaden sposób zgodzić się niepodobna.

Przedstawienie na naszéj scenie ze współudziałem pana Leszczyńskiego w roli tytułowéj, pani Modrzejewskiéj zwłaszcza w roli Desdemony, wypadło świetniéj i lepiéj od innych sztuk Szekspira.

Nie trzymając się porządku chronologicznego, przystępujemy do trzeciego najpotężniejszego dramatu, jaki widzieliśmy w ciągu trzynastu miesięcy, to jest do tragedyi Szyllerowskiéj: *Don Carlosa*. W epoce, w któréj Szyller pisał tę tragedyą, miał on zamiar przerzucić się w dramat historyczny, jako chroniący go swą objektywnością od zbytniego indywidualizmu. Wybrał przeto jednę z najciekawszych chwil w dziejach Hiszpanii, pragnąc na tém tle osnuć poglądy własne, jako filozofa na ludzkość i jéj potrzeby, których się gwałtem domagała. Natura kontrastów mogła zrodzić ideał republiki rodu ludzkiego, właśnie w pobliżu takiego Filipa II i jego inkwizycyi; tak myślał poeta i zabrał się do dzieła, ale co zrazu miało być tylko dramatem rodzinnym, przemieniło się w dramat rozgrywa-

jący się na stopniach tronu. Niepogodzenie się wszakże poety ze sobą, widocznem jest w całéj robocie. Z początku bowiem nie myślał wcale o Pozie, a gdy Poza się ukazał, wnet przerósł głównego bohatéra: Don Carlosa. Kto wié, czy gdyby dzieło to było „owocem jednéj wiosny“ jak tego żądał sam poeta, czy nie byłoby tylko czczą deklamacyą, a może pamfletem politycznym, gdy przeciwnie w tém wolném przerabianiu i przetwarzaniu, choć ucierpiała na tém jednolitość tak jak w Mazepie naszego poety, zyskaliśmy jednak szlachetną obronę praw sumienia i ludzkości. Ale bo też i wiek ów, wiek XVI-ty, jest jednym z najciekawszych, najsilniéj poruszających wszelką siłę ludzką. Wszystko przyczyniało się naówczas do wytworzenia nadzwyczajnych pojawów, nadzwyczajnych walk, w których stronnictwa, jak w owym prastarym sporze między potęgami światła i ciemności, starały się niezmiernemi wysileniami, cel swój osiągnąć. Cóż więc naturalniejszego, jak że pod naciskiem okoliczności, przy niejasności ostatecznych celów, w pogmatwaniu wszelkich stosunków życia, wiele z tych występujących do walki potęg, uniosło się aż do najwyższéj namiętności i przekroczyło granicę, a raz ją przekroczywszy, powaliło się zniszczone i zgnębione?! Wielkie namiętności duszy ludziéj, ich działanie gwałtowne i drogi jakie sobie toruje, stanowią przedmiot wyższéj tragedyi. Im wspanialszym jest przedmiot, dla którego walczy siła ludzka wzrastając w namiętności, tém głębszém staje się współczucie, tém większą troska nasza dla walczącego człowieka. Kto dzielnie i raźnie pragnie walczyć za prawdę, ludzkie prawa i swobodę przeciw gnębiącym je potęgom; kto pełen gorącéj miłości dla przyrzeczonéj mu ukochanéj tak jak Don Carlos, nie waha się i nie ustępuje choćby przed takim rywalem jakim był Filip II, i kto znowu odziedziczywszy od pradziadów tron i prawa monarsze, broni ich zacięcie przeciw ideom młodszych pokoleń, tak jak Filip II: ten ma prawo liczyć na natężenie bacznego ducha widza, który w miarę osobistych wyobrażeń, łatwo się przerzuca w gorącego zwolennika. A gdy jeszcze w grze tak wspaniałéj, biorą udział osobistości, stojące na czele narodów, lub zajmujące się w jaki sposób ich losami, tak jak to ma miejsce w téj tragedyi; tam pathos jedno ściera się z drugiém, a przedmiot sam przynęcać musi gwałtownie poetę. Przedmiot przeto musiał rozognić, dawno marzącego o historycznym dramacie Szyllera; przedmiot wspaniały, nastręczający tysiące porywających piękności, ale i niezmiernie trudny. Mimo wszakże niejednolitości założenia z wykonaniem, mimo indywidualizmów zbyt lirycznych, zakrawających na nowoczesny retoryzm, których Szyller i tym razem nie umiał powściągnąć; mimo wreszcie saméj długości dramatu, mającego 5369 wierszy, (gdy największa tragedya Eschylesa Agamemnon, liczy ich tylko 1670), uczucie prawdziwéj poezyi, nie opuszcza nas ani na chwilę. Prawda że samo takie uczucie poetyczne nie odpowiada całkowicie warunkom scenicznego utworu. Czuł to doskonale sam poeta, zmuszony krytyką

mianowicie co do stosunku Don Carlosa do Pozy, do wydania całego szeregu listów o Don Carlosie, któremi jednak nie zadowolnił malkontentów, ani ich nie uspokoił. Kiedy Szyller pojedyńcze akta drukował, nie uwzględniano wcale politycznych i społecznych tendencyj, które tu grały przeważną rolę, ale umiłowano odrazu sentymentalną stronę, sławiąc, mylnie do tego, idealną przyjaźń Pozy dla Don Carlosa, jak również entuzyazmowano się napadami na stronę religijną, a właściwie na urządzenia hierarchiczno-kościelne. I spółcześni zabrzmieli jednym chórem, że są tu idee przedewszystkiém samego poety, że on siebie samego przedstawił w Pozie i Don Carlosie, że jak się wyrażano naówczas: „przelał w utwór ten całą swoją subjektywność.“ Wprawdzie później poeta przerobiwszy swe dzieło, uczynił niemały krok na rzecz historycznéj krytyki, ale to pewna, że nie stanął na punkcie objektywnym jaki chciał osiągnąć, bo lubo dusza jego porzuciła już krzyk rozpaczy z jakim się wyrwał w „Zbójcach,“ przecież nie uspokoiła się jeszcze zupełnie, chociaż teraz wyraża już nadzieję lepszéj kiedyś przyszłości. Poza bowiem umierając mówiący: „Jestem obywatelem ludzi, którzy się narodzą,“ jest Szyllerem, zaczynającym wierzyć w szczęśliwsze losy ludzkości. Spółcześni wyrażali się o Don Carlosie rozmaicie: Jacobi porównywa go z zimnym pałacem, w którym czuć swąd z bardzo rozgrzanych pieców, Zeltera sąd był arcy brutalny, Humboldtowi podobała się tragedya. Ukazała się ona na scenie roku 1787 w Hamburgu. Przedstawienie wywarło ogromne wrażenie. Szreder przedstawiał Filipa. Król pruski Fr. Wilhelm II słuchając Don Carlosa w Berlinie roku 1788, czuł się przejęty apostrofami zwłaszcza do monarchy. Nic dziwnego, wszakże król ten regulował pobożność edyktami.

Nie możemy się tu dla braku miejsca zapuszczać w szczegółowy rozbiór charakterów i w historyczne ich objaśnianie (cośmy wreszcie przed laty uczynili już na tém miejscu), zdamy tylko pokrótce sprawę, o ile „Don Carlos“ zrobił wrażenie na naszéj scenie i czy się na niéj utrzymać jest zdolny.

Przyczyną niepowodzenia jest niezdarny, prozaiczny, pospolity i niegramatykalny przekład, ubliżający powadze sceny warszawskiéj, a zarazem dziwnie oskarżający naszych pierwszorzędnych artystów, którzy choćby przez dbałość o język polski, odrzucić go byli powinni. Na tyle istniejących przekładów, wybrać jak najgorszy, wybrać coś co właściwie nie jest wcale tragedyą Szyllera, to za gruby żart z publiczności. Publiczność nasza „Don Carlosem“ w najlepszym przekładzie nie byłaby się zachwyciła, a cóż dopiéro mówić o takiéj obrzydłéj przeróbce? Nie byłaby się zachwyciła z przyczyn przedewszystkiém racyonalnych, które dziś wyznać trzeba, zawładnęły ze szkodą uczucia czysto poetycznego. Polityka wreszcie ludzkości, dla jakiéj pracuje i poświęca się markiz Poza, mniéj zadawalnia stęsknionych za tego rodzaju ciaśniejszą sferą, ale

dającą pewniejsze i bliższe szczęście. Niemcy rozprawiali zawsze bardzo wiele o szczęściu ludzkości i o ojczyznie „we wszechświecie", ale od czasu gdy z pominięciem tamtéj, zabrali się do rozprzestrzenienia gwałtownym sposobem własnéj najbliższéj, mniéj się czuje każdy porwany tym dytyrambem abstrakcyjnym, bo fatalna praktyka kłam zadaje słowom poety, w najlepszym razie zwąc je, lubo niesprawiedliwie „szumnym frazesem." Z usposobieniem dzisiejszém realniejszém publiczności, w takich zwłaszcza kwestyach, liczyć się trzeba koniecznie. Od niego bowiem, jak w tym razie choćby, zależało powodzenie sztuki. Gra wreszcie artystów w *całości*, nie była taką, iżby jéj mistrzostwo pozwalało o wszystkiém zapomnieć. Pan Królikowski jako Filip II, pani Modrzejewska mianowicie jako Eboli: chcieli urokiem swych talentów ożywić sztukę, ale zyskali tylko w nagrodę zasłużony oklask za swą grę, lecz nic więcéj. Pan Leszczyński jako *Poza* stracił ochotę, tym razem słusznie, do wszelkiéj gry, bo w takiéj przeróbce nie byłby nigdy w stanie, przedstawić w dosadnéj prawdzie, trudny ten niepospolicie charakter. Reszta zaś artystów stąpała, jakeśmy już mówili w tragedyi, jak na szczudłach, bez zapału, bez natchnienia i bez *samowiedzy*. Nierządziła się nawet instynktem artystycznym, tak dalece dziedzina wyższéj tragedyi jest jéj obcą. Czy tak zawsze będzie? Zdaje się, dopóki artyści młodzi nie będą mieli szkoły albo wzorów, a przedewszystkiém dopóki około własnego ukształcenia, nie zaczną chodzić na seryo. „Don Carlos" albo „Otello", to nie „Czuła struna" lub inna jakaś farsa francuzka. Można bez głębokich studyów tańczyć kankana, ale niepodobna bez nich, na scenie być ministrem lub wielkim potentatem u dworu, naprzykład księciem Alby. Dyrekcya widocznie sama zrozpaczyła o powodzeniu wielkich dramatów, skoro role tak niestosownie obsadza.

Od tych trzech większych i poważnych utworów dramatycznych, przejdźmy do dwóch innych, wielkich rozmiarem ale wątpliwéj pod każdym względem wartości. Pierwszym jest dramat pięcioaktowy: Hrabia de Saulles, przez pana Plouvier. Nie chcę zajmować tu miejsca opisem treści sztuki, nietylko wstrętnéj swą treścią, ale i warunkom scenicznym, w których przecież tak wytrawny robotnik dramatyczny jak p. Plonvier celowaćby powinien, nie odpowiadającéj zupełnie. Wiarołomstwo i znowu wiarołomstwo, oto przedmiot, od którego nie chcą w żaden sposób odstąpić francuzcy pisarze, newet po takiéj klęsce narodowéj jaką była ostatnia wojna. W „Hrabi de Saulles" wiarołomstwo jest antycypowane: mąż oszukiwany już nie żyje, pozostał tylko syn, dorosły już młodzieniec i adwokat, który jednak uwodziciela, admirała hr. de Saulles, nienawidzi od piérwszych lat dziecięcych. Wychodzi na to, że kiedy miał zaledwie kilka lat, już *rozumiał* dziwne swe położenie i nienawidząc admirała, oskarżał milcząco matkę. Zdolność szczególna na inkwizytora, przenikliwość, jakiéj mu nikt zapewne nie pozazdrości. Z tego

naprężonego stosunku między młodym tym adwokatem, jego matką i *drugim* jéj mężem, hr. de Saulles, rosną wszystkie kolizye ckliwo-denerwujące, a często tak niesmaczne, że ich wysłuchać nie było podobna. Dramat naturalnie odrazu upadł, a nam znowu dziwić się przyszło dyrekcyi, robiącéj tak nieoględny wybór i artyście takiemu jak p. Królikowski, który się zgodził na tę pracę herkulesową a niewdzięczną. Kilka tygodni pracy artystów, znowu nie przydało się na nic nikomu, bo nawet publiczność nasza, zazwyczaj bardzo pobłażliwa dla płodów obcych, tym razem niecierpliwiła się widocznie. Był to kurs dręczenia i szarpania nerwów kilkogodzinny, a niedługo po niéj wystawiony dramat p. n. „Hans Matis“ doprowadził ten kunszt *sui generis*, do najwyższego stopnia. Co jest przedmiotem tego utworu, autorstwa utalentowanych w powieści pp. Erckmann i Chatrian? Morderstwo, magnetyzm, sąd, sen, stryczek i apopleksya. Hans, karczmarz alzacki, zamordował nocującego u niego „żyda polskiego“ przed laty piętnastu i teraz dopiéro *po piętnastu latach*, uczuwa nie wyrzuty sumienia ale *trwogę*, ażeby w chwili wydania córki swéj za mąż za wachmistrza od żandarmów, nie popełnił jakiéj nieostrożności i nie zdradził się. Wśród uczty weselnéj, a pod ciągłym wpływem trwogi zapada w sen i we śnie widzi się sądzonym i skazanym. Więc gdy się przelękniony budzi w przekonaniu, że ma stryczek na szyi, pada rażony apopleksyą, do czego się zapewne nadużycie gorących trunków nie mało przyczyniło. Trwoga przeto nie głos sumienia, nie przebudzenie się szlachetnéj strony natury ludzkiéj, stanowi główną oś charakteru, najpospolitszego wreszcie człowieka. Jeżeli więc fakt już sam niezmiernie jest wstrętny, to cóż dopiéro, gdy jeszcze nie przeprowadzony psychicznie i z uwzględnieniem wysokiéj moralności, która byłaby tu zarazem i wysoko estetyczną? Gaboriau byłby z tego ułożył ciekawą powieść kryminalną, dramaturg liczył tylko na grube efekta, ale się zawiódł srodze, bo sprawił najprzykrzejsze wrażenie. Pomijając wreszcie stanowisko sztuki w tym razie, pytamy się czy tego rodzaju zbrodnicze szczegóły, przedstawione tak nago, w takiém oderwaniu od wyższéj idei sumienia czy sprawiedliwości, nie mogą rozbudzić złych lubo drzemiących namiętności u jakiéjś cząstki widzów? Wszakże, nie trzeba o tém zapominać, jeden tylko mamy teatr, do którego schodzą się ukształceni i prostaczkowie. Naturalnie, że i ten dramat nie miał powodzenia, mimo znakomitéj bezsprzecznie gry p. Królikowskiego i prawdziwego trudu, którego się podjął w tak niewdzięcznéj roli. Grę jego nazwać można było doskonałą w całości i w najdrobniejszych szczegółkach, a przecież nie był w stanie uratować tego, co nie miało warunków życia. Praca daremna, zawód dla artysty i dla publiczności, wszystko dlatego, że nie czuwa wybrany komitet nad wyborem sztuk, że nikt nie bierze odpowiedzialności wobec publiki za wybór. Uda się: dobrze; nie: mała szkoda. Wystawi się nowy utwór, mniejsza o to jaki, a choć ten znowu upadnie, toć

przecie starych melodramatów francuzkich nigdy nie zabraknie. Jaką przyczynę miéć można w wprowadzaniu na naszą scenę takich straszydeł, jak Hr. de Saulles, Hans Matis, albo Czarne Dyabły? Nie chce nam się wierzyć, iżby je sobie dowolnie wybierali artyści, a jeżeli tak się rzecz ma, to ubolewać musimy nad tą samowolą, którejby nigdzie nie ścierpiano. Hr. de Saulles, Hans Matis i Czarne Dyabły, zabrały licząc lekko, najmniéj trzy miesiące czasu, a więc trzy miesiące czasu straconego marnie i bezpowrotnie; gdy tymczasem moglibyśmy dyrekcyi wskazać kilkadziesiąt sztuk nowszych i dawniejszych, oryginalnych i obcych, które nie zrobiłyby wstydu scenie, bo wartość ich istotna oddawna już uznaną została [1]).

Zatém „Czarne Dyabły“ dramat w czterech aktach p. Sardou. Dlaczego ta nazwa? Dlatego, że „czarnemi dyabłami“ są złe namiętności u wielu ludzi, które wybuchają najniespodziewaniéj i wtedy właśnie, gdy ci ludzie pragną wejść na drogę poprawy. Naturalnie są one tak potężne i demoniczne, że wobec nich, w kąt idą, wola jednostki (naturalnie słabiutka wola), silne postanowienie, przysięgi uczynione sobie i innym. Bohatér, Gaston dę Champlieu, jest właśnie posiadaczem niefortunnym takich „czarnych dyabłów.“ Czém on był? czém jest? trudno byłoby opisać szczegółowo, dość że należał do klubu „pożerców“ [2]) (mangeurs de coeur), czyli zwodził bezczelnie kobiéty robiąc sobie z tego cyniczną igraszkę, hulał bezwstydnie z równymi sobie koleżkami, trwonił zdrowie, majątek, honor i sumienie. Nie myślimy tu skreślać życiorysu tego panicza, dość że kochany jest gorąco przez piękną wdowę Joannę, która wzięła na siebie dzieło nawrócenia go na prawą drogę. Zaczęła naturalnie od najgorętszéj miłości, którą i Gaston odczuwa po swojemu, tylko że dawne grzechy i nałogi odzywają się co chwila. Prawda że je zawsze opłakuje i obiecuje poprawę, ale te „czarne dyabły“ drwią z jego przyrzeczeń. Aż raz, gdy chodziło o spłacenie dawnego wekslu a pieniędzy nie było, nasz bohatér skradł po prostu pięknéj Joannie guzik brylantowy od mankietu. Ale bohatérska niewiasta przebacza mu tę bagatelę, tylko mu nie może przebaczyć przeniewierstwa.... urojonego notabene i mści się w sposób oryginalny jak na efekt sceniczny, bo podpala pokój, w którym się znajduje wraz z kochankiem. Naturalnie ratują ją, ale ona odtąd cierpi już na suchoty czy obłąkanie, on także cierpi moralnie: ona umiéra i on zdaje się że mdleje

---

[1]) Fredro ojciec, Korzeniowski, Szyller, Szekspir, Goethe, Freitag, Grillparzer, Weilen, Bauernfeind, Musset, Balzac (Mercadet), stary Dumas w niektórych sztukach, Scribe z wyborem i szereg sztuk oryginalnych, grywanych na scenie lwowskiéj i krakowskiéj.

[2]) Tłumacz ukuł terminologią, któréj nikt nie rozumie, ma to bowiem oznaczać „rozbójnika salonowego“ ostatniéj potęgi.

lub umiéra, a jeżeli umrzéć nie może, to ma przynajniéj, jak mówi nieoszacowany nasz Fredro, umrzéć ochotę.

Z saméj już treści, osądzicie czytelnicy wartość dramatu, który poprostu jest melodramatem, zaszczyconym świetném *niepowodzeniem* w ojczyźnie autora. Scenerya nawet, którą się zazwyczaj Sardou odznacza, jest nadzwyczaj słabą i koszlawą, a charaktery wszystkich, zwłaszcza podrzędnych osób, które tu mają misyą oświecania ponuréj całości, komicznym blaskiem, najfatalniéj oklepane i zużyte w samych już komedyach tegoż pisarza. Gra artystów, p. Modrzejewskiéj, Leszczyńskiego i Ostrowskiego doskonała, nie ochroniła znowu sztuki od upadku.

Dramacikiem nazywa się jeszcze jednoaktowy utwór Hertza pod tytułem: Córka „króla Rëne" i „Akrobata" O. Feuilleta. O pierwszym, mimo poetyczności, jaką niezaprzeczenie posiada, nie wiele da się powiedzieć. Nie ma w nim prawdy, a potém należy on do tych utworów, o których jeden z krytyków niemieckich trywialnie może, ale dosyć trafnie się wyraził temi słowy: „Nie trzeba nigdy drapać tego miejsca, które już nie swędzi." Historya króla Rëne, córki jego Jolanty i Tristana, należy właśnie do takich miejsc, które nas dziś, przepraszam za wyrażanie, już nie swędzą, już nie pociągają niczém: pociągnąć bowiem mogłaby tylko siła genjalnego obrazowania lub niezwyczajnéj dramatyczności, któréj mimo utalentowania pana Hertza, odmówić mu wszakże można i trzeba. Warunki sceniczne, któremi tak cudownie rozporządzą Szekspir w dramatach z najdalszych zasięgniętéj epoki, całkiem tu pominięte; sążniste tyrady wloką się jedne za drugiemi, donosząc o tém, o czém już widz z pierwszych słów wiedział dobrze. Atoli uważając utwór ten jako sielankę średniowieczną, w któréj królowie, królewne, czarowne doliny i zamki, rycerze i trubadurowie, plączą się razem w poetycznéj fantazyi, i nie zastanawiając się bynajmniéj nad anachronizmem w objawie wyrafinowanéj delikatności uczuć, którą się tu odznacza rycerski Tristan, można doznać przyjemnego, że tak rzekę: odświeżającego wrażenia. Przekładu dokonał miarowym wiérszem, prof. F. H. Lewestam.

„Akrobata" nazwana komedyą, według nas zaś należąca do kategoryi dramatu, jest jednym z owych utworów Feuilleta, w których nie brak wiarołomstwa lub przynajmniéj małego sprzeniewierzenia się w małżeństwie, ale w tak złagodzonéj postaci i z tendencyą tak ocukrzonéj moralności, że chroni autora od zarzutów, jakie spotykają paradoksalnego jego kolegę, Dumasa syna. Grzesznicami nie są tu, jak po większéj części u tego ostatniego, kobiety pół-światka, ale margrabiny i księżniczki, mające wiele wolnego czasu, a ztąd i wiele kaprysów i nerwów. Wybrawszy męża na chłodno, rozpatrują się w każdym jego postępku i ruchu i nagle odsądzają go od bohatérstwa w miłości, siebie zarazem czyniąc najnieszczęśliwszą ofiarą. Tak téż uczyniła pani de Solis. Przed ślubem zamieniła wiele czułych frazesów ze swym kuzynkiem, więc gdy ten teraz nagle się zjawia,

porozumienie sentymentalne wnet następuje, a nawet scena uścisku po chwilowym oporze, na co właśnie małżonek wchodzi. Małżonek jest admirałem, człowiekiem dzielnym i energicznym, nie unosi się wszakże, lecz pyta napozór chłodno, dlaczego mu wyrządziła tę krzywdę? Poczém pozwala jéj odjechać z owym kuzynem, gdzieby się jéj podobało. Ale małżonka w jednéj chwili przekonała się, że ten kuzynek, dla którego poświęciła lekkomyślnie ognisko domowe, jest nędznym i pospolitym lwem salonowym, który teraz boi się wziąść na siebie odpowiedzialność. Straciła więc nagle męża, którego nie znała i nie umiała ocenić i kochanka, który niewart był jéj poświęcenia. W dalszéj rozmowie, w któréj mąż tłumaczy jéj swój charakter, czuje się pognębioną, skruszoną i pada na kolana, prosząc o przebaczenie. A mąż sprawiedliwy ale kochający, odpowiada: „Przebaczyć mogę, ale zapomnienie zależy od czasu i od ciebie.“ Tytuł „Akrobata” pochodzi ztąd, że w pierwszéj zaraz scenie, opowiada jéj mąż o pewnéj angielce, która porzuciła bogatego męża dla ubogiego akrobaty, a może i ztąd, że ów kochanek znalazł się jak akrobata, wywijający się zręcznie, gdy trzeba od odpowiedzialności, którą lekkomyślnie ściągnął na siebie i innych. Obrazek to zręczny, wcale dramatyczny i zapewne na długo utrzyma się w repertoarze.

Wyczerpaliśmy niniejszém sferę dramatów, przedstawionych u nas w ciągu trzynastu miesięcy. Rezultat nie jest zbyt zadawalniający, zobaczmy wszakże, czy jest takim w dziedzinie komedyi. Tu przynajmniéj spotykamy się z bogatym zasobem komedyi oryginalnéj, na którą oczywiście stać naszych autorów daleko łatwiéj, aniżeli na dramat.

Zaznajamiamy się tu po raz pierwszy z panem Blizińskim, który napisał dwie komedye oryginalne, przedstawione w ciągu jednego roku, a mianowicie: „Marcowego Kawalera” i „Przezorną Mamę;” pierwsza w jednym akcie, druga w trzech aktach. Autor obrał sobie za główną postać swéj komedyi, jednego z tych podżyłych kawalerów, którzy odkładając z dnia na dzień, zatopieni w gospodarce, trochę i w hulatyce sąsiedzkiéj, ani się spostrzegli, jak im czwarty krzyżyk przeleciał nad głową. Postać tę doskonale podpatrzoną ze wszelkiemi słabościami i śmiesznościami, przeszczepił na scenę żywcem, nie pomijając żadnego, mniéj nawet ciekawego szczegółu, a raczéj rysując zbyt grubo. Ten bezceremonialny rysunek, któremu za tło służyła kopia zbyt doraźna sceny z życia rzeczywistego, ale nie zawsze ponętnego, zaszkodził utworowi, wykazującemu w autorze niezaprzeczoną zdolność, chwytania prawdy na gorącym uczynku. Postać „Pawłowéj” gospodyni, którą się zachwycają niektórzy za nadto dobrze obznajomieni z tajemnicami alkierza wiejskiego, byłaby trwalszą, gdyby jéj był autor nie przeładował prowincyonalizmami.

Intryga zaś rozwija się poprostu. Pan Ignacy zamyśla się nagle ożenić z sąsiadką wdową, co mu się zdaje rzeczą bardzo zwyczajną, ale przyjaciel jego „chudy” literat, ukazuje mu niemożność

tego przedsięwzięcia z przyczyny właśnie Pawłowéj, która nietylko domem rządzi ale i panem. Pawłowa téż rozumem chłopskim, umie oddalić pośredniczącą w ożenieniu starą guwernantkę, tak że pan Ignacy, chcąc nie chcąc, zapada znowu pod jarzmo swéj gospodyni, którą tym razem poczciwie poślubić zamierza. Pawłowa ma stronę piękną, prostego swego przywiązania do swego pana, które się nie zna na rachubie; nie pozwala mu się żenić, bo go kocha. A i p. Ignacy stary wygodniś, przyzwyczaił się do Pawłowéj jak do szlafroka, polubił ją, może i pokochał, ot i chociaż w ten sposób przestał być „starym kawalerem." Obrazek wzięty najwidoczniéj z życia, prawdziwy, wierny, aż za nadto wierny! Gdyby nie ten przedmiot trochę za zbyt domowy i poufały, pogodziliśmy się zresztą, bo znajdujemy tu i trafną charakterystykę p. Ignacego, Pawłowéj i ekonoma, i dyalog ożywiony a naturalny. Ale—powtarzamy z naciskiem—że przedmiot wydaje się nam nie już źle wybrany, ale za nadto chciwie wyzyskany. Wszakże w stosunkach naszych wiejskich, są jeszcze czyściejsze strony, które p. Bliziński znać musi doskonale. Niechby się więc jął ich raźnie i z taką wesołością nieudaną, jak w „Kawalerze Marcowym," a wróżyć mu możemy powodzenie i przyszłość na scenie, témbardziéj, gdy ma takich wyknawców ról, nieporównanych, jakiemi są pani Bakałowicz i p. Żółkowski.

Rada ta nasza nie stosuje się do drugiéj sztuki p. Blizińskiego p. t. „Przezorna Mama," którą napisał podobno jeszcze przed „Kawalerem Marcowym." A jakkolwiek staranie się o posażną pannę, polowanie w tym celu, zużyte już doskonale przez znakomitych i mniéj znakomitych pisarzy i tu powtórzone zostało, w formie wcale nienowéj i nieoryginalniejszéj od poprzednich, przecież umacniamy się w przekonaniu, że p. Bliziński posiada rzeczywistą zdolność obserwowania rozmaitych objawów życia, a zarazem zdolność chwytania charakterów z życia. O tyle téż więcéj cenimy postać sędziego w „Przezornéj Mamie" od p. Ignacego w Marcowym Kawalerze, o ile charakter jego wszechstronniéj obrobiony, chociaż nie ze wszystkiém wymotywowany.

Sam już temat: polowania na mężów lub żony, stał się dziś o tyle przedawnionym i anachronicznym, o ile rzeczywisty postęp ogółu w pracy i zrozumieniu celu życia, wyrugował nietylko z praktyki te zakulisowe zabiegi pieniężne, ale je już dziś wręcz potępił i skarcił. Dziś brzydzimy się daleko szczerzéj kobietą spekulującą na bogatego męża, a bardziéj jeszcze mężczyzną, goniącym za taką karyerą, aniżeli wprzódy, bośmy się nauczyli sumienniéj pracować, bośmy możę więcéj nasiąknęli grozą życia, bo wreszcie „minął wiek złoty." Zdarzają się wszakże wypadki należące do wyjątków, ale jako wyjątki nie mogą stanowić wady ogólnéj, obyczajowéj, któremi przedewszystkiém komedya satyrą chłostać mająca obyczaje, zajmować się powinna. W czasie kiedy autor napisał „Przezorną Mamę," łowy takie na wielką skalę, należały tylko do śmieszności, którym każdy pobłażał; dziś każdy czułby się w obowiązku potępić je surowo.

Zatém przedmiot podwójnie nie nadał się do dzisiejszéj komedyi, atoli biorąc go takim, jak jest, można dostrzedz kilka zalet cechujących uzdolnionego komedyopisarza. Sztuka jednak winnaby miéć tytuł: „Przezorny Papa," a nie „Przezorna Mama." P. Sędzia bowiem główną jest sprężyną w łapaniu kawalerów wszelkiego kalibru; on to dyplomatyzuje z nimi, posyła im najwdzięczniejsze uśmiéchy lub gromi ich i odprawia, onto w ciągłym pozostaje ruchu, nie mogąc odetchnąć i odpocząć. Pani Sędzina wskazuje, on działa. Zarzucamy tylko panu Sędziemu, że jest za nadto chytry a nic a nic niedobroduszny, że za nadto razi nas swym egoizmem, gdy przecież sędziowie pokoju, musieli złożyć jakieś dowody w obywatelstwie poczciwości, prawości i poświęcenia się dla drugich. Tylko „marszałkowie" w komedyi Korzeniowskiego, mogli być bez charakteru i serdecznie głupi, to nawet stanowiło główną ich zasługę w wyborze na taką godność i w wyborze w komedyi, i dlatego stali się tak wybitnym i dla nikogo niezapomnianym typem w swoim rodzaju. Sędzia zaś p. Blizińskiego, posłuszny jak dziecię swéj ordynaryjnéj trochę magnifice, manewruje na wszystkie strony, celem zapewnienia losu córki. Otóż i w tém leży nieprawdopodobieństwo, właściwie zaś nielogiczność autora, bo krociowa panna sędzianka, do tego ładna, ukształcona, nie potrzebuje obawiać się losu staréj panny. Nie ma komiczności w tych zabiegach przezornego jéj papy. Jeden z konkurentów, sparaliżowany Brylański, należy także do figur nowych i dobrze nakreślonych. Jako robota, akt trzeci najpokaźniéj się przedstawia. Razi tylko pospolitością i strasznemi nudami, cały stosunek miłosny panny Sędzianki z zakochanym panem Józefem. Szczególna rzecz, dlaczego komedyopisarzom tak się nigdy nie udają charaktery dodatnie. Co prawda, należą one do najtrudniejszych, ale nastręczają zarazem smutną uwagę, że daleko łatwiéj przychodzi smagać złe strony ludzkie, aniżeli podnosić dobre. Jeden tylko Fredro ojciec, umié znakomicie unieśmiertelniać typy dodatnie, np. wujaszka w Ślubach Panieńskich, Anieli i wielu innych. Nie potrzeba rozszerzać się nad grą Żółkowskiego, dodać tylko można, że jenjalny artysta powiększył znowu bogaty swój repertoar typów, z galeryi czysto szlacheckiéj.

Pan Bałucki w komedyi swéj „Emancypowane", pragnął poruszyć kwestyą bardzo dziś szeroko ogadywaną: „emancypacyi kobiet" przez szczerych jéj i rozumnych propagatorów, jakotéż przez błędnych rycerzy, wywijających maczugą frazesów na oślep i bezwiednie. Wyraziliśmy już na inném miejscu, nasze przekonanie w téj mierze, które mniéj więcéj tak streszczamy: Walka przeciwników wydaje się nam kłótnią o wiatr, szermierką więcéj hałaśliwą aniżeli praktyczną. Jeżeli bowiem chodzi o reformy zasadnicze którymby ktoś przeczył słowem i czynem, tobyśmy o tém coś w istocie wiedzieli, przedewszystkiém o samych reformach, których dotąd ani prawodawstwo ani siła przekonań nię napoczęła; jeżeli zaś o przypuszczenie

kobiety do równości społecznéj a głównie do udziału w pracy, którą się dotąd mężczyźni wyłącznie zajmowali, to o pierwszéj, istniejącéj *de facto* oddawna, nikt zapewne nie wątpi. Co do drugiego, gdzie chodzi o zarobek, a zatem o samodzielność, chroniącą od nędzy i od moralnego upadku, tam należałoby przedewszystkiém rozważyć względy pedagogiczne, bo potrzeba byłoby kobietę przysposobić do twardéj i trudnéj pracy zarobkowéj, co musiałoby zmienić z gruntu system wychowania. Dyskussya na tém polu wydałaby niezawodnie zbawienne owoce, któreby ogół poparł, wiedząc co rzeczywiście popierać mu wypada. Lecz właśnie gdy chodzi o cele główne przyszłości kobiety, panuje niezgoda w obozach, jeżeli obozami nazwać można kilka głosów umiarkowanych z jednéj, a kilkanaście kontrujących zbyt radykalnie i teoretycznie z drugiéj strony. Nam się zdaje, że w rzeczy tak niezmiernie ważnéj, nie trzeba się rządzić żadną apriorystyczną zasadą, żadną osobistą mrzonką, ale względami praktycznemi a niepozbywającemi się gruntu, na którym kwestya kobiet u nas, traktowaną bezwarunkowo być winna. Polskie kobiety niemogą się przecie z taką łatwością i swobodą jak amerykańskie, wyrzec odrazu tradycyjnych cnót i obowiązków rodzinnych, dlatego naprzykład, ażeby rywalizować z lekarzami lub adwokatami... Przeszłości obyczajowéj każdego narodu, w chwili reformy społecznéj, pomijać pogardliwie ani można, ani bezpiecznie... Wszakże za wszelkie starania poczynione w dobréj woli w téj kwestyi, czy drogą publicznych odczytów czy drukowanego słowa, podziękować należy.

Wszystko co się objawia w jakibądź sposób ekscentryczny, poza tą ścisłą granicą konieczności zrobienia czegoś dla znakomitéj liczby kobiet ubogich a lepiéj ukształconych w naszym kraju, jest jak na teraz fałszywą nutą, albo komedyą śmieszną albo czémś gorzéj jeszcze. Frazesy „o równouprawnieniu kobiety“, o „daniu jéj głosu w sprawach publicznych“, o „wyzwoleniu jéj z powijaków krępujących ją przesądów“ i t. p. i t. p., zakrawają na deklamacyą, a z pewnością nie dadzą się ni przypiąć ni przyłatać do naszéj teraźniejszości. Tego rodzaju fałszywe emancypantki nie złudzą już nikogo, chyba tych, którzy jakimbądź sposobem oczarowani być pragną.

Niepodobna było nam uniknąć tych kilku uwag, zastanawiając się nad komedyą pana Bałuckiego, o którym sądzić trzeba, że téj kwestyi albo dobrze nie zrozumiał, albo umyślnie pochwycił ją w jednostronnéj karykaturze, nie siląc się na wyczerpanie jéj ducha, jeżeli już chciał zrobić z niéj przedmiot utworu mającego się odegrać na scenię. Pan Bałucki na fakcie wyjazdu młodéj kobiety do uniwersytetu Zurichskiego i na jednéj prelekcyi publicznéj, jaką miała podżyła pewna jéjmość w małém miasteczku, oparł rzecz saméj emancypacyi, popierając się nawet wywodami filozoficzno-społecznemi w dyalogach, trilogach i monologach. Wielka szkoda, bo gdyby te figury, mianowicie główna emancypowana pani archiwiścina, stanowiły tylko pojedyńcze charaktery w komedyi obyczajowéj *z innem*

założeniem, nie raziłyby nikogo pretensyonalnością w tém właśnie, że chcą reprezentować idee, nie podjęte tu wszechstronnie, logicznie a nadewszystko: naturalnie. Cała bowiem poważniejsza dyalektyka jaką tu prowadzi narzeczony z narzeczoną, jest tylko dyalektyką najosobistszą samego autora, który widział jedno w zbyt powiększonych rozmiarach, a nie dojrzał drugiego. Nie ma wreszcie w całéj komedyi żadnéj, że się tak wyrażę: „dyrektywy“ reprezentowanéj przez kobietę; stanowią tu ją jedynie uwagi chłodne i niezabawne owego narzeczonego. Uwagi te mają zarazem uwidocznić morał i tendencyą sztuki. Szkoda że się one same nie rzucają do oczu, z toku komedyi, z kontrastu charakterów a nie z tego dyalogu sporządzonego *ad usum Delphini*. Objaśnienia te, rozsiane prócz tego tu i owdzie, miały posłużyć autorowi za usprawiedliwienie przesady w głównym charakterze pani archiwiściny, którą przesadę sam autor zagalopowany zanadto, czuł widocznie. Powtarzamy, wielka szkoda, że temat tak niezmiernie nas obchodzący a zarazem jeden z takich, z którym się trzeba obchodzić bardzo ostrożnie, rozprysnął się w rękach pana Bałuckiego zbyt lekkomyślnie. Bo wreszcie jakąż jest ta główna emancypowana? Jestto żona urzędnika, niedołęgi, sama nic nie umiejąca, próżna z głupoty, nie z jakiéjbądź dającéj się uzasadnić przyczyny, nieposiadająca żadnych przekonań, ale wojująca jedném będącém chwilowo w modzie, czyli emancypacyą. Nie pojmuje jéj jednak wcalę, pewna że dość odczytać najgłupszą prelekcyą przy pomocy takich panów Januarych, starych kawalerów polujących na posag i dobre kolacye, ażeby zyskać sławę choćby w rodzinném mieście, że się jest czémś wyższém. Tak niedorzecznych emancypantek, dziś już być nie może w gronie kobiet z lepszego towarzystwa, bo wyśmiałyby je własne pokojówki, z których też jednę autor przedstawił, ale przyznać trzeba że daleko rozumniejszą w żądaniach od pani archiwiścinéj, chociaż pokojówka naśladuje tylko swoją panię bezmyślnie i naiwnie. Drugą emancypowaną jest panna Władysława, z krótko uciętemi włosy, wybierająca się gwałtem na uniwersytet Zurychski, mimo że jest oddawna zaręczoną z bardzo rozsądnym owym dyalektykiem. Wyrwało się nam że jest rozsądnym. Niekoniecznie, bo niedlatego zrywa z narzeczoną, że mając z nim iść do ołtarza ulega kaprysowi śmiesznemu i niemającemu podstawy, ale dlatego, że się kształcić pragnie na uniwersytecie. To go niepowinno było gniewać, tylko niestosownie wybrana pora i ta chętka kształcenia się, płynąca nie z wewnętrznego przekonania, ale z przesadnéj, chwilowo w tém miasteczku panującéj mody. Pani archiwiścina jest także złą żoną i złą matką. Ale czy dlatego, że miała jeden odczyt publiczny? Nie, bo nieład dawno już przedtém panował w domu, a synek jéj Kamil pieszczony nadmiernie, łobuzował się od pierwszéj klassy. Była złą żoną i matką, bo była źle wychowaną, co przecie nię ma nic wspólnego z emancypacyą. Nie poznaliśmy jéj jako uczonéj literatki, piszącéj uczone dzieła lub Sandowskie powieści, a więc

niemającéj czasu zajmować się gospodarstwem w domu i wychowaniem dzieci; jedna zaś prelekcya, napisana w dojrzałych już leciech, mogła jéj, co najwyżéj, licząc na jéj nieuzdolnienie literackie, zająć kilka godzin czasu. Inna i głębsza była przyczyna nieustosunkowania jéj życia, i ona jest zarazem przyczyną braku związku między pobudkami charakteru a jego dążeniami, między charakterami samemi a zadaniem sztuki. Taka niekonsekwencya i niejednolitość, osłabia główne fundamenta komedyi i niweczy trafność wielu pomysłów i wielu scen, które się panu Bałuckiemu doskonale udają.

Nie pisalibyśmy wreszcie o nim tyle, gdybyśmy go nie uważali jako pisarza z rzeczywistemi zdolnościami. Ale przed laty już, na tém miejscu ostrzegaliśmy go przed karykaturowaniem, przeistaczającém prawdę nie do poznania i przed zamknięciem się w ciasnéj sferze poglądów, czerpanych często z najbliższego otoczenia. Pierwsze ubliża zasadom sztuki, drugie prowadzi do obracania się w sferze jednych ciągle i tych samych idei, zmienionych tylko pozornie lub ustrojonych w inną szatę. Daléj potrzeba p. Bałuckiemu przełamać wstręt do wykończania i obrabiania literackiego szczegółów. Pośpiech, doraźność, niedbałość, rażą najpobłażliwszych.

Jeżeli zechce się przełamać i popracować nad sobą, co przecież talentowi jego łatwo przyjść powinno, powitamy w nim z pewnością dobrego komedyopisarza, bo posiada on wiele innych koniecznych w tym zawodzie warunków. Pierwszym jest siła komiczna, wybijająca się nieraz potężnie i tak naturalnie, że wywołuje śmiech powszechny i szczery, np. w chwili gdy oczekują trupa Kamilka, który się tylko upił, albo w scenach z nieszczęśliwym bakałarzem, niewiedzącym jakiego systemu edukacyjnego trzymać się ze swym pupilem, cackanym przez mamę i psutym; albo nareszcie gdy się matka dowiaduje że Kamilek pożyczył jéj okrycie aktorce. Są to błyski talentu, które wynagradzają nużące usterki zawarte w samém założeniu sztuki i godzą po części widza z autorem. Podrzędne też postacie co do znaczenia w komedyi, jak pana Januarego, służącego, pokojówki, narysowane wybornie i arcy komicznie; lecz niestety! są to postacie podrzędne, gdy w sztuce z takim zakrojem, o osoby główne chodzi przedewszystkiém.

Miejmy wszakże nadzieję, że nas wnet zadziwi p. Bałucki utworem godnym zupełniejszéj pochwały: ma po temu siły, niech tylko z nimi wolę swoją złączy.

P. Rapacki jest najdzielniejszym i jakby specyalnie do sztuk Bałuckiego wyznaczonym wykonawcą; z pana Januarego stworzył typ niezapomniany.

Jednoaktową komedyjką p. Bobrowskiego p. t. „Synalek“: zakończymy nieliczny szereg sztuk oryginalnych, przedstawionych w powyżéj oznaczonym czasie. Żal nam, że tą słabą produkcyą zakończymy sprawozdanie o naszych autorach. Jak na początek, źle się autor przedstawił warszawskiéj publiczności. Z wyjątkiem

owego „Synalka“ naszkicowanego dosyć trafnie i jego ojca, ślepo posłusznego zepsutemu i kapryśnemu synalkowi; cztery inne figury to czyste maryonetki, ktore niewiedzieć poco, wałęsają się po scenie. Synalek, hrabicz, wierzy w cezaryjską swoją potęgę, t. j. że gdzie się ukaże, tam jedném słowem, jednym ruchem zwycięży przeszkody, pokona przeciwnika, oczaruje kobiétę. Zarozumiałość ta młodego eksgimnazyalisty, nie jest wprawdzie wyjątkową, ale zwykle polem takich paniczów bywa jakiś salonik cioci lub buduar gryzetki, nie zaś towarzystwo ludzi dobrze wychowanych, które za wiele zadawałoby sobie fatygi, dyskutując z takim młodzieniaszkiem. Racyonalizm „Synalka“, którym on dmie jak dzisiejsza moda nakazuje, jest najdowcipniejszym pomysłem autora, którego wreszcie odsądzać nie chcemy od zdolności, żałując tylko, że się wyrwał z jednym ze słabych i zapewne dawniejszych swych utworów. P. Szymanowski ratuje tu znowu sztukę, wyborną grą swoją.

Z trzech ocenionych autorów, jednego znaliśmy już dawniéj, o p. Bobrowskim nie rozpaczamy zupełnie, a w p. Blizińskiego wierzymy na przyszłość. Byleśmy tylko więcéj sztuk oryginalnych oglądali na scenie! byle autorowie mieli sposobność sprawdzenia swych błędów i poprawienia się, a zarazem nabrania ochoty do prac dalszych!

* * *

Z dwunastu komedyi tłumaczonych większych i mniejszych, zajmiemy się tylko czterema, jako istotnie zasługującemi na uwagę. Zaczynamy od Szekspirowskiéj komedyi: „Poskromienia Złośnicy.“

Bohatérka „piękna Kasia“ wypowiadając w ostatniéj scenie, że kobiéta powinna być łagodną, bo nic się bardziéj nie sprzeciwia kobiecości jak szorstkość i gwałtowność, która odzierając kobiétę z najpiękniejszéj ozdoby, zatruwa szczęście małżeńskiego pożycia, wypowiedziała sens moralny téj sztuki a zarazem sens moralny ogólnego znaczenia. Lecz zanim piękna Kasia zdolną była do takiéj spowiedzi, przeszła całą szkołę, całą *tresurę*, na którą nietylko nie zgodziłyby się dzisiaj kobiéty, ale która niekoniecznie jako wyborny środek poleconą być może. Jeżeli na środek ten użyty przez męża Kasi, patrzéć będziemy jako na symbol siły i energii mężczyzny, wtedy daleko już łatwiéj zgodzić się nań przyjdzie, choć i tu jeszcze zachodzi pytanie, czy charakter a może tylko temperament uporny i zacięty, leczyć się powinien surową bezwzględnością i większym jeszcze uporem, czy téż słodyczą i łagodnością. Mybyśmy stanowczo dali kréskę za tém ostatniém. Nieugiętość woli mężczyzny jest przymiotem nader ważnym, ale dopiéro w połączeniu z wyższością umysłu i serca: inaczéj staje się tyranią i niczém a niczém nie przyczynia się do szczęścia małżeńskiego. Cóż dopiéro powiedzieć o takiéj „tresurze“ w dzisiejszych czasach roszczeń kobiéty i jéj rzeczywistego ukształcenia? Trzymajmy się wszakże epoki, w któréj pisał Szekspir, po-

dziwiając zdrową naturę *Petruchia* ujarzmiciela „Złośnicy.“ Ten Petruchio nie zwykł się oglądać na ladaco, zdąża wprost do celu z ogromnym animuszem, z zuchwałością przestraszającą jego synogarliczkę, bo jak sam powiada: „kobiéta to sokół, którego tresować trzeba tak, ażeby słyszał głos poskromiciela, a tresować ciągłą bezsennością.“ Nic jeść nie powinna, ani pić, ani spać. Temi środkami chce złamać jéj upór. I udaje mu się to nadspodziewanię wszystkich, tych zwłaszcza, którzy pobrali żony łagodne, a przecież w danym razie nieokazujące posłuszeństwa; gdy przeciwnie Kasia uskromiona, słucha głosu swego pana z miłością, która z przeobrażeniem jéj natury, gorąco w sercu jéj się odezwała. Cały plan postępowania Petruchia polega na zdobywaniu szturmem, na niedaniu czasu opamiętania się: a kiedy już zwyciężył, daje naukę zaufanym mężom w bierność charakteru żon. Bo istotnie najłagodniejsze często panny (tak jak tu Bianka siostra Kasi) zmieniają się całkowicie po ślubie. Chwila bowiem przejścia z domu rodzicielskiego w mężowski, który często jest dla niéj całkiem obcy, wpływa radykalnie na stanowczą przemianę charakteru. Kobiéta pod wpływem zupełnie innych okoliczności żyć zaczyna, innemi teraz patrząc oczyma na świat i na swe obowiązki. Zadaniem mężczyzny, jeżeli nie jest mężem Mussetowskim tak przysłowiowo ośmianym, iżby umiał poprowadzić towarzyszkę, na tych nowych dla niéj torach. Jeżeli zaś puści ją samopas albo co gorzéj, pozwoli rozwijać się jéj w fałszywym kierunku, sam złego przypisze sobie winę.

Przedmiot wziął Szekspir z dzieła Goularta p. t. *Tresor d'histoires admirables et mèmorables de notre temps*, przełożonego na język angielski przez Grimestone. Utwór ten przypada na 30 r. życia. Piérwsze wszakże trzy akta świadczą o pewném znużeniu poety, dopiéro w czwartym i piątym odzywa się ze zwykłą potęgą.

Jakkolwiek publiczność nasza, zwłaszcza część jéj kobiéca, niezupełnie zgodzić się chciała na sposoby signora Petruchia, oburzając się nawet potroszę na szorstkość poety; jednak ze względu na komiczność wielu sytuacyi, na dzielną charakterystykę Petruchia i Kasi: przyjęła sztukę bardzo dobrze. Utrzymuje się też ona dotąd w repertuarze i zapewne w nim pozostanie, a do powodzenia przyczynili się głównie: p. Popiel, pp. Ostrowski i Leszczyński, zwłaszcza zaś ten ostatni.

Pięcioaktowa komedya Feuilleta p. t. „Miłość ubogiego młodzieńca“ przerobioną została z bardzo pięknéj powieści, wydanéj w r. 1858 pod tymże tytułem. Jeden z najznakomitszych krytyków francuzkich, dał o niéj między innemi takie świadectwo: „Romans jeszcze nie zupełnie należy do literatury brutalnéj. We Francyi równie jak w Niemczech i w Anglii, może się spodziewać wielkiego powodzenia dzieło napisane uczciwie, jeżeli z uczciwością złączony talent. Nie lubimy kazania w książkach, ale lubimy na wzór dzieci, morał w czynie; czego zaś przedewszystkiém chcemy od romansu czy

od sztuki dramatycznéj, to życia i prawdy. Dajcież nam—mówi do autorów—charaktery naturalne, a nie będziecie potrzebowali posługiwać się uczuciami potwornemi, zuchwałemi paradoksami, albo intrygami skandalicznemi... Nie mało też zostaliśmy zdziwieni ukazaniem się romansu, przeniknionego na wskróś uczuciem delikatném, a w którym honor, obowiązek, poświęcenie, są jedynemi sprężynami dramatycznemi. Mówimy tu o „Miłości ubogiego młodzieńca.“

Ani ramy pisma, ani już ta okoliczność, że komedya została przerobioną z powszechnie znanego romansu, nie pozwalają nam powtarzać treści. Chodzi jedynie o to, czy publiczność dobrze wyszła na przeróbce? Odpowiadamy: najgorzéj, bo bardzo wiele charakterystycznych szczegółów, rozprowadzonych umiejętnie w powieści, nie dało się przenieść na scenę w czyn, który musi być szybkim i doraźnym. Ci też autorowie, którzy sądzą, że skoro napisali powieść dobrą, napiszą z równą łatwością dramat dobry, zawiedli się już nieraz, tak jak się pod tym względem, zawodzi pani Sand, a jak w tym wypadku O. Feuillet. Sposób pisania komedyi a powieści, całkiem jest różny i powodzenie w jedném a drugiém, zależne od całkiem innych przyczyn i czynników. Co np. w powieści wydaje się koniecznością, w utworze dramatycznym obciąża tylko akcyą i studzi ją; co w pierwszym przechodzi niespostrzeżenie, w drugim staje się fatalnym błędem. W wiecznym dramacie namiętności ludzkich, jeden (*powieściopisarz*) *analizuje przyczyny*, drugi (*dramaturg*) *ukazuje skutki;* jeden maluje człowieka z wewnątrz, drugi z zewnątrz. Powieść żyje odcieniami, szczegółami, kolorytem; dość jéj światełka, ażeby oświecić duszę człowieka; teatr przeciwnie wymaga linij stałych, postaci nakreślonych wyraziście, a ustawionych na tle *nieperspektywicznem*. „Rzadko—twierdzi Nisard—myli się dramaturg, licząc na to, że widz ciekawy jedynie *działania* osób wić już dosyć o pobudkach, bo u jednego obchodzi nas *czyn*, jako następstwo uczucia, a drugiego uczucie obchodzi tylko o tyle, o ile *prowadzi do czynu*.“ Z tych przeto przyczyn i fabryczna przeróbka „Miłości ubogiego młodzieńca,“ nie sprawiwszy tego wrażenia na scenie, jakie zdobyła sobie książka, nie może się też nazwać zbyt szczęśliwym pomysłem reżyseryi. Dodanie zaś muzyki w ustępach dramatycznych, do reszty złudzenie artystyczne zabija; przypomina ona bowiem owe ponure melodramaty, w których co słowo, to okropność, co krok, to trup. Dobrą wszakże grą p. Leszczyńskiego podtrzymuje się ten utwór spóźniony i o tyle grzeszący nieprawdą, że ów „ubogi młodzieniec,“ który jest zbankrutowanym nie z własnéj winy margrabią, niekoniecznie jest ubogim w znaczeniu, jakie do tego wyrazu przywiązujemy, i że został zbyt hojnie wyposażony przez autora, wszelkiemi nadzwyczajnemi cnotami i przymiotami. Kto tyle umié, co młody margrabia, kto jest tak pięknym fizycznie, umysłowo i moralnie, kto posiada tyle rzeczywistych talentów, i kto nareszcie tak je spożytkować umié, ten w żadnym razie nie może

się zwać „ubogim." Owszem z takich tylko powstają bogaci i założyciele rodzin możnych i potężnych.

„Biały goździk" komedya jednoaktowa Manuela jest maleńkim obrazkiem z czasów terroryzmu francuzkiego, z czasów, kiedy za lada podejrzeniem lada sans-culotty, prowadzono tak zwanych „arystokratów," (a arystokratą był wówczas każdy porządnie ubrany), na rusztowanie. Otóż konwencyonalista Vidal, typ wielce oryginalny fanatycznych przekonań, ma jedynaczkę córkę, takąż jak i ona patryotkę, ale najszlachetniejszego serca. Jeden z „emigrantów," owych według wyrażenia Vidala „potworów i wrogów kraju," wysłuchał rozmowy starca z córką. Ukrył się bowiem w oranżeryi przed chwilą, a przybył do Francyi z Londynu, narażając się na śmierć pewną, jedynie po to, żeby zerwać „goździk biały" z ogrodu hrabiny X., któréj to przyrzekł po rycersku. Ogród zaś ten wraz z zamkiem, był przed rewolucyą, jéj własnością. Młody margrabia nie wahał się życia poświęcić dla prostego kaprysu zalotnéj hrabiny, która zrobiła mu zarzut, że młodzież nie umié już kochać, a tém bardziéj poświęcać się. Jako więc dowód ma on zerwać „goździk biały" z jéj ogrodu. Biédny margrabia, wykryty przez ogrodniczka zaciekłego sansculottę we frygijskiéj czapce, wpada w straszliwe niebezpieczeństwo, ale szlachetna dziewczyna córka Vidala, ratuje go podwójną ofiarą, bo oddaniem mu „białego goździka" daru swego narzeczonego, który walczy z wrogiem Francyi i ukryciem go we własnéj alkowie potajemném. Zrobiła to poprostu dla uratowania życia szlachetnemu młodzieńcowi, o które nie wiele dbała zalotna hrabina.

W obrazku tym wielce ponętnym świeżością poetyczną i bogatą treścią, rozwijającą się bardzo naturalnie i dramatycznie, doskonale też naszkicowane dwa ówczesne obozy stronnictw politycznych, zaciekłych rewolucyonistów i ostatniéj, może najlepszéj arystokracyi. Autor należy do najulubieńszych dzisiaj we Francyi młodych poetów. Niemniéj wdzięczne miejsce zajmuje w repertuarze, komedya jednoaktowa pp. Meilhac i Halevy p. t.: „Babie Lato." Zdawałoby się, że w tak ciasnych ramach, trudno o dosadniejsze zakreślenie charakterów, a zwłaszcza o przeprowadzenie psychiczne; tymczasem udało się to wybornie, co prawda, połączonym siłom dwóch autorów. P. Briguéville kochał jak syna, swego synowca Noela i przysposobił dla niego bogatą partyą, zamyślając oddać mu cały swój majątek. Tymczasem synowiec zakochał się w powabnéj córce tapicera i zaślubił ją. Stryjaszek jest nieprzebłagany, nie chce widzieć więcéj synowca, ale milutka jego żona wkrada się pod opieką gospodyni pana Briguévilla w ustronie wiejskie, w którém tenże zamieszkał i umié go wkrótce tak oczarować, że sam gotów zdeklarować się i ożenić. Zrazu odkrywszy tajemnicę, był zmartwiony i zgniewany, ale ochłonąwszy uznał, że jeżeli w córkach tapicerów zakochać się można, to dlaczegóżby nie godziło się stwierdzić miłości ślubem?

Znakomita gra p. Rapackiego i panny Popiel, podnosi jeszcze udatność samego utworu.

Zostałoby nam jeszcze ośm drobniejszych komedyj do ocenienia, ale zaiste samo ich wyliczenie w nagłówku dla zostawienia śladu w kronice teatralnéj, najzupełniéj wystarcza. Żadna z nich nie odznacza się ani oryginalniejszym pomysłem, ani dowcipem dyalogów, ani nowemi charakterami. Są to same lichoty, zapewne dawno porzucone na ziemi francuzkiéj, na któréj się zrodziły. Dlaczego właśnie te wybrano, a nie inne? Nie chcemy badać bliżéj. Tyle przynajmniéj można rzec na ich obronę, że nie rażą plugawemi sytuacyami ani dwuznacznym i podejrzanym konceptem. Obecna reżyserya złożyła już dowody, że jest w stanie wystawić małą sztukę w dwa tygodnie, i jeśli chodzi o liczbę, otrzymała zwycięztwo zwłaszcza w stosunku do lat poprzednich; chodzi teraz jedynie o to, ażeby *jakość* odpowiadała *ilości*. Jeżeli reżyserya z dobrą wolą połączy umiejętność wyboru, może być pewną, że zjedna sobie zasłużone uznanie, czego jéj téż serdecznie życzymy.

E. Lubowski.

STATUT WARTSKI

WŁADYSŁAWA JAGIEŁŁY.

Nieodżałowany nasz Antoni Helcel, obok statutów Kazimierza Wielkiego, wydał i tak zwany statut wartski pod napisem: *Władysława Jagiełły statut wartski z r. 1420 i 1423.* Gdyby nie objaśnienia, które udzielił w przedmowie do całego zbioru wydanych przez siebie pomników [1]), sądzićby można z dopiero przywiedzionego napisu, że nad statutem wzmiankowanym obradowano dwa razy w Warcie, raz w r. 1420, drugi raz w r. 1423. Z objaśnień jednak pokazuje się, że zdaniem Helcla było, iż statut powstał z połączonéj działalności dwóch zjazdów, jednego odbytego w Krakowie w r. 1420, a drugiego w Warcie w r. 1423, i *że postanowienia jego naprzód obmyślane były* (inventa) *w Krakowie, a później w Warcie utwierdzone i ogłoszone zostały* [2]). Bardziéj rozważne roztrząśnienie rękopismów, w któ-

---

[1]) *Starodawne prawa polskiego pomniki*, Kraków. T. I. str. CCL, CCLI.

[2]) *Ibid*, str. CCLI.

rych znajdujemy zachowany ten krakowsko-wartski statut, nie pozwalają nam zgodzić się na zdanie powyższe.

Dzięki staranności samego Helcla, posiadamy dokładny opis tych rękopismów; mianowicie też spotykamy u niego szczegółowe napisy, jakiemi opatrzone są nasze statuta, a w nich niekiedy, choć w sposób dość urywkowy i niedokładny, zachowaną wiadomość o ich powstaniu.

Zobaczmy, co i jak w nich powiedziano.

Najpóźniejszy z rękopismów, pochodzący z r. 1472 lub czasu nie wiele co późniejszego, tojest rękopism III Ossolińskiego, uczy nas tylko, że statuta nasze *wydane* (edita) były przez Władysława króla na zjeździe powszechnym (*conventio generalis*) w Warcie, odprawionym w wilią Szymona i Judy i dni następnych w r. 1420 [1]). Postawiony tu rok zjazdu wartskiego wyraźną jest omyłką pisarza, zamiast roku 1423, na co mamy zgodę wszystkich innych rękopismów; natomiast ważném jest, co z niego dowiadujemy się, że zjazd w Warcie był zjazdem powszechnym, tojest całego Królestwa, i że począwszy się w wilią Szymona i Judy apostołów, trwał przez kilka, a może kilkanaście dni po sobie idących [2]).

Dwa następne rękopisma o dwadzieścia lat wcześniejsze, a zatém więcéj zbliżone do samego zjazdu, jeden Puławski II z r. 1458, drugi Działyńskiego I z r. 1455 [3]), o tyle znowu dokładniéj wyjaśniają historyą pomników prawodawczych, któremi zajmujemy się, że wskazują nie wyłącznie na Wartę, jako na jedyne miejsce ich powstania, ale i na Kraków, donosząc przytém, że *wydane* (edita) zostały w Krakowie, *a zatwierdzone* (confirmata) w Warcie, czyli że ułożone były w Krakowie, a w Warcie przyjęciem i sankcyą uświęcone.

Jeszcze więcéj szczegółów podaje rękopism Działyńskiego II z r. 1441, a zatém znowu o dziesiątek lat wcześniejszy. Najprzód dowiadujemy się z niego, że statuta w Krakowie, były tylko *obmyśla-*

---

[1]) Helcel str. XLIX. Nie wspominamy o dwóch równoczesnych rękopismach Działyńskiego (IV i III), z powodu, że stawiają napisy jeszcze więcéj skrócone. Tak rękopism III pisze tylko: *początek statutów króla Władysława w Warcie.* (Incepcio statutorum regis Vladislai in Vartha).

[2]) Że na zjeździe tym obecnymi byli panowie wielkopolscy i małopolscy, zaświadcza Długosz, który nazwiska ich po szczególe przytacza; byli niemi: Wojciech arcybiskup gnieźnieński, Zbigniew krakowski i Andrzej poznański biskupi, Krystyan z Ostrowia kasztelan krakowski, Jan z Tarnowa wojewoda krakowski, daléj wojewodowie: poznański, Sędziwój z Ostroroga, sandomirski Mikołaj z Michałowa, kaliski Mikołaj z Wszeradowa, brzeski Mateusz z Labiczyna, włocławski Jan z Kościelca i inni (XI str. 472 ed. Lipska).

[3]) Helcel str. XXXIII i XXV.

ne (inventa), że dopiero w Warcie zostały *wydane* przez prałatów i baronów całego Królestwa, a następnie *potwierdzone* przez króla i jego baronów, wreszcie, że robota około statutów w Krakowie przypadła na święta Wielkanocne [1]).

Jak się zdaje, Helcel, opierając się głównie na tym rękopiśmie, sformułował zdanie powyżéj przytoczone o powstaniu statutów wartskich, twierdząc, że w Krakowie zostały obmyślane, a w Warcie utwierdzone i ogłoszone.

Lecz przy bliższém rozważeniu podanych szczegółów, czyliż przedewszystkiém nie zwraca na siebie uwagi ta okoliczność, że czynność prawodawcza, główna, tojest obmyślenie tak licznych i ważnych rozporządzeń, jakie przedstawiają statuta wartskie, przypadła na święta wielkanocne, w ciągu których zapewnie można im było poświęcić tylko nie wiele chwil swobodnych, gdy tymczasem utwierdzeniu ich i ogłoszeniu, podług jednozgodnych doniesień, poświęcono z rzędu kilka, a nawet kilkanaście dni? Kiedy przygotowanie głównéj pracy dorywczo załatwiło się, dlaczego utwierdzenie jéj i ogłoszenie wymagało tak długiego przeciągu czasu? W każdym razie okoliczność ta zradza pewnego rodzaju powątpienie względnie zasadności przytoczonego twierdzenia Helcla.

Na szczęście posiadamy inne jeszcze rękopisma, na zasadzie których rzecz cała może być dokładniéj objaśniona; takie przynajmniéj jest zdanie nasze.

Główne tu miejsce trzyma tak zwany rękopism drugi Bandtkiego z r. 1450 [2]). Rękopism ten zamiast jednego statutu wartskiego, stanowczo odróżnia dwa akta prawodawcze, jeden krakowski z roku 1420, drugi wartski z r. 1423. Nad pierwszym kładzie napis:

> „Rozporządzenie (institutio) wydane przez oświeconego księcia pana Władysława z Bożéj łaski króla Polskiego najwyższego księcia litewskiego i t. d. w Krakowie z roku 1420 na Wielkanoc“ [3]).

---

[1]) Helcel str. XVII; ea erant inventa de anno 1420 in festo Pasche.

[2]) Posiadam dokładny odpis tego rękopismu. Przedstawia on dwie daty, tojest r. 1478 i 1450. Niewątpliwie pierwsza data jest prostą omyłką pisarską, albowiem przepisywacz, wystawiwszy ją pod statutami Kaźmierzowskiemi, tak się wyraża: *in octava Epiphanie et infra sequuntur Jura Judeorum privilegio approbata pro toto Regno Polonie* etc., poczém w jednym ciągu, bez żadnego ustępu, wypisuje przywilej żydowski, a pod nim zaraz pisze: *expliciunt jura suprascripta finita in Cracovia feria* 5 *proxima post conductum Pasche, anno domini CCCC quinquagesimo.* Zatém ta druga data, a nie pierwsza zmylona, oznacza czas, w którym rękopism był pisany. Sam Bandtkie nadawał mu wcześniejszą datę, jak 1470 (*Zbiór Rozpraw* Warsz. 1812, str. 201).

[3]) Institutio edita per Serenissimum principem dominum Wladislaum Dei gracia regem Polonie supremumque principem Lythwanye etc. in Cracovia

Po napisie tym idą same postanowienia pod dwiema rubrykami: *o zmyślonych przytoczeniach* (de fictis allegacionibus) i *o odkładaniu terminów* (de dilacionibus terminorum). Same rozporządzenia obejmują to tylko, co stanowi w wydaniach przedmiot pierwszego artykułu zwykłych wartskich ustaw.

Nad drugim statutem, który rozpoczyna się od rozporządzeń drugiego artykułu tychże wydań, a które w rękopiśmie Bandtkiego tworzą artykuł pierwszy właściwéj ustawy wartskiéj, zamieszczony taki napis:

„Statuta w Warcie ułożone.
Takie są statuta w Warcie przez prałatów i baronów całego Królestwa Polskiego, wydane pod rokiem 1423 w wilią Szym ona i Judy apostołów, i dni następnych na tymże zjeździe uroczystym całego Królestwa przez oświeconego księcia pana Władysława króla Polskiego i najwyższego księcia litewskiego i t. d. potwierdzone i aprobowane" [1]).

Objaśnienie, jakie czerpiemy z tych napisów, jest tak proste i tak pełne i przekonywające, że nie pozostawia żadnéj wątpliwości co do sposobu powstania obu ustaw. Krakowska jest dziełem samego króla, wartska tworem powszechnego zjazdu panów.

To, co rękopism Bandtkiego do oczywistości posuwa, potwierdza w zupełności inny rękopism, który kiedyś był własnością Towarzystwa przyjaciół nauk, a obecnie zachowuje się w Bibliotece Petersburgskiéj, a w którym przy pierwszym ustępie tak zwanych wartskich statutów zapisano:

„Pod rokiem Panskim 1420 statut zrobiony został w przytomności oświeconego księcia pana Władysława króla polskiego najwyższego księcia litewskiego" [2]);

przy wstępie zaś drugim:

---

de anno Domini 1420 super pascalis festum. Dodanie słów *Dei gracia* wyraźnie świadczy, że napis ten wzięty z intytulacyi oryginalnego aktu króla, piastującego władzę, co stwierdza i *etc.* pokazująco, żo w téj oryginalnéj intytulacyi były wyliczone i inne ziemie, których Władysław był księciem i panem.

[1]) Statuta in Wartha composita patent. Ista sunt statuta in Wartha per prelatos et barones tocius Regni Polonie edita sub anno nativitatis domini 1423 in vigilia Simonis et Jude apostolorum diebusque sequentibus eadem convencione solempni tocius regni celebrata per serenissimum principem dominum Wladislaum Regem Polonie supremumque principem lythwanye etc. confirmata et approbata.

[2]) Helcel str. VIII: sub anno Domini 1420 statutum factum est in presencia serenissimi principis domini Wladislai Regis Polonie supremi ducis Litwanie. Podług zdania Helola, rękopism ten należy do pierwszéj połowy XV-ego wieku.

Nota. Statuta i prawa wydane przez prałatów i panów całego Królestwa Polskiego w Warcie r. 1423 w wilią Szymona i Judy i dni następnych i zatwierdzone przez oświeconego księcia, pana Władysława króla Polskiego i najwyższego księcia Litewskiego i przyjęte [1]).

Tu zwracamy szczególniéj uwagę na sposób, jak drugi z tych napisów ułożony. Najprzód przed napisem postawiony wyraz: *nota*, w tym widocznie zamiarze, aby czytelnik dobrze odróżniał dwie ustawy jedna po drugiéj następujące i zdające się tworzyć jednę całość. Następnie w drugim napisie jeszcze dobitniéj, jak w rękopiśmie Bandtkiego, odróżnione ułożenie ustaw wartskich i ich przyjęcie, i potwierdzenie przez króla. Bandtkiego rękopism powiada, że wydane przez panów ustawy, zostały przez króla *potwierdzone i approbowane* (confirmata et approbata); rękopism zaś Towarzystwa, że zostały potwierdzone i *przyjęte* (accepta), co nastręcza myśl, że zostawszy ułożone bez jego wpływu, następnie jednak przez niego przyjęte były.

Trzeci wreszcie pomnik, stwierdzający ten sposób zapatrywania, stanowi tłumaczenie polskie statutów, sporządzone przez Świętosława z Wojcieszyna w r. 1449. Świętosław tak samo, jak rękopism Bandtkiego, oddziela uchwałę krakowską od wartskiéj i stawia nad każdą z nich oddzielny napis, a mianowicie nad uchwałą krakowską czytamy: *Rubrica.*

Ustawienie przez oświeconego księdza pana Władysława króla polskiego, najwyższego księdza litewskiego w Krakowie pod laty Narodzenia Bożego tysiąc cztyrset dwudziestego na Wielkanoc wywołane [2]).

Nad uchwałą wartską stoi napis: *Rubrica.*

„Ustawienia przez oświeconego księdza pana Włodzisława króla polskiego, najwyższego księdza litewskiego, a przez prałaty i rycerze wszego królestwa polskiego ułożone są tyto niżéj pisane, a w Warcie lata narodzenia bożego tysiąc cztyrset trzydzieści i czwartego w wigilyą Szymona i Judy apostołów na sejmie wielgém wszego królestwa wydane i zajawione" [3]).

Z téj zgodności tych dopiéro co powołanych pomników, pochodzących z jednego niemal czasu, a będących nie prostą kopią jednego z drugiego, lecz opartych na dobrych źródłach, niewątpliwe już

---

[1]) Helcel str. VIII: Statuta et jura edita per prelatos et barones tocius Regni Polonie in Warta, sub anno 1423 in vigilia Simonis et Jude, et diebus sequentibus, confirmataque per serenissimum principem dominum Wladislaum Regem Polonie supremumque ducem Litwanie et accepta.

[2]) Lelewel: *Historyczne pomniki języka i uchwał polskich i mazowieckich z wieku XIV i XV.* Wilno 1824, str. 126.

[3]) *Ibid.* stronnica 126, 127. Notuiemy że i tu jest omyłka w dacie, powinno być zamiast 1434: 1423.

powziąść można przekonanie, że ustawa krakowska i wartska były oddzielnym tworem i każda z nich stanowiła odrębną całość, a następnie że i sposób, w jaki każda z nich była przygotowaną, był różny.

Postanowienie wydane w Krakowie wyłącznie zajmowało się uregulowaniem dylacyi terminów sądowych. Ustawa krakowska, tak jak ją wydzielają wzmiankowane rękopisy, choć krótka, była przecież wielkiego praktyczego znaczenia. Ktokolwiek przeglądał dawne księgi sądowe z wieku XIV, łatwo mógł się był przekonać, że zwyczaje panujące w ówczesném sądownictwie naszém co do odkładania terminów, podkopywały cały przewód sądowy, ciągle z resztą odwoływanie się do świadectwa księży, którzy zapozwanych chorych, jakoby umierających, w dzień terminu spowiadali i zaprzysięganie niemocy, wiodły do sromotnych nadużyć i śmiałych krzywoprzysięztw. Nie mała była przeto zasługa tego, kto nadużycia te usiłował wykorzenić i tym sposobem cały proces uregulować, ułatwiając drogę do otrzymania prędszéj sprawiedliwości. Nie obszerność uchwały krakowskiéj, ale ważność jéj treści, czynią ją godną, aby w zbiorze naszych pomników prawodawczych XV wieku, zajęła osobne, jéj przynależne miejsce.

Nie tak skromne było założenie uchwał wartskich, regulowały i one w części postępowanie sądowe, głównie jednak zajęły się przejrzeniem statutów Kazimierza i zaprowadzeniem w nich ważnych zmian. Jakoż téj robocie rewizyjnéj nie jeden już poświęconym został artykuł; postanowienia jéj wypełniły trzydzieści obszernych ustępów.

Wszakże jeśli ustawa krakowska tworzy oddzielny akt prawodawczy od ustawy wartskiéj, zkądże przecież to poszło, że ona w rękopisach późniéjszych i następnych wydaniach, a mianowicie w wydaniu Łaskiego, zlaną została z ustawą wartską? Aby na zapytanie to odpowiedzieć, przedewszystkiém zwracamy uwagę na tę okoliczność, że uchwała krakowska nie była tworem powszechnego zjazdu prałatów i panów, czyli, jak go już nazywa Świętosław sejmu. Z napisów nad nią umieszczonych, jak to wskazaliśmy, wynika, że była prostém postanowieniem samego króla. Ta właśnie okoliczność zdaję się tłumaczy dalsze jéj losy. Z ksiąg sądowych pochodzących z końca wieku XIV i początku XV widzimy, że Władysław Jagiełło usiłował sobie wyrobić w przewodzie spraw kierujące, swobodne i zupełnie niezawisłe stanowisko. Od poleceń które wydawał w pojedyńczych sprawach, nie daleka była droga do ogólniejszych postanowień, a mianowicie regulujących postępowanie sądowe. Doradcy, którzy w tym względzie kierowali jego krokami, mogli mu byli właśnie tę myśl poddać, aby sam od siebie wystąpił z postanowieniem, które na pozór regulując tylko to co było w użyciu, w rzeczywistości jednak porządkowało cały wymiar sprawiedliwości i mogło posłużyć z czasem za szczebel do dalszych reform prawodawczych, wychodzących od samego króla.

Nie podpada wątpliwości, że jakkolwiek samo postanowienie krakowskie znalazło przychylny odgłos w kraju, nie mogli jednak na niego patrzéć obojętném okiem panowie, w których przekonaniu, podobne akta prawodawcze od nich powinny były wychodzić, a przynajmniéj z ich zgodą powinny były być ogłoszone.

Z téj pewno strony postanowienie krakowskie natrafiło na opozycyą, nie chciano mu przyznać mocy obowiązującéj, co tém łatwiéj było uskutecznić, że ci sami panowie, którzy składali sejm, zasiadali na wielkich wiecach sądowych i kierowali postępowaniem roczków. Postanowienie krakowskie było wydaném, ale nie wchodziło w wykonanie.

To co tu mówimy, jest wprawdzie tylko domysł, ale domysł, który stwierdzają fakta wiążące się z ustawą wartską.

Król zapragnął sam wydawać postanowienia powszechnie obowiązujące w zakresie prawa ziemskiego. Oparli się temu panowie, aby zaś oporowi temu nadać prawdziwe znaczenie i wejść czynem w wykonanie władzy prawodawczéj, pomimo sprzeciwienia się króla, zebrali się na solenny powszechny zjazd w Warcie. Król, jak donosi Długosz, nie przybył na zjazd. Pomimo tego, z niemałą znajomością rzeczy i skutecznością zajęli się przygotowaniem ważnéj i obszernéj prawodawczej pracy, na co, jak wskazują rękopisy, poświęcili dni kilkanaście, choć zapewne kierownicy zjazdu nie przybyli tam z pustymi rękami. Przygotowawszy jednak całe dzieło, potrzeba przecież było pozyskać aprobacyą króla. Dla ujęcia sobie króla panowie uważali zapewnie za właściwe przyozdobić własną pracę uchwałą krakowską i upraszać o wspólne jednéj i drugiéj zatwierdzenie. Podług wszelkiego podobieństwa do prawdy nastąpiło to w ten sposób, że uchwałę krakowską, nie tykając w niczem jéj osnowy, tak jak była poprzednio wydaną, powtórzono na czele nowo przygotowanych uchwał, oddzielając ją jakowym zewnętrznym znakiem od reszty uchwał [1]). Nareszcie i król uległ naciskowi, przyjął przygotowane przez panów ustawy i udzielił im swoję konfirmacyę, obejmując nią i poprzednie swoje postanowienie.

Zwycięztwo naturalnie było po stronie panów; panowie przez stanowcze wystąpienie weszli znowu w wykonanie części władzy prawodawczéj, i król zniewolony był zgodzić się, aby poprzednie jego prawodawcze rozporządzenie, jednostronnie wydane, przeszło przez aprobatę panów.

Tak stało się, że uchwała krakowska została złączoną z ustawami wartskiemi jako razem z niemi przez panów przyjęta i przez króla wraz z temi ustawami konfirmowana. Bliżsi wypadków przepisywacze i układacze statutów uważali za stosowne wszystkie okoli-

---

[1]) W tłumaczeniu Świętosława nad uchwałą krakowską jest napis *rubrica*, i drugi podobny napis nad uchwałami nowemi wartskiemi.

czności towarzyszące tym wypadkom, w zbiorach swoich zaznaczać; późniéjsi, nie widząc w tém żadnéj korzyści praktycznéj, pomijali je i zlewali obie uchwały w jednę całość. Ztąd poszło nareszcie, że ustawy wartskie pochłonęły w sobie zupełnie uchwałę krakowską i zatarły ślady jej oddzielnego istnienia.

Nie wynika przecież z tego, aby oddzielność obu uchwał, krakowskiéj i wartskiéj, miała także znikać w nowszych krytycznych wydaniach naszych pomników prawodawczych wieku XV. Owszem restytucya téj oddzielności powinna stanowić jednę z zalet tych wydań [1]), tém bardziéj, że wyjaśnienie stosunku, jaki między temi dwiema uchwałami zachodzi, doprowadzić musi do głębszego poglądu na działalność prawodawczą początku wieku XV, czy to przyjmie się za uzasadnione nasze domniemanie, czy zajście całe innym sposobem się wytłumaczy.

Poprzestajemy na tém. Już inni wstąpili na tę drogę [2]) i zapewnie niebawem jeszcze inni postarają się o rozjaśnienie nastręczających się pod tym względem ważnych zagadnień.

Romuald Hube.

Przegląd prassy peryodycznéj

W KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

Rok 1873.

ZORZA.

Pismo tygodniowe illustrowane dla ludu miejskiego i wiejskiego. Rok 1873. Warszawa, pod redakcyą J. K. Gregorowicza.

W chwili, kiedy prassa peryodyczna szybko rozwijać się zaczęła w Warszawie i coraz nowe organa w rozmaitych kierunkach powstawały, nie pomyślano o piśmie poświęconém wyłącznie dla ludu. Da-

---

[1]) Uważamy za stosowne dla przyszłego wydawcy uchwały krakowskiéj wspomnieć, że słowa dodane w ostatniéj edycyi do końca uchwały: *quia major est contumacia actoris quam rei*, stanowią objaśnienie późniéj dorzucone, nie ma ich w rękopisie Bandtkiego i w tłumaczeniu Świętosława. Daléj ustęp drugi powinien się zaczynać nie od *Idem* ale *Item*.

[2]) Mamy tu na myśli wyborną pracę Dr. Bobrzyńskiego: *O ustawodawstwie nieszawskiém, Kraków* 1873.

wniejsze: *Czytelnia niedzielna* i dwukrotnie odżywiany *Kmiotek*, pomimo początkowego powodzenia nie mogły się utrzymać. Wtedy, znany pisarz Józef Grajnert, od roku 1866 rozpoczął wydawnictwo „Zorzy" i główną objął jéj redakcyę. Z wielą trudnościami przyszło mu naraz do walczenia, a na czele postawić należy obojętność powszechną prawie, z małymi wyjątkami ludzi zamożniejszych dla oświaty ludowéj, nieusposobienie samego ludu do zapragnienia pokarmu duchowego; albowiem jakże mała garstka umié czytać: brak nawet zdolnych pisarzy, którzyby pojmując ducha i potrzeby wioskowego świata, umieli mu odpowiedzieć i pragnienia jego zaspokoić.

Zmiana stosunków włościańskich nic nie pomogła, bo po zerwawaniu dawniejszych ogniw wsi z dworem, na równi z uwłaszczeniem nie szła nauka, a wpływ klassy oświeceńszéj zupełnie obezwładniony został. Dobrobyt materyalny ludu widocznie się polepszył, ale liczba umiejących czytać żółwim krokiem i tak nieznacznie się powiększyła, że przybytek ten, w stosunku do dawnego stanu, wydatnéj różnicy nie stanowił.

Redaktor „Zorzy", własny *grosz wdowi* kładąc w to wydawnictwo, w szczupłém tylko kółku księży proboszczów znalazł poparcie, zarówno jak w Warszawie: tu zaś prenumerowała warstwa więcéj wykształconych, rzemieślnicy przenoszą bowiem kuryery nad pismo ludowe.

Przy usilnych staraniach wydawcy, niektóre z dyrekcyi naukowych zaprenumerowały „Zorzę" dla szkółek elementarnych, w liczbie około trzystu egzemplarzy, jednakże od roku 1871 i ten zasiłek usunięty został. Nie dopomogła nic nawet niesłychana tanność pisma (w Warszawie rsr. 1 kop. 80; na prowincyi rsr. 3 rocznie): po długiéj więc walce siedmioletniéj i walce upornéj z zawodami jakie znajdował twórca i redaktor „Zorzy", dawszy wymowne dowody poczucia obowiązków obywatelskich, pismo to odstąpić musiał w inne ręce.

Jak dalece założyciel tego pisma odpowiedział swemu zadaniu, sąd nateraz do nas nie należy, zawsze pozostawił sympatyczne wspomnienie za swe zacne usiłowania.

Nabyła „Zorzę" wspólka złożona z pp. Adama Goltza, J. K. Gregorowicza i Władysława Radwana. Główną redakcyę objął J. K. Gregorowicz i do razu z gruntu przerobił pierwiastkowy nie powiemy program, ale sposób wydawnictwa. Z formatu w czwórce przeszła w krój arkuszowy z illustracyami. Nowy redaktor przez lat wiele zżył się z ludem, poznał z blizka jego zwyczaj i obyczaj, jak wszelkie potrzeby duchowe. Badając go pilnie, ukochał zarazem i tę miłość swoją uwydatnił w *Obrazkach wiejskich* i *Zarysach wiejskich*, w których z taką prawdą i talentem całą galeryę postaci ludowych przed oczyma naszymi postawił. Żaden też z dotychczasowych pisarzów polskich, nie może być więcéj odpowiednim na redaktora pisma popularnego dla ludu jak J. K. Gregorowicz.

Widzimy to zaraz z samego układu i treści „Zorzy“ za r. 1873. Każdy numer rozpoczyna nauka na Ewangelii Świętéj oparta; daléj idą powiastki i opowiadania, których treść i wątek brane są z ludowéj społeczności miast i wiosek, wiadomości z nauk i podróży, gospodarstwo domowe, rady i wiadomości pożyteczne, drobne wiersze i rozmaitości. Przeważną częścią „Zorzy“ są życiorysy świętych i apostołów, opowiadania z Pisma Świętego nie zależnie od nauki na Ewangelii Świętéj opartéj.

Czém nowy redaktor „Zorzy“ odznaczył swe pismo, to szczęśliwym pomysłem, a dotąd nie wprowadzonym w życie, w tego rodzaju publikacyach, aby wszystkie artykuły zaczynały się i kończyły dorazu, nie przerywane były na dalsze ciągi, tak żeby każdy numer „Zorzy“ stanowił całość zupełną w sobie, nie mając łączności koniecznéj z poprzedniemi lub następującemi. Zadanie to było nie łatwe i w tak do tego szczupłych ramach (pół arkusza) podać przedmioty podnoszące myśl człowieka, nauczające, przynosząc zarazem rozrywkę z pożytkiem. Talent, dobra wola jednak i poświęcenie redakcyi podołały temu: w ciągu całego roku (od nr. 1 do 52) program pierwiastkowy utrzymanym niezmiennie został.

Z pracowników „Zorzy“ stoi na czele sam redaktor ilością artykułów w niéj drukowanych, po nim Władysław Radwan współwłaściciel tegoż pisma. Nie wymieniamy kilku innych znanych nam tylko z cyfry: A. G. S. M. i T. J.; ostatni najwięcéj artykułów podał w opowiadaniach z Pisma Świętego i w wiadomościach z nauk i podróży: nie możemy téż się wdawać w szczegółowe ich wyliczanie i ocenę. W ogóle tylko powiemy o charakterystyce „Zorzy“, jaką się uwydatniła pod redakcyą J. K. Gregorowicza.

Pisarz ten, jak wspomnieliśmy, zna lud wiejski i jego stronę duchową wybornie, dlatego téż umiał „Zorzę“ zastosować do jego potrzeb. Wiedząc, że strona religijna stanowi jeden z pierwszych żywiołów wieśniaka, odpowiedniéj treści artykułom daje pierwsze miejsce. Zdrową myśl, uczciwą radę, umiejętnie przystraja w szatę opowieści, bo jedna i druga lepiéj trafią do serca i pozostaną w pamięci, gdy się w żywym przykładzie ukażą. Tę stroną moralną podpierają: *Życiorysy poczciwych ludzi.*

Wiadomości z nauk i podróży zyskałyby może więcéj, gdyby były dobierane staranniéj i zastosowane do potrzeb umysłowych ludu, a głównie z najbliższego otoczenia naszych włościańskich rodzin. Przyzna każdy, że wieśniak z większém zajęciem czytałby o stepie Ukraińskim, jak o pustyni Sahara, lub o polowaniu na niedźwiedzia i dzikiego zwierza krajowego, aniżeli na lwy i słonie. Puszcza Białowiezka zajęłaby go więcéj niż las bambusowy. Wprawdzie czytamy opis Karpat i górali tatrzańskich, ale czemuż nie mamy opisu drogi wodnéj po Narwi, Bugu i Wiśle, którą corocznie przepływa setki flisów i orylów, a to jest dziatwa ludu, ze wszystkich wiosek w pobliżu tych rzek rozsiadłych. Małe to jednak usterki, wobec tak starannéj całości „Zorzy.“

W porównaniu z innemi artykułami dział wierszy jest bardzo szczupły i to wskazuje, że redakcya zna dobrze swoich czytelników. Lud wiejski lubi śpiew i piosnkę, jestto odzew radości jego serca, jego swobodnéj chwili, kiedy uczuwa się człowiekiem i tę radość *śpiewanką* swoją objawia, którą albo sam improwizuje, lub zasłyszaną powtarza; ale nie lubi *wierszy pisanych*, bo mu i w czytaniu nie tak łatwo idzie jak zwyczajna proza, ani się w pamięć dobrze nie wraża.

Streszczając zdanie o wydawnictwie „Zorzy“ 1873 roku, musimy powiedzieć, że redakcya odpowiedziała godnie zadaniu swemu, a kierując się gruntowną znajomością ludu i jego potrzeb obecnych, o ile szczupłe ramy pisma tego dozwalały, spełniła swoje zadanie sumiennie i pożytecznie.

Na czele piérwszego numeru tego pisma z r. 1873, gdy się pod nową redakcyą pokazało, czytamy taki przedwstęp:

„Na lekkich skrzydłach posłańcy Boże,
Niosą wam Zorzę:
W niéj słowa prawdy, pociechy, rady,
Nauki ślady.
Serca gotowe oddać swe bicie,
Za wasze życie;
Przyjmijcie onę: matki, ojcowie,
W tém prostém słowie.
Dla waszéj służby: czeladzi, kmieci,
Starszych i dzieci:
Niech wam się stanie czeladko Boża,
Świtaniem Zorza.“

Oby ta myśl piękna była stałém godłem dalszego istnienia i rozwoju tego pisma!

Lud zasługuje na sumienną pracę, aby mu przynieść z braterskiém uczuciem zdrową radę i promień czystego światła, bo ileż on skarbów duchowych nie dawał i nie daje nam ciągle? O téj jego szczodrocie nawet nie wspominamy, jakbyśmy się nie chcieli poczuwać do wdzięczności. Pieśnią ludu wykarmieni powstali poeci, jak: Brodziński, J. B. Zaleski, Teofil Lenartowicz; z podań jego brał Mickiewicz, jak Goszczyński, Pol: a twórca poetycznego języka Jan Kochanowski, harmonią i formę artystyczną do swych utworów przeniósł jedynie z pieśni ludowych, bo w literaturze piśmiennéj nie miał żadnego wzoru, oprócz wierszy, nieraz natchnionych myślą poety, ale chropawych i twardych Reja z Nagłowic.

Jeżeli słowo poetyczne ludu obudziło tylu pieśniarzy, to melodye ludowe natchnęły genialne utwory Szopena i Moniuszki.

Lud to stojąc na straży dawnego obyczaju, zachował mowę ojczystą bez skazy, jak stare zwyczaje i obrzędy, onto wytworzył język *łowiecki*, *flisowski*, *bartniczy;* w poezyi zachował prostotę słowa, pra-

wdę myśli, w przysłowiach skrystalizował narodową filozofię, jak w melodyach skarbnice narodowéj muzyki. Tysiące nieznanych improwizatorów tworzyło dumy i pieśni: tysiące muzyków improwizowało do nich wtór wypowiadający tak wymownie rzewne uczucia, ból serca zranionego, miłość opuszczonéj czy zawiedzionéj, jak skargę biednéj sieroty, jak improwizowało skoczne mazurki, kujawiaki, wyrwasy i kołomyjki.

Dziś, gdy chcemy zbadać prawdziwe cechy narodowego życia, nie w miastach, nie w pałacach ich szukać, ale pod skromną strzechą słomianą. Wielki myśliciel Hugo Kołłątaj nie daremnie zwracał uwagę w początkach naszego stulecia, na potrzebę zbierania wszelkich zabytków zachowanych pomiędzy ludem w ich pieśni, podaniach, obrzędach, zwyczajach i obyczajach i takie prace uważał za pierwszą podstawę dla badaczy historycznych.

Za te dary tak drogocenne, które otrzymujemy z rąk ludu, bądźmy wdzięcznymi, pomagajmy mu z uczuciem miłości do światła i wiedzy, aby przy nich podniósł się do poczucia w osobie godności człowieka i obywatela własnego kraju. Środkami po temu najżywotniejszemi są szkoły elementarne stosownie urządzone i pisma podobne „Zorzy," aby mogły tylko znaleźć jak największą liczbę czytelników wiejskich. Wiemy, że teraz idzie to powolnie i jak Pol mówi: „jakby po grudzie," ale przy wytrwałości i dobréj woli, w Bogu nadzieja, że dojdzie się do celu.

K. Wł. Wojcicki.

WĘDROWIEC.

Pismo obejmujące podróże i wyprawy, opisy zwyczajów i obyczajów ludów cudzoziemskich i t. d. rok 1873.

Literatury narodów zachodnich posiadają pisma naukowe, wyłącznie poświęcone badaniom geograficznym, bądź powszechnym bądź szczegółowym, do własnego kraju się odnoszącym. Stosunki polityczne i handlowo-przemysłowe, pomijając wymagania ogólnéj nauki, rodzą potrzebę takich badań. Podobne pisma u nas istnieć nie mogą a na szczegółowsze badania własnego kraju czas u nas jeszcze nie nadszedł. Obok tych naukowych organów posiada jednak każda niemal bogatsza literatura pisma czasowe temu samemu poświęcone przedmiotowi, które mają na celu obznajomienie czytelników z najnowszemi odkryciami na polu poszukiwań naukowych, rozszerzanie znajomości obcych krajów i ludów, warunków ich bytu społecznego, materyalnego i t. d. Poniekąd *Wędrowiec* u nas spełnia podobne zadanie, poniekąd tylko, ale nie zupełnie. Na tém też pierwszy nasz zarzut opieramy. W kierunku samego pisma tkwi, zdaniem naszém, pewna wadliwość. Programat nie jest dość jednolitym. Wpraw-

dzie w ciągu jedenastoletniego istnienia tego pisma po kilkakrotnie zmieniano już program. „Był czas, powiada redakcya w n. 205, gdy Wędrowiec zamieszczał same tylko podróże; chwilowo znowu powieść w nim panowała. Lecz od początku 1868 r....“ mówiąc słowami naszemi, zaprowadzono mieszany system: trochę powieści i trochę podróży. „Powieść, powiada redakcya, dla *rozrywki*, artykuły poważniejsze różnéj treści i podróże *dla korzyści umysłowéj* i t. d. Otóż przedewszystkiém ta pierwsza część przeznaczona „dla rozrywki“ wydaje nam się najniepotrzebniejszą. Program pisma nie jest jeszcze na właściwéj drodze. Dział podróży powinienby także uledz przekształceniu. Jednolitość w duchu naukowym, nie wyłączająca bynajmniéj urozmaicenia, mogłaby być osiągniętą przez dawanie artykułów z tych najrozmaitszych dziedzin, które geografia w sobie obejmuje wraz z podróżami i wyprawami.. Jestto tak rozległe pole, że wszelkie powieści i powiastki, nieraz wątpliwéj wartości, zbytecznem są na niém urozmaiceniem. Powierzchnia ziemi wraz z jéj wnętrzem, stan powierzchni pod najrozmaitszemi uważany względami, stan kuli ziemskiéj w stosunku do zjawisk meteorologicznych, przedstawiają tyle różnorodnego a ciekawego materyału, że utwory powieściopisarskiéj fantazyi prawdopodobnie nie przyczyniają się do poczytności pisma. W kierunku więc samym widzimy wadę, którąby się niewątpliwie dla dobra pisma i korzyści wydawcy usunąć dała.

Urozmaicone artykułami z dziedziny geografii, odkryć, podróży, i wyników naukowych z téj gałęzi wiedzy, pismo, nabrałoby tém samém więcéj charakteru pisma czasowego. Tego związku z postępem każdochwilowym ruchu geograficzno-podróżniczego, tego piętna współczesności nie widzimy w Wędrowcu i ten brak służy nam za podstawę do drugiego zarzutu, jaki redakcyi czynimy. Przerzućmy którykolwiek numer tego pisma np. nr. 160: mamy przed sobą podróż po Indyach, podróż po Florydzie i podróż po Tyrolu i Karyntyi. A także i powieść. Wszystko w dalszym ciągu; przerzućmy następny numer, znowu to samo. Otóż więc znaczna część pisma jest już na kilka tygodni z góry gotową, i tylko ten materyał dzieli się na cząstki tygodniowe. Podróż po Indyach ciągnie się nawet przez cały rok. W dziale więc, na podstawie którego Wędrowiec swój tytuł nosi, brak jest współczesności czyli związku bliższego z daną chwilą. Związek jest tak daleki, że w 1873 r. Wędrowiec drukuje podróż po Turyngii, pisaną przez Francuza w 1869 roku, jak to redakcya objaśnia w przypisku str. 357. Jeżeli istotnie tak jest, to rzecz trochę spóźniona. Tymczasem ile to innych w ostatnich latach poczyniono odkryć, ile to przedsiębrano wypraw, z których dałyby się bądź treściwsze bądź obszerniejsze pomieszczać wyciągi, któreby czytelnika były w stanie utrzymywać w związku z rozszerzającą się wiedzą naszéj kuli ziemskiéj. W tym dziale panuje, zdaniem naszém, zaniedbanie przynoszące szkodę naszym czytelnikom. Kilka w ciągu roku umieszczonych artykułów o podróżach np. Bakera nad białym Nilem, stanowią zaledwie setną

część tego, cobyśmy w Wędrowcu widzieć pragnęli. Brak jest daléj rozumowanéj kroniki podróży i odkryć geograficznych, któraby w streszczeniu podawała wiadomości o postępach nauki w ostatnim roku. Takie artykuły w *Le tour du Monde* p. Vivien de Saint Martin, w czasopiśmie *Aus allen Welttheilen*, niekiedy w Petermanna *Mittheilung*, w angielskiem piśmie *Ocean Highways* są nadzwyczaj poczytne, gdyż obok prawdziwéj rozrywki umysłowéj odnosi się nie mały pożytek naukowy.

W programacie Wędrowca wymienione są „opisy zwyczajów i obyczajów ludów cudzoziemskich.“ O ile one w samych nie mieszczą się podróżach, to w szpaltach pisma oddzielnie ukazują się rzadko. Życiorysy sławnych cudzoziemców należą także, jak głosi Wędrowiec, do zakresu pisma. W drugiém półroczu umieszczono dwa wizerunki wraz z drobnemi artykulikami o Tennysonie i chemiku Boussingault. Są to tak drobne wzmianki, że zakrawają raczéj na wycinek z jakiéjś encyklopedyi. Rzecz o Tennysonie napisano sucho, z podaniem kilku życiorysowych i bibliograficznych szczegółów.

W powieściach, które należałoby, zdaniem naszém, zupełnie usunąć a zastąpić nierównież ciekawszemi sprawozdaniami z dziedziny geografii, jakoś nie wiedzie się Wędrowcowi. Prześladuje go jakieś nieszczęście. Z téj wskazówki przypadkowéj wartoby skorzystać. Zaczęto drukować powieść Acharda: „Historya mężczyzny“ i po kilku numerach redakcya została zniewoloną przerwać dalszy ciąg. To znów „Gałązka Bzu“, powieść Onidy, ciągnęła się przez kilka numerów, aż oto przed ukończeniem tego opowiadania, redakcya spostrzegła, że powiastkę tę dopiero przed niespełna rokiem drukowała Gazeta Warszawska. Szczęśliwiéj się powiodło z powieścią Gerstaeckera „Plagiat“ którą istotnie dokończono, któréj poprzednio nikt jeszcze nie tłumaczył i która w każdym razie właściwszą jest do Wędrowca aniżeli w pierwszém półroczu umieszczona powieść Enaulta p. n. „Historya kobiéty”.

Powtarzając, że powieści w Wędrowcu bądź gdzieindziéj już u nas drukowane, bądź nie dokończone, bądź mniéj właściwe, bynajmniéj „dla rozrywki” służyć nie mogą, nierównie ciekawszemi pracami z dziedziny nauk przyrodzonych chcielibyśmy je miéć zastąpionemi. Takie artykuły jak „Zimowe kwiaty” „Jak rośliny się karmią“ Czyto zwierzęta“ stanowią rzecz przyjemną w czytaniu a przytém nauczającą, choćby to nawet były prace tłumaczone; właściwie zaś domyślać się należy, że to są artykuły oryginalne, bo redakcya nie uważa za stosowne objaśniać rodowodu artykułów. Wątpimy jednak, czy są oryginalne. Każdy czytelnik, co przegląda w Wędrowcu bardzo ciekawe opisy podróży przez Wereszczagina z Orenburga do Samarkandy, nie mając sobie od redakcyi danéj wskazówki co do oryginału, ani się domyśli, że ta podróż przełożoną jest z francuzkiego z Le Tour du Monde.

Piętno pisma czasowego Wędrowiec stara się utrzymać na sobie za pomocą „Nowości“ w każdym numerze pod koniec umieszczanych. Nowości zawierają kronikę literacką krajową i zagraniczną, artystyczne, z podróży, nekrologią i t. d. Niekiedy mniéj, niekiedy wicéj obszerne.

Ostatnia strona Wędrowca obejmuje stale „Zagadnienia matematyczne,“ za rozwiązanie których prenumeratorzy, biegli w matematyce, otrzymują premia w książkach treści poważnéj. „Jestto, powiada redakcya w swym głosie do czytelników, bardzo pożyteczna *rozrywka* dla młodzieży i dla starszych, którzy ze szkół jeszcze zachowali upodobanie do matematyki „nauki nauk.“ Zalecenia tego, z takim naciskiem podanego przez samą redakcyą, nie chcemy osłabiać uwagami naszemi ile że przy różnych naszych specyalnościach, w których nas Wędrowiec ćwiczył w ciągu całego roku z geografii, historyi, nauk przyrodzonych, życiorysów, powieści, już nam brakło czasu i specyalności matematycznéj. Przeczytać wszystkie podróże, jakie Wędrowiec podaje, a w końcu jeszcze zbierać sobie bibliotekę ze 104 dzieł naukowych dawanych za rozwiązanie zagadnień matematycznych, to już nad siły jednego człowieka. Specyalność musi pozostać specyalnością. Gdyby właśnie u nas już nadszedł ten czas, kiedy się praca specyalnie przygotowanych ludzi opłacać będzie i kiedy pisma znajdą swoich specyalnych czytelników, wtedybyśmy i więcéj od redakcyi wymagać mogli. Dziś jeszcze tak trudno jest pogodzić interes specyalności z interesem wydawniczym. Trzeba się przedewszystkiém starać dogodzić jak największéj liczbie czytelników, a jestto zadanie trudne, pociągające za sobą konieczność używania tych różnorodnych sposobów, celem zgromadzenia i utrzymania pewnéj niezbędnéj liczby prenumeratorów. Wobec takiego stanu umysłowości u nas, może Wędrowiec zasługuje istotnie na pochwały większe od tych, któreśmy tu w naszym głosie wypowiedzieć za stosowne uznali.

A. P.

Tygodnik Illustrowany. — Kłosy.

Oddawna obrazki na miedzi i stali ryte zdobiły i wyjaśniały najznakomitsze dzieła naukowe i literackie. W naszym wieku sztuka drzeworytnicza podniesiona do wysokiéj doskonałości zastąpiła dawne obrazki, utworzyła illustracyą, która pierwotnie zjawiła się w Anglii, upowszechniła się we Francyi i Niemczech, a dziś cała Europa a nawet wszystkie ucywilizowane kraje całego świata zasypane są illustracyami. W illustracyi najważniejszym przedmiotem jest myśl, która słowo i obrazek podaje chciwym wiedzy i wrażeń massom czytelników. Najpiękniejsze obrazki jakkolwiek łudzą i porywają twórczością i rysunkiem estetycznym, są jednak bez siły, bo nic nie wyrównywa po-

tędze samego słowa, tego cudownego objawu ducha ludzkości, téj kropelki Bóstwa wlanéj w istotę człowieka. Rycina jako dodatek do słowa jest bardzo użyteczną pomocą.

Wśród wielu pism obrazkowych, które u nas wychodzą, tylko Tygodnik illustrowany i Kłosy są prawdziwemi illustracyami, zasługują na ocenę i zyskują coraz więcéj względów publiczności. Prawie przewyższają pięknością swych drzeworytów illustracye francuzkie i niemieckie, chociaż nie dorównywają jeszcze angielskim. Tygodnik wychodzi bez przerwy od miesiąca października 1859 roku, Kłosy od lipca 1865 r. W roku zeszłym obadwa te dzienniki ubiegały się o pozyskanie sympatyi publicznéj. Sypały o ile im możność dozwalała wszystko co tylko serce i myśl zająć może. Piękność, prawda, skarby wiedzy, to główne ich kopalnie. Poezya, na nową twórczość i na nową szatę oczekuje dopókąd nie dojrzeje ludzkość, dopókąd kierunek nowy naszego wieku, jak lokomotywa na drodze swojéj nie zdruzgocze wszelkich zawad, dopókąd nie ukończy się o pierwszeństwo walka siły z prawem. W obu illustracyach poezya choć w okruszynach błyska niekiedy. Nie będziemy przypominać zamieszczonych w Tygodniku i Kłosach poezyi głośnych i zasłużonych pisarzy jak A. E. Odyńca, Lenartowicza, Ujejskiego, Duchińskiéj, Deotymy i innych, bo myśli ich kierunek, twórczość i styl znane oddawna, zawsze są te same. Szukamy najstaranniéj nowych ziarnek i chociaż rzadko, spotykamy jednak. Naprzykład *Z Capricyo*, Wiktora Gomulickiego:

Lubię wielkość, kiedy chodzi
W wieńcu z liścia dębowego;
Lubię Tassa w kapitolu,
A pod Wiedniem Sobieskiego.

CZYTELNIA LUDOWA W CIESZYNIE.

I tę lubię, która pada
W tytanowéj walce z losem,
Jak Kamoens mrąc w szpitalu,
Jak Galiléj kończą stosem.

Ale wyżéj nad nie obie,
Moje serce taką ceni,
Która żyjąc między ludźmi,
Chowa nimbus do kieszeni.

I ubrana bez pretensyi
W szary surdut mieszczanina,
O swym boskim rodowodzie
I o gwiazdach zapomina.

Jestto gust oryginalny...
Lecz na świadka wzywam Feba,
Że tych co mu poklask dadzą,
Znajdę więcéj jak potrzeba i t. d. (Kł. nr. 6).

Z przekładu sonetów Petrarki Adama Mieleszko-Maliszkiewicza jakżeż piękny a pełen prostoty czterowiersz, oddający z takim powabem myśl włoskiego poety (Kłosy, str. 215):

Śpiewa ptaszek żałośnie w gałązkach topoli,
Czy natchnioną brzmi piosnkę? czy go serce boli?
Może w gniazdku samotném tak swe żale nuci,
Po wędrownéj ptaszynie co nigdy nie wróci.

Liryczny, melodyjny wierszyk Adeli K. p. n. *Od poranku do wieczora* (Tyg. illustr. s. 67), zasługuje na powtórzenie:

Ranek lubym tchem pieszczoty
Zbiera perły z róż:
Dzień rumieni owoc złoty,
Złote kłosy zbóż.

Wieczór zléwa spokój boski,
Modłów święty znak:
Patrzy w gwiazd ogniste zgłoski,
W nieśmiertelny szlak.

W ranku życia zbierz młodzianie
Złote perły cnót:
Duch niech z plonem pracy stanie,
U wieczora wrót.

A gdy skronie szron ubieli
Długich cierpień znak,
Niech otworzą ci anieli
Nieśmiertelny szlak.

Do tych kilku wyjątków zaliczyć należy z Tygodnika illustrowanego wyższéj wartości, chociaż drobne utwory: „Kapłaństwo“ Juliana Adolfa Swięcickiego śmiało rozbijające zastój tamujący światło i moralność, „Gawędę rolniczą“, A. Dembowskiego ośmieszającą resztki próżności staroszlacheckiéj, kryjące się po kątach naszego kraju. „Wojewoda“ Ludwika Brzozowskiego jest malowniczym i zręcznie ułożonym obrazkiem, chociaż przypomina wojewodę Mickiewicza. Bajka J. T. Nowakowskiego „Wyżeł i kot“, nie bez pożytku praktycznego przynosi trafną nauczkę. W skargach swych wyżeł nie narzeka przed kotem na to że dostaje kije, ale na to że jak kura musi na dwóch łapach chodzić. Kot mu na to odpowiada:

Tak mi się widzi
Trzeba umiéć rzeczy godzić,
Bo kto się kija nie wstydzi,
Może na dwóch łapach chodzić.

Ciężkie jest życie dziennika bez powieści: powieść jest najpożądańszym pokarmem duchowym dla massy czytelników. W téj formie najłatwiéj upowszechniają się moralność, zadania filozoficzne, wiadomości historyczne, a nawet nauki ścisłe. Wszystkie illustracye za granicą przepełnione są powieściami i nasze dwie illustracye corocznie przynoszą znaczną ich zasób. W Tygodniku illustrowanym w roku 1873 oprócz opowiadań, humoresków jak „Wędrówki delegata", Komedya Jordana, Sprawa honorowa Blizińskiego i inne mniéj więcéj i ożywiające i usypiające; umieszczono dwie powieści większych rozmiarów: „Morituri" J. I. Kraszewskiego i „Na Stepie," powieść F. J. Steckiego. Morituri rozpoczął Tygodnik drukować w 1872 roku, w następnym ukończył tom drugi.

Nadzwyczajnością w naszéj literaturze jest Kraszewski. Twórczość niewyczerpana: prawie do tysiąca tomów jego powieści, pism i utworów, przyjmowała i przyjmuje publiczność nasza z współczuciem i upodobaniem. Zna on dobrze świat, ludzi i kierunek naszego wieku a lepiéj jeszcze zna nasz kraj, nasze życie, myśli, silną i słabą stronę naszego charakteru i przynosi nam zawsze to, czego nam brak, czego potrzebujemy, a Morituri są dalszym ciągiem jego zasług. Morituri, to dramat starożytnéj magnackiéj rodziny ze wszystkiemi pojęciami nie naszego wieku, z tradycyą, któréj wątek został przecięty z tém, co najszlachetniejszego przeszłość pozostawiła; dramat rodziny, która nieobliczając się ani z swemi zasobami, ani z swemi siłami jest skazana na śmierć. Powieść ta obejmuje dwa tomy: stanowi część pierwszą, po któréj ma nastąpić druga p. t. *Resurecturi.*

W powieści „Na Stepie" T. J. Stecki w obszernych ramach z szczególném zamiłowaniem przedstawia obrazy i sceny ludu i życia Ukrainy, kraju płynącego miodem i mlékiem, który matka natura szczodrze stroi w poetyczne ułudy. Pomijam rozwlekłość początku a skrócony jakby ucięty koniec powieści, lecz niepodobna zamilczéć o akcyi, jako o najważniejszym przedmiocie tego rodzaju utworów. Akcya w powieści Na Stepie jest zszyta z szczegółów tak sprzecznych, że w żadnym razie całości utworzyć nie mogła, bo nie polega ani na wypadkach do prawdy podobnych, ani na charakterach mniéj więcéj zgodnych z rzeczywistością. I tak w powieści téj mamy kniazia starego, charakter piękny, mamy jego córkę młodą i urodną kniaziównę, która milczy a pocichu kocha Ostroroga. Mamy Ostroroga, który się wychował razem z kniaziówną, a pomimo to kocha namiętnie Nację, prostą włościankę na futorze; nareszcie mamy Trestenberga syna dorobkowicza, którego bodzie urodzenie innych, który czuje niepohamowaną nienawiść ku ludziom wyższego stanowiska, zwłaszcza ku tym, którzy je

zawdzięczają urodzeniu. Jednak Trestenberg tak wysoko wykształcony, tak pięknie wychowany, że wszędzie (jak autor utrzymuje) można go było przyjąć, niebacząc na nizkie jego urodzenie. Dom więc kniazia dla niego otwarty: Trestenberg jest tam nieustannym gościem. Coraz bardziéj zbliża się do kniaziównéj. Życie umysłowe zaczyna jednoczyć tę parę. Płyną im chwile na rozkoszy jaką tworzy literatura, sztuki, jeden sposób myślenia, jeden gust. Ideały wiążą ich oboje. Cóż więc dziwnego że w takiém położeniu zakochany dorobkowicz przy zdarzonéj sposobności oświadcza się pannie o jéj rękę; lecz co innego idealizm, co innego realizm. W jednéj chwili pękają ideały, a kniaziówna spycha Trestenberga do stanowiska jakie mu urodzenie, wyraźnie *urodzenie* przeznaczyło. Scena smutna: boleść i oburzenie wielkie; lecz to nie koniec powieści. Dotąd Trestenberg pragnął z miłości mieć księżniczkę za żonę, teraz ze złości chce się koniecznie z nią ożenić. Dopomaga mu plenipotent kniazia Czubalski: za przyrzeczone znakomite wynagrodzenie snuje intrygę. Wmawia w kniaziównę Hannę, że ojcu jéj grozi majątkowy upadek i nędza, jeśli natychmiast nie znajdzie pomocy w wielkim majątku wielkiego jakiego finansisty, że taką pomoc tylko Trestenberg dać może, który pragnie jéj ręki. Kniaziówna poświęca się cnotliwie dla spokojności ojca i zdaje się że razem dla utrzymania świetności domu kniazia. Ślub natychmiast się odbył w pałacu księcia; lecz to nie koniec powieści. Młoda Trestenbergowa ma wstręt do męża i przy ojcu tylko szuka pociechy. Mąż jéj także szuka pociechy, ale za domem w miłostkach z piękną zalotnicą hrabiną Irmą Liwską. Ostroróg w Rzymie, dokąd przez rodzinę i przyjaciół wywieziony dla przerwania stosunków z włościanką Naścią. Zdarzenia coraz bardziéj wikłają się, a tu powieść zakończyć trzeba i połączyć kniaziównę z Ostrorogiem towarzyszem jéj dzieciństwa. Przeszkody nie do zwalczenia. Jakże połączyć z Ostrorogiem kniaziównę, kiedy ma męża Trestenberga? Jakże z kniaziówną połączyć Ostroroga, kiedy go moralny obowiązek łączy z Naścią. Autor postąpił tu sobie bardzo krótko: skazał na śmierć Trestenberga i Naścię. Dorobkowicze Trestenbergi nie wynagrodzili intryganta Czubalskiego jak to przyrzekli, przywiedli go do największéj nędzy z żoną i dziećmi. Czubalski z zemsty w nocy czyha na przejeżdżającego konno Trestenberga, strzela z obudwóch luf dubeltówki; kule trafiają w piersi pod sam obojczyk, łamią kości, rozrywają organa: Trestenberg padł, ani jęknął, ani drgnął. Naścia po wyjeździe Ostroroga do Rzymu schła i schła, dostała suchot i biedna istota usnęła na wieki. Teraz swobodna para Ostroróg i kniaziówna łączą się węzłem małżeńskim z radością. Hanna promienieje szczęściem: Ostroróg miłośnie spogląda na żonę. Starzy słudzy kniaziowscy płakali z radości: gromady chłopków większém weselem jaśniały, radosne krzyki rozlegały się w powietrzu, a powieść się kończy obrazem jak po upływie pewnego czasu młoda para modli się na grobie Naści, a mąż do żony w formie

Napoleońskiego stylu mówi: „To czarny punkcik na jasném mojém niebie.“

Powieść ta „Na Stepie“ budzi pewnego rodzaju odrazę z kierunku myśli, do jakiego autor szczególnie się przywiązał. Kierunek ten wskazuje jakie są siły umysłowe autora i co można po nim spodziewać się w przyszłości.

Tygodnik oprócz powieści oryginalnych, zamieszcza w dodatku powieściowym przekłady powieści Tołstoja, pani Craven, Firdusiego, Garnta, Gerstäckera.

W Kłosach dwie są powieści oryginalne J. Zacharyasiewicza: „Co ich zbliżyło“ i Maryi Szeligi „Tak się często dzieje w świecie.“ Znane są zdolności Zacharyasiewicza, który tylu powieściami wyższéj wartości przysłużył się literaturze naszéj. W utworach jego niéma akcyi gwałtownych lub silnie dramatycznych, zwykle akcya łagodna, cicha z naszego domowego ustronia wzięta, a zawsze albo zajmująca grą namiętności w dążeniu moralném, albo ciekawa przez wysnuwanie wypadków nieprzewidzianych. Obrazowanie staranne, sceny nie męczące rozwlekłością, a charaktery wybitnie narysowane.

W powieści „Co ich zbliżyło“ myślą przewodnią zapasy demokracyi z arystokracyą, pracy z pańskością-próżniaczą, bogactwa z niedostatkiem. Kochająca się para wystawioną jest ciągle że los to ich ku sobie napędza, to znowu złączonych uczuciem silném rozrywa bez litości, co się ponawia po kilka razy. Niektóre części powieści przypominają sceny z farsy „Nasze przebiegi“, w któréj do tego co wielki los wygrał cała zgraja na oślep pędzi, a od tego co przegrał, wszyscy co tchu uciekają. Wreszcie kiedy się los zmordował ciągłém rzucaniem jak piłką i panem Bazylim i panną Heleną, cnota zostaje nagrodzoną i pan Bazyli łączy się z panną Heleną na pociechę czytelnika.

W powieści Maryi Szeligi „Tak się często dzieje w świecie“ występuje pan Leon młodzieniec bardzo przystojny, ślicznie wychowany, z wielkim taktem, z wykwintnemi manierami, nawet w gruncie pełen dobrych uczuć, kwiat arystokracyi i tylko jednę grubą ma wadę. Oto urodził się prawda dobrze, ale urodził się jako Turek, któryby świat cały na swój harem chciał zamienić. Panna Marya Szeliga odsłania te wadę społeczną, a to wszystko dla poprawy młodzieży, którąby chciała do stałości zapędzić. Piękna myśl, piękne słowa, oby to nie było groch na ścianę rzucać. Początek powieści prawdziwie piękny, z wielką prostotą i czystością rozwinięty. Leon prawdziwą miłością pokochał Wandę, piękne, młodziuchne, niewinne dziewczę, które tylko co z pensyi wyszło, a kiedy się jéj p. Leon oświadcza, sama nie wié co powiedzieć. Matka dopiéro przychodzi w pomoc. Przed ślubem p. Leon jest wzorem wierności i musi być wzorem wierności, bo kiedy napotkał dawniejszego anioła swych uczuć i miał chętkę przypomnieć się jéj pamięci, to anioł ten natychmiast zapytał go: „Chcę wiedzieć, którą serce twoje prawdziwie ukochało: mnie, Amelię, Węgierkę, czy téż tę, która jest twoją narzeczoną?“ Miłość młodéj pary jaśniała do

samego ślubu, który się odbył na prowincyi ze wszystkiemi uroczystościami. Wkrótce po ślubie zgasła ta piękna lampa w sercu Leona, niéma już przywiązania ani do żony, ani do dziecka; dawny nałóg z całą siłą wrócił. Tu dopiéro rozpoczyna się rzadki chaos uczuć i wypadków, zlepek jasełek przygotowany na sprawienie ciężkiéj nudoty i zawrotu umysłowego. Część ta powieści po ślubie jest prawdziwém nieszczęściem i niepodobna odgadnąć z jakiego powodu nieszczęście to jako rozkosz w Kłosach czytelnikom podane zostało.

Reszta powieści w Kłosach to same przekłady jak: Dumasa, Reada, Geigela i innych.

Oprócz powieści jako przedmioty większego zajęcia umysłowego, Tygodnik illustrowany ogłosił komedyą Bałuckiego „Emancypowane," a Kłosy przysłowie dramatyczne Jana Chęcińskiego „W niełasce". Piérwsza dobrze znana publiczności.

Do utworów belletrystycznych jako przewodniki dla gustu czytelników i jako potrzebne objaśnienia zjawiają się niekiedy w obu illustracyach studya estetyczne. W Tygodniku najobszerniejsze są studya z literatury zagranicznéj, przez W. Marrené (Morzkowską); Tygodnik z roku zeszłego obejmuje studyum téj autorki nad samą powieścią angielską. Zebrane tu są wiadomości o najznakomitszych i wpływowych powieściopisarzach angielskich, poczynając od trzech gwiazd literatury angielskiéj: Szekspira, Walterscotta i Byrona, a kończąc na Dikensie. Z tego grona autorka jeszcze wybiera najświetniejsze talenta tegoczesne, aby z ich najświeższemi utworami zapoznać publiczność naszą. Tak wybrane powieści szczegółowo rozbiera i ocenia ich kierunek i doniosłość. Studya takie zawsze są pożyteczne, bo obznajmiają dostatecznie z najlepszemi powieściami angielskiemi, chociaż trudno, aby wszystkie tam zasady przez panią Marrené rozwijane do przekonania czytelników trafić mogły. I tak utrzymuje autorka studyów: „że powieściopisarz jeśli chce pozostać wiernym swojemu zadaniu, nie może grać roli wstydliwego niewiniątka, ani odwracać oczu od wszystkiego co razi." I zaraz po tym ustępie nadmienia: „Powieść angielska wierna kierunkowi swego pierwszego mistrza, do dziś dnia zachowała piętno czystości i zacności obyczajów bo autorowie opisują to co mają przed oczyma."

Mówiąc o Dikensie, pani Marrené twierdzi: „Przedewszystkiém dla Dikensa świat cały rozpada się na dwa rodzaje istot: na tych co mają serce i na tych które go nie mają, a pierwsi oczywiście otrzymują pierwszeństwo przed drugimi. Oprócz uczucia, autor nic nie ceni w człowieku; co więcéj rozum i wiedza zostają zawsze pobite przez uczucie. Pomimo całéj sympatyi, nie można zaprzeczyć iż kierunek podobny jest fałszywy i niebezpieczny. Świat inteligencyi nie istnieje dla Dikensa: zdobycze wiedzy, palące rozkosze człowieka co wykrada tajemnice naturze i jak drugi Prometeusz obdarza bliźnich iskrą niebieską, wszystko to jest dla niego martwe zupełnie."

Te kilka zdań odsłaniają dostatecznie stanowisko pani Marrené. Na fantazyi, na tym koniu o skrzydłach idealnych, jakżeż wysoko zaleciéć może nawet rozum najczystszego gatunku.

Zasługują tu na życzliwą wzmiankę listy p. Stefana o pismach Gabryeli, bo stanowią w części studya nad natchnieniem i pracami niepospolitego umysłu. Był czas kiedy poetyczne utwory Gabryeli rozbudzały u nas znakomity rozgłos. Nauka, myśl silna a przytém odrębna droga, jakby do ekscentryczności prowadząca, ściągała uwagę publiczną na wszystkie jéj pisma. Poezye jéj i artykuły głosiły dzienniki. Pisma Gabryeli w jednym zbiorze wyszły w roku 1861 w czterech tomach a prócz tego naukowe jéj prace oddzielnie drukowane były i dziś jeszcze jako pomoc w wychowaniu młodzieży są publikowane. Taką zdolność i takie prace należy zawsze uznać, otoczyć poszanowaniem i polecić pamięci publicznéj.

W Kłosach tego rodzaju studya mamy w artykułach krytycznych jak A. Tyszyńskiego, „Stefan Czarnecki i Pachole hetmańskie Paralella.“ rozbiory T. H. Lewestama, a przedewszystkiém Hodiego: „filozoficzne i socialne pojęcia Mickiewicza“. „Krytyka nasza w wieku XIX, klassycy: K. Brodziński“: „Panteon wiedzy ludzkiéj;“ „Cwilizacya Romańska“ i inne. Poglądy Hodiego są ciekawością Kłosów. Bystre i potężne to pojęcie żyje w świecie samych oderwanych pierwiastków. Całemi snopami jak racami rzuca zebrane co najsilniejsze myśli ze wszystkich systematów filozoficznych. I jakby uwiązanego na nitkę filozoficzną czytelnika prowadzi ostrożnie przez wszystkie zawady i przepaści, aby go postawić w miejscu dla ludzkości przeznaczoném. Rozwijając filozoficzne pojęcia Mickiewicza, przytacza następujące zdanie Claude Bernarda z prelekcyi w Collége de France. „Nie znamy nauki coby dowodniéj od fizyologii świadczyła o istnieniu duszy. Utwierdza ona niezbicie: 1-e że ślady wrażliwości, w systemie tylko nerwowym dają się nam spostrzegać: 2-gie że nerwowy ów system nie jest wrażliwym sam przez się, służy on bowiem jedynie do przynoszenia wrażeń: wrażenia zaś same wtedy dopiero stają się dla nas rzeczywistemi, gdy cóś z wewnątrz nas na ich spotkanie poślemy. Niedość jest dla całości wrażenia *widzieć*, trzeba jeszcze *patrzeć*: (to jest mieć obudzoną chęć, wolę, zdolność, czy potrzebę widzenia); niedość *słyszec*, trzeba jeszcze *słuchać*: niedość *dotykać*, trzeba czuć dotykanie. Otóż fizyologia nie może pochwycić owego wewnętrznego „*cóś*“ potrzebnego do przyjęcia i zatrzymania wrażeń.“

Wspominając o klassykach, Hodie wykazuje jak nauki przyrodnicze stanowią dla dzisiejszéj oświaty i cywilizacyi fundament najważniejszy i z tego stanowiska mówi:

„Nie tylko więc wierzymy z Bakonem i Śniadeckim, że przyrodzenie jest ciągłą szkołą sił i robót umysłowych, lecz i przekonani jesteśmy, że badanie przyrody, w skutek owéj właśnie położonéj na niém pieczęci zrzeczenia się oświaty pogańskiéj, oczyszczoném jest a raczéj być powinno ze wszelkich zgoła wpływów ujemnych lub niebez-

piecznych, jakie towarzyszą nieoględnemu obcowaniu w sferze duchowéj tak żywych z umarłemi jak i żywych z żywemi. Słowem, uprawa umiejętności przyrodniczych ma w oczach naszych powołanie drugiéj odkupienia już golgockiéj wyniosłości. Jest to góra którą usypujemy sobie pod stopy, po to ażeby na jéj szczycie stanąwszy, stać się godnemi i uzdolnionemi zdjąć z krzyża tego Chrystusa, którego starożytność rozpięła".

Myśli Hodiego oryginalne, śmiałe, styl ognisty, często tylko nuży rozciągłością nadzwyczajną, jakby się rozpływał we mgle i tęczy. Przyszłość jednak przyciągnie go bardziéj do ziemi jak roślinę, której owoce na tym padole są pożyteczne.

Z historyi oba dzienniki niewielką ilość artykułów w roku zeszłym ogłosiły. Tygodnik dawał życiorysy, opisy miejsc, pomników, oraz ustęp z zarysów obywatelskiéj działalności historyka Długosza przez M. Dubieckiego. Kłosy podawały także życiorysy: „Huculi szkic etnograficzny" przez Wł. Zawadzkiego i obszerny obraz historyczny: „Drugie cesarstwo we Francyi," napisany przez T. T. Jeża, który się ciągnął przez lat dwa. W roku zeszłym dwa wypadki do dziejów współczesnych, rozwijały się przed naszemi oczyma: Jubileusz Kopernika i Sąd Bazaina. Illustracye podawały o nich wiadomość w sposobie odkrywającym charakter każdego z tych pism. Sąd Bazaina rozwijały Kłosy ile można najobszerniéj, artykuły o Bazainie obszerne, korrespondencya z Paryża Hodiego dość długa przez dziewięć numerów prawie, w formie buletynów doniosła o najmniejszym przebiegu sprawy. Nie dość na tém, do takich artykułów Kłosy dołączały drzeworyty: wizerunek Franciszka Achillesa Bazaina marszałka Francyi, pokój Bazaina w Trianon, sąd wojenny na marszałka Francyi Bazaina w Trianon. Tygodnik, Bazaina nie uważał za przedmiot godny tak wielkiéj uwagi publicznéj. W jednym szczupłym artykule w skróceniu dał wiadomość o tym marszałku napoleońskim i nie przedstawił żadnego drzeworytu, któryby tę osobistość przypominał. Chociaż myśl każdéj illustracyi w formie przedstawienia losu Bazaina tak wielką wykazuje różnicę, to przecież na dzień jubileuszu Kopernika obie illustracye jedną myślą, jedném porwane uczuciem, rozwinęły wszystkie swe siły, aby dla massy czytelników otoczyć świetnością wielkość Kopernika i przypomnieć go jako ozdobę naszego kraju.

Kłosy pierwsze, bo w n. 399 d. 20 lutego wystąpiły na pamiątkę Jubileuszu Kopernikowego z uderzającą kompozycyą Andriollego, godną przedmiotu tak wielkiego. Na całym obszernym arkuszu stanowiącym jeden numer, przedstawiony jest Kopernik wraz z poprzednikami i następcami swemi. Począwszy od Hipparcha, Ptolomeusza, Mojżesza, Indianina Czau-Konga, aż do Bradleya, jakby na zwierciadle czterystu przeszło wieków staje w estetycznéj grupie grono astronomów a wśród nich góruje wspaniała postać Kopernika. Całość prawdziwie piękna. Znakomitą tę z układu i rysunku kompozycyę dla wygotowania jéj na dzień oznaczony rysowali starannie

czterej pracownicy artystyczni: J. Styfi, J. Holewiński, A. Żajkowski i M. Kluczewski. Drzeworyt ten kosztowny, jeszcze przed dniem Jubileuszu w odbitkach, w znacznéj liczbie wydawca Lewenthal przesłał na uroczystość do Torunia i Krakowa, a oddzielne egzemplarze ofiarował na korzyść stependyum Kopernika.

Po takim początku, Kłosy kolejno podawały drzeworyty pełne gustu i prawdy, jako to Andriolego (Portret Kopernika, Odczyt w sali ratuszowéj), Pillatego (Pomnik Kopernika w Toruniu, Odczyt w sali ratuszowéj, Nabożeństwo żałobne w kościele Ś-to Krzyzkim, Uwieńczenie posągu), Balukiewicza (Pomnik Kopernika w Warszawie), Dymitrowicza (Kościół w Frauenburgu, Druga baszta Frauenburgska). Szereg poezyi i prozy, odsłania życie, geniusz i zasługi astronoma. Z poezyi: Kantata Deotymy i Kopernik A. E. Odyńca. Następnie artykuły: Mikołaj Kopernik K. Wł. Wójcickiego, Pomniki i uroczystości przez R., Astronomia przed i po Koperniku St. Kramsztyka, Obchód czterechsetletniego jubileuszu urodzin Mikołaja Kopernika.

Tygodnik, numer 269 z dnia 22 lutego, nazwał jubileuszowym i cały poświęcił pamięci Kopernika. W tym numerze i w następnych 270, 271, 272, 273 w pięciu numerach zamieszczone drzeworyty przyjemne czynią wrażenie: Pomnik Mikołaja Kopernika w Warszawie, Mikołaj Kopernik wykłada swą naukę w obec uczonych krakowskich, kompozycye F. Sypniewskiego, Kopernik w Norymberdze, „Patrzcie! to dzieło mędrca się pali," piękna kompozycya F. Tegazza. Wizerunki razem złączone pięciu geniuszów nauki i sztuki: Ciołek, Kopernik, Śniadecki Jędrzéj, Szopen, Mickiewicz. Wizerunek w wielkim formacie Kopernika, otoczony wszystkiemi wspomnieniami, układ i rysunek F. Tegazza, Wizerunek ojca astronona Mikołaja, Posąg Mikołaja Kopernika, wykonany przez Kucharzewskiego, Uwieńczenie pomnika Kopernika, Pillatego, Wizerunek księdza Ignacego Polkowskiego promotora jubileuszu Kopernikowego, Wizerunki pięciu obywateli, stanowiących komitet dla urządzenia uroczystości jubileuszu w Toruniu, Kopernik na obserwatoryum astronomiczném w Bolonii, Obraz z żywych osób układu Lessera, przedstawiony w teatrze warszawskim. Obchód jubileuszu Kopernikowego w Toruniu, Nabożeństwo w kościele Ś-go Jana, Obchód tenże w Toruniu, Sala odczytowa, Posiedzenie publiczne akademii w Krakowie w przeddzień jubileuszu Kopernikowego. Do tych rysunków i oddzielnie rozwijają się opisy, wyjaśnienia, korespondencye, poezye. Nasze gwiazdy, poemat Deotymy, Kopernik, poemat L. Niemojewskiego, Opisy uroczystości w Warszawie, w Toruniu, w Krakowie, w Rzymie, Odczyt Jana Kowalczyka w dzień jubileuszowy, Przemówienie S. Przystańskiego z okazyi jubileuszu, „Kopernikiana" czyli materyały do pism Kopernika X. J. Polkowskiego sprawozdanie.

Samo wyliczenie drzeworytów i artykułów, najrzetelniejsze daje wyobrażenie o zapale, z jakim do jednego zawodu ubiegały się dwa pisma nasze i wskazuje, któremu z nich palmę zwycięztwa przyznać

należy. Tygodnik wzbudził dla swych prac i dążeń pewną sympatyą, kiedy przy téj sposobności, ogłosiwszy projekt utworzenia stypendyum Kopernika ze składek mu w tym celu nadsyłanych, zebrał dotąd już znaczny fundusz, bo 9000 rs. wynoszący.

Z tego porównania jasno wykazuje się, że im więcéj tysięcy prenumeratorów illustracya liczy, im do większéj massy czytelników przemawia, tém większy ma obowiązek pracować nie dla nasycenia saméj ciekawości, nie dla upojenia rozkoszą, lecz dla podnoszenia uczuć zacnych i szlachetnych i dla upowszechnienia myśli, stanowiących potęgę ludzkości.

Jeśli nie więcéj, jak powieści, to zawsze zarówno z niemi szczególne obudzają zajęcie podróże i są najmilszym pokarmem duchowym. Wędrowiec po globie ziemskim, wszędzie spotyka cuda, jako rzeczywistość, a natura przemawia do niego żywą nauką. Dostarczanie więc podróży czytelnikom, jest pożądane.

Obiedwie illustracye dość znaczną ilość podróży ogłosiły. I tak Kłosy podały: Wrażenia artystyczne z podróży Antoniego Zaleskiego, Szkice z Krymu przez Pojatę, Z podróży po zaniemeńskich stronach przez Edwarda Chłopickiego, Portugalia i Portugalczycy przez T. Skomorowskiego. Podróżnik po Portugalii przekonał się na miejscu, porównywając przeszłość z teraźniejszością, jak Portugalczycy coraz większe, a nawet nadzwyczajne czynią postępy w cywilizacyi, oświacie, moralności, w pracy i przemyśle. Zwiedził najważniejsze okolice, oglądał pamiątki historyczne, a pomiędzy innemi widział niedaleko od Mondego przy Koimbrze źródło miłości, owe źródło, przy którém wydarto życie Inezie de Castro. Woda tam tryska czysta, jak kryształ i płynąc do kanału, w nim się czerwieni od pyłku kwiatów nad brzegiem rosnących, a lud wskazuje, że to jeszcze krople krwi Inezy.

W Tygodniku napotykamy: Listy z podróży po kraju przez F. Suryma, Szkice z Kaukazu przez R. Klonowskiego, Wspomnienia z podróży po Kaukazie przez W. Podlewskiego, Obrazki z wysp Żeglarskich przez Jana Kubarego. Kubary to Warszawianin, którego los i wypadki zapędziły na drugą półkulę na Ocean Spokojny za Australią, gdzie wśród wysp Polinezyi, opisuje co widział, i czego sam był uczestnikiem. Nowy zupełnie polski podróżnik powiększa grupę znanych, jakiemi są: Professor Antoni Waga, który niedawno zwiedzał dla badań zoologicznych Algieryą, Egipt i inne, D-r Dybowski zoolog badający okolice Bajkału, Jelski w Ameryce w Gujannie, D-r Syrski w austryackiéj wyprawie naukowéj, hr. Adam Sierakowski z okolic Atlasu, przeniósł się teraz na Jawę, Sygurd Wiśniowski w Australii i inni.

Z dziedziny nauk przyrodniczych, zwracają uwagę artykuły w Tygodniku: W. Niewiadomskiego: Szkice z państwa flory, zdolności umysłowe zwierząt.

W Kłosach: Życie kwiatów, opowiedziane przez Kazimierza Langiego. I wszystkie bez wyjątku kroniki naukowe przez S. Skomorowskiego.

Wielką zasługę pism illustrowanych stanowi ten ogrom wiadomości, zbieranych ciągle z życia chwili bieżącéj. Zdarzenia miejscowe podawane są w formie przeglądów i kronik. Zdarzenia z innych krajów przychodzą przez korespondencye i kroniki zagraniczne.

Kłosy, mają ciągłe korespondencye z Wiednia, z Petersburga, z Berlina, z Drezna, z Włoch, z Odessy, z Szwajcaryi, z Paryża, oprócz stałych korrespondentów ze Lwowa, z Krakowa, z Poznania. Tygodnik również otrzymuje korrespondencye i oprócz tego z Ameryki.

Z pośród wszystkich korrespondentów dziwi, jak zwykle swoją nieustanną pracą, wyborem przedmiotów i malowniczém przedstawieniem J. I. Kraszewski. Do Kłosów ciągle posyła listy, do Tygodnika Kronikę Zagraniczną. Hodie do Kłosów, a Jeż i Horain do Tygodnika Illustrowanego dostarczają nie mało zajmujących wiadomości.

U nas każdy ruch z literatury, nauk, teatru, sztuk, przemysłu, handlu, podają oddzielne przeglądy i sprawozdania; zaś wiadomości miejscowe, społeczne, brukowe, peryodycznie przynosi i przynosić musi w Tygodniku Illustrowanym, Kronika Tygodniowa, a w Kłosach pokłosie. Żal przejmuje na widok pracy pisarza, jak pragnie z niczego świat swój stworzyć, jak musi, chcąc nie chcąc, powtarzać to samo, czém już obadwa kuryerki i gazety codziennie publiczność zasypały. Improwizacye tego gatunku najwięcéj szkody przynoszą piśmiennictwu, myśl niknie w ogromie wyrazów, wodnisty styl coraz bardziéj zalewa nas.

Pomijamy inne szczegóły obu illustracyj, bo w téj krótkiéj i pobieżnéj wzmiance, objąć ich niepodobna. Lecz nie można pominąć najważniejszego przedmiotu, jakim są w tych dziennikach drzeworyty. Kompozycye artystyczne przez tak wydoskonaloną już sztukę drzeworytniczą upowszechniane rysunkiem wyższym, całością estetyczną, budzą ogólne wrażenie i massę czytelników pociągają do poznania myśli, rycin i rozbioru scen i widoków. Tu dopiero wyjaśnienia, artykuły, wykłady naukowe, stanowią popularne nawet wyższe kształcenie się, a środek ten tém skuteczniejszy, im bardziéj dobór artykułów i rycin prowadzi do zbogacenia wiedzy i do samodzielnego myślenia.

Obiedwie illustracye w roku zeszłym, ozdobiły się mnóstwem bardzo pięknych drzeworytów. Wybór, wykonanie i odbicie rycin w Kłosach nic do życzenia nie pozostawia. Prawie to samo przyznać należy Tygodnikowi. Po największéj części są to utwory najcelniejszych naszych artystów, a ich ilość wskaże przewagę jednego pisma nad drugiém. I tak.

W Kłosach: mamy Matejki: Wejście do cerkwi wołoskiéj we Lwowie, Iwo Odrowąż (z pieczęci); w Tygodniku, Śmierć Wapowskiego, Jakób Siemiński (z pieczęci).

Grottgera w Kłosach, Trzej Królowie, Baranek, motylek i ona, Zmrok, Wojna.

W Tygodniku: Pielgrzymi, Pastuszki przy ogniu.

Andriolego niewyczerpanego w pomysłach, dziwiącego oryginalnym, śmiałym i pełnym wdzięku rysunkiem, Kłosy posiadają znaczną ilość utworów. Z tych uderza charakterem i pięknością drzeworyt: Czy też przyjdzie? „W szkole“ zajmująca jest całość, chociaż może główka nauczyciela jest przypomnieniem główki ze Święconego. W Tygodniku wydatniejsze kompozycye Andriollego są: Nowy Rok, Grajek Wioskowy, Bez gniazda, Wyrwidąb, Piferaro, Saltarella.

Utwory Pilatego znajdują się w obu dziennikach, Kłosy jednak, oprócz tego, mają nadzwyczaj piękne reprodukcye: Rodakowskiego: Wojna Kokosza, — Łuszczkiewicza: Dar Królewski, — J. Brandta: Na rekonesansie,—Piotrowskiego: Polowanie na kaczki. Z kraju naszego piękne są widoki i pamiątki Kurellego: Ulica w małém miasteczku na Mazowszu,— Sawickiego: Dworek Syrokomli w Załuczu,— Rurawskiego: Zamek Krasiczyn i oddrzwi w Krasiczynie,—Kamińskiego: Koń hussarski i reprodukcye rzeźb, osobliwie płaskorzeźby Święcickiego: Niemen i Wilia.

Tygodnik przedstawia drzeworyty z kompozycyi innych artystów: Tegazza: Scena z dramatu Wiktora Hugo: Marion Delorme, Piccarda: Uczta Wallenroda i Tabun Koni, Brodowskiego: Przy studni, Zdobycie bunczuka,— Brochockiego: Powrót z pola,—Kozarskiego: Były zamek książąt Mazowieckich w Płocku, Morskie oko z fotografii Szuberta.

Oprócz tak wielkiéj ilości drzeworytów z kompozycyi naszych artystów, obadwa te dzienniki posiadają jeszcze niemały zbiór reprodukcyi obrazów zagranicznych takich, którym wysoką wartość świat artystyczny przyznał.

Wystawa wiedeńska w roku zeszłym ze wszystkiemi szczegółami, jak najobszerniéj w opisach i rycinach przedstawianą była tak, że niemający sposobności widzieć w owym czasie Wiednia, mieli z pism obu zupełny obraz tego zjawiska cywilizacyi naszéj.

Obiedwie illustracye zasługują się dobrze publiczności naszéj. Każda utrzymuje swój odrębny charakter. Kłosy są pismem pełném elegancyi, świeżości posuniętéj do wymuskania. Lekkość, nowość, obejmująca świat cały ze wszystkiemi jego prądami, to pragnienie Kłosów. Tygodnik illustrowany jest pismem poważném. Każdy krok stawia powoli z namysłem i rozwagą. Zajęty również całym światem, całą ludzkością, myśl swą bardziéj zwraca na strzechę rodzinną, któréj szczęścia przedewszystkiém od początku zjawienia się swego pragnął i pragnie.

A. J. S.

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Historya krytyczna Ballady, przez Asselineau. — „Trzydzieści sześć ballad“ Teodora Banwilla.—„Do matki.“—„Do Wiktora Hugo.“—„Listy nieznajomej“ wydane z powodu „Listów do nieznajomej“ Merimego.—„Historya powszechna teatru“ Alfonsa Royer.—Poezye perskie rozgłoszone poraz pierwszy w Europie przez Aleksandra Chodźkę. Posłannik Boży. Śmierć Mohameda. Głowa Husseina. Farsy perskie: Tamecha.—Ernest Beulé, zmarły historyk-archeolog.—Ministeryum angielskie pod prezydencyą Dizraelego, złożone z samych literatów.—O literaturze w Stanach Zjednoczonych Ameryki, rozprawa p. Leo Quesnel.—Zarzuty przeciw pani Beecher-Stowe, Zemsta Europy za Bajrona.—Opera „Florentczyk,“ konkursowe libretto p. Saint-Georges, kompozycya muzyczna p. Lenepfeu.—Czwarty tom korrespondencyi Lamartina.—Les chants du droit et de l'epée, Oktawiusza Ducros.—Zebranie naukowych towarzystw francuzkich w Sorbonie.—Publiczne posiedzenie Towarzystwa geograficznego: Liwingstone, Francis Garnier, Billy.—Klub alpejski.—Historya Henryka IV, p. Lescure.—Wilhelm Kaulbach.—Zapowiedziane przyjęcie Aleksandra Dumas'a do Akademii.—Murillo, Guizota.

Wspominaliśmy już nieraz o tak zwanych *parnasistach* francuzkich, którzy wzięli sobie za cel uprawiać w poezyi wytworną formę. Są oni częstokroć przedmiotem szyderczych pocisków; krytyka zarzuca im, że niekiedy gotowi dla formy poświęcić rzecz i ducha. W liczbie parnasistów napotkać można zapewne i takich; niesłusznie byłoby jednak rozciągnąć ten zarzut do całéj młodéj szkoły, w któréj świecą imiona Coppego, Banvilla, Lecomte de Lisle. Forma zresztą lubo nie jest wszystkiém w poezyi, wiele w niéj jednak znaczy: geniuszom wolno kruszyć przyjęte prawidła i z nieskończoności wydobywać nowe kształty; tym zaś, których siła twórcza nie sięga tak wysoko, przystało uprawiać formę, pielęgnować z miłością język i doprowadzać go do

coraz wyższéj harmonii. Niegodzi się więc lekceważyć wysileń parnasistów.

Jeden z nich Teodor Banville wydał niedawno zbiór złożony z trzydziestu sześciu ballad, wyśpiewanych według wzorów Willona i innych poetów XIV wieku. Przez balladę autor rozumie odrębny rodzaj poezyi, stworzony geniuszem francuzkim, rodzaj zagrzebany oddawna w zupełnéj niepamięci. Ballada, jaką dali nam poznać niemcy w czasach romantycznego odrodzenia, przyjęła tylko imię od ballady francuzkiéj, lecz w duchu nie ma z nią najmniejszéj łączności.

Zbiorek Banvilla poprzedził znany badacz literatury Asselineau, krytyczną historyą ballady. Ciekawa to rozprawa, pokazuje nam bowiem, że Francya ma swoją rodzimą poezyą, tlejącą dziś jeszcze pod zasypami, jakie wiatr przynosił jéj przez wieki od klassycznéj ziemi Hellenów i skrystalizowanego Rzymu.

Zobaczmy jak znakomity krytyk określa pobudki twórczych natchnień, nadające właściwą cechę literaturze francuzkiéj.

„Geniusz francuzki wytryska z dwóch źródeł: jedném z nich wyobraźnia, drugiém czysty rozum. W całym biegu literatury widoczne zatem objawy: albo geniusz poetyczny wybiega w nieskończoność, albo duch rozumowania przemaga nad twórczém natchnieniem. Epoki *artystyczne* tworzą nowe formy, wydobywają z lir dźwięki nieznane, dostrajają język do nowéj harmonii. Epoki *rozumowania* wielkie także miłością dobra i prawdy, wykazują, uczą, rozpowszechniają wzniosłe myśli, sprowadzając je z wyżyn niedostępnych częstokroć dla ogółu.“

Kiedy w pierwszéj połowie tego wieku, poeci zapragnęli przywrócić mowie poetycznéj dawny blask i dawną energią, jakie zatraciła w paśmie stupięćdziesięcioletnich walk i rozpraw, sięgnęli myślą w czasy świetnych liryków z epoki odrodzenia. I wystąpiły na widownię zapomniane dawno sonety, triolety i ronda: sama tylko ballada pozostała w ukryciu.

Zakwitnął wprawdzie pomiędzy rokiem 1820 a 1835 rodzaj poezyi przyjęty od Niemców, nazywany przez nich balladą. I pojawiły się na złomach skał ponure zamczyska oświecone blaskiem księżycowym; z głębi tajemniczych jezior wypłynęły zaklęte Elfy; kościotrupy rycerzy w zbrojach, ze spuszczoną przyłbicą cwałowały na piekielnych rumakach; Ondiny ukryte w sitowiu czychały na niewiernych kochanków; myśliwcy zbiegali leśne knieje budząc echa dźwiękiem zaklętych trąbek: słowem, roje cmentarnych widziadeł i upiorów, odżyły w niemieckiéj balladzie. Nie zliczyćby tych ballad najrozmaitszych treścią i wykonaniem. Tu dziewczyna przędzie na kołowrotku; tam siwy rycerz płacze nad trupem poległego syna; tu znów duchy świętokradzców biesiadują na zgliszczach zapadłego klasztoru; tam błędny ognik wprowadza wędrowca na moczary. Dziwny ten rodzaj przypadł do smaku artystom: malarze odtwarzali go pędzlem, rysownicy kredą lub pa-

stelami; nie było obrazu bez feudalnéj wieży i widma; nie było nawet utworu muzycznego bez podźwięku zaklętych dzwonów lub czarodziejskiéj trąbki. Otóż ci wszyscy artyści, tak wówczas zakochani w balladzie, nie domyślali się, że czczą samozwańca wdzierającego się w prawa rzeczywistéj ballady, pokrytéj oddawna zapomnieniem.

Sprostowawszy upowszechniony błąd jakoby niemieckie *Lieder* Getego, *Gedichte* Bürgera lub Szyllerowskie *Gesänge* miały prawo zwać się balladami, autor określa prawdziwe znaczenie tego rodzaju poezyi, który wzrósł i zakwitł na gruncie czysto francuzkim, zarówno jak rondo i triolet: wszystko to dziatwa starych truwerów. Sam nawet sonet, wsławiony przez Petrarkę, zrodził się we Francyi, zkąd przewędrował za Alpy.

Pierwszy traktat o poetyce, drukowany po francuzku w roku 1493, dzieło Henryka de Croy oznacza ściśle prawidła ballady, i określa trzy jéj rodzaje, zmieniające się według liczby sylab i zwrotek. Pomijamy szczegóły nie mające dla nas znaczenia, dodamy tylko, że ballada stawia niesłychane trudności, wymaga bowiem równie jak triolet i sonet ciągłego powrotu jednychże sylab, co z powodu szerszych jéj rozmiarów przychodzi jeszcze trudniéj. Wyobraźmy sobie w trzydziestu pięciu wierszach powtarzane cztery tylko rymy i to w odmiennym porządku. Istna to łamigłówka, a przecież pełna wdzięku i harmonii.

Kto stworzył balladę niewiadomo. Żaden z erudytów nie mówi o tém. W dawnych czasach znano utwory, ale nie znano twórców. Stare katedry i stare poemata są dziełem wszystkich, dziełem wieku, który je wydał.

Tak sonety, jak ronda i ballady tworzone były wraz z muzyką do śpiewu i do tańca. W starych kronikach czytamy, że sonet Oliviera Magui tak przypadł do smaku Henrykowi II, iż wszyscy lutniści ówcześni, podkładali go pod muzykę i śpiewali przy poklasku całego dworu. Według uznania erudytów, triolety śpiewane bywały na trzy głosy, zkąd tak je nazwano. Co zaś do ballady, sama jéj nazwa świadczy, że służyła głównie do tańca, *balowania, baletu.* Po hiszpańsku i prowansalsku: tańczyć, *ballar.*

Ballada o dwa wieki poprzedziła sonet; wiek XIV był wiekiem najbujniejszego jéj rozkwitu. Wszyscy poeci tworzyli podówczas ballady. Język ówczesny mniéj wyrobiony, a tém samém swobodniejszy od dzisiejszego, ułatwiał powtarzanie końcówek. Pozostały z tego wieku zbiorowe rękopisma pod tytułem: *Stu ballad.* Postanowiono nagrody konkursowe; twórca najlepszéj ballady otrzymywał wieniec wawrzynowy, albo kapelusz z pióropuszem. U wielu starych ballad, zwanych królewskiemi, ostatnia zwrotka tworzy epilog, poświęcony książęciu lub królowi. Mowa tu o królu uwieńczonym nie złotą, ale wawrzynową koroną.

Ścieśniona stałą formą, ballada zato pod względem pomysłu i tonu, używała wielkiéj swobody. Poeci wyrażali nią wszelkie uczucia: tworzyli według woli, to wesołe, to smętne, to pompatyczne, to rycerskie, to miłosne ballady; niektóre potrząsali satyryczną solą dowcipu; niektóre podnosili do wzniosłéj prostoty religijnych kantyczek. Teofil Gautier porównywa niektóre z tych ostatnich do malowideł na oknach gotyckich tumów, lub do wytwornych miniatur na starożytnych mszałach.

W wieku XIV geniusz poetyczny wysoko wybujał we Francyi. Poezya dotąd bezosobista poczęła skupiać się i wyrażać w jednostkach: występują z cieniu imiona, tworzą się rodzaje, duch narodowy przybiera różnostronne formy. Słowem, poezya staje się sztuką, przestaje posługiwać jak dotąd kronikarzom i zaczyna żyć własném życiem. W owym to wieku przeistoczenia pojęć, kronikarz Kreton, który opisywał wierszem zapasy dwóch domów Yorku i Lancastru, nagle jakby tknięty wyrzutem zamienia rym na prozę, aby jak mówi, nie przekrzywiać języka swoich bohatérów, dostrajając go do rymu.

Odtąd proza panuje wyłącznie w historyi, odtąd poezya oswabadza się z więzów. Ustępują epopee rycerskie, *chansons de gestes*, ballada rozkwita pełnym blaskiem; świecą w niéj imiona Marota, Willona, Froisarta i Karola z Orleanu.

Rzecz dziwna, że wiek XVI, tak wysoko artystyczny, sławny wiek Ronsarda porzucił zupełnie balladę. Poeci ówcześni rozmiłowani w odrodzonéj starożytności poczęli dostrajać lutnie swoje w takt lutni Horacego, Anakreona i Safony. Był to czas tryumfu dla ody i elegii, probowano sił w bohatérskich nawet rapsodach. Rodzaj staro-francuzki poszedł w zupełną poniewierkę. Sonet utrzymał się tylko, jako sprowadzony z Włoch, dokąd zawędrował niegdyś z Francyi.

Vaquelin, autor *sztuki rymotwórczéj* takie przepisuje prawidła nowéj szkole:

Stare pieśni królewskie porzucić wypada,
Niech precz ustąpi rondo, precz idzie ballada;
Niech nigdy innych wzorów twa muza nie szuka
Nad te, jakie dlań kreśli *rymotwórcza sztuka*.

Ballada zbudziła się jeszcze w XVII wieku pod piórem Voitura i Sarazina. Z pomiędzy poetów, ostatni Lafontaine probował jéj równie jak tryoletu; odtąd znikła bez wieści.

Sztuka przeszła wyłącznie do teatru. Poezya stała się dydaktyczną, rozbierała tezy filozoficzne i religijne.

W skutek niepojętego obłędu opiewano takie nawet przedmioty, jak trzy królestwa natury, szczepienie ospy, ogrodnictwo, taktykę wojskową i t. p. Asselineau pomiędzy innemi przytacza poemat opiewający systemat Kopernika. Dotąd nie słyszeliśmy o nim.

Po stu pięćdziesięciu latach zupełnego upadku poezyi, która musiała utonąć w tym steku pamfletów rymowanych, naukowych rozpraw wierszem i przesadnych panegiryków, zabrzmiała nakoniec pobudka, zwiastując nowe odrodzenie. Geniusz poetyczny rozwinął skrzydła na hasło Wiktora Hugo i zwolenników nowéj szkoły. „Przemówiła dusza Francyi—mówi krytyk—ale język zubożały, ścieśniony, wysuszony, nie zaraz odzyskał straconą moc i dawną giętkość. Nikt nie pomyślał wówczas o wskrzeszeniu ballady.“

Teodor Banville ośmielił się nakoniec poprobować sił w tym rodzaju. Z trzydziestu sześciu jego ballad przytaczamy dwie w parafrazie; dosłowny przekład przy trudnych więzach ballady, byłby zupełném niepodobieństwem.

Do matki.

Pieśni pragnę—jam pieśni złakniony.
Dniem i nocą o niéj śnię i marzę,
Choć grudniowe zmroziły mnie szrony,
Zwilżam usta w wonnym jéj nektarze;
Pieśń od Boga spłynęła mi w darze,
Gdym słoneczkiem rozradowan złotém,
Pieścił ucho skowronków szczebiotem:
Ona rosy upadła kropelką
W serce moje—kiedy? ach wiész o tém,
Słodka matko, droga karmicielko!

Oddam chętnie za wawrzyn zielony
Wszystką rozkosz w mego życia czarze;
Niechaj tylko srebrnobrzmiące tony
Nie umilkną w méj złotéj cytarze!
Pomnę, w natchnień południowym żarze,
Gdy mnie pegaz rączym niósł polotem,
Piorunowym ugodzony grotem
Czułem w piersi mojéj ranę wielką;
Krew z niéj wrząca biegła: ty wiész o tém,
Matko moja, droga karmicielko!

Dziś ogarniam przestwór niezmierzony;
Biję w skrzydła po modrym obszarze,
Mam klejnoty, berła i korony,
Jakich wielcy nie znają mocarze!
Czcze ułudy świata za nic ważę,
Dość gdy twórczym uposażon młotem
W méj kuźnicy, z krwawym czoła potem,
Umiem złoto w formę przekuć wszelką!
Ach! to rozkosz, to czary! wiész o tém
Matko moja, droga karmicielko!

* * *

Matko, syn twój w sieci niezłowiony
Zlepił gniazdko u strzechy rodzonéj;
Jak jaskółka pod domową belką;
Wiatr w bezdroża nie pchnął go szalony,
Ty wiész o tém, matko karmicielko!

Do Wiktora Hugo.

W wieszcze struny kto uderzy,
Słońce w mętnéj tonie mgle,
Pieśń zawziętych ma szermierzy;
Lecz w posuchę śpiewać źle!
Rój lirników mknie z ochotą,
Dzwonią fletnie tu i tam,
A na wyspie lirę złotą
Ojciec pieśni dzierży sam!

Szczyt się góry stromo jeży,
Droga ślizka jak po szkle;
Ten wyrąbać chce tór świéży,
Drugi w przeszłość oczy śle.
Szkolne więzy kark mu gniotą,
Olimpijski rozwarł kram,
A na wyspie lirę złotą
Ojciec pieśni dzierży sam!

Inni hasło grzmią z moździerzy
Bo na przyszłych smugów tle,
Przeczuwają snopek świeży;
W ledwie wzrosłém trawki zdźble,
Z nowych kwiatów wieńce plotą,
Nowe prawa głoszą nam,
A na wyspie lirę złotą
Ojciec pieśni dzierży sam!

Listy do nieznajomej Merimego, z których zdawaliśmy sprawę w marcowéj kronice naszéj, żywo poruszyły umysły Francuzów. Akademia która zrazu zbyła pogardliwém milczeniem rzucane jéj pociski, odpowiedziała na nie ostrém piórem jednego z członków, p. Cuvillier Fleury. Ta chłosta wymierzoną była nie tyle przeciwko zmarłemu, jak raczéj przeciwko saméjże *nieznajomej*, która z trudnym do pojęcia cynizmem pozwoliła na ową skandaliczną publikacyą.

Osobistość téj nieznajoméj, wiadoma pewnie małéj liczbie wybranych, pozostała dla ogółu zagadkowym sfinksem. Mówią że na akademickiém posiedzeniu, kiedy St. Réné Taillandier zajmował miejsce Merimego, jeden z akademików ukazał księciu Aumale zakwefioną kobietę w sali i szepnął mu: oto „Nieznajoma!“ Jeśli tak jest w rzeczy saméj, trzeba podziwiać dyskrecyą akademików. Tajemnica została między nimi.

Wróciliśmy do tego przedmiotu, w skutek nowego, tylko co wydanego dziełka pod tytułem: *Listy nieznajoméj*. Bezimienny autor bronią sarkazmu chłoszcze bez litości trzydziestoletnią przyjaciółkę akademika. Bylibyśmy w rzeczy saméj bardzo zakłopotani, gdyby nam przyszło tłumaczyć na polski język te złośliwe półsłówka, któremi kole do żywego *nieznajomą*. Poprzestaniemy tu na bardzo pobieżném określeniu broszury, zaprawnéj już nie solą attycką, ale pieprzem tureckim.

„Czytając *Listy do nieznajoméj*—mówi autor—sądziliśmy zrazu że ta kobieta jest prostym mytem, że listy pisane do niéj, są autobiograficznemi notatkami. Byliśmy w błędzie. Owóż w 328 liście czytamy te słowa: „Jestem chory. Uporządkowałem bibliotekę, zachowałem dla ciebie *listy pani de Sevigné w dwunastu tomach.* Odeszlę ci je natychmiast skoro powrócę do Paryża.“

„Słowa tę—mówi autor—były dla niego błyskawicą. Trzy lata temu po komunie, szukając swoich rękopismów zatraconych podczas pogorzeli, przerzucał kramik jakiegoś tandeciarza. Tam, pomiędzy stosem połamanych krzeseł i innych gratów, znalazł kilkanaście obwiązanych paczek z napisem: *Listy pani de Sevigné.* Zostawił je na miejscu, zajęty poszukiwaniem własnéj straty”.

Wpadłszy na domysł że w tych paczkach kryją się *listy nieznajoméj*, po trzech latach, pospiesza znów do budki tandeciarza; znajduje dwie czy trzy paczki: reszta poszła na pastwę szczurów lub pobutwiała od wilgoci!

Dwadzieścia ocalonych nibyto listów składa wydany świeżo tomik. W pierwszym z nich *nieznajoma* ośmnastoletnia wtedy panienka, opowiada, jak się zakradła do biblioteki ojca chrzestnego, który czuwa nad nią, istny Cerber, jak wydobyła: *Teatr Klary Gazul*, jak ją zszedł z nienacka pobożny kuzynek, jak ją surowo zgromił mówiąc, że autor jest wierutnym łotrem, poganinem, że ktokolwiek go czyta, wystawia duszę własną na zatracenie.

Słowa kuzynka tak silnie oddziałały na umysł panienki, iż w ciągu kilku dni odczytała wszystko cokolwiek utworzył autor. Czytanie to tak rozkołysało młodą woybraźnię, że napisała list do owego strasznego poganina, oświadczając iż pragnie zostać jego aniołem-stróżem i wyrwać go z sideł szatańskich.

Taki był początek owéj trzydziestoletniéj korrespondencyi, i owéj przyjaźni która miała przetrwać aż do deski grobowéj. W krótce młoda panienka, owiana zimném tchnieniem korrespondenta swego,

zwija anielskie skrzydła, i przemawia jak on cynicznym tonem o miłości i o małżeństwie. Oto ustęp z czwartego listu:

„Dziś, kiedy wymyślono drogi żelazne i filozofią pozytywną, słusznie usunięto wszelkie preliminarya i rycerskie próby. W miłości jak we wszystkiem: *Time is mony*. Takie dzisiejsze hasło!

Czasy Tyrsysów i Fillid, Rolandów i Tankredów, minęły bezpowrotnie. Kto dziś przypina do hełmu gałązkę zieloną, jak to niegdyś bywało? W owych szczęśliwych czasach, młoda para przez dwa lata skromnie spuszczała oczy: przez drugie dwa lata mówiła do siebie: „ dzień dobry"! przez lat trzy przekomarzała się nawzajem. Po pierwszém miłosném wyznaniu, kochanek puszczał się na daleką wędrówkę:

Ach okrutna! by z twéj dłoni
Jeden marny zyskać kwiąt,
Jam z wichrami wciąż w pogoni
W zdłuż i w poprzecz zdeptał świat!

„Luba płaciła trud kwiatem, niekiedy pocałunkiem. Wówczas zaczynały się próby:

Jedzie młodzian zakochany,
Ostrogami konia bodzie;
Jedzie w chłodzie i o głodzie
Gdzieś w daleki kraj nieznany.
Skoro trąba grzmi na boje
Wali mieczem, włócznią błyska,
Sieje na pobojowiska
Posiekane ciało swoje.
Na pustyniach gdzieś Afryki
Ręka w ziemi tkwi głęboko,
Noga w lasach Ameryki,
W morzach greckich leży oko.
Walczy długo i zaszczytnie
I powraca w ojców progi,
Choć na ciele tak ubogi,
Lecz zielony bluszcz mu kwitnie.
Znikło wreszcie serce lubéj,
Zniewolone taką chwałą:
I po ślubie pełna chluby
Co z kochanka pozostało!

„Ja nie żądam od ciebie takich prób *Caro mio*—dodaje *nieznajoma;*—zbyt one sprzeczne ze spokojném usposobieniem twojém. Nie chcę żebyś mnie kochał; zostaniemy przyjaciołmi, towarzyszami; lecz o miłości ani słowa".

Autor z wysokim artyzmem odtworzył postać téj czarodziejki, która potrafiła ujarzmić zimne i samolubne serce akademika. Portret to fantastyczny, ale każdy rys odpowiada najtrafniéj pojęciu jakie dają nam o niéj *listy Merimego*. Jest to zagadkowy *sfinks*, z pod pióra jéj sypią się paradoksa, niekiedy zaprawne dozą cynizmu. Aby zbudzić stygnące uczucia pessymisty, tajemnicza kochanka zakole go nieraz, niby konia ostrogą, to obrazem jakiegoś pięknego Irlandczyka z jasnym włosem, z melodyjną pieśnią na ustach, z okiem błękitném, rozmarzoném, to znów lekką sylwetką dorodnego sycylijskiego lazarona, uśpionego w Neapolu pod jéj oknami.

Szczęściem że autor znalazł tylko dwie pierwsze paczki listów. W miarę jak je pisze *nieznajoma*, pióro jéj coraz swobodniéj biega po papierze, myśl wyłamuje się z wszelkich karbów. Radzi jesteśmy iż dowcipny autor umiał zatrzymać się w samą porę. Krok daléj byłoby za daleko!...

Jeżeli owa nieznajoma istnieje rzeczywiście, o czém trudno wątpić, podrobione te listy są dla niéj surową ale zasłużoną Nemezis, za niedyskrecyą jaką popełniła, puszczając w świat korrespondencyą Merimego.

Alfons Royer autor *Historyi powszechnéj teatru*, przygotowywa do druku czwarty tom swéj ważnéj publikacyi. Trzy wydane dotąd tomy, obejmują długi szereg wieków, zacząwszy od głębokiéj starożytności do końca wieku XVIII. Czwarty tom ogarnąć ma cały rozwój sztuki dramatycznéj w ciągu XIX stulecia. Słyszeliśmy że professor Aleksander Chodźko przyrzekł dostarczyć autorowi źródła do historycznego zarysu sceny polskiéj. Nie pierwszy to raz znakomity nasz uczony, przykłada rękę do wspomnionego dzieła. W pierwszym już tomie widzimy ciekawy ustęp o teatrze perskim zaczerpnięty jak mówi p. Royer ze zbiorów professora Chodźko. Zbiór ten nadzwyczaj ważny, składa się z trzydziestu trzech sztuk przywiezionych z Teheranu, z biblioteki *Feth-Ali-Szach*. Professor Chodźko przełożył kilka z tych mysteryów na język francuzki, i w wydanych ułomkach dał poznać Europie płody geniuszu perskiego.

Owe mysterya po persku *Feazye*, osnute wszystkie na tradycyach z życia proroka, na męczeńskim skonie jego krewnych i wnuków. Czytając je—mówi p. Royer—uderza nas wielkie ich podobieństwo co do formy, ze starożytnemi tragedyami greckiemi. Przypominają raczéj Eschilesa niż Eurypidesa. *Feazya* jest w całém znaczeniu tém, co Arystoteles zwał *tragedyą prostą*. Akcya w niéj jednolita, rozwija się bez najmniejszego zboczenia; każda rola jakby ukuta z jednéj bryły. Nuta religijna i żałosna stanowi główny ton ten dziwnéj harmonii, dzwięczy głucho niby dzwon pogrzebowy, aż nakoniec wstrząsa do gruntu sercem słuchacza, i z oczu jego dobywa łzy święte nad dolą

męczenników. Niema tu wcale chóru, ale forma liryczna przemaga w tych utworach.

Feazye grywane są do dziś dnia w Persyi po gościńcach publicznych, w meczetach i pod pałacami wielkich panów. Lud przygląda się bezpłatnie widowiskom. Koszta przedstawienia ponosi monarcha lub który z możnych dostojników, widząc w tém zasługę przed Bogiem. Aktorowie muszą mieć niejakie wykształcenie; umieją wszyscy czytać, co nie mało znaczy na Wschodzie. Używają suflerów, każdy mimo to nie wypuszcza z rąk pisanéj roli, i rzuca na nią wzrokiem. Kobiéty nie występują nigdy; rolę ich odgrywają młode chłopcy. Biada aktorom którzy przedstawiają zbrodniarzy lub morderców: publiczność miota im w oczy najsroższe klątwy i obelgi, niekiedy nawet rzuca w nich kamieniami.

Przed rozpoczęciem widowiska, Rouze-Khan wniesiony uroczyście na scenę w orszaku śpiewaków, opowiada nieszczęścia i prześladowania jakie dotknęły rodzinę proroka; przeklina morderców i sekciarzy, targa brodę i krzyczy przeraźliwie. Jęki obecnych przywtarzają mu chórem. Prolog kończy się pieśnią mistyczną, po czém Rouze-Khan ustępuje ze sceny, i rozpoczyna się właściwe widowisko.

Wybierzemy ze zbioru pana Chodźko trzy Feazye i podamy je w treści, aby dać wyobrażenie owych dramatów, które do dziśdnia poruszają tak silnie ludność perską. Oto pierwsza z nich pod tytułem: *Posłannik boży.*

Archanioł Gabryel przychodzi do proroka Mohameda i oznajmia że dwaj jego wnukowie Hassan i Hussein przeznaczeni są na męczeństwo. Zginą, nie żeby mieli popełnić jakąś winę, lecz śmierć ich ma być zadośćuczynną ofiarą za zbawienie ludów, które przyjęły islam. „Jeśli chcesz o proroku!—rzecze anioł—aby ludowi twemu odpuszczone były grzechy, niechaj te dwie róże z ogrodu twego uszczknięte zostaną przed czasem.“

Prorok poddaje się woli bożéj, lecz także musi otrzymać przyzwolenie Alego i Fatmy, ojca i matki Imanów przeznaczonych na śmierć męczeńską. Ali gotów spełnić ofiarę, lecz Fatma silny stawia opór. „Jakto? moi synowie umrzéć mają?“ woła w uniesieniu rozpaczy, „i czémże zasłużyli na tak straszną, na tak haniebną karę? O poroku! tyś był dla ludów twoich pieczołowitym panem! Przystałoż im podnosić zbrodniczą rękę na dziatwę domu swego?“

Mohamed łamie nareszcie wolę córki; Fatma zostaje dobrowolnie najnieszczęśliwszą z matek. Pragnie tylko wiedzieć, ażali w tym dniu złowrogim, będzie blizko, czy zdala dziatwy swojéj, gdyż bez wahania gotowa podzielić jéj losy.

— W téj epoce, odrzecze prorok—Ali i ja nie będziemy już w liczbie śmiertelnych. Dwie młode płonki z naszego sadu, ścięte będą opodal od ojczyzny. Ty sama posiadać już będziesz swój pałac w pośród rajskich ogrodów i z téj siedziby błogosławionych patrzéć będziesz smutno na padół ziemski, oczekując ich przyjścia.

— Niestety!—odpowié Fatma—a więc synowie moi nie będą mieli ręki przyjacielskiéj, aby podtrzymała konającą ich głowę!

— Przyszłe wieki uwielbią ich—rzecze Mohamed. Wiedz o tém, że lud wielki, oddany czci Alego, obchodzić będzie uroczystość doroczną, poświęconą ich chwale. Wielka będzie żałoba naszych wiernych szeitów, w każdą rocznicę śmierci synów twoich. Mężowie i niewiasty z duszą smętną, z głową posypaną popiołem, w szatach rozdartych, obchodzić będą pamiątkę pogrzebu męczenników.

— O mój ojcze!—zawoła zbolała matka—pozwól mi, niech od dziśdnia pokryję ciało żałobnym kirem. Mniemam, że jeśli połączę cierpienia moje z ciosem, co ugodzi Hassana i Husseina, płacąc im wcześnie dług łez i boleści, wieszczba archanioła mniéj będzie mi dotkliwą.

— Oblecz więc żałobę nieszczęścia, matko! od sfer księżycowych aż do głębokości otchłani, budź echa jękiem twoim! Niech krwawe łzy, barwy maków polnych płyną po licu twojém. Rozwiąż włos, rozpuść go na wiatr wiejący z nielitosnego nieba!

Tak mówi prorok do córki Fatmy. Wierne to odbicie boleści starożytnych. Ta rezygnacya ojcowska, to niebo nielitościwe, przypominają zupełnie skargi Hekuby w tragedyi Eurypidesa.

Fatma każe zbudować dwa grobowce: jeden pokryty zielonym, drugi szkarłatnym kobiercem. Z córką Zeineb i niewiastami swemi przybiera się czarno; ulubiona jéj sługa Atma przyprowadzić ma na groby wszystkie niewiasty beduińskie, rozdawszy im żałobne szaty.

Oto pieśń pogrzebowa, jaką Fatma śpiewa na grobach synów:

„O boleści! rozedrzyj serce moje, jak trucizna rozedrze serce Hassana. O łzy! płyńcie gorące i gorzkie, płyńcie w obfitości za te, które ma wylać Hussein! O Hassanie! cała rzeka płynie z ócz moich. Bodajby złagodziła gryzącą siłę jadu, który cię strawi! Husseinie! pragnienie i skwarne żary pustyni, jakie masz znosić, jam je zebrała w sercu mojém. Ja płonę cała, mój Hassanie! To, co ty masz kiedyś wytrwać w ciele twojém, dziś ja ponoszę w duchu! boleść dla mnie trucizną. Husseinie, matka poprzedziła cię na pustynią Zerbela! Pragnienie rozdziera mi wnętrzności! Niewiasty Medyny wydajcie jęk żałosny; ryczcie, jak ryczą lwice na widok dziatwy swojéj w paszczach psów! Połączcie się z boleścią matki Husseina, wodą ócz waszych zgaście boleść, co ją pożera. Uprzedźmy dzień żałoby, zasiądźmy około tych grobowców; niechaj krew wybucha z głębi serc naszych, jęczmy, zawodźmy razem!

Po jękach Fatmy następują skargi Alego.

— Zagasnąć wam o pochodnie ócz moich! Kędyż ojciec, któryby jak ja pozwolił na mordy dziatwy własnéj? Lecz nie mam prawa żalić się, skoro idzie o zmazanie win moich wiernych Szeitów. Poświęcam się i milczę.

Nadchodzą dwaj synowie Fatmy, Hassan i Hussein. Znęceni wrzawą zasłyszaną z daleka, pragną wiedzieć przyczynę téj żałoby.

Poznają całą prawdę. Dwaj bracia gotowi przyjąć zapowiedziane im męczeństwo. Chwalą Boga Przeczystego, który za kilka kropel krwi stoczonéj, gotów im otworzyć rajskie bramy. Pragną jedynie, aby śmierć ich okupiła winy współwyznawców.

Ali odpowiada Husseinowi: „Za jednę łzę, która na cześć twoją zwilży powieki śmiertelnika, Bóg naznaczy mu miejsce obok ciebie na kwiecistém wybrzeżu Kuser. (Jedna z rzek raju muzułmańskiego).

Fatma zapewnia, że nie będzie miała innych towarzyszek w siedzibie błogosławionych, jedno te, które wezmą udział w uroczystéj *Feazyi* na cześć Hassana i Husseina.

Na zakończenie mysteryum, matka dwóch Imanów męczenników odśpiewuje te strofy.

„O biedna moja głowo! Ręce moje uderzcie w nią, uderzcie z całéj mocy! O Hassanie! o Husseinie! Dla obu synów mam jednę boleść, jeden jęk! O Hassanie! o Husseinie! Archanioł Gabryel przyszedł i powiedział dwom oczom moim, które płakały krwią, powiedział im: „Lud przeniewierczy Bogu swemu, zabije naszego Husseina. I te słowa archanioła wygnały radość i spokój z duszy mojéj. O biedna moja głowo! ręce moje uderzcie w nią, uderzcie z całéj mocy! Tu leży mój Hassan! Matka nie zdoła poznać oblicza jego, zmienionego trucizną. Tu rozpada się w proch mój Hussein, okryty ranami! Tu jego małżonki i dzieci otwierają usta zgorzałe i wiją się w mękach pragnienia. O biedna moja głowo! o Hassanie! o Husseinie!“

Drugi dramat ze zbioru pana Chodźki, nacechowany wzniosłym charakterem; tytuł jego: *Smierć proroka Mohameda.* Zesłaniec Boży pragnie opuścić ten padół łez; za pośrednictwem archanioła Gabryela, wzywa Allaha, aby go rozwiązał z pęt cielesnych. Otrzymuje czego pragnie; pozwolono mu umrzéć. Udaje się do meczetu w Medynie. Odprawiwszy po raz ostatni służbę Bożą, błogosławi rodzinę i lud swój. Gotów stawić się w obec Stwórcy, wzywa tych wszystkich, których mógł obrazić, niechaj mu wyrzucą w oczy jego winy.

Tu Beduin nazwiskiem Sewad wychodzi z tłumu, tak rzecze do umierającego: „Pomnisz-li dzień, kiedy szczęśliwy, okryty chwałą, wracałeś z Tajefu do Mekki? W pobliżu tego ostatniego miasta, znajdowałem się w tłumie ludu, co wyległ na spotkanie twoje! Serce biło mi z rozkoszy na myśl, że będę mógł wreszcie przyłożyć usta do nogi twojéj. Ale w chwili, gdym się pochylił, ty sławny wysłaniec Boży podniosłeś bicz, chcąc ugodzić wielbląda swego i plecy moje przyjęły raz przeznaczony bydlęciu. Jam ubogi i nieszczęśliwy, ty jesteś niewyczerpaną kopalnią szczodrobliwości! Pozwól mi otrzymać prawo odwetu, nie pozbawiaj tego świętego przywileju biédaka, który się liczy między wyznawców twoich. Po wielekroć mówiłeś nam, że przyjdzie dla wszystkich dzień ostatecznego sądu. Wysłuchaj prośby mojéj, niechaj sprawiedliwość będzie mi wymierzoną.

— Nie mógłżebyś mi powiedzieć—rzecze prorok—jak się zowie bicz, którego w dniu tym używałem? wiesz, że posiadam ich kilka.

— Chwalebny proroku—odpowie Beduin—bicz ten zowie się Mamczuk. Prorok posyła natychmiast sługę Alimana do córki swojéj Fatmy, domagając się wspomnionego bicza. Tłum szemrze przeciwko Beduinowi. Sewad odpowiada mu, powtarzając własne słowa proroka: „Oko za oko, ząb za ząb, rana za ranę." Winowajca musi oddać ranę, jaką zadał, chyba, że oskarzyciel odpuści mu winę z własnéj woli.

Żadna siła złamać nie może uporu Beduina: ani łzy Fatmy, ani złoto Alego, ani prośby Hassana i Husseina, którzy ofiarują się przyjąć odwet.

— Powinienem odpłacić własną osobą—przerwie prorok. Odczytajcie w Koranie prawo, które Bóg podyktował wam przez usta moje i rozsądźcie rzecz sami. Gdybym dopuścił, aby inny poniósł karę odwetu, na jaką ja zasłużyłem, byłżebym ja sam wolnym od kary w wielkim dniu zmartwychwstania?

Zbliż się Sewadzie silny prawem Bożém, chodź i pomścij się téjże chwili.

— W dniu, o którym mowa—rzecze Beduin—moje plecy były nagie, a więc rozbierz się z szat twoich i obnaż twe ramiona.

Lud, otaczający proroka, wybucha gniéwem przeciw nieprzebłaganemu Beduinowi. Mohamed znakiem ręki nakazuje milczenie obecnym.

— Żądanie jego słuszném jest—rzecze—i zrzuca z siebie szaty.

— O wielki posłanniku Boży—zawoła wówczas Swad—przez pamięć sądu ostatecznego przebaczam ci! Pragnąłem poznać sprawiedliwość twoją! przeczuwałem ją o proroku miłości, inaczéj byłżebym śmiał, ja nędzny proch znieważyć prawem odwetu dostojne członki twoje?

Uczyniwszy zadość sprawiedliwości ludzkiéj, prorok staje w obec sprawiedliwości Bożéj. Śmierć przedstawia się oczom jego w postaci anioła Azraela, który przyjmuje dusze śmiertelników w ostatniéj chwili skonu. Mohamed poznaje smętny jego głos, wzywa aby przystąpił, Fatma tymczasem całą siłą odgania złowrogiego zwiastuna.

Nadchodzi anioł Gabryel. Bóg przysyła go z zapytaniem do ukochanego proroka, ażali w rzeczy saméj pragnie umrzéć? Pobłogosławiwszy rodzinę, Mohamed wymawia te słowa:

— Drzewo ciała mojego, strząśnij zeschły twój liść jesienny! Niechaj się wypełni wola Boża! Aniele śmierci jam gotów! nie oszczędzaj mnie, ale bądź miłościw ludowi memu! Pod tym warunkiem, pozwalam ci wydrzéć duszę moją, wśród najsroższych męczarni.

I prorok umiera, powtarzając wyznanie wiary: „Nie ma Boga, jedno Bóg!"

Ledwie że skonał, wodzowie arabscy zgromadzają się w meczecie medyńskim, dla naznaczenia mu następcy, gdyż Mohamed nie uczynił tego w urzędowy sposób. Zięć jego Ali mąż Fatmy, mieni się

spadkobiercą jego władzy, mimo to wybór pada na Abu-Bekra, ztąd powstaje schizma rozdzierająca Islamizm.

Przedmiotem trzeciego misteryum, owa uzurpacya Abu-Bekra, czwarte przedstawia męczeńską śmierć Moslema w Kufie, w skutek religijnych zatargów. Piąte pod tytułem: *Męczeństwo synów Moslemowych*, jest dalszym ciągiem poprzedniego dramatu. Szóste: *Głowa Imana Husseina*, zamyka seryą misteryów, poświęconych martyrologii domu Alego. W tym ostatnim dramacie uderza ta okoliczność, że wprowadzono doń święte postacie ze Starego i Nowego testamentu. Widzimy tu Adama, Ewę, Abrahama, Mojżesza, Mohameda, a nawet Chrystusa i Bogarodzicę. Oto krótka treść misteryum.

Rycerze syryjscy wracają do Damaszku; niosą głowę Imana Husseina, którego ubili na pustyni Kerbela. Pragną ofiarować ten łup Kalifowi wraz z głowami innych zbuntowanych wodzów. Uprowadzają w niewolę siostry Husseina, Zeneb i Kulsum, niemniéj córki jego Fatmę i małą Sozimę. Ibu-Sead przyodział nieszczęśliwe księżniczki w brudny łachman, zdarł im zasłony z oblicza, wystawiając je na urągowisko żołnierzy swoich. W chwilach spoczynku sadowi je pod palącym skwarem słońca, odmawia im cieniu oazy i wody ze zdroju dla ochłodzenia piersi spalonéj pragnieniem.

Ibu Sead i Chemr morderca Husseina, wiodą oddział konnych Arabów. Zmordowana karawana przybywa do bram chrześciańskiego monasteru, kędy zatrzymuje się na nocleg. Ojcowie zakonni podejmują gościnnie podróżnych, przynoszą im jadło i napój, dają obrok ich koniom. Arabscy wodzowie oddają pod straż przeorowi odcięte głowy nieprzyjaciół, a między temi głowę Husseina zatkniętą na włóczni.

Podczas kiedy wszyscy śpią, przeor przy świetle kagańca, przygląda się dostojnéj głowie, którą złożył na płycie marmurowéj w swojém oratoryum. Oczy odciętéj głowy błyszczą niby dwie gwiazdy. Usta otwierają się, głowa przemawia i oznajmia przeorowi straszną zbrodnią, dokonaną na pustyni Kerbela, zbrodnią, która wiecznie ciążyć będzie na plemieniu Mohawi.

— Imanie Husseinie!—mówi przeor—piękny cyprysie wychodowan rękoma Fatmy z taką miłością, przeklеństwo temu, kto oddzielił głowę twoją od twego ciała!

Woła potém na zakonników: „Spieszcie co tchu, przynieście mi muszkatelu i wody różannéj, chcę namaścić wonią te głowy, a mianowicie tę, co była światłością oka Fatmy. Sypcie ambrę i wonie! lejcie łzy na sploty włosów rodziny Mohameda!

W téj chwili wchodzi na scenę Halef i woła na obecnych:

— Patrzcie bacznie na żałobne sceny, jakie rozwiną się przed okiem waszém. Oto duch pierwszego człowieka, stworzonego ręką Bożą, zstępuje do tego monastéru spłacić dług pociechy głowie Imana Husseina. Oto idzie prorok Adam, oczy jego zwilżone łzami!

Adam zbliża się, staje nad głową umęczonego.

— Światłości oczu proroka!—rzecze — dlaczego promienista głowa rozdzielona z twém ciałem? Głowa odcięta! powiedz mi kędy ciało od którego odrąbano cię tak okrutnie? Pozdrawiam cię chwało dwóch światów! Duszo wybrana od Boga, ukażesz się przed Jego tronem, cała promieniejąca białością.

Adam odchodzi, Abraham ukazuje się po nim.

— Ja, com zbudował świątynię w Kaaba i położył pierwszy ten kamień ku któremu zwracają się wszystkie oczy, wszystkie nadzieje wiernych, pozdrawiam cię! Umrzéć za ciebie byłoby szczęściem dla Abrahama!

Jezus przychodzi potém.

— Jam jest Jezus, Duch Boży! Z oczyma zbrzękłemi od łez przychodzę tu spełnić ostatnią powinność głowie Husseina. Różo z kwietnego ogrodu Alego, radości najlepszéj z małżonek, pozdrawiam cię! Ofiaro upadła na tym padole nędzy, przyjmij uznanie moje! Niechaj te czyny, któremi Jezus prześladowany jak ty, dobrze zasłużył się Bogu, niechaj te czyny będą ci okupem szlachetna głowo! Jakiż to bezbożnik śmiał spełnić takie świętokradztwo?

Mojżesz występuje po Chrystusie i rzuca przekleństwo na morderców. Nakoniec prorok Mohamed woła wielkim głosem:

— Czemuż nie poległem za ciebie synu mój! duszo moja! Mów, mów! drogi owocu mych wnętrzności!

Głowa odrzecze na to:

— Chodź, spojrzyj na jesień twojéj wiosny, na twego Husseina! Chodź, podejmij mnie dłonią twoją ojcze ukochany, zobacz co uczynił ze mnie lud twój! Przypatrz się téj głowie odciętéj, zostawionéj w chrześcijańskim monasterze! Oblicz po jednéj wszystkie zniewagi i sromoty! Patrz, nie mam rąk abym ogarnął niemi szyję twoję i błagał przebaczenia twego!

— Kędy bracia twoi?—zagadnie Mohamed—jaki los przypadł w podziale siostrom twoim?

— Posłuchaj mnie dziadzie mój, ukoronowany wieczną chwałą! Trupy wszystkich przyjaciół i towarzyszów moich zasłały drogę Bożą! Reszta rodziny twojéj w więzach. Wróg w nienawiści zamknął usta bezsilnym niewiastom, i godził w nie włóczniami. Moja biédna Sozina także branką! mała Fatma wyciąga rękę po jałmużnę. Dziki Chemr grubiańską ręką spoliczkował biédne córy moje!

Ali męczennik, ojciec Husseina, przybliża się do krwią ciekącéj głowy. Pyta ukochanego syna kędy brat jego Abbas? Kędy jest Ali Ekber, gdzie Kassim i Ali-Azgar?

— Ojcze!—odpowie głowa—po nad brzegami Eufratu, miecz niesprawiedliwości odciął obie ręce bratu mojemu Abbasowi; mój Ali Ekber posieczony był w kęsy, mój Kassim miał ręce i nogi poczerwienione od krwi!

Dziewica Marya przychodzi także i wylewa łzy nad skonem Imana Husseina; przychodzi z Fatmą małżonką Alego, a matką nieszczęsnéj ofiary. Prorok pociesza córkę, przyrzeka jéj straszliwą zemstę w dzień sądu ostatecznego, i rzuca przekleństwa na niewdzięczny ród, który zbroczył ręce we krwi jego potomków.

Prorocy znikają. Przeor pozostaje sam w obec głowy.

— Husseinie! — zawołał — światłości oczu wszechpotężnego Mohameda! wysłuchaj prośby mojéj... racz mnie nawrócić na wiarę twoją! Zrzucam stułę chrześcijańskiego kapłana.

Zakończenie to przypomina niektóre mysterya chrześcijańskie a między niemi: *Cud Jana Bodel*, w którym sułtan Ieonium domaga się chrztu dla siebie i emirów swoich.

Prostota akcyi, liryzm zastępujący działanie, głęboka religijność, oto główne cechy perskich mysteryów. Autorowie ich piszą dla publiczności, która przekłada poetyczną tyradę nad effekt dramatyczny. Ludy wschodnie skłonniejsze do zadumy niż do czynu, lubią przedewszystkiém pokój: ideałem ich szczęścia spoczynek ciała i umysłu. To, co nam się wydaje monotonném w tym szeregu scen, jest przeciwnie zaletą w oczach widzów perskich. Znają oni na pamięć religijne tradycye, nie pozwoliliby też na najmniejszą w nich zmianę; umysł ich zresztą zbyt leniwy aby miał ścigać wątek pogmatwanéj akcyi. Poeci zatém starają się w utworach swoich, o wyrażenie uczuć pięknem słowem. Grecy tak samo myśleli za czasów Eschylesa. Wielu krytyków, a między niemi Arystofanes, utrzymywał że Eurypides zepsuł dramat, wprowadzając doń grę ludzkich namiętności.

Oprócz dramatu, Persowie mają teatr komiczny zwany Tamacha (widowisko). Są to farsy improwizowane. Aktorowie w nich Żonglery zwane *Lutis*. Przejeżdżają oni kraj wzdłuż i w poprzecz, obwożą oni tancerki i uczone zwierzęta. Obieleni mąką, wyprawiają farsy dla wieśniaczego ludu. Bohatérem owych fars jest tak zwany *Keczel-Pelwan*, (bohatér łysy), uosobiona satyra. Keczel Pelwan obłudny świętoszek, poeta, muzyk i orator, szkaluje wszystkich, rozsiewa niestworzone potwarze, nikomu nie przebaczy, gotów zawsze do bójki. Żywy to obraz ludu Irańskiego, który postępem i niezmordowaną wytrwałością pokonał zwycięzców swoich, narzucił im własne obyczaje, własny język i literaturę, a nadto wszystkie swoje wady.

Owe *Tamacha* czyli farsy perskie, mogłyby być zawiązkiem komedyi, lecz nie postąpiły na jotę w pasmie wieków. Niepodobna ich liczyć do piśmiennéj literatury. Same tylko Feazy zajmują znakomite miejsce w historyi teatru perskiego, a podobieństwo do starożytnych tragedyj greckich stanowi główny ich charakter.

Francya straciła w tym czasie jednego z najuczeńszych starożytników swoich. Zmarły Karol Ernest Beulé pozyskał od dawna sławę europejską. Tém dotkliwsza ta śmierć, że przedwczesna i w gwałto-

wny dokonana sposób. Czterdziesto-ośmioletni Beule zakończył dni samobójstwem, jak powszechnie wiadomo. Od pierwszéj młodości, oddany naukom archeologicznym, wysłany został do szkoły francuzkiéj w Atenach, gdzie miał sposobność badać na miejscu, odwieczne pomniki sztuki greckiéj.

W ciągu kilkoletniego tam pobytu odkrył sławne wschody Propyleów w Akropolis ateńskiém. Okryty sławą powrócił do Paryża, gdzie otrzymał natychmiast katedrę archeologii w bibliotece Richelieu, i krzesło w *Akademii Napisów i Literatury*. Dla dopełnienia nauk archeologicznych i wszechstronnego obznajmienia się ze sztuką, odbył następnie kilka podróży, po Włoszech, Hiszpanii i Afryce północnéj; z każdéj z nich przywoził bogate plony naukowe. Wykopaliska dokonane pod jego okiem, dały poznać światu topografią starożytnéj Kartaginy. Akademia sztuk pięknych wynagradzając tę pracę, mianowała go w r. 1862, stałym swym sekretarzem.

Beulé zostawił czternaście dzieł w przedmiocie historyi i archeologii: są to po większéj części spisane i rozszerzone jego kursa. Przytaczamy tytuły owych znakomitych publikacyj: *Akropolis Ateńskie, Studya nad Peloponezem, August, jego rodzina i przyjaciele; Tyberyusz, Krew Germanikusa, Tytus i jego dynastya, Dramat Wezuwiuszu, Pogadanki o sztuce, Fidiasz, Sztuka Grecka przed Peryklesem, Wykopaliska i odkrycia, Poszukiwania archeologiczne w Grecyi i we Włoszech.*

Głęboki erudyta posiadał niemniéj znakomity dar słowa, umiał wlać życie w suchy na pozór przedmiot i uczynić go dostępnym dla ogółu. Akademickie mowy jego poruszały głęboko słuchaczów. Do najpiękniejszych należą *Pochwała Hipolita, Flandrin* (roku 1864), Meyerbeera (1865); Ingresa (1867), architekta Hintorf (1868), Rossiniego (1869).

Po skończonéj wojnie z Prusami, Beulé zasiadł w Izbie deputowanych. W roku zeszłym otrzymał tekę ministra. Ciężka to była teka, uczony starożytnik piastował ją nie całe dwa miesiące, ale uczuł jéj brzemię w dotkliwy sposób. Ścigany za życia, przez nieprzyjazne stronnictwa polityczne, po śmierci nawet stał się celem ostrych pocisków. Dzienniki hurmem powstały przeciw niemu, zaprzeczając mu zasług na polu czysto-naukowém. Czas ukołysze niewątpliwie te niechęci, a imię Beulego zabłyśnie kiedyś trwałym blaskiem w panteonie znakomitości francuzkich.

Z powodu śmierci tego archeologa-ministra, zawiązała się po dziennikach żywa polemika, czyli można uprawiać literaturę i naukę a zarazem oddawać się sprawom politycznym? Jedni silnie powstają przeciw temu. Inni zapytują znów nie bez słuszności: „Godziż się aby człowiek wyższéj intelgencyi, dla tego że się oddaje nauce albo literaturze, przestał być obywatelem kraju? Posuwając tę zasadę do krańcowych wyników, trzebaby iść za radą Platona, który wyganiał poetów z idealnéj rzeczypospolitéj swojéj! Alboż to—mówią—Rous-

seau, Wolter i wszyscy encyklopedyści nie zajmowali się polityką? Alboż to Chateaubriand nie był ambasadorem? Lamartine naczelnikiem republiki? Wielki historyk Thièrs nie jestże zarówno wielkim mężem stanu? Spór pozostał nierozstrzygnięty; nikt nikogo nie przekonał, jak to zazwyczaj bywa.

Dziwimy się że zwolennicy zasady przypuszczający autorów do zarządu państwa, nie zwrócili uwagi na dzisiejsze ministeryum angielskie, złożone z samych uczonych i literatów.

Obecny naczelnik ministeryum jest zarazem nestorem w literaturze. Pięćdziesiąt lat temu Dizraeli rozpoczął piśmienny zawód powieścią: *Vivian-Grey*. Odtąd oprócz wielu broszur politycznych, wydał dwanaście romansów, które znalazły nie małe powodzenie. P. Cross, minister spraw wewnętrznych, ułożył znakomite dzieło o prawach. Lord Derby jako rektor Uniwersytetu Glasgowskiego, pisał mowy, które były drukowane. Lord Carnarvon minister osad, jest autorem dzieła *O Druzach Libanu* i kilku innych zarysów historycznych. Lord Salisbury, minister spraw indyjskich, zasila ciągle *Quarterly-Review*, uczonemi artykułami pióra swego. Lord Kanclerz Sir Strafford Northscot wydał dzieło p. t. *Dwadzieścia lat polityki finansowéj*. Inny kanclerz lord Malmesbury ogłosił drukiem pamiętniki i korrespondencye swego dziada, z własnym wstępem i komentarzami. Lord John Manners generalny dyrektor poczt, należy do najczynniejszych literatów. Po Dizraelim on wydał największą liczbę dzieł, poetycznéj nawet treści. Przed trzydziestoma laty, zaledwie pełnoletni, napisał notaty z podróży po Irlandyi; we dwa lata potém r. 1841, ogłosił poemat p. t. *Nadzieje Anglii*. W roku 1850 ukazały się jego: *Ballady angielskie*.

Nie zapominajmy że i sama królowa Wiktorya autorką jest pamiętników, drukowanych przed kilką laty.

Wspomnieliśmy niedawno o nowych szkołach poetycznych w Anglii. Ściśle łączy się z tym przedmiotem rozprawa p. Quesnel: *O pięknéj literaturze w Stanach Zjednoczonych*. Widzimy z téj rozprawy, że cały szczep anglo-saksoński rozwija się w jednakowym kierunku, z tą jednak różnicą, że demokratyczne zasady, na których spoczywa amerykańskie społeczeństwo, musiały odziałać silnie na jego literaturę. „Nigdzie—uważa autor—nie widzimy tak ścisłego stosunku między politycznem stanowiskiem kraju, a literaturą jak w Ameryce. Jeżeli żywotność właściwa Jankesom, nie objawia się tu w nadzwyczajnych geniuszach, za to wielka liczba pisarzy, odpowiednia wielkiéj liczbie czytelników, wiernym jest wyrazem panującego systematu demokratycznego. Handel księgarski kwitnie w Stanach Zjednoczonych w zadziwiający sposób. Wszyscy tu czytać umieją; średnia miara uprawy intellektualnéj wyższa tu, niż w jakimkolwiekbądź kraju świata. Mężczyzni wprawdzie, zajęci handlem i przemysłem, zaniedbują częstokroć książki, ale kobiéty wszystkich stanów czytają nadzwyczaj wiele. Za ichto pośrednictwem myśl autorów ożywia najprzód rodzinę, a ztąd i społeczeństwo.“

„Literatura tak szerokiém rozlana po kraju łożyskiem, nie może wyrosnąć do wysokich rozmiarów. Tak samo jak rządy wyrabiają się zwykle na obraz ludów, tak i książki odpowiadają zazwyczaj potrzebom czytającéj publiczności. Tłumom potrzeba wiele pokarmu choćby pospolitego; wybrana garstka wymaga wyborowych arcydzieł. Otóż więc społeczeństwo demokratyczne przy całéj wyższości intellektualnéj, wziętéj w massie, nie może miéć wytwornie wyrobionego smaku. Demokracya narzuca warunki pisarzom. Muszą oni bądź co bądź uderzyć silnie umysł czytelnika, pochwycić go za zmysły, sprawić na nim wrażenie, muszą pisać jasno, brać obrazy z życia rzeczywistego, nie sięgać zbyt do głębi. Nie wolno im wzbijać się chyżym polotem w te wyżyny, gdzie ogół nie zdążyłby za ich śladem; nie wolno im obwijać myśli w mgłę symbolizmu, właściwą wielkim mistrzom. Ogół żąda rozrywki, chwili wytchnienia i nic więcéj.

Wątpimy—dodaje autor—czyby Dante i Milton znaleźli wielki pokup na targowisku Nowego świata, gdyby się dziś na niém pojawili, bez téj aureoli jaką od wieków otoczone ich imię!“

Po tych wstępnych uwagach p. Quesnel kreśli zarys literatury amerykańskiéj, od czasów najdawniejszych; idźmy więc za nim w ślady.

Historya literatury w Stanach Zjednoczonych poczyna się z epoką niepodległości. Przedtém wynalazek Guttenberga posługiwał samym Purytanom. Piérwszą książką wydrukowaną w Ameryce był Psałterz Eliota z roku 1640, wydany w mieści Cambridge, w Massachuset. Odtąd drukowano same religijne książki, aż dopiéro na lat kilka przed oswobodzeniem, nastąpiła sekularyzacya naukowa. Historya literatury amerykańskiéj, obejmuje téż ledwie okres lat stu dziesięciu. Oto pierwsze imiona, jakie w niéj zasłynęły:

Krytycy amerykańscy wspominają niejakiego Broch den Brown z Filadelfii, autora filozoficznych romansów na wzór Godwina, powieściopisarza angielskiego z XVIII wieku; ale od Washingtona Irwinga dopiéro datuje się właściwa literatura Nowego świata. Irwing jakkolwiek uczeń klassyków angielskich, spadkobierca ich staréj szkoły, był jednak pod względem ducha prawdziwym Amerykaninem. Pracował dla chwały kaju swego, zyskał téż wkrótce wielką popularność. Z pomiędzy licznych jego dzieł, dwa na szczególną zasługują uwagę: *Żywot Washingtona* i *Historya Nowego Yorku Knyckerbockera*, traktowana żartobliwie z wielkim dowcipem. Tak w rodzaju poważnym jak i humorystycznym, Irwing utorował drogę narodowym pisarzom.

Wkrótce po nim zjawił się Bryant, piérwszy z amerykański poeta, urodzony w roku 1794. Należał on do szkoły angielskiéj Wortswortha, zwanéj szkołą *Lakistów*, to jest idealistów obrazujących uczuciowo przyrodę. Poemat jego *Thanatopsis* pozyskał wielki rozgłos. Liczą Bryanta do poetów, którzy wprowadzili w nowoczesną poezyą wiersz biały, ogólnie dziś używany w Ameryce, a nawet i w Anglii.

Oto próbka obrazowego rodzaju poety amerykańskiego:

Te góry, skał koroną zwieńczone olbrzymią,
One dęby, co w lesie snem wiekowym drzémią;
Majestatyczne rzeki, strumienie szumiące,
Co żyznią kłosy w polu i kwiaty na łące;
Ten Ocean bezbrzeżny, co kipi zdaleka,
Ach! i czemże to wszystko?... grobowcem człowieka!
Ziemia cała olbrzymiém cmentarzyskiem ludzi!
A gwiazdy, których połysk cudnie wzrok nasz łudzi,
To kagańce żałobne tlejące na niebie,
Przy wiekuistym czasów i ludów pogrzebie!
Czém garść ludzka, co ziemię depcze stopy swemi,
Wobec zmarłych pokoleń co śpią w łonie ziemi?
Lećmy na skrzydłach myśli w przestrzenie bez końca,
Gdzie dmą wichry Północy, gdzie pali żar słońca;
Wszędy kości po ziemskiéj rozsiane skorupie:
Wszędy w wnętrznościach ziemi leży trup przy trupie!

Po Bryancie wystąpił Emerson: zrazu przyjęto go obojętnie. Samodzielny duch poety niósł go zbyt wysoko, aby ogół mógł zrazu podążyć za nim. Emerson zerwał z tradycyą starych klassyków i stał się rzec można pierwszym twórcą szkoły amerykańskiéj. Nie pisał on rozległych poematów, ale każda pieśń jego pełna życia i siły, każde słowo przenika do głębi myśl i serce. Słusznie powiedziano o nim, że ilekroć trąci o ziemię motyką, wytryskuje z niej krynica żywéj wody. Pisma filozoficzne Emersona, równie dziś cenione w Ameryce jak jego ulotne poezye.

Nataniel Hawtorne urodzony równocześnie z Emersonem, zmarły znacznie wcześniéj, zasłynął szczególnie jako powieściopisarz.

Znał do gruntu serca i malował życie ludzkie z niesłychaną potęgą wyobraźni. Do najsłynniejszych powieści Hawtorna liczą powszechnie: *Scarlet Letter* (List czerwony); *The hous with seven gables* (Dom o siedmiu wieżach); *Transformation* (Przemiana); *Mosses from an old mause* (Mech starego domostwa); *Our old home* (Nasze stare ognisko); i *Septimius*. Ostatnia powieść wydana po śmierci, wyższa nad wszystkie inne. W *Liście czerwonym* autor opowiada przygody nieszczęśliwéj kobiéty, zmuszonéj żyć (w czasach najsurowszego purytanizmu) pomiędzy mężem, dzieckiem i nikczemnym kusicielem, w małém miasteczku Nowéj Anglii, wśród zimnych nieprzebłaganych i okrutnych sekciarzy. Nieszczęśliwa ofiara ścigana jak zwierz, odtrącona od wszystkich, traci w końcu pojęcie prawdy i sprawiedliwości. Amerykanie upodobali sobie szczególnie tę powieść, która im przypomina pierwotne obyczaje starych ojców pielgrzymów.

W *Transformation* pomieszana zręcznie cudowność z rzeczywistością. Wątek powieści snuje się w Rzymie w pracowni artysty, wśród steku zbrodni i szaleństw. Autor pokazuje tryumf duszy ludzkiéj w osobie kobiéty, którą podnosi z upadku i otacza idealnym blaskiem poświęcenia.

Hawtorne umarł w 1864 roku, mając lat sześćdziesiąt. Towarzyszem jego na szkolnych ławach był Longfellow, jeden z najpopularniejszych pisarzy amerykańskich. Poezye Longfellowa pozyskały szczególną wziętość w Anglii, każdy umié tam na pamięć pełne wdzięku obrazki poetyczne jak: *Old clock on the stairs* (Stary zegar na wschodach); *The bridge* (Most); *Excelsior* (Jeszcze wyżéj). Znane również obszerniejsze jego utwory: *Legenda złota* [1]), *Głosy nocy*, *Dzwon w Bruges*, *Pieśni niewoli* i prześliczny romans *Hyperyon*. Longfellow ma wyobraźnią bujną, wiersz poprawny i potoczysty. Podoba się szczególniéj kobiétom. Amerykanie przekładają nadeń szorstkiego Waltera Whitmana nieznanego prawie w Europie. *Ballady*, *Pieśni przy pracy* i *Głosy wolności* Whitmana lepiéj przypadają do smaku Jankesom. O tym naczelniku realistycznéj szkoły mówiliśmy obszernie w kronice z 1872 roku. P. Quesnel zostawia go na uboczu, równie jak wielu innych. Z pomiędzy powieściopisarzy najwyżéj podnosi Fenimora Coopera. Wspomina pobieżnie Holmesa, autora sławnego romansu *Elsie Wenner*, i Edgara Poe, promotora cyganii literackiéj w Nowym Świecie, zmarłego skutkiem pijaństwa i nędzy, jak Henryk Murger apologista cyganii paryzkiéj. Obszerniéj za to mówi o pułkowniku Higginson, który dowodził podczas ostatniéj wojny pułkiem wolnych murzynów. Jego obrazy z życia wojskowego zalicza do najcelniejszych utworów powieściowych. Chwali szczególniéj wyborną powieść: *Malbone* i *Przygody obozowe z pułkiem czarnym*.

Z pomiędzy autorek amerykańskich, obok pani Beecher Stowe, która przed dwudziestu kilku laty spopularyzowała się w dwóch światach, wspomina z uznaniem dwie inne powieściopisarki: Katarzynę Sedgwig i Maryę Child, jak niemniéj Helenę Hunt pełną uroku poetkę i Julią Ward Howe ulubioną śpiewaczkę hymnów patryotycznych, co się rozlegały po wszystkich polach walk, w czasach ostatniéj wojny.

Francuzki krytyk dopuścił się krzyczącéj niesprawiedliwości względem najsłynniejszéj z pisarek amerykańskich. Chata wuja Tomasza—mówi on—zachwalona niegdyś do przesady, poszła dziś w zupełne zapomnienie. Taki los spotyka zawsze każde dzieło wyobraźni posługujące polityce, filozofii, lub idei społecznéj. Romans pani Beecher Stowe mógł mieć wielką wagę w czasach gdy się ukazał, lecz nie mógł z wielu względów pozostać dziełem trwałém. Mamyż litować się nad losem biédnéj książki, jeśli i ona padła na pobojowisku w wielkich zapasach, w których stoczyło krew tylu obywateli służąc powszechnéj sprawie?

Sąd to według nas niesłuszny. Prawda że krew szlachetnie stoczona, więcéj posłużyła sprawie czarnych niż książka pani Beecher Stowe. Godziż się jednak pomiatać zasługą zacnych szermierzy pióra, którzy zwolna przygotowują umysły do szlachetnych ofiar i czynów?

---

[1]) Przekład wyborny téj Legendy p. Feliksa Jezierskiego, drukowaliśmy w Bibliotece Warszawskiéj. *P. R. B. W.*

Powód téj niechęci łatwy do odgadnięcia. Pani Beecher Stowe przed kilkoma laty ogłosiła w jednym z przeglądów amerykańskich skandaliczne zwierzenia Lady Byron, ubliżające pamięci wielkiego poety. Pisma angielskie zawrzały gniewem: sypnęły się broszury, poczęto zdzierać z czoła pisarki nowe i dawne bluszcze. Francya zajęta wówczas wojną, nie mieszała się wcale do téj sprawy, później jednak podzieliła oburzenie Anglii. Professor Büchner z katedry literatury w Caen wystąpił silnie przeciw słynnéj autorce, obwiniając ją o szarlatanizm, o chęć rozgłosu, bądź co bądź, o niegodne oszczerstwa.

Pani Beecher Stowe zbłądziła niewątpliwie, dając powagę swego imienia skandalicznym wieściom o osobach dawno już zmarłych, które bronić się nie mogą z poza grobu. Trudno jednak ze względu na ten błąd zacierać dawne zasługi pisarki, którą słusznie chlubi się Ameryka.

Po dosyć szczegółowym przeglądzie literatury amerykańskiéj, w jéj najznakomitszych przedstawicielach, p. Quesnel przychodzi ostatecznie do wniosku, że na drodze poezyi i w ogólności literatury pięknéj, Ameryka w dzisiejszych warunkach nie może wydać nadzwyczajnych geniuszów. „Lasy dziewicze—mówi on—nie rodzą drzew zdumiewających ogromem. Zbyt wielka w nich gęstwina, aby olbrzym zdołał się wzbić ku słońcu, przez ściskające go zewsząd konary. Demokracya wszystko równoważy, nawet zdolności twórcze. Z drugiéj strony, kierunek kupiecki i przemysłowy krępuje polot ducha. Tyr i Kartagina, wielkie niegdyś państwa nie odznaczały się nigdy rozwojem literackim, odpowiednio do praktycznéj działalności. Lubo rozsiadłe na brzegach morza, którego fale wykołysały tylu poetów, nie posiadały nigdy tego smaku estetycznego jakim słynęła Grecya, a następnie Włochy. W ogólności wielkie wieki w literaturze, były zarówno wiekami rycerskich zapasów, lub politycznych przeobrażeń. Homer kwitnął w czasach wojskowéj potęgi greckiéj; Dant i Tasso w chwili kiedy kończyły się wieki średnie, a nowa zorza wschodziła nie tylko dla Włoch lecz i dla całéj Europy; Szekspir uświetnił tryumfalną epokę Elżbiety; Milton czasy rewolucyi angielskiéj; wielki wiek literatury Ludwika XIV łączy się ściśle z epoką wszechstronnego tryumfu Francyi.

Z tych danych wypadałoby, że demokratyczna Ameryka nie może wykołysać wielkich poetów. Proza musi wyłącznie zapanować w racyonalném społeczeństwie, gdzie walka o byt porusza tysiące rąk do pracy; gdzie każda chwila tak ściśle obliczona, że brak czasu i wolnéj myśli na dobieranie rytmów i końcówek. Inni krytycy podzielają to zdanie, stosując je w ogólności do całego plemienia anglo-saksońskiego. Aleksander Büchner professor literatury w Caen, czyni uwagę, że rym zniknął już w poezyi angielskiéj, uważany tam jako zabytek barbarzyństwa, jako wymysł grubijańskich bardów gotyckich.

„Za rymem ustąpi i miara—mówi Quesnel—a miejsce dawnych epopei bohaterskich zastąpi wyłącznie epopea prozą, czyli powieść.

Jedyny to rodzaj literatury pięknéj, odpowiedni demokratycznemu społeczeństwu. Fenimore Cooper świetnie utorował tę drogę Amerykanom. Tłum zdolnych powieściopisarzy podąża jego śladem. Wspanialsza jeszcze przyszłość zdaniem poważnych krytyków, czeka nową świata półkulę, w rozwoju nauk ścisłych, tak mocno połączonych z kierunkiem przemysłowym, przedsiębiorczych mieszkańców Ameryki.

Przytoczyliśmy sądy poważnych krytyków, nie przerywając wątku ich rozumowań. W końcu jednak pozwolimy sobie dodać uwagę, że tak Quesnel jak Büchner patrzą na rzeczy za nadto jednostronnie, utrzymując jakoby Ameryka nie mogła nigdy wydać pięknéj literatury, w skutek dążności pozytywistycznych. Co do nas, przekonani jesteśmy że ten pozytywizm nawet w Stanach Zjednoczonych Ameryki, przejściowym jest objawem. Najprzód ogólnie mówiąc, niepodobna przypuścić, aby ludzie zatracić mieli siłę wyobraźni, twórczość poetyczną, tak samo jak nie mogą zatracić władzy myślenia i rozumowania. A potém, w samychże Stanach Zjednoczonych, jakiżto potężny prąd religijny przeciwdziała pozytywnym teoryom! Gdzież więcéj niż tu naliczyć można sekt, opartych na pojęciach o życiu przyszłém, o życiu, którego pozytywizm jest w gruncie najzupełniejszą negacyą? Wiadomo z drugiéj strony że nie ma narodów więcéj pozytywnych nad narody turańskie, których prototypem są Chińczycy; a przecież i w ich literaturze kwitną wyroby poetyczne obok statystyki i pism utylitarnych.

Nie godzi się wyrokować o przyszłości żadnego narodu, bo duch człowieka wolnym jest i nieskończonym.

Z pomiędzy tegorocznych utworów dramatycznych w Paryżu, najwięcéj zajęła nas opera *Florentczyk*, odgrywana w teatrze epery komicznéj. Utwór to konkursowy, wykonany na zadanie, do libretta p. Saint-Georges. Sędziowie potrzebowali przeszło rok czasu na przejrzenie sześćdziesięciu mniéj więcéj udatnych kompozycyj nadesłanych na konkurs. Palmę pierwszeństwa wraz z nagrodą otrzymał młody kompozytor pan Lenepfeu.

Oto treść ładnego libretta:

W pierwszym akcie widzimy uczniów sławnego malarza Andrea Galeotti, ugrupowanych w pracowni mistrza. Jedni rysują z gipsowych wzorów, drudzy malują z natury młodą kwiaciarkę florencką, ubraną według tradycyi XV w. Piękna Carita stoi na podwyższeniu, trzyma w ręku koszyczek pełen kwiatów. Po chwili zbiega, patrzy z zadowoleniem na swoją postać; śpiewa wskazując obecnym kwiaty:

Narzeczony niech wybierze
Pomarańczy kwiat milutki,
Dam kochankom bratki świeże,
Oddalonym niezabudki!

Śliczna Carita ma także kochanka, tym szczęśliwym piękny Polpetto, który służy za model malarzom. Młodzian przybiega do pracowni z wesołą piosenką na ustach:

Mam ja dziwnie piękną postać,
Nos mam rzymski, profil Greka;
Dziś Katonem mogę zostać,
Jutro wyższy los mnie czeka.
Odtworzony pędzla czarem,
Będę bogiem lub Cezarem!

Biédny Polpetto upokorzony dziś w swojéj dumie. Mistrz Galeotti maluje na konkurs obraz Midasa: przyprawi mu długie ośle uszy. Żarty uczniów przerywa nadejście mistrza. Galeotti dotąd nie miał współzawodnika pomiędzy współczesnymi, i otóż w téj chwili zasłynął w Rzymie młody malarz przezwany Florentczykiem. Rosnąca sława młodziana, doprowadza Galeottego do wściekłości. Nie rad z siebie i z drugich, gromi surowo uczniów, żali się że szkoła pusta, oblicza niezajęte stalugi.

„Nic z was nie będzie—woła z gniewem—skończycie wszyscy jak ten włóczęga Angelo Palma, co mnie opuścił przed trzema laty i gdzieś się zapodział że dziś ni słychu o nim!“

Uczniowie rozchodzą się z pracowni, mistrz pozostaje sam. Wspomina wychowankę swoję Paolę, którą wyniańczył od dziecka, a gdy wyrosła, ukochał tkliwém, gorącém uczuciem. Paola jest artystką, cudnie gra na organach. Nagle daje się słyszéć piosenka... Galeotti usuwa się na bok... Paola wbiega śpiewając do pracowni:

Niby skowronek
Gdy brzask zaświta,
Zbudzony dzionek
Piosenką wita...

Paola spostrzega mistrza, widzi smutek rozlany na jego obliczu; usiłuje pocieszyć go dziecięcą pieszczotą:

Czemuż żal chmurzy
Oblicze twoje,
Przeciwko burzy
Wszakże nas dwoje.

Troski przebrzmieją
Gdy je podzielem,
Bom ja nadzieją,
Bom ja weselem.

Tak... tyś nadzieją moją! tyś mojém weselem, odśpiewuje Galeotti. Dźwięk trąb przerywa rozmowę. Heroldowie dążą do pałacu Medyceuszów... tam wygłoszą imiona współzawodników konkursowych. Galeotti pośpiesza za nimi, w téjże chwili wpada kwiaciarka, wręcza Paoli bukiet, oznajmia przybycie Angela. Paola ucieka pomięszana z pracowni. Młodzieniec wbiega na scenę, wita z uniesieniem progi w których przeżył swobodną młodość:

Drogie sercu memu ściany,
Gdzie mi młodość zbiegła snem,
Wątek myśli méj starganéj
Ukołyszcie wpływem swém.

Szał mnie pędził na przygody,
Ach! ułuda krótko trwa!
Dach co cienił nasz wiek młody,
On nam tylko szczęście da!

Z miejsc tych kroki mnie tułacze,
Wśród nieznanych wiodły stron;
Za wygnańcem kto zapłacze?
Kto zapyta: wróciż on?

Paola wita z radością młodziana. Mistrz Galeotti przepomina gniewu, otwiera z uczuciem ramiona ukochanemu uczniowi; mieści go jak dawniéj w domu swoim. W poufałéj rozmowie zwierza się przed nim z ciężkich trosk i udręczeń. Jakiś nieznany mistrz stoi mu w oczach jak widmo; zazdrość pożera mu serce.

— Gdyby miał mnie ubiedz w zapasach—woła z trwogą—nie przeżyłbym hańby mojéj! Ta Hebe którą przygotowałem na konkurs... gdybym wiedział że nie otrzyma nagrody, spaliłbym ją natychmiast w ognisku gisernika Jacopo!

Owym strasznym Florentczykiem nie jest kto inny jak Angelo Palma, ukochany uczeń Galeottego, dziś po dwakroć jego współzawodnik. Zakochany młodzian poświęca chwałę dla miłości. I on wykonał na konkurs swoją Hebę... postanawia ją spalić. Wierny przyjaciel Polpetto, spełni własną ręką auto-da-fe. Wielki płomień z poblizkiéj giserni oświeca nagle scenę. Pyszny obraz zmieni się w garść popiołu. W téj chwili heroldowie uderzają znów w trąby: Laurenty Medyceusz, otoczony świetném groném, wchodzi do pracowni, imieniem kraju wzywa Galeottego, by nowém arcydziełem udarował Florencyą. Na znak mistrza, uczniowie wnoszą do pracowni obraz pokryty zasłoną purpurową.

Drugi akt rozpoczyna się w ogrodach pałacu Medyceuszów, dokąd przeniesiono pracownią Galeottego. Książe oznajmia sam ulubionemu mistrzowi, że Florentczyk wycofał z konkursu własny

obraz. Na tę wieść Galeotti wybucha gniéwem; rzuca obelgi na nieznanego współzawodnika. Nienawiść zamienia w pogardę.

— Wielcy artyści—rzecze—nie lękają się walki, lecz sami jéj szukają. Ten, kto to uczynił, nikczemnym jest i podłym!

Angelo milczy, jak głaz. Miłość dla Paoli jest mu tarczą przeciw wszelkim pociskom. Ale Polpetto nie może znieść obelgi, wyrządzonéj przyjacielowi. Skoro odszedł Galeotti, wyjawia księciu tajemnicę.

— Ten Florentczyk, panie, oto on!—rzecze—ukazując drżącego młodziana i wyjawia ofiarę, jaką spełnił.

Położenie staje się tém trudniejszém, kiedy Galeotti wyznaje księciu miłość swą dla Paoli.

— Jam zgubiony!—woła Florentczyk z najwyższą rozpaczą.

Trąby odzywają się znowu. Laurenty Medyceusz położy za chwilę złoty wieniec na głowie szczęśliwego zwycięzcy. Obraz stoi na stalugach pokryty purpurową zasłoną. Na znak księcia, zasłona spada. Galeotti wydaje rozpaczliwy okrzyk. Obraz ten nie jego jest dziełem. Polpetto przez zbytni pośpiech wrzucił w płomień obraz Galeottego!

Zaczyna się akt trzeci. Galeotti poprzysięga zemstę zdrajcy, który go okrył hańbą. Wybiera się w drogę: przebiegnie Rzym, Neapol i Wenecyą, musi bądź co bądź wynaleźć nikczemnika, musi go zamordować. List niewiadoméj ręki wykrywa mu tajemnicę.

Ten nieznany Florentczyk, to Angelo Palma jego uczeń. W téjże saméj chwili Galeotti odkrywa miłość Angela dla Paoli. Boleść przyprowadza go do szaleństwa. Bandyta Michael, którego ocalił niegdyś od szubienicy, gotów być mścicielem znieważonego.

— Skoro dzwony uderzą na Anioł Pański—rzecze zbrodniarz do mistrza—kiedy zakonnicy rozpoczną psalmy w poblizkiéj kaplicy, Florentczyk przechodzić ma przez gaj cyprysowy, co otacza twą willę panie. Otwórz okno... na hasło to będziesz pomszczony!

Nadchodzi chwila... dzwony biją... Galeotti rozmyka okno... słychać strzał... zemsta dokonana! Cała ohyda zbrodni staje przed oczy Galeottemu.

— Jam go zabił—woła półobłąkany do wchodzącego Medyceusza. Dźwięk pieśni daje się słyszéć nagle: to pieśń Angela Palmy.

Ogrodzie słoneczny!
Gdzie wichry nie wieją,
Wśród wiosny téj wiecznéj
Zakwitasz nadzieją!

I Florentczyk wbiega na scenę z dymiącym jeszcze pistoletem, kula wymierzona jego ręką, ugodziła bandytę w samo serce. Galeotti bieży ku niemu, błaga przebaczenia, oddaje mu Paolę, mieni go własnym synem. Wszyscy uszczęśliwieni.

Wspaniały finał zakończa operę uwieńczoną podwójnym wieńcem. Jeden z nich otrzymał S-t Georges za śliczne libretto, drugi p. Lenepfeu za godną libretta kompozycyą. Młody ten uczeń szkoły muzycznéj w Rzymie, zajął żywo Paryż utworem swoim. Francuzi rozmiłowani w muzyce włoskiéj, któréj p. Lenepfeu gorącym jest zwolennikiem, szczerze mu przyklasnęli i wielkie pokładają w nim nadzieje.

Czwarty tom korrespondencyi Lamartina, tylko co opuścił prassę. O dwóch pierwszych tomach téj ogromnéj publikacyi, wspominaliśmy rok temu. Trzeci mniéj nas zajął od poprzednich, gdyż obejmuje szczegóły z młodych lat poety, znane powszechnie z jego zwierzeń i pamiętników. Napotykamy tu imiona Grazieli, a następnie Elwiry. Widzimy Lamartina szarpiącego się z życiem, z jednéj strony wystawionego na bolesne próby, z drugiéj upojonego chwałą po pierwszém pojawieniu się *medytacyi*. Czwarty tom, obejmujący przeciąg lat sześciu od roku 1827 do 1833, żywo zajął powszechną uwagę. W listach, które mamy przed oczyma, nie widzimy już chorobliwego młodzieńca, troskliwego o przyszłość swoją, goniącego same ułudy. Umysł poety dojrzał, serce jego bije głębokiém, prawdziwém uczuciem. Listy, w których opłakuje skon matki, a następnie śmierć ukochanéj córki, poruszają do głębi serca czytelników i wyciskają im łzy z oczu.

Do najciekawszych należą listy, pisane z Florencyi w roku 1828 i dwóch latach następnych. Poeta przeczuwał rewolucyą lipcową wówczas, kiedy nikt nie myślał jeszcze o niéj. Trwoga ogarnia go, chwyta pilnie każdą wieść z Francyi, widzi przepaść roztwierającą się pod tronem Burbonów. Cierpi na tém, bo od dziecka wychowany w tradycyach królewskości, a jednak patrzy na rzeczy bez uprzedzenia. „Serce moje—pisze—przepełnione goryczą, gdy pomnę, gdzie oni byli, i gdzie mogli spokojnie bez wstrząśnienia poprowadzić nowożytną cywilizacyą. Weźmie ona nowych przewodników, nie wątpię o tém: trudno jéj powracać do tych, którzy dowiedli już po trzykroć, że ślepi z urodzenia!"

Ostatnie listy czwartego tomu z Nauplii, z Beyruth i Semlina, pisane pobieżnie, mało obejmują szczegółów. Lamartine zamierzał wydać podróż swoją po Wschodzie, w tym celu zbierał obszerne notaty w Grecyi i w innych miejscach. Pragnąc, aby przyjaciele z tém większém zajęciem czytali zamierzoną publikacyą, nie rozpraszał w listach doznanych wrażeń. Podróż ta uśmiechała się zrazu do poety. Rad był, że się puszcza na morze własnym jachtem, jakby jaki sułtan z tysiąca jednéj nocy; że liczne karawany gromadzą się na jego rozkaz. Grecya nie zachwyciła go bynajmniéj. Ta ziemia naga i smutna, niegodna według niego wielkiéj sławy, jakiéj używa w świecie. Azya za to porywa jego umysł, zapala wyobraźnię,

Wszystko tu nadzwyczajne; krajobrazy odpowiadają wielkim tradycyom. Poeta oddycha pełną piersią, ale niestety szczęście to nie potrwa! Dziesięcioletnia Julia ukochana corka, dla któréj podjął tę podróż, więdnieje i pada, jak kwiat podcięty kosą. Listy ojca po stracie téj dzieciny, są wykrzykiem najsroższéj boleści, jaką zaznało ludzkie serce. Niepodobna czytać ich bez łez; boleść to szczera, głęboka, prawdziwie ojcowska. W obec niéj poeta zapomina o sobie, nie szuka efektu; każde téż słowo porusza do głębi czytelnika i budzi w nim najszczersze współczucie.

Pod tytułem: *Les chants du Droit et de l'Epeé* (pieśni prawa i miecza) p. Oktawiusz Dueros wydał świeżo zbiorek poezyi. Akademia francuzka przy rozdawaniu ostatnich nagród, zaszczyciła te pieśni pełne gorącego zapału. Trafił szczególniéj do serca Paryżanom poemacik umieszczony na czele tomu, jako wyraz powszechnego uczucia. Poeta staje przed mappą Francyi, patrzy na czarną plamę kryjącą od strony Renu Alzacyą i Lotaryngią.

Rozpostrzéć nam wszystkim złowrogą tę kartę,
Ach! miecz ją poplamił zwycięzki!
Na widok jéj serca boleścią rozdarte
Niech liczą dnie hańby i klęski.

W pałacu i w mieście, i w chacie wieśniaczéj,
W pomroku nizkiego poddasza,
Niech ona wyrywa z serc wykrzyk rozpaczy,
Niech oczy sromotą przestrasza.

W żałobną tę plamę wlepiajmy w ciąż oko,
Bodaj ją łzy nasze wyżarły!
To wrota grobowca rozwarte szeroko,
Któremi zstępuje umarły!

Ta plama was kryje, o syny wydarte
Z pod serca macierzy rodzonéj!
Wróg zemstą upojon zbezcześcił nam kartę:
Ach! wież on co czyni szalony?

Wiosna w Paryżu prawdziwy ma urok. Niedość że bulwary i Pola Elizejskie radują oczy zielonością, że ogrody rozsiewają w około woń kwiatów: inne tu jeszcze gody przynosi z sobą ta piękna pora roku. Z wiosną rozpoczynają się różnego rodzaju popisy i wystawy. Nie mówimy tu już o wyścigach konnych, zostawiamy to odpowied-

niejszym od nas sędziom. Naszą rzeczą wspominać innego rodzaju igrzyska, toczące się na wielkiéj arenie inteligencyi, igrzyska, które Paryż ukazuje przed oczy światu w ciągu kwietnia i maja. W przyszłéj kronice powiemy o dorocznéj wystawie rzeźb i obrazów, na którą dwa tysiące blizko artystów nadesłało trzy tysiące kilkaset dzieł, wykonanych tak pędzlem jak dłutem i rylcem. Dziś wspomnimy dwie mniéj może świetne, lecz niemniéj ważne uroczystości: zebranie naukowych towarzystw z całéj Francyi w Sorbonnie, i publiczne zgromadzenie Towarzystwa Jeograficznego.

Uroczystość Sorbońska nadzwyczaj była w tym roku ożywioną. Dwadzieścia medalów rozdanych przez uniwersytet paryzki za prace podjęte w rozmaitych wydziałach nauki: historyi, archeologii, matematyki, mineralogii, meteorologii i t. p., dwadzieścia kilka chlubnych wzmianek, i trzy nagrody pieniężne, wszystko to wymownie świadczy o niezmordowanych wysileniach narodu, jak niemniéj o sile twórczéj, która go bynajmniéj nie opuszcza, a którą przebyte klęski bardziéj rozbudziły.

Posiedzenię rozpoczęło się zdaniem sprawy z ważnych prac Towarzystwa starożytników w Poitiers, Towarzystwa Historyczno-archeologicznego w Chalons sur Saone, i komisyi archeologicznéj w Narbonnie. Każde z wymienionych towarzystw otrzymało medal złoty i tysiąc franków wynagrodzenia.

Minister oświecenia p. Fourton w pięknéj mowie wykazał całą ważność prac historycznych, podejmowanych zwłaszcza w miejscach gdzie się spełniały wielkie wypadki dziejowe. „Popęd to wrodzony człowiekowi—rzekł mówca—badać pierwotne swoje pochodzenie, wnikać do gruntu w przeszłość, do najgłębszych źródeł bytu narodowego, i pilném okiem śledzić ów strumień życia, toczący się krętym lecz nie przerwanym biegiem, strumień który pokolenia przekazują pokoleniom. Ludy mają także ten popęd; nie próżna tylko ciekawość pędzi je w tym kierunku. Badają kolejne przeobrażenia swoje, odkrywają stałe prawa przewodniczące ich rozwojowi, instytucye zgodne z ich geniuszem, poznają warunki normalne dobrobytu swego i potęgi.

„ Wytrwałe badania wasze—ciągnie mówca—dają nam poznać konstytucyę naszych starożytnych prowincyj, wyświetlają one, walki które poprzedziły w dawnych wiekach, wyrób nowożytnych ustaw, i postępowy rozwój dzisiejszego społeczeństwa naszego. Przedmiot to wielkiéj doniosłości, niestety zbyt mało jeszcze znany. Z tych badań tak zresztą zajmujących, pokazuje się, że ludy zdążają zawsze na przód, nie pozostając nigdy w miejscu; że cała nauka polityczna, nie zdolna zatrzymać ich w pochodzie, powinna tylko regulować ten pochód, zbawienny i dobroczynny, jeżeli rozwija się na prawach normalnych; w przeciwnym zaś wypadku, jeżeli powstrzymywany gwałtownie, lub naglony gorączkowo, doprowadzający społeczeństwa do opłakanych klęsk i katastrof.

„Nie w samym tylko wydziale nauk historycznych—mówi daléj minister—wasz wpływ okazuje się zbawiennym. Dotykacie wszystkich gałęzi wiedzy ludzkiéj, i równy bierzecie udział w uprawianiu nauk ścisłych, literatury i sztuk pięknych. Wam zawdzięczamy w wielkiéj części, poznanie téj ziemi na któréj żyjemy, a która w łonie swojém piastuje szczątki zmarłych dawno pokoleń. Słowem, gdziekolwiek powstają wasze towarzystwa, stają się natychmiast ogniskiem najważniejszych działań. Umysły porwane silnym prądem, garną się do was z wiarą i otuchą. Miłość kraju budzi się w sercach, ożywiona wspomnieniem dawnéj chwały, i całe prowincye karmią ducha niezmordowaną pracą waszą".

Oklask gorący odpowiedział na mowę ministra. Francya więcéj niż kiedykolwiek czuje potrzebę decentralizacyi, którą zdobywa coraz to silniéj na polu naukowém.

Byliśmy niemniéj obecni na publiczném zebraniu Towarzystwa Gegraficznego w dniu 27 kwietnia. Towarzystwo to przyszło dziś do prawdziwego rozkwitu. Wymownie świadczy o tém sama liczba członków, przenosząca dziewięćset pięćdziesięciu. Zapowiedziany na rok przyszły kongres geograficzny w Paryżu, bardziéj jeszcze rozszerzy koło działalności tego uczonego i żywotnego grona.

Prezydował na zebraniu wice-admirał la Ronciere la Nourry. Mowa znakomitego marynarza, prosta, wolna od retorycznych ozdób, wyrzeczona głosem donośnym, niemal rozkazodawczym, mocuo poruszyła słuchaczów. Admirał zdawał sprawę z pogrzebu Liwingstona, jako delegowany od Towarzystwa na smutną uroczystość do Londynu. Szczegóły pogrzebu znane z dzienników; nie będziemy ich tu powtarzali. Francuzi przyklasnęli Anglikom, za szlachetną myśl pomieszczenia w Westministerskim panteonie trumny najwytrwalszego z pomiędzy tegoczesnych podróżników. Gorące téż wspomnienie poświęcił mówca, słynnemu podróżnikowi francuzkiemu, Francis Garnier, zamordowanemu w Kochinchinie przed kilką miesiącami. Wielki portret Garniera w kilku sztychowanych odbiciach, zdobił salę, jako hołd należny jego wielkim zasługom.

P. Henryk Duvernier w długiéj i pięknéj mowie przeszedł życiorys Liwingstona, od początku pracowitego zawodu aż do śmierci. P. Abel Lemercier mówił o zawiązanym świeżo klubie alpejskim we Francyi, liczącym już stu czterdziestu członków. Smutny wypadek dotknął ten klub w pierwszym zawiązku. Prezes jego i główny twórca p. Billy, inspektor generalny górnictwa, zginął pod Dijon w skutek wypadku na kolei żelaznéj, 4 kwietnia roku bieżącego. Śmierć ta dotkliwa dla członków klubu, nie powstrzymała przecież ich działań.

Głównym celem tego nowego klubu jest ułatwienie młodzieży francuzkiéj podczas wakacyi, wycieczek w góry ojczystego kraju, tak w Alpy

jak w Pyreneje, Wogezy i t. p. Klub zajmować się będzie udostępnieniem dróg na strome wierzchołki niezdeptane dotąd ludzką stopą, jak niemniéj uorganizowaniem przewodników i urządzeniem gospód. Myśl to wyborna. Wiadomo o ile podróże, zwłaszcza odbywane wspólnie, piechotą, pod kierunkiem światłych professorów, przyczyniają się do rozwijania władz umysłowych w młodzieży. Dodajmy do tego ćwiczenia gimnastyczne tak niezbędne po kilko miesięcznéj pracy na szkolnéj ławie. Podobne kluby zawiązujące się obecnie w różnych krajach, przybiorą zapewne charakter międzynarodowy, obalą w krótce monopol hotelistów i przewodników, którzy jak starożytne smoki w bajce, zagradzają prostym śmiertelnikom przystęp na Mont-Blanc i inne sławne wierzchołki, a otwierają go tylko za garście złota amerykańskim i angielskim Nababom.

Zajął również uwagę powszechną odczyt księdza Bouche, missyonarza w Dahomay. Z wielkim zapałem opisuje on wspaniałą przyrodę krajów podzwrotnikowych i pełne prostoty obyczaje tych ludów, pogrążonych jeszcze w tak grubéj ciemnocie, że małpy odbierają u nich hołd najwyższy. Wielkie jednak ognisko handlowo-przemysłowe rozsiane po wybrzeżach, licząc niekiedy do pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu tysięcy mieszkańców różnoplemiennych, jak niemniéj kantory angielskie, francuzkie, portugalskie, holenderskie, niemieckie, wreszcie wytrwałe działania missyonarzy: wszystko to zapowiada rychłą zmianę w obyczajach owego pierwotnego ludu.

W końcu posiedzenia admirał w imieniu Towarzystwa wręczył p. Alfonsowi Pinart złoty medal, przeznaczony w nagrodę za najważniejsze odkrycia na polu geografii. Członek komissyi konkursowéj p. Malte Brun zdał sprawę z prac laureata. P. Alfons Pinart poświęcił rok na zwiedzenie wybrzeży Alaska i wysp Aleutyńskich, w północno zachodniéj Ameryce. Skreślił dokładną mappę tych nieznanych dotąd okolic, przywiózł niemniéj wielkie zbiory miejscowych przedmiotów, równie ważne dla rozwoju nauk etnograficznych jak przyrodniczych.

Prezes składając złoty medal w ręce młodego podróżnika, dodał gorące słowo zachęty: „Zasłużyłeś pan na tę nagrodę—rzekł z uczuciem;—bodajby twój przykład stał się bodźcem dla młodych rówieników, bodajby jak ty chcieli poświęcać dla ogólnego dobra, piękne lata młodości swojéj!"

Do nieprzeliczonych prac historycznych poświęconych dziejom pierwszego i największego z Burbonów, przybyła dziś piękna publikacya p. Lescure, ozdobiona dziesięcioma stalorytami p. t. *Henryk IV.*

Autor w przedmowie wypowiada co go skłoniło do napisania owego życiorysu: „I kogoż—pyta on—nie ogarnął czarny smutek, na widok strasznych klęsk walących się na Francyą? Wobec tych nie-

szczęść i szaleństw jakie po nich nastąpiły, zwątpienie ogarnęło serca: nie jedni pytali w rozpaczy, ażali słońce nie zgasło nad narodem, ażali nie wybiła ostatnia godzina jego wiekowéj chwały? Wówczasto ludzie silniejsi duchem spojrzeli bacznie poza siebie i poczęli szukać w pasmie dziejów, chwil równie bolesnych, równie ciemnych, kiedy widnokrąg równie grubemi jak dziś otoczon był chmurami i spostrzegli z otuchą, że chwile takie nieraz już powtarzały się w dziejach, że naród zwątpił już nieraz o przyszłości i wołał rozpaczliwie: „wszystko przepadło!“ a jednak promień słońca przebijał czarne chmury i po burzy świeciła znów pogoda!“

Do liczby tych zbolałych, którzy w przeszłości szukali otuchy na przyszłość, należy p. Lescure. Owocem jego badań jest dzieło o Henryku IV.

W czasach kiedy dzielny książe Bearnu zdobył zwycięzko Paryż, Francya uplątana w krwawe wojny zewnętrzne szarpana była niemniéj najstraszniejszą wojną domową. Wszystko zdawało się stracone; hiszpańskie wojska zalały kraj, w skarbie brakło pieniędzy: stronnictwa szarpały się nawzajem.

Dzisiejsze położenie Francyi przypomina te smutne czasy. Autor wiedziony pobudką patryotyczną, wziął sobie za cel dowieść, że jeżeli Francya po zwycięztwach hiszpańskich i zawichrzeniach *Ligi*, z końcem XVI wieku została wkrótce świetną Francyą z czasów Ludwika XIV, jest niemniéj rzeczą niewątpliwą, że Francya dzisiejsza po strasznéj wojnie niemieckiéj i straszniejszéj Komunie, wypłynie wkrótce z odmętu i zajmie w świecie należące jéj stanowisko. Wniosek ten wyprowadza loicznie p. Lescure z historyi Henryka IV.

Autor chcąc uczynić dzieło swoje jaknajpowszechniejszém, pominął mnóstwo skandalicznych szczegółów z domowego życia monarchy; przedstawił tylko główne przygody z dziejów téj epoki, w których wielki król występuje jako nieustraszony bohatér, wytrawny mąż stanu i ojciec ludu swego.

Piękne staloryty Leopolda Flaming przedstawiają: Urodzenie Henryka w zamku Pau, Bitwa pod Iwry, Tryumfalny wjazd do Paryża, Zgromadzenie narodowe w Rouen, Małżeństwo Henryka z Maryą Medyceuszką; nakoniec śmierć jego pod sztyletem Ravaillaka. Wszystkie ryciny wykonane według obrazów wielkich mistrzów.

W pierwszych dniach kwietnia r. b. umarł w Monachium na cholerę, sławny malarz niemiecki Wilhelm Kaulbach, dyrektor akademii sztuk pięknych w témże mieście. Należał on do świetnéj plejady malarzy niemieckich, którzy w pierwszéj połowie bieżącego wieku, pod kierunkiem Korneliusa, wzięli sobie za cel odrodzić sztukę malarstwa w Niemczech, a nawet w całéj Europie. Zadaniem ich było wyłamać się z więzów zużytego klassycyzmu, czerpać w żywych

źródłach przyrody, a zarazem podnosić ową przyrodę do najwyższego uduchownienia. Szkoła Korneliusza i Kaulbacha nie wydała tak wielkich następstw, jakich oczekiwali znakomici jéj twórcy. Następcy ich zerwali wprawdzie z klassycyzmem, ale rzucili się w drugą ostateczność, w realizm czysto ziemski. Nie umniejsza to przecież zasługi wielkich przewodników: droga wytknięta przez nich stoi otworem dla przyszłości.

Wilhelm Kaulbach urodził się w Arolsen w Księztwie Waldeck r. 1805. W młodym bardzo wieku mając zaledwie lat ośmnaście, zaczął pracować w Akademii Düsseldorskiéj pod kierunkiem Korneliusza. Mistrz ten dopatrzywszy w uczniu wysokie zdolności i prawdziwą samodzielność, powierzył mu w Monachium wykonanie fresków na suficie nowo zbudowanego teatru. Dwudziestoczteroletni młodzian, piękną grupą Apolina w pośród Muz dał się poznać zaszczytnie w Niemczech. Wkrótce potém odmalował sławny *Szpital waryatów*, rozpowszechniony stalorytami Mertza, obraz pełen prawdy i oryginalności. Wezwany przez księcia Maksymiliana bawarskiego, ozdobił salę balową w jego pałacu szesnastu freskami z mytologicznéj bajki o Amorze i Psyche.

Piérwszy wielki obraz historyczny wykonał Kaulbach w r. 1837, dla hr. Raczyńskiego. Mówimy tu o sławnéj *Bitwie Hunnów:* olbrzymie zapasy barbarzyńców Północy z ludami Zachodu i Wschodu, skończone już pod murami wiecznego miasta; stosy trupów zaściełają ziemię, ale duchy zapaśników walczą jeszcze w obłokach. Taką jest treść owéj pięknéj kompozycyi. W rok potém utworzył słynny obraz: *Zburzenie Jerozolimy* przez Tytusa. Pyszny ten utwór wykonany olejno, zdobi nową pinakotekę w Monachium.

Sława Kaulbacha wzrastała z każdym rokiem. Na wezwanie króla pruskiego, znakomity mistrz udał się do Berlina, gdzie wspólnie z uczniami swymi ozdobił freskami wschody nowego Muzeum. Tu, oprócz *Bitwy Hunnów* i *Zburzenia Jerozolimy*, widzimy jeszcze wielkie freski przedstawiające *Budowę wieży Babel*, *Przybycie Homera do Grecyi*, *Wnijście Krzyżowców do Jerozolimy* i *Wiek reformacyi.* Szkic tego ostatniego obrazu podziwiano przed siedmiu laty na paryzkiéj wystawie.

Słyną zarówno freski Kaulbacha w pinakotece mnichowskiéj, przedstawiające rozwój sztuki nowożytnéj od czasów odrodzenia, aż do XVIII wieku. Z obrazów olejnych niemniéj sławny utwór ogromnych rozmiarów: *Bitwa pod Salaminą*, znajdujący się zarówno w Monachium.

Oprócz tych wielkich kompozycyj, Kaulbach wykonał wielką liczbę portretów, a między niemi znakomity portret Ludwika I, króla bawarskiego. Zostawił także wielką liczbę rysunków przedstawiających sceny z Biblii, z dzieł Szekspira, Szyllera i Goethego. Sławna epopea zwierząt *Reinecke Fuchs*, oddana z humorystyczną werwą należy do najcelniejszych jego utworów rodzajowych.

Od roku 1849 był Kaulbach dyrektorem akademii w Monachium, członkiem honorowym wszystkich akademii sztuk pięknych w Europie. Synowiec jego Fryderyk, jeden z najzdolniejszych dziś malarzy rodzajowych w Niemczech, dał się poznać świetnie na wystawie roku zeszłego w Wiedniu kilku pięknemi utworami. Najwięcéj chwalono obraz przedstawiający Mozarta na kilka chwil przed śmiercią, gdy się przysłuchuje własnemu *Requiem*.

W tych dniach odbędzie się w akademii francuzkiéj uroczyste przyjęcie Aleksandra Dumasa. Nowy akademik spędził zimę we Włoszech. Przed dwoma tygodniami przysłał do rozpatrzenia komissyi akademickiéj mowę przygotowaną w Rzymie. Pewni jesteśmy że nauczony przykładem Oliwiera, p. Dumas potrafi płynąć zręcznie pomiędzy Scyllą a Charybdą i nie przebierze miary w pochwałach cesarstwa, mimo że z obowiązku ma podnosić zasługi poety Lebrun, apologisty Napoleona I. O téj uroczystości na którą czeka ciekawie Paryż, powiemy szczegółowo w przyszłéj kronice naszéj.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

„*Wiadomości archeologiczne. Spostrzeżenie z lat ostatnich w dziedzinie starożytności krajowych. Czasy przedhistoryczne.*"

Pod tym tytułem wyszło w r. z. dziełko zbiorowe, obejmujące szereg spostrzeżeń i wiadomości z archeologii krajowéj. W obec nielicznych u nas tego rodzaju badań, dziełko to stanowi nader rzadkie zjawisko w dziedzinie naszego piśmiennictwa. A jednak archeologia przedstawia u nas bardzo wdzięczne pole dla każdego, kto z zamiłowaniem zechce oddać się temu przedmiotowi. Dotąd bowiem w kraju naszym zaledwie kilka miejscowości lepiéj poznano, reszta cierpliwie oczekuje, azali w przyszłości nie rozbudzi się większe zamiłowanie do poszukiwań archeologicznych. Jako nauka, archeologia polska prawie nie istnieje. Wprawdzie od czasów Hugona Kołłątaja poczęto gromadzić materyały naukowe, do czego wielce przyczyniło się Towarzystwo przyjaciół nauk, wyznaczając konkursowe zadanie w r. 1828; atoli rozstrzelone prace pojedyńczych archeologów, nie wydały należytych owoców.

Archeologia polska, jak każda inna, ma na celu poznanie i zbadanie pierwotnych wyrobów ręki ludzkiéj, aby z rozrzuconych tu i ówdzie pomników odwzorować sobie obraz téj społeczności, co już w dawno zamierzchłych wiekach usnęła. Naprawdę niełatwe to zadanie! archeologia bowiem tam się kończy, gdzie się historya poczyna. Historyk, pragnący wyświecić dany fakt, porównywa kroniki różnych narodów, odczytuje hieroglify, powołuje na pomoc filologię, mitologię, numizmatykę, heraldykę, wreszcie bada styl zabytków pozostałych i tym sposobem dochodzi do rozpoznania epoki. W braku tych dodatnich faktów, na cóż się powoła archeolog, jakie możliwe *kriterium* obierze do określenia epoki i rodzaju społeczności, z owéj przedhistorycznéj doby naszego istnienia? Owóż archeologia w tym razie nie jest tak pozbawioną podstaw, jakby to na pierwszy rzut oka zdawało się. W podobnym wypadku archeologia odwołuje się do innych pomocniczych nauk, a mianowicie: geologii, paleontologii i antropologii, które w wspólném zestawieniu prowadzą

do oznaczenia epoki i miejsca, a ztąd w poszukiwaniach archeologicznych, nauki te pominiętemi być nie mogą.

Historyk badający epokę starożytną, z łatwością rozpoznać może, ze stylu każdego pomnika jego pochodzenie. Biegły znawca łatwo odróżni posągi greckie od egipskich, etruskich i rzymskich i dla każdego z nich właściwą epokę oznaczy. Wszakże tenże sam badacz, gdy się znajdzie w obec epoki przeddziejowéj, w obec najprostszych narzędzi z krzemienia urobionych, niemających żadnego im właściwego stylu, nie w małym będzie kłopocie, gdy zechcę chociaż w przybliżeniu badaną epokę i narodowość oznaczyć.

Nie dość orzec, że narzędzie to pochodzi z okresu kamiennego; byłoby to zanadto ogólnikowe. Okres bowiem narzędzi krzemiennych, sięgając początków rodu ludzkiego, trwał w ciągu wielu tysięcy lat i dotąd istnieje jeszcze u niektórych ludów Północnéj Ameryki.

Powołując się zaś na geologię, będziemy mogli oznaczyć formacyą, a tém samém przypuszczalnie starożytność pokładu, gdzie narzędzie odnaleziono; następnie poleontologia objaśnia gatunki zwierząt zaginionych w téj saméj formacyi znajdujące się; wreszcie antropologia da nam poznać stronę somatyczną ówczesnych tubylców. Postępując tak złożoną metodą w badaniach archeologicznych, otrzymamy możliwy sprawdzian naszych wniosków. Już z tego pobieżnego rozbioru widoczném jest, ile ważnemi są wskazówki, jakie archeologia czerpie od pomocniczych nauk; w dalszym ciągu postaramy się związek ten jaśniéj uwydatnić.

Nie ulega wątpliwości, że ze wszystkich pomocniczych nauk, paleontologia w poszukiwaniach archeologicznych, ma największe znaczenie. Jéj dane uczą nas, że dotąd stanowczo sprawdzono istnienie człowieka w czwartorzędnych formacyach tak zwanych antropolitycznych, wszelkie zaś inne twierdzenia na korzyść bardziéj wczesnego pochodzenia rodu ludzkiego, na wyłącznéj podstawie archeologii stawiane, nie znalazły uznania w nauce. Naprożno X. Bourgeois na wszystkich kongresach antropologicznych broni żarliwie istnienia człowieka w trzeciorzędnych formacyach, popierając je licznemi wyrobami ręki ludzkiéj z łomów kamiennych de S-t Prest; naprożno odwołuje się do zdania geologów względem rzetelności pokładu *(pliocenu)*, zkąd narzędzia wydobyto; nie zdołał tém przekonać członków kongresu, uznających twierdzenia jego za niewystarczające. Gdyby wszakże X. Bourgeois mógł poprzeć je dowodami z poleontologii zaczerpniętemi, a mianowicie sztucznie rozłupanemi kośćmi Mastodonta lub Salamandry Scheuchzera gatunków wygasłych w *pliocenie*, nie pozostałoby wówczas najmniejszéj wątpliwości. Nateraz uznajemy tylko współistnienie człowieka ze zwierzętami zaginionemi, jako to: z mamutem, (kolosem ówczesnego świata), lwem jaskiniowym, hieną jaskiniową, niedźwiedziem jaskiniowym, jeleniem olbrzymem (cervus megaceros) wreszcie z olbrzy-

miemi ptakami: Dinornis i Epiornis. Dzięki niezmordowanéj pracy Boucher de Perthesa, Schmerlinga, Lyella, Owena i wielu innych posiadamy w téj mierze pewne i niezbite dowody. Wyroby ręki ludzkiéj obok kości wygasłych obecnie zwierząt, rozłupane kości tychże zwierząt sztucznemi narzędziami w celu wydobycia z nich szpiku; stwierdzają z jednéj strony, że narzędzia te musiały być produkcyą pracy ludzkiéj, z drugiéj zaś strony, że kości tych zwierząt musiały być świéże, skoro szpik jadalny w sobie mieściły.

Współistnienie zatém człowieka ze zwierzętami zaginionemi, stało się obecnie w nauce faktem, nieulegającym zaprzeczeniu. Stwierdzają to nietylko dane z paleontologii i geologii, lecz dzisiaj sama archeologia posiada dowody niewątpliwe. Tyczy się to przedewszystkiém odnalezionych w ostatnich czasach p. Larteta, rzeźbionych na kości wizerunków, wyobrażających gonitwę mamuta, jeleni olbrzymich oraz renów. Wizerunki te z pewną dokładnością odrobione, dają niezbite świadectwo, że ów przedpotopowy artysta musiał je wprzód osobiście oglądać zanim tę reprodukcyą wykonał.

Wszelako pomimo sprawdzonéj egzystencyi człowieka ze zwierzętami przedpotopowemi, nie posiadaliśmy dotąd całkowitego skieletu człowieka kopalnego. Wprawdzie już w r. 1852, pewien francuzki rzemieślnik Bonnemaison, przypadkowo odkrył jaskinią Aurignac, gdzie 17 ludzkich skieletów kopalnych, znajdowało się obok kości rozłupanych zwierząt z epoki diluvialnéj. Dzięki wyniesieniu jaskini Aurignac nad poziom morza 430 metrów wynoszącemu, skielety te były całkowicie zachowane od prądów wód potopowych, które zaledwie od 200—250 metrów dosięgały. Wypadek wszakże chciał, że to znakomite odkrycie zostało na zawsze dla nauki straconém. Mer miejscowy D-r Amiel, obawiając się przesądnéj miejscowéj ludności, kazał skielety te zakopać do ziemi.

Od odkrycia jaskini Aurignac przeszło 20 lat minęło, zanim nauka zbogaciła się zdobyczą skieletu człowieka kopalnego. Emilowi Rivière zawdzięczamy wynalezienie skieletu ludzkiego z epoki mamuta i niedźwiedzia jaskiniowego, albo mówiąc językiem archeologii, z epoki dawnokamiennéj (paleolitycznéj). Skielet ten znaleziono w r. 1878 w łomach skał wapiennych, pomiędzy Mentoną a Monaco; nieco późniéj tenże sam Rivière w innéj jaskini Baoussé Roussé w pobliżu Mentony, wykrył drugi skielet z téjże saméj epoki pochodzący. W roku zaś zeszłym (1873), p. Massenat wynalazł inny skielet ludzki z epoki renów (de l'âge du renne) w jaskini Laugerie Basse, (Dordogne). O tém odkryciu członek przyrodników francuzkich E. Cartailhac złożył szczegółowe sprawozdanie, podnosząc znaczenie tego faktu. „Nauka—mówi on—posiada wreszcie skielet człowieka z epoki renów, o czém dziś nie możemy wątpić ani na chwilę."

Dalsze badania paleontologiczne wykazały istnienie człowieka w epoce peryodu lodowego w Alzacyi w Wogezach, a mianowicie w Lahr i Eginsheimie.

Widzimy z tego, jak wielkiéj doniosłości dla archeologii, są dane paleontologiczne, mniejszego nieco znaczenia nabiera geologia w tym razie, nie przeto, aby nauka ta mniéj była potrzebną archeologowi, lecz że wnioski, stawiane wyłącznie na jéj danych, częstokroć mają wielką cechę dowolności. A jednak archeologia najbardziéj pożąda tego sprawdzianu. W saméj rzeczy, czém jest w istocie geologia, jeśli nie nauką *przestrzeni i czasu* rozwoju ziemi. To bowiem, co przed tysiącami lat należało do geografii, to dziś należy do geologii i odwrotnie, co dziś stanowi dziedzinę geografii, to po tysiącach lat będzie należéć do geologii. Kwestya zaś *przestrzeni i czasu* odnośnie do człowieka, stanowi jedno z zadań archeologii. Jest to punkt zetknięcia się tych nauk z sobą. Zobaczmy, o ile dane z geologii w stanie są rozwikłać wątpliwości archeologa względem starożytności rodu ludzkiego.

Geologia zarówno, jak paleontologia, stwierdza istnienie człowieka w formacyi czwartorzędnéj; z geologii zaś wiemy, że te formacye stanowią zaledwie $^1/_{200}$ część innych formacyj neptunicznych. Gdy bowiem podług obliczenia prof. Ramsaya, grubość formacyj neptunicznych pierwszych trzech epok, równa sie w Anglii 72589 stopom, a na lądzie do 130,000 stóp dochodzi; grubość pokładów formacyj czwartorzędnych zaledwie od 200—2000 stóp wynosi. Z tego porównawczego zestawienia widzimy, jak nieznacznem jest stosunkowo istnienie człowieka w porównaniu z istnieniem innych istot organicznych.

Na zasadzie tych danych, jedni starożytność formacyj czwartorzędnych (a zatém i rodu ludzkiego) obliczają przeszło na 150,000 lat, inni znów redukują tę cyfrę do 12,000 lat! Gdzie jest prawda, na to dziś odpowiedzieć nie możemy. To tylko pewna, że wszelkie obliczenia podobnego rodzaju, nie mają żadnéj pozytywnéj podstawy. Usuwając bowiem na stronę teoryą kataklizmów w geologii i paleontologii, musimy przyjąć obecnie, jako jedynie dziś racyonalną teoryę rewolucyjną dla całego wszechświata, a tém samém usuniemy na drodze logicznego rozumowania stawianie kwestyj, które w istocie istnieć nie powinny. Czas bowiem tylko, różnice te tak w istotach pojedyńczych, jak i pokładach ziemi sprowadza i wielkością tych różnic mierzymy odległość epoki czyli czasu.

Trzecią z kolei pomocniczą nauką dla archeologa jest *antropologia*. Antropologia, jako nauka o człowieku, obznajmia nas przedewszystkiém z *gatunkiem* (species) człowieka. Uwydatniając plemienne i rasowe różnice, sposób życia i zachowania się ludzi w różnych miejscowościach, oraz rodzaj ich kultury, antropologia wielce się przyczyniła do zrozumienia owéj społeczności, która dziś archeologa zajmuje.

Wskazówki jakie ztąd archeologia czerpie, nabierają tém większego znaczenia, gdyż dane z antropologii na ścisłych faktach wspierają się. Tak naprzykład: porównywając rozmaite części skieletu człowieka kopalnego z różnych epok z obecnie żyjącym, możemy poznać stronę somatyczną ówczesnych tubylców. Tym sposobem nietrudno nam będzie ocenić jego wzrost, siłę fizyczną, a nawet w części inteligencyę.

Wprawdzie wyrokowanie w ogólności z budowy czaszki o inteligencyi może się wydać śmiałém i w wielu razach zawodném, niemniéj wszakże małéj objętości czaszki nieprzechodzące 1133 gram dla mężczyzny i 975 gram dla kobiety [1]) cechują zawsze i niewątpliwie upośledzenie władz umysłowych.

Na podstawie faktów antropologicznych doszliśmy do przekonania, że pierwotni mieszkańce Europy należeli do *krótkogłowych* (Brachycéphales), inna zaś następna immigracya ludów aryjskich, miała typ długo-głowy (Dolicocéphales). Na téjże drodze wykryte różnice zębów przodowych, tojest wysoko posunięte ich zużycie, każą nam domyślać się, że dobrodziejstwo ognia nie zawsze było im znane, i że ówcześni ludzie, przeważnie pożerali pokarmy w stanie surowym, a ztąd musiały być odmienne ruchy szczęk od dzisiejszych.

Sądzimy, że tych kilka uwag wystarczy, aby uwydatnić związek paleontologii, geologii, antropologii i archeologii pomiędzy sobą, a tém samém wykazać doniosłość syntetycznéj metody w poszukiwaniach archeologicznych.

Czy „Wiadomości Archeologiczne" podług tej złożonéj metody dokonane? odpowiédź na to czytelnik znajdzie w samym tytule dzieła. Wszystko zatém, co tu się mieści, wyłącznie do archeologii przedhistorycznéj należy. Mając tak mało zebranych faktów, autorom dzieła tego nie szło ani o dozwolne na dziś ich grupowanie, ani o stawiania apriorystycznych wniosków. Na to będziemy musieli jeszcze długo czekać, zanim pojedyńcze fakta w jednę naukową całość ugrupować będzie można.

Wszelako to ugrupowanie łatwiéj z czasem przyjdzie u nas, aniżeli w innych miejscowościach Europy, mianowicie krajów Zachodu znacznie nad poziom morza wyniesionych, a ztąd zaludnionych o wiele wcześniéj od kraju naszego. Prawdopodobnie nie spotykamy się tu ani z towarzyszem mamuta, niedźwiedzia jaskiniowego lub hyeny jaskiniowej, lecz przypuszczalnie narzędzia pozostałe pochodzą od spokojnych rybaków lub uganiających się łowców za zwierzyną. Rassa bowiem, co obrała sobie równiny za pobyt stały, nie musiała być z wojowników lub grabieżców złożona.

Pozostaje nam teraz w kilku słowach dotknąć poszczegółowego rozbioru tego tak wielce interesującego dziełka. Nie mamy

---

[1]) Mózg goryla waży 600 gram.

tu zamiaru ani pretensyi pisać o niém recenzyę, zostawujemy to innym więcéj kompetentnym od nas. Zamiarem naszym jest dać poznać dla szerszego koła publiczności cichą i skromną pracę, która nie szuka innego wynagrodzenia, krom zadowolnienia moralnego z wypełnienia obywatelskich obowiązków wypływającego.

* * *

Nie małego zdziwienia doznaliśmy spotykając naczelny artykuł w „Wiadomościach archeologicznych“, o niedźwiedziu jaskiniowym (Ursus spelaeus). Jakto, miałżeby to być wyrób ręki ludzkiéj? oczywiście nie. A więc dziełko niniejsze nietylko archeologii, lecz i paleontologii jest poświęcone. Któżby się tego mógł domyśléć z tytułu. Z pomiędzy zwierząt mięsożernych, których części łatwiéj się przechowują dla swéj większéj twardości, wykopaliska niedźwiedzia jaskiniowego należą do najbardziéj pospolitych w Europie. Atoli w kraju naszym nie było dotąd stanowczych dowodów istnienia tego kopalnego gatunku. Wątpliwości te ustąpiły miejsca przed faktem oczywistym odnalezionéj całéj szczęki niedźwiedzia kopalnego, przez p. J. hr. Zawiszę w jaskini Łokietkowéj w Ojcowie, któréj dokładny drzeworyt w tekście zamieszczony. Żałować wszakże należy, że sz. autor nie podał przytém drzeworytu innego gatunku kopalnego (Ursus priscus), oraz dwóch gatunków obecnie żyjących: niedźwiedzia białego i brunatnego. Gdyby czytelnik znajdował tu razem zestawione gatunki kopalne z obecnie żyjącemi, łatwiéj mógłby sądzić o podobieństwie, oraz oceniać różnice jakie pomiędzy niemi zachodzą.

Wprawdzie autor wspomina, że niedźwiedź jaskiniowy różni się od naszego brakiem czwartego trzonowego zęba w szczęce górnéj i wielkością wymiarów głowy, których tablice nawet przytacza; ale przytém pominął niektóre inne ważne różnice, a mianowicie: że u niedźwiedzia jaskiniowego *brak zupełny zębów rzekomo trzonowych*, znajdujących się w innym gatunku kopalnym (Ursus priscus), oraz u obecnie żyjącego. Sam układ zębów niedźwiedzia jaskiniowego różnił się wielce od wszystkich innych gatunków tego rodzaju. Różnica ta przeważnie polegała na silném rózwinięciu się ostatniego zęba trzonowego, przezco w części wyrównywał się niedostatek czwartego zęba w zupełności wyrastającego, u drugiego kopalnego gatunku (Ursus priscus) i u niedźwiedzia dziś żyjącego. Owoż ten drugi kopalny gatunek wielce się zbliżał w budowie swéj do dziś żyjącego. Podobnie jak nasz biały niedźwiedź miał cztery zęby trzonowe w górnéj szczęce i przez czas długi zachowywał zęby rzekomo trzonowe. Te cechy wespół z innemi, dotyczącemi wielkości ciała i składu głowy, każą nam domyślać się o prostém następstwie dzisiejszego północnego niedźwiedzia od gatunku kopalnego *Ursus priscus*.

Na zasadzie budowy i układu zębów oraz silnéj wypukłości łba u niedźwiedzia jaskiniowego, możnaby wnioskować że był to zwierz

łagodniejszéj natury, niźli dotąd o nim pospolicie mniemano. Mniejsza liczebnie ilość zębów, słabsze stosunkowo rozwinięcie kłów, przy większéj o $^1/_3$ wielkości ciała, nadto silne wypuklenie łba i nieznaczna wysokość kości ciemieniowych, upoważniają nas do tego wniosku.

W samym opisie Łokietkowéj jaskini znajdujemy pewną niejasność; na piérwszéj kartce autor powiada: „Łokietkowa jaskinia, najwyżéj położona w chełmskiéj górze w dolinie Ojcowskiéj, nie była siedliskiem ludzkiém, a tylko zwierząt przedpotopowych; a nieco daléj na str. 4 mówi: przy wejściu tylko do Łokietkowéj jaskini i to na powierzchni, znalazłem ślady pobytu człowieka z *teraźniejszéj epoki*, tak że ich za przedhistoryczne uważać nie mogę.“ Pożądaném byłoby dla nas wiedzieć—jakie to były ślady pobytu człowieka, że je autor za przedhistoryczne uznać nie zgadza się?

Niemniéj zagadkowo autor się wyraża mówiąc o wynalezieniu szczęki kopalnéj, a mianowicie: „w lipcu 1872 r. udaliśmy się (z kim?) do jaskini i *pracując* do jedenastéj w nocy, *ujrzeliśmy się* przy powrocie w posiadaniu dwóch ważnych zabytków paleontologicznych“ (str. 2). Niejasność tu opisu jest zbyt oczywistą, aby nie mogła zwrócić uwagi czytelnika. Świadectwo samego autora dla nas najzupełniéj jest wystarczającém; atoli w braku ścisłości opisu, może ono nie być takowém dla obcych badaczy, pragnących zapoznać się z paleontologią kraju naszego. A niewątpliwie artykuł p. Zawiszy należy do rzędu tych, które w badaniach paleontologicznych pominiętemi być nie mogą.

* * *

Z wyjątkiem artykułu p. Zawiszy o niedźwiedziu jaskiniowym, wszystkie inne należą wyłącznie do archeologii. Znany zaszczytnie z prac swoich p. Józef Przyborowski podaje tu ciekawy opis epoki kamiennej w Sandomierskiém, gdzie obznajamia nas z budową grobów z téj epoki. Przed dwudziestu kilku laty we wsi Garbowie pod Zawichostem, odnaleziono wypadkiem grób kamienny zawierający w sobie krzemienne wyroby ręki ludzkiéj. Narzędzia te były produkcyą dość grubą i mało opracowaną, ale mieszkańce tameczni utrzymują, że pomiędzy wyrobami znalezionemi były i takie, które cechują epokę kamienia gładzonego. Dalsze poszukiwania wykryły tuż obok grobowca kamiennego leżący kościotrup głową na północ i do kamieni zwróconą. Z obu stron głowy leżały kości dziecięce. Kościotrup był obłożony drobnemi kamieniami z boków. Nieszczęściem, nie ocalało nic z tego odkrycia, gdyż za najmniejszém dotknięciem się, wszystkie kości skieletu w proch się rozsypały. Słusznie autor zauważył, że wynalazek ten okazuje nam pewne ówczesne zwyczaje grzebania ciał, bez ich poprzedniego palenia; wreszcie że sam grób raczéj za znak grobowy, niźli za schronienie dla ciała służył. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że grób ten pochodził z epoki ka-

miennéj, zaczém przemawia: niepalenie ciała, wyroby krzemienne i zupełny brak metali.

Do późniejszéj stosunkowo epoki należą groby: piątnicki, lelewski, andziński. Wszystkie one tak są zbudowane, że mogły dokładną stanowić ochronę dla zwłok ludzkich. Prawdopodobnie do tego okresu należy odnieść wykopane naczynie gliniane we wsi Stodołach. Naczynie to było napełnione popiołami niewątpliwie ze spalenia ciał pochodzącemi, co wszakże nie przeszkadza zaliczyć je do epoki kamiennéj. „Epoka bowiem kamienna, jak słusznie mówi autor, obejmuje tak długi przeciąg czasu od okresu lodowego aż do naszéj ery, że jéj trwanie zmusza nas do przyjęcia wśród téj epoki różnych coraz wyższych szczebli uobyczajenia, co i w budowie grobów i pieczy około ciał zmarłych wyraz swój zapewne miało.“ Zbyt śmiałém wydaje się nam przypuszczenie autora, jakoby groby w Garbowie i Stodołach należéć mogły do szczepu germańskiego, jako położone po lewéj stronie Wisły i niezbyt starannie urządzone; piątnicki zaś, andziński i lelewski, jako staranniéj zrobione i leżące po prawéj stronie Wisły należały do Słowian (?).

Nie mając zachowanych skieletów w tych grobach znajdujących się, wszelkie twierdzenie w tym względzie będzie aprioristyczném. Twierdzenie zaś Tacyta jakoby Germanowie nie lubili trudnić się koło starannego grzebania ciał swych przodków, tak mało zasługuje dziś na wiarę, jak i dowodzenie, że Słowianie staranniéj je grzebali. Jeśli bowiem dziś, w czasach chrześciańskich, tak mało spotykamy dbałości u plemion słowiańskich w utrzymaniu swych cmentarzy, to nie pojmujemy wcale zkądby się owa staranność (w utrzymywaniu grobów) w epoce kamiennéj wziąć miała. Nie widzimy zatém najmniejszéj podstawy do ustępstw tak wielkich na korzyść plemienia germańskiego, jak to czyni sz. autor posuwając je do Wisły. Ustępstwa takie nawet na polu archeologii nie są bezpieczne.

Sądzilibyśmy, że szczep słowiański mając od Wschodu lasy i błota nieprzebyte, posuwał się stale w kierunku zachodnim, zanim brzegów nadelbiańskich dosięgnął. Tu zaś wstrzymany orężem Germanów, zatrzymał się na stałych siedzibach. To ustępstwo na korzyść Niemców tém trudniéj nam zrozumiéć, że w dalszym ciągu sam autor opisując poszukiwania swe na prawym brzegu Wisły, wyraźnie powiada: „w ogóle pod nie jednym względem widoczną zachodzi podobieństwo pomiędzy grobami meklemburskiemi a między naszemi, co tożsamością szczepu słowiańskiego *jedne* i *drugie strony zamieszkującego* tłumaczyćby można“ (s. 48); daléj gdy mówi: „podobieństwo uderzające zabytków nad Hawelą i u Łużyczan do zabytków zebranych po prawym brzegu Wisły, każe się domyślać słowiańskiego pochodzenia tamtych, co témbardziéj zbliża je do epoki żelaznéj“ (s. 95).

Być może, sprzeczność wynikająca ztąd jest tylko pozorną, i zdaniem autora inny szczep zamieszkiwał lewy brzeg Wisły w epoce kamienia grubego, inny znów w późniejszéj epoce bronzu i żelaza.

Wszelako kwestya ta, nie została przez autora należycie wyjaśnioną; stawianiem zaś przedwczesnych wniosków pomnażać tylko będziemy i tak już liczne w téj mierze wątpliwości.

* * *

Jeszcze bardziéj pouczającym i ciekawym jest inny artykuł tegoż samego autora, p. t. „Wycieczki archeologiczne po prawym brzegu Wisły.“ Zalecają go nietylko gruntowne opracowanie i znajomość przedmiotu, lecz nadto gorące przejęcie się i zamiłowanie do archeologii krajowéj. Tylko bowiem przy tych warunkach, praca przynosi pożądane owoce dla nauki i społeczeństwa i zarazem staje się moralną nagrodą dla samego badacza. Z jakąż nieudaną miłością kreśli autor obrazy Wisły z odległéj przeszłości, kiedy ówcześni mieszkańce powiśla nie znali jeszcze rolnictwa, a rybołóstwo i myślistwo były jedyném ich zatrudnieniem. W owéj epocę znaczenie téj królowéj rzek naszych być może większą miało wartość dla tubylców, niźli dzisiaj przy wielu innych środkach do życia i komunikacyi. To téż tubylcy ówcześni pojmowali to należycie, a liczne ślady po nich pozostałe dowodzą, że powiśle i wówczas było już dosyć zaludnioném. Śledzenie tych stacyj nie może pozostać dla nas obojętném. Dlatego téż najzupełniéj łączymy głos nasz ze zdaniem szanownego autora, gdy, lekceważącemu prace jego, towarzyszowi podróży mówi: „krzątaj się ty około przyszłości i pracuj nad wydobyciem z jéj łona takich warunków bytu, które i tobie i mnie uczyniły życie znośniejszém, a mnie pozwól grzebać się w daleką przeszłość, bo przykro mi, kiedy czytam obrazy naszéj najdawniejszéj przeszłości ręką życzliwych sąsiadów kreślone, wedle których, w czasach przedhistorycznych, nie umieliśmy ani lepianki wystawić, ani garnka ulepić, a bez mała powiedzą, żeśmy wiedli życie niczém nie różnę od życia borsuków i niedźwiedzi“ (42).

Głównym celem wycieczki téj były poszukiwania cmentarzy przedhistorycznych w okolicach Płocka, oraz we wsiach: Grabówce, Ośnicy i Borowiczkach, na prawym brzegu Wisły położonych. Przyznać potrzeba, że skutek znakomicie uwieńczył poniesione trudy. We wszystkich tych miejscowościach autor odnalazł przy rozkopywaniu kurhanów, groby z epoki przeddziejowéj. Są to urny albo popielnice zachowane w sklepach z kamieni lub zakopane w piasku. Naczynia te zawierały w sobie popioły i szczątki niedopalonych jeszcze kości. Ilość podobnych cmentarzysk przytaczanych tu i popartych drzeworytami, tak jest znaczną, że to upoważniło autora do wyrzeczenia: „że mając Grabówkę na półtory wiorsty, Ośnicę na trzy, Borowiczki na cztery wiorsty od Płocka, mamy niejako nieprzerwany łańcuch cmentarzów przedhistorycznych po prawym brzegu Wisły“ (49). „Z licznych tych cmentarzysk pokazuję się, że kraj ten w czasach przedhistorycznych był już bardzo zaludniony, bo gdzie jest cmentarz, tam zapewne była i osada“ (50).

Jakkolwiek odmiennego sposobu grzebania ciał używali pierwotni mieszkańce w dawnéj ziemi Sandomierskiéj i w okolicach Płocka, słusznie zauważył autor, że to bynajmniéj nie przemawia za ich różnicą szczepową. Przekonano się dziś bowiem, że początki kultury ludzkiéj w Ameryce, Afryce, Azyi, Oceanii, i Europie, zupełnie są do siebie zbliżone. Prawdziwie mówi nasze przysłowie narodowe, że potrzeba jest matką wynalazków. Potrzeby zaś życia są wspólne dla wszystkich ludów, podobnież wspólnemi są wskazówki, jakie człowiek czerpie z przyrody dla zaradzenia sobie. Radzili téż sobie ludzie przedhistoryczni w rozmaity sposób co do środków: jużto budując mieszkania na wodzie, jużto wynajdując sobie schronienie w nieprzystępnych jaskiniach, jużto wreszcie zaopatrując się w broń dla obrony własnéj i zdobycia sobie pokarmu. Stosownie do sposobu żywienia się mogli używać różnych narzędzi w różnych miejscowościach, lecz prawie wszędzie rybacy, myśliwi, lub wojownicy wyrabiali dla siebie narzędzia podobne z kamienia lub metalów. Takich narzędzi krzemiennych prof. Przyborowski znalazł około Płocka do 1000 sztuk. Pomiędzy narzędziami z krzemienia, znaleziono acz w małéj ilości wyroby z bronzu, żelaza, miedzi i srebra, a nadto kawałki szkła; ztąd autor przychodzi do wniosku, że opisane przez niego miejscowości w okolicach Płocka i Warszawy należą do epoki żelaznéj. Rzadsze i bardziéj niespolite okazy autor podaje w pięknie wykończonych drzeworytach. Z wielu przytoczonych przez autora narzędzi, uderza nas swą oryginalnością narzędzie krzemienne w kształcie głowy gołębiéj, ktore autor przezwał *puszczadłem*. Na dowód tego przypuszczenia przytacza autor zdanie Chapmanna (Archiw für anthropologie 1869; t. III, s. 325) opowiadającego o pewném pokoleniu, napół dzikiém, Domara w południowéj Afryce zamieszkującém, które używa do puszczania krwi puszczadła krzemiennego. Sam ten fakt puszczania krwi narzędziem krzemiennem nie wydaje się nam rzeczą nieprawdopodobną. Przeciwnie, narzędzia krzemiennego w tym razie możnaby bezpieczniéj użyć, niźli tępego i zardzewiałego żelaznego lancetu, mogącego sprowadzić śmiertelne zapalenie żyły. Idzie nam w tym razie o inną kwestyę. Nie podzielamy zdania sz. autora z tego względu, że nie możemy przypuścić, aby przy ówczesnych warunkach życia mieszkańców powiśla, potrzeba puszczania krwi byłaby im znaną. Przykład wzięty z opisu Chapmanna, kwestyi téj wcale nie rozstrzyga. Najprzód, że Chapmann zwyczaj ten obserwował w plemieniu Damara w dzisiejszym wieku, dokąd mógł być przez misyonarzy zaniesiony i późniéj w braku lancetu mogli sobie w ten sposób radzić; lecz co najważniejsza, że ludy południowéj i w ogóle gorącéj strefy mogą (instynktowo) odczuwać potrzebę upustu krwi, gdy dziś nawet na Północy, lub w klimacie ówczesnéj Polski potrzeba ta wcale uczć się nie dawała.

* * *

Gdy z jednéj strony Wisła doczekała się wymownego tłumacza swéj przeszłości w osobie prof. Przyborowskiego, podobnie Niemen znalazł go w p. Z. Glogierze. Młody duszą i sercem, lecz wytrawny umysłem p. Gloger daje przykład rzadkiéj gorliwości na drodze badań starożytności, tak historycznych, jak i przedhistorycznych. Idąc za hasłem poety: „czyń każdy w kółku swojém co każe duch Boży, a całość sama się złoży;“ p. Glogier pracuje przeważnie w swojéj okolicy--pragnąc poznać dokładniéj jéj przeszłość i teraźniejszość. Przy studyach podobnych nie mogło ujść uwagi jego, stanowisko téjże okolicy w owéj przeddziejowéj dobie bytu mieszkańców Podlasia i stron Nadniemeńskich. Jakoż kilkakrotne wycieczki w tym celu przedsiębrane, nie pozostały bez skutku. Wprawdzie nigdzie nie wynalazł p. Glogier podobnie zachowanych cmentarzysk z urnami i popielnicami, jak to nam opisuje szanowny prof. Przyborowski, niemniéj porównywając mnogość stacyi krzemiennych i obfitość wynalezionych narzędzi, wycieczkę p. Glogiera poczytujemy za korzystny przyczynek do studyów archeologicznych. Już z tego co tu podaje wnioskować można, że w ogólności lewy brzeg Niemna był mocniéj zaludniony od prawego, że wyroby w tych okolicach znajdywane zbliżają się bardzo do wyrobów napotykanych na Mazowszu, że lud zamieszkujący te okolice sam na miejscu je wyrabiał, jak o tém świadczą rozrzucane tu i owdzie rdzenie krzemienne; wreszcie że okres krzemienny tych miejscowości sięgał już, jak się zdaje, czasów chrześciańskich. Wszakże nie możemy zgodzić się z sz. autorem, jakoby wynaleziony przez niego młotek (zapewne krzemienny), mający zużyte brzegi, miał służyć jako lekarstwo dla ówczesnych tubylców. Autor opiera swoje twierdzenie na dzisiejszém ludowém wyrażeniu: utrzéć choremu kamyczka. Owóż o ile mi wiadomo, lud prosty używa w tym celu nie zwyczajnych kamyczków, lecz skamieniałości mających u ludu znaczenie cudotwórczości.

Do tego mu najczęściéj służą: rogi jelenia i łosia, muszle, tak zwane strzały piorunowe, oraz skamieniałe zęby niedźwiedzia jaskiniowego, używane niegdyś w zachodniéj Europie w celu leczniczym pod nazwą Licornum fossile (Figuier. La terre avant le déluge 350). I zaprzeczyć niepodobna, iżby skamieniałości te, zawierające w sobie różne pierwiastki mineralne, (jak: wapń, potas, magnium, sód, fosfor, siarkę i żelazo), do pewnego stopnia rozpuszczalne i dające się assymilować w organizmie, nie były w niektórych wypadkach z pożytkiem użyte. W każdym razie wątpliwém pozostaje, aby leków podobnych używano już w epoce krzemiennéj; wątpliwości zaś nasze dochodzą do zupełnego sceptycyzmu, gdy nam autor każe *jedyne*, znalezione, zużyte narzędzie krzemienne, uznać za proste następstwo czynności lekarskich.

* * *

W dalszym ciągu „Wiadomości Archeologicznych,“ spotykamy wielce dokładny opis epoki bronzowéj w kraju naszym przez J. T. X. Lubomirskiego. Autor, korzystając ze zbiorów Akademii Umiejętności Krakowskiéj i Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu

oraz niektorych prywatnych, pięknie nam odwzorował zabytki téj epoki. Szczególném bogactwem w tym względzie zaleca się Muzeum poznańskie. Prof. Virchow zwiedzając przed niedawnemi czasy to muzeum, wyraził swe zdziwienie znajdując w niém wiele takich okazów z epoki krzemiennéj, których nie spotykał w bogatych zbiorach starożytności niemieckich. Z opisu zaś szanownego autora dowiadujemy się, że niemniéj bogate są te zbiory w epokę bronzu. Pomiędzy wielu okazami podanemi przez autora, najbardziéj na siebie zwracają uwagę: korona (na południu Galicyi wydobyta), dwa woły (ze sobą spojone), miecze, czekany, buława i wiele innych ciekawych ozdób tak męzkich, jak i kobiecych. Historyczny przebieg epoki bronzowéj dopełnia całości. Szanowny autor dowiódł przeto, że obowiązki obywatelskie wypełniać umié nietylko względem żyjącéj społeczności, ale i względem téj, którą historya oddawna wyłączyła z dziedziny swéj, przekazując ją archeologii.

* * *

Nowszych niewątpliwie czasów sięgają wykopaliska z cmentarzy z okolicy Sieradza, które daje nam poznać p. E. Stawiski. Na nieznacznéj stosunkowo przestrzeni, bo zaledwie trzy mile w promieniu wynoszącéj, potrafił p. Stawiski odszukać i zgromadzić bardzo cenne wskazówki na przyszłość. Dowiadujemy się tu bowiem, że już wówczas istniał zwyczaj palenia ciał końskich obok grobowiska dawnego ich pana. Znalezione tuż obok strzały żelazne, nie pozostawiają wątpliwości, co do epoki i rodzaju zatrudnienia owego pana.

Do niepospolitych okazów zaliczyć należy: *dzbanuszek* gliniany pod n-rem I, nader ozdobnéj formy, nadto opatrzony dużém *uchem*. Jakkolwiek nie znać na nim, jak zapewnia autor, śladów toczownika, nie ma polewy i wyrobiony z grubego materyału; wszelako zważywszy na jego ozdobną formę, staranność w odrobieniu i trwałość materyału (zapewne bez domieszki granitu?), mielibyśmy prawo powątpiewać o przedhistorycznem jego pochodzeniu, tém bardziéj, że dokument ten nie był wykopany przez szanownego autora, lecz ofiarowany mu w darze z dwoma innemi przedmiotami przez D-ra Stanisławskiego, który również miał je od kogóś innego dostać. Urna grafitowa pod n-rem 3 niewiadomego pochodzenia, nie może całkiem wchodzić do obrachunku naukowego. Gdyby się znalazły dowody kopalnego jéj pochodzenia, to i wówczas, w braku zupełnego u nas grafitu, możnaby ją tylko uważać, jako zdobycz wojenną. Kula gliniana z woli Marzewskiéj, którą szanowny autor z professorem Przyborowskim, idąc za zdaniem Büschinga, jako zabawkę dziecinną ocenia, wydaje się nam być innego przeznaczenia. Jakiego, stanowczo nie wiemy; lecz prawdopodobniéj kule podobne, mogły służyć dla odróżnienia stopni za życia i po śmierci, jak to dziś jeszcze praktykuje się w Chinach, gdzie są mandaryni o kuli złotéj, srebrnéj, czerwonéj, błękitnéj i t. p. U nas w braku metali, mogły być używane w tym celu kule z gliny.

Żałować należy, że szanowny autor przemilczał o nazwisku właściciela gruntu włościanina wsi Piasek, który tak chętnie na poszukiwanie zezwolił i dał potrzebne do tego informacye. Tém więcéj uczynić to należało, że autor wymienia nazwiska innych większych posiadaczy.

* * *

Ostatnich dopiero czasów epoki żelaznéj sięgają wykopaliska z mogiły Łęgońskiéj. Pan Kalikst Jagmin podał tu wielce interesujący opis kurhanu Łęgońskiego i wynalezionych tam przedmiotów. Ozdobne, szmelcowane urny, noże, miecze żelazne, dziryty, tarcze, ozdoby bronzowe, grzebyk kościany, stanowią bogaty plon dla archeologii wytrwałą pracą szanownego autora zdobyty.

* * *

Na tém kończymy nasze sprawozdanie, dodać tu tylko winniśmy, że piękna forma najzupełniéj odpowiada treści. Wydanie podobne przynosi zaszczyt naszemu piśmiennictwu i może rywalizować z wielu tego rodzaju publikacyami za granicą. Życzyćby tylko należało, aby czcigodni wydawcy w przyszłości nie przestawali obdarzać nas dalszemi na téj drodze pracami; będzie to wprawdzie w części zależéć od publiczności, któréj obecnie to dzieło polecamy, nie wątpiąc, że „Wiadomości Archeologiczne" zarówno będą zdobiły półki uczonego, jak i stoliki damskich salonów.

Zaznaczając fakt téj pierwszéj (u nas) na tém polu zbiorowéj pracy, musimy przyznać pewną doniosłość ogólniejszemu zajęciu się nauką, która w kraju naszym nie obiecuje podobnie bogatych plonów, jakie w roku zeszłym p. Schliemann w Troi zdobył. Nikt tu nie znajdzie skarbów Lechickich ani klejnotów Palemona!

D-r W. Szyszłło.

Polnische Annalen bis zum Anfange des vierzehnden Jahrhunderts. Eine Quellen-Untersuchung von D-r Stanislaw Smolka. Lemberg, 1873. (Roczniki polskie w okresie dosięgającym początków wieku XIV. Badanie źródłowe przez D-ra Stanisława Smolkę. Lwów, 1873) str. 134.

Z samego tytułu już się wywiązuje pytanie: dlaczego autor, jedno całe kryterium historyczne biorąc za przedmiot rozwagi, ogranicza się w pracy téj, ani mniéj, ani więcéj, jak do początków wieku, który żadnéj przecież pod tym względem epoki nie stanowi? I nie próżne w rzeczy saméj byłoby to pytanie. Lecz autor pamiętał już sam o przewidywać się dającéj konieczności tego pytania, i uprzedzając wszelką wątpliwość, dał, jak się zdaje, dostateczne co do tego

punktu objaśnienie, tłumacząc się w przemowie: „Rozprawa niniejsza z praktycznéj powstała potrzeby. Opracowując jedną epokę dziejów polskich, odznaczoną mianem „podziału kraju na księztwa", aż nadto często miałem sposobność przekonać się, iż dla prac dalszych w tym zakresie, stały po drodze nie odparte przeszkody, a stan taki rzeczy musiałby dotrwać, pókiby przejrzanym i zbadanym należycie nie był rocznikarski materyał, tyczący się zakresu pomienionego. Ta okoliczność miana na względzie, usprawiedliwia już poniekąd zawarte w tytule, przedmiotu ograniczenie, po drugie dziesięciolecie wieku XIV. Więcéj atoli niż ta zewnętrzna okoliczność, skłaniały mię do powyższego ograniczenia, wewnętrzne, z saméj natury przedmiotu wypływające powody. Jeżeli bowiem doszły do nas okazy spisywanych przed wiekiem XIV roczników, to w kompilatorskich tylko późniejszych odpisach; w końcu ich dopiéro tu i owdzie dołączone bywają wiadomości, dające się zaliczyć do świadectw spółczesnych czyli rocznikarskich, w prawdziwém tego wyrazu znaczeniu, zapisek. Zupełnie odmienny charakter tymczasem noszą, wyłączone przez nas z obrębu rozprawy, tak zwane od klasztorów, w których spisywane były, Roczniki Miechowskie i część samoistna Roczników ś. Krzyzkich; z planu i wykonania, obrębów miejscowości swéj one nie przestępują. Mają się znajdować inne jeszcze, po dziś dzień drukiem nie ogłoszone, roczniki polskie z wieków XIV i XV, a ta okoliczność przemawia bardziéj jeszcze, za wyłączeniem obu w końcu wymienionych, z zakresu naszego badania niniejszego; pociągając w przeciwnym razie za sobą konieczność, wzięcia pod wspólną rozwagę, ich po wiek XV dopełnień, jakby się tego domagała krytyka pierwszéj części, dosięgającéj roku 1325".

„Dalsze ograniczenie"—kończy rzecz swą autor—„polega na tém, ażeby od tegoż badania obecnego wyłączone były Wielkopolskie roczniki, w ścisłym będące związku z kroniką, tytułowaną mianami Boguchwała i Godzisława. Mogą się one bowiem krytycznie obrabiać, tylko w najściślejszém połączeniu z rozbiorem kroniki dopiéro wymienionéj, z którą tyle spornych pytań przychodzi pod rozwagę. Lecz znowuż téj krytyki się podjąć dotychczas nie można było, dla braku dokładnego z niektórych względów jéj wydania. Z drugiéj strony nie są te roczniki wielkopolskie w żadnym związku z małopolskiemi, tak, iż rozwiązanie niektórych, kroniki tyczących się pytań bynajmniéjby jeszcze pożądanéj krytyki nie ułatwiało" (stronnica 5. 6).

Nie wynika już z takiéj saméj konieczności inne pytanie: dlaczego epoka Piastowska naszych dziejów, więcéj może niż wiele innych, zatrudnia dzisiejszych naszych badaczów? Lecz że rozwiązując je, tém samém zapoznajemy lepiéj czytelnika, z zasadniczemi pojęciami autora niniejszego źródłowego badania „*o rocznikach polskich*", zdrożném ono ani zbytecznem nie będzie. Dosyć się w tym względzie powodować wskazówkami, w jednéj z poprzednich prac, przez same-

goż p. Smolkę danemi, abyśmy, jak rozumiém, celowi temu odpowiedzieli.

Wypowiedział wszakże w wydanéj przed kilką laty monografii, tyczącéj się panowania *Henryka Brodatego*, w wyrazach nic do wątpienia nie zostawiających: coby sądzić chciał o pewnych zamiarach budowania dziejów naszych, poczynając od epok ostatnich, a to, jak się domyślać należy, z pominięciem lub odłożeniem na czas dalszy dawniejszych, mianowicie zaś epoki pierwotnéj, tyczącéj się dynastyi Piastów, którą słusznie zapewne, za kamień węgielny do rzeczonéj budowy uważa. Z monografii téj wyjmiemy na dowód kilka orzeczeń, zawartych w następnych wyrazach:

„*Die Weltgeschichte ist das Weltgericht!* (Dzieje świata są sądem świata, godło z poety niemieckiego: jak gdyby przez nie oznaczać chciał atrybucyę sądowniczą historyi, przed którą się nie wybiega również przeszłość spraw ludzkich jak teraźniejszość). A w myśl powyższą domawia sprawiedliwie, iż „wyrok bezstronny tego trybunału jest trudnym, stanowczo owszem da się wydać o takim tylko właściwie narodzie, który już skończył swą rolę na widowni dziejów". Wniosek jego w harmonii z wiadomą maksymą mędrca greckiego w zwięzłém wyrażeniu oddaną przez rodowitego poetę: „Nikt nie mów, ten szczęśliwy; poczekaj aż skona!"

Daléj: „nierzadko" mówi „spotkać się można ze zdaniem niewłaściwe konsekwencye wyciągającém z zasady, że „historya jest życia nauczycielką"... „Często — dowodzenie swe prowadzi daléj — żądają od naszych dziejopisarzy, żeby się zajęli ostatnimi czasami krajowych dziejów, które bez wątpienia najwięcéj nas bezpośrednio pouczyć zdołają. Zmudne badania na polu historyi epok dawniejszych, wielu wydają się bezowocną i nie stosowną na dziś pracą. Nie godzi się jednak zapominać, że jak w historyi w ogólności, tak i w naszéj narodowéj historyi, istnieje ciągłość dziejowego rozwoju... Wszak już w wypadkach z końca XI wieku, spostrzedz sie dają zasady całego dalszego rozwoju, który w końcu doprowadził do katastrofy w wieku XVIII".

W tém ostatniém orzeczeniu, ma widocznie na względzie pamiętne skutki pojedynku, na życie lub śmierć, między supremacyą duchowną a świecką, złowrogiém piętnem naznaczające schyłek panowania Bolesława Śmiałego, w konsekwencyi wyprowadzając na jaw zarody kast, zarody stronnictw, prędzéj lub późniéj podkopać mających państwo aż do podwalin.

Utrzymując się przy swém założeniu przechodzi do krótkiéj charakterystyki niektórych historyków, a następnie badaczy źródłowych. Według niego, pod względem wyczerpującego zbadania pierwszych epok naszych dziejów, najznakomitszą dotychczas jest praca i zasługa cudzoziemskiego badacza (Roepella), o czém zapewne na inném miejscu wartoby pomówić, bez nasiąkającego szkołą uprzedzenia. Inna rzecz co do jego zdania, iż „najważniejsza część zaso-

bu źródeł, dotyczacych się téj epoki, doczekała się wybornego, krytycznego wydania w zbiorze *Pomników polskich* przez Bielowskiego. Wiémy, iż przeciw temu orzeczeniu, staje z gromiącém *veto* filologia, zbrojna w reguły i nomenklatury, ale występujący nowy pracownik, *post fata* owéj wojny podjazdowéj, nie wiele powinien się troszczyć o przeciwieństwo podobne.

Wyznaje, iż w pierwszym zwłaszcza rozdziale monografii, korzystał z kroniki *mistrza Wincentego*, któréj używanie, w ostatnich czasach prace Zeissberga i Bielowskiego niezmiernie ułatwiły.

Uważa *Boguchwała* za autora pierwszéj części kroniki, wbrew przyznaniu jéj całéj autorstwa przez Mosbacha, Godysławowi Pawłowi; lecz w ogólności nie zalicza jéj do dobrych dzieł tego rodzaju, jako napełnionéj po większéj części wiadomościami niedokładnemi.

Nie przymilczmy nawiasem rzuconéj przez autora myśli, a to już w artykule (zeszytu 4-go *Przewodnika naukowego i literackiego z roku 1873)* poświęconym rozbiorowi uwieńczonéj pracy Zeissberga: „o polskiém dziejopisarstwie średniowiecznem“, co do autentyczności tak zwanéj „*kroniki węgiersko-polskiéj*“, pod sporem będącéj; iż myli się Zeissberg wyłączając ją z liczby utworów na gruncie polskim zrodzonych. „Zagadkowy ten pomnik“ mniema, iż „*bez wahania* do zakresu polskiego dziejopisarstwa zaliczyć należy“. Poczekamy na podniesienie kiedyś na nowo tego tematu przez p. Smolkę, i doprowadzające do przekonania dowodzenie.

Przytoczymy wreszcie wyrażenię się jego o znaczeniu *legendy* w literaturze, z powództwa *Żywota Jadwigi*, żony Henryka Brodatego, iż „Żywot ten mógłby być bezwątpienia ważném źródłem do dziejów Henryka, gdyby nie należał do owéj licznéj legendowéj literatury, *która dziejopisarstwu niewiele materyału dostarcza*“.

Tyle nateraz w rodzaju ustępu nadmienić postanowiliśmy co do zasad autora rozprawy „o rocznikach polskich“, a streścimy następnie rezultaty, do jakich z badań swych w niéj dochodzi.

Co do pierwotnego naprzód wzoru porządkowania lat i zapisywania spółczesnych zdarzeń, dajmy na to, iż mają słuszność za sobą, p. *Smolka* w obecnéj rozprawie (str. 53) i *H Zeissberg* w uwieńczonéj pracy: „o średniowiecznem dziejopisarstwie polskiém“ (str. 30), utrzymując, jakby w zgodném z sobą uprzedniém porozumieniu, iż piérwsza pobudka do rocznikarstwa uplanowanego, przyszła do Polski z Niemiec“; cóżby jednak było w tém tak dalece dziwnego? Podobnież zadziwiaćby to było powinno, iż kościół zachodni ustanawiając w Polsce piérwszą hierarchię duchowną, z cudzoziemskich (włoskich, francuzkich, niemieckich) kapłanów i pasterzy, zasilał naszych przodków pogańskich, formułami, czy to w rzeczach religii, czy naukowości, początku obcego. I ci wszakże, z domniemania samodzielni nasi oświeciciele, nie innym względnie początkiem swych innowacyi, pochlubić się byliby w stanie. Dopiéro teraz, jakby z palimpsestów odgrzebywać potrzeba: co tu w owéj średniowiecznéj oświacie nowo-

organizujących się narodów, dałoby się wykryć pierworodnego? a co brano w niéj w spadku i przekazie, bądź po rzymskich bądź po greckich poprzednikach? Zwłaszcza autor obecnéj rozprawy, przez to już samo, iż trafia na pewne ślady zaginionych najdawniejszych źródeł rocznikarskich, nie powinienby, jak się zdaje, tak bezwarunkowo opiérać na wniosku Niemców samochwalnym, iż na ich to podstawie były budowane owe pierwotne naszych rocznikow okazy. I czasowi to jeszcze się zostawia i jakiemuś odkryciu trafunkowemu, w tém dwuwykładném zadaniu, zawyrokować kiedyś ostatecznie. Szkoła *ex cathedra* przemawia, a rzeczywistość ma swoje prawa nieodwołalne, przeciwiące się niejednokrotnie najzarozumialszym systematom...

Głownie nam i przedewszystkiém, jak sądzimy, chodzić powinno co do téj stanowczości spółczesnych zapisek, ażeby z tą dobrą wiarą i dostatecznem przeznaniem stanu rzeczy były dokonywane, z jakiemi je pospolicie, nie oglądając się nawet na uprzedzenia, odczytujemy.

To pewna, z innego względu, iż nie zapóźno się napomyka przez naszych badaczów, ile nieoceniona jest przysługa z *roczników*, w rzeczach badań dziejowych; a skorośmy raz się na tém poznali, i przeniknęli ich wartością niepomierną; iż poświęcenie sił wszelkich na przejrzenie tych zródeł, odosobienie ich części składowych i doprowadzenie do pewnéj formy wyrozumowanéj, jest obowiązkiem dzisiejszych badaczów i warunkiem żywotnym niewątpliwie, samychże dziejów.

Wzorową bezwątpienia jest pilność, ścisłość, nieutrudzona zabiegłość młodego pracownika: choć nie powiemy bezwarunkowo, ażeby tak, w prawdziwém znaczeniu wyrazu, była pierwotną. Słusznie nie zapomina tenże, o piérwszych lodach łamanych, przez znakomitych nawet na tém polu, rodzinnych poprzedników. Ma zasadę, wspomnijmy nawiasem, w późniejszym znowuż rozbiorze pisma Zeissberga, poczytywać na karb nierozumienia siebie samego; pewnego lekceważenia lub nagannego przekąsu; gdzie tenże, nie z należytém, jakby się tego po nim domagać można, uznaniem wartości rzeczy, dokonanych przez zgasłego naszego historyka; przemawia choć ani się mierzyć z nim może nauką w rzeczywistości, ani zmysłem krytycznym do nieodwołalnych rezultatów nie dochodzi. Przedsięwzięcie rozprawy z powołania, jeszcze samo przez się, takich potężnych korzyści mu nie zapewnia. Otóż i słowa autora obecnéj doktoryzacyjnéj rozprawy, godne tu powtórzenia, z oceny późniejszéj jego pojedyńczego rozdziału, obrazowi naszéj analistyki poświęconego. „Trzeci rozdział uwieńczonéj pracy p. Zeissberga, poświęcony polskiemu rocznikarstwu, okazujący podobnież jak cała ta praca, zapanowanie w wysokim stopniu nad materyą wziętą do wytraktowania, samo przez się rozumié się, zostawia pewną liczbę pytań nie rozwiązanych, które osobnego tylko badania przedmiot stanowić mogą. Autor ze wzglę-

du na stosunek powinowactwa między pojedyńczymi rocznikami, do ogólnych jedynie się ogranicza zarysów, bez zamykających rzęcz badaną rezultatów“ *(Polnische Annalen str. 6 w przedmowie).*

W szczegóły liczniejsze naszego ziomka, w niniejszém sprawozdawczém napomknięciu, tak dalece wdawać się nie możemy. Książka sama przez się poczytna i będąca pod ręką, uwalnia nas od tego. Chcąc ją na szczegóły i szczegółki do zacytowania podzielić, jest to że się wyrazimy w ten sposób, szukać dobrowolnego zmniejszenia jéj wartości, swéj spójni i ujęcia na wewnątrz należnéj. Rzadko się bezwątpienia spotyka, u dzisiejszych zwłaszcza pisarzów ten przymiot unikania gadatliwości bezużytecznéj. Największą pochwałą dzieła, jest słowo każde stające się rzeczą, a téj pochwały właśnie odmówić nie możemy wiele obiecującemu pracownikowi, który woli narażać na pozór suchości tekstu, niżeli się wysilać na błyskotliwy powab zewnętrzny, z którego, posiłku rzeczywistego dla umysłu, nie wyciska się w treści. Dla téj to więc zwięzłości treściwéj, dobrą wróżbę czynimy o pisarzu, który postępując od zadania do zadania, celu gruntownego zbadania rzeczy nie wypuszcza z pamięci. To znaczyć może, iż nie zaginie jeszcze, jak dotąd nie zaginęło plemię zdolnych kierowników nawy, którym zawdzięczamy dotychczasowe postępy.

Przywodzimy głównie, dla dania wyobrażenia o rezultatach z badania wyciągniętych przez autora rozprawy, rzucone myśli przez tegoż o każdym z *dziesięciu roczników,* zajmujących jego uwagę w zakresie ograniczonym z namysłu, po drugi dziesiątek lat wieku XIV włącznie. Co o nich istotnego jest do zaznaczenia, przedstawmy to w następstwie ich, przez niego samego ustanowioném.

I. Ułamki roczników, dosięgających wieku XIII, z tych:

1) *Annales cracovienses vetusti.* Nazwa ta zadziwia autora; zkądże bowiem krakowskiemi mają się tytułować, owe prastare roczniki, gdy te prócz jednéj pobieżnéj wzmianki, żadnych cech osobnych miejscowości krakowskiéj w sobie nie zawierają. A znowuż za przekształceniem téj nazwy na „ś. Krzyzkie“, przez Bielowskiego projektowaném, przemawia jedynie przygodna okoliczność, iż rękopism ich w klastorze ś. Krzyża na Łysej górze przez benedyktynów był przechowywany. „Drogocenne są one, powiada, dla starożytności swéj rękopiśmiennéj z wieku XII, a prócz tego dla przechowania w sobie odpisu z zatraconego źródła pierwotnego“.

2) *Annales Camensenses.* Rękopism z początku XIII wieku. Z wyjątkiem dołączonych w końcu dwojga wzmianek o następstwie biskupów krakowskich między r. 1142 a 1165, urywają się ich wiadomości, w związku z sobą będące na r. 1104.

3) *Annales Lubinenses,* w ułamku tylko dochowane a przeciąg czasu między latami 1143—1175 obejmujące. Skompilowane były również jak poprzednie z dawniejszych źródeł, w początku wieku XIII; z nich się też okazuje najwyraźniéj modła i sposób, jakiemi

zwykle tego rodzaju kompilacye się dokonywały. Obok niektórych właściwych zarysów co do okoliczności klasztornych, które z tablic wielkanocnych należących do klasztoru poczerpnięte być mogły, dla uzupełnienia téj kompilacyi przewertowane były inne wiadomości, bądź z oryginalnych źródeł wyjęte, bądź, co podobniejszém jest do prawdy, za pośrednictwem nieznanéj już nam dzisiaj rocznikarskiéj kompilacyi, złożyły się w formę obecną Lubińskich roczników. Autor rozprawy wskazuje tu na miejsca pojedyńcze, tchnące swym początkiem z kroniki wielkopolskiéj, jak na możliwie poczerpnięte wiadomości z kroniki Boguchwała o następstwie biskupów poznańskich, a zatém do połowy XIII wieku należące.

4) Niedość trafnie przez *Arndta* tak zatytułowone: *Annales Silesiaci compilati*, albowiem ostatnia ich część istotnie nosi na sobie piętno przemagające szlązkości, w innych częściach nie ma już śladu owego szlązkiego piętna, a więcéj się uwzględniają stosunki innych dzielnic Polski. Jeszcze niewłaściwiéj, powiada autor, zostały one przez *Fiedlera* w *Bibliotece Słowiańskiéj* przezwane *Chronicon Poloniae*. (Tu w cytacyach na dowód, wkradła się u naszego autora omyłka, co do poczerpnięcia z innych roczników wiadomości o zaślubieniu przez *Mieszka II*, zamiast Kazimierza I, Maryi, księżniczki ruskiéj. Poczytajmy to zgodnie za winę korrekty).

5) Z działu II *Annales capituli cracoviensis*. Wielki ten wolumen, datujący się z drugiéj połowy XIII wieku, tak objętością jak składem wewnętrznym, wyróżnia się od wszystkich poprzednich roczników. Autor znajduje w ich przedmiocie najwięcéj objaśnienia u Bielowskiego (w Pomników tomie 2); mianowicie ważny do swego przedsięwzięcia, opis przez tegoż, kodeksu, będącego własnością kapituły krakowskiéj, którego część jednę, pod niniejszym nadpisem roczników stanowią. Na każdy z nich rok oddzielne miejsce zostawione; zaczém poszły miejsca puste z lat wielu, mianowicie z epoki dawniejszéj. Kiedy zaś wszystkie lata aż po wiek XIII skąpo i w kilku ledwo wyrazach wiadomościami się zapełniaja, na rok 1079, datę właśnie zabicia biskupa Stanisława, opróżnione było miejsce 32 wierszowe, na którém później wpisano legendę o tymże biskupie. Domyśla się nasz autor (str. 17), iż dokonaném to zostało z pobudki tegoż biskupa Prandoty, który pod koniec swego życia tak się gorliwie kanonizacyą ś. Stanisława zajmował. Stanowczo więc wnioskuje za datą r. 1267, w któréj miały powstać takie jak dziś się dochowują, roczniki kapituły krakowskiéj. Ważna to okoliczność, powiada, jest do wyrozumowania, albowiem okres ten czasu, jak tego dowodzi w dalszym ciągu, stanowi w ogólności epokę, pod względem rozwoju polskiego rocznikarstwa. Jakoż zasługuje na najpilniejsze rozważenie cała ta kategorya, bardzo starannie przezeń motywowana.

6) *Annales cracovienses breves*, które, według jego recenzyi powinny być uważane za utwór z początkowania odrębnego a raczéj za pewien rodzaj dopełnienia do powyższych, pomimo to nawet, iż zawierają w sobie niektóre wiadomości, tamtym nieznane.

II. *Kompilacye rocznikarskie pod nazwą Franciszkańskich.*

„Małopolskim Franciszkanom, zaznacza przejściowo nasz autor, niepomierna należy się chwała i zasługa z tego, co przez pracowitą rocznikarską działalność, dla pożytku dziejów kraju uczynili. Wnet po założeniu swém, przez Bolesława Wstydliwego roku 1237 wprowadzeni do Krakowa, wkrótce się po innych dzielnicach państwa rozszerzywszy, być może iż udziałem swym wpłynęli na skupienie w rocznikarskich kompilacyach, wiadomości o wypadkach dziejących się kolejnie na całéj przestrzeni. Następne utwory doszłe do nas, téj się ich rocznikarskiéj działalności przypisują.

7) *Annales Mierzwae.* Autor nie zmienia téj nazwy, na podstawianą przez kogo innego nazwę *Dzierzwa*: owszem wręcz przyznaje słuszność dowodzeniom Bielowskiego, obstającego za mianem *Mierzwy*, i za bardzo podobną do prawdy rzecz uważa, iż komuś łatwo było *M* początkowe brać za *D*, w średniowiecznym gotycyzmie. Nie zgadza się atoli z Bielowskim w istotniejszym względzie, gdy ten chciałby kompilatora kroniki mistrza Wincentego, jako samodzielnego rocznikarza ustalać pod wiekiem XI, tak, ażeby nawet Marcin *Gallus* był tylko już jego następcą. Warte jest to wszystko uwzględnienia, przy tym szeregu zwłaszcza dowodów przez autora rozprawy stawionych.

8) *Annales cracovienses compilati.* Nie zgadza się również pod tym tytułem z Bielowskim, aby rocznikarskie te kompilacye czysto rocznikami krakowskiemi były nazywane. Samodzielne wszakże wiadomości w tych dosięgające r. 1276, są także różnorodnéj treści, iż widocznie na pochodzenie z różnych także a nie tylko krakowskich, wskazują źródeł.

9) *Annales Polonorum* (w XIX tomie *Pomników historycznych niemieckich* a w II *polskich* Bielowskiego pomieszczone), których nazwą Arndt i Roepell oznaczają największą rocznikarską kompilacyę, siegającą w treści swéj wprowadzenia chrześcijaństwa do Polski, kończącą się zaś w połowie wieku XIV a nawet w dodatkach rozprzestrzeniając po r. 1424. Z rokiem 1270 przybiérają już roczniki te nowy charakter, a w tym sposobie poczwórna ich redakcya jest widoczna.

10) *Annales Sandivogii*, po raz piérwszy w pomnikach przez Bielowskiego wydrukowane i mianem tém przez wydawcę oznaczone, z powodu iż w jednym tylko rękopiśmie z wieku XV znajome, który był własnością Sędziwoja, opata klasztoru augustyańskiego (?) w Kłodawie. Autor rozprawy mając i w tym razie cóś do powiedzenia, przeciw upatrywanéj przez Bielowskiego zgodności tych roczników z rocznikami kapituły krajowéj, treściwie określa ich charakter, iż „jest to długa kompilacya a krótkie dopełnienie z zasobu własnego". (*Vor Allem muss man in ihnen eine lange Compilation und eine kurtze Fortsetzung unterscheiden*).

Otóż i cała obfitość rocznikarskiego materyału, do którego zniewolony jest się ograniczyć przyszły pracownik dziejów *epoki podziałowéj*. Z widocznego obeznania się krytyka z tym swym materyałem, z wyrobionego sobie o każdéj kategoryi roczników sądu wytrawnego, z niepodległości także tego sądu dotykalnéj, można tylko wróżyć na przyszłość pożytki prawdziwe dla krytyki dziejowéj. Na takie usiłowania dla dziejowéj naszéj literatury, oczekuje się dość długo. Rozprawa niniejsza w istocie, trudno żądać, ażeby w całém znaczeniu tego wyrazu, była pracą wyczerpującą, skończoną. To jedno, przeciwko czemubyśmy zaprotestowali, iż p. Smolka pamiętając bardzo dobrze o pomocy wstępnéj, przez jednego lub drugiego z obcych przewodników dotychczasowych sobie udzielonéj radą lub spółudziałem, mniéj jakby z prób danych spodziewać się można, zdaje się rachować na siły własne naprzód; a wszakże zwrócićby już to samo powinno jego uwagę, iż mając następnie pod ręką prace większego zakroju z pod pióra tychże obcych badaczów, nie znajduje ani wiele, ani tak ważnych poprawek do uczynienia, w stosunku do opracowań swych, dotychczas w krótkim zarysie pod sąd publiczny oddanych. Skromność w ocenianiu prac własnych, ma bezwątpienia swą stronę chwalebną; lecz ona powstrzymywać nie może od dopełnienia warunku, w zawodzie, który stoi samodzielnością opinii i swobodą jéj wyrazu, przed wszelkiém innem zadaniem. Napomknięcie to nie tyczy się jedynie obecnéj pomocy przezeń, przyszłym na témże polu spółpracownikom dostarczanéj.

Z. K.

Historya powszechna konia, przez Maryana hr. Czapskiego. Poznań 1874, nakładem księgarni Żupańskiego.

Możnaby się posprzeczać z autorem o tytuł: boć dotychczas ogólném cieszyła się uznaniem zasada, że jedynym działaczem w historyi powszechnéj jest człowiek, *homo sapiens*, wszakże dzieło same do rzędu dzieł historycznych, i to znakomitych, zaliczyć należy. Znajdujemy tu bowiem bogaty zasób wiadomości i wniosków archeologicznych, ba nawet znaczny dział z historyi kultury, mianowicie: opisy igrzysk, uzbrojenia i scen wojennych, gospodarstwa, obyczajów, zbytku i t. p. Jestto więc właściwie historya człowieka o tyle, o ile styka się z koniem; znajdą się tu i „uwagi hippiczne nad fryzem Partenonu“ i legendy, przysłowia i piosnki ludowe. Zaczyna się ta historya od najdawniejszych czasów, od kopalnego człowieka i konia, ciągnie się przez całą historyą starożytną, średniowieczną i sięga aż XIX wieku. Przedmiotem szczególnéj troskliwości autora był koń polski: „Dosiadał go szlachcic małém chłopięciem, a nie zsiadł z siodła aż starcem osiwiałym. Czar-

niecki konający kazał sobie na pożegnanie przywieść towarzysza, co go do boju nosił. Cisawego konia Jagiełły pod Grünwaldem, Jana III pod Wiedniem zapisali kronikarze na kartach dziejowych... Skarży się Skarga na tę miłość zbyteczną dla „kobylego syna, ale się jéj z serca pozbyć było trudno.“ Obecnie wyszedł z druku zeszyt piérwszy (wszystkich będzie 10). Zawiera on dwa rozdziały: stanowisko konia wśród innych jestestw i historyą konia przedchrześciańskiego. Ale przed kilkoma laty mieliśmy sposobność widzieć inne części w rękopiśmie; możemy więc zapowiedzieć, że we właściwém miejscu czytelnik znajdzie ogromny poczet wyjątków z dawnych pisarzy polskich, wiele przysłów i piosnek, w których uwydatnia się pogląd ludu na konia. Naturalnie, że strona przyrodnicza nie będzie zaniedbaną. Jest anatomia, fizyologia, opis wszystkich ras, wszelkie hippiczne osobliwości, dużo własnych spostrzeżeń nad rassami eurpejskiemi i azyatyckiemi. Wykład jest świetny tak pod względem grupowania materyału, jako téż pod względem stylu; wydanie pod względem typograficznym wytworne. Prosilibyśmy tylko autora, póki jeszcze czas, aby podał dokładne cytaty z mnóstwa przytaczanych autorów, a to najprzód gwoli wrodzonéj ludziom naukowym podejrzliwości, powtóre dla nastręczenia sposobu sprostowania trafiających się tu i owdzie błędów korrekty, jak np. Wykopaliska Bolta (zamiast Botta) i Layard'a w Kujundżyku, Kharzabadzie (zamiast Khorzabadzie, albo lepiéj Chorzabadzie) na str. 92; lub hazardownych twierdzeń naukowych np. w historyi Wschodu: „Egipcyanie i Chińczycy używają malowniczego pisma znaków... Semityckie dopiéro plemiona zaczynają używać znaków na dźwięki“ (s. 63). „Świetność Teb, *stoma* opatrzonych bramami“ str. 65 (wzięto zapewne z Homera). „Semiramid kilka przyjąć należy“ (str. 66) i t. p.

Dokładniejszą ocenę téj z wielu względów znakomitéj pracy, podamy po ukazaniu się całkowitego dzieła.

T. K.

K. Heyder, Die Lehre von den Ideen. Frankfurt n. M. 1874 r.

Professor filozofii w Erlangen, Karol Heyder, wydał pierwszy tom obszernego dzieła pod powyższym tytułem. Tom ten obejmuje historyą nauki o ideach; tom drugi zawierać będzie wykład teoryi idei samego autora. Po wykazaniu ogólnego znaczenia nauki o ideach, autor rozdziela historyą swego przedmiotu na dwie nierówne części: pierwsza krótka, stanowiąca niejako wstęp (str. 1—42), obejmuje naukę o ideach aż do Kanta; druga zaś obszerniejsza (str. 42—400), zawiera w sobie krytyczny rozbiór poglądów: Kanta, Jakobiego, Fichtego, Schellinga, Hegla, Herbarta, Schopenhauera i kilku nowszych myślicieli, jako to: Edwarda Hartmanna, Trendelenburga, Lotzego,

Fechnera i poglądu materyalistycznego. Krytyka ta, dokonana z wielką starannością i bezstronnością, doprowadza autora do przekonania, że idee, jako wymagania i formy rozumowe, niezależne, co do swéj treści, od wrażeń zmysłowych, nie mogą być zaprzeczone zupełnie, i że nawet najnowszy empiryzm, otrząsając się z więzów dogmatyzmu i przyjmując charakter *krytyczny*, wykazuje *granice* zmysłowego poznawania rzeczy, a tém samém przyznaje, że poza temi granicami istnieje coś przewyższającego treść zmysłową, a dostępnego tylko dla idei rozumowych. Prawda, że wielu myślicieli utrzymuje, iż owe idee, chociaż istnieją, nie mają jednak żadnego *naukowego* znaczenia, że są wynikiem to fantazyi, to uczucia, to jakichś wymagań poetycznych, moralnych, religijnych i t. p., które nie mogą być ujęte w żadne formy naukowe i logiczne. Lecz autor natomiast postawił sobie za zadanie wykazać, że owe idee mają właśnie znaczenie *teoretyczne*, *naukowe*, że mogą i powinny służyć za podstawę do rozszerzenia naszego poglądu na rzeczy, do wszechstronnego poznania otaczającego nas świata. Rozwiązanie tego zadania, t. j. szczegółowe udowodnienie *teoretycznego* znaczenia idei, ma stanowić treść drugiego tomu tego ze wszechmiar zajmującego i pouczającego dzieła.

H. St.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

— *Warszawa, maj 1874.* Wydawnictwo książek, które przy rozwoju prassy peryodycznéj zdawało się że przez nią przygłuszoném zostało, coraz szersze przybiera rozmiary, co zawdzięczać należy właśnie redakcyom pism czasowych. Oprócz wydanego zbioru pism J. Korzeniowskiego, poezyi L. Kondratowicza (Syrokomli) i Ramot i Ramotek A. Wilkońskiego, z ogłoszonéj publikacyi powieści Zygmunta Kaczkowskiego już trzeci tom posiadamy. Przyznać należy, że co wychodzi z typografii J. Ungra odznacza się pięknym drukiem, papiérem i starannością edycyi. Redakcya „Bluszczu“ dwa większe prowadzi wydawnictwa: piérwsze *Muzeum sztuki europejskiéj*, obejmujące kopię na stali celniejszych obrazów galeryi europejskiéj wraz z życiorysami i portretami malarzy: trzy tomy już są ukończone, każdy o 12-tu zeszytach; tom IV w ciągu b. r. w całości wydanym

zostanie. Drugie: *Pismo Święte Starego i Nowego testamentu*, podług tekstu łacińskiego Wulgaty, w przekładzie Jakóba Wujka, ozdobione 230 drzeworytami Gustawa Doré'go. Wychodzi zeszytami po dwa na miesiąc. Do wydawnictwa „Bluszczu" przywiązaną jest także publikacya zbioru powieści J. I. Kraszewskiego, wychodząca we Lwowie, za zniżoną cenę dla prenumeratorów pomienionego czasopisma.

— Znany nasz malarz, wykształcony zarówno naukowo, Wojciech Gerson otrzymał jako nagrodę za przesłany swój obraz: *Esterka ze swym ojcem*, na wystawę w Londynie, medal, który konsul angielski w Warszawie złożył „Towarzystwu zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskiém" dla doręczenia utalentowanemu artyście. Medal wybity z kompozycyi i pozłacany: z jednéj strony ma wyryty profil twarzy następcy tronu angielskiego Alberta Edwarda księcia Walii, prezydenta wystawy; z drugiéj zaś perspektywiczny widok gmachu, w którym wystawa się mieści. W otoku wyryto następny napis: *Warsaw. Society of artists Katalogue N-o 5075.*

— Nakładem księgarni Ungra i Banarskiego wyszło dzieło: M. C. Hippeau. *Wychowanie publiczne w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnéj.* Przełożył Stanisław Bełza (w 8-ce s. XIX, 404). Tłumacz w przedmowie swéj mówi: „Przerażające ubóstwo literatury naszéj w dziedzinie wychowania publicznego, skłoniło mnie do rozpoczęcia pracy, w zamiarze zaradzenia takowemu. Tym celem wybrałem kilka uznanéj wartości dzieł francuzkich i niemieckich pisarzy i takowe w krótkim przeciągu czasu na świat w przekładzie ojczystym puścić zamierzam. Na początek daję: *L'instruction publique aux Etats Unis* p. Hippeau, które ma tę wyższość nad innemi, iż zaznajamia nas ze stanem wychowania publicznego w kraju, o którego urządzeniu i szkołach, ogół nasz nie tajmy, słabe bardzo posiada pojęcia." Całe dzieło podzielone na dwie części: w piérwszéj mamy obraz szkół publicznych, w drugiéj: kolegiów, uniwersytetów i szkół specyalnych. Do każdéj części obszerne dodatki dopełniają niezbędne wiadomości, tak co do etatów pensyi pobieranych przez nauczycieli i nauczycielki, jak programa nauk szkolnych i t. p. Wydanie staranne, opracowanie sumienne, a tłumaczenie czystym i jasnym językiem oddane, zalecają tę pożyteczną publikacyę. P. S. Bełza przygotował przekłady z tegoż M. C. Hippeau prac obszernych, w których traktuje wychowanie publiczne w Anglii i w Niemczech.

— *Asfalt i Bitumy: zastosowanie ich w technice* (wykład popularny), przez Józefa Spornego inżyniera komunikacyi, b. inżyniera miasta Warszawy (nakładem autora). Warszawa, w drukarni Jana Jaworskiego 1874 (w 8-ce str. V, 344). Znajomość przedmiotu na długiém doświadczeniu oparta, jak i nauka autora, są dostateczną rękojmią wysokiéj wartości tego dzieła.

— Jan Zacharyasiewicz drukuje w odcinku Dziennika polskiego nową swoją powieść p. n. *Zakryte karty*, we trzech tomach.

Treścią jéj jest automia galicyjska i sceny przechodzą ze Lwowa do Wiednia. Utwór ten zajmujący ukaże się w oddzielnéj książce.

— Władysław Czachórski malarz, urodzony w Lublinie 1850, chodził tam do szkół, potém uczył się rysunku w Warszawie, a od roku 1869 jest w Monachium, gdzie uczęszcza na wykłady Pilotego. Pierwszy jego obraz *Lektura*, sprzedany został do Londynu, teraz i drugi utwór Czachórskiego: *Wstąpienie do klasztoru*, do tegoż miasta jest nabyty. W illustracyi lipskiéj znajduje się reprodukcya tego obrazu, wykazująca niepospolitą zdolność młodego malarza.

— Pan Zygmunt Floryan Wróblewski z Grodna, otrzymał od uniwersytetu w Monachium dnia 28 lutego r. b. stopień doktora filozofii po egzaminie odbytym „summa cum laude“ i po obronie rozprawy swéj p. t:. „Ueber die Erregung der Electricität durch mechanische Mitteln.“

— Na posiedzeniu Londyńskiego Towarzystwa Zoologicznego, dnia 17 lutego r. b. odczytano list pana Władysława Taczanowskiego, kustosza gabinetu w Warszawie, w którym podał opis 24 nowych ptaków, odkrytych przez naszego rodaka Konstantego Jelskiego w środkowém Peru. Gazeta Warszawska podaje o tym badaczu przyrody i podróżniku następną wiadomość:

„Jelski Konstanty urodził się 1838 roku na Litwie, w miejscowości Lada (w gubernii Mińskiéj); skończył uniwersytet w Kijowie, gdzie uczęszczał na nauki przyrodzone. Po skończeniu uniwersytetu, został mianowany nauczycielem nauk przyrodzonych w gimnazyum żeńskiém w Kijowie, lecz wkrótce to miejsce opuścił, aby się udać na wyprawę naukową do Krymu razem z professorem Kesslerem. Po powrocie z Krymu, pozostawał jako kustosz gabinetu w Kijowie i trudnił się zbieraniem mięczaków, których opis przedstawił na 2-im zjeździe rossyjskich badaczy przyrody w Kijowie 1862 roku w broszurze p. t.: *O malakologiczeskoj faunie okrestnostiej Kijowa* 1862 r. W parę lat potém, podróżował po Europie i udał się do Południowéj Ameryki do Guyany francuzkiéj, gdzie w Kajennie przebywał parę lat, robiąc ciągłe wycieczki w okolice i zaopatrując ustawicznie w różnę ciekawe okazy warszawski gabinet zoologiczny. Szczególniéj zebrał w Guyanie mnóstwo ptaków, węży, znaczną ilość ryb, pająków zupełnie nowych (opisanych obecnie p. Władysława Taczanowskiego w ilości około 100 gatunków), jako też zwierząt ssących, niedoperzy, mięczaków. Od kilku lat hr. Konstanty Branicki zasila obficie środkami materyalnemi naszego uczonego naturalistę i tym sposobem daje mu możność zdobywania coraz więcéj mnogich i ciekawych zwierząt, wzbogacających poważnie nasz gabinet. Od trzech lat p. Jelski podróżuje po Peru, mając główną kwaterę w stolicy tego Państwa Limie. Pobyt w Peru wydał jeszcze obfitsze plony, niż w Guyanie, ponieważ gabinet zoologiczny warszawski zyskał przeszło 500 gatunków ptaków, których nie posiadał, a z których około 60 było nowych. Zyskał nowe zwierzę

ssące z rzędu szczurowatych, nazwane *Dinomys Branicki* na cześć hr. K. Branickiego, zwierzę wielkości zająca, którego jedyny znany egzemplarz na całym świecie znajduje się w tymże gabinecie. Z Peru przysłał kilka innych ciekawych, ssących, wiele motyli, nowych mięczaków i t. p. Jelski robi prócz tego obserwacye na żywych zwierzętach, notuje ich obyczaje i zamierza to w niedalekiéj przyszłości drukiem ogłosić."

— J. I. Kraszewski, *w listach z Niemiec* drukowanych w Gazecie Polskiéj, bawiąc w Wiedniu w maju r. b. podaje nam wiadomość o jednym z prywatnych zbiorów, w którym znalazł wiele pamiątek polskich:

„W zbiorze prywatnym p. Rogawskiego (pisze) oglądaliśmy tu jednę nieznaną pracę A. Grotgera, która za naszą namową pójdzie w tych dniach w rysunku przez pana Łepkowskiego wykonanym, do jednego z pism illustrowanych warszawskich. Obrazek ten wyobraża trzy dziewice, z których jedna przynosi wiązankę kwiatów, druga ją wstążką opasuje, trzecia tę wstążkę obcina. Są to niby trzy Parki. W jednéj z nich łatwo poznać siostrę zmarłego artysty. W tymże zbiorze znajduje się stary i piękny obraz niewiadomego malarza, wystawiający jakąś bitwę polską. Na przodzie jest rycerz ze skrzydłem u boku, na jednéj z chorągwi Pilawa. Trudno oznaczyć z kim ta bitwa się odbywa i jaką ona być może. Widoczna, że w chwili gdy Polacy ponieśli klęskę, przybywa im w pomoc odsiecz, pod wodzą jednego z Potockich. Styl i malowanie zdaje się być szkoły niemieckiéj. Bardzo ciekawe dwa portreciki: Zygmunta III i Anny żony jego, przyznawane Clouetowi, są także w tym zbiorze, którego właściciel z wielkim smakiem i znajomością zgromadził w czasie swego pobytu w Wiedniu prawdziwie piękne rzeczy. Między innemi znajduje się portret Katarzyny Cornaro w postaci świętéj jéj patronki, znakomitego weneckiego artysty. Możnaby go przyznać Weronezyuszowi, nie czyniąc mu krzywdy".

— Akademia umiejętności w Krakowie otrzymała urzędowne zawiadomienie o tych z przedstawionych na członków zagranicznych uczonych, którzy dotąd uzyskali potwierdzenie. Oto ich imiona. *Członkowie czynni wydziału filozoficznego:* Stanisław Koźmian w Poznaniu; Józef Ignacy Kraszewski w Dreznie; ks. Franciszek Malinowski w Komornikach (w wielkiém księztwie Poznańskiem). *Korrespondenci*: Aleksander Chodźko w Paryżu; D-r August Essenwein w Norymberdze; Władysław Nehring w Wrocławiu; Włodzimierz Spasowicz w Petersburgu. *Członkowie czynni wydziału historyczno-filozoficznego*: Hr. August Cieszkowski w Poznaniu; Ryszard Roepel we Wrocławiu; ks. August Theiner w Rzymie; Ludwik Wołowski w Paryżu. *Korrespondenci*: Margrabia Emanuel Noailles i Bronisław Zalewski w Paryżu. *Członkowie czynni wydziału matematyczno-przyrodniczego*: Ignacy Domejko w Coquinoe w Chili. *Korrespondenci:* Edward Strasburger w Jenie; Józef Tetmajer w Paryżu. W dniu

27 kwietnia r. b., na posiedzeniu *Komissyi archeologicznéj akademickiéj* Piotr Umiński zdał sprawę o programach zjazdów mających się odbyć w r. b. w Sztokolmie i Kijowie. A. H. Kirkor złożył relacye z czynności sekcyi wykopalisk, któréj przewodniczy. J. N. Sadowski czytał doniesienie o zabytkach przedhistorycznych w okolicy Jarosławia, wskazując potrzebę prowadzenia tam dalszych badań: wreszcie zajmowano się naznaczeniem miejsc obiecujących rezultaty poszukiwań archeologicznych i powołano pp. Kirkora i J. N. Sadowskiego do przedsięwzięcia w tym celu podróży. Dnia 9 maja odbyło się w téjże akademii posiedzenie *wydziału filologicznego*, na którém przedstawiono w tłumaczeniu polskiém z pierwszéj połowy XV wieku: „*Epistolae S. Bernardi de re familiari*“ z rękopismu udzielonego przez p. Franciszka Kluczyskiego. Następnie odczytano rozprawę obszerną p. Jana Karłowicza: „O języku litewskim“ rzecz mieszczącą w sobie krytykę prac polskich i obcych o języku litewskim wraz z bibliografią literatury tego przedmiotu i gramatyką języka górnolitewskiego, na zasadach A. Schleichera. Na posiedzeniu wydziału historyczno-filozoficznego dnia 11 maja r. b., D-r Zoll czytał rozprawę: „O pojęciu zobowiązania ze szczególném uwzględnieniem nowéj teoryi Brinza“ dowodząc że przyjęcie dłużnika za przedmiot zobowiązania, nie da się pogodzić z istotą téj instytucyi; że zatém wrócić należy na stanowisko teoryi dawniejszéj, i to co ma być wynikiem działania dłużnika, to jest świadczenie z jego strony, poczytać za właściwy przedmiot stosunku obligacyjnego. Sekretarz przedstawił nadesłane prace: *Kodeks piźnieński ortylów magdeburskich* D-r Wł. Wisłockiego; „*Krytyczny rozbiór IX księgi Jana Długosza Historyi Polskiéj*“ przez Aleksandra Semkowicza; „*Nowy pogląd na metodologiję filozoficzną*“ przez A. Dłużniewskiego; „*Jeszcze o budowlach na Kazimierzu*“ przez N. Ekielskiego. Na ostatniém posiedzeniu komisyi językowéj D-r Skobel przedstawił prace naukowe ś. p. Henryka Sucheckiego, których w rękopismach wiele pozostało, ale mało wykończonych; jednę z tych prac: „O niektórych błędach w dzisiejszéj polszczyznie literackiéj“ odczytano i postanowiono wszystkie prace zmarłego przejrzéć i spisać.

— W dniu 6-ym maja r. b. poświęconym został kamień węgielny w Poznaniu, pod budujące się *muzeum* dla zbiorów Towarzystwa Przyjaciół Nauk, w obecności członków zarządu tegoż Towarzystwa. W otworze urządzonym w kamieniu, umieszczono puszkę opieczętowaną, w któréj złożono: medal bity w 1873 roku staraniem Towarzystwa na cześć Kopernika, medal bity staraniem J. I. Kraszewskiego na cześć zmarłego Seweryna hr. Mielżyńskiego, akt obejmujący nazwiska członków zarządu, spis członków wszystkich tegoż Towarzystwa, oraz ostatnie numera wszystkich miejscowych pism polskich.

— We Lwowie rozpoczął się druk niewydanych dotąd utworów przedwcześnie zgasłego Adama Pajgerta w 2-ch tomach z portre-

tem autora. Kornel Ujejski na czele umieścił życiorys zmarłego poety. Z oryginalnych utworów wejdą w to wydanie, oprócz drobnych lirycznych poezyj: *Kadmea i Postacie*; z tłumaczonych: Henryk IV tragedya Szekspira: poezye liryczne, przełożone z różnych autorów: *Raj i Peri* poemat Moora, (którego tłumaczenie mistrzowskie A. E. Odyńca oddawna już posiadamy); *Wyspa* poemat Bajrona, *Ginevra* poemat Tennysona, znany już z czasopisma Kłosy. Tu, nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta, drukuje się dzieło p. n.: *Historya Leśnictwa*, napisane przez znanego specyalistę w téj gałęzi gospodarstwa prof. Henryka Strzeleckiego. Oprócz tego wychodzi „Orędownik Leśnictw" książka zbiorowa, któréj pojedyńcze działy opracowali również sami specyaliści. Obejmie ona pięć działów: *Leśnictwo* prof. H. Strzeleckiego, *Botanikę Leśniczą* prof. Tynieckiego, *Klimatologią i Miernictwo* prof. D-ra F. Stanieckiego, *O chrząszczach i owadach* p. Romera, *O glebie* p. Wędrychowskiego. Dzieło to wielce użytecznem się stanie, zwłaszcza teraz we Lwowie, gdy przy Akademii Technicznéj ma być oddzielny wydział leśniczy, a praktykę młodzi uczniowie miéć mogą, bo Galicya ma wiele lasów, których siekiera spekulantów niemieckich nie wytępiła tak, jak w Królestwie Polskiém. Nowo zawiązane stowarzyszenie *Pracy Kobiet*, rozpoczęło dnia 9 maja r. b. swą działalność otworzeniem szkoły introligatorstwa, szycia i t. p. dla ubogich kobiét. Stowarzyszenie to znajduje poparcie i posiada już dostateczne fundusze do rozporządzenia.

— Czytamy *w Wieku*: „Pierwszy koncert w Nowym-Yorku w Ameryce odbył się dnia 26 kwietnia r. b. pod przewodnictwem p. Rolewskiego na dochód budowy kościoła polskiego w témże mieście. Po koncercie nastąpiła zabawa tańcująca.

— W Hanowerze u Rümplera, wyszło dzieło: „Historya i obrazy z życia ludu Wendyjskiego" (Geschichten und Bilder aus dem Wendischen Volksleben). Dzieło to niemałéj wartości, napisane bez uprzedzeń właściwych Niemcom, przedstawia rzeczywisty obraz życia pobratymczego nam ludu.

— *History of Greece* by George W. *Cox* (London, Longmans. II. t.). Po wielkiém dziele Grotę'a trudno jest powiedzieć coś nowego o historyi Grecyi. P. Cox jednakże nadał swemu dziełu wysoką wartość naukową przez zwócenie szczególnéj uwagi na podania mytyczne i bohatérskie, oraz przez staranne zbadanie wpływów, jakie epos grecki wywierał na pierwotną historyą Grecyi.

— P. *Guy de Charnacé*, idąc za przykładem Sainte-Beuve'a, skreślił w formie pogadanek życiorysy wielu spółczesnych pisarzy, jako to: Maxa Müllera, Tain'a, Erckman'a i Chatriana, Guizot'a, Ribot'a, Caro, Renan'a, Mezières etc. Książka jego nosi tytuł: *Causeries sur mes contemporains* (Paris. Dentu, str. 460).

— Dr. *Ahrens*, znany autor Eencyklopedyi Prawa, zwolennik filozofii Krause'go wystąpił przeciwko „Zboczeniom w spółczesnym rozwoju duchowym Niemiec" i domaga się reformy wychowania

w dziele: *Die Abwege in der neueren deutschen Geistesentwickelung und die nothwendige Reform des Unterrichtswesens.* Zboczenia widzi autor w upowszechnionych obecnie spekulacyach giełdowych (tak zwaném grunderstwie, Gründerthum), w materyalizmie, panteizmie, darwinizmy, w szkołach bezwyznaniowych, ale zarazem i w „klerokracyi.“ Dla zaradzenia tym błędnym kierunkom proponuje się wprowadzenie do szkół, nawet realnych, kursów filozoficznych, szczególnie psychologii. W uniwersytetach na wszystkich wydziałach obowiązującym być winien wykład Etyki, Estetyki, Psychologii, Logiki i Historyi Filozofii.

CZYTELNIA LUDOWA W CIESZYNIE.

† W drugiéj połowie kwietnia, w 73 roku życia umarł w Krakowie Dr. ***Ferdynand Kojsiewicz,*** zasłużony professor ekonomii politycznéj Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zawdzięczamy temu mężowi wydanie ważnych rękopismów Hugona Kołłątaja, jak *Badań historycznych* i *Korrespondencyi*, które na tamten okres rzucają nie mało światła.

CZYTELNIA LUBOWA W CIESZYNIE.

OD REDAKCYI.

P. Janowi Czerniewskiemu w Hersonie. Zeszyt za miesiąc kwiecień, księgarnia Gebethnera i Wolffa wysłała pocztą d. 11 kwietnia r. b. Należy upomnieć się na stacyi pocztowéj, a jeśli skutku nie będzie, donieść redakcyi dla stosownego postąpienia i dostarczenia brakującego zeszytu.

P. Kalasantemu Kundzicz w Onacku. Zeszyt za miesiąc kwiecień wysłany dnia 11 kwietnia r. b. Wypada upomnieć się na stacyi, a w razie nieotrzymania skutku, donieść redakcyi dla poszukiwania i dostarczenia.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca *Józef Berger.*

W drukarni J. Bergera, w Warszawie przy ulicy Daniłowiczowskiéj Nr. 619.

Дозволено Цензурою. Варшава, 21 Мая 1874 г.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

Z R. 1874.

—

stron.

Dawne prawo polskie.

Statut wartski Władysława Jagielły. Przez Romualda Hubego. . . 438

Literatura krajowa.

Przegląd prassy peryodycznéj w Królestwie Polskiém. Rok 1873.
I. Kronika Rodzinna. Przez A. K. 91
II. Bluszcz. Przez J. Radlińskiego. 95
III. Tygodnik Mód i Powieści. Przez W.....ą. . . . 105
IV. Przegląd Katolicki. Przez A. J. S. 296
V. Izraelita. Przez Adolfa Pepłowskiego. 300
VI. Przyjaciel Dzieci. Przez Tadeusza Korzona. 309
VII. Zorza. Przez K. Wł. Wójcickiego. 445
VIII. Wędrowiec. Przez Adolfa Pawińskiego. 449
IX. Tygodnik Illustrowany. — Kłosy. Przez A. J. S. . . 452
Ty, wy, pan. Czyli o oznaczeniu osobistości w języku polskim. (Uwaga do psycho-lingwistyki). Przez A. Tyszyńskiego. . . . 253

Historya.

Warszawa i jéj społeczność w początkach naszego stulecia, przez K. Wł. Wójcickiego. 110, 845

stron.

Sztuki piękne.

Stanisław Moniuszko i sztuka muzyczna narodowa. Studyum estetyczne, przez Bolesława Wilczyńskiego.
VI. Wielki ton w sztuce polskiéj. Wartość i kierunki artystycznéj pracy Moniuszki. Paria. Widma. Sonety krymskie. . 36
VII. Uwagi nad muzyką nowoczesnéj epoki. Moniuszko wobec mistrzów téj epoki. Oryginalność formy, harmonia i instrumentacya Moniuszki. Słówko o wykonaniu utworów jego. . . . 192
Przegląd teatralny od 1 lutego 1873 do 1 kwietnia 1874 r. Przez Edwarda Lubowskiego. 414

Literatura starożytna.

O listach Cycerona. Przez K. Kaszewskiego. 1

Zakłady naukowe.

Muzeum przemysłowo-techniczne w Krakowie. Przez Konstancyę Wiszniewską. 181

Literatura zagraniczna.

KRONIKA ZAGRANICZNA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Przyjęcie pana Saint René-Taillandier do Akademii francuzkiéj. — Mowa pana Nisard. — „Rok dziewięćdziesiąty trzeci" Wiktora Hugo. — Zmarły historyk Michelet; wspomnienie jego prac. — Nowi akademicy: pp. Mezières, Caro i Aleksander Dumas. — Gregorio Papadopulos. — Wiersz Wiktora Hugo: „Dom bez dzieci." 125
Studya literackie Edmunda Scherera. — Biblioteka Sainte Beuva. — Prelekcya professora Büchnera w Caen: literatury w krajach drugorzędnych. — Goethe: studyum p. Mezieres członka akademii. — Dzieło Emila Oliwiera o Lamartinie. — Chybiona uroczystość akademicka. — Państwo brezylijskie: dzieło cesarza don Pedra, ofiarowane Towarzystwu Jeograficznemu w Paryżu. — Współdziałanie Towarzystwa Jeograficznego z izbą handlową. — Reformy pod względem prawa w Japonii. — Piérwsze cywilizacye: dzieło Franciszka Lenormant. — Nowo utworzona szkoła archeologiczna w Rzymie: mowa dyrektora Alberta Dumont. — Podróż po Hiszpanii barona Davillier z drzeworytami Gustawa Doré. — Sfinks: dramat Oktawa Feuillet. 261

stron.

Historya krytyczna Ballady, przez Asselineau. — „Trzydzieści sześć ballad“ Teodora Banwilla. — „Do matki.“ — „Do Wiktora Hugo.“ — „Listy nieznajomej“ wydane z powodu „Listów do nieznajomej“ Merimego.— „Historya powszechna teatru“ Alfonsa Royer.— Poezye perskie rozgłoszone poraz pierwszy w Europie przez Aleksandra Chodźkę.— Poslannik Boży.— Śmierć Mohameda.— Głowa Husseina.— Farsy perskie: Tamecha. — Ernest Beulé, zmarły historyk-archeolog. — Ministeryum angielskie pod prezydencyą Dizraelego, złożone z samych literatów.— O literaturze w Stanach Zjednoczonych Ameryki, rozprawa p. Leo Quesnel. — Zarzuty przeciw pani Beecher-Stowe. Zemsta Europy za Bajrona.—Opera „Florentczyk,“ konkursowe libretto p. Saint-Georges, kompozycya muzyczna p. Lenepfeu. — Czwarty tom korrespondencyi Lamartina. — Les chants du droit et de l'epée, Oktawiusza Ducros.— Zebranie naukowych towarzystw francuzkich w Sorbonie. — Publiczne posiedzenie Towarzystwa geograficznego: Liwingstone, Francis Garnier, Billy. — Klub alpejski. — Historya Henryka IV, p. Lescure. — Wilhelm Kaulbach. — Zapowiedziane przyjęcie Aleksandra Dumas'a do Akademii.—Murillo, Guizota. 465

Podróże.

Listy z Ameryki do przyjaciół w Europie, przez Juliana Horaina. . . 63

Powieść.

Brühl. Opowiadanie historyczne. Przez J. I. Kraszewskiego. T. I. 215, 380

Przemysł i handel.

Wystawa powszechna w Wiedniu. Przez B. S. 75

Piśmiennictwo krajowe i zagraniczne.

Lud, jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce. Przedstawił Oskar Kolberg, członek kor. Akademii umiejętności w Krakowie, oraz Towarzystw naukowych w Paryżu, Petersburgu i muzycznego we Lwowie. Serya VI. Krakowskie. Część druga. Kraków, w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego. 1873 r. (w 8-oe, str. V, 540). Przez K. Wł. W. 168

stron.

Zbiór piosnek z towarzyszeniem fortepianu. Muzyka i słowa Artura Barthels'a. Warszawa, skład główny u Gebethnera i Wolffa (w kroju arkuszowym, tekst pod nutami i oddzielnie litografowany). Przez R. 171

Wcielenie Inflant do Litwy i Polski 1558—1561 roku; napisał Stanisław Karwowski Dr. filozofii, w Poznaniu 1873, str. 112. Przez Z. K. 315

Na Pochyłości. Powieść w dwóch tomach, napisał Bolej Krut (Edward Lubowski). Warszawa, 1874 r. Przez A. Tyszyńskiego. 318

Geld und Credit.—Erste Abtheilung: Das Geld; Darlegung der Grundlehren von dem Gelde mit einer Vorerörterung über das Kapital und die Uebertragung der Nutzungen, von Carl Knies, Professor der Staatswissenschaften zu Heidelberg. Berlin, 1873. Str. 344. Przez Dra K. Strasburgera. 323

Volkelt, Der Pessimismus u. das Unbewusste 1873. Hartmann, Erläuterungen zur Metaphysik des Unbewussten 1874 r. Przez H. Struvego. 328

Odczyt professora Łamańskiego w Petersburgu o Janie Ostrorogu i Fryczu Modrzewskim. 330

Wiadomości archeologiczne. Spostrzeżenie z lat ostatnich w dziedzinie starożytności krajowych. Czasy przedhistoryczne. Przez D-ra W. Szyszłło. 499

Polnische Annalen bis zum Anfange des vierzehnden Jahrhundert. Eine Quellen-Untersuchung von D-r Stanislaw Smolka. Lemberg, 1873. (Roczniki polskie w okresie dosięgającym początków wieku XIV. Badanie źródłowe przez D-ra Stanisława Smolkę. Lwów, 1873) str. 134. Przez Z. K. 511

Historya powszechna konia, przez Maryana hr. Czapskiego. Poznań 1874, nakładem księgarni Żupańskiego. Przez T. K. . . . 519

K. Heyder, Die Lehre von den Ideen. Frankfurt nad Menem 1874 r. Przez H. St. 520

Korrespondencye

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj:

Od F. G. Eichoff'a. Paryż, 16 marca 1874. 166

Od Dra. Stanisława Krzyżanowskiego. 332

Od J. Żebrawskiego. 333

WIADOMOŚCI LITERACKIE. 176, 335, 521

NEKROLOGIA. 179, 343, 527

Od redakcyi. 179, 344, 528

Sprostowanie. 343

CZYTELNIA LUDOWA W CIESZYNIE